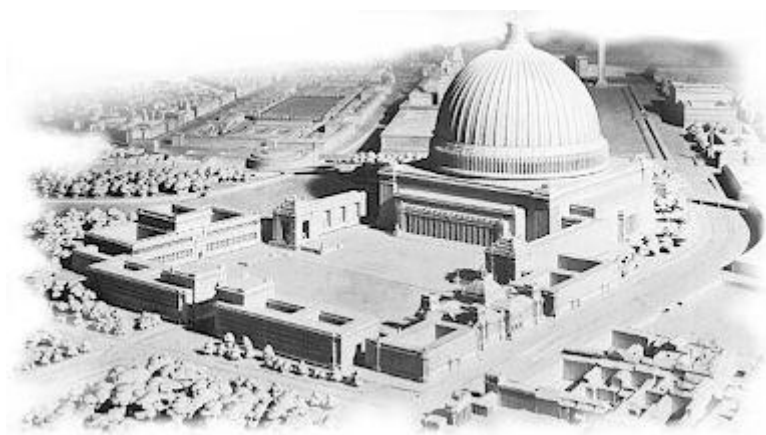


ALBERT SPEER



WSPOMNIENIA

Edycja komputerowa: www.zrodla.historyczne.prv.pl

Mail: historian@z.pl



Rozdział 1

POCHODZENIE I MŁODOŚĆ

Moi przodkowie byli Szwabami albo też wywodzili się z biednych chłopów Westerwaldu, a niektórzy z nich przybyli ze Śląska i Westfalii. Należeli do wielkiej masy ludzi prowadzących rozgłosu. Jedynym wyjątkiem był graf Friedrich Ferdinand zu Pappenheim (1702-1793), dziedziczący tytuł marszałka Rzeszy (Reichserbmarschall)¹. W nieślubnym związku z moją praprababką nazwiskiem Humelin spłodził ośmiu synów. Wydaje się, że niezbyt troszczył się o dalsze ich losy.

życie bez

Trzy generacje później mój dziadek Hermann Hommel, syn niezamożnego leśniczego ze Schwarzwaldy, był już pod koniec swego życia wyłącznym właścicielem jednego z największych w Niemczech domów handlowych, sprzedających obrabiarki, oraz fabryki narzędzi precyzyjnych. Mimo swego bogactwa żył skromnie, dobrze traktował podległych mu ludzi. Ten marzyciel ze Schwarzwaldy, mogący całymi godzinami bez słowa przesiadywać w lesie na ławce, nie tylko sam był pracowity, ale także potrafił skłonić innych do samodzielnej pracy dla niego.

Mój drugi dziadek, Berthold Speer, stał się w tym czasie zamożnym architektem w Dortmundzie; wznosił liczne budowle w rozpowszechnionym wówczas stylu klasycystycznym. Umarł wprawdzie wcześniej, ale środki, które pozostawił, wystarczyły na wykształcenie jego czterech synów. Karierze moich dziadków sprzyjała industrializacja, rozwijająca się w drugiej połowie XIX stulecia. Ale nie pomogła ona wielu tym, którzy mogli startować w lepszych warunkach. Wcześniej posiwała matka mojego ojca wzbudzała we mnie w okresie dzieciństwa więcej respektu niż miłości. Była poważną kobietą, trzymającą się

prostych poglądów na życie, obdarzoną wytrwałą energią. Dominowała nad swym otoczeniem.

Przyszedłem na świat w niedzielę, 19 marca 1905 roku, o dwunastej w południe, w Mannheimie. Grzmot wiosennej burzy zagłuszał, jak mi często opowiadała matka, bicie dzwonów w pobliskim kościele.

Mój ojciec, po usamodzielnieniu się w wieku dwudziestu dziewięciu lat, w 1892 roku był jednym z najbardziej wziętych architektów Mannheimu, rozkwitającego wówczas badeńskiego miasta przemysłowego. Posiadał już pokaźny majątek, gdy w 1900 roku żenił się z córką zamożnego handlowca z Moguncji.

Wielkomieszczański styl naszego mieszkania w jednej z manheimskich kamienic ojca odpowiadał zamożności i pozycji społecznej moich rodziców. Przy wjeździe otwierały się wielkie żelazne bramy ozdobione kutymi arabeskami: był to imponujący dom, na którego dziedzińcu mogły parkować samochody. Zatrzymywały się przed wejściem na schody, harmonizującym z bogactwem całego domu. Moi dwaj bracia i ja musieliśmy co prawda korzystać z kuchennych schodów. Były one ciemne, strome i wąskie; kończyły się bardzo prozaicznie w tylnej sieni. Elegancka, wyłożona dywanami klatka schodowa nie była przecież dla dzieci.

Nasze dziecięce królestwo rozciągało się w tylnej części domu, od naszych sypialni do dużej jak sala kuchni. Obok przechodziło się do reprezentacyjnej części czternastopokojowego mieszkania. Z przedpokoju, w którym stały meble holenderskie i znajdowała się atrapa kominka, wykonana z drogich kafli z Delft, wprowadzało się gości do dużego pokoju, wyposażonego we francuskie meble i empirowe tkaniny. Do dziś stoją mi przed oczyma błyszczące wieloramienne kryształowe lichtarze i oranżeria, której urządzenie zakupił mój ojciec na Paryskiej Wystawie Światowej w 1900 roku: bogato rzeźbione meble indyjskie, ręcznie haftowane zasłony, otomana nakryta kobiercem, palmy i egzotyczne rośliny - wszystko sprawiało wrażenie tajemniczego, obcego świata. Tu moi rodzice spożywali śniadanie i tutaj mój ojciec przygotowywał dzieciom kanapki z szynką ze swej rodzinnej Westfalii. Wspomnienie sąsiedniego salonu wprawdzie wyblakło, jednak ozdobiona boazerią, neogotycka jadalnia zachowała swój czar. Przy stole mogło zasiąść ponad dwadzieścia osób. W niej to urządzono moje chrzciny i do dziś jeszcze odbywają się nasze uroczystości rodzinne.

Moja matka z wielkim zapalem i mieszczańska dumą dbała o to, abyśmy należeli w Mannheimie do rodzin najbardziej atrakcyjnych w życiu towarzyskim. Z pewnością było w tym mieście dwadzieścia do trzydziestu domów, które mogły sobie na to pozwolić. By sprostać wymogom reprezentacji, utrzymywaliśmy liczną służbę. Moi rodzice, oprócz kucharki, lubianej ze zrozumiałych powodów przez dzieci, zatrudniali pomocnicę kuchenną, pokojówkę, często także kamerdynera, zawsze szofera, oraz nadzorującą nas bonę. Służba żeńska nosiła białe czepki, czarne suknie i białe fartuchy, kamerdyner - fioletową liberię z połączanymi guzikami; najwspanialej prezentował się kierowca.

Rodzice robili wszystko, by zapewnić swym dzieciom piękną i beztruską młodość. Ale spełnieniu tego życzenia przeszkadzało bogactwo, względy reprezentacji, zobowiązania towarzyskie, wielkie gospodarstwo domowe, bona i służba. W dodatku ja często miałem zawroty głowy, czasami traciłem przytomność. Zaproszony na konsultację profesor z Heidelbergu stwierdził niedoczynność naczyń krwionośnych. Ta dolegliwość oznaczała dość poważne obciążenie psychiczne i za młodu narażała mnie na przykrą konfrontację z otoczeniem. Cierpiałem tym bardziej, że moi towarzysze zabaw i moi dwaj bracia byli fizycznie silniejsi, wskutek czego czułem ich wyższość nad sobą. Okazywali mi to nierzadko w sposób złośliwy.

Dolegliwość często wyzwała nowe zdolności. W moim przypadku doprowadziła do tego, że już jako młody chłopiec nauczyłem się zręcznie dostosowywać do otoczenia. To, że później w nie sprzyjających okolicznościach i wobec nieprzychylnych mi ludzi wykazywałem wytrwałość i zręczność, było chyba wynikiem przede wszystkim mojej wcześniejszej słabości fizycznej.

Gdy wychodziliśmy na spacer z naszą francuską wychowawczynią, musieliśmy być, odpowiednio do naszej pozycji społecznej, starannie ubrani. Naturalnie zabraniano nam bawić się w miejskich parkach czy na ulicy. Miejsmem naszych zabaw było więc podwórze niewiele większe niż kilka pokoi razem wziętych, otoczone i ścieśnione tylnymi ścianami wielopiętrowych domów czynszowych. Marniały tam dwa lub trzy złaknione powietrza platany, widniała ściana porośnięta bluszczem, a bryły żuźła w jednym z rogów pozorowały jaskinię. Gruba warstwa sadzy już wiosną pokrywała drzewa, liście i wszystko inne, tak więc dotykając tu czegokolwiek mogliśmy upodobnić się po prostu do nieeleganckich, brudnych, wielkomięjskich dzieci. Moją ulubioną towarzyszką zabaw, zanim poszedłem do szkoły, była córka naszego dozorczy

Allmendingera, Frieda. Chętnie przebywałem u niej, w skromnym ciemnym mieszkaniu na parterze. Atmosfera bezpretensjonalności i solidarność tej rodziny szczególnie mnie pociągały.

Pierwsze nauki pobierałem w ekskluzywnej szkole prywatnej, w której uczono czytać i pisać dzieci najznakomitszych rodzin naszego przemysłowego miasta. Ponieważ dotychczas rozpieszczano mnie, szczególnie ciężko znosiłem pierwsze miesiące w średniej szkole realnej, wśród rozhukanych kolegów. Wkrótce jednak mój przyjaciel Quenzer zaznajomił mnie z różnego rodzaju kawałami, a także namówił, bym ze swego kieszonkowego kupił piłkę futbolową. Plebejski kaprys, który wywołał w domu wielkie zgorszenie, zwłaszcza że Quenzer pochodził z biednej rodziny. W tym czasie zbudziła się we mnie, chyba po raz pierwszy, skłonność do statystycznego ujmowania zdarzeń: wpisywałem wszystkie krytyczne uwagi z dziennika klasowego do swojego „Phonix-kalender fur Schuler” i każdego miesiąca liczyłem, kto był najczęściej odnotowywany. Z pewnością dałbym temu spokój, gdyby nie widoki, że od czasu do czasu sam znajdę się na czele tej tabeli.

Biuro architektoniczne mojego ojca łączyło się z naszym mieszkaniem. Tutaj kreślono wielkie plany dla inwestorów budowlanych; powstawały rysunki wszelkich rodzajów na niebieskawej kalce olejnej, której zapach dziś jeszcze kojarzy mi się ze wspomnieniem tego biura. Projekty budowlane mego ojca ujawniały wpływy neorenesansu, wychodząc poza jugendstil. Później wzorem był dla niego Ludwig Hoffmann, wpływowy architekt berliński, ze swym spokojniejszym klasycyzmem.

W tym biurze powstało, gdy miałem około dwunastu lat, moje pierwsze „dzieło sztuki” - rysunek przedstawiający rodzaj zegara życia w obudowie ozdobionej wieloma esami-floresami, podtrzymywanej korynckimi kolumnami i patetycznymi wolutami. Użyłem przy tym tuszów we wszystkich kolorach, jakie miałem pod ręką. Przy współdziałaniu pracowników biura powstał twór wyraźnie ujawniający skłonność do stylu z epoki późnego empiru.

Oprócz odkrytego samochodu letniego rodzice moi mieli przed 1914 rokiem wóz zamknięty, używany zimą i do jazdy po mieście.auta te były głównym przedmiotem moich marzeń technicznych. Na początku wojny musiano je umieścić na podporach, by oszczędzać opony; jeśli jednak byliśmy w dobrej komitywie z kierowcą, mogliśmy w garażu zasiąść za kierownicą. Były to moje pierwsze upojenia techniką w mini-

malnie jeszcze wtedy stechnicyzowanym świecie. Uczucia podobnego szczęścia doznałem dopiero w więzieniu w Spandau - gdzie przez dwadzieścia lat obywać się musiałem, jak człowiek żyjący, powiedzmy, w XIX stuleciu, bez radia, telewizji, telefonu i samochodu, bez możliwości nawet przekręcenia wyłącznika światła - gdy po dziesięciu latach wolno mi było obsługiwać froterkę elektryczną.

W 1915 roku zetknąłem się z innym wynalazkiem rewolucji technicznej tych lat. Pod Mannheimem stacjonował jeden ze sterowców (zeppelinów), których używano do ataków na Londyn. Dowódca i jego oficerowie byli wkrótce stałymi gośćmi w naszym domu. Zaprosili moich dwóch braci i mnie do zwiedzenia swego statku powietrznego; stanąłem, jako dziesięcioletni chłopiec, przed mechanicznym olbrzymem, wspiąłem się do gondoli silnikowej i tajemniczymi mrocznymi przejściami wewnątrz kadłuba nośnego przedostałem się do gondoli pilotów. Kiedy przed wieczorem statek powietrzny startował, komendant kazał wykonywać nad naszym domem piękną pętlę, a oficerowie powiewali z gondoli lnianą chustą, wypożyczoną od mojej matki. Co noc napelniała mnie strachem możliwość, że statek stanie w płomieniach, a wszyscy przyjaciele zginą?

Moja wyobraźnia żyła wojną, postępami i odwrotami frontu, cierpieniami żołnierzy. Nocą słyszeliśmy niekiedy odległy grzmot wyniszczającej bitwy pod Verdun; przejęty dziecięcym współczuciem spałem często przez kilka nocy obok swego miękkiego łóżka na podłodze, ponieważ wydawało mi się, że twardsze posłanie bardziej odpowiada wyrzeczeniom żołnierzy frontowych.

Złe zaopatrzenie żywnościowe wielkiego miasta i „brukwiana zima” dały się także nam we znaki. Mieliśmy wszelkie bogactwa, ale nie mieliśmy krewnych i znajomych na lepiej zaopatrzonej wsi. Wprawdzie matka potrafiła wymyślać coraz to nowe warianty dań z brukwi, ale często byłem tak głodny, że po kryjomu stopniowo pochłonałem z wielkim apetytem cały worek twardych jak kamień, pochodzących jeszcze z okresu pokojowego, sucharów dla psów. Ataki lotnicze na Mannheim, całkiem niegroźne według dzisiejszych pojęć, były coraz częstsze; mała bomba trafiła jeden z sąsiednich domów; zaczął się nowy rozdział mojej młodości.

W pobliżu Heidelbergu mieliśmy od 1905 roku letni dom, wzniesiony na zboczu kamieniołomów, które służyły budowie położonego w pobliżu zamku heidelberskiego. Za tym terenem ciągnęły się łańcuchy górskie Odenwaldu, wzdłuż ich zboczy biegły wśród starych lasów szlaki turystyczne, a przesieki pozwalały niekiedy dostrzec dolinę

Wkrótce poczułem się zdrowszy. Codziennie, także gdy padał śnieg, deszcz lub była burza, pokonywałem w ciągu trzech kwadransów drogę do szkoły, ostatni odcinek najczęściej biegiem. W pierwszym, trudnym pod względem gospodarczym okresie powojennym nie było bowiem rowerów.

Droga do szkoły prowadziła obok budynku klubu wioślarskiego. W 1919 roku zostałem jego członkiem, dwa lata byłem sternikiem czwórki i ósemki. Mimo swej słabej budowy fizycznej należałem wkrótce do najpilniejszych wioślarzy. Mając szesnaście lat awansowałem na sternika w czwórce i ósemce szkolnej, startowałem w kilku wyścigach. Po raz pierwszy opanowała mnie ambicja. Domagała się ode mnie osiągnięć, do których przedtem nie czułem się zdolny. Była to pierwsza namiętność mojego życia. Możliwość narzucania swego rytmu drużynie pociągała mnie jeszcze silniej niż szansa zdobycia, w niewielkim co prawda świecie wioślarskim, uznania i respektu.

Najczęściej pokonywano nas. Ponieważ jednak chodziło o wyczyn drużynowy, nie decydowały tu uchybienia poszczególnych zawodników. Przeciwnie, rodziło się poczucie wspólnego działania i niepowodzenia. Dobrą stroną treningu było także uroczyste zobowiązanie się do wstrzeźliwości. Pogardzałem wtedy tymi spośród moich kolegów szkolnych, którzy znajdowali pierwsze przyjemności w tańcu, winie i papierosach.

Mając siedemnaście lat poznałem w drodze do szkoły przyszłą towarzyszkę swojego życia. Spotęowało to moją pilność do nauki, ponieważ już w rok później przyrzekliśmy sobie, że gdy skończę studia, pobierzemy się. Od lat byłem dobrym matematykiem, ale teraz poprawiłem stopnie także z innych przedmiotów i stałem się jednym z najlepszych w klasie.

Nasz nauczyciel niemieckiego, żarliwy demokrata, czytał nam często liberalną „Frankfurter Zeitung”. Gdyby nie on, przebywałbym w szkole w zupełnie apolitycznej atmosferze. Wychowywano nas bowiem w duchu konserwatywnego światopoglądu mieszczańskiego. Mimo rewolucji ciągle jeszcze wpajano nam, że podział władzy w społeczeństwie, istnienie tradycyjnych autorytetów to porządek pochodzący od Boga. Prądy, które na początku lat dwudziestych dawały wszędzie znać o sobie, nas w znacznym stopniu ominęły. Tłumiono także krytykę

programu nauki, przełożonych, w ogóle szkoły, żądano bezwzględnej wiary w jej niekwestionowany autorytet; nie ośmielaliśmy się nawet wątpić w istniejący porządek, gdyż w szkole znajdowaliśmy się pod dyktando absolutnego poniekąd systemu władzy. W dodatku nie było wcale takich przedmiotów, jak nauka o społeczeństwie, które mogłyby rozwijać w nas zdolność do ocen politycznych. Na lekcjach niemieckiego, nawet jeszcze w ostatniej klasie, pisaliśmy wypracowania na tematy z historii literatury, co wręcz utrudniało zastanowienie się nad problemami społecznymi. Ta apolityczność procesu dydaktycznego nie pobudzała nas, rzecz jasna, do zajmowania stanowiska wobec wydarzeń politycznych także w rozmowach na dziedzińcu szkolnym czy poza szkołą.

Decydującą różnicą między obecną a ówczesną sytuacją była również niemożność wyjazdu za granicę. Nawet gdyby znalazły się pieniądze na takie podróże, nie było żadnej organizacji, która zajęłaby się w tym wypadku młodzieżą. Uważam za konieczne wskazanie tych braków, które całą generację wydały bezbronną na pastwę szybko wówczas mnożących się technicznych środków kształtowania opinii.

W domu też nie prowadzono żadnych rozmów politycznych. Wydaje się to tym dziwniejsze, że ojciec mój był już przed 1914 rokiem liberałem z przekonania. Każdego przedpołudnia oczekiwał niecierpliwie „Frankfurter Zeitung”, co tydzień czytywał krytyczne czasopisma „Simplicissimus” i „Jugend”. Należał do duchowego kręgu Friedricha Naumanna, który opowiadał się za reformami socjalnymi w potężnych Niemczech. Po roku 1923 ojciec został zwolennikiem Coudenhove-Kalergiego i gorliwie wyznawał jego paneuropejskie idee. Z pewnością chętnie rozmawiałby ze mną o polityce, ale ja raczej unikałem takich okazji, a on nie nalegał. To zobojętnienie polityczne pozostawało wprawdzie w zgodności z postawą młodzieży, zmęczonej i rozczarowanej przegraną wojną, rewolucją i inflacją, ale jednocześnie nie pozwalało mi przyswoić sobie mierników politycznych, kategorii służących ocenie wydarzeń. Bardziej odpowiadało mi wstępowanie po drodze ze szkoły do parku przy zamku heidelberskim, przyglądanie się z Scheffelterrasse, w kilkuminutowym rozmarzeniu, staremu miastu i ruinom zamku. Ten romantyczny pociąg do rozpadających się zamków i krętych zaułków pozostał już we mnie i przejawiał się także później w namiętym zbieraniu pejzaży, szczególnie romantyków heidelberskich. Niekiedy po drodze spotykałem Stefana Georgego, który sprawiał wrażenie nadzwyczaj godnego i dumnego i od którego biło niemal sakralne dostojeństwo. Miał w sobie jakąś magnetyczną siłę; podobne wrażenie sprawiać

musieli wielcy apostołowie. Mój starszy brat był w ósmej klasie, gdy zdobył dostęp do bliskiego otoczenia mistrza.

Najsilniej pociągała mnie muzyka. W Mannheimie słuchałem do 1922 roku młodego Furtwänglera, a potem Ericha Kleibera. Wówczas Verdi robił na mnie większe wrażenie niż Wagner, a Puccini był „straszny”. Zachwyciałem się natomiast jedną z symfonii Rimskiego-Korsakowa, również *V symfonia* Maniera wydawała mi się wprawdzie „dość skomplikowana, ale spodobała mi się”. Po obejrzeniu pewnego spektaklu teatralnego zauważyłem, że Georg Kaiser „jest najwybitniejszym współczesnym dramaturgiem, który w swych dziełach eksponuje pojęcie, wartość i władzę pieniądza”, oglądając zaś *Dziką kaczkę* Ibsena uznałem, że cechy wyższych warstw społecznych śmieszają nas: postacie te są „komediowe”. Romain Rolland swą powieścią *Jan Krzysztof* spotęgował mój entuzjazm dla Beethovena.

Tak więc to nie tylko na skutek przyływu młodzieńczej przekory nie podobało mi się w domu bogate życie towarzyskie. Mój pociąg do autorów krytycznie patrzących na sprawy społeczne, jak również szukanie sobie bliższych kolegów w klubie żeglarskim lub w schroniskach zrzeszenia alpinistów miały całkowicie opozycyjny charakter. Znajomość ze skromną, mieszczańską rodziną rzemieślniczą także wykraczała przeciwko zwyczajowi szukania sobie towarzystwa i przyszłej żony w odizolowanej warstwie społecznej, do której należą rodzice. Żywiłem nawet spontaniczną sympatię do skrajnej lewicy, ale skłonność ta nigdy nie przybrała uchwytnych form. Na jakiegokolwiek zaangażowanie polityczne byłem uodporniony; niczego przy tym nie zmieniał fakt, że miałem poczucie dumy narodowej: na przykład w okresie okupacji Ruhry w 1923 roku oburzały mnie niestosowne w tej sytuacji rozrywki i niepokoiłem się groźbą kryzysu węglowego.

Ku swojemu zdziwieniu napisałem najlepsze wypracowanie maturalne wśród uczniów mojego rocznika. Mimo to, kiedy rektor szkoły w przemówieniu pożegnalnym oświadczył maturzystom, że mają teraz „otwartą drogę do największych czynów i zaszczytów”, pomyślałem sobie: „Nie bardzo możesz na to liczyć”.

Jako najlepszy w szkole matematyk chciałem studiować tę dziedzinę. Ojciec sprzeciwił się mojemu zamiarowi, podając przekonywające powody, a ja nie byłbym matematykiem obeznanym z logiką, gdybym nie ustąpił. Narzucał się zawód architekta, który tak dobrze znałem od wczesnej młodości. Tak więc ku wielkiej radości ojca zdecydowałem się zostać architektem, podobnie jak on i jego ojciec.

roili się tak jak dzisiaj od różnorodnych łodzi; wśród ciszy płynęliśmy rzekami, a wieczorem mogliśmy rozbijać namiot w miejscach o najpiękniejszym krajobrazie. Te spokojne wędrówki dawały nam cząstkę szczęśliwości, która była czymś naturalnym dla naszych przodków. Jeszcze mój ojciec podjął w 1885 roku wędrówkę pieszo i wozem konnym z Monachium do Neapolu i z powrotem. Później, kiedy mógł podróżować swym autem po całej Europie, określał tę właśnie wędrówkę jako najpiękniejsze przeżycie turystyczne.

Wielu z naszej generacji szukało kontaktu z naturą. Chodziło przy tym nie tylko o romantyczny protest przeciw mieszczańskiej ciasnocie - uciekaliśmy także przed wymaganiami komplikującego się świata. Dominowało w nas przeświadczenie, że zachwiana została równowaga otoczenia, a w naturze, wśród gór i dolin rzecznych, odczuwalna była jeszcze harmonia. Im bardziej niedostępne były góry, im bardziej samotne doliny rzek, tym mocniej nas pociągały. Nie należałem oczywiście do żadnej organizacji młodzieżowej, gdyż ich masowa działalność przekreślałaby dążenie do izolacji, a ja czułem raczej potrzebę odosobnienia.

Jesienią 1925 roku wraz z całą grupą monachijskich studentów architektury przenieśliśmy się na politechnikę w Berlinie-Charlottenburgu. Chciałem się dostać do profesora Poelziga, który jednak ograniczył liczbę uczestników swego seminarium, poświęconego projektowaniu. Ponieważ moje uzdolnienia do rysunku okazały się niewystarczające, nie zostałem przyjęty. I tak już miałem wątpliwości, czy kiedykolwiek będę dobrym architektem, dlatego to orzeczenie nie zaskoczyło mnie. W następnym semestrze powołany został do Berlina profesor Heinrich Tessenow, obrońca stylu małomiasteczkowo-rzemieślniczego. Swoje zasady architektoniczne zredukował do granic możliwości: „Minimum nakładów to sprawa decydująca”. Od razu napisałem do swojej przyszłej żony: „Mój profesor jest najwybitniejszym i najświetlejszym człowiekiem, jakiego kiedykolwiek spotkałem. Jestem nim zachwycony i pracuję z wielkim zapałem. Nie jest nowoczesny, ale w pewnym sensie nowocześniejszy niż inni. Z pozoru tak samo jak ja trzeźwy i bez fantazji, ale jego budowle świadczą o głębokim przeżywaniu. Ma straszliwie bystry umysł. Postaram się znaleźć za rok wśród »wychowanków mistrza«, a po upływie następnego roku spróbuję zostać jego asystentem. Naturalnie widzę to wszystko zbyt optymistycznie, ale jest to droga, którą pójdę w najlepszym wypadku”. Już w pół roku po zdaniu egzaminu zostałem jego asystentem. Był on moim pierwszym katalizatorem - w siedem lat później zastąpił go inny, potężniejszy.

Bardzo cenilem także naszego wykładowcę historii architektury. Profesor Daniel Krenker, z pochodzenia Alzatzczyk, był nie tylko zamiłowanym archeologiem, lecz także zaangażowanym emocjonalnie patriotą: kiedy pokazywał na swym wykładzie katedrę w Strasburgu, rozplakał się i musiał przerwać zajęcia. U niego omawiałem książkę Albrechta Haupta *Sztuka budowania u Germanów*. Ale jednocześnie pisałem do przyszłej żony: „Niewielka mieszanina ras jest zawsze dobra. I jeśli dzisiaj tracimy na znaczeniu, to nie dlatego, że jesteśmy rasą mieszaną. Byliśmy nią bowiem już w średniowieczu, kiedy mieliśmy w sobie jeszcze zarodki siły i rozprzestrzenialiśmy się, kiedy wyparliśmy z Prus Słowian, czy później, kiedy przenosiliśmy kulturę europejską do Ameryki. Pozostajemy na uboczu, ponieważ nasze siły zostały zużyte; to samo działo się kiedyś z Egipcjanami, Grekami czy Rzymianami. Niczego tu zmienić nie można”.

Lata dwudzieste w Berlinie były dla mnie źródłem inspiracji w okresie studiów. Liczne przedstawienia teatralne: *Sen nocy letniej* w inscenizacji Maxa Reinhardta, *Święta Joanna* Shawa z Elisabeth Bergner, *Szwejk* z Pallenbergiem i w inscenizacji Piscatora, robiły na mnie wielkie wrażenie. Ale pociągał mnie także rozmach wystawnej rewii Charella. Natomiast wcale nie przypadły mi do gustu bombastyczne parady Cecila B. de Mille'a; nie przeczuwałem jeszcze, że w dziesięć lat później przewyższę tę filmową architekturę. Uważałem wówczas filmy Mille'a za „pozbawione smaku typowo po amerykańsku”.

Jednak wszystkie doznania przytłumiła panująca wokół bieda i bezrobocie. *Upadek Zachodu* Spenglera przekonał mnie, że żyjemy w okresie rozkładu, który wykazuje podobieństwa z epoką późnoromańską: inflacja, rozluźnienie obyczajów, befszał Rzeszy. Esej *Prusactwo i socjalizm* zafascynował mnie swą pogardą dla luksusu i wygody. Tu nauki Spenglera spotykały się z naukami Tessenowa. Jednak mój profesor, w przeciwieństwie do Spenglera, widział nadzieję na przyszłość. W ironicznym tonie występował przeciw „kultowi bohaterów” w tym okresie: „Może są wszędzie wokół nie zrozumiani, rzeczywiście wielcy bohaterowie, którzy ze swej najwyższej woli i mocy mają prawo tolerować i wyśmiewać nawet rzeczy najstraszliwsze jako nieważne zjawisko marginesowe. Może zanim znowu będą mogły rozkwitnąć miasta i rzemiosło, musi najpierw padać coś w rodzaju deszczu siarkowego, może ich przyszły rozkwit wymaga, by narody przeszły przez piekło”.

Latem 1927 roku, po dziewięciu semestrach studiów, zdałem egzamin dyplomowy. Wiosną następnego roku, mając dwadzieścia trzy lata, zostałem jednym z najmłodszych asystentów uczelni. Na jarmarku, zorganizowanym w ostatnim roku wojny, pewna wróżka powiedziała mi: „Wcześniej zdobędziesz sławę i wcześniej przejdiesz w stan spoczynku”. Miałem teraz powód, by pomyśleć o tej przepowiedni, gdyż nie bez podstaw mogłem przypuszczać, że jeśli tylko zechcę, będę kiedyś, jak mój profesor, wykładać na politechnice.

Posada asystenta umożliwiła zawarcie małżeństwa. W podróż poślubną nie wybraliśmy się do Włoch, lecz popłynęliśmy składakami, z namiotem, przez łańcuch jezior meklemburskich, położonych ustronnie wśród lasów. Spuściliśmy nasze składane kajaki na wodę w Spandau, kilkaset metrów od więzienia, w którym miałem spędzić dwadzieścia lat swego życia.

1 Marszałkowie Rzeszy von Pappenheim pełnili nieprzerwanie przez 600 lat, mniej więcej od 1192 roku, funkcję głównych kwatermistrzów armii niemieckiej. Byli ponadto najwyższymi sędziami polowymi oraz odpowiadali za służbę drogową, transport i służbę zdrowia w armii (wg K. B o s l , *Die Reichsministerialitat*, Darmstadt 1967).

2 Wskutek strat w 1917 roku musiano zaniechać używania sterowców do celów wojennych.

Rozdział 2

ZAWÓD I POWOŁANIE

Omaliem nie zostałem już w 1928 roku architektem państwowym i nadwornym. Amanullah Chan, władca Afgańczyków, chciał zreformować swój kraj; w tym celu zabiegał o młodych techników niemieckich. Joseph Brix, profesor zajmujący się budową miast i dróg, skompletował ekipę. Ja zajmowałem się planowaniem budowy miast, pełniłem rolę architekta i byłem wykładowcą architektury w szkole technicznej, którą miano utworzyć w Kabulu. Moja żona studiowała wspólnie ze mną wszystkie osiągalne książki o tym egzotycznym kraju; zastanawialiśmy się, jak w prostych budowlach stworzyć właściwy dla tego kraju styl, a patrząc na dziewicze góry, układaliśmy plany wędrowek narciarskich. Zaproponowane warunki kontraktu były korzystne; ale gdy już wszystko zdawało się być zupełnie pewne - król został właśnie przyjęty z wielkimi honorami przez Hindenburga - Afgańczycy obalili swego władcę w drodze zamachu stanu.

Pocieszyła mnie jednak perspektywa dalszej pracy u Tessenowa. A ponieważ już wcześniej zaczęły wyłaniać się pewne wątpliwości - byłem zadowolony, że upadek Amanullaha uwolnił mnie od konieczności podjęcia decyzji. Seminaria prowadziłem tylko trzy dni w tygodniu; poza tym było pięć miesięcy wakacji. Mimo to otrzymywałem 300 marek; według dzisiejszej wartości pieniądza wynosiło to około 800 DM. Tessenow nie prowadził wykładów, lecz w wielkiej sali seminaryjnej poprawiał prace swych około pięćdziesięciu studentów. Pojawiał się tylko na cztery do sześciu godzin w tygodniu, w pozostałym czasie studenci zdani byli na moje uwagi i korektury.

Szczególnie pierwsze miesiące były bardzo wyczerpujące. Studenci, zrazu nastawieni do mnie krytycznie, próbowali przyłapać mnie na jakimś błędzie lub wykryć jakąś słabość. Dopiero stopniowo

wyżyłem się początkowego onieśmienia. Nie otrzymywałem co prawda zleceń budowlanych, nad którymi miałem nadzieję pracować w wolnym czasie, a pozostawało mi go bardzo dużo. Prawdopodobnie robiłem nie najlepsze wrażenie z powodu zbyt młodego wyglądu, a ponadto wskutek depresji gospodarczej w budownictwie panowała stagnacja. Wyjątkiem było zlecenie na projekt heidelberskiego domu moich teściów. Był to niepozorny budynek, który posłużył za wzorzec dla innych niepozornych obiektów, a mianowicie dwóch przybudówek do garaży przy willach w Wannsee i berlińskiej siedziby Organizacji Wymiany Akademickiej.

W 1930 roku popłynęliśmy dwoma składakami Dunajem od Donaueschingen do Wiednia. Wkrótce po naszym powrocie odbyły się 14 września wybory do Reichstagu, które tylko dlatego pozostały mi w pamięci, że ich wynik wyjątkowo wzburzył mojego ojca. NSDAP wywalczyła 107 mandatów i nagle znalazła się w centrum dyskusji politycznej. Ten nieoczekiwany sukces wyborczy wywołał u ojca najczarniejsze obawy, które obracały się przede wszystkim przeciw socjalistycznym tendencjom NSDAP; i tak już był przecież zaniepokojony siłą socjaldemokratów i komunistów.

Nasza politechnika stała się tymczasem ośrodkiem działalności narodowosocjalistycznej. Podczas gdy mała grupka studentów komunistów z wydziału architektury interesowała się seminarium profesora Poelziga, narodowi socjaliści zbierali się u Tessenowa, chociaż był on i pozostał zdeklarowanym wrogiem ruchu hitlerowskiego. Istniały jednak niezamierzone paralele między jego naukami a ideologią narodowych socjalistów. Na pewno Tessenow był nieświadomy istnienia tych paraleli. Bez wątpienia przeraziłaby go myśl o pokrewieństwie jego poglądów z teoriami narodowosocjalistycznymi.

Tessenow uczył między innymi: „Styl pochodzi od narodu. Miłość do ojczyzny jest sprawą oczywistą. Nie może istnieć prawdziwa kultura międzynarodowa. Prawdziwa kultura pochodzi tylko z macierzystego łona narodu”. Hitler także odżegnywał się od umiędzynarodowienia sztuki, jego zwolennicy widzieli źródła odnowy w ziemi ojczystej, Tessenow potępiał wielkie miasta, przeciwstawiając im wizerunek chłopstwa: „Wielkie miasto jest tworem bezpłodnym. Wielkie miasto jest gmatwaniną starego i nowego. Wielkie miasto jest walką, brutalną walką. Wszystko, co dobre, powinno pozostać poza nim... Jeśli elementy miejskie zetkną się z chłopskimi, chłopstwo ginie. Szkoda, że

nie można już myśleć po chłopsku". Nie inaczej mówił Hitler, który występował przeciw rozkładowi obyczajów w wielkich miastach, ostrzegał przed złymi skutkami cywilizacji, zagrażającymi biologicznej substancji narodu, i podkreślał ważną rolę zdrowego chłopstwa - zasadniczego elementu podtrzymującego państwo.

Hitler intuicyjnie potrafił wyczuć, sformułować i wykorzystać do swoich celów różne nastroje, jakie istniały w tym okresie, częściowo jeszcze rozproszone i nieuchwytnie.

Gdy dokonywałem poprawek, studenci narodowi socjaliści często wciągali mnie do dyskusji politycznych. Naturalnie dyskutowano przy tym namiętnie o poglądach Tessenowa. Nieśmiało zastrzeżenia, jakie zgłaszałem pod wpływem pewnych sformułowań ojca, zbijano z dialektyczną zręcznością.

łatwo

Młodzież studencka szukała wtedy swych ideałów przeważnie u ekstremistów, a partia Hitlera odwoływała się właśnie do idealizmu tej niespokojnej generacji. A czy Tessenow także nie przyczyniał się do pogłębienia łatwowości studentów? W 1931 roku na przykład powiedział: „Będzie chyba musiał pojawić się ktoś myślący całkiem prosto. Myślenie stało się dzisiaj zbyt skomplikowane. Niewykształcony człowiek, powiedzmy chłop, rozwiązałby wszystko znacznie ponieważ on właśnie jest jeszcze nie zepsuty. Miałby także siłę, by urzeczywistnić swe proste myśli". Wydawało nam się, zawałowana uwaga może się odnosić do Hitlera.

łatwiej,

że ta jakby

W tym okresie Hitler wygłaszał w berlińskiej „Hasenheide" przemówienie do studentów Uniwersytetu Berlińskiego i politechniki. Moi studenci namawiali mnie, abym z nimi poszedł. Nie przekonany wprawdzie, ale już niepewny swego stanowiska, zgodziłem się. Brudne ściany, wąskie schody i zaniedbane wnętrza nie sprawiały dobrego wrażenia; odbywały się tu poza tym robotnicze spotkania przy piwie. Sala była przepelniona. Wydawało się, że niemal cała studenteria Berlina chce słuchać i oglądać tego człowieka, któremu jego zwolennicy okazywali tyle podziwu i o którym przeciwnicy mówili tyle złego. Liczni profesorowie siedzieli na uprzywilejowanych miejscach w ozdobionej emporze; właściwie dopiero ich obecność nadawała imprezie rangę. Naszej grupie także udało się zdobyć dobre miejsca w amfiteatrze, niedaleko mównicy.

środku nie

Pojawił się Hitler, witany burzliwie przez swych licznych zwolenników spośród studentów. Już sam entuzjazm zrobił na mnie duże wrażenie. Ale zaskoczył mnie także wygląd tego człowieka. Na plakatach i karykaturach widziałem go w koszuli mundurowej z „koali-

cyjką", z opaską ze swastyką na rękawie, z dziką grzywą na czole. Tu jednak występował w dobrze skrojonym niebieskim garniturze, wyraźnie demonstrując mieszczańską poprawność, co razem stwarzało wrażenie rozsądnego umiarkowania. Później przekonałem się, że potrafił on, świadomie lub intuicyjnie, doskonale dostosować się do otoczenia.

Starął się przerwać trwającą wiele minut owację, jak gdyby się przed nią broniąc. Następnie cichym głosem, z ociąganiem i trochę nieśmiało, rozpoczął nie tyle przemówienie, ile pewnego rodzaju wykład historyczny. Dla mnie było w tym coś ujmującego, zwłaszcza że przeczyło wszystkiemu, czego oczekiwałem pod wpływem propagandy jego przeciwników: spodziewałem się zobaczyć historycznego demagoga, wrzeszczącego i gestykulującego fanatyka w mundurze. Nawet burzliwe oklaski nie zdołały go odwieść od tego profesorskiego tonu.

Wydawało się, że szczerze i otwarcie wyraża swą troskę o przyszłość. Ironię łagodził pełnym pewnością siebie humorem, jego południowoniemiecki urok wprowadzał mnie w nastrój swojskości; nie do pomyślenia było, by ujął mnie chłodny Prusak! Początkowa nieśmiałość Hitlera wkrótce znikła, od czasu do czasu podnosił teraz głos, mówił dobitniej i z sugestywną siłą przekonywania. Wywoływało to znacznie głębsze wrażenie niż sama treść przemówienia, z której niewiele zapamiętałem.

Ponadto udzielił mi się entuzjazm, który z każdym zdaniem zdawał się niemal fizycznie unosić mówcę. Entuzjazm ten rozwiewał sceptyczne zastrzeżenia. Przeciwników nie dopuszczano do głosu. Wskutek tego powstawało, przynajmniej chwilami, złudzenie jednomyślności. Pod koniec wydawało się, że Hitler nie mówi po to, by przekonywać, lecz raczej z przekonaniem wyraża to, czego oczekiwała od niego publiczność zamieniona w jednolitą masę - jak gdyby prowadzenie za sobą studentów i części grona profesorskiego dwóch największych uczelni w Niemczech było najoczywistszą rzeczą na świecie. Przy czym owego wieczoru nie występował on jeszcze jako absolutny władca, chroniony przed wszelką krytyką, lecz był narażony na ataki ze wszystkich stron.

Później omawiano ten podniecający wieczór przy kuflu piwa; oczywiście moi studenci i mnie do tego namawiali. Chciałem jednak jak najprędzej znaleźć się w samotności, by dojść ze sobą do ładu, opanować zamęt myśli. Wzburzony jechałem wśród nocy swym małym samochodem, zatrzymałem się pod sosnowym lasem, charakterystycznym dla krajobrazu nad Hawelą, i odbyłem długą wędrówkę.

W tym, wydawało mi się, jest nadzieja, nowe ideały, nowe spojrzenie, nowe zadania. Ponure przepowiednie Spenglera stawały się teraz nieistotne, choć jednocześnie spełniała się jego wróżba o nadejściu przyszłego imperatora. Niebezpieczeństwo komunizmu, który wydaje się niepowstrzymanie zbliżać do władzy - tak przekonywał nas Hitler - można zlikwidować, i nawet mimo beznadziejnego bezrobocia realne jest osiągnięcie rozkwitu gospodarczego. O problemie wspominał tylko marginesowo. Uwagi te jednak nie raziły mnie, chociaż nie byłem antysemitą, a z czasów szkolnych i studenckich, jak niemal wszyscy, miałem przyjaciół Żydów.

żydowskim

W kilka tygodni po tym przemówieniu, które stało się dla mnie tak ważne, przyjaciele zabrali mnie ze sobą na wiec w pałacu sportowym; przemawiał gauleiter Berlina, Goebbels. Jak inne robił wrażenie niż Hitler: wiele frazesów, dobrze wycelowanych i ostro sformułowanych, szalejący tłum, który popychany był do coraz fanatyczniej szych wybuchów entuzjazmu i nienawiści, piekło namiętności, jakie dotychczas przeżyłem, tylko oglądając nocą sześciodniówkę *. Czułem odrazę, pozytywne wrażenie, jakie wywarł na mnie Hitler, osłabło, choć nie zatarło się.

Pałac sportowy pustoszał, ludzie szli spokojnie wzdłuż Potsdamer Strasse. Umocnieni w swej pewności siebie przemówieniem Goebbelsa, zajmowali wyzywająco całą szerokość jezdni, blokując ruch samochodowy i tramwajowy. Policja początkowo nie reagowała, może nie chciała drażnić tłumy. W bocznych ulicach jednak oczekiwały w pogotowiu oddziały konne i na samochodach ciężarowych. Policjanci dosiedli koni i ruszyli z podniesionymi pałkami gumowymi w tłum, by opróżnić jeźnię. Przyglądałem się wzburzony, dotychczas nie widziałem jeszcze stosowania tego rodzaju przemocy. Jednocześnie poczułem zaangażowanie, które zrodziło się z mieszaniny współczucia i protestu. Z motywami politycznymi nie miało to chyba nic wspólnego. Właściwie nie zdarzyło się nic nadzwyczajnego. Nie było nawet rannych. Jednak któregoś z następnych dni zgłosiłem się do partii i zostałem w styczniu 1931 roku członkiem NSDAP, z numerem legitymacji 474481.

Była to decyzja całkiem pozbawiona dramatyzmu. I wtedy, i przez cały czas późniejszy nie bardzo czułem się członkiem partii politycznej; nie wybrałem NSDAP, lecz stanąłem przy boku Hitlera. Gdy zobaczyłem go po raz pierwszy, zrobił na mnie tak sugestywne wrażenie, że nie opuściło mnie od tamtej pory. Siła przekonywania,

* Sześciodniowe zawody kolarskie (*przyp. tłum.*).

swoista magia jego głosu, który wcale nie był przyjemny, odmienność raczej banalnego zachowania, kusząca prostota, z jaką podchodził do naszych skomplikowanych problemów - wszystko to zamieszało mi w głowie i urzekło mnie. Jego programu prawie wcale nie znałem. Owładnął mną, zanim cokolwiek pojąłem.

Nie zirytowałem się nawet na pewnej imprezie ludowej organizacji Kampfbund Deutscher Kultur*, chociaż potępiano tu wiele z tego, co reprezentował nasz nauczyciel Tessenow. Jeden z mówców żądał powrotu do dawnych form i dawnej interpretacji sztuki, zaatakował modernę i zelżył na koniec zrzeszenie architektów „Der Ring”, do którego poza Tessenowem należeli także Gropius, Mies van der Rohe, Scharoun, Mendelssohn, Taut, Behrens i Poelzig. Ktoś z naszych studentów wysłał potem do Hitlera list, w którym ustosunkowywał się krytycznie do tego przemówienia i z uczniowskim entuzjazmem opisywał naszego podziwianego mistrza. Wkrótce otrzymał na reprezentacyjnym arkuszu odpowiedź centrali partyjnej, utrzymaną w poufałym i szablonowym tonie. W liście zapewniano go o najwyższym szacunku dla działalności Tessenowa. Nam wydawało się, że ma to duże znaczenie. Naturalnie nie mówiłem wtedy nic Tessenowowi o swej przynależności partyjnej¹. W tych chyba właśnie miesiącach moja matka zobaczyła przemarsz SA ulicami Heidelbergu. Widok porządku w okresie chaosu, wrażenie energii w atmosferze powszechnej beznadziejności musiały także ją poruszyć: w każdym razie, nie wysłuchawszy ani jednego przemówienia i nie przeczytawszy żadnego pisma, wstąpiła do partii. Obydwoje traktowaliśmy tę decyzję jako złamanie liberalnej tradycji rodzinnej, ukrywając to wzajemnie przed sobą i przed ojcem. Dopiero po latach, kiedy już od dawna zaliczałem się do bliskiego otoczenia Hitlera, odkryliśmy przypadkiem tę wspólną wczesną przynależność do partii.

* Związek Walki o Niemiecką Kulturę (*przyp. tłum.*).

¹ Po 1933 roku postawiono Tessenowowi wszystkie wysunięte na tym zebraniu zarzuty oraz wytknięto mu powiązania z wydawcą Cassirerem i jego otoczeniem. Tessenow uznany został w związku z tym za podejrzanego i pozbawiony profesury. Udało mi się wprawdzie, dzięki swojej uprzywilejowanej pozycji, wyjednać u narodowosocjalistycznego ministra wychowania przywrócenie mu na Politechnice Berlińskiej katedry, którą utrzymał aż do końca wojny. Po 1945 roku dostąpił wielkich zaszczytów, wybrano go jednym z pierwszych rektorów Uniwersytetu Technicznego w Berlinie. „W latach po 1933 roku stał mi się wkrótce całkiem obcy”, pisał w 1950 roku z Neubrandenburga do mojej żony, ale „Speer był dla mnie zawsze uprzejmym, życzliwym człowiekiem”.

Rozdział 3

NASTAWIENIE ZWROTNIC

Byłoby właściwiej, gdybym opisując tamte lata opowiadał przede wszystkim o swej pracy zawodowej, życiu rodzinnym i swoich skłonnościach. Nowe przeżycia i doświadczenia odgrywały bowiem w moim sposobie myślenia rolę podrzędną. Byłem przede wszystkim architektem.

Jako posiadacz samochodu zostałem członkiem nowo utworzonego przy partii Narodowosocjalistycznego Związku Kierowców (NSKK), a ponieważ była to nowa organizacja, mianowano mnie jednocześnie kierownikiem grupy w dzielnicy Wannsee, miejscu naszego zamieszkania. Wcale jednak nie myślałem początkowo o poważnej działalności partyjnej. Byłem zresztą jedynym w Wannsee, a tym samym w swej grupie członkiem partii, który posiadał samochód, inni zamierzali go zdobyć dopiero w wypadku „rewolucji”, o której marzyli. Tymczasem przeprowadzali rozpoznanie, gdzie na bogatym przedmieściu willowym znajdują się samochody odpowiednie na dzień X.

To moje stanowisko partyjne wymagało niekiedy złożenia wizyty w kierownictwie obwodu zachodniego, któremu przewodził prosty, ale inteligentny i pełen energii młody czeladnik młynarski, Karl Hanke. Właśnie wynajął w eleganckiej dzielnicy Grunewald willę na przyszłą siedzibę swej organizacji obwodowej, bowiem po sukcesie wyborczym z 14 września 1930 roku potężna już partia bardziej dbała o oprawę zewnętrzną. Hanke zaproponował mi, bym urządził willę, naturalnie bez honorarium.

Naradzaliśmy się w sprawie tapet, zasłon i kolorów. Młody kreisleiter wybrał na moją propozycję tapety projektu architektów z Bauhaus, choć zaznaczyłem, że są to tapety „komunistyczne”. Zbył jednak tę uwagę szerokim ruchem ręki: „Bierzemy co najlepsze od

wszystkich, także od komunistów". Potwierdził w ten sposób praktykę, jaką Hitler ze swoim sztabem stosował już od lat: bez zwracania uwagi na ideologię brał wszędzie to, co obiecywało sukces, a nawet kwestie ideologiczne rozstrzygał kierując się oddziaływaniem na wyborcę.

Hall kazałem pomalować jaskrawą czerwień, a pomieszczenia robocze mocnym kolorem żółtym, z którym czerwone zasłony tworzyły ostry kontrast. To wyzwolenie długo tłumionej chęci czynu architektonicznego, którym wyrazić chciałem rewolucyjnego ducha, spotkało się z różnymi ocenami.

Na początku 1932 roku obniżono pensje asystentów - mały wkład na rzecz wyrównania napiętego budżetu pruskiego państwa. Nie było widoków na większe budowle, sytuacja gospodarcza stawała się beznadziejna. Mieliśmy z żoną dosyć trzech lat asystentury; postanowiliśmy więc zrezygnować z posady u Tessenowa i przenieść się do Mannheimu. Prowadzenie administracji domów będących własnością rodziny dawało mi zabezpieczenie finansowe, a jednocześnie chciałem tam rozpocząć poważną pracę architekta, dotychczas bowiem nie odniosłem w niej żadnych sukcesów. Jako „samodzielny architekt” wysłałem zatem niezliczoną ilość pism do pobliskich przedsiębiorstw i przyjaciół mego ojca, z którymi prowadził interesy. Ale, rzecz jasna, na próżno czekałem na znalezienie inwestora, który chciałby spróbować współpracy z dwudziestosześcioletnim architektem. Bowiem nawet dawno osiadli w Mannheimie architekci nie otrzymywali wtedy żadnych zleceń. Próbowałem zwrócić na siebie uwagę biorąc udział w konkursach; nie wyszedłem jednak ponad trzecie nagrody i "wykupy". Przebudowa sklepu w jednej z rodzicielskich kamienic była w tym beznadziejnym okresie moją jedyną akcją na placu budowy.

Życie partyjne było tu bardzo swojskie. Po wyjściu z niespokojnej berlińskiej maszynerii partyjnej, w którą byłem coraz bardziej wciągany, czułem się w Mannheimie jak w klubie kręglarskim. Nie było tu NSKK, więc Berlin przydzielił mnie do zmotoryzowanych oddziałów SS; wtedy sądziłem, że jako członek, ale prawdopodobnie tylko honorowo, gdy bowiem w roku 1942 chciałem wznowić członkostwo, okazało się, że nie należałem do zmotoryzowanych oddziałów SS.

Kiedy zaczęto przygotowania do wyborów, mających się odbyć 31 lipca 1932 roku, pojechaliśmy z żoną do Berlina, by włączyć się w podniecającą atmosferę wyborczą i w miarę możliwości pomóc. Stały bowiem brak perspektyw zawodowych bardzo zintensyfikował moje zainteresowania polityczne - albo to, co tak określałem. Chciałem wnieść swój skład w zwycięstwo wyborcze Hitlera. Miała to być co

prawda tylko kilkudniowa przerwa w podróży, gdyż z Berlina zamierzaliśmy udać się dalej, na dawno już zaplanowaną wędrowkę składakami przez jeziora Warmii i Mazur.

Zameldowałem się z samochodem u szefa NSKK berlińskiego obwodu zachodniego, Willa Nagela, który wykorzystał mnie jako kuriera jeżdżącego do najróżniejszych lokali partyjnych. Kiedy udawałem się przy tym do dzielnic opanowanych przez "czerwonych", czułem się często w najwyższym stopniu nieswojo. W suterrenach, które bardziej przypominały jamy, rozlokowały się oddziały narodowych socjalistów, powadząc tam egzystencję prześladowanych. Nie inaczej było w placówkach komunistycznych na terenie opanowanym przez hitlerowców. Nie mogę zapomnieć niewyspanej, strapionej i wystraszonej twarzy pewnego truppenfuhrera z centrum Moabitu, wtedy jednej z najmniejbezpiecznych dzielnic miasta. Ludzie ci ryzykowali poświęcać zdrowie dla idei, nie wiedząc, że byli wykorzystywani w imię fantastycznych wyobrażeń człowieka żadnego władzy.

życie i

27 lipca 1932 roku Hitler miał przybyć z porannego wiecu w Eberswalde na lotnisko Berlin-Staaken. Przydzielono mi zadanie przewiezienia łącznika ze Staaken do miejsca następnego wiecu, na stadion w Brandenburgii. Trzysilnikowy samolot zatrzymał się na płycie, wysiadł z niego Hitler oraz jego kilkunastu współpracowników i adiutantów. Oprócz nas nie było na lotnisku prawie nikogo. Wprawdzie z respektu zachowywałem odległość, ale widziałem, jak Hitler nerwowo robił wyrzuty jednej z towarzyszących mu osób, ponieważ nie przybyły jeszcze samochody. Zły chodził tam i z powrotem, uderzał pięciami po wysokich cholewach butów i w sumie sprawiał wrażenie człowieka nieopanowanego, ponurego, który pogardliwie traktuje współpracowników.

swych

Bardzo się różnił od Hitlera zachowującego się w sposób spokojny i cywilizowany, jakiego widziałem na zebraniu studentów. Całkowicie sobie tego nie uświadamiając, zetknąłem się wtedy po raz pierwszy z osobliwą wielolicością Hitlera: dzięki wielkiej intuicji właściwej aktorom umiał w miejscach publicznych dostosowywać swe zachowanie do zmiennych sytuacji, wobec najbliższego otoczenia natomiast, służby i adiutantów nie kontrolował siebie.

Nadjechały samochody, wsiałem wraz z łącznikiem do swego terkoczącego, sportowego pojazdu i z maksymalną szybkością pędziłem kilka minut przed kolumną samochodów Hitlera. W Brandenburgii krawężniki w pobliżu stadionu okupowane były przez socjaldemokratów i komunistów, musieliśmy więc - mój towarzysz był w mundurze

były przez

partyjnym - minąć ten rozgniewany łańcuch ludzki. Kiedy kilka minut później nadjechał Hitler ze swą świtą, tłum przemienił się w szalejącą masę, prącą na jezdnię. Samochód musiał się przeciskać w powolnym tempie, a Hitler stał wyprostowany obok kierowcy. Czuję pełny respekt dla jego odwagi, i odczuwam to jeszcze dzisiaj. Widok ten zatarł negatywne wrażenie, jakiego doznałem na lotnisku.

Czekałem ze swym samochodem poza stadionem. Dlatego nie słyszałem przemówienia, lecz tylko wybuchy entuzjazmu, przerywające Hitlerowi na całe minuty. Kiedy hymn partyjny obwieścił zakończenie wiecu, ponownie wyruszyliśmy w drogę. Hitler bowiem przemawiał tego dnia jeszcze po raz trzeci, na Stadionie Berlińskim. Także tutaj panował wokół tłok. Na ulicach stały tysiące ludzi, których nie wpuszczono na stadion. Tłum czekał cierpliwie od kilku godzin, ponieważ Hitler znowu bardzo się spóźniał. Mój meldunek, złożony Hankemu, przybędzie, ogłoszono od razu przez megafony. Rozszalała się burza entuzjazmu - zresztą pierwsza i jedyna, jaką kiedykolwiek sam wywołałem.

że wkrótce

Następny dzień zadecydował o mojej dalszej drodze. Składaki nasze znajdowały się już na dworcu, bilety kolejowe też zostały kupione, termin odjazdu ustalony był na wieczór. Ale w południe otrzymałem telefon. Szef NSKK, Nagel, zakomunikował mi, że Hanke, który awansował na kierownika organizacyjnego okręgu berlińskiego, chciałby się ze mną zobaczyć. Hanke przyjął mnie przyjaźnie. „Wszędzie pana szukałem. Czy chce pan przebudować naszą siedzibę okręgową?” zapytał, gdy wszedłem. „Jeszcze dzisiaj proponuję to doktorowi¹. Bardzo się śpieszymy”.

życiowej.

Kilka godzin później siedziałbym z żoną w pociągu, a nad cichymi jeziorami Warmii i Mazur byłbym przez wiele tygodni nieuchwytny; okręg musiałby poszukać sobie innego architekta. Przez całe lata uważałem ten przypadek za najszcześniejszy w moim Zwrotnice zostały nastawione. Dwadzieścia lat później czytałem w Spandau słowa Jamesa Jeansa: „Bieg pociągu w większości punktów podróży określa jednoznacznie szyny. Ale tu i tam nadchodzi węzeł, gdzie możliwe są różne kierunki jazdy i gdzie pociąg może być wprowadzony na ten albo inny kierunek całkiem minimalnym nakładem energii, jaki potrzebny jest do przestawienia zwrotnic”.

życiu.

Nowa siedziba okręgu położona była przy reprezentacyjnej Voss-Strasse, wśród gmachów przedstawicielstw krajów niemieckich.

Z tylnych okien mogłem oglądać osiemdziesięcioletniego prezydenta Rzeszy, spacerującego po pobliskim parku. Nierzadko towarzyszyli mu politycy i wojskowi. Partia chciała, jak powiedział mi Hanke, już optycznie przesunąć się jak najbliżej centrum sił politycznych i w ten sposób zgłosić swe roszczenia polityczne. Moje zadanie było mniej pretensjonalne: ograniczało się znowu do odnowienia mniejszych prac remontowych. Umeblowanie sali posiedzeń i pokoju gauleitera wypadło stosunkowo prosto, po części wskutek braku środków, po części dlatego, że znajdowałem się jeszcze pod wpływem Tessenowa. Ale prostotę tę naruszały bogate ozdoby z drewna i sztukaterie, pochodzące z okresu wznoszenia budowli. Pracowałem dzień i noc w największym pośpiechu, ponieważ organizacja okręgowa nalegała na jak najszybsze zakończenie robót. Goebbelsa widywałem rzadko. Kampania przed wyborami, które miały się odbyć 6 listopada 1932 roku, pochłaniała go całkowicie. Zmordowany i zupełnie zachrypnięty kilkakrotnie wyraził chęć obejrzenia pomieszczeń, ale nie okazał większego zainteresowania.

ścian i do

Przebudowa została zakończona, kosztorys zdecydowanie przekroczony, wybory przegrane. Ubywało członków, skarbnik załamywał ręce nad wpływającymi rachunkami, rzemieślnikom mógł tylko pokazać pustą kasę, a ci jako członkowie partii musieli zgodzić się na wielomiesięczne odroczenie wypłat, by zapobiec bankructwu.

W kilka dni po ceremonii przekazania budynku do użytku także Hitler odwiedził siedzibę okręgu nazwaną jego imieniem. Usłyszałem, że przebudowa spotkała się z jego uznaniem, co nappełniło mnie dumą, chociaż nie było jasne, czy pochwalił zamierzoną prostotę moich wysiłków architektonicznych, czy też przepych budowli wilhelmińskiej.

Wkrótce potem wróciłem do swego biura w Mannheimie. Wszystko pozostało po staremu: sytuacja gospodarcza, a tym samym widoki na zamówienia budowlane raczej się pogorszyły, stosunki polityczne stawały się coraz bardziej zagmatwane. Kryzys następował po kryzysie, na co już nawet nie zwracaliśmy uwagi. Nic bowiem się nie zmieniało. 30 stycznia 1933 roku przeczytałem o mianowaniu Hitlera kanclerzem Rzeszy, ale to także początkowo było dla mnie bez znaczenia. Niedługo potem uczestniczyłem w zebraniu członków organizacji lokalnej w Mannheimie. Uderzyło mnie, jak mało w partii było ludzi o walorach osobistych i umysłowych. Przy pomocy takich ludzi, pomyślałem, nie można rządzić żadnym państwem. Troska była zbędna. Stary aparat urzędniczy niezmiennie funkcjonował gładko także za Hitlera².

Potem przyszły wybory z 5 marca 1933 roku, a w tydzień później telefonowano do mnie z Berlina. Przy aparacie był kierownik organizacyjny okręgu. Hanke: „Czy chce pan przyjechać do Berlina? Jest tu dla pana robota. Kiedy może pan przybyć?” zapytał. Naoliwiliśmy nasz mały sportowy BMW, spakowaliśmy małą walizkę i nocą wyjechaliśmy do Berlina. Niewyspany stawiłem się rano w budynku okręgu u Hankego. "Pojedzie pan zaraz z doktorem. Chce obejrzeć swoje nowe ministerstwo", powiedział.

Udałem się więc z Goebbelsem do pięknej budowli Schinkla na placu Wilhelma. Kilkaset osób, które tam na coś czekały, może na Hitlera, machało rękami do nowego ministra. Nie tylko tutaj dostrzegałem, że Berlin wypełnił się nowym życiem - ludzie po długim kryzysie wydawali się bardziej ożywieni i pełni nadziei. Wszyscy wiedzieli, że tym razem nie chodziło o jedna ze zwyczajnych zmian gabinetu. Wszyscy jak gdyby czuli, że nadeszła decydująca chwila. Na ulicach stały grupy ludzi, którzy chociaż nie znali się, wymieniali jakieś uwagi, uśmiechali się do siebie lub wyrażali aprobatę dla zachodzących wydarzeń politycznych, gdy tymczasem gdzieś indziej, niepostrzeżenie, aparat bezlitośnie załatwiał porachunki z przeciwnikami z długoletnich walk o władzę, gdy setki tysięcy osób drżały z powodu swego pochodzenia, wyznania, przekonań.

Po zwiedzeniu budynku Goebbels powierzył mi przebudowę gmachu swojego ministerstwa i urządzenie niektórych ważniejszych pomieszczeń, jak jego gabinet i sale posiedzeń. Dał mi wyraźne polecenie, bym niezwłocznie rozpoczął pracę, nie czekając na kosztorys i nie troszcząc się o środki. Było to, jak się później okazało, nieco samowolne, ponieważ dla nowo utworzonego Ministerstwa Propagandy nie sporządzono jeszcze budżetu, nie mówiąc już o nakładach na przebudowę gmachu. Starłem się wykonać zadanie, podporządkowując się skromnie architekturze wewnątrz Schinkla. Goebbels uznał jednak umeblowanie za zbyt mało reprezentacyjne. Po kilku miesiącach zlecił zakładom "Vereinigte Werkstatte" w Monachium ponowne umeblowanie pomieszczeń w stylu "kajutowym".

Hanke zapewnił sobie w ministerstwie wpływowe stanowisko "sekretarza ministra" i sprytnie opanował jego poczekalnię. Zobaczyłem u niego w tamtych dniach plan dekoracji Berlina na czas masowego wiecu, który miał się odbyć na polach Tempelhofu w noc pierwszomajową. Plan obraził zarówno moje rewolucyjne, jak i architektoniczne

uczucia "Wygląda to jak dekoracja na festynie strzeleckim", zauważyłem. „Jeśli może pan zrobić coś lepszego - to jazda”, odpowiedział Hanke.

Tej samej nocy powstał projekt wielkiej trybuny, za którą miały być rozpięte na drewnianych podporach trzy potężne flagi, każda wyższa od dziesięciopiętrowego domu, z tego dwie czarno-biało-czerwone, a środkowa ze swastyką. Ze względu na statyczność było to ryzykowne, gdyż przy silnym wietrze flagi musiały wyglądać jak żagle. Miały być one oświetlone silnymi reflektorami, aby jeszcze mocniej wydobyć efekt wzniesionego punktu centralnego, znajdującego się jakby na scenie. Projekt został natychmiast przyjęty i znowu byłem o jeden etap dalej.

Pelen dumy pokazałem ukończone dzieło Tessenowowi. On jednak trzymał się całkowicie rzemieślniczej solidności: „Sądzi pan, że pan tu coś stworzył? Robi wrażenie, to wszystko”. Hitler natomiast, jak opowiadał mi Hanke, był zachwycony planem - Goebbels co prawda sobie przypisał sukces.

Kilka tygodni później Goebbels wprowadził się do służbowego mieszkania ministra wyżywienia. Objął je w posiadanie nie bez użycia pewnej siły, gdyż Hugenberg żądał, by jemu jako niemieckiemu, narodowemu ministrowi wyżywienia, pozostawiono mieszkanie do dyspozycji. Ale wkrótce spór został rozstrzygnięty - Hugenberg już 26 czerwca ustąpił z rządu.

Powierzono mi nie tylko urządzenie mieszkania ministra, lecz także dobudowanie dużego hallu. Trochę lekkomyślnie obiecałem przekazać do użytku dom i hall za dwa miesiące. Hitler nie wierzył w dotrzymanie tego terminu, a Goebbels, by mnie zdopingować, powiedział mi o tym. Kazałem ludziom pracować dzień i noc na trzy zmiany, roboty na przeróżnych odcinkach budowy były ze sobą skoordynowane do najdrobniejszych szczegółów, w ostatnich dniach uruchomiłem wielkie urządzenie do suszenia i w ten sposób budynek, umeblowany, oddałem punktualnie w obiecany terminie.

By ozdobić mieszkanie Goebbelsa, pożyczyłem kilka akwarel Noldego od Eberharda Hanfstaengla, dyrektora Berlińskiej Galerii Narodowej. Goebbels i jego żona entuzjasmowali się nimi, dopóki Hitler nie przyszedł obejrzeć domu. Skrytykował je bowiem jak najostrzej, a minister natychmiast wezwał mnie do siebie: „Te obrazy trzeba zaraz usunąć, są po prostu niemożliwe”.

W tych pierwszych miesiącach po przejęciu rządów przez Hitlera miały jeszcze szansę rozwoju przynajmniej pewne kierunki

nowoczesnego malarstwa, które potem, w 1937 roku, także napiętnowano jako „zdegenerowane”. Departamentem sztuk plastycznych w Ministerstwie Propagandy kierował wówczas Hans Weidemann, stary członek partii z Essen, posiadający złotą odznakę partyjną. Nie wiedząc o epizodzie z akwarelami Noldego, zebrał dla Goebbelsa liczne obrazy, mniej więcej w stylu Noldego i Muncha, i polecił je ministrowi jako wyraz rewolucyjnej, narodowej sztuki. Goebbels, mający nauczkę, kazał niezwłocznie usunąć kompromitujące dzieła. Kiedy następnie Weidemann ociągał się z przyłączeniem do generalnego potępienia kierunku nowoczesnego, przydzielono mu w niedługim czasie podrzędne stanowisko w ministerstwie. Niesamowicie oddziaływało wówczas na mnie to kojarzenie władzy i uległości, koszarne było również, że Hitler zyskał bezwzględny autorytet wśród swoich długoletnich, najbliższych współpracowników nawet w sprawach gustu. Goebbels wykazywał całkowitą zależność od Hitlera. Wszyscy zresztą robiliśmy to samo. Także ja, zorientowany w nowoczesnej sztuce, milcząco przyjmowałem decyzje Hitlera.

Ledwie uporałem się ze zleceniem Goebbelsa, gdy zadzwoniono do mnie, w lipcu 1933 roku, z Norymbergi. Przygotowywano tam pierwszy zjazd rządzącej obecnie partii. Zdobyć przez nią władzę miało znaleźć wyraz już w architekturze kulis, miejscowy architekt nie potrafił jednak przedstawić zadowalającego projektu. Ściągnięto mnie do Norymbergi samolotem, sporządziłem szkice. Niezbyt pomysłowe, przypominające konstrukcję z 1 maja, z tą tylko różnicą, że jako ukoronowanie dekoracji na Zeppelinfeld przewidziałem zamiast przypominającej żagiel flagi, olbrzymiego orła o ponad trzydziestometrowej rozpiętości skrzydeł, którego przymocowałem do kratownicy jak motyla w gablocie.

Kierownik organizacyjny w Norymberdze nie ważył się sam zdecydować o projekcie, wysłał mnie więc do centrali w Monachium. Dostałem pismo rekomendujące, ponieważ poza Berlinem ciągle jeszcze byłem zupełnie nie znany. W „brunatnym domu” traktowano widocznie architekturę, albo ściślej mówiąc odświętne dekoracje, jako rzecz wyjątkowo ważną. Już po kilku minutach stałem ze swym blokiem rysunkowym przed Hessem, w luksusowo urządzonego pokoju. Nie pozwolił mi dojść do słowa: „Coś takiego może rozstrzygnąć tylko sam fuhrer”. Następnie po krótkiej rozmowie przez telefon oznajmił mi: „Fuhrer jest w swoim mieszkaniu, każe pana podwieźć”. Wtedy po raz pierwszy uzmysłowiłem sobie, co znaczyło dla Hitlera czarodziejskie słowo „architektura”.

Zatrzymaliśmy się przed kilkupiętrowym domem czynszowym w pobliżu teatru „Prinzregent”. Mieszkanie Hitlera mieściło się na drugim piętrze. Wpuszczono mnie najpierw do przedpokoju, zapelnionego pamiątkami czy też upominkami o niewysokim poziomie artystycznym. Także umeblowanie świadczyło o złym smaku. Przyszedł adiutant, otworzył drzwi, powiedział bez większych ceremonii: „Proszę”, i stanąłem przed Hitlerem, potężnym kanclerzem Rzeszy. Przed nim na biurku leżał rozłożony pistolet, którego czyszczeniem prawdopodobnie się zajmował. „Niech pan położy tutaj swe rysunki”, powiedział krótko. Nie patrząc na mnie, odsunął na bok części pistoletu i oglądał z zainteresowaniem, ale bez słowa mój projekt. „Zgoda”. Nic więcej. Ponieważ znowu zajął się swym pistoletem, zmieszany wyszedłem z pokoju.

W Norymberdze słuchano ze zdumieniem, gdy opowiadałem, że Hitler osobiście apróbował projekt. Gdyby tamtejsi organizatorzy wiedzieli, z jaką siłą oddziaływały na Hitlera plany budowlane, to do Monachium pojechałaby wielka delegacja, a mnie pozwolono by w najlepszym razie znaleźć się na samym jej końcu. Zamiłowanie fuhrera nie było jeszcze wtedy powszechnie znane.

Jesienią 1933 roku Hitler polecił swemu monachijskiemu architektowi Paulowi Ludwigowi Troostowi, który urządził wewnątrz transatlantyku „Europa” i przebudował „brunatny dom”, aby nadał teraz zupełnie nowy wygląd siedzibie kanclerza Rzeszy w Berlinie i umeblował ją. Prace miały być zakończone możliwie szybko. Kierownik budowy, przysłany przez Troosta, pochodził z Monachium i wobec tego nie miał rozeznania wśród berlińskich firm, nie orientował się w panujących tu zwyczajach budowlanych. Hitler przypomniał sobie naraz, że pewien młody architekt w nieoczekiwanie krótkim czasie dokonał przebudowy mieszkania Goebbelsa. Zdecydował, że mam

Współpraca ta zapoczątkowana została wnikliwą lustracją siedziby kanclerza Rzeszy przez Hitlera, jego kierownika budowy i przeze mnie. W sześć lat później, wiosną 1939 roku, pisał Hitler w artykule o dawnym stanie tego mieszkania: „Po rewolucji w 1918 roku dom ulegał stopniowo ruinie. Nie tylko przegniłe były w znacznej części wiązania dachowe, lecz także podłogi całkowicie zmurszały... Ponieważ

moi poprzednicy na ogół mogli spodziewać się, że będą sprawować urząd trzy czy pięć miesięcy, nie widzieli ani powodu do tego, by uprzątać brud po tych, co mieszkali przed nimi, ani powodu do troski, by ich następcą miał lepiej niż oni sami. Zobowiązań reprezentacyjnych wobec zagranicy nie mieli, ponieważ tam i tak nie zwracano na nich uwagi. Tak więc budynek znajdował się w stanie zupełnego upadku, sufity i stropy spróchniały, tapety i podłogi przegniły, całość wypełniona nieznośnym niemal zapachem".

Była to na pewno przesada, niemniej jednak trudno uwierzyć, w jakim stanie znajdowały się pomieszczenia mieszkalne. Kuchnia była prawie bez światła, a paleniska bardzo przestarzałe technicznie. Dom miał tylko jedną jedyną łazienkę, której urządzenie pochodziło w dodatku z przełomu XIX i XX stulecia. Dawało się również zauważyć liczne oznaki złego smaku: drzwi, których lakier imitował surowe drzewo, i marmurowe kwietniki, które były w rzeczywistości tylko blaszanymi pudłami wyłożonymi marmurem. Hitler triumfował: „Widzicie tu cały upadek moralny starej republiki. Nawet domu kanclerza Rzeszy nie można pokazać cudzoziemcowi, czułbym się zażenowany, gdybym miał tu przyjmować choćby jedną wizytę".

W czasie tego gruntownego obchodu, który trwał chyba ze trzy godziny, dotarliśmy także na strych. Zarządca domu wyjaśnił: „To są drzwi do następnego domu. Strychami prowadzi stąd połączenie przez ministerstwa aż do hotelu »Adlon«. W czasie zamieszek na początku Republiki Weimarskiej okazało się, że kanclerz Rzeszy może w swym mieszkaniu zostać odcięty od świata przez powstańców. To przejście ma umożliwić odwrót w każdej chwili". Hitler kazał otworzyć drzwi i rzeczywiście znaleźliśmy się w leżącym obok gmachu Ministerstwa Spraw Zagranicznych. „Drzwi mają być zamurowane. My nie potrzebujemy czegoś takiego", oświadczył.

Po rozpoczęciu robót Hitler prawie każdego dnia koło południa zjawiał się na budowie w towarzystwie adiutanta, oglądał postępy prac i cieszył się z powstających pomieszczeń. Wkrótce liczni robotnicy budowlani witali go przyjaźnie i w sposób bezpośredni. Mimo obecności dwóch esesmanów w cywilu, którzy stali z tyłu, by nie zwracać uwagi, miało to wszystko w sobie coś z idylli. Widać było po Hitlerze, że na budowie czuje się jak w domu. Unikał przy tym wszelkiego taniego zabiegania o popularność.

Wraz z kierownikiem budowy towarzyszyłem mu w tych spacerach. Niezbyt przyjaznym tonem zadawał nam zwięzłe pytania: "Kiedy to pomieszczenie zostało otynkowane? Kiedy wstawi się okna?"

Czy szczegółowe rysunki nadeszły już z Monachium? Jeszcze nie? Sam zapytam o nie profesora", tak miał zwyczaj nazywać Troosta. Przy zwiedzaniu nowego pomieszczenia rzucał krótkie uwagi: "Tutaj jest już jednak tynk. Wczoraj jeszcze nie było. Ten profil sufitu jest bardzo ładny. Takie rzeczy profesor robi cudownie. Jak uważacie, kiedy będziecie gotowi? Śpieszy mi się bardzo. Mam teraz tylko małe mieszkanie sekretarza stanu, znajdujące się na poddaszu. Nie mogę tam nikogo zaprosić. Śmieszne, jak oszczędna była republika. Czy obejrzełście wejście? A windę? Każdy dom towarowy ma lepsza". Winda rzeczywiście zacięła się co pewien czas i mieściła tylko trzy osoby.

A więc tak ukazywał siebie Hitler. Łatwo sobie wyobrazić, że ta naturalność robiła na mnie wrażenie; bądź co bądź był on nie tylko kanclerzem Rzeszy, lecz także człowiekiem, dzięki któremu wszystko w Niemczech zaczynało odżywać, człowiekiem, który bezrobotnym dał pracę i nakreślił szerokie perspektywy gospodarcze. Dopiero znacznie później, przypominając sobie drobne szczegóły, zacząłem pojmować, że niemałą rolę odgrywało w tym propagandowe wyrachowanie.

Towarzyszyłem mu chyba już ze dwadzieścia, a może trzydzieści razy. kiedy zaprosił mnie w czasie obchodu: „Czy przyjdzie pan dzisiaj do mnie na przyjęcie?" Naturalnie byłem szczęśliwy z powodu tak nieoczekiwanego, bardziej osobistego gestu, zwłaszcza że nigdy na to nie liczyłem z uwagi na jego bezosobowy styl bycia.

Chociaż często krążyłem po placach budowy, to właśnie tego dnia spadła mi na ubranie z rusztowania kielnia tynku. Musiałem zrobić dość nieszczęśliwą minę. gdyż Hitler powiedział: „Niech no pan idzie, na górze doprowadzimy to do porządku".

W mieszkaniu czekali goście, wśród nich Goebbels, wielce zdziwiony moim pojawieniem się w tym gronie. Hitler zabrał mnie ze sobą do swych pomieszczeń prywatnych i kazał kamerdynerowi przynieść swoją ciemnoniebieską marynarkę. „No, niech pan to włoży na razie". Potem wszedłem za Hitlerem do jadalni i siedziałem obok niego, wyróżniony spośród wszystkich gości. Najwidoczniej przypadłem mu do gustu. Goebbels natychmiast zauważył to, co wskutek zdenerwowania całkowicie uszło mojej uwadze. „Pan ma odznakę fuhrera!³To przecież nie pana marynarka?" „Bo to moja", odpowiedział za mnie Hitler.

Na tym przyjęciu po raz pierwszy zapytał mnie kilka razy o sprawy osobiste. Dopiero teraz zorientował się, że to ja zaprojektowałem dekoracje na 1 maja. „Aha, i Norymberga, to też pan zrobił? Przecież był wtedy u mnie z planami jakiś architekt! Słusznie, to był

pan!... Nigdy bym nie pomyślał, że skończy pan w terminie budowę u Goebbelsa". O moją przynależność do partii nie pytał. W odniesieniu do artystów było to dla niego, jak mi się wydawało, dość obojętne.

Zamiast tego chciał usłyszeć możliwie dużo o moim pochodzeniu, mojej karierze architekta, o budowlach mojego ojca i dziadka.

W późniejszych latach Hitler wspomniał o tym zaproszeniu: „W czasie obchodu wpadł mi pan w oko. Szukałem architekta, któremu mógłbym kiedyś powierzyć swoje plany budowlane. Miał on być młody, gdyż, jak pan wie, plany te wybiegają daleko w przyszłość. Potrzebuję kogoś, kto także po mojej śmierci działać będzie nadal, korzystając z nadanego mu przeze mnie autorytetu. Kogoś takiego zobaczyłem w panu".

Po latach daremnych starań byłem przepelniony pasją działania, a miałem dwadzieścia osiem lat. Za wielką budowę sprzedałbym jak Faust własną duszę. Teraz znalazłem swego Mefistofelesa. Wydawał się nie mniej ujmujący niż Mefistofeles Goethego.

1 W kołach partyjnych powszechnie nazywano tak Goebbelsa. W NSDAP nie było przecież wtedy zbyt wielu doktorów.

2 Szczególnie w pierwszych latach przysparzały Hitlerowi sukcesów organizacje, które przejął. W administracji nadal pracowali starzy urzędnicy: dowódcy Hitlera wywodzili się z elity armii cesarskiej i Reichswehry; we Froncie Pracy praktyczną działalność prowadzili częściowo dawni działacze związkowi, a kierownicy mojej późniejszej samodzielnej administracji przemysłu, przy których współpracy mogłem od 1942 roku zadziwiająco rozwijać zbrojenia, zdobyli rutynę jeszcze przed rokiem 1933. Jest chyba charakterystyczne, że przez związanie tych starych, wypróbowanych struktur organizacyjnych i ich wybranych pracowników z nowym systemem Hitlera osiągnięto wielkie sukcesy. Z pewnością jednak byłaby to tylko faza przejściowa. Najpóźniej w następnej generacji na miejsce tej starej kadry kierowniczej weszliby ludzie wychowani według nowych zasad w „szkołach Adolfa Hitlera" i "ordensburgach" i uchodzący niekiedy nawet w kołach partyjnych za zbyt bezwzględnych i aroganckich.

3 Hitler jako jedyny członek partii nosił w marynarce złotą „odznakę władzy"; był na niej orzeł ze swastyką w szponach. Wszyscy pozostali nosili okrągłą odznakę partyjną. Jego marynarka nie różniła się naturalnie od innych ubrań cywilnych.

Rozdział 4

MÓJ KATALIZATOR

Byłem z natury pracowity, ale zawsze potrzebowałem jakiegoś szczególnego bodźca, by zmobilizować energię i wykazać nowe zdolności. Teraz znalazłem katalizator; potężniejszego i silniej działającego znaleźć nie mogłem. Żądano ode mnie wszystkich moich sił w stale rosnącym tempie i coraz to zwiększając wymagania.

W ten sposób wyrzekłem się właściwego ośrodka mojego życia: rodziny. Przyciągany i dopingowany przez Hitlera, któremu całkowicie się poddałem, nie ja miałem pracę, lecz praca odtąd miała mnie. Hitler umiał pobudzać swoich współpracowników do największych wysiłków. „Człowiek rośnie, stawiając sobie wyższe cele”, mówił.

W ciągu dwudziestu lat, które spędziłem w więzieniu w Spandau, często zadawałem sobie pytanie, co bym zrobił, gdybym poznał prawdziwe oblicze Hitlera oraz istotę stworzonego przezeń władztwa. Odpowiedź była banalna i deprymująca zarazem: stanowisko architekta Hitlera stało się dla mnie wkrótce nieodzowne. Nie mając jeszcze nawet trzydziestu lat, dostrzegałem przed sobą najbardziej podniecające perspektywy, jakie może sobie wymarzyć architekt.

Ponadto moja pasja pracy spychała na dalszy plan problemy, które powinny były mi się nasunąć. Codzienny pośpiech pokrywał czasem bezradność. Spisując te wspomnienia byłem coraz bardziej zdziwiony, a później wręcz przerażony tym, że do roku 1944 tak rzadko, a właściwie wcale nie znajdowałem czasu, by zastanowić się nad sobą, nad swym działaniem, że nigdy nie myślałem refleksyjnie o własnym życiu. Dzisiaj, w retrospekcji, mam nieraz uczucie, że wtedy coś oderwało mnie od ziemi, uwolniło od wszelkich powiązań i poddało wielu obcym siłom.

Spoglądając w przeszłość, trapię się niemal najwięcej tym, że w owym czasie chwilowy niepokój budziła we mnie przede wszystkim droga, którą obrałem jako architekt - odchodząc od nauk Tessenowa. Natomiast musiałem widocznie uważać, że nic mnie osobiście nie obchodzi wiadomości o traktowaniu Żydów, masonów, socjaldemokratów czy świadków Jehowy z mojego otoczenia, jak zwierzyny, na którą wolno bezkarnie polować. Sądziłem, że wystarczy, jeśli sam nie biorę w tym udziału.

Szeregowego członka partii hitlerowskiej wychowywano w przekonaniu, że wielka polityka jest na pewno zbyt skomplikowana, by mógł ją oceniać. W związku z tym czuł się on stale odpowiedzialny, chociaż nigdy osobiście nie był do tej odpowiedzialności powołany. Cała struktura systemu zmierzała do tego, aby w ogóle nie dopuszczać do rodzenia się konfliktów sumienia. Pociągało to za sobą całkowitą jałowość wszystkich rozmów i dyskusji prowadzonych w gronie ludzi jednakowo myślących. Nie było interesujące wzajemne potwierdzanie sobie zuniformizowanych poglądów.

Jeszcze gorsze było wyraźne żądanie ograniczania odpowiedzialności tylko do własnej dziedziny. Żyło się w swojej grupie, na przykład wśród architektów, lekarzy, prawników, techników, wojskowych czy chłopów. Organizacje zawodowe, do których przymusowo należał każdy, nazywano izbami (izba lekarska, izba artystów), a określenie to trafnie definiowało rozgraniczenie poszczególnych sfer życia, jakby murem oddzielonych od siebie. Im dłużej panował system hitlerowski, tym bardziej poglądy kształtowały się w tych poszczególnych izbach. Jeśliby styl ten trwał przez kilka generacji, to jak sądzę, tylko wskutek tego system uległby erozji, ponieważ doszliśmy do czegoś w rodzaju „kastowości”. Zaskakiwała mnie zawsze sprzeczność tej praktyki z hasłem „wspólnoty narodu”, proklamowanym w 1933 roku; integracja bowiem, do jakiej miano dążyć, została w ten sposób zanegowana i wręcz uniemożliwiona. W końcu była to wspólnota izolowanych jednostek. Inaczej, niż mogłoby to brzmieć dzisiaj, twierdzenie, że ponad wszystkim „myśli i kieruje fuhrer”, nie było dla nas przecież pustą formułą propagandową.

Podatność na takie zjawiska wszczepiano nam już od młodości. Nasze zasady ukształtowane zostały jeszcze przez autorytatywne państwo i to w czasie, gdy warunki wojenne znacznie zaostrzyły obowiązek podporządkowania się władzy. Być może w wyniku tych doświadczeń

został nam, podobnie jak żołnierzom, wpojony sposób myślenia. z którym zetknęliśmy się ponownie w systemie hitlerowskim. Surowy porządek mieliśmy w krwi; liberalizm Republiki Weimarskiej wydawał nam się w porównaniu z tym rozwiązły, wątpliwy i w żadnym wypadku niepożądany.

Abym w każdej chwili mógł być u swego inwestora, wynająłem na biuro pracownię malarską na Behrenstrasse. kilkaset metrów od Kancelarii Rzeszy. Moi pracownicy, bez wyjątku młodzi ludzie, harowali od rana do późnej nocy kosztem swojego życia prywatnego, zamiast obiadu zjadało się zwykle parę kanapek. Dopiero około dziesiątej wieczorem wyczerpani kończyliśmy dzień pracy posiłkiem w pobliskiej „Pfalzer Weinstube”, gdzie następnie jeszcze raz omawialiśmy prace z danego dnia.

Na wielkie zamówienia musiałem co prawda jeszcze czekać. Nadal otrzymywałem od Hitlera pilne roboty dorywcze, gdyż widocznie za mój największy talent uważał umiejętność szybkiego realizowania zleceń. Gabinet dotychczasowego kanclerza Rzeszy, znajdujący się na pierwszym piętrze budynku biurowego, miał trzy okna od strony placu Wilhelma. W pierwszych miesiącach 1933 roku raz po raz gromadził się tutaj tłum domagający się skandowania ukazania się „fuhrera”. Wskutek tego pokój stał się nieprzydatny do pracy; Hitler i tak go zresztą nie chciał: „O wiele za mały! Te sześćdziesiąt metrów wystarcza akurat dla jednego z moich pracowników. Gdzie mam usiąść dajmy na to z oficjalnym gościem zagranicznym? Może w tym małym kącie? A to biurko ma format akurat odpowiedni dla dyrektora mego gabinetu”.

Hitler polecił mi urządzić jedną z sal leżącą od strony ogrodu, jako nowy gabinet do pracy. Przez pięć lat zadowalał się tym pomieszczeniem, które uważał co prawda za prowizorium. Ale także swój pokój do pracy w nowo zbudowanej w 1938 roku Kancelarii Rzeszy traktował już wkrótce jako nieodpowiedni. Według jego danych i moich planów miała powstać do 1950 roku ostateczna siedziba Kancelarii Rzeszy: dla Hitlera i jego następców przyszłych stuleci przewidziany był olbrzymi gabinet, mający 960 metrów kwadratowych, a więc szesnastokrotnie większy niż gabinet jego poprzedników. Do tej hali, po uzyskaniu akceptacji Hitlera, miałem dołączyć jeszcze prywatny pokój do pracy, który liczył około 60 metrów kwadratowych.

Starego gabinetu nie wolno było w przyszłości używać, stąd bowiem chciał wychodzić nie kępowany przez nikogo na nowy

"historyczny balkon", który dobudowałem w wielkim pośpiechu, by mógł się tam ukazywać zebranym tłumom. „Okno było niezbyt wygodne”, powiedział do mnie zadowolony, „nie byłbym widziany ze wszystkich stron. W końcu nie mogę się przecież wychylać”. Architekt pierwszego gmachu Kancelarii Rzeszy, profesor Eduard Jobst Siedler z Politechniki Berlińskiej, zaprotestował przeciw temu zabiegowi, a Lammers, szef Kancelarii Rzeszy, potwierdził, że nasze postępowanie narusza prawo autorskie. Hitler szyderczo odrzucił zarzut: „Siedler zezwolił cały plac Wilhelma. Wygląda to przecież jak budynek administracyjny koncernu mydlarskiego, a nie jak centrum Rzeszy. Co on sobie myśli! Że zbuduje mi jeszcze także balkon?!” Jednak zgodził się, by dać profesorowi jakieś zamówienie budowlane jako rekompensatę.

W kilka miesięcy później miałem postawić baraki dla robotników, którzy dopiero co zaczęli budowę autostrady. Hitler zakwestionował dotychczasowe kwatery i chciał, żebym zaprojektował taki typ, który można by stosować we wszystkich osiedlach barakowych. Dzięki przyzwoitym pomieszczeniom kuchennym, kąpielowym i natryskowym, pomieszczeniom dziennym i dwułożkowym kabinom nowy typ niewątpliwie odróżniał się korzystnie od kwater dotychczas stosowanych na budowach. Hitler troszczył się aż do najdrobniejszych szczegółów o tę wzorcową konstrukcję i kazał mi zdać relację, jak nowe kwatery oddziałują na robotników. Tak wyobrażałem sobie przywódcę narodo-wosocjalistycznego.

Zanim zakończono przebudowę siedziby kanclerskiej, Hitler mieszkał u swego sekretarza stanu, Lammersa, na najwyższym piętrze budynku służbowego. Bywałem tam często u niego na obiadach i kolacjach. Wieczorami zjawiała się przeważnie jego stała asysta: długoletni kierowca Schreck, dowódca gwardii przybocznej SS Sepp Dietrich, szef prasowy doktor Dietrich, obydwaj adiutanci, Bruckner i Schaub, oraz Heinrich Hofmann, fotograf Hitlera. Przy stole starczało miejsca dla nie więcej niż dziesięciu osób, był więc prawie zajęty. Na obiad natomiast przychodzili głównie starzy monachijscy współbojownicy, jak Amann, Schwarz i Esser lub gauleiter Wagner, często także Werlin, kierownik monachijskiej filii Daimlera-Benz a i dostawca samochodów dla Hitlera. Ministrowie przychodzili raczej rzadko; równie nieczęsto widywałem Himmlera, jak Rohma lub Streichera, za to prawie zawsze Goebbelsa i Goringa. Wyłączeni byli już wtedy z otoczenia kanclerza Rzeszy wszyscy urzędnicy. Uwagę na przykład zwracał fakt, że nawet Lammers, będący gospodarzem, nie był nigdy zapraszany; na pewno istniał ku temu powód.

kowymi, jakie ja wówczas lubiłem, na przykład z Busterem Keatonem lub nawet Charliem Chaplinem. Produkcja niemiecka zdecydowanie nie wystarczała, by codziennie dostarczać dwa nowe filmy. Dlatego wiele wyświetlano dwukrotnie i jeszcze częściej: charakterystyczne było, że nie powtarzano filmów o tragicznej akcji, często natomiast kostiumowe i z ulubionymi aktorami Hitlera. Ten repertuar i zwyczaj oglądania co wieczór jednego lub dwóch filmów zachował on aż do rozpoczęcia wojny.

Na jednym z obiadów, zimą 1933 roku, siedząc obok Goringa, dosłyszałem w pewnym momencie: „Czy Speer urządza pańskie mieszkanie, mein fuhrer? Jest pańskim architektem?” Nie byłem nim wprawdzie, ale Hitler odpowiedział twierdząco. „W takim razie niech pan pozwoli, żeby przebudował także moje mieszkanie”. Hitler wyraził zgodę, a Goring, nie pytając długo o moje upodobania, wsadził mnie po przyjęciu do wielkiego kabrioletu, by przetransportować do swego domu, niczym cenny łup. Wyszukał sobie dawną siedzibę służbową pruskiego ministra handlu, położoną w jednym z ogrodów znajdujących się za Leipziger Platz. pałac sprzed 1914 roku, zbudowany przez państwo pruskie dużym nakładem kosztów.

Według informacji samego Goringa dom ten zaledwie przed kilku miesiącami został gruntownie przebudowany na koszt państwa. Hitler zwiedził go i ocenił nieprzychylnie: „Ciemno! Jak można mieszkać w takich ciemnościach! Niech pan porówna z tym prace mojego profesora. Wszystko jasne, przejrzyste i proste!” Ujrzałem rzeczywiście romantyczną płataninę małych pomieszczeń o ponurych oknach i ciężkich aksamitnych tapetach, wyposażonych w ciężkie meble renesansowe. Sala stanowiąca rodzaj kaplicy ozdobiona była swastyką, również w pozostałych pomieszczeniach symbol ten umieszczono na sufitach, ścianach i podłogach. Całość sprawiała wrażenie, jak gdyby w tym domu działo się bezustannie coś szczególnie uroczystego i tragicznego zarazem.

Fakt, że krytyka i przykład Hitlera wywołały natychmiastową reakcję Goringa, był chyba znamieny dla tego systemu, podobnie jak i dla wszystkich autorytatywnych form społecznych. Goring bez wahania poświęcił dopiero co zakończone urządzenie mieszkania, chociaż czuł się w nim zapewne lepiej, jako że bardziej odpowiadało jego naturze. „Niech pan tego nie ogląda. Sam nie mogę patrzeć. Niech pan robi, co chce. Daję panu zlecenie, tylko musi tu być tak jak u fuhrera”. Było to piękne zadanie. Pieniądze, jak zwykle u Goringa, nie odgrywały żadnej roli. Tak więc burzyliśmy ściany, by z wielu pokoi na parterze

zrobić cztery duże pomieszczenia; największy z nich jego gabinet do pracy mierzył prawie 140 metrów kwadratowych, dzięki czemu podobny był do gabinetu Hitlera. Zrobiliśmy dobudówkę lekkiej konstrukcji, mającą ramy okienne z brązu. Brązu wprawdzie brakowało, wydzielano go jako materiał deficytowy, a za niewłaściwe stosowanie groziły wysokie kary, ale to nie miało najmniejszego znaczenia dla Goringa. Był zachwycony, cieszył się każdą zmianą jak dziecko w dniu swoich urodzin, zacierał ręce i śmiał się.

Meble Goringa odpowiadały jego pełnej tuszy. Stare renesansowe biurko miało potężne rozmiary, podobnie fotel do pracy, którego oparcie wznosiło się wysoko ponad głowę; był to prawdopodobnie tron jakiegoś księcia. Na biurku kazał ustawić dwa srebrne świeczniki z olbrzymimi abażurami z pergaminu, obok wielką fotografię Hitlera. Podarowane mu przez Hitlera zdjęcie, jako niewystarczająco okazałe, kazał wielokrotnie powiększyć, a każdy gość dziwił się temu szczególnemu uhonorowaniu Goringa. Wiadomo bowiem było w kołach partyjnych i rządowych, że Hitler ofiarowywał swoim paladynom fotografię zawsze takiej samej wielkości, w srebrnej ramce, specjalnie zaprojektowanej przez panią Troost.

W hallu podciągnięto aż pod sufit olbrzymi obraz, aby odsłonić wejścia do kabiny filmowej, znajdującej się za ścianą. Obraz wydał mi się znany. Rzeczywiście, jak się dowiedziałem, Goring z właściwą sobie niefrasobliwością kazał „swemu” pruskiemu dyrektorowi Muzeum im. Cesarza Fryderyka dostarczyć do własnego mieszkania słynny obraz Rubensa *Diana podczas polowania na jelenie*, do owego czasu jedno z najwybitniejszych dzieł będących w posiadaniu tego muzeum.

W okresie trwania przebudowy Goring mieszkał w pałacu prezydenta Rzeszy, naprzeciw Reichstagu, w budowli z początków dwudziestego wieku, noszącej wyraźne cechy nowobogackiego rokoka. Tutaj odbywały się nasze narady w sprawie urządzenia jego ostatecznej siedziby. Często obecny był przy tym jeden z dyrektorów cenionych zakładów „Vereinigte Werkstatte”, Paepke, starszy szpakowaty pan, pełen najlepszych chęci przypodobania się Goringowi, ale onieśmielony jego gwałtownym i bezceremonialnym sposobem traktowania podległych mu ludzi.

Pewnego dnia siedzieliśmy z Goringiem w pokoju, którego ściany w stylu wilhelmińskiego neorokoka pokryte były od góry do dołu płaskorzeźbami przedstawiającymi róże - uosobienie brzydoty. Tyle wiedział także Goring gdy zagadnął: „Jak ocenia pan te dekoracje, panie dyrektorze? Nieźle, prawda?” Zamiast powiedzieć: „To jest

okropne", starszy pan poczuł się niepewnie; nie chcąc narazić się swemu wysokiemu zleceniodawcy i klientowi, dał wymijającą odpowiedź.

Goring natychmiast wywęszył zabawę, mrugnął do mnie porozumiewawczo. „Ależ, panie dyrektorze, pan tego nie uważa za piękne? Zamierzam polecić panu udekorowanie w ten sposób wszystkich pomieszczeń. Rozmawialiśmy o tym, nieprawda, panie Speer?” „Tak, naturalnie, trwają już prace nad rysunkami”. „A więc, panie dyrektorze, widzi pan, to nasz nowy styl. Jestem pewien, że się panu podoba”. Dyrektor wiał się, jego sumienie artysty buntowało się, na czole wystąpiły mu krople potu, szpicbródka drżała ze zdenerwowania. Goring postanowił zmusić starszego człowieka do jednoznacznego stwierdzenia: „A więc niech pan się przyjrzy dokładnie tej ścianie. Jak cudownie róże pną się w górę. Jakbyśmy znajdowali się na powietrzu w różanej altanie. A pan może się nie zachwycać czymś takim?” „Owszem, owszem!” mówił bojaźliwie bliski rozpaczy dyrektor. „Pan jako wybitny znawca sztuki musi się przecież zachwycać takim dziełem. Niech mi pan powie, czy nie uważa pan tego za piękne?” W ten sposób gra ciągnęła się tak długo, aż dyrektor uległ i zaczął udawać pożądany zachwyty.

„Tacy jesteście wszyscy!” powiedział potem Goring pełen pogardy. I rzeczywiście: tacy byli wszyscy; odnosiło się to w nie najmniejszym stopniu do samego Goringa, który nigdy nie miał dosyć opowiadania Hitlerowi w czasie posiłków o tym, jakie to jego mieszkanie będzie teraz jasne i przestronne, „tak samo jak pańskie, mein fuhrer”.

Gdyby Hitler rozkazał, żeby w jego pokojach pięły się po ścianach róże, Goring także zażądałby róż.

Już zimą 1933 roku, a więc zaledwie parę miesięcy po decydującym obiedzie u Hitlera, przyjęty zostałem do najściślejszego kręgu otaczających go osób. Niewielu oprócz mnie było takich, którzy korzystaliby z podobnych przywilejów. Niewątpliwie Hitler znajdował szczególną przyjemność w obcowaniu ze mną, mimo że z natury byłem powściągliwy i nierozmowny. Niejednokrotnie zadawałem sobie pytanie, czy przenosił on na mnie swe nie spełnione marzenie młodości, by zostać wielkim architektem. Biorąc jednak pod uwagę fakt, że zachowanie Hitlera często opierało się na intuicji, nie da się znaleźć zadowalającego wyjaśnienia jego widocznej sympatii.

Daleki byłem jeszcze od mojej późniejszej klasycystycznej linii. Przypadkowo zachowały się projekty wysłane na konkurs budowy

szkoły reichsführerów NSDAP w Monachium-Grunwald, w którym jesienią 1933 roku mogli wziąć udział wszyscy architekci niemieccy. Projekt uwzględniał już wprawdzie wymagania reprezentacyjności, lecz zakładał sprostanie im za pomocą skromnych środków, czego nauczyłem się u Tessenowa.

Hitler wraz z Troostem i ze mną obejrzał prace konkursowe jeszcze przed zapadnięciem werdyktu. Projekty, jak przyjęte jest na konkursach, składano anonimowo. Naturalnie, nie przeszedłem. Dopiero po werdykcie, gdy zniesiono incognito, Troost w pewnej rozmowie w swojej pracowni pochwalił mój projekt, a Hitler ku mojemu zdziwieniu zdołał go sobie dokładnie przypomnieć, chociaż oglądał go wśród setek innych, nie dłużej niż kilka sekund. Pomiął milczeniem pochwałę wypowiedzianą przez Troosta; prawdopodobnie uświadomił sobie, że byłem jeszcze daleki od tego, by stać się architektem odpowiadającym jego wyobrażeniom.

Co dwa lub trzy tygodnie Hitler jeździł do Monachium; coraz częściej zabierał mnie ze sobą. Po przyjeździe udawał się przeważnie bezpośrednio do pracowni profesora Troosta. Już po drodze, w pociągu, miał zwyczaj namiętnie opowiadać, jakie rysunki powinien przygotować profesor: „Szkic parteru Domu Sztuki chyba zmienił. Należało tam zrobić kilka poprawek... Czy zaprojektował już szczegóły sali jadalnej? A potem może da nam obejrzyć szkice rzeźb Wackerlego”.

Pracownia znajdowała się na zaniedbanych tyłach Theresienstrasse, niedaleko politechniki. Pustą klatką schodową, nie malowaną od lat, wchodziło się na drugie piętro; Troost świadomy swej pozycji nigdy nie wychodził na schody w oczekiwaniu Hitlera, nigdy także nie sprowadzał go na dół. Hitler już w przedpokoju witał go słowami: „Nie mogę dłużej wytrzymać, panie profesorze! Niech pan pokaże, co jest nowego”. I zaraz znajdowaliśmy się w pracowni, gdzie Troost, jak zawsze pewny siebie i powściągliwy, pokazywał Hitlerowi swe plany i szkice pomysłów. Ale pierwszy architekt fuhrera był w nie lepszej sytuacji niż później ja: Hitler rzadko dawał poznać po sobie, że mu się coś podoba.

Następnie „pani profesor” demonstrowała materiały i próbki kolorów ścian do pomieszczeń monachijskiego „gmachu fuhrera”, subtelnie i wyrafinowanie zharmonizowane ze sobą, właściwie zbyt spokojne dla lubującego się w efektach Hitlera. Ale podobały mu się. Mieszczańska, wyważona atmosfera, modna wówczas w bogatych sferach, przemawiała do niego wyraźnie swym dyskretnym luksusem. Upływało zawsze dwie lub więcej godzin; potem Hitler zęgnął się

krótko, ale bardzo serdecznie, aby dopiero teraz pojechać do swego własnego mieszkania. Mówił jeszcze do mnie prędko: "Ale obiad w »Osterii«".

W przyjętej porze, około wpół do trzeciej, jechałem do małej restauracji artystów „Osteria Bavaria”, która zdobyła nieoczekiwaną sławę, gdy stała się ulubionym lokalem Hitlera. Łatwiej można sobie było wyobrazić tutaj towarzystwo artystów, skupionych wokół Lenbacha czy Stucka, o długich włosach i potężnych brodach, niż Hitlera z jego nienagannie ubranymi lub umundurowanymi ludźmi. W „Osterii” czuł się dobrze, jako „artyście, któremu zagrodzono drogę”, podobało mu się najwyraźniej środowisko, do którego kiedyś chciał wejść, a które teraz ostatecznie opuścił i prześcignął.

Nierzadko wąskie grono zaproszonych osób musiało godzinami czekać na Hitlera: adiutant, gauleiter Bawarii. Wagner, jeśli zdążył się wyspać i pozbyć rauszu, naturalnie stale mu towarzyszący nadworny fotograf Hofmann, który już o tej porze bywał czasami podchmielony, bardzo często także sympatyczna miss Mitford, a niekiedy, ale raczej rzadko, jakiś malarz lub rzeźbiarz. Czasem jeszcze dr Dietrich, szef prasowy Rzeszy, oraz zawsze Martin Bormann, sprawiający nadzwyczaj niepozorne wrażenie sekretarz Rudolfa Hessa. Na ulicy czekało kilkaset osób, którym nasza obecność wystarczała, by wiedzieć, że przyjdzie „on”.

Na zewnątrz głośnie owacja: Hitler kieruje się do naszego stałego kąta, osłoniętego z jednej strony półścianką; przy dobrej pogodzie siedzieliśmy na małym dziedzińcu z imitacją altany. Gospodarz i obydwie kelnerki witani byli jowialnie: "Co dziś dobrego? Ravioli? Gdybyście tylko nie przyrządzali tak smacznie. Jest zbyt nęcące!" Hitler "mlaskał" palcami. „Wszystko byłoby pięknie, panie Deutelmoser. ale moja linia! Zapomina pan, że fuhrer nie może jeść tego, na co miałby ochotę". Potem studiował długo jadłospis i wybierał ravioli.

Każdy zamawiał to, co mu smakowało: sznycel, gulasz, także wino węgierskie w szklankach; piliśmy wszyscy nie krępując się, mimo że Hitler od czasu do czasu żartował na temat „pożeraczy padliny” i „opijających się winem”. Panował tu swobodny nastrój. Obowiązywała cicha umowa: o polityce wspominać nie wolno. Jedynym wyjątkiem była lady Mitford, która także w latach późniejszego napięcia agitowała w interesie swej ojczyzny i wręcz błagała Hitlera, by pogodził się z Anglią. Mimo nieprzejednanej rezerwy z jego strony, nie ustępowała. Później, we wrześniu 1939 roku, w dniu wypowiedzenia wojny przez

Anglię, usiłowała za pomocą maleńkiego pistoletu popełnić samobójstwo w monachijskim Ogrodzie Angielskim. Hitler oddał ją w ręce najlepszych specjalistów w Monachium i wkrótce kazał specjalnym samochodem przewieźć przez Szwajcarię do Anglii.

Głównym tematem rozmów w czasie posiłków była zazwyczaj przedpołudniowa wizyta u profesora. Hitler wychwalał w uniesieniu to, co widział; bez trudu zachowywał w pamięci wszystkie szczegóły. Jego stosunek do Troosta był mniej więcej taki, jak stosunek ucznia do mistrza, co przypominało mi mój bezkrytyczny podziw dla Tessenowa.

Podobało mi się to bardzo, byłem zdziwiony, że ten ubóstwiany przez swoje otoczenie człowiek zdolny był jeszcze do pewnego rodzaju czci. Hitler, który sam czuł się architektem, respektował w tej dziedzinie przewagę fachowca; w polityce nie byłby zdolny do tego nigdy.

Opowiadał szczerze, jak zapoznała go z Troostem bardzo kulturalna rodzina Bruckmannów, wydawców monachijskich. Gdy zobaczył jego prace, doznał uczucia, jak gdyby „spadło mu bielmo z oczu”. Nie mogłem już patrzeć na to, co dotychczas narysowałem. Co za szczęście, że poznałem tego człowieka!" Rzeczywiście, trudno pomyśleć, jak wyglądałby jego architektoniczny smak bez wpływu Troosta. Pokazał mi kiedyś szkicownik z wczesnych lat dwudziestych. Ujrzałem zarysy reprezentacyjnych budowli w neobarokowym stylu wiedeńskiej Ringstrasse z lat dziewięćdziesiątych poprzedniego stulecia; w osobliwy sposób te projekty architektoniczne przemieszane były na jednej stronie ze szkicami broni i okrętów wojennych.

W porównaniu z tym architektura Troosta była wręcz skąpa. Jego wpływ na Hitlera pozostał jednak tylko epizodem. Aż do końca swego życia Hitler chwalił architektów i budowle, które służyły mu za wzór w jego wczesnych szkicach - paryską Operę Wielką (1861-1874) Charlesa Garniera: "Klatka schodowa jest najpiękniejsza na świecie. Kiedy damy w swych kosztownych toaletach schodzą na dół, a mężczyźni w mundurach stoją szpalerem... Panie Speer, my też musimy zbudować coś takiego!" Marzył o Operze Wiedeńskiej: „Najwspanialszy dom operowy świata o doskonałej akustyce. Kiedy siedziałem tam jako młody człowiek na czwartym balkonie...” O jednym z dwóch architektów, twórców tego gmachu, van der Nullu, opowiadał: „Sądził, że opera nie udała mu się. Niech pan pomyśli, był tak zrozpaczony, że na dzień przed otwarciem wpakował sobie kulę do głowy. Inauguracja była jego największym sukcesem, cały świat chwalił tego architekta!" Podobne opowieści prowadziły następnie do rozważań, w jak ciężkich sytuacjach on sam się już znajdował i jak zawsze szczęśliwy zwrot ocalał go jednak. „Nigdy nie wolno rezygnować”, mówił.

Ze szczególnym uznaniem odnosił się do licznych budowli teatralnych Hermanna Helmera (1849-1919) i Ferdinanda Fellnera (1847-1916), którzy pod koniec XIX wieku wznosili nie tylko w Austro-Węgrzech, lecz także w Niemczech późnobarokowe budynki teatralne, wykonane według stałego schematu. Pamiętał, w jakich miastach znajdują się ich budowle, i kazał później zrekonstruować zniszczony teatr w Augsburgu.

Cenił jednak także surowych mistrzów XIX wieku, jak Gottfried Semper (1803-1879), który w Dreźnie zbudował operę i galerię malarstwa, a w Wiedniu pałac cesarski i muzeum dworskie, oraz Theophil Hansen (1803-1883), twórca kilku znanych budowli klasycystycznych w Atenach i Wiedniu. Jak tylko w 1940 roku wojska niemieckie zajęły Brukselę, musiałem tam jechać, by obejrzeć olbrzymi Pałac Sprawiedliwości Poelaerta (1817-1879), którym się zachwycił, chociaż znał tę budowlę, podobnie jak operę paryską, tylko z planów; po moim powrocie kazał sobie zdać szczegółową relację.

Taki był świat architektoniczny Hitlera. W końcu jednak skłaniał się coraz częściej ku napuszonemu neobarokowi, jaki kultywował swemu nadwornemu architektowi także Wilhelm II; był to w gruncie rzeczy jedynie „barok schyłkowy”, podobny do tego, który towarzyszył rozpadowi cesarstwa rzymskiego. Tak więc w dziedzinie architektury, podobnie jak w dziedzinie malarstwa i plastyki, Hitler tkwił w świecie swej młodości: był to świat z okresu 1880-1910, który nadał cechy szczególne zarówno jego smakowi artystycznemu, jak i jego wyobrażeniom politycznym i ideologicznym.

Znamienne były dla Hitlera krańcowo różne skłonności. Entuzjazmował się otwarciem wzorami wiedeńskimi, które utrwaliły mu się w pamięci za młodu, a jednocześnie oświadczał: „Dopiero u Troosta nauczyłem się, czym jest architektura. Kiedy miałem trochę pieniędzy, kupowałem raz za razem meble przez niego projektowane, oglądałem jego budowle, urządzenie »Europy« i byłem zawsze wdzięczny losowi, który spotkał mnie w postaci pani Bruckmann i zaprowadził do tego mistrza. Kiedy partia miała więcej środków, dałem mu zlecenie na przebudowę i urządzenie »brunatnego domu«. Widział go pan. Jakie trudności miałem z tego powodu! Ci drobnomieszczanie należący do partii uważali to za zbytnią rozrzutność. A ileż nauczyłem się przy tej przebudowie od profesora!”

Paul Ludwig Troost był Westfalczykiem. Wysokiego wzrostu, szczupły, o gładko ogolonej czaszce. Powściągliwy w słowach i gestach, należał do grupy takich architektów, jak Peter Behrens, Joseph M.

Olbrich, Bruno Paul i Walter Gropius, którzy przed 1914 rokiem na znak protestu wobec jugendstilu, lubującego się w bogatej ornamentyce, reprezentowali kierunek charakteryzujący się oszczędnym sięganiem do środków architektonicznych, prawie całkowitym zarzuceniem ornamentów; łączył on w sobie spartański tradycjonalizm z elementami moderny. Troost odnosił wprawdzie niekiedy sukcesy na konkursach, nigdy jednak przed 1933 rokiem nie udało mu się wejść do czołówki. Żaden „styl fuhrera” nie istniał, niezależnie od tego, jak szeroko rozwodziła się o tym prasa partyjna. To, co zostało kreowane na oficjalną architekturę Rzeszy, było jedynie wprowadzonym przez Troosta neoklasycyzmem, który był następnie powielany, modyfikowany, nadużywany lub zniekształcany aż do śmieszności. Hitler cenił w stylu klasycystycznym jego ponadczasowy charakter, tym bardziej sądził nawet, jakoby znalazł w plemieniu Dorów punkty styczne ze światem germańskim; mimo to błędne byłoby doszukiwanie się u Hitlera stylu budowlanego opartego na kryteriach ideologicznych. Nie odpowiadało to jego pragmatycznemu sposobowi myślenia.

Hitler niewątpliwie realizował pewien zamiar, zabierając mnie regularnie do Monachium na narady budowlane. Najwidoczniej chciał mnie także uczynić uczniem Troosta. Bogata, ale wskutek ograniczenia się do prostych form powściągliwa architektura mojego drugiego nauczyciela wywarła na mnie wpływ decydujący.

Przewlekła rozmowa przy stole w „Osterii” skończyła się: „Profesor powiedział mi dzisiaj, że w gmachu fuhrera zdejmuje się szalunki na klatce schodowej. Nie mogę się doczekać. Bruckner, niech pan każe sprowadzić samochody, zaraz tam pojedziemy. Pan także pojedzie?”

Pośpiesznie pobiegł prosto na klatkę schodową budowli, obejrzał ją z dołu, z galerii, ze schodów, wszedł znowu na górę, przeżywał zachwyt. Wreszcie zwiedził budowlę do ostatniego kąta, raz jeszcze wykazał dokładną znajomość każdego szczegółu i wymiarów wszystkich pomieszczeń, czym wprawił w zdumienie znajdujące się na budowie osoby. Zadowolony z postępów prac, zadowolony z samego siebie, gdyż był przyczyną i motorem tych budowli, skierował się do następnego celu: willi swego fotografa w Monachium-Bogenhausen.

Przy dobrej pogodzie podawano tam kawę w małym ogródku, mającym około dwustu metrów kwadratowych, otoczonym przez ogrody innych willi. Hitler próbował bronić się przed zjedzeniem ciasta,

w końcu jednak, wygłaszając wiele komplementów pod adresem pani domu, pozwalał nałożyć sobie trochę na talerzyk. Przy pięknym słońcu zdarzało się, że on, fuhrer i kanclerz Rzeszy, zdejmował marynarkę i kładł się w koszuli na trawniku. U Hofmannów czuł się jak u siebie w domu; kiedyś kazał sobie przynieść utwory Ludwiga Thomy, wybrał jedną ze sztuk i czytał na głos.

Szczególną radość sprawiały Hitlerowi obrazy, które mu fotograf przedstawiał do wyboru w mieszkaniu. Początkowo osłupiałem widząc, co Hofmann demonstrował Hitlerowi i co znajdowało jego poklask, później przyzwyczałem się do tego, nie dając się jednak skłonić do rezygnacji ze zbierania wczesnoromantycznych krajobrazów, na przykład Rottmanna, Friesa czy Kobella.

Jednym z ulubionych malarzy Hitlera, jak i Hofmanna był Eduard Grutzner, który ze swymi raczącymi się winem mnichami i piwnicznymi właściwie bliższy był skłonnościom fotografa niż Hitlera abstynenta. Ale Hitler patrzył na te obrazy w aspekcie „artystycznym”. „Co, to kosztuje tylko pięć tysięcy marek?” Obraz miał na pewno nie większą wartość handlową niż 2 tysiące marek. „Hofmann, to jest darmo! Niech pan przyjrzy się tym szczegółom! Grutzner jest wyraźnie niedoceniany”. Następnym obrazem tego malarza kosztował go znacznie więcej. „On nie został jeszcze odkryty. Rembrandt także przez całe dziesięciolecie po swej śmierci uchodził za nic. Wtedy jego obrazy dawano niemal za darmo. Niech mi pan wierzy, ten Grutzner będzie kiedyś wart tyle co Rembrandt. Rembrandt także nie potrafiłby tego lepiej namalować”.

We wszystkich dziedzinach sztuki Hitler uważał schyłek XIX wieku za jedną z największych epok kulturalnych w historii ludzkości, tylko, jak mówił, wskutek małego dystansu czasowego nie docenioną jeszcze. Ta ocena nie obejmowała jednak impresjonizmu, gdy natomiast naturalizm Leible lub Thomy odpowiadał jego ugrzeczniwym skłonnościom artystycznym. Najwyżej stawiał Makarta, cenił także bardzo Spitzwega. W tym przypadku potrafiłem zrozumieć jego upodobanie, chociaż mniej podziwiał zamaszystą i często impresjonistyczną manierę malarską, a bardziej biedermeierowski, łagodny humor, z jakim Spitzweg pokpiwał z małomiasteczkowości Monachium swej epoki.

Później wyszło na jaw, ku przykremu zaskoczeniu fotografa, że to upodobanie do Spitzwega wykorzystał jakiś fałszerz. Hitler niepokoił się początkowo, które z jego Spitzwegów są prawdziwe, szybko jednak stłumił te wątpliwości i powiedział złośliwie: „Wie pan, obrazy Spitzwega wiszące u Hofmanna są w części fałszywe. Widzę to po nich. Ale pozwólmy mu się cieszyć”.

Często odwiedzał „Carltons Teestuben”, pseudoluksusowy lokal z kopiami stylowych mebli i lustrami z imitacji kryształu. Lubił go, ponieważ tu monachijczycy nie zakłócali mu spokoju owacjami lub prośbami o autografy, co zdarzało się przeważnie gdzie indziej. Często późnym wieczorem telelonowano z mieszkania Hitlera: „Führer jedzie do »Cafe Heck« i prosi, by pan także przybył”. Musiałem wyskakiwać z łóżka i nie miałem widoków na wcześniejszy powrót niż o drugiej lub trzeciej nad ranem.

Hitler usprawiedliwiał się niekiedy: „Do późnego chodzenia spać przyzwyczałem się w czasach swej walki. Po zebraniach musiałem siadać do stołu razem ze starymi, a poza tym byłem tak podniecony swymi przemówieniami, że nie mógłbym zasnąć przed świtem”.

„Cafe Heck” była w przeciwieństwie do „Carltons Teestuben” umeblowana prostymi drewnianymi krzesłami i metalowymi stolikami. Była to stara kawiarnia partyjna, gdzie Hitler spotykał się dawniej z towarzyszami walki. Podczas swych pobytów w Monachium po 1933 roku nie kontaktował się już z nimi, chociaż przez tyle lat okazywali mu swe oddanie. Spodziewałem się, że ma w Monachium grono bliskich przyjaciół, nie było jednak nic takiego. Przeciwnie. Hitler wpadał raczej w zły humor, gdy któryś z dawnych kompanów pragnął z nim rozmawiać, i prawie zawsze potrafił pod różnymi pozorami odmówić albo odwlec spełnienie takiej prośby. Starzy towarzysze partyjni niewątpliwie nie zawsze umieli utrzymać dystans, co Hitler mimo swej całej okazywanej na zewnątrz przystępności uważał teraz za konieczne. Często byli niestosownie poufali, a ich zdobyte rzekomo prawo do poufałości nie odpowiadało już historycznej roli, jaką tymczasem Hitler zaczął sobie przypisywać.

Nadzwyczaj rzadko odwiedzał któregoś z nich. Zdołali już przywłaszczyć sobie wspaniałe wille, większość piastowała ważne stanowiska. Ale spotykali się jedynie w rocznicę puczu z 9 listopada 1923 roku którą świętowano w „Burgerbraukeller”. Hitler dziwnie jakoś nie cieszył się wcale na to spotkanie, a raczej za każdym razem zdradzał niechęć do tego obowiązku.

Po 1933 roku dość szybko wytworzyły się różne grupy, odległe od siebie, ale jednocześnie wzajemnie szpiegujące się, rywalizujące ze sobą i żywiące wobec siebie pogardę. Rozprzestrzeniła się swego rodzaju mieszanina lekceważenia i zawiści. Wiązało się to także z tym, że wokół każdego nowego dygnitarza szybko tworzył się wąski krąg ludzi. Tak więc Himmler obcował prawie wyłącznie ze swą świtą z SS, której bezwzględne uwielbienie mógł być pewny. Goring zebrał wokół siebie

gromadę bezkrytycznych pochlebców, po części z jego bliskiej rodziny, po części spośród najbliższych współpracowników i adiutantów; Goebbels czuł się dobrze w otoczeniu wielbicieli ze środowiska literackiego i filmowego; Hess zajmował się problemami homeopatii, lubił muzykę kameralną i miał dziwacznymi, ale także interesującymi znajomymi.

Goebbels, jako intelektualista, patrzył z góry na niewykształconych filistrów kierowniczej grupy monachijskiej, a oni znowu kpili sobie z ambicji literackich zarozumiałego doktora. Zdaniem Goringa ani filistrzy monachijscy, ani Goebbels nie reprezentowali stosownego dla niego poziomu, unikał więc wszelkich kontaktów towarzyskich z nimi. Himmler natomiast uważał się za stojącego znacznie wyżej od wszystkich innych, przekonany o elitarnym posłannictwie SS, co wyrażało się niekiedy w faworyzowaniu synów książąt i hrabiów. Hitler także miał swój najściślejszy entourage, ciągnący za nim zawsze w tym samym składzie: szoferzy, fotograf, pilot i sekretarze.

Hitler zespalał co prawda pod względem politycznym te grupy o rozbieżnych dążeniach, ale na obiadach u niego czy podczas wyświetlania filmów już w rok po przejściu władzy nie widziało się dość często ani Himmlera, ani Goringa czy Hessa, by móc mówić o życiu towarzyskim nowego reżimu. A kiedy się pojawiali, ich zainteresowania tak bardzo koncentrowały się na Hitlerze i zabieganiu o jego względy, że zacieśnianie więzi z innymi grupami nie dochodziło do skutku.

Co prawda Hitler także nie popierał kontaktów towarzyskich w kierowniczej grupie. Im krytyczniejsza stawała się później sytuacja, tym nieufniej obserwowano wzajemne próby zbliżenia się. Dopiero gdy było już po wszystkim, w niewoli, żyjący jeszcze szefowie tych zamkniętych w sobie, miniaturowych światów znaleźli się po raz pierwszy razem, choć teraz przymusowo, w pewnym hotelu luksemburskim.

W owych dniach spędzanych w Monachium Hitler mało troszczył się o sprawy państwowe i partyjne, jeszcze mniej niż będąc w Berlinie lub w Obersalzbergu. Na narady przeważnie pozostawała godzina lub dwie dziennie. Większość czasu mijała mu na chodzeniu po budowach, pracowniach, kawiarniach i restauracjach, na długich monologach wobec tych samych ludzi, którzy już aż nadto dobrze znali stale powtarzające się tematy i mozolnie próbowali ukryć nudę.

Po dwóch lub trzech dniach spędzonych w Monachium Hitler rozkazywał zwykle przygotować wyjazd na „górze”. Kilkoma otwartymi samochodami jechaliśmy po zakurzonych drogach; autostrady do Salzburga jeszcze wtedy nie było, ale budowano ją w pierwszej kolejności. W pewnej wiejskiej gospodzie w Lammbach

nad

Chiemsee robiliśmy najczęściej przerwę na podwieczorek w postaci pożywnego ciasta, którego Hitler prawie nigdy nie potrafił sobie odmówić. Potem pasażerowie drugiego czy trzeciego samochodu znowu połykali przez dwie godziny kurz, gdyż kolumna jechała mocno ściętniona. Do Berchtesgaden odchodziła stroma droga górską pełną wyboi, a na Obersalzbergu oczekiwał nas mały drewniany dom Hitlera, przytulny, o bardzo stromym dachu i skromnych pomieszczeniach: jadalnia, mały pokój dzienny, trzy sypialnie. Meble pochodziły z okresu, w którym dominowały ozdobne szafy w staroniemieckim stylu, nadające mieszkaniu cechy przytulnej drobnomieszczańskości. Połączona klatka z kanarkiem, kaktus i drzewko kauczukowe potęgowały jeszcze to wrażenie. Na bibelotach i poduszkach wyhaftowanych przez zwolenniczki fuhrera widniały swastyki, w kompozycji na przykład ze wschodzącym słońcem lub napisem „Wieczna wierność”. Hitler powiedział do mnie zakłopotany: „Ja wiem, to nie są ładne rzeczy, ale wiele z nich to także prezenty. Nie chciałbym się z nimi rozstawać”.

Wkrótce wychodził ze swej sypialni, gdzie zamieniał marynarkę na lekką kurtkę bawarską z jasnoniebieskiego lnu i wkładał do tego żółty krawat. Na ogół od razu zaczynał omawiać plany budowlane.

Po kilku godzinach przyjeżdżał niewielki kryty „Mercedes” z dwiema sekretarkami, panną Wolf i panną Schroder, w których towarzystwie znajdowała się przeważnie prosta monachijska dziewczyna, Ewa Braun. Raczej miła i świeża niż ładna, robiła wrażenie skromnej. Nic nie wskazywało, że była kochanką władcy.

Temu zamkniętemu samochodowi nigdy nie było wolno jechać w oficjalnej kolumnie, gdyż nie chciano, by ludzie kojarzyli go z Hitlerem. Również obecność sekretarek miała maskować przyjazd kochanki. Zaskakiwało mnie, że Hitler unikał wszystkiego, co wskazywałoby na intymną przyjaźń z Ewą Braun, by jednak późnym wieczorem udać się z nią do sypialni na piętrze. Zawsze pozostawało dla mnie niezrozumiałe, dlaczego ten niepotrzebny, pełen nienaturalnej sztywności dystans zachowywał nawet w najściślejszym gronie, przed którym przecież w żaden sposób nie można było ukryć tego stosunku.

Ewa Braun trzymała się z daleka od wszystkich osób z otoczenia Hitlera. W stosunku do mnie zmieniło się to dopiero z biegiem lat. Kiedy poznaliśmy się bliżej, zauważyłem, że jej powściągliwy sposób bycia, odczuwany przez wielu jako wyniosłość, wynikał jedynie z zakłopotania; świadoma była swej dwuznacznej pozycji.

W pierwszych latach naszej znajomości Hitler mieszkał w swym małym domu jedynie z Ewą Braun, adiutantem i kamerdynerem; my

zaś. pięć lub sześć zaproszonych osób, a więc Martin Bormann, szef prasowy Rzeszy, dr Dietrich. dwie sekretarki i ja, lokowaliśmy się w położonym obok pensjonacie.

Fakt, że Hitler postanowił osiedlić się na Obersalzbergu, wydawał się świadczyć o jego miłości do przyrody. Myliłem się tu jednak. Wprawdzie często podziwiał piękne widoki, ale przeważnie pociągała go raczej potęga przepaści niż sympatyczna harmonia krajobrazu. Być może czuł więcej, niż potrafił okazać. Zauważyłem, że nie sprawiało mu większej przyjemności przyjmowanie kwiatów, cenił je raczej jako dekorację. Kiedy, bodaj że w 1934 roku. delegacja berlińskiej organizacji kobiet chciała powitać Hitlera na Anhalter Bahnhof i wręczyć mu kwiaty, jej przewodnicząca zadzwoniła do Hankego. sekretarza ministra propagandy, by dowiedzieć się, jakie fuhrer najbardziej lubi. Hanke powiedział do mnie: "Telefonowałem wszędzie, pytałem adiutantów, bez skutku. Nie ma ulubionych kwiatów". Po chwili zastanowienia spytał: „Co pan myśli Speer? Może powiemy, że szarotki? Myślę¹, że szarotki byłyby najlepsze. To coś osobliwego, a w dodatku pochodzi z gór bawarskich. Odpowiedzmy po prostu, że szarotki!" Od tego czasu szarotki były oficjalnie „kwiatami fuhrera". Zdarzenie to ukazuje, jak propaganda partyjna samodzielnie kształtowała niekiedy wizerunek Hitlera.

Hitler często opowiadał o dalekich wędrówkach górskich, które kiedyś odbywał. Dla alpinisty znaczyły one co prawda niewiele. Alpinizm i zjazdy narciarskie zdecydowanie odrzucał: „Jak można znajdować przyjemność w sztucznym przedłużaniu okropnej zimy przez pobyt na dużych wysokościach?" Ciągłe wyrażał swą niechęć do śniegu, na długo jeszcze przed katastrofalną kampanią zimową 1941/1942 roku. „Najchętniej zakazałbym uprawiania tych sportów, ponieważ zdarza się przy nich wiele nieszczęść. Ale przecież oddziały górskie biorą spośród takich wariatów swój narybek".

W latach 1934-1936 Hitler odbywał jeszcze dłuższe spacery po publicznych drogach leśnych, w towarzystwie swych gości i trzech lub czterech ubranych po cywilnemu agentów policji kryminalnej, którzy należeli do oddziału pomocniczego gwardii przybocznej. Mogła mu także towarzyszyć w tych spacerach Ewa Braun, co prawda tylko wraz z obiema sekretarkami i na końcu kolumny.

Ten, kogo przywołał do przodu, uchodził za wyróżnionego, choćby rozmowa z nim była bardzo skąpa. Mniej więcej co pół godziny Hitler zmieniał partnera. "Niech pan przyśle mi szefa prasowego", mówił na przykład, i towarzysząca mu osoba wracała do świty. Szliśmy

szybko, mijając niekiedy innych spacerowiczów, którzy stawali na brzegu drogi, kłaniali się z czcią lub zdobywali na odwagę, przeważnie kobiety lub dziewczęta, by zagadnąć Hitlera, na co on reagował kilkoma przyjaznymi słowami.

Często celem wędrowki był „Hochlenzer” mała gospoda górską, albo oddalona o godzinę "Scharitzkehl", gdzie przy prostych drewnianych stołach wypijaliśmy na powietrzu po szklance mleka lub piwa. Rzadziej zdarzała się dłuższa wycieczka. Kiedyś na przykład z generałem pułkownikiem von Blombergiem, naczelnym dowódcą Wehrmachtu. Gdy mówili o ważnych problemach militarnych, wszyscy musieli zachowywać odpowiednio dużą odległość. Zatrzymaliśmy się na leśnej polanie, Hitler kazał kamerdynerowi w dość znacznej odległości rozłożyć koce, by wypocząć na nich z generałem pułkownikiem - scenka pozornie sielankowa i nie budząca podejrzeń.

Także gdy

Innym razem trasa prowadziła samochodem do Königssee, a następnie motorówką do półwyspu Bartholoma. Odbyliśmy też trzygodzinną wędrowkę przez Scharitzkehl do Königssee. Na ostatnim odcinku musieliśmy niemal przeciskać się wśród spacerowiczów, których zwabiła piękna pogoda. Interesujące, początkowo nie rozpoznano Hitlera w jego bawarskim stroju ludowym, gdyż nikt chyba nie przypuszczał, że znajduje się on w gromadzie pieszych. Dopiero w pobliżu celu naszej wędrowki - gospody „Schiffmeister”, dogoniła nas masa rozentuzjasmowanych ludzi, którzy zdążyli już sobie uświadomić, kogo przed chwilą spotkali. Z trudem dopadliśmy drzwi - pierwszy przyspieszonym krokiem Hitler - nim zdążył nas okrążyć szybko rosnący tłum. Siedzieliśmy przy kawie i ciastkach, a wielki plac na zewnątrz zapełniał się coraz bardziej. Dopiero gdy nadeszły posiłki z oddziału ochrony, Hitler wszedł do odkrytego samochodu. Stojącego na przednim siedzeniu, obok kierowcy, z lewą ręką opartą na przedniej szybie, mogły widzieć nawet dalej znajdujące się osoby. W takich momentach entuzjazm nie miał granic, wielogodzinne czekanie było wreszcie wynagrodzone. Dwóch ludzi z oddziału pomocniczego szło przodem i po trzech z obu stron samochodu, który w tempie piechura przeciskał się przez napierający tłum. Siedziałem jak zwykle na zapasowym miejscu, tuż za Hitlerem. Nigdy nie zapomnę tych wybuchów radości, tego upojenia, które malowało się na tak wielu twarzach. Gdzie przybył Hitler, gdzie tylko zatrzymywało się na krótko jego auto. wszędzie w owych pierwszych latach jego panowania powtarzały się takie sceny. Nie były one efektem oratorskiego lub sugestywnego oddziaływania na masy, lecz wywoływała je sama obecność Hitlera.

licznych
że

Podczas gdy poszczególne jednostki w tłumie ulegały zwykle nastrojowi uniesienia tylko na parę sekund, Hitler poddany był niemal ciągłemu oddziaływaniu takich scen. Podziwiałem go wówczas, że mimo to zachował niewymuszone formy w kontaktach prywatnych.

Można to chyba zrozumieć: mnie też porywały te wybuchy hołdu. Ale jeszcze silniej oddziaływał na mnie fakt, że kilka minut lub godzin później rozmawiałem z bożyszczem narodu o planach budowlanych, siedziałem z nim w teatrze lub w „Osterii” jadłem ravioli - oszałamiał mnie ten kontrast.

Podczas gdy jeszcze przed kilkoma miesiącami entuzjazmowałem się perspektywą projektowania i wznoszenia budowli, teraz byłem całkowicie pod urokiem Hitlera, przywiązany do niego bezgranicznie i nieprzytomnie - byłbym gotów pójść za nim wszędzie. A przy tym najwyraźniej chciał otworzyć przede mną pełną sławy karierę architekta. Wiele lat później czytałem w Spandau fragment Cassirera, mówiący o ludziach, którzy z własnych pobudek odrzucają najwyższy przywilej człowieka - niezależność.

Byłem jednym z nich.

Dwa zgony w 1934 roku wywarły piętno na życiu prywatnym i państwowym: po kilku tygodniach ciężkiej choroby zmarł 21 stycznia architekt Hitlera, Troost, a 2 sierpnia dokonał żywota prezydent Rzeszy, von Hindenburg, którego śmierć urotowała Hitlerowi drogę do nieograniczonej władzy.

15 października 1933 roku Hitler położył uroczyście kamień węgielny pod budowę Domu Sztuki Niemieckiej w Monachium. Uderzał przy tym srebrnym młotkiem, zaprojektowanym na tę okazję przez Troosta. Młotek rozpadł się na kawałki. W cztery miesiące później Hitler powiedział do nas: „Kiedy rozleciał się młotek, wiedziałem od razu, że to zły znak! Coś się zdarzy! Teraz wiem, dlaczego młotek się rozpadł: architekt musiał umrzeć”. Zaobserwowałem niemało przykładów wskazujących na zabobonność Hitlera.

Dla mnie również śmierć Troosta oznaczała ciężką stratę. Zaczęły się bowiem między nami kształtować bardziej zażyłe stosunki, po których obiecywałem sobie satysfakcję osobistą, a zarazem korzyści artystyczne. Funk, ówczesny sekretarz stanu Goebbelsa, był innego zdania. W dniu śmierci Troosta spotkałem go w poczekalni jego ministra, długie cygaro dopełniało obrazu okrągłej twarzy: „Gratuluję! Teraz pan jest tym pierwszym!”

Miałem dwadzieścia osiem lat.

Rozdział 5

MEGALOMANIA W ARCHITEKTURZE

Przez pewien czas wyglądało na to, że Hitler sam chciałby przejąć biuro Troosta. Obawiał się, iż dalsze prace nad planami prowadzone będą bez koniecznego wczucia się w idee zmarłego. „Najlepiej, jeśli wezmę to w swoje ręce”, powiedział. Ostatecznie zamiar ten nie był przecież dziwaczniejszy niż objęcie później naczelnego dowództwa nad armią.

Niewątpliwie przez kilka tygodni podniecało go przedstawianie siebie w roli szefa sprawnie działającej pracowni. Już w czasie podróży do Monachium przygotowywał się niekiedy do tego, rozmawiając o projektach budowli lub sporządzając szkice, by w kilka godzin później siedzieć przy stole kreślarskim właściwego szefa biura i korygować plany. Ale szef biura Gali, poczciwy, prosty monachijczyk, bronił dzieła Troosta z nieoczekiwanym uporem, nie zgadzał się na szczegółowe z początku propozycje rysunkowe Hitlera i przedstawiał lepsze rozwiązania.

Hitler nabrał do niego zaufania i wkrótce milcząco poniechał swego zamiaru; docenił umiejętności tego człowieka. Po pewnym też czasie powierzył mu kierowanie pracownią i dał dodatkowe zadania.

Utrzymywał także ściśle kontakty z wdową po swym zmarłym architekcie, z którą od dawna pozostawał w bliskiej przyjaźni. Była to kobieta mająca charakter i dobry smak, umiejąca bronić swych poglądów, często samodzielnych, wytrwalej niż niektórzy mężczyźni piastujący stanowiska i godności. W obronie prac zmarłego męża występowała zaciekle, a niekiedy nawet zbyt gwałtownie, wskutek czego wielu obawiało się jej. Zwalczała Bonatza, ponieważ był tak nieostrożny, że wypowiedział się przeciw rozwiązaniu zastosowanemu przez Troosta na monachijskim Königsplatz, poddawała ostrej krytyce

nowoczesnych architektów Vorhoelzera i Abla, a we wszystkich tych przypadkach zajmowała takie samo stanowisko jak Hitler. Z drugiej strony polecała mu według swego uznania architektów monachijskich, krytykowała bądź chwaliła artystów i wydarzenia artystyczne, tak wkrótce stała się w Monachium, ponieważ Hitler liczył się z jej zdaniem, swego rodzaju wyrocznią w dziedzinie sztuki. Niestety, nie w sprawach malarstwa. Wstępna ocenę obrazów nadsyłanych na coroczną Wielką Wystawę Sztuki Hitler zlecił swemu fotografowi Hofmannowi. Pani Troost krytykowała często jednostronny wybór, ale w tej dziedzinie Hitler był wobec niej nieustępliwy, tak że wkrótce zrezygnowała z wspólnego oglądania nadsyłanych eksponatów. Jeśli sam chciałem podarować jakieś obrazy swoim współpracownikom, wysyłałem pośredników, by rozejrzeli się po piwnicach Domu Sztuki Niemieckiej, gdzie magazynowano wyeliminowane dzieła. Kiedy niektóre z nich spotykam w mieszkaniach swoich znajomych, rzuca mi się w oczy, że nie różnią się prawie od tych, które dopuszczano na ówczesne wystawy. Różnice, budzące kiedyś tak ostre polemiki, zanikły z biegiem czasu.

Pucz Rohma przeżyłem w Berlinie. W mieście czuło się napięcie; w Ogrodzie Zoologicznym stacjonowali żołnierze w rynsztunku bojowym; uzbrojona w karabiny policja jeździła ciężarówkami po ulicach, atmosfera była wyraźnie przygniatająca, podobnie jak 20 lipca 1944 roku, który to dzień także miałem przeżyć w Berlinie.

Następnego dnia Goringa prezentowano jako zbawcę Berlina. Tuż przed południem Hitler wrócił z Monachium, z akcji aresztowań, a ja odebrałem telefon od jego adiutanta: „Czy ma pan jakieś nowe plany? Niech je pan tutaj przyniesie!” Wynikało stąd, że otoczenie Hitlera pragnie skierować jego uwagę na zagadnienia architektoniczne.

Hitler był w najwyższym stopniu zdenerwowany i, jak sędzę jeszcze dzisiaj, przekonany wewnętrznie, że wyszedł cało z wielkiego niebezpieczeństwa. W owych dniach po wielokroć opowiadał, jak wkroczył w Wiessee do hotelu „Hanselmayer”; nie zapominał przy tym o podkreśleniu swej odwagi: „Byliśmy bez broni, niech pan pomyśli, i nie wiedzieliśmy, czy te świny nie wystawiły przeciw nam uzbrojonych wart!” Atmosfera homoseksualna napawała go wstrętem. „W jednym z pokoi zaskoczyliśmy nagich dwóch młodych ludzi”. Najwyraźniej sądził, że swoim osobistym udziałem w akcji zapobiegł w ostatniej chwili katastrofie: „Tylko ja mogłem to rozwiązać. Więcej nikt”.

Otoczenie Hitlera starało się wzmóc jego odrazę do zastrzelonych przywódców SA, relacjonując mu gorliwie wiele szczegółów z intymnego życia Rohma i jego świty. Bruckner rozłożył przed Hitlerem jadłospisy z biesiad tej wyuzdanej kompanii. Znalaziono je podobno w berlińskiej kwaterze głównej SA; widniała na nich wielka liczba dań, delikatesy sprowadzane z zagranicy, zabie udka, języki ptasie, pletwy rekina, jaja mew, a do tego stare francuskie wina i najlepsze szampany. Hitler powiedział ironicznie: „No, mamy tutaj tych rewolucjonistów! I dla takich nasza rewolucja była zbyt opieszala!”

Z wizyty u prezydenta Rzeszy wrócił bardzo uradowany; jak opowiadał, Hindenburg pochwalił jego działanie mniej więcej tymi słowami: „W odpowiednim momencie nie wolno wahać się przed wyciągnięciem choćby najostrejszych konsekwencji. Trzeba pozwolić także, by popłynęła krew”. Jednocześnie w gazetach można było przeczytać, że prezydent Rzeszy von Hindenburg oficjalnie pogratulował skuteczności działania swemu kanclerzowi Rzeszy Hitlerowi i pruskiemu premierowi Göringowi¹.

Kierownictwo niemal nerwowo się krzątając czyniło wszystko, ażeby usprawiedliwić akcję. Wielodniowa aktywność zakończyła się przemówieniem Hitlera przed specjalnie zwołanym Reichstagem. Pełne zapewnien o niewinności, zdradzało ono świadomość winy. Hitler, który się broni w przyszłości już się to nie zdarzy, nawet w roku 1939, po wejściu na drogę wojny. Także i ministrowi sprawiedliwości Gurtnerowi polecono złożenie wyjaśnień. Ponieważ był bezpartyjny i w związku z tym wydawał się niezależny od Hitlera, wystąpienie jego miało szczególną wagę dla wszystkich sceptyków. Niemale wrażenie wywarł fakt, że Wehrmacht milcząco przyjął śmierć swego generała, Schleiche-ra. Jednak najbardziej przekonującą możliwość tłumaczenia sytuacji dawała mnie, i wielu moim nie zaangażowanym politycznie znajomym, postawa Hindenburga. Feldmarszałek z pierwszej wojny światowej był dla ówczesnej generacji pochodzenia mieszczańskiego czcigodnym autorytetem. Już w moich szkolnych latach uosabiał nieugiętego, niezłomnego bohatera najnowszej historii; otaczająca go sława stawała się dla nas, dzieci, owianą mgłą tajemniczości legendą. Wraz z dorosłymi w ostatnim roku wojny wbijaliśmy w olbrzymie statuy Hindenburga żelazne gwoździe, z których każdy kosztował kilka marek. Od czasów szkolnych Hindenburg był dla mnie symbolem absolutnej zwierzchności. Świadomość tego, że Hitler jest osłaniany przez tę najwyższą instancję, dawała uczucie uspokojenia.

Po puczu Rohma prawica, reprezentowana przez prezydenta Rzeszy, ministra sprawiedliwości i generalicję, nieprzypadkowo stanęła po stronie Hitlera. Wolna była ona co prawda od radykalnego antysemityzmu, wyznawanego przez Hitlera, gardziła wręcz tym wybuchem plebejskich uczuć nienawiści. Jej konserwatyzm nie miał nic wspólnego z rasistowskimi urojeniami. Otwarcie demonstrowana sympatia dla akcji Hitlera miała całkiem inne przyczyny: w czasie mordów popełnionych 30 czerwca 1934 roku zlikwidowane zostało silne lewe skrzydło partii, reprezentowane głównie w SA. Czuło się ono zawiedzione co do rezultatów rewolucji. Nie bez powodu. Wychowywana przed rokiem 1933 w duchu rewolucji większość członków SA poważnie traktowała rzekomo socjalistyczny program Hitlera. Podczas swojej krótkiej działalności w Wannsee mogłem obserwować na najniższym szczeblu, jak szeregowy członek SA znosił ofiarnie wszelkie wyrzeczenia, stratę czasu i ryzyko, spodziewając się, że otrzyma za to kiedyś odczuwalną rekompensatę. Kiedy jej zabrakło, narastać zaczęło niezadowolenie i niechęć, które mogły łatwo stać się siłą wybuchową. Być może interwencja Hitlera naprawdę przeszkodziła wybuchowi „drugiej rewolucji”, o której mówił Rohm.

Przy pomocy takich argumentów uspokajaliśmy nasze sumienia. Ja i wielu innych poszukiwaliśmy gorliwie usprawiedliwień i uznawaliśmy za normę w naszych nowych warunkach to, co jeszcze dwa lata wcześniej budziło nasz sprzeciw. Tłumiliśmy wątpliwości, które mogłyby zakłócić nam spokój. Patrząc z dystansu dziesięcioleci, dziwię się bezmyślności tamtych lat².

W rezultacie tych wydarzeń otrzymałem zaraz następnego dnia zlecenie: „Musi pan możliwie szybko przebudować Borsigpalais. Chcę tu przenieść z Monachium najwyższe dowództwo SA, by mieć je na przyszłość w pobliżu. Niech pan tam idzie i natychmiast zaczyna”. Na moje zastrzeżenia, że znajduje się tam siedziba służbowa wicekanclerza, Hitler odparł tylko: „Niech natychmiast się wynoszą! Niech pan w ogóle na to nie zważa!”

Mając takie polecenie udałem się niezwłocznie do siedziby Papena; ma się rozumieć dyrektor biura nic nie wiedział o tym zamierzeniu. Zaproponowano mi, bym odczekał kilka miesięcy, aż znajdą i przystosują dla siebie nowe pomieszczenia. Gdy wróciłem, Hitler wpadł we wściekłość i nie tylko ponownie zarządził natychmiastową przeprowadzkę, lecz rozkazał mi ponadto rozpocząć prace budowlane bez zwracania uwagi na urzędników.

Papen pozostał niewidoczny, jego urzędnicy zwlekali, obiecując jednak, że w tydzień lub dwa przeniosą akta zgodnie z poleceniem do nowej, prowizorycznej siedziby. Nie namyślając się długo, kazałem rzemieślnikom wejść do zajętego jeszcze budynku i zrywać ze sufitów w baliach i przedpokojach bogate sztukaterie, tak aby było przy tym jak najwięcej hałasu i pyłu. Pył przedostawał się przez szczeliny w drzwiach do pomieszczeń biurowych, hałas uniemożliwał wszelką pracę. Hitler uznał to za wspaniałe. Jego entuzjazmowi towarzyszyły żarciki o „zapyłonych urzędnikach”.

ścian i

W dwadzieścia cztery godziny później wyprowadzili się. W jednym z pokoi ujrzałem na podłodze wielką plamę po wyschniętej kałuży krwi. 30 czerwca został tam zastrzelony Herbert von Bose, jeden z pracowników Papena. Odwróciłem wzrok i odtąd unikałem tego pomieszczenia. Potem już ta sprawa mnie nie obchodziła.

2 sierpnia zmarł Hindenburg. Jeszcze tego samego dnia Hitler osobiście polecił mi podjąć prace nad zorganizowaniem uroczystości żałobnych w tannenberskim mauzoleum.

Na obszernym dziedzińcu wewnętrznym kazałem zbudować trybunę z drewnianymi ławkami, ograniczyłem się do czarnej krepy, która zamiast flag zwisała z wysokich wież, otaczających ten dziedziniec. Na kilka godzin przyjechał Himmler ze sztabem fuhrerów SS i rozkazał chłodno swoim podwładnym, by przedstawili mu, jakie podjęto środki bezpieczeństwa; jak zwykle nieprzystępny, pozwolił mi, bym mu objaśnił swój projekt. Zrobił na mnie wrażenie człowieka utrzymującego dystans i pozbawionego osobowości. Zdawał się nie obcować z ludźmi, lecz raczej traktować ich jak rzeczy.

Ławki z jasnego, świeżego drewna zbyt kontrastowały z zamierzoną żałobną scenerią. Poleciłem więc pomalować je na czarno, korzystając z tego, że była piękna pogoda, ale na nieszczęście wieczorem przeszedł długotrwały deszcz, co powtórzyło się także w następnych dniach, i farba pozostała mokra. Kazaliśmy przywieźć z Berlina specjalnym samolotem bele czarnego materiału i obciągnąć nim ale mimo to mokra farba wychodziła na wierzch i zapewne niejeden uczestnik uroczystości żałobnych zniszczył sobie ubranie.

ławki,

W noc poprzedzającą ceremonię przetransportowano trumnę na lawecie z posiadłości Hindenburga w Prusach Wschodnich do jednej z wież mauzoleum. W kondukcje niesiono tradycyjne sztandary pułków niemieckich z okresu pierwszej wojny światowej i pochodnie; nie wymówiono ani jednego słowa, nie padła żadna komenda. Ta wyrażająca głęboką cześć cisza robiła większe wrażenie niż uroczystości zorganizowane w następnych dniach.

Rano trumnę Hindenburga ustawiono na katafalku pośrodku honorowego dziedzińca, tuż obok mównicy, bez zachowania należytej odległości. Hitler podszedł do pulpitu, Schaub wyciągnął z aktówki manuskrypt i położył przed nim. Hitler uczynił gest, wskazujący, że zacznie przemawiać, ale nagle gniewnie i całkiem nieuroczyście potrząsnął głową - adiutant pomylił manuskrypt. Po naprawieniu pomyłki Hitler odczytał zaskakująco chłodne, potraktowane jako formalność, przemówienie żałobne.

Hindenburg długo, o wiele za długo dla niecierpliwego Hitlera, sprawiał mu trudności przez swój nieustępliwy upór; często uciekano się do sprytu, dowcipu lub intrygi, by uczynić Hindenburga bardziej podatnym na argumenty. Jednym z mistrzowskich posunięć Hitlera było wysyłanie pochodzącego z Prus Wschodnich Funka, który był wtedy jeszcze sekretarzem stanu Goebbelsa, z codzienną poranną informacją prasową do prezydenta Rzeszy. I rzeczywiście, Funk korzystając z pewnej „ziomkowskiej” poufałości potrafił niektóre, niemiłe dla Hindenburga wiadomości polityczne tak złagodzić albo w taki sposób przedstawić, że nie wzbudzały niezadowolenia.

Hitler nigdy nie myślał poważnie o ponownym wprowadzeniu monarchii, czego oczekiwał od nowego reżimu Hindenburg i wielu jego przyjaciół politycznych. Nierzadko można było usłyszeć od Hitlera: „Ministrom socjaldemokratycznym, jak na przykład Severingowi, kazałem nadal wypłacać ich emerytury. Można o nich myśleć, co się chce, ale trzeba przyznać im jedną zasługę: to oni zlikwidowali monarchię. Był to wielki krok naprzód. Dopiero oni utworowali nam drogę. A teraz mielibyśmy na nowo wprowadzać monarchię? Ja mam dzielić władzę? Spójrzcie na Włochy! Czy sądzicie, że jestem tak głupi? Monarchowie byli zawsze niewdzięczni wobec swych pierwszych współpracowników. Pomyślcie tylko o Bismarcku. Nie, na to nie dam się nabrać. Nawet jeśli Hohenzollernowie są teraz bardzo uprzejmi”.

Na początku 1934 roku Hitler zaskoczył mnie, dając mi pierwsze większe zlecenie. Na Zeppelinfeld w Norymberdze miałem zastąpić prowizoryczną drewnianą trybunę budowlą z kamienia. Namęczyłem się porządnie i uczciwie przy sporządzaniu pierwszych szkiców, aż w szczęśliwej godzinie przyszedł mi do głowy przekonujący pomysł: wielkie schody o podwyższonych u góry stopniach, kończące się kolumnadą zamkniętą na obu skrzydłach dwoma kamiennymi blokami. Był w tym widoczny wpływ ołtarza pergameńskiego. Elementem

wprowadzającym dysharmonię okazała się nieodzowna trybuna, usiłowałem więc w sposób możliwie niewidoczny umieścić ją pośrodku wielkich schodów.

Z niepewnością i wahaniem poprosiłem Hitlera, by obejrzał model, ponieważ projekt wychodził daleko poza ramy zlecenia. Wielka kamienna budowla miała 390 metrów długości i 24 metry wysokości. Była o 180 metrów, a więc prawie dwukrotnie, dłuższa od term Karakalli w Rzymie.

Hitler z całym spokojem oglądał ze wszystkich stron gipsowy model, patrzył fachowo pod odpowiednim kątem, w milczeniu studiował rysunki i nie zdradzał jakichkolwiek reakcji. Sądziłem już, że odrzuci moją pracę. Następnie, tak samo jak kiedyś, przy pierwszym spotkaniu, powiedział krótko: „Zgoda”, i pożegnał się. Do dzisiaj jest dla mnie niejasne, dlaczego wbrew swojej naturalnej skłonności do rozwlekłych wywodów był tak lakoniczny przy tego rodzaju decyzjach.

Innym architektom przeważnie odrzucał pierwsze projekty, kazał je wielokrotnie przerabiać, nawet jeszcze podczas robót budowlanych żądał zmiany szczegółów. Mnie - od tej pierwszej próby moich umiejętności - pozostawiał w spokoju; respektował odtąd moje pomysły i traktował mnie jako architekta poniekąd równego sobie.

Hitler lubił oświadczać, że wznosi budowle, by przekazać następnym pokoleniom swoją epokę i jej ducha. Ostatecznie, mówił, o wielkich epokach historycznych przypominają przecież tylko monumentalne budowle. Co pozostało po imperatorach cesarstwa rzymskiego? Co świadczyłoby dzisiaj jeszcze o ich istnieniu, gdyby nie ich budowle? W historii narodów zdarzają się co pewien czas okresy słabości, wtedy właśnie budowle zaczynają mówić o dawnej potędze. Oczywiście nowa świadomość narodowa nie da się zbudzić tylko dzięki temu. Ale kiedy po długim okresie upadku ponownie ożyje idea wielkości narodowej, wówczas te pomniki przeszłości oddziałują najsilniej. Na przykład budowle imperium rzymskiego umożliwiają dzisiaj Mussoliniemu nawiązanie do heroicznego ducha Rzymu, gdy wśród swego narodu popularyzuje ideę nowoczesnego imperium. Podobnie w Niemczech przyszłych stuleci nasze budowle będą musiały przemawiać do sumienia. Przy pomocy tej motywacji Hitler podkreślał także wartość trwałego wykonania budowli.

Budowę na Zeppelinfeld rozpoczęto niezwłocznie, aby do zbliżającego się zjazdu wykończyć przynajmniej trybunę. Dla uzyskania terenu trzeba było zlikwidować zajezdnię tramwajową. Po jej wysadzeniu przechodziłem koło płataniny żelbetowych konstrukcji, wy-

stające żelazne zbrojenia zaczynały rdzewieć. Łatwo było sobie wyobrazić dalszy proces niszczenia. Ten ponury widok pobudził mnie do przemyśleń, które przedstawiłem później Hitlerowi pod trochę pretensjonalnym tytułem *Teoria wartości ruin*. Budowle o nowoczesnej konstrukcji - taki był punkt wyjścia - są niewątpliwie mało przydatne, by tworzyć, jak żądał Hitler, „pomost do przekazywania tradycji” przyszłym generacjom; jest nie do pomyślenia, by rdzewiejące zwaliska gruzów przekazywały owe heroiczne inspiracje, które miał na myśli, mówiąc o monumentalnych dziełach przeszłości. Ten dylemat rozwiązać miała moja „teoria”: stosowanie specjalnych materiałów oraz uwzględnienie szczególnych układów statycznych powinno umożliwić wznoszenie budowli, które jako ruiny, po setkach lub (jak liczyliśmy) tysiącach lat, będą podobne na przykład do wzorców rzymskich³.

Dla plastycznego wyrażenia swych myśli kazałem sporządzić romantyczny rysunek: pokazywał on, jak po wiekach zaniedbania wyglądać będzie trybuna na Zeppelinfeld, porośnięta bluszczem, z przewróconymi filarami, tu i ówdzie zawalonymi murami, ale wyraźnie zachowująca ogólne zarysy. W otoczeniu Hitlera uznano ten rysunek za „błuznierstwo”. Sama tylko myśl o wkalkulowaniu okresu upadku w historię dopiero co powstałej tysiącletniej Rzeszy wydawała się wielu osobom niesłychana. Hitler jednak uważał moje rozumowanie za przekonujące i logiczne; zarządził, by w przyszłości najważniejsze budowle jego Rzeszy wznoszone były z uwzględnieniem tego „prawa ruin”.

Podczas zwiedzania terenu imprez zjazdowych Hitler zażądał, zwracając się w kilku uprzejmych słowach do Bormanna, abym zjawiał się na przyszłość w mundurze partyjnym. Jego bliskie otoczenie, lekarz osobisty, fotograf, nawet dyrektor zakładów Daimlera-Benz, otrzymało już mundury. Widok jednego jedyne go cywila rzeczywiście wprowadzał dysharmonię do całości. Tym nieznacznym gestem Hitler dał jednocześnie do zrozumienia, że zaliczył mnie ostatecznie do swego najbliższego grona. Nigdy by nie wyraził dezaprobaty, gdyby któryś ze znanych mu ludzi zjawiał się w Kancelarii Rzeszy lub w Berghofie po cywilnemu. Sam bowiem wkładał, kiedy tylko było to możliwe, ubranie cywilne. Podczas swych podróży i wyzycji występował jednak jako osoba oficjalna, a w takich wypadkach odpowiednim strojem był według niego wyłącznie mundur. Tak więc na początku 1934 roku zostałem szefem oddziału w sztabie zastępcy Hitlera, Rudolfa Hessa.

Kilka miesięcy później tę samą rangę nadał mi Goebbels za moją pracę przy organizowaniu wieców z okazji zjazdu, dożynek i 1 Maja.

30 stycznia 1934 roku na wniosek Roberta Leya, kierownika Niemieckiego Frontu Pracy, utworzono organizację zajmującą się sprawami spędzania wolnego czasu, noszącą nazwę Siła przez Radość. Mnie przypaść miał wydział Piękno Pracy; określenie to wywoływało nie mniej kpin niż samo hasło: „Siła przez radość”. Na krótko przedtem Ley, w czasie podróży przez holenderską prowincję Limburg, zobaczył kilka kopalni wyróżniających się pedantyczną czystością i starannym utrzymaniem przyległych terenów. Zgodnie z właściwą mu skłonnością do uogólnień wziął je za wzór dla całej gospodarki niemieckiej. Mnie osobiście idea ta przyniosła dodatkową funkcję honorową, która dawała mi wiele zadowolenia. Początkowo skłanialiśmy właścicieli fabryk, by na nowo urządzali pomieszczenia zakładowe i ustawiali kwiaty w halach roboczych.

Nie zaspokoilo to jednak naszych ambicji: zalecaliśmy powiększanie otworów okiennych, urządzenie kantyn, z niejednego zaśmieconego zakątka zrobiono miejsce, gdzie można było wygodnie siedzieć podczas przerw w pracy; zamiast kłaść asfalt urządzano skwery. Kazaliśmy wprowadzić standardowe, proste naczynia kuchenne o estetycznych kształtach, zaprojektowaliśmy proste znormalizowane meble, które produkowano w wielkich seriach, i troszczyliśmy się o to, żeby w kwestiach sztucznego oświetlenia i wentylacji pomieszczeń roboczych przedsiębiorstwa korzystały z porad specjalistów oraz filmów instruktażowych. Do współpracy w realizacji tych projektów pozyskałem byłych działaczy związków zawodowych oraz pewną liczbę członków rozwiązanego „Werkbundu”. Wszyscy oni, bez wyjątku, z poświęceniem przyjmowali na siebie te zadania, zdecydowani polepszać choćby w małej części warunki życia i urzeczywistniać hasło bezklasowej wspólnoty narodu. Poczynilem znów jedno z moich zaskakujących spostrzeżeń: Hitler prawie nie interesował się tymi inicjatywami. On, który wpadał w zapamiętanie z powodu jakiegoś szczegółu budowli, wykazywał uderzającą obojętność, gdy relacjonowałem mu swą pracę na polu społecznym. W każdym razie wyżej niż Hitler oceniał ją ambasador brytyjski w Berlinie⁴.

Swym funkcjom partyjnym zawdzięczałem pierwsze zaproszenie wiosną 1934 roku na oficjalny bankiet, który wydawał Hitler jako szef partii i na który zaproszono także żony. W wielkiej jadalni siedziby kanclerskiej rozmieszczeni byliśmy grupkami po sześć do ośmiu osób przy okrągłych stołach. Hitler chodził od stołu do stołu, wypowiadał

parę uprzejmych słów, prosił, by zapoznano go z damami. Kiedy więc podszedł do nas, przedstawiłem mu swoją żonę, o której mu dotychczas nie wspominałem. „Dlaczego trzymał pan tak długo swą żonę z dala od nas?” zapytał kilka dni później, wyraźnie zaintrygowany, w prywatnym gronie. Rzeczywiście unikałem wspólnych wizyt, w niemałym stopniu także dlatego, że nie podobał mi się sposób, w jaki Hitler traktował swoją kochankę. Ponadto, jak sądziłem, zaproszenie mojej

żony lub

napomknięcie o niej Hitlerowi było rzeczą adiutantów. Jednak nie należało się spodziewać po nich zrozumienia dla etykiety. Zresztą na zachowanie się adiutantów wywierało koniec końców wpływ drobno-mieszczkańskie pochodzenie Hitlera.

W ten pierwszy wieczór znajomości Hitler powiedział do mojej żony, nie unikając uroczystego tonu: „Pani mąż wzniesie dla mnie budowle, jakie nie powstawały już od czterech tysięcy lat”.

Na Zeppelinfeld odbywała się co roku impreza dla korpusu funkcjonariuszy partyjnych średniego i niższego szczebla, tak zwanych amtswalterów. Podczas gdy SA, Arbeitsdienst i naturalnie Wehrmacht w czasie pokazów masowych robiły duże wrażenie na Hitlerze i innych obserwatorach swą pedantyczną dyscypliną, okazało się, że trudno jest korzystnie zaprezentować amtswalterów. W większości wypadków przy swoich małych synekurach mieli pokaźne brzuchy, zupełnie więc nie można było od nich wymagać, by stanęli w wyrównanych szeregach. W wydziale organizacyjnym zjazdów obradowano nad tym niekorzystnym stanem, który był już powodem ironicznych uwag Hitlera. Przyszła mi do głowy zbawienna myśl: każmy im się zebrać w ciemnościach.

Przedstawiłem swój plan kierownikom organizacyjnym zjazdu. Za wysokimi wałami otaczającymi Zeppelinfeld miano zgromadzić podczas nocnej imprezy tysiące sztandarów wszystkich organizacji lokalnych z całych Niemiec. Niosący sztandary mieli na komendę wkroczyć dziesięcioma kolumnami w dziesięć uliczek utworzonych między zebranymi amtswalterami; ozdobione błyszczącymi orłami sztandary miano przy tym oświetlić reflektorami tak, by tylko one rzucały się w oczy. Uznałem jednak, że to za mało; widywałem niekiedy nasze nowe reflektory przeciwlotnicze, sięgające swym

światłem na

wysokość wielu kilometrów, i wyjednałem zgodę Hitlera na przydzielenie mi 130 takich reflektorów. Goring robił wprawdzie początkowo pewne trudności, ponieważ stanowiło to ponad połowę naszej rezerwy strategicznej. Hitler jednak przekonał go: „Jeśli ustawimy je tutaj w tak wielkiej liczbie, za granicą pomyślą, że mamy ich aż za dużo”.

Wrażenie przewyższało moje najśmielsze oczekiwania. Sto trzydzieści ostro zarysowanych smug świetlnych, oddalonych od siebie zaledwie o dwanaście metrów, sięgało wysokości 6-8 kilometrów, gdzie promienie rozplywały się tworząc świecąca powierzchnię. W ten sposób powstawało wrażenie olbrzymiego pomieszczenia, w którym pojedyncze smugi świetlne wydawały się potężnymi podporami nieskończenie wysokich ścian. Co jakiś czas przez ten wieniec świateł przesuwiała się chmura, dodając do imponującego efektu element surrealistycznej nierealności; przyjmuję, że ta „katedra świetlna” była pierwszym tego rodzaju tworem architektury, a dla mnie pozostanie nie tylko moim najpiękniejszym, lecz także jedynym dziełem przestrzennym, które w pewien sposób przetrwało w czasie. „Zarazem uroczyście i pięknie, jak gdybyśmy znajdowali się w katedrze z lodu”, pisał ambasador brytyjski, Henderson.

Nie można było jednak kłaść nocą kamieni węgielnych, by ukryć w ciemnościach dostojników, ministrów, reichsleiterów i gauleiterów, którzy także wyglądali niezbyt zachęcająco. Z trudem ustawiano ich w szereg. Ale ponieważ byli w mniejszym lub większym stopniu statystami, znosili uwagi niecierpliwych porządkowych. Gdy zjawiał się Hitler, na komendę przyjmowano postawę i podnoszono na powitanie rękę. Kładąc kamień węgielny pod norymberską halę kongresową dostrzegł mnie stojącego w drugim szeregu i przerwał uroczystą ceremonię, by ucisnąć mi dłoń. Ten niezwykły gest zrobił na mnie takie wrażenie, że swoją wyciągniętą na przywitanie rękę opuściłem głośno na łysinę stojącego przede mną gauleitera Frankonii, Streichera.

Podczas trwania zjazdów norymberskich Hitler w czasie wolnym był prawie niewidoczny; albo przygotowywał się do przemówień, albo wybierał na jedną z licznych imprez. Szczególną satysfakcję sprawiała mu rosnąca z każdym rokiem liczba gości i delegacji zagranicznych, przede wszystkim zresztą przybywających z demokratycznego Zachodu. Podczas spożywanych w pośpiechu obiadów kazał wymieniać sobie ich nazwiska i delectował się rosnącym w sposób widoczny zainteresowaniem sprawami narodowosocjalistycznych Niemiec.

Ja także miałem w Norymberdze ciężki kawałek chleba, ponieważ obarczono mnie odpowiedzialnością za plastyczną oprawę wszystkich budynków, w których występował Hitler; jako „naczelnny dekorator” musiałem wszystko sprawdzić przed rozpoczęciem imprezy, by zaraz po niej zabrać się pośpiesznie do przygotowania następnej. Bardzo wtedy lubiłem flagi i używałem ich, gdzie tylko mogłem. W ten

sposób wnosilem do kamiennej architektury grę barw. Zaprojektowana przez Hitlera flaga ze swastyką nadawała się o wiele lepiej do architektonicznego wykorzystania niż podzielona na trzy kolorowe pasy. Z pewnością nie było największym wyrazem szacunku dla flagi używanie jej jako elementu dekoracyjnego w celu podkreślenia rytmicznego podziału fasad czy zasłonięcia, od gzymsu pod dachem aż do chodnika, brzydkich domów z końca ubiegłego wieku; nierzadko flagi dekorowane były jeszcze złotymi wstęgami, które potęgowały efekt czerwieni - ale patrzyłem na to oczami architekta. Szczególnego rodzaju orgie flag urządzałem w wąskich ulicach Goslaru i Norymbergi, zawieszając jedną przy drugiej na wszystkich domach, tak że prawie nie było widać nieba.

Z powodu tych zajęć byłem nieobecny na wszystkich wystąpieniach Hitlera, z wyjątkiem jego „przemówień poświęconych kulturze”, które sam często uważał za swe szczytowe osiągnięcia oratorskie i które z reguły opracowywał już w Obersalzbergu. Podziwiałem wówczas te przemówienia, a to, jak sądziłem, nie tyle ze względu na ich retoryczną błyskotliwość, ile z uwagi na ich przemyślaną treść i poziom. W Spandau postanowiłem przeczytać je ponownie po wyjściu z więzienia; miałem bowiem nadzieję, że znajdę w nich coś z mojego dawnego świata, co nie będzie mnie odpychać; zawiodłem się jednak w swych oczekiwaniach. W ówczesnych okolicznościach mówiły mi one wiele, teraz wydawały się pozbawione treści i napięcia, płaskie i bezwartościowe. Pozwalały bez trudu rozpoznać dążenie Hitlera, który do celów własnego panowania usiłował wykorzystać pojęcie kultury, wypaczając całkowicie jego sens. Nie potrafiłem pojąć, dlaczego wywarły na mnie niegdyś tak głębokie wrażenie. Co to było?

Nigdy też nie mogłem zapomnieć otwierania zjazdów wystawianiem *Śpiewaków norymberskich* przez zespół Berliner Staatsoper pod dyrekcją Furtwänglera. Wydawałoby się, że takie galowe przedstawienie, któremu podobne zobaczyć można było tylko w Bayreuth, powinno się cieszyć wielką frekwencją. Ponad tysiąc „czołowych osobistości z partii” otrzymało zaproszenia i bilety, ale woleli oni raczej przekonać się o jakości norymberskiego piwa lub frankońskiego wina. Przy tym każdy miał prawdopodobnie nadzieję, że inni spełnią obowiązek partyjny i odsiedzą swoje w operze. W ogóle nie ma ani odrobiny prawdy w twierdzeniu, że czołowi przywódcy partii interesowali się muzyką. Przeciwnie, były to na ogół gruboskórne, prostackie typy, które równie trudno było zainteresować muzyką, jak sztuką czy literaturą. Nawet nieliczni przedstawiciele inteligencji wśród hitlerow-

skiej „góry”, jak na przykład Goebbels, nie brali udziału w imprezach tego rodzaju co regularne koncerty Berlińskiej Filharmonii pod dyrekcją Furtwänglera. Spośród całej czołówki można tu było spotkać jedynie ministra spraw wewnętrznych Fricka; nawet Hitler, który wydawał się entuzjasmować muzyką, po 1933 roku również pojawiał się w Filharmonii tylko przy rzadkich okazjach oficjalnych.

Znając te kulisy można zrozumieć, dlaczego podczas owego wystawienia *Śpiewaków norymberskich* w 1933 roku Opera Norymberska była prawie pusta, gdy Hitler wchodził do środkowej łoży. Zareagował on na to bardzo gniewnie, gdyż nic, jak powiedział, nie jest bardziej obraźliwe i trudne do zniesienia dla artystów niż granie przed pustą widownią. Kazał więc rozesłać patrole, które miały ściągnąć do opery wysokich funkcjonariuszy partyjnych z hoteli, piwiarni i winiarni; ale mimo to nie udało się zapełnić sali. Następnego dnia w kierownictwie organizacyjnym opowiadano liczne dowcipy na temat, gdzie i w jaki sposób znajdowano nieobecnych.

W wyniku tego incydentu Hitler wyraźnie nakazał tym bynajmniej nie rozmiłowanym w teatrze przywódcom partyjnym, by w następnym roku byli obecni na uroczystym przedstawieniu. Zjawili się znudzeni, wielu wyraźnie morzył sen. Zdaniem Hitlera także oklaski były stanowczo zbyt skąpe jak na takie galowe przedstawienie. Począwszy od 1935 roku zastępowano więc niewrażliwą na sztukę masę partyjniaków publicznością cywilną, która musiała nabywać bilety za ciężkie pieniądze. Dopiero w ten sposób udało się zapewnić niezbędną dla artystów „atmosferę” i zgotować im entuzjastyczne przyjęcie, jak tego żądał Hitler.

Późnym wieczorem, po zakończeniu prac związanych z przygotowaniem zjazdu, wracałem do swej kwatery, hotelu „Deutscher Hof”, zarezerwowanego dla sztabu Hitlera oraz dla gauleiterów i reichsleiterów. W restauracji hotelowej zastawałem regularnie grupę starych gauleiterów. Hałasowali i pili jak najęci, głośno mówili o zdradzeniu przez partię zasad rewolucji, o zdradzie robotników. Istnienie tej frondy świadczyło, że idee Gregora Strassera, który kiedyś przewodził antykapitalistycznemu skrzydłu w NSDAP, ciągle jeszcze, aczkolwiek jedynie w formie słownej, dawały znać o sobie. Ale tylko pod wpływem alkoholu budził się ten stary rewolucyjny zapal.

W 1934 roku po raz pierwszy przeprowadzono dla uczestników zjazdu, w obecności Hitlera, pokaz działań bojowych. Wieczorem tego dnia Hitler oficjalnie wizytował biwakujących żołnierzy. Wydawało się, że jako były gefreiter wrócił do znanego sobie świata; przy świetle

obozowych ognisk wszedł między szeregi żołnierzy, którzy otoczyli go kołem, wymieniał z nimi żartobliwe uwagi. Z wizyty tej Hitler powrócił odprężony, a w czasie krótkiego posiłku opowiadał interesujące szczegóły.

Natomiast naczelne dowództwo armii wcale nie było zachwycone. Jego adiutant Hossbach mówił o „braku dyscypliny” u żołnierzy, którzy w obecności głowy państwa samowolnie wystąpili z paradnego szyku. Nalegał, by w następnym roku nie dopuścić do takich poufałości, ponieważ nie odpowiada to godności głowy państwa. W prywatnym gronie Hitler oburzał się na tę krytykę, ale okazał się gotowy do ustępstw. Byłem zdziwiony tą, chciałbym niemal powiedzieć, bezradną ustepliwością Hitlera, którą przejawiał, kiedy przedstawiono mu stanowczo te żądania. Być może jednak wpływało to z chęci stosowania ostrożnej taktyki wobec Wehrmachtu oraz z faktu, że jeszcze nie dość pewnie czuł się w roli głowy państwa.

Podczas przygotowań do zjazdów zetknąłem się z kobietą, która wywarła na mnie wrażenie już w moich latach studenckich: Leni Riefenstahl. gwiazda i reżyser znanych filmów o górach i narciarstwie. Hitler zlecił jej filmowanie zjazdów. Jako jedyna kobieta sprawująca oficjalną funkcję w maszynie zjazdowej często organizatorami partyjnymi, którzy początkowo omal nie wywołali przeciw niej rewolty. Na kierowników politycznych tego tradycyjnie antykobiecego ruchu owa pewna sobie kobieta działała prowokująco, wydając bez zażenowania mężczyznom polecenia związane z jej zadaniami. Knuto przeciwko niej intrygi, obmawiano ją przed Hessem, starano się jej pozbyć. Jednak po pokazie pierwszego filmu ze zjazdu nawet wątpiący z otoczenia Hitlera uznali filmowe umiejętności reżyserki, i ataki ustały. ścierała się z

Gdy nawiązałem z nią kontakt, wyciągnęła z kasety poźółkły wycinek z gazety: „Kiedy przed sześciu laty przebudował pan siedzibę okręgu, wycięłam z gazety, nie znając pana, pańską fotografię”. Zaskoczony zapytałem o powód, na co odparła: „Myślałam wtedy, że pan z tą kł głową mógłby zagrać pewną rolę... Naturalnie w jednym z moich filmów”.

Przypominam sobie ponadto, że zdjęcia filmowe zrobione na jednym z uroczystych posiedzeń kongresu partii w 1935 roku nie udały się. Zgodnie z propozycją Leni Riefenstahl Hitler zarządził powtórzenie tych scen w atelier. W jednej z wielkich hal filmowych w Berlinie-Johannistalu zbudowałem jako tło fragment sali kongresowej oraz podium i mównicę. Skierowano na nie reflektory, sztab filmowców krzątał się wokół - a w głębi widoczni byli Streicher, Rosenberg i Frank;

chodzili tam i z powrotem trzymając w ręku manuskrypty i powtarzając gorliwie swe role. Nadszedł Hess i poproszono go pierwszego do zdjęć. Dokładnie tak samo, jak wobec 30 tysięcy słuchaczy na kongresie partyjnym, podniósł uroczyście rękę. Z właściwym mu patosem autentycznego podniecenia począł zwracać się do nieobecnego przecież Hitlera i krzyczał stojąc w wyprostowanej postawie: „Mein fuhrer, witam pana w imieniu kongresu partii. Kongres kontynuuje obrady. Głos ma fuhrer!” Robił to przy tym tak przekonywająco, momentu nigdy już nie byłem całkowicie pewny szczerości jego uczuć. Także trzej inni odgrywali swoje partie przed pustą halą filmową, dokładnie imitując rzeczywistość, i okazali się zdolnymi aktorami. Byłem mocno zirytowany; pani Riefenstahl natomiast uznała te wyreżyserowane ujęcia za lepsze niż oryginalne.

że od tego

Już wcześniej co prawda podziwiałem swoistą technikę wystąpień, kiedy na przykład Hitler na swych wiecach często długo badał nastrój, aż wreszcie znajdował odpowiedni moment, by wywołać pierwszą, wielką burzę entuzjazmu. Wcale także nie lekceważyłem czynnika demagogii, którą posługiwanie się sam przecież ułatwiałem przez tworzenie oprawy najważniejszych wieców. Ale bądź co bądź byłem dotąd przekonany o prawdziwości uczuć, przy pomocy których mówcy wywoływali entuzjazm mas. Tym bardziej zaskoczył mnie owego dnia w atelier filmowym w Johannistalu fakt, że ta cała sztuka oczarowywania mogła być odegrana „szczerze” także bez publiczności.

Przy planowaniu budowli norymberskich zastanawiałem się nad syntezą klasycyzmu Troosta i prostoty Tessenowa. Nazywałem ją nie neoklasycystyczną, lecz neoklasyczną, ponieważ sądziłem, wyprowadziłem ją ze stylu doryckiego. Łudziłem sam siebie, pragnąc zapomnieć, że budowle te naśladowały monumentalne kulisy, jakie próbowano budować, skromnymi wprawdzie środkami, już przedtem, podczas rewolucji francuskiej, na paryskim Polu Marsowym. Kategorii „klasyczny” i „prosty” nie można było użyć w odniesieniu do budowanych przeze mnie w Norymberdze obiektów, których podstawową cechą były gigantyczne rozmiary. Mimo to nawet jeszcze dzisiaj podobają mi się najbardziej moje projekty norymberskie w odróżnieniu od wielu innych, które sporządziłem później dla Hitlera i które wypadły znacznie pretensjonalniej.

że

W pierwszą podróż zagraniczną, w maju 1935 roku, wybrałem się, z racji swojego rozmiłowania w świecie Dorów, nie do Włoch z ich

renesansowymi pałacami i olbrzymimi budowlami rzymskimi, chociaż tu raczej znalazłbym dla siebie kamienne wzorce, lecz skierowałem się - co było znamienne dla moich ówczesnych poglądów - do Grecji.

Poszukiwaliśmy tu z żoną przede wszystkim pozostałości świata doryckiego i dobrze pamiętam głębokie wrażenie, jakie wywarł na nas odbudowany stadion ateński. Kiedy w dwa lata później sam miałem zaprojektować stadion, przejąłem jego podkowiasty kształt.

W Delfach zorientowałem się, jak szybko bogactwo zdobyte w koloniach jońskich w Azji spowodowało degenerację greckich dzieł sztuki. Czy zjawisko to nie demonstrowa, jak delikatny jest wysoko rozwinięty zmysł artystyczny i jak nieznaczne siły wystarczą, by zmienić nie do poznania doskonałe idee? Snułem takie rozważania bardzo niefrasobliwie; wydawało mi się, że moje własne prace unikają tych niebezpieczeństw.

Gdy powróciliśmy w czerwcu 1935 roku, gotowe było już moje własne mieszkanie w Berlinie-Schlachtensee. Mały domek z jedną jadalnią i tylko jednym pokojem dziennym, najniezbędniejszymi sypialniami, liczący ogółem 125 metrów kwadratowych powierzchni mieszkalnej; świadomie przeciwstawiałem się coraz bardziej powszechnemu wśród bonzów Rzeszy zwyczajowi zajmowania olbrzymich willi lub przywłaszczania sobie zamków. Chcieliśmy uniknąć tego, co widzieliśmy u nich - otaczania się przepychem i sztywną oficjalnością, wskutek czego skazywali się także na stopniowo pogłębiające się usztywnienie ich życia prywatnego.

Nie mógłbym zresztą zbudować sobie nic większego, gdyż brakowało mi na to środków. Mój dom kosztował 70 tysięcy marek; bym je mógł zgromadzić, ojciec musiał obciążyć swą hipotekę sumą 30 tysięcy marek. Mimo że jako samodzielny architekt pracowałem dla partii i państwa, to jednak moje zasoby pieniężne były skromne, gdyż w bezinteresownym odruchu, inspirowany przez idealistyczną ofiarność, będącą w stylu ówczesnego okresu, zrezygnowałem z honorariów należnych mi za wszystkie opracowania architektoniczne moich budowli.

Postawa ta spotkała się z niezrozumieniem. Pewnego dnia w Berlinie Goring, będąc w jak najlepszym humorze, powiedział do mnie: „No, panie Speer, ma pan teraz wiele roboty. To i zarabia pan mnóstwo forsy”. Kiedy zaprzeczyłem, spojrzał na mnie zdumiony. „Co też pan mówi? Architekt wykonujący tyle prac co pan? Oceniałem pana na kilkaset tysięcy marek rocznie. Wszystko to bzdura, te wszystkie pana ideały. Musi pan zarabiać pieniądze!” W przyszłości kazałem sobie

oprócz wynagrodzenia za budowę norymberskie, wynoszącego 1000 marek miesięcznie, wypłacać honoraria należne architektowi. Ale nie chciałem wiązać się stałą posadą nie tylko dlatego, by nie stracić samodzielności zawodowej; Hitler, jak się orientowałem, miał większe zaufanie do architektów nie zajmujących etatu państwowego - jego uprzedzenie do urzędników wyrażało się nawet w ten sposób. Pod koniec mojej pracy w charakterze architekta mój majątek wzrósł do około półtora miliona, a Rzesza winna mi była dalszy milion, którego już nie odebrałem.

Moja rodzina żyła szczęśliwie w nowym domu; chciałbym móc napisać, że to szczęście rodzinne było także moim udziałem, jak to sobie kiedyś wymarzyłem razem z żoną. Kiedy późnym wieczorem wracałem zmęczony po pracy, dzieci już dawno były w łóżkach, a my z żoną nie mogliśmy mówić z wyczerpania. To odrętwienie zdarzało się coraz częściej, i kiedy dzisiaj przypominam sobie ówczesną sytuację, dochodzę do wniosku, że los mój w istocie nie różnił się od losu bonzów partyjnych, którzy zniszczyli swe życie rodzinne przez pompatyczny styl bycia. Oni skostnieli przybierając pozę oficjalności, ja natomiast w wyniku nadmiernej pracy.

Jesienią 1934 roku zatelefonował do mnie Otto Meissner, dla którego Hitler był trzecim po Ebercie i Hindenburgu szefem. Miałem udać się z nim następnego dnia do Weimaru, by pojechać z Hitlerem do Norymbergi.

Aż do świtu notowałem myśli, które krążyły mi po głowie od pewnego czasu. W związku z imprezami zjazdowymi trzeba było wykonać nowe wielkie prace: przygotować pole do pokazów wojskowych, wybudować wielki stadion i halę, w której Hitler mógłby przemawiać na temat kultury i gdzie odbywałyby się koncerty. Dlaczego nie połączyć tego z tym, co już istnieje, w jedno olbrzymie centrum? Dotychczas nie ważyłem się podejmować inicjatywy w takich sprawach, ponieważ rozważanie ich Hitler zastrzegł dla siebie. Nieśmiało więc zabrałem się do szkicowania planu.

W Weimarze Hitler pokazał mi projekt „forum partyjnego”, autorstwa profesora Paula Schultze-Naumburga. „Wygląda, jak ogromny rynek jakiegoś prowincjonalnego miasta”, powiedział. „Nie ma w sobie nic typowego, nie odróżnia się od poprzednich okresów. Jeśli już budujemy forum partyjne, to niechże później będzie widoczne, że zbudowano je w naszej epoce i w naszym stylu, jak na przykład

monachijski Königsplatz". Schultze-Naumburg, autorytet w organizacji Kampfbund Deutscher Kultur, nie miał żadnej możliwości wystąpienia w swojej obronie; nie zapoznano go nawet z tą krytyką. Hitler nie zwracał żadnej uwagi na renomę tego człowieka i zarządził nowy konkurs, do którego zaproszono różnych architektów, wybranych według jego uznania.

Następnie udaliśmy się do domu Nietzschego, gdzie jego siostra, pani Forster-Nietzsche, oczekiwała Hitlera. Ta kobieta pochłonięta ekscentrycznymi pomysłami najwyraźniej nie umiała z nim znaleźć wspólnego języka; wywiązała się dziwnie płytka, nieskładna rozmowa. Ku zadowoleniu wszystkich załatwiono jednak główną sprawę: Hitler przejął koszty wzniesienia dobudówki do starego domu Nietzschego, a pani Forster-Nietzsche zgodziła się, by odpowiednie plany wykonał Schultze-Naumburg. „Dopasować się do starego domu potrafi lepiej”, powiedział Hitler. Był wyraźnie zadowolony, dać architektowi małą rekompensatę.

ze mógł

Nazajutrz z rana pojechaliśmy samochodem do Norymbergi, chociaż Hitler z powodów, które miałem poznać jeszcze tego samego dnia, wolał wówczas podróżować raczej pociągiem. Siedział jak zawsze obok swego kierowcy w otwartym ciemnobłękitnym mercedesie, wyposażonym w silnik o pojemności siedmiu tysięcy centymetrów sześciennych, z kompresorem. Za Hitlerem, na jednym z siedzeń zapasowych, jechałem ja, na drugim kamerdyner, który na wyciągał z torby mapy samochodowe, kanapki, pigułki lub okulary. Na tylnych siedzeniach znajdowali się adiutant Bruckner oraz szef prasowy dr Dietrich. W samochodzie towarzyszącym, takiej samej wielkości i koloru, jechało pięciu silnych mężczyzn z ochrony i lekarz osobisty, dr Brandt.

życzenie

Jak tylko znaleźliśmy się po drugiej stronie Lasu Turyńskiego, w gęściej zaludnionych okolicach, zaczęły się trudności. przejeżdżaliśmy przez jedną z miejscowości, poznano nas, ale nim ludzie zdążyli się zorientować, już nas nie było. „Teraz uważajcie”, powiedział Hitler. „W następnej miejscowości nie będzie tak łatwo. Tutejsza grupa partyjna na pewno już tam zatelefonowała”. Rzeczywiście, kiedy nadjechaliśmy, ulice były pełne wiwatujących ludzi, wiejski policjant robił, co mógł, ale mimo to samochód posuwał się naprzód bardzo powoli. Ledwie przedarliśmy się, a już kilka rozentuzjasmowanych osób opuściło szlaban na drodze, by zatrzymać i powitać Hitlera.

Gdy

W ten sposób prawie nie posuwaliśmy się naprzód. Kiedy nadeszła pora obiadu, wstąpiliśmy do małej gospody w Hildburgs-

hausen, gdzie Hitler przed laty ubiegał się o mianowanie go komisarzem żandarmerii, by zdobyć niemieckie obywatelstwo. Jednak nikt z nas o tym nie wspominał. Obsługa nie mogła opanować swego zdenerwowania. Z trudem jeden z adiutantów wydusił z nich propozycję menu: spaghetti z jajkiem. Czekaliśmy długo, aż wreszcie adiutant zajrzał do kuchni. „Kobiety są tak zdenerwowane, że nie potrafią stwierdzić, czy spaghetti jest już ugotowane”.

Na zewnątrz zebrały się tymczasem tysiące ludzi, chóralnie wzywających Hitlera. „Ach, żebyśmy wreszcie się przedostali”, powiedział. Powoli wśród deszczu kwiatów dotarliśmy do średniowiecznej bramy. Młodzi ludzie zamknęli ją tuż przed nami. dzieci wspinały się na stopnie samochodów. Hitler musiał porozdawać autografy, dopiero wtedy bramy otwarto. Obecni śmiali się, a on razem z nimi.

Wszędzie we wsiach chłopcy przerywali pracę, kobiety machały rękami; była to podróż triumfalna. W pewnym momencie Hitler przechylił się do tyłu i zawołał do mnie: „Tak witany był dotychczas tylko jeden Niemiec: Luter! Kiedy jechał, z daleka nadciągali ludzie i witali go uroczyście. Tak jak dzisiaj mnie”.

Ta wielka popularność była aż nadto zrozumiała: opinia publiczna przypisywała tylko i wyłącznie Hitlerowi sukcesy gospodarcze i w polityce zagranicznej, w coraz większym stopniu widziano w nim realizatora marzeń o potężnych, pewnych siebie i zjednoczonych Niemczech. Nieufni stanowili nieznaczną mniejszość. A jeśli ktoś niekiedy odczuwał wątpliwości, uspokajał się myślą o sukcesach i respekcie, jakim reżim cieszył się także za granicą mimo jej krytycznego nastawienia.

W tym czołobitnym odurzeniu ludności wiejskiej, które fascynowało także mnie, tylko jedna osoba z naszego samochodu zachowała krytycyzm: długoletni szofer Hitlera, Schreck. Słyszałem strzępy rozmowy: „...są niezadowoleni z powodu ...członkowie partii zarozumiali... dumni, zapomnieli, skąd pochodzą...” Po przedwczesnej śmierci Schrecka jego olejny portret wisiał w prywatnym gabinecie w Obersalzbergu koło portretu matki Hitlera - jednak brak było portretu ojca.

Tuż przed Bayreuth Hitler przesiadł się sam do małego zamkniętego „Mercedesa” prowadzonego przez Hofmanna i nie rozpoznany pojechał do willi „Wahnfried”, gdzie oczekiwała go pani Winifreda Wagner, my zaś udaliśmy się do leżącego obok kurortu Berneck, gdzie Hitler z reguły nocował w czasie przejazdów samochodem z Monachium do Berlina. W osiem godzin pokonaliśmy tylko 210 kilometrów.

Kiedy dowiedziałem się, że Hitler przybędzie z willi „Wahnfried” dopiero późną nocą, znalazłem się w pewnym kłopotcie: następnego dnia mieliśmy jechać do Norymbergi i było bardzo prawdopodobne, że Hitler zatwierdzi tam program budowlany zgodnie z wnioskami zarządu miejskiego, który oczywiście miał na uwadze tylko swoje własne interesy. Gdyby tak się stało, to prawie nie byłoby nadziei na uwzględnienie mojego projektu, ponieważ Hitler niechętnie odwoływał swoje decyzje. Tej nocy miał się widzieć z nim jeszcze tylko Schreck; objaśniłem mu więc swój plan urządzenia terenów zjazdowych; obiecał mi, że opowie o nim Hitlerowi w czasie jazdy, a jeśli zareaguje on pozytywnie, to przekaże mu szkic.

Następnego ranka, na krótko przed odjazdem, zostałem wezwany do salonu Hitlera: „Zgadzam się z pańskim planem. Jeszcze dzisiaj porozmawiamy o tym z burmistrzem Lieblem”.

Dwa lata później Hitler, mając do czynienia z burmistrzem, powiedziałby bez ogródek: „Tutaj jest plan terenów zjazdowych; tak chcemy to zrobić”. Ale w 1935 roku nie czuł się jeszcze tak pewnie i godzinę zużył na wprowadzające wyjaśnienia, nim wreszcie wyłożył na stół mój szkic. Burmistrz uznał naturalnie projekt za wyśmienity, gdyż jako „partei-genosse” przyzwyczajony był do przybierania postawy potakującej.

Pochwaliwszy mój plan, Hitler przystąpił znów do sondażu: mój projekt wymagał przeniesienia norymberskiego ZOO. „Czy możemy tego wymagać od mieszkańców Norymbergi? Jak wiem, bardzo lubią swój Ogród Zoologiczny. Zapłacimy naturalnie za nowy, jeszcze piękniejszy”. Burmistrz jednak był zarazem dobrym reprezentantem interesów swego miasta: „Trzeba będzie zwołać akcjonariuszy, może spróbujemy wykupić od nich akcje...” Hitler godził się na wszystko, Po wyjściu Liebel zacierając ręce powiedział do jednego ze swych pracowników: „Dlaczego właściwie fuhrer tak długo nas przekonywał? Naturalnie, otrzyma stary Ogród Zoologiczny, a my dostaniemy nowy. Stary i tak nie był już nic wart. Nowy musi być najpiękniejszy na świecie. Będziemy przecież mieli na to pieniądze”. W ten sposób mieszkańcy Norymbergi zyskali przynajmniej nowy Ogród Zoologiczny; jedyną rzecz, którą udało się zrealizować z zatwierzonego planu.

Jeszcze tego samego dnia pojechaliśmy pociągiem do Monachium. Wieczorem zadzwonił do mnie adiutant Bruckner: „Niech pana diabli porwą razem z pańskim planem! Nie mógł pan poczekać? Ostatniej nocy fuhrer nie zmrużył oka, tak bardzo się tym podniecił. Następnym razem niech pan łaskawie spyta najpierw mnie!”

W celu zrealizowania planu utworzono „zespół do spraw terenów zjazdowych Rzeszy w Norymberdze”. Finansowanie przejął, nie bez oporów, minister finansów Rzeszy. Hitler wpadł na błazeński pomysł i uczynił przewodniczącym ministra do spraw wyznań, Kerrla, a jego zastępcą Martina Bormanna, który tym samym otrzymał pierwsze poważne, oficjalne zadanie poza swoimi obowiązkami w kancelarii partii.

Całe założenie obejmowało budowle, które miały kosztować około 700-800 milionów marek (dzisiaj około 3 miliardów DM); suma, jaką w osiem lat później wydawałem w ciągu czterech dni na sprzęt zbrojeniowy⁶. Teren wraz z obozowiskami dla uczestników obejmował powierzchnię mniej więcej 16,5 kilometra kwadratowego. Za Wilhelma II, notabene, miano zbudować „uroczyste miejsce obchodów niemieckich świąt narodowych”, o rozmiarach 2000 na 600 metrów.

W dwa lata po zaakceptowaniu przez Hitlera mój projekt terenów zjazdowych zaprezentowano na Wystawie Światowej w Paryżu w 1937 roku, gdzie otrzymał Grand Prix. Na południowym skraju kompleksu usytuowane zostało „Pole Marsowe”; nazwa ta nawiązywała nie tylko do imienia boga wojny Marsa, lecz także do miesiąca, w którym Hitler wprowadził obowiązek służby wojskowej. Powierzchnia tego olbrzymiego terenu, gdzie Wehrmacht przeprowadzać miał pokazy ćwiczeń bojowych, a więc małe manewry, wynosiłaby 1050 na 700 metrów, podczas gdy imponujące obszary wokół pałaców króla Dariusza I i Kserksesa w Persepolis, z V wieku przed naszą erą, obejmowały tylko powierzchnię 450 na 275 metrów. Cały obiekt postanowiłem obramować trybunami o wysokości 14 metrów, zapewniającymi miejsca dla 160 tysięcy widzów; dwadzieścia cztery wieże, liczące ponad 40 metrów wysokości, miały dokonać rytmicznego podziału trybun, pośrodku których wznosiłaby się trybuna honorowa z górującym nad nią posągiem kobiety. Neron w roku 64 naszej ery kazał zbudować na Kapitolu olbrzymi posąg o wysokości 36 metrów, nowojorska Statua Wolności ma 46 metrów, a nasz posąg miał ją przewyższać jeszcze o 14 metrów.

Od północy, dokładnie naprzeciw starego norymberskiego zamku Hohenzollernów, widocznego w dali, Pole Marcowe przechodziło w trasę defiladową o długości 2 kilometrów i szerokości 80 metrów. Miał po niej defilować przed Hitlerem Wehrmacht w kolumnach o szerokości około 50 metrów. Trasa, której budowę ukończono jeszcze przed wojną, wyłożona grubymi płytami granitowymi, wytrzymać mogła także ciężar czołgów; powierzchnię miała chropowatą, by

żołnierze, maszerując krokiem defiladowym, nie ślizgali się. Po prawej ręce wznosiły się schody o dużych stopniach, gdzie Hitler w otoczeniu swej generalicji chciał odbierać defilady. Naprzeciw znajdowała się wsparta na filarach hala, w której miano rozwieszać sztandary.

Owa hala, licząca tylko 18 metrów wysokości, miała być porównawczym miernikiem rozmiarów rozciągającego się dalej "wielkiego stadionu", który zgodnie z zaleceniem Hitlera mieściłby 400 tysięcy widzów. Największą w historii porównywalną budowlą był rzymski Circus Maximus dla 150 do 200 tysięcy osób, podczas gdy nasze współczesne stadiony miały wtedy najwyżej 100 tysięcy miejsc.

Piramida Cheopsa, wzniesiona około 2500 roku przed naszą erą, ma 2570 tysięcy metrów sześciennych przy 230 metrach długości i 146 wysokości. Stadion norymberski liczyłby 550 metrów długości i 460 szerokości oraz miałby obudowane pomieszczenia o kubaturze 8 500 tysięcy metrów sześciennych⁷, a więc 3 razy większej niż piramida Cheopsa. Stadion miał być zdecydowanie największą budowlą na tym terenie i jedną z największych w historii. Wyliczenia wykazały, że dla pomieszczenia przewidzianej liczby widzów obrzeże stadionu musiałoby mieć prawie 100 metrów wysokości. Ował byłby rozwiązaniem nie do utrzymania; powstający w ten sposób kocioł nie tylko potęgowałby upał, lecz doprowadziłby zapewne także do napięć psychicznych. Dlatego wybrałem ateński kształt podkowy. Przeprowadzaliśmy badania na zboczu o podobnym kącie spadu, po przykryciu nierówności konstrukcją drewnianą, aby się przekonać, czy z korony stadionu można będzie jeszcze obserwować zawody sportowe; wynik był lepszy, niż zakładałem.

Obliczyliśmy, że stadion norymberski kosztował będzie 200 do 250 milionów marek, a więc według dzisiejszych kosztów budowy około miliarda DM. Hitler nie miał żadnych zastrzeżeń: „To mniej niż dwa okręty bojowe typu »Bismarck«. Pancernik, jeśli wcześniej nie zostanie zniszczony, i tak za dziesięć lat jest złomem. A ta budowla stać będzie całe stulecie. Niech pan odpowie wymijająco, gdyby minister finansów zapytał pana, ile to kosztuje. Niech pan powie, że brak jest doświadczeń z tak wielkich przedsięwzięć budowlanych". Za kilka milionów marek zamówiono granit - jasnoczerwony na okładziny zewnętrzne, biały do wyłożenia trybun. Zrobiono olbrzymi wykop na fundamenty, który w czasie wojny stał się malowniczym jeziorem, a jego rozmiary dawały wyobrażenie o wielkości projektowanej budowy.

Na północ od stadionu trasa defiladowa przecinałaby staw, w którym miały się odbijać budowle. Trasę zamykałby plac, ograniczo-

ny z prawej strony stojącą jeszcze dzisiaj halą kongresową, z lewej miała być zbudowana „hala kulturalna” specjalnie po to, by zapewnić Hitlerowi stosowną przestrzeń do wygłaszania przemówień o kulturze. Hitler wyznaczył mnie na architekta wszystkich budowli terenów zjazdowych, z wyjątkiem hali kongresowej, którą zaprojektował już w 1933 roku architekt Ludwig Ruff. W sprawach planowania i wykonania miałem wolną rękę. Co roku Hitler brał udział w uroczystościach kładzenia kamienia węgielnego. Co prawda te kamienie przenoszono następnie do miejskich magazynów budowlanych, gdzie miały czekać na wmurowanie do chwili, kiedy budowa będzie odpowiednio zaawansowana. Przy kładzeniu kamienia węgielnego pod stadion, 9 września 1937 roku, Hitler w obecności dostojników partyjnych uroczyście podał mi rękę, mówiąc: „To jest największy dzień w pańskim życiu”. Być może już wtedy byłem sceptykiem, gdyż odpowiedziałem mu: „Nie, nie dzisiaj, mein fuhrer, lecz dopiero, gdy budowla będzie gotowa”.

Na początku 1939 roku Hitler w następujących słowach próbował uzasadnić wobec robotników gigantyczne rozmiary wznoszonych budowli: „Dlaczego ciągle największe? Robię to, by przywrócić poczucie pewności każdemu Niemcowi. Aby w setkach dziedzin powiedzieć mu: wcale nie ustępujemy, lecz przeciwnie, absolutnie dorównujemy każdemu innemu narodowi”.

Tej skłonności do nadmiernych rozmiarów nie należy tłumaczyć wyłącznie formą rządów; przyczyniło się do tego także szybko zdobyte bogactwo oraz chęć, wszystko jedno z jakich pobudek wpływająca, zademonstrowania własnej siły. Dlatego też największe budowle starożytnej Grecji znajdują się na wyspach sycylijskich i w Azji Mniejszej. Mogło to mieć związek z konstytucjami leżących tam miast, nadanymi przeważnie przez absolutnych władców, ale nawet w Atenach Peryklesa posąg Ateny Partenos Fidiasza miał 12 metrów wysokości. W dodatku większość z siedmiu cudów świata zdobyła swą sławę właśnie dzięki ich przesadnym rozmiarom: świątynia Artemidy w Efezie, mauzoleum w Halikarnasie, kolos rodyjski czy Zeus Olimpijski Fidiasza.

Gigantomania Hitlera wpływała jednak z innych pobudek, o których nie chciał mówić robotnikom: olbrzymie budowle miały uświetnić jego dzieło i wzmóc jego pewność siebie. Wznoszenie tych monumentów było czymś w rodzaju pretensji do panowania nad

światem i to na długo przedtem, zanim poważyl się wspomnieć o tym wyraźnie swemu najbliższemu otoczeniu.

I mnie również oszałamiała perspektywa stworzenia - przy pomocy rysunków, pieniędzy i firm budowlanych - kamiennych świadków historii i być może zdobycia sobie tysiącletniej sławy. Ale zawsze wywoływałem także zachwył Hitlera, kiedy mogłem mu udowodnić, że „pobiliśmy”, przynajmniej pod względem rozmiarów, wspaniałe budowle historyczne. Swego entuzjazmu nigdy przy tym nie wyrażał głośno. Unikał wielkich słów. Może w takich chwilach odczuwał pewien respekt - wobec siebie samego i wobec sięgającej w wieczność perspektywy własnej wielkości, stworzonej na własny rozkaz.

Na tym samym zjeździe, w 1937 roku, podczas którego Hitler położył kamień węgielny pod budowę stadionu, zamknął on swe końcowe przemówienie zdaniem: „Naród niemiecki otrzymał jednak swą germańską Rzeszę”. Trochę później, na obiedzie, adiutant Hitlera Bruckner opowiadał, że feldmarszałek von Blomberg w tym miejscu wybuchnął ze wzruszenia płaczem. Hitler potraktował to jako dowód całkowitego zgodzania się z tym, że jego sformułowanie ma zasadnicze znaczenie.

Wiele mówiono wtedy, że to zagadkowe zdanie zapoczątkuje nowy okres w wielkiej polityce: dużo jeszcze się w związku z tym zdarzy. Wiedziałem mniej więcej, o co chodziło, gdyż w tym czasie Hitler zatrzymał mnie kiedyś zniemacka na schodach prowadzących do swego mieszkania, kazał odejść ochrone i rzekł: „Stworzymy wielką Rzeszę. Obejmie ona wszystkie narody germańskie. Zaczynać się będzie w Norwegii i ciągnąć aż do północnych Włoch. Ja sam muszę to jeszcze zrealizować. Żeby mi tylko starczyło zdrowia!”

Było to jeszcze stosunkowo powściągliwe sformułowanie. Wiosną 1937 roku Hitler odwiedził mnie w moich berlińskich salach wystawowych. Staliśmy sami przed mającym ponad dwa metry wysokości modelem stadionu dla 400 tysięcy osób. Był on ustawiony na wysokości oczu, przedstawiał każdy przyszły szczegół; oświetlono go silnymi reflektorami filmowymi, tak że mogliśmy bez specjalnego wyteżenia fantazji wyobrazić sobie, jakie wrażenie musiałaby wywoływać ta budowla. Obok modelu przypięto do tablic plany. Hitler zatrzymał się przy nich. Rozmawialiśmy o Igrzyskach Olimpijskich; zwróciłem mu uwagę, jak już wielokrotnie przedtem, że boisko mojego projektu nie ma przepisowych wymiarów olimpijskich. Na to Hitler

odpowiedział, nie zmieniając głosu, jakby chodziło o coś bezdyskusyjnie oczywistego: „Zupełnie nieważne. W 1940 roku Igrzyska Olimpijskie odbędą się jeszcze w Tokio. Ale potem, potem odbywać się będą po wszystkie w Niemczech, na tym stadionie. A wymiary boiska określać będziemy wtedy my”

Według naszego szczegółowo opracowanego harmonogramu stadion miał być gotów na zjazd w 1945 roku...

1 Od Funka dowiedziałem się w niewoli, że Hindenburg wyraził się wobec niego podobnie. Okoliczności narodzin telegramu gratulacyjnego od Hindenburga są niejasne.

2 Ten problem o ogólnym znaczeniu ujął Goethe w 1787 roku w *Ifigenii w Taurydzie* następująco: nawet „najlepszy człowiek” w końcu „przyzwyczajają się do okropności”, robi „wreszcie prawo z tego, czym się brzydzi”, i staje się „z przyzwyczajenia twardy i niemal nie do poznania”.

3 Aby osiągnąć ten cel, chcieliśmy zrezygnować z możliwie wielu nowoczesnych elementów konstrukcyjnych, wrażliwych na wpływy atmosferyczne, występujących w budowach stalowych i z żelbetonu; zaniedbując dachy i sufity, przygotowywaliśmy ściany na wytrzymanie znacznego nacisku wiatrów nawet na dużej wysokości. Konstrukcja ścian odpowiadała wyliczeniom statycznym.

4 Sir Neville Henderson pisał w *Failure of a mission* (1940): „W organizacji nazistów i ich urządzeniach socjalnych było rzeczywiście wiele rzeczy - różnych od ich szalonego nacjonalizmu i ich ideologii - które powinniśmy studiować i... dostosować do naszej starej demokracji”.

5 Obydwa portrety namalował na podstawie zdjęć nadworny malarz Hitlera, profesor Knirr; Hitler zwykł dużo płacić za jego prace. Zdjęcie z późniejszego okresu pokazuje, że Knirr otrzymał także polecenie namalowania portretu ojca.

6 Wydatki Niemiec na produkcję wojenną w 1944 roku wynosiły - według Wagenfiihra: *Die deutsche Industrie im Kriege 1939-1945* (s. 86) 71 mld marek. W „Deutsche Bauzeitung” z 1898 roku, zeszyty nr 5, 9, 26 i 45, znajdują się szczegóły dotyczące przyszłych miejsc obchodów niemieckich świąt narodowych.

7 Kubatura Stadionu Olimpijskiego w Berlinie, zbudowanego w 1936 r., ma tylko 280 tyś. m³.

Rozdział 6

NAJPOWAŻNIEJSZE ZLECENIE

W ogrodzie na Obersalzbergu Hitler chodził niespokojnie w tę i z powrotem. „Naprawdę nie wiem, co mam robić. Jest to zbyt trudna decyzja. Najchętniej przyłączyłbym się do Anglików. Ale Anglicy w przeszłości niejednokrotnie okazali się niepewni. Jeśli pójdę z nimi, to między Włochami a nami na zawsze koniec. Potem Anglicy zostawią mnie na lodzie, i będziemy wystrychnięci na dudka". Zwierzał się tak często jesienią 1935 roku przed swym najbliższym gronem, które jak zwykle towarzyszyło mu w Obersalzbergu. W owych dniach Mussolini przy zmasowanych nalotach rozpoczął inwazję na Abisynię, negus uciekł, proklamowano nowe imperium rzymskie.

Hitler od czasu swej wizyty we Włoszech w czerwcu 1934 roku, która miała niezbyt pomyślny przebieg, darzył nieufnością co prawda nie samego Mussoliniego, lecz w ogóle Włochów i politykę włoską. Teraz, widząc potwierdzenie swych wątpliwości, przypomniał sobie polityczny testament Hindenburga, według którego Niemcy nigdy już nie powinny iść wspólnie z Włochami. Pod naciskiem Anglii Liga Narodów postanowiła zastosować sankcje gospodarcze wobec Włoch. Muszę się ostatecznie zdecydować, mówił Hitler, czy chcę trzymać z Anglikami czy z Włochami. Jest to decyzja na dalszą przyszłość. Podobnie jak i później, często mówił o swej gotowości zagwarantowania Anglikom ich imperium w zamian za globalne porozumienie. Jednak okoliczności nie pozostawiły mu wyboru. Zmusiły go do zadeklarowania się po stronie Mussoliniego. Nie była to, mimo zbieżności ideologicznych i rozwijających się kontaktów osobistych, decyzja. Jeszcze po wielu dniach Hitler stwierdzał z przygnębieniem, że do tego kroku zmusiła go sytuacja. Czuł więc tym większą ulgę, kiedy w kilka tygodni później okazało się, że w końcu zastosowane sankcje nie

łatwa

przynoszą Włochom poważniejszej szkody. Wnioskował stąd, Anglia, jak i Francja nie chcą ryzykować i pragną uniknąć wszelkiego niebezpieczeństwa. Późniejsza zuchwałość w postępowaniu Hitlera wynikała z takich doświadczeń. Rządy zachodnie, o czym się wówczas ostatecznie przekonał, okazały się słabe i niezdolne do podjęcia decyzji.

Umocnił się następnie w tym przekonaniu, gdy 7 marca 1936 roku wojska niemieckie wkroczyły do zdemilitaryzowanej Nadrenii. Było to jawne pogwałcenie układu z Locarno, które usprawiedliwiałoby militarną kontrakcję mocarstw sojuczniczych. Hitler nerwowo wyczekiwał pierwszych reakcji. We wszystkich przedziałach specjalnego wagonu, w którym jechaliśmy tego dnia wieczorem do Monachium, panowała wyjątkowo napięta atmosfera, która rozprzestrzeniała się z pomieszczenia fuhrera. Na jednej ze stacji do wagonu przekazano wiadomość. Hitler odetchnął: „Nareszcie! Król angielski nie interweniuje. Dotrzymuje obietnicy. W ten sposób wszystko może pójść dobrze”. Reakcja Hitlera zdradzała nieznamionowicie niewielkie możliwości konstytucyjnych angielskiej korony wobec parlamentu i rządu. Prawdopodobnie jednak interwencja militarna wymagałaby aprobaty króla i to być może chciał zaznaczyć Hitler. Jego obawy były w każdym razie poważne, a i później jeszcze, gdy prowadził wojnę niemal z całym światem, stale określał wkroczenie do Nadrenii jako najryzykowniejsze ze swych przedsięwzięć: „Nie mieliśmy większej armii: nie starczyłoby jej siły nawet na to, by oprzeć się samej Polsce. Gdyby Francuzi potraktowali sprawę poważnie, zostalibyśmy bez trudu zwyciężeni; w ciągu paru dni skończyłby się nasz opór. To, co mieliśmy w siłach powietrznych, było po prostu śmieszne. Trochę Ju-52 Lufthansy, a do tego brak nawet dostatecznej ilości bomb”. Po abdykacji króla Edwarda VIII, późniejszego księcia Windsoru, Hitler często jeszcze nawiązywał do pozorowanego zrozumienia króla dla narodowosocjalistycznych Niemiec: „Jestem pewien, że za jego pośrednictwem dałoby się osiągnąć trwałe przyjazne stosunki z Anglią. Gdyby pozostał, wszystko ułożyłoby się inaczej. Jego abdykacja była dla nas ciężką stratą”. Dorzucał do tego uwagi na temat ciemnych, wrogich Niemcom sił, decydujących o kierunku polityki brytyjskiej. Ubolewanie Hitlera nad tym, że nie połączył się z Anglią, przewijało się czerwoną nicią przez wszystkie lata jego panowania. Nasiliło się ono jeszcze, gdy 22 października 1937 roku księżę Windsoru wraz z żoną odwiedził go w Obersalzbergu i rzekomo pozytywnie wypowiedział się o osiągnięciach Trzeciej Rzeszy.

W kilka miesięcy po niezakłóconym wkroczeniu do Nadrenii Hitler wyraża zadowolenie z harmonijnej atmosfery podczas Igrzysk

Olimpijskich; rozdrażnienie zagranicy najwyraźniej minęło. Wydał polecenie, by licznym wybitnym gościom zagranicznym dostarczać wrażeń świadczących o pokojowym nastawieniu Niemiec. Z wielkim podnieceniem obserwował sportowe zmagania i podczas gdy każdy z wielu nieoczekiwanych sukcesów niemieckich uszczęśliwiał go, wyjątkową irytacją zareagował na serię zwycięstw kolorowego biegacza amerykańskiego, fenomenalnego Jesse'a Owensa. Ludzie, których przodkowie pochodzą z dżungli, są prymitywni - bardziej atletycznie zbudowani niż cywilizowani biali, mówił wzruszając ramionami, nie są równorzędnymi konkurentami, wobec czego należy ich wykluczyć z przyszłych igrzysk i zawodów sportowych. Olbrzymie wrażenie wywarła na Hitlerze frenetyczna owacja, jaką zgotowali berlińczycy wchodzącej na stadion olimpijskiej drużynie francuskiej. Francuzi przeszli z podniesionymi rękami koło trybuny honorowej Hitlera, wywołując tym spontaniczny entuzjazm wielu widzów. Ale Hitler dopatrywał się w tej długo trwającej owacji powszechnej tęsknoty za pokojem i porozumieniem z zachodnim sąsiadem. Jeśli dobrze tłumaczę to, co wtedy zaobserwowałem, był raczej zaniepokojony niż ucieszony tym radosnym nastrojem berlińczyków.

Wiosną 1936 roku Hitler zwiedzał ze mną odcinek autostrady. W czasie rozmowy napomknął: „Mam jeszcze do przekazania zlecenie budowlane. Największe ze wszystkich”. Skończyło się na tej uwadze. Nic więcej nie powiedział.

Od czasu do czasu Hitler szkicował wprawdzie niektóre pomysły przebudowy Berlina, ale dopiero w czerwcu pokazał mi plan centrum miasta, mówiąc: „Długo i szczegółowo wyjaśniałem burmistrzowi, dlaczego ta nowa ulica musi mieć sto dwadzieścia metrów szerokości, a wyrysował mi teraz tylko dziewięćdziesięciometrową”. Kilka tygodni później znowu mówiło się o burmistrzu, dr. Lippercie, starym członku partii i redaktorze naczelnym berlińskiego „Angriffu”, ale nic się nie zmieniło, ulica nadal miała 90 metrów. Lippert nie potrafił zapalić się do planów budowlanych Hitlera. Początkowo Hitler okazywał dezaprobatę, mówiąc jedynie, że burmistrz jest małostkowy, niezdolny do zarządzania metropolią, a tym bardziej do tego, by zrozumieć przypisane jej znaczenie historyczne. Z biegiem czasu uwagi te stawały się ostrzejsze: „Lippert, jest ignorantem, idiotą, niedołągą, zerem”. Zdziwiałoby jednak było, że Hitler w obecności burmistrza nigdy nie okazywał swego niezadowolenia i nigdy też nie próbował go

przekonać. Zdaje się, że już wtedy nie lubił trudzić się mozolnym wyluszczeniem przyczyn. Cztery lata później, po jednym ze spacerów z Berghofu do herbaciarni, podczas którego znowu mówił ze zdenerwowaniem o Lippercie, kazał połączyć się z Goebbelsem i kategorycznie polecił usunąć burmistrza ze stanowiska.

Aż do 1936 roku Hitler wyraźnie miał zamiar powierzyć opracowanie planów rozbudowy Berlina zarządowi miasta. Teraz wezwał mnie, by przekazać mi szybko i całkiem nieuroczyście zlecenie: „Z tym Berlinem nie można sobie poradzić. Odtąd pan robi projekt. Niech pan weźmie ten rysunek. Gdy będzie pan miał coś gotowego, proszę mi pokazać. Na to, jak pan wie, zawsze mam czas”.

Jak mi powiedział, jego pomysł zbudowania ulicy o ogromnej szerokości powstał przy studiowaniu niedoskonałych planów Berlina, które w latach dwudziestych pobudziły go do stworzenia własnych koncepcji¹. Już wtedy powziął decyzję przesunięcia dworców Anhalter Bahnhof i Potsdamer Bahnhof na południe od pół Tempelhofu, by w ten sposób uzyskać wolne miejsce w centrum miasta, na szerokich torowiskach. Dzięki temu po dokonaniu niewielu przebieg, poczynając od Siegesallee, można by otrzymać wspaniałą ulicę z reprezentacyjnymi gmachami, liczącą pięć kilometrów długości.

Wszystkie proporcje architektoniczne Berlina zostałyby całkowicie zmienione przez wzniesienie dwóch budowli, które Hitler chciał usytuować przy tej nowej reprezentacyjnej ulicy. Na jej północnym końcu, w pobliżu Reichstagu, przewidywał zbudowanie olbrzymiej kopulastej hali zgromadzeń, w której mogłoby się zmieścić kilka katedr Św. Piotra z Rzymu. Średnica kopuły miała wynosić 250 metrów. Pod nią, na wolnej przestrzeni liczącej około 38 tysięcy metrów kwadratowych, stanęłoby swobodnie ponad 150 tysięcy ludzi.

Już w czasie pierwszych narad, kiedy nasze koncepcje urbanistyczne dopiero się zarysowywały, Hitler uważał za konieczne wytłumaczyć mi, że wielkość hal zgromadzeń powinna być określana według zasad przyjętych w średniowieczu. Katedra w Ulm, mówił na przykład, ma 2500 metrów kwadratowych; kiedy zaczynano ją budować w XIV wieku, w Ulm mieszkało tylko 15 tysięcy osób, wliczając w to starców i dzieci. „A więc nigdy nie mogli wypełnić pomieszczenia; w porównaniu z tym halą dla milionowego Berlina, mieszczącą 150 tysięcy osób, trzeba nazwać małą”.

W pewnej odległości od Sudbahnhof Hitler chciał wznieść, jako przeciwagę tej hali, łuk triumfalny, którego wysokość ustalił na 120 metrów. „Będzie to przynajmniej godny pomnik dla miliona ośmiuset

tysięcy naszych poległych w wojnie światowej. Nazwisko każdego z nich zostanie wykute w granicie. Jakże pozbawiony godności jest ten berliński pomnik wzniesiony przez republikę. Jak nędzny i nie na miarę wielkiego narodu". Przekazał mi dwa szkice narysowane na małych kartkach. „Te rysunki zrobiłem przed dziesięciu laty. Cały czas chroniłem je, ponieważ nigdy nie wątpiłem, że pewnego dnia będę budował. I teraz właśnie to zrealizujemy".

Porównanie z dorysowaną sylwetką człowieka dowodzi, jak objaśniał Hitler, że już wtedy przewidział kopułę mającą ponad 200 metrów średnicy i łuk triumfalny o wysokości ponad 100 metrów. Zaskakują przy tym nie tyle same rozmiary, ile zadziwiająca obsesja, z jaką planował monumentalne, triumfalne budowle, kiedy jeszcze nie było nawet cienia nadziei na ich urzeczywistnienie. Dzisiaj raczej niesamowite wrażenie robi na mnie to, że w okresie zupełnego pokoju, zapewniając o gotowości do porozumienia, rozpoczął realizację planów, których związek z wojowniczymi zamiarami panowania nad innymi nie można było nie dostrzec.

„Berlin jest wielkim miastem, ale nie metropolią światową. Niech pan spojrzy na Paryż, najpiękniejsze miasto świata! Albo nawet Wiedeń! To są miasta wielkiego formatu. Berlin zaś nie jest niczym więcej niż nieregularnym nagromadzeniem budowli. Musimy przewyższyć Paryż i Wiedeń", mówił na licznych teraz naradach, które przeważnie odbywały się w jego mieszkaniu przy Kancelarii Rzeszy. Zawsze, zanim je zaczęliśmy, musiały odejść wszystkie inne osoby.

Plany Wiednia i Paryża Hitler przestudiował dokładnie we wcześniejszych latach. Podczas naszych dyskusji wydobywał z pamięci każdy ich szczegół. W Wiedniu podziwiał urbanistykę Ringstrasse z jej wielkimi budowlami: ratuszem, parlamentem, salą koncertową czy pałacem cesarskim i muzeami. Potrafił narysować tę część miasta w prawidłowej skali i nauczył się, że reprezentacyjne wielkie budowle oraz pomniki trzeba tak planować, by widoczne były ze wszystkich stron. Podziwiał te budowle, jeśli nawet nie zgadzały się wprost z jego poglądami, jak na przykład neogotycki ratusz. „Tutaj Wiedeń jest godnie reprezentowany. A niech pan spojrzy na ratusz berliński. Berlin otrzyma jeszcze piękniejszy ratusz niż Wiedeń, może pan być pewien".

Jeszcze bardziej był zafascynowany nowo przebitymi wielkimi ulicami, nowymi bulwarami, które stworzył w Paryżu Georges E. Haussmann w latach 1853-1870 kosztem 2,5 miliarda franków w złocie. Uważał Haussmanna za największego w historii budowniczego miast, miał jednak nadzieję, że ja go przewyższę. Długoletnie zmagania

Haussmanna kazały mu liczyć się z tym, że również berlińskie plany natrafiają na opory, które, jak mówił, uda się przewyciężyć tylko dzięki jego autorytetowi.

Początkowo użył co prawda pewnego podstępu, by zapewnić sobie uległość opierającego się zarządu miasta; uznano tam bowiem plany Hitlera za dar Danajów, kiedy okazało się, że zarząd miasta będzie musiał ponieść poważne wydatki na likwidację i budowę ulic oraz urządzeń publicznych, a także na budowę szybkich kolei. „Przez pewien czas będziemy się zajmować planami zbudowania naszej nowej stolicy nad jeziorem Muritz w Meklemburgii. Zobacz pan, jak berlińczycy się ożywią, gdy zwietrzą niebezpieczeństwo wyniesienia się rządu Rzeszy”, powiedział. Rzeczywiście, wystarczyło parę napomknięć na ten temat, a wkrótce ojcowie miasta okazali gotowość zaakceptowania kosztorysu planów budowlanych. Jednak Hitler przez kilka miesięcy znajdował upodobanie w zamiarze zbudowania niemieckiego „Waszyngtonu” i wyobrażał sobie, jak można z niczego stworzyć „idealne miasto”. Wreszcie wszystko to zarzucił. „Sztucznie wzniesione stolice zawsze pozostają martwe. Niech pan pomyśli o Waszyngtonie lub Canberze. Także u nas w Karlsruhe nie rozwinęło się żadne życie, ponieważ mieszkają tam sami nudni urzędnicy”. Jeśli chodzi o ten epizod, do dzisiaj nie jest dla mnie jasne, czy Hitler także przede mną odgrywał komedię, czy też przez pewien czas poważnie traktował tę ideę.

Punktem wyjściowym w jego urbanistycznych wizjach Berlina były dwukilometrowej długości Pola Elizejskie z wysokim na 50 metrów Łukiem Triumfalnym, zbudowanym przez Napoleona I w 1805 roku. Stąd zapożyczył wzorzec „Wielkiego Łuku” i stąd wywodził się jego pogląd na szerokość ulicy. „Pola Elizejskie mają sto metrów szerokości, na wszelki wypadek zrobimy naszą ulicę o dwadzieścia metrów szerszą. Kiedy dalekowzroczny wielki książę elektor zbudował w XVII wieku Linden, wyznaczając szerokość sześćdziesięciu metrów, mógł przewidywać dzisiejszy ruch w równie małym stopniu jak Hausmann projektując Pola Elizejskie”.

W celu urzeczywistnienia tych planów Hitler wydał za pośrednictwem sekretarza stanu, Lammersa, zarządzenie zapewniające mi szerokie pełnomocnictwa i podporządkowujące mnie fuhrerowi. Ani minister spraw wewnętrznych, ani burmistrz Berlina, ani gauleiter Berlina, Goebbels, nie mogli mi wydawać dyrektyw. Zwolnił mnie nawet wyraźnie od obowiązku informowania o moich planach zarządu miasta i partii. Kiedy wyraziłem wobec Hitlera życzenie, abym mógł także to zadanie realizować jako samodzielny architekt, zgodził się

natychmiast. Sekretarz stanu Lammers znalazł konstrukcję prawną, która uwzględniła moją niechęć do etatowej posady; moje biuro nie miało charakteru urzędu, lecz było traktowane jako wielki, niezależny instytut badawczy.

30 stycznia 1937 roku Hitler powierzył mi oficjalnie to „największe zadanie budowlane”. Długo szukał mocno brzmiącego, wzbudzającego respekt tytułu, aż wreszcie Funk znalazł rozwiązanie: „Generalny inspektor budowlany do spraw przeobrażenia stolicy Rzeszy”. Wręczając mi akt nominacji, Hitler okazywał, znamienną dla jego zachowania wobec mnie, prawie nieśmiałość. Po obiedzie wcisnął mi do ręki dokument mówiąc: „Niech się pan trzyma”. Dzięki wspaniałomyślnej interpretacji mojej umowy przysługiwała mi odtąd ranga sekretarza stanu w rządzie Rzeszy. Mając trzydzieści dwa lata zasiadałem obok dr. Todta w trzecim rzędzie ław rządowych; na oficjalnych bankietach państwowych mogłem zajmować miejsce przy końcu stołu i otrzymywałem automatycznie od każdego oficjalnego gościa zagranicznego order odpowiedniej rangi. Pobierałem miesięczną pensję w wysokości 1500 marek - nieznaczną sumę w porównaniu z moimi honorariami architekta.

Jeszcze w lutym Hitler bezceremonialnie zażądał od ministra wychowania zwolnienia okazałego gmachu Akademii Sztuk na placu Paryskim i przeznaczył go na siedzibę mojego urzędu, zwanego w skrócie GBI (od Generalbauinspektor - generalny inspektor budowlany - *przyp. tłum.*). Wybór jego padł na ten budynek, ponieważ mógł dotrzeć tam niepostrzeżenie dla postronnych obserwatorów przez ogrody ministerstwa. Wkrótce bardzo często korzystał z tej możliwości.

Urbanistyczna koncepcja Hitlera miała poważną wadę: nie była przemyślana do końca. Tak bardzo przejął się ideą stworzenia „berlińskich Pól Elizejskich”, dwa i pół razy większych od paryskiego oryginału, że całkowicie stracił z oczu strukturę naszej czteromilionowej stolicy. Dla planisty ulica taka mogła mieć sens jedynie jako zasadniczy element urbanistycznej przebudowy miasta. Dla Hitlera natomiast była ona wystawnym fragmentem dekoracyjnym, celem samym w sobie. Przebicie tej trasy nie rozwiązywało także problemu berlińskiej sieci kolejowej. Potężny klin torowisk, dzielący miasto na dwie części, zostałyby przesunięty tylko o kilka kilometrów na południe.

Doktor Leibbrandt, dyrektor z Ministerstwa Komunikacji, naczelny planista ówczesnych kolei Rzeszy, dostrzegł w planach Hitlera

możliwość dokonania szeroko zakrojonej reorganizacji całej sieci kolejowej w stolicy. Wspólnie znaleźliśmy idealne chyba rozwiązanie: przepustowość berlińskiej kolei obwodowej została by przez dodanie dwóch torów tak zwiększona, że można byłoby włączyć tu ruch dalekobieżny. W ten sposób możliwe stałoby się zastąpienie przez dwa przelotowe dworce centralne: północny i południowy, licznych berlińskich dworców „ślepych” (Lehrter Bahnhof, Anhalter Bahnhof i Potsdamer Bahnhof). Koszty nowych urządzeń kolejowych oszacowano na jeden do dwóch miliardów marek².

W ten sposób zyskalibyśmy możliwość dalszego poprowadzenia ulicy w kierunku południowym po starych torowiskach i otrzymalibyśmy w odległości zaledwie pięciu kilometrów od centrum miasta wielką wolną powierzchnię pod budowę nowej dzielnicy mieszkaniowej dla 400 tysięcy osób³. Dzięki usunięciu Lehrter Bahnhof wielki ciąg uliczny można byłoby przedłużyć także na północ, w celu zagospodarowania nowych terenów mieszkalnych. Jednak ani Hitler, ani ja nie chcieliśmy zrezygnować z budowy kopulastej hali, tworzącej zamknięcie wspaniałej ulicy; olbrzymi plac przed nią miał być niedostępny dla ruchu pojazdów. Korzystną koncepcję rozwiązań komunikacyjnych zarzucono na rzecz reprezentacyjności; ruch północ-południe został znacznie utrudniony przez objazd.

Narzucala się myśl, aby biegnącą na zachód sześćdziesięciometrową arterią wylotową, Heerstrasse, przedłużyć w kierunku wschodnim, zachowując tę samą szerokość; projekt urzeczywistniono częściowo po 1945 roku przez rozbudowę starej Frankfurter Allee. Oś ta, podobnie jak oś północ-południe, miała zostać doprowadzona do swego naturalnego końca - autostrady okrężnej, by również na wschodzie Berlina uzyskać nowe tereny pod zabudowę miejską, dzięki czemu można byłoby podwoić liczbę mieszkańców stolicy mimo jednoczesnego wyburzania starych domów w śródmieściu⁴.

Obydwie osie miały być obramowane wysokimi biurowcami i domami handlowymi, które ciągnąc się w dwu kierunkach, stopniowo traciłyby wysokość i przechodziły wreszcie w prywatne wille położone wśród zieleni. Miałem nadzieję, że dzięki takiemu systemowi uniknę zduszenia centrum przez obejmujące je pierścieniowo tradycyjne strefy zabudowy. System wynikający automatycznie z zalecanej przeze mnie struktury osiowej wprowadzał promieniście tereny zielone głęboko do centrum miasta.

Na zewnątrz autostrady obwodowej, na czterech końcach krzyżujących się osi, zarezerwowano tereny dla czterech lotnisk komu-

nikacyjnych, poza tym Rangsdorfer See miało służyć jako wodowisko dla wodnopłatów, które według ówczesnych poglądów rokowały uzyskiwanie większych zasięgów niż samoloty bazujące na lotniskach ziemnych. Lotnisko Tempelhof, które znalazłoby się zbyt blisko centrum nowo wznoszonego miasta, miało być zlikwidowane i zamienione w lunapark według wzoru kopenhaskiego Tivoli. W dalszej przyszłości, jak przewidywaliśmy, do tych skrzyżowanych osi doszłyby pięć obwodnic i siedemnaście ulic wylotowych, mających po sześćdziesiąt metrów szerokości. W ich planowaniu ograniczyliśmy się jednak tylko do ustalenia przebiegu linii zabudowy. Aby zapewnić połączenie krzyżujących się osi z częścią obwodnic i nie obciążać nadmiernie ulic, zaprojektowano budowę szybkich kolejek podziemnych. Na zachodzie przylegałaby do stadionu olimpijskiego nowa dzielnica uniwersytecka, gdyż większość instytutów i zakładów starego Uniwersytetu im. Fryderyka Wilhelma w alei Unter den Linden mieściła się w przestarzałych i nie nadających się do użytku budynkach. Na północ rozciągałaby się nowa dzielnica medyczna ze szpitalami, laboratoriami i akademiami. Także brzeg Sprewy między Museumsinsel a Reichstagiem, rejon traktowany po macoszemu, pełen wysypisk i małych fabryk, miał być uporządkowany i zabudowany nowymi gmachami muzeów berlińskich.

Obszar za autostradą okrężną przeznaczono na tereny wypoczynkowe; już od razu zaczęto tam, pod kierownictwem upęnomocnionego wysokiego urzędnika leśnictwa, zastępować brandenburski las sosnowy sadzonkami drzew liściastych. Podobnie jak w Lasku Bulońskim także w Grunewaldzie miano urządzić dla milionów mieszkańców stolicy szlaki wędrowne, miejsca odpoczynku, restauracje i obiekty sportowe. Tutaj również kazałem posadzić dziesiątki tysięcy drzew liściastych, by odtworzyć dawny las mieszany, wycięty przez Fryderyka Wielkiego w celu sfinansowania wojen śląskich. Z całego olbrzymiego projektu przeobrażenia Berlina pozostały tylko te drzewa.

W toku pracy nad pierwotnym planem Hitlera przewidującym zbudowanie reprezentacyjnej ulicy, bezsensownej z urbanistycznego punktu widzenia, zrodziła się nowa koncepcja miasta. W porównaniu z tą szeroko zakrojoną przebudową początkowy pomysł wyglądał mizernie. Wielokrotnie przewyższyłem wyobrażenia Hitlera o monumentalnych wielkościach - przynajmniej w zakresie planowania urbanistycznego; coś takiego zdarzało mu się raczej rzadko. Wszystkie daleko idące uzupełnienia akceptował bez wahania, pozostawiając mi wolną rękę, ale zapalić się do tej części planów nie potrafił. Oglądał je dość

pobieżnie, by po kilku minutach zapytać ze znużeniem: „Gdzie ma pan nowe plany wielkiej ulicy?"; przez to pojęcie rozumiał ciągle jeszcze tylko środkową część wystawnej ulicy, której zbudowania zażądał na początku. Następnie upajał się gmachami ministerstw, budynkami administracyjnymi wielkich firm niemieckich, nową operą, luksusowymi hotelami i pałacami rozrywki, a ja chętnie mu w tym sekundowałem. Mimo to ja traktowałem ogólny plan na równi z budowlami reprezentacyjnymi, Hitler nie. Jego namiętność do wiecznych budowli czyniła go całkowicie niewrażliwym na rozwiązania komunikacyjne, tereny mieszkalne i obszary zielone; względy społeczne były mu obce.

Hess natomiast interesował się tylko budownictwem mieszkaniowym i prawie nie zwracał uwagi na reprezentacyjną część naszych planów. Na zakończenie jednej ze swych wizyt zrobił mi z tego powodu wyrzuty. Obiecałem mu, że zawsze na jedną cegłę idącą na budowlę reprezentacyjną przypadać będzie jedna cegła na budynek mieszkalny. Hitler, usłyszawszy o tym, był nieprzyjemnie zaskoczony, mówił o pilności swych żądań, ale nie sprzeciwił się naszej umowie.

Wbrew często wyrażanym przypuszczeniom nie zostałem głównym architektem Hitlera - zwierzchnikiem wszystkich pozostałych. Jednocześnie bowiem architekci zajmujący się nowymi planami Monachium i Linzu otrzymali podobne do moich pełnomocnictwa. Z biegiem czasu Hitler powierzał zadania specjalne coraz większej liczbie architektów; przed wojną było ich chyba dziesięciu lub dwunastu.

Na naradach budowlanych ujawniała się zdolność Hitlera do szybkiego orientowania się w projekcie, kojarzenia rysunku technicznego i perspektywicznego w całość plastyczną. Mimo wszelkich obowiązków rządowych i omawiania niejednokrotnie dziesięciu do piętnastu projektów wielkich budowli w najróżniejszych miastach. Hitler widząc ponownie projekt, często po upływie miesięcy, błyskawicznie orientował się w rysunkach, potrafił sobie przypomnieć, jakich domagał się zmian, sprawiając zawód tym, którzy liczyli na to, że dawno zapomniał o swoich uwagach czy żądaniach.

W czasie narad był przeważnie małomówny i taktowny. Życzenia zmian przedstawiał uprzejmie, bez obraźliwych sformułowań, zachowując się całkiem inaczej niż wobec swych współpracowników politycznych, do których przemawiał władcym tonem. Przekonany o poczuciu odpowiedzialności architekta za swą budowę, troszczył się, by ten właśnie miał decydujące słowo, a nie towarzyszący mu gauleiter

lub reichsleiter. Hitler nie chciał bowiem, by do dyskusji prowadzonych z architektami włączały się niefachowe wyższe instancje. Kiedy przeciwstawiano jego pomysłowi inną ideę, wcale nie upierał się przy swoim: „Tak, ma pan rację, tak jest lepiej”, mówił.

Toteż i we mnie zrodziło się przeświadczenie, że ponoszę odpowiedzialność za to, co projektowałem pod rządami Hitlera. Często nasze zdania różniły się, ale nie mogę przypomnieć sobie ani jednego przypadku, by zmusił mnie jako architekta do przyjęcia jego poglądu. Te relatywnie równoprawne stosunki między nim jako zleceniodawcą a mną jako architektem przyczyniły się do tego, że później, gdy byłem ministrem zbrojeń, korzystałem z większej samodzielności niż większość ministrów i marszałków.

Nieustępliwie i niechętnie reagował Hitler tylko wtedy, gdy napotykał zacięty opór w sprawach zasadniczych. Na przykład profesor Bonatz, nauczyciel całej generacji architektów, nie otrzymywał żadnych zleceń od czasu, gdy skrytykował nowe budowle Troosta na monachijskim Königsplatz. Nawet Todt nie mógł poważić się na zaangażowanie Bonatza do budowy kilku mostów na autostradzie. Dopiero moja interwencja u pani Troost, wdowy po uwielbianym przez Hitlera profesora, przywróciła Bonatza do łask. „Dlaczego nie miałyby budować mostów”, powiedziała, „w budowlach technicznych jest on przecież całkiem dobry”. Jej zdanie było dostatecznie ważne, i Bonatz budował mosty na autostradach.

Hitler raz po raz zapewniał: „Jak chętnie zostałbym architektem”. Kiedy odpowiedziałem na to: „Ale wówczas nie miałbym zleceniodawcy”, odparł: „Ależ pan zawsze dałby sobie radę!” Stawiam sobie nieraz pytanie, czy Hitler zrezygnowałby z kariery politycznej, gdyby na początku lat dwudziestych spotkał zamożnego zleceniodawcę. Sądzę jednak, że w gruncie rzeczy jego przeświadczenie o posłannictwie politycznym i architektoniczna namiętność były zawsze nierozdzielne. Świadczą o tym właśnie te dwa szkice, które narysował w 1925 roku, jako niemal zbankrutowany trzydziestosześcioletni polityk, z absurdalnie wyglądającym wówczas zamiarem, by uwieńczyć kiedyś swe sukcesy męża stanu budową łuku triumfalnego i kopolastej hali.

W nieprzyjemnej sytuacji znalazł się niemiecki komitet olimpijski, kiedy Hitler polecił kompetentnemu sekretarzowi stanu w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych, Pfundtnerowi, by pokazał mu pierwsze plany budowy nowego stadionu. Architekt Otto March zaprojektował betonową budowlę z oszklonymi ścianami działowymi, podobną do stadionu wiedeńskiego. Po obejrzeniu rysunków Hitler, zły i zdener-

wowany, wrócił do swego mieszkania, dokąd wezwał mnie z planami. Kazał wprost zakomunikować sekretarzowi stanu, że należy odmówić organizowania Igrzysk Olimpijskich. Bez jego obecności nie mogą się one odbyć, ponieważ otworzyć je musi głowa państwa, a on do takiego nowoczesnego, oszklonego pudła nigdy nie wejdzie. Narysowałem w ciągu nocy szkic, przewidujący obłożenie szkieletu konstrukcyjnego naturalnym kamieniem oraz zrobienie potężnych gzymsów, wskutek czego trzeba było zaniechać oszklenia, i Hitler był zadowolony. Zatroszczył się o sfinansowanie dodatkowych prac, profesor March zaaprobował zmianę, igrzyska w Berlinie nie były już zagrożone. Nie wiedziałem co prawda, czy Hitler rzeczywiście spełniłby tę groźbę, czy też była ona tylko wyrazem przekornej postawy, jaką lubił okazywać w celu przeforsowania swej woli.

Hitler początkowo w sposób stanowczy odmówił także zgody na udział Rzeszy w Wystawie Światowej w Paryżu w 1937 roku, chociaż przyjęto już zaproszenie i zaakceptowano plac pod budowę pawilonu niemieckiego. Przedłożone bowiem projekty całkowicie mu się nie podobały. Wobec tego Ministerstwo Gospodarki zwróciło się do mnie o sporządzenie nowego projektu. Na terenie wystawowym place pod budowę pawilonu radzieckiego i niemieckiego znajdowały się dokładnie naprzeciw siebie - zamierzona pointa francuskiego kierownictwa wystawy. W czasie wizyty w Paryżu zaszedłem przypadkowo do pomieszczenia, w którym wystawiony był, trzymany w tajemnicy, projekt pawilonu radzieckiego: na wysokim postumencie dwie postacie dziesięciometrowej wysokości kroczyły triumfalnie w kierunku na pawilon niemiecki. W odpowiedzi zaprojektowałem bryłę z zarysowanymi ciężkimi słupami, które jak gdyby powstrzymywały ten napór, natomiast z gzymsu mojej wieży orzeł ze swastyką w szponach patrzył z góry na rosyjską parę. Otrzymałem za ten pawilon złoty medal, mój radziecki kolega również.

Na przyjęciu inauguracyjnym w naszym pawilonie spotkałem ambasadora francuskiego w Berlinie, Andre Francois-Ponceta. Zaproponował, bym wystawił swe prace w Paryżu w zamian za urządzenie w Berlinie wystawy poświęconej nowoczesnemu malarstwu francuskiemu. Architektura francuska, powiedział, pozostała w tyle, „ale w malarstwie możecie się od nas uczyć”. Przy najbliższej okazji zrelacjonowałem Hitlerowi tę propozycję, która dawała mi szansę zdobycia popularności międzynarodowej. Hitler pomiął milczeniem niemiłą uwagę na temat naszego malarstwa, co wprawdzie nie oznaczało ani sprzeciwu, ani aprobaty, ale uniemożliwiało ponowne zwrócenie się kiedykolwiek do niego w tej sprawie.

Podczas swojego pobytu w Paryżu widziałem Palais de Chaillot i Palais des Musees d'Art Moderne oraz znajdujące się jeszcze w budowie Musee des Travaux Publics, które zaprojektował sławny awangardzista Auguste Perret. Zaskoczyło mnie, że Francja w swych reprezentacyjnych budowlach także skłaniała się ku neoklasycyzmowi. utrzymywano często, że styl ten był cechą budownictwa publicznego w państwach totalitarnych. Wcale tak nie jest. Styl ten był raczej cechą epoki i wywarł piętno na Waszyngtonie, Londynie, Paryżu, podobnie jak na Rzymie, Moskwie czy naszych planach przebudowy Berlina.

Później

Zdobyłem trochę dewiz francuskich. Odbiliśmy więc z żoną w towarzystwie przyjaciół podróż samochodem przez Francję. Jechaliśmy na południe, mijając powoli zamki i katedry, aż dotarliśmy do niezwykle rozległego zamku warownego Carcassonne. Widok twierdzy nastrajał nas romantycznie, chociaż był to tylko jeden z najbardziej niezbędnych obiektów wojennych średniowiecza spełniających w swojej epoce tę samą rolę co dzisiaj na przykład schron atomowy. W hotelu zamkowym odkryliśmy stare francuskie czerwone wino i chcieliśmy jeszcze przez kilka dni delektować się ciszą tych okolic. Wieczorem zostałem wezwany do telefonu. W tym ustronnym zakątku czułem się bezpieczny, sądząc, iż nie grożą mi telefony adiutantów Hitlera, zwłaszcza że nikt nie znał trasy naszej podróży.

Tymczasem śledziła nas policja francuska ze względów bezpieczeństwa i nadzoru, która w każdym razie na pytanie z Obersalzbergu mogła natychmiast udzielić informacji, gdzie się znajdujemy. Przy aparacie był adiutant Bruckner: „Ma pan jutro w południe stawić się u fuhrera”. Na moją uwagę, że sama tylko jazda powrotna zajmie mi dwa i pół dnia, odpowiedział: „Na jutro po południu wyznaczona jest tu ważna narada i fuhrer żąda, by pan był na niej obecny”. Jeszcze raz spróbowałem słabo zaprotestować. „Chwileczkę... Fuhrer wie, gdzie pan jest, a jutro musi pan być tutaj”.

Byłem nieszczęśliwy, zirytowany i bezradny. W rozmowach telefonicznych z pilotami Hitlera dowiedziałem się, że specjalna maszyna nie może wylądować we Francji, ale chce on mi zapewnić miejsce w niemieckim samolocie towarowym, który po starcie z Afryki ma międzylądowanie w Marsylii o szóstej rano. Następnie specjalny samolot Hitlera miał przewieźć mnie ze Stuttgartu na lotnisko Airing koło Berchtesgaden.

Jeszcze tej samej nocy wybraliśmy się w drogę do Marsylii, oglądaliśmy przez kilka minut przy świetle księżyca rzymskie budowle w Arles, które były właściwym celem naszej podróży, i o drugiej nad

ranem przybyliśmy do hotelu w Marsylii. W trzy godziny później jechaliśmy już na lotnisko, a po południu zjawiłem się, jak rozkazano, na Obersalzbergu przed Hitlerem: „Tak mi przykro, panie Speer, naradę przesunąłem. Chciałem usłyszeć pańską opinię o moście wiszącym koło Hamburga”. Dr Todt przedłożył mi tego dnia projekt mamuciego mostu, mającego prześcignąć Golden Gate Bridge pod San Francisco. Ponieważ jednak rozpoczęcie tej budowy przewidywano dopiero w latach czterdziestych, Hitler mógł mi na pewno udzielić jeszcze kilku tygodni urlopu.

Innym razem uciekłem z żoną na Zugspitze (najwyższy szczyt alpejski w Niemczech - *przyp. tłum.*), gdzie dosięgnął mnie znowu telefon adiutanta: „Ma pan przyjść do fuhrera. Jutro w południe na obiad w »Osterii«. W »Osterii“ Hitler przywitał mnie słowami: „To ładnie, że przybywa pan na obiad. Co, został pan wezwany? Wczoraj spytałem tylko: Gdzie właściwie jest pan Speer? Ale dobrze się stało! Po co ma pan jeździć na nartach”.

Von Neurath miał więcej godności. Pewnego razu późnym wieczorem Hitler powiedział: „Chciałbym rozmawiać z ministrem spraw zagranicznych Rzeszy”. Adiutant po rozmowie telefonicznej zameldował: „Minister spraw zagranicznych Rzeszy udał się już na spoczynek”. „Trzeba go obudzić, kiedy chcę z nim rozmawiać”. Po ponownym telefonie adiutant mówi zakłopotany: „Pan minister spraw zagranicznych Rzeszy każe powiedzieć, że będzie do dyspozycji jutro rano, teraz jest zmęczony i chciałby spać”.

Hitler ustępował wprawdzie przed taką determinacją, ale zły humor okazywał nie tylko przez resztę wieczoru; takich przejawów samodzielności nigdy nie mógł zapomnieć i rewanzował się przy pierwszej okazji.

1 Prawdopodobnie chodziło o plany Martina Machlera, pokazane w 1927 roku na wielkiej wystawie sztuki w Berlinie. Wykazują one zadziwiające podobieństwo z pomysłami Hitlera. Poznałem je dopiero w Spandau z książki Alfreda Schinza: *Berlin, Stadtschicksal und Stadtebau*, 1964.

2 Niezbędne bocznice i tory przetokowe oraz warsztaty naprawcze można było w ten sposób rozlokować poza Berlinem i w przyszłości nie utrudniałyby już urbanistycznego rozwoju miasta.

3 Teren liczył 3300 ha. Według przyjętej dzisiaj proporcji - 120 osób na hektar - dawało to 400 tys. mieszkańców.

4 Profesorzy Brix i Genzmer przedstawili w 1910 roku plan urbanistyczny, za który otrzymali pierwszą nagrodę w wielkim konkursie berlińskim, przewidujący, że w 2000 roku liczba mieszkańców Berlina osiągnie 10 mln („Deutsche Bauzeitung” 1910, nr 42).

Rozdział 7

OBERSALZBERG

Każdy człowiek posiadający władzę, czy to kierownik przedsiębiorstwa, czy szef rządu, czy też dyktator, narażony jest stale na sytuacje konfliktowe. Jego łaska wydaje się tak pożądana, że przy jej pomocy można sobie kupować podwładnych. Otaczającym go ludziom grozi jednak nie tylko niebezpieczeństwo skorumpowania i stania się dworakami, jednocześnie ulegają oni pokusie wkupienia się w przesadnym okazywaniem mu oddania.

łaski

O wartości rządzącego decyduje to, jak reaguje on na ten stały nacisk. Spotkałem szereg przemysłowców i wojskowych, którzy potrafili oprzeć się takiej pokusie. W wypadku gdy władza sprawowana jest już od wielu pokoleń, nierzadko można zetknąć się nawet z odziedziczoną poniekąd nieprzekupnością. W najbliższym otoczeniu Hitlera tylko nieliczne jednostki, jak na przykład Fritz Todt, nie uległy pokusom dworu. Sam Hitler w żaden dostrzegalny sposób nie przeciwstawiał się temu procesowi.

Szczególne cechy stylu panowania Hitlera powodowały, że był on zwłaszcza od 1937 roku coraz bardziej osamotniony. Potęgowała to jego nieumiejętność nawiązywania kontaktów osobistych. Niekiedy w wąskim gronie rozmawialiśmy wówczas o zmianie, jaka coraz bardziej się w nim uwidaczniała. Heinrich Hofmann opublikował właśnie nowe wydanie swej książki pt. *Hitler, wie ihn keiner kennt*. Starego wydania nie wolno już było sprzedawać z powodu zdjęcia, które przedstawiało Hitlera w przyjaznej pozie z zamordowanym przez niego Rohmem. Nowe fotografie Hitler wybrał osobiście, pokazywały go one w życiu prywatnym, jowialnego, w niewymuszonych pozach. Można go

było oglądać w krótkich skórzanych spodniach, siedzącego w łodzi, leżącego na łące, w czasie wędrówek, otoczonego rozentuzjazzmowaną młodzieżą lub w pracowniach artystów. Stale widziało się go swobodnego, przyjaznego i przystępnego. Książka stała się największym sukcesem Hofmanna. Ale była nieaktualna już w momencie ukazania się. Ten Hitler bowiem, jakiego i ja widziałem jeszcze na początku lat trzydziestych, stał się nawet dla swego najbliższego otoczenia nieprzychylnym, niedostępnym despotą.

W ustronnej, wysoko położonej w Alpach Bawarskich kotlinie Ostertal odkryłem mały dom myśliwski, wystarczająco duży, by розміścić w nim rysownice i zapewnić pomieszczenie kilku pracownikom oraz swojej rodzinie. Pracowaliśmy tam wiosną 1935 roku nad planami berlińskimi. Był to okres szczęśliwy dla pracy i rodziny. Ale pewnego dnia popełniłem decydujący błąd; opowiedziałem o tej idylli Hitlerowi. „Ależ u mnie może pan się urządzić o wiele lepiej”, powiedział. „Oddaję pańskiej rodzinie do dyspozycji dom Bechsteina¹. Na oszklonej werandzie będzie tam dość miejsca dla pańskiego biura”. Także i z tego domu wyprowadziliśmy się w końcu maja 1937 roku do budynku, mieszczącego pracownię, który kazał zbudować Bormann na polecenie Hitlera i według moich projektów. Tak więc, obok Hitlera, Goringa i Bormanna, zostałem czwartym „obersalzberczykiem”.

Byłem naturalnie szczęśliwy z powodu tak widocznego wyróżnienia i przyjęcia mnie do najbliższego grona Hitlera. Jednak wkrótce musiałem stwierdzić, że nie była to właściwie korzystna zmiana. Po pobycie w samotnej wysokogórskiej kotlinie znaleźliśmy się na terenie otoczonym wysokim płotem z drutu. Dostać się tu można było tylko po przejściu kontroli przy dwóch bramach. Przypominało to wybieg dla dzikich zwierząt; ciekawi stale próbowali obserwować mieszkańców tej rezydencji górskiej.

Bormann był prawdziwym panem Obersalzbergu. Przymusowo wykupywał liczące wieki zagrody chłopskie i kazał je burzyć, podobnie postępował z wieloma poświęconymi kapliczkami, chociaż sprzeciwiała się temu gmina kościelna. Likwidował także lasy państwowe, aż obszar rezydencji, zaczynający się na wysokości prawie 1900 metrów, osiągnął doliny leżącej o 600 metrów niżej i zajął powierzchnię 7 kilometrów kwadratowych. Płot ustawiony wokół strefy wewnętrznej mierzył około trzech, a wokół zewnętrznej - około czternastu kilometrów.

Bormann, zupełnie niewrażliwy na piękno dziewiczej przyrody, posiekał te wspaniałe okolice siecią szos; leśne drogi, pokryte dotychczas igliwiami świerków i poprzecinane korzeniami, zamieniły się w wyasfaltowane promenady. Koszary, budynek przeznaczony na garaże, hotel dla gości Hitlera, nowy folwark, osiedle dla stale rosnącej liczby pracowników - wszystko to powstawało tak szybko, jak w kurorcie, który nagle stał się modny. Do zboczy górskich przylegały baraki mieszkalne dla setek robotników, po szosach jeździły ciężarówki z materiałami budowlanymi, nocą oświetlone były różne place budowy, ponieważ pracowano na dwie zmiany, a od czasu do czasu przez dolinę przeciągały grzmoty detonacji.

Na szczycie „prywatnej góry” Hitlera Bormann zbudował dom, umeblowany bogato w stylu kajutowym, przechodzącym w folklor. Jechało się tam karkołomnie zbudowaną szosą, która dochodziła do windy znajdującej się wewnątrz skały. Jedynie na zbudowanie dojazdu do tego domu, który Hitler odwiedził tylko parę razy, Bormann wydatkował dwadzieścia do trzydziestu milionów. Kpiarze z otoczenia Hitlera mówili: „Dzieje się tu tak jak w mieście poszukiwaczy złota. Tylko że Bormann wcale go nie znajduje, lecz wyrzuca”. Hitler ubolewał wprawdzie nad tym rozgardiaszem, mówił jednak: „To robi Bormann, nie chcę się do tego mieszać”. A innym razem: „Kiedy wszystko będzie gotowe, wyszukam sobie cichą dolinę, i znowu zbuduję mały drewniany domek, taki jak pierwszy”. Nigdy to wszystko nie było gotowe. Bormann wymyślał wciąż nowe szosy i budowle, a gdy wreszcie wybuchła wojna, zaczął urządzać dla Hitlera i jego otoczenia podziemne domostwa.

Olbrzymie inwestycje na „górze” były, mimo chwilowych narzekania Hitlera na niesłychane koszty, znamienne dla zmiany jego stylu życia, a także dla skłonności do coraz większej izolacji od dalszego otoczenia. Nie można tego wytłumaczyć obawą przed zamachami, ponieważ pozwalał, by niemal codziennie przeciągały przed nim, wewnątrz ogrodzenia, tysiące ludzi składających mu hołdy. Jego towarzystwo uważało to za bardziej niebezpieczne niż improwizowane spacerowanie po publicznych drogach leśnych.

Latem 1935 roku Hitler postanowił wybudować obok swej skromnej górskiej chaty reprezentacyjny „dwór górski” - Berghof. Na pokrycie kosztów budowy wyłożył własne środki, był to jednak gest bez znaczenia, ponieważ na dodatkowe budynki Bormann trwoniał sumy nie pozostające w żadnej proporcji do kwoty wniesionej przez Hitlera.

Hitler nie tylko naszkicował plany Berghofu. Kazał nawet, bym

dał mu rysownicę, przykładnicę i inne przybory, po czym dosłownie sam sporządził rzuty, rysunki perspektywiczne i przekroje swej budowli; odrzucał przy tym wszelką pomoc. Z taką troskliwością, jak w przypadku swego domu na Obersalzbergu, Hitler wykonał jeszcze tylko dwa inne projekty: nową flagę wojenną Rzeszy i swój własny proporzec głowy państwa.

Podczas gdy architekci nanoszą przeważnie na papier najróżniejsze pomysły, by znaleźć w ten sposób możliwie najlepsze rozwiązanie, dla Hitlera znamienne było, że bez długiego wahania uznawał intuicyjnie pierwszy pomysł za dobry i tylko przez małe retusze starał się usunąć oczywiste wady.

W nowym domu utrzymany został taki rozkład pomieszczeń jak w starym. Ponieważ obydwie pokoje dzienne Hitler połączył szerokim przejściem, powstały wyjątkowo niekorzystne warunki do przyjmowania gości oficjalnych. Towarzyszące im osoby musiały pozostawać w nieprzyjemnym przedpokoju, z którego prowadziły jednocześnie wejścia do toalet, na klatkę schodową i do dużej jadalni.

W czasie oficjalnych spotkań prywatni goście Hitlera musieli przebywać na górnym piętrze; chcąc wtedy wyjść z domu na spacer trzeba było przy pomocy „zwiadu” wyjaśnić, czy można przejść przez prowadzący do salonu Hitlera przedpokój, w którym kończyły się schody. Dumą Hitlera było opuszczane okno w salonie, słynne ze swych rozmiarów; dawało ono widok na Untersberg oraz na Berchtesgaden i Salzburg. Coś podkuśliło Hitlera, żeby pod tym oknem umieścić garaż dla swego wozu - przy niekorzystnym wietrze do salonu wdzierał się intensywny zapach benzyny. Był to projekt, który odrzucono by na każdym seminarium na jakiegokolwiek politechnice. Z drugiej strony te właśnie wady nadawały Berghofowi bardzo osobisty akcent: panował tu nadal prymitywny styl życia z dawnego domku weekendowego, tyle że znacznie spotęgowany.

Wszystkie kosztorysy zostały poważnie przekroczone, a Hitler był nieco zakłopotany: „Wpływy za moją książkę wydałem w całości, chociaż postarałem się o zaliczkę od Amanna, wynoszącą kilkaset tysięcy. Pomimo to pieniędzy nie starcza, jak mówił dzisiaj Bormann. Wydawnictwo zaproponowało mi pieniądze, jeśli pozwolę na opublikowanie mojej drugiej książki z 1928 roku². Ale jestem bardzo zadowolony, że książka ta nie została opublikowana. Jakich trudności politycznych by mi to teraz przysporzyło. Co prawda za jednym pociągnięciem wyszedłbym z tarapatów. Tylko jako zaliczkę Amann obiecał mi milion, potem przyniosłoby to miliony. Może zdecyduję się

później, kiedy dokonam dalszych zmian w tej książce. Teraz to niemożliwe".

Siedział niczym dobrowolny więzień, ze wzrokiem skierowanym na Untersberg, z którego, jak mówi legenda, wyjdzie pewnego dnia pogrążony jeszcze w śnie cesarz Karol, by stworzyć Rzeszę minionej świetności. Hitler dopatrywał się w tym naturalnie związku z własną osobą: „Widzi pan tam po drugiej stronie Untersberg. Nie jest przypadkiem, że mam swą siedzibę naprzeciw tej góry”.

Bormann związany był z Hitlerem nie tylko przez swą działalność budowlaną na Obersalzbergu; potrafił on jednocześnie wziąć w swe ręce zarządzanie prywatnymi finansami Hitlera. Nawet jego osobiści adiutanci zdani byli w sprawach finansowych na dobrą wolę Bormanna, zależna była od niego nawet kochanka Hitlera, jak często mi to szczerze wyznawała, ponieważ Hitler przekazał mu zaspokajanie jej skromnych właściwie potrzeb.

Hitler chwalił spryt finansowy Bormanna. Opowiedział kiedyś, jak Bormann wielce zasłużył się partii w krytycznym roku 1932, kiedy wprowadził przymusowe ubezpieczenie od wypadków w pracy partyjnej. Wpływy z tej kasy zapomogowej były znacznie wyższe niż wydatki, a nadwyżka szła na inne cele partii. Nie mniejsze zasługi położył Bormann dla ostatecznego zlikwidowania kłopotów finansowych Hitlera po 1933 roku. Znalazł dwa obfite źródła dochodu: razem z przybocznym fotografem Hofmannem i jego przyjacielem, ministrem poczt Ohnesorgem, wpadł na pomysł, że Hitler, którego podobizna widniała na znaczkach pocztowych, ma prawo do wynagrodzenia z tego tytułu, mianowicie należy mu się pewien procent od wpływów kasowych za znaczki. Procent ten był wprawdzie minimalny, ale ponieważ podobizna Hitlera znajdowała się na wszystkich znaczkach, w sumie napływały miliony do prywatnej szkatuły, zarządzanej przez Bormanna.

Drugie źródło dochodów Bormann uruchomił tworząc „fundację przemysłu niemieckiego im. Adolfa Hitlera”. Przedsiębiorców dobrze zarabiających w czasie boomu gospodarczego wezwano bez ogródek, by zadokumentowali dobrowolnymi wpłatami swą wdzięczność dla fuhrera. Ponieważ inni czołowi funkcjonariusze partii także wpadli na ten pomysł, niemal sam się narzucający, Bormann postarał się o wydanie zarządzenia, zapewniającego mu monopol na tego rodzaju darowizny. Był jednak dość mądry, by „z polecenia fuhrera” przekazywać z kolei pewne sumy na rzecz różnych przywódców partyjnych.

Prawie każdy spośród najwyższych funkcjonariuszy partyjnych otrzymywał dotacje z tego funduszu. Fakt, że Bormann decydował o stopie życiowej różnych reichsführerów i gauleiterów, nie rzucał się wprawdzie w oczy, ale w gruncie rzeczy dawał mu większą władzę niż niejedno stanowisko wewnątrz hierarchii.

Z typowym dla siebie uporem realizował Bormann od 1934 roku inny prosty zamiar: przebywać ciągle jak najbliżej źródeł zaszczytów i łaski. Towarzyszył stale Hitlerowi w Berghofie, odbywał z nim podróże, pozostawał przy nim w Kancelarii Rzeszy nawet do samego rana. W ten sposób Bormann stał się najlepszym, najbardziej godnym zaufania i wreszcie niezastąpionym sekretarzem Hitlera. Dla wszystkich był pozornie uczynny, prawie każdy korzystał z jego możliwości, tym bardziej że w widoczny sposób działał całkowicie bezinteresownie w służbie Hitlera. Jego bezpośredniemu przełożonemu, Rudolfowi Hessowi, również wydawało się, że wygodnie mieć takiego pracownika w pobliżu Hitlera.

Potentaci hitlerowscy już wtedy patrzyli na siebie z zawiścią jak diadochowie, przybrawszy wyczekującą postawę; od początku dochodziło do częstych walk między Goebbelsem, Goringiem, Rosenbergiem, Leyem, Himmlerem, Ribbentropem, Hessem; tylko Rohm padł już jej ofiarą, a Hess miał wkrótce utracić wpływy. Nikt jednak nie dostrzegał niebezpieczeństwa grożącego wszystkim ze strony niezmordowanego Bormanna. Udało mu się pozostać mało widocznym i niepostrzeżenie rozbudować swoje pozycje. Nawet wśród tak wielu pozbawionych sumienia posiadaczy władzy wyróżniał się brutalnością i prymitywizmem uczuć; nie miał żadnego wykształcenia, które wyrobiłoby w nim pewne hamulce, i w każdym przypadku przeforsowywał to, co nakazał mu Hitler lub co sam chciał wyczytać z jego napomknąć. Podejrzliwy z natury, traktował swych podwładnych tak, jak gdyby miał do czynienia z bydłem, którego był gospodarzem.

Unikałem Bormanna, gdyż nie znosiliśmy się od samego początku. Stosunki między nami były poprawne, tak jak wymagała tego prywatna atmosfera panująca w Obersalzbergu. Z wyjątkiem swej własnej pracowni nigdy nie prowadziłem budowy na jego zlecenie.

Pobyty na „górze” dawał Hitlerowi, jak często podkreślał, wewnętrzny spokój i pewność potrzebną przy podejmowaniu jego zaskakujących decyzji. Tam także pisał swe najważniejsze przemówienia; zwracał uwagę sposób, w jaki to robił. Na przykład przed zjazdem w Norymberdze regularnie udawał się na kilka tygodni do Obersalzbergu, by opracować swe długie wystąpienia programowe. Termin coraz

bardziej się przybliżał, adiutanci przynaglali go, by rozpoczął dyktowanie, odsuwali od niego wszystko, nawet plany budowlane i gości, aby nie odrywał się od pracy. Ale Hitler przekładał ją z tygodnia na tydzień, z dnia na dzień, by wreszcie dopiero pod groźbą ostatecznego niedotrzymania terminu zabrać się niechętnie do swego „wypracowania”. Przeważnie było już wtedy za późno na przygotowanie wszystkich przemówień, i musiał w czasie zjazdu siedzieć nocami, by nadrobić zmarnotrawiony w Obersalzbergu czas.

Miałem wrażenie, że potrzebował nacisku, by móc tworzyć, że przyjmując manierę artystycznej cyganerii, gardził dyscypliną pracy, nie umiał lub nie chciał zmusić się do systematyczności. Pozwalał dojrzewać treści swych przemówień lub myśli w ciągu tygodni pozornej bezczynności, aż to, co się nagromadziło i spiętrzyło, wylewało się jak potok górski na głowy jego zwolenników lub negocjatorów.

Przeprowadzka z naszej górskiej kotliny do zgiełkliwego Obersalzbergu nie posłużyła mojej pracy. Męczący był już chociażby ciągle ten sam porządek dnia, przepełniali nudą ci sami wciąż ludzie wokół Hitlera - ci sami, z którymi miał zwyczaj spotykać się i w Monachium, i w Berlinie. Jediną różnicą w porównaniu z Monachium i Berlinem była tu obecność kobiet w jego towarzystwie, oprócz dwóch lub trzech sekretarek i Ewy Braun.

Hitler przeważnie późno, około jedenastej, zjawiał się w dolnych pomieszczeniach, przeglądał informacje prasowe, przyjmował od Bormanna kilka sprawozdań i podejmował pierwsze decyzje. Goście zbierali się w przedpokoju. Hitler wybierał damę, mającą towarzyszyć mu przy stole, podczas gdy Bormann, chyba od 1938 roku, miał przywilej prowadzenia zawsze do stołu Ewy Braun, która siedziała po lewej ręce Hitlera. Określało to jednoznacznie dominującą pozycję Bormanna wśród świty. Jadalnia była urządzona w sposób łączący sztukę ludową z miejskim komfortem, co często spotyka się w wiejskich domach bogatych mieszczan. Ściany i sufity wyłożone były jasnym modrzewiem, fotele - pokryte jasnoczerwonym safianem. Zastawa miała zwykły kolor biały. Srebra z monogramem Hitlera, takie same jak w Berlinie. Dyskretna dekoracja z kwiatów stale znajdowała jego uznanie. Podawano dobrze przyrządzone po domowemu: zupę, danie mięsne, słodki deser, do tego wodę mineralną lub wino; usługiwali kamerdynerzy w białych kamizelkach i czarnych spodniach, byli to członkowie gwardii przybocznej SS. Przy długim stole siedziało około

dwudziestu osób, ale jego rozmiary nie pozwalały na wywiązanie się ogólnej rozmowy. W środku na wprost okna zajmował miejsce Hitler; rozmawiał z osobą siedzącą naprzeciw, którą wyznaczał co dzień na nowo, lub z towarzyszącymi mu damami.

Wkrótce po obiedzie formował się orszak, który zmierzał do herbaciarni. Szerokość drogi pozwalała iść obok siebie tylko dwom osobom, tak że tworzyło się coś w rodzaju procesji. Na przedzie szli w pewnej odległości funkcjonariusze bezpieczeństwa, następnie Hitler ze swym rozmówcą, potem w różnej kolejności goście, a za nimi znowu ochrona. Dwa owczarki Hitlera wałęsały się po terenie, nie zważając na jego rozkazy - jedyni opozycjoniści w całej świecie. Ku niezadowoleniu Bormanna Hitler chodził codziennie tą samą drogą, zabierając około pół godziny, gardząc wyasfaltowanymi drogami, ciągnącymi się wśród lasów.

Herbaciarnia stała w miejscu wyróżnianym przez Hitlera ze względu na dobry widok na dolinę koło Berchtesgaden. Towarzystwo, używając zawsze tych samych zwrotów, zachwycało się panoramą, Hitler zaś tymi samymi słowami potwierdzał te zachwyty. Herbaciarnia zajmowała okrągłe pomieszczenie o średnicy ośmiu metrów, o przyjemnych proporcjach, z rzędem okien podzielonych na małe szybki i kominkiem pod przeciwległą ścianą. Zasiadaliśmy w wygodnych fotelach wokół okrągłego stołu, Ewa Braun i jedna z pozostałych pań - znowu koło Hitlera. Osoby, dla których nie starczyło już miejsca, udawały się do małego pokoju obok. Stosownie do życzeń podawano herbatę, kawę lub czekoladę, różne rodzaje tortów, ciasto i herbatniki, następnie trunki. Tutaj przy kawie Hitler szczególnie chętnie wygłaszał nie kończące się monologi, których tematy przeważnie znane były towarzystwu, nieuważnie słuchającemu jego wywodów z udawanym zainteresowaniem. Niekiedy Hitler sam zasypiał podczas swych monologów. Wtedy towarzystwo szeptem prowadziło rozmowę, mając przy tym nadzieję, że obudzi się on w czasie odpowiednim na kolację. Wszyscy czuli się swobodnie.

Mniej więcej po dwóch godzinach, zwykle koło szóstej, opuszczano herbaciarnię. Hitler wstawał i orszak pielgrzymów kierował się do kolumny samochodów, czekającej w odległości dwudziestu minut drogi. Po powrocie do Berghofu Hitler zazwyczaj udawał się natychmiast do pokoi na piętrze, a świta rozchodziła się. Bormann znikał często, przy złośliwych komentarzach Ewy Braun, w pokoju jednej z młodych sekretarek.

W dwie godziny później spotykano się już na kolacji, zachowując dokładnie taki sam rytuał, jak przy obiedzie. Potem Hitler udawał się do salonu, znowu w towarzystwie tych samych osób.

Pracownia Troosta umeblowała salon dość oszczędnie, ale zbyt wielkimi meblami. Były tam: szafa ponad trzymetrowej wysokości i pięciometrowej szerokości, mieszcząca dyplomy honorowego obywatelstwa oraz płyty patefonowe; szklana gablota o klasycystycznej monumentalności; potężny zegar stojący, zwieńczony jakby strzegącym go orłem z brązu. Na wprost wielkiego okna stał stół sześciometrowej długości, na którym Hitler miał zwyczaj podpisywać dokumenty, a później studiować mapy sytuacyjne. Towarzystwo grupowało się w dwóch miejscach, gdzie stały meble z czerwonymi obiciami: w tylnej części pomieszczenia, oddzielonej trzema schodkami, koło kominka, oraz w pobliżu okna, wokół okrągłego stołu ze szklaną taflą, chroniącą jego fornirowaną powierzchnię. Tu za ścianą umieszczono kabinę filmową, której otwory zasłaniał gobelin; naprzeciwko znajdowała się potężna komoda z wbudowanymi głośnikami. Stało na niej brązowe popiersie Ryszarda Wagnera dłuta Arna Brekera. Nad nią wisiał gobelin, zakrywający ekran filmowy. Ściany zawieszono dużymi obrazami: kobieta z obnażonym biustem, której autorstwo przypisywano uczniowi Tycjana, Bordonemu; akt damy leżącej w malowniczej pozie, podobno pędzla samego Tycjana; *Nana* Feuerbacha w szczególnie pięknej oprawie; krajobraz z wczesnego okresu twórczości Spitz-wega; rzymski krajobraz ruin Panniniego i, nieoczekiwanie, rodzaj ołtarza nazareńczyka Eduarda von Steinlego, przedstawiający założyciela miasta, króla Henryka. Nie było natomiast Grutznera. Hitler zaznaczał niekiedy, że kupił te obrazy z własnych dochodów.

Siadaliśmy na sofie lub fotelach przy kominku albo przy oknie, obydwa gobeliny podciągano w górę i drugą część wieczoru wypełniało wyświetlanie filmów fabularnych, tego samego rodzaju co w Berlinie. Na koniec zbieraliśmy się koło olbrzymiego kominka. Na niewygodnie głębokiej, nadmiernie długiej sofie lokowało się sześć do ośmiu osób, sprawiających wrażenie usadowionych na drążku, podczas gdy Hitler „oskrzydłany” nadal przez Ewę Braun i jedną z pozostałych kobiet zajmował miejsce w wygodnym fotelu. Wskutek nieodpowiedniego umeblowania goście siedzieli tak rozrzucony, że nie mogli prowadzić wspólnej rozmowy. Każdy rozmawiał stłumionym głosem ze swoim sąsiadem. Hitler mówił cicho o błahostkach do obu kobiet siedzących koło niego lub rozmawiał szeptem z Ewą Braun, czasami trzymał ją za rękę. Często jednak milcząco patrzył przed siebie lub zamyślony

wpatrywał się w ogień kominka; goście milkli, by nie przeszkadzać mu w poważnych rozmyślaniach.

Niekiedy omawiano filmy, przy czym aktorki oceniał głównie Hitler, a aktorów Ewa Braun. Nikt nie zadawał sobie trudu, by podnieść rozmowę na wyższy poziom i na przykład powiedzieć coś o nowych środkach wyrazu wykorzystanych przez reżysera. Co prawda dobór filmów prawie nie dawał ku temu okazji; była to zawsze produkcja rozrywkowa. Nigdy natomiast, przynajmniej w mojej obecności, nie pokazano filmowych eksperymentów tamtej epoki, takich jak film Curta Ortela o Michale Aniele. Niekiedy Bormann korzystał z okazji, by niepostrzeżenie podważyć reputację Goebbelsa, który był odpowiedzialny za niemiecką produkcję filmową. Pozwalał sobie na przykład na złośliwe aluzje, z których wynikało, że Goebbels robił trudności w wyświetlaniu komedii *Rozbity dzban*, ponieważ w kulejącym sędzi wiejskim Adamie, granym przez Emila Janningsa, widział swoją kopię i kpinę z siebie. Hitler z szyderczą przyjemnością oglądał wycofany film i zarządził ponowną premierę w największym kinie berlińskim, którą jednak - typowe dla często zadziwiającego braku autorytetu Hitlera - przez długi czas odwlekano. Bormann wszakże nie ustąpił, aż Hitler poważnie rozgniewany kazał w sposób stanowczy uświadomić Goebbelsowi, że zarządzenia fuhrera muszą być wykonywane.

Później, w czasie wojny, Hitler zaniechał wieczornego wyświetlania filmów, gdyż chciał, jak mówił, „wiedziony współczuciem dla pełnego wyrzeczeń życia żołnierzy”, zrezygnować ze swej ulubionej rozrywki. Zamiast tego zaczęto słuchać muzyki z płyt. Jednak zainteresowania Hitlera, mimo iż posiadał bogatą płytotekę, ograniczały się do wciąż tych samych utworów. Ani barok, ani klasyka, ani muzyka kameralna, ani symfonie nie cieszyły się jego uznaniem. Życzył sobie najpierw odtworzenia, choć stale ich słuchał, kilku brawurowych fragmentów z oper Wagnera, a potem przechodził od razu do operetki. Na tym poprzestawał. Ambicją Hitlera było odgadnięcie nazwisk śpiewaczek. Gdy wymienił właściwe nazwisko, co zdarzało się często, cieszył się.

Dla wzbogacenia tego trochę ubogiego nocnego towarzyskiego podawano szampana. Po zajęciu Francji był to zdobyczny szampan taniego gatunku; najlepsze marki przywłaszczał sobie Goring i jego marszałkowie z sił powietrznych. Po pierwszej w nocy ten i ów mimo największych wysiłków nie mógł stłumić ziewania. Ale wśród monotonnej, męczącej pustki siedziano jeszcze dobrą godzinę, aż wreszcie Ewa Braun zamieniała z Hitlerem kilka słów i dostawała pozwolenie odejścia do pomieszczeń na piętrze. Sam Hitler wstawał, by

życia

się pożegnać, dopiero w kwadrans później. Po tych paralizujących godzinach pozostałe osoby, jakby wyzwolone, bawiły się często bardzo swobodnie przy szampanie i koniaku.

We wczesnych godzinach rannych śmiertelnie zmęczeni nieróbstwem wracaliśmy do domu. Po kilku dniach zapadałem, jak to wówczas określiłem, na „chorobę górską”, to znaczy skutek ciągłego marnotrawienia czasu czułem wyczerpanie i pustkę. Tylko wtedy, gdy próżniactwo Hitlera przerywały narady, miałem czas, by ze swymi pracownikami zasiąść do planów. Jako faworyzowany, stały gość i mieszkaniec Obersalzbergu nie mogłem, nie stając się nieuprzejmym, wymigać się od tych wieczorów, chociaż były one bardzo męczące. Szef prasowy, dr Dietrich, zdecydował się udać kilka razy na występy festiwalowe w Salzburgu, ale wywołał tym niechęć Hitlera. Gdy pobyt w górskiej rezydencji przedłużał się, wówczas jeśli nie chciałem zaniedbywać swej pracy, pozostawała mi tylko ucieczka do Berlina.

Niekiedy przybywali znajomi Hitlera z jego dawnego otoczenia w Monachium lub Berlinie, jak Schwarz, Goebbels czy Hermann Esser. Zjawiali się oni jednak niezwykle rzadko i zawsze tylko na dzień lub dwa. Także Hessa, który miał wszelkie powody, by własną obecnością tłumić aktywność swojego przedstawiciela, Bormanna, widziałem tam dwa lub trzy razy. Nawet najbliżsi współpracownicy, których tak często można było spotkać na obiadach w Kancelarii Rzeszy, najwyraźniej omijali Obersalzberg. Rzucano się to szczególnie w oczy, gdyż Hitler zwykle cieszył się z ich pojawienia i prosił, by przybywali tu na wypoczynek częściej i na dłuższy okres. Tymczasem oni sami stali się już centralnymi postaciami w swych środowiskach i nie odpowiadało im dostosowywanie się do całkiem odmiennego porządku dnia i, mimo wszelkiego uroku, niezbyt zachęcającego, władczego zachowania Hitlera. Starych zaś bojowników, których unikał już w Monachium, a którzy z zachwytem przyjęliby zaproszenie do Berghofu, nie chciał i tutaj widzieć.

W czasie wizyt jego dawnych współpracowników z partii mogła być obecna także Ewa Braun. Wypraszał ją jednak, skoro tylko zjawiali się inni dostojnicy Rzeszy, na przykład ministrowie. Nawet gdy przybywał Goring z żoną, Ewa Braun musiała pozostawać w swoim pokoju. Hitler uważał najwyraźniej, że nadaje się ona do towarzystwa tylko w ograniczonym stopniu. Podczas takiego wygnania dotrzymywałem jej niekiedy towarzystwa w pokoju obok sypialni Hitlera. Była tak zahukana, że nie ważyła się wyjść z domu na spacer: „Mogłabym spotkać Goringów na korytarzu”.

Hitler w ogóle nie zwracał zbyt wielkiej uwagi na jej obecność. Bez jakiegokolwiek zażenowania mówił przy niej o swoim stosunku do kobiet: „Bardzo inteligentni ludzie powinni brać sobie głupie i prymitywne żony. Pomyślcie, gdybym tak miał żonę, która wtrącałaby się do mojej pracy! W wolnym czasie chcę mieć spokój... Nigdy nie mógłbym się ożenić. Gdybym miał dzieci, co za problemy! Na koniec spróbowaliby jeszcze zrobić mojego syna moim następcą. A zresztą! Ktoś taki jak ja nie ma szans na udanego syna. W podobnych przypadkach jest to prawie zawsze regułą. Zobaczcie, syn Goethego, człowiek całkiem do niczego!... Wiele kobiet garnie się do mnie, ponieważ jestem niezonaty. Było to szczególnie ważne w okresie walki. To jest tak, jak z aktorem filmowym: kiedy się żeni, traci w oczach uwielbiających go kobiet, przestaje być ich bożyszczem”.

Był przekonany, że silnie oddziałuje na kobiety pod względem erotycznym. Ale i tu pozostawał pełen nieufności; nigdy nie wiem, mawiał, czy dana kobieta okazuje mi względy jako „kanclerzowi Rzeszy” czy jako „Adolfowi Hitlerowi”, a w żadnym wypadku, jak lubił grubiańsko podkreślać, nie chciałbym mieć koło siebie inteligentnych kobiet. Przy takich wynurzeniach nie zdawał sobie najwidoczniej sprawy, jak obraźliwe to być musiało dla obecnych pań. Jednak Hitler potrafił się także zaprezentować jako dobry opiekun rodziny. Pewnego razu, gdy Ewa Braun pojechała na narty i spóźniła się na przyjęcie w herbaciarni, był niespokojny, patrzył nerwowo na zegarek, wyraźnie zatroskany, że mogło się jej coś przydarzyć.

Ewa Braun wychowała się w skromnych warunkach: jej ojciec był nauczycielem. Nigdy nie poznałem jej rodziców, nie pokazywali się publicznie i do końca życia pozostali skromni. Także Ewa Braun zachowała bezpretensjonalność, ubierała się w sposób nie zwracający uwagi i nosiła uderzająco tanią biżuterię³, którą Hitler ofiarował jej na Boże Narodzenie lub na urodziny; były to przeważnie małe kamienie półszlachetne, warte w najlepszym razie kilkaset marek i wręcz obraźliwie skromne. Bormann prezentował zestaw, a Hitler przebierał, jak mi się wydawało, zgodnie ze swym drobnomieszczańskim smakiem, w pedantycznie rozłożonych eksponatach.

Ewa Braun nie interesowała się polityką, prawie nigdy nie próbowała wywierać wpływu na Hitlera. Mając jednak zdrowy pogląd na sprawy codzienne, robiła pewne uwagi o małych niedociągnięciach w życiu Monachium. Bormann odnosił się do tego z niechęcią, ponieważ w takich wypadkach natychmiast go wzywano. Ewa była wysportowana, dobrze i wytrwale jeździła na nartach. Urządzaliśmy z nią

często wycieczki w góry, poza ogrodzony teren. Kiedyś Hitler dał jej nawet osiem dni urlopu, naturalnie w okresie, gdy sam nie przebywał „na górze”. Pojechała z nami na kilka dni do Zurs, gdzie nie rozpoznana przez nikogo tańczyła namiętnie aż do rana z młodymi oficerami. Była daleka od tego, by zostać współczesną madame Pompadour; dla historyków jest ona interesująca tylko jako tło cech charakterologicznych Hitlera.

Pod wpływem swego rodzaju współczucia dla jej sytuacji zacząłem wkrótce darzyć sympatią tę nieszczęśliwą kobietę, która była bardzo przywiązana do Hitlera. Łączyła nas przy tym wspólna niechęć do Bormanna, spowodowana jego aroganckim, prostackim zachowaniem, przejawiającym się w gwałceniu przyrody i oszukiwaniu żony. Kiedy na procesie norymberskim usłyszałem, że Hitler poślubił Ewę Braun na półtora dnia przed swą śmiercią, cieszyłem się ze względu na nią - chociaż także tutaj można było dostrzec cynizm, z jakim traktował ją i chyba wszystkie kobiety.

Często zadawałem sobie pytanie, czy Hitler odczuwał coś takiego, jak miłość do dzieci. W każdym bądź razie usiłował, gdy stykał się z dziećmi, obcymi czy znanymi sobie, zajmować się nimi po przyjacielsku i ojcowsku, jakkolwiek nigdy nie udawało mu się tego robić przekonywająco. Nigdy nie umiał znaleźć właściwego, nie budzącego wątpliwości sposobu obcowania z nimi - zwykle po kilku łaskawych słowach wypowiedzianych do jakiegoś dziecka odwracał się zaraz do następnego. Oceniał dzieci jako narybek, jako reprezentantów przyszłej generacji. Dlatego więcej niż ich dziecięca natura cieszył go wygląd (włosy blond, niebieskie oczy), wzrost (silne, zdrowe) czy ich inteligencja (żwawość, pojętność). Na moje dzieci jego osobowość nie działała.

Z życia towarzyskiego na Obersalzbergu pozostało mi tylko wspomnienie osobliwej pustki. Szczęśliwym trafem w pierwszych latach pobytu w więzieniu zanotowałem świeże jeszcze w pamięci pewne strzępy rozmów, które mogę teraz uważać za niemal autentyczne.

W setkach rozmów przy herbacie poruszano sprawy mody, hodowli psów, teatru i filmu, operetki i jej gwiazd, roztrząsano przy tym niezliczone szczegóły z życia rodzinnego innych ludzi. Tylko w bardzo rzadkich wypadkach Hitler wypowiadał się na temat wewnętrznych przeciwników politycznych czy konieczności budowania obozów koncentracyjnych. Ta powściągliwość wynikała raczej z ogólnej banal-

Żydów,

ności rozmów niż z jakiegoś zamiaru. Nader często natomiast pokpiwał sobie ze swoich najbliższych współpracowników. Nieprzypadkowo pozostały mi w pamięci te właśnie uwagi, dotyczyły one przecież osób nie podlegających jakiegokolwiek krytyce publicznej. Prywatne otoczenie Hitlera nie było zobowiązane do zachowania dyskrecji, a w odniesieniu do kobiet Hitler mawiał, że wymaganie od nich milczenia i tak byłoby bezcelowe. Czy chciał zaimponować innym wyrażając się lekceważąco o wszystkim i wszystkich? Czy też była to jego generalna pogarda dla wszystkich ludzi i wydarzeń?

Hitler często wypowiadał się ujemnie na temat mitów Himmlera o SS: „Co za bzdura! Nadszedł moment, że wkraczamy w okres pozostawiający za sobą wszelką mistykę, a ten znowu zaczyna od początku. Zamiast tego byłoby już lepiej trzymać się kościoła. Ma on przynajmniej tradycje. I pomyśleć, że kiedyś uczyniono by mnie »świętym SS«! Wyobraźcie to sobie! Przewróciłbym się w grobie!”

„Ten Himmler znowu wygłosił przemówienie, w którym określa Karola Wielkiego jako »rzeźnika Sasów«. Śmierć wielu Sasów nie była historyczną zbrodnią, jak sądzi Himmler; Karol Wielki robił bardzo dobrze, podporządkowując sobie Widukinda i zabijając bez pardonu Sasów, gdyż umożliwiło to powstanie państwa frankońskiego i przeniknięcie kultury zachodniej na teren dzisiejszych Niemiec”.

Gdy Himmler polecił naukowcom prowadzić wykopaliska prehistoryczne, Hitler skomentował to: „Dlaczego demonstrujemy całemu światu, że nie mamy żadnej przeszłości? Nie dosyć, że Rzymianie wznosili już budowle, kiedy nasi przodkowie mieszkali jeszcze w lepiankach, a Himmler zaczyna teraz wygrzebywać te gliniane wsie i wpada w zachwyt nad każdą glinianą skorupą i kamienną siekierą, jaką znajduje. Udowadniamy tym tylko, że rzucaliśmy jeszcze kamiennymi toporami i kucaliśmy wokół ognisk pod gołym niebem, kiedy Grecja i Rzym znajdowały się już na najwyższym szczeblu kultury. Mamy właściwie wszelkie powody, by milczeć o tej swojej przeszłości. Zamiast tego Himmler obwieszcza wszystko całemu światu. Jak pogardliwie śmiać się muszą z tych odkryć dzisiejsi Rzymianie”.

Podczas gdy w Berlinie wśród pracowników politycznych Hitler wypowiadał się bardzo ostro przeciw kościołowi, w obecności kobiet przyjmował ton łagodniejszy- to właśnie jeden z przykładów, jak dostosowywał swe wypowiedzi do otoczenia.

„Kościół jest na pewno niezbędny dla narodu. Jest silnym elementem cementującym”, potrafił mówić innym razem w kręgu prywatnym. Co prawda wyobrażał sobie, że kościół stoi po jego stronie:

„Gdyby tylko Reibi (tak nazywał biskupa Rzeszy Ludwiga Mullera) był człowiekiem większego formatu. Dlaczego angażuje się takiego miernego kapelana wojskowego! Chętnie przecież udzieliłbym mu swego pełnego poparcia. Jak wiele mógłby wtedy dokonać! Dzięki mnie kościół ewangelicki mógłby się stać kościołem państwowym, tak jak w Anglii”.

Nawet po 1942 roku Hitler podkreślał jeszcze w pewnej rozmowie przy herbacie w Obersalzbergu, że uważa kościół za bezwarunkowo konieczny element życia państwowego. Byłby szczęśliwy, gdyby pewnego dnia znalazł się jakiś wybitny mąż, który nadawałby się do skutecznego pokierowania jednym lub w miarę możliwości obydwoma kościołami. Ciągle jeszcze ubolewał, że biskup Rzeszy, Muller, nie jest człowiekiem właściwym do realizowania dalekosiężnych planów. Potępiał przy tym ostro walkę z kościołem jako zbrodnię wobec przyszłości narodu, gdyż niemożliwe jest, jak mówił, zastąpienie kościoła „ideologią partyjną”. Niewątpliwie kościół potrafi po upływie dłuższego czasu dostosować się do celów politycznych narodowego socjalizmu, w swojej historii czynił podobnie Bóg wie ile razy. Nowa religia partyjna natomiast przyniosłaby tylko cofnięcie się w mistycyzm średniowiecza. Świadczy o tym mit SS i nieczytelny *Mit dwudziestego wieku* Rosenberga.

Gdyby w takim monologu Hitler zawarł negatywną ocenę kościoła, Bormann na pewno wyciągnąłby z kieszeni marynarki jedną z białych kartek, które stale nosił przy sobie. Notował bowiem wszystkie uwagi Hitlera, które wydawały mu się ważne, a prawie niczego nie zapisywał tak skwapliwie jak ujemnych uwag o kościele.

Przypuszczałem wówczas, że zbiera on materiał do biografii Hitlera.

Kiedy Hitler dowiedział się, bodaj że w 1937 roku, że pod naciskiem partii i SS wielu jego zwolenników zerwało z kościołem, ponieważ zdecydowanie przeciwstawiał się on zamiarom fuhrera, rozkazał ze względów oportunistycznych, aby jego najbliżsi współpracownicy, przede wszystkim zaś Goring i Goebbels, nadal należeli do kościoła. Sam również oświadczył, że pozostanie członkiem kościoła katolickiego, chociaż nie czuje z nim żadnej więzi duchowej. Wytrwał w tym do samobójstwa.

Jak Hitler sobie wyobrażał swój kościół państwowy, można było dowiedzieć się z często powtarzanej przez niego anegdoty politycznej, którą usłyszał od delegacji wpływowych osobistości arabskich: Kiedy mahometanie w ósmym wieku chcieli wdrzeć się przez Francję do Europy Środkowej, zostali odparci w bitwie pod Poitiers. Gdyby

wygrali tę bitwę, świat byłby dzisiaj mahometański. Arabowie narzuciliby bowiem narodom germańskim religię, która jako nakazująca szerzenie wiary przy pomocy miecza i podporządkowanie jej wszystkich narodów, odpowiadałaby jak najbardziej naturze Germanów. Wskutek swej niższości rasowej zdobywcy nie zachowaliby na czas dłuższy dominacji nad miejscową ludnością, wyrosłą wśród surowej przyrody i przez to silniejszą. Tak więc w końcu nie Arabowie, lecz mahometańscy Germanie staliby na czele tego islamskiego imperium.

Hitler lubił kończyć opowiadanie tej anegdoty następującymi rozważaniami: „Naszym nieszczęściem jest posiadanie niewłaściwej religii. Dlaczego nie mamy takiej religii jak Japończycy, która za najwyższe dobro uznaje ofiarę dla ojczyzny? Także religia mahometańska byłaby dla nas o wiele bardziej odpowiednia niż właśnie chrześcijaństwo z jego ckliwą tolerancją”. Rzecz osobliwa, że jeszcze przed wojną dodawał niekiedy: „Syberyjczycy, Białorusini i mieszkańcy stepów prowadzą do dzisiaj nadzwyczaj zdrowy tryb życia. Mają więc możliwości rozwojowe i biologiczną przewagę nad Niemcami”. Tę samą myśl miał w drastyczny sposób powtórzyć w ostatnich miesiącach wojny.

Rosenberg sprzedawał setki tysięcy egzemplarzy swego siedmiusetstronicowego *Mitu dwudziestego wieku*. Opinia publiczna w znacznej mierze traktowała książkę jako standardowe dzieło ideologii partyjnej, lecz Hitler podczas rozmów przy herbacie nazywał ją bez ogródek „bełkotem, którego nikt nie potrafi zrozumieć”, napisanym przez „Niemca nadbałtyckiego o wąskich horyzontach, myślącego w sposób straszliwie skomplikowany”. Dziwił się, że tego rodzaju książka może osiągnąć tak wysoki nakład: „Cofnięcie się do poglądów średniowiecza!” Nie wiadomo, czy donoszono Rosenbergowi o tych prywatnych wypowiedziach Hitlera.

Kultura Greków oznaczała dla Hitlera najwyższą doskonałość w każdej dziedzinie. Ich sposób pojmowania życia, wyrażający się na przykład w architekturze, był według niego „świeży i zdrowy”. Pewnego dnia zdjęcie pięknej pływaczki pobudziło go do marzycielskich rozważań: „Co za wspaniałe ciała może pan dzisiaj zobaczyć. Dopiero w naszym stuleciu młodzież zbliża się do ideału helleńskiego dzięki uprawianiu sportu. Jakże zaniedbywano ciało w poprzednich wiekach. Ale nasze czasy różnią się pod tym względem od wszystkich minionych epok kulturalnych, które przyszły po starożytności”. Sam jednak nie chciał uprawiać sportu. Nigdy także nie wspominał, by w okresie swej młodości zajmował się jakąś dyscypliną sportową.

Mówiąc o Grekach miał na myśli Dorów. Naturalnie odgrywało w tym swoją rolę przypuszczenie, podtrzymywane w okresie rządów Hitlera przez naukowców, że przybyłe z północy plemię Dorów było pochodzenia germańskiego i dlatego kultura Dorów nie należy do świata śródziemnomorskiego.

Jednym z ulubionych tematów Hitlera była namiętność Gorin-ga do polowań. „Jak człowiek może entuzjasmować się czymś takim”, mówił. „Zabijanie zwierząt, jeśli to konieczne, jest sprawą rzeźnika. Ale żeby wydawać na to jeszcze masę pieniędzy... Rozumiem, że potrzebni są myśliwi zawodowi, aby odstrzeliwać chorą zwierzynę. Gdyby przynajmniej wiązało się z tym jakieś niebezpieczeństwo, jak w czasach, kiedy podchodziło się zwierzynę z oszczepem. Ale dzisiaj, kiedy każdy posiadacz wielkiego brzucha może ustrzelić zwierzę z odległości... Polowanie i jazda konna są ostatnimi przeżytkami minionego, feudalnego świata”.

Hitler znajdował także przyjemność w słuchaniu relacji ambasadora Hewela, łącznika Ribbentropa, z rozmów prowadzonych przez telefon z ministrem spraw zagranicznych Rzeszy. Kazał sobie bardzo szczegółowo opowiadać ich treść. Udzielał nawet ambasadorowi rad, w jaki sposób może wprawić swego szefa w zaniepokojenie lub zakłopotanie. Czasami stawał koło Hewela, który musiał powtarzać, zasłaniając słuchawkę, co powiedział Ribbentrop, a Hitler dyktował mu odpowiedzi. Były to przeważnie sarkastyczne uwagi, które miały spotęgować stałą obawę nieufnego ministra o to, że niekompetentne koła mogą wpływać na Hitlera w dziedzinie polityki zagranicznej i kwestionować kompetencje Ribbentropa.

Nawet po dramatycznych rokowaniach Hitler potrafił kpić sobie ze swych rozmówców. Kiedyś opowiadał, jak przez udany wybuch namiętności uświadomił Schuschniggowi, w czasie jego wizyty w Obersalzbergu 12 lutego 1938 roku, powagę sytuacji i wreszcie zmusił go tym do ustępstw. Pewne pozornie histeryczne reakcje Hitlera, o których pisano, można wytłumaczyć tego rodzaju aktorstwem. W istocie zaś jedną z najbardziej wyraźnych jego cech była umiejętność panowania nad sobą. W mojej obecności tylko kilka razy dał się ponieść nerwom.

Bodaj że w roku 1936 w salonie Berghofu zjawił się Schacht z referatem. Wraz z innymi gośćmi siedziałem na przylegającym do salonu tarasie, wielkie okno było szeroko otwarte. Hitler krzyczał na ministra gospodarki wyraźnie w najwyższym stopniu zdenerwowany,

słyszeć było również zdecydowane i głośne odpowiedzi Schachta. Dialog stawał się coraz gwałtowniejszy, aż nagle ucichł. Hitler wyszedł na taras wściekły i długo jeszcze rozwodził się o swym krnąbrnym, ograniczonym ministrze, który opóźnia mu zbrojenia. Następnym razem niezwykle się zdenerwował, gdy w 1937 roku Niemoller wygłosił w Dahlem swe kolejne buntownicze kazanie; jednocześnie przedłożono fuhrerowi protokoły z podsłuchanych rozmów telefonicznych Niemollera. Przeróżnym głosem Hitler rozkazał umieścić go w obozie koncentracyjnym i nigdy stamtąd nie wypuszczać, ponieważ dowiódł, że jest niepoprawny.

Inny przypadek łączy się z wczesną młodością Hitlera; w 1942 roku, jadąc z Budziejowic do Krems, na jednym z domów we wsi Spital koło Weitry, w pobliżu granicy czeskiej, ujrzałem dużą tablicę. Napis na niej głosił, że tu „mieszkał fuhrer w latach swej młodości”. Był to ładny, okazały dom w bogatej wsi. Opowiedziałem o tym Hitlerowi. Momentalnie stracił panowanie nad sobą i krzykiem wezwał Bormanna, który wszedł speszony. Hitler wrzeszczał nieopanowanie: wielokrotnie już mówiłem, że w żadnym wypadku nie powinno się wspominać tej miejscowości. Ten osioł gauleiter umieścił tam jednak tablicę. Należy ją natychmiast usunąć. Nie mogłem sobie wtedy wytłumaczyć jego zdenerwowania, ponieważ z drugiej strony cieszył się, gdy Bormann donosił mu o renowacji miejsc upamiętniających jego młodzieńcze lata, spędzone koło Linzu i Braunau. Najwidoczniej miał jakiś powód, by zatrzeć tamten okres swej młodości. Dzisiaj wiadomo o niejasnych kulisach jego życia rodzinnego, sięgających tej okolicy Austriackiego Lasu.

Czasami szkicował wieżę historycznej twierdzy w Linzu mówiąc: „Tu było moje ulubione miejsce zabaw. Byłem wprawdzie złym uczniem, ale przodowałem w robieniu kawałów. Dla przypomnienia tego okresu każe przebudować kiedyś tę wieżę na wielkie schronisko młodzieżowe”. Często wspominał także o pierwszych ważnych przeżyciach politycznych ze swej młodości. Niemal wszyscy jego koledzy szkolni z Linzu, opowiadał, twardo stali na stanowisku, że należy zwalczać imigrację Czechów na tereny Austrii graniczące z Niemcami - wtedy po raz pierwszy uświadomił sobie istnienie problemów narodowościowych. Potem zaś, w Wiedniu, Hitler dostrzegł nagle niebezpieczeństwo żydowskie; wielu robotników budowlanych, z którymi się stykał, miało zdecydowanie antysemityczne nastawienie. Jednak nie pod każdym względem zgadzał się z nimi. „Odrzucałem ich socjaldemokratyczne poglądy, nigdy też nie przystąpiłem do żadnego związku

zawodowego. Przysporzyło mi to pierwszych trudności politycznych". Być może z tego między innymi powodu nie wspominał dobrze Wiednia, w przeciwieństwie do przedwojennego okresu monachijskiego, nad którym potrafił się rozmarzać: zadziwiająco często delectował się wspomnieniami masarni sprzedających smaczne kiełbasy.

Z najwyższym szacunkiem odnosił się do biskupa Linzu z czasów swej młodości, który wbrew licznym trudnościom przeforsował energicznie budowę w tym mieście katedry o niezwyklej rozmiarach; ponieważ miała ona przewyższyć nawet katedrę Św. Stefana w Wiedniu, rząd austriacki, nie chcąc dopuścić, by Wiedeń utracił pierwszeństwo, czynił biskupowi trudności⁴. Po tych wspomnieniach następowały zwykle wywody o nietolerancji, z jaką centralny rząd austriacki dławił wszelkie samodzielne inicjatywy kulturalne takich miast, jak Graz, Linz czy Innsbruck - nie zdając sobie przy tym widocznie sprawy, że taki przymusowy szablon narzucił całym krajom. Teraz, kiedy Hitler sam mógł decydować, chciał nadać swemu rodzinnemu miastu należną mu rangę. Jego program uczynienia z Linzu „wielkiej metropolii” przewidywał wzniesienie szeregu budowli po obu brzegach Dunaju połączonych mostem wiszącym. Pointą jego planu była wielka siedziba okręgowa NSDAP z olbrzymią salą posiedzeń i wieżą mieszczącą dzwony. W wieży chciał wybudować kryptę, w której zostałby pochowany. Dalszymi głównymi punktami zabudowy brzegów miały być: ratusz, reprezentacyjny hotel, wielki teatr, siedziba dowództwa korpusu, stadion, galeria obrazów, biblioteka, muzeum broni i budynek wystawowy, a na koniec pomnik na cześć wyzwolenia w 1938 roku oraz pomnik gloryfikujący Antona Brucknera⁵. Ja miałem opracować projekt galerii obrazów i stadionu na wzniesieniu, z roztaczającym się widokiem na miasto. Niedaleko stamtąd, także na wzgórzu, Hitler planował zbudowanie siedziby, w której chciał spędzić starość.

Hitler zachwycał się zarysami brzegów, jakie na przestrzeni wieków ukształtowały się po obu stronach Dunaju w Budapeszcie. Jego ambicją było, by Linz stał się niemieckim Budapesztem. Stwierdził przy tym, że Wiedeń jest źle położony, ponieważ odwraca się tyłem do Dunaju; projektanci swego czasu nie wykorzystali architektonicznie rzeki. I właśnie tylko dlatego, że uda mu się uczynić to w Linzu, miasto zacznie kiedyś konkurować z Wiedniem. Niewątpliwie robił te uwagi, nie myśląc tak całkiem poważnie; popychała go ku temu niechęć do Wiednia, która wybuchała w nim spontanicznie od czasu do czasu. Przy

innych okazjach jednak niejednokrotnie podkreślał, jak bardzo udanym przedsięwzięciem architektonicznym w Wiedniu była zabudowa dawnych fortyfikacji.

Jeszcze przed wojną Hitler oświadczał czasem, że po osiągnięciu swych celów politycznych chce wycofać się ze spraw państwowych i dokonać życia w Linzu. Nie wywierałby wtedy żadnego wpływu na politykę, gdyż jego następcą mógłby zdobyć sobie autorytet tylko po jego całkowitym usunięciu się. Nie będzie więc na niego oddziaływał. Zresztą ludzie szybko zwrócą się ku następcy, kiedy zorientują się, że teraz ten ma władzę. W takiej sytuacji on, Hitler, zostanie tak czy owak szybko zapomniany. Wszyscy go opuszczą. Wypowiadając te myśli, nie bez współczucia dla siebie samego, kontynuował: „Może odwiedzi mnie wtedy od czasu do czasu któryś z moich dawnych współpracowników. Ale nie liczę na to. Oprócz panny Braun nie zabiorę z sobą nikogo: pannę Braun i swego psa. Będę samotny. Któż dobrowolnie wytrzyma przy mnie dłużej? Nikt nie będzie zwracał już na mnie uwagi. Wszyscy będą biegać za moim następcą! Może raz w roku zjawią się u mnie na urodziny”. Naturalnie obecni przy stole protestowali i zapewniali, że pozostaną mu wierni i zawsze będą przy nim. Niezależnie od motywów, pod wpływem których Hitler mówił o swym wczesnym odsunięciu się od polityki, zawsze wychodził w takich momentach, jak się wydawało, z założenia, że nie jego osobowość i sugestywność, lecz władza jest źródłem i podstawą jego autorytetu.

Nimb, jakim otaczali Hitlera jego podwładni, którzy nie stykali się z nim bezpośrednio, był nieporównanie większy niż w najbliższym mu kręgu osób. Tutaj nie mówiono z respektem „fuhrer”, lecz „szef” oszczędzano sobie „heil Hitler” i witano się przez „dzień dobry”. Otwarcie nawet ironizowano na temat Hitlera, który wcale na to nie reagował. Jego stałego powiedzenia: „Mamy tutaj dwie możliwości”, często używała przy nim jedna z sekretarek, panna Schroder, mówiąc o najbardziej banalnych sprawach, na przykład: „Mamy tutaj dwie możliwości. Albo będzie padać, albo nie”. Ewa Braun bez zażenowania zwracała Hitlerowi przy stole uwagę, że jego krawat nie pasuje do garnituru, a niekiedy, będąc w dobrym humorze, określała siebie mianem „monarchini”.

Kiedyś przy wielkim okrągłym stole w herbaciarni Hitler zaczął mi się naraz przypatrywać. Zamiast opuścić wzrok, potraktowałem to jako wyzwanie. Kto to wie, jakie pierwotne instynkty wywołują pojedynek, w którym przeciwnicy patrzą sobie twardo w oczy, aż jeden

z nich ustąpi. Byłem przyzwyczajony zawsze wygrywać takie próby, tym razem jednak musiałem, zdawało się bez końca, zdobywać się na niemal nadludzki wysiłek, by nie ulec coraz mocniejszej pokusie odwrócenia wzroku - aż nagle Hitler zamknął oczy i po chwili obrócił się do swej sąsiadki.

Czasami zadawałem sobie pytanie: czego mi właściwie brakuje, by móc nazwać Hitlera swoim przyjacielem? Przebywałem w jego otoczeniu, w najbardziej prywatnym kręgu, prawie jak u siebie w domu, a do tego byłem pierwszym pracownikiem w jego najbardziej ulubionej dziedzinie, architekturze.

Brakowało wszystkiego. Nigdy w życiu nie spotkałem człowieka, który tak rzadko okazywałby swe uczucia, a jeśli to uczynił, momentalnie znowu zamykał się w sobie. W Spandau rozmawiałem z Hessem o tej swoistej właściwości Hitlera. Jak zgodnie stwierdziliśmy, obaj mieliśmy przecież chwile, kiedy mogło się nam wydawać, że zbliżyliśmy się do niego. Ale to było zawsze złudzenie. Kiedy ostrożnie przechodziło się do serdeczniejszego tonu, od razu wznosił wokół siebie, jakby w odruchu obrony, mur nie do przebycia.

Hess sądził co prawda, że istniał jeden wyjątek: Dietrich Eckart. Ale w trakcie naszej rozmowy doszliśmy do wniosku, że było to raczej uwielbienie dla starszego, uznanego zwłaszcza w kołach antysemitów pisarza niż przyjaźń. Po śmierci Dietricha Eckarta w 1923 roku czterej ludzie zwracając się do Hitlera używali przyjacielskiego „ty”: Esser, Christian Weber, Streicher i Rohm⁶. W stosunku do pierwszego skorzystał po 1933 roku z odpowiedniej okazji, by znowu przejść na „pan”, drugiego unikał, do trzeciego mówił w formie bezosobowej, a czwartego kazał zamordować. Także wobec Ewy Braun nie był całkowicie swobodny i ludzki: dystans między fuhrerem narodu a prostą dziewczyną istniał zawsze. Czasami nazywał ją z niestosowną poufałością „tschapperl” - głuptas. Ale właśnie to gwarowe wyrażenie chłopów bawarskich charakteryzowało jego stosunek do niej.

Awanturczość swojej egzystencji, wysokość stawki w swojej grze Hitler musiał sobie szczególnie uświadomić w czasie długiej rozmowy z kardynałem Faulhaberem w listopadzie 1936 roku w Obersalzbergu. Po tym spotkaniu siedział tylko ze mną w wykuszu jadalni. Zapadał zmrok. Hitler milcząc wpatrywał się długo w okno, po czym powiedział w zamyśleniu: „Istnieją dla mnie dwie możliwości: albo przeforsować swe plany, albo zawieść. Jeśli je przeforsuję, będę jedną z największych postaci w historii - jeśli zawiodę, zostanę potępiony, znieawidzony, przeklęty”.

1 Willa w pobliżu siedziby Hitlera na Obersalzbergu, należąca dawniej do zaprzyjaźnionej z nim rodziny Bechsteinów.

3² Chodziło o wydaną dopiero w 1961 roku tzw. drugą książkę Hitlera.

W książce N. E. Guna. *Eva Braun - Hitler* (1967) znajduje się wykaz wartościowej biżuterii Ewy. O ile sobie przypominam, nie nosiła jej, biżuterii nie widać także na licznych zdjęciach. Prawdopodobnie w książce wymieniono wartościowe przedmioty, które na polecenie Hitlera Bormann dostarczał Ewie Braun podczas wojny.

4 Katedrę zbudowano w stylu neogotyckim w latach 1862-1924. Wieża musiała być o metr niższa od katedry Św. Stefana.

5 Wyliczenie odpowiada szkicom sporządzonym przez Hitlera z myślą o tych budowlach.

6 Hermann Esser należał do partii od pierwszych chwil jej istnienia i został później sekretarzem stanu do spraw ruchu obcokrajowców; Christian Weber, również jeden z pierwszych członków partii, odgrywał po 1933 roku podrzędną rolę: między innymi kierował organizacją wyścigów konnych w Riem.

Rozdział 8

NOWA KANCELARIA RZESZY

By swemu stawaniu się jedną z „największych postaci w historii” zapewnić odpowiednie tło, Hitler już teraz żądał wznoszenia budowli na miarę imperium. Kancelarię Rzeszy, którą objął 30 stycznia 1933 roku, nazywał „stosowną dla koncernu mydlarskiego”. Nie mogła być według niego centralą wielkiej Rzeszy.

W końcu stycznia 1938 roku Hitler przyjął mnie oficjalnie w swym gabinecie: „Mam dla pana pilne zlecenie”, powiedział uroczyście, stojąc pośrodku pomieszczenia. „W najbliższym czasie muszę odbyć ważne spotkania. Potrzebuję olbrzymich galerii i sal, abym mógł imponować zwłaszcza pomniejszym partnerom. Jako teren budowy oddaję panu do dyspozycji całą Voss-Strasse. Koszty są mi obojętne. Ale musi to być zrobione bardzo szybko, a budowle muszą być solidne. Ile czasu pan potrzebuje? Plany, szkice, wszystko razem? Półtora roku czy dwa lata byłoby już dla mnie za długo. Czy może być pan gotów do dziesiątego stycznia trzydziestego dziewiątego roku? Następnym dyplomatów chcę przyjmować w nowej kancelarii”. Byłem wolny.

Dalszy przebieg dnia opisał Hitler w przemówieniu wygłoszonym z okazji uroczystego zatknięcia wiechy: „Mój generalny inspektor budowlany poprosił więc o kilka godzin do namysłu, a wieczorem przyszedł do mnie z terminarzem i powiedział: »Do tego a tego marca zostaną wyburzone domy, pierwszego sierpnia będzie uroczystość zawieszenia wiechy, a dziewiątego stycznia, mein fuhrer, zamelduję panu o ukończeniu prac«. Sam jestem z tej branży, z budownictwa, i wiem, co to znaczy. Tego jeszcze nie było. To wyczyn bez precedensu”¹. W rzeczywistości było to najbardziej lekkomyślne przyrzeczenie w moim życiu. Ale Hitler okazywał zadowolenie.

Natychmiast rozpoczęto rozbiórkę domów przy Voss-Strasse, by zwolnić teren pod budowę. Jednocześnie należało sporządzić plany ustalające wygląd zewnętrzny budowli i rozkład pomieszczeń. Budowę schronu przeciwlotniczego trzeba było nawet rozpocząć na podstawie szkiców odręcznych. Także w późniejszej fazie zamawiałem w największym pośpiechu wiele elementów budowlanych, zanim jednoznacznie określiłem rozwiązania architektoniczne. Najdłuższych terminów wymagały na przykład dostawy olbrzymich, ręcznie robionych dywanów do szeregu wielkich sal. Ustaliłem kolory i format dywanów nie wiedząc jeszcze, jak wyglądać będą same pomieszczenia. Zostały one poniekąd zaprojektowane według tych dywanów. Odrzuciłem skomplikowany harmonogram prac; wykazałby on tylko nierealność całego przedsięwzięcia. Pod wieloma względami ów improwizowany styl pracy podobny był do tego, który miałem zastosować cztery lata później, kierując niemiecką gospodarką wojenną.

Podłużny teren budowy podpowiadał uszeregowanie pomieszczeń wzdłuż długiej osi. Zademonstrowałem Hitlerowi projekt: wjeżdżało się przez wielkie bramy z placu Wilhelma na galowy dziedziniec, po schodach zewnętrznych docierało najpierw do małej sali przyjęć, w której dwuskrzydłowe drzwi prawie pięciometrowej wysokości otwierały drogę do wyłożonego mozaikami hallu, a następnie wchodziło się po kilku stopniach pod górę, przecinało okrągłe pomieszczenie z kopulastym sklepieniem i stawało na wprost galerii o długości 145 metrów. Moja galeria zrobiła na Hitlerze szczególne wrażenie, ponieważ była ponad dwa razy dłuższa od galerii lustrzanej w Wersalu. Głębokie nisze okienne miały dawać pośrednie światło i stwarzać to przyjemne wrażenie, jakiego doznałem przy zwiedzaniu Wielkiego Salonu na zamku w Fontainebleau.

W ten sposób powstał liczący ogółem 220 metrów ciąg pomieszczeń, w którym zwracała uwagę stała zmienność materiałów i zestawień barw. Na końcu znajdowała się sala przyjęć Hitlera. Bez wątpienia upajanie się reprezentacyjną architekturą i z pewnością „sztuka dla efektu” - ale było to także w baroku, istniało zawsze.

Hitler był pod wrażeniem: „Na długiej drodze od wejścia aż do sali przyjęć poczują oni już coś z potęgi i wielkości Rzeszy niemieckiej!” W ciągu następnych miesięcy kazał sobie raz po raz pokazywać plany, wtrącał się jednak niezwykle rzadko do tej przeznaczonej dla siebie budowli, pozwalając mi pracować według własnego uznania.

Głębszym powodem pośpiechu, z jakim Hitler posuwał naprzód sprawę wzniesienia nowej Kancelarii Rzeszy, była troska o swe zdrowie. Poważnie obawiał się, że nie pożyje długo. Już od 1935 roku coraz mocniej oddziaływały na jego wyobraźnię dolegliwości żołądkowe, które próbował leczyć narzucając sobie cały system ograniczeń; uważał, że wie, które potrawy mu szkodzą, i aplikował sobie coraz bardziej głodową dietę. Trochę zupy, sałata, lekkie potrawy w minimalnych ilościach - jadał bardzo mało. W jego głosie brzmiała rozpacz, gdy wskazując na talerz mówił: „Tym ma żyć człowiek! Przyjrzyjcie się temu! Lekarzom łatwo mówić: człowiek powinien jeść to, na co ma apetyt². Mnie nie odpowiada już prawie nic. Po każdym posiłku pojawiają się bóle. Jeść jeszcze mniej? To jak mam się utrzymać przy życiu?”

Często zdarzało się, że odczuwając bóle przerywał nieoczekiwanie naradę, znikał na pół godziny i dłużej albo się już w ogóle nie pokazywał. Męczyły go także, jak mówił, nadmierne gazy, dolegliwości sercowe i bezsenność. Kiedyś Ewa Braun opowiedziała mi, że nie mając jeszcze nawet pięćdziesięciu lat oświadczył jej: „Będę cię musiał wkrótce uwolnić, co ci po starym mężczyźnie”.

Jego lekarz osobisty dr Brandt, młody chirurg, próbował przekonać Hitlera, by pozwolił gruntownie się zbadać jakiemuś internście. Wszyscy popieraliśmy tę propozycję. Wymieniono nazwiska sławnych profesorów i zastanawiano się, jak przeprowadzić badania nie zwracając uwagi. Wspomniano o umieszczeniu go w szpitalu wojskowym, gdzie najłatwiej byłoby o zachowanie tajemnicy. Hitler jednak za każdym razem niweczył wszystkie te usiłowania: nie mógł sobie po prostu pozwolić, by uchodzić za chorego. Osłabiłoby to jego pozycję polityczną, zwłaszcza za granicą. Wzbraniał się nawet przed niepo-strzeżonym wezwaniem do mieszkania internisty, który przeprowadziłby pierwsze badania. O ile wiem, nie został wtedy porządnie zbadany, lecz według własnych teorii interpretował występujące u siebie symptomy - co zresztą odpowiadało jego wrodzonej skłonności do dyletan-ckiego zajmowania się różnymi sprawami.

Natomiast z powodu coraz silniejszego chrypięcia sprowadził sławnego berlińskiego laryngologa, profesora von Eickena; kazał mu gruntownie się zbadać w swym mieszkaniu kanclerskim i poczuł ulgę, kiedy diagnoza nie wykazała raka. Całymi miesiącami wspominał przedtem los cesarza Fryderyka III. Chirurg usunął Hitlerowi nieszkodliwą narośl; niewielka operacja odbyła się również w mieszkaniu.

W 1935 roku niebezpiecznie rozchorował się Heinrich Hofmann; pielęgnował go i leczył dr Morell, jego stary znajomy, stosując

sulfonamidy, które sprowadził z Węgier. Hofmann raz po raz opowiadał Hitlerowi, w jaki cudowny sposób lekarz ten uratował mu pewnością robił to w dobrej wierze, gdyż jedno z uzdolnień Morella polegało na przesadnym wyolbrzymianiu wyleczonej przez siebie choroby, by przedstawić swój kunszt w należywym świetle.

życie. Z

Dr Morell powoływał się na swe studia u słynnego bakteriologa Ilii Miecznikowa (1845-1916), laureata Nagrody Nobla i profesora w Instytucie Pasteura³. Mieczników miał go nauczyć zwalczania chorób bakteryjnych. Później Morell odbywał dalekie podróże jako lekarz okrętowy na statku pasażerskim. Na pewno nie był on zwykłym szarlatanem, raczej fanatykiem swego zawodu lubiącym ponadto pieniądze.

Hitler dał się namówić Hofmannowi, by zbadał go Morell. Rezultat był zaskakujący, Hitler po raz pierwszy uwierzył w znaczenie lekarza: „Tak jasno i precyzyjnie nikt mi jeszcze nie powiedział, co mi dolega. Plan kuracji jest zbudowany tak logicznie, że mam wielkie zaufanie do tego doktora. Będę dokładnie trzymał się tego, co mi przepisał”. Głównym wynikiem diagnozy, według opinii Hitlera, było stwierdzenie całkowitego zużycia flory jelitowej, co Morell tłumaczył przeciążeniem nerwowym. Po wyleczeniu tej dolegliwości wszystkie inne automatycznie ustąpią. Lekarz chce jednak przyśpieszyć jeszcze kurację przez wstrzykiwanie witamin, wyciągów z gruczołów, fosforu i glukozy. Kuracja ma trwać rok; przedtem można oczekiwać tylko częściowych sukcesów.

Medykamentem, o którym odtąd mówiono najwięcej, były kapsułki pod nazwą „Multiflor” z bakteriami jelitowymi, hodowanymi, jak zapewniał Morelli, „na najlepszym stadzie bydła pewnego chłopca bułgarskiego”. Co jeszcze oprócz tego wstrzykiwał Hitlerowi, nie było dokładnie wiadomo. Nam metody te zawsze wydawały się trochę podejrzane. Lekarz osobisty Hitlera, dr Brandt, rozmawiał na ten temat z zaprzyjaźnionymi internistami; odrzucali oni metody Morella jako ryzykowne i nie sprawdzone, a ponadto obawiali się niebezpieczeństwa przyzwyczajenia się organizmu. Rzeczywiście, zastrzyki trzeba było aplikować coraz częściej, wprowadzać do krwiobiegu w coraz krótszych odstępach czasu dodatki biologiczne, wyciągi z jąder i wnętrzości zwierząt oraz substancje chemiczne i roślinne Goring pewnego dnia ciężko obraził Morella, zwracając się do niego: „Panie zastrykarzu Rzeszy”.

Jednak wkrótce po rozpoczęciu leczenia Hitlerowi znikła na nodze egzema, która od dawna przysparzała mu wiele trosk. Po kilku

tygodniach czuł się także lepiej na żołądek; jadł znacznie więcej, nawet ciężkostrawne dania, miał lepszy nastrój i mówił z egzaltacją: „Gdybym tak nie spotkał Morella! On uratował mi życie! W jaki cudowny sposób mi pomógł!”

Podczas gdy zwykle Hitler fascynował innych, to w tym wypadku działało się odwrotnie: był całkowicie przekonany o genialności swego przybocznego lekarza i wkrótce zakazał wszelkiej jego krytyki. Morell należał odtąd do najbliższego otoczenia Hitlera i stawał się-gdy ten był nieobecny - mimowolnym przedmiotem kpin, gdyż potrafił mówić jedynie o paciorkowcach i innych streptokokach, o jądrach buhaja i najnowszych witaminach.

Hitler polecał wszystkim swym pracownikom w przypadku najdrobniejszych dolegliwości konsultować się z Morellem. Kiedy wskutek nieracjonalnego rytmu pracy i stosowania się do nienormalnych przyzwyczajęń Hitlera wystąpiły u mnie zaburzenia w krążeniu i dolegliwości żołądkowe, odwiedziłem prywatny gabinet Morella. Na tabliczce przy wejściu widniał napis: „Dr Theo Moreli. Choroby skórne i weneryczne”. Gabinet i mieszkanie Morella położone były w najwytworniejszej części Kurfurstendammu, w pobliżu Gedachtniskirche. W mieszkaniu wisiały liczne fotografie słynnych diw filmowych i aktorów z wypisanymi dedykacjami; zobaczyłem także zdjęcie następcy tronu (chodzi zapewne o syna cesarza Wilhelma I *przyp. tłum.*). Po powierzchownych oględzinach Morell przepisał mi bakterie jelitowe, glukozę, tabletki witaminowe i hormonalne. Dla pewności dałem się gruntownie zbadać w ciągu kilku wizyt internście Uniwersytetu Berlińskiego, profesorowi von Bergmannowi. Szkody organiczne, stwierdziła diagnoza, nie występują, tylko objawy nerwicowe, spowodowane nadmiernym przeciążeniem. Zwolniłem tempo swych zajęć na tyle, na ile było to tylko możliwe, i dolegliwości ustąpiły. Aby uniknąć irytacji Hitlera, rozповідаłem po prostu, że skwapliwie wypełniam zalecenia Morella, a ponieważ zacząłem czuć się lepiej, stałem się na pewien czas demonstrowanym przez niego okazem medycznym. Na polecenie Hitlera Morell zbadał także Ewę Braun. Opowiedziała mi potem, że jest obrzydliwie sprośny, i zapewniła ze wstrętem, że nie pozwoli, by ją dłużej leczył.

Hitler tylko przejściowo czuł się lepiej. Ale nie odstępował już swego przybocznego lekarza; wprost przeciwnie, dom Morella na wyspie Schwanenwerder pod Berlinem był coraz częściej miejscem, gdzie Hitler udawał się na herbatę -jedynym poza Kancelarią Rzeszy, do którego go jeszcze ciągnęło. Bardzo rzadko odwiedzał dr. Goebbelsa;

u mnie był tylko raz w Schlachtensee, by obejrzeć dom, który sobie zbudowałem.

Od końca 1937 roku, gdy także kuracja Morella przestawała być skuteczna, Hitler na nowo zaczął powtarzać stare ubolewania. Nawet przy rozdzielaniu zleceń i omawianiu planów dodawał czasami: „Nie wiem, jak długo będę żył. Może większość z tych budowli będzie gotowa, kiedy już mnie nie będzie...” Terminy oddania licznych wielkich budowli przypadały między 1945 a 1950 rokiem, a więc Hitler liczył się z tym, że pozostało mu tylko niewiele lat życia. Mawiał też: „Jeśli kiedyś stąd odejdę... Nie mam już wiele czasu...” W gronie prywatnym stale powtarzał: „Nie będę już długo żył. Myślałem zawsze, że pozostanie mi jeszcze trochę czasu na przeprowadzenie swych planów! Muszę je sam zrealizować! Żaden z moich następców nie będzie miał dość energii, by przetrwać kryzysy, których należy się spodziewać. Muszę urzeczywistnić swoje zamiary, dopóki mogę to uczynić przy moim stale pogarszającym się stanie zdrowia”.

2 maja 1938 roku Hitler zredagował swój osobisty testament; polityczny przedstawił już 5 listopada 1937 roku w obecności ministra spraw zagranicznych i elity wojskowej Rzeszy, określając swoje dalekosiężne plany podbojów jako „testamentarną spuściznę na wypadek mojego zgonu”. Przed najbliższym otoczeniem, które co noc musiało oglądać banalne filmy operetkowe oraz wysłuchiwać nie kończących się tyrad o kościele katolickim, dietach, greckich świątyniach i owczarkach, ukrywał, jak poważnie traktował swoje marzenia o panowaniu nad światem. Wielu byłych współpracowników Hitlera próbowało później zbudować teorię ewolucji, jaka się w nim dokonała w 1938 roku, tłumacząc to pogarszającym się stanem zdrowia w wyniku lekarskich metod Morella. Ja osobiście jestem zdania, że plany i cele Hitlera nie zmieniały się nigdy. Choroba i obawa przed śmiercią skłoniły go jedynie do przyśpieszenia terminów. Jego zamiary udaremnione być mogły tylko przez przeważające przeciwne siły, lecz te nie dawały znać o sobie w 1938 roku. Co więcej: sukcesy tego roku ośmieliły Hitlera do dalszego przyśpieszania tempa.

Z ciągłym niepokojem wewnętrznym Hitlera wiązał się także, jak mi się zdawało, gorączkowy pośpiech, z jakim ponaglał nas w pracach budowlanych. Na uroczystości zatknięcia wiechy powiedział do robotników: „To już nie jest amerykańskie tempo, to jest już teraz tempo niemieckie. Uważam, że moje osiągnięcia są większe niż innych mężów stanu w tak zwanych demokracjach. Sądzę, że prezentujemy także inne tempo polityczne, a jeśli możliwe jest przyłączenie do Rzeszy

państwa w ciągu trzech lub czterech dni, to musi być również możliwe wzniesienie budynku w rok lub dwa". Czasami stawiam sobie co prawda pytanie, czy ta wybujała pasja budowania nie miała także na celu maskowania jego planów i wprowadzania w błąd opinii publicznej wyznaczaniem terminów budowlanych i kładzeniem kamieni węgielnych.

Było to bodaj że w 1938 roku, siedzieliśmy w restauracji „Deutscher Hof” w Norymberdze. Hitler rozprawiał na temat obowiązku mówienia tylko o rzeczach przeznaczonych dla uszu ogółu. Wśród obecnych znajdował się reichsleiter Philip Bouhler ze swą młodą żoną. Wtrąciła ona, że to ograniczenie nie dotyczy chyba naszego grona, ponieważ wszyscy potrafimy strzec powierzonej nam przez niego tajemnicy. Hitler zaśmiał się i odpowiedział: „Nikt tutaj nie potrafi milczeć, poza jednym”. Wskazał przy tym na mnie. Ale co zdarzyło się w najbliższych miesiącach, dowiedziałem się nie od niego.

2 lutego 1938 roku ujrzałem w hallu mieszkania Hitlera naczelnego dowódcę Kriegsmarine, Ericha Raedera, który wychodził właśnie od fuhrera. Raeder był wzburzony i blady, idąc zataczał się, wyglądał na człowieka, który może mieć za chwilę atak serca. Po dwóch dniach przeczytałem w gazecie: ministra spraw zagranicznych von Neuratha zastąpił von Ribbentrop, naczelnego dowódcę wojsk lądowych von Fritscha - von Brauchitsch. Naczelne dowództwo Wehrmach-tu, sprawowane dotychczas przez feldmarszałka von Blomberga, przejął sam Hitler, mianując szefem sztabu Keitla.

Generała pułkownika von Blomberga znałem z Obersalzbergu; był to uprzejmy, dystyngowany pan, cieszący się u Hitlera dużym autorytetem i aż do dymisji traktowany przez niego nadzwyczaj grzecznie. Jesienią 1937 roku zwiedził on z inspiracji Hitlera moją pracownię na placu Paryskim, obejrzał plany i modele przebudowy Berlina. Uważnie i z zainteresowaniem oglądał je przez mniej więcej godzinę w towarzystwie generała, który każde słowo swego szefa podkreślał aprobującym skinieniem głowy. Był to Wilhelm Keitel, który obecnie został najbliższym wojskowym współpracownikiem Hitlera w Naczelnym Dowództwie Wehrmachtu. Nie orientując się w hierarchii wojskowej, wziąłem go wtedy za adiutanta Blomberga.

W tym samym czasie generał pułkownik von Fritsch, z którym się przedtem nie zetknąłem, wezwał mnie do swego gabinetu służbowego na Bandlerstrasse. Wyraził życzenie obejrzenia planów berlińskich, nie

tylko z samej ciekawości. Rozpostarłem je na wielkim stole taktycznym; chłodno, zachowując dystans, z wojskową lapidarnością, którą można było odczuć jako nieuprzejmość, zadawał pytania dotyczące moich wyjaśnień. Odnosiłem wrażenie, jakby kalkulował, w jakim stopniu Hitler może być zainteresowany utrzymaniem stanu pokojowego z uwagi na swe wielkie, zaplanowane na lata projekty budowlane. Być może tak mi się tylko zdawało.

Ministra spraw zagranicznych, barona von Neuratha, także nie znałem. Pewnego dnia, w 1937 roku, Hitler uznał, że willa ministra jest nie dość reprezentacyjna jako miejsce pełnienia oficjalnych obowiązków, i wysłał mnie do pani von Neurath, bym zaproponował jej znaczne powiększenie budynku na koszt państwa. Baronowa pokazała mi mieszkanie i kończąc rozmowę stwierdziła, że zdaniem jej i męża willa spełnia całkowicie swą rolę. Kazała podziękować za ofertę. Hitler zirytował się i nie powracał już więcej do owej propozycji. W tym wypadku stara szlachta świadomie pokazała swoją skromność, odcinając się otwarcie od usilnych dążeń „nowych panów” do reprezentacyjności. Inaczej niż Ribbentrop, który wezwał mnie latem 1936 roku do Londynu, gdyż chciał powiększyć i odnowić ambasadę niemiecką; miała być gotowa przed uroczystością koronacji Jerzego VI, wiosną 1937 roku, by podczas przewidywanych spotkań towarzyskich zaskakiwała luksusowym zbytkiem. Szczegóły Ribbentrop pozostawił swojej żonie, która wspólnie z architektem wewnątrz z monachijskich zakładów „Vereinigte Werkstatte” tak swobodnie poczyniała sobie w sprawach architektury, że czułem się trochę zbędny. Ribbentrop zachowywał się wobec mnie pojednawczo; zawsze jednak wpadał w zły humor po nadejściu telegramów od ministra spraw zagranicznych, co traktował jako, podważanie swoich kompetencji. Ze złością oświadczał wtedy głośno, że sam uzgadnia swą politykę z Hitlerem, który bezpośrednio powierzył mu londyńską misję.

Wielu politycznych współpracowników Hitlera, którzy mieli nadzieję na dobre stosunki z Anglią, już wtedy uważało, że zdolności Ribbentropa do spełnienia tej misji są problematyczne. Jesienią 1937 roku dr Todt odbył podróż z lordem Woltonem w celu zapoznania go z budową autostrad. Opowiadał potem, że lord prosił go nieoficjalnie, by na miejsce Ribbentropa mianować ambasadorem w Londynie jego, Todta; przy obecnym ambasadorze, miał powiedzieć lord, nigdy nie dojdzie do poprawy stosunków. Postaraliśmy się, by dotarło to do Hitlera. Nie zareagował jednak.

Wkrótce po mianowaniu Ribbentropa ministrem spraw za

granicznych Hitler zaproponował mu, by całkowicie zburzyć starą willę, a na mieszkanie służbowe ministra przebudować dotychczasowy pałac prezydenta Rzeszy. Ribbentrop przyjął propozycję.

Drugie wydarzenie 1938 roku, które pozwoliło dostrzec coraz większy pośpiech w polityce hitlerowskiej, przeżyłem 9 marca w hallu berlińskiego mieszkania Hitlera. Siedział tam przy radioodbiorniku jego adiutant Schaub słuchając przemówienia austriackiego kanclerza federalnego, dr. Schuschnigga, z Innsbrucku. Hitler udał się do swego prywatnego gabinetu na pierwszym piętrze. Schaub, wyraźnie na coś czekając, robił notatki. Tymczasem Schuschnigg mówił coraz dobitniej, zapowiadając plebiscyt narodowy w Austrii: naród austriacki powinien się opowiedzieć za niezawisłością albo przeciw niej. Potem Schuschnigg zawołał do swych rodaków: „Ludzie, nadszedł czas”.

Był czas także na Schaubę; pognał na górę. Wkrótce potem śpieszył do Hitlera Goebbels we fraku i Goring w galowym mundurze. Przyszli z jakiejś uroczystości, ponieważ był to berliński sezon balowy, i zniknęli na piętrze.

I znowu dopiero po kilku dniach przeczytałem w gazecie, co się wydarzyło. 13 marca wojska niemieckie wkroczyły do Austrii. Blisko trzy tygodnie później ja także jechałem samochodem do Wiednia, by przygotować na wielki wiec halę Nordwestbahnhofu. Wszędzie w miastach i wsiach ludzie witali samochody niemieckie machając rękami. W hotelu „Imperial” w Wiedniu ujrzałem bardziej banalną stronę radości z anchlussu. Liczni dostojnicy ze „Starej Rzeszy”, jak na przykład berliński prezydent policji, hrabia Helldorf, przybyli w pośpiechu, znęceni najwyraźniej obfitością towarów w sklepach: „Jest tam jeszcze dobra bielizna... Wełniane koce, ile się chce. Odkryłem sklep z zagranicznym likierem...” - dało się słyszeć w hallu hotelowym. Czulem obrzydzenie i ograniczyłem się do kupna kapelusza borsalino. Co mnie to wszystko obchodziło?

Wkrótce po anchlussie Austrii Hitler kazał przynieść mapę Europy Środkowej i pokazał swemu, słuchającemu go w skupieniu, prywatnemu gronu, w jakich „kleszczach” znalazła się teraz Czechosłowacja. Jeszcze po latach podkreślał często bezinteresowną postawę Mussoliniego jako męża stanu, w chwili gdy aprobował wkroczenie do Austrii; będę mu za to zawsze wdzięczny, mawiał. Dla Włoch bowiem istnienie Austrii jako neutralnego bufora było dogodniejszym rozwiązaniem; obecność wojsk niemieckich przy przełęczy Brenner musiała w przyszłości zaciążyć na polityce wewnętrznej Rzymu. Podróż Hitlera do Włoch w 1938 roku miała być w pewnym sensie pierwszym gestem

wdzięczności. Cieszył się jednak również, że zobaczy pomnikowe budowle i dzieła sztuki w Rzymie i Florencji. Osoby towarzyszące przymierzały zbytkowne uniformy, które demonstrowano Hitlerowi. Lubił przepych; zdecydowanie skromne ubranie, jakie sam zazwyczaj nosił, miało na celu oddziaływanie psychologiczne: „Moje otoczenie musi prezentować się okazale. Wtedy moja prostota bardziej rzuca się w oczy”. Mniej więcej w rok później scenograf Rzeszy, Benno von Arent, który dotychczas tworzył oprawę przedstawień operowych i operetkowych, otrzymał od Hitlera polecenie zaprojektowania stroju dla dyplomatów. Haftowane złotem fraki spotkały się z uznaniem Hitlera. Kpiarze mówili jednak: „Wygląda to jak w *Zemście nietoperza!*” Arent musiał też zaprojektować dla Hitlera order; i one mogły wzbudzić zainteresowanie na każdej scenie. Nazywałem potem Arenta „blacharzem Trzeciej Rzeszy”.

Po powrocie z podróży Hitler zreasumował swe wrażenia: „Jestem zadowolony, że nie mamy monarchii i że nigdy nie słuchałem tych, którzy chcieli mnie do niej przekonać. Ci dworacy i ta etykieta! Trudno to sobie wyobrazić! A duce ciągle na drugim planie! Na wszystkich bankietach i na trybunach rodzina królewska zajmowała pierwsze miejsca. Dopiero w znacznej odległości siedział duce, który przecież naprawdę reprezentuje państwo”. Hitler jako głowa państwa był według protokołu równy rangą królowi, Mussolini był jedynie premierem.

Po wizycie we Włoszech Hitler czuł się zobowiązany do szczególnego uczczenia Mussoliniego. Postanowił, że berliński „plac Adolfa Hitlera” po przebudowie Berlina będzie nosił imię Mussoliniego⁴. Uważał wprawdzie ten plac za obrzydliwy pod względem architektonicznym, ponieważ był, według niego, zniekształcony nowoczesnymi budowlami z „okresu systemu” (tzn. Republiki Weimarskiej - *przyj. tłum*) ale: „Jeśli przechrzćmy później »Adolf-Hitler-Platz« na »Mus-solini-Platz«, to pozbędę się go, a jednocześnie będzie to wyglądało wyjątkowo zaszczytnie, jeśli odstąpię duce właśnie swój plac. Zaprojektowałem już sam na tę okazję pomnik Mussoliniego!” Nie doszło do tego, gdyż zarządzona przez Hitlera przebudowa placu nie została już zrealizowana.

Dramatyczny rok 1938 doprowadził wreszcie do porozumienia Hitlera z mocarstwami zachodnimi w sprawie zaboru znacznej części Czechosłowacji. Na kilka tygodni przedtem w przemówieniach na

zjeździe norymberskim Hitler zaprezentował się jako gniewny fuhrer swego narodu; próbował, wspierany frenetycznymi owacjami swych zwolenników partyjnych, przekonać uważnie nasłuchującą zagranicę, że nie boi się nawet wojny. Było to, oceniając retrospekcyjnie, daleko idące zastraszenie, którego skuteczność wypróbował już pomyślnie, na mniejszą skalę, w rozmowie z Schuschniggiem. Z drugiej strony Hitler lubił sam sobie wyznaczać granicę odwagi przez publiczne stwierdzenia, których nie mógł już cofnąć bez ryzykowania swego prestiżu.

Nawet najbliższym współpracownikom nie pozwalał wątpić o swej gotowości do wojny i uświadamiał im, że nie da się uniknąć konsekwencji istniejącej sytuacji - podczas gdy na ogół nie miał zwyczaju zdradzać prawie nikomu swoich najskrytszych zamiarów. Wypowiedzi Hitlera o gotowości do wojny zrobiły wrażenie nawet na jego długoletnim adiutancie, Brucknerze. Siedzieliśmy we wrześniu 1938 roku, podczas zjazdu, na murze twierdzy norymberskiej, przed nami leżało zamglone dymem stare miasto, oświetlone łagodnym wrześniowym słońcem, gdy Bruckner powiedział przybity: „Może już ostatni raz oglądamy tu taki spokojny widok. Prawdopodobnie będziemy wkrótce mieli wojnę”.

Fakt, że jeszcze raz uniknięto wojny, którą przepowiedział Briickner, należy przypisać raczej ustępliwości mocarstw zachodnich niż powściągliwości Hitlera. Na oczach zastraszonego świata i zwolenników Hitlera, przekonanych teraz całkowicie o jego nieomyślności, odbywało się przekazywanie Niemcom obszaru Sudetów.

Powszechny podziw wzbudzały czeskie umocnienia graniczne. Podczas próbnego strzelania okazało się, ku zaskoczeniu fachowców, że nasza broń, jakiej tu miano użyć, nie przynosiła spodziewanych rezultatów. Hitler osobiście pojechał nad dawną granicę, by przyjrzeć się fortyfikacjom, i wrócił zaskoczony. Umocnienia, jak mówił, były niezwykle masywne, nad wyraz pomysłowo rozmieszczone i rozciągnięte na dużą głębokość przy doskonałym wykorzystaniu terenu. „Zdobycie ich w przypadku zdecydowanej obrony byłoby bardzo trudne i kosztowałoby nas wiele ofiar. Dostaliśmy je bez utraty krwi. Jedno jest pewne! Nie dopuszczę już, by Czesi zbudowali nową linię obronną. Jakie wspaniałe mamy teraz pozycje wyjściowe! Jesteśmy już za górami, w dolinach czeskich”.

10 listopada, jadąc do biura, mijałem dymiące jeszcze ruiny synagogi berlińskiej. Było to czwarte ważne wydarzenie, charak-

teryzujące ostatni rok przed wojną. Dzisiaj to wspomnienie jest dla mnie jednym z najbardziej deprymujących, ponieważ wtedy raził mnie właściwie tylko obraz żywiolowego nieładu, jaki ujrzałem na Fasanenstrasse: zwęglone balkony, zwalone fasady, wypalone mury - zapowiedź widoku, który w czasie wojny zapanować miał niemal w całej Europie. Najmocniej jednak razило mnie polityczne ożycie „ulicy”. Potłuczone zaś szyby wystawowe raniły przede wszystkim moje mieszczańskie poczucie porządku.

Nie dostrzegalem, że pękło wtedy coś więcej niż trochę szkła, że Hitler tej nocy po raz czwarty w ciągu roku przekroczył Rubikon i nieodwołalnie przypieczętował los swej Rzeszy. Czy chociaż przez ulotną chwilę poczułem, że zaczynało się coś, co miało się skończyć zniweczeniem pewnej części naszego narodu, co zmieniało także jego substancję moralną? Nie wiem.

To, co się stało, przyjmowałem raczej obojętnie. Przyczyniło się do tego także kilka słów Hitlera, który z ubolewaniem stwierdzał, że nie chciał tych aktów przemocy. Wydawał się być zażenowany. Później Goebbels w mniejszym gronie napomknął, że to on był inicjatorem tej ponurej, niesamowitej nocy, a ja uważam za całkowicie możliwe, iż rzeczywiście postawił on wahającego się Hitlera przed faktami dokonanymi, by zmusić go do działania.

Ciągle zaskakuje mnie to, że nie pamiętam właściwie antysemitycznych wypowiedzi Hitlera. Spoglądając wstecz mogę zebrać z elementów swych niezatartych wspomnień to, co wtedy mnie uderzało: oddalanie się Hitlera od jego wizerunku, jaki sobie stworzyłem, jego troska o stale podupadające zdrowie, nadzieja na złagodzenie walki z kościołem, kreślenie dalekosiężnych, niemal utopijnych celów, wszelkiego rodzaju dziwactwa - nienawiść Hitlera do Żydów wydawała mi się wtedy tak oczywista, że nie robiła na mnie wrażenia.

Uważałem się za architekta Hitlera. Wydarzenia polityczne nie obchodziły mnie. Tworzyłem dla nich tylko sugestywne tło. Hitler utwierdzał codziennie tę moją postawę, zwracając się do mnie niemal zawsze tylko w kwestiach architektonicznych; moje próby włączenia się do rozważań politycznych potraktowano by z pewnością jako zarozumialstwo i tak już dość spóźnionego nowicjusza. Byłem i czułem się zwolniony od zajmowania w tych sprawach jakiegokolwiek stanowiska. Narodowy socjalizm zmierzał ponadto do podziału sfer działania: ode mnie oczekiwano, że ograniczę się do budownictwa. W jak przesadnym stopniu ulegałem tej iluzji, pokazuje mój memoriał do Hitlera z 1944 roku: „Zadanie, jakie do mnie należy, jest apolityczne. Czułem się

dobrze w pracy dopóty, dopóki mnie i moją pracę oceniano tylko według osiągnięć zawodowych".

Jednak rozróżnianie takie było w gruncie rzeczy nieistotne. Dzisiaj wydaje mi się, że usiłowałem w ten sposób utrzymać wyidealizowany obraz Hitlera z dala od ordynarnego procederu urzeczywistniania tego, co głosiły hasła na transparentach przy wjeździe do wielu miejscowości i co składało się na tematykę spotkań przy herbacie. W rzeczywistości było przecież bez znaczenia, kto zmobilizował motłoch uliczny do niszczenia synagog i żydowskich sklepów; było obojętne, czy odbywało się to na polecenie czy tylko za aprobatą Hitlera.

Po zwolnieniu ze Spandau ciągle pytano mnie o to, czego sam próbowałem dociec siedząc samotnie w celi przez dwa dziesięciolecia: co wiem o prześladowaniach, deportacjach i eksterminacji Żydów; co musiałem o tym wiedzieć i jakie wyciągam stąd konsekwencje w stosunku do siebie.

Nie powtarzam już odpowiedzi, którą przez długi czas chciałem uspokajać pytających, a przede wszystkim siebie samego: że w systemie hitlerowskim, jak w każdym reżimie totalitarnym, mając coraz wyższą pozycję popadało się w coraz większą izolację, a tym samym traciło się rozeznanie, że wraz z technizacją procesu mordowania malała liczba morderców, a tym samym rosła możliwość pozostawania w niewiedzy; że mania utrzymywania wszystkiego w tajemnicy tworzyła stopnie wtajemniczenia, a tym samym dawała każdemu okazję ucieczki od dostrzegania nieludzkich czynów.

Nie przytaczam już tych wszystkich odpowiedzi, gdyż są one próbą przedstawiania przeszłości w manierze adwokackiej. Chociaż jako pupil, a potem jeden z najbardziej wpływowych ministrów Hitlera byłem izolowany; chociaż jako architekt, a potem minister zbrojeń miałem liczne możliwości ucieczki od prawdy; chociaż nie wiedziałem, co właściwie zaczęło się tamtej nocy z 9 na 10 listopada 1938 roku i co skończyło się w Oświęcimiu i Majdanku, to przecież stopień mojej izolacji, uciekania od prawdy i mojej niewiedzy określałem koniec końców zawsze ja sam.

Dlatego wiem dzisiaj, że moje dręczące introspekcje równie fałszywie stawiały pytanie jak żądni wyjaśnień ludzie, których w tym czasie spotkałem. To, czy wiedziałem, czy nie, ile albo jak niewiele wiedziałem, przestaje mieć znaczenie, jeśli weźmie się pod uwagę, ile powinienem był wiedzieć o tych okropnościach i jak oczywista była potrzeba wyciągnięcia konsekwencji już choćby z niewielkiego zasobu

wiadomości. Ludzie pytający mnie o to oczekują ode mnie w gruncie rzeczy usprawiedliwień. Jednak nie mam nic na swoją obronę.

9 stycznia 1939 roku miałem być gotów z budową nowej Kancelarii Rzeszy. Hitler przybył 7 stycznia z Monachium do Berlina. Przyjechał pełen napięcia, oczekując najwyraźniej, że zobaczy ciżbę rzemieślników i sprzątaczek. Każdy zna ten gorączkowy pośpiech na krótko przed oddaniem budynku, kiedy demontuje się rusztowania, usuwa pył i gruz, rozkłada dywany i wiesza obrazy. Jednak Hitler mylił się. Od początku zaplanowaliśmy sobie kilkudniową rezerwę, która w końcu okazała się niepotrzebna, i dlatego byliśmy gotowi już na czterdzieści osiem godzin przed terminem oddania budynku. Po wejściu do pomieszczeń Hitler mógł od razu usiąść za biurkiem i zająć się sprawami rządowymi.

Budowla zrobiła na nim wielkie wrażenie. Nie szczędził pochwał pod adresem „genialnego architekta”, wypowiadając je, całkiem wbrew swemu zwyczajowi, w mojej obecności. To zaś, że zdołałem zakończyć prace na dwa dni przed terminem, przyniosło mi sławę wielkiego organizatora.

Hitlera cieszyło szczególnie to, że w przyszłości oficjalni goście i dyplomaci będą musieli odbyć długi marsz, zanim dotrą do sali przyjęć. Moich obaw z powodu wypolerowanej marmurowej posadzki, którą niechętnie widziałbym przykrytą chodnikiem, nie podzielał: „Tak właśnie jest dobrze; jako dyplomaci powinni się poruszać na śliskim gruncie”.

Sala przyjęć zdaniem Hitlera wypadła za mała. Zarządził trzykrotne jej powiększenie. Plany były gotowe na początku wojny. Natomiast gabinet do pracy spotkał się z całkowitą aprobatą. Podobała się Hitlerowi zwłaszcza mozaika z forniru ułożona na biurku, przedstawiająca miecz do połowy wyciągnięty z pochwy. „Dobrze, dobrze... Kiedy zobaczą to dyplomaci siedzący naprzeciw mnie przy tym biurku, nauczą się bać”. Znad każdego z czworga drzwi gabinetu patrzyły na niego z góry umieszczone na połączonym tle cztery cnoty: mądrość, rozważa, waleczność i sprawiedliwość. Nie wiem, jakie myśli podsunęły mi tę ideę. W okrągłej sali dwie rzeźby Arna Brekera oskrzydlały bramę prowadzącą do wielkiej galerii. Jedna z nich symbolizowała „Ryzyko”, druga zaś „Rozwagę”. To raczej patetyczne przypomnienie mego przyjaciela, że każde ryzyko wymaga rozważa, podobnie jak i moja alegoryczna rada, by obok waleczności nie zapomnieć innych cnót,

świadczyły o naiwnym przecenianiu przez nas wskazań artystów, ale jednocześnie wyrażały chyba pewien niepokój przed zagrożeniem tego, co zostało osiągnięte.

Wielki stół z ciężkim marmurowym blatem stał początkowo bezużytecznie pod oknem. Od 1944 roku odbywały się przy nim narady poświęcone sytuacji na frontach; rozpostarte mapy Sztabu Generalnego pokazywały, jak szybko posuwają się wojska przeciwników zachodnich i wschodnich w kierunku terytorium niemieckiej Rzeszy. Tutaj w podziemiach mieściło się ostatnie stanowisko dowodzenia Hitlera, następne znajdowało się w odległości stu pięćdziesięciu metrów, pod wielometrową warstwą betonu. Sala posiedzeń rządu, cała ze względów akustycznych wyłożona boazerią, podobała się wprawdzie Hitlerowi, jednak nigdy nie była wykorzystywana do zamierzonego celu. Niejeden minister Rzeszy pytał mnie, czy nie mógłbym mu przynajmniej ułatwić obejrzenia „swojej” sali. Hitler pozwalał na to, i od czasu do czasu jakiś minister stał milcząco kilka minut obok swego miejsca, którego nigdy nie zajmował, a na którym mógł zobaczyć dużą teczkę z niebieskiej skóry ze swoim nazwiskim ułożonym ze złotych liter.

Aby dotrzymać napiętych terminów, zatrudniono na dwie zmiany cztery i pół tysiąca robotników. Oprócz tego kilka tysięcy robotników, rozproszonych po kraju, produkowało elementy. Wszyscy oni, kamieniarze, stolarze, murarze, instalatorzy i inni, zostali zaproszeni do obejrzenia budowli i pełni podziwu wędrowali przez gotowe pomieszczenia.

W pałacu sportowym Hitler powiedział do nich: „Tu jestem reprezentantem narodu niemieckiego! A jeśli przyjmował będę kogoś w Kancelarii Rzeszy, to niejako osoba prywatna, Adolf Hitler, lecz jako fuhrer narodu - tym samym nie ja, lecz w mojej postaci przyjmować go będą Niemcy. I dlatego chcę, by te pomieszczenia odpowiadały temu zadaniu. Każdy z was pomógł we wzniesieniu budowli, która przetrwa wiele stuleci i która mówić będzie o naszej epoce. Pierwsza budowla nowej, wielkiej Rzeszy niemieckiej!”

Po posiłkach Hitler pytał często, kto z jego gości nie widział jeszcze Kancelarii Rzeszy, i cieszył się, jeśli mógł pokazać któremuś z nich nową budowlę. Demonstrował przy tym zdziwionemu towarzystwu swą zdolność do zapamiętywania danych. Zaczynał mnie pytać: „Jaką powierzchnię ma ta sala? Jaką wysokość?” Zakłopotany wzruszałem ramionami, a on podawał wymiary. Zgadzały się dokładnie. Stopniowo stało się to ukartowaną grą, ponieważ również ja zapamiętałem te liczby. A że zabawa sprawiała Hitlerowi widoczną przyjemność, uczestniczyłem w niej.

Honory rozdzielane przez Hitlera mnożyły się: dla moich najbliższych współpracowników urządził przyjęcie w swym mieszkaniu; napisał rozdział do książki poświęconej Kancelarii Rzeszy; przyznał mi złotą odznakę partyjną i podarował, wypowiadając nieśmiało kilka słów, swą akwarelę z czasów młodości. Namalowana w 1909 roku, w najbardziej ponurym okresie życia Hitlera, ukazywała kościół gotycki, oddany z wyjątkową dokładnością, cierpliwością i pedanterią. Ani śladu zaangażowania, ani jednej kreski pociągniętej z werwą. Ale nie tylko sposób wykonania zdradzał brak wszelkiej osobowości; wydawało się, że obraz przez dobór przedmiotu, niewyszukane barwy, naturalną perspektywę wiernie charakteryzuje wczesny okres w życiu Hitlera; wszystkie akwarele z tego okresu są jakby pozbawione wyrazu; podobnie bezosobowo malował wówczas, gdy był łącznikiem na froncie pierwszej wojny światowej. Proces pojawiania się pewności siebie rozpoczął się późno; świadectwem tego były szkice piórem, przedstawiające wizję berlińskiej wielkiej hali i łuku triumfalnego, wykonane około 1925 roku. A po dziesięciu latach widziałem, jak szkicował zamaszystymi ruchami, czerwonym i niebieskim kolorem, kładąc kilka warstw jedna na drugiej, aż osiągnął kształt, który sobie wyobraził. Ale także jeszcze wtedy przyznawał się do niepozornych akwarel z okresu młodości, darując je czasami, co uważał za szczególne wyróżnienie.

W Kancelarii Rzeszy stało od dziesięcioleci marmurowe popiersie Bismarcka dłuta Reinholda Begasa. Na kilka dni przed oddaniem nowej kancelarii, podczas przeprowadzki, upadło ono robotnikom na podłogę, tak że odłamała się głowa. Zły znak, pomyślałem. A ponieważ znane mi było w dodatku opowiadanie Hitlera o tym, że dokładnie w momencie rozpoczęcia pierwszej wojny światowej spadł z budynku pocztowego orzeł Rzeszy, zataiłem to zdarzenie i kazałem, by Breker sporządził taką samą kopię, którą trochę przyciemniliśmy herbata.

Pewny siebie Hitler powiedział we wspomnianym już przemówieniu: „To jest właśnie cudowna cecha budowania: praca ta pozostawia po sobie pomnik. Trwa on, staje się czymś innym niż para butów, którą także trzeba zrobić, ale którą ktoś inny zedrze i wyrzuci po roku lub dwóch. Budowla pozostaje na miejscu i będzie przez stulecia mówić o wszystkich tych, którzy ją stworzyli”. 12 stycznia 1939 roku mająca trwać przez stulecia budowla została uroczystie oddana do użytku: Hitler przyjął w wielkiej sali dyplomatów akredytowanych w Berlinie, by wręczyć im pisma z życzeniami noworocznymi.

W sześćdziesiąt pięć dni od uroczystości otwarcia, 15 marca 1939 roku, do nowego gabinetu Hitlera wprowadzono prezydenta Czechosłowacji. Tutaj rozegrała się owa tragedia, która zaczęła się w nocy zniewoleniem Hachy, a skończyła rano okupowaniem jego kraju. „W końcu tak obrobiłem tego starszego pana”, opowiadał później Hitler, „że całkowicie był wykończony nerwowo i już chciał podpisać; wtedy dostał ataku serca. W sąsiednim pokoju dr Moreli dał mi zastrzyk, który jednak w tym przypadku podziałał zanadto skutecznie. Hacha w zbyt dużym stopniu odzyskał siły, ożywił się i postanowił nie podpisywać, zanim go ostatecznie miałem w ręku”.

W siedemdziesiąt osiem miesięcy po uroczystości otwarcia, 16 lipca 1945 roku, do Kancelarii Rzeszy kazał się wprowadzić Winston Churchill. Pisał on później w swoich pamiętnikach: „Przed Kancelarią Rzeszy stał wielki tłum ludzi. Wznosili na moją cześć okrzyki, z wyjątkiem starszego człowieka, który z dezaprobatą kiwał głową. Ta demonstracja poruszyła mnie równie mocno jak wymizerowane twarze i znoszone ubrania ludności. Następnie wędrowaliśmy spory kawałek czasu przez zniszczone korytarze i sale Kancelarii Rzeszy”.

Wkrótce potem budowla została usunięta. Kamienie i marmur posłużyły jako materiał przy wznoszeniu w Berlinie-Treptow pomnika ku czci poległych Rosjan.

1 Hitler wypowiedział się ponownie na temat tego pośpiechu w nie opublikowanym przemówieniu 9 stycznia 1939 roku. wygłoszonym w berlińskim pałacu sportowym z okazji oddania do użytku Kancelarii Rzeszy. Już od 1935 roku zalecał mi sporządzanie szkiców do projektu znacznego powiększenia Kancelarii Rzeszy.

2 Tak radził mi dr Grawitz, gruppenfuhrer i naczelny lekarz SS.³Ilja Miecznikow prowadził badania nad bakteriami, toksynami i immunologią. W 1908 roku otrzymał Nagrodę Nobla.

4 Dzisiaj Theodor-Heuss-Platz w Berlinie.

Rozdział 9

DZIEŃ W KANCELARII RZESZY

Mniej więcej czterdzieści do pięćdziesięciu osób mogło zawsze przyjść do Hitlera na obiad w Kancelarii Rzeszy. Wystarczyło zadzwonić do adiutanta i poinformować go o zamiarze przybycia. Przeważnie bywali tam gauleiterzy i reichsleiterzy partii, kilku ministrów oraz osoby z najbliższego otoczenia, nie widziało się natomiast oficerów, poza adiutantami Hitlera z Wehrmachtu. Pułkownik Schmundt, jeden z adiutantów, wielokrotnie nalegał na Hitlera, by pozwolił zasiadać przy swym stole także wyższym wojskowym, ale ten za każdym razem odrzucał prośbę. Być może zdawał sobie sprawę, że grono jego starych współpracowników mogłoby stać się przedmiotem lekceważących uwag korpusu oficerskiego.

Ja również miałem wolny wstęp do mieszkania Hitlera i często z tego korzystałem. Policjant stojący przy wjeździe do ogrodu przed domem znał mój samochód, otwierał bramę nie pytając o nic; parkowałem samochód na dziedzińcu i wchodziłem do domu przebudowanego przez Troosta. Leżał on na prawo od nowo zbudowanej przeze mnie Kancelarii Rzeszy i połączony był z nią korytarzem.

Pełniący wartę esesman z oddziału ochrony Hitlera witał mnie poufale, przekazywałem mu swój rulon z rysunkami i szedłem sam, jak ktoś z domowników, do przestronnego hallu. Były tam dwa wygodnie urządzone kąciki do siedzenia; białe ściany ozdobiono gobelinami, ciemnoczerwoną podłogę z marmuru zaścielono w znacznej części dywanami. Przeważnie spotykało się tu kilku gości prowadzących rozmowę, niektórzy załatwiali przez telefon prywatne sprawy - w ogóle lubiano to pomieszczenie, ponieważ tylko w nim wolno było palić.

Nie było przyjęte witanie się tu obowiązującym ogólnie „heil Hitler”, zdecydowanie częściej słyszało się „dzień dobry”. Mało roz-

powszechniony w tym gronie był także zwyczaj demonstrowania przynależności partyjnej przez noszenie odznaki w klapie marynarki, stosunkowo rzadko widziało się mundury. Ten, kto dostał się tutaj, miał przywilej swobodnego zachowywania się.

Przez kwadratowy salon przyjęć, z którego nie korzystano z powodu niewygodnych mebli, dochodziło się do właściwego pokoju, gdzie goście, przeważnie stojąc, prowadzili pogawędki. Ten liczący około stu metrów kwadratowych pokój, urządzony jako jedyny w całym domu z pewnym dążeniem do przytulności, pozostał nienaruszony podczas przebudowy w latach 1933/34 ze względu na swą bismarckowską przeszłość. Pod sufitem biegły drewniane belki, ściany pokrywała do połowy boazeria, a kominek ozdobiony był herbem z czasów florenckiego renesansu, przywiezionym kiedyś z Włoch przez kanclerza Rzeszy von Bulowa. Był to jedyny kominek na parterze. Otaczały go meble pokryte ciemną skórą, za sofą stał większy stół, na którego marmurowym blacie zawsze leżało trochę gazet. Na ścianach wisiał gobelin oraz dwa obrazy Schinkla. Galeria Narodowa wypożyczyła je do mieszkania kanclerza.

Na punktualność Hitlera nigdy nie można było liczyć. Obiad wyznaczano na około drugiej, ale przeważnie była trzecia albo jeszcze później, kiedy przychodził z górnych pomieszczeń mieszkania prywatnego bądź z jakiejś narady w Kancelarii Rzeszy. Wchodził zwyczajnie, jak osoba prywatna. Witał swych gości podaniem ręki. Staliśmy wokół niego, a on wypowiadał swoje poglądy na ten lub inny aktualny temat. Kilku faworyzowanych gości pytał, zwykle w konwencjonalnym tonie, o zdrowie „pani małżonki”, po czym kazał swojemu szefowi prasowemu dostarczyć wyciągi z wiadomości, siadał trochę dalej na fotelu i zaczynał czytać. Czasami przekazywał kartkę komuś z gości, ponieważ wiadomość wydawała mu się szczególnie interesująca, i rzucał niedbale parę uwag.

Goście stali kołem piętnaście do dwudziestu minut, aż uniosła się zasłona przed oszklonymi drzwiami, które prowadziły do jadalni. „Intendent domu”, o tuszy budzącej zaufanie do jego gospodarskich umiejętności, nieoficjalnym tonem, stosownym do ogólnej atmosfery, meldował Hitlerowi, że podano do stołu. Fuhrer szedł pierwszy do jadalni, za nim pozostałe osoby, bez przestrzegania jakiejkolwiek hierarchii.

Ze wszystkich pomieszczeń mieszkania kanclerskiego, urządzonych na nowo przez profesora Troosta, ten kwadratowy salon (dwanaście na dwanaście metrów) sprawiał najbardziej harmonijne

wrażenie. Jedna ze ścian mieściła troje oszklonych drzwi prowadzących do ogrodu, naprzeciw stał wielki kredens fornirowany drewnem palisandrowym, nad nim wisiał obraz Kaulbacha - nie dokończony i dzięki temu nie pozbawiony uroku, a w każdym razie wolny od pewnych potknięć tego eklektycznego malarza. Pozostałe ściany były przedzielone pośrodku dwiema półkolistymi niszami, w których na jasnych marmurowych podnóżkach stały akty dłuta monachijskiego rzeźbiarza Wackerlego. Po obu stronach nisz znajdowały się kolejne oszklone drzwi, prowadzące do przygotowni potraw, dużego salonu i wspomnianego już pokoju, przez który się wchodziło. Gładko wygipsowane ściany w białym kolorze przechodzącym w jasnożółty, a do tego pastelowe zasłony dawały złudzenie dużej przestronności. Lekkie występy na ścianach podkreślały prosty, surowy rytm wnętrza, ujęty w całość przez kanciasty gzyms. Umeblowanie było skromne i spokojne. W środku dominował wielki okrągły stół dla około piętnastu osób, wokół którego stały nie rzucające się w oczy krzesła z ciemnego drzewa, pokryte wiśniową skórą. Wszystkie wyglądały jednakowo, nie wyróżniało się też krzesło Hitlera. W rogach stały cztery małe stoły, z czterema lub sześcioma jednakowymi krzesłami, zastawione skromną, jasną porcelaną i prostymi szklankami; obydwie komplety wybrał jeszcze profesor Troost. Na środku stała waza z kilkoma kwiatami.

Była to „restauracja pod pogodnym kanclerzem Rzeszy”, jak często mówił Hitler do swych gości. Jego miejsce znajdowało się od strony okien i już przy wejściu do jadalni wybierał dwie osoby, które miały siedzieć obok niego. Wszyscy inni siadali wokół stołu tak, jak stali. Jeśli zjawiało się dużo gości, adiutanci i mniej ważne osoby, do których zaliczałem się również ja, zajmowali miejsca przy bocznych stołach; moim zdaniem było to korzystne, gdyż swobodniej się tam rozmawiało.

Jedzenie było uderzająco proste. Zupa (nie podawano żadnej przystawki), mięso z odrobiną jarzyn i ziemniaków, deser. Z napojów mogliśmy wybierać wodę mineralną, zwyczajne berlińskie piwo butelkowe lub tanie wino. Hitler dostawał swe wegetariańskie potrawy, pił „Faschinger”, a jeśli ktoś z gości miał ochotę, mógł jeść i pić to samo. Ale robili to tylko nieliczni. Jedynie Hitler przywiązywał wagę do tej prostoty. Liczył chyba na to, że rozpowiadać będą o tym w całych Niemczech. Kiedy pewnego dnia rybacy z Helgolandu podarowali mu w prezencie olbrzymiego homara i delikates ten ku zadowoleniu gości pojawił się na stole, Hitler wypowiadał się z wyraźną dezaprobatą o ludzkiej zachciance, która każe zjadać tak nieestetycznie wyglądające monstrum; jednocześnie mówił, że powinno się

zlikwidować taki luksus.

Góring rzadko brał udział w tych obiadach. Pewnego razu, witając się ze mną po przyjeździe na obiad do Kancelarii Rzeszy, oświadczył mi:

„Szczerze mówiąc, jedzenie jest tu dla mnie zbyt marne. A do tego ci filistrzy partyjni z Monachium! Nie do zniesienia”.

Mniej więcej co dwa tygodnie przy stole pokazywał się Hess; towarzyszył mu adiutant w bardzo osobliwym stroju, niosący blaszany pojemnik, w którym w różnych naczyniach dostarczano do Kancelarii Rzeszy specjalnie przygotowane potrawy, by odgrzać je w tutejszej kuchni. Przez długi czas nie doszło do Hitlera, że Hess każe sobie podawać własne wegetariańskie dania. Kiedy mu w końcu o tym doniesiono, zirytowany powiedział do Hessa w obecności zebranego przy stole towarzystwa: „Mam tutaj kucharkę przyrządzającą pierwszorzędne potrawy dietetyczne. Jeśli pański lekarz zalecił panu coś szczególnego, ona chętnie to przygotuje. Ale nie może pan przynosić własnego jedzenia”. Hess, skłonny już wtedy do zaciętego uporu, próbował wyjaśnić Hitlerowi, że składniki jego posiłków muszą mieć szczególne cechy biologiczno-dynamiczne. Na to odpowiedziano mu bez ogródek, że w takim razie powinien spożywać swe posiłki w domu. Od tej pory Hess prawie już nie zjawiał się na obiadach.

Kiedy na żądanie partii miano jeść w niedziele we wszystkich domach „eintopf, aby umożliwić produkcję „armat zamiast masła”, również w mieszkaniu Hitlera podawano tylko wazę zupy. Liczba gości skurczyła się wówczas do dwóch lub trzech osób, co skłoniło Hitlera do wypowiedzenia kilku sarkastycznych uwag o gotowości jego współpracowników do poświęceń. Jednocześnie bowiem przedkładano listę, na której deklarowało się składki pieniężne. Mnie każdy taki jedno-daniowy obiad kosztował od pięćdziesięciu do stu marek.

Najznakomitszym gościem przy stole był Goebbels, rzadko zjawiał się Himmler; Bormann nie opuszczał naturalnie żadnego posiłku, należał jednak, podobnie jak ja, do najbliższej świty i nie mógł być uważany za gościa.

Wypowiedzi Hitlera przy stole także i tutaj nie wychodziły poza zdumiewająco wąski zakres tematów i zmanierowany sposób snucia rozważań, które tak męczącymi czyniły rozmowy w Obersalzbergu. Używał tylko ostrzejszych sformułowań, lecz nie rozszerzał ani nie uzupełniał swego repertuaru prawie wcale, nie wzbogacał go o nowe punkty widzenia czy większą wnikliwość. Nie starał się nawet ukryć tego, że ciągle się powtarza. Nie mogę powiedzieć, bym uważał,

przynajmniej wtedy, że wypowiedzi Hitlera pozostawiają głębokie wrażenie, chociaż byłem pod urokiem jego osobowości; otrzeźwiały mnie one raczej, gdyż oczekiwałem poglądów i ocen na wyższym poziomie.

W swych monologach stwierdzał często, że jego poglądy polityczne, artystyczne i wojskowe tworzą jedność, która ukształtowała się w nim, aż do najdrobniejszych szczegółów, między dwudziestym a trzydziestym rokiem życia. Był to jego najpłodniejszy duchowo okres: to, co teraz planował i tworzył, stanowiło tylko urzeczywistnienie ówczesnych idei.

W rozmowach przy stole dużo miejsca zajmowały przeżycia z wojny światowej, w której większość gości brała jeszcze udział. Na froncie Hitler znajdował się przez pewien czas naprzeciw Anglików; ich waleczność i zaciętość wzbudziła w nim respekt, chociaż naśmiewał się przy tym z ich niektórych osobliwości. Wspominał na przykład z ironią, że mieli zwyczaj przerywać ogień dział dokładnie w porze picia herbaty, a on jako łącznik zawsze mógł w tym czasie nie zagrożony przebywać swą drogę.

Podczas naszych spotkań przy stole w 1938 roku nie planował żadnego odwetu wobec Francuzów; nie chcę, twierdził, na nowo rozpętać wojny z 1914 roku. Nie opłaca się z powodu nieznacznego obszaru w Alzacji-Lotaryngii prowadzić nowej wojny. Na dodatek Alzatzycy, ciągle zmieniający narodowość, do tego stopnia utracili charakter, że nie oznaczają zysku ani dla jednej, ani dla drugiej strony; należy ich pozostawić tam, gdzie znajdują się w tej chwili. Naturalnie Hitler wychodził z założenia, że Niemcy mogłyby prowadzić ekspansję na wschód. Waleczność żołnierzy francuskich zrobiła na nim duże wrażenie podczas wojny światowej, tylko korpus oficerski był jego zdaniem zniewieściały. „Z niemieckimi oficerami Francuzi byłiby doskonałym wojskiem”.

Nie odrzucał wprost sojuszu z Japonią, raczej problematycznego z rasowego punktu widzenia, ale odnosił się do niego z rezerwą, jeśli chodziło o dalszą przyszłość. Ilekroć poruszał ten temat, pozwalał odczuć swoje ubolewanie, że sprzymierzył się z tak zwaną żółtą rasą. Ale sądził, iż nie musi mieć wyrzutów, chociażby z tego tylko powodu, że również Anglia w czasie wojny światowej zmobilizowała Japonię przeciw mocarstwom centralnym. Hitler uważał Japonię za sojusznika o randze światowego mocarstwa, podczas gdy w przypadku Włoch nie był o tym zupełnie przekonany.

Amerykanie, mówił, niezbyt mocno zaangażowali się w wojnę 1914-1918, a do tego nie ponieśli znaczniejszej ofiary krwi. Z pewnością nie podołają większemu obciążeniu, ponieważ ich wartość bojowa jest znikoma. Naród amerykański jako jedność w ogóle przecież nie istnieje; to tylko masa imigrantów wielu narodowości i ras.

Fritz Wiedemann, który kiedyś był adiutantem dowódcy pułku i przełożonym łącznika Hitlera, a którego teraz Hitler bez poczucia delikatności uczynił swoim adiutantem, próbował mu się przeciwstawić i nalegał na podjęcie rozmów z "Ameryką. Aż wreszcie fuhrer rozzłoszczony sprzeciwem, naruszającym niepisane prawo rozmów przy stole, wysłał go jako konsula generalnego do San Francisco. „Niech się tam wyleczy ze swych poglądów”.

Żadna z osób biorących udział w tych rozmowach nie podróżowała po świecie. Zbierało się tam grono ludzi, którzy w większości nie wychylali nosa poza Niemcy; jeśli ktoś wyjeżdżał dla rozrywki do Włoch, omawiano to przy stole Hitlera jako wydarzenie i uznawano daną osobę za zorientowaną w sprawach zagranicy. Również Hitler nie widział nic ze świata i nie znał ani nie rozumiał jego problemów. W dodatku politycy partyjni z jego otoczenia nie mieli na ogół wyższego wykształcenia. Spośród pięćdziesięciu reichsleiterów i gauleiterów, tworzących kierowniczą elitę Rzeszy, tylko dziesięciu miało wykształcenie uniwersyteckie, kilku przerwało studia, a większość nie wyszła poza szkołę średnią. Prawie żaden z nich nie wyróżnił się w jakiejś dziedzinie godnym uwagi osiągnięciem i niemal wszyscy wykazywali zadziwiająco małe zainteresowania intelektualne. Ich wiedza w żadnym wypadku nie odpowiadała tej, której należałoby oczekiwać od kierowniczej elity narodu o tradycyjnie wysokim poziomie umysłowym. Hitler w gruncie rzeczy wolał mieć w swym najbliższym otoczeniu ludzi tego samego pochodzenia; prawdopodobnie czuł się wśród nich najlepiej. Lubił przy tym, gdy jego współpracownicy mieli jakieś „wady produkcyjne”, jak to wtedy nazywano. Hankę powiedział pewnego dnia: „Zawsze korzystne jest, jeśli pracownicy mają jakieś defekty i wiedzą, że są one znane przełożonemu. Dlatego też fuhrer tak rzadko zmienia swych współpracowników. Z nimi bowiem pracuje mu się najłatwiej. Prawie każdy ma na sobie jakąś ciemną plamę; pomaga to trzymać go w rękę”. Za „wady produkcyjne” uważano: niemoralny tryb dalszych przodków żydowskich lub krótki staż partyjny. życia,

Nierzadko Hitler zapuszczał się w rozważania, że błędem jest eksportowanie takich idei jak narodowy socjalizm. Prowadzi to tylko do niepożądanego wzmocnienia innych krajów, a tym samym do osłabienia

własnej pozycji. Dlatego czuł się wręcz uspokojony tym, że żadna z partii narodowosocjalistycznych w innych krajach nie miała przywódcy, który mógłby się z nim równać. Musserta i Mosleya oceniał jako naśladowców, którzy nie wymyślili nic oryginalnego i nowego. Kopiują oni tylko niewolniczo nasze metody, mówił, co do niczego nie prowadzi. W każdym kraju trzeba wychodzić z innych założeń i według nich kształtować metody. Degrelle'a oenił wyżej, jednak po nim również niczego sobie nie obiecywał.

Polityka była dla Hitlera środkiem do osiągnięcia celów. Nie czynił wyjątku nawet dla książki *Mein Kampf*, stanowiącej jego własne credo; w znacznej części, jego zdaniem, nie była ona już trafna, nie powinien był tak wcześnie obierać ostatecznego kierunku. Uwaga ta skłoniła mnie do rezygnacji z daremnie ponawianych prób przeczytania książki.

Kiedy po zdobyciu władzy ideologia zesła na plan dalszy, głównie Goebbels i Bormann walczyli ze spłyceniem programu partii i wpływami drobnomieszczańskimi. Bezustannie próbowali wpoić Hitlerowi radykalizm ideologiczny. Do grona zatwardziałych ideologów, z uwagi na swe przemówienia, niewątpliwie należał także Ley, ale nie był on działaczem takiej miary, żeby zapewnić sobie większe wpływy. Himmler natomiast szedł najwyraźniej swymi własnymi drogami szaleńca, które wyznaczała wiara w pierwotność rasy germańskiej, elitarny sposób myślenia oraz własne idee reform, co w sumie zaczęło przybierać dziwaczne, pseudoreligijne formy. Wraz z Hitlerem przede wszystkim Goebbels ośmieszał te dążenia, oczywiście nie bez mimowolnej pomocy samego Himmlera wskutek jego zarozumiałstwa i ograniczoności. Kiedy na przykład otrzymał w prezencie od Japończyków miecz samurajski, doszukał się pokrewieństwa między japońskimi i germańskimi obrzędami kultowymi i przy pomocy naukowców spekulował, jak można by tę zgodność sprowadzić do wspólnego mianownika także w sprawach rasowych.

Hitler szczególnie dużo zainteresowania poświęcał problemowi zapewnienia swej Rzeszy odpowiedniego narybku na przyszłość. Koncepcję służącego temu celowi przedsięwzięcia stworzył Ley, któremu też Hitler przekazał organizację systemu wychowania. W „szkołach Adolfa Hitlera” dla młodzieży młodszej i „ordensburgach” dających wyższe wykształcenie zamierzano przygotowywać elitę wyszkoloną pod względem fachowym i oświatowo-poglądowym. Prawdopodobnie jednak wybrańcy ci nadawaliby się tylko do obsadzania stanowisk w biurokratycznej administracji partyjnej; byliby oderwani od praktycznego

życia wskutek spędzenia młodości w odosobnieniu, lecz za to niedoścignieni pod względem arogancji i wysokiego mniemania o własnych zdolnościach, jak to się okazało już na samym początku. Znamienne było, że wysocy funkcjonariusze partyjni nie posyłali do tych szkół dzieci; nawet tak fanatyczny członek partii jak gauleiter Sauckel nie polecił żadnemu ze swych licznych synów obrania tej kariery. Bormann zaś wysłał tam jednego syna, traktując to jako karę.

Aktywizowaniu podupadającej ideologii partyjnej NSDAP służyła niewątpliwie, według poglądów Bormanna, walka z kościołem. Był główną siłą prącą w kierunku zaostrenia tej walki, czemu stale dawał wyraz przy stole. Ociąganie się Hitlera nie mogło zamaskować faktu, że również ten problem odkładał on tylko do właściwszego momentu. W tym męskim gronie był bowiem bardziej brutalny i mniej skryty niż wobec towarzystwa z Obersalzbergu: „Kiedy już uporam się z innymi sprawami, mówił czasem, zerwę z kościołem. Będzie miał wtedy za swoje”.

Ale Bormann nie chciał odkładać tych porachunków. Jego brutalnej bezpośredniości nie odpowiadał wykalkulowany pragmatyzm Hitlera. Wykorzystywał każdą okazję, by forsować swe zamiary; naruszał nawet w czasie obiadu przyjętą milcząco umowę, że nie należy podejmować tematów, które mogłyby popsuć Hitlerowi humor. Bormann stworzył w tym celu własną metodę: skłaniał uprzednio któregoś z uczestników obiadu, „by podawał mu piłkę”, opowiadając głośno, jak buntownicze kazanie wygłosił jakiś proboszcz lub biskup, aż Hitler wreszcie zwracał na to uwagę i żądał wszystkich szczegółów. Bormann wyjaśniał, że zdarzyło się coś nieprzyjemnego, ale nie chciałby fuhrerowi zakłócać tym spokoju w czasie obiadu. Wtedy Hitler domagał się dalszych informacji, a Bormann udawał, że trzeba je od niego wyciągać siłą. Gniewne spojrzenia reszty towarzystwa i nabiegająca krwią twarz Hitlera wcale mu nie przeszkadzały. Czasami wyciągał z kieszeni jakiś dokument i zaczynał odczytywać fragmenty wrogiego kazania lub orędzia kościelnego. Hitler wpadał w takie zdenerwowanie, że zaczynał nieomylny znak jego niezadowolenia, pstrykać palcami, przerywał jedzenie i zapowiadał zemstę. Wolał raczej niesławę i oburzenie za granicą niż tolerowanie sprzeciwu w kraju. Niemożliwość natychmiastowego zastosowania kary doprowadzała go do białej gorączki, chociaż przeważnie umiał doskonale panować nad sobą.

Hitler nie miał poczucia humoru. Robienie kawałów pozostawiał innym, sam śmiał się głośno i niepohamowanie, bywało nawet, że

dosłownie skręcał się ze śmiechu; niekiedy przy takich wybuchach wesołości ocierał sobie łzy. Lubił się śmiać, ale w gruncie rzeczy zawsze kosztem innych.

Goebbels wiedział najlepiej, jak za pomocą dowcipów można rozweselić Hitlera i zarazem osłabić pozycję swoich osobistych przeciwników w wewnętrznej walce o władzę. „Hitlerjugend”, opowiadał pewnego razu, „zażądała od nas, byśmy opublikowali notatkę prasową z okazji 25 rocznicy urodzin ich kierownika sztabu, Lauterbachera. Kazałem mu posłać propozycję tekstu, według którego obchodzi on swe urodziny »pełen świeżości cielesnej i duchowej«. Nie usłyszeliśmy o nim więcej”. Hitler pękał ze śmiechu, a Goebbels lepiej osiągnął swój zamiar zdyskredytowania zarozumiałych przywódców młodzieżowych niż przez wygłoszenie długiego wykładu. Również na tych przyjęciach Hitler wspominał często swoje młode lata i podkreślał przy tym wagę surowości, z jaką był wychowywany: „Nieraz dostawałem tęgę lanie od ojca. Uważam jednak, że było to konieczne i pomogło mi”. Wilhelm Frick, minister spraw wewnętrznych, wykrzyknął wysokim głosem, przerywając Hitlerowi: „Jak dzisiaj widać, dobrze to panu zrobiło, mein fuhrer”. Wszystkich jakby sparaliżowało, Frick próbował ratować sytuację: „Uważam, mein fuhrer, że dlatego zaszedł pan tak daleko”. Goebbels, który miał Fricka za kompletnego durnia, skomentował tę wypowiedź sarkastycznie: „Sądzę, drogi Frick, że pan w młodości w ogóle nie dostawał lania!”

Walter Funk, minister gospodarki i jednocześnie prezes Banku Rzeszy, opowiadał o szaleństwach, jakie miesiącami wyczyniał bez przeszkód jego zastępca Brinkmann, aż rozpoznano wreszcie, że jest chory umysłowo. Funk chciał tym nie tylko rozbawić Hitlera, lecz przede wszystkim przedstawić mu jednocześnie w niewinny sposób zajścia, o których niewątpliwie powinien on jeszcze usłyszeć. Brinkmann zaprosił sprzątaczkę i gońców zatrudnionych w Banku Rzeszy na wielki bankiet w „Bristolu”, jednym z najlepszych hoteli berlińskich, a następnie grał przed nimi na skrzypcach. To jeszcze mieściło się jakoś w usilnym dążeniu reżimu do demonstrowania więzi z ludem; bardziej wymowne było to, co Funk opowiadał dalej wśród wybuchów śmiechu gości zasiadających przy stole: „Niedawno stanął przed Ministerstwem Gospodarki na Unter den Linden, wyciągnął z aktówki paczkę nowo wydrukowanych banknotów - jak państwo wiedzą, są one sygnowane przeze mnie - i rozdzielał je między przechodniów, wołając: »Kto chce dostać nowe funki?« Wkrótce, jak mówił Funk, jego szaleństwo wyszło ostatecznie na jaw. Zwołał wszystkich urzędników Banku Rzeszy: „Kto

ma ponad pięćdziesiąt lat, na lewą stronę, młodszy na prawą! Ile ma pan lat?" zwrócił się do jednej z osób stojących po prawej stronie:

„Czterdzieści dziewięć, panie wiceprezese!" - „To na lewo! A teraz, wszyscy po lewej stronie zostają natychmiast zwolnieni, otrzymując podwójną emeryturę". Hitlerowi ze śmiechu płynęły z oczu łzy. Kiedy się opanował, zaczął rozprawiać o tym, jak trudno jest niekiedy rozpoznać chorobę umysłową. Tą okreźną drogą Funk ostatecznie zapobiegł pewnej możliwości: dyrektor Banku Rzeszy, uprawniony do zatwierdzania dokumentów, w swej niepoczytalności wystawił Goringowi, o czym Hitler mógł jeszcze nie wiedzieć, czek na sumę wielu milionów, które „dyktator gospodarczy" niefrasobliwie zainkasował. Używając całej swej potęgi, Goring występował potem konsekwentnie przeciw tezie, że Brinkmann jest niepoczytalny. Należało oczekiwać, iż poinformuje odpowiednio także Hitlera. Ten, kto pierwszy zdołał spowodować zajęcie przez fuhrera określonego stanowiska, miał już w kieszeni połowę wygranej, gdyż Hitler niechętnie zmieniał zdanie. Mimo to Funk miał trudności z odzyskaniem milionów zainkasowanych przez Goringa.

Ulubionym obiektem żartów Goebbelsa był Rosenberg, którego chętnie określał mianem „filozofa Rzeszy" i deprecjonował w swych anegdotach. W tym wypadku mógł być pewny aprobaty Hitlera. Siegał więc tak często do tego tematu, że jego opowiadania przypominały wyreżyserowane przedstawienie, gdzie różni aktorzy czekają na odegranie swej roli. Można było mieć prawie pewność, że Hitler pod koniec wystąpi ze słowami: „»Volkischer Beobachter« jest równie nudny jak jego wydawca Rosenberg. Mamy właściwie w partii tak zwane pismo humorystyczne »Witzblatt«. Najsmutniejsze, jakie można sobie wyobrazić! A z drugiej strony VB jest niczym innym, jak pismem humorystycznym". Ku ucieście Hitlera Goebbels naigrawał się także z Mullera, posiadacza wielkiej drukarni, który gorliwie zapobiegał, by mając zamówienia partii, nie stracić jednocześnie swych starych klientów z ortodoksyjnie katolickich kół Górnej Bawarii. Drukował publikacje o różnorodnych programach, od nabożnych kalendarzy do antykościelnych pism Rosenberga. Mógł sobie na to pozwolić, gdyż w latach dwudziestych częstokroć nie przerywał druku „Volkischer Beobachter" mimo niezapłacenia rachunków.

Niektóre kawały starannie przygotowywano, łącząc zrećźnie w jeden ciąg poszczególne poczynania, o których Hitler był na bieżąco informowany. Także tutaj Goebbels wykazywał wielką przewagę nad innymi, a Hitler swą żywą reakcją nieustannie go zachęcał, by mówił dalej.

Stary członek partii, Eugen Hadamowski, otrzymał w radiu poważne stanowisko kierownika emisji programów, palił się jednak do objęcia kierownictwa nad Radiem Rzeszy. Minister propagandy, mając innego kandydata, obawiał się, że Hitler mógłby poprzeć Hadamowskiego, który w kampaniach wyborczych przed 1933 rokiem organizował z dużym sprytem transmisje głośnikowe. Hanke, sekretarz stanu w Ministerstwie Propagandy, wezwał go więc do siebie i zakomunikował oficjalnie, że Hitler mianował go właśnie „intendentem Rzeszy”. Wybuch radości Hadamowskiego z upragnionej nominacji opisano Hitlerowi przy stole niewątpliwie trywializując i zniekształcając rzeczywisty przebieg zajścia, wskutek czego przyjął on to wszystko jako wspianą żart. Następnego dnia Goebbels kazał wydrukować kilka egzemplarzy gazety, gdzie podano wiadomość o rzekomej nominacji, chwając przesadnie nowo mianowanego. Na takich sprawach szef propagandy znał się. Mógł teraz opowiedzieć Hitlerowi o całej przesadzie i hołdach, jakie zawierał artykuł, i o radosnej reakcji Hadamowskiego. Rezultatem była kolejna salwa śmiechu Hitlera i towarzystwa zebranego przy stole. Jeszcze tego samego dnia Hanke poprosił Hadamowskiego, by wygłosił powitalne przemówienie przed mikrofonem, którego nie podłączono. I znowu towarzystwo miało powód do niekończącej się wesołości, gdy opowiadano, jak wielką radością i oznakami wyraźnej próżności reagował oszukany. Goebbels nie potrzebował na razie obawiać się interwencji na rzecz Hadamowskiego. Diabelska gra, w której ośmieszony nie miał nawet możliwości bronienia się; prawdopodobnie nie domyślał się w ogóle, że żart ten służył oczernieniu go przed Hitlerem. Nikt nie mógł przy tym zbadać, czy Goebbels przedstawił prawdziwe fakty, czy też puścił wodze swojej fantazji.

Można by pomyśleć, że Hitler został tu wystrychnięty na dudka, że Goebbels swymi intrygami wyprowadził go w pole. Według moich obserwacji Hitler w takich przypadkach rzeczywiście nie dorastał do Goebbelsa; ten rodzaj nikczemnego wyrafinowania nie odpowiadał jego prostolinijnej naturze. Ale trudne do zrozumienia było przede wszystkim to, że okazując swe zadowolenie aprobował, a nawet prowokował tę perfidną grę; parę słów dezaprobaty niewątpliwie położyłoby jej kres na czas dłuższy.

Nieraz zadawałem sobie pytanie, czy Hitler poddawał się wpływom. Z pewnością pozwalał w znacznym stopniu oddziaływać na siebie tym, którzy to potrafili. Był wprawdzie nieufny, ale jak mi się często wydawało, w bardziej ogólnym sensie, gdyż nie zawsze umiał

przejrzeć przemyślane szczegółowo posunięcia lub ostrożne ukierunkowywanie jego poglądów - zupełnie nie wyczuwał metodycznie prowadzonej „falszywej gry”. Mistrzami w tej grze byli Góring, Goebbels, Bormann i, w mniejszej skali, także Himmler. Ponieważ w rozstrzygających kwestiach otwarte przedstawianie poglądów nie mogło skłonić Hitlera do zmiany stanowiska, wpływowe pozycje tych ludzi jeszcze się umacniały.

Relację z obiadów towarzyskich niech zakończy opowiadanie o kolejnym perfidnym kawale. W tym wypadku celem ataku był rzecznik prasowy na zagranicę, Putzi Hanfstaengl, na którego Goebbels patrzył nieufnie wskutek jego bliskich powiązań osobistych z Hitlerem. Goebbels lubił piętnować przede wszystkim rzekomą chciwość Hanfs-taengla. Kiedyś spróbował udowodnić za pomocą płyty gramofonowej, że nawet melodię skomponowanego przez siebie, popularnego marsza *Der Fon* Hanfstaengl ukradł z pewnego angielskiego songu.

Rzecznik prasowy na zagranicę miał już więc złą opinię, kiedy Goebbels w okresie wojny domowej w Hiszpanii opowiedział przy stole u Hitlera, że Hanfstaengl robił krytyczne uwagi o duchu bojowym walczących tam żołnierzy niemieckich. Hitler był oburzony: trzeba udzielić lekcji temu tchórzowi, który nie ma prawa osądzać waleczności innych. W kilka dni później u Hanfstaengla zjawił się wysłannik Hitlera z zalakowanym rozkazem, który mógł on otworzyć dopiero po starcie specjalnie dla niego przygotowanego samolotu. Kiedy samolot wystartował, Hanfstaengl przeczytał z przerażeniem, że wysadzony zostanie na „terenach zajętych przez czerwonych Hiszpanów”, by pracować tam jako agent na rzecz Franco. Goebbels opowiedział Hitlerowi przy stole wszystkie szczegóły: jak Hanfstaengl po zapoznaniu się z rozkazem prosił pilota o zawrócenie, mówiąc, że wszystko musi polegać na nieporozumieniu; jak samolot przez całe godziny krążył w chmurach nad terytorium niemieckim, a pasażerowi podawano fałszywe dane o miejscu położenia samolotu, wskutek czego był on przekonany, iż zbliża się do terytorium Hiszpanii; jak wreszcie pilot oświadczył, że musi przymusowo lądować, i spokojnie zniżył się nad lotnisko w Lipsku. Hanfstaengl, który po miejscu lądowania zorientował się, że padł ofiarą złośliwego żartu, oświadczył zdenerwowany, że ktoś czyha na jego życie, a wkrótce znikł bez śladu.

Wszystkie stadia owej historii wywoływały ogromną wesołość gości Hitlera, zwłaszcza że ten żart uknuł on wspólnie z Goebbelsem. Kiedy jednak Hitler dowiedział się po pewnym czasie, że jego rzecznik prasowy na zagranicę poszukał sobie schronienia za granicą, zaniepoko-

ił się, że Hanfstaengl zacznie tam współpracować z prasą, by wymienić swe poufne wiadomości na pieniądze. Wbrew przypisywanej mu żądzy pieniądza Hanfstaengl nie uczynił jednak nic takiego.

Skłonność Hitlera do psucia bezlitosnymi żartami opinii i poniżania nawet swych bliskich współpracowników i wiernych towarzyszy walki również budziła we mnie pewien niepokój. Choć ciągle jeszcze znajdowałem się pod wpływem Hitlera, nie była to już dawno ta fascynacja, jakiej ulegałem w pierwszych latach naszej współpracy. W codziennym obcowaniu zdobywałem umiejętność patrzenia z dystansu, a tym samym zdolność do krytycznej obserwacji.

Ponadto byłem z nim ściśle powiązany jako ze zleceniodawcą i nadal entuzjazmowałem się możliwością służenia mu i przekształcania w rzeczywistość jego pomysłów budowlanych. Poza tym także i mnie, w miarę jak moje zadania budowlane rosły i stawały się coraz ważniejsze, okazywano podziw i respekt. Sądziłem wtedy, że tworzę dzieło swego życia, które postawi mnie w rzędzie najślawniejszych budowniczych w historii. Takie przekonanie skłaniało jednocześnie do tego, by nie tylko korzystać z łaski Hitlera, lecz odwzajemniać mu się w nie mniejszym stopniu za uczynienie ze mnie budowniczego. W dodatku Hitler traktował mnie jako kolegę i stale stwierdzał, że w dziedzinie architektury mam nad nim przewagę.

Przyjęcie u Hitlera oznaczało zawsze dużą stratę czasu, gdyż siedziano przy stole mniej więcej do wpół do piątej. Naturalnie prawie nikt nie mógł sobie na to codziennie pozwolić. Również ja, nie chcąc zaniedbywać pracy, przychodziłem na te obiady raz lub dwa razy w tygodniu.

Ale jednocześnie bywanie na nich było ważne, gdyż dzięki temu zdobywało się prestiż; ponadto większość gości pragnęła zaznajomić się z poglądami Hitlera na aktualne problemy. Dla niego samego spotkania takie były także pożyteczne, mógł bowiem w swobodnej formie popularyzować bez trudu swe hasła i linię polityczną. Natomiast unikał na ogół informowania o własnej pracy, na przykład o rezultacie jakiejś ważnej konferencji. Jeśli to robił, to najczęściej w celu wygłoszenia komentarzy na temat swoich rozmówców.

Niektórzy goście niczym wędkarze już w czasie obiadu zarzucali swe przynęty, by uzyskać termin rozmowy z Hitlerem. Wspominali na przykład, że przynieśli fotografie najaktualniejszego stanu jakiejś budowy; skuteczną przynętę stanowiły też zdjęcia dekoracji

teatralnych z nowej inscenizacji, najlepiej utworów Wagnera lub jakiejś operetki. Stale jednak niezawodnym wabikiem było: „Mein fuhrer, przyniosłem panu nowe plany budowlane”. Wtedy gość mógł być niemal pewny, że Hitler odpowie: „Tak, to ładnie, niech mi je pan pokaże zaraz po obiedzie”. W myśl zwyczajów towarzystwa zbierającego się przy tym stole było to niestosowne postępowanie. Ale z drugiej strony groziło niebezpieczeństwo, że upłyną całe miesiące, nim fuhrer wyznaczy oficjalny termin spotkania.

Po jedzeniu Hitler wstawał od stołu, goście zegnali się szybko, a wyróżnionego pan domu prowadził do sąsiedniego salonu, który z niewytłumaczalnego powodu nazywano „ogrodem zimowym”. Mnie zaś często oznajmiał: „Niech pan poczeka chwilę. Chciałbym z panem coś jeszcze omówić”. Z tej chwili robiła się nieraz godzina albo i więcej. Wreszcie Hitler kazał mnie zawołać do siebie. Zachowywał się teraz jak całkiem prywatna osoba, siadał naprzeciw mnie w wygodnym fotelu i zapytywał, jak dalece zaawansowane są moje budowy.

Tymczasem często dochodziła już szósta. Hitler zegnał się, szedł do swych pomieszczeń na piętrze, a ja jechałem do biura, nierzadko tylko na krótki czas. Jeśli otrzymywałem telefon, że Hitler zaprosił mnie na kolację, musiałem już po dwóch godzinach być ponownie w mieszkaniu kanclerskim. Niejednokrotnie, gdy miałem przedstawić mu plany, przychodziłem również bez wezwania.

Wieczorami zbierało się grono złożone z sześciu do ośmiu osób: adiutanci Hitlera, lekarz osobisty, fotograf Hofmann, jeden lub dwóch znajomych z Monachium, czasem pilot Bauer ze swym nawigatorem i mechanikiem pokładowym oraz, jako nieodzowny towarzysz, Bormann. Było to najbardziej prywatne towarzystwo Hitlera w Berlinie; obecność politycznych współpracowników, na przykład Goebbelsa, była wieczorem na ogół niepożądana. Poziom rozmów był jeszcze bardziej mierny niż podczas obiadów, zajmowano się błahostkami. Hitler najchętniej kazał sobie składać relacje z przedstawień teatralnych, interesowała go także kronika skandali. Pilot opowiadał o lataniu, Hofmann anegdoty z monachijskiego środowiska artystycznego lub opisywał polowania na obrazy, ale przeważnie Hitler powtarzał historie ze swego życia i snuł wspomnienia o swej młodości.

Jedzenie znowu składało się z prostych potraw. Intendent Hitlera, Kannenberg, spróbował co prawda parę razy podać coś lepszego podczas spotkań w tej prywatnej atmosferze. Przez kilka tygodni Hitler z apetytem zjadał całymi łyżkami kawior i chwalił dobry, nowy dla niego smak. Ale gdy dowiedział się od Kannenberga, ile

to kosztuje, przeraził się wysoką ceną i zabronił dalszego kupowania. Podano mu więc tańszy czerwony kawior, ale i ten odrzucił jako za drogi- Naturalnie koszty te nie odgrywały żadnej roli w stosunku do ogólnych wydatków. Ale dla Hitlera było oczywiste, że jako fuhrer nie powinien sobie pozwolić na jedzenie kawioru.

Po kolacji towarzystwo udawało się do salonu, który przeznaczony był w zasadzie dla gości oficjalnych. Siadano w wygodnych fotelach, Hitler rozpinał marynarkę, wyciągał daleko przed siebie nogi. Powoli gasło światło, a jednocześnie tylnymi drzwiami wpuszczano wyróżnione osoby, między innymi kobiety zatrudnione przy prowadzeniu domu oraz członków oddziału ochrony Hitlera. Zaczynał się pierwszy film fabularny. Podobnie jak w Obersalzbergu siedzieliśmy w milczeniu przez trzy do czterech godzin, a kiedy kończono wyświetlanie filmów, około pierwszej w nocy, podnosiliśmy się zeszywniali i znużeni. Tylko Hitler wydawał się jeszcze świeży, z zamiłowaniem rozprawiał o osiągnięciach wykonawców, zachwycał się grą jednego ze swych ulubionych aktorów, po czym przechodził do innych tematów. W małym pokoju mieszkalnym kontynuowano niemrawo rozmowę; podawano piwo, wino i kanapki, aż wreszcie o drugiej nad ranem Hitler żegnał się z nami. Często narzucała mi się myśl, że ci mierni ludzie zbierali się w tym samym miejscu, gdzie Bismarck miał zwyczaj prowadzić rozmowy ze znajomymi, przyjaciółmi i partnerami politycznymi.

Kilkakrotnie proponowałem, by zaprosić jakiegoś słynnego pianistę lub naukowca, który rozproszyłby monotonię tych wieczorów. Jednak ku memu zaskoczeniu Hitler uchylał się od tych propozycji: „Artyści nie przyszliby przecież tak chętnie, jak pan twierdzi”. W rzeczywistości wielu z nich odczułoby zaproszenie jako zaszczyt. Prawdopodobnie Hitler nie chciał zmieniać sprawiającego mu przyjemność, banalnego zakończenia swego dnia. Często również dawało się zauważyć, że odczuwał on pewną nieśmiałość wobec ludzi, którzy górowali nad nim pod względem wiadomości fachowych. Przyjmował ich co prawda niekiedy, ale w powściągliwej atmosferze audiencji oficjalnej. Być może stanowiło to jeden z powodów zaangażowania mnie jako całkiem młodego jeszcze architekta, wobec mnie nie odczuwał kompleksu niższości.

Bezpośrednio po 1933 roku adiutanci mogli zapraszać także kobiety, między innymi ze środowiska filmowego, wybierane przez Goebbelsa. Na ogół jednak proszono tylko mężatki, najczęściej razem z mężami. Hitler zwracał uwagę na tę regułę, aby uniknąć plotek, które

mogłyby naruszyć stworzony przez Goebbelsa wizerunek solidnie żyjącego fuhrera. Wobec tych kobiet Hitler zachowywał się mniej więcej tak jak absolwent nauki tańca na balu końcowym. Także i tutaj uwidaczniała się wymuszona gorliwość, by nie zrobić fałszywego kroku - rozdzielać w dostatecznej liczbie komplementy, witać i żegnać austriackim pocałunkiem w rękę. Po zakończeniu spotkania siedział zwykle przez pewien jeszcze czas w swym prywatnym gronie, by z rozmarzeniem pomówić o kobietach obecnych tego wieczoru, więcej o ich figurach niż uroku osobistym czy inteligencji, zawsze niczym uczeń przekonany o niemożności spełnienia się jego życzeń. Hitler lubił kobiety wysokie, smukłe, ale o pełnych kształtach: Ewa Braun, raczej niska i drobnej budowy, wcale nie odpowiadała jego upodobaniom.

Nagle, jak sobie przypominam bodaj że w 1935 roku, z dnia na dzień przerwano te spotkania. Powód tego pozostał dla mnie zawsze tajemnicą; może jakaś plotka albo coś innego. W każdym razie Hitler zakomunikował niespodziewanie, że w przyszłości należy zaniechać zapraszania kobiet; od tego czasu zadowalał się wychwalaniem diw z wieczornych filmów.

Ewie Braun dopiero później, chyba w 1939 roku, przydzielono sypialnię w mieszkaniu berlińskim Hitlera, przylegającą do jego sypialni, z oknami wychodzącymi na wąski dziedziniec. Żyła tutaj w całkowitej izolacji, jeszcze większej niż w Obersalzbergu; wkradała się bocznym wejściem po tylnych schodach, nigdy nie przychodziła do pomieszczeń parterowych, nawet gdy w domu byli tylko starzy znajomi, i cieszyła się bardzo, kiedy dotrzymywałem jej towarzystwa w długich godzinach oczekiwania.

W Berlinie Hitler bardzo rzadko chodził do teatru, z wyjątkiem operetki. Nie opuszczał zwłaszcza nowych przedstawień klasycznych już operetek, jak *Zemsta nietoperza* czy *Wesoła wdówka*. Jestem pewien, że w najróżniejszych miastach Niemiec obejrzałem z nim *Zemstę nietoperza* pięć lub sześć razy. Na luksusowe dekoracje do tej operetki zwykł dawać poważne środki ze szkatuły Bormanna.

Miał także słabość do lekkiej muzy, kilkakrotnie odwiedzał berlińskie varietes „Wintergarten” i bywałby tam na pewno częściej, gdyby się nie czuł tym skrepowany. Niekiedy, zamiast iść samemu, wysyłał swego intendenta, by późnym wieczorem na podstawie programu kazać sobie opowiadać o występach. Parę razy wybrał się także do „Metropoltheater”, gdzie dawano banalne operetki rewiowe z rozebranymi „nimfami”.

Co roku podczas festiwalu w Bayreuth oglądał wszystkie bez wyjątku występy pierwszego cyklu. W rozmowach z panie Winifredą Wagner, jak wydawało się mnie laikowi, wykazywał znajomość szczegółowych zagadnień muzycznych, ale jeszcze bardziej zajmowały go osiągnięcia reżyserskie.

Później jednak chodził do opery bardzo rzadko, a jego początkowo nieco większe zainteresowanie teatrem wkrótce także zmalało. Nawet jego zamiłowanie do muzyki Brucknera było raczej chłodne; co prawda przed każdym jego „przemówieniem o kulturze” na zjazdach norymberskich wykonywano część symfonii Brucknera, ale poza tym troszczył się tylko o to, by nadal opiekowano się zbiorem wszystkich dzieł kompozytora, znajdującym się w St. Florian. Wśród opinii publicznej kazał jednak rozpowszechnić twierdzenie o swym wielkim zainteresowaniu sztuką.

Nie dowiedziałem się, czy i w jakim zakresie Hitler interesował się literaturą piękną. Przeważnie mówił o dziełach z dziedziny nauk wojskowych, o kalendarzach floty lub książkach poświęconych architekturze, które wciąż z wielkim zainteresowaniem studiował w godzinach nocnych. O innej literaturze nie wspominał.

Sam intensywnie pracowałem i nie mogłem początkowo pojąć, dlaczego Hitler tak marnotrawił swój czas pracy. Rozumiałem wprawdzie, że lubił kończyć dzień beczynnością i rozrywkami, ale według moich kryteriów faza ta, obejmująca przeciętnie sześć godzin, była trochę za długa, a w porównaniu z tym dzienna porcja właściwej pracy wypadła dość mizernie. Często zadawałem sobie pytanie: kiedy on właściwie pracuje? W ciągu dnia pozostawało mu niewiele czasu; wstawał późnym przedpołudniem, następnie odbywał jedną czy dwie narady służbowe, ale począwszy od obiadu próżnował, w mniejszym lub większym stopniu, aż do wczesnych godzin wieczornych¹.

Rzadko

ustalane na popołudnia terminy zagrożone były z powodu jego zamiłowania do planów budowlanych. Adiutanci nieraz prosili mnie: „Ale dzisiaj proszę nie pokazywać żadnych planów”. Przyniesione przeze mnie rysunki ukrywano wtedy przy wejściu w centrali telefonicznej, a zapytany o nie przez Hitlera odpowiadałem wymijająco. Wkrótce przejrzał tę grę i niekiedy sam szukał rulonu z moimi planami w przedpokoju lub garderobie.

W oczach narodu Hitler był fuhrerem pracującym niezmordowanie od świtu do nocy. Kto zna styl pracy niektórych ludzi

o temperamencie artystycznym, mógłby uważać niezdyscyplinowany rozkład czasu Hitlera za właściwy cyganerii. Na ile zdołałem zaobserwować, Hitler, zajmując się przez całe tygodnie błahostkami, kształtował powoli swój pogląd na jakiś problem, a potem, po „nagłym 1 zrozumieniu”, przez kilka dni intensywnej pracy ostatecznie formułował rozwiązanie, które wydawało się właściwe. Towarzystwo zgromadzone przy stole służyło mu również jako środek do wypróbowywania w swobodnej atmosferze jego nowych pomysłów, przedstawiania ich w coraz to inny sposób przed bezkrytyczną publicznością, szlifowania i udoskonalania. Po podjęciu jakiejś decyzji znowu popadał w beczynność.

1 Wprawdzie Hitler każdego dnia miał niezliczone narady z gauleiterami, znajomymi i starymi towarzyszami partyjnymi, którzy tymczasem doszli do stanowisk i godności, lecz gdy byłem przy tym obecny, mogłem stwierdzić, że nie realizowano na tych naradach żadnego programu roboczego. Po prostu Hitler, jak gdyby kontynuując rozmowy prowadzone przy stole, rozwodził się o zajmujących go sprawach. Przeważnie rozmowa taka wkrótce zamieniała się w pogawędkę o nieistotnych rzeczach. Kalendarz terminów musi sprawiać niewątpliwie inne wrażenie co do pracy Hitlera.

Rozdział 10

ROZPASANY EMPIRE

Wieczorem bywałem u Hitlera raz lub dwa razy w tygodniu. Zwykle około dwunastej w nocy, po wyświetleniu ostatniego filmu, kazał sobie podać mój rulon z rysunkami i rozpatrywał do drugiej lub trzeciej nad ranem wszelkie szczegóły. Pozostali goście zbierali się przy winie w innym pomieszczeniu lub szli do domu, wiedząc dobrze, że fuhrer nie będzie już miał czasu na rozmowę.

Najbardziej przyciągał uwagę Hitlera nasz model miasta, znajdujący się w dawnych salach wystawowych Akademii Sztuk. Aby łatwiej się tam dostać, kazał zrobić specjalne przejście: przebić mury ogrodów należących do ministerstw, które leżały między Kancelarią Rzeszy a budynkiem akademii. Czasami zapraszał do naszej pracowni parę osób spośród swego najbliższego grona; wyruszaliśmy uzbrojeni w latarki i klucze. W pustych salach stały modele oświetlone reflektorami. Mogłem zrezygnować z wszelkich objaśnień, gdyż Hitler z błyszczącymi oczyma tłumaczył towarzyszącym mu osobom każdy szczegół.

Duże wrażenie wywierał nowy model oświetlony silnymi reflektorami. Modele przeważnie wykonane były w skali 1:50, wypracowane do najdrobniejszych szczegółów przez stolarzy artystów i pomalowane odpowiednio do barwy przyszłych materiałów. W ten sposób można było zestawić całe fragmenty nowej wielkiej ulicy i otrzymać plastyczne wyobrażenie budowli, które za dziesięć lat miały stać się rzeczywistością. Ta ulica ciągnęła się na przestrzeni około trzydziestu metrów przez byłe pomieszczenia wystawowe Berlińskiej Akademii Sztuk.

Hitler zachwycił się zwłaszcza dużym modelem, ukazującym całość zaplanowanej reprezentacyjnej ulicy w skali 1:1000. Poszczególne części modelu można było wyciągać przesuwając stoliki na kółkach.

Hitler wchodził więc w dowolnych miejscach „w swoją ulicę” i patrzył na przykład z perspektywy podróżnego, który wysiadł na Sudbahnhof, albo spod wielkiej hali bądź ze środkowej części ulicy spoglądał w obu kierunkach. Niemal klękał przy tym, trzymając oczy kilka milimetrów nad powierzchnią modelu, by uzyskać właściwe wrażenie. Jednocześnie mówił z niezwykłym ożywieniem. Były to nieliczne chwile, w których wyzbywał się cechującej go zazwyczaj sztywności. Nigdy nie widziałem go tak ożywionego, tak spontanicznego, tak swobodnego, jak w tych właśnie chwilach, podczas gdy ja sam, często zmęczony i niezupełnie jeszcze uwolniony od dawnej, pełnej respektu nieśmiałości, przeważnie milczałem. Jeden z moich bliższych współpracowników tak określił osobliwe stosunki między mną a Hitlerem: „Wie pan, czym pan jest? Nieszczęśliwą miłością Hitlera!”

Tylko niewiele osób miało wstęp do tych pomieszczeń, starannie strzeżonych przed ciekawskimi. Bez wyraźnego zezwolenia Hitlera nikt nie mógł obejrzeć planów wielkiej rozbudowy Berlina. Kiedy pewnego razu Goring oglądał model wielkiej ulicy, przepuściwszy do przodu towarzyszące mu osoby, powiedział do mnie wzruszonym głosem: „Przed kilkoma dniami fuhrer rozmawiał ze mną o moich zadaniach po jego śmierci. Wszystko przekazuje mnie, co uważam za jedynie słuszne. Ale kazał obiecać sobie jedno: że nigdy nie wezmę na pana miejsce kogoś innego, że nie będę wtrącał się do pańskich planów, lecz pozostawię panu całkowitą swobodę i będę dawał pieniądze na wznoszenie budowli; tyle pieniędzy, ile pan ode mnie zażąda”. Goring zrobił pełną wymowy przerwę. „Przyrzekłem to wszystko fuhrerowi, uroczyście podając mu rękę, i obiecuję to teraz także panu”, po czym długo i patetycznie ścisnął mi dłoń.

Mój ojciec również obejrzał prace swego sławnego teraz syna. Patrząc na modele wzruszył tylko ramionami: „Kompletnie zwariowaliście!” Wieczorem wybraliśmy się do teatru na komedię, w której występował Heinz Ruhmann. Przypadkiem na przedstawieniu był także Hitler. W czasie przerwy spytał przez swoich adiutantów, czy ten starszy pan obok mnie jest moim ojcem, po czym zaprosił nas obu do siebie. Kiedy ojciec - mimo swych siedemdziesięciu pięciu lat zawsze trzymający się prosto i opanowany - został przedstawiony Hitlerowi, zaczął nagle drżeć, czego ani przedtem, ani potem nigdy u niego nie widziałem. Zbladł, zdawał się nie słyszeć hymnów pochwalnych wygłaszanych na cześć syna i pożegnał się bez słowa. Hitler nigdy nie wspominał o tym spotkaniu, a ja nie pytałem ojca o zdenerwowanie, które opanowało go wyraźnie na widok Hitlera.

„Kompletnie zwariowaliście". Kiedy dzisiaj przeglądam liczne fotografie modelu naszej reprezentacyjnej ulicy, dostrzegam, tylko byłoby to wariactwem, lecz stałoby się również nudą.

że nie

Rozumieliśmy naturalnie, że nowa ulica zabudowana wyłącznie gmachami publicznymi musiałaby sprawiać wrażenie martwej, i dlatego dwie trzecie jej długości zarezerwowaliśmy dla budownictwa prywatnego. Próby administracji, zmierzającej do wyparcia stąd gmachów publicznych, mogliśmy udaremnić dzięki poparciu Hitlera. Wcale jednak nie chcieliśmy tworzyć ulicy ministerstw. Z myślą o napelnieniu jej życiem wielkomiejskim zaplanowano luksusowe kino premierowe, wielkie kino dla dwóch tysięcy widzów, nową operę, trzy teatry, nową salę koncertową, salę kongresową, zwaną „domem narodów", hotel o dwudziestu jeden piętrach, mieszczący tysiąc pięćset łóżek, varietes, wielkie i wytworne restauracje, a nawet krytą pływalnię w rzymskim stylu, mającą rozmiary łaźni z okresu imperium. Ciche dziedzińce z kolumnami i małymi eleganckimi sklepikami miały zachęcać do spaceru z dala od ulicznego zgiełku. Zamierzano zastosować mnóstwo reklam świetlnych. Hitler i ja pragnęliśmy uczynić z tej ulicy stale trwającą wystawę niemieckich towarów, która przyciągałaby zwłaszcza cudzoziemców.

Przeglądając dzisiaj fotografie modeli i plany, widzę, jak martwe i zbyt standardowe byłyby również te fragmenty ulicy. Kiedy rankiem po zwolnieniu z więzienia jechałem na lotnisko, mijając jeden z tych budynków¹, w ciągu paru sekund dostrzegłem to, czego przedtem nie zauważałem całymi latami; budowaliśmy bez wyczucia proporcji. Nawet dla prywatnych obiektów wydzielaliśmy działki o długości 150 do 200 metrów, ustalaliśmy jednolitą wysokość budynków i wystaw sklepowych, przesuwaliśmy wyższe budownictwo za linię ulicy, w ten sposób znów rezygnując z elementu ożywienia i urozmaicenia. A zdjęcia gmachów publicznych za każdym razem na nowo straszą mnie monumentalną sztywnością, która zniweczyłaby wszystkie nasze wysiłki, zmierzające do wprowadzenia w tę ulicę wielkomiejskiego życia.

Stosunkowo najlepsze rozwiązanie znaleźliśmy dla dworca centralnego, zamykającego tę okazałą ulicę od strony południowej; wyróżniałby się on pozytywnie spośród reszty kamiennych monstrów swym dość wyraźnie widocznym szkieletem ze stali, obłożonym kombinacją płyt miedzianych oraz szklanych płaszczyzn. Dworzec posiadałby cztery poziomy komunikacyjne, połączone ze sobą schodami rucho-

mymi i windami. Przewidywano, że prześcignie on nowojorski Grand Central Terminal.

Oficjalni goście zagraniczni schodziliby po wielkich schodach znajdujących się na zewnątrz. Mieli oni być, jak i inne osoby opuszczające dworzec, zaszokowani, niemal „porażeni” imponującym widokiem urbanistycznym, a tym samym potęgą Rzeszy. Dziedziniec dworcowy, liczący 1000 metrów długości i 330 szerokości, otoczony byłby, na wzór Alei Baranów prowadzącej z Karnaku do Luksoru, zdobyczym sprzętem bojowym. Wprowadzenie tego szczegółu Hitler zarządził po kampanii francuskiej i potwierdził późną jesienią 1941 roku, po swych pierwszych klęskach w Związku Radzieckim.

Plac ten miał być ukoronowany znajdującym się w odległości 800 metrów łukiem, niekiedy nazywanym przez Hitlera wielkim lub triumfalnym. Napoleoński Łuk Triumfalny na Place de l'Etoile, mający 50 metrów wysokości, przedstawia sobą monumentalną masę i stanowi imponujące zakończenie Pól Elizejskich. Jednak nasz łuk triumfalny, o szerokości 170 metrów, głębokości 119 i wysokości 117 metrów, zdecydowanie by dominował nad wszystkimi innymi budowlami tej południowej części ulicy, wręcz degradując je pod względem rozmiarów.

Po kilku daremnych próbach nie miałem już odwagi namawiać Hitlera do wprowadzenia zmian. Było to bowiem jego oczkiem w głowie. Ta część planów powstała na długo przedtem, nim znalazł się pod zbawiennym wpływem profesora Troosta. Projekt ten jest najlepszym zachowanym przykładem koncepcji architektonicznych Hitlera, które przedstawił on w zaginionym szkicowniku z lat dwudziestych. Był nieustępliwy wobec wszelkich propozycji zmiany proporcji lub wprowadzenia uproszczeń, wydawał się jednak zadowolony, kiedy na opracowanych planach wpisałem trzy krzyżyki zamiast nazwiska architekta.

Za wysokim na 80 metrów prześwitem „wielkiego łuku” widniała w odległości pięciu kilometrów niknąca, tak to sobie wyobrażaliśmy, w mgielce wielkiego miasta druga triumfalna budowla przy tej ulicy, największa na świecie hala zebrań z kopułą sięgającą 290 metrów.

Przestrzeń między łukiem triumfalnym a halą wypełniało jedenaście pojedynczo stojących gmachów ministerialnych. Do planów obejmujących ministerstwa: spraw wewnętrznych, komunikacji, sprawiedliwości, gospodarki i wyżywienia, musiałem w 1941 roku wprowadzić dodatkowo ministerstwo kolonii²; a więc Hitler także podczas wojny ze Związkiem Radzieckim wcale nie zrezygnował z myśli o niemieckich koloniach. Ministrowie, którzy na podstawie naszych

planów spodziewali się skoncentrowania swych placówek

rozproszonych po całym Berlinie, przeżyli rozczarowanie, kiedy Hitler zarządził, że nowe budynki mają służyć głównie reprezentacji, a nie ulokowaniu w nich aparatu urzędniczego.

Za monumentalną częścią środkową ciągnął się następny, ponad kilometrowy odcinek ulicy, skupiający obiekty handlowo-rozrywkowe. Odcinek ten kończył się okrągłym placem przy skrzyżowaniu z Potsdamer Strasse. Część dalsza, w kierunku północnym, miała znowu wygląd bardziej uroczysty: po prawej stronie wznosiła się zaprojektowana przez Wilhelma Kreisla hala żołnierska w kształcie olbrzymiego sześcianu, o której przeznaczeniu Hitler nigdy otwarcie nie mówił, ale myślał zapewne o urządzeniu w niej arsenału i miejsca pamięci poległych. Po zawieszeniu broni z Francją rozkazał bowiem, aby jako pierwszy eksponat ustawiono tam wagon restauracyjny, w którym przypieczętowana została klęska Niemiec w roku 1918 i upadek Francji w 1940 roku; ponadto w hali miała mieścić się krypta, gdzie spoczywałyby prochy najslawniejszych feldmarszałków niemieckich: dawnych, współczesnych i przyszłych³. Za halą, w kierunku zachodnim, aż do Bendlerstrasse, wznosiły się budowle dla nowego Naczelnego Dowództwa Wojsk Lądowych⁴.

Po obejrzeniu tych planów Goring poczuł się pokrzywdzony wraz ze swoim Ministerstwem Lotnictwa. Zjednał mnie sobie jako architekta⁵ i naprzeciw hali żołnierskiej, na pograniczu z Ogrodem Zoologicznym, znaleźliśmy idealny plac do realizacji jego zamierzeń. Opracowane przeze mnie plany nowej budowli, która po roku 1940 pod nazwą „urzędu marszałka Rzeszy” miała skupić całą masę podległych mu urzędów, spotkały się z entuzjazmem Goringa, Hitler natomiast powiedział zdecydowanie: „Budowla jest za duża dla Goringa, w ten sposób za bardzo on siebie wynosi. A w ogóle nie podoba mi się, że angażuje do tego mojego architekta”. Chociaż wiele jeszcze razy mówił ze złością o planach Goringa, nigdy nie zdobył się na odwagę, by przywołać go do porządku. Goring, znając Hitlera, uspokajał mnie: „Niech pan to tak pozostawi i nie przejmuj się. Zbudujemy wszystko, jak zamierzaliśmy, a w rezultacie fuhrer będzie zachwycony”.

W sprawach prywatnych Hitler wykazywał często tego rodzaju ustępliwość; nie dostrzegał na przykład skandali małżeńskich w swoim otoczeniu, dopóki - jak w przypadku Blomberga - nie dawało się ich nagle wykorzystać do przeforsowania pewnej koncepcji politycznej. Potrafił też podśmiewać się z dążenia do przepychu, robić na ten temat zjadliwe uwagi w najbliższym gronie, nie dając nawet do zrozumienia

danej osobie, że uważa jej postępowanie za niewłaściwe.

Projekt budowli Goringa zawierał szereg obszernych klatek schodowych, hallów i sal, zajmujących więcej przestrzeni niż pomieszczenia do pracy. Centrum części reprezentacyjnej miał stanowić wspaniały hali ze schodami, wznoszącymi się na wysokość czwartego piętra, których nikt by nie używał, gdyż wygodniej byłoby naturalnie jechać windą. Całość miała na celu wyłącznie wywołanie efektu; w mojej ewolucji architekta był to decydujący krok od neoklasycyzmu, dostrzegalnego może jeszcze w nowym budynku Kancelarii Rzeszy, do krzykliwej i nowobogackiej architektury reprezentacyjnej. W kronice mojej pracowni zanotowano 5 maja 1941 roku, że model zaplanowanej siedziby sprawił marszałkowi Rzeszy wielką radość. Szczególnie zachwycony był klatką schodową. Powiedział, że tutaj będzie zawsze wygłaszał noworoczne przemówienie do oficerów Luftwaffe. „W tej największej klatce schodowej świata”, dosłownie powiedział Goring według zapisu kroniki, „Breker musi stworzyć pomnik generalnego inspektora budowlanego. Wzniesiemy go człowiekowi, który tak wspaniale ukształtował tę budowlę”.

świadomego

Centralna część ministerstwa, zwrócona frontem o długości 240 metrów do wielkiej ulicy, łączyła się z takiej samej wielkości skrzydłem, skierowanym na Ogród Zoologiczny. W skrzydle mieścić się miały pokoje gościnne, których domagał się Goring, służące mu jednocześnie jako pomieszczenia mieszkalne. Apartament sypialny ulokowałem na najwyższym piętrze. Powołując się na wymogi ochrony przeciwlotniczej, chciałem pokryć dach czterometrową warstwą ziemi ogrodowej, tak by mogły tam zapuszczać korzenie nawet duże drzewa. Czterdzieści metrów ponad Ogrodem Zoologicznym powstałby park liczący 11 800 metrów kwadratowych, z basenem kąpielowym i kortami tenisowymi; ponadto fontanny, zbiorniki z wodą, kolumnady, pergole, miejsca wypoczynku i wreszcie teatr letni nad dachami Berlina dla dwustu czterdziestu widzów. Goring był oszołomiony i marzył już o uroczystościach, jakie będzie organizował w tym ogrodzie: „Wielką kopułę każę oświetlić ogniami bengalskimi i będę tam urządził wspaniałe fajerwerki dla moich gości”.

Budowle Goringa liczyły, bez pomieszczeń piwnicznych, 580 tysięcy metrów sześciennych, podczas gdy zbudowana dopiero co dla Hitlera nowa Kancelaria Rzeszy - tylko 400 tysięcy metrów sześciennych. Hitler jednak nie czuł się pokonany przez Goringa: w przemówieniu z 2 sierpnia 1938 roku, informując o swoich projektach budowlanych, oświadczył, że zgodnie z wielkim planem przebudowy Berlina będzie korzystał z nowo zbudowanej Kancelarii Rzeszy tylko

przez

dziesięć lub dwanaście lat. Przewiduje bowiem wzniesienie wielokrotnie większej rezydencji mieszkalnej i rządowej. Po wspólnym zwiedzeniu berlińskiej siedziby służbowej Hessa Hitler spontanicznie ustalił ostateczne miejsce dla swej przyszłej rezydencji przy Voss-Strasse. Zobaczył bowiem u Hessa klatkę schodową utrzymaną w ostrych czerwonych barwach oraz umeblowanie, które było znacznie powściągliwsze i prostsze niż styl kajutowy, faworyzowany przez niego i bonzów Rzeszy. Powróciwszy do Kancelarii Rzeszy, zgorszony krytykował artystyczną ignorancję swego zastępcy: „Hess jest zupełnie nieczuły na piękno. Nigdy nie dam mu okazji zbudowania czegoś nowego. Później przydzielę mu jako siedzibę obecną Kancelarię Rzeszy i nie pozwolę w niej zmienić najdrobniejszego szczegółu. No bo nic się na tym nie zna”. Taka krytyka, w dodatku jeszcze smaku artystycznego, mogła czasem zakończyć czyjąś karierę, i tak właśnie zrozumiano ją wówczas w odniesieniu do Rudolfa Hessa. Tylko wobec niego samego Hitler prawie nie ujawniał swej opinii. Jedynie z powściągliwego zachowania świty fuhrera Hess mógł wnioskować, że jego akcje wyraźnie spadły.

Północna część zaplanowanego centrum miasta podobnie jak południowa zaczynałaby się dworcem centralnym. Ponad zbiornikiem wodnym o długości 1100 metrów i szerokości 350 metrów widać było wielką kopułę, oddaloną o prawie dwa kilometry. Jeziorka nie łączyliśmy ze Sprewą, zanieczyszczoną wielkomięjskimi brudami. Jako stary wodniak chciałem, by pływacy mieli czystą wodę. Otwarte kąpielisko pośrodku wielkiego miasta miały otaczać kabiny do przebierania się, pomieszczenia na łodzie i tarasy do opalania, co przypuszczalnie stanowiłoby osobliwy kontrast z wielkimi budowlami, odbijającymi się w jeziorce. Idea utworzenia tego zbiornika wodnego była bardzo prosta: bagienne podłoże nie nadawało się do celów budowlanych.

Po zachodniej stronie jeziora miały leżeć trzy wielkie budynki. Pośrodku wznosiłby się nowy ratusz berliński długości prawie pół kilometra. Hitler opowiadał się za innym projektem niż ja; po wielu dyskusjach moje argumenty pokonały jego sprzeciw. Ratusz miał być oskrzydłony nową siedzibą Naczelnego Dowództwa Kriegsmarine i nową siedzibą berlińskiego prezydium policji. Po stronie wschodniej, w środku terenów zielonych, stałyby nowa niemiecka akademicka wojenna. Plany tych wszystkich budowli były już gotowe.

Ten ciąg uliczny między dwoma centralnymi dworcami miał niewątpliwie środkami architektury zademonstrować koncentrację po-

litycznej, militarnej i gospodarczej potęgi Niemiec. Pośrodku siedział nieograniczony władca Rzeszy, a najwyższym wyrazem jego potęgi miała być znajdująca się w bezpośredniej bliskości wielka kopulasta hala jako dominująca budowla przyszłego Berlina. Przynajmniej w planach urzeczywistniona została teza Hitlera: „Berlin musi zmienić swe oblicze, by dostosować się do wielkiej nowej misji”.

Pięć lat żyłem w tym świecie i nie mogę się całkowicie uwolnić od swych koncepcji, mimo ich wielkich braków i dziwactw. Czasami, kiedy dociekam przyczyn swojej niechęci do Hitlera, wydaje mi się, że obok wszystkich okropności, jakie popełniał lub planował, należy chyba wymienić także osobiste rozczarowanie, jakie przeżyłem w wyniku jego igrania z wojną i katastrofami; ale dostrzegam również to, że wszystkie te plany mogły się zrodzić tylko jako rezultat tej bezwzględnej gry przemocy.

Projekty na taką skalę świadczą oczywiście o jakimś wybuchu permanentnej megalomanii, ale mimo to niesprawiedliwe byłoby lekceważące przekreślenie wszystkich planów osi północ-południe. Ta szeroka ulica, te nowe centralne dworce z podziemną komunikacją nie miałyby według dzisiejszej skali zbyt przesadnych rozmiarów, podobnie jak nasze budowle publiczne, zdecydowanie prześcigane dzisiaj na całym świecie przez wysokie biurowce i ministerstwa. To, że przerastały one ówczesne wyobrażenia, wynikało raczej z ich natarczywości niż wielkości. Olbrzymia kopulasta hala, hitlerowska przyszła Kancelaria Rzeszy, luksusowe budowle Göringa, hala żołnierska i łuk triumfalny - wszystko to widziałem politycznymi oczami Hitlera, który patrząc kiedyś na model miasta wziął mnie za ramię i ze wzruszeniem w oczach zwierzył mi się: „Rozumie pan teraz, dlaczego urządzamy to na taką skalę? Stolica germańskiej Rzeszy - żeby tylko starczyło mi zdrowia...”

Hitlerowi spieszyło się z realizacją siedmiokilometrowej zasadniczej osi swoich planów. Po wnikliwych wyliczeniach obiecałem mu wiosną 1939 roku, że wszystkie budowle będą gotowe do roku 1950. Miałem właściwie nadzieję, że sprawię mu tym szczególną radość, toteż byłem rozczarowany, kiedy termin ten, wymagający nieprzerwanej pracy, przyjął on do wiadomości jedynie z zadowoleniem. Może myślał jednocześnie o swych planach militarnych, które musiały uczynić moje obliczenia iluzorycznymi.

Kiedy indziej znowu tak bardzo martwił się o terminowe ukończenie budowli i zdawało się, że nie może się już doczekać 1950

roku - iż mógł to być jego najlepszy manewr, jeśli urbanistyczne pomysły miały rzeczywiście na celu zamaskowanie ekspansywnych zamiarów. Wobec licznych uwag Hitlera o politycznym znaczeniu jego planów powinienem stać się nieufny, ale te uwagi oraz pewność, z jaką zakładał niezakłócony przebieg realizacji moich berlińskich harmonogramów, równoważyły się wzajemnie. Przyzwyczajony byłem do tego, że niekiedy robił uwagi wyglądające na halucynacje - z perspektywy czasu łatwiej znaleźć nie łączącą je ze sobą oraz z moimi planami budowlanymi.

Hitler pełen obawy czuwał nad tym, aby nasze projekty nie zostały opublikowane. Do wiadomości przekazano jedynie ich fragmenty, ponieważ nie mogliśmy pracować w zupełnej tajemnicy przed opinią publiczną: we wstępnych pracach uczestniczyło zbyt wiele osób. Tak więc przedstawialiśmy czasami niewinnie wyglądające części planów, a zasadnicza koncepcja architektoniczna za zezwoleniem Hitlera została zaprezentowana w artykule, który sam napisałem⁶. Kiedy jednak Werner Finek ośmieszył te projekty w kabarecie, został wysłany do obozu koncentracyjnego, chociaż mogły też mieć na to wpływ jakieś inne czynniki. Zresztą zdarzyło się to na dzień przedtem, kiedy sam chciałem pójść na występy, aby pokazać, że nie czuję się urażony.

Nasza ostrożność przejawiała się również w drobiazgach: kiedy rozważaliśmy ewentualność zburzenia wieży ratusza berlińskiego, za pośrednictwem sekretarza stanu Karla Hankego zamieściliśmy w „Berliner Zeitung” list „od czytelnika”, aby wy badać opinię mieszkańców. Wskutek gwałtownych protestów ludności zaniechałem swojego zamiaru. W ogóle w toku realizacji naszych planów mieliśmy szanować uczucia opinii publicznej. I tak w przypadku sympatycznego zamku Monbijou, na którego miejscu zamierzano wznieść gmach muzealny, zastanawiano się nad ponownym zbudowaniem go w Charlottenburger Schlosspark. Z podobnych powodów pozostawiono w spokoju nawet wieżę radiostacji oraz Siegestaule, chociaż kolidowała z naszymi nowymi planami. Hitler widział w niej pomnik historii niemieckiej, a dla większego wrażenia kazał nawet przy tej okazji podwyższyć ją o dodatkową podstawę; wykonał w tym celu, zachowany jeszcze dotąd, szkic i drwił ze skąpstwa triumfującego państwa pruskiego, które oszczędzało nawet na wysokości swej kolumny zwycięstwa.

Ogólne koszty przebudowy Berlina skalkulowałem na 4 do 6 miliardów marek niemieckich, co według dzisiejszych kosztów budowy stanowiłoby mniej więcej 16-24 miliardów DM. W ciągu 11 lat, jakie pozostawały jeszcze do 1950 roku, miano wydatkować rocznie

około 500 milionów marek; wcale nie utopijne zamierzenie budowlane, gdyż suma ta stanowiła tylko jedną dwudziestą ogólnych obrotów niemieckiego budownictwa⁷.

Dla uspokojenia i usprawiedliwienia samego siebie dokonałem wtedy innego, co prawda bardzo wątpliwego porównania, wyliczając procent, jaki przeznaczal na swe budowle berlińskie z całości wpływów podatkowych ówczesnego państwa pruskiego król pruski, znany raczej jako oszczędny, Fryderyk Wilhelm I, ojciec Fryderyka Wielkiego. Była to wielokrotność naszych wydatków, które stanowiły tylko około 3 procent wpływów podatkowych, wynoszących 15 700 milionów marek. Porównanie budziło co prawda wątpliwości, ponieważ wpływów podatkowych w owych czasach nie można porównywać z udziałem świadczeń podatkowych w epoce współczesnej.

Profesor Hettlage, mój doradca w sprawach budżetowych, skomentował nasz sposób finansowania sarkastyczną uwagą: „W zarządzie miasta Berlina wydatki mają zależeć od wpływów, u nas jest odwrotnie”. Tych potrzebnych co roku 500 milionów nie należało, zdaniem Hitlera i moim, żądać w całości, lecz rozłożyć je na możliwie jak największą liczbę budżetów; każde ministerstwo czy urząd publiczny miały ograniczyć swe wydatki budżetowe, podobnie Kolej Rzeszy musiała wydzielić środki na modernizację berlińskiej sieci kolejowej, a zarząd miasta Berlina na budowę ulic i kolejek podziemnych. Prywatne przedsiębiorstwa przemysłowe i tak już ponosiły własne koszty.

Kiedy w 1938 roku ustaliliśmy już wszystkie szczegóły, Hitler, ubawiony tą, jak sądził, okrężną drogą dyskretnego zapewnienia finansów, powiedział: „Po takim rozdzieleniu nie rzucą się w oczy koszty całości. Tylko budowę wielkiej hali i łuku triumfalnego sfinansujemy bezpośrednio. Wezwiemy naród do zbiórki pieniężnej; poza tym minister finansów ma przekazywać na to rocznie sześćdziesiąt milionów do dyspozycji pańskiej placówki. To, czego pan nie zużytkuje od razu, schowamy”. W 1941 roku zebrałem już 218 milionów; w 1943 roku moje konto przy stanie 320 milionów zostało po cichu zlikwidowane, na propozycję ministra finansów i za moją zgodą, bez informowania Hitlera.

Zdenerwowany minister finansów von Schwerin-Krosigk podnosił ciągle zarzuty i protesty przeciwko takiemu trwonieniu środków publicznych. Aby zdyskredytować w moich oczach te zastrzeżenia, Hitler porównywał się z bawarskim królem Ludwikiem II: „Gdyby minister finansów wiedział, jakie dochody przynosić będą państwu moje

budowie już za pięćdziesiąt lat! A jak było z Ludwikiem II: z powodu kosztów jego zamków uważano go za wariata. A dzisiaj? Większość cudzoziemców tylko dlatego przyjeżdża do Górnej Bawarii. Same opłaty za wstęp już dawno pokryły koszty budowy. Co pan myśli? Cały świat przybędzie do Berlina, by obejrzeć nasze budowle. Amerykanom wystarczy tylko podać, ile kosztowała wielka hala. Może dorzucimy coś jeszcze i zamiast miliard powiemy półtora miliarda! Wtedy będą musieli to zobaczyć: najdroższą budowlę świata".

Często powtarzał, siedząc nad tymi planami: „Moim jedynym pragnieniem, Speer, jest dożyć chwili, kiedy te budowle będą gotowe. W 1950 roku zorganizujemy wystawę światową. Do tego czasu budowle pozostaną puste, a potem będą służyły jako obiekty wystawowe. Zaprosimy cały świat!" Tak potrafił mówić, lecz trudno było odgadnąć jego prawdziwe myśli. Mojej żonie, która musiała pogodzić się z utratą na jedenaście lat wszelkiego życia rodzinnego, obiecałem na pociechę podróż dookoła świata w 1950 roku.

Rachuby Hitlera na obciążenie kosztami budowy możliwie wielu placówek rzeczywiście się sprawdziły. Rozwijający się, bogaty Berlin przyciągał bowiem wskutek scentralizowania władzy aparatu urzędniczego coraz to nowych wysokich urzędników; również administracja zakładów przemysłowych musiała dostosować się do tego procesu, powiększając w celach reprezentacyjnych swe berlińskie centrale. Do realizacji takich zamierzeń budowlanych nadawała się dotychczas, jako „okno wystawowe Berlina", tylko Unter den Linden i inne mniej ważne ciągi uliczne. Tak więc nowa ulica studwudziestometrowej szerokości miała swą siłę przyciągania, ponieważ po pierwsze nie należało się tu obawiać kłopotów z komunikacją, jakie dawały się we znaki na starych ulicach reprezentacyjnych, poza tym działki budowlane na tych odległych jeszcze terenach były stosunkowo tanie. Rozpoczynając swoją pracę znalazłem wiele podań o zezwolenie na budowy, które miały powstawać bezładnie na terenie całego miasta. Wkrótce po objęciu władzy przez Hitlera nowa siedziba Banku Rzeszy została wzniesiona w niepozornej dzielnicy, na miejscu licznych kwartałów budowlanych, które uległy rozbiórce. A propos, pewnego dnia Himmler przedłożył Hitlerowi po obiedzie szkic wspomnianego budynku i z całą powagą zwrócił uwagę na to, że poprzeczna i podłużna oś prostokątnego bloku tworzy kształt chrześcijańskiego krzyża, co jest zamaskowanym gloryfikowaniem wiary przez katolickiego architekta Wolfa. Hitler na tyle znał się na budowaniu, aby czymś takim jedynie się ubawić.

Już w kilka miesięcy po ostatecznym ustaleniu planów rozdzielono działki przy pierwszej części ulicy na długości 1200 metrów, nadającej się pod zabudowę jeszcze przed zakończeniem przesuwania torowisk; wnioski ministerstw, przedsiębiorstw prywatnych i urzędów Rzeszy o przydzielenie miejsca na tym terenie, którym można by dysponować dopiero za kilka lat, napływały tak licznie, że nie tylko zapewniały zabudowę na długości całych 7 kilometrów; zaczęliśmy także rozdzielać działki budowlane na południe od Sudbahnhof. Z trudem przekonaliśmy kierownika Niemieckiego Frontu Pracy, dr. Leya, który dysponując olbrzymimi środkami ze składek pracowniczych, chciał zająć dla swych celów jedną piątą całej ulicy. Otrzymał on jednak bądź co bądź blok długości 300 metrów, w którym zamierzał utworzyć wielki ośrodek rozrywkowy.

Oczywiście, jednym z motywów gwałtownej gorączki budowlanej była także chęć przypodobania się Hitlerowi przez wznoszenie okazałych budowli. Ponieważ nakłady na te budowle byłyby większe niż na normalnych terenach budowlanych, radziłem Hitlerowi, aby odznaczył inwestorów za dodatkowo wydane miliony, co skwapliwie zaakceptował. „Dlaczego nie dać nawet jakiegoś orderu ludziom, którzy położyli zasługi dla sztuki? Nadawać go będziemy bardzo rzadko, głównie tym, którzy sfinansowali jakąś wielką budowlę. Przy pomocy orderów wiele można zdziałać”. Nawet ambasador brytyjski spodziewał się pozytywnej reakcji Hitlera, nie bez racji zresztą, kiedy zaproponował mu wzniesienie nowej ambasady na terenach objętych planami przebudowy Berlina; również Mussolini wyjątkowo żywo interesował się tymi planami⁸.

Aczkolwiek Hitler zachowywał milczenie na temat swoich rzeczywistych planów urbanistycznych, to o tym, co już przedostało się do wiadomości, mówiono i pisano dostatecznie dużo. Rezultatem była hossa na architekturę. Gdyby fuhrer interesował się hodowlą koni, to z pewnością dygnitarzy ogarnęłaby mania hodowania koni; w tej sytuacji jednak doszło do masowej produkcji projektów w stylu Hitlera.

1

Co prawda nie można mówić o jakimś stylu Trzeciej Rzeszy, lecz jedynie o lansowaniu kierunku, wyodrębnionego przez określone, eklektyczne elementy, opanował on jednak wszystko. Jednocześnie Hitler nie był tu wcale doktrynerem. Rozumiał, że miejsce wypoczynku przy autostradzie lub wiejski dom Hitlerjugend nie może wyglądać jak budowla

miejska. Nigdy też nie wpadłby na pomysł zbudowania fabryki w swym

reprezentacyjnym stylu; potrafił wręcz zachwycać się budowlami przemysłowymi ze szkła i stali. Ale budowla publiczna w państwie, które przygotowuje się do stworzenia imperium, musiała, jak sądził, nosić zupełnie określone piętno.

Następstwem planów berlińskich były liczne projekty w innych miastach. Odtąd każdy gauleiter chciał się uwiecznić w obrazie swego miasta. Prawie każdy z tych planów, tak jak mój projekt dla Berlina, zawierał skrzyżowanie osi, biegnących nawet w te same strony świata co u mnie; wzorzec berliński stał się schematem. Na naradach nad planami Hitler niezmiernie rysował własne szkice. Robione były swobodnie, dobrze ujmowały perspektywę; rzuty, przekroje i widoki nanosił w skali. Architekt nie zrobiłby tego lepiej. Przed południem pokazywał niekiedy dobrze wykonany szkic, nad którym pracował w nocy; większość jego rysunków powstawała jednak przez pociągnięcie kilku pośpiesznych kresek w czasie naszych dyskusji.

Do dzisiaj zachowałem wszystkie szkice narysowane przez Hitlera w mojej obecności i opatrzyłem je datą oraz nazwą obiektu. Ciekawe, że z ogólnej liczby stu dwudziestu pięciu szkiców nieco ponad jedną czwartą poświęcił przedsięwzięciom budowlanym w Linzu, które zawsze były mu najbliższe. Równie często występują tam projekty teatrów. Pewnego ranka zaskoczył nas sporządzonym na czysto w ciągu nocy projektem „kolumny ruchu”, przeznaczonej dla Monachium, która jako nowy symboliczny pomnik skazałaby na karłowaty żywot wieże Frauenkirche.

Projekt ten, podobnie jak berliński łuk triumfalny, uważał za swą osobistą domenę i dlatego nie wahał się poprawić, nawet w szczegółach, projektu swego monachijskiego architekta, Hermanna Giesslera. Jeszcze dzisiaj wydaje mi się, że chodziło o rzeczywiste poprawki, zapewniające lepsze rozłożenie sił statycznych w cokole niż propozycje Giesslera, który zresztą także był samoukiem.

Giessler umiał doskonale naśladować jękającego się przywódcę robotników, dr. Leya. Hitlerowi tak się to spodobało, że ciągle domagał się od Giesslera, aby powtórzył opis jednej z wizyt małżeństwa Leyów w modelarni monachijskiego urzędu planowania miasta. Giessler opisywał najpierw wejście do pracowni przywódcy niemieckich robotników, ubranego w wyjątkowo wytworny letni garnitur, w białe stębnowane rękawiczki i słomkowy kapelusz, w towarzystwie swej nie mniej elegancko ubranej małżonki. Giessler przedstawiał Leyowi plany rozbudowy Monachium, a ten przerwał: „Zabuduję cały ten teren. Ile to kosztuje? Kilkaset milionów? Dobrze, zbudujemy...” „A co chce pan

tam zbudować?" „Wielki dom mody. Będę nadawał ton całej modzie! Zajmie się tym moja żona! Potrzebujemy do tego celu dużego budynku. Działajmy! Moja żona i ja będziemy decydować tam o niemieckiej modzie... I... i... I potrzebne nam są także k...! Dużo, cały dom, urządzony jak najnowocześniej. Weźmiemy to wszystko w garść, parę setek milionów na budowę, to nie ma żadnego znaczenia". Fuhrer, ku uprzykrzeniu Giesslera, kazał sobie opowiadać tę scenę niezliczoną ilość razy i śmiał się do łez z deprawacji swego „robotniczego przywódcy". Hitler niezmordowanie posuwał naprzód nie tylko moje własne plany budowlane. Stale zezwalał na budowę forum w stolicach okręgów i zachęcał swych bonzów do występowania w charakterze inwestorów reprezentacyjnych budowli. Tutaj już stykałem się, często poirytowany, z jego skłonnością do żądania bezwzględnego współzawodnictwa. Zakładał bowiem, że tylko w ten sposób dochodzi się do wielkich osiągnięć. Nie mógł zrozumieć, że mamy ograniczone możliwości. Nie reagował na ostrzeżenie, że wkrótce nie da się dotrzymywać terminów, ponieważ gauleiterzy zużyją znajdujące się w ich okręgach materiały budowlane do realizacji własnych przedsięwzięć.

'Z pomocą Hitlerowi przyszedł Himmler. Usłyszawszy o grożących niedoborach cegły i granitu, zaproponował wykorzystanie więźniów w produkcji tych materiałów. Podsunął pomysł zbudowania w Sachsenhausen koło Berlina wielkiej cegielni, będącej własnością SS i przez tę organizację kierowanej. Ponieważ Himmler bardzo zapalał się do wszelkich nowości, dysponował wkrótce również wynalazcą nowego systemu wytwarzania cegieł. Chwilowo nie doszło jednak do podjęcia obiecanej produkcji, gdyż wynalazek się nie udał.

Podobnie skończyło się z drugą obietnicą, jaką uczynił Himmler, ciągle uganiający się za projektami przyszłości. Wykorzystując więźniów obozów koncentracyjnych, chciał produkować bloki granitowe dla budowli w Norymberdze i Berlinie. Natychmiast założył firmę o niewinnej nazwie i rozpoczął odłamywanie kamieni. Wskutek absolutnej nieznamośności tej pracy w przedsiębiorstwie SS bloki miały odpryski i pęknięcia, i w końcu SS musiała przyznać, że może dostarczyć tylko małą część obiecanych kamieni granitowych; resort budowy dróg, kierowany przez dr. Todta, przejął resztę produkcji na brukowce. Hitler, który wiązał wielkie nadzieje z przyrzeczeniami Himmlera, złościł się coraz bardziej, aż wreszcie zauważył z sarkazmem, że SS powinna raczej poprzestać na produkcji pantofli filcowych i torebek, co się tradycyjnie praktykuje w zakładach karnych.

Z wielu zaplanowanych budowli miałem zaprojektować osobiście na życzenie Hitlera, plac przed wielką halą. Poza tym przejąłem nową budowlę Goringa i dworzec południowy. Było tego aż nadto, gdyż miałem przecież zaprojektować jeszcze budowle zjazdowe w Norymberdze. Ponieważ jednak projekty te rozkładały się na okres około dziesięciu lat, mogłem, jeżeli zlecałem komu innemu opracowanie szczegółów technicznych, zadowolić się niewielką jeszcze pracownią, liczącą osiem do dziesięciu osób. Moje biuro prywatne znajdowało się przy Lindenallee w Westend, niedaleko Adolf-Hitler-Platz, byłego Reichskanzler-Platz, ale do późnych godzin wieczornych regularnie musiałem spędzać popołudnia w swej służbowej placówce urbanistycznej na placu Paryskim. Tutaj rozdzielałem wielkie zlecenia dla najlepszych, moim zdaniem, architektów niemieckich: Paul Bonatz po zaprojektowaniu wielu mostów otrzymał pierwszą budowlę nadziemną (siedziba Naczelnego Dowództwa Kriegsmarine), której doskonały projekt spotkał się z dużym uznaniem Hitlera; Bestelmeyer otrzymał zlecenie na projekt nowego ratusza; Wilhelm Kreis - siedziby Naczelnego Dowództwa Wojsk Lądowych, hali żołnierskiej i różnych muzeów; Peter Behrens, nauczyciel Gropiusa i Mięsa van der Rohego, otrzymał - na propozycję AEG, swego tradycyjnego inwestora - zlecenie na budowę gmachu administracyjnego tej firmy przy wielkiej ulicy. Wywołało to oczywiście protest Rosenberga i jego doradców kulturalnych. Uważali oni za rzecz niesłychaną, aby ten czołowy przedstawiciel radykalizmu w architekturze uwiecznił się swą pracą w „ulicy fuhrera”. Hitler, który cenił zaprojektowaną przez Behrensa ambasadę w Petersburgu, pozwolił mimo to na przekazanie mu zlecenia. Również swego nauczyciela Tessenowa namawiałem wielokrotnie do udziału w konkursach. Tessenow nie chciał jednak porzucić swego prostego, małomias-teczkowo-rzemieślniczego stylu i uparcie bronił się przed pokusą wznoszenia wielkich budowli.

Spośród rzeźbiarzy zatrudniałem głównie Josefa Thoraka, którego pracom poświęcił swą książkę Wilhelm von Bode, dyrektor generalny muzeów berlińskich, oraz ucznia Maillola - Arna Brekera. W 1943 roku przekazał on swemu nauczycielowi ode mnie zlecenie na rzeźbę, którą zamierzano wystawić w Grunewaldzie.

Historycy uważają, że w życiu prywatnym trzymałem się z dala od funkcjonariuszy partyjnych; ale można też powiedzieć, że członkowie partii trzymali się z dala ode mnie, gdyż traktowali mnie jako intruza. Nie robiło to na mnie prawie żadnego wrażenia, ponieważ zaufaniem darzył mnie Hitler. Poza Karlem Hankem, który mnie „odkrył”,

z żadnym z nich nie nawiązywałem bliższej znajomości, żaden nie był w moim domu. Znajdowałem sobie natomiast towarzystwo wśród artystów, których zatrudniałem, oraz wśród ich przyjaciół. W Berlinie, jeżeli tylko pozwalał mi czas - a miałem go niewiele - przebywałem razem z Brekerem i Kresem, dołączał do nich często pianista Wilhelm Kempff. W Monachium przyjaźniłem się z Josefem Thorakiem i malarzem Hermannem Kasparem, którego późnym wieczorem rzadko można było powstrzymać od głośnego demonstrowania swych sympatii dla bawarskiej monarchii.

Bliskie stosunki utrzymywałem także ze swym pierwszym zleceniodawcą, dla którego przebudowałem w 1933 roku, jeszcze przed podjęciem prac dla Hitlera i Goebbelsa, posiadłość wiejską w Sigron koło Wilsnack. U niego, dr. Roberta Franka, spędzałem często wraz ze swą rodziną weekendy, 130 kilometrów od bram Berlina. Frank był do 1933 roku dyrektorem generalnym pruskich elektrowni, po zmianie władzy został jednak usunięty ze swego stanowiska i odtąd uboczu jako osoba prywatna; był niekiedy prześladowany przez partię, ale dzięki przyjaźni ze mną uniknął ostrzejszych ataków. W 1945 roku powierzyłem mu swą rodzinę po umieszczeniu jej w Szlezwiku, możliwie daleko od centrum upadku.

żył na

Wkrótce po mojej nominacji przekonałem Hitlera, utalentowani towarzysze partyjni już dawno zajmują kierownicze stanowiska, tak iż do moich zadań pozyskać można tylko członków drugiego garnituru. Bez wahania pozwolił mi dobierać sobie pracowników według uznania. Powoli rozniosło się, placówce można znaleźć pewne, spokojne miejsce, i w ten sposób garnęło się do nas coraz więcej architektów.

że

że w mojej

Pewnego razu jeden z moich pracowników poprosił mnie o rekomendacje w związku z zamiarem wstąpienia do partii. Moja odpowiedź obiegła cały Główny Inspektorat Budowlany: „Po co? Wystarczy przecież, jeśli ja jestem w partii”. Plany budowlane Hitlera traktowaliśmy co prawda poważnie, ale przesadnie uroczysty charakter hitlerowskiej Rzeszy nie tak serio jak inni.

Nie chodziłem też nadal na żadne prawie zebrania partyjne, nie miałem już prawie kontaktu z kołami partyjnymi, na przykład okręgu berlińskiego, i zaniedbywałem powierzone mi stanowiska partyjne, chociaż mógłbym je rozbudować w pozycje zapewniające siłę. Nawet kierownictwo organizacji Piękno Pracy przekazywałem z braku czasu coraz bardziej swemu stałemu zastępcy. Owa powściągliwość wynikała co prawda z faktu, że ciągle jeszcze bałem się przemawiać publicznie.

W marcu 1939 roku odbyłem w gronie najbliższych przyjaciół podróż przez Sycylię i południowe Włochy. W towarzystwie tym znaleźli się: Wilhelm Kreis, Josef Thorak, Hermann Kaspar, Arno Breker, Robert Frank, Karl Brandt oraz ich żony. Przyłączyła się do nich żona ministra propagandy, Magda Goebbels, która przyjmując nasze zaproszenie, wyruszyła w podróż pod innym nazwiskiem.

W bliższym otoczeniu Hitlera zdarzało się wiele romansów, które tolerował. Tak więc Bormann sprowadził, brutalnie i bezwzględnie, jak można się było spodziewać po tym nieczułym i niemoralnym człowieku, swoją kochankę, pewną aktorkę filmową, do swego domu na Obersalzbergu, gdzie całymi dniami przebywała wśród jego rodziny. Tylko dzięki niezrozumiałej dla mnie ustępliwości pani Bormann uniknięto skandalu.

Goebbels miał wiele przygód miłosnych; na poły ubawiony, na poły oburzony jego sekretarz stanu Hanke opowiadał, jak to Goebbels miał zwyczaj szantażować młode aktorki filmowe. Czymś więcej jednak niż przygodą był stosunek do czeskiej gwiazdy filmowej Lidy Baarovej. Jego żona odżegnała się wtedy od niego i żądała, by wyprowadził się od niej i od dzieci. Hanke i ja staliśmy całkowicie po stronie pani Goebbels; Hanke tymczasem skomplikował jeszcze kryzys małżeński, zakochał się bowiem w o wiele starszej żonie swego ministra. Chcąc pomóc jej wyjść z kłopotliwej sytuacji, zaprosiłem ją, aby wybrała się razem z nami na południe. Hanke pragnął za nią jechać, w czasie podróży zasypywał ją listami miłosnymi, lecz ona zachowywała wyraźną rezerwę.

Pani Goebbels była również podczas tej podróży uprzejma i zrównoważona. W ogóle żony dygnitarzy reżimu zachowywały się zdecydowanie bardziej powściągliwie wobec pokus władzy niż ich mężowie. Nie zatracaly się w świecie fantazji, z wewnętrznym dystansem obserwowały często groteskowe uniesienia swoich mężów i nie dały się porwać politycznemu wirowi, który je wyniósł do góry. Pani Bormann pozostała skromną, nieco onieśmioną panią domu, co prawda ślepo oddaną swemu mężowi i w takim samym stopniu ideologii partyjnej. Obserwując panią Goring miałem wrażenie, że potrafi kpić sobie z lubowania się swego męża w przepychu. Koniec końców także Ewa Braun udowodniła swą wewnętrzną przewagę; w każdym razie nigdy nie wykorzystwała we własnym interesie władzy, choć mogła to uczynić w każdej chwili.

Poznanie ruin świątyn doryckich na Sycylii, w Segeście, Syrakuzach, Selimuncie i Agrigencie, było cennym wzbogaceniem wrażeń z naszej wcześniejszej podróży do Grecji. Oglądając świątynie w Selimuncie i Agrigencie, ponownie i nie bez wewnętrznego zadowolenia stwierdziłem, że nawet antyk nie jest wolny od przejawów megalomanii; Grecy w koloniach wyraźnie stracili sławione w kraju zasady umiaru. W porównaniu z tymi świątyniami bladły wszystkie świadectwa saraceńsko-normandzkiej sztuki budowlanej, jakie spotkaliśmy, z wyjątkiem cudownego zamku myśliwskiego Fryderyka II, ośmiokątnego Castel del Monte. Paestum oznaczało nowy punkt szczytowy. Pompeja natomiast wydawała mi się bardziej odległa od czystych form Paestum niż nasze budowle od świata Dorów.

W drodze powrotnej zatrzymaliśmy się jeszcze na kilka dni w Rzymie. Rząd faszystowski odkrył naszą znamienitą towarzyszkę podróży i włoski minister propagandy, Alfieri, zaprosił wszystkich do opery; jednak nikt z nas nie mógł przekonywająco wyjaśnić, dlaczego druga dama Rzeszy podróżuje za granicą sama, toteż wróciliśmy jak najszybciej do domu.

Podczas gdy my żyliśmy w marzeniach grecką przeszłością, Hitler kazał okupować i przyłączyć do Rzeszy Czechy. W Niemczech zastaliśmy przygniatającą atmosferę. Powszechna niepewność dalszej przyszłości ogarnęła nas wszystkich. Osobliwie porusza mnie jeszcze dzisiaj to, że naród umie trafnie przeczuwać, co ma nadejść, nie ulegając wpływowi oficjalnej propagandy.

Uspokajająco mimo wszystko działało stanowisko, jakie Hitler pewnego dnia zajął wobec wypowiedzi Goebbelsa o byłym ministrze spraw zagranicznych, Konstantynie von Neuracie, mianowanym przed kilkoma tygodniami protektorem Rzeszy na Czechy i Morawy: „Von Neurath znany jest jako ostrożniś. W Protektoracie natomiast potrzebna jest silna ręka, utrzymująca porządek. Ten człowiek nie ma z nami nic wspólnego, należy do całkiem innego świata”. Hitler zaś zareplikował: „Tylko von Neurath wchodzi w rachubę. Ma on w świecie anglosaskim opinię człowieka o dobrych manierach. Jego nominacja podziała na zagranicę uspokajająco, ponieważ dostrzeże ona w tym moją wolę, żeby nie pozbawiać Czechów ich narodowej egzystencji”.

Hitler kazał, bym opowiedział mu o wrażeniach z Włoch. Najbardziej uderzyło mnie tam, że nawet na wsiach ściany domów pokryte były hasłami wojskowymi. „U nas jest to niepotrzebne”, powiedział Hitler. „Jeśli dojdzie do wojny, to naród niemiecki jest

dostatecznie zahartowany. Ten rodzaj propagandy może być właściwy we Włoszech. Czy coś pomaga, to inna sprawa"⁹.

Już wielokrotnie Hitler nakłaniał mnie, abym zamiast niego wygłosił przemówienie na otwarciu wystawy architektonicznej w Monachium. Dotychczas zawsze udawało mi się pod coraz to innym pretekstem uniknąć spełnienia tego rodzaju żądań. Wiosną 1938 roku doszło nawet do swoistej transakcji handlowej: wyraziłem gotowość zaprojektowania mu galerii malarstwa w Linzu oraz tamtejszego stadionu, jeżeli nie będę musiał wygłaszać przemówienia.

Ale teraz, w przeddzień pięćdziesiątej rocznicy urodzin Hitlera, miano uruchomić część osi wschód-zachód i obiecał on osobiście dokonać tej uroczystej ceremonii. Mój debiut oratorski był nieunikniony - i do tego miałem zabrać głos tuż przed wystąpieniem głowy państwa, wobec całej opinii publicznej. Hitler zakomunikował przy obiedzie: „Wielka nowość, Speer wygłasza przemówienie! Jestem bardzo ciekaw, co powie”.

Przy Bramie Brandenburskiej, pośrodku jezdni, zebrali się dostojnicy miasta, ze mną na prawym skrzydle, tłum natomiast tłoczył się za linami, w dość znacznej odległości, na chodnikach. Z dala nadciągała owacja, rosła wraz ze zbliżaniem się kolumny samochodów i przechodziła w huk. Samochód Hitlera zatrzymał się dokładnie przede mną, on sam wysiadł i przywitał mnie uściskiem dłoni, podczas gdy powitania dostojników skwitował krótkim uniesieniem ramienia. Kamery na kółkach zaczęły filmować z najbliższej odległości, a Hitler, pełen oczekiwania, stanął koło mnie w odległości dwóch metrów. Odetchnąłem głęboko i powiedziałem dosłownie tak: „Mein fuhrer, melduję wykonanie osi wschód-zachód. Niechaj dzieło to mówi samo za siebie!” Nastąpiła dłuższa przerwa, nim Hitler odpowiedział w kilku zdaniach, po czym zaprosił mnie do swego auta. Jechałem z nim wśród siedmiokilometrowego szpaleru berlińczyków, którzy składali mu hołd z okazji pięćdziesiątej rocznicy urodzin; z pewnością była to jedna z największych akcji masowych Ministerstwa Propagandy, ale entuzjazm wydawał mi się prawdziwy.

Kiedy po przybyciu do Kancelarii Rzeszy czekaliśmy na rozpoczęcie przyjęcia, Hitler powiedział przyjaźnie: „Swoimi dwoma zdaniem wprowiłem pan w nie lada zakłopotanie. Oczekiwałem dłuższego przemówienia i jak zwykle chciałem zastanowić się w tym czasie nad odpowiedzią. Ponieważ pan od razu zakończył, nie wiedziałem, co powiedzieć. Ale muszę panu przyznać: to było dobre przemówienie, jedno z najlepszych, jakie słyszałem w swoim życiu”. Epizod ten

należał w następnych latach do jego stałego repertuaru i często o nim opowiadał.

O dwunastej w nocy goście składali Hitlerowi życzenia. Kiedy mu powiedziałem, że z okazji tego dnia wystawiłem w jednej z sal prawie czterometrowy model jego łuku triumfalnego, natychmiast zostawił towarzystwo i niezwłocznie tam pośpieszył. Długo i z dostrzegalnym wzruszeniem patrzył na ucieleśnienie w modelu marzenia swej młodości. Wstrząśnięty podał mi bez słowa rękę, a potem w euforycznym nastroju podkreślał wobec gości przybyłych na jego urodziny znaczenie tej budowli w przyszłej historii Rzeszy. Jeszcze wielokrotnie udawał się tej nocy do swego modelu. Za każdym razem mijaliśmy była salę posiedzeń rządu, gdzie w 1878 roku Bismarck przewodniczył kongresowi berlińskiemu. Teraz piętrzyły się tu na długich stołach urodzinowe prezenty - w istocie zbiorowisko kiczu, dary od reichsleiterów: akty z białego marmuru, ulubione małe odlewy z brązu, na przykład rzymskiego posągu chłopca wyciągającego z nogi cierń, oraz obrazy olejne w stylu zapożyczonym z wystaw w Domu Sztuki. Niektóre prezenty znajdowały uznanie w oczach Hitlera, z innych śmiał się, ale wszystkie właściwie nie różniły się od siebie.

Sprawy Hankego i pani Goebbels dojrzały tymczasem na tyle, że ku przerażeniu wszystkich wtajemniczonych chcieli się pobrać. Nierówna para: Hanke był młody i porywczy, ona znacznie starsza, elegancka dama z towarzystwa. Hanke nalegał na Hitlera, aby zgodził się na rozwód, ale ten odmawiał, mając na uwadze rację stanu. W okresie rozpoczęcia festiwalu w Bayreuth w 1939 roku Hanke przybył pewnego ranka zrozpaczony do mojego domu w Berlinie. Goebbelsowie pogodzili się, opowiadał, i pojechali razem do Bayreuth. Uważałem, że w końcu jest to najrozsądniejsze wyjście także dla Hankego. Ale zrozpaczonego wielbiciela trudno pocieszać takimi gratulacjami. Obiecałem mu więc zorientować się w Bayreuth, co się zdarzyło, i natychmiast wyjechałem.

Rodzina Wagnerów dobudowała do domu „Wahnfried” przestronne skrzydło, w którym w tych dniach mieszkał Hitler ze swymi adiutantami, podczas gdy jego goście zostali ulokowani w Bayreuth na kwaterach prywatnych. Zresztą Hitler dobierał tych gości tak starannie jak na przyjęcia na Obersalzbergu lub nawet w Kancelarii Rzeszy. Poza adiutantami, będącymi na służbie, zapraszał jedynie kilku znajomych z żonami, co do których miał pewność,

że będą mile widziani przez

rodzinę Wagnerów; właściwie zawsze tylko dr. Dietricha, dr. Brandta i mnie.

W czasie tych festiwali Hitler zachowywał się swobodniej niż zwykle. W rodzinie Wagnerów czuł się bezpieczny i wolny od przymusu pokazywania władczego oblicza, co robił niekiedy nawet podczas wieczornych spotkań w Kancelarii Rzeszy. Był pogodny, zachowywał się po ojcowsku wobec dzieci, a wobec Winifredy Wagner po przyjacielsku i opiekuńczo. Bez jego pomocy finansowej festiwale z trudem można byłoby zorganizować. Bormann co roku wydzielał ze swego funduszu setki tysięcy, by uczynić festiwal szczytowym punktem niemieckiego sezonu operowego. Będąc patronem festiwalu i przyjacielem rodziny Wagnerów, Hitler przeżywał podczas tych dni w Bayreuth urzeczywistnienie pragnień, o których zapewne nawet on sam nie śmiałyby marzyć w latach swej młodości.

W tym samym dniu co ja przyjechał do Bayreuth także Goebbels z żoną. Zamieszkali podobnie jak Hitler w dobudowanym skrzydle domu „Wahnfried”. Pani Goebbels sprawiała bardzo przygnębiające wrażenie, mówiła do mnie całkiem otwarcie: „To straszne, jak mój mąż mi groził. Rozpoczęłam właśnie odpoczynek w Gastein, gdy przybył nieproszony do hotelu. Przez trzy dni mówił do mnie bez przerwy; dłużej już nie mogłam wytrzymać. Szantażował mnie, że zabierze mi dzieci. Co mogłam zrobić? Pogodziliśmy się tylko na pokaz. Albert, to straszne! Musiałam mu obiecać, że nigdy już nie spotkam się prywatnie z Karlem. Jestem taka nieszczęśliwa, ale nie mam wyboru”.

Cóż mogło lepiej pasować do tej tragedii małżeńskiej niż właśnie opera *Tristan i Izolda*, której słuchaliśmy siedząc w wielkiej, środkowej łoży - Hitler, małżeństwo Goebbelsów, pani Winifreda Wagner i ja. Siedząca po mojej prawej ręce pani Goebbels nieustannie cicho płakała, patrząc przed siebie; podczas przerwy złamana szlochała niepowstrzymanie w kącie salonu, podczas gdy Hitler i Goebbels pokazywali się w oknie publiczności i niekiedy starali się nie dostrzegać przykrew sytuacji.

Następnego ranka mogłem wyjaśnić Hitlerowi, dla którego niezrozumiałe było zachowanie pani Goebbels, tło tego pojednania. Jako szef państwa przyjął co prawda taki obrót sprawy z zadowoleniem, ale w mojej obecności wezwał Goebbelsa i oświadczył mu w kilku oschłych słowach, że lepiej będzie, jeśli jeszcze tego samego dnia opuści wraz z żoną Bayreuth. Nie dając mu okazji odpowiedzieć, pożegnał ministra bez podania ręki, po czym zwrócił się do mnie: „W stosunku do

kobiet Goebbels jest cynikiem". On sam także nim był, na inny sposób.

1 Biuro odprawy obcokrajowców na skrzyżowaniu wielkiej ulicy z Potsdamer Strasse.

2 *Kronika* z 1941 r. stwierdzała: „Opera Rzeszy stoi naprzeciw Ministerstwa Gospodarki, Filharmonia naprzeciw Ministerstwa Kolonii”. Dyrektor ministerialny, architekt Klaje, powiedział mi chyba w 1941 roku, że w departamencie budowlanym Naczelnego Dowództwa Wojsk Lądowych konstruuje się własne typy domów dla Afryki.

3 Patrz także zapisek w dzienniku dr. Goebbelsa z 12 maja 1943 r.: „Albo dla Fryderyka Wielkiego zbuduje się w parku Sanssouci wspaniałe mauzoleum, utrzymane w greckim stylu, albo powinien on zostać przeniesiony do wielkiej hali żołnierskiej w przyszłym gmachu Ministerstwa Wojny”.

4 Berliński łuk triumfalny miałby kubaturę (łącznie z przestrzenią pod łukiem) 2366 tyś. m³; w budowlu tej zmieściłoby się 49 paryskich łuków triumfalnych. Hala żołnierska była prostopadłościanem o długości 250 m, głębokości 90 m i wysokości 83 m. Teren rozciągający się poza halą, przewidziany dla nowej siedziby Naczelnego Dowództwa Wojsk Lądowych, miał wymiary 300f450 m. Hali ze schodami w nowej budowlu Goringa miał mieć powierzchnię 48f48 m przy wysokości 42 m. Koszty budowlu Goringa oceniano na co najmniej 160 mln marek. Nowy ratusz berliński miałby 450 m długości, jego środkowa część wznosiłaby się na wysokość 60 m; siedziba Naczelnego Dowództwa Kriegsmarine miała liczyć 320 m długości, a nowe berlińskie prezydium policji 280 m długości.

5 Mimo że oficjalnie miałem stanowisko generalnego inspektora budowlanego, Hitler pozwolił mi projektować poszczególne budowle jako prywatnemu architektowi. Podczas przebudowy Berlina budowle państwowe, jak i domy handlowe w zasadzie zlecano prywatnym architektom.

6 Nawet dowcip berliński wykorzystał nasze zamierzenia budowlane, chociaż tak mało wiedziano o prawdziwych zamysłach. Jak pisał Ulrich von Hassel w swoim dzienniku, Furtwangler miał powiedzieć do mnie, że wspaniałe być musi budowanie w tak wielkim stylu według własnych idei. Na to, jak głosiła anegdota, miałem odpowiedzieć: „Niech pan sobie wyobrazi, że ktoś powiada panu: »Jest moją niewzruszoną wolą, aby od w tej chwili *Dziwiątą symfonię* wykonywano tylko na harmonijce ustnej«”.

7 Według Wagenfuhra w 1939 r. wydatkowano na budownictwo 12,8 mld marek.

8 Sir Neville Henderson pisze o tym w *Failure of a mission* (1940): „Dlatego moim zamiarem było zamienić ambasadę, którą rząd niemiecki chętnie wykorzystałby do celów rządowych, na duży plac budowy na jednym z rogów nowej ulicy przelotowej Hitlera. Rozmawiałem o tym planie zarówno z Goringiem, jak i z Ribbentropem i prosiłem ich, aby poinformowali Hitlera, że przy okazji zwrócę się do niego w tej sprawie i mam nadzieję, iż propozycja ta mogłaby być częścią ogólnego porozumienia z Niemcami”.

Według *Kroniki* z 20 sierpnia 1941 r. Alfieri powiedział, że „duce wyjątkowo interesuje się niemiecką sztuką budowlaną. Spytał go on już, Alfieriego, czy jest zaprzyjaźniony ze Speerem”.

9 W swym przemówieniu do redaktorów naczelnych prasy niemieckiej 10 listopada 1938 r. Hitler przedstawił jego zdaniem właściwą metodę propagandowego przygotowywania wojny: „Określone procesy należy naświetlać tak, by w sumie w szerokich masach narodu całkiem automatycznie ukształtowało się stopniowo przekonanie: jeśli nie można tego załatwić po dobroci, to trzeba załatwić siłą; nadal nie może tak być w żadnym wypadku”.

Rozdział 11

KULA ZIEMSKA

W czasie zwiedzania moich modeli budowli berlińskich pewien zespół planów przyciągał Hitlera niczym magnes: przyszłe centrum Rzeszy, które miało przez stulecia dokumentować potęgę, osiągniętą w epoce Hitlera. Podobnie jak rezydencja królów francuskich wieńczy urbanistykę Pól Elizejskich, tak w obrębie luksusowej ulicy miały się grupować te budowle, które Hitler chciał mieć w bezpośredniej bliskości, jako wyraz swej działalności politycznej. Kancelaria Rzeszy służąca kierowaniu państwem, siedziba Naczelnego Dowództwa Wehrmachtu do sprawowania władzy rozkazodawczej nad trzema rodzajami wojsk Wehrmachtu, a także kancelaria partii (Bormann), kancelaria protokolarna (Meissner) i kancelaria prowadząca sprawy osobiste Hitlera (Bouhler). Fakt, że w naszych projektach do architektonicznego centrum Rzeszy należał także gmach Reichstagu, bynajmniej nie miał sugerować przypisywania parlamentowi ważnej roli w sprawowaniu władzy; stary budynek Reichstagu tylko przypadkowo znajdował się w tym miejscu.

Zaproponowałem Hitlerowi zburzenie tej wilhelmińskiej budowli Paula Wallota, ale natrafiłem na nieoczekiwany sprzeciw: budynek podobał mu się. Przewidywał jednak, że będzie on pełnił tylko funkcję pomocniczą. O swych ostatecznych celach Hitler wypowiadał się raczej powściągliwie. Jeśli bez obawy odsłaniał przede mną kulisy własnych planów budowlanych, to czynił to z taką poufnością, jaka cechuje prawie zawsze stosunki między zleceniodawcą a architektem: „W tej starej budowli możemy urządzić czytelnie i miejsca odpoczynku dla deputowanych. Poza tym salę plenarną można zamienić na bibliotekę! Pięćset osiemdziesiąt miejsc to dla nas o wiele za mało. Tuż obok wzniesiemy nowy gmach. Niech pan go przewiduje na tysiąc dwustu

deputowanych!"¹. Hitler zakładał więc istnienie narodu liczącego około 140 milionów. Tym samym dawał poznać skalę, jaką przyjmował w swych kalkulacjach, przy czym liczył częściowo na przyrost naturalny Niemców, a częściowo na wcielenie innych narodów germańskich - ale nie ludności narodów podbitych, którym odmawiał prawa głosu. Zaproponowałem mu po prostu podwyższenie liczby głosujących, jaka przypadła na jednego deputowanego, aby w ten sposób móc zachować dla posiedzeń plenarnych salę starego Reichstagu. Ale Hitler nie chciał zmieniać przejętej od Republiki Weimarskiej liczby 60 tysięcy głosujących na jednego deputowanego. Powodów nie podawał; upierał się przy tym, podobnie jak przy zachowaniu, pod względem formalnym, tradycyjnego systemu wyborczego z terminarzem wyborów i kartkami do głosowania, urnami wyborczymi i tajnym oddawaniem głosów. W tej dziedzinie wyraźnie pragnął utrzymać tradycję, która pomogła mu zdobyć władzę, chociaż straciła znaczenie, odkąd wprowadził system monopartyjny.

Budowle, które miały otaczać przyszły Adolf-Hitler-Platz, znajdowały się w cieniu wielkiej, kopulastej hali, o objętości pięćdziesięciokrotnie większej niż parlament, jak gdyby Hitler również w proporcjach chciał zaznaczyć ograniczoną rolę przedstawicielstwa narodu. Decyzję o opracowaniu planów budowlanych tej hali podjął już latem 1936 roku². W dniu jego urodzin, 20 kwietnia 1937 roku, przekazałem mu widoki, rzuty, przekroje oraz pierwszy model. Był zachwycony, kwestionował tylko umieszczoną na planach formułę: „Opracowano według idei fuhrera”. Pan jest przecież architektem, mówił, i pański wkład pracy w tę budowlę należy ocenić wyżej niż mój szkic z 1925 roku. Formuła pozostała jednak, a Hitler chyba z zadowoleniem przyjął moje wzbranianie się przed roszczeniem sobie praw autorstwa do budowli. Na podstawie planów sporządzono modele fragmentów i w 1939 roku przygotowano drewniany model całości, liczący prawie 3 metry wysokości, oraz model wnętrza. Można w nim było wyjmować podłogę i mając go na wysokości oczu, badać przyszłe wrażenie. W czasie licznych wizyt Hitler nigdy nie zrezygnował z długiego upajania się widokiem obu tych modeli. Triumfująco wskazywał teraz na to, co jego przyjaciółom musiało się wydawać przed piętnastu laty fantastyczną i niedorzeczną igraszką: „Któż chciał mi wtedy wierzyć, że zostanie to kiedyś zbudowane!”

Największa z dotychczas zaprojektowanych na zgromadzeń składała się z jednego pomieszczenia, ale takiego, które mogło pomieścić 150-180 tysięcy stojących słuchaczy. W gruncie rzeczy

świecie hal

chodziło, mimo negatywnego stosunku Hitlera do mistycznych poglądów Himmlera i Rosenberga, o miejsce kultu, które z biegiem stuleci miało dzięki tradycji oraz otaczaniu czcią zyskać podobne znaczenie co katedra Św. Piotra w Rzymie dla katolików. Bez tego rodzaju kultowego tła wysiłki podejmowane w celu wzniesienia centralnej budowli Hitlera byłyby bezsensowne i niezrozumiałe.

Koliste wnętrze miało prawie niewyobrażalną średnicę - 250 metrów; na wysokości 220 metrów byłoby widać zakończenie ogromnej kopuły, która 98 metrów nad podłogą przechodziłaby w lekko paraboliczną krzywiznę.

Wzorcem był dla nas w pewnym sensie rzymski Panteon. Kupuła berlińska również miała otrzymać okrągły otwór, przez który wpadałoby światło, ale tylko sam otwór miał 46 metrów średnicy, a więc był większy od całej kopuły Panteonu (43 metry średnicy) i katedry Św. Piotra (44 metry). Wnętrze pomieszczenia odpowiadało siedemnastokrotnej pojemności katedry Św. Piotra.

Wnętrze miało być urządzone możliwie prosto: na obwodzie koła o średnicy 140 metrów w trzech odcinkach wznosiły się trybuny trzydziestometrowej wysokości, rozmieszczone kolistie. Wieniec ze stu prostokątnych filarów z marmuru, które mimo 24 metrów wysokości miały jeszcze prawie normalne, do przyjęcia wymiary, przerywała znajdująca się naprzeciw wejścia pięćdziesięciometrowej wysokości i dwudziestośmiometrowej szerokości nisza, która miała być wyłożona złotą mozaiką. Przed nią umieszczona była jedyna ozdoba alegoryczna: na marmurowym cokole czterdnastometrowej wysokości stał połączony orzeł Rzeszy, trzymający w szponach swastykę otoczoną liśćmi dębowymi. W ten sposób owo insygnium władzy stanowiło jednocześnie zakończenie i pointę reprezentacyjnej ulicy Hitlera. Gdzieś pod tym znakiem znajdowało się miejsce, skąd fuhrer narodu kierować miał swe orędzia do narodów przyszłej Rzeszy. Starłem się wyeksponować to miejsce, ale tutaj wyszły na jaw wady architektury, która zatraciła proporcje: Hitler rozpląwał się w niej w optyczną nicość.

Z zewnątrz kopuła przypominałaby zieloną górę o wysokości 230 metrów, gdyż miała być pokryta patynowymi płytami miedzianymi. Na szczycie przewidziano czterdziestometrową szklaną latarnię na możliwie lekkiej konstrukcji metalowej. Nad latarnią siedział na swastyce orzeł.

Kopulastą bryłę zdobić miał nieprzerwany ciąg filarów dwudziestometrowej wysokości. Uwydatniając ten element obiecywałem sobie wprowadzenie skali uchwytnej jeszcze dla oka ludzkiego - z pew-

nością próżna nadzieja. Kopulasta góra spoczywała na kwadratowym kamiennym klocu z jasnego granitu, o boku 315 metrów i wysokości 74 metry. Wielkość potężnego prostopadłościanu podkreślały: gzyms z drobnych elementów, cztery wiązki rowkowanych filarów na czterech rogach oraz kolumnada wysunięta w stronę placu³. Kolumnadę oskrzydlały dwie rzeźby piętnastometrowej wysokości. Hitler określił ich alegoryczną treść, kiedy sporządzaliśmy pierwsze szkice projektu: jedna przedstawiała Atlasa podtrzymującego sklepienie nieba, druga boginię Tellus unoszącą kulę ziemską. Niebo i ziemię zamierzano pokryć emalią, a na to nałożyć złote kontury oraz gwiazdozbiory.

Całkowita kubatura tej budowli osiągała ponad 21 milionów metrów sześciennych⁴; waszyngtoński Kapitol wielokrotnie utonąłby w tej masie: liczby i wielkości wprost astronomiczne.

Hala nie była jednak w żadnym wypadku obłądnym pomysłem bez widoków na urzeczywistnienie. Nasze plany nie należały do kategorii innych, podobnie pompatycznych, zatracających rozmiary projektów, które naszkicowali na przykład architekci Claude Nicolas Ledoux i Etienne L. Boullée, jako podzwonne dla francuskiego królestwa Burbonów lub dla uświetnienia rewolucji, przez czym nigdy nie zamierzano urzeczywistnić tych idei. Również ich plany budowlane przewidywały rozmiary nie ustępujące tym, jakich żądał Hitler⁵.

Natomiast w celu wzniesienia naszej wielkiej hali i pozostałych budowli, mających otaczać przyszyły Adolf-Hitler-Platz, już przed 1939 rokiem wyburzono wiele starych budynków w pobliżu Reichstagu, rozpoczęto badania podłoża, wykonano szczegółowe rysunki i modele naturalnej wielkości. Na fasadę zewnętrzną zakupiono już granitu za milionowe sumy, i to nie tylko w Niemczech, lecz na specjalny rozkaz Hitlera, mimo braku dewiz, także w południowej Szwecji i Finlandii. Podobnie jak wszystkie pozostałe gmachy przy pięciokilometrowej luksusowej ulicy Hitlera, również i ta budowla miała być gotowa za jedenaście lat, w 1950 roku. Ponieważ na budowę hali przewidziano najdłuższy okres, uroczyste położenie kamienia węgielnego ustalono na rok 1940.

Zbudowanie wolnego sklepienia nad pomieszczeniem o średnicy 250 metrów nie stanowiło pod względem technicznym żadnego problemu⁶. Konstruktorzy mostów lat trzydziestych opanowali bez trudu analogiczną konstrukcję z żelbetonu, o idealnej statyce. Czołowi statycy niemieccy obliczyli, że możliwe jest nawet masywne sklepienie o takiej rozpiętości. Zgodnie ze swoimi poglądami o „wartości ruin” chętnie uniknąłbym stosowania stali, ale w tym przypadku Hitler wysunął zastrzeżenia: „Mogłoby się przecież zdarzyć, że w kopułę trafi

bomba lotnicza i uszkodzi sklepienie. Jak pan sobie wyobraża naprawę przy groźbie zawalenia?" Miał rację, dlatego kazaliśmy skonstruować stalowy szkielet, na którym miała być zawieszona wewnętrzna szala kopuły. Mury jednak, podobnie jak w Norymberdze, miały być bardzo masywne; wraz z kopułą wytwarzały olbrzymie siły nacisku, które musiał przejmować niezwykle mocny fundament. Inżynierowie zdecydowali się na betonowy kloc o objętości ponad 3 milionów metrów sześciennych. Aby sprawdzić trafność naszych obliczeń, które przewidywały zapadnięcie się fundamentu w piachach brandenburskich o kilka centymetrów, zbudowano pod Berlinem próbny fundament⁷. Jest on dzisiaj jedynym zachowanym świadectwem tej budowli, nie licząc rysunków i zdjęć modeli.

Podczas sporządzania planów obejrzałem katedrę Św. Piotra w Rzymie. Byłem rozczarowany, ponieważ jej wielkość nie pozostawała w żadnej proporcji do wrażenia, jakie rzeczywiście odczuwał zwiedzający. Już przy rozmiarach tego rzędu wrażenie, jak stwierdziłem, nie rośnie nadal proporcjonalnie do wielkości budowli. Obawiałem się wówczas, że i

oddziaływanie naszej wielkiej hali zawiedzie oczekiwania Hitlera. Pogłoski o planowaniu tej olbrzymiej budowli dotarły do eksperta zajmującego się sprawami ochrony przeciwlotniczej w Ministerstwie Lotnictwa Rzeszy, radcy ministerialnego Knipfera. Wydał on właśnie urzędowe wytyczne odnośnie do wszystkich przyszłych budowli, które w celu zmniejszenia skuteczności ataków bombowych miały być wznoszone możliwie daleko od siebie. Tu zaś, w centrum miasta i Rzeszy, powstawała budowla, która przy niskim pułapie chmur stanowiłaby idealny punkt orientacyjny dla nieprzyjacielskich bombowców: wręcz drogowskaz do centrum rządowego, leżącego dokładnie na południe i północ od kopuły. Przedłożyłem te zastrzeżenia Hitlerowi, ale był on nastrojny optymistycznie: „Goring zapewnił mnie, że do Niemiec nie przedostanie się żaden nieprzyjacielski samolot. Nie pozwolimy przeszkadzać sobie w naszych planach”.

Hitler uparcie trzymał się idei wzniesienia kopulastej budowli; idea ta owładnęła nim wkrótce po uwolnieniu z twierdzy i trwał przy niej piętnaście lat. Kiedy po zakończeniu naszych planów dowiedział się, że również Związek Radziecki zamierza ku czci Lenina wznieść budowlę kongresową, której wysokość ma przekroczyć 300 metrów, bardzo się zirytował. Najwyraźniej popsuła mu humor perspektywa, że to nie on wzniesie najwyższą monumentalną budowlę świata; jednocześnie przygnębiała go widocznie świadomość, że nie może prostym rozkazem udaremnić zamiaru Stalina. W końcu pocieszył się tym, że jego budowla

pozostanie jednak jedyną w swoim rodzaju: „Cóż znaczy jeden drapacz chmur więcej lub mniej, trochę wyższy albo trochę niższy. Kopuła - ona odróżnia naszą budowlę od wszystkich innych!” Już w toku wojny ze Związkiem Radzieckim mogłem czasem zauważyć, że myśl o moskiewskiej konkurencyjnej budowlu bardziej go jednak gnębiła, niż chciał kiedykolwiek przyznać. „Teraz”, powiedział, „z ich budowlą będzie na zawsze koniec”.

Kopulastą budowlę otaczały z trzech stron zbiorniki wodne, a jej odbicie miało potęgować wrażenie. Myślano nawet nad rozszerzeniem dla tego celu Sprewy w jezioro; co prawda statki musiałyby wtedy mijać plac przed halą, przepływając dwuramiennym tunelem. Czwarta, południowa strona dominowała nad rozległym placem, późniejszym Adolf-Hitler-Platz. Tutaj miały się odbywać I maja doroczne wiece, które dotychczas organizowano na polach Tempel-hofu⁸.

W celu zapewnienia frekwencji na masowych wiecach Ministerstwo Propagandy działało według pewnego schematu. W 1939 roku Karl Hanke opowiedział mi o różnych stopniach zwoływania uczestników, w zależności od potrzeb politycznych i propagandowych. Począwszy od zwoływania uczniów, by wiwatowali na cześć zagranicznej osobistości, aż do mobilizowania milionów robotników, dla każdego przypadku istniał określony schemat. Sekretarz stanu mówił ironicznie o „zwoływaniu jubli”. Aby wypełnić ten plac, stosowano by w przyszłości zawsze najwyższy stopień zwoływania jubli, ponieważ mieściło się tu milion osób.

Naprzeciw kopulastej hali plac ograniczała z jednej strony nowa siedziba Naczelnego Dowództwa Wehrmachtu, z drugiej biurowiec Kancelarii Rzeszy, w środku zostawiliśmy wolny widok z luksusowej ulicy na kopułę. Był to jedyny prześwit w zamkniętym wokół budowlami placu-olbrzymie.

Obok hali zgromadzeń największą i najbardziej interesującą z psychologicznego punktu widzenia budowlą był pałac Hitlera. W tym wypadku rzeczywiście nie jest przesadą mówić nie o mieszkaniu kanclerza, lecz o pałacu. Również nim zajmował się Hitler, jak wskazują zachowane szkice, już od listopada 1938 roku⁹. Nowy pałac fuhrera pozwalał dostrzec jego potęgującą się z biegiem czasu potrzebę imponowania; wymiary tej budowli w porównaniu z początkowo użytym mieszkaniem kanclerskim Bismarcka wzrosły sto pięćdziesiąt razy. Pałac Hitlera mógł się nawet mierzyć z legendarnym terenem pałacowym Nerona, „złotym domem”, o powierzchni ponad milion

metrów kwadratowych: położony w centrum Berlina miał zajmować, wraz z należącymi do niego ogrodami, 2 miliony metrów kwadratowych. Z pomieszczeń recepcyjnych przez cały ciąg sal szło się do jadalni, w której mogłyby ucztować naraz tysiące ludzi. Na organizowanie bankietów przewidziano osiem olbrzymich sal¹⁰. Teatr o czterystu miejscach - naśladownictwo książęcego teatru zamkowego z okresu baroku i rokoko, miał być wyposażony w najnowocześniejsze urządzenia sceniczne.

Przez szereg kolumnad Hitler mógł docierać ze swej prywatnej dzielnicy mieszkaniowej do wielkiej kopulastej budowli. Zaraz po drugiej stronie znajdował się ciąg pomieszczeń roboczych, w których centrum mieścił się gabinet do pracy. Swymi wymiarami przewyższał on wielokrotnie salę przyjęć prezydentów amerykańskich¹¹. Hitlerowi tak bardzo podobał się długi marsz dyplomatów w dopiero co wykończonej Kancelarii Rzeszy, że w nowej budowli życzył sobie podobnego rozwiązania. Podwoiłem wobec tego drogę dyplomatów, tak że wynosiłaby pół kilometra.

W porównaniu z dawną Kancelarią Rzeszy z 1931 roku, nazwaną przez Hitlera budynkiem administracyjnym koncernu mydlarskiego, jego wymagania wzrosły tymczasem siedemdziesięciokrotnie¹². Obrazuje to skalę potęgowania się megalomanii Hitlera.

A pośród tej świetności ustawiłby on w sypialni, o stosunkowo skromnych wymiarach, swoje polakierowane na biało łóżko. „Nienawidzę w sypialni wszelkiego przepychu”, powiedział mi kiedyś. „Najlepiej czuję się w prostym, zwykłym łóżku”.

W 1939 roku, kiedy plany te przybrały uchwytną postać, propaganda goebbelsowska ciągle jeszcze podtrzymywała wiarę w przysłowiową skromność i prostotę Hitlera. Aby nie osłabiać tego przekonania, prawie nikogo nie wtajemniczał on w plany wzniesienia swego prywatnego pałacu i przyszłej Kancelarii Rzeszy. Wobec mnie uzasadnił swoje żądania, gdy kiedyś zimą spacerowaliśmy po śniegu: „Widzi pan, ja sam zadowolilibym się także prostym, małym domem w Berlinie. Mam dostateczną władzę i poważanie; nie potrzebuję tej wystawności, aby się wynosić. Ale niech mi pan wierzy: ci, którzy przyjdą po mnie, będą bardzo potrzebowali takiej oprawy. Wielu z nich będzie się mogło utrzymać tylko w ten sposób. Trudno uwierzyć, jak wielką władzę nad otoczeniem daje to osobie miernego ducha, jeśli może ona występować w tak wspaniałych warunkach. Takie pomieszczenia o wielkiej przeszłości historycznej podniosą także przeciętnego następcę do historycznej rangi. Widzi pan, dlatego musimy to zbudować jeszcze za

mego życia:

bym tam jeszcze zamieszkał i by duch mój nadał tej budowli tradycję. Jeśli pomieszka tam choćby kilka lat, to już wystarczy".

W przemówieniach do robotników budowlanych zatrudnionych przy wznoszeniu Kancelarii Rzeszy, oddanej do użytku w 1938 roku, Hitler wypowiedział się podobnie, nie ujawniając naturalnie już dość daleko zaawansowanych planów: jako fiihrer i kanclerz narodu niemieckiego nie wejdzie on do dawnych zamków; dlatego też odmówił zajęcia pałacu prezydenta Rzeszy, gdyż nie będzie mieszkał w domu byłego marszałka dworu. Jednakże i w tej dziedzinie państwo utrzyma reprezentacyjność godną królów i cesarzy¹³.

Hitler zabronił nam jednak wtedy ustalać koszty tych budowli, a my posłusznie pozostawiliśmy plany nawet bez obliczeń kubatury, które sporządziłem po raz pierwszy dopiero teraz, po upływie ćwierćwiecza. Dały one następujące zestawienie:

1. Kopulasta hala	21 000 000 m ³
2. Pałac mieszkalny	1 900 000 m ³
3. Pomieszczenia robocze wraz z Kancelarią Rzeszy	1 200 000 m ³
4. Podległe jej kancelarie	200 000 m ³
5. Siedziba Naczelnego Dowództwa Wehrmachtu	600 000 m ³
6. Nowy gmach Reichstagu	350 000 m ³
	25 250 000 m ³

Chociaż wielkie rozmiary budowli zmniejszyły koszt jednego metra sześciennego, to jednak ogólne wydatki ledwie można sobie wyobrazić. Te olbrzymie pomieszczenia wymagały bowiem potężnych murów i odpowiednio głębokich fundamentów; poza tym mury zewnętrzne miały być z cennego granitu, ściany wewnętrzne z marmuru, a drzwi, okna, sufity i tak dalej z najkosztowniejszych materiałów. Prawdopodobnie raczej zaniżone byłoby oszacowanie kosztów samych tylko budowli przy Adolf-Hitler-Platz na 5 miliardów DM¹⁴.

Zmianę nastrojów społeczeństwa, otrzeźwienie, jakie zaczęło się w 1939 roku rozprzestrzeniać po całych Niemczech, sygnalizowała nie tylko konieczność zwoływania manifestacji tam, gdzie jeszcze dwa lata temu Hitler mógł liczyć na spontaniczne przyjęcie. On sam odsunął się tymczasem od podziwiających go mas. Częściej niż dawniej był gburowaty i niecierpliwy, jeśli tłum na placu Wilhelma domagał się czasami jego widoku. Przed dwoma laty wielokrotnie odbywał drogę do „historycznego balkonu”, teraz krzyczał niekiedy na swych adiutantów proszących go, żeby się pokazał: „Dajcie mi z tym spokój!”

Ta pozornie marginesowa obserwacja łączy się z obrazem przyszłego Adolf-Hitler-Platz. Pewnego dnia bowiem oświadczył mi: Nie jest przecież wykluczone, że kiedyś będę zmuszony podjąć niepopularne środki. Może dojść wtedy do rozruchów. Trzeba przygotować się z góry na tę sytuację: wszystkie okna w budynkach na tym placu otrzymają ciężkie, stalowe, odporne na kule, przesuwane okiennice drzwi muszą być także ze stali, a jedyne dojście do placu zamknięte zostanie ciężką, żelazną kratownicą. Centrum Rzeszy musi być przystosowane do obrony jak twierdza".

Uwaga ta zdradzała niepokój, który dawniej był mu obcy. Ujawnił się on ponownie przy rozważaniu położenia koszar gwardii przybocznej, która tymczasem rozwinęła się w całkowicie zmotoryzowany, najnowocześnie uzbrojony pułk. Hitler przesunął jej kwaterę prawie do samej osi południowej. „Co pan myśli jeśli zdarzą się kiedyś zamieszki!", powiedział. A pokazując na ulicę studwudziestometrowej szerokości, dodał: „Jeśli będą tu jechać do mnie całą szerokością w swych pojazdach opancerzonych, to nikt im nie stawi oporu". Możliwe, że o zarządzeniu tym dowiedziały się wojska lądowe i zapragnęły być jeszcze bliżej niż SS, możliwe, że Hitler nakazał to sam - w każdym razie na życzenie Dowództwa Wojsk Lądowych i przy aprobacie fuhrera berlińskiemu pułkowi wartowniczemu „Gross-deutschland" dano do dyspozycji plac pod budowę koszar w jeszcze mniejszej odległości od hitlerowskiego centrum¹⁵.

Projektując fasadę pałacu, nieświadomie dałem wyraz owemu oderwaniu się Hitlera od narodu - Hitlera, który w ewentualnej sytuacji był zdecydowany strzelać do własnego narodu. W fasadzie nie było ani jednego otworu, poza wielką stalową bramą i drzwiami prowadzącymi na balkon, z którego Hitler mógłby się pokazywać tłumowi; tylko że balkon ten wisiał nad tłumem na wysokości 14 metrów, a więc pięciu pięter mieszkalnych. Jeszcze dzisiaj wydaje mi się, że ten zdecydowanie odpychający fronton trafnie charakteryzował odizolowanie fuhrera, który tymczasem pogrążał się w samouwielbieniu.

Kiedy będąc w więzieniu przypominałem sobie ten projekt z jego czerwonymi mozaikami, kolumnami, lwami z brązu i połączanymi profilami, wydawał mi się pogodny, niemal miły. Ale kiedy zobaczyłem kolorowe zdjęcia modelu po dwudziestu jeden latach, mimo woli przypominałem sobie despotyczną architekturę z filmu Cecila B. de Mule'a. Obok fantastyczności uświadomiłem sobie jednocześnie grozę tej architektury, stanowiącej wierne odbicie tyranii.

Przed wojną uśmieiałem się z kałamarza, jaki podarował Hitlerowi nieoczekiwanie architekt Brinckmann, podobnie jak Troost zajmujący się początkowo architekturą parowców. Brinckmann dał owemu utensylium dostojną obudowę z wieloma ozdóbkami, zawijasami i stopniami - a tam, pośród tego przepychu znajdował się zupełnie samotny i opuszczony „kałamarz dla głowy państwa”: malutka kałuża atramentu. Jeszcze nigdy nie widziałem czegoś tak nienaturalnego. Jednak wbrew moim oczekiwaniom Hitler nie odrzucił kałamarza, lecz wychwalał ponad wszelką miarę tę atramentową budowlę z brązu. Nie mniejszy sukces odniósł Brinckmann projektując dla Hitlera fotel do biurka. Miał on wręcz goeringowskie wymiary i przypominał swego rodzaju tron: na górnej krawędzi oparcia umieszczone były dwie ogromne, złożone piniolo. Obydwa te przedmioty wydawały mi się parwenszowskie w swej przesadnej napuszoności. Jednak od 1937 roku Hitler swym rosnącym zachwytem popierał tę skłonność do przepychu. Znalazł się znowu na wiedeńskiej Ringstrasse, którą opuszczał kiedyś przepełniony podziwem; powoli, ale nieustannie oddalał się coraz bardziej od teorii Troosta.

A ja razem z nim; moje projekty bowiem z tego okresu miały coraz mniej wspólnego z tym, co uważałem za „swój styl”. To odchodzenie od początkowych prac uwidaczniało nie tylko reprezentacyjny ogrom moich budowli. Nie łączyło ich także już nic z doryckim charakterem, do którego pierwotnie dążyłem, stały się one czystą „sztuką upadku”. Bogactwo, niewyczerpane środki oddawane do mojej dyspozycji oraz hitlerowska ideologia partyjna skierowały mnie ku stylowi, który raczej nawiązywał do pełnych przepychu pałaców wschodnich władców.

Na początku wojny stworzyłem teorię, którą wyłożyłem na przyjęciu w paryskim „Maximie” gronu artystów francuskich i niemieckich; znajdowali się wśród nich Cocteau i Despiau. Rewolucja francuska, mówiłem, przyniosła po późnym rokoko nowe odczucie stylu. Nawet najprostsze meble zachowywały najpiękniejsze proporcje. Najczystszy jego wyrazem były projekty budowlane Boulléeego. Po tym rewolucyjnym stylu przyszedł następnie dyktariat, który stosował bogate środki jeszcze z lekkością i smakiem. Zwrot nastąpił dopiero z chwilą pojawienia się stylu empire: z każdym rokiem coraz to nowe elementy rozpleniały się ornamentami przepychu na ciągle jeszcze klasycznych kształtach, aż w końcu późny empire stał się prawie nieprześcigniony pod względem luksusu i bogactwa. Oznaczało to koniec ewolucji stylu, który tak obiecująco pojawił się wraz z konsulem, a jednocześnie przejście od rewolucji do okresu

cesarstwa

napoleońskiego. Ewolucja sygnalizowała zarazem rozkład, a tym samym zwiastowała koniec ery napoleońskiej. Tutaj na przestrzeni zaledwie około dwudziestu lat, mówiłem, można zaobserwować to, co na ogół dokonuje się w ciągu stuleci: ewolucja od budowli doryckich wczesnej starożytności aż do szczelinowatych barokowych fasad późnej epoki helleńskiej, jakie stoją na przykład w Baalbeck; romańskie budowle z początku średniowiecza oraz zbankrutowany późny gotyk z końca tego okresu.

Rozumując konsekwentnie, musiałbym na przykładzie późnego empiru stwierdzić dalej, że również plany budowli zaprojektowanych przeze mnie dla Hitlera zapowiadają koniec reżimu, a zatem upadek Hitlera wyczuwalny jest poniekąd w tych projektach. Ale wówczas nie dostrzegałem tego. Podobnie jak otoczenie Napoleona widziało zapewne tylko przejaw siły w przeładowanych salonach późnego empiru i dopiero przyszłe pokolenia odkryły w nich zapowiedź jego upadku, również otoczenie Hitlera uważało kałamarzową górę za tło stosowne dla geniusza dyplomacji i akceptowało kopulastą halę jako wyraz hitlerowskiej potęgi.

Ostatnie budowle, zaprojektowane w 1939 roku, były rzeczywiście czystym neoempirem, przypominały styl, który sto dwadzieścia pięć lat wcześniej, na krótko przed upadkiem Napoleona, wyrażał przeładowanie, manię pozłacania, umiłowanie przepychu i rozkład. Nie tylko styl, lecz także ogrom tych budowli ujawniał bez osłonek zamiary Hitlera.

Pewnego dnia, na początku lata 1939 roku, wskazał na orła Rzeszy, trzymającego w szponach insygnia władzy, który miał wznosić się nad kopulastą budowlą na wysokości 290 metrów: „To tutaj zostanie zmienione. Tutaj orzeł nie powinien już stać nad swastyką, będzie panował nad kulą ziemską! Ukoronowaniem tej największej budowli świata musi być orzeł nad kulą ziemską”¹⁶. Na zdjęciach modeli, które kazałem zrobić według planów tych budowli, jeszcze dzisiaj widać zmianę wprowadzoną przez Hitlera do pierwotnych projektów.

W kilka miesięcy później zaczęła się druga wojna światowa.

1 Jako miejsce przyszłych posiedzeń² plenarnych przewidziano, w zachowanym dotychczas planie, salę o powierzchni 2100 m .

2 Z tego okresu pochodzą szkice robocze do tego projektu. Również 5 listopada 1936 r. Hitler sporządził szkice do przedłożonych przeze mnie pierwszych planów.

3 Kolumny te, mające 30 m wysokości, składały się z walców o średnicy 3 m, które łamane były z czerwonego granitu w Szwecji już po rozpoczęciu wojny.

4 Na 21 min m^3 składał się: okrągła część z kopuła 9 400 tyś. m^3 ,
kwadratowy
cokół 9500 tyś. m^3 , cztery halle 2200 tyś. m^3 i latarnia 8 tyś. m^3 .

5 Według K. Lankheita (*Der Tempel der Vernunft*, Bazylea 1968) kopuła budowli kultowej, zaprojektowanej przez Elienne L. Boullego około 1793 r. dla uświetnienia rewolucji francuskiej, miała średnicę 260 m.

6 Szczególny problem każdego pomieszczenia kopulastego stanowi akustyka. Sławni akustycy wyliczyli jednak, ku naszemu uspokojeniu, że po zastosowaniu pewnych środków zapobiegawczych nie będzie powodu do obaw.

7 Aby wyrównać wszelkie różnice wynikające z właściwości gruntu, a jednocześnie zagęścić go pod wpływem ciężaru, inżynierowie budowlani zalecali położenie jednolitej płyty fundamentowej o wymiarach 320+320 m. sięgającej na głębokość 30 m.

8 Jedna oś tego placu wynosiła 500 m. druga 450 m.

9 Szkice do tych budowli narysował Hitler 5 listopada 1936 r., w grudniu 1937 r. (mały teatr) i w marcu 1940 r. (mały teatr).

Mieszkanie kanclerskie Bismarcka na Wilhelmstrasse miało kubaturę 13 tyś. m^3 . Nowy, planowany na 1950 r. pałac fuhrera obejmowałby, bez ciągu pomieszczeń roboczych, 1 900 tyś. m^3 . Ciąg ten miał 1 200 tyś. m^3 . Ogólna kubatura 3 100 tyś. m^3 pozwoliłaby Hitlerowi odpowiednio zdystansować planowaną przez Goringa budowlę o kubaturze 580 tyś. m^3 , dlatego Hitler nie wracał już do tej sprawy.

Fasada pałacu Hitlera od strony ogrodu, mająca 280 m. nie mogła dorównać długością pałacowi Ludwika XIV w Wersalu (576 m), ale tylko dlatego, że teren nie pozwalał na osiągnięcie takiej długości, i budowla musiała mieć dwa skrzydła, przyjmując kształt litery U. Każde z tych skrzydeł mierzyło 195 m; ogólna długość frontu od strony ogrodu wynosiła więc 670 m. a tym samym przewyższała długość pałacu w Wersalu prawie o 100 m.

Zachował się rzut poziomy pomieszczeń parterowych tego pałacu: na tej podstawie mogę zrekonstruować zaplanowane osobiście przez Hitlera pomieszczenia i przewidywany rozkład poszczególnych sal. Z wielkiego placu wchodziło się przez olbrzymią bramę na honorowy dziedziniec długości 110 m z przejściami na dwa następne, otoczone kolumnami. Z honorowego dziedzińca przechodziło się do pomieszczeń gościnnych, znajdujących się za szeregiem sal. Powstawało przy tym kilka ciągów sal. mających ćwierć kilometra długości: ciąg pomieszczeń od północnej strony pałacu miałby aż 380 m długości. Stąd przez przedpokój docierało się do wielkiej sali jadalnej o wymiarach 92+32 m. czyli 2940 m^2 . Natomiast całe mieszkanie kanclerskie Bismarcka miało tylko 1200 m^2 ; bez trudu więc zmieściłoby się w tej sali.

W normalnych warunkach w sali jadalnej potrzeba na osobę 1,5 m^2 ; w tej sali zatem mogłoby zasiadać przy stołach jednocześnie prawie 2 tysiące gości.

10 Osiem sal dla gości zajęłoby w sumie powierzchnię 15 tyś. m^2 . Teatr miał otrzymać 400 wygodnych foteli. Przy normalnie praktykowanym w teatrach rozstawieniu foteli licząca 320 m^2 powierzchnia pod miejsca siedzące pomieściłaby na parterze 800 widzów, a na balkonie dodatkowo 150 widzów; Hitler przewidział dla siebie oddzielną lożę.

11 Sala przyjęć (Fast Room) w Białym Domu w Waszyngtonie ma około 2500 m^3 , sala przyjęć w pałacu Hitlera miałyby 21 tyś. m^3 .

Droga, którą pokonywali dyplomaci w Kancelarii Rzeszy z 1938 r., wynosiła 220 m. nowa droga miała liczyć 504 m. Prowadziła ona przez pomieszczenie gościnne o wymiarach 34*36 m, halę o beczkowym sklepieniu 180*67 m. salę kwadratową 28*28 m, galerię długości 220 m i przedpokój 28*28 m. Różnica w porównaniu do ogólnej

długości wynika z grubości murów.

12 Łącznie z ciągiem pomieszczeń kanclerskich w południowo-wschodniej części pałacu o kubaturze 200 tyś. m³ osiągnięto by 1 400 tyś. m³, ponieważ kancelarie te rozlokowane były także w nowej Kancelarii Rzeszy, podczas gdy budowla Siedlera miała 20 tys. m²

13 Również z okazji zatknięcia wiechy na Kancelarii Rzeszy 2 sierpnia 1938 r. Hitler powiedział: "Jestem nie tylko kanclerzem Rzeszy, lecz także obywatelem. Jako obywatel mieszkam jeszcze dzisiaj w tym samym mieszkaniu, które miałem przed objęciem władzy. Jednak jako kanclerz Rzeszy i fuhrer narodu niemieckiego chcę, aby Niemcy mogły być tak reprezentowane jak każde inne państwo, a właściwie przeciwnie, lepiej niż wszystkie inne państwa. A ponadto rozumiecie, że jestem za dumny, by wchodzić do dawnych zamków. Nowa Rzesza sama zbuduje sobie nowe pomieszczenia i budowle. W innych państwach w Moskwie siedzibą władz jest Kreml, w Warszawie Belweder, w Budapeszcie Zamek Królewski, w Pradze Hradczany, wszędzie coś gotowego! Tylko ja mam ambicję, aby nowej ludowej Rzeszy Niemieckiej wystawić budowle, których się ona nie powstydi także w porównaniu z tymi dawnymi książęcymi obiektami. Przede wszystkim jednak: nowa republika niemiecka nie musi korzystać z miejsca przy stole ani z noclegów w dawnych apartamentach królewskich! Jeśli inni mieszkają na Kremlu, Hradczanach czy jakimś zamku, to my będziemy reprezentować Rzeszę w budowlach, które pochodzą z naszej epoki... Kto wprowadzi się do tych budowli, tego nie wiem. Daj Boże, żeby to byli najlepsi synowie naszego narodu, obojętnie z jakiej warstwy będą się wywodzić. Ale wiem jedno, że nikt na świecie nie będzie patrzył na nich z góry, choćby ci synowie naszego narodu pochodzili z najniższych warstw. W momencie gdy ktoś zostaje powołany do reprezentowania Niemiec, jest równy każdemu królowi czy cesarzowi". A na uroczystości oddania do użytku Kancelarii Rzeszy, 9 stycznia 1939 r., powiedział: „Nie zgodziłem się wprowadzić do tak zwanego pałacu prezydenta Rzeszy. Dlaczego, moi rodacy? W domu tym mieszkiał dawniej marszałek dworu. I wiedzcie, fuhrer narodu niemieckiego nic będzie zajmował domu, który kiedyś należał do marszałka dworu! Wolałbym wprowadzić się na czwarte piętro prywatnej kamienicy niż do tego zamku. Nie mogłem zrozumieć dawnej republiki. Panowie utworzyli republikę, zlikwidowali starą Rzeszę, następnie wprowadzili się do byłego mieszkania marszałka dworu. To jest postępowanie niegodne. niemieccy robotnicy! Nic mieli oni siły, aby swemu własnemu państwu natychmiast nadać własne, nowe oblicze. Moim postanowieniem było i pozostało, aby nowe państwo otrzymało własną reprezentację!" Hitler czuł więc wyraźnie potrzebę uzasadnienia swej osobistej reprezentacji, co nie było dziwne przy rozmachu jego przyszłych planów, znanych tylko jemu i mnie.

14 Koszt jednego metra sześciennego hali szacowałem na około 200 DM. a w przypadku innych budowli na 300 DM.

15 Plac budowy koszar SS znajdował się na południe od Sudbahnhof. w odległości 7 km od hitlerowskiego centrum; plac pod koszary pułku wartowniczego "Grossdeutschland" przewidziany był zaledwie w odległości 800 m na północ od kopalastej hali.

16 Nawet jeszcze 8 maja 1943 r. Goebbels zanotował w swym dzienniku: fuhrer daje wyraz, swej niewzruszonej pewności, że Rzesza opanuje kiedyś całą Europę. Będziemy musieli w tym celu stoczyć jeszcze bardzo wiele walk, ale doprowadza one niewątpliwie do najwspanialszych sukcesów. Od tego momentu wytyczona jest praktycznie droga do zdobycia panowania nad światem. Kto posiada Europę, ten zdobędzie przewodnictwo nad światem".

Rozdział 12

POCZĄTEK KRYZYSU

Mniej więcej na początku sierpnia 1939 roku jechaliśmy z Hitlerem w niefrasobliwym nastroju do herbaciarni na Kehlsteinie. Długa kolumna samochodów wspinała się po biegnącej spiralą drodze, którą Bormann kazał wykuć w skałach za pomocą

ładunków

wybuchowych. Przez wysoką bramę z brązu dostaliśmy się do wyłożonej marmurem hali, przesyconej górską wilgocią, i wsiedliśmy do windy z wypolerowanego do połysku mosiądzu.

W czasie jazdy na wysokość pięćdziesięciu metrów Hitler powiedział nagle, jakby pograżony w rozmowie z samym sobą: „Może już wkrótce zdarzy się coś bardzo wielkiego. Nawet gdybym musiał wysłać Goringa... W razie czego pojechałbym i sam. Stawiam wszystko na tę kartę”. Skończyło się na tych uwagach.

Niecałe trzy tygodnie później, 21 sierpnia 1939 roku, dowiedzieliśmy się, że niemiecki minister spraw zagranicznych prowadzi rokowania w Moskwie.

Przy kolacji Hitlerowi wręczono kartkę. Przebiegł ją oczyma, poczerwieniał, chwilę patrzył nieruchomym wzrokiem przed siebie, potem uderzył w stół, aż zadźwięczało szkło, i wykrzyknął wrzaskliwym głosem: „Mam ich! Mam ich!” Natychmiast jednak opanował się; nikt nie śmiał zapytać, co się stało, kolacja trwała dalej.

Po kolacji Hitler wezwał do siebie mężczyzn ze swojego otoczenia: „Zawrzemy pakt o nieagresji z Rosją. Proszę, czytajcie! To depesza od Stalina!” Depesza była zaadresowana do „kanclerza Rzeszy Hitlera” i donosiła krótko o zawarciu porozumienia. Był to najbardziej zaskakujący, sensacyjny zwrot, jaki sobie mogłem wyobrazić: depesza, kawałek papieru, który po przyjacielsku połączył oba nazwiska - Stalina i Hitlera. Potem wyświetlono nam film z defilady Armii Czerwonej

przed Stalinem, z ogromną ilością wojska. Hitler wyraził satysfakcję ze zneutralizowania owej potęgi wojskowej i zwrócił się do swoich adiutantów wojskowych, aby otwarcie przedyskutować wartość tej ogromnej ilości broni i wojska. Pań nadal nie dopuszczono do rozmowy, ale oczywiście powiedzieliśmy im o nowinie, którą niedługo podano także przez radio.

Kiedy Goebbels komentował tę wiadomość na konferencji prasowej wieczorem 23 sierpnia, Hitler kazał się z nim połączyć. Chciał wiedzieć, jak zareagowali przedstawiciele prasy zagranicznej. Z błyszczącymi jak w gorączce oczyma opowiadał nam, co usłyszał: „Już nie mogło być większej sensacji. A gdy jednocześnie w oddali zabrzmiały kościelne dzwony, pewien angielski dziennikarz stwierdził z rezygnacją: »To dzwon pogrzebowy imperium brytyjskiego« Na Hitlerze, znajdującym się tego wieczoru w nastroju euforii, uwaga ta zrobiła niesłychanie silne wrażenie. Uwierzył, że wzniósł się tak wysoko, iż los nie może mu już zaszkodzić.

Nocą staliśmy z Hitlerem na tarasie Berghofu i podziwialiśmy rzadkie zjawisko. Wyjątkowo jaskrawa zorza polarna¹ przez całą godzinę zalewała czerwonym światłem położony po przeciwnej stronie legendarny Untersberg, podczas gdy niebo grało wszystkimi kolorami tęczy. Ostatni akt *Zmierzchu bogów* nie mógłby się rozgrywać w efektowniejszej scenerii. Nasze twarze i ręce były nienaturalnie zabarwione na czerwono. Widowisko to wywołało nastrój dziwnej zadumy. Nagle Hitler powiedział, zwracając się do jednego ze swych adiutantów wojskowych: „To zapowiada wiele krwi. Tym razem nie obejdzie się bez użycia siły”².

Już od kilku tygodni główny punkt zainteresowań Hitlera przesunął się wyraźnie na sprawy militarne. Podczas trwających często godzinami rozmów, z którymś ze swych adiutantów - pułkownikiem Rudolfem Schmundtem do spraw dowództwa Wehrmachtu, kapitanem Gerhardem Engelem do spraw wojsk lądowych, kapitanem Nicolausem von Belowem do spraw lotnictwa i kapitanem Karlem Jesko von Puttkamerem do spraw marynarki - Hitler próbował wytworzyć sobie jasny obraz swoich planów. Towarzystwo młodych i nieuprzedzonych oficerów najwyraźniej bardzo mu odpowiadało, zwłaszcza szukał aprobaty, którą wśród nich znajdował prędzej niż w kręgu kompetentnej, lecz sceptycznie nastawionej generalicji.

że zawsze

W tych dniach jednak, natychmiast po ogłoszeniu paktu niemiecko-radzieckiego, adiutantów zastąpili polityczni i wojskowi przywódcy Rzeszy, wśród nich Goring, Goebbels, Keitel i Ribbentrop.

Przed wszystkim Goebbels mówił otwarcie i z niepokojem o zbliżającym się niebezpieczeństwie wojny. Co dziwniejsze, ten dotychczas tak radykalnie nastawiony spec od propagandy uważał, że ryzyko jest bardzo duże, próbował sugerować otoczeniu Hitlera zajęcie pokojowego stanowiska; wyraźnie drażnił go Ribbentrop, w którym widział głównego przedstawiciela obozu wojennego. My, ludzie z prywatnego otoczenia Hitlera, uważali śmy zarówno Goebbelsa, jak i Goringa, który również, opowiadał się za utrzymaniem pokoju, za jednostki słabe, zdegenerowane dobrobytem i wygodami, jakie daje władza, dalekie od chęci wystawiania zdobytych przywilejów na ryzyko.

Chociaż dni owe zadecydowały o tym, że nie zrealizowałem dzieła swego życia, byłem przekonany, że interesy osobiste muszą ustąpić sprawie rozwiązania problemów narodowych. Pewność siebie, jaka w tamtych dniach wykazywał Hitler, rozpraszała ewentualne wątpliwości. Wydawał mi się wówczas podobny antycznym bohaterom, którzy bez wahania, świadomi swej siły, podejmowali najbardziej awanturnicze przedsięwzięcia i doprowadzali je do pomyślnego końca³.

Właściwy obóz zwolenników wojny - ktokolwiek by do niego należał oprócz Hitlera i Ribbentropa posługiwał się takimi mniej więcej argumentami: „Załóżmy, że dzięki naszym szybkim zbrojeniom stosunek sił militarnych kształtuje się jak 4 : 1 na naszą korzyść. Przeciwnik od momentu zajęcia przez nas Czechosłowacji zbroi się intensywnie. Do chwili pełnego rozruchu produkcji potrzebuje on jeszcze co najmniej półtora do dwóch lat. Dopiero od roku 1940 może zacząć nadrabiać stosunkowo duży dystans, dzielący go od nas. Kiedy jednak zacznie produkować tyle co my, nasza przewaga będzie się stale zmniejszać; aby ją wówczas utrzymać, musielibyśmy produkować czterokrotnie więcej. Tego zaś nie zdołamy zrobić. Nawet gdyby przeciwnik miał produkować połowę tego co my, stosunek sił zmieniałby się nieustannie na naszą niekorzyść. Ponadto obecnie we wszystkich dziedzinach mamy sprzęt nowego typu, strona przeciwna natomiast dysponuje przestarzałym”⁴.

Poglądy takie nie rozstrzygały o decyzjach Hitlera, ale niewątpliwie wpływały na wybór chwili. Na razie i Hitler oświadczył: „Zostanę moim żoną jak najdłużej w Obersalzbergu, aby być w formie na nadchodzące ciężkie dni. Do Berlina pojedę dopiero wtedy, gdy trzeba będzie podjąć decyzje”.

Już w kilka dni później kolumna samochodowa Hitlera posuwała się autostradą w kierunku Monachium. Dziesięć aut w dużych, ze względów bezpieczeństwa, odstępach; w jednym z nich moja żona i ja.

Był piękny, bezchmurny, słoneczny dzień kończącego się lata. Ludność, inaczej niż zwykle, milcząco przyglądała się przejazdowi Hitlera. Czasem ktoś pomachał ręką. Również w Berlinie w okolicy Kancelarii Rzeszy było zdumiewająco spokojnie. Dotychczas, ilekroć wywieszano sztandar na znak, że Hitler jest na miejscu, wokół budynku gromadzili się ludzie, którzy pozdrawiali fuhrera, gdy wyjeżdżał lub wracał.

W dalszym biegu wydarzeń nie brałem już naturalnie udziału, tym bardziej że w ciągu tych burzliwych dni zwykły rozkład zajęć Hitlera został mocno zakłócony. Od czasu gdy dwór przeniósł się do Berlina, Hitler był bez przerwy zajęty toczącymi się jedna za drugą konferencjami; na wspólne posiłki nie było najczęściej czasu. Wśród obserwacji, które utkwily mi w pamięci, choć wcale się o to nie starałem, znalazł się również nie pozbawiony komizmu widok ambasadora Włoch, Bernarda Allolico. Na kilka dni przed atakiem na Polskę zobaczyłem go jak zdyszany wpadał do Kancelarii Rzeszy. Przybywał z wiadomością, że Włochy na razie nie mogą dotrzymać swych zobowiązań sojuszniczych; duce dołączył do tej odmowy niemożliwe do spełnienia żądania natychmiastowej dostawy tak wielkiej ilości sprzętu wojskowego i wyrobów przemysłowych, że w konsekwencji nastąpiłoby zdecydowane osłabienie niemieckich sił zbrojnych. Hitler wysoko oceniał wartość bojową szczególnie floty włoskiej, dysponującej nowoczesnymi jednostkami i wielką liczbą okrętów podwodnych; podobnie oceniał wartość silnego liczebnie lotnictwa włoskiego. Przez chwilę sądził, że jego koncepcja poniosła fiasko, zakładał bowiem, iż zdecydowanie Włoch w sprawie przystąpienia do wojny dodatkowo zastraszy mocarstwa zachodnie. Pełen niepewności odłożył atak na Polskę, do którego rozkaz już wydał.

Otrzeźwienie tych dni wkrótce jednak ustąpiło znów nastrojom euforii. Kierując się intuicją Hitler założył, że wypowiedzenie wojny przez Zachód wcale nie jest pewne, nawet wobec rezerwy Włoch. Odrzucił zaproponowaną przez Mussoliniego interwencję. Nic go już nie powstrzyma, gdyż wojsko, trzymane w ciągłej gotowości, staje się nerwowe, okres sprzyjającej jesiennej pogody wkrótce się skończy, istnieje więc obawa, że w późniejszym okresie deszczów oddziały utkną w polskim błocie.

W sprawie Polski Niemcy i Anglia wymieniły noty. Hitler sprawiał wrażenie przepracowanego, gdy pewnego wieczoru w ogrodzie zimowym rezydencji kanclerskiej z przekonaniem oświadczył w swoim

ściśłym gronie: „Tym razem unikniemy błędów roku 1914. Teraz wszystko zależy od tego, aby winę zrzucić na przeciwnika. W 1914 roku zrobiono to po partacku. Dziś też projekty not przygotowane przez Ministerstwo Spraw Zagranicznych są po prostu do niczego. Najlepiej zredaguję te noty sam”. Mówiąc to trzymał w ręku zapisaną kartkę. Przypuszczalnie był to projekt not sporządzony przez ministerstwo. Pożegnał się krótko, spiesznie, nie siadając do posiłku, i znikł na piętrze. Później, w więzieniu, czytałem te noty, ale nie odniosłem wrażenia, żeby Hitlerowi udało się jego dzieło.

Przewidywanie Hitlera, że po kapitulacji monachijskiej Zachód raz jeszcze okaże się ustępliwy, zostało wsparte informacją wywiadu, według której pewien oficer brytyjskiego Sztabu Generalnego zasięgnął języka o sile armii polskiej i doszedł do wniosku, że opór Polski zostanie szybko złamany. Hitler wiązał z tym nadzieję, iż brytyjski Sztab Generalny zrobi wszystko, by odwieść swój rząd od tak bezcelowej wojny. Kiedy jednak 3 września, w ślad za swym ultimatum, mocarstwa zachodnie wypowiedziały wojnę, Hitler po chwili zakłopotania pocieszał siebie i nas, twierdząc, że Anglia i Francja wypowiedziały wojnę najwyraźniej tylko dla pozorów, by nie stracić twarzy przed światem; mimo wypowiedzenia wojny - był o tym przekonany - nie dojdzie do działań zbrojnych. Zgodnie z tym rozkazał Wehrmachtowi pozostawać w zupełnej defensywie. Podejmując tę decyzję sądził, iż wykazuje ogromną przenikliwość polityczną.

Po gorączkowej ruchliwości ostatnich dni sierpnia nastąpił dziwny spokój. Na krótko Hitler powrócił do swego zwykłego rytmu dnia; zaczął nawet znowu interesować się planami architektonicznymi. Swojemu najbliższemu gronu oświadczył: „Znajdujemy się wprawdzie w stanie wojny z Anglią i Francją, jeśli jednak będziemy unikać jakichkolwiek działań wojennych, to cała sprawa rozejdzie się po kościach. Ale gdy tylko zatopimy jakiś statek i tamci poniosą duże straty, zwolennicy wojny zaraz zyskają na sile. Nie macie państwo nawet pojęcia, jacy są ci demokraci: będą się cieszyć, jeśli uda im się wykreślić z całej tej historii. Polskę zostawią po prostu na lodzie!” Nawet gdy niemieckie okręty podwodne znalazły się na dogodnych pozycjach w pobliżu francuskiego okrętu wojennego „Dunkerque”, nie pozwolono im go zaatakować. Dopiero nalot brytyjski na Wilhelmshaven i zatopienie „Athenii” zniweczyły to przekonanie Hitlera.

Nie zmienił natomiast zdania, że Zachód jest zbyt słaby, zbyt zmurszały i dekadentcki, aby na serio rozpocząć wojnę. Prawdopodobnie nieprzyjemnie mu też było przyznać się przed swym otoczeniem,

a przede wszystkim przed samym sobą, że tak wyraźnie się pomylił, pamiętam jeszcze zaskoczenie na wiadomość, że Churchill wszedł do brytyjskiego gabinetu czasu wojny jako minister marynarki. Z tą fatalną informacją prasową w ręku Göring pojawił się w drzwiach prowadzących do pomieszczeń mieszkalnych Hitlera. Opadł na najbliższy fotel i powiedział z rezygnacją: „Churchill w rządzie. To oznacza, że wojna naprawdę się zaczyna. Dopiero teraz mamy wojnę z Anglią”. Z takich i podobnych obserwacji można się było zorientować, że ten początek wojny nie zgadzał się z wyobrażeniami Hitlera. Na pewien czas wyraźnie utracił on dotychczasową uspokajającą aurę nieomylnego wodza.

Owe złudzenia i pobożne życzenia były związane z dalekim od rzeczywistości sposobem pracy i myślenia Hitlera. W istocie rzeczy nie wiedział on nic o swoich przeciwnikach i nie chciał też wykorzystywać informacji, jakimi dysponował; ufał raczej swym spontanicznym, dyktowanym przez skrajne lekceważenie podszeptom, choć często były one sprzeczne. Zgodnie ze swą maksymą: zawsze istnieją dwie możliwości, chciał wojny w tym rzekomo korzystnym momencie i mimo to nie przygotowywał się do niej w dostateczny sposób; w Anglii widział, jak to kiedyś podkreślił, „naszego wroga numer 1⁵, a mimo to liczył, że jakoś się z nią dogada.

Nie sędzę, aby w tych pierwszych dniach września Hitler w pełni zdawał sobie sprawę, iż rozpętał nieodwoalną wojnę światową. Chciał pójść jeszcze krok dalej; był wprawdzie gotów, podobnie jak przed rokiem podczas kryzysu czeskiego, podjąć związane z tym ryzyko, ale przygotowany był tylko na ryzyko, a nie na wielką wojnę. Intensywniejsze zbrojenie floty zaplanowano wyraźnie na późniejszy termin; okręty wojenne i pierwszy wielki lotniskowiec znajdowały się jeszcze w budowie. Hitler wiedział, że pełną zdolność bojową uzyskają one dopiero wtedy, gdy będą mogły zmierzyć się z równymi im mniej więcej siłą jednostkami przeciwnika. Mówił też tak często o niedocenianiu okrętów podwodnych w pierwszej wojnie światowej, że nie zaczęłyby chyba świadomie drugiej, nie mając w gotowości silnej floty okrętów podwodnych.

Już pierwsze dni września rozproszyły wszystkie te troski, kampania polska bowiem przyniosła zaskakujące sukcesy armii niemieckiej. Wydawało się, że i Hitler odzyskał szybko pewność siebie, a później, w szczytowym okresie wojny, słyszałem go nawet często, jak mówił, że podczas kampanii w Polsce musiała pohać się krew: „Czy sądzicie, panowie, że to byłoby dobrze dla naszych wojsk, gdybyśmy Polskę zajęli znów bez walki, po tym, gdy bez walki dostaliśmy Austrię

i Czechosłowację? Wiercie mi, tego nie wytrzyma nawet najlepsza armia. Zwycięstwa bez daniny krwi demoralizują. Tak więc nie tylko mieliśmy szczęście, że nie doszło do ugody; gdyby do niej doszło, trzeba by było uznać to za szkodliwe dla nas. Dlatego też w każdym wypadku musiałbym uderzyć"⁶.

Niewykluczone, że tego rodzaju wypowiedziami Hitler chciał pokryć błędną kalkulację dyplomatyczną z sierpnia 1939 roku. Co prawda generał pułkownik Heinrici opowiedział mi pod koniec wojny o wcześniejszym przemówieniu Hitlera do generalicji, które wskazywało ten sam kierunek. Oto co zanotowałem po wysłuchaniu godnej uwagi wypowiedzi Heinriciego: „On, Hitler, po raz pierwszy od czasów Karola Wielkiego skupił znów w jednym ręku nieograniczoną władzę. Ma on tę władzę nie na próżno, lecz użyje jej w walce dla Niemiec. Jeśli Niemcy nie wygrają wojny, oznaczać to będzie, że nie sprostały próbie sił; wówczas powinny zginąć i zginą”⁷.

Spółeczeństwo od początku oceniło sytuację znacznie poważniej niż Hitler i jego otoczenie. Wskutek ogólnej nerwowości w pierwszych dniach września w Berlinie ogłoszono fałszywy alarm lotniczy. Wraz z wieloma berlińczykami siedziałem w publicznym schronie przeciwlotniczym. Z obawą spoglądali oni w przyszłość; w schronie panował wyraźny nastrój przygnębienia⁸.

Inaczej niż po wybuchu pierwszej wojny światowej, żaden z pułków nie wyruszał na front obsypywany kwiatami. Ulice były puste. Na placu Wilhelma nie było już tłumów wywołujących Hitlera. Pasowało to do ponurego nastroju pewnej nocy, kiedy to Hitler kazał umieścić swe walizy w samochodzie i wyruszył na wschód, na front. W trzy dni po rozpoczęciu ataku na Polskę jego adiutant wezwał mnie do Kancelarii Rzeszy, gdyż Hitler chciał się pożegnać ze mną. Znalazłem tam człowieka, który w prowizorycznie zaciemnionym mieszkaniu złościł się z powodu drobnostek. Samochody pojechały przodem i Hitler pożegnał się krótko ze swą pozostającą na miejscu żoną. Nikt ze zwykłych ludzi nie zauważył tego historycznego wydarzenia: Hitler wyruszał na zainscenizowaną przez siebie wojnę. Oczywiście Goebbels mógłby zgromadzić w dowolnej ilości wiwatujące tłumy, ale najwyraźniej i on nie miał na to ochoty.

Nawet podczas mobilizacji Hitler nie zapomniał o swych artystach. Pod koniec lata 1939 roku jego adiutant do spraw wojsk

lądowych zażądał od rejonowego dowództwa Wehrmachtu ich dokumentów, podarł je i wyrzucił: w ten oryginalny sposób przestały one istnieć dla wojskowych urzędów rejestracyjnych. Co prawda na sporządzonej przez Hitlera i Goebbelsa liście architektki i rzeźbiarze zajmowali mało miejsca; przeważająca większość zwolnionych stanowili śpiewacy i aktorzy. Natomiast dopiero w 1942 roku odkryto, przy mojej pomocy, że również młodzi uczeni mają znaczenie dla przyszłości.

Jeszcze będąc w Obersalzbergu prosiłem telefonicznie Willa Nagela, mojego byłego przełożonego, a obecnego kierownika sekretariatu, aby przygotował utworzenie technicznej grupy operacyjnej pod moim kierownictwem. Chcieliśmy wykorzystać nasz, dobrze zgrany aparat kierowniczy wielkich inwestycji budowlanych do budowy dróg lub do innych celów związanych z prowadzeniem wojny. Nasze zamiary były jednak bardzo mgliste, toteż przedsięwzięcia ograniczały się na razie do przygotowywania śpiworów i namiotów oraz do pomalowania mojego BMW na kolor feldgrau. W dniu ogłoszenia powszechnej mobilizacji udałem się do Naczelnego Dowództwa Wojsk Lądowych, mieszczącego się na Bendlerstrasse. Generał pułkownik Fromm, odpowiedzialny za przebieg mobilizacji sił lądowych, siedział, jak tego należało się spodziewać po prusko-niemieckiej organizacji beczynnie w swoim pokoju, podczas gdy cała maszyna działała zgodnie z planem. Ofertę współpracy przyjął chętnie: moje auto otrzymało numer rejestracyjny wojsk lądowych, a ja sam legitymację wojskową. Na tym jednak na razie skończyła się moja działalność wojenna.

Sam Hitler bowiem, nie namyślając się wiele, zakazał mi mojej akcji w ramach sił lądowych; zobowiązał mnie do dalszej pracy nad jego planami. Wobec tego oddałem do dyspozycji dla celów zbrojeń wojsk lądowych i powietrznych przynajmniej robotników, zatrudnionych na prowadzonych przeze mnie budowach w Berlinie i Norymberdze, oraz sztaby techniczne. Przejęliśmy budowę ośrodka raketowego w Peenemunde oraz pilne prace budowlane w przemyśle lotniczym.

Poinformowałem Hitlera o tych posunięciach, które mnie samemu wydawały się aż nadto oczywiste. Byłem pewien, że i on je zaakceptuje. Jakież, było moje zdziwienie, kiedy otrzymałem wkrótce niezwykle szorstki list od Bormanna: co mi przyszło do głowy, żeby podejmować nowe zadania, nikt mi nie dał takiego rozkazu: Hitler upoważnił go do przekazania mi polecenia, abym nadal prowadził wszystkie budowy bez ograniczeń.

Również z tego rozkazu widać, jak daleki od rzeczywistości i dwutorowy był tok myśli Hitlera: z jednej strony stale mówił o tym, że

że i on je

Niemcy wyzwalały los i muszą prowadzić walkę na śmierć i życie, z drugiej zaś nie chciał zrezygnować ze swych kosztownych zabawek. Nie liczył się przy tym również z nastrojami mas, które z coraz mniejszym zrozumieniem musiały się odnosić do tych luksusowych budowli, zwłaszcza że teraz po raz pierwszy dążenie Hitlera do ekspansji zaczęło wymagać ofiar. Był to pierwszy rozkaz, który ominąłem. Co prawda w ciągu pierwszego roku wojny widywałem Hitlera znacznie rzadziej niż przedtem, ale kiedy przyjeżdżał na parę dni do Berlina lub na parę tygodni do Obersalzbergu, zawsze kazał pokazywać sobie plany budowy i nalegał, abym dalej nad nimi pracował; wkrótce jednak pogodził się w skrytości ducha, jak sądzę, z zaprzestaniem prac.

Gdzieś na początku października ambasador niemiecki w Moskwie, hrabia von der Schulenburg, przekazał Hitlerowi informację, że Stalin osobiście interesuje się naszymi planami budowlanymi. Na Kremlu urządzono wystawę fotografii naszych modeli, największe jednak budowy na polecenie Hitlera utrzymano w tajemnicy, aby, jak powiedział, „Stalin nie nabrał apetytu”. Schulenburg zaproponował, żebym przyleciał do Moskwy celem objaśnienia planów. Hitler nie zgodził się na tę podróż. „Jeszcze by pana tam zatrzymano”, oświadczył półżartem. Nieco później poseł niemiecki Schnurre powiedział mi, że moje projekty podobały się Stalinowi.

Dwudziestego dziewiątego września Ribbentrop wrócił z drugiej konferencji moskiewskiej z niemiecko-radzieckim układem o granicy i przyjaźni, który to układ miał przypieczętować czwarty rozbiór Polski. Opowiadał Hitlerowi, że jeszcze nigdy nie czuł się tak dobrze, jak pomiędzy współpracownikami Stalina; „Jak gdybym był wśród naszych starych towarzyszy partyjnych, mein fuhrer!” Hitler z nieporuszoną twarzą wysłuchał tego entuzjastycznego wybuchu ministra spraw zagranicznych, z reguły bardzo powściągliwego. Jak opowiadał Ribbentrop, Stalin wydawał się zadowolony z porozumienia w sprawie granicy i po zakończeniu rokowań własnoręcznie zakreślił na granicy strefy przyznanej Rosji obszar, który dał Ribbentropowi w prezencie jako ogromny rewir myśliwski. Gest ten wywołał reakcję Goringa, nie chciał się on zgodzić, by podarunek Stalina przypadł osobiście ministrowi spraw zagranicznych, domagał się, by należał do Rzeszy, a tym samym do niego jako łowczego Rzeszy. Obaj myśliwi zaczęli się gwałtownie kłócić; skończyło się to złym humorem ministra spraw zagranicznych, ponieważ Goring okazał się energiczniejszy i bardziej uparty.

Mimo trwającej wojny trzeba było kontynuować przebudowę byłego pałacu prezydenta Rzeszy, nowego służbowego mieszkania

ministra spraw zagranicznych Rzeszy. Hitler zwiedził gotowy już prawie budynek i wyraził swoje niezadowolenie. Ribbentrop kazał więc pośpiesznie i bez namysłu zburzyć dopiero co wykończoną budowlę i zacząć na nowo. Po to chyba, aby przypodobać się Hitlerowi, domagał się topornych odrzwi z marmuru, gigantycznych drzwi i ozdób sztuka-torskich, które absolutnie nie pasowały do sal o średnich rozmiarach. Przed ponowną wizytacją prosiłem Hitlera o powstrzymanie się od wszelkich negatywnych uwag, aby minister spraw zagranicznych nie zażądał przebudowy po raz trzeci. Istotnie, dopiero później w ścisłym kółku Hitler podrwiwał sobie z tej, również jego zdaniem, nieudanej budowli.

W dalszych planach Hitlera, mimo całej ich poufności, zorientowałem się wówczas, gdy w roku 1939 polecił mi zbudować kwaterę główną na zachodzie Niemiec. W tym celu zmodernizowaliśmy i wyposażyliśmy w schrony Ziegenberg, arystokratyczną siedzibę z czasów Goethego, położoną u podnóża Taunusu koło Nauheim.

Kiedy budowa, która pochłonęła miliony, była już gotowa, kabel telefoniczny przeciągnięty na odległość setek kilometrów i zainstalowane najnowocześniejsze środki łączności, Hitler oświadczył nagle, że ta kwatera główna jest dla niego zbyt luksusowa; podczas wojny musi prowadzić skromny tryb życia, dlatego też chce, aby w górach Eifel zbudowano mu dom, odpowiadający okresowi wojennemu. Zrobiło to duże wrażenie na tych ludziach z zewnątrz, którzy nie wiedzieli, że wydano niepotrzebnie wiele milionów marek i że trzeba będzie wydać nowe miliony. Zwróciliśmy na to uwagę Hitlera, ale on nie ustąpił, uznał bowiem, że jego prestiż jako człowieka „nie mającego wymagań” jest zagrożony.

Po szybkim zwycięstwie we Francji byłem głęboko przekonany, że Hitler stał się już jedną z największych postaci w historii Niemiec. Denerwował mnie i irytował ten letarg, jaki, moim zdaniem, panował w społeczeństwie mimo wszystkich wspaniałych sukcesów. Hitler sam wykazywał wyraźnie coraz bardziej nieograniczoną pewność siebie. Znalazł teraz nowy temat swoich monologów przy stole. Jego koncepcja, mówił, nie rozbije się o niedociągnięcia, które spowodowały przegranie pierwszej wojny światowej. Przywódcy polityczni poróżnieni byli wówczas z dowódcami wojskowymi, partie polityczne miały dużą swobodę prowadzenia działalności zagrażającej jedności narodu, a nawet knucia zdradzieckich planów. Nie posiadający odpowiednich kwalifikacji książęta domów panujących z przyczyn protokołarnych musieli być naczelnymi dowódcami swoich armii; musieli zdobywać

laury wojskowe, aby pomnażać sławę swych dynastii. Niesłychanych katastrof uniknięto tylko dzięki temu, że tym pozbawionym zdolności potomkom chylących się ku upadkowi rodów książęcych przydzielano znakomitych oficerów Sztabu Generalnego. Ponadto na czele stał wówczas w osobie Wilhelma II nie nadający się do tej roli wódz naczelny... Teraz natomiast, reasumował Hitler z satysfakcją, Niemcy są jednolite, kraje niemieckie utraciły swe znaczenie, dowódców armii wybiera się spośród najlepszych oficerów, nie zważając na ich pochodzenie, przywileje arystokracji zniesiono, politycy, siły zbrojne i naród stopili się w jedną całość. Na czele zaś stoi on. Jego siła, jego wola, jego energia przewycięży wszystkie zbliżające się trudności.

Sukces kampanii zachodniej Hitler przypisywał sobie. Jej plan on opracował: „Wielokrotnie czytałem”, zapewniał przy różnych okazjach, „książkę pułkownika de Gaulle'a o możliwościach nowoczesnego prowadzenia walki, jakie stwarzają jednostki w pełni zmotoryzowane, i wiele się z niej nauczyłem”.

Wkrótce po zakończeniu kampanii we Francji zatelefonowano do mnie z adiutantury fuhrera: na specjalne polecenie miałem przybyć do kwatery głównej. Kwatera Hitlera mieściła się wówczas w małej wiosce Bruly le Peche, niedaleko Sedanu, z której wysiedlono wszystkich mieszkańców. W małych domkach wzdłuż jedynej ulicy wioski ulokowali się generałowie i adiutanci. Kwatera Hitlera nie różniła się niczym od innych. Gdy przybyłem, powitał mnie w jak najlepszym humorze: „Za parę dni lecimy do Paryża. Chciałbym, aby i pan tam był. Breker i Giessler też jadą”. To było na razie wszystko. Odchodziłem zdumiony, że zwycięzca życzył sobie, by przy wkraczaniu do stolicy Francuzów towarzyszyli mu trzej artyści.

Tego samego wieczoru zaproszono mnie do wzięcia udziału w rozmowie na tematy polityczne; omawiano szczegóły wyjazdu do Paryża. Nie chodziło, jak się teraz dowiedziałem, o wizytę oficjalną, lecz o pewnego rodzaju podróż Hitlera „w celu studiowania sztuki” do miasta, które, jak często powtarzał, fascynowało go od dawna tak bardzo, iż był pewien, że dzięki samemu tylko studiowaniu planów orientuje się w jego ulicach i najważniejszych budowlach tak, jak gdyby tam mieszkał.

W nocy 25 czerwca 1940 roku, o godzinie 1.35, miało nastąpić zawieszenie broni. Siedzieliśmy z Hitlerem wokół drewnianego stołu w skromnej izbie chłopskiego domu. Na krótko przed uzgodnionym

terminem Hitler polecił zgasić światło i otworzyć okna. Siedzieliśmy cicho w ciemnościach, pod wrażeniem świadomości, że przeżywamy moment historyczny tak blisko jego twórcy. Gdzieś niedaleko trębacz zagrał tradycyjny sygnał, obwieszczający zakończenie działań wojennych. Z oddali nadciągała chyba burza, bo od czasu do czasu na ciemnym horyzoncie widać było błyski. Ktoś, widocznie głęboko wzruszony, wytarł nos. A potem rozległ się głos Hitlera, cichy, monotonny: „Ta odpowiedzialność...” I w parę minut później: „Zapalcie z powrotem światło”. Potoczyła się rozmowa bez znaczenia, ale dla mnie pozostało to niezwykłym wydarzeniem. Wydawało mi się, że byłem świadkiem ludzkiej reakcji Hitlera.

Na drugi dzień pojechałem z kwatery głównej do Reims, aby obejrzeć katedrę. Miasto sprawiało upiorne wrażenie, było niemal wyludnione, otoczone przez żandarmerię polową ze względu na składy szampana. Wiatr łomotał okiennicami, w uliczkach fruwały płachty starych gazet, przez otwarte drzwi można było zajrzeć do wnętrza domów. Na stołach stały jeszcze szklanki, nakrycia, napoczęte potrawy - jak gdyby życie mieszkańców zamarło na jedną szaleńczą chwilę. Po drodze spotykaliśmy niezliczonych uchodźców, którzy posuwali się skrajem ulic, podczas gdy środek zajmowały kolumny wojsk niemieckich. Butne oddziały tworzyły osobliwy kontrast z wynędzniałymi ludźmi, którzy wieźli swój dobytek na wózkach dziecińczych, taczkach i innych prymitywnych wehikułach. Trzy i pół roku później widziałem podobne obrazy w Niemczech.

W trzy dni po zawieszeniu broni, wczesnym rankiem, około wpół do szóstej, wylądowaliśmy na lotnisku Le Bourget. Czekają już na nas trzy wielkie „Mercedesy”. Hitler, jak zwykle, zajął miejsce obok kierowcy, Breker i ja na dodatkowym siedzeniu za nim, Giessler z adiutantem usiedli z tyłu. My, artyści, otrzymaliśmy mundury w kolorze feldgrau, dzięki którym dostosowaliśmy się do wojskowego tła. Droga wiodła przez rozległe przedmieścia prosto do Opery Wielkiej - dzieła architekta Garniera. Hitler życzył sobie zwiedzić jako pierwszą swą ulubioną neobarokową budowlę. U wejścia oczekiwał nas, oddany do dyspozycji przez niemieckie władze okupacyjne, pułkownik Speidel. Obejrzeliśmy dokładnie klatkę schodową, słynną z rozmachu, z jakim ją zbudowano, i z przeładowania ozdobami, pełne przepychu foyer, wspaniałą, kapiącą od złota widownię. Opera tonęła w światłach jak podczas wieczoru galowego. Hitler służył za przewodnika. Siwowłose portier towarzyszył naszej małej grupie w opustoszałym budynku. Hitler rzeczywiście gruntownie przestudiował plany opery paryskiej,

obok łoży prosceniowej zauważył brak salonu i, jak się okazało, miał rację. Portier potwierdził, że pomieszczenie to zlikwidowano przed wielu laty podczas przebudowy. „Widzicie, panowie, jak dobrze się tu orientuję”, powiedział Hitler z zadowoleniem. Był zafascynowany operą, zaczął się unosić nad jej niedoścignioną pięknnością, jego oczy błyszczały ekstazą, która wywoływała u mnie dreszcze grozy. Portier oczywiście zorientował się, kogo oprowadzał. Objaśniał nas rzeczowo, zachowując jednak wyraźny dystans. Gdy w końcu mieliśmy już opuszczać operę, Hitler szepnął coś do ucha swemu adiutantowi Briicknerowi, który wyjął z portfela banknot pięćdziesięciomarkowy i wręczył go stojącemu w pewnym oddaleniu mężczyźnie. Ten grzecznie, ale zdecydowanie odmówił. Hitler spróbował raz jeszcze i posłał do niego Brekera; mężczyzna nie chciał jednak przyjąć pieniędzy. Powiedział Brekerowi, że spełnił tylko swój obowiązek.

Następnie przejechaliśmy Polami Elizejskimi, koło kościoła St. Madeleine do Trocadero, potem pojechaliśmy pod wieżę Eiffla, gdzie Hitler znów kazał się zatrzymać, dalej koło Łuku Triumfalnego z Grobem Nieznanego Żołnierza do Inwalidów, gdzie długo stał przed sarkofagiem Napoleona. Na koniec Hitler zwiedził Panteon, którego proporcje zrobiły na nim wielkie wrażenie. Nie okazał natomiast większego zainteresowania najpiękniejszymi dziełami architektonicznymi Paryża: placem Wogezów, Luwrem, Pałacem Sprawiedliwości i Sainte-Chapelle. Ożywił się dopiero na widok jednolitej pierzei rue de Rivoli. Końcowym etapem naszej trasy było romantyczne, słodkie naśladownictwo wczesnośredniowiecznych kościołów z kopułowymi dachami: kościół Sacre-Coeur na Montmartre. Był to, nawet jak na gust Hitlera, wybór zdumiewający. Stał tam długo, otoczony przez potężnie zbudowanych ludzi ze swojej ochrony; liczni wierni zdążający do kościoła poznawali go wprawdzie, ale nie zwracali na niego uwagi. Po ostatnim spojrzeniu na Paryż szybko ruszyliśmy z powrotem na lotnisko. O dziewiątej rano zwiedzanie było zakończone. „Marzeniem mego życia było zobaczyć Paryż”, powiedział. „Nie potrafię wprost wyrazić, jaki jestem szczęśliwy, że się ono spełniło”. Przez chwilę było mi go żal: u szczytu jego sukcesów trzy godziny w Paryżu, pierwszy i ostatni raz, dały mu poczucie szczęścia. Podczas objazdu Paryża Hitler zastanawiał się ze swymi adiutantami i pułkownikiem Speidlem nad możliwością urządzenia parady zwycięstwa w tym mieście. Po pewnym namyśle odrzucił jednak ten projekt. Oficjalnie zrobił to ze względu na niebezpieczeństwo nalotów angielskich, później jednak zauważył: „Nie mam ochoty na zwycięskie parady; nie skończyliśmy jeszcze”.

Wieczorem tego samego dnia przyjął mnie ponownie w małej izbie swego chłopskiego domu; siedział samotnie przy stole. Bez ogródek powiedział: „Proszę przygotować rozkaz, w którym zarządzam podjęcie na nowo wszystkich prac budowlanych w Berlinie... Czy Paryż nie był piękny? Ale Berlin musi być o wiele piękniejszy! Dawniej często zastanawiałem się, czyby nie zburzyć Paryża”, kontynuował tak spokojnie, jak gdyby chodziło o najoczywistszą rzecz na świecie, „ale jak skończymy wszystko w Berlinie, to Paryż będzie tylko jego cieniem. Dlaczegoż więc mielibyśmy go burzyć?” To powiedziawszy, odprawił mnie.

Chociaż byłem przyzwyczajony do dyktowanych impulsami uwag Hitlera, jednak tak bezceremonialne ujawnienie się jego wandalizmu przeraziło mnie. Już przy okazji zburzenia Warszawy reagował zupełnie podobnie. Wyraził wówczas zamiar niedopuszczenia do odbudowy tego miasta, aby pozbawić naród polski centrum politycznego i kulturalnego. Warszawa jednak została zniszczona na skutek działań wojennych, teraz zaś okazało się, że Hitler nosił się nawet z myślą świadomej całkowitej zagłady miasta, które on sam określał jako najpiękniejsze w Europie, ze wszystkimi jego bezcennymi zabytkami i dziełami sztuki. W ciągu kilku dni dostrzegłem niektóre ze sprzeczności charakteryzujących osobowość Hitlera, choć nie pojmowałem ich wówczas w pełni. Jednoczył on w sobie najjaskrawsze przeciwieństwa: od człowieka świadomego swej odpowiedzialności do pozbawionego skrupułów i wrogiego ludziom nihilisty.

Wspaniałe zwycięstwa Hitlera, nieoczekiwana perspektywa podjęcia wkrótce na nowo moich projektów budowlanych, a w końcu jego rezygnacja z niszczycielskich zamiarów zatarły jednak efekt tego przeżycia. Teraz ode mnie zależało przelicytowanie Paryża. Jeszcze tego samego dnia Hitler przyznał dziełu mego życia największy priorytet. Rozkazał nadać Berlinowi „w jak najkrótszym czasie wygląd, na jaki zasługuje z racji wielkości zwycięstwa”, i oświadczył: „W realizacji tego obecnie najważniejszego przedsięwzięcia budowlanego w Rzeszy widzę najistotniejszy wkład w ostateczne zapewnienie naszego zwycięstwa”. Własnoręcznie antydatował ten dekret na 25 czerwca 1940 roku, dzień zawieszenia broni i swego największego triumfu.

Hitler spacerował z Jodlem i Keitlem tam i z powrotem po zwirowanej drodze przed swoim domem, gdy adiutant zameldował mu, że chcę się pożegnać. Przywołano mnie. Gdy zbliżałem się do grupy, usłyszałem, jak Hitler kontynuując rozmowę powiedział: „Pokazaliśmy, co potrafimy. Niech mi pan wierzy, Keitel, że w porównaniu z tym

kampania przeciwko Rosji byłaby dziecinną zabawą". Pożegnał się ze mną promieniejąc dobrym humorem, przekazał najserdeczniejsze pozdrowienia dla żony i zapowiedział, że wkrótce omówi ze mną nowe plany i projekty.

1 „Volkischer Beobachter" doniósł 23 sierpnia 1939 r.: „We wtorek rano (22.8) począwszy od godz. 2.45 w obserwatorium astronomicznym Sonnenberg obserwowano na północno-zachodniej i północnej części nieba bardzo silną zorzę polarną".

2 Uwagę tę przekazał mi adiutant Hitlera von Below.

3 Faktem jest, że dziewięć miesięcy wcześniej kazałem umieścić na gmachu Kancelarii Rzeszy półreliefy, przedstawiające sceny z mitu o Heraklesie.

4 Cytowane z pamięci. Podobną uwagę, odnoszącą się do przeszłości, zrobił Hitler w 1942 r., gdy byłem ministrem zbrojeń.

5 23 listopada 1937 r., podczas uroczystości otwarcia zamku Sonthofen, wybuchła niesłychana owacja, gdy Hitler w trakcie spokojnie wygłaszanego przemówienia nieoczekiwanie, bez zapowiedzi, zawołał do zgromadzonych kreisleiterów partii: „Naszym wrogiem numer jeden jest Anglia!" Zaskoczyła mnie wówczas zarówno owa jednomyślność i spontaniczność owacji, jak i wypad Hitlera przeciwko Anglii; sądziłem, że w jego marzeniach wciąż jeszcze odgrywa ona czołową rolę.

6 Jeszcze 26 czerwca 1944 r. Hitler w przemówieniu do przemysłowców, wygłoszonym w Obersalzbergu, powiedział, że nie zamierza „powtarzać błędów z roku 1899 ani z 1905 i 1912, to znaczy czekać w nadziei, że stanie się cud i że pewnego dnia osiągnie się cel bez tego starcia".

7 Por. uwagę Hitlera skierowaną do Hermanna Rauschninga, że jeśli nie uda się wygrać nadchodzącej wojny, to przywódcy narodowosocjalistyczni będą woleli pociągnąć za sobą w otchłań cały kontynent. H. R a u s c h n i n g , *Gesprache mit Hitler*, Zurich Wien 1945.

8 N. H e n d e r s o n , *Failure of a mission* (1940): „Odniosłem wrażenie, że naród niemiecki w swej masie, te drugie Niemcy, był przerażony ideą tej wojny, którą mu narzucono. Mogę tylko powiedzieć, że powszechne nastroje w Berlinie były niezwykle ponure i pełne depresji".

Rozdział 13

NADMIAR

Już w czasie opracowywania planów kampanii rosyjskiej Hitler zastanawiał się, w jaki sposób i w jakiej oprawie odbędą się parady zwycięstwa w roku 1950, gdy będzie już gotowa wspaniała główna ulica i wielki łuk triumfalny¹. A przecież w czasie gdy roił o nowych wojnach, nowych zwycięstwach i uroczystościach, doznał jednej z największych klęsk w swojej karierze. Trzy dni po rozmowie, w toku której przedstawiał mi swoje plany na przyszłość, poproszono, abym przyjechał do Obersalzbergu ze szkicami budowlanymi. W hallu Berghofu czekali bladzi i zdenerwowani Leitgen i Pietsch, dwaj adiutanci Hessa. Poprosili mnie, abym wstrzymał się trochę z rozmową, gdyż mają do przekazania fuhrerowi osobisty list Hessa. W tym momencie Hitler zszedł z góry; jednego z adiutantów wezwano do hallu pomieszczeń prywatnych. Przerzucając jeszcze swoje szkice, usłyszałem nagle nieartykułowany, niemal zwierzęcy wrzask. Potem Hitler ryknął: „Dać mi tu Bormanna! Gdzie jest Bormann?!“ Bormann musiał jak najszybciej nawiązać kontakt z Goringiem, Ribbentropem, Goebbelsem i Himmlerem. Wszystkich prywatnych gości poproszono o udanie się na górne piętro. Dopiero po wielu godzinach dowiedzieliśmy się, co się stało: zastępca Hitlera poleciał do wrogiego kraju — Anglii.

Na pozór Hitler szybko odzyskał zwykłą formę. Martwił się jedynie, że Churchill mógłby wykorzystać ten wypadek w celu wywołania u sojuszników Niemiec wrażenia, iż chodziło tu o balon próbny co do możliwości zawarcia pokoju: „Któż mi uwierzy, że Hess nie poleciał do Anglii w moim imieniu, że to wszystko nie jest ukartowaną grą za plecami moich sojuszników?“ Stwierdzał nie bez niepokoju, że mogłoby to nawet wpłynąć na zmianę polityki Japonii. Od szefa Luftwaffe do spraw technicznych, słynnego pilota wojskowego Ernsta Udet, Hitler

domagał się informacji, czy dwusilnikowa maszyna, którą posłużył się Hess, mogła dolecieć do Szkocji i jakie warunki atmosferyczne panowały na trasie lotu. W krótkim czasie Udet poinformował telefonicznie, Hessowi nie mogło się udać już choćby ze względów nawigacyjnych; wiatry boczne prawdopodobnie zepchną go w bok od lądu, ominie Anglię i poleci w pustkę. Hitler momentalnie znów nabrał nadziei: „Żeby się tak utopił w Morzu Północnym! Zniknąłby wtedy bez śladu, a my mielibyśmy czas na znalezienie jakiegoś nieszkodliwego wyjaśnienia”. Ale po kilku godzinach ogarnęły go wątpliwości i, chcąc w każdym razie uprzedzić Anglików, zdecydował, aby podać przez radio, że Hess zwariował. Obu adiutantów jednak uwięziono, jak niegdyś zwiastunów złych wieści na dworach despotycznych władców.

że

W Berghofie zapanował ożywiony ruch. Oprócz Goringa, Goebbelsa i Ribbentropa pojawili się Ley, gauleiterzy i inni przywódcy partyjni. Ley, jako kierownik organizacyjny partii, zgłosił gotowość przejęcia zadań Hessa, co z organizacyjnego punktu widzenia stanowiło niewątpliwie słuszne rozwiązanie. Bormann jednak pokazał wtedy po raz pierwszy, jaki wpływ miał już na Hitlera. Bez trudu udało mu się zniweczyć zamiary Leya i tym samym odnieść niezaprzeczalne zwycięstwo w tej aferze. Churchill wyraził wówczas pogląd, że ten lot ujawnił robaka w jabłku Rzeszy. Nawet się nie domyślał, jak dokładnie określenie to pasowało do następcy Hessa.

Od tej pory w otoczeniu Hitlera rzadko kiedy wspomniano Hessa. Tylko Bormann długo jeszcze się nim zajmował. Gorliwie badał życie swego poprzednika i prześladował jego żonę ordynarnymi szykanami. Ewa Braun wstawiała się za nią u Hitlera, zresztą nadaremnie, a następnie pomagała jej za jego plecami. W kilka tygodni później usłyszałem od mojego lekarza, profesora Chaoula, że ojciec Hessa jest umierający; posłałem mu bukiet kwiatów, nie podając jednak swego nazwiska.

Sądziłem wówczas, że Hessa pchnęła do tego rozpaczliwego kroku ambicja Bormanna. Hess, równie ambitny, widział, że coraz bardziej odsuwany jest od fuhrera. Hitler powiedział mi na przykład, gdzieś w roku 1940, po wielogodzinnej rozmowie z Hessem: „Kiedy rozmawiam z Goringiem, to tak, jakbym wziął kąpiel w żelazistym źródle, czuję się odświeżony. Marszałek Rzeszy przedstawia problemy w sposób porywający. Natomiast każda rozmowa z Hessem to męczący wysiłek. Przychodzi zawsze z nieprzyjemnymi sprawami i nigdy nie chce ustąpić”. Swoim lotem do Anglii Hess, po tylu latach spędzonych na drugim planie, prawdopodobnie próbował wywołać sensację i uzyskać

sukces; nie miał bowiem cech koniecznych do utrzymywania się na powierzchni bagna intryg i walk o władzę. Był zbyt wrażliwy, zbyt szczery, zbyt chwiejny i często przyznawał rację wszystkim stronom po kolei. W pełni reprezentował typ większości wysokich dygnitarzy partyjnych, którym trudno przychodziło utrzymywanie się na gruncie rzeczywistości.

Hitler przypisywał odpowiedzialność za to przedsięwzięcie zgubnemu wpływowi profesora Haushofera. W dwadzieścia pięć lat później w więzieniu w Spandau Hess zapewnił mnie z całą powagą, że idea tą natchnęły go we śnie nadziemskie siły. Nie chciał stanąć w opozycji do Hitlera ani choćby tylko przyczynić mu kłopotów:

„Gwarantujemy Anglii, że pozostanie imperium światowym, za co ona daje nam zupełnie wolną rękę w Europie...” - oto misja, z jaką udał się do Wielkiej Brytanii, ale nie miał możliwości jej wypełnić. Było to zresztą jedno ze stałych sformułowań Hitlera przed wojną, a niekiedy również jeszcze w czasie wojny.

Jeśli moja ocena jest trafna, to Hitler nigdy nie przeszedł do porządku nad "złamaniem wiary" przez swego zastępcę. Jeszcze w jakiś czas po zamachu z 20 lipca 1944 roku stwierdził przy okazji jednej ze swych fantastycznie fałszywych ocen sytuacji, że do jego warunków pokojowych należy wydanie „zdrajcy”. Musi wisieć. Hess, gdy mu później o tym opowiadałem, rzekł: „Pogodziłby się ze mną. Z całą pewnością! I czy nie sądzi pan, że w 1945 roku, kiedy wszystko się kończyło, nieraz sobie myślał: Hess miał chyba rację?”

Hitler nie tylko żądał, aby mimo wojny z całą energią kontynuować budowy w Berlinie. Pod wpływem gauleiterów rozszerzał również niepomiarowo liczbę miast, którym miano nadać nowy kształt. Początkowo były to tylko Berlin, Norymberga, Monachium i Linz, obecnie osobistymi dekretemi ogłosił dalsze dwadzieścia siedem miast, wśród nich Hanower, Augsburg, Bremę i Weimar, jako tak zwane „miasta, którym nada się nowy kształt”². Ani mnie, ani nikogo innego nie pytano o celowość takich decyzji, przysyłano mi tylko kopię dekretu, którego wydanie Hitler nieformalnie zarządzał po każdej naradzie. Według moich ówczesnych szacunków chodziło wtedy, jak pisałem do Bormanna 26 listopada 1940 roku, przede wszystkim o koszty budowlane w granicach od 22 do 25 miliardów marek w związku z zamierzonymi budowlami partyjnymi w miastach, które miały być na nowo ukształtowane.

Te żądania zagrażały moim terminom. Początkowo starałem się, aby Hitler wydał dekret, oddający pod mój zarząd wszystkie

zamierzenia budowlane w Rzeszy. Kiedy jednak zamiar ten rozbił się o Bormanna, oświadczyłem Hitlerowi 17 stycznia 1941 roku, po długiej chorobie, która dała mi czas na przemyślenie niektórych problemów, że byłoby lepiej, gdybym skoncentrował się tylko na powierzonych mi budowach w Norymberdze i Berlinie. Hitler momentalnie się zgodził: „Ma pan rację. Szkoda, żeby rozpraszał się pan na sprawy ogólne. W razie potrzeby może pan oświadczyć w moim imieniu, że ja, fuhrer, nie życzę sobie, aby angażowano pana do innych spraw, nie może pan bowiem zbyt często się odrywać od pańskich właściwych zadań artystycznych”³.

Wykorzystałem w pełni to upoważnienie i już w następnych dniach złożyłem wszystkie moje urzędy partyjne. Mogło to być - o ile trafnie oceniam motywy, jakimi się wówczas powodowałem - wymierzone również przeciw Bormannowi, który od samego początku miał do mnie negatywny stosunek; nie bałem się jednak, bo Hitler wielokrotnie przecież oświadczał, że jestem niezastąpiony.

Od czasu do czasu zdarzały mi się jednak potknięcia i Bormann, z pewnością ku swemu zadowoleniu, udzielał mi z kwatery głównej ostrej nagany, jak na przykład wtedy, gdy uzgodniłem z ewangelicką i katolicką administracją kościelną lokalizację kościołów w nowych dzielnicach Berlina⁴; stwierdził wówczas krótko i węzłowato, że kościołów nie będzie się budować.

Gdy Hitler swoim dekretem z 25 czerwca 1940 roku o „zapewnieniu zwycięstwa” zarządził niezwłoczne podjęcie z powrotem prac budowlanych w Berlinie i Norymberdze, w kilka dni później poinformowałem ministra Rzeszy, dr. Lammersa, że „nie zamierzam na podstawie tego dekretu fuhrera już teraz, podczas wojny, zaczynać... praktycznie od nowa wznosić Berlina”. Hitler nie zgodził się jednak na tę interpretację i rozkazał natychmiast kontynuować te prace budowlane, chociaż opinia publiczna była im przeciwna. Pod jego naciskiem zdecydowano, że mimo wojny prace budowlane w Berlinie i Norymberdze zostaną zakończone w ustalonych pierwotnie terminach, a więc najpóźniej do 1950 roku. Na jego żądanie opracowałem „natychmiastowy program fuhrera”, po czym - w połowie kwietnia 1941 roku - Goring przydzielił mi potrzebne do tego żelazo w ilości 84 tysięcy ton rocznie. Dla zmylenia społeczeństwa cały ten program realizowany był jako „program budowy dróg wodnych i kolei w Berlinie na potrzeby wojny”. 18 kwietnia omawiałem z Hitlerem ustalone dzięki tym

posunięciu terminy oddania wielkiej hali, siedziby Naczelnego powództwa Wehrmachtu, Kancelarii Rzeszy, gmachu fuhrera; krótko mówiąc, centrum jego władzy, skupionego wokół „placu Adolfa Hitlera”. Na szybkiej realizacji tego planu, mimo wojny, niesłuchanie mu zależało. Jednocześnie utworzono spółkę do prowadzenia tych budów, do której przystąpiło siedem najlepszych niemieckich firm budowlanych.

Mimo zbliżającej się kampanii przeciwko Związkowi Radzieckiemu Hitler, z właściwym sobie uporem, kontynuował również osobiście selekcję obrazów do galerii w Linzu. Rozesłał swoich handlarzy dziełami sztuki na tereny okupowane, aby tam spenetrowali rynek; wywołał w ten sposób z miejsca wojnę o obrazy między swoimi handlarzami a handlarzami Goringa. Wojna ta zaczęła przybierać coraz ostrzejsze formy, aż w końcu Hitler przywołał do porządku swego marszałka, przywracając tym samym raz na zawsze hierarchię również w szeregach handlarzy dziełami sztuki.

W 1941 roku w Obersalzbergu pojawiły się grube, oprawne w brązową skórę katalogi, zawierające reprodukcje setek obrazów, które Hitler osobiście rozdzielał między swoje ulubione galerie w Linzu oraz Królewcu, Wrocławiu i innych miastach na wschodzie. Podczas procesu w Norymberdze znów ujrzałem owe brązowe tomy - jako dowody oskarżenia; obrazy te były w przeważającej części własnością Żydów i zostały zrabowane przez paryską placówkę Rosenberga.

Hitler oszczędził słynne francuskie państwowe zbiory sztuki. Nie było to jednak tak bezinteresowne, jakby się wydawało, ponieważ przy jakiejś okazji stwierdził, że na mocy traktatu pokojowego Niemcy będą musiały otrzymać najcenniejsze eksponaty z Luwru w ramach reparacji wojennych. Hitler nie wykorzystał co prawda swego autorytetu do celów prywatnych. Spośród obrazów zdobytych lub zarekwirowanych na terenach okupowanych nie zatrzymał dla siebie ani jednego.

Dla Goringa natomiast każdy sposób był dobry, aby powiększyć - właśnie podczas wojny - własne zbiory dzieł sztuki. W salach i pokojach Karinhallu wisiały w trzech i czterech rzędach, jedno nad drugim, wartościowe obrazy. Gdy zabrakło miejsca na ścianach, Goring kazał umieścić serię obrazów na suficie wielkiego hallu wejściowego. Nawet na baldachimie swego okazałego łoża polecił ulokować akt kobiecy naturalnej wielkości, przedstawiający Europę. Trudnił się także sam handlem obrazami. Ściany jednego z wielkich pokoi na pierwszym piętrze jego posiadłości pokryte były obrazami; pochodziły

one ze zbiorów znanego holenderskiego handlarza dziełami sztuki, który po zajęciu Holandii musiał mu je wszystkie odstąpić za pieniądze. Goring opowiadał mi ze swym dziecinnym śmiechem, że sprzedawał te obrazy gauleiterom w czasie wojny za wielokrotnie wyższą sumę, przy czym pobierał jeszcze dodatkową opłatę za renomę, jaką w jego oczach miał obraz „ze słynnych zbiorów Goringa”.

Pewnego dnia, chyba w 1943 roku, Francuzi zwrócili moją uwagę na fakt, że Góring domaga się od rządu Vichy, aby mu wydano jeden ze słynnych obrazów z Luwru w zamian za jakieś bezwartościowe malowidła z jego zbiorów. Ponieważ wiedziałem, że Hitler nie pozwolił naruszać zbiorów państwowych w Luwrze, mogłem zapewnić Francuza, który był pośrednikiem w tej sprawie, iż nie musi ulegać naciskowi Góringa i w razie potrzeby może zwrócić się do mnie; w rezultacie Góring zrezygnował. W niefrasobliwym nastroju pokazał mi natomiast pewnego dnia w Karinhallu słynny ołtarz z Vipiteno*, który podarował mu Mussolini po porozumieniu w sprawie Tyrolu Południowego zimą 1940 roku. Hitler często wściekał się z powodu praktyk stosowanych przez „drugą osobę w państwie” przy gromadzeniu cennych dzieł sztuki, nie śmiał jednak żądać od Goringa wyjaśnień.

Pod koniec wojny Goring zaprosił mojego przyjaciela Brekera i mnie na obiad do Karinhallu, co było rzadkim wyjątkiem. Obiad nie był wystawny; zdziwiło mnie tylko, że na zakończenie posiłku nalano nam zwykłego koniaku, kamerdyner natomiast z pewną ceremonią napełnił kieliszek Goringa z omszałej starej butli. „To jest zarezerwowane wyłącznie dla mnie”, powiedział Goring bez cienia zażenowania i zaczął się rozwódzić nad tym, w którym z francuskich zamków zdobyto ten rarytas. Później w znakomitym humorze pokazał nam jeszcze skarby, jakie zgromadził w piwnicach Karinhallu. Znajdowały się wśród nich najcenniejsze zbiory starożytności z muzeum w Neapolu, zabrane przed ewakuacją w końcu 1943 roku. Z taką samą dumą posiadacza otwierał szafy, aby pozwolić nam spojrzeć na skarby w postaci francuskich mydeł i perfum, których wystarczyłoby na całe lata. Na zakończenie tego pokazu kazał przynieść swą kolekcję diamentów i kamieni szlachetnych, wartą oczywiście wieleset tysięcy marek.

Hitler przestał sam kupować obrazy, kiedy mianował swoim pełnomocnikiem do spraw rozbudowy galerii obrazów w Linzu dr.

Hansa Possego, dyrektora Galerii Drezdeńskiej. Przedtem osobiście

* W oryginale: Sterzinger Altar. Vipiteno - niem. Sterzing, miasto w Tyrolu Pd. (*przyp. tłum.*)

wybierał z katalogów licytacyjnych obiekty do zbiorów. Padał przy tym nieraz ofiarą swojej zasady, by każde zadanie powierzać dwóm lub trzem konkurującym ze sobą ludziom. Polecał niekiedy oddzielnie fotografowi Hofmannowi i któremuś ze swych handlarzy dziełami sztuki, aby na licytacji oferowali ceny bez ograniczeń. Wskutek tego obaj pełnomocnicy Hitlera przelicytowywali się niestrudzenie jeszcze wtedy, gdy wszyscy inni konkurenci już odpadli; skończyło się to dopiero wówczas, gdy pewnego dnia berliński licytator Hans Lange zwrócił moją uwagę na to dziwactwo.

Niedługo po nominacji Possego Hitler pokazał mu swoje dotychczasowe nabytki, łącznie z kolekcją obrazów Grutznera. Pokaz odbył się w schronie przeciwlotniczym Hitlera, gdzie przechowywał on swoje skarby. Ustawiono fotele dla Possego, fuhrera oraz dla mnie i ordynansi z SS przynosili obraz po obrazie. Hitler nieustannie wychwalał swoje ulubione dzieła, na Possem jednak nie zrobiło wrażenia ani jego stanowisko, ani zniewalająca uprzejmość. Rzeczowo i bezapelacyjnie odrzucił wiele spośród kosztownych nabytków. „To jest prawie bez wartości”, mówił, albo: „To nie odpowiada randze galerii, którą sobie wyobrażam”. Jak zwykle Hitler w wypadkach, kiedy miał do czynienia z fachowcem, przyjął tę krytykę bez zastrzeżeń. Posse odrzucił bądź co bądź większość obrazów ukochanej przez niego szkoły monachijskiej.

W połowie listopada 1940 roku w Berlinie zjawiał się Mołotow. Podczas posiłku w zwykłym gronie Hitler bawił się złośliwą opowieścią swojego lekarza, dr. Karla Brandta, według którego świta radzieckiego premiera i ministra spraw zagranicznych w obawie przed bakteriami kazała wszystkie talerze i sztuce przed użyciem wygotować.

W salonie Berghofu stał wielki globus, na którym w parę miesięcy później zauważyłem ślad owych, zakończonych negatywnym wynikiem rozmów. Jeden z adiutantów z Wehrmachtu wymownie wskazał na prostą kreskę, narysowaną ołówkiem: linię z północy na południe, wzdłuż Uralu. Hitler przeciągnął ją dla wytyczenia przyszłej granicy między swoją strefą interesów a strefą wpływów japońskich. 21 czerwca 1941 roku, w przeddzień ataku na Związek Radziecki, Hitler wezwał mnie po wspólnie zjedzonym posiłku do swego berlińskiego salonu i poprosił, abym zagrał parę taktów z *Preludiów* Liszta: „W najbliższym czasie będzie pan to często słyszał, gdyż będzie to nasza zwycięska fanfara w kampanii rosyjskiej. Funk ją wybrał. Jak się panu podoba?...⁵ Będziemy sprowadzać stamtąd tyle granitu i marmuru, ile tylko będziemy chcieli”.

Hitler zupełnie otwarcie okazywał teraz swą megalomanię; to, co już od lat zapowiadało się w jego budowlach, miało obecnie zostać przypieczętowane nową wojną albo, jak mówił, „krwią”. Arystoteles

pisał w swej *Polityce*: „Prawdą jest, że największe nieprawości popełniają ci, co dążą do nadmiaru, a nie ci, których przyciska bieda”.

Na pięćdziesiąte urodziny Ribbentropa w 1943 roku kilku jego bliższych współpracowników podarowało mu kosztowną, wysadzaną półszlachetnymi kamieniami kasetę, do której włożono fotokopie wszystkich układów i umów zawartych przez ministra spraw zagranicznych. „Znaleźliśmy się w dużym kłopotcie, chcąc napelnić kasetę”, powiedział przy kolacji ambasador Hewel, łącznik Ribbentropa przy Hitlerze. „Pozostało jeszcze tylko parę układów, których dotychczas nie zerwaliśmy”.

Hitler popłakał się ze śmiechu.

Podobnie jak na początku wojny, teraz znów zaczęła mnie gnębić myśl, że w wyraźnie rozstrzygającym stadium wojny światowej realizuje się, nie oszczędzając środków, tak olbrzymie przedsięwzięcia budowlane. 30 lipca 1941 roku, a więc jeszcze w okresie, gdy armia niemiecka gwałtownie parła w Rosji do przodu, zaproponowałem dr. Todtowi, „generalnemu pełnomocnikowi do spraw budownictwa niemieckiego”, aby wstrzymać wszystkie budowy, które nie są nieodzowne lub ważne dla celów wojennych⁶. Ponieważ jednak sytuacja na froncie była pomyślna, Todt sądził, iż można tę kwestię odłożyć jeszcze na parę tygodni. Okazało się, że i tak była nieaktualna, bo moje żądanie znów nie spotkało się z żadnym oddźwiękiem ze strony Hitlera. Nie godził się on na żadne ograniczenia i nie pozwalał korzystać do celów zbrojeniowych ani z materiałów, ani z robotników prowadzących zarówno jego prywatne prace budowlane, jak i jego ulubione przedsięwzięcia: budowę autostrad, gmachów partyjnych i projekty berlińskie.

W połowie września 1941 roku, gdy tempo kampanii rosyjskiej było już wyraźnie słabsze, niż to pierwotnie przewidywano, na polecenie Hitlera znacznie rozszerzono umowy ze Szwecją, Norwegią i Finlandią o dostawę granitu na moje wielkie budowy w Berlinie i Norymberdze. Czołowe norweskie, fińskie, włoskie, belgijskie, szwedzkie i holenderskie firmy kamieniarskie otrzymały zlecenia na łączną sumę 30 milionów RM⁷. Aby umożliwić transport tych olbrzymich ilości granitu do Berlina i Norymbergi, utworzyliśmy 4 czerwca 1941 roku własne przedsiębiorstwo armatorskie oraz własne stocznie w Wismarze i Berlinie, które miały zbudować tysiąc barek o ładowności 500 ton każda.

Na moją propozycję wstrzymania prac budowlanych nie związanych z wojną nie godzono się nawet wtedy, gdy widać już było, że zbliża się katastrofa zimy 1941 roku. 29 listopada Hitler powiedział mi bez ogródek: „Rozpocznę budowy jeszcze w czasie wojny. Wojna nie powstrzyma mnie od realizacji moich planów”⁸.

Hitler nie tylko nalegał na realizowanie swych zamierzeń

budowlanych; po początkowych sukcesach w Rosji zwiększył również liczbę czołgów, które ustawione na granitowych cokołach miały uzupełniać rzeźbiarski wystrój ulic i nadawać im militarne piętno. 20 sierpnia 1941 roku na polecenie Hitlera poinformowałem zdumionego admirała Loreya, szefa arsenału berlińskiego, że istnieje zamiar ustawienia między Sudbahnhofem a łukiem triumfalnym (budowa „T”) około trzydziestu zdobycznych ciężkich dział. Wyjaśniłem też Loreyowi, że Hitler chce ustawić takie działa również w innych punktach głównej ulicy i osi południowej, będzie więc potrzeba około dwustu sztuk najcięższego kalibru. Natomiast przed ważnymi gmachami publicznymi winny stanąć szczególnie duże czołgi.

Hitler, jak się wydawało, wciąż jeszcze nie miał jasności co do tego, jak ma wyglądać państwowoprawna konstrukcja jego „Rzeszy germańskiej narodu niemieckiego”; jeden punkt wszakże był już pewny: w bezpośredniej bliskości norweskiego miasta Trondheim, ze względu na korzystne położenie strategiczne, powstanie największa baza marynarki niemieckiej, a obok stoczni i doków - miasto dla 250 tysięcy Niemców. Całość miała być wcielona do Rzeszy niemieckiej. Hitler powierzył mi opracowanie planów, 1 maja 1941 roku otrzymałem od wiceadmirała Fuchsa z Naczelnego Dowództwa Marynarki Wojennej niezbędne dane dotyczące powierzchni, jaką zajmie wielka stocznia państwowa. 21 czerwca w Kancelarii Rzeszy razem z admirałem Raederem zreferowaliśmy Hitlerowi ten projekt. Sprecyzował on nie ustalone do tej pory położenie miasta. Jeszcze w rok później, 13 maja 1942 roku, w czasie pewnej narady na temat zbrojeń poruszył sprawę tej bazy". Na specjalnych mapach dokładnie studiował przypuszczalne najlepsze położenie doku i rozkazał, aby w granitowych skałach wykuć wielką podziemną bazę dla okrętów podwodnych. Ponadto Hitler stał na stanowisku, że do przyszłego systemu baz marynarki trzeba będzie włączyć, z uwagi na korzystne położenie geograficzne, również St. Nazaire i Lorient we Francji oraz brytyjskie wyspy na kanale La Manche. Całkowicie dowolnie rozporządzał bazami, interesami, prawami innych; jego koncepcja mocarstwa światowego nie miała granic.

Do tej samej kategorii należał jego zamiar zakładania niemieckich miast na okupowanych przez nas terenach Związku Radzieckiego. 24 listopada 1941 roku, a więc już podczas katastrofy zimowej, gauleiter Meyer, zastępca ministra Rzeszy do spraw okupowanych terenów wschodnich, Alfreda Rosenberga, zaproponował mi objęcie wydziału „budowy miast". Opracowywałbym plany i budował przewidziane dla niemieckich władz okupacyjnych i instytucji cywilnych izolowane miasta. W końcu stycznia 1942 roku odrzuciłem jednak ostatecznie tę propozycję, obawiałem się bowiem, że taki centralny urząd planowania

miast musiałby w konsekwencji spowodować monotonię w ich wyglądzie. Dlatego też zaproponowałem, by te nowe budowy powierzyć wielkim miastom niemieckim.

Od czasu gdy na początku wojny zacząłem przejmować budowy prowadzone dla dowództwa sił lądowych i sił powietrznych, mój pion budowlany znacznie się rozrósł. Według kryteriów, którymi miałem się posługiwać w kilka miesięcy później, 26 tysięcy robotników skierowanych w końcu 1941 roku do realizacji naszych projektów ważnych dla celów wojennych właściwie się nie liczyło. Wtedy jednak byłem dumny, że mogę choć trochę przyczynić się do dzieła wojny; jednocześnie dawało mi to spokój sumienia, że nie pracuję tylko nad nie związanymi z wojną planami Hitlera. Najważniejszy był program Luftwaffe, oznaczony kryptonimem „Ju-88”; program ten miał umożliwić rozszerzenie produkcji nowego dwusilnikowego bombowca nurkującego dalekiego zasięgu. Trzy wielkie fabryki w Brnie, Grazu i Wiedniu - każda z nich większa od zakładów Volkswagena - zostały zbudowane w ciągu ośmiu miesięcy, przy czym po raz pierwszy zastosowano gotowe elementy betonowe. Od jesieni 1941 roku brak materiałów pędnych zahamował nasze prace. Nawet dla najpilniejszych projektów przydziały ograniczono we wrześniu 1941 do jednej trzeciej, a od 1 stycznia 1942 roku aż do jednej szóstej zapotrzebowania. Typowy przykład, jak bardzo Hitler przeliczył się ze swoimi możliwościami w związku z kampanią rosyjską.

Ponadto powierzono mi usuwanie szkód spowodowanych nalotami w Berlinie oraz budowę schronów przeciwlotniczych. Przygotowywałem się już wówczas, nie wiedząc o tym, do funkcji ministra zbrojeń. Chodziło nie tylko o to, że zyskałem możliwość wglądu na niższym szczeblu w zakłócenia, jakie w toku produkcji powodowały samowolne zmiany planów i priorytetów, ale także o to, że

że

zapoznawałem się w ten sposób z układami sił i szkodliwymi stosunkami w aparacie kierowniczym.

Na przykład uczestniczyłem w pewnym posiedzeniu u Goringa, na którym generał Thomas zgłosił zastrzeżenia przeciwko przesadnym żądaniom kierownictwa pod adresem gospodarki. Goring ryknął na powszechnie szanowanego generała: „Co to pana obchodzi? To moja sprawa, moja! A może to pan jest pełnomocnikiem do spraw planu czteroletniego? Nie ma pan tu nic do gadania, bo regulowanie wszystkich tych spraw fuhrer powierzył tylko mnie”. W tego rodzaju kwestiach spornych generał Thomas nie mógł się spodziewać poparcia od swego szefa, generała broni Keitla, ten bowiem sam był szczęśliwy, jeśli nie dosięgały go ataki Goringa. Z tych przyczyn przemysłany plan

gospodarczy urzędu uzbrojenia w Naczelnym Dowództwie Wehrmachtu

nie został zrealizowany; ale, jak się już wówczas zorientowałem, Goring sam też nic nie przedsięwziął w tych sprawach. Jeśli już w ogóle coś robił, to najczęściej wywoływał gigantyczny bałagan, ponieważ nigdy nie zadawał sobie trudu, żeby dokładnie przemyśleć problemy, i jego decyzje opierały się najczęściej na doraźnych impulsach.

W kilka miesięcy później, 27 czerwca 1941 roku, uczestniczyłem, jako pełnomocnik do spraw budownictwa zbrojeniowego, w konferencji Milcha i Todta. Hitler był już przekonany, że Rosjanie zostali ostatecznie zwyciężeni, dlatego zarządził priorytetową realizację zbrojeń lotniczych, aby przygotować następną akcję - pokonanie Anglii¹⁰. Milch zgodnie ze swoim obowiązkiem nalegał na utrzymanie ustalonego przez Hitlera tempa, co w obliczu sytuacji militarnej wywołało wątpliwości dr. Todta. On bowiem też miał pewne zadanie, polegające na jak najszybszym zwiększaniu zbrojeń na lądzie; brakowało mu jednak dyspozycji Hitlera, przyznających temu zadaniu konieczne priorytety. Pod koniec konferencji Todt następująco dał wyraz swej bezsilności: „Panie feldmarszałku, najlepiej będzie, jeśli mnie pan weźmie do swego ministerstwa i zostanę pańskim pracownikiem”.

Jesienią 1941 roku odwiedziłem zakłady Junkersa w Dessau, aby z dyrektorem generalnym Koppenbergiem skoordynować nasze plany budowlane z planami produkcyjnymi zakładów. Pod koniec rozmowy Koppenberg wziął mnie do osobnego pokoju, zamknął drzwi i pokazał mi grafik, przedstawiający amerykańską produkcję bombowców w najbliższych latach w porównaniu z naszą. Spytałem go, co na te deprymujące liczby porównawcze mówi nasze kierownictwo. „Właśnie o to chodzi, że nie chciało w nie uwierzyć”, powiedział Koppenberg i nie panując nad sobą, rozplakał się. Wkrótce potem odwołano go ze stanowiska dyrektora zakładów Junkersa. Goring zaś, naczelny dowódca uwikłanej w ciężkie walki Luftwaffe, znalazł 23 czerwca 1941 roku, na drugi dzień po agresji na Związek Radziecki, dość czasu, aby w galowym mundurze obejrzeć wraz ze mną naturalnej wielkości makiety swego urzędu marszałka Rzeszy, wystawione w Treptow.

Moja ostatnia podróż artystyczna, po której nastąpiła dwudziestopięcioletnia przerwa, zawiodła mnie do Lizbony, gdzie 8 listopada otwarto wystawę „Nowe budownictwo niemieckie”. Początkowo podróż tę miałem odbyć samolotem Hitlera; kiedy jednak okazało się, że chcą lecieć również niektórzy kompani od kieliszka z otoczenia Hitlera, jak jego adiutant Schaub i fotograf Hofmann, pozbyłem się tego towarzystwa, proponując fuhrerowi, że pojedę swoim samochodem. Zwiedziłem stare miasta, jak Burgos, Segovia, Toledo i Salamanka, zwiedziłem też Eskurial, rozmiarami dający się porównać

tylko z hitlerowskim „pałacem fuhrera”, tyle że zbudowany w innym, bardziej duchowym celu: Filip II otoczył swoje zabudowania pałacowe budynkami klasztoru. Cóż za kontrast w porównaniu z architektonicznymi pomysłami Hitlera: tu niezwykła oszczędność i klarowność, wspaniałe wnętrza o niezrównanie ascetycznej formie, tam przepych i nadmierna reprezentacyjność. Bez wątpienia to niemal melancholijne dzieło architekta Juana de Herrery (1530-1597) bardziej odpowiadało naszemu ówczesnemu poważnemu położeniu niż hitlerowska sztuka programowo triumfalna. W czasie tych godzin samotnych rozważań po raz pierwszy przyszła mi do głowy myśl, że moje ideały architektoniczne zawiodły mnie na błędną drogę.

Z powodu tej podróży nie odwiedziłem paru moich paryskich znajomych, wśród nich Vlamincka, Deraina i Despiau, którzy na moje zaproszenie oglądali makiety naszych berlińskich projektów. Najwyraźniej milcząco przyjęli do wiadomości nasze zamiary i realizacje architektoniczne: kroniki w każdym razie nie przekazały ani słowa o wrażeniu, jakie na nich wywarła wystawa. Poznałem tych ludzi podczas pobytów w Paryżu i wielokrotnie dawałem im zlecenia za pośrednictwem mojej paryskiej placówki. Choć brzmi to dziwnie, mieli oni więcej swobody niż ich niemieccy koledzy. Kiedy bowiem odwiedziłem podczas wojny paryski salon jesienny, ściany były zawieszane obrazami, które w Niemczech zostałyby napiętnowane jako sztuka zdegenerowana. Hitler też słyszał o tej wystawie. Jego reakcja była równie zdumiewająca, co logiczna: „Czy zależy nam na zdrowym duchowo narodzie francuskim? Niech się degeneruje! Tym lepiej dla nas”.

Kiedy znajdowałem się w drodze do Lizbony, na tyłach frontów wschodniego teatru wojny doszło do katastrofy w dziedzinie transportu; organizacja armii niemieckiej nie sprostała rosyjskiej zimie. Ponadto oddziały radzieckie wycofując się zniszczyły dokładnie wszystkie parowozownie, punkty pobierania wody i inne urządzenia techniczne swych kolei. W atmosferze upojenia sukcesami lata i jesieni, gdy wydawało się, że „rosyjski niedźwiedź jest już pokonany”, nikt nie myślał w dostatecznej mierze o odbudowie tych urządzeń, a Hitler nie chciał pojąć, że do pokonania trudności rosyjskiej zimy trzeba przygotować odpowiednio transport również od strony technicznej.

O trudnościach tych słyszałem od wysokich urzędników Kolei Rzeszy, od generałów wojsk lądowych i lotnictwa. Zaproponowałem więc Hitlerowi, że skieruję do odbudowy urządzeń kolejowych, pod nadzorem moich inżynierów, 30 tysięcy spośród podległych mi 65 tysięcy niemieckich robotników budowlanych. Choć trudno to pojąć, Hitler wyraził zgodę i wydał odpowiednie dyspozycje dopiero po dwutygodniowej zwłoce, 27 grudnia 1941 roku. Zamiast już na początku

listopada domagać się takiego rozwiązania, mimo katastrofy nalegał, by jego triumfalne budowle zostały ukończone w zaplanowanych terminach, zdecydowany nie kapitulować przed rzeczywistością.

Tego samego dnia spotkałem się z dr. Todtem w jego skromnym domu nad Hintersee koło Berchtesgaden. Jako pole działania przydzielono mi całą Ukrainę, podczas gdy kierownictwo i robotnicy pracujący przy lekkomyślnie prowadzonej nadal budowie autostrad przejęli tereny Rosji środkowej i północnej. Todt powrócił właśnie z dłuższej podróży inspekcyjnej na wschodni teatr wojny; widział unieruchomione pociągi sanitarne, w których zamarli ranni, był świadkiem okropnej sytuacji oddziałów w odciętych od świata przez śniegi i mróz wsiach i miasteczkach, widział niezadowolenie i zwątpienie wśród niemieckich żołnierzy. Przygnębiony i pesymistycznie nastrojony stwierdził, że nie tylko fizycznie nie jesteśmy zdolni do znoszenia takich trudów, ale że i duchowo musimy ponieść w Rosji klęskę. „Jest to walka” mówił „w której przewaga będzie po stronie ludzi prymitywnych, zdolnych do przetrwania wszystkiego, również niekorzystnych warunków atmosferycznych. My jesteśmy zbyt wrażliwi i musimy ulec. W końcu zwyciężą Rosjanie i Japończycy”. W czasach pokoju poglądy takie, zapewne pod wpływem Spenglera, wygłaszał również Hitler, mówiąc o biologicznej wyższości „Sybiraków i Rosjan”. Kiedy jednak rozpoczęła się kampania na Wschodzie, odsunął na bok własny argument, ponieważ był sprzeczny z jego zamierzeniami.

Przemożna żądza budowania, jaka ogarnęła Hitlera, jego pełne euforii upieranie się przy osobistych upodobaniach spowodowały wśród jego paladynów, pałających chęcią naśladownictwa, całą falę podobnych projektów i skłoniły wielu spośród nich do przyjęcia stylu życia zwycięzców. Pod tym względem - stwierdziłem to już wówczas - system hitlerowski wykazywał w jednym decydującym punkcie niższość w porównaniu z ustrojem demokratycznym. Nikt bowiem nie skrytykował publicznie tej niewłaściwej sytuacji, nikt nie żądał usunięcia zła. 29 marca 1945 roku, w ostatnim liście do Hitlera, przypomniałem mu o tych sprawach: „Ścisnęło mi się serce, kiedy w dniach zwycięstw 1940 roku widziałem, jak najszersze kręgi naszego kierownictwa traciły postawę moralną. Wtedy powinniśmy byli zdać egzamin przed losem postępując przyzwoicie i zachowując umiar”.

Te słowa, choć napisane w pięć lat później, potwierdzały, że dostrzegałem wówczas błędy, cierpiałem z powodu anomalii, krytykowałem, że dręczyły mnie również wątpliwości i sceptycyzm; wszystko to jednak tylko z obawy, że Hitler może przegrać wojnę.

W połowie roku 1941 Goring zwiedził naszą wystawę makiet budowlanych na placu Paryskim. W chwili łaskawości powiedział mi coś

niezwykłego: „Oświadczyłem fuhrerowi, że uważam pana za największego po nim człowieka, jakiego mają Niemcy”. Uznał jednak za konieczne ograniczyć tę uwagę - on bowiem był drugi w hierarchii: „Moim zdaniem jest pan w ogóle największym architektem. Powiedziałbym, że równie wysoko jak zdolności polityczne i wojskowe fuhrera cenię pańską twórczość architektoniczną”.

Po dziewięciu latach pracy w charakterze architekta Hitlera dorobiłem się nie kwestionowanej i podziwianej pozycji. W ciągu następnych trzech lat stanęły przede mną zupełnie inne zadania, które sprawiły, że przez pewien czas istotnie byłem najważniejszą po Hitlerze osobą.

1 *Kronika* z 1941 r.: „12 maja pan Speer odbył w Obersalzbergu, w obecności ułkownika Schmudta, konferencję z fuhrerem na temat przyszłych defilad na Grosse Strasse. Fuhrer już wcześniej planował, że defilady odbierać się będzie na placu leżącym połowie Grosse Strasse, w pobliżu ministerstw. Wojska wracające z kampanii powinny wkraczać w kierunku z południa na północ, przez budowlę „T”.

2 Według mego listu do skarbnika NSDAP na Rzeszę z 19 lutego 1941 r.: Auesburg, Bayreuth, Brema, Wrocław, Gdańsk, Drezno, Dusseldorf, Graz, Hamburg, Hanower, Heidelberg, Innsbruck, Kolonia, Królewiec, Kłajpeda, Monastyr, Oldenburg, Poznań, Praga, Saarbrücken, Salzburg, Szczecin, Waldbrol, Weimar, Wolfsburg, Wurzburg, Wuppertal.

3 Z notatki o mojej konferencji z Hitlerem 17 stycznia 1941 r. W piśmie do Bormanna z 20 stycznia 1941 r. złożyłem „urząd pełnomocnika do spraw budownictwa” w jego sztabie. Listem z 30 stycznia 1941 r. do dr. Leya złożyłem urząd do spraw Piękna Pracy i nadzór nad wszystkimi robotami budowlanymi Niemieckiego Frontu Pracy. Według *Kroniki* nadzór nad wznoszeniem domów partii powierzono skarbnikowi partii na Rzeszę, M. X. Schwarzowi. Ponadto zrezygnowałem z „oceny literatury na temat budownictwa”, z wyboru zaufanych architektów Narodowosocjalistycznej Opieki Społecznej (NSV) w okręgach oraz poinformowałem reichsleitiera Rosenberga, że w wydawanej razem z nim publikacji *Baukunst im Deutschen Reich* w przyszłości nie będzie się używać określenia „pełnomocnik NSDAP do spraw budownictwa”.

4 Chodziło tu jedynie o naszą obietnicę, że zaproponujemy kościołom zastępcze parcele budowlane w miejsce budynków kościelnych, leżących w rejonach śródmieścia przeznaczonych do rozbiórki.

5 Dla każdej z dotychczasowych kampanii Hitler osobiście wybierał inną fanfarę, którą poprzedzano w radiu doniesienia o zwycięstwach.

6 Moje żądania pod adresem dr. Todta, aby przerwać budowy, oraz jego odpowiedź odnotowane są w *Kronice*.

7 Dane te pochodzą ze sprawozdania, zamykającego *Kronikę* 1941 r. Według dalszych informacji, z końca marca 1941 i początku września 1941 r., w Norwegii ulokowano zlecenia na 2 400 tys. m³ granitu surowego i 9 270 tys. m³ granitu obrobionego, w Szwecji na 4210 tys. m³ granitu surowego i 5 300 tys. m³ granitu obrobionego. Sama tylko Szwecja otrzymała zlecenia na dostawę granitu wartości 2 mln marek rocznie, z gwarancją na dziesięć lat.

8 Ta wypowiedź Hitlera pochodzi z *Kroniki* z 29 listopada 1941 r. Również zlecenie dla admirała Loreya zostało dosłownie zacytowane z *Kroniki*.

9 Szczegóły pochodzą z *Kroniki* z 1 maja i 21 czerwca 1941 r. oraz protokołu wystąpienia fuhrera z 13 maja 1942 r., pkt 7. Niedawno odnaleziono listy, które wymieniłem z marynarką wojenną; wynika z nich, że w Trondheim na obszarze około 700 ha miało być zbudowanych 55 tys. mieszkań dla „marynarki i personelu towarzyszącego”.

10 Ten rozkaz Hitlera obowiązywał jeszcze w grudniu 1941 r., choć warunki

wyraźnie się zmieniły. Hitler odwlekał odwoływanie takich rozkazów nie tylko dlatego, że w ogóle lubił zwlekać, ale i z powodów „prestżowych”. Nowy rozkaz, który zgodnie z sytuacją wojenną ponownie przyznawał zbrojeniom wojsk lądowych priorytet przed zbrojeniami lotniczymi, został wydany dopiero 10 stycznia 1942 r.

CZEŚĆ DRUGA

Rozdział 14

START DO NOWYCH ZADAŃ

Sepp Dietrich, jeden z najdawniejszych zwolenników Hitlera, a obecnie dowódca jednego z korpusów pancernych SS, otoczonego przez Rosjan w rejonie Rostowa na Ukrainie południowej, leciał 30 stycznia 1942 roku samolotem należącym do eskadry fuhrera do Dniepropietrowska; poprosiłem go, aby mnie wziął ze sobą. Mój sztab znajdował się już w tym mieście, przygotowując remont urządzeń kolejowych na południu ZSRR¹. Nawet nie przyszło mi do głowy poprosić o samolot do własnej dyspozycji; jeszcze jeden dowód, jak nisko oceniałem znaczenie swojej osoby dla działań wojennych.

Ciasno ścisnięci siedzieliśmy w bombowcu typu „Heinkel”, przerobionym na samolot pasażerski. Pod nami przesuwaly się beznadziejne, zaśnieżone równiny południowej Rosji. Widzieliśmy popalone stodoły i obory wielkich gospodarstw rolnych. Aby ułatwić sobie orientację, lecieliśmy wzdłuż linii kolejowej: pociągów prawie nie było, budynki stacyjne spalone, warsztaty zniszczone, czasem tylko pojawiały się jakieś drogi, ale i one były puste. Niezmierne przestrzenie, które mijaliśmy, niepokoiły swą śmiertelną ciszą, wyczuwalną nawet w samolocie. Przelotne opady śniegu przerywały niekiedy tę monotonię, a raczej ją podkreślały. Wtedy zdałem sobie sprawę, w jakim niebezpieczeństwie znajduje się armia, niemal zupełnie odcięta od dostaw z kraju. O zmierzchu wylądowaliśmy w Dniepropietrowsku, rosyjskim mieście przemysłowym.

Mój „sztab budowlany Speera” - jak nazywano tę grupę kilkunastu techników, zgodnie z ówczesnym dążeniem do wiązania konkretnych zadań z osobami - znalazł prowizoryczną kwaterę w wagonie sypialnym. Od czasu do czasu przez instalacje ogrzewnicze przepuszczano trochę pary z lokomotywy, aby zapobiec ich zamarznięciu.

Równie marne były warunki pracy - wagon restauracyjny służył jednocześnie za biuro i rodzaj klubu. Odbudowa linii kolejowych nastroczała większe trudności, niż myśleliśmy. Rosjanie zniszczyli wszystkie stacje pośrednie; nie było warsztatów naprawczych, nie zamarzających zbiorników na wodę, nie było budynków stacyjnych ani nie uszkodzonych zwrotnic. Najprostsze sprawy, które w kraju załatwiano się w ciągu jednej rozmowy telefonicznej, tutaj stawały się problemem - nawet zdobycie gwoździ czy drewna.

Śnieg padał nieustannie. Ruch na kolei i na drogach ustał

zupełnie, pas startowy na lotnisku został zasypany. Byliśmy odcięci, musiałem odłożyć powrót. Czas wypełniały wizyty naszych robotników budowlanych; organizowaliśmy wieczory koleżeńskie, piosenki, Sepp Dietrich wygłaszał przemówienia, które spotykały się z aplauzem. Przysłuchiwałem się temu, ale że nie byłem dobrym mówcą, nie miałem odwagi powiedzieć swym ludziom choćby paru słów. W śpiewniku wydany przez grupę armii było również wiele smętnych piosenek o tęsknocie za ojczyzną i beznadziei rosyjskich przestrzeni. Ujawniały one bez osłonek stan napięcia wewnętrznego, w jakim znajdowały się te wysunięte placówki. A jednak, co ciekawe, były to ulubione pieśni żołnierzy.

śpiewaliśmy

Tymczasem sytuacja stała się niepewna. Niewielki radziecki oddział pancerny przedarł się przez nasze linie i zbliżał do Dniepropietrowska. Naradzaliśmy się nad sposobem obrony. Nie mieliśmy prawie nic: trochę karabinów i działo bez lawety, do którego nie było amunicji. Rosjanie podeszli na około 20 kilometrów i bez wyraźnego celu krążyli po stepie. Zdarzył się jeden z typowych podczas tej wojny błędów: nie wykorzystali sytuacji. Wypad w kierunku długiego mostu na Dnieprze i spalenie go - w ciągu wielu miesięcy uporczywej pracy odbudowaliśmy go z drewna - odciełoby na dalsze miesiące dostawy zimowe dla armii stojących na południowy wschód od Rostowa.

Zupełnie nie jestem stworzony na bohatera i ponieważ w ciągu siedmiu dni mego pobytu nie mogłem nic wskórać, a swoją obecnością tylko zmniejszałem zapasy moich inżynierów, postanowiłem wyruszyć pociągiem, który miał próbować przebić się przez zasy na zachód. Mój sztab pożegnał się ze mną przyjaźnie i -jak mi się zdawało - z ulgą. Przez całą noc jechaliśmy z szybkością około dziesięciu kilometrów na godzinę, przystawaliśmy, aby odgarnąć śnieg, i posuwaliśmy się dalej. Musieliśmy przebyć już ładny kawał drogi na zachód, kiedy o świcie pociąg wtoczył się na opustoszałą stację.

Wszystko jednak wydało mi się dziwnie znajome: spalone szopy, obłoki pary nad wagonami sypialnymi i restauracyjnymi, patrole wojskowe. Byłem znów w Dniepropietrowsku. Ogromne masy spowodowały, że pociąg musiał się cofnąć. Przygnębiony powlokłem się do wagonu, w którym mieścił się mój sztab budowlany. Zobaczyłem nie tylko zdumione, ale i zdradzające irytację twarze moich współpracowników. Świątując wyjazd szefa, aż do białego ranka uszczuplali stan swoich zapasów alkoholowych.

śniegu

Tego samego dnia, 7 lutego 1942 roku, samolot, którym przyleciał Sepp Dietrich, miał wystartować do lotu powrotnego. Kapitan Nein - wkrótce został on pilotem mojej własnej maszyny - był gotów mnie zabrać. Już sama droga na lotnisko okazała się bardzo trudna. Przy wielostopniowym mrozie i bezchmurnym niebie rozszalała się

wichura, pędząc przed sobą masy śniegu. Rosjanie, w watowanych fufajkach, daremnie próbowali oczyścić ulice z metrowych zasp. Gdyśmy szli już około godziny, kilku z nich otoczyło mnie i zaczęło coś mówić, ale nic nie rozumiałem. W końcu jeden z nich, nie namyślając się długo, natarł mi twarz śniegiem. Odmrożenie, pomyślałem, bo tyle wiedziałem ze swoich wędrówek wysokogórskich. Moje zdumienie wzrosło, gdy drugi Rosjanin wyciągnął z kieszeni brudnego ubrania śnieżnobiałą, starannie złożoną chustkę i osuszył mi twarz.

Z pewnymi trudnościami około jedenastej wystartowaliśmy ze źle oczyszczonego z zasp lotniska. Punktem docelowym był Kętrzyn, miejsce stacjonowania eskadry fuhrera. Ja udawałem się co prawda do Berlina, ale ponieważ nie miałem własnego samolotu, byłem zadowolony, że zabrano mnie chociaż tam. Dzięki temu przypadkowi znalazłem się po raz pierwszy w kwaterze głównej.

W Kętrzynie zwróciłem się do jednego z adiutantów Hitlera: czy mógłby zameldować fuhrerowi o mojej obecności, może chciałby ze mną mówić. Nie widziałem go od początku grudnia, byłoby to dla mnie zatem szczególne wyróżnienie, gdyby chciał mnie widzieć choćby na krótko. Jednym z aut z kolumny samochodowej fuhrera pojechałem do kwatery głównej, gdzie w baraku jadalnym, w którym Hitler spożywał codzienne posiłki w towarzystwie generałów, swych współpracowników politycznych i adiutantów, przede wszystkim najadłem się do syta. Hitlera nie było. Dr Todt, minister do spraw zbrojeń i amunicji, referował mu jakąś sprawę i Hitler zjadł obiad tylko w jego towarzystwie w swoim prywatnym pomieszczeniu. Ja tymczasem omawiałem z szefem transportu wojsk lądowych, generałem Gerckem, i z dowódcą oddziałów kolejowych nasze trudności na Ukrainie.

Po kolacji w większym gronie, w której tym razem Hitler wziął udział, kontynuował on swą naradę z Todtem. Todt pojawił się dopiero późnym wieczorem, napięty i przemęczony, po długiej i - jak się wydawało - trudnej rozmowie. Robił wrażenie zmordowanego. Siedziałem z nim jeszcze parę minut, gdy w milczeniu sączył wino z kieliszka, nie pytając go o przyczynę złego nastroju. W czasie toczącej się z wolna rozmowy okazało się, że zamierza następnego ranka lecieć do Berlina i że ma jeszcze wolne miejsce w samolocie. Chętnie zgodził się mnie zabrać, a ja cieszyłem się, iż w ten sposób uniknę długiej podróży koleją. Umówiliśmy się, że wylecimy wcześniej rano, po czym dr Todt pożegnał się, zamierzał bowiem trochę się przespać.

Przyszedł adiutant i poprosił mnie do Hitlera. Było około pierwszej po północy, a więc pora, kiedy i w Berlinie często siedzieliśmy jeszcze nad naszymi planami. Wyglądało na to, że Hitler jest tak samo wyczerpany i w złym nastroju jak Todt. Umeblowanie jego pokoju było celowo skąpe; zrezygnował tu nawet z takiej wygody jak fotel klubowy.

Mówiliśmy o berlińskich i norymberskich planach budowlanych i Hitler stopniowo ożywał się. Wydawało się, że nawet jego ziemista cera

nabiera lepszej barwy. W końcu kazał mi opowiedzieć o wrażeniach, jakie odniosłem podczas podróży na południe ZSRR, zadając co jakiś czas zdradzające zainteresowanie pytania. Mówiłem o trudnościach z odbudową urządzeń kolejowych, o burzach śnieżnych, o niezrozumiałym zachowaniu się radzieckiego oddziału pancernego, o wieczorach koleżeńskich i tęsknych piosenkach. Gdy wspomniałem o piosenkach, zaciekawiony spytał o ich treść. Wyciągnąłem z kieszeni śpiewnik, który dostałem. Hitler czytał w milczeniu. Ja uważałem te piosenki za naturalny wyraz wywołującej depresję sytuacji, on uznał to natychmiast za świadome działanie wroga. Sądził, że dzięki mojej opowieści wpadł na jego trop. Dopiero po wojnie dowiedziałem się, że kazał oddać pod sąd wojenny człowieka odpowiedzialnego za wydrukowanie tego śpiewnika.

Epizod ten charakteryzował ciągłą nieufność Hitlera. W obawie, że nie pozna prawdy, sądził, iż może wyciągać ważne wnioski z tego rodzaju pojedynczych informacji. Coraz bardziej stawało się jego zwyczajem wypytywanie podwładnych, nawet jeśli nic nie mogli wiedzieć o danej sprawie. Taka, niekiedy uzasadniona, nieufność stała się niemal nieodzownym elementem życia Hitlera, widocznym nawet w drobiazgach. W tym tkwiła niewątpliwie jedna z przyczyn jego izolacji wobec wydarzeń i nastrojów na froncie, jego otoczenie bowiem uniemożliwiało w miarę możliwości wizyty niemiernodajnych informatorów.

O trzeciej rano odmeldowałem się, informując Hitlera o wyjeździe do Berlina, ale odwołałem swój lot samolotem dr. Todta, który miał wystartować pięć godzin później². Byłem zbyt zmęczony, chciałem najpierw wyspać się. W swej małej sypialni zastanawiałem się, jakie wrażenie wywarłem na Hitlerze. Któż z jego otoczenia nie robił tego po odbyciu z nim dwugodzinnej rozmowy! Byłem zadowolony: raz jeszcze zyskałem pewność, że wraz z nim urzeczywistnię zaplanowane wspólnie budowy, których realizacja wydawała mi się niekiedy wątpliwa z uwagi na naszą sytuację militarną. Tej nocy jeszcze raz przekształcailiśmy nasze niegdysiejsze plany w rzeczywistość, wprawialiśmy się w nastrój zwodniczego optymizmu.

Rano zadzwieczał telefon, wrywając mnie z głębokiego snu. Dr Brandt meldował z podnieceniem: „Samolot doktora Todta rozbił się. Doktor Todt zginął”. Od tej chwili wszystko się dla mnie zmieniło.

Moje stosunki z dr. Todtem stawały się w ostatnich latach coraz bliższe. W jego osobie straciłem starszego, rozważnego kolegę. Łączyło nas wiele: obaj pochodziliśmy z zamożnych, mieszczańskich domów, byliśmy Badeńczykami i ukończyliśmy studia techniczne. Kochaliśmy przyrodę, życie w schroniskach, wędrowki narciarskie - i podzielaliśmy głęboką niechęć do Bormanna. Todt toczył z nim poważne spory już z tego powodu, że sekretarz Hitlera szpecił krajobraz wokół Obersalz-bergu budową szos. Często wraz z żoną gościłem u niego: Todtowie mieszkali

w skromnym domu nad Hintersee koło Berchtesgaden. Nikt by nie przypuszczał, że mieszka tam sławny budowniczy dróg i twórca autostrad.

Dr Todt był jedną z bardzo niewielu skromnych, nie narzucających się postaci w tym rządzie, człowiekiem, na którym można było polegać, który nie brał udziału w żadnych intrygach. Stanowiąc połączenie wrażliwości i trzeźwości, tak częste właśnie wśród techników, nie bardzo pasował do kierowniczej warstwy państwa narodowosoc-jalistycznego. Żył samotnie, zamknięty w sobie, nie utrzymując kontaktów osobistych z kręgami partyjnymi - nawet przy stole u Hitlera pojawiał się nader rzadko, choć był tam chętnie widziany. Właśnie ta jego rezerwa przysparzała mu szczególnego szacunku: gdziekolwiek się pojawił, stawał się ośrodkiem zainteresowania. Również Hitler odnosił się do Todta i jego osiągnięć z wielkim uznaniem, graniczącym z czcią, podczas gdy Todt zachował w stosunku do niego niezależność osobistą, choć był lojalnym członkiem partii od pierwszych lat.

W styczniu 1941 roku, kiedy miałem pewne kłopoty z Bormanem i Giesslerem, Todt napisał do mnie wyjątkowo szczery list, z którego można było wyczytać pełen rezygnacji stosunek do metod pracy narodowosocjalistycznej warstwy kierowniczej: „Być może moje doświadczenia i gorzkie rozczarowania z powodu wszystkich właściwie ludzi, z którymi przyszło mi pracować, umożliwiłyby panu potraktowanie także swoich przeżyć jako uwarunkowanych chwilą i być może poglądem, który sobie stopniowo wyrobiłem, w jakiś sposób pomógłby panu wewnątrz: w erze tak wielkich wydarzeń... każda działalność napotyka opozycję, każdy, kto chce coś zrobić, ma rywali i, niestety, także wrogów - nie dlatego, że ludzie chcą być wrogami, lecz dlatego, że ich zadania i panujące stosunki powodują, iż inni muszą zajmować przeciwne stanowisko. Być może jeszcze w młodości obrał pan lepszą drogę i przestał się tym wszystkim przejmować; ja jednak stale się tym dręcę”.

Przy śniadaniu w jadalni kwatery głównej Hitlera toczyła się ożywiona dyskusja, kto może wchodzić w grę jako następca dr. Todta. Wszyscy byli zgodni, że był on niezastąpiony: piastował przecież trzy stanowiska ministrów: był w randze ministra naczelnym szefem budowy szos, szefem całej komunikacji wodnej, regulacji rzek i melioracji oraz wszystkich elektrowni, a ponadto jako pełnomocnik Hitlera - ministrem do spraw zbrojeń i dostaw amunicji dla wojsk lądowych. W ramach planu czteroletniego Goringa kierował budownictwem, a poza tym stworzył Organizację Todta, która budowała Wał Zachodni i bunkry dla okrętów podwodnych na wybrzeżu Atlantyku, jak również drogi na okupowanych terenach od północnej Norwegii do południowej Francji oraz w Związku Radzieckim.

Tak więc w ciągu ostatnich lat Todt skupił w swym ręku najważniejsze zadania techniczne. Struktura, którą kierował, początkowo podzielona jeszcze - ze względów formalnych - na różne urzędy, stanowiła w istocie rzeczy przyszłe ministerstwo spraw

technicznych, tym bardziej

że w partii piastował on funkcję szefa

Głównego Urzędu Techniki, a zarazem kierował nadrzędnym zrzeczeniem wszystkich organizacji i stowarzyszeń technicznych.

W tym momencie było dla mnie jasne, że przypadnie mi ważny fragment rozległych zadań Todta. Już bowiem wiosną 1939 roku, podczas jednej ze swych podróży inspekcyjnych na Wał Zachodni, Hitler rzucił uwagę, że w wypadku, gdyby Todtowi coś się stało, zamierza przekazać mi jego zadania w zakresie budownictwa. Później, latem 1940 roku, przyjął mnie oficjalnie w swoim gabinecie w Kancelarii Rzeszy, aby mi oświadczyć, że Todt jest przeciążony obowiązkami. Dlatego też postanowił przekazać mi całe budownictwo, włącznie z robotami nad Atlantykiem. Udało mi się wówczas przekonać Hitlera, że lepiej będzie, jeśli budownictwo i zbrojenia pozostaną w jednym ręku, ponieważ są ściśle ze sobą związane. Hitler nie wracał już do tej sprawy, a ja z nikim o tym nie mówiłem. Propozycja ta nie tylko sprawiłaby przykrość Todtowi, ale musiałaby również zaszkodzić jego opinii³.

Dlatego też byłem przygotowany na tego rodzaju zlecenie, gdy o zwykłej późnej porze, około godziny trzynastej, jako pierwszy zostałem wezwany do Hitlera. Już sama twarz jego głównego adiutanta, Schaub, wyrażała wagę chwili. W przeciwieństwie do poprzedniego wieczoru Hitler przyjął mnie oficjalnie jako fuhrer Rzeszy. Stojąc, z powagą i zachowaniem wszelkich form, przyjął moje kondolencje, odpowiedział paru zaledwie słowami, następnie rzekł bez długich wstępów: „Panie Speer, mianuję pana następcą ministra doktora Todta na wszystkich jego urządach”. Byłem skonsternowany. Hitler podał mi rękę i chciał się już pożegnać. Ja jednak sądziłem, że wyraził się niedokładnie, dlatego odpowiedziałem, iż dołożę starań, aby zastąpić dr. Todta w jego przedsięwzięciach budowlanych. „Nie, we wszystkich jego funkcjach, również ministra do spraw amunicji”. „Ale ja się zupełnie nie znam...”, wtrąciłem. „Ufam, że da pan sobie radę”, uciał Hitler, „a poza tym nie mam nikogo innego! Niech pan natychmiast nawiąże kontakt z ministerstwem i niech pan zaczyna!” „Wobec tego musi pan, mein fuhrer, dać mi rozkaz, nie mogę bowiem zaręczyć, że poddam temu zadaniu”. W paru słowach wydał mi rozkaz, który przyjąłem w milczeniu.

Bez słowa na tematy prywatne - inaczej, niż to było między nami w zwyczaju - Hitler zajął się inną pracą. Pożegnałem się; miałem pierwszą próbkę innego od tej chwili stylu pracy. Dotychczas Hitler traktował mnie jako architekta, w pewnym sensie jak kolegę. Teraz wyraźnie zaczął się nowy etap, w którym od pierwszej chwili wytworzył służbowy dystans do podległego sobie ministra.

Gdy kierowałem się ku drzwiom, wszedł Schaub: „Jest tutaj pan marszałek Rzeszy i chciałby pomówić z panem w pilnej sprawie, mein fuhrer. Nie był umówiony”. Hitler spojrzał na niego z niechęcią: -

Niech pan poprosi". Do mnie zaś: „Niech pan jeszcze zostanie". Goring wszedł zamaszystym krokiem i po paru słowach kondolencji zaczął gwałtownie: „Najlepiej będzie, jeśli przejmę zadania doktora Todta w ramach planu czteroletniego. Dzięki temu uniknąłoby się tarć i trudności, jakie w przeszłości wynikały z jego nastawienia wobec mnie"

Goring przyjechał zapewne pociągiem specjalnym ze swej siedziby myśliwskiej w Puszczy Rominckiej, niecałe sto kilometrów od głównej kwatery Hitlera. Ponieważ wypadek zdarzył się około wpół do dziesiątej, musiał się bardzo śpieszyć.

Hitler zignorował propozycję Goringa: „Już mianowałem następcę Todta. Minister Rzeszy Speer przejął od zaraz wszystkie funkcje doktora Todta". Słowa te brzmiały tak zdecydowanie, że wykluczały wszelki sprzeciw. Goring wydawał się przestraszony i skonsternowany. Po paru sekundach opanował się, lecz ani słowem nie zareagował na oświadczenie Hitlera. Zirytowany, zachowując dystans, powiedział po chwili: „Chyba zgodzi się pan jednak, mein fuhrer, że nie wezmę udziału w pogrzebie doktora Todta? Wie pan, jakie spory z nim toczyłem. Nie mogę być na tej uroczystości". Nie pamiętam już dokładnie, co Hitler odparł na to, jak łatwo bowiem pojąć, „zatkało mnie" z okazji tego pierwszego służbowego omawiania mojej kariery ministerialnej. Przypominam sobie jednak, że Goring obiecał w końcu zjawić się na uroczystościach pogrzebowych, aby jego niesnaski z Todtem nie przedostały się do wiadomości publicznej. Wobec znaczenia, jakie system przywiązywał do form zewnętrznych, nieobecność drugiej osoby w państwie na oficjalnej uroczystości ku czci zmarłego ministra wydawałaby się niezwykła i rzucałaby się w oczy.

Nie ulegało wątpliwości, że Goring próbował w pierwszym podejściu wytrącić Hitlerowi argumenty z ręki, i już wówczas podejrzewałem, że Hitler spodziewał się tego i z tej przyczyny niezwłocznie mnie mianował.

Dr Todt mógł wykonywać zadania ministra zbrojeń, powierzone mu przez Hitlera, tylko w drodze bezpośrednich poleceń dla przemysłu, Goring natomiast, jako pełnomocnik do spraw planu czteroletniego, czuł się odpowiedzialny za całość gospodarki wojennej. Dlatego też on i jego aparat bronili się przed samodzielną działalnością dr. Todta. W połowie stycznia 1942 roku, mniej więcej na dwa tygodnie przed śmiercią, Todt uczestniczył w posiedzeniu poświęconym sprawom gospodarki wojennej, w czasie którego Goring tak go atakował, że jeszcze tego samego popołudnia oświadczył Funkowi, iż zrzeka się dalszej współpracy. W takich wypadkach na niekorzyść Todta działał fakt, iż nosił on mundur generała majora Luftwaffe - tak więc, mimo stanowiska ministra, w hierarchii wojskowej był podwładnym Goringa.

Po tej krótkiej wymianie zdań jedno stało się dla mnie jasne: w

Goringu nie będę miał sojusznika, ale Hitler zdawał się być gotów

poprzec mnie, gdybym napotkał jakieś trudności z jego strony.

Na zewnątrz Hitler bezpośrednio po śmierci Todta przejawiał stoicki spokój człowieka, który w swej pracy musi się liczyć z takimi przypadkami. Nie precyzując poszlak, wyrażał w pierwszych dniach podejrzenie, że w tej katastrofie było coś niejasnego; nie wykluczał, iż była to uwieńczona sukcesem robota wywiadu. Pogląd ten ustąpił jednak wkrótce miejsca gniewnej, często wprost nerwowej reakcji, gdy poruszano ten temat w jego obecności. W takich razach oświadczał szorstko: „Nie chcę o tym nic słyszeć. Zabraniam zajmowania się tą sprawą”. Niekiedy dodawał: „Wiedcie, że jeszcze dziś ta strata za bardzo mnie boli, abym mógł o niej mówić”.

Na rozkaz Hitlera Ministerstwo Rzeszy do spraw Lotnictwa przeprowadziło dochodzenie, czy katastrofę samolotu mógł spowodować akt sabotażu. W toku dochodzenia ujawniono, że dwadzieścia metrów nad ziemią z samolotu buchnął w górę silny płomień i maszyna eksplodowała. Sprawozdanie sądu polowego, któremu z uwagi na znaczenie sprawy przewodniczył generał lotnictwa, kończyło się mimo to osobliwym stwierdzeniem: „Nie powstało zwłaszcza podejrzenie co do możliwości aktu sabotażu. Dlatego też dalsze kroki ani nie są potrzebne, ani się ich nie przewiduje”⁴. Dr Todt zresztą na krótko przed złożył w swej kasie pancерnej większą sumę pieniędzy, przeznaczoną dla jego wieloletniej sekretarki osobistej. Powiedział wówczas, wypadek, gdyby mu się coś stało.

śmiercią

że to na

Jakież ryzyko i jaka lekkomyślność tkwiła w spontanicznej decyzji Hitlera o takim obsadzeniu jednego z tych trzech czy czterech ministerstw, od których zależało istnienie jego państwa. Byłem typowym outsiderem, zarówno dla armii, jak i dla partii oraz gospodarki, nigdy nie miałem do czynienia z uzbrojeniem wojsk lądowych, nigdy bowiem nie byłem żołnierzem i nigdy w miałem nawet broni w ręku, choćby jako myśliwy. Co prawda fakt, że Hitler z upodobaniem wyszukiwał sobie współpracowników wśród niefachowców, wynikał² jego skłonności do dyletantyzmu. Bądź co bądź mianował już kupca winnego ministrem spraw zagranicznych, swego filozofa partyjnego ministrem do spraw Wschodu i na przykład pilota wojskowego zarządcą całej gospodarki; teraz znowu architekta uczynił ministrem zbrojeń. Niewątpliwie wołał obsadzać kierownicze stanowiska laikami; fachowcom, jak na przykład Schachtowi, nie dowierzał przez całe życie.

życiu nie

To, że poprzedniego wieczoru, zasiedziawszy się w kwaterze głównej, odwołałem swój lot z Todtem, dzięki czemu o mojej drodze

życiowej po raz drugi - po śmierci profesora Troosta - zdecydował fakt, że przeżyłem kogoś innego, Hitler uznał za szczególne zrządzenie opatrności. Gdy później mogłem wykazać się pierwszymi sukcesami, często podkreślał, że Todt musiał zginąć, aby można było zwiększyć produkcję zbrojeniową.

W porównaniu z niewygodnym dr. Todtem we mnie Hitler niewątpliwie uzyskał zrazu raczej powolne narzędzie; w tej mierze zmiana ta była zgodna z zasadą doboru negatywnego, dominującą w otoczeniu Hitlera. Ponieważ na sprzeciw odpowiadał on z reguły wyborem kogoś bardziej uległego, w ciągu wieloletniego procesu stworzył sobie otoczenie, które coraz posłuszniej przytakiwało jego pomysłom i coraz bardziej ochoczo przekształcało je w rzeczywistość.

Historycy poświęcają dziś nieco uwagi mojej działalności jako ministra zbrojeń, skłaniając się przy tym do traktowania mych planów budowlanych w Berlinie i Norymberdze jako marginesowych. Dla mnie jednak praca architekta pozostała nadal życiowym zadaniem; swoją zdumiewającą nominację uważałem za przymusową przerwę na czas wojny, za pewnego rodzaju służbę wojskową. Pracując jako architekt Hitlera, widziałem możliwość zdobycia nie tylko sławy, ale i chwały, podczas gdy znaczenie nawet ważnego ministra musiało całkowicie niknąć w glorii fuhrera. Dlatego bardzo szybko zacząłem domagać się od niego obietnicy, że po wojnie znów zostanę jego architektem⁵. Fakt, że uważałem to za niezbędne, wskazuje, jak bardzo czuliśmy się zależni od woli Hitlera nawet w najbardziej osobistych decyzjach. Hitler zgodził się bez wahania; on też wierzył, że jako pierwszy architekt oddaję jemu i jego Rzeszy najcenniejsze usługi. Gdy przy takiej okazji mówił o swych planach na przyszłość, stwierdzał czasem tęsknie: „Schowamy się gdzieś obaj na parę miesięcy i jeszcze raz przejrzymy wszystkie plany budowlane”. Szybko jednak podobne uwagi stały się rzadkością.

Pierwsza reakcja na moją nominację na ministra była taka, że 9 lutego przyleciał z Berlina do kwatery głównej fuhrera osobisty referent Todta, oberregierungsrat Konrad Haasemann. Ponieważ Todt miał i bardziej wpływowych, i ważniejszych współpracowników, poirytowany zinterpretowałem wysłanie go jako usiłowanie wystawienia na próbę mojego autorytetu. Haasemann od razu dał mi do zrozumienia, iż może mnie poinformować o cechach moich przyszłych współpracowników. Oświadczyłem krótko, że sam zamierzam wyrobić sobie o nich opinię. Jeszcze tego wieczoru pojechałem nocnym pociągiem do Berlina. Chęć latania samolotem chwilowo mi przeszła.

Gdy rankiem następnego dnia mijałem przedmieścia stolicy Rzeszy z ich fabrykami i płataniną torów kolejowych, ogarnął mnie niepokój, czy sprostaw obcemu mi i olbrzymiemu zadaniu technicznemu. Opadły mnie straszne wątpliwości, czy podołam nowej

funkcji, czy poradzę sobie z trudnościami merytorycznymi i personalnymi wymaganiami, stawianymi osobie ministra. Gdy pociąg wjeżdżał na Schlesischer Bahnhof, miałem palpację serca i czułem się niedobrze.

Bo to właśnie ja miałem w tym młynie wojennym objąć kluczowe stanowisko, choć byłem raczej nieśmiały w stosunkach z obcymi ludźmi, choć nie umiałem swobodnie występować na zebraniach i nawet podczas konferencji z trudem przychodziło mi jasne i precyzyjne wyrażanie myśli. Co powiedzą generałowie wojsk lądowych na to, że ja, nie będąc żołnierzem, znany jako artysta, mam być ich partnerem? W istocie rzeczy kwestie związane z osobistymi wystąpieniami i własnym autorytetem przysparzały mi początkowo równie wiele niepokoju, co zadania merytoryczne.

Nie mniejszy problem czekał mnie w zarządzaniu nową dziedziną pracy: byłem świadom, że starzy współpracownicy Todta będą mnie uważali za intruza. Zнали mnie co prawda jako dobrego znajomego swego szefa, ale znali mnie także jako petenta, który często zwracał się do nich o przydział materiałów budowlanych. Od lat byli jak najściślej związani z dr. Todtem.

Zaraz po przyjeździe odwiedziłem wszystkich ważnych pracowników w ich pokojach, oszczędzając im konieczności meldowania się u mnie. Zarządziłem również, aby na czas mego urzędowania pozostawić bez zmian gabinet dr. Todta, choć jego umeblowanie nie odpowiadało mojemu gustowi⁶.

Rankiem 11 lutego 1942 roku miałem uroczyste powitać na Anhalter Bahnhof trumnę ze szczątkami Todta. Ceremonia ta wzruszyła mnie równie mocno, jak uroczystość żałobna, która odbyła się następnego dnia w zbudowanej przeze mnie sali mozaikowej w Kancelarii Rzeszy - z poruszonym do łez Hitlerem. Podczas prostej ceremonii nad grobem Dorsch, jeden z najbliższych współpracowników Todta, zapewnił mnie uroczyste o swojej lojalności. W dwa lata później, gdy ciężko zachorowałem, wpłatał się w intrygę, jaką uknuł przeciwko mnie Goring.

Pracę rozpocząłem natychmiast. Sekretarz stanu w Ministerstwie Lotnictwa, feldmarszałek Erhard Milch, osobiście poprosił mnie na konferencję w wielkiej sali tego ministerstwa, przewidzianą na piątek, 13 lutego; miano omawiać z przedstawicielami wszystkich trzech rodzajów sił zbrojnych oraz gospodarki wspólne problemy zbrojeniowe. Na moje pytanie, czy nie można by przesunąć terminu konferencji, bo dopiero muszę się wciągnąć do pracy, Milch, z którym byłem w dobrych stosunkach, odpowiedział we właściwy mu, nieco łobuzerski sposób, zadając mi z kolei pytanie: najważniejsi przemysłowcy z całej Rzeszy są

już w drodze; czy zamierzam stchórzyc? Zgodziłem się więc. W

przeddzień wezwano mnie do Goringa. Była to moja pierwsza wizyta u niego od momentu, gdy zostałem ministrem. Serdecznie mówił o dobrych stosunkach, jakie łączyły go ze mną jako jego architektem. Wyraził nadzieję, że pod tym względem nic się nie zmieni. Goring potrafił, jeśli chciał, promieniować zniewalającą, choć zarazem nieco dostojną łaskawością. Następnie jednak przedstawił swoje żądanie: miał pisemną umowę z moim poprzednikiem. Taki sam dokument przygotowuje się dla mnie, prześle mi go do podpisania. W dokumencie tym stwierdza się, że realizując zlecenia dla wojsk lądowych nie będę ingerował w sprawy planu czteroletniego. Na zakończenie uczynił niejasną wzmiankę, że więcej dowiem się zresztą podczas konferencji u Milcha. Nie odpowiedziałem i zakończyłem rozmowę w tym samym serdecznym tonie. Ponieważ plan czteroletni obejmował całą gospodarkę, przewidziana przez Góringa umowa pozbawiłaby mnie możliwości działania.

Domyślałem się, że podczas narady u Milcha czeka mnie jakaś niespodzianka. Ponieważ nie czułem się pewny, wyjawilem swoje wątpliwości Hitlerowi, który przebywał jeszcze w Berlinie. Pamiętając o wrażeniu, jakie musiał pozostawić na nim Goring z okazji mojej nominacji, mogłem liczyć na zrozumienie. „Dobrze”, powiedział Hitler, „jeśli podejmą jakieś działania przeciw panu albo będzie pan miał jakieś trudności, niech pan przerwie naradę i poprosi jej uczestników do sali posiedzeń gabinetu. Powiem tam tym panom, co potrzeba”.

Sala posiedzeń gabinetu uchodziła za „miejsce święte”; jeśli Hitler tam kogoś przyjmował, pozostawiało to głębokie wrażenie. Fakt, że fuhrer tam właśnie chciał przemówić do kręgu osób, z którymi miałem współpracować w przyszłości, stanowił na początek perspektywę, o jakiej nie mogłem nawet marzyć.

Duża sala konferencyjna Ministerstwa Lotnictwa była pełna. Obecnych było trzydzieści osób: najważniejsi ludzie z przemysłu, wśród nich dyrektor generalny Albert Vogler, Wilhelm Zangen, kierownik Związku Przemysłu Niemieckiego Rzeszy, dowódca rezerwy wojsk lądowych generał pułkownik Ernst Fromm wraz z podległym mu szefem zarządu uzbrojenia wojsk lądowych, generałem Leebem, generał admirał Witzell, szef uzbrojenia marynarki, generał Thomas, jako szef urzędu gospodarki wojennej i urzędu uzbrojenia OKW, Walter Funk, jako minister Rzeszy do spraw gospodarki, różni generalni pełnomocnicy do spraw planu czteroletniego oraz inni ważni współpracownicy Goringa. Przewodniczył Milch jako przedstawiciel kierownika resortu. Posadził Funka po swojej prawej, a mnie po lewej stronie. W krótkim wstępie omówił trudności, wynikające w gospodarce zbrojeniowej ze sprzecznych interesów trzech rodzajów sił zbrojnych. Następnie zabrał głos Vogler z Vereinigte Stahlwerke, mówiąc niezwykle rozsądnie o tym, jak

sprzeczne rozkazy, spory o kolejność priorytetów oraz ciągle ich

zmiany zakłócają produkcję przemysłu. Wciąż jeszcze mamy nie wykorzystane rezerwy, które nie mogą się ujawnić z powodu nieustannych utarczek, nadszedł więc czas, aby stworzyć jasne stosunki. O wszystkim musi decydować jedna osoba. Kto - ta sprawa przemysłu nie interesuje.

Następnie przemawiał generał pułkownik Fromm z ramienia wojsk lądowych i generał admirał Witzell jako przedstawiciel marynarki; mimo pewnych zastrzeżeń przyłączyli się do wywodów Voglera. Również pozostali uczestnicy wypowiadali się w tym samym duchu, przy czym wyrażono życzenie, by powołać kogoś, kto przejąłby wewnętrzne kierownictwo. Kiedy już pracowałem na rzecz zbrojeń lotniczych, też zrozumiałem pilność tego żądania.

W końcu wstał minister Rzeszy do spraw gospodarki, Funk, i zwrócił się bezpośrednio do Milcha: „Jesteśmy wszyscy jednego zdania, potwierdził to przebieg konferencji. Teraz chodzi tylko o to, kto ma być tym człowiekiem. Któż by się lepiej nadawał niż pan, drogi Milch, pan, który cieszy się przecież zaufaniem Goringa, naszego szanownego marszałka Rzeszy. Sądzę więc, że mówię w imieniu wszystkich, prosząc pana, aby wziął pan na siebie to zadanie”, wykrzyknął nieco zbyt patetycznie, jak na to zgromadzenie.

Było to niewątpliwie z góry ułożone. Jeszcze gdy Funk mówił, szepnąłem Milchowi do ucha: „Konferencję będziemy kontynuować w sali posiedzeń gabinetu. Fuhrer chce mówić o moich zadaniach”. Milch, mądry i bystry, odpowiedział na propozycję Funka, że czuje się wielce zaszczycony okazaniem mu zaufaniem, ale nie może przyjąć tej propozycji⁷.

Zabrałem wtedy po raz pierwszy głos: przekazałem zaproszenie fuhrera, oświadczając jednocześnie, że dyskusja będzie kontynuowana w czwartek, 18 lutego, w moim ministerstwie, chodzi przecież o moje zadania. Milch zamknął naradę.

Później Funk przyznał mi się, że w przeddzień konferencji Billy Korner, sekretarz stanu w ministerstwie Goringa i jego zaufany w sprawach planu czteroletniego, skłonił go do zaproponowania Milcha na stanowisko pełnomocnika uprawnionego do podejmowania decyzji. Funk uważał za rzecz oczywistą, że Korner nie mógł go o to prosić bez wiedzy Goringa.

Już samo zaproszenie Hitlera musiało uzmysłwić zorientowanym w dotychczasowym układzie sił, że startuję z pozycji lepszej niż ta, jaką miał kiedykolwiek mój poprzednik.

Hitler musiał teraz dotrzymać obietnicy. Poinformowałem go krótko w jego gabinecie o przebiegu konferencji, po czym poprosił, abym na parę minut zostawił go samego, ponieważ chce zrobić notatki.

Następnie wraz ze mną udał się do sali posiedzeń gabinetu i natychmiast zaczął przemawiać.

Mówił około godziny. Rozwódził się długo nad zadaniami gospodarki wojennej, podkreślał wielkie znaczenie wzrostu produkcji zbrojeniowej, mówił o cennych siłach, które trzeba zmobilizować w przemyśle, i zdumiewająco otwarcie wspominał o konflikcie z Goringiem: „Ten człowiek nie może w ramach planu czteroletniego zajmować się zbrojeniami”. Konieczne jest, kontynuował, wydzielenie tego zadania z planu czteroletniego i przekazanie go mnie. Powierza się komuś urząd, a potem mu się go odbiera; zdarza się to. Dysponujemy dostatecznymi zdolnościami produkcyjnymi, aby zwiększyć produkcję, wiele jednak rzeczy zaniedbano. W więzieniu Funk opowiedział mi, że podczas procesu norymberskiego Goring polecił dać sobie na piśmie tę wypowiedź Hitlera, równającą się pozbawieniu władzy, aby uwolnić się od oskarżenia o stosowanie pracy przymusowej.

Hitler nie poruszył problemu jednolitego kierownictwa całości zbrojeń; podobnie mówił też tylko o zbrojeniach sił lądowych i morskich, świadomie wyłączając zbrojenia sił lotniczych. Ja także nie przedstawiałem mu tego punktu spornego, chodziło tu bowiem o decyzję polityczną, a zatem zgodnie ze zwyczajami systemu można się było spodziewać tylko niejasności. Hitler zakończył swą przemowę apelem do zebranych: nakreślił najpierw moje osiągnięcia organizacyjne w budownictwie - co chyba ich nie przekonało - następnie scharakteryzował moją nową pracę jako wielką ofiarę osobistą - co zapewne w obliczu krytycznej sytuacji wydawało się tym ludziom oczywiste - oraz wyraził nadzieję, że w realizacji moich zadań spotkani się nie tylko z pomocą, ale i z właściwym nastawieniem współpracowników. „Zachowujcie się, panowie, wobec niego jak dżentelmeni!” - niezwykle, jak na Hitlera, słowo. Nie powiedział wyraźnie, na czym właściwie ma polegać moje zadanie, z czego byłem zresztą zadowolony.

Jeszcze żadnego ministra Hitler nie wprowadzał w ten sposób na stanowisko. Również w systemie mniej autokratycznym debiut taki stanowiłby cenną pomoc. W naszym państwie skutki były zadziwiające, nawet dla mnie: przez dłuższy czas poruszałem się niejako w pustej przestrzeni, nie napotykając oporu, i praktycznie mogłem w najszerszym zakresie robić to, co chciałem.

Funk, który razem ze mną odprowadził Hitlera do jego mieszkania w Kancelarii Rzeszy, przyrzekał po drodze uroczyście, że postawi wszystko do mojej dyspozycji i zrobi wszystko, aby mi pomóc. Dotrzymał, z małymi wyjątkami, tej obietnicy.

Staliśmy z Bormannem i Hitlerem, rozmawiając jeszcze parę minut w hallu. Przed udaniem się na piętro fuhrer raz jeszcze udzielił mi rady, abym w możliwie dużym stopniu wykorzystywał przemysł, bo tam znajdę najcenniejsze siły. Myśl ta nie była mi obca. Hitler często

podkreślał, iż największe zadania należy powierzać bezpośrednio

przemysłowi, gdyż biurokracja ministerialna, do której czuł awersję, tylko hamuje inicjatywę przemysłu. Wykorzystałem tę sposobność i w obecności Bormanna zapewniłem go, że zamierzam w swej pracy oprzeć się głównie na personelu technicznym przemysłu. W tym celu konieczne jest jednak, aby nie oceniano tych ludzi pod kątem przynależności partyjnej, wiadomo bowiem, że dla wielu z nich partia jest obca. Hitler przystał na to i polecił Bormannowi stosować się do mego życzenia, tak że mojemu ministerstwu, przynajmniej do zamachu z 20 lipca 1944 roku, oszczędzone były niezbyt miłe kontrole kancelarii partyjnej Bormanna.

Jeszcze tego samego wieczoru rozmówiłem się z Milchem, który obiecał mi ścisłą współpracę - w miejsce konkurencji, jaka dotychczas cechowała stosunki między dziedziną zbrojeń wojsk lotniczych a zbrojeniami wojsk lądowych i morskich. W tych pierwszych miesiącach właśnie jego rady stały się dla mnie nieodzowne. Wytworzyła się wkrótce między nami serdeczna przyjaźń, która trwa do dziś.

1 Od 28 stycznia 1942 r. z Berlina, według *Kroniki*, odjeżdżał codziennie na Ukrainę pociąg z robotnikami i maszynami budowlanymi. Kilkuset robotników, którzy mieli wykonać prace przygotowawcze, było już w Dniepropietrowsku.

2 Todt chciał lecieć do Monachium; prawdopodobnie przewidziane było międzyrządowanie w Berlinie.

3 *wKronice* z 10 maja 1944 r. zacytowano fragment mojego przemówienia. „Fuhrer wezwał mnie oficjalnie w 1940 roku, gdy ministrowi Rzeszy doktorowi Todtowi przekazano funkcję ministra Rzeszy do spraw amunicji i uzbrojenia. »Powierzone Todtowi«, powiedział mi Hitler, »zadanie realizacji zbrojeń wojsk lądowych jest tak wielkie, że jeden człowiek nie będzie mógł dać sobie jednocześnie rady z budownictwem«. Prosiłem wówczas fuhrera, aby zaniechał myśli powierzenia mi zadań budowlanych, jak to zamierzał uczynić. Wiedziałem bowiem dobrze, jak bardzo dr Todt był przywiązany do tych zadań i jak trudno przyszedłoby mu się z tym pogodzić. Nie byłby szczęśliwy z powodu takiego rozwiązania. Fuhrer odstąpił od tego projektu”.

4 Start odbył się planowo, lecz już po chwili, jeszcze w zasięgu widoczności z lotniska, pilot wykonał szybki zwrot do tyłu, co pozwalało sądzić, że zaszła jakaś pilna konieczność. Obniżając jednocześnie wysokość, wziął kurs na lotnisko, wyraźnie po to, aby z powrotem wylądować, przy czym nie tracił już czasu na lot pod wiatr. Katastrofa wydarzyła się więc niedaleko lotniska i na niewielkiej wysokości. Był to „Heinkel-111”, przebudowany na samolot pasażerski. Dr. Todtowi użyczył go zaprzyjaźniony z nim feldmarszałek Sperrle, ponieważ samolot Todta był w remoncie. Hitler przyjął, że ów „Heinkel”, jak wszystkie samoloty kurierskie używane w pobliżu frontu, miał na pokładzie instalację niszczącą. Odpowiednią aparaturę uruchamiało się pociągnięciem dźwigni, umieszczonej między siedzeniami pilota i jego towarzysza, i po paru minutach samolot eksplodował. W sprawozdaniu końcowym sądu polowego z dnia 8 marca 1943 r. (KI T.L.11/42), złożonym przez dowodzącego generała i naczelnego dowódcę I okręgu powietrznego Królewiec, stwierdzono: „W odległości około 700 metrów od lotniska i od granicy lotniska pilot samolotu prawdopodobnie zamknął gaz, a w 2-3 sekundy później najwyraźniej znów dodał gazu. W tym momencie w przedniej części samolotu, prawdopodobnie na skutek eksplozji, buchnął pionowo w górę silny płomień. Bezpośrednio po tym samolot runął w dół z wysokości około 20 metrów, przewracając się na prawe skrzydło, i odwrócony w kierunku przeciwnym do kierunku lotu uderzył prawie pionowo w ziemię. Pożar, który wybuchł natychmiast wskutek upadku samolotu - nastąpiło przy tym szereg detonacji - zniszczył go całkowicie”.

5 „ż w trzy miesiące po mojej nominacji z 8 maja 1942 r. Hitler uspokajał

Rosenberga: „Fuhrer oświadczał potem wielokrotnie, że w dniu zawarcia pokoju ministerstwo Rzeszy kierowane przez Speera zostanie rozwiązane, a należące dziś do niego zadania - podzielone". (Notatka Rosenberga, Dokument Norymberski 1520 PS).

W tym samym duchu pisałem do Hitlera 25 stycznia 1944 r., leżąc chory w Hohenlychen: „Z pewnością nie potrzebuję podkreślać wobec Pana, mein Fuhrer, że nigdy nie zamierzałem dążyć do kariery politycznej, czy to podczas wojny, czy po wojnie. Swoją obecną działalność traktuję wyłącznie jako działalność okresu wojny i z radością myślę o chwili, kiedy znów jako artysta będę się mógł zająć zadaniami, które mi bardziej odpowiadają niż wszelkie funkcje ministerialne i działalność polityczna".

6 Dopiero latem 1943 r., podczas przeprowadzki do „Baracken am Knie", udało mi się bez wzbudzenia sensacji zastąpić to niegustowne urządzenie pokoju meblami z mojego dawnego gabinetu, które sam projektowałem. Udało mi się także pozbyć przy sposobności obrazu wiszącego do tej pory nad moim biurkiem. Przedstawiał on Hitlera, który w ogóle nie umiał jeździć konno, jako średniowiecznego rycerza o surowym obliczu, z kopia w ręku, siedzącego na koniu. Nie zawsze subtelni technicy wykazują smak artystyczny przy urządzaniu wnętrz.

7 Por. także *Kronikę* z 12 lutego: „Próby ingerencji w zakres pracy ministra, podejmowane z różnych stron: Funk, Ley, Milch, w pierwszych dniach, przy obejmowaniu nowych urzędów, zostały natychmiast ujawnione i stłumione w zarodku". Ley wymieniony jest w tej notatce, ponieważ wkrótce po mojej nominacji napisał w berlińskim organie partyjnym „Angriff" nieuczciwy artykuł, co ściągnęło na niego nagane Hitlera. Por. dziennik Goebbelsa, 13 i 25 lutego 1942 r.

Rozdział 15

ZORGANIZOWANA IMPROWIZACJA

Do konferencji w moim ministerstwie pozostało mi pięć dni na sformułowanie własnych poglądów. Chociaż może się to wydawać zaskakujące, sprawy zasadnicze były dla mnie jasne. Od pierwszego dnia kierowałem się jak lunatyk ku jednemu systemowi, który gwarantował sukces zbrojeniowy. Co prawda już w ciągu dwóch lat pracy na niższych szczeblach na rzecz zbrojeń mogłem się zapoznać z wieloma podstawowymi błędami, których nie dostrzegłbym pełniąc funkcję kierowniczą.

Przygotowałem projekt schematu organizacyjnego, w którym linie pionowe oznaczały poszczególne produkty finalne, jak czołgi, samoloty czy okręty podwodne, a więc uzbrojenie trzech rodzajów sił zbrojnych. Te pionowe kolumny otoczone były wieloma kółkami. Każde z nich miało określać dostawy niezbędne dla produkcji wszystkich dział, czołgów, samolotów i innego sprzętu. Ująłem w tych kółkach na przykład całość produkcji odkuwek lub łożysk kulkowych czy też wyposażenia elektrotechnicznego. Przyzwyczajony, jako architekt, do myślenia „trójwymiarowego”, naszkicowałem perspektywicznie nowy schemat organizacyjny.

18 lutego w dawnej sali konferencyjnej gmachu Akademii Sztuk spotkały się ponownie kierownicze osobistości zwierzchnich organów gospodarki wojennej i zbrojeń. Po moim godzinnym przemówieniu bez dyskusji przyjęto do wiadomości mój schemat organizacyjny, nie zgłaszając również żadnych zastrzeżeń co do uzyskanego pełnomocnictwa, na mocy którego podtrzymałem wysuwane na konferencji 13 lutego żądania jednolitego kierownictwa i sam je objąłem. Zamierzałem puścić swoje oświadczenie w obieg do podpisu, co w stosunkach między Urzędami Rzeszy było zupełnie bez precedensu.

Wrażenie wywołane przemówieniem Hitlera pozostało jednak nadal dostatecznie silne. Jako pierwszy całkowitą zgodę na moją propozycję wyraził Milch i spontanicznie podpisał pełnomocnictwo, którego żądałem. Inni uczestnicy zgłaszali wątpliwości formalne, ale Milch rozproszył je swoim autorytetem. Jedynie przedstawiciel marynarki, generał admirał Witzell, do końca się przeciwstawiał i udzielił swej aprobaty z zastrzeżeniem.

Następnego dnia, 19 lutego, udałem się wraz z feldmarszałkiem Milchem, generałem Thomasem i generałem Olbrichtem, jako zastępcą generała pułkownika Fromma, do głównej kwatery fuhrera, aby mu przedstawić swoje zamierzenia organizacyjne i poinformować go o pozytywnym przebiegu konferencji. Hitler na wszystko wyraził zgodę.

Zaraz po powrocie wezwał mnie Goring do swojego zamku myśliwskiego Karinhall, położonego ponad 70 kilometrów na północ od Berlina, w Schorfheide. Gdy w 1935 roku zobaczył nowy Berghof Hitlera, kazał zbudować obok swego starego, skromnego domku myśliwskiego pańską siedzibę, która wielkością przewyższała jeszcze siedzibę Hitlera; salon miał co prawda te same wymiary, ale rozsuwane okna były większe. Hitlera zirytowały wówczas koszty. Jego architekt znalazł jednak praktyczne zastosowanie dla goringowskiej potrzeby przepychu: siedziba służyła teraz często jako kwatera główna.

W wypadku takich narad traciło się zwykle cały cenny dzień pracy. Również tym razem, gdy po długiej jeździe samochodem przybyłem punktualnie o jedenastej, jeszcze przez godzinę oglądałem w sali przyjęć obrazy i gobeliny. W przeciwieństwie bowiem do Hitlera Goring nie przejmował się terminami. W końcu wyszedł ze swych prywatnych apartamentów na piętrze, w romantycznie rozwianym zielonym, aksamitnym szlafroku. Nasze przywitanie wypadło dość chłodno. Drobnymi krokami podążył pierwszy do swego gabinetu i zasiadł przy gigantycznym biurku; skromnie usiadłem naprzeciw niego. Goring był w najwyższym stopniu wzburzony, uważał się, że nie zaprosiłem go na konferencję w sali posiedzeń gabinetu, i przez biurko wręczył mi ekspertyzę swego dyrektora ministerialnego do spraw planu czteroletniego, Ericha Neumanna, dotyczącą prawnych skutków sporządzonego przeze mnie dokumentu. Ze zwinnością, której bym u niego nie podejrzewał, zważywszy na jego tuszę, zerwał się z miejsca i tracąc panowanie nad sobą zaczął biegać tam i z powrotem po ogromnym pokoju, wykrzykując, że wszyscy jego pełnomocnicy to pozbawieni charakteru tchórze. Podpisując mój dokument uzależnili się po wsze czasy ode mnie, i to nie zapytawszy go w ogóle o zdanie. Nie udało mi się powiedzieć ani słowa, co w tej sytuacji całkiem mi odpowiadało, pośrednio jego gorzkie zarzuty skierowane były również przeciwko mnie, ale fakt, że nie ośmielił się zarzucić mi niewłaściwego postępowania, wskazywał, iż jego pozycja została osłabiona. Na koniec oświadczył, że nie może się zgodzić na takie ograniczanie jego władzy. Udaje się natychmiast do Hitlera i złoży swój urząd „pełnomocnika do spraw planu czteroletniego”¹.

W owym czasie nie byłoby to co prawda żadną stratą. Goering bowiem, który niewątpliwie na początku z wielką energią realizował

plan czteroletni, w roku 1942 uchodził powszechnie za znajdującego się w stanie jakby letargu i absolutnie pozbawionego chęci do pracy. W coraz

większym stopniu sprawiał wrażenie niespokojnego, bezkrytycznie podchwytował wiele pomysłów naraz, pracował zrywami i nie liczył się z rzeczywistością.

Hitler z pewnością, ze względu na konsekwencje polityczne, nie przyjąłby prośby Goringa o dymisję, lecz poszukałby jakiegoś kompromisu. Tego chciałem uniknąć, gdyż kompromisy Hitlera były wyjściem, którego wszyscy się obawiali: nie usuwały trudności, tylko zaciemniały i komplikowały stosunki.

Wiedziałem, że muszę coś zrobić, aby wzmocnić nadwerżony prestiż Goringa - w każdym razie z miejsca zapewniłem go, że innowacje, których życzył sobie Hitler i które zostały zaaprobowane przez jego generalnych pełnomocników, w żadnej mierze nie powinny naruszyć jego stanowiska jako kierownika planu czteroletniego. Moja propozycja zadowoliła Goringa. Byłem gotów podporządkować mu się i swoją działalność prowadzić w ramach planu czteroletniego.

Już w trzy dni później ponownie zobaczyłem się z Goringiem i przedłożyłem mu koncepcję, w której występowałem jako „generalny pełnomocnik do spraw zbrojeń w planie czteroletnim”. Goring zaaprobował ten projekt, chociaż zwrócił mi uwagę, że zbyt wiele wzięłem na siebie i że pewna redukcja celów będzie leżała tylko w moim interesie. Dwa dni potem, 1 marca 1942 roku, podpisał odpowiedni dekret. Zostałem nim upoważniony do „nadania zbrojeniom... w całej gospodarce priorytetu, jaki przysługuje im w czasie wojny”. Osiągnąłem więcej, niż zawierał kwestionowany przez Goringa dokument z 18 lutego.

16 marca, wkrótce po wyrażeniu zgody również przez Hitlera, ucieszonego, że oszczędzono mu wszelkich personalnych trudności z Goringiem, podałem swą nominację do wiadomości prasy niemieckiej. Wyszukałem w związku z tym starą fotografię, na której Goring, zadowolony z mego projektu gmachu urzędu marszałka Rzeszy, położył mi ręce na ramionach. Chciałem w ten sposób pokazać, że kryzys, o którym zaczynano mówić w Berlinie, zakończył się. Protest biura prasowego Goringa uświadomił mi jednak, że przekazać do prasy fotografię i dekret miał prawo tylko Goring.

Nastąpiły dalsze spięcia. Goring zrobił się drażliwy; na przykład uskarżał się przede mną, iż ambasador Włoch poinformował go o głosach prasy zagranicznej, która donosi, że w sprawach dotyczących planu czteroletniego zdublował go nowy minister. Takie wiadomości pogrążą go w opinii środowiska przemysłowego! Było tajemnicą poliszynela, że olbrzymie wydatki Goringa pokrywał przemysł, odniosłem więc wrażenie, że mówiąc o zmniejszeniu szacunku, obawiał się uszczuplenia dochodów. Dlatego też zaproponowałem mu, aby zaprosił najważniejszych przemysłowców na

konferencję do Berlina, podczas której ja formalnie będę występował

jako jego podwładny. Propozycja ta wyjątkowo mu się spodobała; momentalnie wrócił mu dobry humor.

Goring zaprosił więc do Berlina około pięćdziesięciu przemysłowców. Konferencja rozpoczęła się moją krótką przemową, w której zrealizowałem daną obietnicę, następnie Goring w dłuższym wystąpieniu omówił znaczenie zbrojeń. Zobowiązał obecnych do pomagania wszelkimi siłami i wygłaszał jeszcze inne podobne truizmy. O moich zadaniach natomiast nie wspomniał ani w sensie pozytywnym, ani negatywnym. Letarg Goringa również w przyszłości pozwolił mi pracować swobodnie i bez zahamowań. Bywał on co prawda zazdrosny o moje powodzenie u Hitlera, ale w ciągu następnych dwóch lat prawie nie uciekał się do intryg w celu wprowadzenia jakichkolwiek zmian.

Ponieważ autorytet Goringa skurczył się, jego pełnomocnictwa wydawały mi się niewystarczające. Dlatego też wkrótce, 21 marca, poprosiłem Hitlera o podpisanie dokumentu, który stwierdzał, że „interesy całej gospodarki mają zostać podporządkowane potrzebom przemysłu zbrojeniowego”. W warunkach systemu autokratycznego ów dekret Hitlera równał się generalnemu pełnomocnictwu w dziedzinie gospodarczej.

Podobnie mgliste i oparte na improwizacji jak to wszystko były również państwowoprawne formy naszej organizacji. Zakres moich zadań i kompetencji nie został precyzyjnie określony; uważałem to zresztą za niecelowe i skutecznie starałem się do tego nie dopuścić. Tak więc mogliśmy ustalać nasze kompetencje od przypadku do przypadku, w zależności od celu oraz nastawienia naszych współpracowników. Jurystyczne sformułowanie uprawnień wynikających z mojej pozycji niemal nieograniczonej władzy, za którą stała sympatia Hitlera do mnie, doprowadziłoby jedynie do sporów o kompetencje z innymi ministerstwami, uniemożliwiając osiągnięcie zadowalającej jednomyślności.

Owa niejasność była co prawda rakiem, toczącym hitlerowski system rządów, godziłem się jednak na nią, dopóki służyła moim interesom, a Hitler podpisywał wszystkie zarządzenia, jakie mu przedkładałem. Ale kiedy już nie spełniał ślepo moich żądań - wkrótce zaprzestał tego w odniesieniu do węższych dziedzin - byłem skazany na bezsilność lub spryt.

Wieczorem 2 marca 1942 roku, dokładnie w miesiąc po mojej nominacji, zaprosiłem architektów, którzy pracowali ze mną nad nowym kształtem Berlina, na pożegnalne przyjęcie w restauracji „Horcher”. Powiedziałem im w krótkim przemówieniu, że w końcu zawsze na człowieka spada to, przed czym się zawzięcie broni. Szczególnie poruszyło mnie, że ta nowa praca wcale nie jest tak odmienna, choć na pierwszy rzut oka nie ma prawie nic wspólnego z dotychczasową. „Już w

czasie studiów nauczyłem się, że trzeba poznać gruntownie jedną rzecz,

jeśli chce się zrozumieć wszystko. Zająłem się teraz szczegółowo bronią pancerną, bo to mi ułatwia wniknięcie w wiele innych spraw". Jako człowiek przewidujący, mówiłem dalej, ustaliłem na razie program na dwa lata! Mam jednak nadzieję, że uda mi się wcześniej powrócić do architektury. Moje doświadczenia wojenne przydadzą mi się później: właśnie my, technicy, jesteśmy powołani do rozwiązywania problemów przyszłości! „A kierowanie techniką przejmie w przyszłości architekt", zakończyłem z pewną emfazą.

Wyposażony w pełnomocnictwo Hitlera, z pokojowo nastawionym Goringiem na zapleczu, mogłem rozpocząć budowę zaplanowanego przeze mnie, kompletnego systemu „odpowiedzialności przemysłu za siebie" („Selbstverantwortung der Industrie"), zgodnie z naszkicowanym uprzednio schematem. Jest dziś rzeczą pewną, że nieoczekiwanie szybki wzrost produkcji zbrojeniowej spowodowany był wprowadzeniem tej organizacji. Jej zasady nie były jednak nowe. Zarówno feldmarszałek Milch, jak i mój poprzednik Todt zaczęli już powierzać wybitnym technikom z najlepszych zakładów przemysłowych kierowanie poszczególnymi działami produkcji zbrojeniowej. Ale i dr Todt przejął tę ideę od kogoś innego: właściwym twórcą systemu odpowiedzialności przemysłu za siebie był Walther Rathenau, wielki żydowski organizator niemieckiej gospodarki wojennej podczas pierwszej wojny światowej. Zrozumienie, że znaczny wzrost produkcji można osiągnąć w drodze wymiany doświadczeń technicznych, podziału pracy między fabrykami, w drodze typizacji i normalizacji, doprowadziło go już w 1917 roku do stwierdzenia, że spełnienie tych warunków „zapewnia podwojenie produkcji przy tym samym wyposażeniu i tych samych kosztach robocizny". Na poddaszu w ministerstwie Todta siedział stary współpracownik Rathenaua, który podczas pierwszej wojny światowej zajmował się organizacją dostaw surowców, a później napisał memoriał o strukturze tej organizacji. Od niego to dr Todt czerpał doświadczenia.

Utworzyliśmy „komisje główne", odpowiadające rodzajom broni, i „koła główne" w celu zabezpieczenia dostaw. Trzyście komisji głównych stanowiło, jako elementy pionowe, filary mojej organizacji zbrojeniowej. Łączyło je tyle samo kół głównych².

Oprócz komisji głównych i kół utworzyłem komisje rozwojowe, w których zasiadali razem oficerowie sił zbrojnych i najlepsi konstruktorzy przemysłowi. Komisje te miały sprawować nadzór nad nowymi konstrukcjami, wprowadzać udoskonalenia techniczne i produkcyjne już w stadium prac koncepcyjnych i zapobiegać rozwojowi w niepożądanym kierunku.

Zadaniem szefów komisji głównych i kół głównych było -jako pierwszy warunek racjonalizacji - zatroszczenie się o to, aby w jednej

fabryce produkowano tylko jeden wyrób, ale za to możliwie w jak

największej ilości. Ciągły niepokój Hitlera i Göringa, wyrażający się w raptownych zmianach planów, dotychczas zmuszał fabryki do zapewniania sobie jednocześnie czterech lub pięciu zleceń - i to od różnych rodzajów broni - aby w razie nagłego cofnięcia zamówień móc przestawić moce produkcyjne na realizację pozostałych zadań. Często też Wehrmacht składał zamówienia do realizacji tylko w oznaczonym terminie. Tak na przykład przed 1942 rokiem ograniczano lub zwiększano skokami produkcję amunicji zgodnie z każdorazowym zapotrzebowaniem, dyktowanym kolejnymi wojnami błyskawicznymi. Stan taki uniemożliwiał zakładom nastawienie się na ciągłą produkcję amunicji. My natomiast postaraliśmy się o zagwarantowanie zleceń i spowodowaliśmy ograniczenie do minimum liczby różnych zamówień składanych w jednej fabryce.

Dopiero te zmiany umożliwiły przejście od dotychczasowego, rzemieślniczego poniekąd wytwarzania amunicji w pierwszych latach wojny do procesu produkcji przemysłowej. Wkrótce też pojawiły się zaskakujące sukcesy, i co ciekawsze, nie w tych gałęziach przemysłu, które - jak na przykład fabryki samochodów - już przed wojną pracowały według zasad nowoczesnej racjonalizacji. Tam nie było już prawie wcale możliwości zwiększenia produkcji. Widziałem swoje zadanie przede wszystkim w uchwyceniu i sprecyzowaniu problemów, usuniętych w cień przez wieloletnią rutynę. Ich rozwiązywanie powierzałem fachowcom. Opętany swoim zadaniem, dążyłem nie do ograniczenia, lecz do rozszerzenia moich kompetencji. Uwielbienie dla Hitlera, poczucie obowiązku, ambicja, chęć potwierdzenia własnej wartości - wszystko to splatało się razem. Bądź co bądź, mając trzydzieści sześć lat, byłem najmłodszym ministrem Rzeszy. „Organizacja przemysłowa” liczyła wkrótce ponad 10 tysięcy pracowników i sił pomocniczych, natomiast w naszym ministerstwie pracowało tylko 218 urzędników. Stosunek ten odpowiadał memu pogładowi, iż praca ministerstwa winna być podporządkowana wiodącej roli systemu „odpowiedzialności przemysłu za siebie”.

Konwencjonalny regulamin postępowania przewidywał, że większość spraw przekazywano ministrowi za pośrednictwem sekretarzy stanu; każdy z nich stanowił swego rodzaju filtr, decydujący według własnego uznania o ważności wszystkich spraw. Zniosłem ten tryb postępowania i podporządkowałem sobie bezpośrednio nie tylko ponad trzydziestu kierowników z organizacji przemysłowej, ale i dziesięciu szefów urzędów ministerstwa³. Zasadniczo mieli oni wszyscy porozumiewać się między sobą; zastrzegłem sobie jedynie prawo ingerencji w każdej chwili w ważnych sprawach lub w wypadku różnicy poglądów.

Podobnie niekonwencjonalny jak ta forma organizacyjna był

nasz styl pracy. Urzędnicy biurokracji państwowej, skostniałej w swej

rutynie, mówili lekceważąco o „dynamicznym ministerstwie”, o „ministerstwie bez planowej organizacji” lub o „ministerstwie bez urzędników”. Posądzano mnie o stosowanie „wyraźnie nonszalanckich metod pracy” lub metod amerykańskich. Moja teza: „Jeśli się dokładnie rozgraniczy kompetencje, to wręcz zmusza się ludzi, by nie troszczyli się o pozostałe rzeczy”, była protestem przeciwko panującemu w tym systemie sposobowi myślenia kategoriami kast, wykazywała jednak zarazem zbieżność z poglądami Hitlera o kierowaniu państwem na zasadzie improwizacji geniusza, idącego za głosem impulsu.

Irytację wywoływała także prowokująca zasada, którą stosowałem w polityce personalnej. Zaraz na początku swej działalności ustaliłem, jak stwierdza protokół rozmowy z fuhrerem z 19 lutego 1942 roku, że jeśli człowiek zajmujący kierownicze stanowisko w ważnym resorcie „przekroczy pięćdziesiątkę, należy mianować jego zastępcę, który nie ukończył jeszcze czterdziestu lat”.

Jakkolwiek często przedkładałem Hitlerowi swoje plany organizacyjne, nie wykazywał on żadnego zainteresowania nimi. Odnosiłem wrażenie, że niechętnie zajmuje się tymi sprawami; nie potrafił zresztą w pewnych dziedzinach odróżnić rzeczy ważnych od nieważnych. Nie lubił także wyraźnego rozgraniczania kompetencji. Celowo powierzał niekiedy różnym ludziom lub placówkom takie same lub podobne zadania. „Zwycięży wówczas silniejszy”, mówił.

Już w pół roku po objęciu przeze mnie urzędowania osiągnęliśmy znaczny wzrost produkcji we wszystkich przekazanych nam dziedzinach. Produkcja w sierpniu 1942 roku, zgodnie ze „wskaźnikami niemieckiej produkcji zbrojeniowej”, wzrosła w porównaniu z poziomem z lutego w wypadku broni o 27 procent, a czołgów o 25 procent, podczas gdy produkcja amunicji niemal się podwoiła (wzrost o 97 procent). Ogółem produkcja zbrojeniowa wzrosła w tym okresie o 59,6 procent⁴. Najwyraźniej uruchomiliśmy nie wykorzystane dotychczas rezerwy.

Po dwóch i pół roku, mimo zaczynających się wtedy na dobre nalotów lotniczych, zwiększyliśmy ogólną produkcję zbrojeniową: od wskaźnika 98 za rok 1941 do szczytowego wskaźnika 322-w lipcu 1944. Zatrudnienie wzrosło przy tym tylko o około 30 procent. Udało się zmniejszyć o połowę nakład pracy. Dokonaliśmy właśnie tego, co przepowiedział Rathenau w 1917 roku jako efekt racjonalizacji: „Podwojenie produkcji przy tym samym wyposażeniu i tych samych kosztach robocizny”.

Wbrew temu, co często się utrzymuje, wspomnianych sukcesów nie zawdzięczano osiągnięciom geniusza. Z natury rzeczy wielu utalentowanych pod względem organizacyjnym techników z mojego ministerstwa bez wątplenia bardziej by się do tego nadawało. Żaden z nich jednak nie mógłby odnieść sukcesu, żaden bowiem nie mógł, tak jak

ja, rzucić nimbu Hitlera na szalę. Dobra opinia u fuhrera i jego poparcie

znaczyły wszystko.

Dla owego imponującego wzrostu produkcji decydujący był - obok wszystkich innowacji organizacyjnych - fakt zastosowania demokratycznych metod kierowania gospodarką. Mianowicie z zasady okazywałem zaufanie odpowiedzialnym kierownikom przemysłu dopóty, dopóki go nie zawiedli. W ten sposób nagradzałem inicjatywę, budziłem poczucie odpowiedzialności, wyzwalając radość podejmowania decyzji - a to właśnie od dawna nie liczyło się u nas. Nacisk i przymus utrzymywały wprawdzie produkcję, ale niweczyły wszelką spontaniczność. Oświadczyłem, że przemysł „ani nas świadomie nie okłamuje, ani nie okrada, ani w jakikolwiek inny sposób nie próbuje przynieść szkody naszej gospodarce wojennej”⁵.

Jak wielkie wyzwanie stanowiło to dla partii, zrozumiałem po 20 lipca 1944 roku. Będąc przedmiotem gwałtownych ataków, musiałem w liście do Hitlera bronić swego systemu przekazywania odpowiedzialności niższym szczeblom.

Pewnym paradoksem było, że od roku 1942 rozwój sytuacji we wrogich sobie państwach przebiegał w przeciwnych kierunkach. Podczas gdy na przykład Amerykanie czuli się zmuszeni do usztywnienia struktury swego przemysłu przez wzmocnienie autorytetu, my próbowaliśmy rozluźnić system gospodarczy oparty na reglamentacji. Wykluczenie jakiegokolwiek krytyki pod adresem „góry” doprowadziło z biegiem lat do tego, że w ogóle nie rejestrowano błędów, niepowodzeń, niewłaściwego planowania czy też dublowania się pewnych procesów w kierownictwie. Obecnie znów istniały gremia, w których można było dyskutować, ujawniać braki i błędne inicjatywy oraz omawiać sposoby ich usunięcia. Często żartowaliśmy, że wchodzimy na drogę do ponownego wprowadzenia systemu parlamentarnego. Nasz nowy system stworzył jedną z przesłanek skompensowania słabości, jakie z sobą niesie każdy system autokratyczny. Ważne sprawy miało się regulować nie tylko metodami wojskowymi, to znaczy na mocy rozkazu z góry w dół. Do tego trzeba było jednak, by na czele wspomnianych gremiów stali ludzie gotowi wysłuchać wszystkich „za” i „przeciw” i dopiero potem podjąć jasną i uzasadnioną decyzję.

System ten - co było groteskowe - spotkał się z rezerwą dyrektorów fabryk, których zaraz na początku swojej działalności wezwałem w specjalnym okólniku, by przedstawiali mi „w większym niż dotychczas zakresie zasadnicze trudności i własne obserwacje”.

Spodziewałem się powodzi listów; nie doczekałem się jednak żadnego odzewu. Pełen nieufności przypuszczałem początkowo, dostarczano mi poczty, ale rzeczywiście nic nie nadeszło. Jak się później dowiedziałem, dyrektorzy fabryk obawiali się kroków

że nie

dyscyplinarnych ze strony gauleiterów.

Istniała nadmierna krytyka z góry w dół, nie było natomiast prawie wcale niezbędnego jej uzupełnienia z dołu do góry. Gdy zostałem ministrem, często miałem uczucie, że unoszę się w próżni, gdyż moje decyzje nie spotykały się z krytycznym oddźwiękiem.

Powodzenie naszej pracy zawdzięczaliśmy tysiącom techników, którzy wybili się dzięki szczególnym wysiłkom i którym powierzaliśmy obecnie odpowiedzialność za całe dziedziny zbrojeń. Budziło to ich przygasły entuzjazm, mój nieortodoksyjny styl kierowania zwiększał ich zaangażowanie. W gruncie rzeczy wykorzystywałem zjawisko często bezkrytycznego stosunku techników do powierzonych im zadań. Widoczna neutralność moralna techników zwalniała ich w ogóle od zastanawiania się nad celem, któremu służy ich praca. Im bardziej stechnizowany stawał się nasz świat, którego oblicze kształtowała wojna, tym niebezpieczniejsze były skutki tego zjawiska, uniemożliwiającego technikowi bezpośredni kontakt z następstwami jego anonimowej pracy.

Ja wolałem przy tym mieć „raczej niewygodnych pracowników niż wygodnych pomagierów”; partia jednak przejawiała głęboką nieufność wobec apolitycznych fachowców. Sauckel, jeden z najbardziej radykalnych przywódców partyjnych, powiedział, że gdyby na początku rozstrzelało się paru dyrektorów fabryk, to pozostali zaraz by zareagowali lepszymi wynikami.

Przez dwa lata byłem nietykalny. Po puczu generałów z 20 lipca Bormann, Goebbels, Ley i Sauckel odplacili mi pięknym za nadobne. W liście do Hitlera stwierdziłem, że nie czuję się na siłach prowadzić dalej pracy, jeśli będzie się ją oceniać według kryteriów politycznych.

Bezpartyjni pracownicy mego ministerstwa znajdowali się pod niezwykłą w państwie Hitlera ochroną prawną. Mimo bowiem sprzeciwu ministra sprawiedliwości, zaraz na początku swej pracy osiągnąłem to, że postępowanie karne w wypadku działania na szkodę zbrojeń można było wdrożyć tylko na mój wniosek. Zastrzeżenie to chroniło pracowników nawet po 20 lipca 1944 roku. Szef gestapo, Ernst Kaltenbrunner, od mego stanowiska uzależnił wszczęcie postępowania z powodu „defetystycznych” rozmów trzech dyrektorów generalnych: Buchera z AEG, Voglera z Vereinigte Stahlwerke i Reuscha z Gutehoffnungshutte. Moja opinia, iż charakter pracy zmusza nas często do mówienia otwarcie o sytuacji, uchroniła ich od więzienia. Z drugiej strony pracownikom groziły ciężkie kary w wypadku nadużycia stworzonego przeze mnie systemu zaufania, gdy na przykład podając fałszywe dane, których już nie kontrolowano, magazynowali w nadmiarze ważne surowce i w ten sposób pozbawiali front broni⁶.

Od pierwszego dnia traktowałem naszą gigantyczną organizację

jako prowizoryczną. Podobnie jak ja sam po wojnie chciałem wrócić

do architektury, i wydawało mi się konieczne zapewnienie o tym Hitlera, tak samo uważałem za pożądane zapewnić zaniepokojonych szefów przemysłu, że nasz system organizacyjny przewidziany jest tylko na okres wojny; w czasie pokoju nie można wymagać od zakładów ani rezygnacji z najzdolniejszych sił, ani oddawania swej wiedzy do dyspozycji konkurencyjnych przedsiębiorstw⁷.

Nie tylko chciałem widzieć w tej organizacji prowizorium - jednocześnie starałem się utrzymać styl improwizacji. Gnębiła mnie myśl, że w mojej własnej pracy twórczej zakorzeniały się biurokratyczne metody. Nie pozwalałem swoim pracownikom „produkować” akt i żądałem, aby w rozmowach i telefonicznych uzgodnieniach z miejsca tłumili w zarodku powstawanie „spraw”, jak w języku urzędowym nazywano sporządzenie jakiegoś dokumentu. Do improwizacji zmuszały nas również naloty na miasta niemieckie. Od czasu do czasu jednak uważałem je za pomocne - świadczy o tym moja ironiczna reakcja na zbombardowanie ministerstwa w czasie nalotu 22 listopada 1943 roku: „Jeśli już raz mieliśmy to szczęście, że większość akt bieżących ministerstwa spłonęła i dzięki temu na pewien czas zostaliśmy uwolnieni od zbędnego balastu, to nie możemy przecież oczekiwać, że tego rodzaju wydarzenia stale będą wnosić świeży powiew do naszej pracy”⁸.

Mimo całego postępu w technice i przemyśle, nawet w szczytowym okresie sukcesów militarnych, w latach 1940-1941, nie osiągnęliśmy poziomu produkcji zbrojeniowej z okresu pierwszej wojny światowej. W pierwszym roku wojny ze Związkiem Radzieckim produkowaliśmy zaledwie jedną czwartą dział i amunicji w porównaniu z jesienią 1918 roku. Nawet w trzy lata później, wiosną 1944 roku, gdy po wszystkich sukcesach zbliżaliśmy się do szczytu produkcji, poziom produkcji amunicji wciąż jeszcze był niższy niż w czasie pierwszej wojny światowej

- biorąc łącznie ówczesne Niemcy, Austrię i Czechosłowację⁹.

Za jedną z przyczyn tego zastoju uważałem zawsze przerost biurokracji, przeciwko któremu występowałem na próżno¹⁰. Tak na przykład w urzędzie broni obsada personalna była dziesięciokrotnie większa niż podczas pierwszej wojny światowej. Żądanie uproszczenia zarządzania przewija się w moich przemówieniach i listach od 1942 do końca 1944 roku. Im dłużej zwalczałem typowo niemiecką biurokrację, spotęgowaną jeszcze przez system autokratyczny, tym wyraźniej moja krytyka wodenia gospodarki wojennej na pasku przez państwo nabierała charakteru dogmatu politycznego, którym w końcu próbowałem tłumaczyć wszystkie wydarzenia. W przeddzień 20 lipca 1944 roku, na kilka godzin przed zamachem, pisałem do Hitlera, że Amerykanie i

Rosjanie potrafią działać przy pomocy prostych posunięć organizacyjnych,

osiągając dzięki temu większy efekt, podczas gdy u nas przestarzałe struktury organizacyjne uniemożliwiają osiągnięcie podobnych wyników. Obecna wojna, pisałem, to także walka dwóch systemów organizacyjnych: „walka naszego systemu przerostu organizacji ze sztuką improwizacji, jaką posiada przeciwnik”. Jeśli nie przejdziemy na inny system organizacyjny, to przyszłe pokolenia stwierdzą, że nasze przestarzałe, tradycyjne i skostniałe już metody organizacyjne musiały przegrać w tej walce.

1 W skierowanym do mnie liście z 5 listopada 1942 r. Göring potwierdził pośrednio: „Zgodnie z tym z wielką radością przekazałem Panu te pełnomocnictwa z zakresu mego pełnomocnictwa generalnego, aby nie dochodziło do podejmowania sprzecznych ze sobą prac. W przeciwnym razie musiałbym prosić fuhrera o likwidację mojego urzędu jako pełnomocnika do spraw planu czteroletniego”.

2 Na temat pracy organizacyjnej Ministerstwa Zbrojeń istnieje obszerna literatura, np. Gregor J a n s s e n , *Das Mysterium Speer* i Rolf W a g e n f u h r , *Die deutsche Industrie im Kriege 1939 bis 1945*, w której organizację zbrojeń i dane dotyczące produkcji omówiono dokładniej, niż mogłem to zrobić ja sam, nawet koncentrując się na tym specjalnym zagadnieniu. Komisje główne i koła główne zgodnie z dekretem o podziale zadań z 29 października 1943 r. odpowiedzialne były: za typizację, ujednoczenie norm części prefabrykowanych w celu zwiększenia produkcji, za proces produkcji, oszczędność surowców (ustalenie wysokości zużycia surowców), szukanie surowców zastępczych przy jednoczesnej oszczędności metali deficytowych, za zakazy produkcji, porównanie wydajności, wymianę doświadczeń, popieranie formowania i obróbki bez odpadów, za rozwój nowych metod pracy, ograniczenie liczby programów typowych i kształtowanie programów przedsiębiorstw, za koncentrację produkcji, wypełnianie portfela zamówień zakładów i zwiększanie zdolności produkcyjnej, za przenoszenie produkcji do innych zakładów, nadzór nad produkcją, jakością, ujednoczaniem i wykorzystaniem maszyn, za oszczędność energii elektrycznej, gazu itp. Do przewodniczących komisji rozwojowych należało rozstrzygnięcie, czy okres wdrażania postępu technicznego i związane z nim ryzyko pozostają w rozsądnym stosunku do przewidywanych korzyści militarnych lub zbrojeniowo-gospodarczych i czy podczas wdrażania postępu technicznego będą istniały wystarczające możliwości produkcyjne. Kierownicy komisji głównych, kół i komisji rozwojowych byli podporządkowani bezpośrednio mnie.

3 Wszyscy szefowie urzędów otrzymali ode mnie upoważnienie do podpisywania „w zastępstwie” (zamiast zwykłego „z polecenia”); zgodnie z regułami biurokracji państwowej oznaczało to pełnomocnictwo do samodzielnego działania, przysługujące poza tym tylko sekretarzom stanu. Protesty ministra Rzeszy do spraw wewnętrznych, kompetentnego w zakresie przestrzegania administracyjno-technicznych reguł gry, nie odniosły skutku.

Kierownika urzędu centralnego, Willego Liebla, sprowadziłem z Norymbergi, gdzie był nadburmistrzem. Kierownik urzędu technicznego, Karl Saur, wyrósł z szeregow funkcyjniarzy partyjnych średniego szczebla, po przepracowaniu pewnego okresu na odrębnym stanowisku w jakimś przedsiębiorstwie przemysłowym. Kierownik urzędu dostaw, dr Walter Schieber, chemik z zawodu, stanowiąc w SS i w partii typ czynnego zawodowo, starego towarzysza partyjnego. Mój zastępca w Organizacji Todta, Xaver Porsch, był naszym najstarszym członkiem partii. Również kierownik urzędu Seebauer, odpowiedzialny za produkcję środków konsumpcji, wstąpił do partii na długo przed rokiem 1933.

4 *Indexziffern der deutschen Rustungsendfertigung* (wskaźniki niemieckiej produkcji zbrojeniowej), styczeń 1945. Wyliczenia dokonano na podstawie cen poszczególnych rodzajów uzbrojenia. Nie uwzględniono przy tym podwyżek cen, aby przez zawyżanie nie zaciemnić wymowy tych wskaźników. Liczony w cenach udział produkcji amunicji w całości zbrojeń trzech rodzajów sił zbrojnych wynosił 29 procent, a zatem jego podwojenie silnie odbiło się na ogólnych wskaźnikach zbrojeniowych.

Skuteczność naszej pracy w trzech najważniejszych dziedzinach zbrojeń wykazuje poniższe zestawienie.

1. Liczba wyprodukowanych czołgów wzrosła w latach 1940-1944 pięciokrotnie, natomiast ich ciężar bojowy (były coraz cięższe) - 7,7 razy. Rezultat ten został osiągnięty dzięki zwiększeniu siły roboczej o 270 proc., a zużycia stali o 212 proc. Tak więc Główna Komisja do Spraw Czołgów w porównaniu z produkcją z roku 1941 uzyskała w dziedzinie siły roboczej oszczędności rzędu 79 proc., a w dziedzinie zużycia stali - 93 proc.

2. Wskaźnik cen całej produkcji amunicji dla wojsk lądowych, powietrznych i morskich, wynoszący w 1941 r. 102, w roku 1944 wzrósł do 306. To potrojenie zdolności wytwórczej w dziedzinie produkcji amunicji osiągnięto przy wzroście liczby zatrudnionych o 67 proc., a zużycia stali o 182 proc. Tak więc nawet tu, mimo że amunicję produkowano maszynowo już przed rozpoczęciem naszej działalności, nastąpiło zmniejszenie zatrudnienia o 59 proc., podczas gdy zużycie stali udało się obniżyć tylko o 9,4 proc.

3. Wskaźnik cen wszystkich dział wzrósł w latach 1941-1944 3,3 razy. Ze wzrostem tym wiązało się zwiększenie liczby zatrudnionych tylko o 30 proc., zużycia stali o 50 proc. i miedzi o 38 proc. (liczby procentowe dotyczące siły roboczej, stali i miedzi w powyższych przykładach pochodzą z mego przemówienia w Wartburgu 16 lipca 1944 r.). Na podobnych zasadach samorządu oparto organizację rolnictwa i leśnictwa, z równie pomyślnymi efektami.

5 Z przemówienia z 18 kwietnia 1942 r. Przy pomocy zasady zaufania, „która każdemu biurokracie z administracji może się wydać niemożliwa do zastosowania w praktyce”, kontynuowałem, „można obalić system, który, jeśli będzie dalej istnieć, na pewno w coraz większym stopniu stawać się będzie hamulcem dla całej gospodarki wojennej”. Niewątpliwie przesadzałem, stwierdzając w dwa lata później, 24 sierpnia 44 r., wobec pracowników naszej organizacji zbrojeniowej, że „zaufanie, jakim obdarzamy kierowników przedsiębiorstw i techników, jest czymś wyjątkowym w świecie”.

Dwa tygodnie wcześniej, 10 sierpnia 1944 r., stwierdziłem wobec tego samego audytorium: „Tak zorganizowaliśmy nasz system zarządzania, że do każdego z nas, aż do szeregowego robotnika, podchodzi się z największą nieufnością: każdego traktuje się tak, jakby w każdej chwili chciał oszukać państwo. Aby uniemożliwić to oszustwo, stworzono podwójne i potrójne bariery, tak by na przykład kierownik przedsiębiorstwa, któremu udało się przemknąć przez jedną kontrolę, np. przy sprawdzaniu cen, został przychwycony np. przy obliczaniu zysku. Do tego dochodzą jeszcze podatki, tak iż w końcu i tak nic nie zostaje. Idzie o to, aby zmienić to zasadnicze nastawienie wobec narodu niemieckiego i w przyszłości przeciwstawić tej nieufności - zaufanie. Dzięki samej tylko zamianie nieufności na zaufanie możemy zredukować w administracji 600 tys. do 800 tys. ludzi”, których naturalnie chciałem zatrudnić w przemyśle zbrojeniowym.

6 26 maja 1944 r., po kontrowersji z gruppenfuhrerem SS Kammlerem, który kazał aresztować jednego z dyrektorów BMW pod zarzutem sabotażu, przedłożyłem na posiedzeniu szefów urzędów, jakie odbyło się bezpośrednio po tym, „wytyczne w sprawie postępowania w wypadku uchybień w gospodarce zbrojeniowej”. Minister życzy sobie, aby „w wypadku takich uchybień, zanim zajmą się nimi sądy lub SS, swoją opinię wyraziło gremium złożone z przemysłowców. Minister nie zgadza się na aresztowania i wyroki, jeśli go przedtem nie wysłuchano”. *Kronika*.

7 Odnośnie do tematyki niniejszego rozdziału porównaj przemówienie wygłoszone do przemysłowców w Essen 6 czerwca 1944 r.

8 Dziewięć miesięcy wcześniej podjąłem daremną próbę zahamowania powodzi listów: korespondencję bez znaczenia opatrywano pieczętą: „Zwrot do nadawcy! Nieważne z punktu widzenia interesów wojny!”, z faksymile mojego podpisu. *Kronika*, 11 lutego 1943 r.

9 W liczbie dział za rok 1941 ujęto również działa przeciwpancerne i przeciwlotnicze. W produkcji karabinów maszynowych i samolotów w 1941 r. osiągnięto połowę produkcji z roku 1918; produkcja prochu i materiałów wybuchowych, w wyniku zwiększonego zapotrzebowania na bomby oraz miny lądowe i morskie, wzrosła jednak dwa i pół razy. Liczby te w odniesieniu do broni i samolotów są porównywalne tylko w niewielkim zakresie, ponieważ wymagania techniczne wobec sprzętu zbrojeniowego od 1918 r. wydatnie wzrosły. (Dane dotyczące produkcji w 1918 r. pochodzą z książki Rolfa Wagenfuhra.)

Produkcja amunicji długo ustępowała poziomowi z okresu pierwszej wojny światowej. Niedwuznacznie stwierdziłem to w przemówieniu 11 sierpnia 1944 r.: „Podczas pierwszej wojny światowej w wielu dziedzinach, również w zakresie właśnie amunicji, osiągnięto wyższe wyniki niż w produkcji amunicji gdzieś do 1943 r. Dopiero w ostatnich miesiącach przekroczono maksymalną produkcję amunicji z lat pierwszej wojny światowej - traktując łącznie Niemcy, Protektorat i Austrię”.

10 Trudności, jakich nasza bardzo rozwinięta i autokratyczna biurokracja przysparzała samej sobie i innym partnerom w gospodarce wojennej, ilustruje osobliwy przykład, omówiony przeze mnie szeroko w wystąpieniu z 28 kwietnia 1942 r.:

„Pewna firma zbrojeniowa w Oldenburgu zamówiła 11 lutego 1942 roku u swojego dostawcy w Lipsku kilogram spirytusu; firma lipska zażądała w związku z tym zezwolenia urzędu monopolowego Rzeszy na zakup. Firma oldenburska zwróciła się do tego urzędu, lecz odesłano ją do kompetentnej grupy gospodarczej w celu uzyskania tam zaświadczenia o pilnej potrzebie zakupu. Grupa gospodarcza przekazała sprawę grupie okręgowej w Hanowerze. Ta z kolei zażądała oficjalnego oświadczenia (i otrzymała je), że spirytus zostanie użyty do celów technicznych. 19 marca, a więc po upływie ponad pięciu tygodni, placówka w Hanowerze poinformowała o ponownym przekazaniu zlecenia do swej grupy gospodarczej w Berlinie; 26 marca firma z Oldenburga w odpowiedzi na swój monit otrzymała informację, że jej zlecenie, zaopiniowane pozytywnie, zostało przekazane dalej do urzędu monopolowego Rzeszy. Jednocześnie zaś oświadczone, że zwracanie się do grupy gospodarczej jest bezcelowe, ponieważ rozporządzanie kontyngentami alkoholu nie leży w jej gestii. W przyszłości należy więc zwracać się do urzędu monopolowego Rzeszy, a zatem tam, dokąd firma na próżno napisała na początku. W odpowiedzi na nowy wniosek, skierowany do urzędu monopolowego Rzeszy 30 marca, poinformowano w 12 dni później, że najpierw należy podać urzędowi monopolowemu miesięczne zużycie spirytusu, jednakże mimo to wspaniałomyślnie stawia się do dyspozycji firmy oldenburskiej jeden kilogram spirytusu. Firma w osiem tygodni po swym pierwszym wniosku ucieszona wysłała gońca do punktu sprzedaży, tam jednakże oświadczone, iż najpierw trzeba przedstawić zaświadczenie z urzędu wyżywienia Rzeszy; w odpowiedzi na odnośny wniosek lokalna placówka tego urzędu stwierdziła, iż może wydać alkohol tylko w celu spożycia, a nic dla celów produkcyjnych! Tymczasem nadszedł już 18 kwietnia, a zamówiony 11 lutego spirytus, w ilości 1 kilograma, ciągle jeszcze nie znalazł się w posiadaniu żądającej go firmy, choć był pilnie potrzebny do specjalnego celu”.

Rozdział 16

ZANIEDBANIA

Do zdumiewających doświadczeń minionej wojny należy fakt, że Hitler chciał oszczędzić własnemu narodowi tych ciężarów¹, jakimi Churchill czy Roosevelt bez skrupułów obarczali swoje narody. Rażąca różnica między totalną mobilizacją siły roboczej w demokratycznej Anglii a niedbałym traktowaniem tej sprawy w rządzonych autokratycznie Niemczech jest charakterystyczna dla reżimu, obawiającego się utraty sympatii narodu. Warstwa kierownicza ani sama nie chciała ponosić ofiar, ani żądać ich od narodu i przy pomocy ustępstw starała się utrzymać możliwie dobre nastroje. Hitler oraz większość jego popleczników politycznych rewolucję z listopada 1918 roku przeżyli jako żołnierze i nigdy jej nie zapomnieli. W rozmowach w prywatnym gronie Hitler często dawał do zrozumienia, że po doświadczeniach 1918 roku nie można było być dość ostrożnym. Aby zapobiec jakiemukolwiek niezadowoleniu, na zaopatrzenie w artykuły konsumpcyjne, na renty wojenne lub odszkodowania dla kobiet z racji utraty zarobków przez ich służących w wojsku mężów przeznaczano większe sumy niż w krajach rządzonych demokratycznie. Podczas gdy Churchill oferował swemu narodowi tylko „krew, łzy, ciężką pracę i pot”, u nas we wszystkich fazach wojny i podczas wszystkich kryzysów obowiązywało powtarzane do znudzenia hasło Hitlera: „Ostateczne zwycięstwo jest pewne”. Było to przyznanie się do słabości politycznej, zdradzało wyraźną obawę przed utratą popularności, mogącą spowodować kryzys wewnętrzny.

Zaalarmowany niepowodzeniami na froncie radzieckim, myślałem wiosną 1942 roku nie tylko o totalnej mobilizacji wszystkich środków zaradczych. Nalegałem jednocześnie, aby „wojnę zakończyć w jak najkrótszym czasie; jeśli to się nie uda, Niemcy przegrają wojnę. Musimy wygrać ją do końca października, zanim zacznie się rosyjska zima, w przeciwnym razie przegramy raz na zawsze. Możemy ją jednak wygrać tylko przy pomocy tej broni, jaką dysponujemy obecnie, a nie tej, którą będziemy mieć w przyszłym roku”. W nie wyjaśniony dla mnie sposób ta analiza sytuacji dostała się do wiadomości „Timesa”, który ją opublikował 7 września 1942 roku². Artykuł faktycznie reasumował to, co do czego Milch, Fromm i ja byliśmy wówczas zgodni.

„Intuicja mówi nam wszystkim, że w bieżącym roku czeka nas decydujący zwrot w naszej historii”, oświadczyłem również publicznie w

kwietniu 1942 roku, nie przeczuwając, że ów zwrot - okrążenie 6 armii pod Stalingradem, zagłada Afrika-Korps, uwieńczone powodzeniem działania lądowe w Afryce Północnej oraz pierwsze zmasowane naloty lotnicze na miasta niemieckie - był już tak bliski. Jednocześnie również w dziedzinie gospodarki wojennej znajdowaliśmy się w punkcie zwrotnym; do jesieni 1941 roku kierownictwo gospodarcze było nastawione na krótkie działania wojenne, przedzielane długimi okresami spokoju, obecnie zaczęła się wojna ciągła.

Moim zdaniem, mobilizacja wszystkich rezerw musiała zacząć się od czołówki hierarchii partyjnej. Wydawało mi się to tym bardziej uzasadnione, że 1 września 1939 roku Hitler oświadczył uroczyście w Reichstagu, iż nie ma takich wyrzeczeń, do których on sam natychmiast nie byłby gotów.

Faktycznie zgodził się obecnie na moją propozycję wstrzymania realizacji wszystkich projektów budowlanych, które wciąż jeszcze popierał, łącznie z pracami budowlanymi na Obersalzbergu. Powołałem się na to zarządzenie, przemawiając w dwa tygodnie po objęciu urzędowania przed najtrudniejszym audytorium, składającym się z gauleiterów i reichsleiterów: „Nie wolno nigdy uzależniać decyzji od przyszłych prac w okresie pokoju. Fuhrer nakazał mi meldować mu o wszystkich tego typu, nie dających się obecnie uzasadnić, zakłóceniach naszych zbrojeń”. Była to jawna groźba, aczkolwiek wspomniałem łagodząco, iż każdy z nas aż do tej zimy miał jakieś specjalne życzenia; obecnie jednak sytuacja militarna wymaga zaprzestania wszystkich niekoniecznych prac budowlanych w okręgach. Naszym obowiązkiem jest dawać dobry przykład nawet wówczas, gdy uzyskane w ten sposób oszczędności siły roboczej i materiałów nie mają decydującego znaczenia.

Byłem przekonany, że chociaż nie akcentowałem specjalnie swojej koncepcji, wszyscy obecni zastosują się do tego apelu. Po Przemówieniu otoczyło mnie jednak wielu gauleiterów i kreisleiterów, którzy chcieli w drodze wyjątku uzyskać pozwolenie na kontynuację różnych budów.

Początek zrobił sam reichsleiter Bormann. Postaraj się on tymczasem, aby Hitler, który był chwiejny, wydał przeciwne zarządzenie. I faktycznie, robotnicy zatrudnieni na Obersalzbergu, którzy ponadto mieli do dyspozycji ciężarówkę, materiały i paliwo, pozostali tam do końca wojny, choć w trzy tygodnie później ponownie postarałem się, aby Hitler wydał rozkaz wstrzymania prac³.

Za Bormannem pchał się gauleiter Sauckel, chcąc zabezpieczyć budowę swego „forum partyjnego” w Weimarze; on również prowadził niestrudzone prace budowlane aż do końca wojny. Robert Ley walczył o chlewnie w swym wzorowym majątku ziemskim. Oświadczył, że muszę go poprzeć, ponieważ jego eksperymenty są bardzo ważne dla naszej

aprowizacji. Odrzuciłem na piśmie żądanie; nie odmówiłem sobie przy

tym przyjemności umieszczenia następującego nagłówka: „Do Kierownika Organizacyjnego NSDAP na Rzeszę i Kierownika Niemieckiego Frontu Pracy. Dotyczy: Pańskiej chlewni!”

Jeszcze po owym apelu sam Hitler kazał, oprócz Obersalzbergu, kosztem wielu milionów marek przebudować podupadły zamek Klessheim koło Salzburga na luksusowy hotel. Himmler wybudował koło Berchtesgaden duży dom wiejski dla swojej kochanki w takiej tajemnicy, iż dowiedziałem się o tym dopiero w ostatnich tygodniach wojny. Hitler jeszcze po 1942 roku zachęcał pewnego gauleitera, aby przy znacznym nakładzie materiałów reglamentowanych przebudował zamek w Poznaniu i hotel, a ponadto wznosił sobie pod miastem prywatną rezydencję. Dla Leya, Keitla i innych zbudowano jeszcze w latach 1942/43 pociągi specjalne, choć wymagało to cennych materiałów podstawowych oraz wykwalifikowanych robotników. W prywatne zamierzenia funkcjonariuszy partyjnych w ogóle nie mogłem ingerować. Ponieważ reichsleiterzy i gauleiterzy mieli pełnię władzy, nie mogłem sprawować żadnej kontroli nad tymi przedsięwzięciami, a zatem tylko od czasu do czasu zgłaszałem weto, którego zresztą i tak nie uwzględniano. Jeszcze latem 1944 roku Hitler i Bormann uznali za stosowne oświadczyć ministrowi zbrojeń, że pewnego monachijskiego ramiarza należy zwolnić od świadczeń wojennych. Kilka miesięcy wcześniej na ich osobisty rozkaz zwolniono od wykorzystywania w produkcji do celów wojennych „fabryki gobelinów i podobne wytwórnie przedmiotów artystycznych”, wyrabiające dywany i obicia ścienne, przeznaczone dla powojennych budowli Hitlera⁴.

Zaledwie po dziewięciu latach władzy warstwa kierownicza była tak skorumpowana, że nawet w krytycznej fazie wojny nie potrafiła zrezygnować z wystawnego stylu życia, do którego się przyzwyczaiła, po „celów reprezentacji” potrzebne były tym ludziom wielkie domy, siedziby myśliwskie, dobra i pałace, liczna służba, wystawny stół, przednie trunki⁵. Byli oni także wprost opętani groteskowym niepokojem o swe życie. Sam Hitler, dokądkolwiek się udawał, najpierw zarządzał budowę schronów dla siebie. Grubość ich stropów rosła wraz ze zwiększaniem się kalibru bomb, osiągając ostatecznie wymiary pięciu metrów. W końcu regularne systemy schronów istniały w Kętrzynie, Berlinie, Obersalzbergu, Monachium, w zamku-hotelu koło Salzburga, w kwaterach głównych koło Nauheim i nad Sommą, a w 1944 roku Hitler kazał zbudować dwie podziemne kwatery główne w górach na Śląsku i w Turyngii, co wymagało setek niezastąpionych specjalistów górniczych i tysięcy robotników⁶.

Jawna obawa Hitlera i przecenianie własnej osoby ułatwiały jego otoczeniu podobne starania o przesadną ochronę osobistą. Göring kazał sobie wybudować obszerny schron podziemny nie tylko w Karin-

hallu, ale nawet w odległym zamku Veldenstein pod Norymbergą, którego prawie nigdy nie odwiedzał⁷. Wzdłuż 70-kilometrowej drogi z Karinhallu do Berlina, wiodącej przez leśne pustkowie, musiały w regularnych odstępach znajdować się betonowe schrony. Gdy Ley zobaczył skutki trafienia ciężkiej bomby w schron publiczny, zainteresowała go jedynie grubość przebitego stropu w porównaniu ze stropem jego prywatnego bunkra na prawie nie zagrożonym przedmieściu Grunewald. Poza tym gauleiterzy na rozkaz Hitlera, który był przekonany, iż są niezastąpieni, budowali sobie dalsze schrony poza miastem.

Wśród wszystkich pilnych spraw, jakie spadły na mnie w pierwszych tygodniach, najpilniejsze było zrazu rozwiązanie problemu siły roboczej. W połowie marca zajrzałem późnym wieczorem do jednej z najważniejszych berlińskich fabryk zbrojeniowych, Rheinmetall-Bor-sig, i stwierdziłem, że hale są wprawdzie pełne cennych maszyn, ale nikt przy nich nie pracuje; brakowało bowiem robotników na drugą zmianę. Podobnie było w innych zakładach zbrojeniowych. Ponadto mieliśmy również trudności z dostawą prądu w ciągu dnia, podczas gdy wieczorem i nocą krzywa obciążenia elektrowni wyraźnie spadała. Ponieważ jednocześnie zbudowano za około 11 miliardów marek nowe hale fabryczne, dla których musiało zabraknąć obrabiarek, wydawało mi się rozsądniejsze zamknięcie większości nowych zakładów i zatrudnienie zwolnionych w ten sposób sił roboczych na drugiej zmianie.

Hitler uznał co prawda logikę takiego rozumowania i podpisał zarządzenie, w którym nakazał redukcję inwestycji budowlanych do 3 miliardów marek, sprzeciwił się jednak, gdy na mocy tego zarządzenia miały zostać wstrzymane długofalowe prace budowlane w przemyśle chemicznym, wartości około miliarda marek⁸. Zawsze chciał robić wszystko na raz, a swoją odmowę uzasadniał następująco: „Być może istotnie zakończymy wkrótce wojnę z Rosją. Mam jednak dalsze plany i do tego potrzeba mi więcej paliw syntetycznych niż dotychczas. Trzeba budować nowe fabryki, nawet jeśli będą gotowe za parę lat”. W rok później, 2 marca 1943 roku, musiałem stwierdzić, że nie ma sensu „budowa fabryk, które mają służyć wielkim projektom przyszłościowym i zaczną dawać produkcję dopiero po 1 stycznia 1945 roku”⁹. Błędna decyzja Hitlera z wiosny 1942 roku ciążyła na naszej produkcji zbrojeniowej jeszcze we wrześniu 1944, gdy sytuacja militarna stała się już katastrofalna.

Chociaż jego decyzja poważnie odbiła się na moim planie, przewidującym znaczne ograniczenie budownictwa, wciąż jeszcze miałem do dyspozycji paręset tysięcy robotników budowlanych, których można

było oddać przemysłowi zbrojeniowemu. Wówczas jednak pojawiła się nowa, nieoczekiwana przeszkoda: kierownik „zespołu do spraw siły roboczej w planie czteroletnim”, dr Mansfeld, powiedział mi otwarcie, że ma za mały autorytet, aby przerzucać nie zatrudnionych robotników budowlanych z jednego okręgu do drugiego wbrew sprzeciwom gauleiterów¹⁰. Istotnie, mimo wszelkich intryg i wzajemnej rywalizacji, gauleiterzy natychmiast występowali jako zwarta całość, gdy tylko naruszono któreś z ich „suwerennych praw”. Było dla mnie jasne, że mimo silnej własnej pozycji sam nie dam sobie z nimi rady. Potrzebny był jeden z nich, aby przez przyznanie mu szczególnych pełnomocnictw Hitlera rozwiązać te trudności. Mój wybór padł na starego przyjaciela, długoletniego sekretarza stanu w resorcie Goebbelsa, Karla Hankego, który będąc od stycznia 1941 roku gauleiterem Dolnego Śląska należał do tego kręgu. Hitler zgodził się mianować pełnomocnika, który miał być mnie przydzielony. Tym razem jednak skutecznie przeszkodził mi Bormann. Hanke bowiem uchodził za mojego zwolennika; jego nominacja oznaczałaby nie tylko wzmocnienie mojej władzy, lecz także wtargnięcie w bormannowską sferę hierarchii partyjnej.

Gdy w dwa dni później ponownie przekazałem Hitlerowi swe życzenie, wyraził zgodę, ale odrzucił zaproponowaną kandydaturę:

Hankę jest jako gauleiter za młody i trudno byłoby mu wywalczyć konieczny autorytet. Rozmawiałem z Bormannem. Weźmiemy Sauckla¹¹.

Bormann dopiął również tego, że Sauckel został mianowany przez Hitlera i jemu bezpośrednio podporządkowany. Goring słusznie zaprotestował, chodziło bowiem o zadanie, którym dotychczas zajmowano się w ramach planu czteroletniego. Hitler z właściwą sobie beztrąską w posługiwaniu się aparatem państwowym mianował wprawdzie Sauckla „generalnym pełnomocnikiem”, ale jednocześnie ulokował go w ramach góringowskiej organizacji planu czteroletniego. Goring zaprotestował ponownie, ponieważ sprawa miała posmak wyraźnego lekceważenia. Niewątpliwie Hitler mógł paroma słowami spowodować, aby Goring sam wyznaczył Sauckla, nie zrobił jednak tego. Już i tak nadwreżony prestiż Göringa znowu ucierpiał z powodu mściwości Bormanna.

Następnie wezwano Sauckla i mnie do kwatery głównej. Przekazując mu nominację fuhrer stwierdził, że w ogóle nie może istnieć problem siły roboczej, i powtórzył to, co mówił już 9 listopada 1941 roku: „Terytorium, które bezpośrednio dla nas pracuje, obejmuje ponad 250 milionów ludzi; nie może ulegać wątpliwości, że musi się nam udać zaprząć tych ludzi bez reszty do pracy”¹². Hitler zobowiązał Sauckla do bezwzględnego ściągania brakującej siły roboczej z terenów okupowanych.

W ten sposób zaczął się fatalny etap mojej działalności. W ciągu

następnych dwóch i pół lat stale ponaglałem Sauckla, aby przysyłał mi do przemysłu zbrojeniowego cudzoziemskich robotników przymusowych.

W pierwszych tygodniach współpraca przebiegała bez tarć. Sauckel obiecał wręcz Hitlerowi i mnie, że zlikwiduje wszystkie wąskie gardła w zakresie siły roboczej i znajdzie zastępców na miejsce wszystkich wcielonych do Wehrmachtu robotników wykwalifikowanych. Ja ze swej strony pomagałem mu w zdobywaniu autorytetu i popierałem go, gdzie się dało. Sauckel obiecał bardzo wiele: w okresie pokoju ubytek siły roboczej wskutek przekroczenia granicy wieku lub śmierci wyrównywany był dzięki wchodzeniu w wiek produkcyjny około 600 tysięcy młodych ludzi rocznie. Obecnie zaś nie tylko ich, ale i część aktualnie pracujących robotników przemysłowych wcielano do Wehrmachtu. W 1942 roku gospodarce wojennej brakowało z tego powodu znacznie ponad milion robotników.

Obietnice Sauckla, krótko mówiąc, nie zostały dotrzymane. Nadzieje Hitlera, że spośród 250-milionowej ludności bez trudu da się wybrać brakujących w Niemczech robotników, nie spełniły się zarówno wskutek słabości niemieckich władz wykonawczych na terenach okupowanych, jak i tego, że ludzie, których to dotyczyło, woleli iść do partyzantki w lasach niż dać się wywieźć na roboty do Niemiec.

Gdy pierwsi robotnicy cudzoziemscy pojawili się w fabrykach, przedstawiciele naszego przemysłu zaczęli zgłaszać się do mnie z pretensjami. Główne zarzuty brzmiały: niezbędni dotychczas fachowcy, których obecnie zastąpili obcokrajowcy, pracowali w najważniejszych dla produkcji działach; tam też zapotrzebowanie na siły fachowe było najpilniejsze. W ten sposób organizacje szpiegowskie i sabotażowe bez trudu osiągały cel, lokując swych agentów w saucklowskich kolumnach robotników cudzoziemców. Brakowało też powszechnie tłumaczy do porozumiewania się z ludźmi mówiącymi różnymi językami. Moi współpracownicy z kół przemysłowych przedstawiali mi statystyki, z których wynikało, że podczas pierwszej wojny światowej pracowało znacznie więcej kobiet niemieckich niż obecnie. Pokazywali mi zdjęcia robotników, wychodzących z tej samej fabryki amunicji w 1918 i 1942: wtedy były to przeważnie kobiety, obecnie niemal wyłącznie mężczyźni. Udowodniano mi także przy pomocy fotokopii materiałów z pism amerykańskich i brytyjskich, że w tych krajach we wszystkich fabrykach zbrojeniowych kobiety stanowiły większą niż u nas część załogi¹³

Na początku kwietnia 1942 roku zażądałem od Sauckla, aby skierował kobiety niemieckie do pracy w przemyśle zbrojeniowym. Odpowiedział mi wręcz, że kwestia, jakich brać robotników, skąd i jak ich rozdzielać, należy do jego kompetencji; ponadto jako gauleiter podlega tylko Hitlerowi i tylko przed nim jest odpowiedzialny. W końcu jednak zaproponował mi, aby decyzję w tej sprawie pozostawić

Góringowi, jako pełnomocnikowi do spraw planu czteroletniego.

Podczas konferencji, która znów odbyła się w Karinhallu, wyraźnie było widać, że Góringowi to pochwaliło; okazywał Saucklowi przesadną uprzejmość, wobec mnie zachowywał się znacznie chłodniej. Prawie nie miałem okazji przedstawić swojego stanowiska; obaj wciąż mi przerywali. Najważniejszym argumentem Sauckla było

niebezpieczeństwo szkód moralnych, na jakie zostałyby narażone kobiety niemieckie z powodu pracy w fabrykach; mogłyby ucierpieć na tym nie tylko ich „życie duchowe i uczuciowe”, ale także ich płodność. Goring zdecydowanie przychylił się do takich argumentów. Aby jednak mieć całkowitą pewność, Sauckel natychmiast po konferencji, bez mojej wiedzy, uzyskał również akceptację Hitlera.

Był to pierwszy cios w moją pozycję, uchodzącą dotychczas za niewzruszoną. O swym zwycięstwie Sauckel poinformował kolegów sauleiterów w proklamacji, w której stwierdzał między innymi: „Aby wydatnie odciążyć... niemiecką gospodynię domową, a przede wszystkim wielodzietną matkę, i aby nie narażać nadal jej zdrowia, fuhrer polecił mi sprowadzić z terenów wschodnich do Rzeszy około 400-500 tysięcy wybranych, zdrowych i silnych dziewcząt”. Podczas gdy Anglia w roku 1943 zmniejszyła liczbę pomocy domowych o dwie trzecie, w Niemczech liczba ich, wynosząca ponad 1,4 miliona, pozostawała do końca wojny prawie na nie zmienionym poziomie¹⁴. Rozniosło się też wkrótce w społeczeństwie, że znaczna część spośród pół miliona Ukrainek była służącymi w domach funkcjonariuszy partyjnych.

Produkcja zbrojeniowa krajów uczestniczących w wojnie zależała od udziału w zużyciu surowki. Podczas pierwszej wojny światowej niemiecka gospodarka zużywała na cele zbrojeniowe 46,5 procent ogólnej produkcji surowki. Obejmując urząd stwierdziłem, że w przeciwieństwie do tego aktualny udział zbrojeń w ogólnym zużyciu surowki wynosił tylko 37,5 procent¹⁵. W celu zwiększenia tego udziału zaproponowałem Milchowi, aby o rozdziale surowki decydować wspólnie.

W związku z tym 2 kwietnia udaliśmy się ponownie do Karinhallu. Początkowo Goring rozwodził się na najróżniejsze tematy, w końcu jednak wyraził zgodę na nasze propozycje utworzenia centralnego ośrodka planowania w ramach planu czteroletniego. Nasze wspólne wystąpienie zrobiło na nim wrażenie. Zapytał prawie nieśmiało: „Czy moglibyście wziąć jako trzeciego mojego Kornera? Inaczej byłoby mu przykro”¹⁶.

Centrala Planowania stała się wkrótce najważniejszą placówką naszej gospodarki wojennej. Prawdę mówiąc, trudno było zrozumieć, dlaczego już dawno nie utworzono nadrzędnego gremium, które by

kierowało poszczególnymi programami i ustalało priorytety. Mniej więcej do 1939 roku Goring osobiście zajmował się tą sprawą; później jednak nie było nikogo, kto by autorytatywnie czuwał nad tymi coraz bardziej skomplikowanymi i coraz ważniejszymi problemami i wylapywał potknięcia Goringa¹⁷. Dekret Goringa o utworzeniu centralnego ośrodka planowania przewidywał co prawda, że wszelkie decyzje może podejmować on sam, jeżeli uzna to za konieczne, ale - jak się spodziewałem - później nigdy o tym nie wspominał, a my też nie daliśmy powodu, aby go trudzić¹⁸.

Posiedzenia Centrali Planowania odbywały się w moim ministerstwie w wielkiej sali konferencyjnej. Ciągnęły się one bez końca i brała w nich udział nieskończona liczba uczestników; zjawiali się osobiście ministrowie i sekretarze stanu. Wspomagani przez ekspertów walczyli, często dramatycznie, o swoje kontyngenty. Trudność zadania polegała na tym, by gospodarce cywilnej przydzielić możliwie jak najmniej, ale zarazem dostatecznie dużo, tak by zbrojenia nie doznawały uszczerbku wskutek niedociągnięć innych gałęzi produkcji lub braków w zaopatrzeniu ludności¹⁹.

Ja sam starałem się o zasadnicze zmniejszenie produkcji artykułów konsumpcyjnych, zwłaszcza że w roku 1942 była ona tylko o 3 procent niższa niż przed wojną. Udało mi się zaledwie ograniczyć ją w roku 1942 o 12 procent na korzyść produkcji zbrojeniowej²⁰. Już bowiem po trzech miesiącach Hitler żałował swej decyzji o „przesunięciach w produkcji na korzyść produkcji zbrojeniowej” i 28/29 czerwca 1942 roku stwierdził, iż trzeba „znów podjąć produkcję wyrobów przeznaczonych na ogólne zaopatrzenie ludności”. Zaprotestowałem argumentując, że „takie hasło pobudzi dziś na nowo do oporu przeciwko obecnej linii tych wszystkich, którzy dotychczas z niezadowoleniem odnosili się do priorytetu zbrojeń w produkcji”. W ten sposób zaatakowałem wyraźnie funkcjonariuszy partyjnych. Moje zarzuty pozostały bez echa ze strony Hitlera.

Mój zamiar wprowadzenia totalnej gospodarki wojennej ponownie spełził na niczym wskutek niezdecydowania Hitlera.

Do zwiększenia produkcji zbrojeniowej potrzeba było nie tylko więcej robotników i więcej surowki; również transport kolejowy musiał sprostać zwiększonym wymaganiom, chociaż nie wylizal się jeszcze ze skutków katastrofy rosyjskiej zimy. Na całym obszarze Rzeszy coraz bardziej wydłużały się składy nie odprawionych pociągów, co narażało transporty z ważną produkcją zbrojeniową na ogromne opóźnienia.

5 marca 1942 roku dr Julius Dorpmüller, nasz minister komunikacji, mimo swych 73 lat człowiek bardzo aktywny, pojechał ze mną do kwatery głównej, aby przedstawić Hitlerowi problemy komunikacyjne. Omówiłem katastrofalną sytuację w transporcie;

ponieważ jednak Dorpmuller nie bardzo mnie popierał, Hitler jak zwykle wybrał bardziej optymistyczną interpretację. Odroczył tę ważną

sprawę, stwierdzając, że „konsekwencje nie będą przecież tak poważne, jak sądzi Speer”.

W dwa tygodnie później na skutek moich nalegań zgodził się desygnować młodszego wiekiem urzędnika na następcę 65-letniego sekretarza stanu w resorcie komunikacji. Ale Dorpmuller był przeciwnego zdania. „Mój wiceminister za stary?”, zapytał, gdy mu powiedziałem o tej decyzji. „Ten młody człowiek! Kiedy w 1922 roku byłem prezesem jednej z dyrekcji Kolei Rzeszy, on właśnie zaczynał pracę jako radca kolejowy”. Udało mu się ukrećić łeb tej sprawie.

Jednakże po ośmiu tygodniach, 21 maja 1942 roku, Dorpmuller zmuszony był mi oświadczyć: „Kolej Rzeszy dysponuje na terenie Niemiec tak niewielką liczbą wagonów i lokomotyw, że nie ponosi już odpowiedzialności za realizację najpilniejszych transportów”. Jego ocena sytuacji w transporcie równała się, jak to pisano w „ogłoszeniu bankructwa Kolei Rzeszy”. Minister komunikacji Rzeszy zaproponował mi tego dnia stanowisko „dyktatora transportu”, ale odmówiłem²¹.

Kronice,

Dwa dni później miałem okazję przedstawić Hitlerowi młodego radcę kolejowego, dr. Ganzenmullera. Podczas ostatniej zimy doprowadził on do porządku rozbity transport kolejowy na części terytorium ZSRR (trasa Mińsk-Smoleńsk). Na Hitlerze zrobiło to wrażenie: „Podoba mi się ten człowiek, mianuję go zaraz sekretarzem stanu”. Gdy zauważyłem, że chyba należałoby przedtem pomówić o tym z Dorpmullerem, krzyknął: „W żadnym wypadku! Ani Dorpmuller, ani Ganzenmuller nie mogą się o tym dowiedzieć. Wezwę po prostu pana, Speer, i pańskiego człowieka do kwatery głównej. Potem oddzielnie przyjedzie minister komunikacji Rzeszy”.

Na rozkaz Hitlera również w kwaterze głównej umieszczono ich obu w różnych barakach, tak że dr Ganzenmuller wszedł do gabinetu Hitlera, niczego nie podejrzewając, bez swojego ministra. Zachował się sporządzony tego samego dnia protokół wypowiedzi Hitlera: „Problem transportu to problem decydujący, dlatego też musi być rozwiązany. Całe życie, a najczęściej ostatniej zimy, stawałem w obliczu decydujących problemów, które trzeba było rozwiązać. Tak zwani fachowcy i ludzie powołani właśnie do kierowania wciąż mi oświadczały: »To jest niemożliwe, tego się nie da zrobić!« Nie mogę się z tym zgodzić! Istnieją problemy, które bezwarunkowo muszą być rozwiązane. Tam, gdzie są właściwi kierownicy, tam zawsze je rozwiązywano i będzie się je rozwiązywać. Nie da się tego załatwić uprzejmościami. Nie obchodzą mnie uprzejmości, tak samo jak nie obchodzi mnie zupełnie, co powiedzą nasi następcy o metodach, jakie muszę stosować. Dla mnie istnieje tylko jeden problem, który trzeba rozwiązać: musimy wygrać wojnę albo Niemcy staną w obliczu zagłady”.

Hitler mówił dalej, jak przeciwstawiał swą wolę katastrofie minionej zimy i generałom domagającym się odwrotu, a następnie postawił pewne żądania, które podsunąłem mu przedtem jako niezbędne do przywrócenia porządku w transporcie. Nie wzywając ani nawet nie pytając czekającego ministra komunikacji, mianował Ganzenmullera sekretarzem stanu, ponieważ „dowiódł on na froncie, że ma dość energii, by przywrócić porządek w transporcie, gdzie tak pokpiono sprawę". Dopiero w tym momencie poproszono na konferencję ministra Dorpmullera i dyrektora ministerialnego Leibbrandta. Hitler oświadczył, iż zdecydował się ingerować w sprawy komunikacji, ponieważ od niej zależy zwycięstwo, po czym mówił dalej, posługując się swym sztandarowym argumentem: „Zaczynałem swego czasu od niczego, jako nieznany żołnierz wojny światowej, a zacząłem dopiero wtedy, kiedy wszyscy inni, którzy wydawali się znacznie bardziej powołani do kierowania niż ja, zawiedli. Ja miałem tylko wolę i zrealizowałem swoje zamierzenia. Całe moje życie dowodzi, że nigdy nie kapituluję. Trzeba uporać się z zadaniami wojennymi. Powtarzam: dla mnie nie istnieje słowo »niemożliwe«. I powtórzył raz jeszcze, prawie z krzykiem: „Nie istnieje dla mnie!" Dopiero potem poinformował ministra komunikacji o mianowaniu dotychczasowego radcy kolejowego sekretarzem stanu w Ministerstwie Komunikacji, co zarówno ministra, jak i nowego sekretarza stanu, a także mnie postawiło w bardzo kłopotliwej sytuacji.

Hitler zawsze z dużym uznaniem wyrażał się o wiedzy fachowej Dorpmullera. Już choćby dlatego ten mógł się spodziewać, że fuhrer najpierw z nim omówi sprawę zastępcy. Hitler jednak wyraźnie chciał (jak to często czynił, gdy musiał zmierzyć się z fachowcami) metodą faktów dokonanych uniknąć trudnej dyskusji. Dorpmuller bez słowa przyjął to upokorzenie.

W tym samym czasie Hitler zdecydował, że feldmarszałek Milch i ja tymczasowo będziemy pełnili funkcje dyktatorów komunikacji; naszym zadaniem miało być dopilnowanie, aby wysunięte żądania „zostały spełnione w jak najszerszym zakresie i jak najszybciej". Rozbrajającym stwierdzeniem: „Nie możemy przegrać wojny z powodu problemów transportowych; musimy je zatem rozwiązać!", Hitler zakończył konferencję.

Problemy te istotnie zostały rozwiązane. Młody sekretarz stanu potrafił prostymi środkami zlikwidować przestoje wagonów, przyspieszyć tempo i zaspokoić z wielokrotnionymi potrzebami transportowe przemysłu zbrojeniowego. Komisja do spraw pojazdów szynowych dbała o to, by szybciej przeprowadzać remonty lokomotyw uszkodzonych podczas rosyjskiej zimy. Od dotychczasowego, rzemieślniczego sposobu wytwarzania lokomotyw przeszliśmy do produkcji seryjnej, zwiększając ją wielokrotnie²²- Mimo wzrostu zbrojeń płynny ruch

transportów został utrzymany i w przyszłości, zwłaszcza że kurczenie się okupowanych przez nas terenów siłą rzeczy skróciło trasy - aż do chwili,

2dy systematyczne naloty od jesieni 1944 roku na nowo, i tym razem ostatecznie, uczyniły komunikację wąskim gardłem naszej gospodarki wojennej.

Gdy Goring usłyszał, że zamierzamy zwiększyć wielokrotnie produkcję lokomotyw, wezwał mnie do Karinhallu i zaproponował poważnie, aby budować lokomotywy z betonu, ponieważ nie mieliśmy dość stali. Betonowe lokomotywy nie będą tak trwałe jak żelazne, mówił, trzeba i więc będzie po prostu budować ich odpowiednio więcej. Nie miał wprawdzie pojęcia, jak to zrobić, ale nie przeszkadzało mu to przez długie miesiące upierać się przy bezsensownym pomysle, który mnie kosztował dwie godziny jazdy samochodem, dwie godziny czekania i pustkę w żołądku. W Karinhallu bowiem rzadko kiedy proponowano uczestnikom konferencji jakiś posiłek; było to wówczas w domu Göringa jedyne ograniczenie w duchu totalnej gospodarki wojennej.

W tydzień po nominacji Ganzenmullera, przy której tak lapidarnie potraktowano rozwiązanie kwestii transportu, ponownie odwiedziłem Hitlera. Wierny swemu pogładowi, że w krytycznych czasach kierownictwo powinno dawać przykład, zaproponowałem mu, aby na razie wstrzymać korzystanie z salonek przez przywódców Rzeszy i partii; nie myślałem oczywiście o samym Hitlerze. On jednak uchylił się od podjęcia decyzji, twierdząc, że na Wschodzie z powodu małych możliwości zdobycia kwater salonki są konieczne. Sprostowałem: większość salonek kursowała nie na Wschodzie, lecz na terenie Rzeszy, i przedstawiłem mu długą listę osobistości korzystających z salonek. Na nic się to jednak nie zdało.

Z generałem pułkownikiem Friedrichem Frommem spotykałem się regularnie na obiadach w jednym z gabinetów restauracji Horchera. Podczas któregoś ze spotkań, w końcu kwietnia 1942 roku, Fromm powiedział, że tylko wtedy będziemy mieć szansę wygrania wojny, gdy wynajdziemy broń o zupełnie nowym działaniu. Miał on kontakty z pewnym kręgiem uczonych, którzy byli na tropie broni, mogącej zniszczyć całe miasta, a być może wyeliminować z walki Wyspy Brytyjskie. Fromm zaproponował wspólne odwiedziny. Wydawało mu się ważne, by przynajmniej porozmawiać z tymi ludźmi.

Również kierownik największego niemieckiego koncernu stalowego i prezes Towarzystwa im. Cesarza Wilhelma, dr Albert Vogler, zwrócił w tym czasie moją uwagę na zaniedbania w dziedzinie badań nad energią jądrową. Od niego po raz pierwszy dowiedziałem się o niedostatecznym popieraniu badań podstawowych przez Ministerstwo Rzeszy do spraw Wychowania i Nauki, które naturalnie w toku wojny miało szczególnie małe możliwości. 6 maja 1942 roku omawiając z Hitlerem tę sytuację zaproponowałem, aby na czele niemieckiej rady Rzeszy do spraw badań naukowych postawić Göringa jako osobę

reprezentatywną. W miesiąc później, 9 czerwca, Göring został powołany na ten urząd.

Mniej więcej w tym samym czasie trzech przedstawiciele sił zbrojnych, Milch, Fromm i Witzell, spotkali się ze mną w Harnackhaus, berlińskim ośrodku Towarzystwa im. Cesarza Wilhelma, by zapoznać się ze stanem niemieckich badań naukowych. Oprócz uczonych, których nazwisk już nie pamiętam, byli tam późniejsi laureaci Nagrody Nobla: Otto Hahn i Werner Heisenberg. Po zrelacjonowaniu eksperymentów w różnych dziedzinach badań Heisenberg poinformował „o rozbiciu atomu oraz wynalezieniu maszyny uranowej i cyklotronu”²³. Uskarżał się, że kompetentne ministerstwo zaniedbuje badania nuklearne, że brak jest środków finansowych i materiałów, oraz stwierdził, iż na skutek powołania do wojska pomocniczych pracowników naukowych niemiecka nauka wykazuje regres w dziedzinie, w której jeszcze przed kilku laty przodowała: wyciągi z fachowych pism amerykańskich pozwalają przypuszczać, że tam na cele związane z badaniami nuklearnymi przeznaczają się aż nadto wystarczające środki techniczne i finansowe. W związku z tym Ameryka zapewne już teraz posiada nad nami przewagę, która w warunkach rewolucyjnych możliwości, jakie otwiera rozszczepienie jądra, może być niezwykle brzemienne w konsekwencje.

Po prelekcji spytałem Heisenberga, w jaki sposób można wykorzystać fizykę jądrową do budowy bomby atomowej. Jego reakcja nie była zachęcająca. Oświadczył wprawdzie, że znaleziono rozwiązanie naukowe i pod względem teoretycznym nic nie stoi na przeszkodzie, natomiast wymagane warunki techniczne i produkcyjne można będzie osiągnąć najwcześniej za dwa lata, jeżeli uczeni otrzymają niezwłocznie wszelką pomoc, jakiej zażądadą. Heisenberg uzasadnił ten długi termin między innymi tym, że w Europie istnieje do dyspozycji tylko jeden jedyny cyklotron w Paryżu, i to o minimalnej wydajności, który ponadto ze względu na tajemnicę nie może być w pełni wykorzystywany. Zaproponowałem, aby korzystając ze środków i uprawnień, jakie posiadałem jako minister zbrojeń, zbudować cyklotrony tej samej wielkości co w Stanach Zjednoczonych albo jeszcze większe; Heisenberg stwierdził jednak, że z powodu braku doświadczenia na razie możemy zbudować tylko stosunkowo mały typ.

Generał pułkownik Fromm obiecał zwolnienie paruset pracowników naukowych, ja natomiast zwróciłem się do uczonych z apelem, aby określili środki, sumy i materiały niezbędne do prowadzenia badań nuklearnych. W kilka tygodni później zażądano paruset tysięcy marek oraz nieznaczących ilości stali, niklu i innych metali objętych kontyngentami; konieczne też było zbudowanie jednego bunkra, kilku baraków, a także decyzja o przyznaniu najwyższego priorytetu wszystkim zleceniom na prace badawcze oraz rozpoczętej już budowie pierwszego

niemieckiego cyklotronu. Zdziwiony znikomością wymagań w tak ogromnie ważnej sprawie, podniosłem żadaną sumę do jednego, dwóch milionów i przyznałem odpowiednie ilości materiałów. Więcej jednak, jak się wydawało, nie można było na razie przerobić²⁴; niezależnie od tego odniosłem wrażenie, że bomba atomowa nie wpłynie już decydująco na przewidywany bieg wojny.

Znałem skłonność Hitlera do wysuwania fantastycznych projektów i absurdalnych żądań. Toteż bardzo krótko poinformowałem go 23 czerwca 1942 roku o konferencji na temat rozszczepienia jądra i o krokach, jakie podjęliśmy, aby posunąć naprzód badania w tej dziedzinie²⁵. Dokładniejszą i bardziej optymistyczną relację uzyskał Hitler od swego fotografa, Heinricha Hofmanna, który był zaprzyjaźniony z ministrem poczty Rzeszy, Ohnesorgem, a prawdopodobnie również od Goebbelsa. Ohnesorge interesował się rozszczepieniem jądra i utrzymywał - podobnie jak SS - samodzielny aparat badawczy, pracujący pod kierunkiem młodego fizyka Manfreda von Ardennego. Fakt, że Hitler nie zdecydował się na relację osoby miarodajnej, lecz zasięgał informacji określonymi drogami od osób nie znających dokładnie problemu i niekompetentnych, znowu świadczy o jego skłonności do dyletantyzmu i o małym zrozumieniu dla podstawowych badań naukowych.

Hitler również ze mną rozmawiał niekiedy o możliwości zbudowania bomby atomowej, ta myśl jednak najwyraźniej przekraczała jego zdolności pojmowania. Tym także tłumaczy się fakt, że nie potrafił pojąć rewolucyjnego charakteru fizyki jądrowej. W dwóch tysiącach dwustu punktach moich konferencji z Hitlerem, zachowanych w protokołach, problem rozszczepienia atomu pojawia się tylko jeden raz, i to w bardzo lakonicznej formie. Interesował się on co prawda niekiedy perspektywami fizyki jądrowej, jednak moje informacje o rozmowie z fizykami utwierdziły go w przekonaniu, żeby nie zajmować się bliżej tą sprawą. Faktycznie, gdy zapytałem profesora Heisenberga, czy reakcję rozszczepienia jądra atomowego można z absolutną pewnością utrzymać pod kontrolą, czy też może ona przekształcić się w reakcję łańcuchową, nie udzielił mi ostatecznej odpowiedzi. Hitler najwyraźniej nie był zachwycony ewentualnością, że ziemia pod jego panowaniem mogłaby się zamienić w rozżarzoną gwiazdę. Od czasu do czasu żartował sobie, że uczeni w swym nieobliczalnym dążeniu do odkrycia wszystkich tajemnic ziemi podpalą ją któregoś dnia; do tego momentu upłynie jednak pewnie jeszcze wiele czasu i on już tego nie dożyje.

Reakcja Hitlera na zdjęcia, kończące filmową relację z bombardowania Warszawy jesienią 1939 roku, potwierdziła, iż nie zawahałby się ani chwili przed użyciem bomb atomowych przeciwko Anglii. Siedzieliśmy z nim i Goebbelsem w jego berlińskim salonie -

chmury dymu zaciemniały niebo, bombowce pikowały na swoje cele,
mogliśmy śledzić w powiększeniu, uzyskanym dzięki technice

filmowej, lot uwolnionej bomby, nabieranie wysokości przez samolot i olbrzymiejącą chmurę eksplozji. Hitler był zafascynowany. Zakończenie filmu stanowi montaż: samolot pikujący na zaznaczonej konturem wyspę brytyjską. Wybuch ognia - i wyspa wylatuje w powietrze. Entuzjazm Hitlera nie miał granic. „Tak z nimi będzie!”, zawołał zrywając się, „tak ich zniszczymy!”

Na propozycję fizyków jądrowych zrezygnowaliśmy z prac nad bombą atomową już jesienią 1942 roku, gdy po moim ponownym pytaniu o terminy oświadczone, że nie ma co na nią liczyć wcześniej niż za trzy, cztery lata. Wówczas wojna musiała być już dawno rozstrzygnięta. Wydałem więc w zamian zezwolenie na prace nad reaktorem jądrowym na paliwo uranowe, który miał służyć jako źródło energii do napędzania silników okrętów podwodnych. Interesowało się tym dowództwo marynarki.

Podczas jakiejś wizyty w zakładach Kruppa kazałem sobie pokazać części naszego pierwszego cyklotronu i spytałem obeznanego z jego konstrukcją technika, czy nie moglibyśmy odważyć się na niezwłoczne przejście do budowy znacznie większego urządzenia. Potwierdził on jednak to, co powiedział mi przedtem profesor Heisenberg: brakowało nam doświadczenia technicznego. W sąsiedztwie kliniki uniwersyteckiej w Heidelbergu pokazano mi latem 1944 roku rozszczepienie jądra atomowego przy użyciu naszego pierwszego cyklotronu; zapytany przeze mnie profesor Walter Bothe wyjaśnił, że cyklotron ten będzie służył badaniom medycznym i biologicznym. Wyraziłem z tego zadowolenie.

Latem 1943 roku, wskutek zablokowania naszego importu wolframu z Portugalii, groziła nam krytyczna sytuacja w produkcji amunicji przeciwpancernej rdzeniowej. W związku z tym zarządziłem stosowanie rdzeni uranowych²⁶. Przeznaczenie na ten cel naszych zapasów uranu w wysokości około 1200 ton świadczyło, że i ja, i moi współpracownicy zaniechaliśmy wtedy myśli o produkcji bomb atomowych.

Być może udałoby się nam wyprodukować w roku 1945 bombę atomową. Warunkiem było jednak dostatecznie wczesne postawienie do dyspozycji wszystkich środków technicznych, personalnych i finansowych, tych na przykład, które przeznaczone na prace nad pociskiem raketowym dalekiego zasięgu. Również z tego punktu widzenia Pee-nemimde było nie tylko naszym największym, ale i najbardziej chybionym przedsięwzięciem²⁷.

Fakt, że w tej dziedzinie nie przestrzegano zasady „wojny totalnej”, spowodowany był również przyczynami ideologicznymi. Hitler podziwiał fizyka Philippa Lenarda, który w 1905 roku otrzymał Nagrodę Nobla i był jednym z niewielu pierwszych zwolenników Hitlera

w kręgu naukowców. Lenard pouczył Hitlera, że Żydzi przy pomocy fizyki jądrowej i teorii względności wywierają destrukcyjny wpływ²⁸. Wobec swych współbiesiadników Hitler określał czasem fizykę jądrową - powołując się na swego uczonego towarzysza partyjnego - jako „żydowską fizykę”. Podchwytywał to wówczas nie tylko Rosenberg; skłaniało to najwyraźniej również ministra wychowania do ociągania się z poparciem dla badań nuklearnych.

Jednakże nawet gdyby Hitler nie stosował swych doktryn partyjnych do badań nuklearnych, nawet gdyby stan naszych badań podstawowych w czerwcu 1942 roku umożliwił fizykom jądrowym zainwestowanie w produkcję bomb atomowych wielu miliardów zamiast wielu milionów marek, w warunkach napiętej sytuacji w gospodarce wojennej niemożliwe byłoby oddanie do realizacji tego zadania odpowiedniej ilości materiałów, sprzętu i fachowców. Nie tylko bowiem przewaga w zakresie zdolności produkcyjnych umożliwiła Stanom Zjednoczonym podjęcie tego gigantycznego projektu. Wskutek coraz intensywniejszych nalotów gospodarka wojenna w Niemczech już od dawna znalazła się w bardzo trudnej sytuacji, co odbijało się coraz wyraźniej na podejmowaniu rozległej szych przedsięwzięć. W najlep-wypadku, przy największej koncentracji wszystkich sił Niemcy

Tak więc od początku swej działalności natrafiałem na jeden błąd po drugim. Charakterystycznie brzmi dziś uwaga, jaką Hitler często czynił podczas wojny: „Tę wojnę przegra ten, kto robi większe błędy!” On sam przez cały łańcuch błędnych decyzji we wszystkich dziedzinach przyczynił się do przyśpieszenia końca wojny, i tak zresztą przegranej z powodu niedostatecznych zdolności produkcyjnych: na przykład wskutek swojego mętnego planowania wojny lotniczej przeciwko Anglii, wskutek braku okrętów podwodnych na początku wojny, w ogóle wskutek braku generalnego planu prowadzenia wojny. Wiele uwag w niemieckiej literaturze wspomnieniowej, wskazujących na kardynalne błędy Hitlera, zawiera faktycznie dużą dozę słuszności. Nie znaczy to jednak, że mogliśmy wygrać tę wojnę.

1 W swoim podsumowującym sprawozdaniu z 27 stycznia 1945 roku stwierdziłem, prawic trzy lata później, że „przy takiej koncentracji całej energii i bezwzględny usuwaniu wszystkich hamulców już w roku 1940 i 1941 musiałoby się udać osiągnąć poziom produkcji zbrojeniowej z roku 1944”.

2 „Times” z 7 września 1942 r., artykuł pt. *The Speer Plan in action*. Nie tylko „Times” był niekiedy dobrze poinformowany o wewnętrznych sprawach mojego ministerstwa. W innej angielskiej gazecie czytałem wówczas relacje o wydarzeniach w moim resorcie, które nawet dla mnie były pouczające.

3 Protokół z narady u fuhrera z 5/6 marca 1942 r., pkt 17,3: „Fuhrer zarządził wstrzymanie prac na Obersalzbergu. Przesłać odpowiednie pismo do reichsleitiera Bormanna”. Jednak jeszcze dwa i pół roku później, 8 września 1944 r., nadal prowadzono tam prace budowlane. Bormann pisał o tym do swojej żony: „Pan Speer, który, jak to wciąż na nowo stwierdzam, nisko mnie ceni, zażądał po prostu od panów Hageny i

Schenka, aby mu złożyli sprawozdania o pracach budowlanych na Obersalzbergu. Fantastyczna historia! Zamiast posłużyć się ustaloną drogą, zwrócić się do mnie, ten wielki władca budowlany wydaje bez ceregieli polecenie moim ludziom, by mu składali sprawozdania! A że jesteśmy zależni od niego w zakresie materiałów i siły roboczej, nie pozostaje mi nic innego, jak robić dobrą minę". *Bormann Letters*, s. 103.

4 W piśmie mojego „generalnego pełnomocnika do spraw zmiany profilu produkcji przedsiębiorstw” z 20 marca 1944 r. do Martina Bormanna stwierdzono: "Zgodnie z pańskim pismem z 1.3.1944 r. poczyniłem odpowiednie kroki, by nie unieruchamiano fabryk cennych gobelinów i podobnych przedsiębiorstw produkcji artystycznej". 23 czerwca 1944 r. Bormann pisał: „Drogi Panie Speer! Grupa rzemiosła Rzeszy przypomniała znanej Panu firmie Pfefferle o zakazie produkowania listew do ram obrazów, samych ram i tym podobnych wyrobów; nie uznano zaświadczenia wystawionego przez Dom Sztuki Niemieckiej. Fuhrer życzy sobie, co przekazuję Panu zgodnie z poleceniem, aby firmie Pfefferle nie stawiano żadnych przeszkód w jej pracach, które koncentrują się głównie na zleceniach fuhrera. Byłbym Panu wdzięczny za wydanie odpowiednich dyrektyw za pośrednictwem urzędu produkcji. Heil Hitler! Pański Bormann".

5 Goebbels ze względów propagandowych próbował przeprowadzić - na próżno - zmianę stylu życia czołowych osobistości (dziennik. 22 lutego 1942 r.): Bormann wydał partii rozporządzenie w sprawie zachowania większej prostoty w czasie wystąpień czołowych osobistości; dotyczy przede wszystkim bankietów. Jest przypomnieniem dla partii, że ma dawać dobry przykład narodowi. Rozporządzenie niniejsze należy powitać bardzo pozytywnie. Miejmy nadzieję, że będzie przestrzegane. Jestem nieco sceptyczny w tym względzie". Rozporządzenie Bormanna nie odniosło żadnego skutku. Ponad rok później, 22 maja 1943 r., Goebbels pisał ponownie (dziennik): „Wskutek napiętej sytuacji wewnętrznej naród pilnie obserwuje styl życia tak zwanych czołowych osobistości. Niestety, nie wszystkie te osobistości przejmują się tym; prowadzą po części taki tryb życia, którego w żaden sposób nie można uważać za zgodny z aktualną sytuacją".

6 Zgodnie z punktem 18 protokołu z narady u fuhrera 20 czerwca 1944 r. „poinformowałem fuhrera, że przy rozbudowie jego głównej kwatery pracuje aktualnie około 28 tyś. robotników". Według mojego pisma do adiutanta Hitlera do spraw Wehrmachtu z 22 września 1944 r., na budowę schronów w Kętrzynie wydano 36 mln RM, na schrony w Pullach koło Monachium, które zapewniały bezpieczeństwo Hitlerowi w czasie jego pobytów w Monachium - 13 mln RM, a na zespół schronów „Olbrzym” („Riese”) koło Bad Charlottenbrunn - 150 mln RM. Do wykonania tych budów potrzeba było, według mojego pisma, 257 tyś. m³ betonu zbrojonego stalą (łącznie z niewielką ilością zwykłego muru), 213 tyś. m³ tuneli, 58 km dróg z sześcioma mostami, 100 km rurociągów. Tylko na sam projekt „Olbrzym” zużyto więcej betonu, niż w 1944 r. przyznano dla całej ludności na budowę schronów.

Wspomniane projekty budowlane realizowano w okresie, kiedy musiałem pisać do Hitlera (19 kwietnia 1944 r.): „Tylko z trudem można jednocześnie zaspokoić najpilniejsze potrzeby mieszkaniowe niemieckich ludzi pracy, robotników obcokrajowców i wymagania związane z odbudową naszych fabryk zbrojeniowych".

7 Mój pełnomocnik na Frankonię, starszy radca budowlany Wallraff, robił Goringowi na moje polecenie trudności, ponieważ nie było zezwolenia na budowę w Veldenstein. Goring wysłał go z tego powodu do obozu koncentracyjnego, w którym przebywał do chwili zwolnienia na nasze żądanie, z powołaniem się na dekret fuhrera z 21 marca 1942 r.

8 Te przedsięwzięcia budowlane pochłaniały najcenniejszą stal, wymagającą skomplikowanej obróbki, i poszukiwane siły fachowe. Argumentowałem wobec Hitlera, że „lepiej jest zakończyć budowę jednych zakładów hydrogenizacji niż w trzykrotnie dłuższym czasie, przy zatrudnieniu jednej trzeciej potrzebnych robotników budowlanych,

Kończyć kilka takich fabryk. Ukończone bowiem szybko dzięki koncentracji siły roboczej zakłady hydrogenizacji zaczną dostarczać materiałów pędnych o wiele miesięcy wcześniej, podczas gdy przy dotychczasowej praktyce będzie można liczyć na dodatkową produkcję materiałów pędnych dopiero w znacznie późniejszym okresie". Przemówienie z 18 kwietnia 1942 r.

9 Przed utworzeniem Centrali Planowania.

10 Moi współpracownicy przedłożyli mi wówczas relacje z działalności socjalistycznego ministra pracy Ernesta Bevina. Cała siłę roboczą w Anglii zorganizował on w bataliony, które posyłał tam, gdzie były potrzebne. Później, już w więzieniu, czytałem więcej o tym niezwykłym osiągnięciu organizacyjnym: „Osiągnięcia Anglii w dziedzinie przemysłowego wysiłku wojennego były największe w porównaniu z innymi krajami prowadzącymi wojnę. Cała cywilna ludność Anglii, łącznie z kobietami, była w gruncie rzeczy jedną olbrzymią, ruchomą armią pracy, którą bez żadnych względów, tak samo, jak to się dzieje w wypadku armii na froncie, przrzucano po terenie kraju i kierowano do pracy tam, gdzie akurat była potrzebna. Ta totalna mobilizacja angielskiej siły roboczej była dziełem Bevina". Z artykułu o Bevinie zamieszczonego w „Mercatorze" [1946 r.].

Notatka Goebbelsa z 28 marca 1942 r. dowodzi, że początkowo i my myśleliśmy o zmobilizowaniu niemieckich rezerw siły roboczej: „Sauckla mianowano pełnomocnikiem Rzeszy do spraw wykorzystania siły roboczej... Nie powinno sprawić trudności zmobilizowanie w narodzie niemieckim jeszcze co najmniej miliona nowych pracowników; trzeba tylko energicznie wziąć się do dzieła i nie cofać przed pojawiającymi się wciąż nowymi trudnościami".

11 Czuję się współodpowiedzialny za nieszczęsną politykę Sauckla dotyczącą robotników. Mimo całej rozbieżności poglądów godziłem się stale na praktykowane przez niego masowe deportacje robotników z innych krajów do Niemiec.

Ponieważ książka Edwarda L. Homsego, *Foreign Labor in Nazi Germany* (Princeton 1967) wyczerpująco informuje o szczegółach „małej wojny", jaka wkrótce wybuchła między Saucklem a mną, ograniczę się do istotnych punktów. Zgadzam się z autorem, że w tych wewnętrznych sporach i walkach chodziło o zjawisko typowe. Również nowa książka dr. Allana S. Milwarda, *The new Order and the French Economy* (London 1969), daje trafny obraz.

129 listopada 1941 r. Por. t. XXIII, s. 553 angielskiego wydania procesów przed MTN.

13 W dwa lata później, 28 stycznia 1944 r., mogłem wytknąć Saucklowi: „Dowiaduję się z informacji prasowej, że w Anglii praca kobiet jest już znacznie powszechniejsza niż u nas. Na ogólną liczbę 33 mln ludności między 14 a 65 rokiem życia 22,3 mln pełni służbę wojskową lub pracuje w gospodarce. Na 17,2 mln kobiet 7,1 mln jest zatrudnionych w gospodarce na pełnych etatach, a dalsze 3,3 mln - nie na pełnych etatach, lecz na pół etatu. Tak więc na 17,2 mln kobiet w Anglii zatrudnionych jest 10,4 mln, tzn. 61 proc. W porównaniu z tym w Niemczech na około 31 mln kobiet w wieku między 14 a 65 rokiem życia zatrudnionych jest na pełnym etacie lub na pół etatu 14,3 mln, czyli 45 proc. Tak więc procent zatrudnionych kobiet jest w Niemczech znacznie niższy". Posiadaliśmy zatem nie wykorzystaną jeszcze rezerwę w wysokości 16 proc. lub 4,9 mln kobiet niemieckich. Dokument Norymberski 006 Sp.

Nie wiedziałem wtedy jeszcze, że już przed wybuchem wojny, w czerwcu 1939 r., właściwy sekretarz stanu w Ministerstwie Pracy Rzeszy, Syrup, przedłożył Radzie Obrony Rzeszy plan mobilizacji nawet 5,5 mln nie zatrudnionych kobiet niemieckich do celów gospodarki wojennej, które - poza zatrudnionymi ówczesnie kobietami w liczbie 13,8 mln - można było wykorzystać i ująć w „kartotece narodowej". Ponadto uważał on za możliwe przesunięcie 2 mln kobiet z przemysłu pracującego na potrzeby pokojowe do przemysłu metalowego i chemicznego oraz do rolnictwa. Protokół posiedzenia Rady Obrony Rzeszy z 23 czerwca 1939 r. Dokument Norymberski 3787 PS.

To planowane w 1939 r. wykorzystanie siły roboczej wystarczyłoby do pokrycia

naszego deficytu w zatrudnieniu przynajmniej do 1943 r.

14 Według Webstera i Franklanda (*The Strategie Air Offensive against Germany*, London 1961, t. 4, s. 473) w czerwcu 1939 r. w Anglii było 1 200 tys. służby domowej (domestic service), a w czerwcu 1943 r. już tylko 400 tys. W Niemczech odpowiednia liczba zmniejszyła się z 1 582 tys. w dniu 31 maja 1939 r. zaledwie do 1442 tys. w dniu 31 maja 1943 r.

15 Liczby te pochodzą z mojego przemówienia wygłoszonego 18 kwietnia 1942 r. do okręgowych doradców gospodarczych. Przy produkcji wynoszącej 31,2 mln ton w roku 1942 traciło się w ten sposób bądź co bądź 2,8 mln ton uzbrojenia.

16 Korner był sekretarzem stanu Goringa i jego zaufanym.

17 W Ministerstwie Gospodarki zadanie to należało dotychczas do generała Hanneckena: jego pozycja zarówno wobec Hitlera, jak i wobec Goringa była zbyt słaba.

18 W procesie norymberskim to zastrzeżenie sobie prawa decyzji było okolicznością obciążającą Goringa. Podczas mego przesłuchania mogłem z czystym sumieniem oświadczyć: „Mogłem się obyć bez Goringa. mieliśmy bowiem do wykonania praktyczną robotę”. Uzasadnienie to przyjęto jako wiarygodne.

19 Na pierwszym posiedzeniu Centrali Planowania 27 kwietnia 1942 r. na cele zbrojeń armii lądowej, lotnictwa i sił morskich przyznano 980 tys. ton surówki z ogólnej produkcji miesięcznej wynoszącej 2 mln ton, zwiększając tym samym przyznany poprzednio udział z 37,5 do 49 proc. W ten sposób został przekroczony udział procentowy z okresu pierwszej wojny światowej, który wynosił 46,5 proc. (Protokół posiedzenia z 27 kwietnia 1942 r.). Do maja 1943 r. udział surówki przeznaczonej na bezpośrednie uzbrojenia podwyższyliśmy do 52 proc. (Protokół Centrali Planowania z 4 maja 1943 r.). Tak więc na uzbrojenia przyznano w 1943 r. o 5900 tys. ton surówki więcej niż przed rozpoczęciem mojej działalności, przy czym należy uwzględnić udział procentowy w zwiększonej tymczasem produkcji stali w wysokości 1 300 tys. ton.

20 U Wagenfuhra (*Die Deutsche Industrie im Krieg 1939-1945*) przeciwstawione jest ograniczenie produkcji brytyjskiego i niemieckiego przemysłu środków konsumpcyjnych: jeśli przyjąć 1938 r. za 100 proc., to w 1940 r. produkcja ta wynosiła w Niemczech nadal 100 proc., w Anglii 87 proc., w 1941 r. w Niemczech 97 proc., w Anglii 81 proc., w 1942 r. w Niemczech 88 proc., w Anglii 79 proc. Należy przy tym wziąć pod uwagę, że w Anglii przed wojną było jeszcze bezrobocie, a zatem niższa stopa życiowa niż w Niemczech.

21 Protokoły konferencji u fuhrera z 5/6 marca 1942 r. (pkt 12), z 19 marca 1942 r. (pkt 36), z 13 maja 1942 r. (pkt 20) i z 18 maja 1942 r. (pkt 9). *Kronika* (21 maja 1942 r.) przynosi informację o ogłoszeniu bankructwa Dorpmullera i o jego propozycji, abym objął funkcję dyktatora w dziedzinie komunikacji.

22 W 1942r. wyprodukowaliśmy 2637 lokomotyw, podczas gdy w 1941 r., na skutek istnienia wielkiej liczby typów lokomotyw, wyprodukowano ich 1918; w 1943 r. wyprodukowaliśmy 5243 lokomotywy, co w porównaniu z rokiem 1941 oznaczało wzrost 2,7 razy, a podwojenie produkcji w porównaniu z rokiem 1942.

23 *Kronika* z 1942 r.: „Minister powrócił samolotem do Berlina 4 czerwca... Wieczorem odbyła się w Harnackhaus prelekcja na temat rozbicia atomu i budowy reaktora uranowego oraz cyklotronu”.

24 Jeszcze 19 grudnia 1944 r. pisałem do profesora Gerlacha, któremu powierzono kierownictwo realizacji projektu reaktora uranowego: „Zawsze może Pan liczyć na moją pomoc w przezwyciężaniu trudności hamujących pracę. Mimo ogromnej koncentracji wszystkich sił na rzecz zbrojeń zawsze jeszcze możliwe jest przyznanie Panu stosunkowo niewielkich (!) przecież środków na prowadzenie Pańskich prac”.

25 23 czerwca w protokole mojej narady z Hitlerem (pkt 15) zostało tylko zanotowane: „Zrelacjonowano krótko fuhrerowi sprawę rozbicia atomu i udzieloną przez nas pomoc”.

26 *Kronika*, 31 sierpnia 1943 r. i marzec 1944 r. W 1940 r. w Belgii skonfiskowano 1200 ton rudy uranowej. Nie forsowano wydobycia naszej własnej rudy

uranowej w Joachimstal.

27 Od 1937 do 1940 r. wojska lądowe wydatkowały na skonstruowanie wielkiej rakiety 550 mln RM. Sukces nie był jednak możliwy, ponieważ wskutek hitlerowskiej zasady dzielenia nawet w dziedzinie badań naukowych najróżniejsze grupy pracowały niezależnie od siebie i często w przeciwnych kierunkach. Według *Kroniki* (17 sierpnia 1944 r.) obok trzech rodzajów sił zbrojnych również inne instytucje, jak SS, poczta itd., posiadały samodzielny aparat badawczy. Natomiast w Stanach Zjednoczonych na przykład wszyscy fizycy atomowi byli zgrupowani w jednej organizacji.

28 Według L.W. Helwiga (*Personlichkeiten der Gegenwart 1940*) Lenard zwalczał „obce nam duchowo teorie względności”. W jego czterotomowym dziele *Die Deutsche Physik* (1935) przedstawiona jest, według Helwiga, „fizyka oczyszczona z wypaczeń, które zgodnie z powszechnie już znanymi rezultatami nauki o rasach zostały bez wyjątku rozpoznane jako wytwory ducha żydowskiego, a których naród niemiecki ma się wystrzegać, jako niegodnych go”.

Rozdział 17

NACZELNY DOWÓDCA HITLER

Dyletantyzm był jedną z charakterystycznych cech Hitlera. Nie wyuczył się on żadnego zawodu i w gruncie rzeczy na zawsze pozostał outsiderem. Jak wielu samouków nie potrafił ocenić, co znaczy prawdziwa wiedza fachowa. Nie rozumiejąc, że z każdym wielkim zadaniem związany jest cały kompleks trudności, brał na siebie bez umiaru coraz to nowe funkcje. Jego bystry umysł, nie obciążony wtłoczonymi weń poglądami, dodawał mu odwagi do rozpoczynania niezwykle przedsięwzięć, które fachowcowi nie przyszyby w ogóle do głowy. Sukcesy strategiczne w pierwszych latach wojny można wręcz przypisać temu, że Hitler nie przyjmował do wiadomości reguł gry i że znajdował właściwą laikowi przyjemność w podejmowaniu decyzji. Ponieważ przeciwnik kierował się regułami, których autodydaktyczne samowładztwo Hitlera nie znało lub nie stosowało się do nich, prowadziło to w efekcie do zaskoczenia, stwarzającego, w połączeniu z przewagą militarną, pierwszą przesłankę sukcesów. Kiedy jednak pojawiły się niepowodzenia, Hitler, jak większość nefachowców, ponosił fiasko. Jego nieznamość reguł gry stawała się wówczas rodzajem niezdolności, braki przestawały być zaletą. Im większe były niepowodzenia, tym silniej i zacieklej ujawniał się jego niepoprawny dyletantyzm. Skłonność do podejmowania nieoczekiwanych i zaskakujących decyzji przez długi czas stanowiła siłę Hitlera; obecnie przyspieszała jego klęskę.

Co dwa lub trzy tygodnie jeździłem z Berlina na parę dni do głównej kwatery Hitlera w Kętrzynie, a później również w Winnicy, aby mógł wydać decyzje w wielu szczegółowych kwestiach technicznych, którymi się interesował jako naczelny dowódca armii. Znał wszystkie rodzaje broni i amunicji, ich kaliber, długość lufy i donośność, pamiętał zarówno stan zapasów najważniejszego uzbrojenia, jak i miesięczną produkcję sprzętu bojowego. Potrafił szczegółowo porównywać nasze plany z dostawami i wyciągać wnioski.

Naiwna radość Hitlera, że potrafi dziś błyszczeć w dziedzinie zbrojeń znajomością liczb i danych, tak jak niegdyś błyszczał znajomością konstrukcji samochodów lub architektury, świadczyła, że tu również był dyletantem; wydawało się, że ustawicznie stara się dorównywać fachowcom lub nawet ich przewyższać. Prawdziwy fachowiec nie

obciążałby niepotrzebnie pamięci szczegółami, które mógł znaleźć w

dokumentach lub kazać sobie dostarczyć. Hitler natomiast uważał za konieczne demonstrowanie swej wiedzy; notabene znajdował w tym również radość.

Swoje informacje czerpał z wielkiej księgi w czerwonej oprawie, przeciętej szerokim złotym pasem. Ten stale uzupełniany katalog, zawierający dane o 30-50 różnych rodzajach amunicji i broni, leżał zawsze na jego nocnym stoliku. Lokaj Hitlera często na jego polecenie przynosił tę książkę, kiedy podczas porad wojskowych chciał on skorygować jakąś liczbę, wymienioną przez któregoś ze współpracowników. Otwierano księgę, dane potwierdzały się punkt po punkcie, niewiedza generała zostawała zdemaskowana. Pamięć Hitlera do liczb była zmorą jego otoczenia.

Potrafił wprawdzie zastraszać w ten sposób większość oficerów ze swego otoczenia, sam jednak czuł się niepewnie, ilekroć zetknął się z kimś, kto niezaprzeczalnie był fachowcem. Gdy spotkał się ze sprzeciwem specjalisty, nigdy nie upierał się przy swoim zdaniu.

Mój poprzednik, Todt, życzył sobie niekiedy, aby towarzyszyli mu dwaj najbliżsi współpracownicy, Xaver Dorsch i Karl Saur, czasem zabierał z sobą również któregoś ze swoich ekspertów. Przywiązywał jednak wagę do referowania spraw osobiście i odwoływał się do swych współpracowników tylko w zawiłych szczegółach. Ja od samego początku nie zadawałem sobie w ogóle trudu uczenia się na pamięć liczb, które Hitler i tak lepiej pamiętał. Wykorzystując natomiast jego respekt dla fachowców, brałem zawsze na narady tych spośród nich, którzy najlepiej orientowali się w poszczególnych punktach tematu.

W taki sposób uwolniłem się od koszmaru „konferencji z fuhrerem”, który zapędzał człowieka w kozi róg lawiną liczb i danych technicznych. Regularnie zjawiałem się w głównej kwaterze Hitlera w towarzystwie około dwudziestu cywilów. Wkrótce w pierwszej strefie ochronnej zaczęto dowcipkować na temat speerowskiej inwazji. Stosownie do punktów narady, do udziału w niej zapraszano kolejno dwóch

czterech moich fachowców. Narady odbywały się w sali służącej zwykle do omawiania sytuacji, w bezpośredniej bliskości prywatnych pokoi Hitlera w kwaterze głównej. Była to skromnie umeblowana sala, o powierzchni około 80 metrów kwadratowych i ścianach wyłożonych jasną boazerią. Pod wielkim oknem stał ciężki, dębowy, czterometrowej długości stół z mapami, w jednym z rogów mniejszy stół i sześć foteli. Tu zasiadaliśmy podczas naszych konferencji.

Osobiście w toku tych konferencji zachowywałem możliwie jak największą rezerwę. Otwierałem naradę, referując krótko jej temat, po czym zwracałem się do obecnych fachowców, aby wyłożyli swoje poglądy. Ludzi tych nie onieśmielały ani niezliczone zastępy generałów i

adiutantów, ani mnóstwo wart, kontroli i przepustek, ani nimb, jakim cały ten aparat otaczał Hitlera. Dzięki wieloletniemu poważnemu doświadczeniu zawodowemu zdawali oni sobie doskonale sprawę ze swej rangi i odpowiedzialności. Rozmowa przekształcała się niekiedy w gorącą dyskusję, nierzadko bowiem zapominali, z kim ją prowadzą. Hitler przyjmował wszystko po części z humorem, po części z respektem; w tym kręgu okazywał skromność i traktował uczestników narad z zadziwiającą uprzejmością. Wobec nich rezygnował także ze swej taktyki, która polegała na dławieniu opozycji długimi, wyczerpującymi i obezwładniającymi przemówieniami. Potrafił odróżniać rzeczy zasadnicze od mniej ważnych, był bystry i zaskakiwał szybkością, z jaką dokonywał wyboru jednej z wielu możliwości i uzasadniał go. Bez trudu orientował się w szczegółach technicznych, w planach i szkicach. Jego pytania świadczyły o tym, że w krótkim czasie, gdy referowano problem, chwycił istotę nawet skomplikowanych tematów konferencji. Nie zauważał jednak ujemnych stron: zbyt łatwo dochodził do sedna sprawy, aby móc ją w pełni pojąć.

Nigdy nie potrafiłem przewidzieć, jaki będzie wynik naszych narad. Czasem bez słowa Hitler zgadzał się na propozycję, której szansę wydawały się nikłe, czasem zaś uparcie sprzeciwiał się realizacji marginesowych posunięć, których nieco wcześniej sam się domagał. Mimo to mój system, polegający na obalaniu szczegółowej wiedzy Hitlera przy pomocy fachowców, którzy dysponowali wiedzą jeszcze bardziej szczegółową, przynosił więcej sukcesów niż porażek. Inni jego współpracownicy stwierdzali ze zdumieniem i nie bez zazdrości, że Hitler po takich konferencjach z fachowcami nierzadko zmieniał poglądy, które wcześniej, omawiając sytuację militarną, określał jako niewzruszone, i potem przyjmował nasze, odbiegające od nich propozycje¹.

Horyzonty techniczne Hitlera, podobnie jak jego światopogląd, zapatrywania na sztukę i styl życia, właściwie kończyły się na pierwszej wojnie światowej. Jego zainteresowania techniczne były jednostronne i ograniczały się do tradycyjnych broni wojsk lądowych i morskich. W tych dziedzinach stale się doksztalał i pogłębiał swoją wiedzę; proponował też często przekonywające i pożyteczne innowacje. Niewiele jednak przejawiał zrozumienia dla wynalazków, takich na przykład, jak radar, bomba atomowa, samoloty odrzutowe i rakiety. W czasie rzadkich lotów nowo wyprodukowanym „Condorem” niepokoił się, że przestanie funkcjonować mechanizm, przy pomocy którego chowało się i wysuwało podwozie. Stwierdzał z nieufnością, że jednak bardziej mu się podoba stary Ju-52 ze sztywnym podwoziem.

Często wieczorami po naszych naradach Hitler przedstawiał wojskowym ze swego otoczenia dopiero co zdobytą wiedzę techniczną.

Lubił, niejako mimochodem, dawać do zrozumienia,
własna wiedza.

że jest to jego

Gdy pojawił się radziecki czołg T-34, Hitler triumfował przypominając, że on sam już dawniej domagał się zwiększenia długości lufy działa czołgowego. Jeszcze przed swoją nominacją na ministra słyszałem, jak Hitler po pokazie czołgu IV w ogrodzie Kancelarii Rzeszy z goryczą uskarżał się na upór zarządu uzbrojenia wojsk lądowych, który negatywnie ustosunkował się do jego przez przedłużenie lufy zwiększyć szybkość prowadzenia ognia. Zarząd uzbrojenia wysunął wtedy kontrargumenty: lufa zwiększała obciążenie przedniej części czołgu, którego konstrukcja nie była do tego przystosowana; przy tak daleko idącej zmianie pojawiało się niebezpieczeństwo utraty równowagi przez czołg.

żądania, aby

Ów incydent Hitler przypominał zawsze, ilekroć jego pomysły napotykały opór: „Miałem wówczas rację i nie chciano mi wierzyć. Teraz też mam rację!” Podczas gdy armia chciała w końcu otrzymać czołg, który by dzięki większej szybkości zyskał przewagę nad stosunkowo szybkim T-34, Hitler obstawał przy poglądzie, iż poważniejszą zaletą jest większa siła przebijania działa oraz lepsza ochrona przez zwiększenie grubości pancerza. Również w tym wypadku znał potrzebne liczby, wyniki prób na przebijalność pancerza oraz szybkość strzelania. Słuszności swej teorii dowodził zwykle na przykładzie okrętów wojennych: „Ten, kto w bitwie morskiej dysponuje działami o większym zasięgu, może otworzyć ogień z większej odległości. Wystarczy choćby tylko kilometr. Do tego mocniejsze opancerzenie... na pewno będzie miał wtedy przewagę! A panowie, czego chcecie?

Szybszy okręt ma tylko jedną możliwość: wykorzystać większą prędkość, aby oderwać się od nieprzyjaciela. A może chcą mi panowie udowodnić, że dzięki większej prędkości może on pokonać mocniejsze opancerzenie i przewagę artylerii? Z czołgiem jest zupełnie tak samo. Lżejszy i szybszy czołg ustępuje ciężkiemu”.

W dyskusjach tych moi fachowcy z przemysłu nie brali bezpośrednio udziału. Mieliśmy budować czołg zgodnie z wymaganiami armii, niezależnie od tego, czy pochodziły one od Hitlera, od Sztabu Generalnego Wojsk Lądowych czy od ich zarządu uzbrojenia. Nie obchodziły nas problemy taktyki wojennej; dyskusje wiedli przeważnie oficerowie. W roku 1942 Hitler unikał jeszcze ucinania takich dyskusji jednym energicznym słowem. Wówczas jeszcze spokojnie wysłuchiwał zastrzeżeń i równie spokojnie przedstawiał swoje argumenty. Co prawda miały one szczególną wagę.

„Tygrys”, który początkowo miał ważyć 50 ton, w rezultacie żądań Hitlera osiągnął wagę 75 ton, toteż postanowiliśmy opracować nowy, trzydziestotonowy czołg; już sama jego nazwa - „Pantera” - miała wskazywać na większą szybkość i zwrotność. Czołg ten miał być lżejszy, ale miał posiadać silnik tej samej mocy co „Tygrys” i dzięki temu

większą prędkość. Jednakże w ciągu roku Hitler znowu kazał tak

zwiększyć jego opancerzenie i uzbrojenie, że w końcu osiągnął wagę 48 ton, czyli początkową wagę „Tygrysa”.

Pragnąc zrekomensować tę osobliwą przemianę szybkiej „Pantery” w powolnego „Tygrysa”, wypuściliśmy później serię małych, lekkich i znów szybszych czołgów². Aby ucieszyć i uspokoić Hitlera, Porsche zaczął jednocześnie opracowywać projekt superciężkiego czołgu, ważącego ponad 100 ton, który już choćby z tego powodu mógł być produkowany tylko w niewielkiej ilości. Dla zmylenia wywiadu to nowe monstrum otrzymało kryptonim „Mysz”. Porsche zresztą przejął upodobanie Hitlera do superciężkości i od czasu do czasu przynosił mu informacje o podobnej produkcji nieprzyjaciela. Kiedyś Hitler wezwał generała Buhlego i zwrócił się do niego z żądaniem: „Właśnie dowiedziałem się, że nieprzyjaciel przygotowuje czołg o pancerzu znacznie grubszym niż nasze czołgi. Czy ma pan już odnośną dokumentację? Jeśli to prawda, natychmiast... trzeba wyprodukować nowe działo przeciwpancerne. Siła przebijania musi... trzeba powiększyć kaliber działa albo wydłużyć lufę, krótko i węzłowato, natychmiast trzeba zareagować. Natychmiast!”

Zasadniczy błąd polegał na tym, że Hitler objął nie tylko Naczelne Dowództwo Wehrmachtu, ale także Naczelne Dowództwo Wojsk Lądowych, a w tym -jako swoje „hobby” - budowę czołgów. Normalną kolejną rzeczą kwestie takie powinny być rozstrzygane między oficerami Sztabu Generalnego, oficerami z zarządu uzbrojenia wojsk lądowych a przemysłową komisją uzbrojenia. Naczelny dowódca wojsk lądowych winien był się włączać tylko w niecierpiących zwłoki wypadkach. Nie istniał zwyczaj dawania oficerom fachowcom wskazówek co do najdrobniejszych szczegółów. Było to równie niebywałe, jak szkodliwe, Hitler bowiem pozbawiał w ten sposób swoich oficerów poczucia odpowiedzialności i wyrabiał w nich postawę obojętności.

Decyzje Hitlera prowadziły nie tylko do tego, że pracowano jednocześnie nad wieloma podobnymi rozwiązaniami, lecz stwarzały również coraz bardziej skomplikowane problemy zaopatrzeniowe. Szczególnie dawał się we znaki jego brak zrozumienia dla konieczności dostarczania oddziałom dostatecznej ilości części zamiennych³. Inspektor generalny oddziałów pancernych, generał pułkownik Guderian, często mówił mi, że więcej czołgów gotowych do akcji można mieć dzięki szybkim remontom niż dzięki nowej produkcji kosztem części zamiennych, i to przy ułamku tych nakładów. Hitler, popierany przez szefa mego urzędu, Saura, obstawał przy priorytecie dla produkcji nowych czołgów. Produkcja ta mogłaby być o 20 procent niższa, gdyby wyremontowano uszkodzone, ale nadające się do naprawy czołgi.

Kilka razy wziąłem ze sobą do Hitlera generała pułkownika Fromma, ponieważ tego rodzaju anomalie należały do jego dziedziny jako szefa rezerwy, i chciałem, aby miał okazję przedstawić argumenty

armii. Fromm umiał precyzyjnie formułować wypowiedzi, był zdecydowany i miał zdolności dyplomatyczne. Z szablą między

kolanami, z dłonią na jej rękojeści siedział tryskający energią -jeszcze dziś jestem przekonany, że dzięki swym wielkim zdolnościom zapobiegał w głównej kwaterze fuhrera wielu błędnym decyzjom. Po kilku naradach jego wpływ rzeczywiście się zwiększył. Ale natychmiast ujawniły się opory, zarówno ze strony Keitla, który obawiał się o swoją pozycję, jak i ze strony Goebbelsa, który wystawił mu wobec Hitlera złe świadectwo polityczne. Następnie zaś doszło do starcia między nim a samym Hitlerem na temat jakiegoś problemu zaopatrzeniowego. Hitler z miejsca dał mi do zrozumienia, że bym nie przyprowadzał więcej Fromma.

Centralnym punktem wielu narad u Hitlera było ustalanie planów zbrojeniowych armii. Jego stanowisko było następujące: im więcej żądam, tym więcej dostaję. Ku mojemu zdumieniu plany, których wykonanie fachowcy z przemysłu uważali za niemożliwe, w końcu były nawet przekraczane. Autorytet Hitlera wyzwalał rezerwy, których nikt nie brał pod uwagę. Ale od roku 1944 wydawał utopijne rozkazy; nasze próby przeforsowania ich w fabrykach przynosiły w wyniku raczej spadek produkcji.

Jak mi się wydawało, Hitler w tych wielogodzinnych konferencjach na temat zbrojeń i produkcji wojennej często szukał ucieczki od swej odpowiedzialności wojskowej. Sam mówił mi niekiedy, że w tych konferencjach znajduje podobne odprężenie, jak w naszych rozmowach o architekturze. Nawet w okresach krytycznego położenia poświęcał im wiele godzin; czasami właśnie wtedy, kiedy feldmarszałkowie czy ministrowie mieli do niego pilne sprawy.

Z naszymi konferencjami łączyły się zwykle pokazy nowej broni, odbywające się na pobliskim placu. Dopiero przed chwilą siedzieliśmy swobodnie z Hitlerem - teraz wszyscy musieli stawać w szeregu, szef Naczelnego Dowództwa Wehrmachtu, feldmarszałek Keitel, na prawym skrzydle. Gdy zjawiał się fuhrer, Keitel meldował ustawionych w szeregu generałów i inżynierów. Hitler najwyraźniej przywiązywał wagę do tego rodzaju ceremonii. Chcąc jeszcze bardziej podkreślić formalny charakter wydarzenia, aby podjechać do odległego o paręset metrów placu, wsiadał do odkrytego samochodu, w którym ja zajmowałem miejsce z tyłu.

Po meldunku Keitla grupa momentalnie się rozchodziła: Hitler kazał pokazywać sobie detale, po przygotowanych stopniach wspinał się do pojazdów i kontynuował dyskusję z fachowcami. Często obaj wygłaszaliśmy o nowych typach pochlebne uwagi w rodzaju: „Cóż za elegancka lufa!” albo: „Jak piękną linie ma ten czołg!” - dziwaczny nawrót do terminologii, którą posługiwaliśmy się podczas wspólnego oglądania makiet architektonicznych.

W czasie jednego z takich pokazów Keitel wziął 75-milimetrowe działo przeciwpancerne za lekką haubicę polową. Hitler pominął milczeniem tę pomyłkę, ale w drodze powrotnej zakpił sobie: „Słyszał pan? Keitel i to działo przeciwpancerne. I on jest generałem artylerii!”

Innym razem na pobliskim lotnisku Luftwaffe zgromadziła liczne produkowane przez siebie typy i modele, aby Hitler mógł je obejrzeć. Goring zastrzegł sobie, że sam będzie udzielał fuhrerowi objaśnień. Jego sztab przygotował mu w tym celu listę z opisem wszystkich samolotów w takiej kolejności, w jakiej były ustawione, z danymi dotyczącymi osiągow i różnymi szczegółami technicznymi. Tymczasem jeden z typów samolotów nie został w porę nadesłany, o czym Goringa nie poinformowano. W doskonałym humorze, od pewnego miejsca podawał informacje dotyczące innych samolotów, ponieważ ściśle trzymał się listy. Hitler natychmiast to zauważył, lecz nie dał nic po sobie poznać.

W końcu czerwca 1942 roku przeczytałem w gazecie, podobnie jak wielu innych, że na Wschodzie zaczęła się nowa wielka ofensywa. W kwaterze głównej panował radosny nastrój. Przez całą wieczór główny adiutant Hitlera, Schmundt, na mapie ściennej objaśniał ruchy wojsk cywilom przebywającym w kwaterze głównej. Hitler triumfował. Jeszcze raz udowodnił swoją rację generałom, którzy odradzali ofensywę, zalecając taktykę defensywną i od czasu do czasu jakieś korektury frontu. Również generał pułkownik Fromm tym razem był nastrojony optymistycznie, choć powiedział mi, gdy operacja się zaczęła, że w sytuacji „biednego człowieka”, w jakiej się znajdujemy, jest ona luksusem.

Lewe skrzydło na wschód od Kijowa coraz bardziej się wydłużało. Wojska zbliżały się do Stalingradu. Czyniliśmy ogromne wysiłki, aby umożliwić prowizoryczną komunikację kolejową na nowo zdobytym terytorium i utrzymać ciągłość zaopatrzenia.

W niecałe trzy tygodnie po rozpoczęciu udanego pochodu naprzód fuhrer przeniósł się do wysuniętej kwatery głównej w pobliżu ukraińskiego miasta Winnicy. Ponieważ lotnictwo radzieckie nie przejawiało aktywności, a Zachód był zbyt daleko, Hitler - przy całej swej ostrożności - nie zażądał, aby ta kwatera posiadała specjalne schrony. Zamiast betonowych budowli powstało miłe dla oka osiedle rozrzuconych po lesie drewnianych domów.

Korzystałem z moich lotów do kwatery głównej, aby w wolnych chwilach podróżować po kraju. Kiedyś pojechałem też do Kijowa. Podczas gdy bezpośrednio po Rewolucji Październikowej nowoczesne budownictwo radzieckie powstawało pod wpływem awangardzistów, takich jak Le Corbusier, May czy El Lissitzky, w końcu

lat dwudziestych zapanował styl konserwatywno-klasycystyczny. Na przykład Dom Zjazdów w Kijowie mógł zaprojektować jakiś dobry uczeń Ecole des Beaux Arts. Zastanawiałem się, czyby go nie odnaleźć i nie zatrudnić w Niemczech. Klasycystyczny stadion ozdobiony był na wzór antyczny posągami atletów.

Jedną z najslynniejszych cerkwi Kijowa ujrzałem w gruzach. Powiedziano mi, że mieścił się tam magazyn prochu, który wyleciał w powietrze. Później dowiedziałem się od Goebbelsa, iż cerkiew tę wysadzono na rozkaz „komisarza Rzeszy na Ukrainę”, Ericha Kocha, aby zniweczyć ów symbol ukraińskiej dumy narodowej. Goebbels opowiadał to z dezaprobatą; był przerażony bezwzględny kurs, przyjęty na okupowanej części ZSRR. W rzeczywistości w owym czasie na Ukrainie było jeszcze tak spokojnie, że mogłem bez eskorty podróżować przez rozległe lasy, natomiast pół roku później wskutek zmienionej polityki komisarzy wschodnich tereny te naszpikowane były oddziałami partyzanckimi.

Inna podróż zawiodła mnie do ośrodka przemysłowego - Dniepropietrowska. Największe wrażenie zrobiło na mnie będące w stadium budowy miasteczko uniwersyteckie, które rozmiarami przewyższało wszystkie takie budowle niemieckie i dawało imponujące wyobrażenie o dążeniu Związku Radzieckiego do stania się potęgą techniczną pierwszej rangi. Obejrzałem też wysadzoną przez Rosjan elektrownię w Zaporżu; po załataniu przez liczną ekipę budowlaną wyrw w zaporze, spowodowanych przez wybuch, zamontowano tam niemieckie turbiny. Rosjanie, wycofując się, przez przełożenie dźwigni smarowniczej odcięli oliwienie znajdujących się w pełnym ruchu maszyn; maszyny zagrzały się i w rezultacie zamieniły w płataninę bezużytecznych detali; była to nader skuteczna metoda zniszczenia, którego mógł dokonać zaledwie jeden człowiek jednym pociągnięciem dźwigni. Myśl o tym później, kiedy dowiedziałem się o zamiarach Hitlera, Niemcy w pustynię, spędzała mi sen z powiek.

żeby zamienić

Również w głównej kwaterze Hitler zachował zwyczaj spożywania posiłków w gronie najbliższych współpracowników. O ile jednak w Kancelarii Rzeszy dominowały mundury partyjne, o tyle teraz bywał otoczony generałami i oficerami swego sztabu. W przeciwieństwie do luksusowo umeblowanej sali Kancelarii Rzeszy obecna jadalnia przypominała raczej restaurację dworcową w jakimś miasteczku. Ściany oszalowane deskami, znormalizowane barakowe okna, długi stół, mniej więcej na dwadzieścia osób, otoczony prostymi krzesłami. Hitler zajmował miejsce od strony okien, pośrodku stołu; Keitel siadał naprzeciw niego, podczas gdy honorowe miejsca obok fuhrera przeznaczone były dla gości. Jak dawniej w Berlinie, Hitler perorował

nieprzerwanie na swoje odwieczne, ulubione tematy,

współbiesiadnikom natomiast pozostawało tylko przysłuchiwanie się w milczeniu. Wyraźnie jednak starał się przedstawiać swoje myśli obecnemu gronu

- tak mu obcemu i przewyższającemu go zresztą pochodzeniem i wykształceniem - w sposób możliwie jasny⁴. Tak więc poziom rozmów przy stole w głównej kwaterze fiihrera różnił się korzystnie od rozmów w Kancelarii Rzeszy.

W przeciwieństwie do pierwszych tygodni ofensywy, kiedy w czasie posiłków w dobrym nastroju omawialiśmy szybkie postępy na południowych równinach ZSRR, po ośmiu tygodniach twarze stawały się coraz bardziej zatroskane i nawet Hitler zaczął tracić pewność siebie,

Nasze wojska zajęły wprawdzie pola naftowe w Majkopie, czoło oddziałów pancernych walczyło nad Terekiem i posuwało się przez rozległe, puste stopy koło Astrachania w kierunku Wołgi, nie było już jednak mowy o tempie pierwszych tygodni. Zaopatrzenie nie nadążało, zabrane początkowo części zamienne dawno się wyczerpały, tak że oddziały wysunięte do przodu coraz bardziej się kurczyły. Również nasza miesięczna produkcja uzbrojenia nie pozostawała w żadnej proporcji do potrzeb ofensywy na tak ogromnych przestrzeniach; produkowaliśmy wówczas tylko jedną trzecią czołgów i jedną czwartą dział w porównaniu z rokiem 1944. Niezależnie od tego przy takich odległościach sprzęt bardzo się zużywał, zanim jeszcze doszło do walki. Placówka doświadczalna w Kummersdorf, gdzie wypróbowywano czołgi, zakładała, że w wypadku ciężkiego czołgu po 600-800 kilometrach podwozie lub silnik wymagają remontu.

Hitler nic nie rozumiał. Zamierzając wykorzystać rzekomą słabość przeciwnika, chciał zmusić swe wyczerpane już wojska do posuwania się naprzód na południową stronę Kaukazu, do Gruzji. W związku z tym odłączył od i tak osłabionego czoła wojsk znaczne siły, które najpierw miały uderzyć na Soczi, a stamtąd wąską drogą wzdłuż wybrzeża dotrzeć dalej na południe, do Suchumi. Rozkazał jak najdobitniej, aby główne uderzenie poszło tamtędy; sądził, że tereny na północ od Kaukazu i tak bez trudu wpadną mu w ręce.

Armia jednak była u kresu sił. Mimo wszystkich rozkazów Hitlera nie posuwała się naprzód. Podczas omawiania sytuacji militarnej pokazywano mu zdjęcia lotnicze nieprzebytych lasów orzechowych, zagradzających drogę do Soczi. Szef Sztabu Generalnego, Halder, próbował przekonać fuhrera, że działania na południu nie mogą zakończyć się sukcesem; Rosjanie bowiem wysadzając urwiste zbocza skalne mogli na dłuższy okres zatarasować drogę wzdłuż wybrzeża, która zresztą i tak była za wąska dla przemarszu większych jednostek. Na Hitlerze nie robiło to jednak wrażenia: „Te trudności można

przewyciężyć, tak jak można przewyciężyć wszystkie trudności!
Najpierw trzeba opanować drogi. Wtedy będziemy mieć wolny dostęp do

równin na południe od Kaukazu. Tam będziemy mogli spokojnie przegrupować armie i założyć obóz zaopatrzeniowy. A za rok lub dwa rozpoczniemy ofensywę wymierzoną w podbrzusze imperium brytyjskiego. Niewielkimi siłami możemy uwolnić Iran i Irak. Hindusi z radością powitają nasze dywizje".

Gdy w 1944 roku eliminowaliśmy zbędne zlecenia dla drukarń, natknęliśmy się w Lipsku na zlecenie Naczelnego Dowództwa Wehrmachtu, na podstawie którego wciąż jeszcze drukowano w wielkich ilościach mapy i przewodniki językowe na Iran. Zapomniano anulować to zlecenie.

Nawet laik mógł bez trudu stwierdzić, że ofensywa skazana jest na zagładę. W tym momencie nadszedł meldunek, że oddział naszych wojsk górskich zdobył Elbrus, najwyższy szczyt Kaukazu, otoczony zewsząd lodowcami, i zatknął na nim niemiecką flagę wojenną. Z pewnością było to przedsięwzięcie niepotrzebne, dość błahe⁵, i należało je traktować tylko jako przygodę zapalonych alpinistów. Mieliśmy pełne zrozumienie dla tej wyprawy, która zresztą wydawała się nam całkiem bez znaczenia. Często widywałem Hitlera wściekłego, ale rzadko wybuchał tak, jak po tej wiadomości. Szalał przez wiele godzin, jakby ta wyprawa zrujnowała plan całej kampanii. Jeszcze po paru dniach wobec każdego, kogo spotkał, wymyślał na „pomyślonych alpinistów”, których „należy postawić pod sąd wojenny”. W środku wojny dali się ponieść idiotycznej ambicji, mówił z gniewem, wleźli na jakiś idiotyczny szczyt, choć rozkaz wyraźnie głosił, że wszystkie siły należy koncentrować na Suchumi. A tu widać, jak się słucha jego rozkazów.

Pilne sprawy wezwały mnie do Berlina. W kilka dni później naczelną dowódca grupy armii operującej na Kaukazie został odwołany, chociaż Jodl bronił go z całą energią. Gdy po jakichś dwóch tygodniach znów zjawiłem się w kwaterze głównej, Hitler był pokłócony z Keitlem, Jodlem i Halderem. Nie podawał im ręki na powitanie i nie siadał z nimi do stołu. Od tej chwili aż do końca wojny kazał podawać sobie posiłki w swoim pokoju w schronie, dokąd tylko od czasu do czasu zapraszał wybranych. Stosunki fuhrera z jego wojskowym otoczeniem zostały na zawsze zerwane.

Czy przyczyną tego była w istocie tylko ostatecznie zakończona niepowodzeniem ofensywa, w której pokładał tyle nadziei, czy też po raz pierwszy przeczuwał nadchodzący zwrot? Fakt, że nie zasiadał teraz razem z oficerami do stołu, mógł wynikać stąd, że nie był już wśród nich triumfator, lecz tym, co przegrał. Ponadto ogólne idee, którymi ich raczył jako dyletant, wyczerpały się już chyba i być może czuł, jak po raz pierwszy zawiodła jego magia.

Po pewnym czasie Hitler zaczął znów nieco przyjaźniej traktować Keitla, który przez parę tygodni snuł się z zatroskanym

obliczem i okazywał gorliwość; również z Jodlem, który zgodnie ze

swym usposobieniem nie zdradzał żadnej reakcji, sprawy wkrótce się ułożyły. Natomiast szef Sztabu Generalnego Wojsk Lądowych, generał pułkownik Halder, musiał odejść; był to spokojny, zamknięty w sobie człowiek, który chyba nie potrafił się oswoić z wulgarnym dynamizmem Hitlera i stale sprawiał wrażenie trochę bezradnego. Następca Haldera, Kurt Zeitzler, stanowił jego zupełne przeciwieństwo: otwarty, niewrażliwy, o donośnym głosie. Nie był typem samodzielnie myślącego wojskowego, a więc uosabiał chyba właśnie to, czego chciał Hitler: niezawodnego „pracownika pomocniczego”, który „nie myśli najpierw długo nad tym, co rozkazałem, lecz energicznie zabiera się do wykonania rozkazu”. Dlatego też chyba nie wybrał go z grona wyższej generalicji; Zeitzler pracował do tej pory na jakimś niższym szczeblu w hierarchii wojsk lądowych i z okazji nominacji awansowano go od razu o dwa stopnie.

Po nominacji nowego szefa Sztabu Generalnego Hitler pozwolił, abym - na razie jako jedyny cywil⁶ - brał udział w tak zwanym omawianiu sytuacji. Mogłem to uważać za szczególny dowód jego zadowolenia, do którego zresztą miał wszelkie powody, wysokość produkcji bowiem stale rosła. Nie dałby mi chyba tego zezwolenia, gdyby się obawiał, że narażę na szwank jego prestiż, sprzeciwiając się czy też prowadząc dyskusje i spory. Burza ucichła, Hitler znów odzyskał równowagę.

Codziennie o dwunastej odbywała się „wielka narada sytuacyjna”, trwająca z reguły dwie lub trzy godziny. Hitler jako jedyny siedział w prostym fotelu z wyplatany siedzeniem przy długim stole, na którym rozłożone były mapy. Wokół tego stołu stali uczestnicy narady: prócz adiutantów oficerowie sztabu Naczelnego Dowództwa Wehrmachtu, Sztabu Generalnego Wojsk Lądowych, oficerowie łącznikowi lotnictwa, marynarki, SS i oficer łącznikowy między Hitlerem a Himmlerem; byli to zwykle młodzi, sympatyczni ludzie, w większości w randze pułkownika lub majora. Wśród nich oczywiście Keitel, Jodl i Zeitzler. Czasami przychodził również Goring. Hitler kazał przynosić wyściełany stołek, na którym Goring siadał obok niego. Ze strony Hitlera było to szczególne wyróżnienie; może robił to także z uwagi na jego tuszę.

Lampy biurowe na długich ramionach oświetlały mapy. Najpierw omawiano sytuację na wschodnim teatrze działań wojennych. Trzy lub cztery sklezione razem mapy sztabowe, z których każda miała w przybliżeniu 2,5 na 1,5 metra, kładziono kolejno na stół przed Hitlerem. Zaczynano od północnej części wschodniego teatru wojennego. Na mapach naniesione były wszystkie szczegóły z poprzedniego dnia, wszystkie natarcia, nawet akcje zwiadowcze, i szef Sztabu Generalnego objaśniał prawie każdy punkt. Mapy przesuвано fragment po

fragmencie, tak że Hitler ciągle miał w zasięgu wzroku przejrzysty wycinek. Ważniejszym wydarzeniom poświęcano więcej czasu, przy czym Hitler dokładnie zaznaczał wszystkie zmiany w porównaniu z dniem poprzednim. Samo tylko przygotowanie codziennej tej relacji — które w wypadku wschodniego teatru działań trwało godzinę lub dwie, a jeśli zaszło coś ważnego, to nawet znacznie dłużej — było niesłychanym obciążeniem czasowym dla szefa Sztabu Generalnego i jego oficerów, mających poważniejsze zadania. Jako laik byłem zdumiony, że Hitler podczas takiej relacji wydawał polecenia, przesuwał dywizje z miejsca na miejsce lub dawał rozkazy dotyczące szczegółów.

Przy tym, przynajmniej jeszcze w 1942 roku, poważne niepowodzenia przyjmował ze spokojem, a może nawet z apatią, której pierwsze oznaki zaczęły się pojawiać. Nie okazywał jednak zwątpienia, konsekwentnie trzymając się wizerunku wyniosłego, niewzruszonego wodza. Często podkreślał, że jego doświadczenia z okopów pierwszej wojny światowej lepiej pomagają mu zrozumieć wiele szczegółów militarnych niż wszyscy jego doradcy wojskowi ze szkoły Sztabu Generalnego. Niewątpliwie w odniesieniu do pomniejszych dziedzin było to słuszne, lecz zdaniem wielu oficerów właśnie pod wpływem tej „okopowej perspektywy” wytwarzał sobie niewłaściwy obraz procesu dowodzenia. Jego szczegółowa wiedza — byłego gefreitra — w tym wypadku stanowiła przeszkodę. Generał pułkownik Fromm stwierdził lakonicznie, że jako naczelny dowódca byłby chyba lepszy cywil niż gefreiter, który ponadto nigdy nie walczył na Wschodzie i nie potrafił zrozumieć jego specyficznych problemów.

Hitler uprawiał strasznie drobiazgową „fuszerkę”. Musiał przy tym liczyć się z tą niedogodnością, że z map tylko z grubsza można odczytać konfigurację terenu. Na początku lata 1942 roku osobiście zarządził wprowadzenie do akcji pierwszych sześciu gotowych „Tygrysów”, po czym jak zawsze, gdy pojawiała się nowa broń, oczekiwał sensacji. Z zapalem roztaczał przed nami obraz radzieckich dział przeciwpancernych kalibru 77 milimetrów, jak na próżno oddają strzał po strzale, podczas gdy nasz czołg IV trafia je na wprost z dużej odległości, i jak w końcu „Tygrysy” przetaczają się przez stanowiska artylerii. Jego sztab zauważył, że wybrany przez niego teren uniemożliwia taktyczne zastosowanie czołgów z powodu bagnistego gruntu po obu stronach drogi. Hitler odparł te zarzuty nie brutalnie, lecz zdecydowanie. Tak więc rozpoczął się pierwszy atak „Tygrysów”. Wszyscy w napięciu oczekiwali na rezultat, a ja sam bałem się trochę, czy od strony technicznej wszystko będzie w porządku. Nie doszło jednak do generalnej próby technicznej. Rosjanie z całkowitym spokojem pozwolili czołgom przejechać obok stanowiska

artylerii przeciwpancernej, by następnie oddać celne strzały w nie tak

mocno opancerzone boki pierwszego i ostatniego „Tygrysa”. Pozostałe cztery czołgi nie mogły się więc ruszyć ani do przodu, ani do tyłu, ani też zjechać na bok z powodu bagniska — i po chwili podobnie zostały unieszkodliwione przez artylerię. Hitler w milczeniu przyjął tę klęskę; nigdy więcej do tego nie wracał.

Po omówieniu „sytuacji na Wschodzie” generał pułkownik Jodl przedstawiał położenie na zachodnim teatrze działań wojennych, wówczas jeszcze w Afryce. Również wtedy Hitler był skłonny wtrącać się do każdego szczegółu. Rommel wielokrotnie wywoływał gniew fuhrera, ponieważ często dzień po dniu składał mało precyzyjne meldunki o ruchach swych wojsk, a więc „ukrywał” je przed kwaterą główną, aby potem na zasadzie zaskoczenia przedstawić zupełnie zmienioną sytuację. Hitler, który miał słabość do Rommla, zgadzał się na to, choć z niezadowoleniem.

Koordinowanie działań na różnych teatrach wojennych należało właściwie do Jodla, jako szefa sztabu dowodzenia Wehrmachtu. Mimo to Hitler wziął na siebie to zadanie, nie troszcząc się później o nie. W gruncie rzeczy kompetencje Jodla nie były jasno określone. Aby jednak mieć w ogóle jakieś pole działania, sztab dowodzenia Wehrmachtu przejął samodzielne dowodzenie na poszczególnych teatrach wojennych, tak że w końcu w wojskach lądowych istniały dwa konkurujące ze sobą sztaby generalne, wobec których Hitler występował jako rozjemca, co odpowiadało jego często wspominatej zasadzie wprowadzania podziału. Tak więc im krytyczniejsza stawała się sytuacja, tym zażarciej rywalizujące ze sobą sztaby kłóciły się o przesuwanie poszczególnych dywizji ze wschodu na zachód i odwrotnie.

Po omówieniu „sytuacji na lądzie” relacjonowano zbiorczo wydarzenia ostatnich dwudziestu czterech godzin w lotnictwie („sytuacja w powietrzu”) i marynarce („sytuacja marynarki”). Zwykle robił to oficer łącznikowy lub adiutant odnośnego rodzaju broni, rzadziej sam dowódca. Naloty na Anglię, bombardowanie miast niemieckich omawiano krótko, podobnie jak najnowsze sukcesy w wojnie podwodnej. W kwestiach prowadzenia wojny w powietrzu i na morzu Hitler zostawiał dowódcom jak największą swobodę, ingerując, przynajmniej w owym czasie, z rzadka i tylko w charakterze doradcy.

Na zakończenie Keitel przedkładał fuhrerowi pisma do podpisu. Były to na ogół częściowo stanowiące przedmiot drwin, częściowo budzące obawę „rozkazy kryjące”, to znaczy rozkazy i zarządzenia, które miały chronić Keitla czy kogokolwiek innego przed późniejszymi zarzutami Hitlera. Uważałem to wówczas za niedopuszczalne nadużywanie podpisu fuhrera, ponieważ często w ten

sposób uzyskiwały formę rozkazu zupełnie sprzeczne stanowiska i zamiary, co stwarzało istny labirynt.

Obecność wielu osób w stosunkowo niewielkim pomieszczeniu sprawiała, że powietrze stawało się ciężkie, co szybko mnie męczyło - podobnie zresztą jak większość pozostałych. Istniała tam co prawda wentylacja, ale wytwarzała, jak to określał Hitler, „nadciśnienie”, powodujące bóle głowy i uczucie oszołomienia. Dlatego też uruchamiano ją tylko przed omawianiem sytuacji i po nim. Również przy najpiękniejszej pogodzie okna były zamknięte i nawet w dzień zaciągano zasłony; wskutek tego atmosfera stawała się bardzo duszna.

Spodziewałem się, że podczas omawiania sytuacji będzie panowało pełne uszanowania milczenie, toteż byłem zdumiony, że oficerowie, którzy w danej chwili nie brali udziału w naradzie, rozmawiali bez skrepowania, choć przytłumionym głosem. W toku narad sytuacyjnych, nie zważając już na obecność Hitlera, przyłączano się do grup siedzących gdzieś z tyłu. Te liczne rozmowy na uboczu powodowały, że w sali stale słyszało się szmer głosów, co mnie wprawiało w zdenerwowanie. Hitlerowi przeszkadzały tylko zbyt ożywione i głośnie rozmowy. Kiedy jednak z dezaprobatą podnosił głowę, gwar natychmiast przycichał.

Mniej więcej od jesieni 1942 roku otwarty sprzeciw w ważnych sprawach podczas omawiania sytuacji był możliwy zaledwie w bardzo ostrożnej formie. Hitler gotów był przyjąć zarzuty raczej ze strony osób z zewnątrz, nie znosił natomiast, gdy je wysuwał ktoś z jego stałego otoczenia. On sam, kiedy usiłował kogoś przekonać, wykazywał dużą wytrwałość i próbował możliwie jak najdłużej pozostawać przy sprawach ogólnych. Swego rozmówcy niemal nie dopuszczał do głosu; jeżeli w rozmowie pojawiał się problem kontrowersyjny, Hitler najczęściej robił zręczny unik, odkładając wyjaśnienie do następnej rozmowy. Wychodził z założenia, że dowódcy wojskowi nie lubią ustępować w obecności swych oficerów sztabowych. Być może chodziło mu również o to, że podczas rozmowy w cztery oczy skuteczniej mógł wykorzystywać swą magię i dar przekonywania. Przez telefon jedno i drugie działało tylko do pewnych granic; zapewne dlatego zawsze okazywał wyraźną niechęć do prowadzenia ważnych rozmów przez telefon.

Oprócz „wielkiego omawiania sytuacji”, w późnych godzinach wieczornych odbywało się jeszcze „omówienie wieczorne”, w czasie którego jeden z młodszych oficerów sztabowych przedstawiał rozwój sytuacji w ostatnich godzinach. Podczas tego omawiania Hitler był sam z danym oficerem. Jeśli z nim jadłem, brał mnie niekiedy ze sobą. Zachowywał się wtedy niewątpliwie swobodniej niż podczas „wielkiej narady”, atmosfera była wyraźnie odprężona.

Również otoczenie Hitlera było winne temu, iż w końcu utwierdzał się on coraz bardziej w przekonaniu o swoich nadludzkich

zdolnościach. Już generał feldmarszałek Blomberg, pierwszy i ostatni hitlerowski minister Rzeszy do spraw wojny, lubił wychwalać niezwykle geniusz strategiczny Hitlera. Nawet jednostka bardziej zrównoważona i skromniejsza niż Hitler byłaby narażona, wskutek ciągłych peanów i nieustannego głośnego aplauzu, na niebezpieczeństwo zatracenia wszelkiego samokrytycyzmu.

Zgodnie ze swym charakterem Hitler chętnie przyjmował rady od osób, które oceniały sytuację jeszcze bardziej optymistycznie, z jeszcze większymi złudzeniami niż on sam. Odnosiło się to zwłaszcza do Keitla. Ilekroć Hitler podejmował decyzje, które większość oficerów przyjmowała bez aprobaty, chociaż w pełnym milczeniu, Keitel często z głębokim przekonaniem próbował poprzeć fuhrera. Przebywając ciągle bardzo blisko niego, znajdował się całkowicie pod jego wpływem. Z mającego poczucie honoru, po mieszczańsku solidnego generała z biegiem lat przemienił się w pochlebczego, nieszczerego, pozbawionego godności sługusa. W gruncie rzeczy Keitel cierpiał z powodu swej słabości; beznadziejność każdej dyskusji z Hitlerem doprowadziła go w końcu do tego, że zrezygnował z własnego zdania. Gdyby jednak przeciwstawił się i uparcie trwał przy swoich poglądach, zastąpiłby go niewątpliwie inny Keitel.

Kiedy w latach 1943—1944 główny adiutant Hitlera i szef personalny wojsk lądowych, Schmundt, wspólnie z innymi próbował zastąpić Keitla energicznym generałem feldmarszałkiem Kesselringiem, Hitler stwierdził, iż nie może zrezygnować z Keitla, gdyż jest on „wierny jak pies”. Być może Keitel najdokładniej uosabiał typ, jakiego Hitler potrzebował w swoim otoczeniu.

Również generał pułkownik Jodl rzadko otwarcie sprzeciwiał się fuhrerowi. Dążył do celu przy pomocy środków taktycznych, przeważnie nie wypowiadał swoich myśli, przeczekując w ten sposób trudne sytuacje, aby później doprowadzić do tego, że Hitler ustępował, a nawet anulował podjęte już decyzje. Nieprzychylnie uwagi, jakie od czasu do czasu rzucał na temat Hitlera, dowodziły, że zachował stosunkowo trzeźwe spojrzenie. Podwładni Keitla, na przykład jego zastępca, generał Warlimont, nie mogli być odważniejsi od niego; Keitel nie bronił ich, kiedy byli atakowani przez Hitlera. Czasami próbowali anulować wyraźnie bezsensowne rozkazy przy pomocy dopisków, których fuhrer nie rozumiał. Kierowane przez uległego i niesamodzielnego Keitla Naczelne Dowództwo Wehrmachtu musiało starać się osiągnąć cel wszelkimi drogami okrężnymi.

W wyraźnej uległości generalicji mogło grać rolę również stałe przemęczenie. Rozkład zajęć Hitlera krzyżował się z normalnym rozkładem dnia Naczelnego Dowództwa Wehrmachtu, co często powodowało brak czasu na porządną sen. Często fizyczne przeciążenie

odgrywało chyba większą rolę, niż to się zazwyczaj sądzi, zwłaszcza że tego najwyższego napięcia wymagano na dłuższą metę. Również w

stosunkach prywatnych Keitel i Jodl sprawiali wrażenie zmęczonych, jakby wypalonych. Aby przełamać tę barierę znużenia, chciałem wprowadzić do kwatery głównej oprócz Fromma również mojego przyjaciela, feldmarszałka Milcha. Wielokrotnie zabierałem go tam pod pozorem, że zachodzi konieczność, aby zrelacjonował problemy centralnego planowania. Parę razy udało się i Milch zaczął stopniowo zyskiwać aprobatę Hitlera dla swego planu, zgodnie z którym przewidywana produkcja wielkich bombowców miała być zastąpiona programem budowy myśliwców. Później jednak Goring zakazał mu dalszych wizyt w kwatery głównej.

Siedziałem kiedyś, pod koniec 1942 roku, z Goringiem w pawilonie, zbudowanym dla niego na okres krótkich pobytów w kwatery głównej. Sprawiał wrażenie wyczerpanego. Goring miał jeszcze u siebie wygodne fotele, a nie takie spartańskie umeblowanie jak Hitler w swoim bunkrze do pracy. Przygnębiony powiedział: „Będziemy musieli być zadowoleni, jeśli Niemcy po wojnie utrzymają granice z 1933 roku”. Wprawdzie usiłował natychmiast zatuszować tę uwagę jakimiś optymistycznymi banałami, odniosłem jednak wrażenie, że mimo iż ciągle głośno i bez żenady potakiwał Hitlerowi, czuł zbliżanie się klęski.

Po przybyciu do kwatery głównej fuhrera Goring udawał się zwykle najpierw na parę minut do swego pawilonu; w tym czasie generał Bodenschatz, oficer łącznikowy między Goringiem a Hitlerem, wychodził z sali, gdzie omawiano sytuację, aby, jak przypuszczaliśmy, telefonicznie poinformować Goringa o spornych kwestiach. Po kwadransie Goring zjawiał się na naradzie. Z emfazą, z własnej inicjatywy przedstawiał właśnie ten punkt widzenia, który Hitler przed chwilą próbował przeforsować wobec generałów. Hitler mierzył wzrokiem swoje otoczenie: „Widzicie, marszałek Rzeszy jest dokładnie tego samego zdania co ja!”

Po południu 7 listopada 1942 roku towarzyszyłem fuhrerowi, udającemu się pociągiem specjalnym do Monachium. W czasie takich podróży łatwiej było Hitlera, wyzwolonego z rutyny kwatery głównej, skłonić do dłuższych rozmów na temat ogólnych problemów zbrojeń. W pociągu znajdowało się radio, dalekopis i centrala telefoniczna; fuhrerowi towarzyszył Jodl oraz paru oficerów Sztabu Generalnego.

Atmosfera była napięta. Mieliśmy już wielogodzinne opóźnienie, ponieważ na każdej większej stacji zarządzano postój, aby podłączyć kabel telefoniczny do sieci kolejowej i odebrać najnowsze meldunki. Od wczesnego ranka przez Cieśninę Gibraltarską płynęła na Morze Śródziemne ogromna armada transportowców pod konwojem licznych okrętów wojennych.

że mimo iż

dłuższy

W poprzednich latach Hitler na każdym postoju zwykle pokazywał się w oknie swego pociągu specjalnego. Teraz wydawało się, że nie życzy sobie tych kontaktów ze światem zewnętrznym; rolety od strony peronów były zawsze spuszczone. Gdy raz późnym wieczorem siedzieliśmy z Hitlerem przy sutej kolacji w jego wykładanej palisandrem jadalni, początkowo nikt z nas nie zauważył, że na sąsiednim torze zatrzymał się pociąg towarowy: z bydłecych wagonów wpatrywali się w nas, siedzących przy stole, niemieccy żołnierze, wymizerowani, głodni, niektórzy ranni; wracali prosto ze Wschodu. Hitler, podnosząc się z krzesła, zauważył tę ponurą scenerię o dwa metry od swego okna. Nie pozdrowiwszy ich, nie zdradzając jakiegokolwiek reakcji, kazał kamerdynerowi szybko opuścić rolety. Tak w drugiej połowie wojny skończyło się jedno z rzadkich spotkań fuhrera ze zwykłymi żołnierzami frontowymi, jakim i on sam był kiedyś.

Na każdej następnej stacji meldunki donosiły o coraz większej liczbie okrętów. Rozpoczęła się więc jakaś bezprecedensowa akcja. Okręty minęły wreszcie cieśninę. Wszystkie jednostki, o których meldowało rozpoznanie lotnicze, płynęły teraz Morzem Śródziemnym na wschód. „To największa operacja desantowa w historii świata”, ocenił Hitler z uznaniem, być może myśląc nawet w owej chwili, że to przeciwko niemu uruchamiano tego rodzaju machinę. Do rana flota desantowa trzymała się na północ od wybrzeża algierskiego i marokańskiego.

Całą noc Hitler zastanawiał się, co może oznaczać to zagadkowe zachowanie. Najbardziej prawdopodobne wydawało mu się, że chodzi tu o wielką operację logistyczną w celu wzmocnienia ofensywy przeciwko znajdującemu się w ciężkiej sytuacji Afrika-Korps. Sądził, że okręty zgromadziły się tylko po to, aby pod osłoną ciemności, chroniących przed niemieckimi atakami z powietrza, przeprowadzić się przez cieśninę między Sycylią a Afryką. Albo też - i to bardziej odpowiadało jego uznaniu dla śmiałych operacji militarnych - „przeciwnik jeszcze dzisiejszej nocy wyląduje w środkowych Włoszech; nie napotka tam żadnego oporu. Nie ma tam oddziałów niemieckich, a Włosi uciekną. W ten sposób mogą odciąć Włochy północne od południa. I co wtedy stanie się z Rommlem? W krótkim czasie byłoby po nim. Nie posiada przecież rezerw, a zaopatrzenie nie mogłoby wtedy dotrzeć do niego!” Hitler upajał się możliwościami operacji na wielką skalę - których sam był już od dawna pozbawiony - i z coraz większym zapalem stawiał się w położeniu przeciwnika: „Natychmiast zająłbym Rzym i utworzył tam nowy rząd włoski. Albo też - to byłaby trzecia możliwość - wylądowałbym z tą wielką flotą w południowej Francji. Zawsze byliśmy zbyt ustępliwi. Mamy teraz za swoje! Tam na dole nie ma żadnych umocnień i żadnych oddziałów niemieckich. To błąd, że nie ma

tam naszego wojska. Rząd Petaina nie będzie oczywiście stawiał oporu!" Chwilami wydawało się, że Hitler zapomina, iż to ku niemu nadciąga to śmiertelne niebezpieczeństwo.

Przypuszczenia Hitlera nie sprawdziły się. Nigdy by mu nie przyszło do głowy nie wiązać takiej operacji desantowej z jakimś zamachem. Wylądowanie oddziałów i zajęcie nie zagrożonych pozycji, z których można by metodycznie rozwijać działania bez żadnego ryzyka to była obca mu strategia. Ale tej nocy zrozumiał jedno: drugi front zaczął stawać się rzeczywistością.

Pamiętam jeszcze, jak byłem zaszokowany, kiedy Hitler następnego dnia, w rocznicę swego nieudanego puczu z 1923 roku, wygłosił wielką mowę. Zamiast przynajmniej podkreślić powagę sytuacji i zaapelować o jak największe wyężenie sił, wyrażał swoją wiarę w zwycięstwo, przemawiał z optymizmem i banalnie: „Są przeraźliwie głupi”, mówił o naszych przeciwnikach, których operacje jeszcze wczoraj śledził z uznaniem, „jeśli sądzą, że kiedykolwiek uda im się zdruzgotać Niemcy... My nie przegramy - a więc przegrają inni”.

Późną jesienią 1942 roku Hitler stwierdził z triumfem podczas którejś z narad sytuacyjnych: „Rosjanie wysyłają na bój kadetów⁷. To najpewniejszy dowód, że są u kresu. Narybek oficerski poświęca się tylko wtedy, gdy się już nic nie ma”.

Parę tygodni później, 19 listopada, dotarły do Hitlera, przebywającego od kilku dni w Obersalzbergu, pierwsze wiadomości o wielkiej radzieckiej ofensywie zimowej, która w dziewięć tygodni potem miała doprowadzić do kapitulacji wojsk niemieckich w Stalingradzie⁸.

Po solidnym przygotowaniu artyleryjskim znaczne siły radzieckie przebiły się pod Serafinowem przez pozycje dywizji rumuńskich. Hitler zrazu próbował tłumaczyć i bagatelizować tę katastrofę, rzucając niepochlebne uwagi o małej wartości bojowej swych sojuszników. Niebawem jednak wojskom radzieckim udało się pokonać również dywizje niemieckie; front zaczął się załamywać.

Hitler chodził tam i z powrotem po wielkim hallu Berghofu: „Nasi generałowie robią znów te same, stare błędy. Stale przeceniają siłę Rosjan. Wszystkie doniesienia z frontu zgodnie głoszą, że przeciwnik ma za mało materiału ludzkiego. Są osłabieni, stracili o wiele za dużo krwi. Ale oczywiście nikt nie przyjmuje do wiadomości tych doniesień. Nikt w ogóle! Jak źle są wyszkoleni wszyscy radzieccy oficerowie! Z takimi ludźmi niepodobna zorganizować żadnej ofensywy. My wiemy, jak to się robi! Prędzej czy później nieprzyjaciel po prostu utknie w miejscu. Całkiem wypompowany. My tymczasem rzucimy tam parę świeżych dywizji, które znów zaprowadzą porządek”. W zaciszu Berghofu nie pojmował, co nadciągało. Jednakże po trzech dniach, gdy hiobowe wieści nie ustawały, wyjechał pośpiesznie do swej kwatery

głównej.

W kilka dni później zobaczyłem w Kętrzynie na mapie sztabowej południowego odcinka frontu od Woroneża do Stalingradu, długości 200 kilometrów, liczne czerwone strzałki, oznaczające ruchy wojsk radzieckich w ramach ofensywy, przedzielone małymi niebieskimi kółkami - gniazdami oporu resztek dywizji niemieckich i sojusznicznych. Stalingrad otoczony był już czerwonymi kołami. Zaniepokojony Hitler kazał jak najspieszniej przerzucić na południe jednostki ze wszystkich pozostałych odcinków frontu i z terenów okupowanych. Nie posiadano bowiem rezerwy operacyjnej, choć generał Zeitzler już na długo przed załamaniem się frontu zwracał uwagę, że każda dywizja na południu ZSRR ma do obrony odcinek frontu o nie spotykanej długości⁹, że nie zdołają się one przeciwstawić energicznemu natarciu wojsk radzieckich.

Po okrążeniu Stalingradu Zeitzler, z wypiekami na twarzy, niewyspany, uparcie i energicznie obstawał przy zdaniu, że 6 armia musi przedrzeć się na zachód. Szczegółowo przedstawił niedostateczne zapasy aprowizacyjne oblężonych oddziałów, zwracając uwagę na niedobór paliw, uniemożliwiający zapewnienie ciepłego posiłku żołnierzom rozmieszczonym w ruinach lub w szczerym polu w śniegu, przy kilkudziesięciostopniowym mrozie. Hitler pozostał spokojny,

niewzruszony i zdecydowany, jak gdyby chciał pokazać, że zdenerwowanie Zeitzlera to tylko psychoza zagrożenia: „Przeciwuderzenie z południa, które nakazałem, wkrótce przyjdzie Stalingradowi z odsieczą i tym samym sytuacja znów się unormuje. Często już przecież miewaliśmy takie sytuacje. W końcu jednak zawsze zapanowaliśmy nad nimi”. Zarządził, że już teraz za wojskami rzuconymi do kontrofensywy mają się posuwać pociągi z żywnością i zaopatrzeniem, tak by po uwolnieniu Stalingradu natychmiast można było złagodzić istniejącą tam ciężką sytuację. Zeitzler sprzeciwił się (Hitler mu nie przerywał): Siły przewidziane do kontrofensywy są za słabe. Gdyby jednak zdołały się połączyć z 6 armią, której udało się wyrwać na zachód, mogłyby zająć nowe pozycje dalej na południe. Hitler wysunął kontrargumenty, ale Zeitzler nie ustępował. W końcu, gdy dyskusja trwała już ponad pół godziny, cierpliwość Hitlera wyczerpała się: „Stalingrad po prostu musimy utrzymać. Musimy - to jest kluczowa pozycja. Jeśli w tym punkcie uda nam się przerwać komunikację na Włodze, przysporzymy Rosjanom wielkich trudności. W jaki sposób będą transportować zboże z południa na północ?” Nie brzmiało to przekonywająco; miałem raczej uczucie, że Stalingrad był dla niego symbolem. Po tym sporze jednak dyskusję na razie zamknęto.

Nazajutrz atmosfera wyraźnie się pogorszyła; prośby Zeitzlera stały się jeszcze bardziej naglące, w sali narad sytuacyjnych panował

nastrój przygnębienia, nawet Hitler sprawiał wrażenie wyczerpanego i

zdeprymowanego. I on też powiedział coś o przedarciu się z okrażenia.

Na nowo kazał obliczać, ile ton zaopatrzenia dziennie potrzeba do utrzymania siły bojowej ponad 200 tysięcy żołnierzy.

W dwadzieścia cztery godziny później los okrażonych armii został ostatecznie przesądzony. W pokoju narad sytuacyjnych zjawiał się bowiem Goring, świeży i promieniejący jak tenor w operetce, który ma grać zwycięskiego marszałka Rzeszy. Hitler, przygnębiony, spytał go z odzieniem prośby w głosie: „Jak wygląda zaopatrzenie Stalingradu z powietrza?” Goring przyjął postawę zasadniczą i oświadczył uroczyście: „Mein fuhrer! Osobiście gwarantuję zaopatrzenie szóstej armii w Stalingradzie drogą powietrzną. Może pan na tym polegać!” Jak dowiedziałem się później od Milcha, w rzeczywistości Sztab Generalny Luftwaffe obliczył, że zaopatrzenie kotła drogą lotniczą jest niemożliwe. Również Zeitzler wyrażał przez chwilę wątpliwości. Goring jednak oświadczył mu ostro, że przeprowadzanie niezbędnej kalkulacji jest sprawą wyłącznie Luftwaffe. Hitler, który potrafił być tak skrupulatny we wznoszeniu gmachów z liczb, tego dnia nie chciał nawet dyskutować, w jaki sposób uzyskać potrzebne samoloty. Wystarczyły same słowa Goringa, by się ożywił i odzyskał dawną pewność siebie: „A więc Staligrad można utrzymać! Nie ma sensu mówić dalej o wyrwaniu się szóstej armii z okrażenia. Straciłaby całą broń ciężką i nie miałaby już siły bojowej. Szósta armia pozostanie w Stalingradzie!”¹⁰

Chociaż Goring wiedział, że los okrażonej w Stalingradzie armii zależy od danego przez niego słowa, 12 grudnia 1942 roku¹¹, z okazji ponownego otwarcia zburzonej berlińskiej Staatsoper, zaprosił na uroczysty spektakl *Śpiewaków norymberskich* Ryszarda Wagnera. Ubrani w galowe mundury lub fraki zajęliśmy miejsca w wielkiej loży fuhrera. Pogodna treść opery tak boleśnie kontrastowała z wydarzeniami na froncie, iż długo robiłem sobie wyrzuty, że przyjąłem zaproszenie.

W kilka dni później znów byłem w głównej kwaterze fuhrera. Zeitzler przedkładał teraz codziennie meldunki 6 armii, ile ton żywności i amunicji otrzymała drogą powietrzną: dostawy wynosiły tylko ułamek tego, co obiecywano. Wprawdzie Hitler wciąż żądał wyjaśnień od Goringa, ale ten robił uniki: pogoda jest zła, mgła, opady lodowatej mżawki lub burze śnieżne utrudniały zaplanowane dostawy. Ale gdy tylko pogoda ulegnie poprawie, będzie się dostarczać obiecane ilości. W Stalingradzie musiano w związku z tym znowu zmniejszyć racje żywnościowe. Zeitzler ostentacyjnie kazał w kasynie Sztabu Generalnego podawać sobie takie same porcje i wyraźnie schudł. Po kilku dniach Hitler powiedział mi, iż uważa za niestosowne, aby szef Sztabu Generalnego wyczerpywał swój system nerwowy tego rodzaju demonstracją solidarności; powinien natychmiast zacząć się znów

porządnie odżywiać. Sam natomiast zakazał na kilka tygodni picia

szampana i koniaku. Panował nastrój coraz większego przygnębienia, twarze zmieniły się w nieruchome maski, często staliśmy, nie odzywając się do siebie ani słowem. Nikt nie miał ochoty mówić o stopniowej zagładzie jeszcze przed paroma miesiącami zwycięskiej armii.

Hitler jednak wciąż miał nadzieję, nawet jeszcze wtedy, kiedy od 2 do 7 stycznia znów przebywałem w kwaterze głównej. Zarządzone przez niego przeciwuderzenie, które miało przerwać pierścień wokół Stalingradu i umożliwić nowe dostawy dla ginącej armii, już przed dwoma tygodniami poniosło fiasko. Można było jeszcze żywić niewielką nadzieję, gdyby się zdecydowano na wycofanie z kotła.

Pewnego dnia byłem świadkiem, jak w pokoju, przez który przechodziło się do sali narad sytuacyjnych, Zeitzler nalegał na Keitla i wręcz błagał, aby przynajmniej dziś poparł go wobec Hitlera w sprawie wydania rozkazu wycofania się. To ostatni moment, mówił Zeitzler, by uniknąć straszliwej katastrofy. Keitel zdecydowanie przyznał rację Zeitzlerowi i uroczyście obiecał mu wyblaganą pomoc. Kiedy jednak Hitler podczas omawiania sytuacji ponownie podkreślił konieczność wytrwania w Stalingradzie, Keitel wzruszony podszedł do niego i wskazując na mapie miejsce, gdzie resztkę tego miasta otaczały grube czerwone pierścienie, powiedział: „Mein fuhrer, utrzymamy to!”

W tej beznadziejnej sytuacji 15 stycznia 1943 roku fuhrer nadał feldmarszałkowi Milchowi specjalne pełnomocnictwo, upoważniające go do wydawania Luftwaffe i lotnictwu cywilnemu, bez udziału Goringa, wszelkich rozporządzeń, które uzna za niezbędne do realizacji dostaw dla Stalingradu¹². Wielokrotnie rozmawiałem wtedy przez telefon z Milchem, który obiecał mi ratować mego zamkniętego w Stalingradzie brata. W ogólnym zamięcie nie można go było jednak odszukać.

Nadchodziły rozpaczliwe listy, miał żółtaczkę i opuchnięte kończyny, zabrano go do szpitala, ale nie mógł tam wytrzymać i powlókł się z powrotem do swoich kolegów na artyleryjski punkt obserwacyjny. Od tej chwili ślad po nim zaginął. To samo co ja i moi rodzice przeżywały setki tysięcy rodzin, które jeszcze przez pewien czas otrzymywały listy lotnicze z okrażonego miasta, zanim nastąpił koniec¹³. W przyszłości Hitler ani jednym słowem nie wracał do katastrofy, za którą odpowiedzialność ponosili wyłącznie on i Goring. Zamiast tego rozkazał natychmiast wystawić nową 6 armię; miała ona przywrócić sławę tej, która uległa zagładzie.

1 O zakresie tych narad informują zachowane w całości 94 protokoły narad u fuhrera, wymieniające 2222 omawiane punkty. Po zakończeniu konferencji dyktowałem punkty ogólne, Saur oraz inni współpracownicy - punkty z zakresu swoich zadań. Ich treść jednak nie oddaje przebiegu owych konferencji, ponieważ z uwagi na autorytet fuhrera zwykliśmy rozpoczynać notatki formułą: „fuhrer zdecydował” lub „zdaniem fuhrera”, nawet jeśli punkty te przeforsowaliśmy z trudem, wbrew jego stanowisku, albo nawet jeśli sami coś proponowaliśmy, nie wywołując sprzeciwu Hitlera; pod tym względem moja taktyka była zgodna z taktyką Bormanna. W roku 1942, jak się można

dowiedzieć z protokołów, 25 razy uczestniczyłem w naradach u Hitlera dotyczących zbrojeń, w roku 1943 - 24 razy. W 1944 r. udział ten został zredukowany do 13 razy, co było oznaką mego malejącego znaczenia. W roku 1945 tylko dwukrotnie miałem okazję rozmawiać z Hitlerem na temat zbrojeń, ponieważ od lutego 1945 r. ustąpiłem pola Saurowi. Por. również W.A. B o e l c k e (wyd.), *Deutschlands Rustung im Zweiten Weltkrieg. Hitlers Konferenzen mit Albert Speer 1942-1945*, Frankfurt/M. 1969.

2 Na podstawie czeskiego czołgu 38 T. W październiku 1944 r. próbowałem raz jeszcze przekonać Hitlera do czołgu lekkiego: „Również na froncie południowo-zachodnim (Włochy) oceny »Shermana« i jego zdolności poruszania się w terenie są godne uwagi. »Sherman« osiąga wzniesienia, które nasi fachowcy od czołgów uważali za nie do pokonania. Dzieje się tak dzięki mocnemu w porównaniu z ciężarem czołgu silnikowi. Także pod względem zdolności poruszania się po terenie płaskim (na Nizinie Padańskiej) »Sherman«, zgodnie z informacjami działającej tam 26 dywizji pancerniej, znacznie przewyższa nasze czołgi; życzenie wszystkich pancerniaków sprowadza się do tego, by otrzymać czołg lżejszy, a tym samym elastyczniejszy i o większej zdolności poruszania się w terenie, czołg, który będzie miał zagwarantowaną-konieczną siłę bojową jedynie dzięki lepszym działom”.

3 Ta klęska zaczęła się już w 1942 r.: „Führerowi przedstawiono miesięczne dane dotyczące ilości części zamiennych do czołgów i zameldowano, że mimo zwiększenia (produkcji) zapotrzebowanie jest tak wysokie, iż do jego pokrycia niezbędne jest przejściowe zmniejszenie produkcji nowych czołgów”. Protokół narady u fuhrera z 6/7 maja 1942 r., pkt 38.

4 Książka Pickera *Tischgesprache* daje dobre pojęcie o tematach, jakie poruszał Hitler. W zestawieniu tym należy jednak uwzględnić, że chodziło o te fragmenty monologów Hitlera, które Pickerowi wydały się godne uwagi w codziennych jedno- lub dwugodzinnych przemowach. Pełne protokoły spotęgowałyby wrażenie męczącej nudy.

5 Jedna z dywizji górskich próbowała przebić się do Tyflisu przez przełęcz Kaukazu starą gruzińską drogą wojskową. Hitler uważał tę drogę za mało nadającą się do dowozu zaopatrzenia, ponieważ przez wiele miesięcy w roku tarasowały ją lawiny i śnieg. Z tej dywizji górskiej odłączył się jeden oddział, aby zdobyć Elbrus.

6 Dopiero po kilku miesiącach również Bormann i Ribbentrop otrzymali podobne pozwolenie.

7 O ile sobie przypominam, kadetów rzucono do walki na przedpolu Astrachania.

8 Od 20 do 24 listopada byłem w Obersalzbergu. 22 listopada Hitler udał się stamtąd do swej kwatery głównej w Kętrzynie.

9 Nowa linia obrony Orzeł-Stalingrad-Terek-Majkop oznaczała, że zamierzano bronić linii 2, 3 razy dłuższej w porównaniu z zajmowanymi jeszcze wiosną pozycjami Orzeł-Morze Czarne.

10 Późniejsze doświadczenia z walk zimą w warunkach odwrotu przemawiają przeciwko przyjętej przez niektórych historyków teorii Hitlera, że kocioł stalingradzki spełnił swoje zadanie, wiążąc przez osiem tygodni oddziały radzieckie.

11 Operę Państwową na Unter den Linden, zburzoną podczas nalotów, odbudowano zgodnie z rozkazem Goringa z 18 kwietnia 1941 r.

12 Milch kierował tą operacją z głównej kwatery floty powietrznej na południe od Stalingradu. Dzięki jego działaniu udało się co prawda znacznie zwiększyć liczbę lotów do Stalingradu, a tym samym ewakuować przynajmniej część rannych. Po wykonaniu swego zadania Milch został przyjęty przez Hitlera; rozmowa zakończyła się ostrym starciem z powodu beznadziejnej sytuacji militarnej, której powagi Hitler wciąż jeszcze nie chciał uznać.

13 Hitler nie mógł zakazać dostarczania tych listów, nie wywołując niesamowitych plotek. Kiedy jednak od niemieckich jeńców zaczęły nadchodzić kartki pocztowe, na które zezwoliła Armia Radziecka, niszczone je na rozkaz Hitlera, jak mi powiedział Fritzsche

w Norymberdze, chociaż i właśnie dlatego, że były one znakiem życia dla krewnych: mogłyby osłabić podsycany przez propagandę strach przed Rosjanami.

Rozdział 18

INTRYGI

Zimą 1942 roku, podczas kryzysu stalingradzkiego, Bormann, Keitel i Lammers postanowili jeszcze bardziej zacieśnić krąg osób mających bezpośredni dostęp do Hitlera. Teraz tylko oni trzej mieli przedkładać szefowi państwa zarządzenia do podpisu, a tym samym zapobiegać nie przemyślanym przedsięwzięciom oraz wynikającemu stąd zamętowi w systemie rozkazodawstwa. Hitler zachował dla siebie prawo podejmowania ostatecznej decyzji. W przyszłości właśnie komitet trzech miał „wstępnie wyjaśniać” odmienne poglądy różnych wnioskodawców. Hitler polegał przy tym na ich obiektywnej informacji i bezstronnym załatwianiu spraw.

Ten trzyosobowy komitet podzielił między siebie kompetencje. Keitel, który miał być odpowiedzialny za wszystkie zarządzenia dotyczące Wehrmachtu, od samego początku doznał niepowodzeń, gdyż zdecydowanie występował przeciw niemu dowódca lotnictwa i dowódca marynarki wojennej. Poprzez Lammersa miały przechodzić wszelkie zmiany kompetencyjne ministerstw, sprawy państwowoprawne oraz problemy administracyjne. Decyzje jednak musiał on pozostawiać zwykle Bormannowi, który nie dawał mu okazji do częstych rozmów z Hitlerem. Bormann zastrzegł sobie referowanie wszystkich wewnętrznych spraw polityki. Aby wywiązać się z tych zadań, brakowało mu jednak nie tylko inteligencji, lecz także dostatecznych kontaktów z otoczeniem. Nieprzerwanie, od przeszło ośmiu lat, był nieodłącznym cieniem Hitlera; nigdy nie odważył się wyjechać w dłuższą podróż służbową ani wziąć urlopu; ciągle obawiał się, że jego wpływ może się zmniejszyć. Z własnego doświadczenia, jako zastępca Hessa, Bormann znał niebezpieczeństwo grożące ze strony ambitnych zastępców, Hitler bowiem zawsze skłonny był dawać zadania bezpośrednio ludziom spoza ścisłego kierownictwa, a także rekomendowanym mu osobom, oraz traktować ich jako współpracowników swego sztabu. Odpowiadało to jego skłonnościom do dzielenia władzy wszędzie, gdzie się tylko dało, a ponadto lubił nowych ludzi oraz poddawał ich próbie. Pragnąc

uniknąć tego rodzaju konkurencji we własnym resorcie, niejednym przebiegły minister rezygnował z mianowania energicznego i inteligentnego zastępcy.

Wspomniane trzyosobowe gremium, mając możliwość wywierania odpowiedniego wpływu na Hitlera, filtrowania nadsyłanych do niego informacji oraz kontrolowania jego władzy, mogłoby doprowadzić do zmiany jednoosobowego reżimu, gdyby składało się z ludzi posiadających inicjatywę, wyobraźnię i poczucie odpowiedzialności. Ludzie ci jednak, wdrożeni do obowiązku działania zawsze w imieniu fuhrera, byli niewolniczo zależni od jego woli. Niebawem Hitler zaniechał przestrzegania ustaleń, które mu zbyt ciążyły i nie odpowiadały jego naturze. Niemniej te trzy osoby mogły nadal jeszcze wpływać na osłabienie pozycji innych osobistości.

W rzeczywistości tylko Bormann zajął kluczową pozycję, która kryła w sobie niebezpieczeństwo dla czołowych funkcjonariuszy. Wykorzystując wygodnictwo Hitlera, decydował on, kto ze środowiska cywilnego mógł być przyjęty na audiencji, albo ściślej: decydował, kto nie mógł jej uzyskać. Prawie żaden minister, reichsleiter czy gauleiter nie był dopuszczany do fuhrera; o przedstawienie mu swoich spraw wszyscy musieli prosić Bormanna. A ten pracował bardzo szybko. Najczęściej po kilku dniach zainteresowany minister otrzymywał pisemną odpowiedź, na którą normalnie musiałby czekać całymi miesiącami. Ja stanowiłem wyjątek. Ponieważ moje kompetencje były natury wojskowej, miałem zawsze, kiedy sobie tylko życzyłem, dostęp do Hitlera. Terminy ustalali jego wojskowi adiutanci.

Po zakończeniu moich rozmów z fuhrerem przychodził czasem z aktami do naszej sali obrad Bormann, zameldowany zwięźle przez adiutanta. W kilku zdaniach, beznamiętnie i pozornie rzeczowo przedstawiał treść przesłanych postulatów, a następnie proponował sposób ich załatwienia. Hitler najczęściej przytakiwał krótko: „Zgoda”. To jedno słowo wystarczało Bormannowi do sporządzenia niekiedy obszernych wytycznych, i to nawet wówczas, gdy Hitler wypowiedział się niewiążąco. W ten sposób w ciągu pół godziny podejmowano nieraz dziesięć albo więcej ważnych decyzji; w rzeczywistości więc wewnętrznymi sprawami Rzeszy kierował Bormann. W kilka miesięcy później, 12 kwietnia 1943 roku, zyskał on podpis Hitlera na pozornie niezbyt ważnym dokumencie: został „sekretarzem fuhrera”. Jeśli do tej pory jego działalność musiałaby się ograniczać, w ścisłym tego słowa znaczeniu, do spraw partyjnych, to teraz nowe stanowisko uprawniało go i upoważniało oficjalnie do zajmowania się każdą dziedziną.

Moje pierwsze sukcesy w dziedzinie uzbrojenia spowodowały, że okazywana mi przez Goebbelsa niechęć po jego romansie z Lidą Baarovą ustąpiła życzliwości. Latem 1942 roku prosiłem go, aby jego aparat propagandowy udzielił mi pomocy: zainspirowano kroniki

filmowe, ilustrowane magazyny i gazety, wzrósł mój autorytet. Dzięki wysiłkom Ministerstwa Propagandy stałem się jedną z najbardziej znanych osobistości Rzeszy. Ten wzrost popularności pomagał z kolei moim współpracownikom w ich codziennych utarczkach z instytucjami państwowymi i partyjnymi.

Błędem byłoby wyciąganie wniosku z charakterystycznego dla mów Goebbelsa fanatyzmu, iż należał on do krewkich, pełnych temperamentu ludzi. Był on pilnym pracownikiem, skrupulatnym w realizacji swych idei, nie tracącym jednocześnie z pola widzenia ogólnej sytuacji. Posiadał umiejętność koncentrowania się na najważniejszych problemach w każdych okolicznościach i dzięki temu, jak mi się wtedy wydawało, potrafił wyrobić sobie rzeczowy pogląd na poszczególne zagadnienia. To przeświadczenie powstało nie tylko pod wpływem jego cynizmu, lecz również logicznych konstrukcji myślowych, w których dawało się zauważyć wpływ studiów uniwersyteckich. Jedynie w stosunku do Hitlera wykazywał niezwykle skrępowanie.

W pierwszej, pomyślnej fazie wojny Goebbels nie przejawiał zainteresowania dalszą karierą; przeciwnie, już w 1940 roku planował, że z chwilą zwycięskiego zakończenia wojny poświęci się swym różnorodnym prywatnym zainteresowaniom; uważał, że następną generacja powinna wówczas przejąć odpowiedzialność za losy państwa.

Katastrofalny rozwój sytuacji w grudniu 1942 roku spowodował, że Goebbels coraz częściej zapraszał do siebie trzech swoich kolegów: Waltera Funka, Roberta Leya i mnie. Wybór był charakterystyczny, gdyż właśnie wszyscy trzej posiadaliśmy wyższe wykształcenie.

Stalingrad wstrząsnął nami - nie tylko tragedia 6 armii, chyba jeszcze bardziej pytanie: jak pod rozkazami Hitlera mogło dojść do takiej katastrofy? Dotychczas bowiem każdej zmianie na gorsze można było przeciwstawić sukces, który pozwalał powetować wszelkie szkody, straty czy porażki lub zapomnieć o nich. Obecnie po raz pierwszy doznaliśmy klęski bez ekwiwalentu.

Podczas jednej z takich rozmów na początku 1943 roku Goebbels wyraził pogląd, iż w pierwszej fazie wojny uzyskaliśmy zbyt duże sukcesy wojskowe przy stosunkowo niewielkim wewnętrznym zaangażowaniu kraju. Dlatego sądziliśmy, że i nadal będziemy odnosić zwycięstwa bez większego wysiłku. Więcej szczęścia natomiast mieli Anglicy, gdyż Dunkierka przypadła zaraz na początek wojny. Klęska ta stanowiła dla nich argument, pozwalający uzasadniać rygorystyczne ograniczenia w dziedzinie życia cywilnego. Naszą Dunkierką jest Stalingrad. Dzisiaj sam dobry nastrój nie wystarcza już do wygrywania wojny.

Goebbels powoływał się przy tym na informacje swego rozbudowanego aparatu, sygnalizującego niepokój i niezadowolenie

społeczeństwa. Domagało się ono zrezygnowania z wszelkiego luksusu, który przecież nie przynosi narodowi nic dobrego; w ogóle dawało się wyczuć nie tylko gotowość do największych wysiłków, lecz jednocześnie żądanie wyraźnych ograniczeń, które by przywróciły zaufanie do kierownictwa.

Konieczność znacznych wyrzeczeń wynikała również z potrzeb zbrojeniowych. Hitler żądał nie tylko dalszego zwiększenia produkcji, ale ponadto jednoczesnego powołania do wojska, dla wyrównania olbrzymich strat na froncie wschodnim, 800 tysięcy młodszych fachowców. A przecież każde uszczuplenie liczby niemieckich robotników musiało zwiększyć i tak już dokuczliwe trudności w fabrykach.

Obecne naloty pokazały również, że w ciężko doświadczonych miastach życie płynie normalnym nurtem. Nawet dochody podatkowe prawie się nie zmniejszyły, mimo że dokumenty w urzędach finansowych uległy zniszczeniu. Opierając się na idei leżącej u podstaw systemu odpowiedzialności przemysłu za siebie, wysunąłem propozycję, aby w stosunku do ludności kierować się zaufaniem, a nie podejrzliwością; dzięki temu można by ograniczyć organy kontrolne i władze administracyjne zatrudniające prawie 3 miliony ludzi. Dyskutowano nad zamiarem wezwania podatników, aby oszacowali się sami, nad tym, czy rezygnować z nowych wymiarów, czy też ustalić zryczałtowany podatek od wynagrodzeń. Wraz z Goebbelsem wysuwaliśmy argument, że przy miliardowych sumach, jakie co miesiąc przeznaczano na wojnę, zaledwie znikomą rolę odgrywa kilkaset milionów, które mogą nie wpłynąć do skarbu państwa wskutek nieuczciwości poszczególnych jednostek.

Jeszcze większe poruszenie wywołała moja propozycja, aby wszyscy urzędnicy pracowali w takim wymiarze godzin, jaki obowiązywał robotników przemysłu zbrojeniowego. W ten sposób, jak wynikało z prostego wyliczenia, około 200 tysięcy urzędników administracji można by przekazać do dyspozycji przemysłu zbrojeniowego. Ponadto zamierzałem przez drastyczne obniżenie standardu życiowego górnych warstw uwolnić kolejne setki tysięcy siły roboczej. Na jednym z posiedzeń kierownictwa Centrali Planowania, które odbyło się w tych dniach, wskazałem sam na skutki moich radykalnych propozycji: „Doprowadzą one do tego, że w okresie wojny, gdyby trwała ona długo, mówiąc otwarcie, sproletaryzujemy się”². Dziś jestem zadowolony, że nie mogłem przeforsować swoich planów; Niemcy bowiem znalazłyby się w pierwszych, niezwykle trudnych miesiącach powojennych w jeszcze gorszej sytuacji gospodarczej i byłyby zdeorganizowane pod względem administracyjnym. Jestem jednak przekonany, że w Anglii, na przykład, w podobnej sytuacji takie idee realizowano by konsekwentnie.

Hitler zgodził się w końcu na naszą propozycję gruntownego uproszczenia administracji, zmniejszenia konsumpcji i ograniczenia życia kulturalnego. Ale moja koncepcja powierzenia tych zadań Goebbelsowi rozbiła się o czujnego Bormanna, który obawiał się wzrostu władzy ambitnego rywala. Zamiast Goebbelsa wyznaczono dr. Lammersa, sojusznika Bormanna w trzyosobowym gremium: urzędnika bez inicjatywy i polotu, któremu włos się jeżył na samą myśl o skutkach lekceważenia tak niezbędnej w jego oczach biurokracji.

Lammers kierował też w zastępstwie Hitlera odbywającymi się znów od stycznia 1943 roku posiedzeniami rządu. Nie zapraszano na nie wszystkich członków gabinetu, lecz tylko tych, którzy byli zainteresowani tematem porządku dnia. Jednak już samo miejsce obrad, sala rządowa Rzeszy, świadczyło o tym, jaką władzę uzyskało lub uzurpowało sobie trzyosobowe gremium.

Posiedzenia te przebiegały dość burzliwie. Goebbels i Funk popierali moje radykalne poglądy; minister spraw wewnętrznych, Frick, oraz sam Lammers wysuwali, zgodnie z obawami, zastrzeżenia; Sauckel oświadczył wprost, że jest w stanie zagwarantować każdą potrzebną ilość siły roboczej, również fachowców z zagranicy. Nawet sam Goebbels nie mógł nic wskórać, gdy żądał od członków partii zajmujących kierownicze stanowiska, aby zrezygnowali ze swego dotychczasowego, prawie nieograniczonego standardu życiowego; zazwyczaj powściągliwa Ewa Braun także interweniowała u Hitlera, dowiedziawszy się o zamiarze wprowadzenia zakazu trwałej ondulacji oraz zaniechania produkcji kosmetyków. Natychmiast ujawniła się jego chwiejność: zamiast zakazu polecił mi spowodować bez rozgłosu „brak środków do farbowania włosów i innych niezbędnych artykułów do pielęgnowania urody” oraz „zaniechanie reperacji aparatury do trwałej ondulacji”⁴.

Po kilku posiedzeniach w Kancelarii Rzeszy Goebbels i ja zdawaliśmy sobie sprawę, że nie można oczekiwać aktywizacji naszego uzbrojenia za pośrednictwem Bormanna, Lammersa czy Keitla; nasze wysiłki paraliżowane były nawet przez nieistotne szczegóły.

18 lutego 1943 roku Goebbels wygłaszał swe przemówienie o „wojnie totalnej”. Było ono skierowane nie tylko do ludności; pośrednio zwracało się również do ogniw kierowniczych, które nie chciały się zgodzić z naszymi wspólnymi wysiłkami, zmierzającymi do maksymalnego wykorzystania rezerw krajowych. Była to właściwie próba wystawienia pod presję opinii publicznej Lammersa oraz innych osób.

Tylko na najbardziej udanych imprezach Hitlera widziałem do

tego stopnia sfanatyzowaną publiczność. Powróciwszy do swego mieszkania, Goebbels, ku mojemu zdumieniu, analizował rzekomo emocjonalne akcenty z punktu widzenia efektów psychologicznych - prawie zupełnie tak samo zrobiłby to rutynowany aktor. Tego wieczoru i on był zadowolony ze swego audytorium: „Zauważył pan? Reagowali na najmniejsze niuanse i bili brawo dokładnie we właściwych miejscach. Była to najlepiej pod względem politycznym wyrobiona publiczność, jaką może pan znaleźć w Niemczech”. W tym przypadku organizacje partyjne postawiły zadanie, aby w kronikach filmowych ukazać przychylną reakcję - między innymi znanych intelektualistów i aktorów, jak na przykład Heinricha Georgego - a przez to wywrzeć odpowiedni wpływ na społeczeństwo. Przemówienie obliczone było również na zagranicę: stanowiło kolejną próbę zwrócenia uwagi na rozwiązania polityczne, wykraczające poza wojskowy sposób myślenia Hitlera. Jak sądził przynajmniej sam Goebbels, w wystąpieniu tym skierował wyraźny apel do Zachodu, aby nie zapomnieć o grożącym całej Europie niebezpieczeństwie ze Wschodu. Po kilku dniach cieszył się bardzo z tego, że właśnie ów fragment prasa zachodnia przychylnie skomentowała.

W rzeczywistości Goebbels przejawiał wówczas ambicję zostania ministrem spraw zagranicznych. Z całą właściwą sobie elokwencją próbował podjudzać Hitlera przeciwko Ribbentropowi i początkowo wydawało się, że osiągnie swój cel. W każdym razie Hitler przysłuchiwał się wywodom w milczeniu, nie przerywając, wbrew swemu zwyczajowi, tego przykrego tematu. Goebbels sądził już, że jest bliski sukcesu, gdy Hitler zaczął niespodziewanie chwalić wspaniałą pracę Ribbentropa, jego umiejętność prowadzenia rokowań z „sojusznikami”, a w końcu lapidarnie stwierdził: „Ocenia pan Ribbentropa zupełnie błędnie. Jest on jednym z największych ludzi, jakich mamy, a historia postawi go kiedyś ponad Bismarckiem. Jest on większy aniżeli Bismarck”. Jednocześnie zakazał Goebbelsowi dalszego wypuszczania balonów próbnych na Zachód, jak to uczynił w swoim wystąpieniu w pałacu sportowym.

Przemówienie Goebbelsa o wojnie totalnej przyczyniło się jednak do wydania pewnych zarządzeń, które znalazły uznanie opinii publicznej: polecono zamknąć wytworne restauracje berlińskie i luksusowe miejsca rozrywki. Göring wystąpił natychmiast w obronie swej ulubionej restauracji Horchera; kiedy jednak pojawiło się kilku zamówionych przez Goebbelsa demonstrantów, usiłujących wybić szyby w restauracji, Göring zrezygnował z dalszych interwencji. W następstwie tego wyniknęły między nimi poważne nieporozumienia.

W zamieszkanym przez Goebbelsa pałacu, zbudowanym na

krótko przed wybuchem wojny w bezpośrednim sąsiedztwie Bramy Brandenburskiej, odwiedziło go wieczorem po jego przemówieniu w pałacu sportowym wiele osobistości, między innymi feldmarszałek Milch, minister sprawiedliwości Thierack, sekretarz stanu w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych, Stuckart, oraz sekretarz stanu Kórner, Funk i Ley. Zastanawiano się tam po raz pierwszy nad propozycją, którą wysunęliśmy wspólnie z Milchem: wykorzystania pełnomocnictw Göringa jako „przewodniczącego rady ministrów do spraw obrony Rzeszy” w celu zaostżenia polityki wewnętrznej.

Po dziewięciu dniach Goebbels ponownie zaprosił mnie do siebie razem z Funkiem i Leyem. Olbrzymi budynek z bogato urządzonym wnętrzem sprawiał teraz ponure wrażenie. Chcąc dać dobry przykład w akcji „wojny totalnej”, Goebbels kazał zamknąć wielkie pomieszczenia reprezentacyjne, a w pozostałych salach i pokojach powykręcać większość żarówek. Zostaliśmy zaproszeni do jednej z mniejszych sal, wielkości 40 do 50 metrów kwadratowych.

Kamerdynerzy w liberii podawali francuski koniak i herbatę; Goebbels dał im do zrozumienia, aby nam więcej nie przeszkadzali. „Tak dalej być nie może”, zaczął. „Siedzimy tutaj w Berlinie, nie jesteśmy w stanie informować Hitlera, co mamy do powiedzenia na temat sytuacji, nie niani możliwości oddziaływać na niego pod względem politycznym, nie mogę mu nawet zreferować najpilniejszych przedsięwzięć z mojej dziedziny. Wszystko przechodzi przez ręce Bormanna. Trzeba spowodować, aby fuhrer częściej przyjeżdżał do Berlina”. Goebbels mówił dalej, że Hitler stracił z pola widzenia politykę wewnętrzną; opanował ją Bormann, który potrafił wytworzyć u fuhrera wrażenie, jakoby kierownictwo znajdowało się nadal w jego rękach. Bormannem kieruje tylko ambicja, jest on doktrynerski i stanowi duże niebezpieczeństwo dla dalszego racjonalnego rozwoju wydarzeń. Przede wszystkim trzeba zmniejszyć jego wpływy!

W swych krytycznych wywodach Goebbels, wbrew przyzwyczajeniom, nie oszczędził też Hitlera: „Mamy nie tylko »kryzys kierownictwa« lecz ściśle biorąc, »kryzys wodza« ”⁵. On, urodzony polityk, nie mógł zrozumieć, że Hitler za mało zajmował się właśnie polityką, tym najważniejszym instrumentem, koncentrując się głównie na nie najistotniejszym w gruncie rzeczy dowodzeniu, na teatrze działań wojennych. Nie pozostało nam nic innego, jak zgodzić się z tym; przecież żaden z nas obecnych nie mógł porównać siebie pod względem wyrobienia politycznego z Goebbelsem. Wyrażana przez niego krytyka pokazywała, co w rzeczywistości znaczył Stalingrad. Goebbels zaczął wątpić w gwiazdę Hitlera, a tym samym w jego zwycięstwo - i my razem z nim.

Ponowiłem propozycję, aby powierzyć Goringowi funkcję,

przewidzianą dla niego na początku wojny. Istniała już nawet opracowana struktura państwowoprawna, uwzględniająca wszelkie pełnomocnictwa dla niego oraz odpowiednie uprawnienia do wydawania ustaw bez współdziałania Hitlera. Przy jej pomocy można było obalić władzę uzurpowaną sobie przez Bormanna i Lammersa. Musieliby obydwaj podporządkować się tej instancji, której możliwości nie zostały wykorzystane wskutek indolencji Goringa. Mnie właśnie proszono o porozmawianie z nim w tej sprawie, ponieważ w wyniku incydentu z restauracją Horchera Goebbels i Goring byli ze sobą poróżnieni⁶.

Zwrócenie się do tego człowieka, którego od lat ogarnęła apatia i który żył w luksusie, może dziwić współczesnego obserwatora, jeśli się weźmie pod uwagę, że podejmowaliśmy ostateczną próbę zmobilizowania wszystkich naszych sił. Goring jednakże nie zawsze był taki, cieszył się jeszcze sławą, wprawdzie wybuchowego, ale też energicznego i mądrego człowieka z okresu, kiedy realizował plan czteroletni i organizował lotnictwo. Nie mogłem wykluczyć, że w obliczu nowych zadań powróci do dawnej aktywności. A gdyby nie, tak sądziliśmy, to jednak gremium rady do spraw obrony Rzeszy było w każdym razie tym czynnikiem, który mógł podejmować wiążące uchwały i decyzje.

Patrząc wstecz, przyznaję dzisiaj, że pozbawienie wpływów Bormanna i Lammersa nie zmieniłoby prawie biegu wypadków. Zmiany kursu bowiem, do czego chcieliśmy doprowadzić, nie można było osiągnąć w wyniku obalenia sekretarza Hitlera, lecz jedynie poprzez zwrot przeciwko niemu samemu. Ale to nie mieściło się w naszej wyobraźni. Zakładaliśmy natomiast, że gdyby nasze, zagrożone przez Bormanna, osobiste pozycje zostały znów umocnione, gotowi bylibyśmy pójść ustalonym już przez Hitlera kursem, raczej jeszcze bardziej zdecydowanie, niż to czynili zbyt rozważny, naszym zdaniem, Lammers i skory do intryg Bormann. W tym czasie za wielką wagę przywiązywaliśmy do minimalnej różnicy zdań; wynikało to z warunków życia w zamkniętym świecie, w jakim wszyscy przebywaliśmy.

Uczestnicząc w tej akcji, po raz pierwszy, wbrew dawnym uprzedzeniom, brałem udział w rozgrywkach politycznych. Zawsze starałem się konsekwentnie unikać tego, ale gdybym teraz miał uczynić to samo, nie obeszłoby się bez wewnętrznych konsekwencji. Nie miałem racji sądząc, iż mogę skoncentrować się wyłącznie na swej pracy zawodowej. W systemie autokratycznym człowiek nieuchronnie dostaje się w wir politycznych rozgrywek, jeżeli chce pozostać w grupie kierowniczej.

Goring zatrzymał się w letniej rezydencji na Obersalzbergu. Przebywał tam, jak dowiedziałem się od Milcha, na dłuższym urlopie,

przejęty poważnymi zarzutami Hitlera o nieudolności w dowodzeniu lotnictwem. Natomiast wyraził gotowość przyjęcia mnie następnego

dnia, 28 lutego 1943 roku.

Prowadziliśmy wielogodzinne rozmowy w atmosferze przyjaznej i, jak to wynikało z intymnego nastroju stosunkowo małego domu, niewymuszonej. Dziwiły mnie wprawdzie - utkwilo to mocno w mojej pamięci - jego polakierowane na czerwono paznokcie i wyraźnie uszmkowana twarz, oswoilem się już natomiast z widokiem dużej rubinowej broszki na aksamitnym szlafroku.

Goring w milczeniu przysłuchiwał się naszym propozycjom oraz mojej informacji o rozmowach berlińskich; od czasu do czasu wyjmował z kieszeni drogocenne kamienie i bawił się nimi obracając je w palcach. Wydawał się być uradowany faktem, że zwróciliśmy się do niego. On również widział niebezpieczeństwo w rozwoju sytuacji, jaka wytworzyła się w związku z działalnością Bormanna, i przychyłał się do naszych planów. Ciągle jeszcze tylko gniewał się na Goebbelsa z powodu wspomnianego incydentu, dopóki mu w końcu nie zaproponowałem, aby osobiście zaprosił ministra propagandy do gruntownego przedyskutowania z nim naszego planu.

Już następnego dnia Goebbels przybył do Berchtesgaden, gdzie od razu poinformowałem go o wyniku swoich rozmów. Pojechaliśmy razem do Goringa. Chcąc pozostawić ich samych, wyszedłem niebawem, a oni, ciągle jeszcze czujący do siebie urazę, prowadzili rozmowę. Kiedy wróciłem, Goring zacierał ręce z radości przed rozpoczynającą się batalią; prezentował się z jak najbardziej pozytywnej strony. Na początek należało zmienić skład personalny rady ministrów do spraw obrony Rzeszy. Goebbels i ja mieliśmy zostać jej członkami; to, że jeszcze nie byliśmy nimi, świadczyło o indolencji tej instytucji. Mówiono również o potrzebie zastąpienia Ribbentropa; minister spraw zagranicznych, do którego obowiązków należało przekonywanie Hitlera o konieczności rozsądnej polityki, był tylko zwykłą jego tubą, niezdolną znaleźć w tej niekorzystnej sytuacji wojskowej rozwiązania politycznego.

Ożywiając się coraz bardziej, Goebbels ciągnął dalej: „Podobnie jak Ribbentropa, fuhrer nie przejrzał Lammersa”. Goring poderwał się: „Ciągłym wtrącaniem się paraliżował on moje wysiłki. Teraz się to skończy! Postaram się o to, moi panowie!” Goebbels wyraźnie wykorzystywał wzburzenie Góringa, starał się go również prowokować, ale jednocześnie obawiał się impulsywności niezręcznego taktycznie marszałka Rzeszy: „Proszę wierzyć, panie Goring, otworzymy fuhrerowi oczy na Bormanna i Lammersa. Tylko nie możemy przeholować. Musimy postępować rozważnie. Zna pan przecież fuhrera”. Uspokoiwszy się, dodał: „Nie możemy w żadnym wypadku rozmawiać zbyt otwarcie z pozostałymi członkami rady ministrów. Nie powinni oni w ogóle wiedzieć, że chcemy ograniczyć wpływy komitetu trzech.

Tworzmy po prostu związek wierny fuhrerowi. Nie mamy osobistych ambicji. A przecież, jeśli będziemy się popierać i występować wspólnie, to wkrótce osiągniemy przewagę nad wszystkimi i utworzymy

żadnych

wokół Hitlera mocne ogniwo".

W drodze powrotnej Goebbels był bardzo zadowolony: „To jest coś! Czy nie zauważył pan, że Goring całkowicie odżył?” Również i ja nie widziałem w ostatnich latach Goringa przejawiającego taką odwagę, zdecydowanie i energię. Spacerując z nim po zacisznej okolicy Obersalzbergu, długo rozmawialiśmy o Bormannie i jego postępowaniu. Powiedziałem Goringowi wprost, że Bormann zmierza do przejęcia spuścizny po Hitlerze, że nie cofnie się przed niczym, aby w gruncie rzeczy wymanewrować nas wszystkich. Opowiadałem, jak Bormann już teraz nie przepuszcza żadnej okazji, by podważyć autorytet marszałka Rzeszy. Goring przysłuchiwał się ze wzrastającym napięciem. Mówiłem mu dalej o organizowanych u Hitlera w Obersalzbergu herbatkach, z których on był wykluczony. Właśnie tam miałem możliwość z bliska obserwować taktykę Bormanna.

Nie przypuszczał on nigdy bezpośrednio ataku, lecz zamierzony cel osiągał przy pomocy ostrożnego wtrącania drobnych uwag. I tak na przykład podczas rozmowy przy herbacie Bormann, chcąc zaszkodzić Schirachowi, opowiadał kompromitujące go plotki z Wiednia, konsekwentnie jednak unikał aprobowania negatywnych uwag Hitlera na ten temat. Przeciwnie, uważał za stosowne chwalić następnie Schiracha - była to oczywiście pochwała, którą Hitler musiał przyjmować z niesmakiem. Wystarczył jeden rok, aby Bormann doprowadził do tego, że Hitler nie przyjmował już Schiracha, a często nawet wyrażał się o nim nieprzychylnie. Teraz Bormann - pod nieobecność Hitlera - mógł nikiemnie posunąć się dalej i w sposób pozornie niewinny, a w gruncie rzeczy nader szkodliwy stwierdzić, że Schirach nadaje się do Wiednia, gdyż tam każdy intryguje przeciwko każdemu. Kończąc dodałem, że Bormann mógł w podobny sposób podrywać również autorytet Goringa.

Bormann miał oczywiście ułatwioną sytuację, gdyż Goring stwarzał ku temu wiele okazji. Sam Goebbels mówił jeszcze w tych dniach, usprawiedliwiając się nieco, o „barokowej draperii”, która wyglądała dość komicznie, jeśli nie znało się Goringa. W swych osobistych wystąpieniach Goebbels nie zwracał uwagi na jego nieporadność jako naczelnego dowódcy lotnictwa. Znacznie później, wiosną 1945 roku, gdy w obecności wszystkich uczestników narady sytuacyjnej Hitler pogardliwie wyraził się o swym marszałku Rzeszy, Goring powiedział do lotniczego adiutanta Hitlera, Belowa: „Speer miał wtedy rację, ostrzegając mnie. Teraz Bormann doprowadził do tego”. Goring mylił się - Bormann uczynił to już wiosną 1943 roku.

W kilka dni później, 5 marca 1943 roku, poleciałem do kwatery

główniej, chcąc uzyskać tam pewne decyzje w sprawach zbrojeniowych. W gruncie rzeczy zamierzałem zacieśnić swój sojusz z Goringiem i Gebbelsem. Bez trudu zdołałem wyjednać u Hitlera zaproszenie dla Goebbelsa. Fuhrer chętnie się zgodził, aby elokwentny minister propagandy towarzyszył mu przez jeden dzień na pustkowiu kwatery głównej.

Po trzech dniach Goebbels przybył do kwatery głównej. Najpierw odwołał mnie na bok: „W jakim nastroju znajduje się Hitler, panie Speer?” zapytał. Podzieliłem się z nim swymi spostrzeżeniami, że w stosunku do Goringa fuhrer nastawiony jest nieprzyjaźnie. Radziłem powściągliwość. Byłoby zapewne lepiej nie nadawać na początku biegu tej sprawie; dlatego też, kierując się własnym wyczuciem, nie poruszałbym jej. Goebbels zgodził się: „Ma pan chyba rację. Nie można obecnie przychodzić do fuhrera z Goringiem. To popsułoby wszystko”.

Trwająca od tygodni seria zmasowanych, prawie nie powstrzymywanych nalotów alianckich nadal osłabiała i tak już zachwianą pozycję Goringa. Na samo wspomnienie o Goringu Hitler wpadał w złość i wytykał jego zaniedbania w kierowaniu działaniami lotnictwa. Tego dnia ponownie wyraził obawę, że trwające naloty bombowe mogą zniszczyć nie tylko miasta, ale co gorsza wpłynąć ujemnie na morale i postawę społeczeństwa. Ulegał on wówczas temu samemu błędnemu mniemaniu, co i po drugiej stronie brytyjscy strategowie wojny lotniczej.

Hitler zaprosił Goebbelsa i mnie na obiad. Rzuciło się w oczy, że nie kazał zaprosić Bormanna, niezbędnego zwykle w takich okazjach. Pod tym względem traktował Bormanna całkowicie jako sekretarza. Obecność Goebbelsa sprawiła, że Hitler był w tym dniu znacznie bardziej ożywiony i rozmowny niż podczas innych moich wizyt w kwaterze głównej. Wykorzystał to spotkanie jako okazję do szczerego podzielenia się swymi spostrzeżeniami: wypowiadał opinię niemal o wszystkich swoich współpracownikach, z wyjątkiem nas dwóch.

Po obiedzie pożegnałem się, a Hitler i Goebbels pozostali przez kilka godzin sami. Rozstając się ze mną, Hitler powiedział mi kilka miłych słów, zgodnie ze swoim zwyczajem rozgraniczania osób od spraw, które one reprezentowały. Stawiłem się dopiero na omawianie sytuacji wojskowej. Ponownie zebraliśmy się w czasie kolacji, teraz już wszyscy trzej. Hitler polecił rozpalić ogień w kominku, kamerdyner przyniósł dla nas butelkę wina, dla niego zaś wodę mineralną. Siedzieliśmy razem swobodnie, w przytulnej atmosferze do wczesnego ranka. Ja rzadko dochodziłem do głosu, Goebbels bowiem potrafił rozmawiać z fuhrerem - z dużą elokwencją, gładkimi zdaniem, wplatając we właściwym miejscu ironiczne uwagi, okazując podziw, kiedy Hitler tego

oczekiwał, wpadając w sentymentalizm, gdy wymagała tego sytuacja,

przycaczając plotki i afery miłosne. Po mistrzowsku mieszał wszystko: teatr, film i dawne czasy. Hitler, jak zawsze, kazał sobie szczegółowo opowiadać również o dzieciach Gobbelsa; ich dziecinne wypowiedzi, ulubione zabawy, ich często trafne uwagi pozwalały Hitlerowi również tej nocy zapomnieć o jego troskach.

Nawiązując do trudnych chwil przeszłości i przypominając sposoby ich przezwyciężenia, Goebbels umiał poprawiać samopoczucie Hitlera oraz podsycać jego próżność, która nie znajdowała w pełni ujścia w surowych warunkach życia wojskowego. Hitler natomiast odpłacał się wdzięcznością, podnosząc działalność ministra propagandy, a tym samym również jego pewność siebie. W Trzeciej Rzeszy chwalono się chętnie i bez przerwy kokietowano nawzajem.

Wyzbywszy się pewnych oporów, postanowiliśmy z Goebbelsem, że przynajmniej w ogólnych zarysach przedstawimy Hitlerowi tego wieczoru nasze plany aktywizacji rady ministrów do spraw obrony Rzeszy. Już nawet wytworzyła się sprzyjająca atmosfera dla naszego właściwego tematu, który mógłby urazić Hitlera pośrednio, ze względu na jego działalność rządową, gdy idyllę przy kominku przerwał meldunek o silnym nalocie na Norymbergę. Jakby wyczuwając trochę nasze zamiary, może ostrzeżony przez Bormanna, Hitler zareagował w sposób nieoczekiwany. Kazał natychmiast zbudzić szefa adiutantury Goringa, generała majora Bodenschatza, i w rozmowie z nim czynił gwałtowne zarzuty „nieudolnemu marszałkowi Rzeszy”. Próbowaliśmy z Goebbelsem ułagodzić go i rzeczywiście w końcu się uspokoił. Jednakże nasze wstępne zabiegi okazały się daremne. Również Goebbels był zdania, że należy unikać tego tematu. Jednocześnie on sam, po licznych słowach uznania z ust Hitlera, poczuł się znacznie pewniej w swej politycznej działalności. Już nigdy w przyszłości nie mówił o „kryzysie wodza”. Przeciwnie, wydawało się, że tego wieczoru znów odzyskał dawne zaufanie do fuhrera. Przeciwno Bormannowi jednak, jego zdaniem, walka miała być prowadzona nadal.

Goebbels, Funk, Ley i ja spotkaliśmy się 17 marca z Goringiem w jego berlińskim pałacu przy Leipziger Platz. Przyjął nas bardzo oficjalnie w gabinecie, gdzie urzędował za biurkiem olbrzymich rozmiarów, w renesansowym fotelu. Siedzieliśmy naprzeciw na niewygodnych krzesłach. Początkowo znikła serdeczność z Obersalzbergu; wyglądało na to, że obecnie Goring żałował swej szczerości. Podczas gdy my wszyscy na ogół nie zabieraliśmy głosu, Goring i Goebbels zaczęli się wkrótce licytować wzajemnie w przypuszczeniach, jakie zgubne następstwa mogła pociągnąć za sobą działalność komitetu trzech wokół Hitlera, a także snuli nadzieje i iluzje co do naszych możliwości uwolnienia go z izolacji. Goebbels sprawiał wrażenie, jakby całkowicie zapomniał, co Hitler przed kilkoma

dniami mówił o Goringu. Obydwaj mieli przed oczyma własny cel -
Goring, jak zwykle w zmiennym nastroju, to z apatią, to znów w

euforii, bagatelizował już wpływ kliki z kwatery głównej: „Nie można ich przecież przeceniać, panie Goebbels! Bormann i Keitel są właściwie tylko sekretarzami fuhrera. Na co oni sobie pozwalają! Niczego sobą nie reprezentują!” Goebbels wydawał się być najbardziej zaniepokojony tym, że Bormann wykorzystywał swe bezpośrednie kontakty z gauleiterami, tworząc również w Rzeszy ośrodki opozycyjne przeciwko naszym wysiłkom. Przypominam sobie, jak Ley, kierownik organizacyjny partii, próbował występować przeciwko Bormannowi, a w końcu przedstawił wniosek, aby rada ministrów do spraw obrony Rzeszy uzyskała prawo zapraszania gauleiterów, jak też żądania od nich składania sprawozdań. Wiedząc zapewne, że Goring nie będzie tak często brał udziału w posiedzeniach, Goebbels zaproponował cotygodniowe spotkania. Mimochodem nadmienił też, że mógłby przecież przewodniczyć w zastępstwie Goringa, gdyby on nie mógł tego zrobić. Nie przejrawszy intencji Goebbelsa, Goring wyraził zgodę. A więc u podłoża wielkiej walki o władzę znajdowała się dawna rywalizacja.

Liczby robotników, jakie Sauckel miał przekazywać przemysłowi i o których meldował Hitlerowi w chępliwych oświadczeniach, już od dawna nie zgadzały się z faktycznym stanem w zakładach pracy. Chodziło tu o różnice rzędu kilkuset tysięcy ludzi. Zaproponowałem więc naszej koalicji, aby zmusić Sauckla, sprzymierzeńca Bormanna, do podania prawdziwych danych.

Jeden z budynków w pobliżu Berchtesgaden urządzono na polecenie Hitlera w ludowym stylu bawarskim. W czasie kilkumiesięcznych pobytów Hitlera w Obersalzbergu prowadzili tu sprawy Kancelarii Rzeszy Lammers i jego najbliższy sztab. Do sali posiedzeń tego budynku Goring zaprosił na dzień 12 kwietnia 1943 roku za pośrednictwem gospodarza domu, Lammersa, naszą grupę oraz Sauckla i Milcha. Przed rozpoczęciem posiedzenia jeszcze raz poinformowaliśmy z Milchem Goringa o naszych zadaniach. Zacierał ręce: „Teraz zrobię porządek!”

Jednakże oprócz nas w sali posiedzeń niespodziewanie zjawili się również Himmler i Keitel - a na nieszczęście nasz sojusznik Goebbels przesłał usprawiedliwienie: w pobliżu Berchtesgaden dostał ataku kolki nerkowej i podobno leżał chory w swym wagonie specjalnym. Nie wiem do dziś, czy nie było to jedynie trafne przeczucie. Posiedzenie położyło kres naszemu sojuszowi. Sauckel powątpiewał w słuszność żądania dla gospodarki 2 100 tysięcy robotników, powoływał się na swą owocną pracę, dzięki której zaspokoił wszystkie potrzeby. Zareagował wręcz opryskliwie, gdy zarzuciłem mu, że podaje liczby niezgodne z prawdą⁷.

Wraz z Milchem oczekiwaliśmy, że Goring poprosi Sauckla o udzielenie wyjaśnień, a następnie zmusi go do zmiany polityki w zakresie dysponowania siłą roboczą. Zamiast tego, ku naszemu przerażeniu, Goring gwałtownie zaatakował Milcha, a tym samym pośrednio mnie: To niebywałe, że Milch robi takie trudności. Nasz dobry towarzysz partyjny Sauckel, który wkłada tyle wysiłku i osiąga takie sukcesy... on w każdym razie czuje się zobowiązany do wielkiej wdzięczności. Milch po prostu nie dostrzega osiągnięć Sauckla... Wyglądało na to, jakby Goring nastawił fałszywą płytę gramofonową. W toku odbywającej się następnie szerokiej dyskusji na temat niedoboru robotników, każdy z obecnych ministrów próbował wyrazić swój pogląd w tej sprawie, nie wykazując przy tym znajomości rzeczy. Himmler z całkowitym spokojem sądził, że brakujące setki tysięcy robotników być może umarły.

Posiedzenie zakończyło się więc niepowodzeniem. Nie przyniosło żadnego wyjaśnienia problemu niedoboru siły roboczej. Nie powiodła się również szeroko zakrojona walka przeciwko Bormannowi.

Po konferencji Goring odwołał mnie na bok: „Wiem, że blisko i chętnie współpracuje pan z moim sekretarzem stanu Milchem. Kierując się wielką przyjaźnią, chciałbym pana ostrzec przed nim. To człowiek niepewny, a jeżeli w grę wchodzi jego osobiste korzyści, nie zważa nawet na swoich bliskich przyjaciół”. Uwagę tę niezwłocznie przekazałem Milchowi. Śmiał się: „Przed kilkoma dniami dokładnie to samo powiedział mi o tobie”. Podjęta przez Goringa próba posiania nieufności była dokładnym przeciwieństwem tego, co ustaliliśmy: utworzenia bloku. Tak więc z chwilą pojawienia się nieufności przyjaźń odczuwano jako zagrożenie.

Goring

W kilka dni po tym posiedzeniu Milch sądził, iż Goring zmienił front dlatego, że gestapo dysponowało dowodami o zażywaniu przez niego morfiny. Od dawna już Milch zalecał mi zwracanie uwagi na pupilów Goringa. W czasie procesu norymberskiego mój adwokat, dr Flachsner, potwierdził, że Goring już na długo przed 1933 rokiem był morfinistą, że podobno bronił go w procesie, wytoczonym z powodu nadużywania tego narkotyku⁸.

Nasza próba zmobilizowania Goringa przeciwko Bormannowi prawdopodobnie była z góry skazana na niepowodzenie również ze względów finansowych. Z zasobów fundacji Adolfa Hitlera, jak to ujawniły dokumenty norymberskie, Bormann przekazał bowiem zakładom przemysłowym Goringa darowiznę w wysokości 6 milionów marek.

Wraz z fiaskiem naszego sojuszu Goring zaczął rzeczywiście przejawiać pewną aktywność, chociaż niespodziewanie wymierzona

przeciwko mnie. Wbrew swemu zwyczajowi zażądał kilka tygodni później, abym zaprosił miarodajnych kierowników zakładów przemysłu stalowego na posiedzenie do Obersalzbergu. Spotkanie odbyło się w mojej pracowni, przy stołach kreślarskich opiętych kartonami. Osobliwością tego zebrania było jedynie dziwne zachowanie się Goringa. Wydawał się być w dobrym nastroju, a fachowców przemysłu stalowego zaskoczył wygłoszeniem obszernego referatu o produkcji stali, w którym popisywał się wiedzą o wielkich piecach i produkcji hutniczej. Operował przy tym ogólnikami: należy produkować więcej, nie można hamować udoskonaleń, przemysł stanął w miejscu, powinien się uczyć osiągać lepsze wyniki. Pod koniec swego dwugodzinnego potoku słów Goring zaczął mówić wolniej, jego wyraz twarzy stawał się coraz bardziej nieprzytomny. Wreszcie oparł głowę na stole i spokojnie zasnął. Uważaliśmy, że najrozsądniej będzie nie zwracać uwagi na śpiącego w okazałości swego munduru marszałka Rzeszy, już choćby dlatego, by nie wprawiać go w zakłopotanie. Dyskutowaliśmy więc nadal nad naszymi problemami, dopóki nie obudził się i nie oświadczył od razu, że posiedzenie uważa za skończone.

Na dzień następny Goring wyznaczył konferencję na temat programu radionamierzania, która skończyła się podobnym fiaskiem. Znowu mentorskim tonem i w jak najlepszym nastroju, ale bez znajomości rzeczy, dawał uczestniczącym w konferencji fachowcom jedno po drugim pouczenie, a w końcu, w doskonałym humorze - przekazał im potok zarządzeń. Gdy opuścił posiedzenie, miałem pełne ręce roboty przy usuwaniu wyrządzonych szkód; starałem się przy tym nie podrywać jego autorytetu. Incydent jednak był tak brzemienny w skutki, że musiałem zawiadomić o tym Hitlera, który przy najbliższej okazji, 13 maja 1943 roku, zaprosił do kwatery głównej przedstawicieli przemysłu zbrojeniowego w celu przywrócenia rządowi prestżu⁹.

W kilka miesięcy po niepowodzeniu naszych planów na terenie kwatery głównej spotkałem Himmlera. Szorstko, z groźbą w głosie powiedział: „Nie uważam za właściwe, aby pan jeszcze raz podejmował próbę aktywizowania marszałka Rzeszy!”

Ale i tak nie było to już możliwe. Goring zapadł, ostatecznie, w swój letarg. Przebudził się dopiero w Norymberdze.

1 W czternaście dni po wydaniu 8 stycznia 1943 r. rozkazu o powołaniu Hitler żądał w swym apelu realizacji rozszerzonego programu budowy czołgów.

2 Posiedzenie kierownictwa Centrali Planowania z 26 stycznia 1943 r. Chodziło o zamiar „wprowadzenia miliona Niemców do zakładów zbrojeniowych”. Moje żądania nie zostały przevorsowane. Według USSBS, *Effects of Strategie Bombing*, która czerpała wiadomości z wojenno-gospodarczego bilansu sił Urzędu Statystycznego Rzeszy, liczba zatrudnionych wynosiła:

	Maj 1943	Maj 1944
Handel, banki, ubezpieczenia	3100000	2900000
Administracja	2800000	2800000
Transport	2 300 000	2 300 000
Rzemiosło	3400000	3300000
-Służby socjalne	1000000	900000
Pracujący w domu	1400 000	1400 000
	14000000	13600000

Spadek zatrudnienia o 400 tys. prawdopodobnie spowodowany był w znacznej części odejściem najstarszych roczników, ponieważ młodzi ludzie zostali powołani do Wehrmachtu. Pomyślnych wyników nie przyniosło więc nawet podejmowanie przez półtora roku wielkich wysiłków w celu włączenia do przemysłu zbrojeniowego osób zatrudnionych poza gospodarką wojenną.

12 lipca 1944 r. ponownie przedstawiłem Hitlerowi stare argumenty: „Działania lotnictwa bombowego wykazały, że możliwe jest życie w ruinach - bez restauracji, bez lokali rozrywkowych, bez wygodnych mieszkań, w ogóle bez zaspokajania wielu potrzeb codziennego życia. Działania te dowodzą, że handel i banki dają sobie radę, prowadząc tylko część swej dotychczasowej działalności... (lub) że na przykład pasażerowie uiszczają opłaty za przejazd, chociaż nie można już wydawać biletów, gdyż zostały spalone, i że również władze podatkowe otrzymują wpłaty, nawet gdy zniszczeniu uległy akta urzędu finansowego”.

3 Gauleiter Sauckel na naradzie 8 stycznia 1943 r. w sali posiedzeń rządu, w przeciwieństwie do pozostałych uczestników, wyrażał pogląd, że wykorzystanie kobiet nie jest konieczne, gdyż, jego zdaniem, było jeszcze dosyć siły roboczej. *Kronika*.

4 W sprawie środków do pielęgnacji urody wahał się nawet Goebbels: „Omawia się jeszcze” (w dyskusji publicznej) „szereg szczegółowych problemów, zwłaszcza sprawę pielęgnacji urody kobiet... Być może trzeba tu postępować nieco łagodniej” (dziennik, 12 marca 1943 r.). Zalecenie Hitlera zacytowano z protokołu fuhrera z 25 kwietnia 1943 r., pkt 14.

5 Ta charakterystyka Hitlera jest sprzeczna z wrażeniem, jakie wywołuje dziennik Goebbelsa z tego okresu. Goebbels myślał niewątpliwie o tym, aby po pomyślnie zakończonej wojnie częściowo opublikować swój dziennik. Być może z tego względu przytłumiał wszelką krytykę Hitlera, a może jednak i on obawiał się, że pewnego dnia niespodziewanie zostaną przejrzone jego osobiste papiery.

6 Konflikt między Goringiem a Goebbelsem z powodu restauracji został zresztą rozstrzygnięty w ten sposób, że po zamknięciu otwarto ją na nowo jako klub Luftwaffe.

7 Za pośrednictwem naszego inspektora do spraw zbrojeń na Górny Bawarię, generała Roescha, zorientowaliśmy się później, że Sauckel rejestrował w swych urzędach zatrudnienia jako pracującego każdego robotnika, którego przydzielono do jakiejś fabryki, nawet gdy był odsyłany, jeśli nie nadawał się do pracy w danej specjalności. Fabryki rejestrowały tylko te osoby, które rzeczywiście zostały przyjęte do pracy.

8 W pewnym lokalu tanecznym zapaliła się suknia na jednej z kobiet. Goring, chcąc uśmierzyć jej bóle, wstrzyknął jej morfinę. Ponieważ jednak na skutek niefachowo zrobionego zastrzyku pozostał szpecący ślad, kobieta zaskarżyła Goringa.

9 Goebbels pisał o tym 15 maja 1943 r. w swym nie opublikowanym dzienniku: Przez cały dzień rozmawiał (Hitler) z szefami przemysłu zbrojeniowego o środkach, jakie należy teraz podjąć. Ta narada u fuhrera miała być pewną rekompensatą za ostatnią, trochę nieudaną konferencję u Goringa. Goring zachował się niezręcznie pod względem taktycznym i mocno dotknął przedstawicieli przemysłu zbrojeniowego. Fuhrer teraz to naprawił”.

Rozdział 19

DRUGI CZŁOWIEK W PAŃSTWIE

Kilka tygodni po rozpadnięciu się naszego sojuszu, gdzieś w początkach maja 1943 roku, Goebbels zaczął dostrzegać u Bormanna te wartości, które jeszcze niedawno przypisywał Goringowi. Zapewniał, że w przyszłości będzie przekazywał kierowane do Hitlera informacje przez Bormanna i jego prosił o uzyskiwanie decyzji. To podporządkowanie się Bormann odplacał z nawiązką. Goebbels zrezygnował już teraz z Goringa, traktował go tylko jako figurę reprezentacyjną.

Tak więc Bormann nadal umacniał swą władzę. Ciągłe jeszcze nie był pewny, czy któregoś dnia nie będzie mnie potrzebował. Choć musiał słyszeć swego czasu o mojej nieudanej próbie zdetronizowania go, mimo to był w stosunku do mnie uprzejmy: wspominał nawet, że mógłbym podobnie jak Goebbels stanąć po jego stronie. Z propozycji tej jednak nie skorzystałem, gdyż cena wydawała mi się za wysoka: stałbym się od niego zależny.

Również Goebbels utrzymywał nadal ścisły kontakt ze mną. Obydwaj wciąż jeszcze dążyliśmy do bezwzględnego uchwycenia rezerw wewnętrznych. Zapewne zbyt mu ufałem; pociągały mnie w nim olśniewający optymizm, poprawne zachowanie, podobnie jak i logiczny sposób postępowania.

Na zewnątrz niewiele się więc zmieniło. Świat, w którym żyliśmy, zmuszał do udawania, hipokryzji, obłudy. Pomiedzy rywalami rzadko padało uczciwe słowo: istniała obawa przed skutkami doniesienia Hitlerowi. Konspirowano, stawiano na jego kaprysy, zyskiwano albo tracono w tej obłudnej grze. Grałem więc i ja bez skrpułów, tak samo jak wszyscy, na tej rozstrojonej klawiaturze wzajemnych stosunków.

W drugiej połowie maja 1943 roku Goring poinformował mnie, że chce razem ze mną przemawiać w pałacu sportowym na temat niemieckich zbrojeń. Zgodziłem się. Jednak po kilku dniach, ku mojemu zaskoczeniu, Hitler wyznaczył na mówcę Goebbelsa. Podczas uzgadniania naszych tekstów minister propagandy poradził mi, abym skrócił swoje wystąpienie, gdyż jego miało trwać godzinę: „Jeżeli pańskie nie zajmie znacznie mniej niż pół godziny, uczestnicy stracą zainteresowanie”. Jak zwykle przedłożyliśmy Hitlerowi teksty przemówień w rękopisie, zaznaczając, że moje zostanie jeszcze skrócone o jedną trzecią. Hitler kazał mi przybyć do Obersalzbergu. W mojej

obecności czytał dostarczone mu przez Bormanna teksty i z całą

bezwzględnością, gorliwie dokonywał skreśleń; jak mi się wydawało, w ciągu kilku minut skrócił o połowę wystąpienie Goebbelsa. „Proszę, Bormann, przekazać to doktorowi i powiedzieć mu, że wystąpienie Speera oceniam bardzo wysoko”. Tym samym więc w obecności intrygującego Bormanna pomógł mi uzyskać sukces prestiżowy nad Goebbelsem. Po tym incydencie obaj wiedzieliśmy, że tak jak dawniej, nadal cieszyłem się dużym autorytetem. Sam natomiast mogłem liczyć na to, że w razie potrzeby Hitler udzieli mi poparcia, nawet występując przeciwko swym najbliższym zaufanym.

Moje przemówienie z 5 czerwca 1943 roku, w którym po raz pierwszy podałem do wiadomości, że uzyskaliśmy znaczny postęp w uzbrojeniu, nie zostało przychylnie przyjęte z dwóch powodów. Ze strony hierarchii partyjnej mogłem słyszeć: „A więc wszystko dzieje się bez większych ofiar! Dlaczego więc mamy niepokoić społeczeństwo drastycznymi pociągnięciami?” Natomiast generalicja i żołnierze na froncie przy każdej trudności zaopatrzenia w amunicję czy broń podawali w wątpliwość wiarygodność przytoczonych przeze mnie danych.

Radziecka ofensywa zimowa utknęła. Nasza zwiększona produkcja przyczyniła się nie tylko do wypełnienia luk na froncie wschodnim. Dodatkowe dostawy broni, mimo strat materiałowych poniesionych w okresie zimy, umożliwiły też Hitlerowi przygotowanie nowej ofensywy: łuk kurski miał być odcięty. Termin rozpoczęcia tej operacji, przygotowywanej pod kryptonimem „Cytadela”, ciągle przesuwano, ponieważ Hitler przywiązywał wagę do użycia nowych czołgów. Spodziewał się cudu, przede wszystkim po skonstruowanym przez profesora Porschego typie czołgu o napędzie elektrycznym.

Pewnego razu podczas kolacji w urządzonym w stylu ludowym pokoju na zapleczu Kancelarii Rzeszy usłyszałem przypadkowo od Seppa Dietricha, że Hitler zamierza wydać rozkaz niebrania tym razem żadnych jeńców. Przeprowadzając rozpoznanie, jednostki SS miały stwierdzić, że oddziały radzieckie podobno mordowały jeńców. W odpowiedzi na to Hitler zapowiedział masowy krwawy odwet.

Zdeprymowało mnie to, a jednocześnie zaniepokoiło, że sami działamy tu na własną szkodę. Hitler zakładał, że weźmiemy setki tysięcy jeńców, a my od miesiący daremnie próbowaliśmy uzupełnić podobnie duże braki w sile roboczej. Dlatego też przy najbliższej okazji zwróciłem na to uwagę Hitlera. Nie było trudno go przekonać. Wydawało się, że z satysfakcją może cofnąć obietnicę, jaką dał SS. Jeszcze tego samego dnia, 8 lipca 1943 roku, kazał przygotować Keitlowi wytyczne w sprawie zatrudnienia wszystkich jeńców w przemyśle zbrojeniowym!

W rzeczywistości nie było potrzeby dyskutować o traktowaniu jeńców. Wprawdzie ofensywa rozpoczęła się 5 lipca, ale mimo zmasowanego użycia naszej najnowocześniejszej broni nie udało się utworzyć kotła; nie spełniły się nadzieje Hitlera. Po dwutygodniowych walkach zrezygnował z kontynuowania ofensywy. Niepowodzenie to oznaczało, że obecnie również w dogodnych porach roku nieprzyjaciel dyktował sposób działań.

Już po drugiej katastrofie zimowej, po Stalingradzie, Sztab Generalny Wojsk Lądowych nalegał na budowę pozycji obronnej na dalekich tyłach, nie uzyskał jednak zgody Hitlera. Teraz, po nieudanej ofensywie, zgadzał się on na budowę tej pozycji, oddalonej o 20-25 kilometrów od głównego pasa obrony². Sztab Generalny proponował natomiast, jako linię stałą, zachodnią stronę Dniepru, która ze swym prawie pięćdziesięciometrowym stromym brzegiem panowała nad przeciwległą równiną. Tam prawdopodobnie starczyłoby czasu na rozbudowę obrony, gdyż Dniepr znajdował się jeszcze ponad 200 kilometrów od linii frontu. Hitler jednak kategorycznie sprzeciwiał się temu. Choć miał zwyczaj chwalić niemieckich żołnierzy w trakcie ich zwycięskich pochodów i mówić o nich, że są najlepsi w świecie, teraz jednak stwierdzał: „Nie można budować tylowej rubieży ze względów psychologicznych. Gdy się oddział dowie, że sto kilometrów z tyłu za przednią linią znajduje się rozbudowana pozycja, nikt nie pobudzi go do walki. Przy pierwszej okazji cofnie się on bez stawiania oporu”³.

O tym, że Organizacja Todta na rozkaz Mansteina i przy cichej aprobacie Zeitzlera mimo rozkazu budowała w grudniu 1943 roku pozycje na Bugu, Hitler dowiedział się od mojego zastępcy, Dorscha. I tym razem armie radzieckie znajdowały się jeszcze 150-200 kilometrów na wschód od tej rzeki. Znow Hitler rozkazał w niezwykle ostrej formie, z identycznym uzasadnieniem jak pół roku temu, natychmiastowe przerwanie prac⁴. W budowie tej tylowej rubieży widział on jednocześnie, co podkreślał wzburzony, nowy dowód defetystycznej postawy Mansteina i jego grupy armii.

W Rosji bowiem, począwszy od listopada, z uwagi na zamarznąłą ziemię nie można było myśleć o okopaniu się. Żołnierze byli zdani na łaskę pogody. Dodatkowe szkody wyrządzało naszym oddziałom słabe wyposażenie zimowe w porównaniu z dobrze na ten okres zaopatrzonym nieprzyjacielem.

Nie tylko to postępowanie Hitlera świadczyło, że nie chciał dostrzec decydujących zmian na froncie wschodnim. Wiosną 1943 roku zażądał on pięciokilometrowego mostu kolejowego i drogowego przez cieśninę Kercz, mimo że od dawna budowaliśmy tam kolej linową, którą oddano do użytku 14 czerwca, z dzienną przepustowością tysiąca ton. Ta

ilość zaopatrzenia ledwie wystarczała na zaspokojenie potrzeb obronnych 17 armii. Ale Hitler nie zrezygnował ze swego planu uderzenia na Iran przez Kaukaz; uzasadniał rozkaz tym,

że istnieje

wyraźna potrzeba przerzucania przy pomocy tego mostu na przyczółku kubańskim zaopatrzenia i jednostek niezbędnych dla ofensywy⁵. Jego generałowie natomiast od dawna już nie myśleli o tym. Z okazji wizytacji przyczółka kubańskiego wszyscy frontowi generałowie wyrażali obawę, czy ze względu na siłę nieprzyjaciela w ogóle można jeszcze utrzymać nasze pozycje. Gdy przekazywałem te uwagi Hitlerowi, powiedział z pogardą: „To są tylko wykręty! Janicke, tak jak i Sztab Generalny, nie wierzy w nową ofensywę”.

Nieco później, latem 1943 roku, generał Janicke, dowódca armii, musiał zaproponować przez Zeitzlera opuszczenie zbyt wysuniętego przyczółka kubańskiego. Chciał się znaleźć w bardziej dogodnej sytuacji przed spodziewaną radziecką ofensywą zimową na Krymie. Hitler natomiast z jeszcze większym uporem niż przedtem żądał szybkiej budowy wspomnianego mostu. Już wówczas było jasne, że most nie zostanie nigdy zbudowany. 4 września ostatnie pododdziały zaczęły opuszczać przyczółek Hitlera na kontynencie azjatyckim.

Podobnie jak w mieszkaniu Goringa mówiliśmy o przewycięzeniu politycznego kryzysu kierownictwa, tak wspólnie z Guderianem,

Zeitzlerem i Frommem dyskutowaliśmy o wojskowym kryzysie dowodzenia. General Guderian, generalny inspektor wojsk pancernych, prosił mnie latem 1943 roku, aby umożliwić mu prywatne spotkanie z Zeitzlerem, szefem Sztabu Generalnego Wojsk Lądowych. Między nimi istniały nieporozumienia, wywodzące się z nie sprecyzowanych do końca kompetencji. Ponieważ z obydwoma generałami utrzymywałem niemal przyjacielskie stosunki, łatwo mi było podjąć się roli pośrednika. Guderian wiązał jednak z tym spotkaniem, jak się okazało, dalej idące nadzieje. Zamierzał ustalić wspólną taktykę odnośnie do osoby naczelnego dowódcy wojsk lądowych.

Spotkaliśmy się w moim mieszkaniu na Obersalzbergu. Szybko zeszły na dalszy plan sprzeczności, jakie istniały między Zeitzlerem a Guderianem. Rozmowa koncentrowała się wokół sytuacji wynikłej z faktu, że Hitler objął wprawdzie nad wojskami lądowymi naczelne dowództwo, ale go nie sprawował. Zeitzler wyrażał pogląd, że interesy wojsk lądowych - w porównaniu z dwoma pozostałymi rodzajami wojsk i SS - muszą być reprezentowane w sposób bardziej energiczny; że Hitler jako naczelną dowódca Wehrmachtu, stojący ponad wszystkimi rodzajami sił zbrojnych, powinien pozostać bezstronny. Guderian sądził ponadto, że naczelną dowódca zobowiązany jest do utrzymywania osobistych kontaktów z dowódcami armii, przejawiania troski o potrzeby oddziałów i do podejmowania decyzji w podstawowych sprawach zaopatrzenia. Obydwaj zgadzali się, że w praktyce Hitler nie miał na to ani czasu, ani ochoty. Wyznaczał on i odwoływał generałów, chociaż ledwo ich znał.

A przecież politykę personalną może prowadzić tylko ten dowódca, który utrzymuje osobiste kontakty ze swymi wyższymi oficerami. Wojska lądowe wiedzą jednak, tak sądził Guderian, że Hitler dał obu naczelnym dowódcom, lotnictwa oraz marynarki wojennej, a także Himmlerowi prawie nieograniczone kompetencje w sprawach polityki personalnej. Jedynie w wojskach lądowych przedstawia się to inaczej.

Każdy z nas zamierzał porozmawiać z Hitlerem na temat mianowania nowego naczelnego dowódcy wojsk lądowych. Ale już pierwsza wzmianka, jaką Guderian i ja poczyniliśmy, każdy oddzielnie, spotkała się z niezwykle szorstką odmową wyraźnie dotkniętego Hitlera. Nie wiedziałem, że bezpośrednio przedtem podjęli podobną próbę marszałkowie von Kluge i von Manstein. Hitler musiał przypuszczać, że istnieje tu jakaś zмова.

Minęły już dawno czasy, kiedy Hitler chętnie załatwiał wszelkie moje prośby personalne i organizacyjne. Dalszemu rozszerzeniu moich kompetencji, choćby uzasadnionemu potrzebami wzrostu produkcji zbrojeniowej, przeciwstawiało się trzysobowe gremium: Bormann, Lammers i Keitel. Nie mogli oni jednak przedstawić przekonujących argumentów, jeśli chodzi o projekt przejścia przeze mnie uzbrojenia marynarki wojennej, co zaproponowaliśmy wspólnie z Do-nitzem.

żadnych

Donitza poznałem wkrótce po objęciu swego stanowiska, w czerwcu 1942 roku. Ówczesny dowódca floty podwodnej przyjął mnie w Paryżu, w prostym, na ówczesne pojęcia ultranowoczesnym apartamencie. Atmosfera oddziaływała na mnie tym sympatyczniej, że przybywałem tu z wystawnego przyjęcia z wieloma daniami i kosztownymi winami, wydanego przez feldmarszałka Sperrlego, dowódcę stacjonujących we Francji wojsk lotniczych. Swą kwaterę urządził on w Pałacu Luksemburskim, dawnym zamku Marii Medycejskiej. W dążeniu do luksusu i reprezentacji, podobnie jak i pod względem tuszy, feldmarszałek niewiele różnił się od swego naczelnego dowódcy, Góringa.

W ciągu następnych miesięcy łączyły mnie z Dónitzem wspólne zadania przy budowie wielkich schronów dla okrętów podwodnych na Atlantyku. Naczelnym dowódcą marynarki wojennej, Raeder, nie patrzył na to przychylnym okiem. Zakazał nawet Donitzowi omawiania bezpośrednio ze mną problemów technicznych.

Pod koniec grudnia 1942 roku wyróżniający się dowódca okrętu podwodnego, Schutze, zasygnalizował mi, że między berlińskim kierownictwem marynarki wojennej a Donitzem istnieją poważne rozbieżności. Wśród marynarzy okrętów podwodnych krążyły pogłoski, że ich dowódca zostanie w najbliższej przyszłości zmieniony. W kilka dni później dowiedziałem się od sekretarza stanu Naumanna, marynarki wojennej w Ministerstwie Propagandy wykreślił nazwisko

że cenzor

Dónitza na wszystkich podpisach pod zdjęciami prasowymi z podróży

inspekcyjnej, którą odbyli wspólnie z Raederem.

Podczas mojego pobytu na początku stycznia w kawaterze głównej Hitler denerwował się z powodu zagranicznych doniesień prasowych o bitwie morskiej, o czym dowództwo marynarki nie dość wyczerpująco go poinformowało⁶. Niby przypadkowo w toku odbywającej się następnie konferencji skierował rozmowę na możliwości racjonalizacji budowy okrętów podwodnych, wkrótce jednak bardziej zainteresował się moją niezadowolającą współpracą z Raederem. Poinformowałem go o zakazaniu Donitzowi omawiania ze mną problemów technicznych, o obawach oficerów okrętów podwodnych o swego dowódcę i ingerencjach cenzury w podpisy pod zdjęciami. Jednakże, jak dało się zauważyć obserwując postępowanie Bormanna, na Hitlera wywierała wpływ tylko ostrożnie wzbudzana podejrzliwość. Natomiast każda bezpośrednia próba oddziaływania na niego nie miała szans powodzenia; nie akceptował bowiem żadnej decyzji, która, jego zdaniem, była mu narzucana. Dlatego też dawałem do zrozumienia, że przy pomocy Donitza uda się usunąć wszystkie trudności, jakie hamowały dotychczas realizację naszych planów budowy okrętów podwodnych. W rzeczywistości zmierzałem do zmiany Raedera. Nie robiłem sobie oczywiście zbyt wielu nadziei, znając upór, z jakim Hitler zwykł trzymać się starych współpracowników.

30 stycznia Donitz został mianowany wielkim admirałem i jednocześnie naczelnym dowódcą marynarki wojennej, Raederowi natomiast powierzono stanowisko generalnego inspektora, co gwarantowało mu jedynie prawo do państwowego pogrzebu.

Dzięki swej stanowczości fachowca i technicznym argumentom Donitz potrafił, aż do końca wojny, strzec marynarki wojennej przed kapryсами Hitlera. Spotykałem się z nim teraz często, omawiając problemy budowy okrętów podwodnych. Ta ścisła współpraca zaczęła się jednak od dysonansu. Nie zasięgając mojej rady, w połowie kwietnia Hitler w myśl propozycji Dónitza zaszeregował całe uzbrojenie marynarki do potrzeb pierwszej kolejności, choć przed trzema miesiącami, 22 stycznia 1943 roku, za najpilniejsze zadanie uważał rozszerzony program czołgów. Oba programy musiały, naturalnie, stanowić dla siebie konkurencję. Ale obeszło się bez interwencji u Hitlera. Zanim fuhrer uświadomił sobie tę kontrowersję, Donitz zrozumiał już, że współpraca z potężnym aparatem uzbrojenia wojska przynosi mu większe korzyści aniżeli przyrzeczenia Hitlera. Niebawem uzgodniliśmy przekazanie uzbrojenia marynarki mojemu aparatowi. Zagwarantowałem zrealizowanie postulowanego przez Dónitza programu budowy floty: zamiast dotychczasowej najwyższej produkcji miesięcznej rzędu dwudziestu niniejszych okrętów o ogólnej wyporności 16 tysięcy ton, mieliśmy w przyszłości budować

czterdzieści jednostek podwodnych o ogólnej wyporności 50 tysięcy ton. Ponadto ustaliliśmy, że liczba trałowców i ścigaczy zostanie

podwojona.

Donitz wyjaśniał mi, że nadzieje na dalsze działania na morzu okrętów podwodnych mogą być spełnione jedynie dzięki budowie nowych jednostek tego typu. Marynarka zamierza odejść od dotychczasowego „okrętu nawodnego”, który niekiedy idzie pod wodę, natomiast w pełni wykorzystać współczesne rozwiązania; podwajając moc silników elektrycznych oraz zwielowrotniając pojemność energii elektrycznej w akumulatorach, można zapewnić okrętowi znaczny wzrost prędkości podwodnej oraz większy zasięg działania.

Jak zwykle w podobnych przypadkach, najważniejszą sprawą było powierzenie realizacji tych zadań odpowiedniemu kierownikowi. Wybrałem Ottona Merkera, który dał się poznać dotychczas przy budowie samochodów straży pożarnej. Było to wyzwanie rzucone wszystkim inżynierom budowy okrętów. 5 lipca 1943 roku Merker przedstawił dowództwu marynarki swój nowy system budowy. Jak to praktykowano przy seryjnej budowie określonych typów okrętów w Stanach Zjednoczonych, poszczególne elementy jednostek podwodnych miały być produkowane w różnych zakładach kraju, tam wyposażane we wszystkie urządzenia maszynowe i elektryczne, a następnie transportowane drogami wodnymi i lądowymi oraz w krótkim czasie montowane. W ten sposób można było obejść problem stoczni, który stał na drodze każdego rozszerzenia programu budowy floty⁷. Nieco podniecony Donitz oświadczył pod koniec tego posiedzenia: „Zaczynamy więc nowe życie”.

Początkowo mieliśmy tylko dokładne wyobrażenie o tym, jak te nowe okręty podwodne powinny wyglądać. W celu zaprojektowania ich i ustalenia szczegółów powołano komisję, której przewodnictwem objął nie naczelny inżynier, jak to było w zwyczaju, lecz admirał Topp, skierowany specjalnie przez Donitza. Nie próbowaliśmy wyjaśnić związanych z tym skomplikowanych spraw kompetencyjnych. Pomiędzy nim a Merkerem współpraca układała się tak samo pomyślnie jak między mną a Donitzem.

Zaledwie w cztery miesiące od pierwszego posiedzenia komisji budowy okrętów, 11 listopada 1943 roku, wszystkie projekty były gotowe. Po upływie kolejnego miesiąca mogliśmy wraz z Donitzem oglądać, również wykonany przez nich, drewniany model nowego wielkiego okrętu podwodnego o wyporności 1600 ton. Już w toku postępowania projektów konstrukcyjnych główny komitet budowy okrętów składał zamówienia w przemyśle; metodę tę z powodzeniem stosowaliśmy przy produkcji czołgów typu „Pantera”. Tylko w ten sposób marynarka mogła otrzymać w 1944 roku pierwsze sprawne okręty podwodne nowego typu w celu poddania ich próbom. Mimo

zgoła nie sprzyjających okoliczności nasze zapewnienie, że dostarczymy miesięcznie czterdzieści jednostek, zrealizowalibyśmy w pierwszych mię-

siącach 1945 roku, gdyby naloty lotnicze nie zniszczyły 1/3 okrętów podwodnych w stocznjach⁸.

Wspólnie z Donitzem zastanawialiśmy się wtedy często, co nas powstrzymywało, że nie zaczęliśmy znacznie wcześniej budować nowych rodzajów okrętów podwodnych. Przecież obecnie nie zastosowaliśmy żadnych nowości technicznych, znaleźliśmy też od lat zasady konstrukcyjne. Jak zapewniali fachowcy, nowe okręty zapoczątkowałyby serię sukcesów w wojnie podwodnej. Potwierdziło to również po wojnie dowództwo marynarki amerykańskiej, gdy w swym programie budownictwa okrętowego uwzględniło nasze nowe rozwiązania.

Trzy dni potem, kiedy wraz z Donitzem podpisaliśmy wspólne zarządzenie o nowym programie rozbudowy marynarki, 26 lipca 1943 roku uzyskałem zapewnienie Hitlera, że mojemu ministerstwu zostanie podporządkowana cała produkcja. Ze względów taktycznych uzasadniałem ten postulat trudnościami, jakie wynikały właśnie z realizacji programu budowy okrętów i innych zadań stawianych przez Hitlera. W rezultacie przedstawienia wielkich zakładów przemysłu konsumpcyjnego na produkcję zbrojeniową, tak referowałem to Hitlerowi, przejdzie od razu do przemysłu zbrojeniowego nie tylko 500 tysięcy niemieckich robotników, lecz również sztaby kierownicze i urzędnicy fabryczne. Zmianom tym przeciwstawiała się większość gauleiterów. Aby je przeforsować wbrew oporowi, Ministerstwo Gospodarki okazało się za słabe; ja również nie potrafiłem tego uczynić, o czym wkrótce miałem się przekonać.

Po niezwykle długim okresie, w ciągu którego wszystkich zainteresowanych ministrów Rzeszy oraz kompetentne organy planu czteroletniego wezwano do zgłoszenia swych wątpliwości, 26 sierpnia Lammers zwołał ministrów na posiedzenie w sali gabinetu Rzeszy. Dzięki wspólnemu myśleniu Funka, który na zebraniu tym „z wigorem i humorem wygłosił własną mowę pogrzebową”, osiągnięto jednogomyślność co do tego, że mojemu ministerstwu miała być podporządkowana w przyszłości cała produkcja wojenna. Chcąc nie chcąc Lammers musiał przyrzec, że za pośrednictwem Bormanna poinformuje Hitlera o tych ustaleniach. Aby uzyskać ostateczną zgodę fuhrera, w kilka dni później Funk i ja udaliśmy się do kwatery głównej.

Zdumiałem się jednak bardzo, gdy teraz Hitler w obecności Funka przerwał moje wyjaśnienia w tej sprawie i zdenerwowany oznajmił, że nie wyraża zgody na dalszą dyskusję. Jak się okazało, przed kilkoma godzinami Bormann ostrzegł Hitlera, że będę starał się dzisiaj nakłonić go do podpisu, nie uzgodnionego ani z ministrem, ani z marszałkiem Rzeszy. Wypraszał sobie wciąganie go w ten sposób w

sprawy naszej rywalizacji. Zamierzałem wyjaśnić, że Lammers, jako minister Rzeszy, z racji swoich kompetencji uzyskał zgodę sekretarza stanu Goringa do planu czteroletniego. Ale Hitler sprzeciwiał się znów w niezwykle gwałtowny sposób: „Cieszę się, że przynajmniej na Bormannie mogę całkowicie polegać”. Dawał mi wyraźnie do zrozumienia, że chciałby, abym się na nim wzorował.

Funk poinformował o wszystkim Lammersa i wyjechaliśmy na spotkanie Goringa, który wracając salonką ze swoich terenów łowieckich w Puszczy Rominckiej znajdował się w drodze do kwatery głównej Hitlera. Początkowo i Goring wydawał się zagniewany. Niewątpliwie również i jego poinformowano jednostronnie oraz ostrzeżono przed nami. Dzięki wyjątkowej elokwencji Funka udało się w końcu przełamać lody i punkt po punkcie wyjaśnić zasadność naszych poglądów. Goring zgodził się na wszystko, kiedy padło zdanie: „Uprawnienia marszałka wielkiej Rzeszy niemieckiej, jako pełnomocnika do spraw planu czteroletniego, pozostają nienaruszone”. W praktyce było to mało istotne, zwłaszcza jeśli uwzględni się fakt, że większością ważnych dziedzin planu czteroletniego i tak ja kierowałem za pośrednictwem Centrali Planowania.

Wyrażając zgodę Goring parafował nasz projekt, a Lammers przekazał dalekopisem, że nie ma już żadnych zastrzeżeń. Z kolei Hitler gotów był zaakceptować nasze propozycje, przedłożone mu do podpisu kilka dni później, 2 września. Z ministra Rzeszy do spraw uzbrojenia i amunicji stałem się obecnie „ministrem Rzeszy do spraw zbrojenia i produkcji wojennej”.

Intrygi Bormanna spaliły więc na panewce. Nie interweniowałem u Hitlera; zasiałem natomiast w jego umyśle wątpliwości, czy w tym wypadku Bormann służył mu rzeczywiście wiernie. Doświadczenie podpowiadało mi, że lepiej nie demaskować manewru Bormanna, a Hitlerowi oszczędzić kłopotów.

Zarówno jawne, jak i zamaskowane opory przeciwko rozszerzeniu kompetencji mojego ministerstwa były ściśle związane z intrygami Bormanna. Musiał uznać, że znajduję się poza zasięgiem jego władzy i skupiam w swym ręku coraz więcej uprawnień. Ponadto moja praca umożliwiała mi nawiązywanie koleżeńskich kontaktów z dowódcami wojskowymi: Guderianem, Zeitzlerem i Frommem, z Milchem, a obecnie z Donitzem. Również w najbliższym otoczeniu Hitlera

znajdowali się oddani mi ludzie, którzy nie darzyli sympatią Bormanna: adiutant wojsk lądowych generał Engel, adiutant lotnictwa generał von Below czy wreszcie adiutant Wehrmachtu generał Schmundt. Ponadto ściśle ze mną związany był osobisty lekarz Hitlera, dr Karl Brandt, którego Bormann również uważał za swego osobistego przeciwnika.

Pewnego wieczoru, kiedy wypiliśmy kilka kieliszków ze

Schmundtem, twierdził on, że wojska lądowe łączą z moją osobą duże

nadzieje. Wszędzie tam, dokąd on przybywa, generałowie darzą mnie najwyższym zaufaniem, podczas gdy Goringa oceniają negatywnie. Zakończył trochę patetycznie: „Na wojskach lądowych może pan zawsze polegać, panie Speer, stoją one za panem”. Nigdy nie zrozumiałem, do czego zmierzał Schmundt, czyniąc tę dziwną uwagę. Przypuszczałem, że pomieszał wojska lądowe z generałami. Muszę jednak założyć, że również wobec innych osób wygłaszał podobne opinie, w ciasnym kręgu kwatery głównej nie mogły one nie dotrzeć do Bormanna.

W tym samym czasie, jesienią 1943 roku, Hitler wprowadził mnie w zakłopotanie, gdy przed rozpoczęciem omawiania sytuacji w obecności kilku współpracowników powitał Himmlera i mnie słowami: „Wy dwaj równi rangą”. Uwaga ta, wyrażająca stosunek Hitlera do mnie, nie bardzo podobała się Himmlerowi ze względu na jego bezsporną pozycję w systemie władzy. W tych tygodniach również Zeitzler opowiadał mi bardzo ukontentowany: „Fuhrer jest zadowolony z pana. Powiedział niedawno, że wiąże z panem największe nadzieje. Teraz, po Goringu, wzeszło nowe słońce”⁹. Prosiłem Zeitzlera o zachowanie tych uwag dla siebie. Ponieważ również inne osoby z tego ściśle zamkniętego kręgu przekazywały mi podobne informacje, nie ulegało wątpliwości, iż dowiedział się o tym i Bormann. Wszechmogący sekretarz Hitlera musiał przyznać, że nie udało mu się latem tego roku nastawić Hitlera przeciwko mnie — nastąpiło właśnie coś wręcz odwrotnego.

Z uwagi na to, że tak pochlebne oceny Hitler zwykł wypowiadać bardzo rzadko, Bormann musiał poważnie liczyć się z zagrożeniem. Dostrzegał w tym duże niebezpieczeństwo, gdyż nie wywodziłem się z oddanej mu hierarchii partyjnej. Odtąd twierdził w obecności swoich najbliższych współpracowników, że jestem nie tylko wrogiem partii, lecz również dążę do przejęcia sukcesji po Hitlerze¹⁰. To przypuszczenie nie było całkowicie pozbawione podstaw. Rzeczywiście, przypominam sobie, że prowadziłem z Milchem kilka rozmów na ten temat.

W owym czasie Hitler faktycznie zastanawiał się, kogo mógłby wytypować na swego następcę. Sława Goringa była zachwiana, Hess wyłączył się sam, Schirach nie liczył się na skutek intryg Bormanna, a Bormann, Himmler i Goebbels nie odpowiadali „artystycznemu typowi”, jaki sobie wytworzył Hitler. We mnie odkrył pokrewne cechy. Byłem dla niego utalentowanym artystą, który w krótkim czasie wyrobił sobie w hierarchii politycznej ważną pozycję, a w końcu dzięki swojej działalności zbrojeniowej również w dziedzinie wojskowej wykazał szczególne uzdolnienia. Nie angażowałem się tylko w politykę zagraniczną, czwartą domenę Hitlera. Być może w jego oczach uchodziłem za artystycznego geniusza, który z powodzeniem wszedł do polityki, a tym samym widział on we mnie pośrednio odzwierciedlenie własnej

drogi życiowej.

W zaufanym gronie nazywałem Bormanna „człowiekiem z

sekatorem". Całą bowiem energię, brutalność i przebiegłość wkładał w to, by nikomu nie pozwolić wspiąć się wyżej. Czynił odtąd wszystko, aby ograniczyć moją władzę. Od października 1943 roku występowali przeciwko mnie gauleiterzy, w rok później chciałem czasowo zrezygnować ze swego urzędu. Walka pomiędzy Bormannem a mną nie została rozstrzygnięta do końca wojny. Hitler ciągle podtrzymywał Bormanna, ale też nie pozwolił na mój upadek, okazywał mi wtedy nawet swoją łaskę, lecz potem znów stawał się wobec mnie arogancki. Bormann nie był w stanie pozbawić mnie osiągniętego sukcesy aparatu kierującego przemysłem. Był on tak ściśle związany ze mną, że mój upadek oznaczałby jego kres, a tym samym - niebezpieczeństwo dla dalszego prowadzenia wojny.

1 Keitel stwierdził: „Wszyscy jeńcy wojenni, ujęci na wschodzie po 5 lipca 1943 r., mają być wysłani do obozu Naczelnego Dowództwa Wehrmachtu. Tutaj należy ich natychmiast wykorzystać do pracy lub — w ramach wymiany z innymi placówkami mającymi odpowiednie zapotrzebowanie — odesłać do G.B.A. oraz wykorzystywać w kopalniach". Cytat z krzyżowego przesłuchania prowadzonego przez radzieckiego generała Ragińskiego. Dok. USA 455.

Reakcje Hitlera były nieobliczalne. Na przykład w czasie desantu w Dieppe, 19 sierpnia 1942 r., żołnierze kanadyjscy zabili pewną liczbę robotników Organizacji Todta, zatrudnionych tam przy budowie schronów. Wojska kanadyjskie uznały ich chyba za funkcjonariuszy politycznych, gdyż nosili brunatne mundury i opaski ze swastykami. W kwaterze głównej Hitlera Jodl wziął mnie na stronę: „Myślę, że lepiej będzie, jeśli nic nie powiemy o tym fuhrerowi. W przeciwnym razie zarządzi represje". Ponieważ zapomniałem uprzedzić mego zastępcę przy Organizacji Todta, Dorscha, opowiedział o tym Hitlerowi. Wbrew przypuszczeniu, że zagrozi odwetem, Hitler uwierzył argumentowi Jodla: Chodziło o godne pożalowania przeoczenie Naczelnego Dowództwa Wehrmachtu, które nie podało przeciwnikowi za pośrednictwem Szwajcarii, że mundury Organizacji Todta to mundury kombatantów; Jodl przyrzekł natychmiast nadrobić to zaniedbanie, Moją jednoczesną propozycję, aby zrezygnować z opaski ze swastyką, Hitler odrzucił.

2 Mimo trwających miesiącami przygotowań było jednak za późno na przeprowadzenie przed zimą jeszcze większych prac przy budowie umocnień. Dlatego Hitler zarządził (protokół fuhrera z 8 lipca 1943 r., pkt 14), aby na wschodzie dopiero od wiosny 1944 r. zużywano miesięcznie około 200 tyś. m³ betonu w ciągu 6-7 miesięcy. Przy budowie Wału Atlantyckiego (protokół fuhrera z 13-15 maja 1943 r., pkt 14) zużywano miesięcznie 600 tyś. m³ betonu. Hitler zgodził się nawet, by „na Wale Atlantyckim zużywano odpowiednio mniejsze ilości".

3 Jeszcze na początku października 1943 r. Hitler nic zgadzał się, „by nieprzerwanie rozbudowywać tyłową rubież za linią Dniepru", chociaż już kilka dni wcześniej rzekę tę przekroczyły wojska radzieckie. Protokół fuhrera z 30 września i 1 października 1943 r., pkt 27.

4 Jodl opisywał 16 grudnia 1943 r. w swym nie opublikowanym dzienniku ujawnienie tej samowoli: „Dorsch zameldował użycie OT na pozycji nad Bugiem, o której fuhrer nic nie wie... Fuhrer mówił do ministra Speera i do mnie o defetystycznych nastrojach w sztabie Mansteina, o których zameldował mu gauleiter Koch".

5 Wskutek występujących wstrząsów ziemi należało przewidzieć szczególnie mocną konstrukcję, która wymagałaby wielkich ilości cennej stali. W dodatku, jak

stwierdzał Zeitzler na naradach sytuacyjnych, transport materiałów do budowy takiego

mostu pogarszały w związku z niewystarczającymi połączeniami kolejowymi na Krymie zaopatrzenie niezbędne do prowadzenia działań obronnych.

6 Chodziło o bitwę morską z 31 grudnia 1942 r., podczas której, zdaniem Hitlera, krążowniki „Lutzow” i „Hipper” uciekły przed słabszymi siłami angielskimi. Hitler zarzucał marynarce przy tej okazji brak ducha bojowego.

7 Nasze wysiłki zmierzające do racjonalizacji budowy U-bootów przyniosły sukces. Budowa U-boota starego typu trwała na terenie stoczni jedenaście i pół miesiąca. W wypadku nowego typu dzięki wstępnemu montowaniu gotowych elementów skrócono do dwóch miesięcy czas, w którym gotowy do akcji okręt podwodny mógł opuścić zagrożoną bombardowaniami stocznię. Według danych Ottona Merkera z 1 marca 1969 r.

8 Mimo dezorientacji przemysłu zbrojeniowego, jaka dawała o sobie znać od zimy 1944 r., udało się, dzięki pełnemu uruchomieniu programu rozbudowy marynarki, od stycznia do marca 1945 r. oddać 83 okręty podwodne. Według sprawozdania BBSU, *The effects of Strategic Bombing in the Production of German U-Boats*, w tym samym okresie zniszczono na terenie stoczni 44 okręty podwodne. Przeciętna produkcja miesięczna (łącznie ze stratami w stoczniach) wynosiła zatem w pierwszym kwartale 1945 r. 42 okręty podwodne. Co prawda ten forsowny program rozbudowy marynarki realizowany był kosztem całokształtu budowy okrętów, gdyż wskaźnik budowy okrętów nawodnych spadł wskutek ataków lotniczych ze 181 w 1943 r. do 166 w roku 1944, a więc o 9 proc.

9 Należałoby przyjąć, że Hitler na podstawie długoletnich doświadczeń wiedział, jak działały takie uwagi i jakie musiały wywołać reakcje. Pozostało dla mnie niejasne, czy potrafił wybiegać myślami tak daleko. Czasami wydawał mi się pod tym względem zupełnym wariatem lub człowiekiem pogardzającym ludźmi, nie liczącym się ze skutkami swych wypowiedzi; mógł również sądzić, że potrafi w każdej chwili to naprawić.

10 Dr G. Klopfer, sekretarz stanu Bormanna, zapewnił w oświadczeniu złożonym pod przysięgą 7 lipca 1947 r.: „Bormann stale stwierdzał, że Speer jest w istocie przeciwnikiem partii, a nawet dąży do tego, aby stać się następcą Hitlera”.

Rozdział 20

BOMBY

Stan upojenia pierwszych miesięcy, w jaki wprawiało mnie tworzenie nowego aparatu kierującego przemysłem, sukcesy, wyrazy uznania, minął wkrótce; nadszedł okres największych trosk i potęgujących się trudności. Wynikały one nie tylko z problemów siły roboczej, nierozwiązywalnych spraw zaopatrzenia materiałowego i intryg dworskich. Naloty bombowe brytyjskich sił lotniczych oraz pierwsze wyrządzone przez nie szkody w dziedzinie produkcji kazały mi chwilowo zapomnieć o Bormannie, Saucklu i Centrali Planowania. W tym wszystkim jednak tkwiły zarazem przesłanki wzrostu mojego prestiżu. Mimo bowiem powstałych wyrw w produkcji, wytwarzaliśmy nie mniej, lecz więcej.

Naloty przenosiły wojnę do naszego kraju. Przeżywaliśmy ją bezpośrednio każdego dnia w płonących i spustoszonych miastach, co pobudzało nas do jak największych wysiłków.

Piętrzące się trudności nie złamały również woli oporu ludności; przeciwnie, podczas moich wizyt w zakładach zbrojeniowych i w bezpośrednich kontaktach z prostymi ludźmi odnosiłem raczej wrażenie, że są oni coraz bardziej zahartowani. Być może dzięki temu wyrównano z nadwyżką straty w produkcji, obliczane szacunkowo na 9 procent¹.

Najbardziej dotkliwie odczuwaliśmy skutki daleko idących przedsięwzięć obronnych. Na terenie Rzeszy i na zachodnich teatrach działań wojennych rozlokowano 10 tysięcy dział ciężkiej artylerii przeciwlotniczej²; mogłyby one być przecież użyte w Związku Radzieckim przeciwko czołgom albo innym celom naziemnym. Niewątpliwie bez tego drugiego frontu, frontu powietrznego nad ojczyzną, podwoiłaby się również, biorąc pod uwagę zużycie amunicji, siła naszej obrony przeciwpancernej. Ponadto front ten wiązał setki tysięcy młodych żołnierzy. Jedna trzecia przemysłu optycznego pracowała nad wytwarzaniem przyrządów celowniczych dla baterii artylerii przeciwlotniczej; prawie połowa produkcji przemysłu elektromechanicznego przeznaczona była na zaspokojenie potrzeb radionamierzenia i łączności obrony przeciwlotniczej. Dlatego też wyposażenie naszych jednostek frontowych w nowoczesny sprzęt, mimo

wysokiego poziomu niemieckiego przemysłu elektrycznego i optycznego, pozostawało daleko w tyle w porównaniu z armiami zachodnimi³.

Pierwsze wyobrażenie o trudnościach, jakie czekały nas w roku 1943, uzyskaliśmy już w nocy z 30 na 31 maja 1942 roku, kiedy to Anglicy, skoncentrowawszy wszystkie swe siły, dokonali nalotu na Kolonię przy użyciu 1046 bombowców.

Przypadek sprawił, że następnego ranka po nalocie miałem wraz z Milchem stawić się u Goringa, który tym razem rezydował nie w Karinhallu, lecz na zamku Veldenstein w Szwajcarii Frankońskiej. Zastaliśmy marszałka w złym nastroju; nie chciał uwierzyć w prawdziwość meldunków o nalocie na Kolonię: „Niemożliwe, tylu bomb nie można zrzucić w ciągu jednej nocy”, pokrzykiwał na swego adiutanta. „Proszę mnie połączyć z gauleiterem Kolonii”. W naszej obecności odbywała się absurdalna rozmowa telefoniczna: „Raport waszego komisarza policji stanowi wierutne kłamstwo i jest zmyślony!” Gaulei-ter usiłował widocznie zaprzeczać. „Mówię panu jako marszałek Rzeszy, że podane liczby są po prostu za wysokie. Jak pan może meldować fuhrerowi takie wymysły!” Na drugim końcu telefonu gauleiter prawdopodobnie obstawał przy swoich danych. „W jaki sposób liczył pan bomby zapalające? To są przecież tylko dane szacunkowe. Powtarzam raz jeszcze, że są one kilkakrotnie zawyżone. Wszystko jest nieprawdziwe. Proszę natychmiast sprostować pańskie dane przedstawione fuhrerowi. Albo chce pan powiedzieć, że ja kłamię? Złożyłem fuhrerowi swój raport zawierający właściwe liczby. To jest wiążące!”

Następnie, jak gdyby nic się nie wydarzyło, Goring pokazał nam swój dom, dawną siedzibę rodziców. Jak w okresie największego spokoju polecił przynieść plany budowy oraz wyjaśnił nam, co za wspaniała budowla zamkowa wyprze ten zwykły, zbudowany w stylu bidermajerowski dom. Ale najpierw zamierzał zbudować bezpieczny schron, przygotowano już nawet plany.

W trzy dni później znalazłem się w kwaterze głównej. Panowało tu jeszcze podniecenie spowodowane nalotem lotniczym na Kolonię. Poinformowałem Hitlera o znamiennej rozmowie telefonicznej Goringa z gauleiterem Grohe. Zakładałem, oczywiście, że dane Goringa są bardziej wiarygodne niż gauleitera. Hitler jednak miał już wyrobiony pogląd w tej sprawie. Przedstawił Goringowi doniesienia nieprzyjacielskiej prasy, informujące o liczbie użytych samolotów i zrzuconych bomb. Dane te były jeszcze wyższe od tych, które podał komisarz policji z Kolonii. Hitler złościł się na stosowaną przez Goringa taktykę tuszowania danych; czynił za to odpowiedzialnym sztab dowodzenia lotnictwa. Ale już następnego dnia potraktował Goringa tak jak zawsze. Do sprawy tej więcej nie powracano.

Już 20 września 1942 roku zwróciłem uwagę Hitlera, że gdyby

zawiodły dostawy czołgów z Friedrichshafen oraz produkcja kulkowych w Schweinfurcie, znaleźlibyśmy się w nadzwyczaj trudnej sytuacji. W związku z tym zarządził zwiększenie przeciwlotniczej w tych dwóch miastach. W rzeczywistości, jak to sobie wcześniej uświadomiłem, już w roku 1943 można byłoby w dużej mierze rozstrzygnąć losy wojny, gdyby zamiast rozległych, ale bezsensownych bombardowań terenowych podjęto próbę wyłączenia ośrodków produkcji zbrojeniowej. 11 kwietnia 1943 roku zaproponowałem Hitlerowi, aby specjalistom z przemysłu powierzył zadanie wyszukania szczególnie ważnych obiektów w radzieckiej gospodarce energetycznej. Cztery tygodnie później podjęta została próba, jednak nie przez nas, lecz przez lotnictwo brytyjskie, wywarcia decydującego wpływu na przebieg wojny przez zniszczenie jedyne nowego neowaligicznego centrum gospodarki wojennej. Podobnie jak pozbawienie silnika nawet drobnej części czyni go bezużytecznym, tak przedsięwzięta w dniu 17 maja 1943 roku zaledwie przez 19 bombowców RAF próba zniszczenia zapór wodnych Zagłębia Ruhry mogła sparaliżować centrum naszego przemysłu zbrojeniowego.

łożysk
artylerii

Meldunek, jaki przekazano mi we wczesnych godzinach rannych, był nadzwyczaj alarmujący. Zniszczono największą z zapór, Mohntalsperre. Nie mieliśmy jeszcze informacji o losie trzech pozostałych zapór. O świcie wylądowaliśmy na lotnisku Werl, obserwując uprzednio z góry obraz zniszczenia. Znajdująca się u podnóża rozbitej tamy elektrownia wodna wraz ze swymi ciężkimi turbinami została zmieciona z powierzchni.

Strumienie wody zalały dolinę Ruhry. Choć wyglądało to na pozór urzekająco, pociągało za sobą groźne następstwa; pod wodą znalazły się elektryczne agregaty stacji pomp doliny Ruhry; zaistniała groźba unieruchomienia przemysłu i przerwania zaopatrzenia ludności w wodę. Raport o sytuacji, jaki wkrótce potem złożyłem w kwaterze głównej, jak stwierdzał protokół, „wywarł na Hitlerze głębokie wrażenie. Zachował on te materiały przy sobie”⁴. Anglikom nie udało się jednak podczas tego nalotu zniszczyć pozostałych trzech zapór, których utrata niemal całkowicie pozbawiłaby wody Zagłębie Ruhry w nadchodzących letnich miesiącach. W największej z nich, Sorpetalsperre, Anglicy zdołali trafić w środek tamy, którą oglądałem jeszcze tego dnia. Na szczęście lej bomby znajdował się trochę wyżej niż lustro wody. Tylko kilka centymetrów głębiej — i wartki strumień zniszczyłby usypaną z ziemi i kamieni tamę⁵. Tej nocy Anglicy, używając niewielu bombowców, byli bliscy sukcesu; mógł on być większy od osiągniętego kiedykolwiek indziej przy pomocy tysięcy samolotów. Popełnili jeden, do dziś niezrozumiały dla mnie błąd: rozproszyli swoje siły, niszcząc tej samej nocy oddaloną o 70 kilometrów Edertalsperre, choć zaporę ta nie miała nic wspólnego z zaopatrzeniem w wodę Zagłębia

Ruhry⁶.

Już w kilka dni po tym nalocie pracowało nad odbudową tamy w rejonie Mohne i Eder 7 tysięcy ludzi, których ściągnąłem z Wału Atlantyckiego. Jeszcze w porę, przed rozpoczęciem opadów, 23 września 1943 roku można było zamknąć wyrwę w tamie na Mohne głębokości 22 i wysokości 77 metrów. Dzięki temu udało się zmagazynować opady późnej jesieni i zimy 1943 roku na następne lato. W toku prowadzonej przez nas odbudowy lotnictwo brytyjskie zaprzepaściło swoją drugą szansę: kilkoma bombami mogło zburzyć widoczne urządzenia budowlane, a za pomocą niewielu bomb zapalających wzniecić pożar drewnianych rusztowań.

Po tych doświadczeniach ponownie zastanawiałem się, dlaczego nasze lotnictwo, dysponując w tym czasie skromniejszymi środkami, nie dokonywało nalotów na podobne obiekty wroga, co mogłoby mieć równie niszczące skutki. W czternaście dni po nalocie brytyjskim, w końcu maja 1943 roku, ponowiłem u Hitlera propozycję z 11 kwietnia, aby powołać sztab roboczy, który zająłby się określeniem opłacalnych celów przemysłowych na terytorium wroga. Jak zwykle w takich wypadkach Hitler okazał się jednak niezdecydowany: „Nie widzę konieczności przekonywania Sztabu Generalnego Luftwaffe o potrzebie udzielania rad przez pańskich współpracowników z przemysłu przy studiowaniu celów nalotów na tereny przemysłowe. Ja również wielokrotnie już zwracałem na to uwagę generała Jeschonka. Ale proszę pomówić z nim o tym jeszcze raz”, zakończył na wpół zrezygnowany. Prawdopodobnie nie chciał się tu wypowiadać w sposób rozstrzygający. Nie rozumiał decydującego dla wojny znaczenia tego rodzaju akcji. Już raz w latach 1939—1941 zaprzepaścił bezsprzecznie swoją szansę, gdy kierował naloty lotnicze na miasta Anglii, zamiast skoordynować je z działaniami okrętów podwodnych i atakować przede wszystkim te porty angielskie, które i tak już przez sam system konwojów były niekiedy nadmiernie wykorzystywane. Teraz znów nie dostrzegął szansy. Również Anglicy kopiowali bezmyślnie tę nedorzecznosc — nie licząc ich pojedynczych nalotów na zapory.

Mimo sceptycyzmu Hitlera i niemożności wywierania wpływu na strategię lotniczą, nie zniechęciłem się. 23 czerwca powołałem komisję ekspertów przemysłowych dla omówienia opłacalnych obiektów nalotów⁷. Nasza pierwsza propozycja dotyczyła brytyjskiego przemysłu węglowego, o którego centrach, miejscach rozmieszczenia, zasobach i możliwościach mieliśmy wyczerpujące informacje z angielskiej literatury fachowej. Jednakże projekt ten był spóźniony o dwa lata: nasze siły nie wystarczały już do jego realizacji.

W tych warunkach nasuwał się inny opłacalny cel: radzieckie

elektrownie. Jak podpowiadało nam własne doświadczenie, nie należało tam oczekiwać skutecznej obrony przeciwlotniczej. Poza tym gospodarka energetyczna Związku Radzieckiego różniła się zasadniczo od krajów zachodnich pod względem strukturalnym. Na Zachodzie, w wyniku stopniowego rozwoju przemysłu, powstawały liczne, wzajemnie ze sobą powiązane elektrownie średniej wielkości, w Związku Radzieckim natomiast budowano w poszczególnych rejonach, najczęściej w obrębie rozległych kombinatów przemysłowych, zakłady energetyczne olbrzymich rozmiarów⁸. Jako przykład można podać, że pokaźna część całego zaopatrzenia w energię Moskwy pochodziła z jednej potężnej elektrowni nad górną Wołgą. Dysponowaliśmy przecież informacjami, że w stolicy ZSRR skoncentrowano 60 procent niezbędnych detali przemysłu optycznego i wyposażenia elektrycznego. Również na Uralu niszcząc kilka potężnych elektrowni można było spowodować trwałe sparaliżowanie produkcji stali oraz czołgów i amunicji. Celne trafienie w turbiny albo w przewody doprowadzające wodę uwolniłoby takie jej masy, że ich niszcząca siła byłaby większa od wielu bomb. A byliśmy przecież w stanie uzyskać dokładne dane o tych dużych radzieckich elektrowniach, gdyż często były one budowane przy współudziale niemieckich zakładów.

26 listopada Goring wydał rozkaz wzmocnienia bombowcami dalekiego zasięgu 6 korpusu lotniczego pod dowództwem generała porucznika Rudolfa Meistera. W grudniu skoncentrowano jednostki koło Białegostoku. Kazaliśmy sporządzić drewniane modele elektrowni i na nich szkoliliśmy pilotów. Na początku grudnia poinformowałem o tym Hitlera⁹, Milch natomiast zainteresował naszymi planami zaprzyjaźnionego z nim szefa Sztabu Generalnego Luftwaffe, Gunthera Kortena. 4 lutego pisałem do niego, że „jeszcze i dzisiaj istnieją dobre perspektywy wojny powietrznej przeciwko Związkowi Radzieckiemu... Mam nadzieję, że skutki tych nalotów (chodziło tu o naloty na elektrownie w rejonie Moskwa, górna Wołga) będą miały istotny wpływ na obniżenie siły bojowej Związku Radzieckiego". Sukces zależał zwykle w takich przedsięwzięciach — od czynników przypadkowych. Nie sądziłem, że przyniosłby istotne rozstrzygnięcie. Ale mimo to spodziewałem się, o czym pisałem do Kortena, osłabienia siły ofensywnej przeciwnika, którą dopiero w ciągu kilku miesięcy mogłyby wyrównać amerykańskie dostawy.

Znów spóźniliśmy się o dwa lata. Radziecka ofensywa zimowa zmusiła nasze oddziały do odwrotu. Sytuacja stała się krytyczna. Jak to często bywało w momentach kryzysu, Hitler, kierując się wyjątkową krótkowzrocznością, oświadczył mi pod koniec lutego, że nakazał korpusowi Meistera niszczenie linii kolejowych, aby w ten sposób sparaliżować zaopatrzenie Rosjan. Na nic zdały się wszystkie moje

—jak

że nakazał

zastrzeżenia, że ziemia w Związku Radzieckim jest silnie zamarznięta, że

bomby mogą wyrządzić tylko powierzchowne szkody, a jednocześnie, jak to wynikało z naszych doświadczeń, bardziej wrażliwe niemieckie linie kolejowe udawało się naprawić w ciągu krótkiego czasu: wszystko to nadaremnie. Korpus Meistera został wprowadzony do bezsensownej akcji, nie mogąc, rzecz jasna, przeszkodzić operacyjnym działaniom Rosjan.

Dalsze zainteresowanie Hitlera strategią wybranych punktów zniknęło z porządku dnia wobec jego głupawych zamiarów odwetowych przeciwko Anglii. Z chwilą rozbicia korpusu Meistera dysponowaliśmy jeszcze wystarczającą liczbą bombowców do realizacji tych planów. Hitler jednak snuł nierealne nadzieje, że kilka zmasowanych nalotów na Londyn może skłonić Anglików do zrezygnowania z ofensywnej wojny powietrznej przeciwko Niemcom. I właśnie z tego powodu jeszcze w roku 1943 udoskonalenia produkcji nowych ciężkich bombowców. To, że na wschodzie mogły się znajdować o wiele bardziej opłacalne cele, nie robiło na nim żadnego wrażenia nawet wówczas, gdy od czasu do czasu, jeszcze latem 1944 roku, zgadzał się z moją argumentacją¹⁰. Zarówno on, jak i nasz Sztab Generalny Luftwaffe nie byli zdolni do prowadzenia wojny powietrznej zgodnie z wymaganiami technologicznymi, uparcie tkwiąc w przestarzałych koncepcjach wojskowych; podobnie jak strona przeciwna.

żądał on

Kiedy starałem się wskazać Hitlerowi i Sztabowi Generalnemu Luftwaffe opłacalne cele, zachodni przeciwnicy przeprowadzili w ciągu ośmiu dni — od 25 lipca do 2 sierpnia — pięć dużych nalotów na jedno tylko miasto Hamburg¹¹. Choć akcja ta była sprzeczna z wszelkimi zasadami taktyki, doprowadziła jednak do katastrofalnych następstw. Już pierwsze naloty spowodowały uszkodzenie wodociągowych, straż pożarna nie była więc w stanie gasić ognia podczas następnych bombardowań, powstawały olbrzymie pożary, ogień rozprzestrzeniał się, zaczynał płonąć asfalt, ludzie dusili się w piwnicach albo ginęli na ulicach. Serie nalotów można było porównać z katastrofą trzęsienia ziemi. Gauleiter Kaufmann ponawiał dalekopisem prośbę, aby Hitler złożył wizytę w mieście. Gdy okazało się to daremne, zaproponował, by przynajmniej przyjął delegację kilku zasłużonych drużyn ratowniczych. Ale i na to Hitler nie wyraził zgody.

przewodów

W Hamburgu po raz pierwszy nastąpiło to, co Goring i Hitler zamierzali uczynić w Londynie w 1940 roku. Podczas kolacji w Kancelarii Rzeszy Hitler, upojony wtedy wizją wzrastających zniszczeń, mówił: „Czy widział pan kiedyś plan Londynu? Jest on tak ciasno zabudowany, że wystarczyłoby tylko jedno ognisko pożaru, by zniszczyć całe miasto, podobnie jak to miało już raz miejsce przed ponad dwustu laty. Zrzucając olbrzymią ilość naszych nowych bomb zapalających, Goring zamierza wznieść pożary w różnych dzielnicach Londynu. Wszędzie pożary. Tysiące. Następnie złączą się one, tworząc

jedno potężne morze ognia. Goring reprezentuje w tej dziedzinie

jedynie słuszną myśl. Nie nadają się tu bomby burzące, ale przy pomocy bomb zapalających można całkowicie zniszczyć Londyn! Na co przyda się im wówczas straż pożarna, gdy to się już raz zacznie?"

Hamburg stał się dla mnie głośnym sygnałem alarmowym. Na posiedzeniu Centrali Planowania, które odbyło się 29 lipca po południu, udowaśniałem: „Jeśli naloty lotnicze będą dokonywane nadal w obecnych rozmiarach, po dwunastu tygodniach pozbedziemy się wielu problemów, nad którymi jeszcze teraz dyskutujemy. Wtedy stosunkowo szybko wszystko będzie się zbliżać do końca!... Wtedy będziemy mogli odbyć końcowe posiedzenie Centrali Planowania". Po trzech dniach zakomunikowałem Hitlerowi, że nasze zbrojenia niebawem załamają się, i wyjaśniłem mu jednocześnie, że seria tego rodzaju nalotów, rozszerzona na sześć dalszych dużych miast, musi doprowadzić przemysł zbrojeniowy Niemiec do upadku¹². Słuchał mojego oświadczenia bez widocznego zainteresowania, potem powiedział krótko: „Doprowadzi pan to przecież znów do porządku".

Hitler miał rzeczywiście rację. Doprowadziliśmy to znów do porządku, ale nie w wyniku działalności naszego centralnego aparatu, który w najlepszym razie mógł wydawać tylko ogólne zarządzenia, lecz dzięki ofiarnemu wysiłkowi ludzi zaangażowanych bezpośrednio, przede wszystkim samych robotników. Na szczęście seria nalotów w takich rozmiarach jak na Hamburg nie powtórzyła się w innych miastach. Przeciwnik dał nam znowu możliwość dostosowania naszych doświadczeń do jego metod działania.

Następne uderzenie miało na nas spaść 17 sierpnia 1943 roku, zaledwie w czternaście dni po Hamburgu. Do swego pierwszego nalotu strategicznego wystartowała amerykańska flota powietrzna. Skierowano ją na Schweinfurt, gdzie znajdowały się duże zakłady przemysłu łożysk kulkowych, które bezsprzecznie stanowiły wąskie gardło w realizacji naszych wysiłków, zmierzających do zwiększenia produkcji zbrojeniowej.

Już podczas tego pierwszego nalotu przeciwnik popełnił zasadniczy błąd: zamiast skoncentrować się na produkcji finalnej łożysk kulkowych, tę znaczną siłę 376 latających fortac podzielono; 146 samolotów zaatakowało jednocześnie — wprawdzie skutecznie, ale w konsekwencji nie miało to większego znaczenia zakład montażowy przemysłu lotniczego w Regensburgu. Jeszcze bardziej znamienne było to, że w tym samym czasie lotnictwo brytyjskie kontynuowało chaotyczne naloty na inne miasta.

W konsekwencji tego nalotu spadła o 38 procent produkcja niezwykle ważnych dla przemysłu zbrojeniowego rodzajów łożysk kulkowych o średnicy od 63 do 240 milimetrów¹³. Mimo zagrożenia Schweinfurtu tam właśnie byliśmy zmuszeni uruchomić znów największą część produkcji łożysk kulkowych, gdyż przeniesienie jej w inne

łożysk

miejsce przerwałoby całkowicie proces produkcyjny na trzy do czterech miesięcy. Poza tym ciężka sytuacja, w jakiej się znaleźliśmy, uniemożliwiła również przeniesienie fabryki łożysk kulkowych z Berlin-Erkner, Cannstatt albo Steyr, mimo że nieprzyjaciół znał zapewne ich położenie.

W czerwcu 1946 roku Sztab Generalny RAF zadał mi pytanie, jakie skutki mogłyby przynieść naloty na przemysł łożysk kulkowych. Odpowiedziałem: „Po dwóch miesiącach produkcja zbrojeniowa znacznie by osłabła, a po około czterech — całkowicie stanęła, gdyby:

1. w tym samym czasie zaatakowano wszystkie fabryki łożysk kulkowych (Schweinfurt, Steyr, Erkner, Cannstatt, we Francji i Włoszech);
2. naloty te były powtarzane bez względu na rezultaty trzy do czterech razy, co czternaście dni;
3. co osiem tygodni przeprowadzano dwa bezpośrednio po sobie następujące naloty na odbudowujące się zakłady i trwałoby to sześć miesięcy¹⁴.

Po tym pierwszym uderzeniu mogliśmy uniknąć największych trudności tylko dlatego, że wykorzystywaliśmy łożyska używane przez Wehrmacht do przeprowadzania napraw. Ponadto korzystaliśmy z zapasów znajdujących się w tak zwanej produkcji w toku. Pod koniec cyklu produkcyjnego — wynosił on 6—8 tygodni — transportowano tę skąpą produkcję, nierzadko w plecakach, bezpośrednio z fabryk do zakładów montażowych. Zaniepokojeni, stawialiśmy sobie wówczas pytanie, czy nieprzyjaciół nie zastosował takiej strategii lotniczej, w myśl której, dokonując systematycznie zniszczeń nie więcej jak pięciu, sześciu stosunkowo niewielkich obiektów, może unieruchomić tysiące zakładów zbrojeniowych.

Tymczasem drugie uderzenie nastąpiło dopiero w dwa miesiące później. 14 października 1943 roku omawialiśmy właśnie z Hitlerem w kwaterze głównej w Kętrzynie problemy zbrojeniowe, kiedy nagle przerwał nam Schaub: „Marszałek Rzeszy chciałby z panem pilnie rozmawiać. Tym razem ma on przyjemną wiadomość”. Jak poinformował nas Hitler, kolejny nalot na Schweinfurt zakończył się naszym dużym sukcesem¹⁵. W okolicy miało być strąconych wiele amerykańskich bombowców. Ogarnął mnie jednak niepokój i poprosiłem Hitlera o odłożenie posiedzenia, gdyż chciałem osobiście zatelefonować do Schweinfurtu. Niestety, łączność nie funkcjonowała i nie można było skontaktować się z żadną fabryką. W końcu udało mi się, przy pomocy policji, rozmawiać z mistrzem jednej z fabryk łożysk kulkowych. Powiadomił mnie, że wszystkie zakłady doznały wielkich zniszczeń, w halach fabrycznych rozprzestrzeniła się gwałtownie pożar, szacunkowe straty są znacznie większe niż podczas pierwszego nalotu. Tym razem

straciliśmy 67 procent produkcji łożysk kulkowych (63 do 240 mm średnicy).

Pierwszym przedsięwzięciem po tym nalocie było mianowanie jednego z moich najbardziej energicznych współpracowników, generalnego dyrektora Kesslera, specjalnym pełnomocnikiem do spraw produkcji łożysk kulkowych. Rezerwy bowiem wyczerpały się, a podjęte starania o uzyskanie łożysk kulkowych w Szwecji i Szwajcarii zostały uwieńczone tylko niewielkim sukcesem. W każdym razie udało się uniknąć katastrofy dzięki temu, że stosowaliśmy wszędzie, gdzie tylko było to możliwe, łożyska ślizgowe zamiast kulkowych¹⁶. Nie bez znaczenia było również i to, że przeciwnik znów zaprzestał od tej chwili, ku naszemu zdumieniu, nalotów na przemysł łożysk kulkowych¹⁷.

Wprawdzie 23 grudnia uszkodzono, i to poważnie, fabrykę w Erkner, nie wiedzieliśmy jednak, czy był to cel zamierzony, gdyż naloty rozproszone były po całym obszarze Berlina. Sytuacja zmieniła się dopiero w lutym 1944 roku. W ciągu czterech dni dwukrotnie przeprowadzono ciężkie naloty na Schweinfurt, Steyr i Cannstatt, następnie na Erkner, Schweinfurt i znów Steyr. Już po sześciu tygodniach nasza produkcja (łożysk o średnicy 63 mm) spadła do 29 procent¹⁸.

W początkach kwietnia naloty na zakłady przemysłu łożysk kulkowych niespodziewanie ustały. Ta niekonsekwencja znów wyträciła aliancom sukces z ręki. Gdyby naloty z marca i kwietnia kontynuowali równie konsekwentnie, znaleźlibyśmy się niebawem u kresu możliwości produkcyjnych¹⁹. A tak — nie wypadł z produkcji na skutek braku łożysk kulkowych ani jeden czołg, samolot czy inny sprzęt bojowy, mimo wzrostu produkcji zbrojeniowej od lipca 1943 do kwietnia 1944 roku o 17 procent. W każdym razie sprawdzała się tutaj teza Hitlera, że to, co niemożliwe, może stać się możliwe, że wszelkie prognozy i obawy były zbyt pesymistyczne.

Dopiero po wojnie dowiedziałem się, co spowodowało ów brak konsekwencji u nieprzyjaciela: sztaby lotnicze zakładały, iż w autokratycznym państwie Hitlera przenosi się z zagrożonych miast najważniejszą produkcję niezwłocznie i energicznie. 20 grudnia 1943 roku Harris sądził, „że w tym stadium wojny Niemcy już dawno podjęły wszelkie możliwe wysiłki, by rozproszyć tak newralgiczną produkcję jak łożyska kulkowe”. Przeceniał on, jak widać, i to bardzo, skuteczność tego na zewnątrz rzekomo zwartego systemu autokratycznego.

Już 19 grudnia 1942 roku, a więc na osiem miesięcy przed pierwszym nalotem na Schweinfurt, wydałem wszakże zarządzenie, w którym poleciłem przemysłowi zbrojeniowemu: „Z uwagi na potęgujące się nieprzyjacielskie naloty lotnicze należy poczynić niezwłocznie przygotowania do przeniesienia ważnej dla gospodarki i zbrojeń produkcji”. Ale napotkało to ze wszystkich stron opory. Gauleiterzy

sprzeciwiali się organizowaniu nowych zakładów w ich okręgach, gdyż

obawiali się zakłócenia panującej w miejscowościach prawie pokojowej atmosfery. Z kolei osoby odpowiedzialne za moją najważniejszą produkcję chciały uniknąć politycznych zadrażnień z władzami partyjnymi. W rezultacie prawie nic się nie działo.

Po drugim ciężkim nalocie na Schweinfurt, 14 października 1943 roku, część przeznaczonych do odbudowy zakładów postanowiono znów rozrzucić do okolicznych wsi, natomiast dalsze zlokalizować w małych, jeszcze nie zagrożonych miastach na wschodzie Niemiec²⁰. Ta „polityka rozpraszania” miała zabezpieczyć nasze potrzeby na przyszłość. Projekt spotkał się nieoczekiwanie z dużymi oporami, i to ze wszystkich stron. Wystarczy powiedzieć, że już w styczniu 1944 roku postanowiono przenieść fabryki łożysk kulkowych do podziemnych pomieszczeń, a jeszcze w sierpniu tegoż roku mój pełnomocnik skarżył się, że napotyka trudności w realizacji planu „budowy zakładów niezbędnych do przeniesienia produkcji łożysk kulkowych”²¹.

Zamiast sparaliżować produkcję łożysk kulkowych, o odpowiednich średnicach, Royal Air Force rozpoczęła ofensywę powietrzną na Berlin. 22 listopada 1943 roku, podczas posiedzenia w moim gabinecie, ogłoszono około godziny 19.30 alarm: meldowano o zbliżaniu się do Berlina licznej floty bombowców. W chwili gdy samoloty nadleciały nad Poczdam, przerwałem posiedzenie, by pojechać do stojącej w pobliżu wieży do kierowania ogniem artylerii przeciwlotniczej, z której, jak to często czyniłem, chciałem obserwować nalot. Ledwo jednak znalazłem się na górze, musiałem zaraz szukać schronienia wewnątrz wieży. Wybuchy były tak potężne, że jej mocna konstrukcja aż się zachwiała. Wraz ze mną biegli w dół stłoczeni żołnierze artylerii przeciwlotniczej; siła podmuchu rzucała ich na ściany, odnosili obrażenia. Przez dwadzieścia minut wybuchały bomby jedna po drugiej. Z góry można było dostrzec stłoczonych w gęstym pyłe ludzi, na których sypały się odpryski z betonowych ścian. Z chwilą ustania nalotów odważyłem się znów wyjść na szczyt wieży — sąsiadujące z nią moje ministerstwo przedstawiało jedno olbrzymie ognisko pożaru. Natychmiast tam pojechałem. Kilka sekretarek w stalowych hełmach próbowało ratować akta, podczas gdy w pobliżu detonowały pojedyncze bomby z opóźnionym zapłonem. W miejscu mojego gabinetu znajdował się głęboki lej.

Z uwagi na szybko rozprzestrzeniający się ogień nie można już było nic uratować; ale w bezpośrednim sąsiedztwie znajdował się ośmiopiętrowy gmach zarządu uzbrojenia wojsk lądowych, istniało niebezpieczeństwo przeniesienia się tam ognia. Po nalocie zdenerwowani i zaniepokojeni wtargnęliśmy do tego budynku, chcąc przynajmniej ratować drogocenne specjalne aparaty telefoniczne. Wyrwaliśmy je wraz z połączeniami i składaliśmy w bezpiecznym

miejscu w piwnicy. Następnego ranka odwiedził mnie szef zarządu

uzbrojenia wojsk lądowych, generał Leeb. Uśmiechając się, zakomunikował mi: „Pożar mojego budynku można było ugasić jeszcze wczesnym rankiem, ale niestety, nic nie mogliśmy uczynić. Ktoś powyrywał ze ścian dzisiaj w nocy wszystkie aparaty telefoniczne”.

Gdy przebywający w swej posiadłości Karinhall Goring dowiedział się o mojej nocnej wizycie w wieży, wydał jej dowódcy rozkaz, aby mnie tam więcej nie wpuszczał, ale oficerowie nabrali już do mnie zaufania, a ono działało skuteczniej niż rozkaz Goringa. Dlatego też nie napotykałem nadal przeszkód, kiedy się tam zjawiałem.

Obserwowanie z wieży nalotów na Berlin dawało niezapomniany obraz; trzeba było ciągle przypominać sobie okrutną rzeczywistość, aby nie dać się zafascynować tym widokiem: iluminacja oświetlających bomb na spadochronach, nazywanych przez berlińczyków „choinkami”, błyski wybuchów mieszające się z obłokami ognia, niezliczone reflektory rzucające snopy światła w górę, niezapomniane wrażenie, gdy samolot został przechwycony i próbował umknąć ze strumieni światła, oraz trwająca sekundy eksplozja ognia, gdy został trafiony: apokalipsa ta tworzyła wspaniałe widowisko.

Skoro tylko samoloty odleciały, udawałem się samochodem do dotkniętych nalotem dzielnic miasta, gdzie znajdowały się ważne zakłady. Jechaliśmy przez zniszczone, zasypane gruzem ulice, domy płonęły, pozbawieni dachu nad głową ludzie siedzieli lub stali na rumowiskach, uratowane meble oraz dobytek leżały tu i ówdzie na chodnikach. W obłokach gryzącego dymu, sadzy i ognia panowała ponura atmosfera. Ludzie wykazywali nierzadko dziwną, histeryczną wesołość, jaką można zaobserwować w obliczu katastrofy. Nad miastem zawisła, wysoka chyba na 6 tysięcy metrów, chmura ognia. Nawet podczas jasnego dnia ta makabryczna scena wyglądała jak nocą.

Kilkakrotnie próbowałem podzielić się z Hitlerem swoimi wrażeniami z tych obserwacji. Za każdym razem przerywał mi, zanim jeszcze zacząłem: „A poza tym, Speer, ile czołgów może pan dostarczyć w następnym miesiącu?”

Cztery dni po zniszczeniu gmachu mojego ministerstwa, 26 listopada 1943 roku, kolejny duży nalot na Berlin spowodował wybuch groźnego pożaru w najważniejszym zakładzie produkującym czołgi w Allkett. Mój współpracownik Saur wpadł na pomysł skorzystania z czynnego jeszcze bezpośredniego połączenia z kwaterą główną, aby stamtąd — urząd pocztowy w Berlinie był zniszczony — powiadomić straż ogniową. Dzięki temu również Hitler dowiedział się o pożarze. Nie zasięgając dodatkowych informacji, rozkazał, aby natychmiast skierować do gaszenia ognia w płonącym zakładzie wszystkie jednostki straży pożarnej, nawet stacjonujące daleko od Berlina.

Przybywszy do Allkett, zastałem większą część hali fabrycznej wprawdzie spaloną, ale berlińska straż pożarna ugasiła już ogień.

Zgodnie z rozkazem Hitlera meldowali się u mnie w krótkich odstępach

czasu komendanci wciąż nadciągających jednostek straży ogniowej z odległych miast, między innymi z Brandenburga, Oranienburga oraz Poczdamu. Ponieważ otrzymali rozkaz bezpośrednio od Hitlera, nie mogłem wydać im polecenia, aby swe jednostki skierowali do gaszenia innych ognisk pożaru. W rezultacie wczesnym rankiem na wielu ulicach, nawet w dużym promieniu od fabryki, stały beczynnie oddziały strażackie, podczas gdy w innych dzielnicach miasta pożary rozprzestrzeniały się bez przeszkód.

Chcąc umożliwić swoim współpracownikom bliższe poznanie kłopotów i trosk związanych z uzbrojeniem lotnictwa, zorganizowałem wspólnie z Milchem we wrześniu 1943 roku naradę w lotniczym centrum doświadczalnym w Rechlinie nad jeziorem Muritz. Milch i jego specjaliści referowali między innymi sprawy związane z przyszłą produkcją nieprzyjacielskich samolotów. Za pomocą graficznych wykresów prezentowano poszczególne typy, a przede wszystkim porównywano produkcję amerykańską z naszą. Z ogromnym niepokojem przyjmowaliśmy podawane liczby, dotyczące przyszłej zwielokrotnionej produkcji czteromotorowych bombowców dziennych. To, czego dotychczas doświadczyliśmy, w świetle tych danych było dopiero prologiem.

Nasuwało się automatycznie pytanie, w jakim stopniu znają te liczby Hitler i Goring. Milch, nie ukrywając rozgoryczenia, wyjaśniał mi, że od miesięcy na próżno podejmuje starania, aby umożliwiono jego ekspertom od uzbrojenia przeciwnika zreferowanie tych spraw Göringowi. Nie chciał nawet słyszeć o tym. Hitler powiedział mu, że wszystko to jest tylko propagandą, a on przyjął to za dobrą monetę. Również i mnie się nie udawało, ilekroć próbowałem zwrócić uwagę Hitlera na te wskaźniki produkcyjne: „Niech pan nie daje sobie niczego wmówić! Wszystkie meldunki wprowadzają tylko w błąd. Ci defetyści z Ministerstwa Lotnictwa nabierają się na to”. Czyniąc takie uwagi, już zimą 1942 roku Hitler nie przyjmował żadnych ostrzeżeń. Postępował tak również teraz, kiedy rzeczywiście nasze miasta, jedno po drugim, rozsypywały się w gruzy.

W tym samym czasie byłem świadkiem drażliwej sprzeczki między Goringiem a dowódcą lotnictwa myśliwskiego, Gallandem. Galland zameldował tego dnia Hitlerowi, że nad Akwizgranem zestrzelono kilka myśliwców towarzyszących amerykańskiemu eskadrom bombowców. Uzupełnił to uwagą, jakie, jego zdaniem, może nam grozić niebezpieczeństwo, gdyby amerykańskim myśliwcom udało się w krótkim czasie, przez zwiększenie zaopatrzenia w paliwo, zapewnić eskadrom bombowców osłonę jeszcze dalej w głąb Niemiec. Obawy te Hitler przekazał Goringowi. Zamierzał on właśnie wsiąść do swego specjalnego pociągu udającego się do Puszczy Rominckiej, kiedy

nadszedł Galland, aby się pożegnać. Goring ofuknął go: „Co panu

strzeliło do głowy mówić fuhrerowi, że amerykańskie myśliwce dotarły aż nad teren Rzeszy?" Zachowując całkowity spokój, Galland odpowiedział: „Panie marszałku, wkrótce będą one latać jeszcze dalej”. Goring stawał się coraz bardziej zirytowany: „To przecież nonsens, Galland. Skąd u pana takie fantazje? To jest zwykłe oszustwo!” Galland potrząsnął głową: „To są fakty, panie marszałku!” Stał w swobodnej postawie, czapkę miał przesuniętą nieco na bok, w ustach długie cygaro.

„Amerykańskie myśliwce zestrzelono w okolicy Akwizgranu. Nie ma co do tego żadnych wątpliwości!” Goring uparcie obstawał przy swoim: „To jest po prostu nieprawda, Galland. Niemożliwe!” Galland zareagował z odcieniem szyderstwa: „Może pan kazać sprawdzić, panie marszałku, czy amerykańskie myśliwce leżą w pobliżu Akwizgranu”. Goring usiłował się opamiętać: „A więc, Galland, niech pan pozwoli sobie coś powiedzieć. Ja sam jestem doświadczonym lotnikiem myśliwskim. Wiem, co jest możliwe. Ale również — czego nie można dokonać. Niech się pan przyzna — pan się pomylił!” Zamiast odpowiedzi Galland zaprzeczył tylko ruchem głowy. W końcu Goring stwierdził: „Pozostaje jedynie taka możliwość, że zostali oni strąceni o wiele dalej na zachód. Sądzę, że jeżeli w momencie zestrzelenia znajdowali się bardzo wysoko, mogli lotem ślizgowym polecieć jeszcze dalej”. Galland ani drgnął. „Na wschód, panie marszałku? Gdybym ja został trafiony...”

Goring starał się stanowczo zakończyć rozmowę: „A więc, panie Galland, oświadczam panu oficjalnie, że amerykańskie myśliwce nie doleciały do Akwizgranu”. Generał próbował jeszcze ostatniego argumentu: „Ależ, panie marszałku, one tam jednak były!” Teraz już Goring stracił zimną krew: „Daję panu rozkaz służbowy, że ich tam nie było! Zrozumiał pan?

Amerykańskie myśliwce nie były tam! Zrozumiano? Poinformuję o tym fiihrera”. Goring po prostu zostawił Gallanda samego. Już odchodząc odwrócił się, jeszcze raz grożąc: „Daję panu rozkaz!” Generał odpowiedział z charakterystycznym uśmiechem: „Tak jest, panie marszałku Rzeszy!”

W gruncie rzeczy Goring nie patrzył ślepo na rzeczywistość. Słyszałem od niego niekiedy trafne spostrzeżenia na temat oceny sytuacji. Działał raczej jak bankrut, który do ostatniego momentu oszukując innych, chce oszukiwać również siebie. Aroganckie traktowanie ludzi, bezczelność wobec otoczenia doprowadziły już do śmierci w 1941 roku pierwszego asa lotniczego, słynnego pilota myśliwskiego Ernsta Udet. 19 sierpnia 1943 roku znaleziono martwego w swym gabinecie innego z najbliższych współpracowników Goringa, generała pułkownika Jeschonka, który z górą od czterech lat był szefem Sztabu Generalnego Luftwaffe. On również popełnił samobójstwo. Na stole znajdowała się, jak informował mnie Milch, notatka, że Góring nie może brać udziału w jego pogrzebie. Mimo to

marszałek Rzeszy uczestniczył w tej

żałobnej uroczystości i złożył

wieniec w imieniu Hitlera.

Uznawałem zawsze taką postawę, która za punkt wyjścia brała faktyczny stan rzeczy, a nie poddawała się urojeniom. Zastanawiając się jednak nad swoim życiem, aż do lat spędzonych w więzieniu, muszę stwierdzić, że w żadnym okresie nie byłem wolny od urojeń.

W narodowosocjalistycznym reżimie zbyt często nie liczone się z rzeczywistością. Jeżeli jednak dzieje się to w normalnych warunkach, może temu przeciwdziałać otoczenie: kpina, krytyka, brakiem zaufania; w Trzeciej Rzeszy możliwości takiej korektury nie istniały, zwłaszcza gdy się należało do górnej warstwy. Przeciwnie, podobnie jak w gabinecie lustrzanym, każde samooszukiwanie z wielokrotnością się w ciągle potwierdzanym obrazie fantastycznego świata urojeń, który nie miał już nic wspólnego z ponurą rzeczywistością. W lustrach tych mogłem dostrzec zawsze tylko swoją twarz, żaden obcy widok nie mącił tej jednostajności setek wciąż tych samych — moich twarzy.

Ucieczka od realnego świata przybierała różne rozmiary. Niewątpliwie Goebbels tkwił głębiej w rzeczywistości aniżeli Goring czy Ley. Ale te różnice zacierają się, jeśli sobie uświadomimy dystans, jaki nas wszystkich — marzycieli i tak zwanych realistów — dzielił od tego, co się naprawdę działo.

1 United States Strategic Bombing Survey szacuje straty z 1943 r. na 9 proc. (Area Studies Division Report Table P i Q, s. 18). W przypadku produkcji czołgów średnich, wynoszącej w 1943 r. 11 900 szt., odpowiadałoby to stracie około 1100 czołgów.

2 Nasze 88-milimetrowe działo przeciwlotnicze z precyzyjnym przyrządem celowniczym właśnie w Związku Radzieckim stało się najskuteczniejszym i budzącym postrach działem przeciwpancernym. Od 1941 do 1943 r. wyprodukowano 11 957 ciężkich dział przeciwlotniczych (kaliber 88—128 mm), których większość musiała być jednak użyta w Niemczech lub na tyłach do zwalczania samolotów. Z ciężkich dział przeciwpancernych (kaliber ponad 75 mm) dostarczono od 1941 do 1943 r. 12006 szt., z tego jednak tylko 1155 kalibru 88 mm. 14 mln sztuk amunicji przeciwlotniczej (88 mm i większej) użyto w 1943 r. jako amunicji przeciwpancernej; udało się dostarczyć jej tylko 12900 tys. sztuk.

3 W ten sposób powstały dotkliwie braki urządzeń łączności w wojskach lądowych; brakowało na przykład plecakowych urządzeń nadawczo-odbiorczych dla piechoty, przyrządów namiaru dźwięku dla artylerii. Trzeba było częściowo zaniechać także dalszego doskonalenia tego rodzaju sprzętu na korzyść obrony przeciwlotniczej.

4 Protokół fuhrera z 30 maja 1943 r., pkt 16. Kazaliśmy sprowadzić niezwłocznie ze wszystkich części Niemiec fachowców, którzy zajęli się suszeniem uzwojeń elektrycznych, a ponadto zarekwirowali wszystkie silniki podobnego typu w innych fabrykach, bez względu na straty w produkcji. Dzięki temu udało się w ciągu kilku tygodni ponownie zapewnić przemysłowi Ruhry zaopatrzenie w niezbędną wodę.

5 Przy zaporze na rzece Mohne zapasy wody wynosiły 134 mln m³, przy zaporze na rzece Sorpe 71 mln m³. Po zniszczeniu zapory na Sorpe dwie pozostałe zapory na Ruhrze dawały tylko 33 mln m³, czyli 16 proc. niezbędnej ilości wody. Nie wystarczyłoby to nawet do utrzymania prowizorycznej pracy zakładów Ruhry. Według informacji dr. inż. Waltera

Rohlanda (w ostatnich latach wojny był on kierownikiem sztabu przemysłowego Ruhry) z 27 lutego 1969 r. przy całkowitym wyłączeniu zapór na Ruhrze produkcja w Zagłębiu Ruhry spadłaby o 65 proc. z powodu braku wody do chłodzenia koksowni oraz wielkich

pieców. W rzeczywistości, na skutek chwilowego unieruchomienia stacji pomp, znacznie zmniejszyła się produkcja gazu w wyniku przerwania pracy koksowni. Wielcy odbiorcy mogli dostawać tylko 50—60 proc. zapotrzebowania. *Kronika*, 19 maja 1943 r.

6 Według Ch. Webstera i N. Franklanda (*The Strategic Air Offensive against Germany*, t. 2) już piątemu samolotowi udało się zniszczyć zaporę na rzece Mohne. Następne ataki kierowano przeciw zaporze na rzece Eder, która służyła głównie do wyrównywania w miesiącach letnich stanu wód w Wezerze i Kanale Śródlądowym w celu zapewnienia żeglugi. Dopiero po zniszczeniu zapory na rzece Eder dwa samoloty zaatakowały zaporę na Sorpe. Marszałek lotnictwa Bottomley zaproponował tymczasem 5 kwietnia 1943 r., aby najpierw zaatakować zapory na rzekach Mohné i Sorpe, a potem na Eder. Uważano jednak, że specjalnie do tego celu skonstruowane bomby nie nadają się do zniszczenia wału ziemnego zapory na Sorpe.

7 *Kronika*, 23 czerwca 1943 r.: „Częściowo słuszny wybór celów dokonany przez lotników angielskich skłonił ministra do ingerencji w sprawy wyboru celów Luftwaffe. Dotychczas, według wypowiedzi kompetentnych oficerów, Sztab Generalny Luftwaffe niedostatecznie uwzględniał aspekty potrzeb przemysłu zbrojeniowego. Minister utworzył komisję, do której należą dr Rohland (ekspert przemysłu stalowniczego), dyrektor generalny Pleiger (odpowiedzialny za przemysł węglowy) oraz generał Waeger (szef urzędu zbrojeń), i powierzył kierownictwo dr. Carlowi (z przemysłu energetycznego), który w związku z tym został wyreklamowany z wojsk lądowych". 28 czerwca zakomunikowałem Hitlerowi o utworzeniu tej komisji. Protokół fuhrera, pkt 6.

8 Tak na przykład przemysł w okręgu naddnieprzańskim uzależniony był od jedynej wielkiej siłowni. Według informacji dr. inż. Richarda Fischera, pełnomocnika do spraw zaopatrzenia w energię, z 12 lutego 1969 r., przy zmniejszeniu zaopatrzenia w prąd o 70 proc. przemysł zostaje w znacznym stopniu sparaliżowany, ponieważ reszta konieczna jest do zaspokojenia potrzeb codziennego życia. Odległość od Smoleńska wówczas stacjonowali tu jeszcze Niemcy — do siłowni pod Moskwą wynosiła 600—700 km, do Uralu 1800 km.

9 Protokół fuhrera z 6/7 grudnia 1943 r., pkt 22: „Fuhrerowi zrelacjonowano opracowaną przez dr. Carla propozycję w sprawie przewidywanej akcji w ZSRR oraz przekazano do wglądu szczegółowe dokumenty. Fuhrer ponownie wskazuje na słuszność mojej propozycji, stwierdzając, że sens ma tylko akcja zaskakująca i że podział na trzy pojedyncze akcje proponowany przez Luftwaffe wydaje mu się niewłaściwy”.

10 Por. *Kronika*, połowa czerwca 1944 r.: „Systematyczność, z jaką nieprzyjaciół atakuje poszczególne gałęzie przemysłu zbrojeniowego, datuje się od niedawna. Znajomość słabych miejsc we własnym organizmie zbrojeń skłoniła ministra do przebadania gospodarki radzieckiej. Tam również znaleziono cele, których zniszczenie sparaliżuje znaczną część zbrojeń. Od roku minister próbuje skłonić Luftwaffe, aby uczyniła coś, nawet jeśli trzeba żądać akcji bez powrotu”.

Protokół fuhrera z 19 czerwca 1944 r., pkt 37: „Fuhrer uważa zniszczenie siłowni na Uralu i w rejonach górnej Wołgi za rozstrzygające o losach wojny. Nie wierzy jednak, że na czas będziemy mieli dostateczną ilość samolotów bojowych i o odpowiednim zasięgu”.

24 czerwca 1944 r. poprosiłem Himmlera, który już w marcu przejawiał zainteresowanie tymi planami, o wysłuchanie wykładu mojego referenta, dr. Carla, jeśli to możliwe w mojej obecności. Chodziło o pozyskanie ochotników gotowych na lot bez powrotu. Po wykonaniu ataku piloci mieli skakać ze spadochronem nad pustymi okolicami i próbować przedrzeć się do niemieckiej linii frontu.

11 25 lipca, krótko po północy, 791 samolotów angielskich zaatakowało Hamburg, 25 i 26 lipca nastąpiły ataki dzienne, wykonywane przez 235 bombowców amerykańskich. 27 lipca odbył się drugi atak 787 samolotów brytyjskich, 29 lipca trzeci atak nocny 777 samolotów brytyjskich, 2 sierpnia 750 bombowców brytyjskich zamknęło tę serię ciężkich ataków na jedno tylko miasto.

12 Następnego dnia wyraziłem wobec pracowników Milcha (posiedzenie u

generalnego inspektora sprzętu lotniczego, 3 sierpnia 1943 r.) podobne obawy:

„Jesteśmy bliscy momentu, kiedy przemysł dostawczy... zupełnie zamrze. Pewnego dnia samoloty, czołgi lub pojazdy mechaniczne staną dlatego, że zabraknie do nich poszczególnych części". Dziesięć miesięcy później mówiłem do robotników stoczniowych w Hamburgu: „Wówczas powiedzieliśmy sobie: jeśli tak będzie się działo przez kilka miesięcy, to splajtujemy. W takiej sytuacji nie da się prowadzić zbrojeń". *Kronika*.

13 Ogólna liczba produkowanych łożysk kulkowych spadła — według „Statystycznego doraźnego sprawozdania na temat produkcji zbrojeniowej (styczeń 1945 r.)" — po ataku z 17 sierpnia 1943 r. z 9 116 tyś. sztuk do 8 325 tyś. Ponieważ w pierwszej połowie sierpnia produkcja szła w pełnych rozmiarach, musiała zatem spaść w drugiej połowie do 3 750 tyś. sztuk, czyli o 17 proc. W Schweinfurcie koncentrowało się 52,2 proc. produkcji, a więc na skutek tego jednego ataku stracono tam 34 proc. Łożysk kulkowych o średnicy 63—240 mm wyprodukowano w lipcu 1 940 tyś. sztuk.

14 Odpowiedź
zaczepnięto z

kwestionariusza RAF
„Skutki ataków

lotniczych" z 22 czerwca
1945 r., s. 20.

Z cytowanej książki Webstera i Franklanda (t. 2, s. 62 i nast.) wynika, że szef operacji bombowych RAF, pułkownik Bufton, w pełni zdawał sobie sprawę ze znaczenia Schweinfurtu. Na dwa dni przed pierwszym atakiem pisał do marszałka lotnictwa Bottomleya, że po amerykańskim ataku dziennym musi nastąpić silny atak nocny i że załogom atakujących samolotów należy odczytać przed startem następującą odezwę: „Historia powinna udowodnić, że dzisiejszy atak nocny w połączeniu z odbywającym się właśnie teraz atakiem dziennym był jedną z głównych bitew tej wojny. Jeśli obydwie ataki zakończą się pomyślnie, opór Niemiec może zostać złamany, a wojna zakończona szybciej niż w jakikolwiek inny sposób. Każdy mechanizm jezdny potrzebuje łożysk, a ponieważ są one bardzo wrażliwe na ogień i wodę, można rzeczywiście zamienić miliony łożysk w złom". Załogi mają „możliwość w ciągu jednej nocy bardziej przyczynić się do zakończenia wojny niż wszyscy pozostali żołnierze".

Jednak marszałek lotnictwa Harris chciał bezwarunkowo kontynuować serię ataków na Berlin; lista celów tej samej rangi obejmowała obok Schweinfurtu miasta posiadające zakłady lotnicze (Lipsk, Gotha, Augsburg, Braunschweig, Wiener-Neustadt itd.).

15 Rzeczywiście zestrzelono 60 spośród 291 atakujących bombowców. Po drugim ataku z 14 października 1943 r. ogólna produkcja spadła o 32 proc., a w Schweinfurcie o 60 proc. w porównaniu z nie zakłóconą produkcją w lipcu. W przypadku łożysk kulkowych o średnicy 63—240 mm straty sięgały 67 proc. produkcji niemieckiej.

16 W przypadku pojedynczych przyrządów mogliśmy zaoszczędzić 50 proc. łożysk kulkowych.

17 Marszałek lotnictwa Harris skutecznie zaoponował przeciw dalszym atakom na Schweinfurt. Wskazał, że podobne ataki o charakterze gospodarczo-strategicznym, skierowane przeciw zaporom na Ruhrze, kopalni molibdenu oraz urządzeniom rafineryjnym, okazały się nieskuteczne — zapominał przy tym, że stało się to tylko z powodu niedostatecznej konsekwencji. 12 stycznia 1944 r. marszałek lotnictwa Bottomley skłonił marszałka lotnictwa Charlesa Portala, aby wydał sir Harrisowi rozkaz „zniszczenia Schweinfurtu w możliwie najwcześniejszym terminie". 14 stycznia zakomunikowano Harrisowi, że sztaby brytyjskich i amerykańskich sił powietrznych są przekonane o słuszności strategii „atakowania wybranych kluczowych gałęzi przemysłu, o których wiadomo, że są wrażliwe i niezbędnie konieczne dla wysiłków wojennych wroga". Sir

Harris ponownie zaprotestował; 27 stycznia musiano mu polecić zaatakowanie Schweinfurtu.
Ch. Webster, *op. cit.*

Do rozkazu tego zastosowano się po raz pierwszy dopiero 21 lutego 1944 r., kiedy Amerykanie i Anglicy przeprowadzili kombinowane ataki w dzień i w nocy.

18 Produkcja łożysk kulkowych o średnicy ponad 63 mm spadła z 1 940 tyś. szt. (lipiec 1943) do 558 tyś. szt. w kwietniu 1944 r. Ogólna liczba łożysk kulkowych zmniejszyła się w kwietniu 1944 r. do 3 834 tyś. szt. (w lipcu 1943 r. wynosiła 9116 tyś.), a więc do 42 proc. Porównując wskaźniki produkcji z kwietnia 1944 r., należy uwzględnić fakt, że przeciwnik przez cały miesiąc pozwolił nam prowadzić nie zakłóconą odbudowę, tak więc stopień zniszczenia na krótko po serii ataków musiał być znacznie wyższy. Po tych atakach zakłady wytwarzające łożyska kulkowe pozostawiono w spokoju. Dlatego mogliśmy zwiększyć produkcję łożysk o średnicy ponad 63 mm w maju do 700 tyś. szt., czyli dać o 25 proc. więcej niż w kwietniu, w czerwcu do 1 003 tyś. szt., czyli o 80 proc., we wrześniu 1944 r. osiągnęliśmy 1519 tyś. szt., a więc 78 proc. początkowej wydajności. We wrześniu 1944 r. wytwarzano 8601 tyś. szt. łożysk kulkowych wszystkich rozmiarów, a więc 94 proc. produkcji z okresu przed atakami.

19^{Być} może sztaby nieprzyjacielskich sił powietrznych przeceniały skutki. Również Sztab Generalny Luftwaffe po ataku na radzieckie zakłady kauczuku syntetycznego (jesienią 1943 r.) wnioskował ze zdjęć lotniczych, że w 100 proc. unieruchomiono produkcję na okres wielu miesięcy. Zdjęcia te pokazałem naszemu wybitnemu specjalście w dziedzinie produkcji kauczuku syntetycznego, dyrektorowi zakładów kauczuku syntetycznego w Huls, które przeszły znacznie cięższe ataki. Po wskazaniu różnych węzłowych punktów, które nie zostały trafione, dyrektor oświadczył, że zakłady podejmą pełną produkcję w ciągu 8-14 dni.

20 W ciągu kolejnych dwóch miesięcy po pierwszym ataku na Schweinfurt nic się nie działo. „Minister w bardzo ostrych słowach wyraził swe niezadowolenie z dotychczasowych przedsięwzięć. Stwierdził, że pomoc jest bardzo pilna, wobec czego na drugi plan muszą zejść wszystkie inne sprawy... Pod wrażeniem przedstawionych przez ministra szkód i skutków dla przemysłu zbrojeniowego ze wszystkich stron wyrażano gotowość pomocy: robili to także gauleiterzy sąsiednich okręgów, którzy w wyniku przenoszenia urzędzeń musieli dopuścić do nieprzyjemnych ingerencji na swoim terenie". *Kronika*, 18 października 1943 r.

21 *Kronika*, 2 sierpnia 1944 r. Następnego dnia ponownie zadecydowałem w rozporządzeniu: „Przeniesienie produkcji łożysk kulkowych pod ziemię jest ogromnie pilne. Niezbędna do tego celu siła robocza nie mogła być jeszcze dotychczas wykorzystana, ponieważ placówki dostarczające siły roboczej nie spełniły rozkazów(!)". Kilka miesięcy wcześniej, 10 maja 1944 r., wyjaśniałem komisji (w punktach): „Wyjątkowo trudno spopularyzować łożyska kulkowe itd. Ciągłe jeszcze nie znaleźliśmy możliwości uświadomienia ludziom, że są one równie pilne i ważne jak czołgi i działa. Moim zdaniem, trzeba to mocniej wbijać do głów. Nie jest to sprawą sztabu piechoty, ale moją starą, ciągle powracającą troską: żadnych akcji propagandowych". Samo więc wydawanie rozkazów nie mogło być uważane za wystarczające nawet w Trzeciej Rzeszy, nawet w okresie wojny. My także byliśmy zdani na gotowość działania określonych ludzi.

Rozdział 21

HITLER JESIENIĄ 1943

Starzy współpracownicy Hitlera podzielali opinię adiutantów, że zmienił się on w ostatnim roku. Nie można się temu dziwić, w tym bowiem okresie przeżywał Stalingrad, bezsilnie przypatrywał się, jak w Tunisie kapitulowało ponad 250 tysięcy żołnierzy, jak burzono niemieckie miasta, nie mające skutecznej obrony. Musiał też zrezygnować z jednej ze swych największych nadziei na odniesienie sukcesu w wojnie, z chwilą gdy aprobował decyzję marynarki wojennej w sprawie wycofania okrętów podwodnych z Atlantyku. Hitler niewątpliwie potrafił dostrzec ten zwrot w biegu wydarzeń. I niewątpliwie reagował na to po ludzku: rozczarowaniem, przygnębieniem i ciągle jeszcze zbyt nadużywanym optymizmem. Dla historyków może on stanowić obiekt trzeźwych rozważań. Dla mnie jednak nawet dzisiaj istnieje jakby realnie, nadal jeszcze w rzeczywistości.

Między wiosną 1942 a latem 1943 roku obserwowało się niekiedy u Hitlera przygnębienie. Ale po tym okresie można było zauważyć, że dokonuje się w nim jakaś dziwna zmiana. Teraz nawet w sytuacjach kryzysowych wykazywał zwykle pewność ostatecznego zwycięstwa. Z tego późniejszego okresu nie przypominam sobie nawet jednej jego uwagi na temat katastrofalnego rozwoju sytuacji, choć tego oczekiwałem. Czy tak długo wmawiał sobie ostateczne zwycięstwo, że w końcu mocno w nie uwierzył? Im szybciej rozwój wydarzeń zmierzał ku nieuchronnej katastrofie, tym wyraźniej stawał się coraz bardziej niewzruszony i święcie przekonany, że wszystko, o czym decyduje, jest słuszne.

Najbliższe otoczenie Hitlera z troską obserwowało, jak w coraz większym stopniu staje się on nieprzystępny. Swoje decyzje świadomie podejmował w odosobnieniu. Jednocześnie wykazywał coraz większe skostnienie pod względem umysłowym i ledwo skłaniał się do akceptowania nowych idei. Szedł poniekąd raz na zawsze utartym torem i nie znajdował dość siły, aby zejść z niego.

Istotnym powodem tego skostnienia była przymusowa sytuacja, w jakiej znalazł się w wyniku przewagi swych przeciwników. W styczniu 1943 roku osiągnęli oni porozumienie w sprawie bezwarunkowej kapitulacji Niemiec. Prawdopodobnie Hitler nader dobrze rozumiał wagę tego oświadczenia i nie stwarzał tu sobie żadnych iluzji. Natomiast

Goebbels, Góring i inni w swoich wypowiedziach liczyli jeszcze na to, że uda się wykorzystać polityczne sprzeczności, jakie istnieją między

przeciwnikami. Inni znów oczekiwali, że Hitler będzie próbował przynajmniej zrównoważyć swe niepowodzenia przy pomocy rozwiązań politycznych. Czy nie posługiwał się on dawniej z pozorną łatwością, jeszcze przed zajęciem Austrii aż do układu ze Związkiem Radzieckim, nowymi trikami i nowymi finezyjnymi koncepcjami? Teraz w toku omawiania sytuacji coraz częściej powtarzał: „Proszę nie robić sobie żadnych iluzji. Nie ma odwrotu. Wchodzi w rachubę tylko marsz naprzód. Mosty za nami zostały spalone”. Dopiero podczas procesu norymberskiego wyjaśniły się intencje tych wypowiedzi, w których Hitler odmawiał swemu rządowi wszelkiej możliwości rokowań.

Jedną z przyczyn zmian w osobowości Hitlera upatrywałem wówczas w stałym przemęczeniu, spowodowanym trybem pracy, do którego nie był przyzwyczajony. Od początku kampanii na Związek Radziecki miejsce dawnego, zwykle dorywczego załatwiania spraw, a niekiedy okresowej bezczynności, zajął intensywny rytm codziennej pracy. Jeśli kiedyś Hitler doskonale potrafił kazać innym pracować dla siebie, to teraz coraz bardziej, ze wzrastającą troską interesował się szczegółami. Stał się niezwykle zdyscyplinowanym pracownikiem, a ponieważ było to sprzeczne z jego naturą, nie mogło wpływać dodatnio na podejmowane przez niego decyzje.

Już przed wojną zresztą Hitler zdradzał stany wyczerpania. Przejawiało się to w widocznej obawie przed podejmowaniem decyzji, niekiedy w braku zainteresowania dla poruszanych spraw, a także w skłonności do nużących monologów. Nie reagował wtedy słowem albo tylko krótkim „tak” lub „nie”; trudno było poznać, czy jeszcze interesuje go omawiany temat, czy już rozmyśla o innych sprawach. Dawniej jednak te okresy wyczerpania nie trwały długo. Po paru tygodniach pobytu w Obersalzbergu czuł się bardziej swobodny, jego wzrok był znów jaśniejszy, żywiej reagował i odzyskiwał satysfakcję z podejmowania decyzji.

Również w 1943 roku jego otoczenie nalegało często, aby wziął urlop. W takich wypadkach zmieniał niekiedy miejsce pobytu, wyjeżdżał na kilka tygodni, a nawet miesiący do Obersalzbergu¹. Ale jego dzień pracy nie ulegał żadnym zmianom. Bormann nawet tutaj przedstawiał mu ciągle do decyzji poszczególne problemy, nieustannie przychodzili interesanci, którzy nie omieszkali wykorzystać jego obecności w Berghofie albo w Kancelarii Rzeszy. Pragnęli się z nim widzieć gauleiterzy oraz ministrowie, którzy nie mogli dostać się do niego w kwaterze głównej, a ponadto nadal odbywało się długotrwałe codzienne omawianie sytuacji. W razie zmiany miejsca pobytu każdorazowo jechał za nim cały sztab wojskowy. Nawiązując do naszej troski o jego zdrowie, Hitler mawiał często: „Łatwo jest radzić mi, abym wziął urlop.

Przecież to jest niemożliwe. Bieżących decyzji wojskowych nawet na

dwadzieścia cztery godziny nie mogę pozostawić innym".

Wojskowe otoczenie Hitlera, od młodych lat przyzwyczajone do twardej codziennej pracy, nie mogło mieć zrozumienia dla jego przeciążenia. Bormann też sobie nie uświadamiał, że za dużo od niego wymaga. Ale nawet gdyby istniały sprzyjające warunki, Hitler zaniedbał to, o co powinien się troszczyć każdy dyrektor fabryki: angażowania uzdolnionych zastępców w każdej ważnej dziedzinie. Brakowało mu nie tylko energicznego szefa rządu oraz naczelnego dowódcy Wehrmachtu, lecz także zdolnego dowódcy wojsk lądowych. Ciągłe łamał starą zasadę, w myśl której w miarę zajmowania wyższych stanowisk powinno się mieć więcej wolnego czasu. Dawniej respektował tę zasadę.

Przemęczenie i osamotnienie doprowadziły go do dziwnego stanu skostnienia i usztywnienia, uciążliwej niechęci do podejmowania decyzji, nieustannego rozdrażnienia i szorstkości. Decyzje, które kiedyś łatwo podejmował, teraz przychodziły mu z dużą trudnością. Jako były sportowiec znałem pojęcie przetrenowania. W takim stanie, z chwilą obniżania się sprawności, stawaliśmy się apatyczni, rozdrażnieni, traciliśmy elastyczność. Z drugiej strony działaliśmy coraz bardziej jak automaty: nie widzieliśmy potrzeby zrobienia przerwy, chcieliśmy ciągle trenować. Podobne zjawisko przetrenowania może wystąpić również w wypadku przeciążenia umysłowego. W okresie wojny mogłem na samym sobie zaobserwować, jak wtedy myśl, mimo braku świeżego i szybkiego refleksu, przy podejmowaniu decyzji pracuje nadal mechanicznie.

Symboliczny okazał się w konsekwencji fakt opuszczenia po kryjomu przez Hitlera, w nocy 3 września 1939 roku, zaciemnionej Kancelarii Rzeszy i wyjazdu na front. Zmienił się jego stosunek do społeczeństwa; jeśli nawet po wielu miesiącach nawiązywał kontakt z tłumem, to nie przejawiał już entuzjazmu i umiejętności rozbudzania zapału, podobnie jak sugestywnego oddziaływania na ludzi.

Hitler wymagał od siebie w drugiej połowie wojny tak wiele jak na początku lat trzydziestych, podczas końcowych walk o władzę. Wówczas w okresach wyczerpania udział w wiecu dodawał mu prawdopodobnie więcej siły i otuchy, niż on musiał dać z siebie uczestnikom zgromadzenia. Nawet w latach 1933—1939, gdy jego pozycja ułatwiała mu życie, podnosiło go widocznie na duchu to, że w Obersalzbergu codziennie defilowała przed nim procesja zachwyconych admirałów. Również wiece z okresu poprzedzającego wojnę były dla niego środkiem podniecającym, nieodłącznym czynnikiem jego życia. Okazywał się wówczas najbardziej skoncentrowany i pewny siebie.

Prywatne otoczenie, z którym stykał się w kwaterze głównej — jego sekretarki, lekarze, adiutanci — było raczej jeszcze mniej interesujące niż przed wojną w Obersalzbergu czy w Kancelarii Rzeszy. W kwaterze głównej nie spotykał nikogo, kto by na jego widok wpadał w

zachwyty i oniemiały. Jak to zauważyłem już w chwilach wspólnych marzeń o planach budowy, codzienne obcowanie z Hitlerem pozwalało w

półbogu, jakim go uczynił Goebbels, widzieć człowieka ze wszystkimi ludzkimi potrzebami i słabostkami; nie umniejszało to jednak w niczym jego autorytetu.

Wojskowe otoczenie Hitlera musiało również działać na niego nużąco. W rzeczowej atmosferze kwatery głównej nieprzyjemnie bowiem brzmiałoby wszelkie natrętnie podziwianie. Przeciwnie, oficerowie okazywali się ludźmi nadzwyczaj trzeźwo myślącymi, a gdyby nawet tacy nie byli, to już samo ich wychowanie zakładało powściągliwość. Tym bardziej więc rzucały się w oczy pochlebstwa Keitla i Goringa. Ale nie brzmiały one szczerze i Hitler nie zachęcał swego otoczenia wojskowego do serwilizmu. Tutaj przeważała rzeczowość.

Hitler nie tolerował krytyki swego sposobu bycia. Podejmowało ją jednak, mimo wszelkich obaw, jego najbliższe otoczenie. Coraz skrupulatniej unikał mówienia o sprawach osobistych, nie licząc rzadkich serdecznych rozmów, jakie prowadził z kilkoma współtowarzyszami walki, takimi jak Goebbels, Ley czy Esser. Ze mną jednak oraz z innymi rozmawiał oficjalnie i z dystansem. Obecnie do rzadkości należały dni, kiedy jak dawniej sprawnie podejmował decyzje i z uwagą przysłuchiwał się przeciwnym argumentom. Takie przypadki zwracały naszą uwagę.

Wspólnie ze Schmundtem doszliśmy do przekonania, że istnieje potrzeba przedstawienia Hitlerowi młodych oficerów frontowych; chcieliśmy wnieść w duszną atmosferę odizolowanej kwatery głównej trochę nastroju świata zewnętrznego. Próba ta nie powiodła się jednak. Nie przejawiał on większej ochoty poświęcania na to swego szczupłego czasu, a potem sami musieliśmy przyznać, że wyrządziło to raczej wiele złego. Młody oficer wojsk pancernych informował, że chociaż podczas natarcia nad Terekiem jego pododdział nie napotykał żadnego oporu, to jednak na skutek braku amunicji musiano przerwać działania ofensywne. Hitler był wówczas tak podniecony, że jeszcze wiele dni po tej rozmowie ciągle powracał do sprawy: „Patrzcie! Za mało amunicji dla 75 mm! Co się dzieje z produkcją? Należy natychmiast dążyć wszelkimi środkami do jej wzrostu”. W gruncie rzeczy w ramach skromnych możliwości mieliśmy wystarczającą ilość tej amunicji, ale przy naszym forsownym marszu zaopatrzenie z powodu wydłużonych dróg dowozu nie mogło dotrzeć na czas. Hitler jednak nie przyjmował tego do wiadomości.

Przy takich okazjach dowiadywał się on od młodych oficerów frontowych również o innych szczegółach i na ich podstawie niezwłocznie wyrabiał sobie zdanie o wielkich zaniedbaniach Sztabu Generalnego. Tymczasem faktycznie większość trudności była związana z narzuconym przez Hitlera tempem marszu. Sztabowcy nie mieli możliwości dyskusowania z nim na ten temat, gdyż nie posiadał gruntownej wiedzy

o skomplikowanym systemie organizacji tak forsownego natarcia.

Od czasu do czasu, aczkolwiek rzadko, Hitler przyjmował jeszcze tych oficerów i żołnierzy, których dekorował wysokimi odznaczeniami bojowymi. Nieufność, z jaką odnosił się do umiejętności swego sztabu, powodowała, że po takich wizytach w atmosferze podniecenia wydawano uogólniające rozkazy. Chcąc temu zapobiec, Keitel i Schmundt usiłowali przedtem w miarę możliwości odpowiednio przygotować odwiedzających.

Wieczorne herbatki u Hitlera, na które zapraszał także w kwaterze głównej, przełożono z czasem na drugą godzinę w nocy, a ich zakończenie — na trzecią, czwartą nad ranem. Również czas, kiedy udawał się on na spoczynek, przesuwał się coraz bardziej na wczesne godziny ranne, tak że pewnego razu powiedział: „Jeśli wojna potrwa jeszcze długo, nasz czas pracy zrówna się z czasem pracy człowieka wczesnie wstającego, a wieczorne herbatki u Hitlera traktować będziemy jako nasze poranne herbatki”.

Niewątpliwie Hitler cierpiał na bezsenność. Mówił, że nie wypoczywa, gdy kładzie się wcześniej do łóżka. Często skarżył się, że poprzedniego dnia dopiero po kilku godzinach leżenia mógł zasnąć nad ranem.

W herbatkach uczestniczyli najbliżsi znajomi Hitlera, jego lekarze, sekretarki, wojskowi i cywilni adiutanci, przedstawiciel szefa prasowego — ambasador Hewel, niekiedy też wiedeńska kucharka dietetyczna, czasem jakiś gość, o ile był bliski Hitlerowi, oraz nieodzowny Bormann. Również ja jako gość byłem zawsze mile widziany. Siedzieliśmy skrzepowani w jadalni na niewygodnych fotelach. Przy tej okazji Hitler lubił wytwarzać „miłą” atmosferę, jeśli to było możliwe, przy płonącym kominku; z dużym szacunkiem sam podawał sekretarkom ciasto i z niewymuszoną uprzejmością, jako pan domu, troszczył się o swoich gości. Współczułem mu. Podejmowane przez "niego próby okazywania innym ludziom ciepła po to, aby je następnie od nich przyjmować, już na samym początku okazywały się nieudane.

W kwaterze głównej muzyka była zakazana, pozostawała więc tylko rozmowa, którą niemal wyłącznie prowadził Hitler. Śmiano się wprawdzie z jego znanych już kawałów, jakby je słyszano po raz pierwszy, podobnie z zainteresowaniem przysłuchiwano się jego wspomnieniom z okresu trudnych lat młodości albo „czasu walki”, jakby je przytaczał po raz pierwszy; uczestnicy herbatek niewiele jednak mogli wnieść dla ożywienia rozmowy. Istniało bowiem niepisane prawo unikania rozmów o wydarzeniach na froncie, o polityce, jak też krytyki czołowych osobistości. Również Hitler, co jest zupełnie zrozumiałe, nie

widział potrzeby poruszania tych tematów. Jedyne Bormann miał przywilej czynienia prowokacyjnych uwag. Także czasem listy Ewy Braun wywoływały rozmowę na przykre tematy, choćby wtedy, gdy informowała o jaskrawych przypadkach głupoty władzy. Dowiadując się na przykład, że mieszkańcom Monachium zabroniono w pełni zimy jazdy na nartach, Hitler bardzo się denerwował i wygłaszał nie kończące się monologi o swej ustawicznej, prowadzonej bez sukcesów walce z nieudolnością biurokracji. W końcu zobowiązywano Bormanna do wyjaśnienia tych spraw.

Jeżeli bliżej przyjrzeć się poruszonym tematom, widać, że Hitler nadzwyczaj łatwo się emocjonował. Takie drobiazgi również działały na niego w pewnym sensie odprężające, gdyż angażowały go w błahe sprawy, o których mógł jeszcze decydować. Wydawanie dyspozycji pozwalało mu wtedy przynajmniej na chwilę zapomnieć o stanie bezsilności, w jakim się znalazł, odkąd przeciwnik zaczął mu dyktować przebieg działań, a jego wojskowe decyzje nie przynosiły już pożądanego rezultatu.

Mimo wszelkich prób ucieczki od rzeczywistości, nawet w tym gronie Hitler nie mógł nie zdawać sobie sprawy ze swego położenia. Wówczas chętnie powracał do dawnych narzekań, że stał się politykiem wbrew własnej woli, że w istocie jest niedoszłym architektem i tylko dlatego nie został budowniczym, że jako budowniczy państwa musi wykonywać te zadania, które mu powierzono. Miał teraz zwyczaj mówić, przejawiając coraz większą skłonność do litowania się nad sobą, że posiada tylko jedno życzenie: „Pragnę tak szybko, jak to możliwe, zamknąć znów swój szary mundur w szafie². Z chwilą zwycięskiego zakończenia wojny wypełnię zadanie swojego życia i wycofam się do starej siedziby w Linzu nad Dunajem. Wtedy niech się martwi o wszystko mój następca". Takie myśli ogarniały go niekiedy przed rozpoczęciem wojny, podczas swobodnie spędzanych godzin na herbatkach w Obersalzbergu. Wtedy była to prawdopodobnie kokieteria. Teraz wypowiadał te myśli bez patosu, normalnym tonem i z wiarygodną goryczą.

Podobny charakter ucieczki od rzeczywistości przybierało również jego nie słabnące zainteresowanie planami miasta, do którego chciał powrócić. W ostatnim okresie wojny coraz częściej zapraszano do kwatery głównej naczelnego architekta Linzu, Hermanna Giesslera, w celu przedłożenia projektów. W tym czasie zaledwie w niewielkim stopniu interesował się Hitler planami Hamburga, Berlina, Norymbergi lub Monachium, które kiedyś tak bardzo go absorbowały. W chwilach przygnębienia mawiał wówczas — myśląc o trudach, jakie przyszło mu znieść — że tylko śmierć mogłaby oznaczać dla niego wyzwolenie. Taki nastrój ogarniał go również wtedy, gdy rozpatrując plany Linzu ciągle

powracał do swojego grobowca, który miał być zbudowany w tym

mieście. Stwierdzał jednoznacznie, że nawet po zwycięskiej wojnie nie chciałby być pochowany obok swych feldmarszałków w berlińskiej hali żołnierskiej.

W trakcie tych nocnych rozmów, prowadzonych w kwaterze głównej w Winnicy albo w Kętrzynie, często ogarniał Hitlera zmienny nastrój. Nam, nielicznym ich uczestnikom, nie odpowiadała ciężka atmosfera wczesnych godzin rannych i tylko uprzejmość oraz poczucie obowiązku mogły nas zmusić do uczestnictwa. Po wyczerpujących posiedzeniach w trakcie tych monottonnych rozmów z trudem powstrzymywaliśmy się od zaśnięcia. Zanim przyszedł Hitler, ktoś zapytywał: „Gdzie właściwie przebywa dzisiaj wieczorem Morell?” Ktoś inny odpowiadał osowiale: „Nie pokazywał się już przez trzy ostatnie wieczory”. Jedna z sekretarek: „Mógłby raz pozostać dłużej. Zawsze są tu ci sami..., ja również chętnie poszłabym spać”. Inna: „Właściwie powinniśmy się zmieniać. Tak dalej być nie może, że jedni się wykręcą, a drudzy, ciągle ci sami, muszą przebywać tutaj”. W tym kręgu, trzeba to oczywiście przyznać, Hitler był jeszcze nadal szanowany, ale jego nimb już się rozwił.

Po spożyciu późnym rankiem śniadania Hitler zapoznawał się z pismami codziennymi i informacjami prasowymi. Czynność ta miała decydujący wpływ na wyrabianie sobie przez niego opinii. Od tego też w poważnym stopniu zależał jego nastrój. Do poszczególnych doniesień zagranicznych ustosunkowywał się natychmiast oficjalnie i najczęściej agresywnie; nierzadko swe opinie dosłownie dyktował szefowi prasowemu, dr. Dietrichowi, albo jego zastępcy, Lorenzowi. Bez wahania wkraczał w kompetencje poszczególnych ministerstw, zazwyczaj nie informując uprzednio kompetentnych ministrów: Goebbelsa i Ribben-tropa.

Następnie Hewel referował wydarzenia międzynarodowe, co Hitler przyjmował już spokojniej niż informacje prasowe. Patrząc z perspektywy lat, wydaje mi się, że bardziej interesowały go komentarze na temat wydarzeń aniżeli same wydarzenia. Polem Schaub przedkładał nadsyłane przez gauleiterów informacje o nalotach lotniczych w ciągu ostatniej nocy. Wizytując często zakłady produkcyjne w zbombardowanych miastach, po upływie jednego, dwóch dni od nalotu, mogłem przekonać się, że Hitler otrzymywał prawdziwe informacje o rozmiarach zniszczeń. W gruncie rzeczy gauleiterzy postępowałiby nierozsądnie, gdyby zani żali wyrządzone szkody; przecież ich autorytet mógł tylko wzrosnąć, jeśli mimo dotkliwych spustoszeń życie codzienne i produkcja znów powracały do normy.

Raporty te wywierały widoczne wrażenie na Hitlerze, mniej jednak przejmował się stratami ludności czy zniszczeniami w dzielnicach

mieszkalnych, bardziej poruszały go leżące w gruzach wartościowe

budowle, a zwłaszcza teatry. Interesował się przede wszystkim, podobnie jak to miało miejsce przed wojną w jego planach „nowego kształtu niemieckich miast”, budowlami reprezentacyjnymi, pomijał natomiast milczeniem sprawy społecznej biedy i ludzkiej nędzy. Prawie zawsze jego osobiste żądania sprowadzały się do tego, aby odbudować spalone teatry. Czasem próbowałem zwrócić jego uwagę na wąskie gardło przemysłu budowlanego. Również lokalne władze polityczne wstydziły się zgoda wykonywać te niepopularne polecenia, a Hitler, całkowicie zaabsorbowany sytuacją wojskową, prawie nigdy nie interesował się stanem prac. Tylko w Monachium, w swoim drugim rodzinnym mieście, i w Berlinie przeforsował podjęcie z dużymi nakładami odbudowy oper.

Poza tym Hitler wykazywał szczególną nieznajomość prawdziwej sytuacji i nastrojów, gdy nie przyjmował żadnych zastrzeżeń: „Ponieważ trzeba podnosić morale ludności, niezbędne są właśnie przedstawienia teatralne”. Mieszkańcy miast mieli zapewne inne troski. Podobne uwagi świadczyły raczej o tym, jak bardzo swą mentalnością tkwił w „środowisku mieszczańskim”.

Przeglądając meldunki o poniesionych stratach, Hitler zwykle wypowiadał ostre zarzuty przeciwko rządowi angielskiemu, a także Żydom, którzy mieli spowodować te naloty. Sądził, że tylko wyprodukowanie przez nas wielkiej ilości bombowców może zmusić nieprzyjaciela do zaprzestania nalotów. Odpowiadając na moje zastrzeżenia, że na szeroko zakrojoną wojnę lotniczą nie mamy ani dostatecznej liczby samolotów, ani też odpowiednich zasobów materiałów wybuchowych³, powtarzał wciąż to samo: „Zrobił pan tak wiele, panie Speer, uda się panu jeszcze i to”. Z perspektywy czasu wydaje mi się, że osiaganie przez nas, mimo nalotów, coraz większej produkcji było jedną z przyczyn ciągłego lekceważenia przez Hitlera bitwy powietrznej o Niemcy. Dlatego też odrzucał propozycje Milcha i moje w sprawie radykalnego zmniejszenia produkcji bombowców na korzyść myśliwców, aż w końcu było na to za późno.

Kilka razy próbowałem zachęcić Hitlera do podróży przez zbombardowane miasta, do pokazania się w nich⁴. Także Goebbels w mojej obecności wielokrotnie ubolewał, że na próżno starał się nakłonić go do tego. Z uczuciem zazdrości powoływał się na postępowanie Churchilla: „Jak bardzo wygrałbym propagandowo jedną taką wizytę!” Ale Hitler regularnie wykręcał się od tego rodzaju propozycji. Obecnie w trakcie przejazdów z Dworca Szczecińskiego do Kancelarii Rzeszy — albo w Monachium do swego mieszkania przy Prinzregentenstrasse — zarządzał najkrótszą drogę, chociaż przedtem lubił przy tej okazji dłuższą przejażdżkę. Towarzysząc mu kilka razy w

tego rodzaju podróżach, widziałem, jak bez większego zainteresowania otepiałe spoglądał na mijane przypadkowo olbrzymie gruzowiska na trasie przejazdu. Bardzo niechętnie przyjmował też rady, ponawiane często

przez Morella, aby odbywał dłuższe spacery. Tak łatwo można by przecież w lasach w pobliżu kwatery głównej zbudować kilka dróg. Jednak Hitler zdecydowanie odrzucał takie propozycje. Jego codzienny spacer ograniczał się do określonego odcinka, długości zaledwie 100 metrów, wewnątrz pierwszej strefy ochronnej.

W czasie swych spacerów Hitler interesował się najczęściej nie tyle osobą towarzyszącą, ile owczarkiem Blondi, którego przy takich okazjach próbował tresować. Po kilku ćwiczeniach w aportowaniu pies musiał balansować na wybiegu szerokości około dwudziestu centymetrów i długości ośmiu metrów, zamontowanym na wysokości dwóch metrów. Hitler wiedział, rzecz jasna, że pies uważa za swego pana tego, kto przynosi mu pożywienie. Dlatego też, zanim wydał polecenie otwarcia furtki, pozwalał podnieconemu z głodu i radości, zazwyczaj kilka minut skowyczącemu i szczekającemu psu wdrapywać się na ogrodzenie. Z uwagi na to, że darzył mnie szczególną łaską, mogłem niekiedy towarzyszyć mu podczas karmienia psa, wszyscy inni natomiast musieli to widowisko oglądać z daleka. W prywatnym życiu Hitlera owczarek odgrywał chyba najistotniejszą rolę, ważniejszą niż najbliżsi współpracownicy.

Często, gdy w kwaterze głównej nie było żadnego dostojnego gościa, Hitler spożywał posiłki samotnie, tylko w towarzystwie swego owczarka. Podczas moich pobytów, trwających najczęściej nie dłużej niż dwa, trzy dni, byłem z reguły raz, dwa razy zapraszany przez niego na obiad. Niektórzy z jego otoczenia myśleli zapewne, że omawialiśmy wtedy albo ważne zagadnienia ogólnopaństwowe, albo sprawy prywatne. Nic podobnego, ja również nie miałem możliwości omawiania z Hitlerem wszechstronnych aspektów sytuacji wojennej czy gospodarczej; poruszaliśmy tematy marginesowe lub mówiliśmy o suchych liczbach dotyczących produkcji.

Początkowo interesował się on jeszcze sprawami, które nas kiedyś wspólnie zajmowały, jak na przykład przyszły wygląd niemieckich miast. Przy okazji powracał bardzo często do swego projektu budowy po wojnie transkontynentalnej sieci kolejowej, która miała Połączyć gospodarczo jego przyszłe państwo. Poleciał nawet Kolei Rzeszy opracowanie planów typów wagonów oraz dokonanie szczegółowych obliczeń pojemności pociągów towarowych, mających w myśl jego koncepcji jeździć po wyjątkowo szerokich torach; rozmyślał o tym podczas bezsennych nocy⁵. Ministerstwo Komunikacji uznało, że straty wynikłe z istnienia dwóch systemów kolejowych przewyższałyby znacznie ewentualne korzyści. Hitler jednak przywiązywał dużą wagę do tej idei, której zresztą, jako klamrze spinającej jego imperium, przypisywał większe znaczenie niż autostradom.

Z miesiąca na miesiąc Hitler stawał się coraz bardziej milczący.

Być może uważał mnie za kogoś bliższego i mniej się troszczył o

prorowadzenie konwersacji ze mną niż z innymi gośćmi przy stole. Niemniej jednak od jesieni 1943 roku wspólne spożywanie posiłków stało się udręką. W milczeniu jedliśmy zupę, a w przerwie przed następnym daniem wymienialiśmy kilka zdań o pogodzie; Hitler dzielił się zwykle negatywnymi spostrzeżeniami o nieudolności służby meteorologicznej, zanim rozmowa nie zesłała znów na jakość posiłku. Był bardzo zadowolony ze swej kucharki dietetycznej oraz chwalił jej umiejętność przyrządzania dań jarskich. Jeżeli jakaś potrawa wydawała mu się niezwykle smaczna, zachęcał mnie do spróbowania. Ciągłe prześladowała go obawa przed przytyciem: „Niemożliwe! Niech pan sobie wyobrazi mnie z dużym brzuchem. Ze względów politycznych byłoby to zabójcze!” Często w takich sytuacjach, chcąc położyć kres łakomstwu, wzywał kamerdynera: „Proszę to zabrać, za bardzo mi smakuje”. Nawiasem mówiąc, szydził z tych, którzy jedli mięso, ale na mnie nie usiłował wywierać wpływu. Sam nie miał nic przeciwko jednemu kieliszkowi po tłustych potrawach, aczkolwiek z ubolewaniem zaznaczał, że przy jego posiłkach nie jest to niezbędne. W chwili podawania rosółu mogłem ręczyć, że będzie mówił o „herbacie z trupa”, przy rakach miał na poczekaniu historię o zmarłej babce, którą rodzina wrzuciła do stawu dla ich zwabienia, a przy węgorzach opowiadał, że najlepiej je karmić i łapać używając do tego celu zdechłych kotów.

Już w czasie wieczorów spędzanych w Kancelarii Rzeszy Hitler bez żenady powtarzał takie historyjki. Teraz jednak, w okresie odwetu i klęsk, należało traktować to jako oznakę wyjątkowo dobrego nastroju. Najczęściej panowało grobowe milczenie. Odnosiłem wrażenie, że ten człowiek stopniowo gaśnie.

Podczas wielogodzinnych często posiedzeń albo w czasie posiłków Hitler kazał swojemu psu położyć się we wskazanym kącie, co ten czynił niechętnie, warcząc. Kiedy wyczuł, że nie jest obserwowany, skradał się coraz bliżej do swego pana i po różnych manewrach jego pysk łądował w końcu na kolanach Hitlera, który znów krzyczał na niego i przepędzał z powrotem do kąta. Unikałem, jak zresztą każdy rozsądny spośród gości Hitlera, pozyskania przyjaźni psa. Nie zawsze to było takie proste; pies kładł niekiedy w czasie wspólnych posiłków swoją głowę na moim kolanie i w tej pozycji uważnie obserwował kawałki mięsa, które wydawały mu się ponętniejsze od jarskiego dania swego pana. Dostrzegłszy to, Hitler rozgniewany przywoływał go do porządku. W gruncie rzeczy jednak pies ten, jak sądziliśmy obaj ze Schmund-tem, był jedyną żywą istotą w kwaterze głównej, która wpływała dodatnio na nastrój Hitlera. Ale pies nie mówił.

Stopniowo, właściwie niezauważalnie, Hitler tracił coraz bardziej kontakt z otoczeniem. Powtarzane przez niego często od jesieni 1943 roku zdanie: „Speer, pozostanie mi kiedyś tylko dwoje przyjaciół — panna Braun i mój pies”, wyraźnie uwidaczniało jego osamotnienie.

Mówił to tak pogardliwym tonem i bez ogródek,

że uważałem za

niemożliwe zarówno zapewnić go o swojej lojalności, jak i czuć się urażonym. Była to jedyna przepowiednia Hitlera, która, mówiąc ogólnie, sprawdziła się. Jednakże nie od niego samego to zależało; była to raczej odwaga jego kochanki i psia wierność owczarka.

Dopiero później, w czasie długoletniego pobytu w więzieniu, przekonałem się, co znaczy życie pod dużym obciążeniem psychicznym. Uświadomiłem sobie wówczas, że życie Hitlera miało wiele wspólnego z życiem więźnia. Jego schron, nie mający jeszcze wtedy rozmiarów mauzoleum, które miał przybrać dopiero w lipcu 1944 roku, posiadał podobne do więziennych grube ściany i stropy, żelazne drzwi i okiennice o nielicznych otworach; krótkie spacerki wewnątrz ogrodzenia z drutu kolczastego pozwalały mu zażyć świeżego powietrza i kontaktu z przyrodą nie więcej niż aresztantowi przechadzka po dziedzińcu więziennym.

Hitler czuł się w swoim żywiole wówczas, gdy zaczynało się całokształtowe omawianie sytuacji po spożyciu obiadu, około godziny 14.00. Zewnętrznie obraz nie zmienił się od wiosny 1942 roku. Wokół Hitlera siedzącego przy dużym stole operacyjnym gromadzili się jeszcze niemal ci sami generałowie i adiutanci. Tylko wszyscy pod wpływem wydarzeń ostatniego półtora roku wyglądali starzej i byli bardziej przygnębieni. Obojętnie i raczej z rezygnacją przyjmowali przekazywane im wytyczne i rozkazy.

Patrzono w przyszłość z nadzieją. Oczekiwanie na zmęczenie się przeciwnika opierano na liczbie wziętych jeńców i wycinkowych meldunkach z frontu wschodniego. Poniesione przez Rosjan w toku ich własnej ofensywy straty wydawały się być znacznie wyższe od naszych, nawet w stosunku do aktualnej liczby ludności. Błahe meldunki o sukcesach przybierały w rozmowie coraz większe rozmiary i stawały się dla Hitlera niezbitym dowodem, że napór Rosjan może być tak długo jeszcze powstrzymywany poza terytorium Niemiec, dopóki się nie wykrwawia. Również wielu z nas wierzyło, że Hitler zdoła zakończyć wojnę we właściwym czasie.

Jodl zreferował Hitlerowi, jak jego zdaniem będzie wyglądał rozwój sytuacji w następnych miesiącach. Tym samym podjął próbę przejścia jako szef sztabu Naczelnego Dowództwa Wehrmachtu swych właściwych zadań, które dotychczas coraz bardziej skupiał w swoim ręku sam Hitler. Jodl znał jego uprzedzenia do kalkulacji liczbowych. Jeszcze w końcu 1943 roku Hitler wyrażał się z pogardą o przygotowanym przez odpowiedzialnego za gospodarkę wojenną generała Georga Thomasa opracowaniu, które ukazywało radziecki potencjał wojskowy jako nadzwyczaj silny. Ciągle jeszcze denerwował się z powodu tego materiału, mimo że zaraz po jego przedstawieniu zakazał Thomasowi i Nacelnemu Dowództwu Wehrmachtu prowadzenia dalszych tego rodzaju badań. Kiedy mój urząd planowania w najlepszej wierze, chcąc

pomóc kierownictwu wojennemu w podejmowaniu decyzji, jesienią

1944 roku opracował nowy memoriał o nieprzyjacielskim potencjale zbrojeniowym, Keitel również zabronił nam przesyłania takich materiałów do Naczelnego Dowództwa.

Jodl zdawał sobie sprawę, że w realizacji swoich planów napotyka trudności. Dlatego też upatrzył sobie młodego pułkownika lotnictwa, Christiana, który w toku omawiania sytuacji miał najpierw referować pewne zagadnienia. Pułkownik ów dysponował nieocenionym walorem, mianowicie był mężem jednej z sekretarek Hitlera, która uczestniczyła w nocnych herbatkach. Przewidywana analiza miała uzasadnić, jakie mogą być taktyczne plany przeciwnika w dalszej perspektywie oraz wynikające z tego dla nas konsekwencje. Poza kilkoma wielkimi mapami Europy, za pomocą których Christian objaśniał milczącemu Hitlerowi sytuację, nie zachowałem innych wspomnień z tego zamierzenia, które spaliło na panewce.

Uczestnicy posiedzenia nie zgłosili żadnych zastrzeżeń i stanęło na tym, że Hitler będzie podejmował wszystkie decyzje samodzielnie, bez przygotowywania odpowiednich materiałów. Zrezygnował z analiz sytuacji, z opracowywania swych koncepcji; nie uznawał żadnych grup studyjnych, które by badały ofensywne plany wszechstronnie, pod kątem osiągnięcia powodzenia i ewentualnych przeciwdziałań ze strony nieprzyjaciela. Do wszystkich tych zadań, wynikających z wymogów nowoczesnej wojny, zostały przygotowane sztaby kwatery głównej, należałoby je tylko zaktywizować. Hitler kazał sobie wprawdzie referować wycinkowo poszczególne dziedziny, ale ogólne wnioski miał na ich podstawie wyciągać on sam. Jego feldmarszałkowie zatem, jak też najbliżsi współpracownicy spełniali właściwie tylko funkcję doradców, gdyż decyzje najczęściej podejmował on sam już wcześniej i mogły ulegać zmianie jedynie w detalach. Ponadto Hitler nie wykorzystywał własnych doświadczeń, zdobytych w kampanii wschodniej 1942—1943 roku.

Zapewne pod wpływem przygniatającego ciężaru odpowiedzialności w kwaterze głównej nic nie było milej widziane niż otrzymana w odgórnym rozkazie decyzja, która niosła z sobą jednocześnie ulgę i usprawiedliwienie. Rzadko kiedy słyszałem, żeby ktoś zgłosił się na front, chcąc uniknąć permanentnego konfliktu sumienia, na co narażano się w kwaterze głównej. Idzie tu o niejasne dla mnie do dziś zjawisko: mimo wszelkiej krytyki nikt z nas nie wysuwał żadnych zastrzeżeń. Bo też nie mieliśmy ich faktycznie. W tym otepiałym świecie kwatery głównej nie wzruszało nas, jakie konsekwencje pociągały za sobą decyzje Hitlera na froncie, gdzie walczono i umierano, gdy na przykład kocioł, którego można było

uniknąć, powstał tylko dlatego,

że Hitler ciągle zwlekał z wyrażeniem

zgody na odwrót proponowany przez Sztab Generalny.

Od głowy państwa nie można wprawdzie wymagać regularnego udawania się na front, jednak Hitler, jako naczelny dowódca wojsk lądowych, który jednocześnie sam decydował o szczegółach, był do tego zobowiązany. Jeżeli zachorował, powinien był wyznaczyć kogoś innego; jeżeli obawiał się o swoje życie, nie mógł być naczelnym dowódcą wojsk lądowych.

Kilka wyjazdów na front mogłoby bez trudu unaocznić jemu i jego sztabowi zasadnicze błędy, które kosztowały tak wiele krwi. Hitler i jego wojskowi doradcy sądzili jednak, że są w stanie dowodzić na podstawie map sytuacyjnych. Nie znali oni ani rosyjskiej zimy, ani stanu dróg, ani też trudów żołnierzy, którzy bez kwater, niedostatecznie wyposażeni, przemęczeni, wyczerpani i przemarznięci musieli żyć w ziemiankach i których woła oporu dawno już została złamana. Podczas omawiania sytuacji Hitler uważał te jednostki za pełnowartościowe i jako takie posyłał je w bój oraz oceniał. Wyczerpane walką i nie posiadające broni ani amunicji dywizje przesuwał na mapie tu i tam, przy czym wyznaczał im często terminy całkowicie nierealne. Ponieważ nakazywał z reguły natychmiastowe działanie, oddziały czołowe dostawały się pod ogień nieprzyjaciela, zanim jeszcze jednostki mogły się w pełni rozwinąć: tak były wprowadzane do walki, tak rozbijane i stopniowo niszczone.

Łączność kwatery głównej działała, jak na owe czasy, wzorowo. Można było stąd prowadzić bezpośrednie rozmowy ze wszystkimi ważnymi teatrami działań wojennych. Ale Hitler przeceniał możliwości telefonu, radia i dalekopisu. Inaczej niż w poprzednich wojnach, dobra łączność jednocześnie pozbawiała odpowiedzialnych dowódców wszelkich szans samodzielnego działania, gdyż na ich odcinkach frontu nieustannie interweniował Hitler. Tylko taka łączność umożliwiała mu dowodzenie zza stołu sztabowego poszczególnymi dywizjami na wszystkich teatrach działań wojennych. Im trudniejsza istniała sytuacja, tym większy kontrast powodowała współczesna technika, między rzeczywistością a fantazją, którą kierowano się przy wydawaniu stąd rozkazów.

Dowodzenie jest przede wszystkim sprawą rozumu, stanowczości i żelaznych nerwów. Hitler sądził, że posiada te wszystkie właściwości w o wiele większym stopniu niż jego generałowie. Przepowiadał ciągle, wprawdzie dopiero po katastrofie zimowej 1941/42 roku, że przyjdzie nam przezwyciężyć jeszcze trudniejsze sytuacje; wtedy dopiero miało się okazać, jaki on jest mocny i jak silne ma nerwy⁶.

Takie wynurzenia wręcz uwłaczały obecnym oficerom, Hitler jednak nierzadko praktykował sposób bezpośredniego zwracania się w

obraźliwych słowach do otaczających go oficerów Sztabu Generalnego; jego zdaniem byli mało wytrwali, skłonni tylko do odwrotu, bez powodów gotowi oddać zdobyty teren. Ci tchórze nigdy nie przystąpiliby do wojny. Oni zawsze odradzali, zawsze argumentowali, że nasze siły były o wiele za słabe. Komu, jeśli nie jemu, przyznały rację osiągnięte sukcesy! Hitler wyliczał dawne zwycięstwa, przytaczając negatywne stanowisko Sztabu Generalnego przed rozpoczęciem tych udanych operacji wojskowych co w ówczesnej sytuacji brzmiało po prostu koszmarnie. Niekiedy tracił przy tym panowanie nad sobą, purpurowiał. mówił szybko i gwałtownie, podniecał się: „Są oni nie tylko zwykłymi tchórzami, ale również ludźmi nieszczerymi. To notoryczni kłamcy. Sztab Generalny wychowuje w kłamstwie i oszustwie. Zeitzler, dane te nie są prawdziwe! Pan sam jest także okłamywany. Proszę mi wierzyć, sytuację świadomie przedstawiono niekorzystnie, aby wymusić na mnie decyzję odwrotu”. Naturalnie Hitler rozkazał utrzymać front za wszelką cenę i jak zwykle po kilku dniach lub tygodniach oddziały radzieckie przełamały pozycje. Potem następowały nowe przełamania, powodujące kolejne obelgi pod adresem oficerów, a często i ujemną ocenę niemieckiego żołnierza: „Żołnierze pierwszej wojny światowej byli o wiele bardziej zahartowani; ile musieli przejść w Verdun, nad Sommą. Dzisiaj w takiej sytuacji uciekaliby”. Niejeden z tych znieważonych należał do oficerów 20 lipca. Pozostawiało to pewien ślad. Kiedyś Hitler potrafił umiejętnie wyczuwać sytuację, dzięki czemu do każdego swego otoczenia zwracał się w ujmujący sposób. Teraz stał się niepoohamowany, nie panował nad sobą. Z jego ust płynął nieustanny potok słów; przypominał podsądnego, który sam zdradza swemu oskarżycielowi obciążające tajemnice. Wydawało mi się, że Hitler mówił jak gdyby pod przymusem.

Chcąc pozostawić potomności dowody, że zawsze podejmował słuszne decyzje, późną jesienią 1942 roku Hitler polecił, aby zaprzysiężeni stenografowie Reichstagu byli obecni przy omawianiu sytuacji i zapisywali każde słowo.

Niekiedy, gdy zdawało mu się, że znalazł rozwiązanie dylematu, zapytywał: „Czy zdążył pan zapisać? Tak, kiedyś przyzna mi się rację, ale ci idioci ze Sztabu Generalnego nie chcą przecież uwierzyć”. Nawet podczas wycofywania się jednostek triumfował jeszcze: „Czy przed trzema dniami nie rozkazałem tak i tak? Znow tego nie zrealizowano. Nie wykonują moich rozkazów, a potem zastawiają się Rosjanami. Kłamią mówiąc, że przeszkodzili im w tym Rosjanie”. Nie chciał przyznać, że jego niepowodzenia wynikają z trudnej sytuacji, jaką sam spowodował, prowadząc wojnę na wielu frontach.

Stenografowie, którzy niespodziewanie znaleźli się w tym domu wariatów, być może jeszcze przed kilkoma miesiącami wyobrażali sobie

światowej

idealny obraz Hitlera i jego niezwykłego geniuszu, jak tego uczył ich Goebbels. Tutaj musieli spojrzeć prawdzie w oczy. Widzę jeszcze wyraźnie ich blade twarze, kiedy protokołowali lub w wolnych chwilach spacerowali przygnębieni po terenie kwatery głównej. W moim odczuciu byli oni niejako wysłannikami narodu, których skazano na to, aby bezpośrednio uczestniczyli jako świadkowie w tej smutnej grze.

Opętany przez swą teorię o słowiańskich podludziach, Hitler wyrażał się początkowo o wojnie z nimi jako o „grze na stole plastycznym”. Ale im dłużej trwała wojna, tym większy szacunek dla siebie wymuszali na nim Rosjanie. Imponowała mu nieugiętość, z jaką przyjmowali swe niepowodzenia. O Stalinie mówił z pełnym uznaniem... Niebezpieczeństwo, w jakim znalazła się Moskwa zimą 1941 roku, wydawało mu się podobne do jego obecnej sytuacji... Hitler zmienił się bardzo od owych dni po zawieszeniu broni z Francją, kiedy przepowiadał, że wojna ze Związkiem Radzieckim będzie tylko grą na stole plastycznym.

Nabrawszy w końcu przekonania, że na wschodzie ma do czynienia ze zdecydowanym przeciwnikiem, Hitler obstawał przy swoim, i to aż do ostatnich dni wojny, uważając za niedostateczną wartość bojową jednostek krajów zachodnich. Nawet sukcesy aliantów w Afryce i we Włoszech nie mogły zmienić jego przeświadczenia, że ich żołnierze zaczną uciekać przy pierwszym poważnym starciu. Jego zdaniem, demokracja osłabiała społeczeństwo. Jeszcze latem 1944 roku ciągle podkreślał, że na zachodzie wkrótce odzyskamy wszystko z powrotem. Odpowiadała temu jego opinia o mężach stanu Zachodu. Jak często stwierdzał przy omawianiu sytuacji, Churchill oddawał się pijaństwu oraz był nieudolnym demagogiem; o Rooseveltcie mówił z całą powagą, że zachorował nie na paraliż dziecięcy, lecz na syfilis i dlatego jest niepoczytalny. Również w tym przejawiała się ucieczka, od rzeczywistości, tak charakterystyczna dla ostatnich lat życia Hitlera.

W Kętrzynie zbudowano w pierwszej strefie ochronnej herbaciarnię; jej urządzenie korzystnie odbijało od szarości kwatery głównej. Tutaj przychodzono od czasu do czasu na kieliszek wermutu, tutaj oczekiwali feldmarszałkowie na rozpoczęcie konferencji z Hitlerem. On sam jednak unikał tego miejsca, a tym samym spotkania z oficerami sztabowymi i generałami Naczelnego Dowództwa Wehrmachtu. Ale w kilka dni po 25 lipca 1943 roku, kiedy to we Włoszech bez większego oporu skończył się faszyzm i rządy przejął Badoglio, Hitler siedział tam po południu przy herbacie z około dziesięcioma swymi politycznymi i wojskowymi współpracownikami, wśród których znajdowali się Keitel, Jodl i Bormann. Nieoczekiwanie Jodl powiedział wprost: „Właściwie cały faszyzm prysł jak bańka mydlana”. Zapadło

przerazające milczenie, aż w końcu ktoś podjął inny temat. Jodl

natomiast, wyraźnie przestraszony, mocno się zaczerwienił.

Kilka tygodni później do kwatery głównej zaproszono księcia heskiego Filipa. Był on jednym z tych zwolenników, których Hitler traktował zawsze z dużym szacunkiem i respektem. Wykorzystywał on często Filipa, zwłaszcza w pierwszych latach istnienia Rzeszy, jako pośrednika w nawiązywaniu kontaktów z czołówką faszystów włoskiego. Ponadto książe pomógł Hitlerowi w zakupie cennych dzieł sztuki, ułatwiając ich wywóz z Włoch dzięki swemu pokrewieństwu z dworem królewskim.

Po paru dniach książe zamierzał odjechać, ale wtedy Hitler oświadczył mu bez ogródek, że nie może się oddalać z kwatery głównej. Wprawdzie nadal okazywał mu największą uprzejmość, zapraszał na swoje posiłki, jednak osoby z otoczenia Hitlera, które przedtem tak chętnie rozmawiały z „prawdziwym księciem”, teraz unikały go, jakby był dotknięty chorobą zakaźną. 9 września książe i księżniczka Mafalda, córka króla włoskiego, na rozkaz Hitlera zostali zesłani do obozu koncentracyjnego.

Jeszcze parę tygodni później Hitler chwalił się, że już dawno podejrzewał księcia Filipa o przekazywanie informacji włoskiemu dworowi królewskiemu. Mówił, że sam go obserwował oraz polecił kontrolować jego rozmowy telefoniczne; miano przy tym stwierdzić, że przekazywał swojej żonie szyfry. Nadal jednak odnosił się do niego wyjątkowo uprzejmie. Sądził, wyraźnie zadowolony ze swego kryminalnego sukcesu, że taki sposób postępowania wynika z jego taktyki.

Aresztowanie księcia i jego małżonki uświadomiło wszystkim, którzy znajdowali się podobnie blisko Hitlera, że ich los zależy całkowicie od jego woli. Mimowolnie rozprzestrzeniło się przekonanie, że Hitler mógłby tak samo zdradziecko i podstępnie kazać śledzić każdego ze swego otoczenia, a następnie — nie dając żadnej możliwości usprawiedliwienia się — zgotować mu podobny los.

Stosunek Hitlera do Mussoliniego, od czasów udzielenia przez niego poparcia w czasie kryzysu austriackiego, był dla nas wszystkich symbolem przyjaźni. Po upadku i zniknięciu bez śladu szefa włoskiego państwa wydawało się, że rozwija się w Hitlerze uczucie wierności. W toku omawiania sytuacji nieustannie żądał podjęcia wszelkich kroków, aby odnaleźć zaginionego. Mówił, że zmora ta nęka go dzień i noc.

12 września 1943 roku zwołano w kwaterze głównej konferencję, na którą zaproszono gauleiterów Tyrolu i Karyntii oraz mnie. Ustalono wówczas, że nie tylko południowy Tyrol, lecz także tereny włoskie aż do Werony przechodzą pod administrację gauleitera Tyrolu, Hofera, a dużą część Wenecji łącznie z Triestem, graniczącą z okręgiem Karyntii, oddaje się pod administrację gauleitera Rainera. Tego dnia bez trudu

osiągnąłem to, że na przyłączonym terytorium Włoch, po pozbawieniu

uprawnień włoskiej administracji, przekazano mi kompetencje we wszystkich sprawach dotyczących zbrojeń i produkcji.

W kilka godzin po podpisaniu tych zarządzeń nadeszła informacja o uwolnieniu Mussoliniego. Było to dużym zaskoczeniem. Obaj gauleiterzy uważali już za nieaktualny dopiero co rozszerzony zakres swojej władzy, podobnie zresztą jak ja: „Fuhrer nie będzie przecież żądał tego od duce”. Wkrótce potem zaproponowałem Hitlerowi, aby cofnął przyznane mi pełnomocnictwa. Zakładałem, że spotka się to z jego uznaniem. Ku mojemu zdziwieniu odrzucił zdecydowanie moją propozycję; zarządzenie ma nadal posiadać moc obowiązującą. Zwróciłem uwagę Hitlerowi, że z chwilą utworzenia nowego rządu faszystowskiego na czele z Mussolinim mogą zostać uchylone jego decyzje w sprawie Włoch. Zastanowił się chwilę i polecił: „Proszę mi jeszcze raz przedstawić do podpisu moje zarządzenie, i to z datą jutrzejszą. Wtedy nie będzie żadnej wątpliwości, że również po uwolnieniu duce mój rozkaz ma moc obowiązującą”⁷. Zapewne na kilka dni przed odcięciem północnych Włoch meldowano Hitlerowi, że wykryto już miejsce pobytu Mussoliniego. Jest to prawdopodobne, gdyż wezwano nas do kwatery głównej odpowiednio wcześniej, właśnie na krótko przed mającym nastąpić uwolnieniem.

Następnego dnia Mussolini przybył do Kętrzyna. Hitler uściskał go z nieklamany wzniesieniem. W rocznicę paktu trzech przesłał „złączonemu przyjaźnią Duce... najserdeczniejsze życzenia dla przyszłości Włoch, prowadzonych znów przez faszyzm do zaszczytnej wolności”.

Czternaście dni wcześniej dokonał okrojenia Włoch.

1 Od 28 lipca 1941 do 20 marca 1943 r., w okresie 21 miesięcy, Hitler przerywał swój pobyt w Kętrzynie czterokrotnie, łącznie na 57 dni. Od 20 marca 1943 r. wskutek nalegań swego lekarza odbywał trzymiesięczny urlop w Obersalzbergu, by znowu pracować 9 miesięcy w Kętrzynie. Następne 4 miesiące, począwszy od 16 marca 1944 r., spędził całkowicie wyczerpany w Obersalzbergu i w Berlinie Domarus, *Hitlers Reden*, t 4, Monachium 1965

2 Od początku wojny nosił mundur wojskowy zamiast politycznego i zobowiązywał się przed Reichstagem, że zdejmie go dopiero po zakończeniu wojny, jak kiedyś Izabella Kastylijska, która przysięgała, że zdejmie koszulę dopiero po wyzwoleniu swego kraju od Maurów

3 Przemysł środków wybuchowych z trudem mógł nadażyć za wzrostem produkcji amunicji dla wojsk lądowych i do działań przeciwlotniczych. Wskaźnik produkcją materiałów wybuchowych wzrastał: ze 103 w 1941 r. do 131 w 1942 r., 191 w 1943 r. i 226 w 1944 r. Natomiast wskaźnik produkcji amunicji, łącznie z bombami, wzrastał, ze 102 w 1941 r. do 106 w 1942 r., 247 w 1943 r. i 306 w 1944 r. Aczkolwiek obydwie te wskaźniki nie mogą stanowić dokładnych wartości porównawczych, to bądź co bądź wskazują, że do większej ilości bomb nie byłoby materiału wybuchowego.

4 Protokół fuhrera z 18 czerwca 1943 r.: „Zwrócono uwagę fuhrera, że pilnie konieczne jest, aby odwiedził Zagłębie Ruhry. Fuhrer zamierza odbyć tę wizytę, skoro tylko będzie mógł zdobyć wolny czas”. Nie zdobył go. Również Goebbels stwierdził w miesiąc później w swym dzienniku z 25 lipca 1943 r.: „W listach tych przede wszystkim

powtarza się stale pytanie, dlaczego fuhrer nie składa wizyty w rejonie ataków powietrznych".

5 W tej transkontynentalnej komunikacji jeden jedyny pociąg miał przewozić takie mniej więcej ilości towarów, jakie w żegludze zabiera frachtowiec, gdyż Hitler uważał, że nigdy nie można dostatecznie zabezpieczyć i zagwarantować komunikacji morskiej w okresie wojny. Nawet w planach wykończonych właśnie urządzeń dworcowych i kolejowych Berlina i Monachium musiano uwzględnić parę torów tej nowej kolei.

6 26 czerwca 1944 r. Hitler chwalił się przed kierownikami przemysłu: „Wiem tylko jedno: trzeba niebywale silnych nerwów i niebywalejszej siły woli, by przetrwać w takich czasach i podejmować decyzje, które zawsze sprowadzają się do »być albo nie być«... Ktoś inny na moim miejscu nie potrafiłby uczynić tego wszystkiego, co zrobiłem ja, nie miałby przecież tak silnych nerwów".

7 *Kronika* 1943 r.: „Minister szybką interwencją w kwaterze głównej spowodował wydanie przez fuhrera dekretu, który zapewnia mu wyłączne pełnomocnictwo w sprawie wykorzystania mocy produkcyjnych włoskiego przemysłu zbrojeniowego. Dokument, przedłożony mu już 12 września, fuhrer podpisał ponownie 13 września, by podkreślić, że pełnomocnictwo to pozostaje ważne również po uwolnieniu duce. Minister obawiał się przy tym, że utworzenie nowego rządu faszystowskiego we Włoszech utrudni mu całkowite wykorzystanie przemysłu włoskiego na potrzeby zbrojeń niemieckich".

Rozdział 22

ODEJŚCIE

Dzięki wzrostowi produkcji zbrojeniowej umacniała się moja pozycja aż do jesieni 1943 roku. Kiedy wyczerpaliśmy już niemal całkowicie rezerwy przemysłowe Niemiec, starałem się wykorzystać przemysł innych krajów europejskich znajdujących się pod naszym wpływem¹. Początkowo Hitler wzbraniał się przed pełnym wykorzystywaniem potencjału przemysłowego Zachodu. Później, zgodnie z jego wolą, okupowane tereny wschodnie miały być nawet pozbawione przemysłu, gdyż — jak sądził — jego rozwój sprzyjał komunizmowi i powstawaniu niepożądanego warstwy inteligencji. Jednak sytuacja na wszystkich zajętych terenach szybciej ulegała zmianie, niż to sobie wyobrażał Hitler. Ale myślał on na tyle praktycznie, że doceniał korzyści, jakie nienaruszony przemysł przynosił sprawie zaopatrzenia jednostek.

Spośród okupowanych krajów przemysłowych najważniejsza była Francja. Aż do wiosny 1943 roku z jej produkcji przemysłowej niewiele skorzystaliśmy. Prowadzona tam przez Sauckla przymusowa rekrutacja siły roboczej przyniosła więcej szkody niż pożytku. Chcąc uniknąć wywiezienia, robotnicy francuscy uciekali z fabryk, których wiele produkowało na potrzeby naszych zbrojeń. W maju 1943 roku po raz pierwszy poskarżyłem się na to Saucklowi; w lipcu zaproponowałem na posiedzeniu w Paryżu, aby zapewnić ochronę przed ingerencją Sauckla przynajmniej tym zakładom we Francji, które pracowały dla nas².

Ja oraz moi współpracownicy zamierzaliśmy wydać rozkaz produkowania na szeroką skalę — zwłaszcza we Francji, aczkolwiek również w Belgii i Holandii — artykułów dla niemieckiej ludności cywilnej, takich jak odzież, obuwie, tekstylia, meble. Chodziło tu o zwolnienie podobnych fabryk w Niemczech dla produkcji zbrojeniowej. Bezpośrednio po przejściu w pierwszych dniach września całej niemieckiej produkcji zaprosiłem do Berlina francuskiego ministra produkcji. Minister Bichelonne, profesor paryskiej Sorbony, cieszył się opinią zdolnego i energicznego człowieka.

Nie bez utarczek z Ministerstwem Spraw Zagranicznych

spowodowałem, że był on traktowany jako gość oficjalny. Musiałem zaangażować do tego Hitlera, któremu wyjaśniłem, że Bichelonne nie będzie przychodził do mnie „kuchennymi schodami”. W rezultacie

został on zakwaterowany w rządowych apartamentach gościnnych w Berlinie.

Na pięć dni przed przybyciem Bichelonne'a poprosiłem Hitlera o danie gwarancji, że idea europejskiego planowania produkcji uzyska jego akceptację i że Francja, obok innych narodów, będzie tam reprezentowana na równych prawach. Zarówno Hitler, jak i ja wychodziliśmy z założenia, że decydujący głos w planowaniu produkcji powinny zachować Niemcy.

17 września 1943 roku przyjąłem Bichelonne'a, z którym wkrótce połączyły mnie bardziej osobiste stosunki. Obaj byliśmy młodzi, obaj sądziliśmy, że przyszłość stoi przed nami otworem, i obaj przyrzekaliśmy sobie, że pewnego dnia unikniemy błędów obecnie rządzącej generacji wojennej. Byłbym również gotów anulować planowane przez Hitlera okrojenie Francji, tym bardziej że — jak uważałem — we wspólnie produkującej Europie nieistotne byłoby, gdzie przebiegają granice państwowe. Pograżaliśmy się z Bichelonne'em w tej utopii, co było charakterystyczne dla urojonego świata, w jakim wówczas tkwiliśmy.

W ostatnim dniu rokowań Bichelonne poprosił mnie o rozmowę w cztery oczy. Zaczął od tego, że szef jego rządu, Laval, ulegając presji Sauckla, zabronił mu omawiania ze mną spraw związanych z wysyłaniem siły roboczej z Francji do Niemiec³. Czy mimo to chciałbym z nim o tym mówić? Zgodziłem się. Bichelonne podzielił się ze mną swoimi troskami, a ja zapytałem go w końcu, czy ochrona francuskich zakładów przemysłowych przed deportacjami stanowiłaby dla niego pomoc. „Jeżeli jest to możliwe, znikną wszystkie moje problemy”, stwierdził z ulgą, „również i te, które wynikają z dopiero co przedyskutowanego porozumienia, ale tym samym zakończy się prawie wysyłka siły roboczej z Francji do Niemiec. Muszę to panu uczciwie powiedzieć”. Uważałem to za zupełnie oczywiste, przecież tylko w ten sposób mogłem z francuskiego przemysłu wyzwolić produkcję dla naszych celów. Dokonałiśmy czegoś niezwykłego. Bichelonne wyszedł poza wskazówki Laval, ja zdezwuowałem Sauckla i obydwaj zawarłiśmy, w zasadzie bez pokrycia, długotrwałe porozumienie⁴.

Następnie udaliśmy się na wspólne posiedzenie, podczas którego prawnicy długo dyskutowali nad ostatnimi kontrowersyjnymi punktami naszego porozumienia. Trwałoby to jeszcze wiele godzin i w jakim celu? Same, dopracowane nawet, paragrafy nie mogły zastąpić dobrej woli współpracy. Dlatego też przerwałem te przykre pertraktacje, proponując, abyśmy obaj uściskiem dłoni uznali nasze porozumienie za zawarte. Prawnicy obydwu stron najwyraźniej się zdziwili. Ja w każdym razie dotrzymałem naszego nieformalnego porozumienia aż do końca, troszcząc się o zachowanie przemysłu Francji nawet wówczas, gdy nie

przedstawiał już dla nas żadnej wartości i gdy Hitler nakazał jego

zniszczenie.

Nasz plan produkcyjny przyniósł korzyści obydwu krajom: ja uzyskałem potencjał produkcyjny dla zbrojeń, Francuzi umieli docenić szansę ponownego rozwinięcia w trakcie wojny swej produkcji pokojowej. We współpracy z dowódcą wojskowym Francji zorganizowano w tym celu w całym kraju zakłady wydzielone, a w rozwieszonych w fabrykach ogłoszeniach przyrzeczone wszystkim zatrudnionym tam robotnikom ochronę przed ingerencją Sauckla, do czego zobowiązywał mnie osobiście umieszczony na ogłoszeniu podpis. Należało również wzmocnić francuski przemysł ciężki, zapewnić transport, wyżywienie w końcu prawie każdy ważny zakład, ogółem w liczbie dziesięciu tysięcy, miał zapewnioną ochronę przed Saucklem.

Ostatnie dni tygodnia Bichelonne spędził wraz ze mną w wiejskiej posiadłości mojego przyjaciela Arna Brekera. Na początku nowego tygodnia zapoznałem współpracowników Sauckla z przyjętymi ustaleniami. Wezwałem ich do skoncentrowania w przyszłości swych wysiłków na tym, aby robotników francuskich kierować do francuskich zakładów. Mieli być oni zaliczani do kontyngentu „przydziału do niemieckiego przemysłu zbrojeniowego”.

W dziesięć dni później udałem się do kwatery głównej, pragnąc uprzedzić Sauckla w złożeniu meldunku Hitlerowi. Doświadczenie bowiem podpowiadało mi, że korzyści osiągał ten, kto pierwszy przedstawiał swoje argumenty. Hitler istotnie okazał się zadowolony, wyraził zgodę na moje porozumienie i uznał nawet za dopuszczalne ryzyko ewentualnych niedoborów w produkcji, wynikłych na skutek zamieszek albo strajków. Tym samym zakończyły się wkrótce niemal zupełnie akcje Sauckla we Francji. Zamiast, jak dotychczas, 50 tysięcy miesięczne wysłano do Niemiec tylko 5 tysięcy robotników⁵. Po kilku miesiącach, 1 marca 1944 roku, Sauckel informował zirytowany: „Moje placówki we Francji oświadczają: »Tutaj wszystko się skończyło! Nie ma żadnego celu kontynuować tego«. Wszystkie prefektury informują, że minister Bichelonne zawarł z ministrem Speerem porozumienie. Laval powiedział mi: »Nie oddam więcej żadnych ludzi do Niemiec!«” Niebawem postąpiłem podobnie z Holandią, Belgią i Włochami.

20 sierpnia 1943 roku Heinrich Himmler otrzymał nominację na ministra spraw wewnętrznych Rzeszy. Dotychczas był on wprawdzie reichsführerem wszechwładnej SS, o której mówiło się: „państwo w państwie”, ale mimo to jako szef policji podlegał ministrowi Rzeszy Frickowi.

Chronieni przez Bormanna gauleiterzy doprowadzali do osłabienia centralnej władzy wykonawczej Rzeszy. Występowały wśród nich dwie kategorie ludzi: starzy, którzy piastowali to stanowisko przed

1933 rokiem; byli oni po prostu niezdolni do posługiwania się aparatem administracyjnym. Obok nich wyrastała ze szkoły Bormanna nowa grupa gauleiterów: młodzi, najczęściej z prawniczym wykształceniem, urzędnicy administracji, którzy potrafili systematycznie umacniać wpływ partii w państwie.

Popierana przez Hitlera dwutorowość systemu władzy polegała na tym, że Bormann jako zwierzchnik gauleiterów posiadał kompetencje funkcjonariusza partyjnego; natomiast minister spraw wewnętrznych był ich bezpośrednim przełożonym, jeśli chodzi o sprawowane przez nich funkcje państwowe — komisarzy obrony Rzeszy. Wobec słabości Fricka takie uregulowanie sprawy nie oznaczało dla Bormanna żadnego niebezpieczeństwa. Obserwatorzy życia politycznego przypuszczali jednak, że wraz z Himmlerem, jako ministrem spraw wewnętrznych, Bormannowi przybył poważny przeciwnik w grze.

Podzielałem i ja to samo zdanie oraz wiązałem nadzieje z Himmlerem. Przed wszystkim oczekiwałem, że wbrew Bormannowi powstrzyma on postępujący rozkład organizacyjny jednolitej administracji Rzeszy. Himmler przyrzekł mi też od razu, że w sprawach administracyjnych nieposłusznych gauleiterów będzie pociągał do odpowiedzialności⁶.

6 października 1943 roku przemawiałem do reichsleiterów i gauleiterów partii. Odzew; z jakim spotkało się moje wystąpienie, sygnalizował zmianę. Chodziło o to, aby politycznemu kierownictwu Rzeszy otworzyć oczy na prawdziwą sytuację, aby pozbawić je nadziei na bliskie użycie dużej rakiety i uświadomić, że obecnie nieprzyjaciel dyktuje, co mamy produkować. Trzeba w końcu zmienić częściowo jeszcze pokojową strukturę gospodarczą Niemiec. Z zatrudnionych w naszym przemyśle spożywczym 6 milionów ludzi 1,5 miliona należy przenieść do przemysłu zbrojeniowego. Artykuły konsumpcyjne mogą być odtąd produkowane we Francji. Przyznawałem, że takie uregulowanie sprawy stwarza Francji korzystną pozycję wyjściową na okres powojenny. Przysłuchującemu się w grobowym milczeniu audytorium powiedziałem: „Jestem jednak zdania, że jeżeli chcemy wygrać wojnę, to w pierwszym rzędzie my sami powinniśmy ponosić ofiary”.

Jeszcze bardziej prowokowałem zgromadzonych gauleiterów, gdy bez upiększeń kontynuowałem: „Proszę przyjąć do wiadomości: nie może mieć nadal miejsca dotychczasowy sposób zamykania zakładów przemysłu spożywczego w poszczególnych okręgach. Dlatego też osobiście będę decydował o zamykaniu zakładów, jeżeli okręgi w ciągu czternastu dni nie spełnią moich warunków. A chcę panów zapewnić, że autorytet Rzeszy pragnę utrzymać, choćby to kosztowało nie wiem ile! Rozmawiałem z reichsführerem SS Himmlerem i będę odtąd odpowiednio traktował te okręgi, które nie zrealizują ustalonych

przedsięwzięć".

Utrzymane w ostrym tonie całe moje wystąpienie nie wzburzyło tak mocno gauleiterów jak te dwa ostatnie zdania. Zaledwie skończyłem, a już kilku z nich, zirytowanych, wystąpiło przeciwko mnie. Inspirowani przez jednego z najstarszych spośród nich, Burkla, głośno wykrzykując i gestykulując zarzucali mi, że grozę im obozem koncentracyjnym. Chcąc przynajmniej te sprawy właściwie wyjaśnić, poprosiłem Bormanna o ponowne udzielenie mi głosu. Odmówił jednak. Z obłudną uprzejmością oświadczył, że jest to zupełnie zbyteczne, gdyż nie występują tu żadne niejasności.

Wieczorem po tym posiedzeniu wielu gauleiterom, na skutek nadużycia przez nich alkoholu, trzeba było udzielać pomocy w przetransportowaniu do pociągu specjalnego, który miał ich zawieźć nocą do kwatery głównej. Następnego ranka prosiłem Hitlera, aby skierował kilka wyważonych słów do swych politycznych współpracowników. Ale, jak zwykle, oszczędzał on uczucia towarzyszy z dawnych lat. Poza tym Bormann poinformował go o moim nieporozumieniu z gauleiterami. Hitler dał mi do zrozumienia — nie wyjaśniając powodów — że wszyscy gauleiterzy są zdenerwowani. Niebawem stało się widoczne, że Bormann zdołał przynajmniej częściowo podważyć mój autorytet w oczach Hitlera. Zawsze próbował to czynić, ale teraz po raz pierwszy nie bez rezultatu. Sam dałem mu broń do ręki. Od tej pory nie mogłem już nadal tak pewnie liczyć na lojalność Hitlera.

Wkrótce okazało się również, czego należy się spodziewać po przyrzeczeniach Himmlera, który zapowiadał konsekwentną realizację zarządzeń władz Rzeszy. Kazałem przesłać mu materiały o wynikłych nieporozumieniach z gauleiterami. Początkowo przez całe tygodnie nie informowano mnie o ustosunkowaniu się do tej sprawy, aż wreszcie sekretarz stanu Himmlera, Stuckart, zakomunikował mi zmieszany, że minister spraw wewnętrznych przesłał te akta wprost do Bormanna i że jego odpowiedź dopiero niedawno nadeszła: wszystkie przypadki miały być zbadane przez gauleiterów; miało się przy tym okazać — nawiasem mówiąc, należało się tego spodziewać — że moje zarządzenia minęły się z celem, a opór gauleiterów był w zasadzie całkowicie uzasadniony. Stanowisko to Himmler zaakceptował. Nadzieje na wzmocnienie autorytetu Rzeszy spełzły na niczym, podobnie jak na koalicję Speer—Himmler. Dopiero po kilku miesiącach dowiedziałem się, dlaczego wszystkie te zamiary musiały nie powieść się: gauleiter Dolnego Śląska, Hanke, powiedział mi, że Himmler rzeczywiście podjął atak na suwerenność kilku gauleiterów. Kazał im przysyłać zarządzenia za pośrednictwem dowódców SS w okręgach, co oznaczało już afront. Nieoczekiwanie

szybko dostrzegł jednak, że gauleiterzy zawsze znajdowali popleczników

w partyjnej centrali Bormanna. Już bowiem po kilku dniach Bormann uzyskał u Hitlera zakaz tego rodzaju ingerencji ze strony Himmlera: w decydujących momentach, mimo pewnych przejawów pogardy w poszczególnych przypadkach, zawsze zwyciężało poczucie wierności, istniejące między Hitlerem a współtowarzyszami z okresu jego wstępu w latach dwudziestych. Nawet Himmler i SS nie byli w stanie podważyć tego sentymentalnego koleżeństwa. Po niepowodzeniu w tej niezręcznie zorganizowanej akcji fuhrer SS zrezygnował ostatecznie z posługiwania się władzą Rzeszy w rozgrywkach z okręgami. Wbrew zamiarom Himmlera na posiedzenia do Berlina nie wzywano „komisarzy obrony Rzeszy”. W przyszłości Himmler zadowolił się podporządkowaniem sobie mniej eksponowanych politycznie nadburmistrzów i kierowników administracji cywilnej. Bormann i Himmler, którzy i tak byli z sobą na „ty”, stali się znów przyjaciółmi. Wygłoszone przeze mnie przemówienie unaocznilo, jakie kto reprezentuje interesy, pozwoliło rozpoznać układ sił oraz osłabiło moją pozycję.

W ciągu kilku miesięcy po raz trzeci na prozo usiłowałem wykorzystać władzę i możliwości reżimu. Starłem się być aktywny w ówczesnej sytuacji. Już w pięć dni po moim przemówieniu Hitler polecił mi zająć się przyszłym planowaniem wszystkich miast dotkniętych nalotami lotniczymi. Tym samym więc otrzymałem pełnomocnictwo w dziedzinie, która moim przeciwnikom, nie wyłączając również Bormanna, była bliższa od wielu problemów wojennych. Częściowo już teraz widzieli oni w tej odbudowie miast swe najważniejsze zadanie na przyszłość. Zarządzenie Hitlera przypominało im, że mieli być ode mnie zależni.

Chciałem zresztą zapobiec w ten sposób niebezpieczeństwu, jakie kryło się za ideologicznym radykalizmem gauleiterów: zniszczenie miast dało im pretekst do burzenia historycznych budowli, nawet tych, które nadawały się jeszcze do restauracji. Gdy na przykład po ciężkim nalocie lotniczym wspólnie z gauleiterem obserwowałem z tarasu jednego z budynków gruzowisko w Essen, uważał on, że należałoby obecnie całkowicie zburzyć katedrę, ponieważ i tak została uszkodzona w czasie bombardowania. Rzekomo stała na przeszkodzie modernizacji miasta. Nadburmistrz Mannheimu zwrócił się do mnie, abym pomógł zapobiec rozbiórce zamku oraz Teatru Narodowego. Doniesiono mi również ze Stuttgartu, że na życzenie miejscowego gauleitera miał tam być wyburzony spalony zamek⁷.

Troskę o zachowanie historycznych zabytków niemieckich miast oraz przygotowanie rozsądnej odbudowy uważałem za rzecz tak ważną, że nawet w szczytowym, przełomowym okresie wojny, w listopadzie i grudniu 1943 roku, skierowałem do wszystkich gauleiterów pismo, którego treść nieznacznie odbiegała od moich planów

przedwojennych: żadnych tendencji artystycznych, lecz oszczędność; maksymalne uwzględnienie problemów komunikacji, co może uchronić miasta przed nadmierną ciasnotą; przemysłowe budownictwo mieszkaniowe, przebudowa dzielnic staromiejskich i domów handlowych w śródmieściach⁸. Nie mówiło się już o monumentalnych budowlach. Odeszła mi już ochota, i zapene również Hitlerowi, z którym omówiłem zasady tej koncepcji planowania.

W początkach listopada wojska radzieckie zbliżyły się do Nikopola, centrum kopalń manganu. Wydarzyło się wtedy coś, co ukazywało Hitlera w nie mniej dziwnym świetle aniżeli Goringa, który polecił swemu generałowi Gallandowi świadomie mówić nieprawdę.

Szef Sztabu Generalnego, Zeitzler, w rozmowie telefonicznej na początku listopada 1943 roku opowiadał mi zdenerwowany o swej gwałtownej wymianie zdań z Hitlerem, który nalegał, aby wszystkie znajdujące się w pobliżu dywizje ściągnąć do obrony Nikopola. Wzburzony Hitler obstawał przy tym, że brak manganu może przesądzić w najbliższym czasie o przegraniu wojny. Po trzech miesiącach Speer będzie musiał przerwać produkcję zbrojeniową, gdyż nie ma żadnych zapasów. Zeitzler prosił mnie o niezwłoczną pomoc; zamiast koncentrować jednostki należało raczej zarządzić odwrót, jeżeli chce się uniknąć nowego Stalingradu.

Natychmiast po tej rozmowie skontaktowałem się z naszymi fachowcami z przemysłu stalowego, Róchlingiem i Rohlandem, w celu wyjaśnienia sytuacji w dziedzinie manganu, który rzeczywiście był jednym z najważniejszych składników w produkcji wyrobów stalowych; ale po telefonie Zeitzlera wyjaśniło się całkowicie, że „tak czy owak” kopalnie manganu na południu ZSRR utracimy. Moje rozmowy przyniosły niespodziewanie pozytywny wynik. W dniu 11 listopada przekazałem dalekopisem Zeitzlerowi i Hitlerowi: „Przy utrzymaniu dotychczasowej produkcji zapasy manganu w Rzeszy wystarczą na jedenaście do dwunastu miesięcy. Zjednoczenie przemysłu stalowego Rzeszy gwarantuje, że mimo utraty Nikopola, dzięki wprowadzeniu innych metod produkcji, zapasy manganu mogą wystarczyć na osiemnaście miesięcy, i to bez szkody dla produkcji innych stopów metali”. Jednocześnie stwierdziłem, że nawet po utracie sąsiedniego Krzywego Rogu, o którego utrzymanie Hitler chciał toczyć dużą bitwę obronną, nasza produkcja stali mogłaby bez zakłóceń rozwijać się nadal.

Gdy po dwóch dniach przybyłem do kwatery głównej, Hitler wrzasnął na mnie nie znanym mi dotychczas, szorstkim tonem: „Jak pan mógł dać szefowi Sztabu Generalnego memoriał o sytuacji w zasobach manganu?” Oczekiwałem raczej, że będzie zadowolony, toteż zmieszany powiedziałem tylko: „Ależ, mein fuhrer, znajdujemy się przecież w dobrej sytuacji”. Nie zgodził się z tym. „Nie wolno panu dawać szefowi

Sztabu Generalnego żadnych memoriałów! Jeżeli pan czegoś potrzebuje, uprzejmie proszę zwracać się do mnie. Spowodował pan kłopotliwą dla mnie sytuację. Poleciałem właśnie skoncentrować do obrony Nikopola wszystkie rozporządzalne siły. Miałem w końcu powód, który zmuszał wojsko do walki. I wtedy przychodzi Zeitzler z pańskim memoriałem. Wyglądałem wówczas jak kłamca. Gdy stracimy Nikopol, pan będzie ponosił za to winę". Potem krzyczał: „Zabraniam panu raz na zawsze wysyłania jakichkolwiek memoriałów innym osobom. Rozumie pan? Zabraniam panu tego!"

Mimo to mój memoriał osiągnął zamierzony cel: wkrótce potem Hitler nie upierał się już przy bitwie o kopalnie manganu, a ponieważ ustał również napór radziecki w tym rejonie, Nikopol padł dopiero 18 lutego 1944 roku.

W drugim memoriale, jaki owego dnia przekazałem Hitlerowi, omówiłem stan naszych zapasów wszystkich metali stopowych. Przy tym, formułując: „nie uwzględniono dowozu z Bałkanów, Turcji, Nikopola, Finlandii i północnej Norwegii", ostrożnie zaznaczyłem, liczyłem się tu z ewentualną utratą tych terenów. Naszą sytuację obrazuje poniższe zestawienie:

że

	Mangan	Nikiel	Chrom	Wolfram	Molibden	Krzem
Zapasy						
krajowe	140 000 t	6000 t	21000t	1330 t	425 t	17900 t
Wydobycie						
w kraju	8100 t	190 t	—	—	15,5 t	4200 t
Zużycie	155001	750 t	3751 t	160 t	69,5 t	7000 t
Pokrycie						
zapotrzebo-						
wania w						
miesiącach	19	10	5,6	10,6	7,8	6,4

W zakończeniu memoriał zawierał uwagę: „Najmniejsze więc są zapasy chromu; jest to dla nas o tyle istotne, że bez niego nie można będzie utrzymać wysoko rozwiniętego przemysłu zbrojeniowego. Jeżeli odpadną Bałkany, a tym samym i Turcja, pokrycie zapotrzebowania na chrom zapewnione jest obecnie na 5,6 miesiąca. Oznacza to, zużytkowaniu produkcji w toku, która przedłużyłaby ten okres jeszcze o dwa miesiące, nie można by nadal wytwarzać najważniejszego sprzętu i uzbrojenia — samolotów, czołgów, pojazdów mechanicznych, pocisków przeciwpancernych, okrętów podwodnych, niemal wszystkich dział. Nastąpiłoby to w okresie jednego do trzech miesięcy po tym terminie, gdyż korzystano by jeszcze z rezerw zawartych w dostawach

że po

bieżących".

Oznaczało to, że równo w dziesięć miesięcy po utracie Bał-

kanów wojna zbliży się ku końcowi. Hitler w milczeniu przysłuchiwał się mojemu referatowi, z którego wynikało, że nie Nikopol, lecz Bałkany przesądzały o zakończeniu wojny. Potem niezadowolony odwrócił się i z moim współpracownikiem Saurem zaczął dyskutować o nowym programie produkcji czołgów.

Do lata 1943 roku Hitler telefonował do mnie na początku każdego miesiąca, polecając podawać sobie najnowsze wskaźniki produkcji, które nanosił na przygotowany wykaz. Przekazywałem liczby w ustalonej kolejności, a on kwitował je najczęściej uwagami: „Bardzo dobrze! To wspaniale! Rzeczywiście sto dziesięć »Tygrysów«? A więc więcej, niż pan przyrzekł... Ile »Tygrysów« zamierza pan wyprodukować w przyszłym miesiącu? Obecnie każdy czołg się liczy...” Rozmowy te kończył niekiedy krótkim omówieniem sytuacji: „Wzięliśmy dziś Charków. Nadal idzie dobrze. A więc dziękuję za telefon. Uszanowanie dla pańskiej małżonki. Czy przebywa jeszcze na Obersalzbergu? A więc jeszcze raz moje uszanowanie”. W odpowiedzi na podziękowanie i wypowiedaną formułę pozdrowienia: „Heil, mein fuhrer”, dodał czasem: „Heil, Speer”. Ten sposób pozdrowienia oznaczał wyróżnienie, które rzadko stosował zwracając się do Goringa, Goebbelsa albo innych zaufanych osób. W tonie, jakim wypowiadał to pozdrowienie, można było wyczuć lekką ironię w porównaniu z oficjalnym: „Heil, mein fuhrer”. W takich momentach czułem się wyróżniony za swoją pracę. Nie zauważyłem przy tym zanikania akcentów tej poufałości. Chociaż dawno już minęła początkowa fascynacja oraz zaufanie w stosunkach osobistych, chociaż nie cieszyłem się już specjalną, wyjątkową pozycją architekta i stałem się jednym z wielu w jego otoczeniu - słowo Hitlera nie straciło nic ze swej magicznej siły. Ścisłej mówiąc, wszelkie intrygi i walki o władzę miały to właśnie słowo na celu albo to, za kim ono padało. Od tego zależała pozycja każdego z nas.

Stopniowo telefony zanikały; trudno tu dokładnie określić czas, w każdym razie od jesieni 1943 roku Hitler łączył się zazwyczaj z Saurem dla uzyskania meldunków miesięcznych. Nie przeciwstawiłem się temu, przyznając Hitlerowi prawo do odbierania mi tego, czym mnie sam obdarzył. Ponieważ również Bormann był wyjątkowo dobrze ustosunkowany tak do Saura, jak i do Dorscha — obaj należeli do starych towarzyszy partyjnych - stopniowo zacząłem się czuć niepewnie we własnym ministerstwie.

Początkowo próbowałem zabezpieczyć swoją pozycję, przydzielając każdemu z moich dziesięciu szefów departamentów jednego zastępcę z przemysłu⁶. Ale właśnie Dorsch i Saur potrafili u siebie przeszkodzić temu. W obliczu mnożących się oznak utworzenia pod kierownictwem Dorscha opozycji w ministerstwie, 21 grudnia 1943 roku mianowałem drogą „zamachu stanu” dwóch starych i zaufanych

ludzi - moich dawnych współpracowników - kierownikami wydziałów personalnego i organizacyjnego oraz podporządkowałem im również samodzielnie dotychczas Organizację Todta.

Nazajutrz uciekłem od ciężkiego brzemienia roku 1943, roku pełnego rozczarowań i intryg, udając się do najbardziej odległego i samotnego zakątka w zasięgu naszej władzy, do północnej Laponii. Tym razem Hitler bez sprzeciwu wyraził na to zgodę, chociaż jeszcze w roku 1941 i 1942 odmawiał mi podróży do Norwegii, Finlandii i ZSRR, gdyż była zbyt niebezpieczna, a ja dla niego niezastąpiony.

O brzasku startowaliśmy moim nowym samolotem, cztero-motorowym „Condorem” produkcji Focke-Wulf. Dzięki specjalnie wmontowanym wielkim zbiornikom posiadał on wyjątkowo duży zasięg¹⁰. W samolocie znajdowali się skrzypek Siegfried Borries i magik amator, który po wojnie stał się sławny pod nazwiskiem Kalanag, zamiast bowiem wygłaszania przemówień, chciałem zrobić przyjemność na święta Bożego Narodzenia żołnierzom i pracownikom Organizacji Todta na północy. Lecąc na niskim pułapie obserwowaliśmy łańcuch jezior w Finlandii. Kiedyś w młodości tęskniłem do nich, marzyłem o przemierzeniu ich w towarzystwie mojej żony składanym kajakiem. Wczesnym popołudniem wylądowaliśmy na ośnieżonym polu, oznakowanym jedynie lampami naftowymi, w pobliżu Rovaniemi.

Już następnego dnia jechaliśmy odkrytym samochodem 600 kilometrów na północ, docierając w końcu do małego portu Morza Arktycznego, Petsamo. Okolica nużyła monotonią, ale zmiana światła z żółtego na czerwone, spowodowana przez wędrujące za horyzontem słońce, grą wszystkich jego odcieni tworzyła niezwykle piękny widok. W Petsamo spędzało ferie świąteczne wielu robotników, żołnierzy i oficerów, do których w najbliższych dniach dołączali dalsi. Następnej nocy spaliliśmy w kwaterze generała dowodzącego na froncie Morza Arktycznego. Stamtąd zamierzaliśmy odwiedzić odległe punkty oporu na Półwyspie Rybackim, naszym najbardziej na północ wysuniętym i niezwykle niegościnnym odcinku frontu, oddalonym zaledwie 80 kilometrów od Murmańska. W przerażającej samotności przez zasłonę nocy i śniegu ukośnie padało blade, zielonkawe światło na bezdrzewną, głuchą okolicę. W towarzystwie generała Hengla posuwaliśmy się na nartach powoli do przodu, zmierzając ku wysuniętym punktom oporu. Na jednym z tych stanowisk żołnierze zademonstrowali mi działanie naszej 150-milimetrowej armaty, kierując pociski na schron nieprzyjaciela. Było to pierwsze ostre „próbne strzelanie”, jakie przeżywałem. Gdy pokazywano mi kiedyś strzelanie ciężkiej baterii na przylądku Griz Nez, dowódca wskazał wprawdzie jako cel położony na przeciwległym brzegu Dover, ale powiedział mi później, że faktycznie kazał strzelać tylko do morza. Tutaj jednak, gdy pocisk trafił w cel, w powietrze wyleciały

belki z radzieckiego schronu. W chwilę po tym upadł bez znaku życia znajdujący się w pobliżu mnie żołnierz; ugodził go w głowę przez szparę w pancerzu ochronnym radziecki strzelec wyborowy. Po raz pierwszy, choć brzmi to dziwnie, przeżyłem wtedy rzeczywistość wojenną. Dotychczas tylko na pokazach na strzelnicy poznawałem nasze działo jako jedną z technicznych konstrukcji użytkowych, teraz zobaczyłem nagle, jak unicestwia ludzi broń, którą do tej pory traktowałem jedynie teoretycznie.

W czasie tej podróży inspekcyjnej żołnierze i oficerowie masowo uskarżali się na słabe zaopatrzenie w lekką broń piechoty. Szczególnie odczuwano brak skutecznego pistoletu maszynowego.

Żołnierze

posługiwali się zdobycznymi egzemplarzami radzieckimi. Zarzut dotyczył Hitlera. Były żołnierz pierwszej wojny światowej ciągle jeszcze przywiązywał zbyt dużą wagę do karabinu. Latem 1942 roku odrzucił proponowane przez nas wprowadzenie już dalece zaawansowanego pistoletu maszynowego i zdecydował, że celom piechoty lepiej służy karabin. Jego doświadczenie z okopów, jak to teraz widziałem, powodowało również, że tak silnie forsował podziwianą wówczas przez siebie broń ciężką i czołgi. W rezultacie zaniedbano produkcję i rozwój broni piechoty.

Natychmiast po powrocie starałem się usunąć to zaniedbanie. Nasz program rozwoju broni piechoty uzupełniono na początku stycznia, uwzględniając szczegółowe wymogi zgłoszone przez sztab wojsk lądowych i dowódcę wojsk zapasowych. Uważając jednak siebie za wyłącznego eksperta od uzbrojenia wojsk lądowych, Hitler wyraził zgodę, ale dopiero po sześciu miesiącach. Odtąd czynił nam zarzuty, jeżeli nasz program nie był terminowo realizowany. W ciągu trzech

kwartałów osiągnęliśmy w tej ważnej dziedzinie istotny, nawet dwudziestokrotny wzrost w porównaniu z dotychczasową, wprawdzie minimalną, produkcją pistoletu maszynowego (karabin szturmowy 44)¹¹. Produkcję taką byliśmy w stanie osiągnąć dwa lata wcześniej; mogliśmy przecież wykorzystać potencjał, który nie był eksploatowany przy produkowaniu broni ciężkiej.

Następnego dnia wizytowałem zakłady produkcji niklu w Kolsjokki, nasze jedyne źródło tego metalu, stanowiące zasadniczy cel mojej podróży. Zastałem tam hałdy nie wywiezionej rudy, a tymczasem środki transportu skoncentrowane były przy budowie betonowej ochrony elektrowni, zabezpieczającej przed nalotami lotniczymi. Zaliczając elektrownię do mniej ważnych obiektów, skierowałem transport do przewozu składowanej rudy. W środku dziewiczego lasu, z dala od jeziora Inari, na polanie wokół gustownie urządzonego ogniska, równocześnie źródła ciepła i oświetlenia, zgromadzili się lapońscy i niemieccy drwale. Siegfried Borries rozpoczął wieczór słynną chaconną z partity d-moll Bacha. Po kilkugodzinnej nocnej wędrówce dotarliśmy na nartach do obozu namiotowego Lapończyków. Jednakże przy trzydziestostopniowym mrozie i polarnym świetle prysł urok przebywania pod namiotem: dał bowiem silny wiatr i wypełniał obie jego połówki dymem. Uciekłem pod gołe niebo i o trzeciej godzinie ułożyłem się do snu w swym śpiworze ze skóry renifera. Rankiem poczułem ostry ból w kolanie.

W kilka dni później znalazłem się znów w kwaterze głównej Hitlera. Z inspiracji Bormanna zwołał on duże posiedzenie, na którym w obecności najważniejszych ministrów miał być ustalony program działalności na rok 1944, a Sauckel zamierzał przedstawić zarzuty skierowane pod moim adresem. Dzień przedtem zaproponowałem Hitlerowi, byśmy pod przewodnictwem Lammersa omówili te różnice, które byliśmy w stanie sami wyjaśnić. Usłyszawszy moje propozycje, Hitler stał się napastliwy i cierpkim tonem powiedział, że wyprasza sobie wywieranie tego rodzaju nacisku na uczestników posiedzenia. Nie zgadzał się, by referować im uprzednio podjęte postanowienia; on sam chciał podejmować decyzje.

Po tej odmowie udałem się wraz ze swoimi rzeczoznawcami do Himmlera, gdzie również, spełniając moje życzenie, znalazł się

feldmarszałek Keitel¹². Chciałem przynajmniej z nimi omówić wspólną taktykę

zmierzającą do przeszkodzenia ponownym deportacjom Sauckla z okupowanych terenów zachodnich. Keitel bowiem, jako przełożony dowódców wojskowych, oraz Himmler, odpowiedzialny za porządek policyjny na zajętych terenach, wyrażali obawy, że w wyniku tego może dojść do wzmożenia działalności partyzanckiej. Jak uzgodniliśmy, obaj mieli oświadczyć na posiedzeniu, że nie dysponują wystarczającymi organami wykonawczymi do zabezpieczenia nowych akcji deportacyjnych Sauckla i że może wskutek tego zostać zagrożony porządek. Spodziewałem się osiągnąć w ten sposób swój cel, dążąc do ostatecznego położenia kresu deportacjom, a także przeforsować większe angażowanie w produkcji rezerw niemieckich, zwłaszcza kobiet.

Prawdopodobnie jednak Bormann przygotował do rozpatrywania tych zagadnień Hitlera, podobnie jak ja Himmlera i Keitla. Już przy powitaniu, demonstrując nieuprzejmość i oziębłość, dał fuhrer poznać wszystkim uczestnikom, że jest w złym nastroju. Ci, co go znali, nie usiłowali w takim wypadku uzyskiwać decyzji, które mogłyby stać się problematyczne. Również ja powinienem był odłożyć swoje najważniejsze sprawy i zreferować tylko mało istotne. Ale nie można już było uniknąć tematu zapowiedzianego na posiedzenie.

Rozdrażniony Hitler przerwał mi: „Zabraniam panu, aby pan, panie Speer, próbował jeszcze raz przesądzać z góry wynik posiedzenia. Ja kieruję konferencją i w końcu ja będę podejmował decyzje! Nie pan! Proszę to sobie zapamiętać!”

Rozgniewanemu i będącemu w złym nastroju Hitlerowi nikt się nie sprzeciwiał. Również moi sojusznicy, Keitel i Himmler, nie myśleli już o przedstawieniu swoich poglądów. Przeciwnie, zapewniali gorliwie, że uczynią wszystko dla poparcia programu Sauckla. Hitler wypytywał obecnych ministrów o ich zapotrzebowanie na robotników w roku 1944, starannie notował każdą odpowiedź, osobiście sumował wynik, wreszcie zwrócił się do Sauckla: „Czy wy, towarzyszu Sauckel, możecie zapewnić w tym roku cztery miliony robotników? Tak albo nie”¹³. Sauckel uderzył się w pierś: „Naturalnie, mein fuhrer.

Przyrzekam to panu. Może pan być spokojny, zrealizuję to, ale muszę mieć znów wolną rękę na zajętych terenach”. Na moje uwagi, że te miliony można w większości zmobilizować w samych Niemczech, Hitler zareagował ostro: „Czy za siłę roboczą odpowiedzialny jest pan, czy też towarzysz partyjny Sauckel?” Tonem wykluczającym jakikolwiek sprzeciw polecił Keitlowi i Himmlerowi, aby zaangażowali podległy im aparat do pomocy w realizacji programu dostarczenia robotników. Keitel zawsze

powtarzał tylko: „Tak jest, mein fuhrer”, Himmler natomiast milczał. Wydawało się, że walka jest przegrana. Chcąc jeszcze coś ratować, zapytałem Sauckla, czy prowadząc rekrutację w krajach zachodnich może równocześnie uwzględnić potrzeby zakładów wydzielonych. Pewny siebie odpowiedział, że nie stwarza to żadnych trudności. Wykorzystując to zamierzałem ustalić priorytety i zobowiązać Sauckla, aby dopiero po zaspokojeniu potrzeb zakładów wydekonych sprowadzał robotników do Niemiec. Również i to przyrzekł skinieniem ręki. Ale natychmiast wtrącił się Hitler: „Czego pan właściwie jeszcze chce, panie Speer? Przecież towarzysz Sauckel zapewnia to panu. Pańskie zastrzeżenie odnośnie do przemysłu francuskiego przestały więc być aktualne!” Dalsza dyskusja mogłaby tylko wzmocnić pozycję Sauckla. Posiedzenie zakończyło się. Hitler był teraz bardziej przystępny, a nawet zamienił ze mną kilka przyjaznych słów. Ale nie doszło do niczego więcej. Ustały już deportacje Sauckla. Niewiele miało to jednak wspólnego z podejmowanymi przeze mnie wysiłkami, zmierzającymi do pokrzyżowania jego planów przy pomocy moich francuskich placówek i władz Wehrmachtu¹⁴. Realizacja wszystkich zamierzeń stała się niemożliwa na skutek utraty autorytetu władzy na okupowanych terenach, które przysporzyły jej wiele trudności, ponieważ następował tam wzrost działalności partyzanckiej oraz wzmogła się niechęć do niemieckiej administracji.

Następstwa posiedzenia w kwaterze głównej dotknęły tylko mnie osobiście. Stosunek Hitlera do mnie uwidaczniał każdemu, że znajduję się w niełasce. W konflikcie pomiędzy Saucklem a mną zwycięzcą stał się Bormann. Od tej pory rozpoczęły się podstępne, a wkrótce coraz bardziej jawne ataki przeciwko moim współpracownikom z przemysłu. Chcąc ich oczyścić z podejrzeń, musiałem coraz częściej interweniować w ich obronie w kancelarii partyjnej, a nawet w służbie bezpieczeństwa.

Moich kłopotów nie mogło oddalić nawet odbywające się we wspaniałej oprawie ostatnie spotkanie dostojników Rzeszy. Była to galowa uroczystość z okazji urodzin Göringa, 12 stycznia 1944 roku, które obchodził w Karinhallu. Jak tego oczekiwał, przyszliśmy wszyscy z kosztownymi prezentami: cygara z Holandii, sztabki złota z Bałkanów, wartościowe obrazy i rzeźby. Mnie Goring dał do zrozumienia, że bardzo chciałby mieć okazale marmurowe popiersie Hitlera dłuta

Brekera. W dużej bibliotece wystawiono stół zarzucony prezentami urodzinowymi. Góring pokazał je swym dostojnym gościom. Tutaj również prezentował plany budowy, opracowane z okazji urodzin przez swego architekta: siedziba Goringa miała być rozbudowana na wzór zamku, co najmniej podwójnie.

We wspaniałej sali jadalnej, przy wykwintnie nakrytym stole, obsługiwanym przez kamerdynerów w białych liberjach, podawano stosownie do ówczesnych warunków niezbyt wyszukane potrawy. Jak co roku, a teraz już po raz ostatni, przy świątecznym posiłku wygłaszał mowę urodzinową Funk. W podniosłym tonie wychwalał zdolności Goringa, jego zalety charakteru i poczucie godności, po czym wznosił toast za jednego z „największych Niemców”. Patetyczne słowa Funka groteskowo kontrastowały z rzeczywistą sytuacją: to upiorne odbywało się przecież w obliczu nadciągającego upadku Rzeszy.

święto

Po uczcie goście rozeszli się do licznych pomieszczeń Karinhallu. Obaj z Milchem zastanawialiśmy się, skąd mogą płynąć pieniądze na ten luksus. Stary przyjaciel Goringa, słynny lotnik z okresu pierwszej wojny światowej, Loerzer, dostarczył niedawno Milchowi wagon z towarami włoskiego czarnego rynku. Jego zawartość: damskie pończochy, mydła i inne unikalne artykuły, mógł on kazać sprzedać na czarnym rynku. Załączony był też wykaz cen, zapewne po to, aby ujednolicić je w obrębie Rzeszy. Obliczono nawet znaczny zysk, jaki miał przypaść Milchowi. On natomiast polecił rozdzielić wspomniane artykuły wśród urzędników swojego ministerstwa. Nieco później dowiedział się, że wiele innych wagonów sprzedawano na rachunek Goringa. Intendent Ministerstwa Lotnictwa Rzeszy, Plagemann, który przeprowadził te transakcje dla Goringa, został wkrótce wyłączony spod kontroli Milcha i podporządkowany bezpośrednio Goringowi.

Miałem też osobiste doświadczenia w związku z urodzinami Goringa. Odkąd jako członkowi Pruskiej Rady Państwa przysługiwało mi rocznie 6 tysięcy marek, każdorazowo otrzymywałem w odpowiednim czasie pismo, powiadamiające mnie, że część moich poborów zatrzymano na prezent urodzinowy Rady Państwa dla Goringa. Nigdy przy tym nie pytano mnie o zgodę. Podobnie postępowano, jak oświadczył Milch po mojej informacji, z funduszem dyspozycyjnym Ministerstwa Lotnictwa. Każdego roku z okazji urodzin Goringa przekazywano z tego funduszu na jego konto dużą sumę, przy czym marszałek Rzeszy osobiście ustalał, jaki obraz miał być za nią kupiony.

Nie ulegało wątpliwości, że tylko niewielka część olbrzymich

wydatków Goringa mogła być z tego pokryta. Nie wiedzieliśmy natomiast, kto z przemysłu maczał w tym palce. Takie źródła z pewnością istniały; mogliśmy się tego z Milchem niekiedy domyślać, gdy telefonicznie interweniował u nas Goring, jeśli któraś z naszych instytucji nieprzychylnie potraktowała jednego z jego faworytów.

Moje niedawne przeżycia oraz spotkania w Laponii stanowiły najbardziej skrajne przeciwieństwo tej cieplarnianej atmosfery skorumpowanego świata iluzji. Niepewność mojego stosunku do Hitlera zapewne niepokoiła mnie bardziej, niż mi się wydawało. Prawie dwuletnie nieustanne napięcie dawało teraz o sobie znać. Mając trzydzieści osiem lat, czułem się fizycznie zmęczony. Ból w kolanie teraz prawie nie ustępował. Nie dysponowałem żadnym zapasem sił. Albo to wszystko było ucieczką?

18 stycznia 1944 roku odwieziono mnie do szpitala.

1 Tak na przykład w kwietniu 1942 r. zamierzano wznowić na Ukrainie wydobywanie węgla, a jednocześnie uruchomić w pobliżu frontu produkcję amunicji. Już w końcu sierpnia 1943 r. program ten został zniweczony przez sukcesy wojskowe Związku Radzieckiego.

Tzw. Protektorat Czech i Moraw znajdował się faktycznie pod panowaniem SS, którego nikt nie ważył się naruszać; produkowano tam najprzeróżniejsze rzeczy dla formacji SS. Latem 1943 r. ministerstwo sporządziło plan, według którego przy pomocy istniejących tam maszyn i robotników wykwalifikowanych zamierzaliśmy dodatkowo produkować 1000 lekkich czołgów miesięcznie. Hitler polecił Himmlerowi, wprawdzie dopiero w październiku 1943 r., przerwaniu produkcji dla SS i przyznanie organizacjom zbrojeniowym takich samych kompetencji, jakie mieliśmy w Niemczech (*Kronika*, 8 października 1943 r.). Ponieważ mogliśmy wykorzystywać ten rejon przemysłowy dopiero od końca 1943 r., produkcja tzw. czeskiego czołgu rozpoczęła się w maju 1944 r. wypuszczeniem 66 sztuk; w listopadzie 1944 r. zbudowano 387 sztuk.

2 *Kronika*, 23 lipca 1943 r.: „Minister zaproponował jako środek zaradczy oznaczanie zakładów będących pod nadzorem. Miano pilnować, by nie dokonywano w nich potrażeń, co stanowiło zachętę dla robotników francuskich”.

3 *Kronika*, 17 września 1943 r.: „Przed nocnym przyjęciem w domu gościnnym rządu Rzeszy odbyła się końcowa narada, po uprzednim ponownym spotkaniu samego ministra z Bichelonne'em. Ten ostatni poprosił o prywatną rozmowę, aby omówić akcję Sauckla. Jego rząd zabronił mu oficjalnego omawiania tych punktów.

Na posiedzeniu kierownictwa Centrali Planowania 1 marca 1944 r. Kehrl złożył następującą relację: „W wyniku tej dyskusji (Bichelonne — Speer) zrodziła się idea utworzenia zakładów wydzielonych, które miały stanowić ochronę przed zamiarami Sauckla. Strona niemiecka dała w tej sprawie obietnicę w formie uroczyste złożonego pędpisu mego ministra”.

4 Sauckel potwierdził to na posiedzeniu kierownictwa Centrali Planowania 1 marca 1944 r.: „Jako Niemcowi jest mi przecież bardzo trudno znajdować się we Francji

w sytuacji, która w oczach Francuzów znaczy: zakłady wydzielone we Francji to nic innego, jak osłona przed ingerencją Sauckla".

5 Por. Dokument Norymberski RF. 22. Jes/c/c 27 c/crwca 1943 r. Sauckel pisał do Hitlera: „Dlatego proszę Pana, mein Fuhrer, o zgodę na moją propozycję, żeby do końca tego roku przetransportować do Rzeszy dalszych 500 tysięcy Francuzów i Francuzek". Według notatki jego współpracownika, dr. Stothfanga, z 28 lipca 1943 r. Hitler zaaprobował ten zamiar.

6 To, w jakim stopniu gauleiterzy jako bezpośredni podwładni Hitlera lekceważyli decyzje instancji Rzeszy, pokazuje pewien groteskowy przykład. W Lipsku mieściła się kierowana przez Ministerstwo Rzeszy centrala całego niemieckiego handlu futrami. Pewnego dnia tamtejszy gauleiter, Mutschmann, zakomunikował kierownikowi tej centrali, że mianował jego następcą jednego ze swych przyjaciół. Minister gospodarki Rzeszy zdecydowanie zaprotestował, ponieważ kierownika centrali Rzeszy mógł wyznaczyć tylko Berlin. Gauleiter kategorycznie zarządził, że urzędnik ma w ciągu kilku dni opuścić swe stanowisko. W istniejących stosunkach władzy minister gospodarki Rzeszy uciekł się do absurdalnego rozwiązania: nocą, przed terminem przekazania funkcji, z Berlina wyjechały ciężarówki, które chyłkiem przeniosły siedzibę centrali futrzarskiej Rzeszy wraz z aktami i kierownikiem do Berlina.

7 Hitler dowiedział się o takich zamiarach zbyt późno; w dodatku udało się potem wiarygodnie wykazać, że groziło bezpośrednio niebezpieczeństwo zawalenia. W osiem miesięcy później, 26 czerwca 1944 r., zaprotestowałem u reichsleiters Bormanna: „W różnych miastach panuje tendencja do wyburzania wartościowych, historycznie i artystycznie, zabytków architektonicznych, które ucierpiały od bomb. Uzasadnia się, że budowle te grożą zawaleniem lub nie nadają się do odbudowy; z drugiej strony sądzi się, iż daje to okazję do przeprowadzenia porządków architektonicznych. Byłbym panu bardzo wdzięczny, gdyby pan w okólniku do gauleiterów zwrócił im uwagę, że historyczne zabytki architektoniczne, nawet jeśli są ruinami, muszą przede wszystkim być zachowane w każdych okolicznościach. Proszę pana ponadto o zakomunikowanie gauleiterom, że do wyburzenia tego rodzaju zabytków kultury można przystąpić dopiero wtedy, gdy plany odbudowy tych miast, a tym samym los owych budowli zostanie ostatecznie rozstrzygnięty przez samego fuhrera".

Jednocześnie postarałem się, mimo ograniczonych środków, o zapewnienie materiałów i ludzi, aby uchronić liczne uszkodzone zabytki architektoniczne przed dalszym niszczeniem. Poprzez Organizację Todta próbowałem robić to samo we Francji i północnych Włoszech.

8 Z mojego przemówienia z 30 listopada 1943 r. na temat zasad planowania: „Centra miast nie powinny być tworzone na nowo przy pomocy jakichś wyszukanych artystycznie pomysłów; w trakcie odbudowy trzeba natomiast przeciwdziałać zduszeniu miast przez tłok komunikacyjny, jaki istniał przed wojną, a po wojnie niewątpliwie wystąpi jeszcze intensywniej... Jasne jest, że należy planować jak najoszczędniej".

W okólniku z 18 grudnia 1943 r. do gauleiterów kontynuowałem „Demobilizacja wymaga podjęcia wielkich przedsięwzięć w celu zatrudnienia wielu ludzi, którzy staną się wówczas wolni... Dokonane we właściwym czasie ustalenia architektoniczne zapobiegają po wojnie stracie cennego czasu na planowanie lub podejmowanie przedsięwzięć, które na dłuższą metę są sprzeczne z właściwym rozwojem architektonicznym naszych miast... Liczba budowanych rocznie potrzebnych mieszkań będzie wyjątkowo duża, jeśli będą one

budowane metodą przemysłową oraz tak samo konsekwentnie i nowoczesnie, jak prowadzi się dzisiaj produkcję zbrojeniową. Tak więc konieczne jest, aby przewidująco uwzględnić w planach nie za małe powierzchnie... W przypadku niedostatecznego przygotowania podejmowano by po wojnie pochopne przedsięwzięcia, które w przyszłości byłyby całkowicie niezrozumiałe".

9 Por. *Kronika*, 13 października 1943 r.: „Zdecydowanie najbardziej niepokojącym punktem był dla szefów departamentów plan ministra, aby każdemu z nich przydzielić jednego lub kilku zastępców z przemysłu... Ponieważ w reorganizacji tej chodziło nie o kwestie merytoryczne, lecz o umiejętności osobiste, zapanowało poruszenie".

10 Obok Donitza, który otrzymał taką samą maszynę, byłem jedyną osobą, mogącą regularnie podróżować samolotem; pozostali ministrowie nie posiadali specjalnych samolotów. Sam Hitler latał już rzadko, podczas gdy Goring jako stary lotnik czuł pewną obawę przed korzystaniem z „maszyn nowej mody".

1' Protokół fuhrera z 28/29 czerwca 1942 r., pkt 55: „Fuhrer oświadcza bardzo zdecydowanie, że nigdy nie zgodzi się na produkcję karabinu maszynowego, jeśli nie będzie się do niego nadawała amunicja od karabinu ręcznego, poza tym jest mocno przekonany, że karabin ręczny... lepiej spełnia swój cel".

14 stycznia 1944 r., w dwa tygodnie po podróży do Laponii, został zatwierdzony program wzmocnienia piechoty. Przyniósł on następujący wzrost przeciętnej produkcji miesięcznej:

przeciętnej produkcji miesięcznej:	1941 r.	1943 r.	Listopad 1944 r.
Karabiny	133000	209000	307000
w tym:			
karabiny szturmowe 44 (pistolety maszynowe)	-	2600	55100
nowy karabin 41 i 43	-	7900	32500
karabiny maszynowe 42 i 43	7100	14100	28700
Amunicja karabinowa ogółem	76000000	203000000	486000000
w tym do karabinów szturmowych 44	-	1900000	104000000
Granaty karabinowe	-	1850000	2987000
Miny	79000	1560000	3820000
Granaty ręczne	1210000	4920000	3050000
Reaktywne granaty ppanc	-	29000	1084000

12 *Kronika*, 4 stycznia 1944 r.: „Minister ma nadzieję, że przy poparciu Himmlera i Keitla zdoła zapobiec niebezpiecznemu wznowieniu akcji Sauckla, i udaje się dreżyną na naradę u reichsfuhrera SS z udziałem Waegera (szef urzędu uzbrojenia), Schmeltera (wydział wykorzystania siły roboczej), Jehlego i Kehrla (szef urzędu planowania); tematem narady jest sprawowanie władzy wykonawczej nad deportacjami robotników z Francji do Niemiec".

13 Pismo Lammersa z 4 stycznia 1944 r. (dokument 225 przedstawiony przez USA): „Minister Rzeszy Speer oświadczył, że potrzebuje dodatkowo 1,3 miliona ludzi do pracy; co prawda zależy to od tego, czy możliwe będzie zwiększenie wydobycia rudy żelaza. Jeśli to się nie uda, nie będzie potrzebował dodatkowej siły roboczej. Sauckel

stwierdził, że w 1944 r. musi zdobyć co najmniej 2,5 miliona, a według przewidywań 3 miliony nowych ludzi do pracy, w przeciwnym razie nastąpiłby spadek produkcji...
Decyzja Hitlera: generalny pełnomocnik do spraw wykorzystania siły roboczej ma zapewnić co najmniej 4 miliony nowych ludzi z okupowanych terenów".

14 Dalekopis z 4 stycznia 1944 r. do mojego pełnomocnika w Paryżu
(Dokument Norymberski 04 Spe) oraz pismo do Sauckla z 6 stycznia 1944 r. (05 Spe).

Wyrok Międzynarodowego Trybunału Wojskowego w Norymberdze głosił:
„Zatrudnionym w tych (wydzielonych) zakładach nie groziło wysłanie do Niemiec, a każdy robotnik, który otrzymał rozkaz wyjazdu do Niemiec, mógł uniknąć deportacji, jeśli podejmował pracę w zakładzie wydzielonym... (Za okoliczność łagodzącą) należy uznać to, że koncepcja Speera tworzenia zakładów wydzielonych spowodowała pozostanie wielu robotników w domu..."

CZEŚĆ

TRZECIA

Rozdział 23

CHOROBA

Profesor Gebhardt¹, gruppenfuhrer SS, znany w europejskim świecie sportowym jako specjalista od chorób kolana, był ordynatorem szpitala Czerwonego Krzyża w Hohenlychen, położonego nad jeziorem w środku lasu, w odległości około 100 kilometrów na północ od Berlina. Nie wiedząc o tym, oddałem się w ręce lekarza, który był jednym z niewielu serdecznych przyjaciół Heinricha Himmlera. Przez z górą dwa miesiące żyłem w odległej miejscowości, w prymitywnie urządzonej sali szpitalnej. W innych pomieszczeniach budynku rozlokowano moje sekretarki, nawiązano też bezpośrednie połączenie telefoniczne z ministerstwem, gdyż chciałem nadal pracować.

Choroba ministra Trzeciej Rzeszy dawała dużo do myślenia. Zbyt często Hitler motywował pozbawienie stanowiska jakiegoś dostojnika złym stanem jego zdrowia. Dlatego też w kołach politycznych rosło zainteresowanie, kiedy ktoś z bliskich współpracowników Hitlera „zachorował”. Ponieważ ja rzeczywiście byłem chory, uważałem za wskazane w miarę możliwości nadal przejawiać aktywność. Poza tym nie mogłem wypuścić z ręki podległego mi aparatu; podobnie jak Hitler, nie posiadałem odpowiedniego zastępcy. Mimo wszelkich wysiłków mojego otoczenia, zmierzających do zapewnienia mi spokoju, często do północy trwały prowadzone przy moim łóżku konferencje, rozmowy telefoniczne, wydawanie poleceń.

I tak ledwie przybyłem do szpitala, zadzwonił do mnie oburzony Bohr, dopiero co mianowany mój szef kadr. W jego pokoju znajdowała się zamknięta szafa z aktami. Dorsch kazał natychmiast przetransportować ją do centrali Organizacji Todta. Poleciałem, pozostała nadal na tym samym miejscu. Po kilku dniach zjawili się w towarzystwie tragarzy mebli przedstawiciele partyjnego kierownictwa

żeby

okręgu berlińskiego. Jak mnie poinformował Bohr, otrzymali oni polecenie zabrania szafy, gdyż cała jej zawartość miała stanowić własność partii. Bohr nie mógł sobie już z tym poradzić. Dopiero rozmowa telefoniczna z jednym z najbliższych współpracowników Goebbelsa, Naumannem, spowodowała odłożenie tej akcji. Urzędnicy partyjni zaplombowali wprawdzie szafę, ale tylko jej drzwi. Kazałem więc rozmontować tylną ścianę. Następnego dnia zjawił się Bohr z pakietem fotokopii akt: zawierały one informacje o wielu moich starych współpracownikach, niemal wyłącznie oceny negatywne. Najczęściej obwiniano ich o wrogą wobec partii postawę, niekiedy nawet żądano zastosowania nadzoru gestapo. Jednocześnie wyczytałem tam, że partia zatrudniała w ministerstwie swego męża zaufania — Xaverego Dorscha. Sam fakt zaskoczył mnie w mniejszym stopniu niż osoba.

Już od jesieni starałem się awansować jednego ze swoich urzędników. Nie był on jednak wygodny klice, która utworzyła się niedawno w ministerstwie, toteż mój pierwszy szef kadr zawsze znajdował jakieś wykręty, aż wreszcie zmusiłem go do przedstawienia wniosku awansowego. Na krótko przed swoją chorobą otrzymałem od Bormanna odmowę, utrzymaną w nieprzyjaznym, szorstkim tonie. Teraz właśnie w tajnych aktach wspomnianej szafy znaleźliśmy projekt tego pisma, inspirowany i sporządzony, jak to stwierdzono, przez Dorscha, a także przez mojego szefa kadr, Haasemanna; Bormann dosłownie przyjął ten projekt i przesłał do mnie pismo o identycznej treści². Ze szpitala zadzwoniłem do Goebbelsa. Jako gauleiterowi Berlina podlegali mu pełnomocnicy partyjni ministerstw. Wyraził on niezwłocznie zgodę, aby mój stary współpracownik Frank objął to stanowisko: „Niemożliwa jest sytuacja, gdy popiera się drugi ośrodek dyspozycyjny. Każdy minister jest dzisiaj towarzyszem partyjnym. Albo mamy do niego zaufanie, albo musi odejść!” Nie dowiedziałem się jednak, jakich mężów zaufania w moim ministerstwie utrzymywało gestapo.

Sporo kłopotów przysparzały mi wysiłki podejmowane w celu utrzymania własnej pozycji podczas choroby. Musiałem prosić Klopfera, sekretarza stanu Bormanna, o przypomnienie organom partyjnym zakresu ich kompetencji. Zabiegałem przede wszystkim o to, aby nie stwarzano żadnych trudności przemysłowcom. Zaraz na początku mojej choroby doradcy ekonomiczni partii w okręgach przejęli funkcje, które stanowiły sedno mojej działalności. Punkowi i oddanemu do jego dyspozycji przez Himmlera Ohlendorfowi poleciłem, żeby w stosunku do przemysłu zajmowali bardziej przychylne stanowisko oraz wspierali

mnie w utarczkach z doradcami ekonomicznymi Bormanna w okręgach. Moją nieobecność wykorzystał już także Sauckel, aby „w imieniu Rzeszy zwrócić się do ludzi przemysłu zbrojeniowego z apelem wzywającym ich do ostatniego wysiłku”. W obliczu tych prób, podejmowanych przez moich przeciwników i zmierzających do wykorzystania mojego pobytu w szpitalu, skierowałem do Hitlera pismo, w którym informowałem go o swoich kłopotach i prosiłem o pomoc. W ciągu czterech dni napisałem aż dwadzieścia trzy strony maszynopisu, co było zapewne oznaką nerwowości, jaka mnie wówczas opanowała. Uskarżałem się na zarządzenie Sauckla, na doradców ekonomicznych Bormanna w okręgach oraz prosiłem o potwierdzenie moich kompetencji i jednoznacznych uprawnień do wydawania wytycznych we wszystkich sprawach mojego resortu. W istocie moje wymagania ściśle pokrywały się z tym, czego bez rezultatu żądałem, ku oburzeniu gauleiterów, w drastycznych słowach na naradzie w Poznaniu. Pisałem dalej, że planowe kierowanie całokształtem produkcji będzie możliwe tylko wtedy, gdy „liczne ośrodki dyspozycyjne, które przekazują kierownictwom zakładów instrukcje, regulaminy, zalecenia i rady, skoncentruje się u mnie”.

Po czterech dniach zwróciłem się znów do Hitlera: poinformowałem go zupełnie szczerze, co właściwie nie odpowiadało już naszym wzajemnym stosunkom, o kamaryli w ministerstwie, która poza moimi plecami sabotuje wydawane przeze mnie zarządzenia. Byłem oszukiwany. Pewne niewielkie grono byłych współpracowników Todta, na czele z Dorschem, przestało być wobec mnie lojalne. Dlatego też czułem się zmuszony zastąpić Dorscha człowiekiem cieszącym się moim zaufaniem.

Niewątpliwie ostatni list, w którym poinformowałem Hitlera o zdjęciu ze stanowiska jednego z jego pupilów bez pytania go przedtem o zgodę, był najbardziej nierozsądny, gdyż naruszałem w ten sposób reguły reżimu, nakazujące inspirowanie Hitlera w sprawach personalnych we właściwym czasie i w zręcznej formie. Zamiast tego, bez ogródek powiadomiłem go o naruszeniu lojalności oraz wątpliwych cechach charakteru mego współpracownika. Było to głupie albo wyzywające, że odpis swojej skargi kazałem jednocześnie posłać Bor-mannowi. Zaprzeczałem tym samym wszelkim doświadczeniom zręcznego taktyka w intryganckim otoczeniu Hitlera. Takie postępowanie było prawdopodobnie spowodowane faktem, że znajdując się w izolacji stawałem się coraz bardziej krnąbrny.

Choroba za bardzo oddaliła mnie od Hitlera i od jego wszechdecydującego ośrodka władzy. Na wszystkie moje propozycje, żądania i skargi nie reagował ani negatywnie, ani pozytywnie — mówiłem w próżnię, nie udzielał mi żadnej odpowiedzi. Nie liczyłem się już jako jego ulubiony minister i jako jeden z jego ewentualnych następców — kilka podszeptów Bormanna albo kilka tygodni choroby wyeliminowało mnie. Odgrywał tu również pewną rolę, co było charakterystyczne dla postępowania Hitlera, sposób spisywania po prostu na straty każdego, kto na dłuższy okres zniknął z pola jego widzenia. Jeśli ktoś po pewnym czasie znów pojawiał się w jego otoczeniu, sytuacja mogła się odwrócić. W okresie swojej choroby kilkakrotnie przekonałem się o tym, co mnie rozczarowywało i oddalało od Hitlera. W tych dniach, w związku z moją nową sytuacją, nie byłem ani oburzony, ani zrozpaczony. Osłabiony chorobą, odczuwałem jedynie zmęczenie i rezygnację.

Drogą okrężną dowiedziałem się w końcu, że Hitler nie zechce zrezygnować z Dorscha, swego towarzysza partyjnego z lat dwudziestych. Z tych to właśnie względów niemal demonstracyjnie wyróżniał go w tych tygodniach pełnymi zaufania rozmowami, a tym samym umacniał jego pozycję w stosunku do mnie. Göring, Bormann i Himmler wyczuli zmianę sytuacji i wykorzystywali to w końcu do podważenia mojego autorytetu jako ministra. Zapewne każdy samodzielnie, każdy z innych pobudek i prawdopodobnie bez porozumienia z drugim. Nie mogłem już liczyć na odwołanie Dorscha.

Dwadzieścia dni leżałem na plecach z unieruchomioną w gipsie nogą i miałem wiele czasu na zajęcie się swoimi urazami i rozczarowaniami. Gdy po raz pierwszy wstałem z łóżka, poczułem po kilku godzinach silny ból w krzyżu i klatce piersiowej, a plucie krwią wskazywało na embolię płucną. Profesor Gebhardt postawił jednak diagnozę, że jest to gościec mięśniowy, i masował mi klatkę piersiową jadem pszczelim, a ponadto polecił zażywać sulfamidy, chininę i znieczulające. Po dwóch dniach przeszedłem drugi gwałtowny atak. Mój stan budził niepokój, ale Gebhardt nadal rozpoznawał gościec mięśniowy. Teraz moja żona zaalarmowała doktora Brandta, który jeszcze tej samej nocy wysłał do Hohenlychen internistę z uniwersytetu berlińskiego i współpracownika Sauerbrucha, profesora Friedricha i Kocha. Brandt, osobisty lekarz Hitlera oraz „pełnomocnik do spraw

środki

sanitarnych i zdrowotnych", uczynił Kocho całkowicie odpowiedzialnym za moje leczenie i zabronił jednocześnie profesorowi Gebhardtowi sprawowania nade mną jakiegokolwiek opieki lekarskiej. W myśl zaleceń doktora Brandta profesor Koch otrzymał pokój w moim bezpośrednim sąsiedztwie i był zobowiązany nie opuszczać mnie ani w dzień, ani w nocy³.

Przez trzy dni, jak to określił Koch w swoim raporcie, stan mój był „wyjątkowo groźny”. Duże trudności w oddychaniu, znaczne przyśpieszenie pulsu, wysoka temperatura, bóle, męczący kaszel i plucie krwią. Objawy wskazywały na zaburzenia w krążeniu. Lekarze przygotowywali moją żonę, że trzeba się liczyć z najgorszym. Tymczasem moja choroba wprowadziła mnie w dziwny stan: małe pomieszczenie wydawało mi się wspaniałą salą, niepozorna drewniana szafka, która trzy tygodnie tkwiła mi przed oczyma, stała się bogato rzeźbionym, luksusowym meblem, czułem się radośnie i dobrze, jak rzadko kiedy.

Gdy przyszedłem trochę do siebie, mój przyjaciel Robert Frank powiedział mi o nocnej, poufnej rozmowie, jaką odbył z internistą, profesorem Kochem. To, co opowiadał, brzmiało dość dramatycznie. Kiedy stan mojego zdrowia był niepokojący, Gebhardt żądał od Kocho przeprowadzenia małego zabiegu, który, zdaniem internisty, miał zagrażać mojemu życiu. Profesor Koch początkowo nie chciał uznać tego za konieczne, w końcu wzbraniał się przed wykonaniem zabiegu, i Gebhardt ustąpił: rzekomo miał go tylko wystawić na próbę.

Frank błagał mnie, żebym nikogo o tym nie informował, gdyż profesorowi Kochowi groziłoby skierowanie do obozu koncentracyjnego, a on sam miałby z całą pewnością przeprawę z gestapo. Musiałem milczeć, nawet z Hitlerem nie mogłem podzielić się tą tajemnicą. Można było przewidzieć jego reakcję: w przystępie gniewu uznałby to wszystko po prostu za niemożliwe, nacisnąłby guzik dzwonka, wezwał Bormanna i kazał aresztować oszczercę Himmlera.

Wtedy nie pojmowałem tej sprawy tak, jak to dzisiaj jestem w stanie uczynić. Również w kołach partyjnych Himmler uchodził za człowieka bezwzględniego, konsekwentnego, nikt nie śmiał poważnie się z nim poróżnić. Ponadto istniejące okoliczności były nader korzystne: nie przetrwałbym nawet najmniejszej komplikacji, a więc nie zrodziłoby się żadne podejrzenie. Wypadek ten miał w sobie coś z walk diadochów. Wszystko to wskazywało, że moja pozycja była jeszcze mocna, choć już bardzo osłabiona, tak że po tym niepowodzeniu rozpoczęłyby się dalsze intrygi.

Dopiero w Spandau opowiadał mi Funk szczegóły wydarzenia, o którym w 1944 roku odważył się tylko aluzyjnie wspomnieć. Jesienią 1943 roku w sztabie armii SS Seppa Dietricha odbywała się pijatyka, w której oprócz Gebhardta uczestniczył także długoletni adiutant i przyjaciel Funka, Horst Walter, wówczas adiutant Dietricha. W tym kręgu przywódców SS Gebhardt miał mówić, iż zdaniem Himmlera Speer stanowił niebezpieczeństwo; powinien zniknąć.

Starałem się usilnie o przeniesienie ze szpitala, w którym mi było bardzo źle, chociaż przemawiał przeciwko temu stan mego zdrowia. 19 lutego podjąłem pochopnie kroki zmierzające do znalezienia nowego miejsca pobytu. Gebhardt oponował, wysuwając przede wszystkim argumenty lekarskie; gdy na początku marca wstałem z łóżka, nawet wtedy nie chciał się zgodzić na moje przeniesienie. Dopiero w dziesięć dni potem, kiedy w wyniku ciężkiego nalotu 8 amerykańskiej floty powietrznej został trafiony sąsiedni szpital, Gebhardt uznał, że to ja byłem celem nalotu. Zmienił więc w ciągu nocy zdanie na temat możliwości przetransportowania mnie. Wreszcie 17 marca mogłem opuścić to uciążliwe dla mnie miejsce.

Na krótko przed zakończeniem wojny zapytałem Kocha, co się wtedy właściwie przydarzyło. Ale i wówczas powiedział mi tylko tyle, że z mojego powodu ostro pokłócił się z Gebhardtem, w wyniku czego ten dał mu do zrozumienia, iż jest nie tylko lekarzem, lecz także „lekarzem politycznym”. Poza tym Gebhardt miał się wtedy starać o zatrzymanie mnie jak najdłużej w swojej klinice⁴.

23 lutego 1944 roku odwiedził mnie w szpitalu Milch. 8 i 15 amerykańska flota powietrzna skoncentrowały swe naloty na niemieckim przemyśle lotniczym. Z tych właśnie powodów, jak twierdził, nasza produkcja samolotów w następnym miesiącu może osiągnąć tylko jedną trzecią stanu poprzedniego miesiąca. Milch przyniósł ze sobą opracowaną na piśmie propozycję: w celu podjęcia wspólnych wysiłków obu ministrów dla przezwyciężenia trudności w dziedzinie uzbrojenia lotniczego należy powołać do życia „sztab myślicieli” na wzór tzw. sztabu Ruhry, który skutecznie usuwa na terenie Zagłębia szkody spowodowane przez naloty lotnicze. Być może w tej sytuacji rozsądniej byłoby dać wymijającą odpowiedź, ale chciałem przynajmniej podjąć jakąś próbę przyjscia z pomocą znajdującemu się w trudnej sytuacji lotnictwu, więc zgodziłem się. Obaj z Milchem zdawaliśmy so-

bie sprawę, że sztab myśliwców byłby pierwszym krokiem fuzji uzbrojenia również ostatniego rodzaju wojsk Wehrmachtu z moim ministerstwem.

Leżąc w łóżku zatelefonowałem najpierw do Góringa, ale odrzucił naszą propozycję wspólnej działalności. Nie mogłem uznać zarzutu Goringa, że wkraczam w jego kompetencje. Zadzwoiłem więc do Hitlera, któremu sam pomysł podobał się, ale gdy mu oznajmiłem, że na szefa sztabu myśliwców przewidzieliśmy gauleitera Hankego, stracił już zainteresowanie i sprzeciwił się. „Zrobiłem duży błąd, powierzając Saucklowi kierownictwo nad werbowaniem siły roboczej”, odpowiedział po drugiej stronie telefonu Hitler. „Gauleiter może wydać jedynie nieodwołalne decyzje, a tutaj musi on stale pertraktować i iść na kompromisy. Już nigdy nie powierzę gauleiterowi takiego zadania”. Hitler wpadał coraz bardziej w złość. „Eksperyment z Saucklem wpłynął na obniżenie autorytetu wszystkich gauleiterów. Saur przejmie to zadanie!” Po czym zdecydowanie uciął rozmowę, po raz drugi w krótkim czasie ingerując w moją politykę personalną. W trakcie tej rozmowy telefonicznej głos Hitlera brzmiał chłodno i nieprzyjaźnie. Być może w zły humor wprawilo go coś innego. Przyjąłem rozkaz bez zastrzeżeń, gdyż również Milch faworyzował Saura, którego ranga jeszcze bardziej wzrosła w czasie mojej choroby.

Na podstawie doświadczeń wielu lat wiedziałem, co zwykł polecać Hitler, gdy jego adiutant Schaub przypominał mu o urodzinach albo o chorobie kogoś z jego licznych znajomych. Lapidarne: „kwiaty i pismo”, oznaczało polecenie przygotowania tekstu w formie listu oraz przedłożenia mu do podpisu. Wybór kwiatów pozostawiał adiutantowi. Za wyróżnienie uchodziło przy tym własnoręczne dopisanie paru słów. W przypadku osób szczególnie mu bliskich kazał Schaubowi przynosić papier oraz pióro i sam pisał kilka zdań. Należałem niegdyś, obok artystów filmowych i śpiewaków, do tych najbardziej wyróżnianych. Kiedy więc wkrótce po przewyciężeniu grożącego mojemu życiu kryzysu nadeszła wiązanka kwiatów z obojętnym tekstem napisanym na maszynie, uświadomiłem sobie, że chociaż swego czasu byłem jednym z najważniejszych członków rządu, teraz znalazłem się na najniższym szczeblu tej dostojnej hierarchii. Będąc chory, reagowałem z pewnością w sposób bardziej wyczulony, niż to było potrzebne. Hitler bowiem zadzwonił do mnie dwa czy trzy razy, zapytując o samopoczucie, przy czym winą za chorobę obarczał mnie samego: „Dlaczego musiał pan tam właśnie jeździć na nartach! Zawsze mówiłem, że jest to nierozsądne.

Z tymi długimi deskami na nogach! Niech pan je spali jak najszybciej!" — dodawał każdorazowo, niezręcznie próbując zakończyć rozmowę żartem.

Internista profesor Koch nie chciał mi zalecić powietrza górskiego na Obersalzbergu. W parku otaczającym zamek w Klessheim, będący domem gościnnym Hitlera w pobliżu Salzburga, architekt okresu baroku Fischer von Erlach zbudował na zamówienie arcybiskupów uroczy pawilon w kształcie listka koniczyny. 18 marca przekazano odrestaurowany budynek do mojej dyspozycji, ponieważ do głównego zamku przybył w tych dniach na rokowania węgierski regent Horthy. Już po dwudziestu czterech godzinach doprowadziły one do ostatniego zajęcia przez Hitlera obcego kraju, Węgier. Zaraz wieczorem po moim przybyciu, w trakcie przerwy w rokowaniach, odwiedził mnie Hitler.

Ujrzawszy go znów po dziesięcioletniej przerwie, zwróciłem uwagę, pierwszy raz w ciągu wszystkich lat naszej znajomości, na jego wyjątkowo gruby nos i bladą cerę, jak też odrażającą twarz — był to symptom, że zaczynałem patrzeć na Hitlera z dystansu i traktować go obojętnie. Już prawie trzy miesiące nie znajdowałem się pod jego osobistym wpływem, byłem jedynie wystawiony na jego zniewagi i poniżanie. Po latach odurzenia po raz pierwszy zastanawiałem się nad swoją drogą u jego boku. O ile dawniej kilkoma słowami czy jednym gestem mógł on usunąć przejawy załamania i wyzwolić we mnie niespożyta energię, o tyle teraz czułem się, nawet w trakcie tego ponownego spotkania i mimo serdeczności Hitlera, ciągle zmęczony i wyczerpany. Tęskniłem jedynie, aby wraz z żoną i dziećmi pojechać jak najszybciej do Merano, spędzić tam parę tygodni i znów nabrać sił, właściwie nie bardzo wiedząc, po co; nie miałem bowiem już żadnego celu.

Jednak odżyła we mnie ponownie wola działania, gdy w ciągu pięciu dni pobytu w Klessheim doszedłem do przekonania, że przy pomocy kłamstwa i intryg próbowano mnie teraz ostatecznie wyeliminować. Następnego dnia Goring składał mi telefonicznie życzenia urodzinowe. Przy okazji poinformowałem go z lekką przesadą o dobrym stanie swego zdrowia, na co on, nie z żalem, ale raczej z zadowoleniem, powiedział: „Ależ, proszę pana, nie odpowiada to prawdzie, co pan mówi! Profesor Gebhardt oznajmił mi wczoraj, że jest pan ciężko chory na serce. Bez widoków na polepszenie, słyszy pan? Może jeszcze

nie wie pan o tym!" Na zakończenie, wyrażając się pochlebnie o moich dotychczasowych sukcesach, dał mi do zrozumienia, że odejdę ze stanowiska. Odpowiedziałem, że badania rentgenologiczne i elektrokardiograficzne nie potwierdzają choroby⁵. Goring zauważył, że widocznie mylnie mnie poinformowano, i wprost wzbraniał się przed przyjęciem do wiadomości mojego oświadczenia. Ale były to właściwie słowa Gebhardta, który przekazał Goringowi fałszywą informację.

Również Hitler, wyraźnie zatroskany, powiedział do swego otoczenia, w obecności mojej żony: „Nie będzie już więcej Speera!" On także rozmawiał z Gebhardtem, który nazwał mnie wrakiem niezdolnym do pracy.

Może Hitler myślał o naszych wspólnych marzeniach architektonicznych, w których realizacji przeszkadzała mi obecnie nieuleczalna choroba serca, a może o przedwczesnej śmierci swego pierwszego architekta, profesora Troosta — w każdym razie tego dnia pojawił się znów w Klessheim, sprawiając mi niespodziankę olbrzymim kosztem kwiatów, niesionym przez kamerdynera, co było z jego strony gestem niecodziennym. Ale w kilka godzin po jego odejściu kazał zaanonsować się Himmler i oświadczył mi oficjalnie, że Hitler upoważnił Gebhardta jako gruppenfuhrera SS do przyjęcia odpowiedzialności za moje bezpieczeństwo, a jako lekarza — za moje zdrowie. W ten sposób odsunięto mojego internistę, Gebhardtowi zaś przydzielono do mojej ochrony pododdział SS, znajdujący się pod jego dowództwem.

23 marca Hitler zjawił się jeszcze raz, tym razem z wizytą pożegnalną, jak gdyby wyczuwał obcość, która zrodziła się we mnie w trakcie choroby. Mimo wielokrotnie okazywanych dowodów dawnej serdeczności, w istocie mój stosunek do Hitlera zmienił się o wyczuwalne niuansy. Dotknął mnie mocno fakt, że prawdopodobnie dopiero gdy ujrzał mnie ponownie, przypomniał sobie, iż byłem mu bliski: natomiast moje osiągnięcia jako architekta i ministra nie były w jego oczach na tyle ważne, aby pokonać kilkutygodniowe rozstanie. Rozumiałem, rzecz jasna, że tak przeciążony człowiek jak Hitler, na którym spoczywa największa odpowiedzialność, miał prawo zaniedbywać swych współpracowników przebywających z dala od niego. Ale całe jego postępowanie w ostatnich tygodniach uświadomiło mi dobitnie, jak niewiele liczyłem się w kręgu jego zwolenników, jak nieczęsto również on sam potrafił kierować się w podejmowaniu decyzji rozsądkiem i rzeczowością. Może dlatego, że wyczuł pewną oziębłość z mojej strony, a może też, na moje pocieszenie, sądził zrezygnowany, że i jego zdrowie jest poważnie zagrożone. Wyraźne oznaki wskazywały, że wkrótce może

nawet stracić wzrok. W milczeniu przyjął do wiadomości moją uwagę, że profesor Brandt niebawem poinformuje go o dobrym stanie mojego serca.

Na wysokości Merano znajdował się zamek Goyen. Tutaj spędziłem sześć najpiękniejszych tygodni swego ministerialnego jedynych wspólnie z rodziną. Gebhardt zamieszkał z dala, w dolinie, i w niewielkim tylko zakresie korzystał ze swych uprawnień do decydowania o moim trybie życia.

żywota,

W okresie mojego pobytu w Merano Goring, nie pytając ani nawet nie informując mnie, zabierał ze sobą na konferencje do Hitlera obydwu moich współpracowników, Dorscha i Saura, przejawiając niezwykłą aktywność. Najwyraźniej chciał wykorzystać okazję, aby po wielu niepowodzeniach lat ubiegłych jeszcze raz osiągnąć pozycję drugiego człowieka po Hitlerze, umacniając w tym celu moim kosztem autorytet obu moich współpracowników, którzy nie przedstawiali dla niego niebezpieczeństwa. Nadal rozpowszechniał pogłoski, liczyć się z moim odejściem. W tych tygodniach Goring zapytywał gauleitera Górnego Dunaju, Eigrubera, jaką opinią partii cieszy się generalny dyrektor Meindl, z którym był zaprzyjaźniony. Dawał tym samym do zrozumienia, że zamierza przedstawić go podczas rozmowy z Hitlerem jako mego następcę. Obarczony wieloma stanowiskami reichsleiter partii Ley również zgłosił swoje roszczenia i, choć go nikt o to nie prosił, oświadczył, że z chwilą odejścia Speera może objąć także jego stanowisko; da sobie radę!

że należy

Bormann i Himmler próbowali tymczasem obniżyć w oczach Hitlera autorytet moich pozostałych szefów departamentów, kierując przeciwko nim ciężkie podejrzenia. Tylko drogą okrężną — Hitler nie uważał za konieczne kazać mnie poinformować — dowiadywałem się, że na trzech z nich: Liebla, Waegera i Schiebera, był tak bardzo oburzony, iż wkrótce należało się liczyć z ich zwolnieniem. Kilka tygodni w zupełności wystarczyło Hitlerowi, by zapomnieć o dniach w Klessheim. Oprócz Fromma, Zeitzlera, Guderiana, Milcha i Donitza jeszcze tylko minister gospodarki Funk należał do szczupłego grona czołowych przedstawicieli reżimu, którzy okazywali mi sympatię w okresie mojej choroby.

Aby uniknąć skutków nalotów lotniczych, od miesięcy nalegał Hitler na przeniesienie przemysłu do pomieszczeń podziemnych oraz wielkich schronów. Odpowiedziałem mu, że nie można zwalczać bombowców za pomocą betonu, gdyż nawet w ciągu wielu lat pracy niemożliwe jest przeniesienie przemysłu zbrojeniowego pod ziemię lub

pod beton. Na szczęście nieprzyjaciel atakował naszą produkcję zbrojeniową chaotycznie, nie koncentrując się na jej newralgicznych ośrodkach; organizując obronę przeciwlotniczą przemysłu, zmusilibyśmy go teraz do zaatakowania tam, gdzie istnieją nasze wąskie gardła. Myślałem przy tym o chemii, węglu, zakładach energetycznych i innych swoich zmorach. Nie ulegało wątpliwości, że w tym momencie, wiosną 1944 roku, Anglia i Ameryka miały możliwość całkowitego wyłączenia w krótkim czasie jednej z tych gałęzi wytwarzania, a tym samym wszystkie wysiłki podejmowane w celu ochrony produkcji mogłyby się okazać daremne.

14 kwietnia inicjatywę przejął Goring i wezwał do siebie Dorscha. Sądził zupełnie poważnie, że budowa wielkich schronów, jakich żądał Hitler, jest możliwa tylko przy pomocy Organizacji Todta. Dorsch odpowiedział, że tego rodzaju obiekty znajdujące się na terenie Rzeszy nie leżą w gestii tej organizacji, kompetentnej wyłącznie na terenach okupowanych. Mimo to mógł od razu przedłożyć gotowy projekt, chociaż opracowano go z myślą o realizacji we Francji. Jeszcze tego samego wieczoru Hitler wezwał Dorscha: „Podejmę decyzję, że tego rodzaju duże obiekty również na terenie Rzeszy będą w przyszłości wznoszone tylko za pana pośrednictwem”. Następnego dnia Dorsch mógł zaproponować kilka dogodnych miejsc oraz wyjaśnić niezbędne przesłanki administracyjno-techniczne do budowy sześciu zaplanowanych wielkich schronów, każdy o powierzchni 100 tysięcy metrów kwadratowych. Przynrękał oddanie budowli do użytku już w listopadzie 1944 roku⁶. W jednym ze swych nie przemyślanych rozporządzeń Hitler podporządkował sobie obecnie Dorscha bezpośrednio, a budowie wielkich schronów przyznał tak wysoki stopień pilności, iż ten mógł dowolnie, mając na uwadze własne korzyści, ingerować w całe budownictwo. Mimo to jednak łatwo można było przewidzieć, że tych sześć potężnych schronów nie będzie gotowych w ciągu sześciu miesięcy, jak przynrękano, ba, że w ogóle nigdy nie zostaną oddane do użytku. Nietrudno było poznać, gdzie leżała prawda, gdyż kłamstwo przedstawiono w nazbyt prymitywny sposób.

Hitler nie uważał do tej pory za niezbędne poinformować mnie o tych wszystkich posunięciach, które nadal podważały moją pozycję. Zapewne pod wpływem urażonej godności oraz poczucia krzywdy pisałem do niego 19 kwietnia list, w którym otwarcie powątpiewałem w słuszność podjętych decyzji i który zapoczątkował cały ciąg pism i memoriałów; dokonywał się w nich, często ukryty pod odmiennymi poglądami na sprawy merytoryczne, proces budzenia się we mnie

pewności siebie, zaczynałem też obiektywnie oceniać rzeczywistość, co dotychczas mąciła siła magicznego oddziaływania Hitlera. Wyraziłem w tym liście pogląd, iż nie ma sensu rozpoczynać teraz tak wielkich budowli, gdyż „jedynie z trudem można będzie ulokować nawet w prymitywnych warunkach niemiecką ludność pracującą i zagranicznych robotników oraz jednocześnie przywrócić dawny poziom produkcji naszych fabryk zbrojeniowych. Nie mogę teraz zastanawiać się nad projektami wymagającymi dłuższego czasu... lecz muszę na bieżąco unieruchamiać znajdujące się już w budowie zakłady zbrojeniowe, aby zapewnić najniezbędniejsze warunki do utrzymania niemieckiej produkcji zbrojeniowej w następnych miesiącach”.

Kończąc wyluszczenie rzeczowych, merytorycznych poglądów, zarzuciłem Hitlerowi, że postępował niewłaściwie: „Już jako Pański architekt przejawiałem zawsze tendencję umożliwiania swoim współpracownikom samodzielnej pracy. To prawda, że kierując się tą zasadą; przeżywałem często duże rozczarowania, nie każdy bowiem dorasta do takiego wyniesienia w społeczeństwie, a niejeden... osiągnąwszy już należyte uznanie, przestał mi być wierny”. Hitler mógł łatwo wysnuć z tego zdania wniosek, że miałem na myśli Dorscha. Nie bez aluzji kontynuowałem: „Jednak nic mnie nie powstrzyma przed dalszym konsekwentnym postępowaniem. Jest to moim zdaniem jedyna zasada, dzięki której im wyższe zajmuje się stanowisko, tym lepiej można rządzić i działać”. Gospodarka budowlana i zbrojeniowa stanowią właśnie na obecnym etapie niepodzielną całość; Dorsch mógłby nadal pozostać odpowiedzialny za budownictwo na zajętych terenach, w Niemczech natomiast chciałem przekazać kierownictwo jednemu ze starych współpracowników Todta, Willemu Henne. Obaj mieli realizować swe zadania pod kierownictwem lojalnego współpracownika Waltera Brug-manna. Hitler nie wyraził na to zgody; pięć tygodni później, 26 maja 1944 roku, Brugmann, podobnie jak jego poprzednik Todt, stracił życie w nie wyjaśnionym wypadku lotniczym.

Pismo to przekazał Hitlerowi w wigilię jego urodzin mój stary współpracownik Frank. Załączyłem również prośbę o zwolnienie, gdyby nie podzielał mego zdania. Jak dowiedziałem się z najlepszego w tym wypadku źródła, a mianowicie od kierowniczkę sekretarek, Johanny Wolf, list mój bardzo rozgniewał Hitlera; między innymi powiedział on: „Nawet Speer musi wiedzieć, że obowiązuje go racja stanu”.

Już przed sześcioma tygodniami wypowiedział się podobnie, gdy kazałem chwilowo przerwać osobiście przez niego zarządzoną

budowę schronów dla dostojników w Berlinie, z uwagi na konieczność usunięcia poważnych zniszczeń spowodowanych nalotem lotniczym. Był on prawdopodobnie przekonany, wszystko przemawiało za tym, że traktowałem jego zarządzenia według własnego uznania, w każdym razie posługiwał się tym zarzutem, przejawiając niechęć do mnie. Polecił wówczas Bormannowi przekazać mi z całym naciskiem, bez względu na moją chorobę, że „rozkazy fuhrera musi wykonywać każdy Niemiec”; nie wolno ich „w żadnym wypadku uchylać, wstrzymywać albo unieważniać”. Jednocześnie groził, że „odpowiedzialni pracownicy, którzy będą się sprzeciwiać rozkazom fuhrera, zostaną aresztowani przez policję państwową i skierowani do obozów koncentracyjnych”.

Zaledwie dowiedziałem się — znów drogą okrężną — jak zareagował Hitler, zadzwonił do mnie z Obersalzbergu Goring: słyszał, że zamierzam ustąpić, kierując się jednak poczuciem najwyższego obowiązku musi mi zakomunikować, że jedynie fuhrer może podjąć decyzję, kiedy minister powinien odejść ze swego stanowiska. Pół godziny trwała ożywiona rozmowa, aż w końcu uzgodniliśmy rozwiązanie kompromisowe: „Zamiast ustąpić, będę przedłużał swoją chorobę i niezauważalnie zniknę jako minister”. Nie ukrywając zadowolenia, Goring przystał na to: „Tak, to jest rozwiązanie! Tak możemy postąpić. Również fuhrer wyrazi na to zgodę!” Hitler, który w nieprzyjemnych sytuacjach zawsze starał się unikać konfrontacji, nie odważył się wezwać mnie i powiedzieć prosto w oczy, że musi wyciągnąć wszelkie konsekwencje i posłać mnie na urlop. Te same zapewne obawy spowodowały, że w rok później, kiedy doszło do otwartego zerwania, nie wymusił na mnie wzięcia urlopu. Z perspektywy czasu wydaje mi się, że można było zapewne w takim stopniu zniechęcić Hitlera do mnie, aby w następstwie zwolnił mnie ze stanowiska. Kto jednak pozostawał w jego ścisłym otoczeniu, przyjmował to zawsze z ulgą.

Niezależnie od motywów, jakimi bym się kierował, podobała mi się myśl o odejściu. Prawie codziennie bowiem na błękitnym niebie południa mogłem obserwować zwiastuny końca wojny, gdy na wyzywająco małej wysokości bombowce 15 amerykańskiej floty powietrznej, startując ze swoich włoskich baz, przelatywały nad Alpami, aby dokonywać nalotów na niemieckie ośrodki przemysłowe. Jak okiem sięgnąć, nie widziało się żadnego myśliwca, żadnego dział przeciwlotniczego. Ten obraz całkowitej bezbronności działał bardziej przekonująco niż wszelkie meldunki. Myślałem pesymistycznie, że jeżeli do tej pory udawało się utraconą w trakcie odwrotów broń systematycznie uzupełniać, to teraz, w obliczu tej powietrznej ofensywy, musi wkrótce

nastąpić koniec. Czyż wobec zbliżającej się katastrofy nie było najsluszniesze ciche zniknięcie, wykorzystanie oferowanej przez Goringa szansy i ustąpienie z odpowiedzialnego stanowiska? Mimo istnienia wszelkich różnic nie myślałem wówczas — i zapewne dziś w podobnej sytuacji też bym nie pomyślał — o złożeniu rezygnacji ze swego urzędu, aby tym samym, odmawiając współpracy, przyspieszyć koniec Hitlera i reżimu.

Rozmyślenia o ustąpieniu zakłóciła wizyta mojego najbliższego współpracownika Rohlanda, jaką złożył mi 20 kwietnia. Przybył, aby powstrzymać mnie od zamiarów, o których dowiedziano się już w przemyśle: „Nie może pan oddać przemysłu, który dotychczas był panu posłuszny, w ręce tych, co przyjdą po panu. Jacy oni będą, można sobie wyobrazić! Nasza dalsza działalność powinna mieć przede wszystkim na celu to, w jaki sposób po przegranej wojnie można zachować niezbędny potencjał przemysłowy. Dlatego musi pan pozostać na swym posterunku!" O ile sobie przypominam, po raz pierwszy wyłoniło się przede mną widmo „spalonej ziemi", kiedy Rohland mówił następnie o niebezpieczeństwie, jakie wynikało z możliwości zarządzania bezwzględnych zniszczeń przez desperacko działającą czołówkę kierowniczą. Tutaj, w tym dniu, uświadomiłem sobie, że kielkuje we mnie coś, co niezależnie od Hitlera dotyczyło jeszcze kraju i narodu: początkowo tylko mgliste i ledwo dostrzegalne poczucie odpowiedzialności.

W kilka godzin później, jeszcze tej samej nocy, około pierwszej, przybyli do mnie feldmarszałek Milch, Saur i dr Frank. Znajdowali się od późnego popołudnia w drodze i przybyli bezpośrednio z Obersalz-bergu. Milch miał mi przekazać wiadomość od Hitlera: kazał zapewnić, że wysoko mnie ceni i że jego stosunek do mojej osoby nie uległ zmianie. Brzmiało to prawie jak wyznanie miłosne, które zresztą, jak po dwudziestu trzech latach dowiedziałem się od Milcha, doszło do skutku jedynie pod wpływem nacisku, jaki on wywierał na Hitlera. Jeszcze przed kilkoma tygodniami byłbym wzruszony i zarazem szczęśliwy, gdyby spotkało mnie takie wyróżnienie. Teraz natomiast na zapewnienie Hitlera odpowiedziałem: „Nie, mam tego dosyć! Nie chcę o tym więcej słyszeć". Milch, Saur i Frank nalegali na mnie. Bronilem się długo. Wprawdzie postępowanie Hitlera uważałem za niesmaczne i nieszczerze, nie chciałem jednak kończyć swej działalności ministerialnej, odkąd Rohland obarczył mnie dodatkową odpowiedzialnością. Dopiero po paru godzinach uległem, ale pod warunkiem, że podporządkuje mi się znów Dorscha oraz przywróci dawne stosunki. W sprawie budowy wielkich schronów byłem zresztą gotów ustąpić, gdyż nie miało

to już znaczenia. Następnej nocy Hitler podpisał zaproponowany przeze mnie dokument, który spełniał te wymogi: Dorsch miał teraz budować schrony pod moim zwierzchnictwem i w warunkach najwyższego stopnia pilności⁷.

Po trzech dniach przekonałem się oczywiście, że zbyt szybko podjąłem decyzję. W związku z tym postanowiłem znów napisać do Hitlera. Uświadomiłem sobie wyraźnie, że w wyniku podjętych postanowień musiałem się znaleźć w bardzo niezręcznej sytuacji. Gdybym wspomagał Dorscha przy realizacji tych wielkich budowli materiałami i siłą roboczą, przypadłoby mi w udziale niewdzięczne zadanie przyjmowania skarg różnych ministerstw i obrony przed zarzutem hamowania realizacji ich programów. Gdybym natomiast nie spełnił wymogów Dorscha, wtedy oskarżalibyśmy się wzajemnie i wymieniali „pisma asekuracyjne”. W swoim liście rozwijałem myśl, że bardziej logiczne byłoby przekazanie Dorschowi jednocześnie odpowiedzialności za pozostałe budownictwo, „którego realizacja zostałaby ograniczona w związku z budowlą wielkich schronów”. W zakończeniu stwierdziłem, że biorąc pod uwagę różne okoliczności, najlepszym rozwiązaniem w ówczesnych warunkach byłoby oddzielenie całego budownictwa od zbrojeń i produkcji wojennej, oraz wnioskowałem wyznaczenie Dorscha na „generalnego inspektora budownictwa”, podporządkowanego bezpośrednio Hitlerowi. Na każdym innym rozwiązaniu ciążyłby zapewne mój osobisty stosunek do Dorscha.

Na tym się zatrzymałem, gdyż w trakcie pisania postanowiłem natychmiast przerwać wypoczynek i udać się do Hitlera do Obersalzbergu. Początkowo wyłoniły się znowu trudności. Gebhardt powoływał się na otrzymane od Hitlera pełnomocnictwo i wysuwał zastrzeżenia natury zdrowotnej. Profesor Koch natomiast już przed paroma dniami poinformował mnie, że mogę lecieć bez obawy⁸. Gebhardt zatelefonował w końcu do Himmlera. Ten wyraził zgodę na mój lot pod warunkiem, że przed udaniem się do Hitlera złożę jemu wizytę.

Himmler rozmawiał ze mną otwarcie, co w podobnych sytuacjach można traktować jako okoliczność sprzyjającą. Oddzielenie od Ministerstwa Uzbrojenia budownictwa i przekazanie go Dorschowi miało być już dawno zdecydowane w czasie rozmów z Hitlerem, w których brał udział również Goring. Himmler nalegał, abym teraz nie robił już więcej trudności. Wszystko, o czym mówił, świadczyło wprawdzie o jego zarozumiałości, ale ponieważ odpowiadało moim zamiarom, rozmowa przebiegała w atmosferze jak najlepszego zrozumienia.

Zaledwie przybyłem do swojego domu na Obersalzbergu, adiutant Hitlera wezwał mnie do wzięcia udziału we wspólnej herbatce. Chciałem jednak rozmawiać z Hitlerem w sprawach służbowych. Intymny nastrój w czasie herbatki niewątpliwie złagodziłby nawarstwione między nami sprzeczności, a tego właśnie pragnąłem uniknąć. Dlatego też nie skorzystałem z zaproszenia. Hitler zrozumiał ten niecodzienny gest i niebawem wyznaczył mi termin audiencji w Berg-hofie.

Oczekiwał na mnie przed wejściem do Berghofu, w czapce służbowej na głowie, z rękawiczkami w rękę, i jak oficjalnemu gościowi towarzyszył mi do swego budynku mieszkalnego. Ponieważ nie znałem psychologicznych motywów takiego potraktowania, sprawiło to na mnie silne wrażenie. Odtąd zaczął się okres całkiem schizofrenicznych stosunków. Z jednej strony nie było mi obojętne, gdy podkreślał moją rangę i darzył szczególnymi dowodami łaski, z drugiej — dostrzegałem zgubną dla narodu niemieckiego jego działalność, z czego powoli zdawałem sobie sprawę. I chociaż nadal działał dawny czar, chociaż wciąż jeszcze Hitler potrafił ujmująco odnosić się do ludzi, to jednak coraz trudniej przychodziło mi zachować wobec niego bezwzględną lojalność.

Nie tylko podczas tego serdecznego powitania, ale także w rozmowie, jaka się następnie wywiązała, role były dziwnie odwrócone: to on był tym, który starał się mnie pozyskać. Odrzucił moją propozycję w sprawie wyłączenia z zakresu moich kompetencji i przekazania Dorschowi budownictwa: „Nie zaakceptuję tego w żadnym wypadku. Nie widzę też nikogo, komu mógłbym powierzyć budownictwo. Niestety, doktor Todt wtedy umarł. Pan wie, panie Speer, co znaczy dla mnie budownictwo. Zdaje pan sobie sprawę! Z góry wyrażam zgodę na wszystkie przedsięwzięcia, jakie uzna pan za właściwe w dziedzinie budownictwa”. Tym samym Hitler zaprzeczał sam sobie, bo przecież jeszcze przed paroma dniami w obecności Göringa i Himmlera zdecydował, że zadanie to przejmie Dorsch. Podobnie jak zawsze, nie zważał na dopiero co zajęte przez siebie stanowisko, jak również w istocie nie liczył się z odczuciami Dorscha: ta samowola stanowiła niezwykle wymowną oznakę głębokiej pogardy dla człowieka. Tak czy inaczej musiałem się liczyć, że zmiana stosunku Hitlera do mnie nie będzie trwała. Dlatego też odpowiedziałem mu, że widzę potrzebę podjęcia decyzji obowiązującej przez dłuższy okres: „Nie mógłbym jeszcze raz prowadzić na ten temat dyskusji”. Hitler obiecał nie zmieniać swego zdania: „Moja decyzja jest ostateczna. Nie myślę w ogóle uchylać

jej". Następnie bagatelizował zarzuty wysuwane przeciwko trzem moim szefom departamentów, których odejście brałem już pod uwagę⁹.

Po skończonej rozmowie Hitler zaprowadził mnie do szatni, znów wziął czapkę, rękawiczki i miał zamiar towarzyszyć mi do wyjścia. Uważałem to za zbyt oficjalne i dlatego powiedziałem mu, że jestem umówiony piętro wyżej z jego adiutantem lotniczym, Belowem. Wieczorem siedziałem jak niegdyś przy kominku, w otoczeniu Hitlera, Ewy Braun i jego nadwornego towarzystwa. Rozmowa nie kleiła się, aż w końcu Bormann zaproponował puszczenie płyt. Nastawiono arię Wagnera, następnie *Nietoperza*.

Po wszystkich napięciach i przejściach minionego okresu doznałem tego wieczoru uczucia zadowolenia: wydawało mi się, że trudności i konflikty mam już poza sobą. W ostatnich tygodniach mocno przeżywałem swoją niepewną sytuację, nie potrafiłem pracować bez sympatii i uznania; obecnie mogłem czuć się zwycięzcą w walce o władzę, jaką prowadzili przeciwko mnie Goring, Himmler i Bormann. Rozczarowali się teraz bardzo, albowiem sądzili już zapewne, że wyprowadzili mnie w pole. Być może, zapytywałem wówczas sam siebie, również Hitler zrozumiał, jaką prowadzono tutaj grę i że niepotrzebnie się w nią wplątał.

Analizując wszystkie motywy, które niespodziewanie przywiodły mnie z powrotem do najbliższego otoczenia Hitlera, dochodzę do wniosku, iż ważnym powodem była tu zapewne chęć zachowania raz zdobytej pozycji w systemie władzy. Nie myślę się chyba, że partycypując we władzy Hitlera i znajdując się w jego świetle, zawsze uważałem za godne pożądanego, by spłynęło na mnie coś z jego popularności, blasku i wielkości. Do roku 1942 czułem jeszcze, że zawód architekta daje mi niezależną od Hitlera pewność siebie, tymczasem jednak pociągnęło mnie i upoiło sprawowanie władzy, wyznaczanie ludzi na stanowiska, podejmowanie decyzji w ważnych sprawach, dysponowanie miliardami. Mimo gotowości do złożenia rezygnacji, niechętnie wyrzekłbym się satysfakcji, jaką daje sprawowanie władzy. Ponadto uwolniłem się od zastrzeżeń, które budziły się we mnie pod wpływem ostatnich wydarzeń; nastąpiło to w wyniku apelu przemysłowców oraz wciąż jeszcze silnej sugestii, z jaką oddziaływał na mnie Hitler. Co prawda w naszych stosunkach powstała rysa, lojalność nie była już trwała i, jak wyczuwałem, nigdy już nie mogła być taka, jak kiedyś. Ale przede wszystkim znajdowałem się znów w otoczeniu Hitlera - i to zadowolony.

Po upływie dwóch dni udałem się jeszcze raz do Hitlera z Dorschem, przedstawiając go jako nowo mianowanego kierownika mojego działu budowlanego. Hitler ustosunkował się do tej zmiany tak, jak przypuszczałem: „Pozostawiam to całkowicie panu, drogi Speer, w jaki sposób zechce pan uregulować sprawę w swoim ministerstwie. Kogo pan upoważni, to pańska rzecz. Zgadzam się, oczywiście, na osobę Dorscha, ale całkowita odpowiedzialność za budownictwo spoczywa na panu”. Wyglądało to na zwycięstwo; lecz zwycięstwa, tego doświadczyłem, niewiele się liczyły. Jutro wszystko mogło wyglądać inaczej.

O nowej sytuacji poinformowałem Goringa powściągliwie. Decydując się wyznaczyć Dorscha na swego zastępcę w sprawach budowlanych planu czteroletniego, przeszedłem nawet Góringa, pisząc do niego z pewną ironią: „Zakładam przy tym, że darząc pana dyrektora ministerialnego Dorscha zaufaniem, niezwłocznie wyrazi pan na to zgodę”. Goring odpowiedział krótko, jakby niechętnie: „Zgadzam się na wszystko. Przekazałem już Dorschowi cały aparat budowlany lotnictwa”.

Himmler nie zareagował w ogóle; w takich wypadkach przejawiał właściwości ryby, której nie można złapać. U Bormanna natomiast dało się zauważyć po raz pierwszy od dwóch lat widoczną przychylną zmianę nastawienia do mnie. Był przekonany, że odniosłem znaczny sukces i że nie udały się wszystkie, mozolnie budowane intrygi ostatnich miesięcy. Nie był on człowiekiem dostatecznie silnym, aby nadal żywić do mnie urazy, nie licząc się z tymi zmianami. Prawdopodobnie dotknięty tym, że demonstracyjnie nie okazywałem mu należytej uwagi, przesadnie serdecznie zapewniał przy pierwszej nadarzającej się okazji, podczas wspólnego spaceru w drodze na herbatkę, że nie brał udziału w wielkiej nagonce, jaką rozpętano przeciwko mnie. Może miał rację, aczkolwiek trudno mi było uwierzyć mu; bądź co bądź przyznał tym samym, że nagonka taka miała miejsce.

Niebawem Bormann zaprosił Lammersa i mnie do swego sztabowo urządzonego domu na Obersalzbergu. Obcesowo i natrętnie zmuszał nas do picia, a po północy zaproponował przejście na poufale „ty”. Już następnego dnia oczywiście przeszedłem do porządku nad tą próbą zbliżenia, Lammers natomiast pozostał z nim na „ty”. Nie przeszkadzało to jednak Bormannowi uwikłać go niebawem bez skrupułów w trudną sytuację, nie reagował natomiast na szorstkie traktowanie z mojej strony, odnosząc się do mnie z coraz większą serdecznością, przynajmniej dopóty, dopóki byłem w łasce u Hitlera.

W połowie maja 1944 roku, w trakcie wizyty w stoczni hamburskiej, gauleiter Kaufmann poinformował mnie w poufnej rozmowie, że nawet po upływie roku nie przestały jeszcze krążyć negatywne opinie o moim przemówieniu do gauleiterów. Prawie wszyscy gauleiterzy występowali przeciwko mnie; zachęcał ich do tego Bormann. Kaufmann ostrzegł mnie przed grożącym mi z ich strony niebezpieczeństwem.

Traktowałem tę uwagę na tyle poważnie, że zasygnalizowałem ją Hitlerowi w najbliższej rozmowie. Wyróżnił mnie wówczas znowu drobnym gestem i po raz pierwszy zaprosił do swego wyłożonego boazerią gabinetu na pierwszym piętrze Berghofu, gdzie na ogół prowadził tylko bardzo osobiste i poufne rozmowy. Prywatnie, niemal jak oddany przyjaciel, radził mi unikać wszystkiego, co mogłoby podburzać gauleiterów przeciwko mnie. Nie powinienem nigdy lekceważyć władzy gauleiterów, skomplikowałyby to bowiem moją przyszłość. On także zdawał sobie sprawę z charakterologicznych wad większości z nich; wielu było zwykłymi rębaczami, mało wyrobionymi, ale wiernymi i oddanymi. Należy ich brać takimi, jakimi są. Hitler dawał swą postawą do zrozumienia, że zdecydowanie nie życzy sobie, aby Bormann narzucał mu sposób odnoszenia się do mnie: „Otrzymałem wprawdzie skargi, ale uważam sprawę za zakończoną”. Tak więc ten etap ofensywy Bormanna nie powiódł się.

Również Hitler musiał doznawać teraz mieszanych uczuć, skoro powiadomił mnie jakby prosząc o wyrozumiałość, że nie zostaną jednocześnie uhonorowany - o swym zamiarze nadania Himmlerowi najwyższego orderu Rzeszy. Z odcieniem usprawiedliwiania się dodał, że reichsführer SS wykazał się szczególnymi zasługami¹⁰. Odpowiedziałem mu w dobrym nastroju, że oczekiwałbym raczej przyznania mi po wojnie, za moją działalność architekta, nie mniej wartościowego orderu za zasługi na polu sztuki i nauki. W każdym razie Hitler zdawał się być zaniepokojony tym, jak zareaguję na wyróżnienie Himmlera.

Mnie tego dnia bardziej niepokoiło co innego: Bormann mógł przedstawić Hitlerowi opatrzone odpowiednimi komentarzami artykuł z angielskiego „Observera” (z 9 kwietnia 1944 r.), w którym opisano mnie jako obce ciało wewnątrz systemu partyjno-doktrynerskiego. Ubiegając go, wręczyłem Hitlerowi, z kilkoma humorystycznymi uwagami, tłumaczenie tego artykułu. Założył powoli okulary i zaczął czytać: „Speer jest dzisiaj dla Niemiec w pewnym sensie ważniejszy niż Hitler, Himmler, Goring, Goebbels albo generałowie. Oni wszyscy stali się niczym innym, jak współwykonawcami tego człowieka, który w istocie kieruje potężną machiną, osiągając maksymalne wyniki. Dostrzegamy

w nim dokładne urzeczywistnienie rewolucji menażerów. Speera nie należy traktować jako jednego z tych frapujących i zagorzałych nazistów. Nie wiadomo, czy w ogóle ma jakiegokolwiek inne, niż konwencjonalne, poglądy polityczne. Mógłby się więc przyłączyć do każdej innej partii politycznej, o ile zapewniłaby mu pracę i karierę. Uosabia on wyraźnie przeciętny typ człowieka osiągającego sukcesy, dobrze ubranego, uprzejmego, nie skorumpowanego; jego styl życia, żona i sześcioro dzieci, odzwierciedla średnią klasę społeczną. W znacznie mniejszym stopniu aniżeli ktokolwiek z innych przywódców niemieckich reprezentuje on to wszystko, co stanowi cechę typowo niemiecką albo narodowosocjalistyczną. Symbolizuje raczej typ człowieka, którego znaczenie rośnie we wszystkich prowadzących wojnę państwach: czystego technika, bezklasowego, błyskotliwego człowieka bez pochodzenia, który nie ma żadnego innego celu, jak tylko torowanie sobie drogi w świecie za pomocą swych technicznych i organizacyjnych umiejętności. Właśnie brak psychologicznego i duchowego balastu oraz swoboda, z jaką włada on przerażającą techniczną i organizacyjną maszyną naszego wieku, pozwoli temu niepozornemu osobnikowi zajść dziś niezwykle daleko. Nadszedł jego czas. Hitlerów i Himmlerów możemy się pozbyć, ale Speerowie - cokolwiek z tym konkretnym człowiekiem by się stało - długo pozostaną wśród nas". Hitler przeczytał ten komentarz nadzwyczaj spokojnie, złożył kartki i oddał mi je w milczeniu, ale z całym respektem.

W ciągu następnych tygodni i miesięcy uświadamiałem sobie coraz dobitniej dystans, jaki istniał między Hitlerem a mną. Zwiększał się on teraz niepowstrzymanie. Nie ma nic trudniejszego niż przywrócić raz podważony autorytet. Odkąd po raz pierwszy sprzeciwiłem się Hitlerowi, stałem się w stosunku do niego bardziej samodzielny w myśleniu i działaniu. Na mój upór, zamiast gniewać się, reagował raczej nieporadnie, a w końcu, czyniąc gesty szczególnej łaski, rezygnował nawet ze swoich planów, które ustalił już wspólnie z Himmlerem, Goringiem i Bormannem. Z kolei moje ustępstwa nie deprecjonowały doświadczenia, że u Hitlera w wyniku zdecydowanego oporu można było przeforsować również trudne zamiary.

W każdym razie same doświadczenia nie złamały mnie bardziej niż pierwsze wątpliwości o z gruntu złym charakterze tego systemu panowania. Oburzało mnie, że warstwa kierownicza nadal nie przejawiała gotowości do podobnych wyrzeczeń, jakich domagała się od społeczeństwa; że bezwzględnie rozporządzała ludźmi i dobrami materialnymi; że angażowała się w banalne intrygi, a tym samym ujawniała negatywne oblicze moralne. Wszystko to powodowało, że

powoli się

uwalniałem: rozpocząłem, wciąż jeszcze się ociągając, żegnać się z moim dotychczasowym życiem, zadaniami i bezmyślnością, która to wszystko spowodowała.

1 W sprawie kontuzji kolana konsultował się z Gebhardtem także król belgijski Leopold III oraz belgijski wielki przemysłowiec Danny Heinemann. Podczas procesu norymberskiego dowiedziałem się, że Gebhardt przeprowadzał eksperymenty na więźniach obozów koncentracyjnych.

2 Według dokumentów przedkładanych fuhrerowi (nr 5 z 29 stycznia 1944 r.) chodziło w przypadku Dorscha o „szefa grupy specjalistycznej Związku Niemieckich Urzędników Rzeszy”.

Z pisma do kancelarii partyjnej: „Birkenholz... wykazał niekoleżeńskość, wyniosłość itd., zachowanie, jakiego nie można oczekiwać od wyższego urzędnika opowiadającego się bez zastrzeżeń za państwem narodowosocjalistycznym. Również ze względu na charakter nie wydaje się on odpowiednim kandydatem na radcę ministerialnego... Nie mogę zatem aprobować awansu, ponieważ nie pozwalają na to także pewne wewnętrzne zajścia w urzędzie”. Kancelaria partyjna mogła decydować o awansach wszystkich urzędników ministerialnych. Napisałem do Hitlera (dokumenty przedkładane fuhrerowi, nr 5 z 29 stycznia 1944 r.), co następuje: „Szkodliwą opinię, wysłaną bez mojej wiedzy do kancelarii partyjnej i okręgu jako ocenę polityczną zredagowali wspólnie pan Dorsch i ówczesny kierownik mojego departamentu kadr, radca ministerialny Ha-asemann. Jest to dowód, że obydwaj próbowali za moimi plecami, nie informując mnie o tym, pokrzyżować zamierzenie, które służbowo nakazałem, że po kryjomu nastawili polityczne komórki okręgu i kancelarii partyjnej przeciwko zaproponowanemu człowiekowi, wydali o nim szkodliwą opinię i w ten sposób okłamali mnie jako ministra Rzeszy”. Dokumenty przedkładane fuhrerowi (nr 5) kazałem ze względu na osobistą treść dostarczyć bezpośrednio adiutanturze Hitlera.

3 Profesor Gebhardt spróbował 11 lutego 1944 r. wyeliminować profesora Kocha w ten sposób, że pisemnie poprosił osobistego lekarza Hitlera i przeciwnika Brandta, profesora Morella, o poradę przy leczeniu internistycznym. Morell nie miał czasu, polecił jednak opisać sobie przypadek przez telefon i nie badając mnie zaaplikował wstrzykiwanie witaminy K w celu wstrzymania wycieków krwi. Profesor Koch odrzucił tę ingerencję w prowadzoną przez siebie kurację - kilka tygodni później nazwał Morella ignorantem.

4 Ze złożonego pod przysięgą oświadczenia profesora Kocha z 12 marca 1947 r. (Dokument Norymberski 2602): „W trakcie dalszej kuracji wynikły różnice między mną a Gebhardtem. Byłem zdania, że wilgotny klimat Hohenlychen niekorzystnie wpływa na rekonwalescencję Speera, a po zbadaniu pacjenta i ustaleniu, że jego stan pozwala na to, zaproponowałem przewiezienie go na południe (Merano). Gebhardt mocno przeciwstawiał się tej propozycji. Zastawiał się autorytetem Himmlera i wielokrotnie rozmawiał w tej sprawie z reichsfuhrerem przez telefon. Wydawało mi się to bardzo dziwne. Miałem wrażenie, iż Gebhardt wykorzystywał swą pozycję lekarza do prowadzenia jakiejś gry politycznej. Nie wiem jednak jakiej i nie dbałem zresztą o to, gdyż chciałem być tylko lekarzem. Potem wielokrotnie próbowałem przekonać Gebhardta. W końcu sprawa stała się dla mnie zbyt jaskrawa i zażądałem umożliwienia mi rozmowy z reichsfuhrerem. W rozmowie telefonicznej, trwającej mniej więcej 7-8 minut, udało mi się skłonić Himmlera do zaaprobowania wyjazdu Speera do Merano. Już wówczas wydawało mi się bardzo podejrzane, że Himmler miał decydować w sprawach lekarskich, ale nie łamałem

sobie nad tym głowy, ponieważ świadomie nie troszczyłem się o rzeczy wykraczające poza sferę działalności lekarskiej. Chciałbym jeszcze dodać, iż odniosłem wrażenie, że Speer był bardzo zadowolony, kiedy byłem na miejscu i sprawowałem nad nim opiekę".

Kiedy w lutym 1945 r. na Górnym Śląsku w wyniku zderzenia z ciężarówką zostałem lekko ranny, Gebhardt natychmiast wszedł do specjalnego samolotu, aby sprowadzić mnie do kliniki. Mój osobisty referent, Karl Cliever, udaremnił ten zamiar, nie podając mi przyczyn, ale - jak powiedział wtedy do mnie - przyczyny takie były.

Pod koniec wojny francuski minister Bichelonne poddał się u Gebhardta w Hohenlychen operacji kolana. W kilka tygodni później zmarł na embolię płuc.

5 Również Dorsch stwierdził wobec Zeitzlera, „że Speer zachorował nieuleczalnie i dlatego nie wraca". (Uwaga z pamięci z 17 maja 1944 r.) Informację tę Zeitzler przekazał mi później jako interesujący przyczynek do tych knowań.

Według „uzupełniającego sprawozdania" profesora Kocha z 14 marca 1944 r. „przeprowadzono 5 marca badania rentgenologiczne i elektrokardiograficzne. Te ostatnie nie wykryły we wszystkich trzech częściach żadnych oznak chorobowych. Badania rentgenologiczne wykazały całkowicie normalny stan serca".

6 Opierałem się, także w przypadku cytatów, na piśmie Dorscha z 17 kwietnia 1944 r. i własnym piśmie z 28 sierpnia 1945 r.

Jednocześnie Goring przekazał Dorschowi budowę licznych bunkrów dla ochrony samolotów myśliwskich na lotniskach na obszarze Rzeszy. Kiedy wydelegowałem Franka jako swego przedstawiciela na naradę, jaką Goring wspólnie z Dorschem przeprowadzał 18 kwietnia na temat nowych zadań budowlanych, Goring nie zezwolił mu na wzięcie udziału.

7 Hitler podpisał mój projekt tego samego dnia: „Polecam kierownikowi centrali OT, dyrektorowi ministerialnemu Dorschowi, przy zachowaniu pozostałych funkcji wynikających z jego zadań, realizację nakazanych przeze mnie 6 budów dla myśliwców. Musi Pan zatroszczyć się o stworzenie warunków koniecznych do szybkiej realizacji tych budów. Przede wszystkim powinien Pan przeprowadzać możliwie przemyślane uzgodnienia z osobami odpowiedzialnymi za inne budowle ważne dla celów wojennych, w razie konieczności zabiegając o moje decyzje rozstrzygające".

8 Profesor Koch był obecny w Merano na moje prywatne zaproszenie. Gebhardt skarżył się z tego powodu Brandtowi: Koch jest niepożądany, widzi i słyszy zbyt wiele spraw tajnych. W związku z tym Koch opuścił Merano 20 kwietnia. W złożonym pod przysięgą oświadczeniu pisał on: „Drugą scysję miałem z Gebhardtem, kiedy Speer był już w Merano. Speer pytał mnie wówczas, czy uważam go za zdrowego na tyle, aby mógł polecieć do Obersalzbergu - prawdopodobnie do Hitlera. Przytaknąłem, ale z zastrzeżeniem, że samolot nie może wznosić się ponad 1800-2000 m. Kiedy Gebhardt dowiedział się o tym, zrobił mi scenę. Przy okazji ponownie zarzucił mi, że nie jestem »lekarzem politycznym«. Tutaj, podobnie jak i przy pierwszym starciu w Hohenlychen, miałem wrażenie, że Gebhardt chce trzymać Speera przy sobie".

9 Hitler napomknął mi, że Himmler podejrzewa szefa departamentu w moim ministerstwie, Schiebera, o przygotowywanie ucieczki za granicę, że burmistrz Liebel ma wrogie nastawienie polityczne, a generał Waeger uchodzi za niepewnego.

10 Chodziło o Order Niemiecki, którego posiadacze mieli tworzyć kapitułę orderu. Hitler nie urzeczywistnił swego zamiaru: Himmler nie został odznaczony tym orderem, przyznawanym dotychczas tylko zmarłym; być może bruździł tu Bormann. Osobiście najbardziej ceniłem Nagrodę Narodową; order ten, pokryty brylantami, był tak ciężki, że trzeba było mieć we fraku wieszadło dla rozłożenia ciężaru.

Rozdział 24

WOJNA TRZYKROTNIE PRZEGRANA

8 maja 1944 roku powróciłem do Berlina, aby podjąć na nowo swoją pracę. Na długo w mej pamięci pozostanie data o cztery dni późniejsza, 12 maja. Tego bowiem dnia rozstrzygnięta została wojna techniczna¹. Aż do tej pory udawało się produkować mniej więcej tyle broni, ile mimo znacznych strat potrzebował Wehrmacht. Ale po dziennym nalocie 935 bombowców 8 amerykańskiej floty powietrznej na liczne zakłady materiałów pędnych w centrum i na wschodzie Niemiec rozpoczął się nowy etap wojny powietrznej; oznaczał on kres niemieckiego przemysłu zbrojeniowego.

Wraz ze specjalistami zbombardowanych zakładów Leuny torowaliśmy sobie następnego dnia drogę przez kłębowisko pociętych, i zerwanych rur. Zakłady chemiczne okazały się niezwykle czułe na bombardowanie lotnicze. Nawet optymistyczne prognozy nie przewidywały wznowienia produkcji przed upływem tygodni. Po tym nalocie nasza dzienna produkcja, wynosząca 5850 ton, spadła do 4820 ton; jednak rezerwy paliwa lotniczego wynoszące 574 tysiące ton, chociaż stanowiły tylko niewiele więcej ponad naszą trzymiesięczną produkcję, mogłyby wyrównać ten niedobór w ciągu najbliższych dziewiętnastu miesięcy.

Wyrobiwszy już sobie pogląd na skutki nalotu, 19 maja poleciałem do Obersalzbergu, gdzie Hitler przyjął mnie w obecności Keitla. Zameldowałem mu o nadciągającej katastrofie: „Wróg zaatakował jedno z najczulszych naszych miejsc. Jeżeli tym razem będzie konsekwentny, wkrótce nie będziemy mieli poważniejszej produkcji materiałów pędnych. Jeszcze tylko nadzieja w tym, że i druga strona ma swój sztab generalny lotnictwa, który myśli podobnie chaotycznie jak nasz”. Keitel natomiast, ciągle usiłujący przypodobać się Hitlerowi,

zbagatelizował sprawę twierdząc, że będzie w stanie przezwyciężyć trudności za pomocą swych rezerw. Zakończył ulubionym argumentem Hitlera: „Ileż to już trudności pokonałiśmy”, a potem, zwracając się do niego, dodał: „I z tym również damy sobie radę, mein fuhrer!”

Można było jednak wyczuć, że Hitler nie podzielał optymizmu Keitla: w celu dalszego omówienia sytuacji mieli się spotkać - oprócz Goringa, Keitla i Milcha-przemysłowcy Krauch, Pleiger, Butefisch i E. R. Fischer, oraz szef urzędu planowania i surowców, Kehrl². Goring usiłował przeszkodzić w zaproszeniu przedstawicieli przemysłu materiałów pędnych; sądził, że tak ważne tematy powinniśmy omawiać we własnym gronie. Tymczasem Hitler ustalił już listę uczestników.

Cztery dni później czekaliśmy wszyscy w niegościnnym hallu w Berghofie na Hitlera, który w tym czasie prowadził konferencję. Podczas gdy ja prosiłem wcześniej przedstawicieli przemysłu materiałów pędnych o przedstawienie Hitlerowi nie upiększonej prawdy, Goring wykorzystał ostatnie minuty przed rozpoczęciem posiedzenia, próbując wyrzucić na przemysłowców nacisk, aby nie wypowiadali się zbyt pesymistycznie. Obawiał się zapewne zarzutów Hitlera, które mogłyby być skierowane głównie przeciwko niemu.

Wyżsi oficerowie, uczestnicy poprzedniej konferencji, minęli nas pośpiesznie; bezpośrednio po tym adiutant poprosił nas do Hitlera. Każdemu podając rękę, fuhrer witał nas krótko i w roztargnieniu. Poleciał zająć miejsca i oświadczył, że zwołał nas, aby zasięgnąć opinii o skutkach ostatnich nalotów. Następnie poprosił przemysłowców o wypowiedzenie się. Zgodnie ze swoim temperamentem ci trzeźwi, umiemy kalkulować ludzie mówili, że jeżeli naloty będą systematycznie kontynuowane, znajdziemy się w zupełnie beznadziejnej sytuacji. Hitler co prawda starał się z początku rozwiać pesymistyczne nastroje, wtrącając stereotypowe: „Panowie potrafią się z tym uporać”, albo: „Mieliśmy już trudniejsze sytuacje”. Oczywiście Keitel i Goring natychmiast to wykorzystywali i z jeszcze większą niż Hitler przesadą oceniali przyszłość, chcąc osłabić wrażenie, jakie wywarły nasze wywody; szczególnie Keitel ciągle powracał do swych rezerw materiałów pędnych. Ale przemysłowcy okazali się twardsi od otoczenia Hitlera: nie pozwalając zbić się z tropu, kontynuowali swe ostrzeżenia, dokumentując je danymi i liczbami porównawczymi. Nieoczekiwanie sam Hitler zaczął ich zachęcać do trzeźwego analizowania sytuacji; wydawało się, że chciał w końcu usłyszeć nieprzyjemną prawdę, że jest zmęczony tym ciągłym tuszowaniem faktów, fałszywym optymizmem i zakłamaną służalczością. Sam też podsumował krótko wyniki posiedzenia: „Moim

zdaniem, fabryki produkujące materiały pędne, syntetyczny kauczuk i azot stanowią szczególnie czułe miejsce produkcji wojennej, gdyż te niezbędne i podstawowe dla przemysłu zbrojeniowego produkty wytwarza się w niewielu zakładach". Aczkolwiek początkowo wydawał się apatyczny i roztargniony, pozostawił wrażenie człowieka skoncentrowanego, trzeźwego, przewidującego; ale zaledwie kilka miesięcy później, gdy nadeszła katastrofa, nie chciał już respektować swych poglądów. Goring natomiast, gdy znaleźliśmy się znowu w hallu, zarzucał nam, że niepotrzebnie obarczyliśmy Hitlera wieloma troskami i zbyt pesymistycznie przedstawiliśmy sytuację.

Podjechały samochody, goście Hitlera udali się na wypoczynek do hotelu w Berchtesgaden. W takich okolicznościach Berghof stanowił dla Hitlera jedynie miejsce obrad; nie poczuwał się on do

powinności jako pan domu. Teraz jednak, po odejściu uczestników posiedzenia, ze wszystkich pokoi górnego piętra powychodziły osoby należące do jego prywatnego otoczenia. Hitler oddalił się na kilka minut, a my czekaliśmy w hallu. Wziął laskę, kapelusz i czarną pelerynę: zaczęła się codzienna wędrownia do herbaciarni. Była tam kawa, ciasto. Płonął ogień w kominku, prowadzono beztroskie rozmowy. Uwolniony od swoich kłopotów Hitler przenosił się w bardziej przyjemny

wyczuwało się wyraźnie, jak bardzo był mu potrzebny. Również do mnie nie mówił więcej o grożącym nam niebezpieczeństwie.

żadnych

świat:

Dzięki prowadzonym przez szesnaście dni intensywnym naprawom osiągnęliśmy znów dawny poziom produkcji, gdy tymczasem z 28 na 29 maja 1944 roku uderzyła w nas druga fala nalotów. Tym razem tylko 400 bombowcom 8 amerykańskiej floty powietrznej udało się spowodować zniszczenia poważniejsze, niż to uczyniła poprzednio dwa razy większa liczba samolotów. Równocześnie 15 amerykańska flota powietrzna zaatakowała w tych dniach najważniejsze rafinerie rumuńskich złóż naftowych w okolicach Ploesti. Teraz produkcja spadła nawet do połowy³; całkowicie uzasadnione okazały się więc nasze pesymistyczne prognozy z Obersalzbergu, zaledwie sprzed pięciu dni, a jednocześnie nie potwierdziły się uspokajające zapewnienia Goringa. Jego autorytet, jak można było wysnuć ze sporadycznych uwag Hitlera, znów gwałtownie spadł.

Nie zwlekając długo, wykorzystałem tę słabą pozycję Goringa, Przy czym kierowałem się nie tylko względami merytorycznymi. Mieliśmy wprawdzie powody, aby z uwagi na nasze sukcesy w produkcji

samolotów myśliwskich zaproponować Hitlerowi powierzenie całości zbrojeń lotniczych mojemu ministerstwu⁴, jeszcze bardziej jednak kusilo mnie, żeby wziąć na Goringu odwet za jego postępowanie w czasie mojej choroby. 4 czerwca poprosiłem Hitlera, który ciągle jeszcze kierował wojną z Obersalzbergu, o „wywarcie takiego wpływu na marszałka Rzeszy, aby z własnej inicjatywy zaproponował mi włączenie zbrojeń lotniczych do mojego ministerstwa”. Hitler bez sprzeciwu przyjął to wyzwanie rzucone Goringowi; wykazał nawet zrozumienie, gdyż moja taktyka zmierzała do ochrony prestiżu i dumy Goringa. Z pewną jednak złościwością powiedział: „Zbrojenia lotnicze należy włączyć do pańskiego ministerstwa, nie podlega to już żadnej dyskusji. Każę natychmiast wezwać marszałka Rzeszy i zakomunikuję mu swoją decyzję. Omówi pan z nim szczegóły dotyczące przekazania”.

Jeszcze przed kilkoma miesiącami Hitler nie odważyłby się otwarcie poinformować o takiej decyzji swego starego paladyna. Na przykład w końcu ubiegłego roku upoważnił mnie, abym udał się do Goringa przebywającego w odległej Puszczy Rominckiej i doniósł mu o paru przykrych sprawach, mających trzeciorzędne znaczenie, o których już dawno zapomniałem. Goring musiał wówczas wiedzieć o mojej misji, gdyż traktował mnie, wbrew swemu zwyczajowi, jak wielce szanowanego gościa. Polecił przygotować bryczkę i konie do wielogodzinnej przejażdżki po rozległym terenie myśliwskim i nieprzerwanie bawił mnie rozmową, tak że w końcu nic nie załatwiwszy, nie wspominając słowem o swoim zadaniu, wróciłem do Hitlera, który rzecz jasna wykazał zrozumienie dla mojej wymijającej postawy.

Tym razem jednak Goring nie usiłował uciekać się do tej zrutynizowanej serdeczności. Nasza rozmowa odbywała się w prywatnym gabinecie jego domu na Obersalzbergu. Poinformowano go już, powiedział mu o tym Hitler, na którego uskarżał się w cierpkich słowach, mówiąc, że jest chwiejny. Jeszcze przed czternastoma dniami chciał zabrać mi budownictwo, wszystko było już ustalone, i wtedy po krótkiej rozmowie ze mną cofnął swoją decyzję. Tak jest zawsze. Niestety, Hitler zbyt często okazuje się człowiekiem zmieniającym zdanie. Goring powiedział zrezygnowany, że gotów jest naturalnie, na życzenie fuhrera, przekazać mi teraz zbrojenia lotnicze. Nie może jednak zrozumieć tego wszystkiego, gdyż jeszcze niedawno Hitler wypowiadał opinię, że Speer ma za duży zakres obowiązków.

Mimo iż tę nagłą zmianę łaski i niełaski odczułem jako zjawisko charakterystyczne i dostrzegalem w tym największe niebezpieczeństwo również dla własnej przyszłości, przyznaję jednak, że traktowałem to

jako sprawiedliwe wyrównanie naszych porachunków; zmieniły się tylko role. Zrezygnowałem natomiast z demonstracyjnego upokorzenia marszałka Rzeszy. Zamiast przedłożyć Hitlerowi zarządzenie, uzgodniłem z Goringiem, że on sam przekaże odpowiedzialność za zbrojenia lotnicze mojemu ministerstwu⁵.

Przejęcie zbrojeń lotniczych stanowiło niewielką przygrywkę w porównaniu z wydarzeniami, jakie nastąpiły teraz w wyniku przewagi w Niemczech nieprzyjacielskiej floty powietrznej. Chociaż część swych sił musiała ona skoncentrować do wsparcia inwazji, to jednak po dwutygodniowej przerwie nowa seria nalotów doprowadziła do wyłączenia z produkcji wielu zakładów materiałów pędnych. 22 czerwca nieczynnych było dziewięć dziesiątych zakładów produkujących paliwo lotnicze; wytwarzaliśmy dziennie zaledwie 632 tony. Gdy naloty osłabły, osiągnęliśmy 17 lipca jeszcze raz produkcję 2307 ton, co stanowiło równe 40 procent dawnego poziomu, ale już po czterech dniach, 21 lipca, wytwarzając dziennie 120 ton, znaleźliśmy się prawie u kresu tej produkcji. Wyłączonych było 98 procent zakładów produkujących materiały pędne dla lotnictwa.

Nieprzyjaciel co prawda pozwolił nam potem na częściowy rozruch wielkich chemicznych zakładów Leuny, dzięki czemu mogliśmy w końcu lipca podnieść produkcję materiałów pędnych dla lotnictwa do 609 ton. Obecnie uważaliśmy za sukces, jeżeli osiągnęliśmy poziom przynajmniej jednej dziesiątej produkcji. Liczne naloty tak uszkodziły system rur zakładów chemicznych, że nie tylko bezpośrednie trafienia, lecz jeszcze bardziej wstrząsy eksplodujących w pobliżu bomb naruszały urządzenia instalacyjne. Nie można było prawie dokonywać napraw. W sierpniu osiągnęliśmy 10 procent, we wrześniu 5,5 procent, w październiku znów 10 procent naszej dawnej zdolności produkcyjnej. Dopiero w listopadzie 1944 roku udało się, ku naszemu zdumieniu, uzyskać wzrost produkcji do 28 procent (1 633 tony dziennie)⁶. W Kronice pod datą 22 lipca 1944 roku można przeczytać: „Upiększone informacje pochodzące z Wehrmachtu powodują obawy ministra, że nie dostrzeżono jeszcze całkowicie krytycznej sytuacji”. W rezultacie sześć dni później wystosowałem do Hitlera memoriał w sprawie sytuacji w dziedzinie materiałów pędnych, który całymi akapitami prawie dosłownie pokrywał się z pierwszym, z 30 czerwca⁷. Oba memoriały stwierdzały, że spodziewany spadek produkcji w lipcu i sierpniu spowoduje niewątpliwie zużycie poważnej części rezerw lotniczych i innych materiałów pędnych, a w rezultacie wytworzy trudną do wypełnienia lukę, która musi „doprowadzić do tragicznych następstw”⁸.

Jednocześnie zaproponowałem Hitlerowi różne środki zaradcze, które powinny nam pomóc uniknąć tych następstw albo przynajmniej je opóźnić. Najważniejszym z tych przedsięwzięć było powołanie pełnomocnika do spraw totalnej mobilizacji wszystkich sił nadających się do udziału w likwidacji skutków nalotów. Zaproponowałem stworzenie Edmundowi Geilenbergowi, przedsiębiorczemu kierownikowi produkcji amunicji, wszelkich warunków, aby mógł bezwzględnie rekwirować surowce do rozwijania produkcji materiałów pędnych, ograniczać inną produkcję oraz ściągać fachowców. Hitler początkowo nie wyrażał na to zgody: „Jeżeli przyznam takie pełnomocnictwa, od razu będziemy mieli mniej czołgów. Na to nie można się zgodzić. W żadnym wypadku nie mogę do tego dopuścić”. Prawdopodobnie nie pojął jeszcze powagi sytuacji, chociaż już dawniej dość często rozmawialiśmy o grożącym niebezpieczeństwie. Zawsze powtarzałem mu, że czołgi będą stać bezużytecznie, jeśli nie wyprodukujemy potrzebnej ilości paliwa. Złożył swój podpis dopiero wówczas, gdy przyrzekłem mu wysoką produkcję czołgów, a Saut to potwierdził. Po dwóch miesiącach skierowano do odbudowy zakładów syntetycznych materiałów pędnych 150 tysięcy robotników, wśród nich bardzo duży procent najlepszych, niezbędnych w przemyśle zbrojeniowym fachowców. Do późnej jesieni 1944 roku liczba ta wzrosła do 350 tysięcy.

Opracowując swój memoriał, byłem przerażony brakiem rozsądku ze strony kierownictwa. Leżały przede mną raporty mojego urzędu planowania donoszące o codziennych stratach w produkcji, o niedoborach i terminach ponownego rozruchu fabryk - ale tylko pod warunkiem, że udałoby się zapobiec nieprzyjacielskim nalotom lub przynajmniej je ograniczyć. W swym memoriale z 28 lipca 1944 roku wprost błagałem Hitlera „o przeznaczenie na potrzeby obrony kraju znacznie większej części produkcji samolotów myśliwskich”. Ponownie zaklinałem go, czy nie byłoby bardziej celowe „zapewnić pilnie syntetycznym zakładom materiałów pędnych w kraju takiej osłony lotnictwa myśliwskiego, która umożliwiłaby przynajmniej częściową produkcję w sierpniu i wrześniu, zamiast postępować tak jak dotychczas, z całą świadomością, że we wrześniu albo październiku lotnictwo — zarówno na froncie, jak i w kraju - przestanie działać z powodu braku materiałów pędnych”⁹.

Pytania te kierowałem do Hitlera już po raz drugi. Po naszym posiedzeniu w Obersalzbergu w końcu maja zgodził się na plan Gallanda, aby z naszej zwiększonej produkcji samolotów myśliwskich utworzyć flotę powietrzną przeznaczoną do obrony kraju. Goring zaś ze

swej strony uroczyście przyrzekł na wielkiej konferencji w Karinhallu kiedy obecni tam przedstawiciele przemysłu materiałów pędnych ponownie zobrazowali mu beznadziejność sytuacji - powietrznej „Reich” nigdy nie pośle na front. Mimo to, po rozpoczęciu inwazji, Hitler i Goring skierowali ją do Francji; została tam rozbita w ciągu niewielu tygodni, nie osiągnąwszy widocznych sukcesów. Teraz, w końcu lipca, znów powrócono do przyrzeczenia Hitlera i Göringa; sformowano związek liczący 2 tysiące myśliwców z przeznaczeniem do obrony kraju. Samoloty te miały być we wrześniu gotowe do startu, ale i tym razem głupota sparaliżowała to przedsięwzięcie.

że tej floty

Na jednej z konferencji zbrojeniowych w dniu 1 grudnia 1944 roku mówiłem: „Trzeba sobie zdawać jasno sprawę, że ludzie, którzy po stronie nieprzyjaciela analizują naloty bombowe na nasze cele gospodarcze, orientują się w niemieckim życiu ekonomicznym, tym przypadku - w odróżnieniu od naszych nalotów bombowych - mamy do czynienia z mądrym planowaniem. Mieliśmy szczęście, że nieprzyjaciel konsekwentnie realizuje swe założenia dopiero od sześciu lub dziewięciu miesięcy... że przedtem, patrząc z jego punktu widzenia, robił głupstwa”. Mówiąc to nie wiedziałem, że już 9 grudnia 1942 roku, a więc dwa lata wcześniej, robocze sprawozdanie Amerykanów *Economic Warfare Division* stwierdzało, iż lepiej byłoby „spowodować wysoki stopień zniszczeń w paru rzeczywiście niezbędnych gałęziach przemysłu niż niewielkie zniszczenia w wielu dziedzinach. Wówczas rezultaty potęgują się, raz przyjęty plan winien być konsekwentnie realizowany”. Koncepcja była słuszna, wykonanie wadliwe, że w

Już w sierpniu 1942 roku w rozmowach z kierownictwem marynarki wojennej Hitler oświadczył, że inwazja może się powieść tylko wówczas, gdy wojska inwazyjne znajdą się w posiadaniu większego portu. Bez niego nieprzyjaciel nie byłby w stanie stawić czoła przeciwnatarciu wojsk niemieckich ani zapewnić sobie niezbędnego zaopatrzenia, obojętnie, w jakim rejonie wybrzeża by wylądował. Budowa ciągłej linii gęsto rozszanych, wzajemnie ubezpieczających się schronów bojowych na długim francuskim, belgijskim i holenderskim wybrzeżu przerastałaby znacznie możliwości niemieckiego przemysłu budowlanego, poza tym nie starczyłoby żołnierzy do obsadzenia takiej ilości stanowisk bojowych. Dlatego też tylko większe porty zostały otoczone wieńcem schronów bojowych, a na odcinkach wybrzeża między nimi zbudowano w dużych odstępach stanowiska obserwacyjne.

15 tysięcy mniejszych schronów przeznaczono dla żołnierzy na okres ogniowego przygotowania ataku. Hitler wszak wyobrażał sobie, iż w czasie właściwego ataku żołnierze będą walczyć na otwartej przestrzeni, ponieważ pozostawanie na zabezpieczonym stanowisku osłabiłoby w nich takie niezbędne do walki cechy, jak odwaga i osobista gotowość działania. Te urządzenia obronne zaplanował więc osobiście, łącznie z detalami; projektował nawet, najczęściej w godzinach nocnych, poszczególne rodzaje schronów. Projekty te wykonał precyzyjnie w formie szkicu. Nie wstydząc się samochwalstwa, zwykł podkreślać, że jego projekty w idealny sposób uwzględniają wszystkie potrzeby żołnierza frontowego. Dowódca saperów przyjął je prawie bez zmian i przekazał dalej do realizacji.

Do tych zadań zużyliśmy, zaledwie w ciągu dwóch lat pośpiesznego budownictwa, 13302 tysiące metrów sześciennych betonu¹⁰ wartości 3,7 miliarda marek, a z produkcji zbrojeniowej zabrano na te cele 1,2 miliona ton stali. Wszystkie te nakłady przepadły w ciągu czternastu dni, licząc od pierwszego lądowania nieprzyjaciela. Sprawiała to jedna genialna myśl techniczna. Jak wiadomo, oddziały inwazyjne przywiozły z sobą własny port, zbudowały też według dokładnych planów na odkrytym wybrzeżu w okolicy Arromanches i Omaha rampy wyladunkowe oraz inne urządzenia, które umożliwiły im zaopatrywanie w amunicję, sprzęt i żywność, a także przerzut posiłków¹¹. Tym samym całemu planowi obronnemu groziło fiasko.

Rommel, którego w końcu 1943 roku Hitler wyznaczył na stanowisko inspektora obrony wybrzeża na Zachodzie, był bardziej przewidujący. W jakiś czas po tej nominacji otrzymał zaproszenie do kwatery głównej w Kętrzynie. Po długiej konferencji Hitler odprowadzał feldmarszałka, towarzysząc mu aż do wyjścia ze schronu, gdzie jako następny czekałem na audiencję. Odniosłem wrażenie, że odżyła na nowo, gdy Rommel bez owijania w bawełnę oświadczył: „Musimy zatrzymać nieprzyjaciela już podczas pierwszego lądowania. Schrony bojowe wokół portów nie nadają się do tego. Tylko prymitywne, lecz skuteczne przeszkody i zapory na całym wybrzeżu mogą utrudnić lądowanie do tego stopnia, że nasze kontrakcje zakończą się sukcesem”. Rommel wyrażał się zwięźle i zdecydowanie: „Jeśli to się nie uda, inwazja mimo Wału Atlantyckiego powiedzie się. W Trypolisie i Tunisie przeprowadzono ostatnio tak zmasowane bombardowanie, nawet nasze najlepsze oddziały uległy demoralizacji. Jeżeli nie zdoła pan temu zapobiec, bezskuteczne okażą się wszystkie inne przedsięwzięcia, również zapory”. Rommel był uprzejmy, ale zachowywał dystans

że dyskusja

że

i unikał, co niemal rzucało się w oczy, zwrotu „mein fuhrer”. Zdobył sobie u Hitlera opinię fachowca, stał się w jego oczach swego rodzaju specjalistą w odpieraniu ofensyw na froncie zachodnim. Dlatego też Hitler przyjmował jego krytykę ze spokojem. Na ostatni jednak argument, dotyczący zmasowanych nalotów lotniczych, jakby oczekiwał: „Właśnie to chciałem panu dzisiaj pokazać, panie feldmarszałku”.

Następnie zaprowadził nas do doświadczalnego pojazdu - opancerzonego wozu, na którym zamontowane było 88-milimetrowe działo przeciwlotnicze. Żołnierze demonstrowali gotowość ogniową oraz poddawali próbie urządzenia zabezpieczające przed bocznym odrzutem przy strzale. „Jaką ilość może pan dostarczyć w następnych miesiącach, panie Saur?” Saur przyrzekł kilkaset sztuk. „Widzi pan, te opancerzone działa przeciwlotnicze są w stanie rozproszyć koncentrację bombowców nad naszymi dywizjami”. Czy Rommel zrezygnował z argumentacji wobec tak wielkiej ignorancji laika? W każdym razie reagował lekceważąco, prawie ze współczującym uśmiechem. Gdy Hitler spostrzegł, że nie może wzbudzić pełnego przekonania, pożegnał się szybko i niezadowolony poszedł wraz ze mną i Saurem do swego schronu, nie wracając ani słowem do tego incydentu. Później, po inwazji, Sepp Dietrich przekazał mi wiarygodną informację o demoralizującym działaniu tych dywanowych nalotów na jego elitarną dywizję. Żołnierze, którzy je przeżyli, zostali wytrąceni z równowagi, stali się apatyczni, a ich gotowość bojowa, nawet jeśli nie byli ranni, przez wiele dni pozostawiała dużo do życzenia.

Przebywając w Berghofie, 6 czerwca około godziny dziesiątej otrzymałem od jednego z wojskowych adiutantów Hitlera wiadomość, że wczesnym rankiem rozpoczęła się inwazja. „Czy obudzono fuhrera?” Zaprzeczył ruchem głowy: „Nie, informacje przekazuje mu się po śniadaniu”. Ponieważ w ostatnich dniach Hitler ciągle mówił o tym, że prawdopodobnie nieprzyjaciel rozpocznie inwazję od pozorowanego ataku, nikt nie chciał go budzić, aby nie narazić się na posądzenie o błędną ocenę sytuacji.

W kilka godzin później, podczas omawiania w Berghofie sytuacji, Hitler wydawał się być jeszcze silniej utwierdzony w swym poprzednim mniemaniu, że przeciwnik zamierza wprowadzić go w błąd: „Czy przypominacie sobie, panowie? Wśród wielu otrzymanych przez nas meldunków był jeden, który dokładnie przewidywał miejsce lądowania, dzień i godzinę. Właśnie to upewnia mnie teraz, że nie może być

jeszcze mowy o właściwej inwazji". Hitler twierdził, że informacje te podrzuciła mu nieprzyjacielska służba wywiadowcza w celu odwrócenia uwagi od rzeczywistego miejsca inwazji i spowodowania zbyt wczesnego i niekorzystnego użycia jego dywizji. Wprowadzony w błąd prawdziwym meldunkiem, odstąpił od swego poprzedniego, słusznego poglądu, że rejonem inwazji będzie przypuszczalnie wybrzeże Normandii.

Już w ubiegłych tygodniach Hitler otrzymał od konkurencyjnych organizacji wywiadowczych SS, Wehrmachtu i Ministerstwa Spraw Zagranicznych sprzeczne ze sobą meldunki o przewidywanym czasie i miejscu inwazji. Podobnie jak w wielu innych dziedzinach, również i tu podjął się on nawet dla fachowców trudnego zadania: którą z informacji uważać za prawdziwą, której służbie wywiadowczej bardziej zaufać, która z nich głębiej dotarła do nieprzyjaciela. Teraz kpił sobie nawet z nieudolności różnych służb wywiadowczych, a w końcu, coraz bardziej się podniecając, drwił z nedorzecznosci wywiadu w ogóle: „Jak panowie sądzą, ilu z tych oddanych nam agentów opłacają alianci? Celowo przekazują nam mylne informacje. Nie pozwolę nawet przesyłać ich do Paryża. Trzeba je po prostu zatrzymać, gdyż tylko denerwują nasze sztaby”.

Dopiero około południa rozstrzygnięto najpilniejszy problem dnia - użycie znajdującego się we Francji odwodu Naczelnego Dowództwa Wehrmachtu przeciwko przyczółkowi Anglo-Amerykanów; Hitler bowiem zastrzegł sobie, że tylko on może podjąć decyzję o przesunięciu każdej dywizji. Bardzo niechętnie spełnił żądanie naczelnego dowódcy zachodniego teatru działań wojennych, feldmarszałka Rundstedta, aby wprowadzić te dywizje do walki. Wskutek tego opóźnienia dwie dywizje pancerne nie mogły wykorzystać nocy z 6 na 7 czerwca na przegrupowanie się; w ciągu dnia bombowce nieprzyjaciela utrudniały im przemarsz, tak że dywizje poniosły duże straty w ludziach i sprzęcie, zanim jeszcze nawiązały styczność z przeciwnikiem.

Ten ważny dla losów wojny dzień nie przebiegł tak, jak można było oczekiwać. Właśnie w dramatycznych sytuacjach Hitler starał się zachować spokój, a jego sztab naśladował go w tym. Okazywanie nerwowości lub niepokoju przeczyłoby obowiązującym normom postępowania.

Również w ciągu następnych dni i tygodni Hitler tkwił w znamiennym, graniczącym z absurdalną podejrzliwością przekonaniu, że chodzi tu jedynie o inwazję pozorną, rozpoczętą po to, aby błędnie rozdysponować jego siły obronne. Sądził, że właściwa inwazja

zostanie przeprowadzona w zupełnie innym rejonie, gdzie nie ma oddziałów wojskowych. Również marynarka wojenna reprezentowała pogląd, iż teren ten nie nadaje się do przeprowadzania większych desantów. Hitler oczekiwał wówczas decydującego ataku w okolicach Calais - jak gdyby domagał się także od swego przeciwnika przyznania mu racji: tam bowiem od 1942 roku kazał instalować ukryte pod metrowym betonem najcięższe działa okrętowe do zniszczenia nieprzyjacielskiej floty desantowej. W tym również tkwi powód, dla którego nie użył on w bitwie u wybrzeży Normandii znajdującej się we Francji, w pobliżu Calais, 15 armii¹².

Jeszcze inna okoliczność utwierdziła Hitlera w przekonaniu, że atak nastąpi w rejonie Pas-de-Calais. Przygotowano tutaj pięćdziesiąt pięć stanowisk, z których codziennie miało startować na Londyn kilkaset bomb latających. Hitler zakładał, że właściwa inwazja przede wszystkim musi skierować się przeciwko wyrzutniom tych bomb. Nie chciał nawet dopuszczać do siebie myśli, że alianci również z Normandii mogą wkrótce opanować te rejony Francji. Sądził raczej, że w wyniku cię/kich walk przyczółek nieprzyjaciela skurczy się.

Hitler oraz my wszyscy spodziewaliśmy się, że ta nowa broń, V-1, wywoła w obozie przeciwnika zamieszanie, przerażenie i dezorganizację. Przecenialiśmy jej działanie. Co prawda budziła moje wątpliwości niewielka prędkość tych latających bomb i dlatego radziłem Hitlerowi, by wydał polecenie zezwalające na ich start tylko przy niskim pułapie chmur¹³. Ale nie brał on teraz tego pod uwagę. Gdy 12 czerwca przedwczesny jego rozkaz spowodował użycie pierwszych rakiet V-1, skutek organizacyjnych niedociągnięć wystartowało tylko dziesięć pocisków, z których zaledwie pięć osiągnęło Londyn. Hitler zapomniał, że sam do tego przynaglał, i swój gniew za niepowodzenie całego przedsięwzięcia wyładował na konstruktorach. W trakcie omawiania sytuacji Goring co prędzej zrzucił winę na swego przeciwnika Milcha, a Hitler chciał już powziąć decyzję o zaprzestaniu produkcji tych, jak obecnie sądził, zupełnie nieudanych bomb latających. Kiedy jednak szef prasowy Rzeszy pokazał mu utrzymane w sensacyjnym tonie, przesadzone informacje prasy londyńskiej o działaniu V-1, zmienił zdanie. Żądał obecnie zwiększenia produkcji; również Goring oświadczył teraz, że zawsze popierał i opowiadał się za realizacją tego wielkiego dzieła swego lotnictwa. O Milchu, wczorajszym koźle ofiarnym, nie było już więcej mowy.

Przed inwazją Hitler podkreślił, że z chwilą rozpoczęcia lądowania będzie osobiście kierował operacjami wojskowymi z teryto-

rium Francji. W tym celu kosztem milionów marek położono setki kilometrów kabla telefonicznego, a Organizacja Todta, zużywając wielką ilość betonu i drogiej instalacji, zbudowała dwie kwatery główne. Hitler osobiście decydował zarówno o lokalizacji, jak i wielkości tych kwater. W owych dniach, gdy tracił Francję, te olbrzymie wydatki uzasadniał argumentem, że przynajmniej jedna z tych głównych kwater leży dokładnie na przyszłej niemieckiej granicy zachodniej, dlatego też może służyć jako część systemu umocnień. 17 czerwca odwiedził jedną z nich, nazywaną W2, położoną między Soisson i Laon. Jeszcze tego samego dnia powrócił do Obersalzbergu. Był zniechęcony: „Rommel stracił nerwy, stał się pesymistą. Dzisiaj tylko optymiści mogą coś osiągnąć”. Po takich uwagach dymisja Rommla była już tylko kwestią czasu. Hitler bowiem swe pozycje obronne położone naprzeciw przyczółka uważał za nie do pokonania. Tego samego wieczoru wyraził się do mnie, że W2 jest mocno zagrożona, gdyż znajduje się w środku terenów objętych działaniami partyzantki francuskiej.

Prawie jednocześnie z pierwszymi dużymi sukcesami inwazji, 22 czerwca 1944 roku, rozpoczęła się ofensywa wojsk radzieckich, która niebawem miała doprowadzić do utraty przez nas dwudziestu pięciu dywizji. Teraz już nie było możliwe zatrzymanie natarcia Armii Radzieckiej nawet latem. W tych tygodniach, kiedy załamały się trzy fronty: na zachodzie, na wschodzie i w powietrzu, Hitler zdołał opanować nerwy i wykazywał zdumiewającą odporność. Prawdopodobnie zahartowała go długotrwała walka o władzę wraz z wieloma porażkami, tak jak Goebbelsa lub innych jego współbojowników. Być może nauczyło go doświadczenie, zdobyte podczas wspomnianych walk, że nie należy okazywać swym współpracownikom nawet najmniejszego niepokoju. Jego otoczenie podziwiała zimną krew, jaką zachowywał w krytycznych momentach. Zapewne przyczyniło się to znacznie do zaufania, z jakim przyjmowano podejmowane przez niego decyzje. Hitler zdawał sobie dobrze sprawę z tego, jak wiele oczu go obserwuje i jak wielkie posiałby zwątpienie, gdyby nawet na moment stracił opanowanie. Taka postawa była wyrazem jego niezwykle silnej woli do ostatka: przewyciężyć siebie samego mimo starzenia się, mimo choroby, mimo eksperymentów Morella i ciągle narastających obciążeń. Wydawało mi się często, że jego wola jest niepohamowana i kapryśna, jak u sześciolatniego dziecka, którego nic nie może zniechęcić ani zmęczyć; chociaż niekiedy śmieszna, to jednak godna respektu.

Ale samą tylko jego wolą nie można przecież wyjaśnić tego niezwykłego zjawiska: pewności zwycięstwa w okresie nieustannych klęsk. W więzieniu w Spandau powiedział mi w zaufaniu Funk, że tylko dlatego może stale i świadomie informować fałszywie lekarzy o swym stanie zdrowia, ponieważ wierzy w swoje kłamstwo. Dodał ponadto, że teza ta stanowiła podstawę goebbelsowskiej propagandy. Nieugiętą postawę Hitlera mogę wytłumaczyć tylko tym, że on sam wmówił sobie wiarę w ostateczne zwycięstwo. W pewnym sensie ubóstwiał sam siebie. Jak gdyby ciągle stał przed lustrem, w którym widział nie tylko siebie, lecz także potwierdzenie swojej misji przez boskie zrządzenie losu. Jego religią był „wielki przypadek”, który musi przyjść w samą porę; jego metodą - autosugestywne pokrzepianie się. Im mocniej wydarzenia przyciskały go do muru, tym bardziej zdecydowanie przeciwstawiał im swą pewność losu. Oczywiście, trzeźwo realizował założenia militarne; ale transponował je w dziedzinę wiary i nawet w klęsce widział ukrytą, stworzoną przez opatrność konstelację dla nadchodzącego sukcesu. Mógł wprawdzie niekiedy dostrzec beznadziejność sytuacji, pozostał jednak niezachwiany w swoim oczekiwaniu, że w ostatnim momencie los znów uśmiechnie się do niego. Jeśli w Hitlerze było coś chorobliwego, to ta jego niewzruszona wiara w swoją dobrą, szczęśliwą gwiazdę. Reprezentował typ człowieka wierzącego, ale w tej jego wierze była sama w sobie przewrotna skłonność do wierzenia¹⁴.

To opętanie wiarą nie pozostawało bez wpływu na otoczenie Hitlera. Byłem co prawda w jakiejś mierze przekonany, że teraz wszystko znajdzie swój kres, ale tym częściej mówiłem, chociaż ograniczało się to jedynie do dziedziny moich zadań, o „przywróceniu dawnego stanu”. Ta pewność tkwiła we mnie niezależnie od przeświadczenia o nieuchronnej klęsce.

Gdy w obliczu katastrofy na trzech frontach wojennych próbowałem jeszcze na konferencji zbrojeniowej w Linzu 24 czerwca 1944 roku wzbudzić zaufanie, spotkało mnie wyraźne niepowodzenie. Czytając dzisiaj tekst swego wystąpienia, jestem przerażony, że miałem wówczas niemal groteskową i szaloną odwagę wmawiać poważnym ludziom, iż nadal najwyższy wysiłek może przynieść sukcesy. Na zakończenie swoich wywodów mówiłem z przekonaniem, że w naszej dziedzinie przetrwamy zbliżający się kryzys, że w przyszłym roku uzyskamy taki sam wzrost zbrojeń jak w poprzednim. Mówiłem w uniesieniu; podsyciałem nadzieje, które na tle rzeczywistości musiały

być fantazjami. W praktyce co prawda okazało się, że w następnych miesiącach mogliśmy jeszcze podnieść naszą produkcję zbrojeniową. Czy nie wykazałem dość realizmu, aby w serii memorandumów oznajmić Hitlerowi nadciągającą i bliską już katastrofę? Jedno było przekonaniem, drugie - wiarą. W tym przeciwieństwie ujawniał się ów szczególny rodzaj zakłócenia świadomości, z jaką każdy z bliższego otoczenia Hitlera czekał na nieuchronny koniec.

Jedynie w ostatnim zdaniu mojego przemówienia pojawiła się znów myśl o odpowiedzialności, która wychodziła poza osobistą lojalność, zarówno w stosunku do Hitlera, jak i współpracowników. Wyglądało to wprawdzie na nic nie znaczący kwiatek retoryczny, ale ja przypisywałem temu większe znaczenie: „Spełniamy nadal swoje obowiązki, aby zachować naród niemiecki”. To właśnie zgromadzony krąg przemysłowców chciał usłyszeć. Ja sam w ten sposób po raz pierwszy publicznie przyznałem się do owego nadrzędnego obowiązku, o co apelował Rohland podczas swej kwietniowej wizyty. Myśl ta stale się rozwijała. Coraz bardziej dostrzegałem w tym zadanie, dla którego realizacji warto było jeszcze pracować.

Nie było wątpliwości: nie przekonałem kierowników przemysłu. Po moim przemówieniu, jak też w następnych dniach konferencji, słyszałem wiele głosów zwątpienia. Przed dziesięcioma dniami Hitler przyrzekł mi, że sam przemówi do przemysłowców. Z jego wystąpieniem łączyłem teraz jeszcze bardziej nadzieje na wywarcie pozytywnego wpływu na te minorowe nastroje.

Na polecenie Hitlera Bormann zbudował w pobliżu Berghofu hotel. Miał on niezliczonym pielgrzymom przybywającym na Obersalzberg umożliwiać wypoczynek, a nawet nocleg w sąsiedztwie Hitlera. 26 czerwca zgromadziło się w kawiarni hotelu „Platterhof” około stu przedstawicieli przemysłu zbrojeniowego. Na naszej konferencji w Lin-zu stwierdziłem, że ich niezadowolenie wypływa także ze wzrastającego nacisku aparatu partyjnego na życie gospodarcze. Istotnie, w świadomości wielu funkcjonariuszy partyjnych coraz głębiej zakorzeniała się idea swego rodzaju socjalizmu państwowego. Dawały już częściowo wyniki tendencje do podziału wszystkich znajdujących się w posiadaniu państwa zakładów na okręgi i podporządkowania ich własnym przedsiębiorstwom okręgowym. Wiele z nich poczuło się zagrożonymi niebezpieczeństwem przejścia po wojnie pod kontrolę państwa; dotyczyło to zwłaszcza licznych przeniesionych do podziemia zakładów, które urządziło i sfinansowało państwo, ale w których personel kierowniczy, fachowców, a także maszyny zapewniały poszczególne

firmy¹⁵- Ten właśnie, uwarunkowany wojną, nasz system kierowania przemysłem, który okazał się nadzwyczaj efektywny, mógł stworzyć ramy państwowosocjalistycznego ustroju gospodarczego; tak więc właśnie sam przemysł ze swoją udoskonaloną produkcją dostarczał przywódcom partyjnym argumentów do własnej zagłady.

Poprosiłem Hitlera o uwzględnienie tych obaw. Zażądał kilku tez do swojego przemówienia. Napisałem mu, aby zagwarantował pracownikom przemysłu, że otrzymają pomoc w nadchodzących ciężkich czasach kryzysowych oraz że zabezpieczy się ich przed ingerencją miejscowych instancji partyjnych; wreszcie mocno zaakcentowałem, iż „prywatna własność zakładów nie zostanie naruszona nawet w warunkach przejściowego przeniesienia ich pod ziemię jako przedsiębiorstw państwowych, że po wojnie funkcjonować będzie wolna gospodarka, że całkowicie zrezygnuje się z koncepcji upaństwowienia przemysłu”.

Wygłaszając przemówienie, oparte w sprawach merytorycznych na moich tezach, Hitler sprawiał niekorzystne wrażenie. Przejęczył się często, zaciął, urywał zdania, niekiedy gubił się i mylił. W wystąpieniu tym uwidoczniło się jego przerażające wyczerpanie. Właśnie w owych dniach sytuacja na froncie inwazyjnym pogorszyła się do tego stopnia, że nie można już było przeszkodzić zajęciu pierwszego wielkiego portu, Cherbourga; pomyślne rozwiązanie przez aliantów problemów zaopatrzenia musiało znacznie wzmocnić siłę armii inwazyjnych.

Z początku Hitler odrzucił wszystkie ideologiczne zastrzeżenia, „bowiem może istnieć tylko jeden dogmat, a dogmat ten brzmi krótko: słuszne jest to, co pożyteczne”. Tym samym potwierdził swój pragmatyczny sposób myślenia i w zasadzie uchylił swe przyrzeczenia dane przemysłowi.

Przejawiając zamiłowanie do teorii historyczno-filozoficznych oraz mglistych koncepcji rozwojowych, Hitler zawile zapewniał, że „siła twórcza nie tylko kształtuje, ale także bierze później w administrowanie to, co ukształtowała. Jest to źródło tego, co ogólnie określamy pojęciem kapitału prywatnego albo posiadania prywatnego czy też prywatnej własności. Sprawa wygląda nie tak, jak sądzi komunista, że w przyszłości będzie obowiązywał komunistyczny ideał równości, lecz odwrotnie: w miarę rozwoju ludzkości produkcja staje się coraz bardziej zróżnicowana, a więc zarządzanie nią najśluszniej byłoby powierzyć tym, którzy ją tworzą... W popieraniu prywatnej inicjatywy”, widział on, jedyną przesłankę każdego pomyślnego rozwoju, ba, dalszego rozwoju ludzkości. Z chwilą zakończenia wojny naszym

zwycięstwem

prywatna inicjatywa niemieckiej gospodarki przeżyje swą największą epokę! Co wtedy trzeba będzie zrobić! Proszę nie sądzić, że utworzę kilka państwowych biur konstrukcyjnych albo kilka państwowych biur gospodarczych... A gdy znowu nadejdzie wielka epoka niemieckiej gospodarki pokojowej, będę miał tylko jeden cel: pozwolić pracować największym geniuszom niemieckiej gospodarki... Jestem panom wdzięczny, że w ogóle umożliwiliście mi wypełnienie zadań (wojennych). Jako moje największe podziękowanie musicie coś przyjąć, mianowicie przyrzeczenie, że nadal będę okazywał swą wdzięczność i że nikt nie będzie mógł powiedzieć narodowi niemieckiemu, iż kiedykolwiek nie zrealizowałem swego programu. Jeżeli mówię panom, że niemiecka gospodarka przeżywać będzie po tej wojnie swój rozkwit, być może największy ze wszystkich epok, to musicie przyjąć te słowa jako przyrzeczenie, które pewnego dnia zostanie urzeczywistnione".

Po tym nie uporządkowanym i chaotycznym wystąpieniu Hitler otrzymał zaledwie niewielkie brawa. Czuliśmy wszyscy jakby uderzenie obuchem w głowę. Być może ta rezerwa spowodowała, że próbował on zastraszyć kierowników przemysłu perspektywami, jakie czekały ich w razie przegrania wojny: „Nie ma wątpliwości, że gdybyśmy tę wojnę przegrali, nie utrzymałaby się żadna prywatna gospodarka niemiecka. Wraz z całym narodem niemieckim zostałaby zniweczona również i ona. Nie tylko dlatego, że przeciwnicy nie życzą sobie niemieckiej konkurencji jest to pogląd zupełnie powierzchowny - lecz że chodzi tutaj w ogóle o sprawy zasadnicze. Prowadzimy walkę, która rozstrzygnie o zwycięstwie jednej z dwóch orientacji: albo cofnięcie ludzkości o kilka tysięcy lat, do prymitywnego stanu pierwotnego, z produkcją masową kierowaną wyłącznie przez państwo, albo dalszy rozwój ludzkości poprzez popieranie prywatnej inicjatywy". Po kilku minutach jeszcze raz powrócił do tej myśli: „W razie przegrania wojny, moi panowie, nie musicie się przestawiać (na gospodarke pokojową). Wtedy każdy będzie mógł jedynie zastanowić się nad wyborem tej lub innej drogi: czy chce to uczynić osobiście albo czy da się powiesić, czy chce się zagłodzić albo czy chce pracować na Syberii - są to jedyne alternatywy, jakie staną przed każdym człowiekiem". Hitler wypowiadał te zdania prawie szyderczo, w każdym razie z odcieniem pogardy dla tych „tchórzliwych mieszczańskich dusz". Nie pozostało to nie zauważone i od razu zniweczyło moje nadzieje, że przemówienie fuhrera znów zaktywizuje kierowników przemysłu.

Być może zirytowany obecnością Bormanna, albo też przez niego ostrzeżony, Hitler opowiedział się za wolną gospodarką w czasie

pokoju - czego od niego żądałem i co mi przyrzekł - nie tak jasno, jak tego oczekiwałem. W każdym razie niektóre zdania w tym przemówieniu były na tyle godne uwagi, że nadawały się do naszego archiwum. Hitler chętnie obiecał mi dać nagrane przemówienie oraz prosił o propozycje w sprawie przeredagowania go. Bormann natomiast sprzeciwił się temu; jeszcze raz więc przypomniałem Hitlerowi o jego przyrzeczeniu. Teraz wykręcał się tłumacząc, że musi jeszcze poprawić tekst.

1 Były wprawdzie dotychczas sytuacje krytyczne, jak atak na zapory na Ruhrze lub na zakłady łożysk kulkowych, jednakże nieprzyjacieli wykazywał ciągle brak konsekwencji, przechodząc od jednego celu do drugiego lub atakując niewłaściwe obiekty. Tak na przykład w lutym 1944 r. bombardował zajmujące wielką powierzchnię budynki przemysłu lotniczego, gdzie montowano kabiny, zamiast atakować zakłady silników, chociaż wąskim gardłem były dla nas właśnie silniki, których wysokość produkcji określała liczbę wytwarzanych samolotów. Zniszczenie tych zakładów uniemożliwiłoby wszelki wzrost produkcji samolotów, tym bardziej że nie mogliśmy, w przeciwieństwie do budynków montażu kabin, rozmieścić i rozproszyć w lasach i jaskiniach zakładów produkujących silniki lotnicze.

2 Krauch był szefem przemysłu chemicznego, Pleiger pełnomocnikiem Rzeszy do spraw węgla, a zarazem kierownikiem ważnych zakładów paliwowych, Butefisch szefem zakładów Leuny, Fischer członkiem zarządu I. G. Farben.

3 Pierwszy atak z 12 maja przyniósł straty wydajności wynoszące 14 proc. Dane te pochodzą z moich memoriałów skierowanych do Hitlera 30 czerwca i 28 lipca 1944 r. oraz z mojego opracowania pt.: *Skutki wojny powietrznej*, z 6 września 1945 r.

4 Liczba produkowanych miesięcznie myśliwców dziennych i nocnych wzrosła z 1017 w styczniu 1944 r. (przed falą ataków) do 1755 w maju i 2034 w czerwcu. Przeciętna miesięczna w 1943 r. wynosiła 849 sztuk.

Wobec zarzutów Göringa broniłem się następująco (protokół fuhrera z 3-5 czerwca 1944 r., pkt 20): „Przy tej okazji oświadczam fuhrerowi, iż pogląd marszałka Rzeszy, jakoby kierowane przeze mnie zbrojenia wojsk lądowych zaniżały w ostatnich dwóch latach zbrojenia wojsk powietrznych, zostaje obalony przez fakty, że w ciągu trzech miesięcy mimo ataków lotniczych produkcja samolotów została podwojona i że udało się to osiągnąć w tak krótkim czasie nie w wyniku wykorzystania nowych mocy produkcyjnych ze zbrojeń wojsk lądowych, jak sądzi marszałek Rzeszy, lecz tylko dzięki rezerwom pochodzącym ze zbrojeń wojsk powietrznych”.

5 Zarządzenie z 20 czerwca 1944 r. Göring próbował zachować swój prestiż, zarządzając, „by zbrojenia niemieckiego lotnictwa stosownie do wymagań taktycznych i ustaleń technicznych naczelnego dowódcy Luftwaffe prowadził odpowiedzialnie minister Rzeszy do spraw zbrojeń i produkcji wojennej”.

6 Na cztery tygodnie przed atakami na przemysł paliwowy, 19 kwietnia 1944 r., Pisałem do Hitlera: „Podczas gdy w 1939 r. produkowano w rafineriach (włącznie z paliwem samochodowym) ogółem 2 mln ton paliw i olejów, dzięki budowie nowych zakładów liczba ta w czasie wojny do 1943 r. wzrosła do 5,7 mln ton, a po oddaniu do użytku zakładów, które winny być gotowe jeszcze w tym roku, roczna produkcja osiągnie

7,1 mln ton". Przy remontach mogliśmy teraz sięgać do maszyn i części z tych dodatkowych urządzeń, o mocy produkcyjnej 1,4 mln ton rocznie lub 3800 ton dziennie. Tak więc opór Hitlera, który jesienią 1942 r. nie chciał zrezygnować z tych dodatkowych mocy produkcyjnych, mimo wszystko przyniósł korzyści.

7 22 maja spowodowałem mianowanie zaprzyjaźnionego ze mną pułkownika von Belowa, adiutanta Hitlera do spraw Luftwaffe, moim łącznikiem przy Hitlerze. Według protokołu fuhrera z 22-25 maja 1944 r. (pkt 8) miał on „zadanie informować mnie na bieżąco o poglądach wyrażonych przez fuhrera", co miało zapobiec nowym niespodziankom, jakie przeżyłem podczas mojej choroby. Below także przejął w przyszłości przekazywanie Hitlerowi moich memoriałów. Bezsensowne bowiem było przekazywanie ich osobiście, gdyż Hitler z reguły żądał, aby mu zreferować treść, sam jednak nie pozwalał referującemu wypowiedzieć się. Od Belowa dowiedziałem się, że Hitler gruntownie czytał te i następne moje memoriały, a nawet opatrywał je uwagami na marginesie i podkreśleniami.

8 Mimo rozśrodkowania produkcji straciliśmy w grudniu 1944 r. wskutek ataków bombowych 1 149 tyś. ton paliwa lotniczego, dwa razy więcej, niż wynosiły rezerwy Keitla. Teoretycznie były one zużyte już w sierpniu wskutek zmniejszonej produkcji w wysokości 492 tyś. ton; tylko wskutek niedopuszczalnego już ograniczenia lotów rezerwy utrzymywano jeszcze po 1 września 1944 r.

Nieprzyjacielowi trudniej było sparaliżować produkcję benzyny do samochodów i paliwa do silników dieslowskich, ponieważ rafinerie były bardzo rozproszone. W lipcu 1944 r. produkcja benzyny spadła do 37 proc., a paliwa dieslowskiego do 44 proc. Rezerwy benzyny samochodowej i paliwa dieslowskiego wynosiły w maju 1944 r. razem 760 tyś. ton. Produkcja przed atakami wynosiła 230 tyś. ton miesięcznie.

W drugim kwartale 1944 r. zrzucono na Niemcy w ciągu miesiąca przeciętnie 111 tyś. ton bomb, z tego na przemysł paliwowy w maju 5160 ton, czyli 1/20, w czerwcu 20 tyś. ton, czyli 1/5. W październiku 1944 r. RAF zrzucił 1/17, dwie amerykańskie floty powietrzne 1/8; w listopadzie 1944 r. RAF zrzucił jednak na przemysł paliwowy 1/4, a Amerykanie 1/3 ciężaru bomb. (Por. Graven i Gate, *op.cit.*, t. 3, oraz Wagenuhr, j.w.) Ponieważ właśnie nocne ataki RAF na przemysł paliwowy i rafinerie okazały się - w wyniku łączenia przy zrzutach bomb zapalających i ciężkich bomb burzących - skuteczniejsze od ataków amerykańskich, RAF nie wykorzystał przed listopadem istniejącej szansy, przynajmniej w wypadku położonych bliżej, łatwiejszych do zlokalizowania celów w Zagłębiu Ruhry i w pobliżu wybrzeża.

9 Według informacji Gallanda na obszarze Rzeszy znajdowało się wtedy tylko około 200 zdolnych do działań samolotów myśliwskich, przeznaczonych do obrony przed atakami dziennymi.

10 Według notatki z 5 czerwca 1944 r. dochodziło do tego 4664 tyś. m³ betonu na budowę schronów dla U-bootów i na inne przedsięwzięcia we Francji.

11 Według S. W. Roskilla (*The War at Sea*, London 1961, t. 3, cz. 2) bez tych portów nigdy nie udało się przeprowadzić lądowania. Użyto do tego 400 jednostek pływających o wyporności 1 500 tyś. ton, które częściowo zatopiono jako łamacze fal. Czas budowy uległ podwojeniu wskutek sztormów. Ale po dziesięciu dniach porty przybrały właściwą postać; od 8 lipca przez port brytyjski koło Avranches przechodziło dziennie 6 tyś. ton, podczas gdy port amerykański nie został wykończony.

12 Nieprzyjacieli liczył się z większym zdecydowaniem Hitlera. Według Gravena (*op. cit.*, t. 3) 9 amerykańska flota powietrzna zniszczyła atakami bombowymi w dniu D i dniach następnych 12 mostów kolejowych i 14 drogowych na Sekwanie, aby przeszkodzić przesunięciu się 15 armii niemieckiej, która stała koło Calais.

13 Por. protokół fuhrera z 3-5 czerwca 1944 r., pkt 16. Prace nad udoskonaleniem konstrukcji V-1 podjęto dzięki energii Milcha bezpośrednio po tym, kiedy zobaczył on w Peenemunde, gdzie przeprowadzano próby z wielką rakieta, jak mały efekt osiągnano przy pomocy bardzo skomplikowanych środków. Wbrew cichemu oporowi nawet mojego ministerstwa odniósł następnie własny sukces przez skonstruowanie i uruchomienie produkcji rakiety o podobnym działaniu, lecz wymagającej znacznie mniejszych nakładów.

14 W przemówieniu z 26 czerwca 1944 r., a więc po trzech katastrofach militarnych, Hitler snuł przed przemysłowcami następujące wywody: „Często wydaje mi się, że musimy przejść wszystkie próby diabła, szatana i piekła, nim wreszcie wywalczymy jednak ostateczne zwycięstwo... Nie jestem może tak zwanym pobożniem, ale w głębi duszy jestem pobożnym człowiekiem, to znaczy wierzę, że ten, kto zgodnie z prawami natury ustanowionymi przez Boga walczy dzielnie na tym świecie i nigdy nie kapituluje, lecz ciągle zbiera siły i ciągle idzie naprzód, tego Stwórca nie pozostawi w biedzie, ten otrzyma przecież w końcu błogosławieństwo opatrności. Było to udziałem wszystkich wielkich umysłów(!) na tej ziemi”.

15 Trzy tygodnie przedtem, 6 czerwca 1944 r., w przemówieniu w Essen wypowiedziałem się przeciw tym tendencjom i zapewniłem, że w czasie pokoju nasz system kierowania przemysłem zostanie zlikwidowany.

Rozdział 25

BŁĘDNE DYSPOZYCJE, CUDOWNA BRONŃ I SS

Wraz z widocznym pogarszaniem się sytuacji Hitler coraz trudniej przyjmował każdy argument sprzeciwiający się jego decyzjom i stawał się jeszcze bardziej despotyczny niż dotychczas. Jego upór wywierał również decydujący wpływ na dziedzinę techniki; właśnie najbardziej wartościową z naszych „cudownych broni” miał uczynić bezwartościową: Me-262, nasz supernowoczesny, wyposażony w dwa silniki odrzutowiec myśliwski o prędkości ponad 800 kilometrów i pułapie przewyższającym znacznie wszystkie nieprzyjacielskie samoloty.

Jeszcze jako architekt, przebywając w zakładach lotniczych Heinkla w Rostocku w 1941 roku, przeżyłem ogłuszający hałas pierwszego poddanego próbie silnika odrzutowego. Konstruktor, profesor Ernst Heinkel, nalegał wówczas na zastosowanie tego rewelacyjnego wynalazku w lotnictwie¹. W czasie narady zbrojeniowej na doświadczalnym poligonie lotniczym w Rechlinie we wrześniu 1943 roku Milch przekazał mi bez komentarza dostarczony mu telegram; zawierał on rozkaz Hitlera o zaprzestaniu przygotowań do seryjnej produkcji Me-262. Postanowiliśmy wprowadzić obejść w jakiś sposób ten rozkaz, prace jednak nie mogły być prowadzone nadal w takim tempie, jakie było niezbędne.

W trzy miesiące później, 7 stycznia 1944 roku, zostaliśmy z Milchem wezwani nagle do kwatery głównej. Informacja prasy angielskiej o dobiegających końca brytyjskich próbach z samolotem odrzutowym spowodowała właśnie zmianę stanowiska Hitlera. Żądał on teraz niecierpliwie dostarczenia w najbliższym czasie możliwie dużej liczby samolotów tego typu. Ponieważ zaniedbano wszelkie przygotowania, byliśmy w stanie przyrzec produkcję miesięczną w ilości 60 sztuk

dopiero na lipiec 1944 roku; od stycznia 1945 mieliśmy co miesiąc produkować 210 maszyn².

Już na tej konferencji Hitler napomknął, że skonstruowanego dla celów myśliwskich samolotu zamierza użyć jako szybkiego bombowca. Specjaliści rozczarowali się; wtedy oczywiście wierzyli jeszcze, że za pomocą niezbitych argumentów uda im się w końcu przekonać Hitlera. Ale stało się inaczej: z uporem nakazał usunięcie całej broni pokładowej, a tym samym zwiększenie udźwigu bomb. Sądził, że samoloty odrzutowe nie potrzebują się bronić, gdyż dysponując przewagą w prędkości nie mogą być zaatakowane przez nieprzyjacielskie myśliwce. Pełen nieufności do nowego wynalazku zdecydował, że w celu zapewnienia ochrony kabiny i silnika powinien on być początkowo używany przede wszystkim w prostym locie na dużej wysokości, a dla zmniejszenia ryzyka związanego z nie wypróbowanym jeszcze typem samolotu należy zakładać zmniejszenie prędkości.

że

Skuteczność tego niewielkiego bombowca, przy udźwigu bomb wynoszącym około 500 kilogramów i prymitywnych przyrządach celowniczych, była śmiesznie mała. Ale jako myśliwiec każdy samolot odrzutowy, odznaczający się przewyższającymi właściwościami, mógłby zestrzelić wiele czteromotorowych bombowców amerykańskich, które dokonując systematycznych nalotów na niemieckie miasta, zrzucały na nie tysiące ton materiałów wybuchowych.

W końcu czerwca 1944 roku podjęliśmy wraz z Goringiem ponowną próbę przekonania Hitlera, lecz znów bezskuteczną. W tym czasie piloci lotnictwa myśliwskiego wypróbowali nowe maszyny i domagali się użycia ich przeciwko amerykańskim flotom bombowców. Hitler wykręcał się: mówił, przytaczając różne nie przemyślane argumenty, że piloci myśliwców byliby narażeni na znacznie większe przeciążenie, spowodowane gwałtowną zmianą pułapu oraz kierunku lotu przy dużej prędkości; maszyny zaś, osiągając większą prędkość w walce powietrznej, znalazłyby się w niedogodnej sytuacji w stosunku do wolniejszych i dlatego bardziej zwrotnych myśliwców nieprzyjaciela. Hitler, który już raz tak postanowił, nie dał się przekonać teraz żadnymi argumentami; nie chciał zrozumieć, że samoloty te latały wyżej od amerykańskich myśliwców towarzyszących i że dzięki przeważającej prędkości mogły atakować nieruchliwe formacje amerykańskich bombowców. Im usilniej próbowaliśmy odwieść go od jego postanowień, tym bardziej uparcie trwał przy swoim zdaniu. Pocieszał nas, że w dalszej przyszłości na pewno wyrazi zgodę na użycie tych maszyn jako myśliwców.

Istniało zaledwie kilka prototypów samolotów, co do których sposobu wykorzystania sprzeczałyśmy się w czerwcu; mimo to rozkaz Hitlera musiał odbić się na perspektywnym planowaniu wojskowym. Od tego bowiem samolotu myśliwskiego sztaby generalne oczekiwały decydującej zmiany w wojnie powietrznej. W obliczu naszej rozpaczliwej sytuacji każdy, kto mógł się legitymować pewną znajomością tych zagadnień, starał się wpłynąć na zmianę jego decyzji: Jodl, Guderian, Model, Sepp Dietrich i naturalnie generałowie lotnictwa, wytrwale przeciwstawiający się ignoranckim postanowieniom Hitlera. Spotkało się to jednak z dezaprobatą z jego strony, ponieważ węszył, że wszystkie te próby podają poniekąd w wątpliwość jego fachową wiedzę wojskową i orientację w sprawach technicznych. Jesienią 1944 roku uwolnił się wreszcie w charakterystyczny dla siebie sposób od całego sporu i rosnących wątpliwości, po prostu zakazując poruszania tego tematu.

Kiedy nowemu szefowi Sztabu Generalnego Luftwaffe, generałowi Kreipemu, zakomunikowałem telegraficznie, co w swoim raporcie do Hitlera z połowy września zamierzam napisać na temat samolotów odrzutowych, poradził mi, abym stanowczo zaniechał nawet wzmianki o tym. Już na samo wspomnienie o Me-262 Hitler straciłby całkowicie panowanie, co mogłoby spowodować największe trudności. Wysnułby oczywiście przypuszczenie, że moja inicjatywa wyszła od szefa Sztabu Generalnego Luftwaffe. Wbrew tej prośbie jeszcze raz przekonywałem potem Hitlera, że zastosowanie maszyny skonstruowanej dla potrzeb lotnictwa myśliwskiego jako bombowca jest bezsensowne i nieuzasadnione w naszej obecnej sytuacji wojskowej. Opinię tę podzielają nie tylko lotnicy, lecz także wszyscy oficerowie wojsk lądowych. Jednakże Hitler nie zgadzał się z moimi zastrzeżeniami, więc po wielu daremnych staraniach wróciłem w rozmowie do spraw swego resortu. W istocie problemy użycia samolotów dotyczyły mnie w bardzo małym stopniu, podobnie zresztą jak i wybór odpowiednich typów do produkcji.

Samolot odrzutowy nie był jedyną nową, doskonałą bronią, która w 1944 roku mogła z etapu prób przejść do produkcji seryjnej. Posiadaliśmy latającą, zdalnie kierowaną bombę, samolot raketowy, który miał jeszcze większą prędkość niż samolot odrzutowy, bombę raketową, nakierowywaną na nieprzyjacielski samolot za pomocą promieni cieplnych, torpedę akustyczną, mającą właściwości ścigania, a następnie trafienia okrętu idącego kursem zygzakowatym. Zakończono prace nad konstrukcją rakiety ziemia-powietrze. Konstruktor

Lippisch zaprojektował samoloty odrzutowe - znacznie przewyższające ówczesny poziom w tej dziedzinie na zasadzie latającego skrzydła.

Mnogość tych projektów dawała się nam we znaki; skoncentrowanie się bowiem na kilku wybranych typach doprowadziłoby zapewne do wcześniejszej produkcji któregoś z nich. Z tego też względu na konferencji odpowiednich instancji postanowiono nie poszukiwać w przyszłości nowych pomysłów, lecz raczej z już istniejących wybierać te, które są dostosowane do naszych możliwości, a następnie energicznie wprowadzać je do produkcji.

Posunięcia Hitlera, mimo taktycznych błędów aliantów, pomagały im w uzyskiwaniu sukcesów w ofensywie powietrznej w 1944 roku; nie tylko zahamował on rozwój myśliwca odrzutowego, a następnie kazał go przekształcić w myśliwiec bombardujący - chciał również za pomocą nowej dużej rakiety wziąć odwet na Anglii. Na jego rozkaz od końca lipca 1943 roku przeznaczono olbrzymie zasoby produkcyjne na znaną pod nazwą V-2 rakietę dalekiego zasięgu, o długości 14 metrów i ciężarze ponad 13 ton. Żądał, by produkowano miesięcznie 900 sztuk tych rakiet. Było absurdem przeciwstawiać w 1944 roku nieprzyjacielskim flotom bombowców - które przez kilka miesięcy codziennie zrzucały na Niemcy około 3 tysięcy ton bomb, używając do tego celu 4100 czteromotorowych samolotów - rakiety, które byłyby w stanie przenieść dziennie na Anglię 24 tony materiału wybuchowego; równało się to ciężarowi bomb zrzuconych podczas jednego ataku sześciu latających fortec³.

Był to chyba jeden z moich największych błędów w kierowaniu niemieckim przemysłem zbrojeniowym, że z tą decyzją Hitlera nie tylko zgadzałem się, ale nawet ją popierałem. Należało raczej skierować nasze wysiłki na produkcję rakiety obronnej ziemia-powietrze. Prace nad nią pod kryptonimem „Wasserfall” były już w 1942 roku tak daleko zaawansowane, że można by wkrótce uruchomić seryjną jej produkcję. Należało tylko odtąd skoncentrować na niej w pełni wysiłki wszystkich techników i naukowców ośrodka raketowego w Peenemunde pod kierownictwem Wernhera von Brauna⁴.

Licząca 8 metrów długości rakietka była w stanie przenieść z dużą dokładnością do powietrznego celu 300 kilogramów materiałów wybuchowych aż na wysokość 15 tysięcy metrów. Można ją było używać zarówno w dzień, jak i w nocy, przy zachmurzonym niebie, mrozie i mgle. Jeżeli później mogliśmy zakładać, że miesięczna produkcja rakiety ofensywnej wyniesie 900 sztuk, to w przypadku tej mniejszej rakietki, nie wymagającej tak wielkich nakładów, można by planować

w tym samym czasie kilka tysięcy sztuk. Jeszcze dzisiaj sędzę, że rakietą tą razem z myśliwcami odrzutowymi mogłaby od wiosny 1944 roku udaremnić ofensywę powietrzną zachodnich aliantów na nasz przemysł. Zamiast tego przeznaczono olbrzymie nakłady na rozwój i produkcję rakiet dalekiego zasięgu, które - gdy wreszcie jesienią 1944 roku były gotowe do użycia - okazały się pomysłem prawie zupełnie nieudanym. Tak więc nasz projekt, którego realizacja pochłaniała największe sumy, był zarazem najbardziej bezsensowny. Nasza duma i faworyzowany przeze mnie w pewnym okresie cel przemysłu zbrojeniowego okazał się jedynie nieudaną inwestycją. Była to jednocześnie jedna z przyczyn przegranej obronnej wojny powietrznej.

Już od zimy 1939 roku pozostawałem w ścisłym kontakcie z ośrodkiem rozwojowym w Peenemunde, choć początkowo byłem odpowiedzialny tylko za realizację jego potrzeb budowlanych. Chętnie przebywałem w tym gronie obiektywnych, młodych naukowców i wynalazców, którymi kierował dwudziestosiedmioletni, mający skryształizowany cel przed sobą i realistyczny pogląd na przyszłość, Wernher von Braun. Było to niezwykle, że takim młodym, niedoświadczonym ludziom powierzono realizację pochłaniającego setki milionów marek projektu, którego ukończenie przewidywano w dalekiej przyszłości. Pod ojcowskim kierownictwem pułkownika Waltera Dornbergera, uwolnieni od biurokratycznych trosk, mogli oni pracować, a niekiedy także snuć idee, które wydawały się wręcz utopijne.

Również i mnie wyjątkowo zafascynowało to, co tutaj w początkowym okresie, w roku 1939, projektowano: było w tym coś z planowania cudu. Ci technicy ze swymi fantastycznymi wizjami, ci liczący romantycy zawsze wywierali na mnie duże wrażenie podczas wszystkich odwiedzin w Peenemunde i zupełnie spontanicznie czułem się w jakiś sposób z nimi spokrewniony. Uczucie to zdało egzamin, kiedy Hitler późną jesienią 1939 roku odmówił projektowi rakiety priorytetu, a tym samym automatycznie cofnięto przeznaczoną na to przedsięwzięcie siłę roboczą i materiały. W cichym porozumieniu z zarządem uzbrojenia wojsk lądowych, bez zezwolenia fuhrera, dalej budowałem urządzenia w Peenemunde, co było nieposłuszeństwem, na które tylko ja mogłem sobie pozwolić.

Po mianowaniu mnie ministrem zbrojeń oczywiście jeszcze bardziej interesowałem się tym wielkim projektem. Hitler jednak, tak jak i dawniej, przejawiał sceptycyzm: przepełniony nieprzepartą nieufnością do wszystkich nowości, które - podobnie jak samolot odrzutowy albo bomba atomowa - znajdowały się poza technicznym

horyzontem

doświadczeń generacji pierwszej wojny światowej i wprowadzały go w nie znany mu świat.

13 czerwca 1942 roku lecieli wraz ze mną do Peenemunde szefowie uzbrojenia trzech rodzajów sił zbrojnych: feldmarszałek Milch, admirał Witzell oraz generał pułkownik Fromm. Mieliśmy obserwować pierwszy start zdalnie kierowanej rakiety. Na polanie w sosnowym lesie sterczała w górę, bez żadnych podpierających rusztowań, przypominająca nierealne działo czteropiętrowej wysokości. Pułkownik Dornberger, Wernher von Braun oraz jego sztab oczekiwali tego pierwszego strzału z takim samym napięciem jak my. Wiedziałem, jak wielkie nadzieje wiązał młody wynalazca z tą próbą, która zarówno dla niego, jak i jego współpracowników była nie tylko kolejnym etapem służącym rozwojowi broni, lecz także krokiem w techniczną przyszłość.

Obłoczki pary wskazywały, że napełniono zbiorniki materiałem pędnym. W określonej sekundzie, początkowo jakby ociągając się, potem jednak z rykiem niepohamowanego olbrzyma rakiet powoli podniosła się ze swej podstawy, wydawało się przez ułamek sekundy, że zatrzymała się na słupie ognia, by następnie z wyciem zniknąć w niskich chmurach. Wernher von Braun promieniał, ja natomiast byłem oszołomiony dziełem cudu techniki, jego precyzją oraz przewyciężeniem wszystkich praw siły ciężenia, w wyniku czego 13 ton mogło być bez mechanicznego napędu wyrzucone pionowo w górę i zwiększać prędkość lotu.

Specjaliści wyjaśniali nam, w jakim oddaleniu znajduje się pocisk, gdy po upływie półtorej minuty ogłuszający wybuch uświadomił nam, że rakiet spadła w niewielkiej odległości. Zdrętwieliśmy, wybuchła bowiem zaledwie kilometr od nas. Jak się później dowiedzieliśmy, zawiodło sterowanie, ale mimo to technicy byli zadowoleni, gdyż rozwiązano najtrudniejszy problem oderwania się od ziemi. Hitler jednak nadal miał „największe” zastrzeżenia i wątpił, czy sprawność rakiety „zostanie kiedykolwiek zagwarantowana”.

14 października 1942 roku mogłem mu zakomunikować, że nie ma już powodów do jakichkolwiek zastrzeżeń: druga rakiet z powodzeniem przeleciała wyznaczoną odległość 190 kilometrów i trafiła bezpośrednio w cel, mając odchylenie zaledwie 4 kilometrów. Po raz pierwszy dzieło umysłu ludzkiego wzniosło się ponad 100 kilometrów w przestrzeń powietrzną: wydawało się, że był to krok w krainę marzeń. Hitler przejawiał teraz żywe zainteresowanie, ale jak zwykle miał wygórowane życzenia. Żądał, aby przy pierwszym użyciu raket znajdowało się w dyspozycji równocześnie 5 tysięcy pocisków „do masowego zastosowania”⁵

Po tym sukcesie miałem się starać o szybkie rozpoczęcie produkcji seryjnej. 22 grudnia 1942 roku przedłożyłem Hitlerowi do podpisu odpowiedni rozkaz, chociaż rakieta nie była jeszcze przygotowana do seryjnej produkcji⁶. Sądziłem, iż mogę wziąć na siebie związane z tym ryzyko, ponieważ ówczesny stan prac przygotowawczych oraz zapewnienia ośrodka w Peenemunde pozwalały przypuszczać, ostateczne przygotowania techniczne powinny być zakończone do lipca 1943 roku.

że

Rankiem 7 lipca zaprosiłem Dornbergera i Brauna w imieniu Hitlera do kwatery głównej. Chciał, aby poinformować go o szczegółach V-2. Z chwilą zakończenia odbywającej się z udziałem Hitlera konferencji przeszliśmy wspólnie do sali kinowej, gdzie kilku współpracowników Wernhera von Brauna przygotowało projekcję filmową. Po krótkim słowie wstępnym zaciemniono pokój i puszczono kolorowy film, na którym Hitler po raz pierwszy oglądał majestatyczne widowisko odrywającej się od ziemi i znikającej w stratosferze dużej rakiety. Bez tremy, z młodzieńczym entuzjazmem objaśnił von Braun swoje plany i nie było wątpliwości: od tej chwili pozyskano ostatecznie Hitlera dla tej idei. Dornberger zreferował kilka spraw organizacyjnych, podczas gdy ja zaproponowałem Hitlerowi mianowanie von Brauna profesorem. Zgodził się chętnie: „Tak, niech pan to zaraz załatwi u Meissnera. W tym przypadku akt nominacyjny podpiszę nawet osobiście”.

Hitler niezwykle serdecznie pożegnał się z przybyłymi z Peenemunde osobami; był mocno wzruszony i zarazem podniecony. Wróciwszy do swego schronu, upajał się perspektywami tego projektu: „A-4 rozstrzygnie losy wojny! A jak odciążona zostanie ojczyzna, gdy zaatakujemy tym Anglików! Jest to decydująca o wojnie broń, a przy tym jej produkcja wymaga stosunkowo skromnych środków. Speer, musi pan z całą energią popierać A-4. Trzeba im natychmiast oddać do dyspozycji niezbędną siłę roboczą i materiały. Miałem zamiar podpisać już program rozwoju broni pancernej. Jednak uważam: proszę, niech pan zastanowi się nad zmianami i przedstawi mi je w takiej formie, żeby produkcja A-4 była tak samo ważna jak produkcja broni pancernej. Ale”, powiedział kończąc, „w produkcji tej możemy zatrudnić tylko Niemców. Niech Bóg nas ma w swojej opiece, gdyby zagranica dowiedziała się o tej sprawie”.

Kiedy znów byliśmy sami, Hitler w jedno tylko nie chciał uwierzyć: „Nie pomylił się pan? Czy ten młody człowiek ma rzeczywiście dwadzieścia osiem lat? Wydawał mi się jeszcze młodszy!” Nadal jednak dziwił się, że człowiek już w tak młodym wieku przyczynił się do

przełomu w rozwoju myśli technicznej, która zmieni obraz przyszłości. Ilekroć później wypowiadał czasem opinię, że w naszym stuleciu ludzie trwonią swe najlepsze lata na niepotrzebne rzeczy, że w ubiegłych epokach Aleksander Wielki w wieku dwudziestu trzech lat pokonał duże państwo, a Napoleon mając trzydzieści lat odnosił swe genialne zwycięstwa, wydawało się, jakby nawiązywał do Wernhera von Brauna, który w równie młodych latach dokonał w Peenemunde technicznego cudu.

Jesienią 1943 roku okazało się, że nasze oczekiwania były przedwczesne. Ostateczne rysunki konstrukcyjne nie mogły być, jak przyrzekano, dostarczone w lipcu, tak że nie byliśmy w stanie dotrzymać naszego zapewnienia o szybkim przystąpieniu do produkcji seryjnej. Ujawniło się wiele błędów; zwłaszcza podczas oddawania pierwszych próbnych ostrych strzałów następowały z nie wyjaśnionych przyczyn przedwczesne eksplozje przy wchodzeniu w stratosferę. W wygłoszonym 6 października 1943 roku przemówieniu ostrzegąłem, że nie rozwiązano jeszcze wielu problemów i za wcześnie mówić o „skutecznym użyciu tej nowej broni”. Różnice między produkcją prototypową a seryjną, i tak już znaczne, musiały w tych wielce skomplikowanych mechanizmach odgrywać szczególną rolę.

Upłynął jeszcze prawie cały rok; na początku września 1944 wystrzelono pierwsze rakiety na Anglię. Nie tak, jak to sobie wyobrażał Hitler: pięć tysięcy za jednym odpaleniem, ale dwadzieścia pięć, i nie jednocześnie, lecz w ciągu dziesięciu dni.

Kiedy Hitler zaczął się zachwycać projektem V-2, uaktywnił się również Himmler. Po sześciu tygodniach zaproponował Hitlerowi, aby w stosunkowo prosty sposób zagwarantować utrzymanie w tajemnicy tej broni, która prawdopodobnie ma rozstrzygnąć wojnę: powierzając całą produkcję więźniom obozów koncentracyjnych, można by zapewnić przerwanie wszelkiego kontaktu ze światem zewnętrznym oraz wykluczyć jakąkolwiek korespondencję; jednocześnie zobowiązał się on dostarczyć (spośród więźniów) wszystkich niezbędnych fachowców. Przemysł zapewniłby jedynie personel kierowniczy i inżynierów. Hitler zgodził się na tę propozycję, Saurovi i mnie nie pozostało nic innego, zwłaszcza że nie mogliśmy dać lepszego rozwiązania.

W następstwie tego musieliśmy wraz z kierownictwem SS ustalić zasady działania dla wspólnego przedsięwzięcia „Mittelwerk”. Moi współpracownicy przystępowali do tych zadań z wahaniem. Ich obawy wkrótce się potwierdziły. Formalnie byliśmy wprawdzie kompetentni w sprawach produkcji, jednakże w poszczególnych wypadkach

musieliśmy ugiąć się przed większą siłą kierownictwa SS. Tak więc Himmler wszedł na nasze podwórko, a my sami wyraźnie mu w tym pomogliśmy.

Moja współpraca z Himmlerem rozpoczęła się dysonansem zaraz po mianowaniu mnie ministrem. Prawie każdemu ministrowi Rzeszy, z którego osobistym czy politycznym autorytetem Himmler musiał się liczyć, przyznawał on honorowy stopień SS. Dla mnie pomyślał o szczególnie wysokim wyróżnieniu: chciał mnie mianować oberstgruppenfuhrerem SS, a więc nadać mi stopień odpowiadający generałowi pułkownikowi i, jak dotychczas, bardzo rzadko przyznawany. Chociaż przekonywał mnie, jaki niebywały to zaszczyt, grzecznie wymawiałem się od przyjęcia jego propozycji.

Przytaczałem argument, że zarówno wojska lądowe⁷, jak i SA oraz Narodowo-cjonalistyczny Związek Kierowców daremnie usiłowały mi nadać wysokie stopnie honorowe. Pragnąc jednak złagodzić stanowczość odmowy, zaproponowałem reaktywowanie mojego dawnego szeregowego członkostwa SS w Mannheimie - nie zdając sobie sprawy, że nie figurowałem tam dotychczas w ewidencji członków.

Przez nadanie mi takiego wyróżnienia Himmler chciał oczywiście uzyskać wpływ i dotarcie do tych dziedzin, które nie były mu podporządkowane. Moja nieufność okazała się w tym wypadku uzasadniona. Istotnie Himmler natychmiast zrobił wszystko, aby włączyć się w dziedzinę zbrojeń wojsk lądowych, z własnej inicjatywy proponował licznych więźniów, a już w 1942 roku wykorzystywał swoją władzę do wywierania nacisku na różnych moich współpracowników: nietrudno było dostrzec, że z obozów koncentracyjnych chciał stworzyć wielkie nowoczesne ośrodki wytwarzania uzbrojenia, bezpośrednio podporządkowane SS. Fromm zwrócił mi wówczas uwagę na niebezpieczeństwa, jakie mogły z tego wynikać w unormowanym systemie zbrojeń wojsk lądowych. Jak się niebawem okazało, Hitler stał jednak po mojej stronie. Dostatecznie bowiem odstraszające były nasze przedwojenne doświadczenia z zakładami SS, które wyrabiały cegłę i poddawały obróbce granit. 21 września 1942 roku Hitler rozstrzygnął spór. Więźniowie mieli pracować w zakładach podporządkowanych przemysłowi zbrojeniowemu; naciski Himmlera na rozszerzenie swego wpływu zostały przynajmniej w tej dziedzinie zahamowane.

Dyrektorzy fabryk uskarżali się początkowo, że więźniowie przychodzili do pracy wyczerpani i po kilku miesiącach trzeba było odsyłać ich do macierzystych obozów. Ponieważ okres przyuczania do tej pracy trwał kilka tygodni, a personel nauczający był niewielki, nie

możliśmy sobie pozwolić na powtarzanie po kilku miesiącach procesu szkolenia. Na skutek naszych skarg SS polepszyła znacznie warunki sanitarne oraz wyżywienie. W trakcie moich wizyt w fabrykach zbrojeniowych zauważyłem niebawem, że więźniowie byli bardziej zadowoleni i lepiej odżywiani.

Rozkaz Hitlera o utworzeniu dużych, zależnych od SS zakładów produkcji rakiet złamał regułę, zgodnie z którą w dziedzinie zbrojeń dla wojsk lądowych pracowaliśmy samodzielnie.

W bezludnej dolinie Harzu zbudowano szeroko rozgałęziony system pomieszczeń podziemnych, przeznaczonych na magazyny chemikaliów niezbędnych do produkcji wojennej. 10 grudnia 1943 roku wizytowałem tutaj obszerne pomieszczenia, w których w przyszłości miały być wytwarzane V-2. W długich, jak gdyby nie kończących się halach więźniowie byli zajęci montowaniem maszyn i zakładaniem instalacji. Przenikali nas bezwiednie wzrokiem i automatycznie zdejmowali swe więzienne czapki z niebieskiego drelichu, dopóki nasza grupa nie przeszła.

Nie mogę zapomnieć pewnego profesora z Instytutu Pasteura w Paryżu, który składał zeznania jako świadek w procesie norymberskim. On również był zatrudniony w zakładzie „Mittelwerk”, który wówczas wizytowałem. Rzeczowo, bez jakiegokolwiek podniecenia opowiadał o nieludzkich warunkach panujących w tej nieludzkiej fabryce. Nie mogę zapomnieć tego obrazu i do dziś dręczy mnie niepokój, gdy wspomnę, jak on formułował swoje oskarżenie: bez nienawiści, jedynie smutny i załamany, a także zdumiony tak wielkim ludzkim zwyrodnieniem.

Warunki, w jakich żyli ci więźniowie, były rzeczywiście barbarzyńskie; na wspomnienie o tym jeszcze teraz ogarnia mnie uczucie głębokiego zażenowania i osobistej winy. Jak dowiedziałem się od dozorców po zakończeniu wizytacji, istniały tam niedostateczne warunki sanitarne, szerzyły się choroby, więźniowie kasłali w swych miejscach pracy w wilgotnych pomieszczeniach podziemnych, dlatego też notowano wśród nich nadzwyczaj wysoką śmiertelność⁸.

Jeszcze tego samego dnia zezwoliłem na przeznaczenie potrzebnych materiałów i uruchomiłem wszystko, aby natychmiast zbudowano na sąsiednim wzgórzu obóz z baraków. Ponadto nalegałem na esesowskie kierownictwo obozu w sprawie niezwłocznego podjęcia odpowiednich kroków dla polepszenia warunków sanitarnych i wyżywienia. Obiecano spełnić moje życzenie.

Dotychczas nie troszczyłem się w zasadzie o te problemy, a zapewnienia kierownictwa obozu spowodowały, że zaniedbałem te sprawy w następnym miesiącu. Dopiero gdy 13 stycznia 1944 roku dr Poschmann, sprawujący opiekę lekarską nad wszystkimi placówkami mojego ministerstwa, odmalował mi w najczarniejszych barwach higieniczne warunki w zakładzie, posłałem tam nazajutrz jednego z szefów departamentu. Jednocześnie dr Poschmann zaczął podejmować dodatkowe przedsięwzięcia lekarskie. Po kilku dniach wysiłki te zostały wskutek mojej choroby częściowo znów zniweczone. Zaraz jednak po moim powrocie, 26 maja, dr Poschmann poinformował mnie o zaangażowaniu cywilnych lekarzy w wielu obozach pracy; ale równocześnie wyłoniły się trudności. Tego samego dnia nadeszło utrzymane w grubiańskim tonie pismo od Roberta Leya, który kierując się formalnymi względami protestował przeciwko działalności dr. Poschmanna; interweniował, ponieważ opieka lekarska w obozach wchodziła w zakres jego kompetencji. Wzburzony domagał się ode mnie nie tylko odwołania dr. Poschmanna, lecz także zakazania mu na przyszłość wszelkich ingerencji oraz pociągnięcia go do odpowiedzialności dyscyplinarnej. Odpowiedziałem Leyowi niezwłocznie, iż nie widzę żadnych podstaw, aby spełnić jego żądanie; przeciwnie, jesteśmy jak najbardziej zainteresowani w zapewnieniu dostatecznej opieki lekarskiej więźniom. Jeszcze tego samego dnia omówiłem z dr. Poschmannem dodatkowe formy opieki sanitarnej. Spokojnie czekałem, jak na to zareaguje Ley, gdyż wszystko to uczyniłem za zgodą dr. Brandta, a z drugiej strony - pomijając względy humanitarne - wszelkie racjonalne motywy przemawiały za nami. Byłem przekonany, że Hitler nie tylko zdezaprobatą odniesie się do partyjnej biurokracji, którą obeszlśmy, ale jeszcze będzie z niej kpił.

Ley nie odezwał się jednak, a sam Himmler też nic nie wskórał, kiedy próbował mi udowodnić, że nawet z ważnymi osobistościami może postępować według własnego widzimisię. 14 marca 1944 roku kazał aresztować Wernhera von Brauna oraz jego dwóch współpracowników. Aresztowanie usiłowano umotywić tym, że mieli oni naruszyć jedno z moich zarządzeń, zaniedbując ważne pod względem wojennym zadania na rzecz projektów pokojowych. W rzeczywistości von Braun i jego sztab często prowadzili szczerze rozmowy na temat swych koncepcji i roli przy tym, jak to w dalekiej przyszłości można będzie zbudować i wykorzystywać rakietę dla komunikacji pocztowej między Stanami Zjednoczonymi a Europą. Równie beztrąsko jak naiwnie pograżali się w swych marzeniach i zezwolili pismu ilu-

strowanemu sporządzić pełne fantazji rysunki. Gdy Hitler odwiedził mnie w Klessheim podczas mojej choroby i potraktował nadspodziewanie uprzejmie, wykorzystałem tę okazję i uzyskałem zapewnienie uwolnienia aresztowanych. Ale upłynął tydzień, nim to przyrzeczenie zrealizowano, a po następnych sześciu tygodniach Hitler dąsał się i mówił, ile to kłopotów przysparza mu ta jego dobroduszość. W sprawie „B” przyrzekł mi jedynie (jak stwierdza to protokół fuhrera z 13 maja 1944 r.), że „dopóki jest on mi niezbędny, będzie wyłączony z wszelkiego ścigania karnego, nawet gdyby wynikły z tego poważne ogólne konsekwencje”. Mimo to Himmler osiągnął swój cel: odtąd również najbardziej wybitni członkowie sztabu raketowego nie czuli się bezpieczni przed jego samowolnymi ingerencjami. Było przecież oczywiste, że nie zawsze zdołałbym uwolnić ich znów w ciągu krótkiego czasu.

Już od dawna Himmler zmierzał do utworzenia własnego koncernu gospodarczego SS. Hitler, tak przynajmniej sądziłem, sprzeciwiał się, a ja go w tym popierałem. Być może tu właśnie leżała jedna z przyczyn osobliwego postępowania Himmlera, jakie ujawniło się podczas mojej choroby. W tych miesiącach udało mu się też przekonać ostatecznie Hitlera, że duże przedsięwzięcie gospodarcze SS posiada liczne walory. Na początku czerwca 1944 roku Hitler zażądał ode mnie popierania SS w dążeniach do zbudowania imperium gospodarczego, poczynszyszy od surowców aż do przetwórstwa. Żądanie uzasadniał dość dziwną troską o to, że SS musi być dostatecznie silna, aby na przykład za jego następców mogła przeciwstawić się ministrowi finansów, który chciałby uszczuplić jej fundusze.

Nastąpiło więc to, czego obawiałem się od początku swej działalności ministerialnej. Mogłem wprawdzie zwrócić uwagę Hitlera, że zakłady produkcyjne Himmlera „będą musiały podlegać tej samej kontroli co wszystkie pozostałe zakłady zbrojeniowe i produkujące na potrzeby wojenne”, że „jeden rodzaj sił zbrojnych uzyskuje samodzielność, podczas gdy ja z dużym trudem w ciągu dwuletniej pracy połączyłem w jednolity organizm zbrojenia trzech pozostałych rodzajów sił zbrojnych”. Hitler przyrzekał poprzeć mnie u Himmlera, ale nie byłem do końca pewny, -w jakim stopniu uda mu się to przeforsować. Nie ulega wątpliwości, że Himmler był poinformowany przez Hitlera o tej rozmowie, gdy poprosił mnie do swego domu w Berchtesgaden.

Reichsführer SS przypominał wprawdzie niekiedy fantastę, którego pomysły nawet sam Hitler uważał za śmieszne, ale jednocześnie

był wyjątkowo trzeźwo myślącym realistą, który dobrze zdawał sobie sprawę ze swoich dalekowzrocznych celów politycznych. Na konferencjach był uprzejmy, cechowała go nieco wymuszona poprawność, nigdy nie okazywał serdeczności - i zawsze starał się mieć przy sobie świadka ze swego sztabu. Posiadał rzadką wówczas zaletę - cierpliwość do wysłuchiwania argumentów osób składających mu wizyty. W dyskusjach był często drobiazgowy i pedantyczny, pozornie zastanawiał się długo nad właściwym doбором słów. Najwyraźniej było mu obojętne, czy jest to odczytywane jako przejaw nieporadności, czy też umysłowej ograniczoności. Biuro Himmlera pracowało z precyzją dobrze naoliwionej maszyny, w każdym razie zawsze wydawało mi się, jak gdyby jego operatywność odzwierciedlała się w rzeczowym stylu pracy jego sekretariatu. Sekretarki, młode dziewczyny, nie były wcale ładne, robiły jednak wrażenie nadzwyczaj pilnych i skrupulatnych.

Himmler przedstawił mi teraz przemyślaną, perspektywiczną koncepcję. W czasie mojej choroby, wbrew wszelkim, opartym na przepisach prawnych przeciwdziałaniom Saura, SS przywłaszczyła sobie duże przedsiębiorstwo zbrojeniowe, węgierski koncern Manfreda-Weissa. Właśnie na tej bazie Himmler chciał, jak mi to wyjaśniał, budować swój koncern gospodarczy, systematycznie i zdecydowanie dążąc do jego rozszerzenia. Zwrócił się do mnie o wskazanie mu fachowca, który mógłby zorganizować to potężne przedsiębiorstwo. Po krótkim namyśle zaproponowałem Paula Pleigera. Zbudował on duże zakłady stalowe w ramach planu czteroletniego, był człowiekiem stanowczym i energicznym, którego z uwagi na jego wielostronne powiązania z przemysłem Himmler nie mógłby lekceważyć i który by nie dążył do nadmiernego umacniania i bezmyślnego rozszerzania jego koncernu. Jednak Himmlerowi nie odpowiadała moja propozycja; nigdy więcej nie rozmawiał ze mną na temat swych zamierzeń.

Bliscy współpracownicy Himmlera: Pohl, Juttner i Berger, mimo że w kontaktach z ludźmi przejawiali upór i bezwzględność, odznaczali się jednak banalną dobroduszością, która na pierwszy rzut oka robiła korzystne wrażenie. Dwóch innych współpracowników charakteryzowała udzielająca się im od szefa oziębłość; zarówno Heydrich, jak i Kammler byli blondynami, mieli niebieskie oczy, wydłużony kształt głowy, ubierali się zawsze poprawnie, byli dobrze wychowani; obaj zdolni byli zawsze do podjęcia nieoczekiwanych decyzji i z rzadko spotykaną bezwzględnością, wbrew wszelkim oporom, potrafili je zrealizować. To, że Himmler wybrał Kammlera, było charakterystyczne. Mimo całego ideologicznego maniactwa, w spra-

wach kadrowych nie zwracał on uwagi na dawną przynależność partyjną: chodziło mu raczej o znalezienie człowieka energicznego, błyskotliwego i nadgorliwego. Wiosną 1942 roku wyznaczył Kammlera, zajmującego dotychczas wysokie stanowisko w pionie budowlanym Ministerstwa Lotnictwa Rzeszy, na kierownika zespołu budowlanego SS, a latem 1943 roku powierzył mu realizację programu raketowego. W trakcie nawiązanej potem współpracy nowy mąż zaufania Himmlera okazał się człowiekiem bezwzględny i wyrachowany, fanatykiem w realizacji celu, który potrafił starannie i skrupulatnie kalkulować.

Himmler zasypywał go zadaniami, przy każdej okazji zabierał z sobą do Hitlera; wkrótce rozeszły się pogłoski, że stara się desygnować go na mojego następcę. Podobało mi się wtedy rzeczowe podejście Kammlera, który w szeregu spraw był moim partnerem, w dążeniu do osiągnięcia określonej pozycji należał do moich konkurentów, a w swym rozwoju i stylu pracy pod wieloma względami był moim odbiciem: również on pochodził z drobnomieszczańskiej rodziny, ukończył studia wyższe, został odkryty dzięki swej działalności w budownictwie i zrobił szybką karierę w dziedzinach, w których w gruncie rzeczy nie specjalizował się.

W okresie wojny rozmiary przedsięwzięć gospodarczych określane były w dużym stopniu przez kontyngent robotników. SS rozpoczęła już na początku lat czterdziestych, a w późniejszym okresie we wzmożonym tempie organizowała potajemnie obozy pracy i troszczyła się o ich zapełnianie. Szef departamentu Schieber zwrócił mi w swym piśmie z dnia 7 maja 1944 roku uwagę, że SS zamierza wykorzystać fakt dysponowania siłą roboczą dla celów swej ekspansji gospodarczej. Ponadto SS bez skrupułów wyciągała z naszych fabryk wielką liczbę robotników obcokrajowców; pretekstem do aresztowania i przenoszenia delikwentów do własnych obozów były drobne przewinienia⁹. Moi współpracownicy oceniali, że wiosną 1944 roku traciliśmy w ten sposób miesięcznie 30-40 tysięcy robotników. Mając to na względzie oświadczyłem Hitlerowi w początkach czerwca 1944 roku, że „nie wykonam zadań, jeśli zabierze mi się 500 tysięcy robotników w ciągu roku... Ma to znaczenie tym większe, że chodzi tu w poważnym stopniu o z trudem przyuczonych fachowców". Powinni oni „możliwie szybko powrócić znów do swego dawnego zawodu". Hitler przyrzekł mi wówczas, że kiedy odbędę rozmowy z Himmlerem, podejmie decyzje po mojej myśli. Ale Himmler, wbrew oczywistym faktom, wciąż wypierał się takich praktyk zarówno w rozmowie ze mną, jak i z Hitlerem.

że „nie

Również sami więźniowie obawiali się, jak to niekiedy mogłem zauważyć, rosnącej ambicji gospodarczej Himmlera. Przypominam sobie pobyt w zakładach stalowych w Linzu latem 1944 roku, gdzie więźniowie swobodnie poruszali się wśród pozostałych robotników. W wysokich halach fabrycznych stali oni przy maszynach, zatrudnieni jako pomocnicy robotników kwalifikowanych, którzy nieskrępowanie rozmawiali z nimi. Pilnowała ich nie SS, lecz żołnierze wojsk lądowych. Gdy rzuciłem robotnikom retoryczne pytanie, czy nie woleliby wrócić do swych poprzednich obozów, ogarnęło ich gwałtowne przerażenie; ich twarze wyrażały nie ukrywaną trwogę.

Nie stawiałem dalszych pytań, bo i po co. Z ich twarzy można było w zasadzie wyczytać wszystko. Gdybym mógł dzisiaj zgłębić uczucia, jakie mnie wówczas ogarniały, gdybym starał się wyjaśnić, co to właściwie było: współczucie, irytacja, udręka czy oburzenie - to wydaje mi się, jakby ten desperacki wyścig z czasem, ta ciągła pogoń za wskaźnikami produkcji i wytwarzania przesłoniły całkowicie myśli i uczucia ludzkie. Pewien amerykański historyk powiedział mi, że

W procesie norymberskim zarzucano mi i oskarżano mnie o zatrudnianie więźniów w zakładach zbrojeniowych. W myśl orzeczenia sądu moja wina wzrosłaby, gdyby udało mi się, wbrew oporowi Himmlera, zwiększyć liczbę naszych więźniów, a tym samym stworzyć niektórym ludziom szansę przeżycia. Paradoksalne, że czułbym się dzisiaj lepiej, gdybym w takim rozumieniu prawa był bardziej winny. Ale ani normy oceny w procesie norymberskim, ani wyliczanie uratowanych ofiar nie dotyczą tego, o co mi dzisiaj chodzi; zarówno bowiem jedno, jak i drugie mieści się w ramach systemu. Niepokoi mnie raczej to, że w twarzach więźniów nie dostrzegalem odbicia reżimu, którego egzystencję w tych tygodniach i miesiącach starałem się z uporem maniaka przedłużyć. Poza reżimem nie widziałem motywów moralnych, jakimi powinienem się być kierować. Czasami zapytuję sam siebie, kim właściwie był ten młody człowiek, który stał mi się tak obcy, a który przed dwudziestu pięciu laty chodził po halach fabrycznych zakładów w Linzu lub też zjeżdżał do sztolni zakładów „Mittelwerk”.

Pewnego dnia, zdaje się latem 1944 roku, odwiedził mnie mój przyjaciel Karl Hanke, gauleiter Dolnego Śląska. W poprzednich latach

opowiadał mi wiele o kampanii w Polsce i we Francji, mówił o zabitych i rannych, o cierpieniach i męczarniach; okazał się przy tym człowiekiem współczującym. Tym razem, siedząc w moim gabinecie na fotelu obitym zieloną skórą, był zmieszany, mówił zacinając się. Nigdy nie powinienem przyjąć zaproszenia do odwiedzenia obozu koncentracyjnego na Górnym Śląsku. Nigdy, w żadnym wypadku. Tam miało się dziać coś takiego, czego on ani nie chce, ani nie jest w stanie opisać.

Nie pytałem go o to, nie pytałem Himmlera, nie pytałem Hitlera, nie rozmawiałem na ten temat ze swymi przyjaciółmi. Nie wnikałem - nie chciałem wiedzieć, co się tam działo. Musiało tu chodzić o Oświęcim. W tych sekundach, gdy Hanke mnie ostrzegł, cała odpowiedzialność stanęła znów przede mną. O tych zwłaszcza chwilach musiałem myśleć na procesie norymberskim, kiedy przed Międzynarodowym Trybunałem stwierdzałem, że ja, jako ważna osobistość kierownictwa Rzeszy, ponoszę ogólną odpowiedzialność za to wszystko, co się stało. Od tego bowiem momentu byłem z tym przestępstwem moralnie związany, gdyż w obawie, żeby nie odkryć czegoś, co pobudzałoby mnie do wyciągania konsekwencji, przysmykałem oczy. Ta świadoma ślepotą niweczy wszystkie pozytywy, to, co być może w ostatnim okresie wojny powinienem i chciałem uczynić; przez nią cała moja działalność sprowadza się do zera. Właśnie dlatego, że wtedy zawiodłem, jeszcze dzisiaj czuję się osobiście odpowiedzialny za Oświęcim.

1 Pod koniec wojny usłyszałem od Gallanda, że niedostateczne zainteresowanie najwyższego dowództwa spowodowało opóźnienie, wynoszące około półtora roku.

2 Liczby pochodzą z programu 225, który obowiązywał od 1 marca 1944 r., ale mógł zostać zrealizowany tylko częściowo. Według tego programu miano skonstruować następującą ilość Me-262: w kwietniu 1944 r. 40 szt., wzrost do lipca 1944 - 60 szt.; poziom 60 szt. miał pozostać niezmienny do października 1944 r. włącznie, wzrost do 210 szt. od stycznia 1945 r., dalszy wzrost do 440 szt. w kwietniu, do 670 szt. w lipcu i do 800 szt. w październiku 1945 r.

3 Według „U S Air University Review”, t. XVII, nr 5 (lipiec-sierpień 1966) czteromotorowy B-17 (latająca forteca) kosztował w 1944 r. 204370 dolarów (858 tyś. RM), natomiast V-2 kosztowała, według dokładnych obliczeń Davida Irvinga, 144 tyś. RM, a więc jedną szóstą wartości bombowca. Sześć rakiet przenosiło 4,5 t ładunku wybuchowego (każda rakietka 750 kg). Rakietki ulegały zniszczeniu po jednorazowym użyciu. Bombowiec typu B-17 mógł natomiast w niezliczonych akcjach w promieniu U-3200 km przenosić do celu 2 t materiału wybuchowego. Tylko na Berlin zrzucono ogółem 49 400 t ładunków wybuchowych i bomb-. Powodując poważne uszkodzenia lub całkowite zniszczenie 20,9 proc. mieszkań (Webs - ter *op- cit*, t. 4). Aby za pomocą V-2 przenieść na Londyn takie same ilości,

musielibyśmy użyć 66 tyś. wielkich rakiet, a więc całej produkcji sześciu lat. Dlatego na naradzie propagandowej, prowadzonej 29 sierpnia 1944 r. przez Goebbelsa, musiałem przyznać: „Zachodzi pytanie, czy V-2... może być w jakiejś formie elementem psychologicznym decydującym o losach wojny. Nie jest to możliwe pod względem czysto technicznym... Wpływ psychologiczny leży poza zasięgiem tego, co mam do powiedzenia. Twierdzą tylko, że zawsze potrzeba czasu, aby... działanie naszych nowych rodzajów broni osiągnęło właściwy stopień”.

4 Abstrahując od argumentów Hitlera, temu rozsądnemu stanowisku stało na przeszkodzie to, że Peenemunde produkowało dla sił lądowych, a obrona przed atakami powietrznymi była sprawą Luftwaffe. Wskutek podziału interesów sił lądowych i lotnictwa oraz wskutek ambicji istniejących w wojskach Wehrmachtu siły lądowe w żadnym wypadku nie byłyby skłonne odstąpić konkurentom swych urządzeń zbudowanych w Peenemiinde. W wyniku podziału między rodzajami wojsk Wehrmachtu niemożliwe były nawet badania i prace konstrukcyjne. Przy wcześniejszym pełnym wykorzystaniu możliwości konstrukcyjnych Peenemiinde „Wasserfall” mógłby wcześniej wejść do produkcji. Jeszcze 1 stycznia 1945 r. - znamienne dla podziału priorytetów -2210 naukowców i inżynierów zajmowało się w Peenemiinde rakietami dalekiego zasięgu A-4 i A-9, natomiast tylko 220 projektem „Wasserfall” i 135 inną rakieta przeciwlotniczą („Taifun”).

Profesor dr C. Krauch, pełnomocnik do spraw chemii, radził mi w szczegółowym memoriale 29 czerwca 1943 r., w niecałe dwa miesiące przed podjęciem przez nas błędnej decyzji: „Zwolennicy szybkiego rozwoju środków ataku powietrznego, tzn. kontrterroru, wychodzą z założenia, że atak jest najlepszą bronią i że nasze przeciwdziałanie za pomocą rakiet skierowanej na Anglię musi prowadzić do zmniejszenia ataków powietrznych na Rzeszę. Nawet przy nie zrealizowanym dotychczas założeniu, że można byłoby w nieograniczonych ilościach używać rakiet wielkiego zasięgu i wtedy rzeczywiście umożliwiono by zniszczenia największych rozmiarów, wniosek ten wobec dotychczasowych doświadczeń wydaje się błędny. Przeciwnie, w Anglii po naszych atakach rakietowych nawet dotychczasowi przeciwnicy terroru powietrznego wobec ludności niemieckiej... będą domagać się od swego rządu maksymalnego nasilenia terroru powietrznego przeciw skupiskom naszej ludności, przed którym ciągle jesteśmy niemal bezbronni... Rozważania te przemawiają za dalszym forsowaniem środków obrony przeciwlotniczej, sprzętu C-2 „Wasserfall”. Trzeba ich użyć nagle w jak największej ilości... Innymi słowy: każdy fachowiec, każdy robotnik i każda godzina pracy przeznaczona na maksymalne rozwijanie tego programu będzie miała wielokrotnie większy wpływ na rozstrzygnięcie wojny niż wysiłek na rzecz każdego innego programu. Wszelka zwłoka w realizacji tego programu może mieć skutki, które się odbiją na rozstrzygnięciu wojny”.

5 Por. protokół fuhrera z 13/14 października 1942 r., pkt 25. Również 5 tyś. rakiet dalekiego zasięgu, a więc ilość produkowana przez ponad pięć miesięcy, przetransportowało tylko 3750 t ładunku wybuchowego; natomiast w jednym jedynym kombinowanym ataku amerykańskiej i brytyjskiej floty powietrznej zrzucano 8 tyś. ton.

6 Ten rozkaz z 12 grudnia 1942 r. uprawniał kompetentne osoby do realizacji planów wykonania nie gotowych jeszcze konstrukcji oraz do zamawiania obrabiarek, których dostawa wymagała miesięcy; można było rozpocząć pertraktacje z firmami dostawczymi oraz wprowadzić do robót wykonawczych niezbędne kontyngenty materiałów.

7 Mój poprzednik, dr Todt, miał honorowy stopień generała majora Luftwaffe, co stawiało go na niższej pozycji w pertraktacjach z jego kontrahentami, posiadającymi

znacznie wyższe stopnie. Już z tego powodu nie wskazana była ta praktyka, którą ponadto odrzucałem z przyczyn ogólnych.

8 Jak przerażające wrażenie wywarł na nas obóz, wynika z zawołowanych

sformułowań *Kroniki* z 10 grudnia 1943 r.: „Rankiem 10 grudnia minister udał się na zwiedzanie nowego zakładu w Harzu. Wykonanie tego ogromnego zadania wymagało od osób sprawujących kierownicze funkcje oddania ostatnich sił. Niektórzy byli w takim stanie, że dla podreperowania nerwów trzeba ich było wysłać na przymusowy urlop”.

9 Dr Schieber kontynuował w swym piśmie z 7 maja 1944 r.: „Z wysokiego procentu robotników cudzoziemców, zwłaszcza Rosjan, w naszych zakładach zbrojeniowych odchodzi stopniowo nie dająca się już bagatelizować część do zakładów gospodarczych SS; w ten sposób tracimy tę część robotników. Ubytek ten powoduje coraz szersza rozbudowa wielkiego koncernu gospodarczego SS, którą prowadzi konsekwentnie szczególnie obergruppenfuhrer Pohl”.

Rozdział 26

OPERACJA „WALKIRIA”

Kiedy przelatywałem nad zbombardowanym zakładem paliw płynnych, uderzyła mnie precyzja, z jaką alianckie floty powietrzne dokonywały nalotów dywanowych. Uświadomiłem sobie nagle, że przy takiej dokładności bombardowania alianci mogliby łatwo w ciągu jednego dnia zniszczyć wszystkie mosty na Renie. Obawy te potwierdzili eksperci, którym poleciłem nanieść na uwidocznione na zdjęciach lotniczych leje bombowe mosty na Renie w odpowiedniej skali. Kazałem szybko przygotować dźwigary stalowe do sprawnej naprawy mostów. Ponadto przeznaczyłem do tego celu dziesięć promów oraz jeden most pływający.

Dziesięć dni później, 29 maja 1944 roku, pisałem zaniepokojony do Jodla: „Dręczy mnie myśl, że pewnego dnia wszystkie mosty na Renie zostaną zniszczone, co -jak wynika z moich obserwacji zagęszczenia zrzutów bomb w ostatnim czasie - może się zdarzyć. Jaka będzie sytuacja, gdy przeciwnik - po odcięciu połączeń komunikacyjnych z armiami znajdującymi się w okupowanych zachodnich rejonach - dokona lądowania nie na Wale Atlantyckim, lecz na niemieckim wybrzeżu Morza Północnego? Byłoby to zupełnie możliwe, przecież już dzisiaj posiada on absolutną przewagę lotniczą na północnoniemieckich terenach przybrzeżnych, co jest podstawowym warunkiem pomyślnego lądowania. W każdym razie jego straty byłyby mniejsze niż przy bezpośrednim ataku na Wał Atlantycki”.

We własnym kraju nie dysponowaliśmy prawie jednostkami wojskowymi. Obawiałem się, że gdyby oddziały spadochroniarzy opanowały lotniska w Hamburgu i Bremie, a następnie niewielkimi siłami zajęły porty tych miast, wówczas lądujące armie inwazyjne, nie napotykając oporu, mogłyby zająć w ciągu kilku dni Berlin i całe

Niemcy. A w tym czasie stacjonujące na zachodzie trzy armie byłyby odcięte przez Ren, natomiast grupy wojsk na wschodzie związałyby się ciężkimi walkami obronnymi, poza tym znajdowały się one zbyt daleko, aby móc w porę interweniować.

Moje obawy były podobnie dziwne jak niektóre wyobrażenia Hitlera. W czasie kolejnego pobytu w Obersalzbergu Jodl powiedział mi z ironią, że zamierzam zapewne zaciągnąć się teraz w szeregi strategów, chociaż i tak są one nadmiernie przepełnione; Hitler natomiast podchwycił tę myśl. W dzienniku Jodla pod datą 5 czerwca 1944 roku znajduje się następująca uwaga: „Należy zorganizować w Niemczech dywizje szkieletowe, do których w razie potrzeby wcieli się urlopowiczów i rekonwalescentów. Speer wyposaży je szybko w broń. Na urlopowiczach przebywa stale 300 tysięcy żołnierzy, a więc 10-12 dywizji”.

Ani Jodl, ani ja nie wiedzieliśmy, że koncepcja ta była już od dawna przygotowana organizacyjnie. Od maja 1942 roku istniały pod kryptonimem „Walkiria” opracowane aż do najdrobniejszego szczegółu wytyczne, określające sposób szybkiego ściągnięcia znajdujących się w Niemczech oddziałów na wypadek rozruchów albo w sytuacjach alarmowych. Ale teraz zainteresował się tym Hitler i już 7 czerwca 1944 roku odbyła się na ten temat w Obersalzbergu konferencja, w której oprócz Keitla i Fromma wziął również udział pułkownik von Stauffenberg.

Generał Schmunt, szef adiutantury Hitlera, wytypował hrabiego Stauffenberga, aby jako szef sztabu aktywizował on do pracy zmęczonego Fromma. Jak wyjaśniał mi Schmunt, Stauffenberga uważano za jednego z najdzielniejszych i najzdolniejszych oficerów armii niemieckiej. Niekiedy sam Hitler zalecał mi bliską i poufną współpracę z nim. Mimo odniesienia ciężkich ran Stauffenberg zachował młodzieńczy urok, miał w sobie coś z poety, a jednocześnie był precyzyjnie dokładny; jego osobowość ukształtowały dwa pozornie przeciwstawne środowiska: grupa Georgego* i Sztab Generalny. Porozumielibyśmy się dobrze również bez zaleceń Schmunda. Po zamachu, z którym jest związane ściśle nazwisko Stauffenberga, często o nim myślałem i nie znajdowałem innego trafnego określenia niż to, które sformułował Holderlin: „Wyjątkowo nienaturalny, pełen sprzecz-

* Stefan George, ur. 12.7.1868 r., zm. 4.12.1933 r., poeta niemiecki, jeden z czołowych przedstawicieli niemieckiego symbolizmu. W latach 1892-1919 wydawał czasopismo „Blatter für Kunst”, wokół którego powstała grupa poetów i uczonych (tzw. George-Kreis), głoszących niemal sakralny charakter sztuki i twórcy.

ności charakter, jeśli się nie patrzy na niego przez pryzmat okoliczności, które jego łagodnemu usposobieniu narzucały te surowe cechy".

W dniach 6 i 8 lipca kontynuowano rozmowy w Berghofie. Razem z Hitlerem siedzieli wokół okrągłego stołu przy oknie Keitel, Fromm i inni oficerowie; obok mnie zajął miejsce, mając przy sobie rzucającą się w oczy grubą teczkę, Stauffenberg. Referował on plan użycia wojsk w ramach akcji „Walkiria”. Hitler przysłuchiwał się uważnie i w toku odbywającej się następnie dyskusji zaakceptował większość jego wniosków. W końcu zadecydował, że w akcjach bojowych na terenie Rzeszy dowódcy wojskowi otrzymają nieograniczoną władzę wykonawczą, natomiast czynniki polityczne, przede wszystkim więc gauleiterzy -jako komisarze obrony Rzeszy - sprawować będą tylko funkcje doradcze. Oznaczało to, że wojskowym dowódcom przyznano prawo wydawania niezbędnych wytycznych wszystkim instytucjom państwowym i samorządowym bezpośrednio, a więc bez uzgodnienia z gauleiterami.

Czy to przypadek, czy też działalność celowa - w każdym razie w tych dniach zebrali się w Berchtesgaden również najbardziej wtajemniczeni uczestnicy spisku, którzy - o czym wiem dopiero teraz - przed kilkoma dniami ustalili ze Stauffenbergiem dokonanie zamachu na Hitlera przy pomocy bomby, przygotowanej przez generała majora Stieffa. 8 lipca spotkałem się z generałem Friedrichem Olbrichtem, aby omówić sprawę powoływania do wojsk lądowych robotników reklamowanych, ponieważ bezpośrednio przedtem nie mogłem dojść do porozumienia z Keitlem. Jak to się często zdarzało, również teraz generał Olbricht narzekał na trudności, jakie muszą powstawać w związku z podziałem organizacyjnym wojska na cztery części. Wskazywał na przeszkody, których usunięcie mogłoby spowodować dopływ do wojsk lądowych setek tysięcy młodych żołnierzy z lotnictwa.

Następnego dnia spotkałem się w hotelu w Berchtesgaden z głównym kwatermistrzem, Erichem Fellgieblem, z generałem Fritzem Lindemannem ze Sztabu Generalnego oraz szefem wydziału organizacyjnego w Naczelnym Dowództwie Wojsk Lądowych, generałem majorem Helmutem Stieffem. Wszyscy oni uczestniczyli w spisku i żaden z nich nie miał już przeżyć następnych miesięcy. Owego popołudnia - może właśnie dlatego, że zapadła nieodwołalnie tak długo odwlekana decyzja zamachu państwowego - byli oni raczej w beztroskim nastroju, jak to często bywa po podjęciu ważnych postanowień. Kronika mojego

ministerstwa potwierdza niepokój, z jakim przyjąłem do wiadomości lekceważenie dramatycznej sytuacji na froncie: „Główny kwatermistrz reprezentuje pogląd, że trudności są niewielkie... Generałowie bagatelizują sytuację na froncie wschodnim”.

Jeszcze przed tygodniem czy dwoma generał Wagner przedstawiał sytuację w najczarniejszych barwach, a w wypadku dalszych odwrotów stawiał zbrojeniom zbyt wysokie i niewykonalne wymagania. Mógł on mieć na względzie tylko jeden cel - tak mi się dzisiaj wydaje - a mianowicie wykazanie Hitlerowi, że nie jesteśmy już w stanie dalej wyposażać wojsk lądowych w broń i dlatego zmierzamy ku katastrofie. Pod moją nieobecność mój współpracownik Saur jak uczniowi wytykał na tej konferencji błędy o wiele starszemu głównemu kwatermistrzowi, uzyskując przy tym poparcie Hitlera. Odwiedziłem go, aby mu okazać swoją niezmienną sympatię; stwierdziłem jednak, że nie przywiązuje już wagi do tego zajścia.

Rozwodziliśmy się szeroko nad niedomaganiem, jakie występują w dowodzeniu w wyniku słabości naczelnych władz wojskowych. Generał Fellgiebel mówił o marnotrawieniu wysiłku żołnierskiego i sprzętu już choćby wskutek tego, że każdy rodzaj wojsk ma odrębną sieć łączności: lotnictwo i wojska lądowe ułożyły sobie oddzielne kable aż do Aten czy Laponii. Złączenie tych przewodów, pomijając już względy oszczędnościowe, zapewniłoby sprawne funkcjonowanie łączności w nagłej potrzebie. Hitler jednakże stanowczo odrzucił te koncepcje. Sam też przytoczyłem kilka przykładów przemawiających za tym, jakie korzyści osiągnęłyby wszystkie rodzaje wojsk przy jednolitym kierowaniu zbrojeniami.

Chociaż ze spiskowcami nierzadko prowadziłem zupełnie szczere rozmowy, nie wyczytałem nic z ich twarzy. Tylko jeden jedyny raz wyczułem, że coś się szykuje - nie w rozmowie z nimi, lecz z wypowiedzi Himmlera. Gdzieś późną jesienią 1943 roku rozmawiał on z Hitlerem na terenie kwatery głównej: zatrzymałem się w najbliższej odległości, stając się mimowolnym świadkiem dialogu: „Zgadza się więc pan, mein fuhrer, że będę rozmawiał z »szarą eminencją« i postępował przy tym tak, jak gdybym współdziałał?” Hitler skinął głową. „Istnieją jakieś ciemne plamy, może dowiem się o nich więcej, gdy zdobędę jego zaufanie. Gdyby pan, mein fuhrer, dowiedział się o tym od osób trzecich, to będzie pan znał moje motywy”. Hitler uczynił gest zgody: "Oczywiście, mam do pana pełne zaufanie". Jednego z adiutantów zapytałem, kto nosi przydomek „szara eminencja”. „To pruski minister finansów, Popitz!” - odpowiedział.

Przypadek rozdzielił role. Przez pewien czas zdawał się ważyć, czy 20 lipca miałem się znaleźć w centrum puczu na Bendlerstrasse, czy też w centrum obrony, w mieszkaniu Goebbelsa.

17 lipca Fromm zaprosił mnie za pośrednictwem swego szefa sztabu, Stauffenberga, do siebie na Bendlerstrasse; w dniu 20 lipca miałem zjeść z nim obiad, a następnie odbyć rozmowy. Musiałem jednak odmówić, ponieważ już od dawna na godziny przedpołudniowe zaplanowałem referat o sytuacji zbrojeniowej, który miałem wygłosić na naradzie z przedstawicielami rządu Rzeszy i gospodarki. Mimo odmowy szef sztabu Fromma jeszcze raz usilnie mnie prosił, abym przyjął na 20 lipca zaproszenie: moje przybycie miało być jakoby niezbędne. Obawiałem się jednak omawiać z Frommem ważne problemy zbrojeniowe po trudnej imprezie przedpołudniowej, dlatego też znów odmówiłem.

Referat rozpocząłem około godziny jedenastej w reprezentacyjnej, jeszcze przez Schinkla ozdobionej i wymalowanej sali Ministerstwa Propagandy, którą Goebbels oddał mi do dyspozycji. Przybyło około dwustu osób, wszyscy obecni w Berlinie ministrowie, sekretarze stanu i wyżsi urzędnicy; zgromadził się cały polityczny Berlin. Zebrani wysłuchali najpierw mojego apelu o zwiększenie wysiłku kraju dla potrzeb wojny, tego ciągle ponawianego żądania, które mogłem wygłaszać niemal automatycznie. Następnie, posługując się graficznymi wykresami, przedstawiłem sytuację w dziedzinie naszych zbrojeń.

Mniej więcej w tym samym czasie, kiedy kończyłem referat, a Goebbels jako gospodarz zamykał posiedzenie, w Kętrzynie wybuchła bomba Stauffenberga. Gdyby uczestnicy puczu okazali się bardziej przebiegli, to przy pomocy przysłowiowego porucznika z dziecięciami ludźmi mogliby - równocześnie z zamachem bombowym - aresztować bez mała cały rząd Rzeszy wraz z jego najważniejszymi współpracownikami. Niczego nie przeczuwając, Goebbels zabrał Funka i mnie do swego gabinetu w ministerstwie. Rozmawialiśmy, jak bardzo często w ostatnim czasie, o tych zaprzepaszczonych albo jeszcze istniejących możliwościach mobilizacji kraju, gdy przez mały głośnik zameldowano: „Kwatera główna wzywa pilnie pana ministra. Przy telefonie doktor Dietrich". Goebbels odpowiedział: „Proszę, niech pan przełączy tutaj!" Dopiero teraz podszedł do biurka i podniósł słuchawkę: „Doktor Dietrich? Tak? Tu Goebbels... Co? Zamach na fuhrera? Przed chwilą?... Mówi pan, że fuhrer żyje! W baraku Speera. Czy znane są już bliższe

szczegóły?...Fuhrer sądzi, że ktoś z robotników Organizacji Todta?!" Dietrich musiał się skracać, rozmowa kończyła się. Operacja „Wal- kiria", którą spiskowcy zupełnie otwarcia omawiali od miesiący nawet z Hitlerem, jako plan akcji zmierzającej do mobilizacji rezerw krajowych, rozpoczęła się.

Tego jeszcze brakowało, przeszło mi przez głowę, gdy Goebbels powtórzył nam, co usłyszał, i jeszcze raz powiedział o skierowaniu podejrzania przeciwko robotnikom z Organizacji Todta. Gdyby przypuszczenie to potwierdziło się, ucierpiałby bezpośrednio również mój autorytet, ponieważ Bormann mógłby wykorzystać tę okoliczność jako pretekst do nowych intryg i podszeptów. Goebbels już teraz oburzał się, gdyż nie byłem w stanie udzielić mu informacji o kontroli, jaką przeprowadzano przy doborze dla Kętrzyna robotników z Organizacji Todta. Wysłuchał mojej informacji, że każdego dnia setki robotników dopuszczano do pierwszej strefy ochronnej, że obecnie Hitler pracował w baraku urządzonym dla mnie, gdyż jedynie tam znajdowała się większa sala posiedzeń, a w dodatku stał pusty podczas mojej nieobecności. W takim razie, sądził Goebbels kiwając głową nad tak dużą bezmyślnością, bardzo łatwo można było dostać się do tego najlepiej zamkniętego i zabezpieczonego zakątka świata. „Jaki sens mogą mieć jeszcze jakiegokolwiek przedsięwzięcia ochronne?", powiedział do otoczenia, jakby zwracając się do odpowiedzialnej, niewidocznej osoby.

Wkrótce Goebbels pożegnał nas; nawet w takim wypadku zarówno jego, jak i mnie wciągała w rytm pracy ministerialna rutyna. Na opóźniony obiad czekał już u mnie pułkownik Engel, były adiutant wojsk lądowych Hitlera, który obecnie dowodził jednostką frontową. Interesowało mnie, jakie wrażenie wywarłby na nim memoriał, domagający się wprowadzenia „poddyktatora", to znaczy człowieka wyposażonego w nadzwyczajne pełnomocnictwa, który bez względu na prestiż zlikwidowałby potrójną i poczwórną organizację wojska oraz stworzył wreszcie przejrzystą i efektywną strukturę organizacyjną. Chociaż ten już kilka dni wcześniej przygotowany memoriał jedynie przez przypadek nosił datę 20 lipca, to jednak wiele zawartych w nim myśli poruszyliśmy w rozmowach z wojskowymi uczestnikami puczu¹.

Nie wpadłem na łatwy pomysł, żeby tymczasem dowiedzieć się telefonicznie o szczegóły w głównej kwaterze fuhrera. Prawdopodobnie zakładałem, że w podnieceniu, jakie musiał wywołać ten incydent, telefon tylko by przeszkadzał; ponadto czułem się obciążony podejrzaniem, że przestępca wywodzi się z podległej mi organizacji. Po obiedzie przyjąłem, zgodnie z uprzednio ustalonym terminem, am-

basadora Clodiusa z Ministerstwa Spraw Zagranicznych, który poinformował mnie o „zabezpieczeniu rumuńskiej ropy naftowej”. Zanim jednak skończyliśmy rozmowę, zadzwonił Goebbels.

Jego głos zmienił się bardzo od przedpołudnia, był podniecony, szorstki. „Czy może pan natychmiast przerwać swoją pracę? Proszę przyjść do mnie! Sprawa nadzwyczaj pilna! Nie, przez telefon nie mogę panu nic powiedzieć”. Od razu zakończyłem konferencję i około godziny 17.00 udałem się do Goebbelsa. Przyjął mnie na pierwszym piętrze swego prywatnego pałacu, położonego na południe od Bramy Brandenburskiej. „Otrzymałem właśnie z kwatery głównej meldunek, że w całej Rzeszy odbywa się pucz wojskowy”, powiedział szybko. „W tej sytuacji chciałbym mieć pana przy sobie. Swoje decyzje podejmuję często nieco pochopnie. Pan swoim opanowaniem może je stonować. Musimy postępować z rozwagą”.

Wiadomość ta zdenerwowała mnie, prawdę mówiąc, nie mniej niż Goebbelsa. W okamgnieniu uprzytomniłem sobie wszystkie rozmowy, jakie prowadziłem z Frommem, Zeitzlerem i Guderianem, z Wagnerem, Stieffem, Fellgieblem, Olbrichtem czy Lindemannem; przewijały się w tych rozmowach takie motywy, jak: beznadziejna sytuacja na wszystkich frontach, udana inwazja, przewaga Armii Radzieckiej, a także grożący krach w dziedzinie naszego zaopatrzenia w materiały pędne; przychodziła mi teraz na myśl nasza, często gorzka, krytyka dyletantyzmu Hitlera, jego sprzeczne decyzje, systematyczne obrażanie wyższych oficerów, ciągłe uwłaczanie i upokarzanie. Nie sądziłem oczywiście, że pucz wywołali Stauffenberg, Olbricht, Stieff i ich grupa. Przypisywałem go raczej cholerycznemu temperamentowi takiego człowieka, jak Guderian. Później zorientowałem się, iż w tym czasie Goebbels musiał być już poinformowany, że podejrzenie kieruje się przeciwko Stauffenbergowi. Jednak ukrywał to przede mną. Nie powiedział mi również, że bezpośrednio przed moim przybyciem osobiście rozmawiał przez telefon z Hitlerem².

Nie znając tych powiązań, zdecydowałem się: oczywiście, pucz w naszej sytuacji uważałem za katastrofalny; nie dostrzegłem znów jego dobrych intencji. Goebbels mógł liczyć na moją pomoc.

Okna pokoju wychodziły na ulicę. W kilka minut po moim przybyciu dostrzegłem żołnierzy w pełnym rynsztunku, w stalowych hełmach, z granatami za pasem i pistoletami maszynowymi w rękę; maszerowali w małych, gotowych do walki grupach w kierunku Bramy Brandenburskiej. Ustawili tam karabiny maszynowe i wstrzymali całkowicie ruch, natomiast dwaj z nich w pełnym uzbrojeniu udali

się do bramy wejściowej w ogrodzeniu parku i zaciągnęli przy niej wartę, przywołałem Goebbelsa; natychmiast zrozumiał sytuację, zniknął w swym sąsiednim pokoju sypialnym, wyjął z pudełka kilka pigułek i schował je do kieszeni kamizelki. „To na wszelki wypadek”, powiedział z widocznym zdenerwowaniem.

Poleciliśmy adiutantowi dowiedzieć się, jakie rozkazy otrzymał ten posterunek, ale wskóraliśmy niewiele. Żołnierze przy bramie okazali się nieskorzy do rozmowy, w końcu oświadczyli szorstkim tonem: „Nikt tutaj nie wejdzie ani nie wyjdzie stąd”.

Prowadzone niestrudzenie przez Goebbelsa rozmowy telefoniczne we wszystkich kierunkach przynosiły sprzeczne wieści. Jedne mówiły, że jednostki z Poczdamu maszerują już jakoby na Berlin, inne znów, że zbliżają się też garnizony z prowincji. Mimo odruchowo przejawianej dezaprobaty dla puczu, mnie samego ogarniało dziwne uczucie nie zaangażowanej, zwykłej obecności przy tym, jak gdyby to wszystko nic mnie nie obchodziło, ta cała desperacka aktywność nerwowo działającego Goebbelsa. Chwilowo wydawało mi się, że sytuacja jest raczej beznadziejna, a Goebbels wyglądał na niezmiernie zaniepokojonego. Tylko z faktu, że nadal jeszcze działał telefon, a radiostacja nie nadała dotychczas żadnej proklamacji powstańców, wnioskował, że strona przeciwna jeszcze się waha. W gruncie rzeczy trudno było zrozumieć, dlaczego sprzysiężeni nie wyłączyli środków masowego przekazu albo nie wykorzystali ich dla swoich celów, choć już przed tygodniami w szczegółowym planie przewidzieli nie tylko aresztowanie Goebbelsa, lecz także zajęcie urzędu telekomunikacyjnego w Berlinie, głównego urzędu telegraficznego, centrali łączności SS, głównego urzędu pocztowego Rzeszy, najważniejszych stacji nadawczych wokół Berlina i rozgłośni radiowej. Wystarczyłoby zaledwie paru żołnierzy, aby wtargnąć do Goebbelsa i nie natrafiając na opór aresztować go; mieliśmy przecież wszystkiego tylko kilka pistoletów dla ochrony. Prawdopodobnie Goebbels próbowałby uniknąć aresztowania, zażywając przygotowany wcześniej cyjanek; tym samym zostałby wyeliminowany najzdolniejszy przeciwnik spiskowców.

W tych krytycznych godzinach zdumiewające było również to, że Himmler, który bezsprzecznie dysponował godnymi zaufania jednostkami do stłumienia puczu, był dla Goebbelsa nieosiągalny. Zupełnie gdzieś zniknął; Goebbels był zaniepokojony, tym bardziej że nie mógł znaleźć uzasadnionych powodów takiego postępowania. Wielokrotnie wyrażał swą nieufność do osoby reichsführera i ministra spraw wewnętrznych, ale wydawało mi się, że jest to charakterystyczne dla niepewno-

ści owych godzin, iż Goebbels całkiem otwarcie wątpił w lojalność nawet samego Himmlera.

Czy Goebbels również w stosunku do mnie przejawiał nieufność, gdy w toku pewnej rozmowy telefonicznej polecił mi przejść do sąsiedniego pokoju? Wcale nie ukrywając, dawał mi odczuć swoje wątpliwości. Później zrodziło się we mnie przypuszczenie, że mając mnie w swej bezpośredniej bliskości, najlepiej się przez to zabezpieczy, zwłaszcza że pierwsze podejrzenie padło na Stauffenberga, a tym samym niewątpliwie również na Fromma. W każdym razie Goebbels wiedział o mojej przyjaźni z Frommem, którego od dawna otwarcie określał „jako wroga partii”.

Ja także myślałem wtedy o Frommie. Po rozstaniu się z Goebbelsem kazałem się połączyć z centralą telefoniczną na Bendlerstrasse i zażądałem rozmowy z Frommem, gdyż od niego najlepiej mogłem się dowiedzieć bliższych szczegółów. Zakomunikowano mi, że „generał pułkownik Fromm jest nieosiągalny”. Nie wiedziałem, że w tym czasie siedział już uwięziony w pokoju na Bendlerstrasse. „Proszę więc połączyć mnie z jego adiutantem”. Otrzymałem odpowiedź, że pod tym numerem nikt się nie zgłasza. „Wobec tego proszę generała Olbrichta”. Znalazł się natychmiast przy telefonie. „Co się stało, panie generale?”, zapytałem go żartobliwym, często używanym między nami tonem, który umożliwiał porozumiewanie się w ciężkich sytuacjach. „Mam wiele pracy, a tymczasem żołnierze zatrzymali mnie tu u Goebbelsa”. Olbricht usprawiedliwiał się: „Proszę wybaczyć, w przypadku pana zachodzi pomyłka. Zaraz to załatwię”. Odłożył słuchawkę, zanim zdążyłem zadać mu dalsze pytania. Nie chciałem przekazywać Goebbelsowi całej rozmowy, gdyż jej treść i ton wskazywały raczej na zмовę, która by mogła w nim wzbudzić wyraźną nieufność.

Tymczasem przyszedł do mojego pokoju Schach, zastępca gauleitera Berlina. Jeden z jego znajomych, nazwiskiem Hagen, ręczył za narodowosocjalistyczne przekonania majora Remera, którego batalion otaczał dzielnicę rządową. Goebbels natychmiast usiłował przeprowadzić rozmowę z Remerem, a gdy tylko ten wyraził zgodę, polecił mi znów przyjść do swego gabinetu. Był całkowicie przekonany, że będzie mógł przeciągnąć Remera na swoją stronę, i prosił mnie o obecność. Oświadczył, że Hitler jest poinformowany o mającej się odbyć rozmowie i oczekuje w kwatrze głównej na jej wynik, że jest gotów w każdej chwili rozmawiać z majorem osobiście.

Przybył major Remer. Goebbels był opanowany, chociaż dało się zauważyć zdenerwowanie. Wydawało mu się, że los puczu, a więc

i jego własny, został teraz przesądzony. Już po kilku dziwnie mało dramatycznych minutach wszystko było poza nami; pucz załamał się.

Na początku Goebbels przypomniał majorowi o jego przysiędze złożonej fuhrerowi. Remer zapewniał o swej wierności dla Hitlera i partii, ale dodał, że fuhrer nie żyje. W związku z tym musi wykonywać rozkazy swego dowódcy, generała Hasego. Goebbels przeciwstawił mu decydujący, wszystko obalający argument: „Fuhrer żyje!” A gdy spostrzegł, że Remer zdziwił się, a następnie zaczął się wahać, niezwłocznie dodał: „Żyje! Zaledwie przed kilkoma minutami rozmawiałem z nim! Wąska klika ambitnych generałów rozpoczęła pucz wojskowy! Podłość! Największa podłość w historii!” Świadomość, że Hitler jeszcze żyje, podziałała zbawiennie na tego przyciśniętego do muru, zirytowanego wykonawcę rozkazu o otoczeniu dzielnicy rządowej. Uradowany, ale jeszcze nie dowierzający Remer wpatrywał się w nas wszystkich. Goebbels zwrócił teraz jego uwagę na historyczną chwilę, na olbrzymią odpowiedzialność wobec historii, jaką dźwiga na swych młodych barkach. Rzadko kiedy los stworzył człowiekowi tego rodzaju szansę; od niego zależy, czy wykorzystają, czy też zaprzepaści. Kto widział teraz Remera, kto obserwował zachodzące w nim zmiany, kiedy słuchał tych słów, ten wiedział: Goebbels wygrał już. Ale jeszcze sięgnął po największy atut: „Będę rozmawiał zaraz z fuhrerem, pan również może połączyć się z nim telefonicznie. Fuhrer może wydać panu rozkazy, które anulują rozkazy pańskiego generała?” - zakończył lekko ironicznym tonem. Potem połączył się z Kętrzyńcem.

Goebbels mógł łączyć się z kwaterą główną fuhrera za pomocą specjalnej linii, którą doprowadzono do jego ministerstwa. W ciągu kilku sekund Hitler był przy telefonie. Po paru uwagach na temat sytuacji Goebbels oddał słuchawkę majorowi. Gdy tylko Remer rozpoznał głos Hitlera, o którym przecież mówiono, że nie żyje, natychmiast odruchowo przyjął postawę zasadniczą, trzymając słuchawkę w ręku. Słyszał było teraz tylko: „Tak jest, mein fuhrer... Tak Jest! Rozkaz, mein fuhrer!”

Następnie wziął słuchawkę Goebbels, a Hitler poinformował go o wynikach rozmowy: major został wyznaczony na następcę generała Hasego i otrzymał pełnomocnictwo do podejmowania wszelkich akcji wojskowych w Berlinie; dano mu jednocześnie rozkaz realizowania wszystkich wytycznych Goebbelsa. Tak więc jedna nienaruszona linia toniczna doprowadziła ostatecznie powstanie do upadku. Goebbels

przystąpił do kontrakcji i zarządził, aby wszyscy osiągalni żołnierze batalionu wartowniczego natychmiast zebrali się w ogrodzie przylegającym do jego mieszkania.

Powstanie wprawdzie upadło, ale nie było jeszcze całkowicie zdławione, gdy około godziny siódmej wieczorem Goebbels polecił rozpowszechnić przez radio wiadomość, że na Hitlera dokonano zamachu bombowego, że fuhrer żyje oraz że podjął już swe urzędowanie. W ten sposób znów wykorzystał jeden z tych technicznych środków, które powstańcy w ostatnich godzinach zaniedbali, a co miało tak ciężkie następstwa.

Pewność siebie była jednak złudna. Sukces stanął pod znakiem zapytania, gdy bezpośrednio po tym zameldowano Goebbelsowi, że na Fehrbelliner Platz przybyła brygada pancerna, która odmawia wykonania rozkazów Remera. Miała ona podlegać wyłącznie generałowi pułkownikowi Guderianowi: „Kto nie będzie posłuszny, zostanie zastrzelony”, brzmiała krótka wojskowa odpowiedź. Siła bojowa tej brygady była tak przeważająca, że od jej postawy zależały nie tylko wydarzenia następnych godzin.

Znamienne dla naszej sytuacji było to, że nikt nie potrafił jednoznacznie stwierdzić, czy ten oddział pancerny, któremu Goebbels nie mógł przeciwstawić żadnej siły bojowej, należy do powstańców, czy też do rządu. Również Goebbels i Remer liczyli się z możliwością, że Guderian bierze udział w puczu. Brygadą dowodził pułkownik Bollbrinker. Ponieważ znałem go dobrze, starałem się nawiązać z nim telefoniczny kontakt. Wiadomość brzmiała uspokajająco: czołgi przybyły w celu zdławienia powstania.

Tymczasem w ogrodzie wokół mieszkania Goebbelsa zebrało się około 150 żołnierzy berlińskiego batalionu wartowniczego, w większości starszych ludzi. Jeszcze przed udaniem się do nich minister powiedział: „Jeżeli również ich przekonam, to wygramy. Proszę, niech pan obserwuje, w jaki sposób ich pozyskam”.

Nadeszła już noc, tylko przez otwarte drzwi do ogrodu padał na scenę snop światła. Od pierwszych słów żołnierze z największą uwagą przysłuchiwali się dłuższemu, w gruncie rzeczy jałowemu przemówieniu Goebbelsa. W każdym razie czuł się on nadzwyczaj pewny siebie, zupełnie jak bohater dnia. Właśnie dlatego, że jego przemówienie przenosiło oklepane komunały na grunt osobisty, było jednocześnie olśniewające i podlegające. Mogłem wprost z twarzy słuchaczy

dczytywać, jakie ono wywierało wrażenie i jak Goebbels pozyskiwał

stojących przed nim w półcieniu żołnierzy - nie rozkazem i groźbą, lecz przekonywaniem.

Około godziny jedenastej wieczorem przybył do przydzielonego mi pokoju pułkownik Bollbrinker: Fromm zamierza zorganizować na Bendlerstrasse sąd doraźny nad aresztowanymi dotychczas spiskowcami. Od razu uświadomiłem sobie, że musiałyby to mocno obciążyć Fromma; moim zdaniem decyzję o losie spiskowców powinien podjąć osobiście Hitler. Zaraz po północy pojechałem tam, aby zapobiec egzekucji, Bollbrinker i Remer siedzieli w moim samochodzie. W całkowicie zaciemnionym Berlinie Bendlerstrasse była jasno oświetlona reflektorami - nieprawdopodobny i upiorny widok. Jednocześnie wyglądało to teatralnie, jakby w środku ciemnego atelier oświetlono scenę filmu. Długie, ostre smugi plastycznie uwidaczniały budynek.

W chwili gdy zamierzałem skręcić w Bendlerstrasse, jeden z oficerów SS wskazał, żebym zatrzymał się przy krawężniku ulicy Tiergarten. W cieniu drzew stali w otoczeniu licznych esesowców, prawie nierozpoznawalni, Kaltenbrunner, szef gestapo, i Skorzeny, wybawca Mussoliniego. Ich zachowanie było tak samo upiorne jak i ich ciemne postacie. Przy powitaniu nikt nie stuknął obcasami, znikła zwykle demonstrowana dziarskość, wszystko odbywało się po cichu, nawet rozmowy prowadzono przytłumionym głosem, jakby na pogrzebie. Oświadczyłem Kaltenbrunnerowi, że przybyłem, aby zapobiec sądowi doraźnemu Fromma. Zarówno Kaltenbrunner, jak i Skorzeny, od których oczekiwałem raczej przejawów nienawiści lub choćby triumfu w obliczu moralnej klęski konkurencyjnej armii, odpowiedzieli niemal obojętnie, że wydarzenia te są głównie sprawą wojska: „Nie chcemy się mieszać i w żadnym wypadku interweniować. Poza tym sąd doraźny zapewne już się odbył!” Kaltenbrunner pouczał mnie: Do zwalczania buntu ani do organizowania sądów doraźnych SS nie będzie użyta. Zakazał nawet swoim ludziom wkraczania do budynku przy Bendlerstrasse. Każda ingerencja SS spowodowałaby nowe niesnaski z armią i spotęgowała już istniejące napięcie. Takie rozważania taktyczne, rodzące się pod wpływem sytuacji, okazały się jednak nierealne. Już kilka godzin później organy SS z całym rozmachem ścigały oficerów wojska biorących udział w puczu. Zaledwie Kaltenbrunner skończył, na tle jasno oświetlonej Bendlerstrasse ukazał się potężny cień. W pełnym umundurowaniu, samotnie, ciężkim krokiem zbliżał się do nas Fromm. Pożegnałem się z Kaltenbrunnerem oraz jego świtą i wyszedłem z cienia drzew

naprzeciw Fromma. „Pucz zakończony”, rozpoczął, z trudem opanowując się; „wydałem właśnie wszystkim rejonowym dowództwom wojskowym odpowiednie rozkazy. Chwilowo uniemożliwiono mi sprawowanie dowództwa nad jednostkami wojskowymi stacjonującymi w kraju. Faktycznie zamknięto mnie w pokoju. Mój szef sztabu, moi najbliżsi współpracownicy!” Z dostrzegalnym oburzeniem i niepokojem coraz głośniejsze uzasadniał rozstrzelanie swego sztabu. „Jako przewodniczący sądu miałem obowiązek niezwłocznie przeprowadzić sąd doraźny nad wszystkimi, którzy brali udział w puczu”. „Generał Olbricht i mój szef sztabu, pułkownik von Stauffenberg, nie żyją już”, dodał cicho zboląłym głosem.

Następnie Fromm chciał zatelefonować do Hitlera. Na próżno prosiłem go o udanie się najpierw do mojego ministerstwa. Obstawiał jednak przy tym, żeby zobaczyć się z Goebbelsem, chociaż podobnie jak i ja dobrze wiedział, iż minister żywił wobec niego niechęć i nieufność.

W mieszkaniu Goebbelsa został już aresztowany komendant miasta Berlina, generał Hase. Fromm w mojej obecności skomentował krótko wydarzenia i prosił Goebbelsa o umożliwienie mu rozmowy telefonicznej z Hitlerem. Zamiast odpowiedzi, Goebbels poprosił Fromma o udanie się do sąsiedniego pokoju, następnie kazał połączyć się z Hitlerem. Uzyskawszy połączenie, zwrócił się do mnie, abym pozostawił go samego. Po około dwudziestu minutach ukazał się w drzwiach i wezwał wartownika przed pokój, w którym przebywał Fromm.

Minęła już północ, gdy nieosiągalny do tej pory Himmler przybył do Goebbelsa. Nie proszony o to, obszernie uzasadnił swoją nieobecność sprawdzoną w praktyce regułą zwalczania powstań: należy stale pozostawać z dala od centrum i tylko z zewnątrz kierować kontrakcjami. Miała to być właściwa taktyka. Wydawało się, że Goebbels to aprobował. Był w wyśmienitym nastroju, słuchając szczegółowego opisu powrotu Himmlera, oraz rozkoszował się opisywaniem, jak to praktycznie zupełnie sam opanował sytuację. „Gdyby nie byli tak nieudolni! Mieli wielką szansę. Jakie atuty! Co za dziecinada! Gdy pomyślę, jak ja bym to zrobił! Dlaczego nie opanowali radiostacji i nie nadawali najwierutniejszych kłamstw. Tutaj przed moimi drzwiami postawili wartownika. Ale pozwolili mi spokojnie rozmawiać z fuhrerem i wszystko zmobilizować! Ani razu nawet nie wyłączyli mojego telefonu! Mając tyle atutów w ręku... Co za nowicjusze!” Ci wojskowi, kontynuował, za bardzo zdali się na nadrzędne pojęcie posłuszeństwa, zgodnie z którym oczywiście każdy rozkaz miał być wykonany przez podległego oficera i szeregowca. Już to doprowadziło pucz do upadku.

Zapomnieli, dodał ze złośliwą satysfakcją, że w ostatnich latach Niemcy, wychowani przez narodowosocjalistyczne państwo, nauczyli się myśleć politycznie: „Dzisiaj już nie można podporządkować ich, jak marionetek, rozkazom kliki generalskiej”.

Nagle Goebbels przerwał. Jak gdyby skrępowany moją obecnością, powiedział: „Drogi panie Speer, mam jeszcze z reichsfuhrerem do omówienia na osobności kilka spraw. Dobranoc”.

Następnego dnia, 22 lipca, poproszono do kwatery głównej, w celu złożenia gratulacji, najważniejszych ministrów. Przy moim zaproszeniu widniał dopisek, że mam zabrać ze sobą obu czołowych współpracowników, Dorscha i Saura; było to żądanie niezwykle, tym bardziej że pozostali ministrowie przyszli bez zastępców. Hitler powitał ich ostentacyjnie serdecznie, podczas gdy mnie podał jedynie niedbale rękę. Również otoczenie Hitlera zachowywało się wobec mnie z dziwną rezerwą. Ilekroć wchodziłem do jakiegoś pomieszczenia, rozmowy milkły, obecni oddalali się albo odwracali. Schaub, cywilny adiutant Hitlera, powiedział do mnie dwuznacznie: „Teraz wiemy, kto stał za zamachowcami!” Następnie zostawił mnie samego. Nic więcej nie mogłem się dowiedzieć. Saura i Dorscha zaproszono, nawet beze mnie, na nocną herbatkę z udziałem najbliższego otoczenia Hitlera. Wszystko to wyglądało dziwnie. Bardzo się niepokoiłem.

Keitel natomiast wyszedł w końcu zwycięsko z kryzysu, jaki w ostatnich tygodniach zarysował się w wyniku krążących w otoczeniu Hitlera plotek. Kiedy bezpośrednio po zamachu podniósł się z gruzu i zobaczył stojącego Hitlera bez żadnych obrażeń, wówczas -jak to teraz opowiadał - rzucił się na niego z okrzykiem: „Mein fuhrer, pan żyje, pan żyje!”, i wbrew wszelkim konwenansom gwałtownie go objął. Zrozumiałe było, że po tym wszystkim Hitler nie pozwolił go skrzywdzić, a co więcej, widział w nim najbardziej odpowiedniego człowieka do wzięcia odwetu na uczestnikach puczu. „Keitel omal sam nie zginął. Nie będzie wcale pobłażliwy”, oświadczył.

Nazajutrz Hitler odnosił się do mnie bardziej przyjaźnie, naśladowało go też w tym jego otoczenie. Pod jego przewodnictwem odbyła się w herbaciarni rozmowa, w której - oprócz Keitla, Himmlera, Bormanna i Goebbelsa - i ja wziąłem udział. Hitler przyswoił sobie moją myśl, choć wyraźnie nie powoływał się na to, którą wyłożyłem mu w liście przed czternastoma dniami, i mianował Goebbelsa „pełnomocnikiem Rzeszy do totalnej mobilizacji wojennej”.
Wyjście bez szwanku

z zamachu spowodowało, że śmielej podejmował decyzje; w ciągu kilku minut zdołaliśmy osiągnąć to, o co z Goebbelsem walczyliśmy ponad rok.

Następnie Hitler powrócił do wydarzeń ostatnich dni. Triumfował, gdyż teraz nastąpi wielki pozytywny zwrot w wojnie. Czas zdrady jest już poza nami i teraz nowi, lepsi generałowie przejmą dowództwo.

Wszyscy zgadzali się. Celował w tym zwłaszcza Goebbels, który o generacji wyrażał się z pogardą i lekceważeniem. Gdy próbowałem oponować, natychmiast ofuknął mnie ostro i nieprzyjaźnie. Hitler przysłuchiwał się w milczeniu³.

Fakt, że generał Fellgiebel, szef wojsk łączności, również należał do spiskowców, spowodował u Hitlera wybuch, w którym satysfakcja, wściekłość i triumf mieszały się ze świadomością, że jest on usprawiedliwiony: „Teraz już wiem, dlaczego w ostatnich latach moje wielkie plany w Rosji nie powiodły się. Wszystko było zdradą! Gdyby nie zdrajcy, już dawno byśmy zwyciężyli. Oto moje usprawiedliwienie przed historią! Teraz należy ostatecznie ustalić, czy Fellgiebel miał bezpośrednie połączenie ze Szwajcarią, którą wszystkie moje plany przeciekały do Rosjan. Trzeba go przesłuchiwać, posługując się wszelkimi środkami... Znowu miałem rację! Kto chciał mi wierzyć, kiedy broniłem się przed ujednoczeniem dowództwa Wehrmachtu! Wojsko skupione w jednym ręku to niebezpieczeństwo! Czy sądzicie jeszcze dziś, panowie, że był to przypadek, kiedy kazałem sformować tak wiele dywizji SS? Zdawałem sobie sprawę, dlaczego to robię wbrew wszelkim sprzeciwom..., dlaczego powołałem generalnego inspektora wojsk pancernych: wszystko czyniłem po to, aby jeszcze raz podzielić wojsko”.

Potem Hitler znów wściekał się na spiskowców, groził, że wszystkich „wyeliminuje i wytępi”. Następnie przypomniał sobie nazwiska osób, które kiedyś sprzeciwiały mu się i które zaliczył teraz do grona spiskowców: Schacht miał być sabotażystą uzbrojenia. Niestety, zanadto mu ustępował. Kazał natychmiast aresztować Schachta. „Również Hess zostanie bezlitośnie powieszony, tak samo jak te świnię, oficerowie zbrodniarze. On zrobił wtedy początek, on dał przykład zdrady”.

Po takich wybuchach Hitler stawał się spokojniejszy; z ulgą człowieka, który przeżył wielkie niebezpieczeństwo, opowiadał o przebiegu spisku, mówił następnie o zwrocie, jaki spisek ten spowodował, o zwycięstwie, które miało nadejść w najbliższej przyszłości. Fiasko puczu wprowadzało go w stan euforii, dodawało pewności siebie; również i my zbyt skwapliwie daliśmy się teraz zarazić jego optymizmem.

Wkrótce po 20 lipca schron, który w chwili zamachu znajdował się jeszcze w budowie i w związku z tym Hitler zatrzymał się wtedy moim baraku, został ukończony. Jeżeli coś jako symbol sytuacji może być wyrażone w formie budowli, to właśnie ów schron: z zewnątrz podobny do staroegipskiego grobowca, był właściwie jednym wielkim kłosem betonowym, bez okien, bez bezpośredniego dopływu powietrza, budynkiem, którego ściany betonowe były wielokrotnie większe od powierzchni użytkowej. W tym grobowcu żył on, pracował i spał. Wydawało się, że te pięciometrowej grubości betonowe ściany oddzielały go również, mówiąc w przenośni, od świata zewnętrznego i zasklepiały w jego urojeniach.

Wykorzystałem swój pobyt, aby w znajdującej się niedaleko kwaterze złożyć pożegnalną wizytę Zeitzlerowi, który już wieczorem 20 lipca odszedł ze stanowiska szefa Sztabu Generalnego. Saur nie dał się odwieść od zamiaru towarzyszenia mi. W trakcie naszej rozmowy odmeldował się adiutant Zeitzlera, podpułkownik Gunther Smend, który w kilka tygodni później został stracony. Saur od razu powziął podejrzenie: „Czy zauważył pan porozumiewawcze spojrzenie, jakim się obaj pozdrawiali?” Zareagowałem opryskliwym „nie”. Wkrótce potem, gdy zostaliśmy z Zeitzlerem sami, okazało się, że Smend przybył z Berchtesgaden, gdzie zajmował się porządkowaniem akt Sztabu Generalnego. To, że Zeitzler mówił o tym tak beztrąsko, utwierdziło mnie w przekonaniu, że nie był on wtajemniczony przez spiskowców. Czy Saur podzielił się z Hitlerem swymi spostrzeżeniami, nigdy się o tym nie dowiedziałem.

Po trzydniowym pobycie w kwaterze głównej 24 lipca odleciałem wczesnym rankiem do Berlina.

Zameldował się obergruppenfuhrer SS Kaltenbrunner, szef gestapo. Nigdy jeszcze nie był u mnie. Przyjąłem go leżąc, gdyż znowu bolała mnie noga. Podobnie jak w nocy 20 lipca, również teraz Kaltenbrunner przyglądał mi się uważnie i podejrzliwie. Bez żadnego wstępu rozpoczął: „W skarbcu na Bendlerstrasse znaleźliśmy listę członków rządu z 20 lipca. Widnieje pan tam jako minister zbrojeń”, Pytał mnie, czy i co wiedziałem o powierzonym mi stanowisku, zachowywał się przy tym, jak zwykle, bez zarzutu i uprzejmie. Być może wierzył mi, widząc moją konsternację w chwili, gdy komunikował mi o tym. Szybko zrezygnował z dalszych wyjaśnień i zamiast tego wyciągnął z teczek dokument: plan organizacyjny rządu zamachow-

ców⁴. Prawdopodobnie opracował go jeden z oficerów, gdyż organizacja wojska potraktowana była ze szczególną troską. „Wielki Sztab Generalny” obejmował trzy rodzaje wojsk. Podporządkowano mu również dowódcę wojsk obszaru krajowego, który jednocześnie był najwyższym szefem od uzbrojenia; na schemacie organizacyjnym znalazłem się także ja, jako jemu podległy; w odpowiedniej rubryce napisane było wyraźnie drukowanymi literami: „Zbrojenia - Speer”. Jakiś sceptyk dopisał ołówkiem: „O ile to możliwe”, i postawił znak zapytania. Ta nieznana osoba oraz fakt, że w dniu 20 lipca nie przyjąłem zaproszenia na Bendlerstrasse, uratowały moją sytuację. Dziwne było, że Hitler nigdy nie zagadnął mnie w tej sprawie.

Oczywiście zastanawiałem się wówczas nad tym, co bym uczynił, gdyby pucz 20 lipca powiódł się i rzeczywiście zażądano by ode mnie dalszego sprawowania urzędu. Zapewne zgodziłbym się na to w okresie przejściowym, ale nie bez skrupułów. Biorąc pod uwagę wszystko, co dzisiaj wiem o osobach i motywach sprzysiężenia, prawdopodobnie w ciągu krótkiego okresu współpracy z nimi uwolniłbym się od przywiązania do Hitlera i przyłączyłbym się do nich. Ale moje pozostawanie w rządzie już od pierwszych chwil stałoby pod znakiem zapytania i byłoby wręcz niemożliwe; każda bowiem moralna ocena istoty reżimu i mojej osobistej w nim pozycji musiała prowadzić do przeświadczenia, że w Niemczech po Hitlerze nie mogłem zajmować kierowniczego stanowiska.

Tego samego popołudnia zorganizowaliśmy w sali posiedzeń, podobnie jak wszystkie ministerstwa, manifestację wierności z udziałem kierownictwa resortu. Cała impreza nie trwała dłużej niż dwadzieścia minut. Wygłosiłem wówczas najsłabsze i bardzo niezdecydowane przemówienie. Mimo iż zazwyczaj starałem się nie używać utartych sloganów, tym razem z przesadą ukazałem wielkość Hitlera i naszą wiarę w niego oraz po raz pierwszy zakończyłem swe wystąpienie okrzykiem: „Sieg heil!” Dotychczas uważałem za zbędne używanie tego rodzaju zwrotów, nie leżało to w mojej naturze ani nie licowało z moją godnością. Teraz czułem się niepewnie, czułem się skompromitowany i mimo wszystko zaplątany w trudne do przeniknięcia procesy.

Nawiasem mówiąc, moje obawy nie były bezpodstawne. Krążyły plotki, że mnie aresztowano, to znowu o dokonanej już egzekucji -znak, że kularowa opinia ciągle jeszcze traktowała moją pozycję jako zagrożoną.

Wszystkie te wątpliwości zostały rozwiane z chwilą, gdy Bormann polecił mi znów wygłosić przemówienie na temat zbrojeń na naradzie gauleiterów w Poznaniu w dniu 3 sierpnia. Zebranie to przebiegało jeszcze pod wrażeniem wydarzeń 20 lipca; i chociaż zaproszenie oficjalnie rehabilitowało mnie, to jednak od samego początku spotkałem się z wyraźną rezerwą. Czułem się odosobniony wśród licznie zebranych gauleiterów. Najtrafniej scharakteryzowała nastrój uwaga, jaką tego popołudnia wypowiedział Goebbels do otaczających go gauleiterów i reichsleiterów partii: „Teraz wreszcie wiemy, po czyjej stronie stoi Speer”.

Właśnie w lipcu 1944 roku nasze zbrojenia osiągnęły punkt szczytowy. Nie chcąc znów drażnić przywódców partii i pogarszać swojej sytuacji, byłem tym razem ostrożny w formułowaniu ogólnych uwag i zamiast tego zasypałem ich lawiną liczb o osiągnięciach naszej dotychczasowej pracy i o nowych zadaniach, jakie powierzył nam Hitler. Te dodatkowe żądania wzrostu produkcji zbrojeniowej musiały uzmysłwić przywódcom partii, że właśnie ja i mój aparat byliśmy w tych miesiącach nie do zastąpienia. Udało mi się wywołać poruszenie, gdy na wielu przykładach udowaśniałem, jak wielkie zapasy sprzętu pozostają w wojsku nie wykorzystane. Goebbels krzyczał głośno: „Sabotaż! Sabotaż!”, pokazując, jak bardzo kierownictwo od 20 lipca dopatrywało się we wszystkim zdrady, sprzysiężenia i złośliwości. Gauleiterzy byli jednak pod wrażeniem mojej relacji o naszych osiągnięciach.

Uczestnicy zebrania udali się z Poznania do kwatery głównej, gdzie następnego dnia w sali kinowej przemawiał do nich Hitler. Wprawdzie pod względem rangi nie należałem do tego kręgu osobistości 5, otrzymałem jednak od Hitlera wyraźne polecenie, abym wziął udział w zebraniu. Usiadłem w ostatnim rzędzie.

Hitler mówił o następstwach 20 lipca, znów tłumaczył swe dotychczasowe niepowodzenia zdradą oficerów wojska i był pełen nadziei na przyszłość: teraz uzyskał pewność siebie „jak nigdy przedtem w swoim życiu”. Dotychczas sabotowano wszystkie jego wysiłki, ale teraz klika przestępców została wykryta i usunięta, w końcu pucz ten stanie się być może błogosławieństwem dla naszej przyszłości. Tak więc Hitler powtórzył prawie dosłownie to, co bezpośrednio po puczu wyjaśniał już swemu najbliższemu otoczeniu. Już wydawało się, że i ja wbrew wszelkiej logice ulegam jego sugestywnemu oddziaływaniu, gdy Padło zdanie, które podziałało na mnie jak uderzenie obuchem i położyło kres oszukiwaniu samego siebie: „Jeżeli teraz naród niemiecki ulegnie

w tej walce, będzie to oznaczać, że był za słaby. Wtedy okaże się, że nie zdał egzaminu wobec historii, że przeznaczony był nie do czego innego, jak tylko do zagłady".

Odstępując od zwyczaju nieekspozowania swych współpracowników, w przemówieniu tym Hitler zwrócił uwagę na moją pracę i zasługi. Prawdopodobnie wiedział albo przeczuwał, że wobec nieprzyjawnego nastawienia gauleiterów niezbędne stało się zrehabilitowanie mnie, abym mógł w przyszłości skuteczniej kontynuować pracę. Demonstrował on społeczności partyjnej, że jego stosunek do mnie po 20 lipca nie uległ ochłodzeniu.

Wykorzystałem swoją znów umocnioną pozycję do udzielenia pomocy znajomym i współpracownikom, których ogarnęła fala prześladowań po 20 lipca. Saur natomiast zadenuncjował dwóch oficerów zarządu uzbrojenia wojsk lądowych, generała Schneidera i pułkownika Fichtnera, których Hitler kazał natychmiast aresztować. Saur jedynie przytoczył rzekomą wypowiedź Schneidera, jakoby Hitler nie był zdolny do oceny problemów technicznych; do aresztowania Fichtnera wystarczyło to, że miał on nie dość energicznie popierać postulowane przez Hitlera już na początku wojny nowe typy czołgów, co obecnie poczytano mu za świadomy sabotaż. O niezdecydowaniu Hitlera świadczył jednakże fakt, że zaraz po mojej interwencji wyraził zgodę na uwolnienie obu oficerów, aczkolwiek pod warunkiem, że nigdy nie zatrudni się ich w zarządzie uzbrojenia wojsk lądowych⁶.

Przykładem niepokoju, jaki ogarnął Hitlera wskutek braku zaufania do korpusu oficerskiego, było wydarzenie w kwaterze głównej, którego byłem świadkiem w dniu 18 sierpnia. Feldmarszałek Kluge, naczelny dowódca frontu zachodniego, znajdujący się od trzech dni w drodze do 7 armii, przez wiele godzin był nieuchwytny. Otrzymałszy meldunek, że feldmarszałek razem ze swym adiutantem, wyposażonym w radiostację, zbliżył się do linii frontu, Hitler zaczął przejawiać coraz większe podejrzenie, a wkrótce nie wątpił już zupełnie w to, że Kluge wraz ze swym adiutantem udał się do z góry określonej miejscowości, gdzie miały się odbyć rokowania z aliantami na temat kapitulacji armii niemieckich walczących na Zachodzie. A gdy rokowania nie doszły do skutku, nastąpił atak lotniczy, który przerwał podróż feldmarszałka i pokrzyżował jego zdradzieckie zamiary. Kiedy przybyłem do kwatery głównej, okazało się, że Hitler zdjął już Klugego ze stanowiska i wezwał go do powrotu. W końcu na wiadomość o śmierci feldmarszałka na atak serca w czasie podróży Hitler, kierując się swoim szóstym zmysłem, polecił gestapo przeprowadzić sekcję zwłok. Dowiedziawszy się, że

śmierć nastąpiła po zażyciu trucizny, triumfował: teraz był całkowicie przekonany o zdradzieckich machinacjach Klugego, mimo iż w pozostawionym liście feldmarszałek zapewniał go o swej wierności.

W czasie tego pobytu w kwaterze głównej znalazłem na stole w schronie Hitlera raporty z przesłuchań prowadzonych przez Kaltenbrunnera. Jeden z zaprzyjaźnionych ze mną adiutantów Hitlera dał mi je na dwie noce do przeczytania; nadal bowiem czułem się niepewny. Wiele z tego, co przed 20 lipca mogło być rozumiane jako uzasadniona krytyka, teraz brzmiałoby obciążająco. Jednak żaden z aresztowanych nic o mnie nie mówił. Uczestnicy puczu przejęli jedynie moje powiedzenie: „potakujący osioł”, którym określałem ludzi z otoczenia Hitlera, mówiących zawsze „tak”.

Na tym samym stole leżał również w owym dniu stos fotografii. W zamyśleniu wziąłem je do ręki, ale natychmiast odłożyłem. Na wierzchu zauważyłem powieszono człowieka w ubraniu więziennym, przepasanego szerokim, kolorowym kawałkiem materiału. Stojący obok mnie oficer SS z otoczenia Hitlera wyjaśnił: „To Witzleben. Czy chciałby pan zobaczyć również pozostałych? Wszystkie te zdjęcia pochodzą z egzekucji”. Wieczorem wyświetlano w kinie film pokazujący stracenie spiskowców. Nie mogłem i nie chciałem tego oglądać. Aby jednak nie wzbudzić podejrzenia, zasłaniałem się przeciążeniem pracą; widziałem wielu, najczęściej niższych stopniem, esesowców i cywilów udających się na tę projekcję, lecz ani jednego oficera Wehrmachtu.

1 W memoriale z 20 lipca 1944 r. patrzyłem na kierowanie Wehrmachtem zarówno z perspektywy własnych doświadczeń w pracy przemysłu, jak i pewnych wiadomości, jakie zdobyłem w rozmowach z oficerami Sztabu Generalnego, jak Olbricht, Stieff, Wagner itp. Oczekiwania nie mogą się sprawdzić, twierdziłem tam, ponieważ na 10,5 mln powołanych przypada tylko 2,3 mln biorących udział w działaniach bojowych. Niemiecka sztuka organizacji dokonuje podziału na możliwie wiele samodzielnych członów, w których każdy osiąga z kolei możliwie pełną autarkię we wszystkich dziedzinach. Memoriał stwierdzał dalej: „Tak więc dla Wehrmachtu, a nawet jego trzech rodzajów wojsk, dla SS, dla OT i dla Reichsarbeitsdienstu zorganizowaliśmy wszystkie podległe służby niezależnie od siebie. Zaopatrzenie w odzież i żywność, łączność, służba sanitarna, stałe zaopatrywanie materiałowe, transport - wszystko to zorganizowane jest oddzielnie, istnieją oddzielne magazyny, otrzymujące uzupełnienia niezależnie od siebie”. Rezultatem są nadmierne wydatki na utrzymanie personelu i zużywanie nadmiernej ilości materiałów.

2 Należy przyjąć, że Hitler poinformował Goebbelsa, który przeprowadzał akcje odwetowe w Berlinie, o kierunku podejrzeń. W tym momencie nadszedł już rozkaz aresztowania Stauffenberga na Bendlerstrasse. Podejrzenie musiało

jednocześnie paść na Fromma; już o godz. 18.00 Hitler pozbawił go stanowiska i przekazał je Himmlerowi. Fakt, że Goebbels nie wtajemniczył mnie w to, może wskazywać, iż nie ufał mi całkowicie.

3 23 lipca 1944 r. Ley zamieścił w „Angriff” artykuł wstępny, który zapowiadał ten zwrot reżimu przeciw arystokracji wojskowej: „Zdegenerowana do szpiku kości, błękitnokrwista aż do idiotyzmu, przekupna aż do ohydy i tchórzostwa jak wszystkie podle kreatury - taka jest szlachecka klika, którą Żyd wysyła przeciw narodowemu socjalizmowi... Trzeba wyplenić to robactwo, wyniszczyć doszczętnie... Nie wystarczy ująć samych sprawców... Trzeba wyplenić cały ten gatunek”.

4 Ten plan organizacyjny odpowiadał na przykład znalezionemu na Bendlerstrasse projektowi rozporządzenia, które miał podpisać namiestnik Rzeszy Beck, „o tymczasowym podziale najwyższych władz wojennych”. Poza tym była jeszcze lista ministrów, przewidująca podporządkowanie Ministerstwa Zbrojeń Goerdelerowi, który miał być kanclerzem Rzeszy. Również moje nazwisko zostało umieszczone na liście ministrów, a potem opatrzone znakiem zapytania i uwagą, że należy ze mną rozmawiać dopiero po dokonaniu przewrotu. (Z książki *Der 20. Juli*, Bonn 1961).

5 Jako „hauptamtsleiter” partii byłem niższy rangą od reichsleiterów, dopuszczanych na takie narady partyjne.

6 Opowiedziałem się, zgodnie z wyliczeniem w książce G. Janssena *Das Ministerium Speer*, za uwolnieniem generała Speidla, wydawcy Suhrkampa, żony generała Seydlitza i jego szwagra, dr. Eberharda Bartna, następnie hrabiego Schwerina, generała pułkownika Zeitzlera, generała Henriciego i przemysłowców, których obciążył Goerdeler: Voglera, Buchera, Meyera (MAN), Stinnesa, Haniela, Reutera, Meinena i Reuscha.

Rozdział 27

NAPÓR Z ZACHODU

Nakłaniając Hitlera w pierwszych dniach lipca, by sprawy totalnej mobilizacji wojennej kraju powierzył Goebbelsowi zamiast nieudolnemu komitetowi trzech, nie mogłem przewidzieć, że istniejący wówczas między nami układ sił po kilku tygodniach zmieni się znacznie na moją niekorzyść, gdyż jako kandydat spiskowców utraciłem autorytet. Ponadto przywódcy partyjni coraz częściej reprezentowali pogląd, że dotychczasowe niepowodzenia należy przypisać przede wszystkim niedostatecznej ingerencji partii. Partia najchętniej sama wyznaczyłaby generałów. Gauleiterzy otwarcie ubolewali, że SA uległo w 1934 roku Wehrmachtowi; w dawnych dążeniach Rohma do stworzenia armii ludowej dostrzegali oni teraz nie wykorzystaną okazję - dysponowaliby w odpowiednim czasie wychowanym w duchu narodowosocjalistycznym korpusem oficerskim, którego brak, ich zdaniem, przyczynił się do klęsk ostatnich lat. Partia dochodziła do wniosku, że przynajmniej w cywilnym sektorze musi postępować rozważnie, stanowczo i energicznie wydawać polecenia zarówno najwyższym organom państwowym, jak i nam wszystkim.

Już po upływie tygodnia od poznańskiego posiedzenia gauleiterów kierownik głównej komisji uzbrojenia, Tix, oświadczył mi, „że gauleiterzy, dowódcy SA lub inne organy partyjne bez uzgodnienia” próbują ingerować w zakładach. Trzy tygodnie później włączenie się partią doprowadziło do „powstania podwójnego ośrodka dyspozycyjnego”. Instytucje zbrojeniowe ulegały „niekiedy naciskowi gauleiterów. Ich samowolne ingerencje spowodowały rozgardiasz, który wołał o Pomstę do nieba”.

Ambicję i aktywność gauleiterów wspierał teraz Goebbels, który poczuł się nagle nie tyle ministrem Rzeszy, ile przywódcą partii;

popierany przez Bormanna i Keitla przygotowywał szeroki program. Należało oczekiwać dużych samowolnych ingerencji w produkcję zbrojeniową. 30 sierpnia 1944 roku powiadomiłem szefów departamentów, że zamierzam uczynić gauleiterów odpowiedzialnymi za produkcję zbrojeniową. Chciałem skapitulować.

Kierowałem się również tym, że byłem bezbronny; nie miałem żadnej możliwości, podobnie jak już od dawna większość ministrów, referowania Hitlerowi takich spraw, zwłaszcza gdy odnosiły się do partii. Jeżeli rozmowa stawała się uciążliwa, wykręcał się. Rozsądniej było przedkładać mu skargi na piśmie.

Dotyczyły one mnożących się ingerencji partii. 20 września napisałem do Hitlera obszerny list, w którym bez osłonek donosiłem o zarzutach partii, jej dążeniu do odsunięcia mnie ewentualnie sparaliżowania mojej działalności, o jej podejrzaniach i taktyce szykanowania.

Pisałem, że 20 lipca „dał nową pożywkę do siania nieufności wobec szerokiego zespołu moich współpracowników z przemysłu”. Funkcjonariusze partyjni są nadal przekonani, iż moje najbliższe otoczenie jest jakoby „reakcyjne, myślące wyłącznie kategoriami ekonomicznymi i obcymi partii”. Goebbels i Bormann wyraźnie dają mi do zrozumienia, że wprowadzoną przeze mnie zasadę odpowiedzialności przemysłu za siebie oraz moje ministerstwo należy określić „jako ognisko reakcyjnych kierowników gospodarczych albo nawet jako wrogów partii”. Nie czułbym się „dostatecznie pewny, gdyby przy pomocy partyjno-politycznych kryteriów miała być oceniana powierzona mi i moim współpracownikom fachowa działalność, która mogła być pomyślnie kontynuowana jedynie bez stawiania przeszkód”.

Pisałem dalej w liście, że wyrażę zgodę na włączenie się partii do działalności zbrojeniowej tylko wtedy, gdy spełnione zostaną dwa warunki: należy mi bezpośrednio podporządkować w zagadnieniach zbrojeniowych zarówno gauleiterów, jak też pełnomocników gospodarczych Bormanna w okręgach (okręgowych doradców gospodarczych). Musi istnieć „jasność w dziedzinie wydawania dyspozycji i w zakresie kompetencji”¹. Ponadto domagałem się od Hitlera, aby zajął stanowisko wobec moich zasad kierowania przemysłem: „Niezbędna jest jednoznaczna decyzja, czy w przyszłości w przemyśle obowiązywać ma dotychczasowa, oparta na zaufaniu do kierowników zakładów, zasada odpowiedzialności przemysłu za siebie, czy też inna. Moim zdaniem musi być zachowana, tak dalece, jak tylko to możliwe, odpowiedzialność kierowników za swe przedsiębiorstwa”. List kończyłem stwierdzeniem, że nie można zmieniać sprawdzonego w praktyce systemu

i uważam za niezbędne podjęcie decyzji, „która dokładnie określałaby, w jakim kierunku w przyszłości winny zmierzać zasady kierowania gospodarką”.

21 września przekazałem Hitlerowi w kwaterze głównej moje pismo, które przyjął do wiadomości bez słowa. Nie udzielając żadnej odpowiedzi, nacisnął guzik dzwonka, podał je adiutantowi i polecił doręczyć Bormannowi. Jednocześnie zobowiązał swojego sekretarza, by wspólnie z przebywającym w kwaterze głównej Goebbelsem podjęli decyzje w sprawach, których dotyczyło pismo. W ten sposób ostatecznie przegrałem. Hitler był zapewne zbyt zmęczony, aby wdawać się w te niejasne dla niego spory.

W kilka godzin później do swej kancelarii, oddalonej parę kroków od schronu Hitlera, poprosił mnie Bormann. Miał na sobie tylko koszulę z krótkimi rękawami, na niej szelki przylegające do otyłego tułowia, Goebbels natomiast był starannie ubrany. Powołując się na zarządzenie Hitlera z 25 lipca, minister oświadczył wprost, że w sposób nieograniczony będzie korzystał z przysługujących mu pełnomocnictw w zakresie wydawania mi poleceń. Bormann zgadzał się: miałem się podporządkować Goebbelsowi. A poza tym zabraniał mi podejmować jakąkolwiek próbę bezpośredniego oddziaływania na Hitlera. Coraz bardziej nieprzyjemną wymianę zdań prowadził w sposób prostacki, Goebbels zaś z groźną miną przysłuchiwał się i wtrącał cyniczne uwagi. A więc ta tak często wysuwana przeze mnie inicjatywa stała się rzeczywistością, chociaż niespodziewanie w postaci duetu Goebbels - Bormann.

Po dwóch dniach Hitler, który w dalszym ciągu nie dawał odpowiedzi na moje pisemne propozycje, okazał mi znów dowód sympatii i podpisał mój apel do dyrektorów fabryk, zawierający faktycznie to, czego domagałem się w liście. W normalnych warunkach równałoby się to zwycięstwu nad Bormannem i Goebbelsem. Ale wówczas autorytet Hitlera w partii nie liczył się już tak bardzo. Jego najbliżsi paladynowie przechodzili po prostu nad tym do porządku i nie pozwalali sobie przeszkadzać w dalszych samowolnych ingerencjach gospodarczych: były to pierwsze widoczne oznaki rozkładu, ogarniającego również aparat partyjny i oddziałującego na lojalność jego czołowych osobistości. Symptomy te potęgował jeszcze w następnych tygodniach niewygasły dotychczas i coraz gwałtowniej rozwijający się konflikt² Rzecz jasna, Hitler też ponosił osobistą winę za utratę swego

autorytetu. Okazywał bezradność w sytuacjach, kiedy Goebbels domagał się większej liczby żołnierzy, a ja wzrostu produkcji zbrojeniowej, zgadzał się raz z jednym, raz z drugim, podpisywał przedkładane mu sprzeczne ze sobą rozkazy, aż wreszcie bomby i nacierające armie nieprzyjaciela uczyniły nieistotnymi nasze kłótnie, jak również i problem autorytetu Hitlera.

Dreńczony ciągłymi rozgrywkami politycznymi oraz zadawanymi przez wroga klęskami czułem odprężenie, gdy tylko mogłem oddalić się od Berlina. Wkrótce zacząłem odbywać coraz dłuższe wyjazdy na front. Nie mogłem co prawda nic pomóc w dziedzinie techniczno-zbrojeniowej, gdyż doświadczenia, które tam zdobywałem, nie dawały się już wprowadzić w życie. Miałem jednak nadzieję, że będę mógł wywierać wpływ na poszczególne decyzje kwatery głównej dzięki poczynionym obserwacjom oraz informacjom uzyskanym od dowódców.

Patrząc wstecz na to wszystko, stwierdzam jednak, że moje ustne, jak i pisemne meldunki nie miały większego znaczenia. Na przykład liczni generałowie, z którymi rozmawiałem, zwracali się do mnie o uzupełnienie swoich frontowych jednostek oraz wyposażenie ich w broń i czołgi z naszej ciągle jeszcze dużej produkcji zbrojeniowej. Hitler natomiast i Himmler, jego nowy dowódca wojsk zapasowych, reprezentowali wbrew wszystkim argumentom pogląd, że spychane przez wroga oddziały nie posiadają już moralnej siły oporu i dlatego bardziej celowe jest formowanie w pośpiechu nowych jednostek, tak zwanych dywizji grenadierów ludowych. I bez tego zresztą kazano rozbitym dywizjom, jak to znamienne określali, całkowicie się „wykrwawiać”.

Z następstwami tej praktyki miałem okazję zapoznać się w końcu września 1944 roku, podczas wizyty w oddziale szkolnej dywizji pancerniej w okolicach Bitburga. Mający wieloletnie doświadczenie wojenne dowódca tego oddziału pokazywał mi pole walki, na którym rozegrała się przed kilkoma dniami tragedia nowo sformowanej, niedoświadczonej brygady pancerniej. Niedostatecznie wyszkolona jednostka straciła już na skutek wypadków w czasie przemarszu dziesięć z trzydziestu dwóch nowych „Panter”. Przybyłe do miejsca przeznaczenia pozostałe dwadzieścia dwa czołgi, objaśniał mi dowódca, zostały bez właściwego rozpoznania tak nieszczęśliwie wyprowadzone na otwarte pole, że piętnaście z nich zniszczyła, jak na placu ćwiczeń,

że spychane

amerykańska jednostka przeciwpancerna. „Była to pierwsza bitwa nowo sformowanego oddziału. Czego mógłby dokonać mój doświadczony oddział posiadając takie czołgi!” powiedział rozgoryczony

kapitan.

Hitler skwitował przedstawiony przeze mnie opis owego wydarzenia ironiczną uwagą: przykład ten pokazuje, że „formowanie nowych jednostek przynosi często gorsze rezultaty niż uzupełnianie starych”¹³. Nie zmienił jednak swego zdania. Podczas omawiania sytuacji twierdził on opierając się na swych doświadczeniach piechura, że oddziały przejawiają troskę o broń tylko wtedy, gdy zaopatrzenie jest nadzwyczaj ograniczone.

Dalsze wyjazdy unaoczniły mi, w jaki sposób próbowano na froncie zachodnim osiągać porozumienie z przeciwnikiem w poszczególnych sprawach. W pobliżu Arnhem spotkałem zdenerwowanego generała SS, Bittricha, którego II korpus pancerny rozbił poprzedniego dnia brytyjską dywizję powietrznodesantową. W trakcie walk generał zawarł z Anglikami porozumienie, na mocy którego pozwolono nieprzyjacielowi zorganizować szpital polowy na tyłach niemieckich linii. Funkcjonariusze partyjni zamordowali angielskich i amerykańskich pilotów; Bittrich ubolewał, że jego wysiłki zostały zniweczone. Te ostre ataki przeciwko partii były tym bardziej charakterystyczne, że wychodziły od generała SS.

Również były adiutant wojsk lądowych Hitlera, pułkownik Engel, który dowodził teraz 12 dywizją piechoty w okolicach Duren, zawarł z przeciwnikiem na własną rękę porozumienie o ewakuacji rannych podczas przerw w walce. Informowanie kwatery głównej o tego rodzaju porozumieniach było niewskazane, ponieważ Hitler traktował je jako oznakę „zmiękczenia”. Rzeczywiście często słyszeliśmy, jak z szyderstwem wyrażał się o rzekomej rycerskości pruskich tradycji oficerskich; wychwalał natomiast zaciętość i bezwzględność walk, jakie prowadzono na wschodzie, oraz ducha oporu prostego żołnierza, gdyż w takich warunkach nie mogły rodzić się ludzkie uczucia.

Przypominam sobie jedyny przypadek, kiedy Hitler milcząco, aczkolwiek niechętnie, wyraził zgodę na porozumienie z przeciwnikiem. Późną jesienią 1944 roku flota brytyjska całkowicie odcięła niemieckie jednostki na wyspach greckich. Mimo absolutnego panowania Brytyjczyków na morzu, naszym pododdziałom udało się bez przeszkód przetransportować się na ląd, płynąc nierzadko nawet w zasięgu wzroku obok okrętów brytyjskich. W formie rekompensaty strona niemiecka Przyrzekła tak długo przy pomocy tych oddziałów

bronić Salonik przed

naporem Rosjan, aż będą mogły je zająć wojska brytyjskie. Gdy te zaproponowaną przez Jodla akcję zakończono, Hitler oświadczył: „Był to jedyny wyjątek, że poszliśmy na coś takiego”.

We wrześniu 1944 roku frontowi generałowie, przemysłowcy i gauleiterzy zachodnich rejonów spodziewali się, że armie amerykańskie i brytyjskie, wykorzystując swą przewagę oraz wykrwawienie i słabe uzbrojenie naszych jednostek, przetoczą się w jednej niepowstrzymanej ofensywie⁴. Nikt nie liczył na to, aby można było je zatrzymać, nikt też, kto zachował poczucie realizmu, nie wierzył w „cud nad Marną” na naszą korzyść.

Do obowiązków mojego ministerstwa należało między innymi przygotowanie zniszczenia różnych urządzeń przemysłowych także na terenach okupowanych. Już w trakcie odwrotu w Związku Radzieckim Hitler wydał rozkaz stosowania praktyki „spalonej ziemi”, co powinno uniemożliwić przeciwnikowi wykorzystywanie poniekąd całego zdobytego terenu. Nie omieszkiał też wydać podobnych wytycznych dla okupowanych rejonów zachodnich, zaledwie armie inwazyjne rozpoczęły natarcie ze swego przyczółka mostowego w Normandii. U podłoża tej polityki zniszczenia znajdowały się początkowo racjonalne motywy operacyjne. Chodziło o utrudnienie przeciwnikowi opanowania terenu, zaopatrywania się w oswobodzonym kraju, korzystania z technicznych służb remontowych, jak również z prądu i gazu, albo też w dalszej perspektywie - o zapobieżenie odbudowie przemysłu zbrojeniowego. Dopóki jeszcze koniec wojny był odległy, wymogi te wydawały mi się uzasadnione, straciły jednak swój sens w momencie, kiedy już nieuchronnie zbliżała się ostateczna klęska.

W obliczu beznadziejnej sytuacji jedynie słuszne było, moim zdaniem, zakończyć wojnę z możliwie niewielkimi zniszczeniami, utrudniającymi później odbudowę; nie uległem bowiem psychozie totalnej zagłady, jaka zaczynała wzmagać się teraz w otoczeniu Hitlera. Za pomocą wyjątkowo prostego triku udało mi się przechytrzyć coraz bardziej bezwzględnie i uparcie sterującego ku katastrofie Hitlera, posługując się jego własną argumentacją. Ponieważ nawet w beznadziejnych sytuacjach nalegał on na rychłe odzyskanie utraconych terenów, nawiązałem do tego i uzasadniłem, że przemysł odbitych rejonów potrzebny mi będzie do naszej produkcji zbrojeniowej.

Już na początku inwazji, 20 lipca, gdy Amerykanie przerwali niemiecki front obronny i otoczyli Cherbourg, argument ten wpłynął na

decyzję Hitlera, że „mimo obecnych trudności transportowych na froncie, zadania tamtejszego przemysłu nie mogą być w żadnym wypadku stawiane pod znakiem zapytania”. Umożliwiło to jednocześnie dowódcy wojsk obejście uprzednio wydanego rozkazu, polecającego w przypadku udanej inwazji przenieść do Niemiec milion Francuzów zatrudnionych w wydzielonych zakładach zbrojeniowych⁵.

Teraz Hitler znów mówił o konieczności dokonania ogólnych zniszczeń w przemyśle francuskim. Jednak 19 sierpnia, kiedy alianckie oddziały znajdowały się jeszcze na terenach leżących na północny zachód od Paryża, udało mi się uzyskać jego zgodę, aby nie niszczyć mających dostać się w ręce nieprzyjaciela urządzeń przemysłowych i energetycznych, lecz tylko je unieruchomić⁶.

Wcześniej nie można było uzyskać ogólnej decyzji Hitlera w tej sprawie, za każdym razem musiałem operować argumentami, z czasem coraz bardziej niedorzecznymi, że odwroty należy traktować jedynie jako przejściowe.

Gdy w końcu sierpnia nieprzyjacielskie jednostki zbliżały się do kopalń rudy w Longwy i Brie, powstała szczególna sytuacja: teren Lotaryngii został w 1940 roku praktycznie wcielony do Rzeszy, co spowodowało, że po raz pierwszy miałem do czynienia ze sprawą podległą kompetencji gauleitera. Wiedząc doskonale, iż nie zdołam przekonać go o konieczności oddania nieprzyjacielowi nie zniszczonego terenu, zwróciłem się bezpośrednio do Hitlera, który zezwolił mi na pozostawienie w nienaruszonym stanie kopalń rudy żelaza i przemysłu, a także polecił powiadomić o tym zainteresowanych gauleiterów⁷.

W połowie września 1944 roku Rochling zakomunikował mi w Saarbrücken, że pozostawiliśmy czynne francuskie kopalnie rudy, ale elektrownia zasilająca pompy znalazła się przypadkowo po naszej stronie frontu. Pytał mnie więc, czy może zaopatrywać w prąd, za pomocą nie uszkodzonej jeszcze linii wysokiego napięcia, pompy kopalń. Zgadzałem się z tym, podobnie jak i z propozycją jednego z dowódców oddziału, aby dostarczać prąd lazaretom i szpitalom w zajętych Liege, kiedy linia frontu odcięła miasto od elektrowni.

W kilka tygodni później, od połowy września, musiałem rozstrzygać, co ma się stać z niemieckim przemysłem. Kierownicy zakładów oczywiście nie zgadzali się w żadnym wypadku na zniszczenie swych fabryk; ten punkt widzenia niespodziewanie podzielali także niektórzy gauleiterzy z zagrożonych rejonów. Rozpoczął się dziwny okres. W toku dwuznacznych rozmów, pełnych domysłów i aluzji, jeden starał się wybadać poglądy drugiego, wynikały komplikacje, każda

szczera wypowiedź mogła stać się obciążającym argumentem.

Chcąc uprzedzić przekazanie Hitlerowi informacji, że nie dokonano zniszczeń na niemieckich terenach przyfrontowych, zakomunikowałem mu w sprawozdaniu z podróży, którą odbyłem w dniach od 10 do 14 września, że bezpośrednio za frontem można jeszcze stosunkowo dobrze rozwijać produkcję. Usiłowałem w wiarygodny sposób przedstawić Hitlerowi moje propozycje. Jeśli na przykład w położonym blisko frontu Akwizgranie znajduje się fabryka produkująca miesięcznie cztery miliony pocisków karabinowych, wskazane jest, aby aż do ostatniego momentu, również w warunkach ostrzału artyleryjskiego, wytwarzała nadal te pociski dla bieżących potrzeb jednostek. Nie jest celowe wygaszanie pieców koksowniczych w Akwizgranie, gdy te, dysponując zapasami węgla, mogą w dalszym ciągu, tak jak dotychczas, zapewniać zaopatrzenie w gaz Kolonii, a jednocześnie dostarczać codziennie jednostkom kilka ton benzolu. Niesłuszne jest unieruchamianie zakładów energetycznych w bezpośrednim sąsiedztwie frontu, gdyż od zaopatrzenia w prąd zależne są wszystkie położone w dużym promieniu urzędy pocztowe, a tym samym również telefoniczne połączenia jednostek wojskowych. Opierając się na wcześniejszych decyzjach Hitlera, kazałem równocześnie wysłać gauleiterom dalekopis, w którym zabraniałem niszczenia urządzeń przemysłowych⁸.

Nieoczekiwanie okazało się, że znów wszystko stoi pod znakiem zapytania. Po powrocie z tej podróży do Berlina przyjął mnie szef centralnego urzędu, Liebel, w naszym domu gościnnym dla inżynierów w Wannsee, i poinformował, że w międzyczasie wszystkim ministerstwom przekazano ważne rozkazy Hitlera. Zgodnie z nimi bezwzględnie ma być realizowana na niemieckim terytorium zasada „spalonej ziemi”.

Chcąc uniknąć świadków rozmowy, ulokowaliśmy się na trawniku w ogrodzie willi w Wannsee; był letni słoneczny dzień, przed nami wolno przepływały żaglówki. Liebel omawiał decyzję Hitlera: żadnemu Niemcowi nie powinno się zezwolić zamieszkiwać na zajętych przez nieprzyjaciela terenach. Kto mimo to pozostanie, wegetować musi w pustyni cywilizacyjnej. Należy całkowicie zniszczyć nie tylko urządzenia przemysłowe, gazownie, wodociągi, elektrownie i centrale telefoniczne, lecz również wszystko, co ponadto niezbędne jest do utrzymania życia; ewidencję kartek żywnościowych, akta stanu cywilnego i karty meldunkowe, zestawienia kont bankowych; następnie powinno się zniszczyć zapasy środków żywnościowych, spalić gospodarstwa chłopskie, a bydło zabić. Miano nie oszczędzać nawet dzieł sztuki, które

ocalały po nalotach lotniczych; do zniszczenia przeznaczono również budowle zabytkowe: zamki, pałace i kościoły, teatry i opery. Kilka dni wcześniej, 7 września 1944 roku, ukazał się z polecenia Hitlera w „Volkischer Beobachter” artykuł wstępny, w którym tę eksplozję wandalizmu ujęto w słowach: „Żaden niemiecki kłós nie powinien żywić nieprzyjaciela, żadne niemieckie usta nie mogą przekazywać mu informacji, a żadna niemiecka dłoń - udzielać pomocy. Powinien zastać zniszczoną każdą ścieżkę, a każdą ulicę zagrodzoną - nie spotka on na swej drodze nic innego jak tylko śmierć, zniszczenie i nienawiść”⁹.

W sprawozdaniu z podróży na próżno usiłowałem wywołać współczucie Hitlera: „W okolicy Akwizgranu widzi się wzbudzające litość pociągi ewakuowanych, którzy podobnie jak we Francji w 1940 roku udają się na wędrowną z małymi dziećmi i starcami. Jeżeli ewakuacja przyjmie większe rozmiary, zjawiska te niewątpliwie wzmogą się jeszcze, co zmusza do przeczności w wydawaniu rozkazów ewakuacyjnych”. Domagałem się, aby Hitler „pojechał na zachód i naocznie przekonał się o faktycznym stanie rzeczy... Naród oczekuje tego”.

Jednakże Hitler nie udał się tam. Przeciwnie, ledwo dowiedział się, że kreisleiter Akwizgranu, Schmeer, nie zastosował wszystkich środków przymusu do przeprowadzenia ewakuacji, pozbawił go stanowiska, wykluczył z partii i posłał jako szeregowego żołnierza na front. Nie było sensu przekonywać Hitlera, aby odwołał decyzję. Do samodzielnego zaś działania nie wystarczał mój autorytet. Kierowany niepokojem i troską, podyktowałem bez przygotowania dalekopis, którego treść, po zatwierdzeniu przez Hitlera, Bormann miał przekazać gauleiterom z terenów zachodnich. Chciałem, aby Hitler sam siebie zdementował: nie nawiązywałem do radykalnych zarządzeń ostatnich dni, zamierzałem raczej, opierając się na dotychczasowych pojedynczych decyzjach, wydać generalne wytyczne. Swój tekst znów sformułowałem w taki sposób, aby psychologicznie oddziaływał na tę rzeczywistość czy urojoną wiarę Hitlera w zwycięstwo: jeżeli nie zrezygnuje z rozkazu w sprawie zniszczeń, to będzie musiał przyznać, że wojnę już przegrał; tym samym straciłby wówczas podstawowy argument o konieczności totalnego oporu. Zacząłem lapidarnie: „Führer stwierdził, że w krótkim okresie może nastąpić ponowne odzyskanie utraconych obecnie rejonów. Ponieważ tereny zachodnie, wraz z ich produkcją zbrojeniową i wojenną, posiadają ważne znaczenie dla dalszego prowadzenia wojny, wszystkie przedsięwzięcia podejmowane w toku ich opuszczania muszą zakładać szybkie ponowne uruchomienie przemysłu w tych rejonach... Dopiero w ostatnim momencie należy »paraliżować«

urządzenia przemysłowe zakładów na dłuższy okres... Elektrownie w rejonach górniczych muszą być utrzymane po to, ażeby zapewnić pracę pomp i tym samym zapobiec zalaniu kopalń. Jeżeli przestaną one działać, trzeba będzie miesięcy na ponowne uruchomienie szybów". Wkrótce potem zadzwoniłem do kwatery głównej z zapytaniem, czy przedłożono Hitlerowi dalekopis. Rozesłano go oczywiście, chociaż z niewielką zmianą. Spodziewałem się pewnych skreśleń oraz ostrzejszych sformułowań o akcjach paraliżowania zakładów przemysłowych. Tymczasem Hitler pozostawił bez zmian merytoryczną treść, jedynie własnoręcznie stonował akapit akcentujący pewność zwycięstwa. Drugie zdanie brzmiało teraz: „Nie jest wykluczone ponowne odzyskanie części utraconych obecnie na zachodzie terenów".

Bormann przekazał ten dalekopis gauleiterom wraz ze zobowiązującym dopiskiem: „Z polecenia fuhrera przekazuję Panu w załączeniu pismo ministra Rzeszy, Speera, do bezwzględnie przestrzegania"¹⁰. Nawet Bormann nie przeszkadzał. Bardziej aniżeli Hitler zdawał sobie sprawę z niszczycielskich skutków totalnego pustoszenia opuszczanych terenów.

ściślego

W rzeczywistości Hitler starał się jeszcze tylko zachować twarz, mówiąc „o ponownym odzyskaniu części utraconych obecnie na zachodzie terenów". Od przeszło tygodnia wiedział przecież, że nawet przy stabilizacji frontu wojna zakończy się w ciągu niewielu miesięcy z powodu braku zaopatrzenia. Tymczasem Jodl uzupełnił moje zeszlóroczne prognozy zbrojeniowe rozważaniami strategicznymi, wykazując, że armie zajmują zbyt dużą przestrzeń: posługiwał się przykładem węża, który znieruchomiał połknąwszy zbyt wielką zdobycz. Dlatego też zaproponował oddanie Finlandii, północnej Norwegii, południowych Włoch i większości Bałkanów; zmniejszając okupowane tereny, zamierzał zająć jednocześnie korzystne pod względem geograficznym stanowiska obronne na rzekach Cisie i Sawie, jak też na południowym skraju Alp. Spodziewał się tym samym zwolnić liczne dywizje. Początkowo Hitler wzbraniał się przed tą propozycją samolikwidacji, w końcu jednak, 20 sierpnia 1944 roku, zezwolił mi na dokonanie przynajmniej obliczeń, jakie skutki pociągnęłyby za sobą rezygnacja z surowców znajdujących się na tych terenach.

Ale na trzy dni przed ukończeniem mojego memoriału, 2 września 1944 roku, Finlandia i Związek Radziecki zawarły porozumienie o zawieszeniu broni; niemieckie jednostki zostały wezwane do opusz-

czenia Finlandii w terminie do 15 września. Natychmiast zadzwonił do mnie Jodl, dopytując się o wyniki obliczeń. Nastrój Hitlera zmienił się. Nie było już w ogóle mowy o dobrowolnym opuszczeniu tych rejonów. Jodl jednak bardziej aniżeli kiedykolwiek nalegał na bezzwłoczne wycofanie się z Laponii jeszcze w dogodnej porze roku: gdyby odwrót następował wczesną jesienią i nasze wojska zostałyby zaskoczone przez występujące o tej porze zawieje śnieżne, straciłyby całą swą broń. Hitler uparł się znów przy tym samym argumencie co przed rokiem podczas sporu o opuszczenie kopalń manganu w południowej Rosji: „Jeżeli utracimy złoża niklu w północnej Laponii, wówczas w ciągu kilku miesięcy nastąpi krach przemysłu zbrojeniowego”.

Argument ten szybko upadł. Po trzech dniach, 5 września, posłałem przez kuriera Jodlowi i Hitlerowi swój memoriał; udowodniłem, że nie utrata fińskich kopalń niklu, lecz brak dostaw rudy chromu z Turcji rozstrzygnie wojnę materiałową. Zakładając teoretycznie dalszą pełną produkcję zbrojeniową - co jednak było problematyczne w warunkach nalotów lotniczych - przemysł otrzymałby po raz ostatni chrom 1 czerwca 1945 roku. „Uwzględniając zapasy i produkcję w toku przemysłu przetwórczego, uzależniona od chromu produkcja, a więc cała produkcja zbrojeniowa, zostałaby przerwana 1 stycznia 1946 roku”¹¹.

Od dawna już nadzwyczaj trudno było przewidzieć reakcje Hitlera. Nastawiałem się raczej na wybuch bezsilnej wściekłości, a tymczasem przyjął moje informacje ze spokojem, nie wyciągnął żadnych konsekwencji i - wbrew zaleceniom Jodła - zwlekał z rozpoczęciem ewakuacji aż do połowy października. Prawdopodobnie w ówczesnej sytuacji wojskowej nie wzruszały go takie prognozy. Kiedy załamywały się fronty na zachodzie i wschodzie, data 1 stycznia 1946 roku musiała być nawet dla Hitlera terminem utopijnym.

Skutki braków materiałów pędnych w konsekwencji wymagały od nas wzmożonej działalności. W lipcu pisałem Hitlerowi, że trzeba będzie zaprzestać we wrześniu 1944 roku jakichkolwiek taktycznych przesunięć z powodu niedoboru materiałów pędnych; teraz potwierdziłem to przypuszczenie. W końcu września donosiłem: „Lotnicza grupa myśliwska, stacjonująca w Krefeld i dysponująca 37 sprawnymi do działań samolotami, po dwóch dniach przymusowego spokoju, otrzymawszy w trzecim dniu 20 ton materiałów pędnych, jest w stanie nawet przy najlepszej pogodzie dokonać jedynie krótkiego przelotu do Akwizgranu, i to tylko 20 samolotami”. Gdy po upływie kilku dni wylądowałem na lotnisku w Werneuchen, na wschód od Berlina,

komendant bazy szkoleniowej oświadczył mi, że każdy kandydat na pilota może trenować tylko godzinę w tygodniu: jednostka otrzymała zaledwie nieznaczną część niezbędnych materiałów pędnych.

Niedobór materiałów pędnych spowodował też, że i wojska lądowe miały ograniczoną swobodę ruchu. W końcu października informowałem Hitlera o nocnym wyjeździe do 10 armii na południe od Padu. Natrafiłem tam „na kolumnę stu pięćdziesięciu samochodów ciężarowych, z których każdy zaprzężony był w cztery woły; do czołgów i ciągników doczepiono liczne ciężarówki”. W początkach grudnia niepokoiłem się, że „wyszkolenie kierowców czołgowych pozostawia bardzo dużo do życzenia z braku paliwa potrzebnego do ćwiczeń”. W jak krytycznym znaleźliśmy się położeniu, o wiele lepiej ode mnie wiedział oczywiście generał Jodl. Chcąc zwolnić do planowanej ofensywy w Ardenach 17 500 ton materiałów pędnych, co równało się dwu-i półdniowej dawnej produkcji, musiał wstrzymać w dniu 10 listopada 1944 roku zaopatrzenie dla innych grup wojsk.

Tymczasem skutki nalotów na zakłady hydrogenizacyjne zaczęły oddziaływać na cały przemysł chemiczny. Musiałem poinformować Hitlera, że „posiadane przez nas łuski pocisków napelnia się mieszaniną materiałów wybuchowych z solą, przy czym osiągnięto już granice wymienialności”. Od października 1944 roku materiały wybuchowe zawierały faktycznie 20 procent soli kamiennej, co znacznie zmniejszało ich skuteczność¹².

W tej beznadziejnej sytuacji Hitler zaprzepścił nawet swój ostatni techniczny atut wojskowy. Dziwne, ale właśnie w tych miesiącach produkowaliśmy coraz więcej samolotów myśliwskich; teraz, w końcowym okresie wojny, dostarczono do jednostek w ciągu sześciu miesięcy ogółem 12720 samolotów myśliwskich, podczas gdy rozpoczynając wojnę w 1939 roku mieliśmy ich tylko 771¹³. W końcu lipca Hitler po raz drugi zgodził się na ściągnięcie 2 tysięcy pilotów na specjalny kurs szkoleniowy, ponieważ ciągle jeszcze łudziliśmy się, że skoncentrowanym uderzeniem zadamy duże straty amerykańskiej flocie powietrznej i w ten sposób zmusimy ją do zaprzestania nalotów bombowych. W czasie bowiem przelotu związków bombowych w obie strony powstaje flanka o przeciętnej długości ponad 1000 kilometrów.

Z generałem Adolfem Gallandem, dowódcą lotnictwa myśliwskiego, wyliczyliśmy, że zestrzelenie nad Niemcami jednego bombowca pociągnęłoby za sobą przeciętnie utratę jednego niemieckiego myśliwca;

że obustronna strata materiałowa kształtowałaby się w stosunku 1:6, a w pilotach - 1:2. Ponieważ jednak połowa naszych zestrzelonych lotników mogła ratować się przy pomocy spadochronu, zaś nieprzyjacielskie załogi, znajdujące się nad ziemią niemiecką, musiałyby dostać się do niewoli, mieliśmy bezsprzecznie przewagę w tej walce, zarówno w ludziach, sprzęcie, jak i potencjale szkoleniowym 14.

Okolo 10 sierpnia zwrócił się do mnie mocno zdenerwowany Galland, abym poleciał z nim do kwatery głównej: podejmując jedną ze swych pochopnych decyzji, Hitler rozkazał przenieść na front zachodni flotę powietrzną „Reich”, której formowanie do stanu dwóch tysięcy myśliwców znajdowało się na ukończeniu; z naszych doświadczeń wynikało, że musiałaby tam ona w krótkim czasie ulec zniszczeniu. Niewątpliwie Hitler przeczuwał, po co przyjechaliśmy do niego. Zdawał sobie sprawę, że nie dotrzymał danego mi w lipcu przyrzeczenia o zapewnieniu zakładom hydrogenizacyjnym osłony myśliwców. Jednak unikał dyskusji na ten temat w toku omawiania sytuacji, zapowiadając, że później przyjmie nas samych.

W delikatnej formie zacząłem kwestionować słusność jego rozkazu i, mimo zdenerwowania, w miarę spokojnie przedstawiłem mu katastrofalną sytuację w dziedzinie zbrojeń, przytaczając liczby i opisując skutki ciągłych bombardowań. Ale już z tego powodu Hitler zdenerwował się i oburzył; choć słuchał mnie w milczeniu, rysy jego twarzy, niespokojne ruchy rąk i obgryzanie paznokci zdradzały wzrastające w nim napięcie. Gdy skończyłem, sądząc, że zrozumiał moje racje, iż każdy nasz myśliwiec powinien być użyty w kraju do zwalczania bombowców, Hitler przestał już panować nad sobą. Jego twarz stała się pąsowa, a oczy martwe i nieruchome. Potem krzyczał niepoohamowanie: „Sprawy operacyjne należą do mnie. Proszę uprzejmie troszczyć się o pańskie zbrojenia! To pana nic nie obchodzi!” Być może, gdybym rozmawiał z nim w cztery oczy, zgodziłby się z moimi wywodami. Obecność Gallanda przeszkadzała mu je zrozumieć i opamiętać się.

Przerwał nagle rozmowę, a tym samym także całą dalszą argumentację: „Nie mam dla panów więcej czasu”. Bezradny udałem się wraz z Gallandem do swego baraku.

Nic nie osiągnąwszy, chcieliśmy następnego dnia powrócić do Berlina, gdy Schaub zakomunikował nam, że ponownie mamy stawić się u Hitlera. Wybuchnął on jeszcze bardziej niż poprzedniego dnia, mówiąc coraz szybciej i gwałtowniej: „Nie chcę w ogóle produkować żadnych samolotów. Lotnictwo myśliwskie zostaje rozwiązane! Proszę

zaprzestać produkcji samolotów! Natychmiast zaprzestać, zrozumiał

pan! Skarzy się pan przecież na brak fachowców? Niech ich pan natychmiast przeniesie do produkcji dział przeciwlotniczych. Wszystkich robotników do dział przeciwlotniczych! Materiały również! Daję panu rozkaz! Proszę przysłać mi zaraz Saura do kwatery głównej! Trzeba opracować program rozwoju armat przeciwlotniczych. Proszę to powiedzieć również Saurowi. Program zakładający dziesięciokrotny wzrost... Do produkcji armat przeciwlotniczych przeniesiemy setki tysięcy robotników. Z zagranicznych informacji prasowych dowiaduję się codziennie, jak niebezpieczna jest artyleria przeciwlotnicza. Przed nią czują oni jeszcze respekt, ale nie przed naszymi myśliwcami". Galland zamierzał odpowiedzieć: sukcesy myśliwców byłyby o wiele większe niż artylerii przeciwlotniczej, gdybyśmy ich użyli w Niemczech, lecz zdążył zaledwie wymówić pierwsze słowa. Zostaliśmy znów nagle odprawieni, a właściwie wyrzuceni.

W herbaciarni wypilem od razu kieliszek wermutu z przygotowanej na takie okazje butelki; moje nerwy nie wytrzymały. Galland, zawsze spokojny i opanowany, po raz pierwszy, odkąd go znałem, robił wrażenie bardzo zdenerwowanego. Nie mogłem pojąć, że podporządkowane mu lotnictwo myśliwskie ma być rozwiązane z powodu tchórzostwa w obliczu wroga. Ja natomiast znałem takie wybuchy Hitlera i wiedziałem, że w wyniku rozważnego postępowania z nim nierzadko mógłbym zmienić swoje decyzje. Uspokajałem Gallanda: nie można przecież wytwarzać luf armatnich w zakładach przemysłowych przystosowanych do produkcji samolotów myśliwskich. Naszym wąskim gardłem nie są wcale armaty przeciwlotnicze, lecz amunicja, przede wszystkim zaś niedobór materiałów wybuchowych.

Saur również podzielał moją obawę, że Hitler wysunął niewykonalne żądania. Następnego dnia udowadniał on Hitlerowi w cztery oczy, że wzrost produkcji armat przeciwlotniczych zależy od dostaw specjalnych maszyn do wytwarzania długich luf.

Wkrótce znów udałem się z Saurem do kwatery głównej dla omówienia szczegółów tego rozkazu, który Hitler w nadmiernym pośpiechu przekazał nam na piśmie. Z początku upierał się, lecz w końcu obniżył wskaźniki produkcji: uprzednio żądał pięciokrotnego wzrostu, teraz zmniejszył go do dwu- i półkrotnego. Termin realizacji tego programu wyznaczył nam do grudnia 1945 roku; ponadto domagał się dwukrotnego wzrostu potrzebnej do tych dział amunicji. Mogliśmy z nim w całkowitym spokoju omówić dwadzieścia osiem punktów porządku dziennego. Jednak gdy raz jeszcze zwróciłem uwagę, że obecnie myśliwców należy używać na terenie kraju, znowu przerwał mi

gniewnie, powtórzył rozkaz o wzroście produkcji armat przeciwlotniczych kosztem samolotów myśliwskich i zakończył posiedzenie.

Był to pierwszy rozkaz Hitlera, którego ani Saur, ani ja nie wykonaliśmy. Postępowałem według własnego uznania, gdy nazajutrz oznajmiłem na posiedzeniu sztabu zbrojeniowego, że „produkcje myśliwców musimy bezwzględnie utrzymać na najwyższym poziomie”. W trzy dni później zwołałem przedstawicieli przemysłu lotniczego i w obecności Gallanda wyjaśniłem im wagę ich zadań, „mianowicie przeciwstawienie się poprzez wysoki wzrost produkcji samolotów myśliwskich największemu niebezpieczeństwu, jakie nam zagraża: agonii naszych zbrojeń w kraju”¹⁵. W międzyczasie jednak Hitler uspokoił się i niespodziewanie przyznał najwyższy priorytet realizacji, okrojonego wszakże, programu produkcji samolotów myśliwskich. Burza przeszła.

W tym samym czasie, kiedy musieliśmy ograniczyć produkcję, a nawet zaniechać podejmowania nowych rozwiązań, Hitler zaczął coraz bardziej tendencyjnie budzić wśród generalicji i wpływowych osobistości politycznych nadzieję na przyszłą nową broń, która miała rozstrzygnąć wojnę. W czasie moich wyjazdów do dywizji zapytywano mnie często z tajemniczym uśmiechem, kiedy wreszcie użyjemy tej cudownej broni. Takie iluzje nie były dla mnie przyjemne. Pewnego dnia musiało przyjść rozczarowanie, i dlatego też w połowie września -już po zastosowaniu V-2 - zwróciłem się do Hitlera w następujących słowach: „W jednostkach panuje powszechne przeświadczenie, że wkrótce użyjemy nowej, decydującej o wojnie broni. Oczekują tego już w najbliższych dniach. Przekonanie to podzielają w pełni również wyżsi oficerowie. Czy słuszne jest więc w takich ciężkich chwilach budzić nadzieję, która w najbliższym czasie nie może się spełnić, a przez to szerzyć rozczarowanie, które nieuchronnie odbija się niekorzystnie na morale wojsk. Odkąd również ludność cywilna codziennie oczekuje na cud nowej broni i zastanawia się, czy zdajemy sobie sprawę, że jest zaledwie kilka minut przed dwunastą i że dalsze zwlekanie z użyciem tej nowej, nagromadzonej broni przestaje już być postępowaniem odpowiedzialnym - rodzi się pytanie, czy taka propaganda jest celowa”¹⁶.

Hitler przyznał mi wprawdzie rację w rozmowie w cztery oczy, ale nie zrezygnował, jak się wkrótce okazało, z propagowania cudownej broni. Dlatego też 2 listopada 1944 roku napisałem do Goebbelsa, że „nie wydaje mi się celowe robienie ogółowi nadziei, jeżeli nie można

zagwarantować w najbliższym czasie jej spełnienia. Z tego też względu chciałybym Pana prosić o unikanie w przyszłości w prasie codziennej i fachowej wzmianek o nie osiągniętych jeszcze sukcesach naszej produkcji zbrojeniowej".

W odpowiedzi na to Goebbels faktycznie wstrzymał informacje o nowej broni. Dziwnym jednak sposobem nasiliły się pogłoski. Dopiero na procesie norymberskim dowiedziałem się od Fritzschego, jednego z najbliższych współpracowników ministra propagandy, że Goebbels powołał specjalny wydział do rozpowszechniania tych pogłosek. Były one bliskie prawdy. Przy okazji naszych posiedzeń w sprawach zbrojeniowych często zbieraliśmy się wieczorem i snuliśmy rozważania o rozwoju nowej techniki, mówiąc między innymi o bombie atomowej. Nierzadko w posiedzeniach tych brali udział dziennikarze współpracujący blisko z Goebbelsem, uczestniczyli też oni w wieczornych rozmowach.

W tych niespokojnych czasach, kiedy każdy chętnie czynił sobie nadzieje, pogłoski trafiały na podatny grunt. Od dawna natomiast nie dowierzano już prasie. W ostatnich miesiącach wojny, kiedy coraz więcej ludzi poddawało się rozpacz, wyjątek stanowiły pisma astrologiczne. Ponieważ z wielu względów były zależne od Ministerstwa Propagandy, używano ich, jak mnie informował w Norymberdze Fritzsche, jako środka oddziaływania na opinię publiczną. Snute w nich horoskopy mówiły o dolinach, które musiały być przekroczone, wyrokowały o mających nastąpić niespodziewanych zmianach i rozvodziły się nad pełnymi obietnic aluzjami. Reżim więc miał jeszcze przyszłość tylko w piśmie astrologicznym.

1 Żądanie to było skierowane przede wszystkim przeciwko władzy Bormanna. Domagałem się od Hitlera prawa bezpośredniego wydawania gauleiterom koniecznych dyrektyw „we wszystkich problemach zbrojeń i produkcji wojennej, bez zwracania się do kierownika kancelarii partyjnej (Bormanna)". Gauleiterzy mieli zostać zobowiązani „do składania mi bezpośrednio sprawozdań, kontaktowania się ze mną, także bezpośrednio, w zasadniczych sprawach zbrojeń i produkcji wojennej". Prymitywny zaś system władzy Bormanna polegał właśnie na tym, że dawał on wprawdzie gauleiterom coraz to nowe zadania państwowe, ale żądał, „by wszystkie meldunki przekazywano z reguły za jego pośrednictwem" i „by dyrektywy dla gauleiterów przechodziły tylko przez jego ręce ze względu na jednolitość wydawania rozkazów". Włączył się w ten sposób między ministerstwa i instancje wykonawcze, uzależniając od siebie i jedne, i drugie.

2 „Dr Goebbels i reichsleiter Bormann, a także przedstawiciele średnich instancji: gauleiterzy i ich organy partyjne, krytykują nieustannie zakłady zbrojeniowe" zanotowano na początku października, a więc tydzień później, w *Kronice*. Dalej

stwierdzono: „Ministrowi chodzi o to, by wyjaśnić, kto w przyszłości będzie miał coś do powiedzenia w sprawie zbrojeń. Mimo wszelkich uzgodnień z dr. Goebbelsem osoba ministra jest pomijana. Krytyczne uwagi pod adresem gauleiterów są zatrzymywane u dr. Goebbelsa, rozmowy telefoniczne przemilczane, aż do zaistnienia faktów dokonanych. Napięcie i złość wzrastają po obu stronach”.

Mniej więcej w tydzień później, oburzony takim traktowaniem swojej osoby, rozkazałem kierownikowi departamentu kultury i propagandy, by moje nazwisko „przestało ukazywać się w prasie”. *Kronika*.

3 Por. sprawozdanie z podróży od 26 września do 1 października 1944 r. Cztery tygodnie później, popierany przez szefa Sztabu Generalnego, Guderiana, w swym sprawozdaniu z podróży w dniach 19-25 października 1944 r., do Grupy Armii „Południowy Zachód”, zwróciłem Hitlerowi uwagę, że w ciągu września walczące wojska otrzymały tylko małą część dostaw broni. Dane uzyskane od generalnego kwatermistrza wskazują, że we wrześniu przydzielono bezpośrednio walczącym wojskom na wszystkich frontach następujące ilości sprzętu:

	Dostawy dla dywizji frontowych	Nowo wystawione jednostki
Pistolety	10000	78000
Pistolety maszynowe	2934	57660
Karabiny maszynowe	1527	24473
Działka plot 20 mm	54	4442
Działka plot 37 mm	6	948
Działa ppanc. 75 mm	180	748
Moździerze 80 mm	303	1947
Moździerze 120 mm	14	336
Lekkie haubice polowe	275	458
Ciężkie haubice polowe	35	273
Samochody ciężarowe	543	4736
Ciągniki gąsienicowe	80	654
Czołgi	317	373
Działa szturmowe	287	762

4 Według sprawozdania z mojej podróży w dniach 10-14 września 1944 r. armia walcząca pod Metz miała na 140-kilometrowym odcinku frontu jeszcze 112 dział, 52 opancerzone wozy bojowe, 116 ciężkich dział przeciwpancernych, 1320 karabinów maszynowych. LXXXI korpus armijny mógł wykorzystać w obronie Akwizgranu i ważnego przemysłu w tym mieście tylko 33 działa, 21 czołgów i 20 ciężkich dział przeciwpancernych. Pisałem do Hitlera w tym samym sprawozdaniu: „Stan broni ciężkiej jest do tego stopnia niewystarczający, że przełamanie wydaje się możliwe prawie w każdym miejscu. 100 czołgów z załogami liczącymi 500 ludzi może przełamać opór 10 tys. żołnierzy, którzy nie mają ciężkiej broni”.

5 Por. Dokument Norymberski R.F. 71. Zgodnie z tym dokumentem Sauckel zaproponował Hitlerowi już 26 kwietnia 1944 r. wydanie „rozkazu fiihrera”: „Do dowódcy frontu zachodniego i do dowódców wojsk we Francji, Belgii, Holandii. W wypadku inwazji należy w każdym warunkach zapewnić, by wydajna siła robocza nie znalazła się pod kontrolą wroga. Sytuacja przemysłu zbrojeniowego Rzeszy wymaga przekazania natychmiast tego rodzaju siły, w jak największej liczbie, do dyspozycji niemieckich zakładów zbrojeniowych”.

8 maja 1944 r. stwierdzono w oficjalnym protokole rokowań Sauckla z rządem francuskim: „Gauleiter Sauckel oświadcza, że przekazał swojej placówce plan mobilizacyjny na wypadek inwazji, wraz z rozkazem, by wówczas bezwzględnie przetransportować do Niemiec załogi zakładów przerywających pracę”. Na zakończenie posiedzenia gabinetu pod przewodnictwem Lammersa, 11 lipca 1944 r., Keitel wydał rozkaz do dowódcy wojsk we Francji stwierdzający, że „trzeba zastosować środki przemocy w celu wzięcia do niewoli robotników francuskich”. Ja natomiast zadecydowałem, „że mimo inwazji należy nadal utrzymywać produkcję we Francji, a ewakuacja wchodzi w rachubę tylko w przypadku ważnych deficytowych maszyn”. *Kronika*.

6 Por. protokół fuhrera z 18-20 sierpnia 1944 r., pkt 8.

W wyroku Międzynarodowego Trybunału Wojskowego z 30 września 1946 roku stwierdza się na temat tej i późniejszej mojej działalności: „Był on (Speer) w końcowym stadium wojny jednym z nielicznych ludzi, którzy mieli odwagę powiedzieć Hitlerowi, że wojna jest przegrana, i podjąć kroki, by zarówno na terytoriach okupowanych, jak i w Niemczech zapobiec bezsensownemu niszczeniu zakładów produkcyjnych. Pozostał on w opozycji do hitlerowskiego programu spalanej ziemi w kilku krajach zachodnich i w Niemczech, sabotując ten program mimo znacznego zagrożenia osobistego”.

7 Gauleitera Kolonii (Grohe) Hitler uczynił odpowiedzialnym za nadzór w Belgii, gauleitera Mozeli (Simon) w Luksemburgu i Lotaryngii, gauleitera Saa-ry-Palatynatu (Burckel) w Meurthe-et-Moselle.

W związku z aprobatą Hitlera mogłem na przykład napisać 5 września 1944 r. do gauleitera Simona: „Należy w każdym przypadku zadbać, by Lotaryngia, rejon Luksemburga, a także inne rejony przemysłowe, o ile miałyby wpaść w ręce wroga, zostały tylko sparaliżowane, to znaczy, by przez wymontowanie i wywóz niektórych, przeważnie elektrycznych, agregatów przerwano na kilka miesięcy funkcjonowanie, nie uszkadzając samych urządzeń. Musimy liczyć się z tym, że odzyskamy Lotaryngię, ponieważ jest ona dla nas na dłuższą metę niezbędna do kontynuowania wojny. Doświadczenia zebrane w Rosji pokazały, że zakłady przemysłowe wielokrotnie zmieniały właściciela, przy czym ani jedna, ani druga strona nie powodowały zniszczeń, a dany »użytkownik« uruchamiał urządzenia. Zrzeszenie Węgla i Stali otrzymuje odpowiednie instrukcje”. Obydwa zrzeszenia otrzymały ten sam rozkaz z dodatkową uwagą: „Z prośbą o spowodowanie takiego samego postępowania na zagrożonych obszarach wydobywania węgla w Belgii, Holandii oraz w Saarze. Muszą przy tym pozostać nietknięte pompy w kopalniach węgla”.

8 Dalekopis z 13 września 1944 r. do gauleiterów Zagłębia Ruhry: Wolno „zasadniczo tylko paraliżować, to znaczy przejściowo unieruchamiać urządzenia przez wymontowywanie i wywóz niektórych, przeważnie elektrycznych agregatów”. Dopiero w drugiej kolejności miało to dotyczyć kopalń oraz przemysłu stalowego; tym samym praktycznie były one z tego wyłączone.

9 Cytat z artykułu wstępnego Helmuta Siindermanna, zastępcy szefa prasowego Rzeszy, z 7 września 1944 r. Kilka tygodni później Siindermann oświadczył mi z ubolewaniem, że Hitler w sposób szczegółowy ustalił treść tego artykułu.

10 Pismem z 16 września 1944 r. Bormann zezwolił na rozciągnięcie tej decyzji Hitlera także na okupowane zachodnie rejony Holandii. Francji i Belgii oraz na wszystkie okręgi na wschodzie, południu i pomocy Niemiec. Po wystosowaniu 19 września 1944 r. listu do przewodniczących komisji zbrojeniowych i do inspektoratów zbrojeniowych przejął w dwa dni później odpowiedzialność za wszystkie przypadki, w których oddano przeciwnikowi zakład nawet bez sparaliżowania jego pracy: „W przyszłości będę raczej

stawiał zarzut z powodu zbyt wczesnego i pośpiesznego unieruchamiania zakładu niż z powodu zbyt późnego wydania rozkazu, który powodował, że unieruchomienie już nie mogło nastąpić".

Pismo z 17 września ustalało w stosunku do kopalń węgla kamiennego i brunatnego, położonych po lewej stronie Renu, że na wypadek zajęcia ich w zakładzie pozostaje kierownik techniczny z załogą awaryjną, „aby w miarę możliwości nie dopuścić do zatopienia urządzeń kopalni lub do innych szkód". Okólnik z podlegającej mi placówki Rzeszy do spraw energii elektrycznej, z 5 października 1944 r., zawierał dokładne instrukcje dla siłowni.

11 Memoriał z 5 września 1944 r. Nasze zapasy niklu i manganu wystarczały na pięć miesięcy dłużej niż nasz zapas chromu. Ponieważ tysiące kilometrów kabli miedzianych wysokiego napięcia zastąpiliśmy kablami z aluminium, zgromadzono na 17 miesięcy zapasy miedzi, która początkowo jako artykuł deficytowy powodowała największe niebezpieczeństwo dla naszych zbrojeń.

12 Cytat mówiący o uzupełnianiu materiałów wybuchowych solami kopalnymi pochodzi z memoriału z 6 grudnia 1944 r. na temat zaopatrzenia w azot. Azot był podstawowym surowcem w wytwarzaniu materiałów wybuchowych. Przed atakami produkowaliśmy (łącznie z terenami okupowanymi) 99000 t miesięcznie, w grudniu 1944 r. jeszcze 20 500 t. We wrześniu 1944 r. do 32 3001 materiału wybuchowego dodano 4100 t środków uzupełniających, w październiku 1944 r. do 35900 t dodano 8600 t, a w listopadzie do 35 200 t dodano 9200 t soli kopalnej (doraźne sprawozdanie urzędu planowania ze stycznia 1945 r.).

13 Według danych urzędu technicznego z 6 lutego przed atakami na przemysł lotniczy dostarczono w styczniu 1944 r. 1017, w lutym podczas ataków 990, w marcu 1240, w kwietniu 1475, w maju 1755, w czerwcu 2034, w lipcu 2305, w sierpniu 2273, we wrześniu 2878 myśliwców dziennych i nocnych. Wzrost ten osiągnięto w znacznej części przez ograniczenie produkcji innych typów, szczególnie wielosilnikowych. Ciężar wszystkich dostarczonych samolotów, według „Wskaźników niemieckiej zbrojeniowej produkcji finalnej" ze stycznia 1945 r., wzrósł z 232 w styczniu 1944 r. tylko do 310 we wrześniu, a więc o 34 proc. W tym okresie udział myśliwców w całej produkcji samolotów zwiększył się (według wagi) od 47,7 do 75,5 proc.

14 Centrala Planowania podawała 25 maja 1944 r.: „Liczba samolotów, które wyjdą z produkcji w maju, jest na tyle duża, że Sztab Generalny wierzy w takie zwiększenie strat przeciwnika po pewnym czasie, iż naloty na terytorium Rzeszy staną się nieopłacalne. Jeśli do wroga podchodzi pięć myśliwców, jeden bombowiec zostaje zniszczony. Obecnie za każdy zestrzelony bombowiec płaci się myśliwcem".

15 Cytaty z *Kroniki* z 21 i 24 sierpnia 1944 r. Mimo zarządzenia Hitlera, by liczbę samolotów myśliwskich zredukowano o połowę, produkcja ich pozostała prawie niezmienna: w lipcu 2305, w grudniu 2352.

16 Por. sprawozdanie z mojej podróży w dniach 10-14 września 1944 r. Kilka dni wcześniej, 31 sierpnia 1944 r., powiedziałem moim pracownikom, „że nie chciałbym ulegać psychozie przypisywania nowym rodzajom broni zbyt dużego znaczenia. Nie ma również mojego udziału w tym, że odgrywają one teraz w propagandzie pierwszoplanową rolę".

Podobnie wypowiedziałem się wobec moich pracowników 1 grudnia 1944 r. w Rechlinie: „Zobaczyli panowie (po pokazie nowych konstrukcji), że nie dysponujemy cudowną bronią i chyba nigdy nie będziemy nią dysponować! Z naszego, technicznego punktu widzenia zawsze było jasne dla każdego, kto chce to wiedzieć, że w dziedzinie

techniki nie bardzo możliwe są cuda, jakich oczekują laicy... Podczas swych wizyt na froncie ciągle stwierdzałem, że dowódcy dywizji oraz dowódcy pułków zaniepokojeni są szerzeniem się wśród żołnierzy coraz większej wiary w te cuda. Uważam to za zgubne". W kilka tygodni później, 13 stycznia 1945 r., spytano mnie na kursie dowodzących generałów i dowódców korpusów: „Czy można się jeszcze liczyć z wprowadzeniem nowych rodzajów broni, skoro w ostatnim kwartale propaganda tak wiele o nich mówiła”? Odpowiedziałem: „Od siebie mogę tylko powiedzieć, że jak najenergiczniej będę występował przeciw tym pogłoskom, poza tym propaganda ta nie pochodziła przecież ode mnie... Stale mówiłem, że nie należy oczekiwać cudownych broni. Również do fuhrera pisałem wielokrotnie, że tę całą propagandę uważam za zupełnie chybioną - nie tylko ze względów dowódczych, lecz również ze względu na niepoważne traktowanie wartości bojowej żołnierza niemieckiego... Nigdy nie będziemy mieli cudownej rzeczy, którą wyłożymy na stół... i nastąpi koniec wojny. Takie widoki nie istnieją”.

Rozdział 28

UPADEK

Zjednoczony wiosną 1944 roku w moim ministerstwie przemysł zbrojeniowy zaczął się późną jesienią znów rozpadać. Nie tylko dlatego, że produkcję wielkiej rakiety jako priorytetową przejęła SS, ale i z uwagi na to, że niektórzy gauleiterzy zdolali przeforsować podporządkowanie sobie produkcji zbrojeniowej na podległych im terenach. Hitler popierał takie inicjatywy. Uległ na przykład prośbie Sauckla i wyraził zgodę na zbudowanie w jego okręgu, w Turyngii, wielkiej podziemnej fabryki, produkującej seryjnie jednomotorowy myśliwiec odrzutowy, który nazywał „myśliwcem ludowym”. Rozproszenie to nie mogło już mieć teraz większego znaczenia, ponieważ znajdowaliśmy się w początkowym stadium gospodarczej agonii.

Poczynaniom tym towarzyszyły nadzieje - co świadczyło o wzrastającym zamięcie - że również za pomocą prymitywnej broni możemy osiągnąć powodzenie i w ten sposób wybrnąć z krytycznej sytuacji w dziedzinie techniki zbrojeniowej. Techniczną sprawność broni miała zastąpić odwaga pojedynczego człowieka. W kwietniu 1944 roku Donitz wyznaczył jako pełnomocnika do budowy jednoosobowych okrętów podwodnych i innych morskich jednostek bojowych wykazującego wiele inicjatywy i pomysowości wiceadmirała Heyego; zanim jednak mogła się rozpocząć produkcja masowa, nadszedł sierpień, udała się inwazja i za późno już było właściwie na takie plany. Również Himmler chciał sformować z samolotów raketowych z załogą „eskadrę śmierci”, która niszczyłaby nieprzyjacielskie bombowce taranując je. Innym prostym środkiem był tak zwany panzerfaust, mała pancernica, mająca zastąpić działą przeciwpancerne¹.

Późną jesienią 1944 roku Hitler ingerował w produkcję masek przeciwgazowych, wyznaczając specjalnego pełnomocnika, który był

bezpośrednio przed nim odpowiedzialny. Opracowano w wielkim pośpiechu plan zabezpieczenia całej ludności cywilnej przed skutkami użycia gazu. Chociaż pilne polecenie Hitlera z października 1944 roku doprowadziło do potrojenia produkcji, w wyniku czego wykonano ponad 2 300 tysięcy masek przeciwgazowych, to jednak dopiero w ciągu miesięcy można było wyposażyć w nie mieszkańców miast. Dlatego też organy partyjne publikowały zalecenia, aby stosować prymitywne środki ochrony, na przykład wykorzystując do tego celu papier.

Hitler mówił co prawda wówczas o niebezpieczeństwie nieprzyjacielskiego ataku gazowego na niemieckie miasta², ale zaprzyjaźniony ze mną dr Karol Brandt, któremu powierzono sprawę przedsięwzięć ochronnych, nie wykluczał, że te tak pośpieszne przygotowania mogą służyć rozpętaniu przez nas wojny gazowej. Wśród naszych „cudownych broni” posiadaliśmy gaz trujący nazywany tabunem; przenikał on przez filtry wszystkich znanych masek przeciwgazowych, a samo zetknięcie się z jego minimalnymi dawkami powodowało śmierć.

Jesienią 1944 roku po naradzie w Sonthofen zaprosił mnie do swej salonki Robert Ley, z zawodu chemik. Siedzieliśmy, jak to u niego było w zwyczaju, przy lampce wina. Jego jękanie się zdenerwowaniu: „Mamy przecież ten nowy gaz trujący, słyszałem o nim. Fuhrer musi to zrobić. Musi go użyć. Teraz musi on to uczynić! Kiedy więc! Już ostatni dzwonek! Również pan powinien mu to wytłumaczyć, że nadszedł najwyższy czas!” Milczałem, ale prawdopodobnie Ley prowadził identyczną rozmowę z Goebbelsem, gdyż ten wypytywał pracowników przemysłu chemicznego o tę truciznę i jej działanie, a także interweniował u Hitlera w sprawie użycia nowego gazu. Wprawdzie Hitler odrzucał ciągle wojnę gazową, ale w czasie omawiania sytuacji w kwaterze głównej dał do zrozumienia, że użycie gazu na wschodzie mogłoby powstrzymać napór jednostek radzieckich. Snuł przy tym niejasne rozważania, że Zachód zaakceptowałby wojnę gazową przeciwko Wschodowi; w tym stadium wojny rząd angielski i amerykański miały być zainteresowane w powstrzymaniu Rosjan. Ponieważ podczas omawiania sytuacji nikt nie podjął tej sprawy, Hitler już więcej do niej nie powracał.

Generalicja obawiała się niewątpliwie nieprzewidzianych następstw. Ja sam pisałem 11 października 1944 roku do Keitla, że z powodu załamania się przemysłu chemicznego na wyczerpaniu jest cyjanek i metanol³. W związku z tym od 1 listopada należy przerwać wytwarzanie tabunu, a produkcję iperytu ograniczyć do jednej czwartej. Keitel otrzymał wprawdzie rozkaz Hitlera kategorycznie zabraniający

ograniczenia produkcji gazu trującego, ale o wykonywaniu takich zarządzeń nie było już mowy. Nie udzielając żadnej odpowiedzi, dokonywałem przydziału surowców chemicznych według własnego zdania.

11 listopada do swoich memoriałów o niedoborach produkcji materiałów pędnych musiałem dołączyć nowy, alarmujący meldunek: od ponad sześciu tygodni połączenia komunikacyjne z Zagłębiem Ruhry były przerwane. Pisałem wtedy do Hitlera: „Biorąc pod uwagę całą strukturę gospodarczą Rzeszy, jest rzeczą oczywistą, że wskutek odpadnięcia nadreńsko-westfalskiego rejonu przemysłowego sparaliżowana będzie cała gospodarka niemiecka i na stałe uniemożliwione zostanie pomyślnie kontynuowanie wojny... Najważniejszym zakładom zbrojeniowym grozi wkrótce zamknięcie. W istniejących warunkach nie można tego uniknąć”.

W dalszym ciągu pisałem, że ponieważ nie można już przewozić węgla na pozostałe tereny Rzeszy, spadają gwałtownie jego zapasy na kolei, gazownie, olejarnie i wytwórnie margaryny znajdują się w przededniu unieruchomienia, nawet zaopatrzenie szpitali w koks jest niewystarczające.

Wszystko zwiastowało zbliżający się nieuchronnie koniec. Pojawiały się oznaki widocznej anarchii. Pociągi z węglem nie docierały do miejsca przeznaczenia, po drodze zatrzymywali je gauleiterzy i rekwirowali ładunek na własne potrzeby. W Berlinie nie opalano budynków, z gazu i prądu można było korzystać tylko w określonych godzinach. Kancelaria Rzeszy uskarżała się z oburzeniem, że nasz punkt przydziału węgla odmówił jej pełnego zaopatrzenia na resztę zimy.

Ta sytuacja uniemożliwiała nam dalszą realizację naszych planów, mogliśmy jeszcze tylko starać się produkować brakujące części. Kiedy zużyje się resztki zapasów, nastąpi koniec produkcji zbrojeniowej. Nie doceniałem - podobnie jak zapewne nieprzyjacielscy stratedzy wojny lotniczej - wielkich zapasów detali nagromadzonych w fabrykach⁴. Zakrojone na szeroką skalę poszukiwanie rezerw udowodniło, że można nadal liczyć na dużą produkcję zbrojeniową, aczkolwiek już tylko w ciągu kilku miesięcy. Hitler z upiornym spokojem zaakceptował ten, jak go nazywaliśmy, dyktowany koniecznością albo dodatkowy program. Nie powiedział ani słowa o konsekwencjach, co do których nie było przecież żadnych wątpliwości.

Mniej więcej w tym samym czasie Hitler w trakcie omawiania sytuacji oświadczył w obecności wszystkich generałów: „Mamy szczęście, że w dziedzinie zbrojeń posiadamy geniusza. Jest nim Saur.

Przewycięży on wszystkie trudności". „Mein fuhrer, minister Speer znajduje się tutaj", zauważył generał Thomale. „Tak, wiem o tym", odpowiedział krótko Hitler, niezadowolony, że mu przerwano, „jednak Saur jest geniuszem, który opanuje sytuację". Dziwne, ale ten zamierzony afront przyjąłem bez podniecenia, prawie obojętnie: zaczynaliśmy się rozstawać.

Gdy sytuacja wojskowa na zachodzie znów się ustabilizowała i można było mówić ponownie o froncie, a nie tylko o uciekających bezbronnym ludziach, 12 października po omówieniu sytuacji Hitler odwołał mnie na stronę i, zobowiązując do milczenia, oświadczył mi, że po skoncentrowaniu wszystkich rozporządzalnych sił przeprowadzi na zachodzie wielką ofensywę. „W tym celu musi pan zorganizować z niemieckich robotników oddział budowlany, wystarczająco zmotoryzowany, tak aby mógł w razie przerwania ruchu kolejowego podjąć samodzielnie budowę różnorodnych mostów. Proszę stosować te formy organizacyjne, które zostały już wypróbowane podczas kampanii zachodniej w 1940 roku". Zwróciłem mu uwagę, że do wykonania takiego zadania zabraknie nam prawdopodobnie dostatecznej ilości samochodów ciężarowych. Zdecydował wtedy jednoznacznie, że „w tym przypadku trzeba zaniechać innych przedsięwzięć, bez względu na wszelkie ewentualne konsekwencje. Będzie to wielkie uderzenie, które musi się powieść.

Gdzieś w końcu listopada Hitler jeszcze raz wyjaśniał, że stawia wszystko na tę ofensywę. Przekonany o jej sukcesie powiedział beztrąsko, że podejmuje swoją ostatnią próbę: „Jeżeli się nie uda, nie widzę już żadnych możliwości pomyślnego zakończenia wojny... Ale wybrniemy szczęśliwie", dodał gubiąc się jednocześnie w coraz bardziej nierealnych wyobrażeniach: „Jedno jedyne przełamanie na froncie zachodnim! Zobaczają oni! Spowoduje to załamanie i panikę wśród Amerykanów. Wedrzemy się do środka i weźmiemy Antwerpię. Utracą port, przez który się zaopatrują. I powstanie potężny kocioł, w którym znajdzie się cała angielska armia z setkami tysięcy jeńców. Jak dawniej w Rosji!"

Gdy w tym czasie spotkałem się z Albertem Voglerem w celu omówienia krytycznej sytuacji, spowodowanej nalotami lotniczymi

w Zagłębiu Ruhry, zapytał mnie bez ogródek: „Kiedy wreszcie nastąpi koniec?” Dawałem mu do zrozumienia, że Hitler mobilizuje wszystkie siły, podejmując ostatnią próbę. Vogler uporczywie ciągnął dalej: „Ale zdaje on sobie przecież sprawę, że potem musi nadejść koniec? Tracimy za wiele. Czy można mówić o odbudowie, jeśli zniszczenia w przemyśle będą dokonywane jeszcze choćby tylko przez kilka miesięcy?” „Sądzę, że Hitler rozgrywa swą ostatnią kartę i że wie o tym”, odpowiedziałem. Vogler spojrział na mnie sceptycznie: „Oczywiście, jest to jego ostatnia karta w sytuacji, kiedy nasza produkcja załamuje się na wszystkich odcinkach. Czy tę akcję skieruje się na wschód, aby tam odetchnąć?” Uchyliłem się od odpowiedzi. „Na pewno nastąpi to na froncie wschodnim”, sądził Vogler „żaden człowiek nie może popęlić takiego szaleństwa - obnażyć wschód chcąc powstrzymać nieprzyjaciela na zachodzie”.

W trakcie omawiania sytuacji generał Guderian, szef Sztabu Generalnego Wojsk Lądowych, od listopada zwracał Hitlerowi uwagę na bezpośrednie zagrożenie Górnego Śląska wskutek koncentracji jednostek na froncie wschodnim. Dla uniknięcia katastrofy zamierzał przesunąć ześrodkowane na zachodzie, przewidziane do działań ofensywnych, dywizje na wschodni teatr działań wojennych. Na procesie norymberskim niektórzy oskarżeni próbowali uzasadnić kontynuowanie wojny zimą 1944-1945 roku argumentacją, że Hitler tylko dlatego jeszcze prowadził walkę, by uratować życie uciekinierom ze wschodu i możliwie najmniej niemieckich żołnierzy oddać do niewoli rosyjskiej. Jednak jego decyzje z tego okresu świadczą o czymś zupełnie innym.

Reprezentowałem stanowisko, że Hitler powinien rozegrać „swoją ostatnią kartę” tak efektownie, jak tylko można. Dlatego też uzgodniłem z dowódcą Grupy Armii „B”, feldmarszałkiem Modelem, że w czasie ofensywy otrzyma on doraźną pomoc w uzbrojeniu. 16 grudnia, w dniu natarcia, zająłem kwaterę w domku myśliwskim w okolicach Bonn. Już w czasie nocnej jazdy na zachód wagonem motorowym widziałem na wschód od Renu stacje rozrządowe zapchane pociągami towarowymi; naloty lotnicze przerwały dowóz zaopatrzenia dla ofensywy.

Kwaterna Modela znajdowała się w dużym pałacu myśliwskim zamożnego przemysłowca, położonym w wąskiej dolinie leśnej w górach Eifel. Podobnie jak Sztab Generalny Wojsk Lądowych, Model zrezygnował z budowy schronów, gdyż nie chciał już kilka miesięcy naprzód zwracać na to miejsce uwagi nieprzyjacielskiego rozpoznania. Model był w dobrym humorze, udało się bowiem zaskoczenie, front

został prze-

rwany, nasze oddziały posuwały się szybko do przodu. Pogoda sprzyjała nam; była taka, jaką sobie Hitler przed ofensywą wymarzył: „Musimy mieć złą pogodę, gdyż w przeciwnym razie nasza operacja nie powiedzie się”.

Starłem się w miarę możliwości podjechać jak najbliżej frontu, Wśród nacierających oddziałów panował dobry nastrój, niski pułap chmur uniemożliwiał działalność lotnictwa. Ale już drugiego dnia doszło do chaosu komunikacyjnego, samochody ciężarowe posuwały się metr po metrze do przodu trzema pasami głównej drogi. Dla pokonania trzech, czterech kilometrów samochód mój, zablokowany przez wóz wiozący amunicję, potrzebował około godziny czasu. Obawiałem się, że może się rozpogodzić.

Za tym rozgardiaszem w oddziałach Modela kryły się różne przyczyny: na przykład brak dyscypliny w nowo sformowanych jednostkach albo chaos na zapleczu. Obraz ogólny świadczył jednak o tym, że wojsko zatraciło swą słynną dawniej zdolność organizacyjną: było to niewątpliwie spowodowane trzyletnim okresem sprawowania dowództwa przez Hitlera.

Pierwszym celem naszej mozolnej drogi był wysadzony most na północnym skrzydle 6 armii pancerniej SS. Chcąc udzielić pomocy przyrzekłem Modelowi zbadać, w jaki sposób można go najszybciej naprawić. Moje niespodziewane pojawienie się żołnierze oceniali sceptycznie. Adiutant dowiedział się od nich, jak komentują fakt, że przybyłem tutaj: „Führer zmył mu głowę, że most nie jest jeszcze gotowy. Teraz kazał mu się samemu wziąć do roboty”. W rzeczywistości budowa mostu postępowała w żółwym tempie. Oddziały budowlane Organizacji Todta, sformowane przez nas z taką starannością, utknęły na wschód od Renu, podobnie jak i większość sprzętu saperskiego, w nie dających się rozładować zatorach. Tak więc rychłe zakończenie ofensywy uwarunkowane było już choćby brakiem niezbędnego sprzętu do budowy mostów.

Na przebieg operacji ujemnie wpływało też niedostateczne zaopatrzenie w materiały pędne. Jednostki pancerne przystąpiły do natarcia jedynie z niewielkimi rezerwami paliwa. Hitler lekkomyślnie zakładał, że będą one mogły później zaopatrywać się same, korzystając z zasobów zdobytych na Amerykanach. Gdy ofensywie groziło zatrzymanie, udzieliłem Modelowi pomocy, polecając telefonicznie zestawiać specjalne pociągi z benzolem z pobliskiego Zagłębia Ruhry i wysyłać je na front.

Dowóz zaopatrzenia załamał się, gdy po kilku dniach skończyła się mglista pogoda, a bezchmurne niebo zaroilo się od niezliczonych samolotów myśliwskich i bombowych nieprzyjaciela. Nawet szybkim samochodem osobowym trudno było jechać w ciągu dnia i cieszyliśmy się, gdy mały skrawek lasu dawał nam schronienie. Odtąd dowóz zaopatrzenia musiał odbywać się w godzinach nocnych, prawie po omacku, od drzewa do drzewa . 23 grudnia, na dzień przed Wigilią, Model oświadczył mi, że ostatecznie ofensywa się nie powiodła. Hitler polecił jednak ją kontynuować.

W rejonie walk przebywałem do końca grudnia, odwiedzałem różne dywizje, przeżyłem naloty lotnicze i ostrzał artyleryjski, widziałem budzące grozę skutki niemieckiego ataku na stanowisko karabinów maszynowych - setki żołnierzy leżało skoszonych na niewielkim skrawku terenu. Ostatniego wieczora odwiedziłem Seppa Dietricha, sierżanta starej niemieckiej armii, obecnie dowódcę armii pancerniej SS, w jego kwaterze niedaleko belgijskiego miasta granicznego Houffalize. Również i on, jako jeden z nielicznych współbojowników z wczesnego okresu istnienia partii, oddalił się na swój sposób od Hitlera. Zaczęliśmy wkrótce rozmawiać o ostatnich rozkazach: Hitler coraz bardziej stanowczo żądał wzięcia „za wszelką cenę” otoczonego Bastogne. Nie chciał zrozumieć, sarkał Sepp Dietrich, że doborowe dywizje SS nie są w stanie łatwo uporać się z Amerykanami. Nie można przekonać go, że są oni twardym, równowartościowym przeciwnikiem. „Ponadto”, mówił dalej Dietrich, „nie otrzymujemy amunicji. Naloty lotnicze przerwały drogi zaopatrzenia”. Jakby dla ilustracji naszej bezsilności nocne rozmowy zakłócił nalot wielkich czterosilnikowych samolotów. Wyjące i detonujące bomby, kolorowe, czerwone i żółte, błyski w chmurach, warkot silników, a wzdłuż i wszerz żadnej obrony; byłem przygnębiony tym obrazem militarnej słabości, spowodowanej mylnymi ocenami Hitlera, opartymi na groteskowych przesłankach.

Unikając pod osłoną ciemności nurkujących samolotów wroga, 31 grudnia o godzinie czwartej rano odjechałem razem z Poserem i dopiero następnego dnia około drugiej nad ranem dotarłem do kwatery głównej Hitlera. Musieliśmy ciągle kryć się przed samolotami myśliwskimi, 22 godziny zajęło nam pokonanie odległości 340 kilometrów, choć robiliśmy tylko krótkie przerwy.

Zachodnia kwatera główna Hitlera, z której kierował ofensywą w Ardenach, znajdowała się na końcu ustronnej doliny, 2 kilometry na północny zachód od Ziegenbergu, w pobliżu uzdrowiska Nauheim. Ukryte w lesie i zamaskowane schrony zabezpieczono masywnymi

stropami i ścianami, podobnie jak wszystkie inne miejsca pobytu Hitlera.

Od chwili powołania mnie na ministra, trzykrotnie usiłowałem osobiście złożyć Hitlerowi życzenia noworoczne i za każdym razem bezskutecznie. W 1943 roku z powodu trudności z uruchomieniem zamrożonego silnika samolotu, w 1944 roku zaś wskutek awarii silnika w czasie lotu, gdy wracałem z frontu, znad Morza Lodowatego.

Upłynęły już dwie godziny 1945 roku, gdy wreszcie, minąwszy liczne posterunki, trafiłem do prywatnego schronu Hitlera. Nie przybyłem za późno: adiutanci, lekarze, sekretarki, Bormann - wszyscy oprócz generalicji z kwatery głównej zgromadzili się przy szampanie. Pod wpływem alkoholu panował swobodny nastrój, chociaż dawało się jednocześnie odczuć przygnębienie; jedynie Hitler, mimo iż nie używał podniecającego trunku, zdawał się być upojony i znajdować w stanie chronicznej euforii.

Aczkolwiek początek nowego roku nie przekreślał katastrofalnej sytuacji ubiegłego, można było mieć przeświadczenie, że jest lżej już choćby ze względu na rozpoczynający się od nowa kalendarz. Hitler snuł optymistyczne prognozy na rok 1945: minie wkrótce obecny punkt krytyczny, w końcu my zwyciężymy. Jego otoczenie przyjęło to w milczeniu. Tylko Bormann z zachwytem potakiwał fuhrerowi. Po upływie ponad dwóch godzin, w czasie których Hitler roztaczał optymistyczne nadzieje, wszyscy obecni, wśród nich i ja, mimo licznych wątpliwości zachowywali się coraz bardziej bez troski - podobnie jak przedtem posiadał zdolność magicznego oddziaływania. Z racjonalnego bowiem punktu widzenia jego argumenty nie mogły być przekonujące. Powinno otrzeźwić nas już choćby to, że Hitler, posługując się porównaniem do sytuacji Fryderyka Wielkiego w końcu wojny siedmioletniej, przyznał tym samym, że jest całkowicie pokonany militarnie⁶. Ale żaden z nas nie zastanawiał się nad tym.

W trzy dni później, na wielkiej konferencji z udziałem Keitla, Bormanna i Goebbelsa, znów odżyły złudne nadzieje. Teraz zmianę miało przynieść „Levee en masse” (pospolite ruszenie). Goebbels napadł na mnie, gdy się przeciwstawiłem i powiedziałem, że sparaliżuje to nasze ostatnie plany zbrojeń do takiego stopnia, iż ulegną pełnemu unieruchomieniu całe działy produkcji. Wpatrywał się we mnie osłupiały i zdenerwowany. Następnie, zwrócony do Hitlera zawołał uroczystym głosem: „Wtedy na pana, panie Speer, spadnie historyczna odpowiedzialność za to, że wskutek braku kilkuset tysięcy żołnierzy przegramy wojnę! Dlaczego nie powie pan w końcu tak!? Proszę się zastanowić!

Pańska wina!" Przez moment staliśmy nieruchomi, niezdecydowani, zirytowani - aż Hitler opowiedział się za Goebbelsem, a tym samym za wygraną wojną.

Po tej rozmowie odbyła się konferencja w sprawach zbrojeń, w której, jako goście Hitlera, mogli również brać udział Goebbels i jego sekretarz stanu Naumann. Jak to od dawna było w zwyczaju, Hitler pomijał mnie w czasie dyskusji, nie pytał o zdanie, lecz zwracał się wyłącznie do Saura. Występowałem raczej w roli milczącego Goebbels mówił do mnie po posiedzeniu, iż dziwi się, że tak obojętnie się przyglądałem, jak Saur ogranicza moje wpływy. Była to już zresztą rozmowa bezprzedmiotowa. Wraz z ofensywą w Ardenach wojna zbliżała się ku końcowi. Jedyne, co mogło teraz nastąpić, to desperacki i bezsilny opór, opóźniający zajęcie kraju.

Nie tylko ja unikałem starć. W całej kwaterze głównej zapanowała obojętność, której nie można było tłumaczyć wyłącznie letargiem, przepracowaniem i psychologicznym oddziaływaniem Hitlera. Zamiast panujących w ubiegłych latach i miesiącach gwałtownych konfliktów, spięć między licznymi interesami, grupami i klikami, które walczyły o przychyłność Hitlera i zrzucały wzajemnie na siebie odpowiedzialność za coraz częstsze klęski, zapanowała teraz obojętna cisza, która zwiastowała już koniec. Gdy na przykład w tych dniach udało się Saurowi zastąpić Himmlera jako „szefa uzbrojenia wojsk lądowych generałem Buhlem”⁷, posunięcie to, oznaczające częściowo pozbawienie Himmlera władzy, ledwie zauważono. Właściwie nie było już żadnej atmosfery pracy; bez jakiegokolwiek wrażenia przyjmowano bieg wydarzeń, gdyż świadomość nieuchronnej klęski pozostawiała wszystko inne głęboko w cieniu.

Podróż na front zatrzymała mnie przez trzy tygodnie z dala od Berlina, co świadczyło, że nie można już sprawować kierownictwa pozostając w stolicy. Ogólny chaos coraz bardziej komplikował centralne zarządzanie organizacją zbrojeń, ale jednocześnie powodował, liczyło się już ono.

12 stycznia rozpoczęła się na wschodzie przewidywana przez Guderiana wielka ofensywa radziecka; nasze pozycje obronne zostały przełamane na szerokim froncie. Nawet ponad 2 tysiące nowoczesnych czołgów, które mieliśmy na zachodzie, nie zdołałoby w tym czasie zrównoważyć przewagi oddziałów radzieckich.

świadka.

że nie

Kilka dni później czekaliśmy na rozpoczęcie omówienia sytuacji w tak zwanym pokoju poselskim Kancelarii Rzeszy. Gdy przybył Guderian, który spóźnił się z powodu wizyty u japońskiego ambasadora Oshimy, kamerdyner ubrany w zwykły czarno-biały mundur SS otworzył drzwi do gabinetu Hitlera. Po grubym, ręcznie tkanym dywanie podeszliśmy do stołu sytuacyjnego, ustawionego przy oknach. Olbrzymia jednolita płyta marmurowa, sprowadzona z Austrii, ukazywała na jasnoczerwonym tle żółto-białe plamy, pozostawione przez ławice koralowe. Stanęliśmy od strony okien, Hitler siedział naprzeciw nas.

Niemiecka armia w Kurlandii była całkowicie odcięta. Guderian próbował przekonać Hitlera, że pozycje te należy oddać, a wojsko przetransportować przez Morze Bałtyckie. Hitler, jak zwykle, gdy chodziło o wyrażenie zgody na odwrót, oponował; Guderian nie ustępował; Hitler obstawał przy swoim; rozmowa przybierała coraz ostrzejszy ton. W końcu Guderian przeciwstawił się z jeszcze większą, nie znaną w tym środowisku stanowczością. Podekscytowany prawdopodobnie działaniem alkoholu, który wypił u Oshimy, wyzbył się jakichkolwiek hamulców. Stojąc przy wielkim marmurowym stole, z iskrzącymi oczyma i nastroszonymi wąsami, wpatrywał się w Hitlera, który również powstał. Guderian krzyczał wyzywająco: „Ratowanie tych ludzi jest po prostu naszym obowiązkiem. Jeszcze mamy czas na ich przetransportowanie”. Zdenerwowany i niezwykle podniecony Hitler nie zgadzał się z nim: „Będą nadal walczyć! Tych terenów nie możemy oddać!” Guderian był nieugięty, z oburzeniem sprzeciwiał się: „Jest przecież zbyt wiele, aby w tak bezsensowny sposób poświęcać tam ludzi. Najwyższy już czas! Musimy natychmiast zaokrętować tych żołnierzy!”

Nastąpiło coś, czego nikt się nie spodziewał. Ten gwałtowny atak wyraźnie onieśmielił Hitlera. Ścisłej mówiąc, nie mógł pozwolić sobie na utratę prestiżu, spowodowaną przede wszystkim tonem Guderiana. Ku mojemu zdziwieniu powołał się jednak na względy wojskowe, twierdząc, że odwrót do portów musi wywołać ogólną dezorganizację i doprowadzić do większych strat niż te, które wynikłyby z kontynuowania obrony. Jeszcze raz Guderian stanowczo podkreślił, że odwrót jest pod względem taktycznym szczegółowo opracowany i całkowicie możliwy. Ale Hitler utrzymał swoją decyzję.

Czy były to symptomy upadku autorytetu? Tak jak i dawniej ostatnie słowo należało do Hitlera, nikt nie opuścił sali oburzony, nikt nie oświadczył, że nie może już nadal brać na siebie odpowiedzialności. To zadecydowało, że w końcu prestiż Hitlera pozostał nienaruszony,

mimo iż przez kilka minut byliśmy wręcz osłupieni naruszeniem

panujących zwyczajów. Zeitzler wyrażał sprzeciw bardziej powściągliwie, nawet w wypadku gdy miał inne zdanie, okazywał szacunek i lojalność. Po raz pierwszy doszło teraz w tak licznym gronie do otwartej wymiany zdań; nastąpił zupełnie widoczny rozdźwięk, zarysowały się przeciwstawne stanowiska, Hitler zachował wszakże twarz. Było to już bardzo wiele. Ale jednocześnie bardzo mało.

W obliczu szybkiego posuwania się Armii Radzieckiej uważałem za celowe udać się ponownie do śląskiego rejonu przemysłowego: chciałem zbadać, czy podległe mi organy respektują zarządzenia o nieniszczeniu przemysłu. Gdy 21 stycznia 1945 roku spotkałem się w Opolu z nowo wyznaczonym dowódcą grupy wojsk, feldmarszałkiem Schornerem, powiedział mi, że jednostki wojskowe istnieją jeszcze tylko z nazwy: w przegranej walce straciły one czołgi i broń ciężką. Nikt nie wiedział, jak daleko przedarły się wojska radzieckie w kierunku na Opole; w każdym razie oficerowie opuszczali kwaterę, w naszym hotelu pozostało tylko niewielu nocnych gości.

W moim pokoju wisiał sztych Katarzyny Kollwitz *Karmaniola*: wrzeszczący tłum tańczy z wykrzywionymi twarzami wokół gilotyny, nieco z boku przykucnęła na ziemi płacząca kobieta. W rozpaczliwej sytuacji kończącej się wojny widziałem również siebie, ogarniętego coraz większą troską. Podczas niespokojnego półsnu odzywały niesamowite postacie ze sztychu. Dochodziły do głosu, dręcząc jak nigdy dotąd, obawy o własny, nędzny los; za dnia wypierała je albo tłumiała aktywna działalność. Czy miałyby naród, powodowany gniewem i rozczarowaniem, powstać przeciwko swoim byłym przywódcom i zgładzić ich, jak to przedstawia obraz? W najbliższym otoczeniu, wśród przyjaciół i znajomych, mówiło się od czasu do czasu o naszej ponurej przyszłości. Milch zwykł zapewniać, że wrogowie wytoczą przywódcom Trzeciej Rzeszy błyskawiczny proces. Osobiście podzielałem jego punkt widzenia.

Z niepokojów tej nocy wyrwał mnie telefon oficera łącznikowego, pułkownika von Belowa. Już 16 stycznia zwróciłem w pilnym trybie uwagę Hitlera na to, że po odcięciu Zagłębia Ruhry od pozostałej części Rzeszy utrata Górnego Śląska musi pociągnąć za sobą szybkie załamanie się gospodarki. Przy pomocy dalekopisu jeszcze raz przekonywałem go o znaczeniu Górnego Śląska i prosiłem, ażeby grupie wojsk Schornera przydzielić „przynajmniej od 30 do 50 procent produkcji zbrojeniowej ze stycznia”.

Chciałem w ten sposób wesprzeć Guderiana, który ciągle domagał się od Hitlera przerwania ofensywnych wysiłków na zachodzie, by nieliczne, istniejące jeszcze grupy pancerne użyć na wschodzie.

Jednocześnie zwróciłem uwagę, „że widoczni z daleka na śniegu, zupełnie nie osłonięci Rosjanie bez przeszkód uzupełniają swoje zaopatrzenie. W sytuacji, kiedy na zachodzie użycie niemieckich myśliwców przynosi zaledwie odczuwalną ulgę, może lepiej byłoby tę wysoko jeszcze ocenianą tutaj broń zastosować w sposób skoncentrowany". Teraz Below zakomunikował mi, że Hitler z sarkastycznym uśmiechem określił moje spostrzeżenia jako trafne, ale nic nie przedsięwziął.

Następnego dnia zamierzałem kontynuować moją podróż do Katowic, centrum śląskiego rejonu przemysłowego, ale nie udało mi się tam dotrzeć. Wskutek gołoledzi zderzyłem się na zakręcie z dużym wozem ciężarowym, pod naporem mojej klatki piersiowej złamała się kierownica i zgięła nawet kolumna kierownicy; oddychając ciężko, siedziałem na schodach wiejskiej restauracji blady i zdenerwowany. „Wygląda pan jak minister po przegranej wojnie", powiedział Poser. Samochód nie był zdatny do jazdy, zabrano mnie z powrotem sanitarką; trzeba było zrezygnować z dalszej podróży. Ochłonawszy nieco, mogłem przynajmniej telefonicznie upewnić się u moich współpracowników w Katowicach, że wszystkie nasze uzgodnienia były realizowane.

W trakcie powrotnej podróży do Berlina Hanke, gauleiter Wrocławia, oprowadzał mnie po starym ratuszu, zbudowanym kiedyś przez Schinkla, a ostatnio odrestaurowanym. Mówił z patosem: „Rosjanie nie zdobędą go nigdy. Raczej spalę go". Wysuwałem zastrzeżenia, ale Hanke upierał się przy swoim. Było mu wszystko jedno, co się stanie z Wrocławiem, gdyby dostał się w ręce wroga. W końcu jednak udało mi się przekonać go o zabytkowych walorach przynajmniej tej budowli i odwieść od wandalizmu⁸.

Powróciwszy znów do Berlina, przedłożyłem Hitlerowi liczne zdjęcia, które kazałem zrobić w czasie swej podróży, ukazujące uchodźców. Żywiłem pewne nadzieje, że obraz kobiet, dzieci i starców, którzy w czasie silnego mrozu szli naprzeciw swego straszego losu, wywrze wrażenie na Hitlerze. Sądziłem, że pobudzę go może do podjęcia decyzji przerzutu jednostek z zachodu, co wpłynie przynajmniej na osłabienie tempa natarcia Rosjan. Gdy Hitler ujrzał te zdjęcia, gwałtownym ruchem odsunął je na bok. Trudno było wyczuć, czy nie interesowały go po prostu, czy też za bardzo poruszyły.

24 stycznia 1945 roku Guderian złożył wizytę ministrowi spraw zagranicznych von Ribbentropowi. Przedstawił mu sytuację na fron-

tach, a potem oświadczył zwięźle, że wojna została przegrana. Ribbentrop, przestraszony, nie chciał zająć stanowiska i próbował odzębnić się od całej sprawy; natychmiast poinformował Hitlera wyrażając zdziwienie, że szef Sztabu Generalnego wyrobił sobie własny pogląd na temat sytuacji wojennej. W dwie godziny później Hitler zdenerwowany oświadczył podczas omawiania sytuacji, że w przyszłości z całą bezwzględnością tępić będzie takie defetystyczne wypowiedzi. Każdy z jego współpracowników ma prawo zwracać się bezpośrednio tylko do niego: „Stanowczo zakazuję dokonywania uogólnień i wyciągania wniosków z istniejącej sytuacji. To moja sprawa! Kto w przyszłości będzie mówił do drugiej osoby, że wojna jest przegrana, potraktuję go jako zdrajcę narodu, ze wszystkimi następstwami dla niego i jego rodziny. Będę wyciągał konsekwencje, nie licząc się ze stanowiskiem i autorytetem!” Nikt nie ośmielił się powiedzieć słowa. Przysłuchiwaliśmy się w milczeniu i tak samo w milczeniu opuszczaliśmy gabinet Hitlera. Od tej chwili w czasie omawiania sytuacji coraz częściej pojawiał się nowy gość. Zajmował miejsce daleko w tyle, sama jego obecność działała nader skutecznie - był to szef gestapo, Ernst Kaltenbrunner.

W obliczu gróźb Hitlera i jego wzrastającej nieobliczalności, trzy dni później, 27 stycznia 1945 roku, wysłałem do trzystu najważniejszych moich współpracowników z przemysłu sprawozdanie, które podsumowywało naszą pracę w dziedzinie zbrojeń w okresie minionych trzech lat. Poleciałem również przybyć współpracującym ze mną dawniej architektom, prosząc o sporządzenie fotokopii naszych projektów i ich zabezpieczenie. Nie miałem czasu ani też zamiaru wtajemniczać kogokolwiek w moje troski i odczucia. Ale oni rozumieli: było to pożegnanie z przeszłością.

30 stycznia wydałem mojemu oficerowi łącznikowemu, von Belowowi, polecenie, by przekazał Hitlerowi memoriał. Był to przypadek, że mój memoriał nosił datę dwunastej rocznicy „przejęcia władzy”. Zgodnie z prawdą wyjaśniłem, że wojna, jeżeli chodzi o gospodarkę i zbrojenia, zbliża się do końca i w tej sytuacji wyżywienie, opał i elektryczność mają pierwszeństwo przed czołgami, silnikami lotniczymi i amunicją.

Chcąc rozwiać przesadne nadzieje Hitlera co do przyszłej produkcji zbrojeniowej w 1945 roku, załączyłem listę przewidywanej w następnych trzech miesiącach końcowej produkcji czołgów, broni i amunicji. Memoriał zakończyłem: „Z chwilą utraty Górnego Śląska

niemiecki przemysł zbrojeniowy nie będzie w stanie zaspokoić nawet najbardziej niezbędnych potrzeb frontu w zakresie amunicji, broni i czołgów... Nie można też już nadal wyrównywać materialnej przewagi nieprzyjaciela dzielnością naszych żołnierzy". Swego czasu Hitler stale twierdził, że kiedy niemiecki żołnierz rozpocznie walkę o swoją ojczyznę na niemieckiej ziemi, wówczas nasze niedostatki wyrównane zostaną czynami bohaterskimi. Chciałem na to odpowiedzieć w swoim memoriale.

Po otrzymaniu memoriału Hitler ignorował mnie, nie dostrzegał mojej obecności podczas omawiania sytuacji. Wezwał mnie do siebie dopiero 5 lutego. Poleciał, aby przyszedł ze mną także Saur. Po tym wszystkim, co się uprzednio wydarzyło, byłem przygotowany na nieprzyjemne starcie. Hitler przyjął nas w swym gabinecie w siedzibie kanclerskiej, co już wskazywało, że nie zamierzał wyciągać grożących mi konsekwencji. Nie kazał nam stać, jak to zwykł czynić wtedy, kiedy chciał okazać komuś swą niechęć, lecz bardzo uprzejmie wskazał obite pluszem fotele. Potem zwrócił się do Saura, mówił przytłumionym głosem. Wyglądał na skrupowanego; wyczuwałem jego zakłopotanie wynikające z tego, że usiłował przejść po prostu do porządku nad moją niesforonością i mówić o bieżących problemach produkcji zbrojeniowej. Z całkowitym spokojem rozważał możliwość najbliższych miesięcy, a Saur, przytaczając pomyślnie szczegóły, łagodził deprymujące wrażenie memoriału. Jego optymizm nie wydawał się całkiem bezpodstawny. W ciągu ostatniego roku moje prognozy nierzadko okazywały się błędne, ponieważ nieprzyjaciel nie wyciągał konsekwencji, które uwzględniałem w swoich obliczeniach.

Siedziałem markotny, nie biorąc udziału w rozmowie. Dopiero pod koniec Hitler zwrócił się do mnie: „Może pan wprawdzie pisać do mnie, jak ocenia pan sytuację w dziedzinie zbrojeń, ale zabraniam panu udzielać komukolwiek wyjaśnień na ten temat. Nie wolno panu również dawać nikomu odpisu tego memoriału. Co się tyczy pańskiego ostatniego akapitu - w tym momencie jego głos stał się ostry i chłodny - to czegoś podobnego nawet do mnie nie może pan pisać. Te końcowe uwagi mógłby pan sobie darować. Powinien pan mnie pozostawić wyciągnięcie wniosków z sytuacji w dziedzinie zbrojeń". Powiedział to wszystko bez żadnych objawów podniecenia, zupełnie cicho, nieco cedząc przez zęby. Brzmiało to nie tylko bardziej wymownie, lecz także daleko niebezpieczniej niż wybuch wściekłości, który następnego dnia mógłby szybko minąć. Zdałem sobie jasno sprawę, że było to jego ostatnie słowo. Pożegnał się z nami. Bardziej powściągliwie ze mną, serdeczniej z Saurem.

Już 30 stycznia skierowałem przez Posera odpis memoriału do sześciu wydziałów Sztabu Generalnego Wojsk Lądowych. Chcąc teraz formalnie wykonać rozkaz Hitlera, zażądałem ich zwrotu. Guderianowi i innym Hitler oświadczył, że odłożył memoriał do szafy pancерnej, nie czytając go.

Natychmiast zabrałem się do przygotowywania nowego memoriału. Pragnąc zaangażować do tego Saura, który w zasadzie podzielał moje zdanie na temat sytuacji w dziedzinie zbrojeń, ustaliłem z kierownikami najważniejszych głównych działów, że tym razem Saur powinien opracować i podpisać memoriał. Znamienne dla mojej ówczesnej sytuacji było to, że potajemnie przenieśliśmy spotkanie do Bernau, gdzie szef naszej produkcji amunicji, Stahl, posiadał zakład wytwórczy. Każdy z uczestników posiedzenia przyrzekał, że będzie nakłaniał Saura, aby powtórzył na piśmie moje oświadczenie o bankructwie.

Saur wił się jak piskorz. Nie dał się namówić na żadne pisemne oświadczenie, ale w końcu przyrzekł, że w czasie naszych następnych rozmów z Hitlerem potwierdzi moje pesymistyczne prognozy. Jednak kolejna konferencja u Hitlera przebiegała jak zwykle. Ledwo skończyłem swoją informację, Saur znowu usiłował osłabić deprymujące wrażenie. Zaczął opowiadać o niedawnej rozmowie z Messerschmittem i wyciągnął z teczki pierwsze szkice projektu czterosilnikowego bombowca odrzutowego. Choć produkcja samolotu o zasięgu aż do Nowego Jorku wymagałaby nawet w normalnych warunkach całych lat, Hitler i Saur już się upajali straszliwymi skutkami psychologicznymi, jakie atak bombowy wywołałby w wąwozach ulicznych utworzonych przez drapacze chmur.

W lutym i marcu 1945 roku Hitler dawał wprawdzie od czasu do czasu do zrozumienia, że polecił różnymi drogami nawiązać kontakt z nieprzyjacielem, nie ujawniał jednak żadnych szczegółów. W rzeczywistości odniosłem wrażenie, że chodziło mu przede wszystkim o wytworzenie atmosfery jak największej, bezwzględnej nieustępliwości. W okresie konferencji w Jałcie słyszałem, jak dawał wytyczne referentowi prasowemu Lorenzowi. Niezadowolony z relacji niemieckich gazet żądał ostrzejszego i agresywniejszego tonu: „Tych podżegaczy wojennych z Jałty należy obrazić, tak obrazić i zaatakować, by uniemożliwić im występowanie z jakimikolwiek propozycjami wobec narodu niemieckiego. Trzeba zrobić wszystko, aby przeszkodzić w złożeniu oferty. Ta banda chce oddzielić naród niemiecki od jego kierownictwa. Zawsze mówiłem: kapitulacji nie można nigdy brać pod uwagę”. A po chwili:

„Historia nie powtarza się!". W swoim ostatnim przemówieniu radiowym Hitler powrócił do tej myśli i zapewnił „tych innych mężów stanu raz na zawsze, że każda próba ingerencji w sprawy narodowosocjalis-tycznych Niemiec za pomocą wilsonowskich frazesów jest liczeniem na naiwność, której dzisiejsze Niemcy nie znają". Dalej mówił, że z obowiązków bezkompromisowego reprezentowania interesów swego narodu może zwolnić go tylko ten, kto mu te obowiązki powierzył. Miał na myśli „wszechmogącego", na którego się w tym przemówieniu powoływał.

W miarę zbliżania się kresu jego władzy, Hitler, który lata zwycięskich podbojów spędzał w gronie generalicji, coraz częściej obcował, co rzucano się w oczy, z najbliższymi towarzyszami partyjnymi, współpracownikami z początkowego okresu swej kariery. Co wieczór przesiadywał kilka godzin z Goebbelsem, Leyem i Bormannem. Nikt nie miał wstępu, nikt nie wiedział, o czym mówili - czy wspominali swój start życiowy, czy też zastanawiali się nad upadkiem i nad tym, co nastąpi. Na próżno oczekiwałem wtedy, że usłyszę choćby od jednego z nich jakąś podyktowaną współczuciem wypowiedź o przyszłości zwyciężonego narodu. Chwyтали się każdej nadziei, liczyli na najbardziej nieprawdopodobne wydarzenia, które mogą spowodować zmianę. Jednocześnie nie troszczyli się o los całego narodu tak poważnie, jak o swój własny. „Pozostawimy Amerykanom, Anglikom i Rosjanom tylko pustynie" - takim powiedzeniem nierzadko kończyli rozmowy na temat sytuacji. Hitler zgadzał się z tym, ale nie wyrażał się tak krańcowo, jak Goebbels, Bormann czy Ley. W kilka tygodni później okazało się w praktyce, że Hitler był bardziej zdecydowany od nich wszystkich. Podczas gdy inni mówili, on przybierając pozę męża stanu i nie wyjawiając swego punktu widzenia, wydawał rozkazy zniszczenia podstaw egzystencji narodu.

W czasie omawiania sytuacji na początku lutego, kiedy mapy ukazywały katastrofalny obraz niezliczonych przełamań i kotłów, odwołałem na bok Donitza mówiąc: „Coś się musi stać". Jego krótka odpowiedź była wymowna: „Reprezentuję tu tylko marynarkę wojenną. Wszystko inne to nie moja sprawa. Fuhrer będzie wiedział, co ma zrobić".

Jest znamienne, że grono osób, które każdego dnia gromadziły się wokół stołu sytuacyjnego przed wyczerpanym i nieruchomo siedzącym Hitlerem, ani razu nie odważyło się na podjęcie jakiegoś wspólnego

kroku. Niewątpliwie Goring od dawna był zdemoralizowany i coraz bardziej wytracony z równowagi. Ale równocześnie należał on do tych niewielu, którzy od pierwszej chwili realistycznie i bez złudzeń dostrzegali zmiany spowodowane przez Hitlera tą wojną. Gdyby Goring, jako drugi człowiek w państwie, wspólnie z Keitlem, Jodlem, Donitzem, Guderianem i mną, wezwał ultimatywnie Hitlera do przedstawienia swej koncepcji zakończenia wojny, zmusiłby go do zajęcia stanowiska. Nie tylko dlatego, że Hitler od dawna obawiał się tego rodzaju konfliktów: teraz w mniejszym stopniu aniżeli kiedykolwiek mógł sobie pozwolić na rezygnację z fikcji jednomyślnego kierownictwa.

W połowie lutego odwiedziłem pewnego wieczoru Goringa w Karinhall. Stwierdziłem na mapie sytuacyjnej, że wokół domku myśliwskiego rozmieścił on swą dywizję strzelców spadochronowych. Goring już dawno stał się kozłem ofiarnym, na którego zrzucano winę za wszystkie niepowodzenia lotnictwa. Podczas omawiania sytuacji Hitler miał zwyczaj w obecności oficerów oskarżać go wręcz napastliwie i obraźliwie. Jeszcze gorzej musiało to wyglądać, gdy rozmawiali w cztery oczy. Oczekując w przedpokoju, często słyszałem, jak Hitler czynił mu głośne zarzuty.

Tego wieczoru w Karinhall po raz pierwszy i jedyny miałem bliski, osobisty kontakt z Goringiem. Poleciał kamerdynerowi podać przy kominku czerwone wino i pozostawić nas samych. Mówiłem otwarcie, że rozczarowałem się do Hitlera, na co Goring równie szczerze odpowiedział, iż dobrze mnie rozumie i często ma podobne zdanie. Ale mnie jest lżej niż jemu, gdyż ja znacznie później związałem się z Hitlerem i dlatego też łatwiej mi się z nim rozstać. Był bardziej przywiązany do Hitlera, wiele lat wspólnych trosk i przeżyć połączyło ich wzajemnie - trudno mu uwolnić się od tego wszystkiego. Kilka dni później Hitler przeniósł rozmieszczoną wokół Karinhall dywizję strzelców spadochronowych na front, daleko na południe od Berlina.

Jeden z wyższych oficerów SS dał mi w tym czasie do zrozumienia, że Himmler przygotowuje podjęcie decydujących kroków. W lutym 1945 roku reichsfuhrer SS przejął dowództwo Grupy Armii „Wisła”, ale podobnie jak i jego poprzednicy nie mógł powstrzymać natarcia Rosjan. Również przeciwko niemu kierował teraz Hitler gwałtowne zarzuty. Tak więc w ciągu kilku tygodni dowodzenia na froncie Himmler stracił autorytet, jaki jeszcze posiadał.

Jednakże nadal wszyscy go się obawiali. Ja też poczułem się nieswojo, gdy pewnego dnia adiutant zakomunikował mi, że Himmler zapowiedział się wieczorem na rozmowę; nawiasem mówiąc, właśnie

wtedy jedyny raz przyszedł do mnie. Niepokój mój pogłębił się jeszcze, kiedy nowy szef naszego centralnego zarządu Hupfauer, z którym kilka razy dość szczerze rozmawiałem, poinformował mnie zdenerwowany, że o tej samej porze będzie u niego szef gestapo, Kaltenbrunner.

Zanim Himmler wszedł, adiutant szepnął mi: „Jest sam”. W moim gabinecie nie było szyb; nie kazaliśmy ich wstawiać, gdyż i tak co kilka dni wypadały z powodu wybuchów bomb. Na stole stała niewielka świeczka, ponieważ wyłączono światło elektryczne. Otuleni w płaszcze siedzieliśmy naprzeciw siebie. Himmler mówił o drugorzędnych sprawach, dopytywał się o nieistotne szczegóły, nawiązywał do sytuacji na froncie, w końcu zaczął snuć niejasne rozważania: „Zjeżdżając w dół, znajdzie się w końcu jakiś grunt, a gdy się na nim stanie, wówczas, panie Speer, można się wspiąć znów do góry”. Wkrótce pożegnał się, gdyż ani zgadzałem się z tą prymitywną filozofią, ani się jej sprzeciwiałem, i w ogóle mówiłem bardzo mało. Przez cały czas, aż do chwili gdy odprowadziłem go do drzwi, Himmler był uprzejmy, lecz zarazem tajemniczy. Nie pojąłem nigdy, czego ode mnie chciał i dlaczego w tym samym czasie pojawił się u Hupfauera Kaltenbrunner. Być może słyszeli o mojej krytycznej postawie i próbowali nawiązać kontakt. Albo chcieli nas jedynie wy badać.

14 lutego zaproponowałem listownie ministrowi finansów „skonfiskowanie na rzecz państwa całego przyrostu majątku osobistego, który od 1933 roku poważnie się zwiększył”. Ta ingerencja miała przyczynić się do stabilizacji marki, której wartość nabywczą z trudem utrzymywała się w wyniku przymusowych posunięć, a po ustaniu tego przymusu musiałaby spaść. Podczas dyskusji nad moimi propozycjami minister finansów, hrabia Schwerin-Krosigk, spotkał się ze zdecydowanym sprzeciwem Goebbelsa, którego szczególnie dotknęłyby takie przedsięwzięcia.

Do jeszcze bardziej nierealnych należała inna koncepcja; unaocznia mi ona dzisiaj romantyczny i fantastyczny świat uczuć, w jakim wówczas żyłem. W końcu stycznia dyskutowałem z Wernerem Naumannem, sekretarzem stanu w Ministerstwie Propagandy, na temat beznadziejności sytuacji, czyniąc to bardzo ostrożnie i subtelnie.

Przypadek sprawił, że wspólnie udaliśmy się do schronu przeciwlotniczego ministerstwa. Zakładając, że przynajmniej Goebbels zdolny jest zrozumieć sytuację i wyciągnąć z niej wnioski, snułem mgliste propozycje dokonania ostatniego posunięcia: wyobrażałem sobie wspólne wystąpienie rządu, partii i naczelnego dowódcy. Całe kierownictwo Rzeszy z Hitlerem na czele miało wydać proklamację, że jest gotowe

oddać się dobrowolnie w ręce przeciwnika, gdyby w zamian za to zagwarantowano niemieckiemu narodowi znośne warunki dalszej egzystencji. U podstaw tego nieco operetkowego pomysłu leżały historyczne reminiscencje, wspomnienia o Napoleonie, który po klęsce pod Waterloo oddał się w ręce Anglików. Wagnerowskie idee samoofiary i zbawienia - dobrze się stało, że do tego nie doszło. Spośród moich współpracowników szczególnie bliski osobiście był mi dr Luschen, kierownik niemieckiego przemysłu elektrycznego, członek zarządu i jeden z kierowników koncernu Siemens. Ten siedemdziesięcioletni człowiek, z którego doświadczeń chętnie korzystałem, przewidywał wprawdzie ciężkie czasy dla narodu niemieckiego, ale nie wątpił w jego ponowny rozkwit.

Luschen odwiedził mnie w początkach lutego w moim małym mieszkaniu, w oficynie ministerstwa przy placu Paryskim, wyciągnął z teczki kartkę i podał mi ją mówiąc: „Czy wie pan, jakie zdanie z Mein Kampf Hitlera jest teraz na ulicy najczęściej cytowane?”

„Dyplomacja powinna troszczyć się, by naród nie ginął heroicznie, lecz zachował swą egzystencję. Każda droga, która prowadzi do tego, jest wówczas właściwa, a zejście z niej musi być określane jako przestępstwo wynikające z niedopełnienia obowiązków”. Luschen dodał, że znalazł drugi odpowiedni cytat, i pokazał mi go: „Autorytet państwa jako cel sam w sobie nie może istnieć, gdyż w tym przypadku wszelka tyrania na tej ziemi byłaby nietykalna i uświęcona. Kiedy poczynania władzy rządowej prowadzą naród do upadku, wtedy rebelia każdego członka takiego narodu jest nie tylko prawem, lecz obowiązkiem”.

Luschen pożegnał mnie bez słowa i pozostawił samego z kartką papieru. Chodziłem niespokojnie tam i z powrotem po swoim pokoju. Hitler sam powiedział to, do czego dążyłem w ostatnich miesiącach. Pozostał jeszcze wniosek końcowy: jeśli uwzględni się choćby tylko program polityczny Hitlera, to świadomie zdradzał on własny naród, który poświęcił się dla jego celów i któremu wszystko zawdzięczał; w każdym razie więcej, niż ja miałem do zawdzięczenia Hitlerowi. Tej nocy podjąłem decyzję usunięcia Hitlera. Niewątpliwie moja działalność ograniczyła się do wstępnych przygotowań i wyglądała dość śmiesznie. Ale jednocześnie świadczy ona o charakterze reżimu i deformacji jego aktorów. Nawet dziś przejmuję mnie dreszcz na myśl, do czego doszedł taki człowiek jak ja, który kiedyś nie chciał być niczym więcej niż architektem Hitlera. Nadal jeszcze często siedziałem naprzeciw niego, nawet przeglądałem razem z nim stare plany budowlane

- choć jednocześnie myślałem, w jaki sposób postarać się o gaz trujący aby usunąć z drogi tego człowieka, który mimo wszelkich nieporozumień ciągle jeszcze mnie lubił i bardziej mi pobłażał aniżeli komukolwiek. Przez lata całe przebywałem w otoczeniu, dla którego życie ludzkie nic nie znaczyło; wydawało mi się, że nie obchodzi mnie to. Teraz dostrzegłem, że te doświadczenia nie pozostały bez wpływu na mnie. Nie tylko uwikłałem się w gąszczu ułudy, intryg, nikczemności, gotowości do mordów, lecz sam stałem się częścią tego przewrotnego świata. W istocie przez dwanaście lat żyłem bezmyślnie wśród morderców; teraz, w okresie upadku reżimu, doszło do tego, że właśnie Hitler dał mi moralny impuls do wykonania na niego zamachu.

Na procesie norymberskim Goring urągał mi i nazywał mnie drugim Brutusem. Również inni oskarżeni czynili mi zarzut „Złamał pan przysięgę złożoną fuhrerowi”. Ale to powoływanie się na przysięgę nie miało żadnego znaczenia i nie było niczym innym, jak tylko próbą wymigania się od obowiązku samodzielnego myślenia. Jeżeli nie kto inny, to właśnie sam Hitler pozbawił ich tego pozornego argumentu, tak jak mnie w lutym 1945 roku.

Podczas spacerów po parku Kancelarii Rzeszy zauważyłem szyb wentylacyjny schronu Hitlera. W niewielkich zaroślach na wysokości ziemi znajdował się przykryty małą kratownicą otwór wentylatora. Wsysane powietrze przechodziło przez filtr. Podobnie jak wszystkie filtry, nie chronił on jednak przed naszym gazem trującym, tabunem.

Przypadek sprawił, że osobiście poznałem kierownika naszej produkcji amunicji, Dietera Stahla. Miał on odpowiadać przed tajną policją państwową za defetystyczne uwagi o zbliżającym się końcu wojny. Prosił mnie, abym pomógł mu uniknąć przesłuchań. Dzięki temu, że dobrze znałem gauleitera Brandenburgii, Sturtza, udało mi się załatwić sprawę pomyślnie. Mniej więcej w połowie lutego, kilka dni po wizycie Luschna, siedziałem wraz ze Stahlem podczas ciężkiego nalotu lotniczego w naszym berlińskim schronie przeciwlotniczym. Sytuacja sprzyjała szczerym rozmowom. W ponurym pomieszczeniu, o betonowych ścianach, stalowych drzwiach, z prostymi krzesłami, rozmawialiśmy o stosunkach panujących w Kancelarii Rzeszy. Nagle Stahl objął mnie ramieniem i wykrzyknął: „To straszne!”

Pytałem go ostrożnie o nowy gaz trujący i czy może go dostarczyć. Mimo że pytanie było nadzwyczaj niecodzienne, Stahl chętnie zgodził się. Przestaliśmy nagle mówić, a po chwili powiedziałem:

Jedynie to może doprowadzić do zakończenia wojny. Zamierzam podjąć próbę wpuszczenia gazu do schronu Kancelarii Rzeszy". Jakkolwiek darzyliśmy się zaufaniem, w pierwszym momencie sam przeraziłem się swojej szczerości. Jednak Stahl nie był ani skonsternowany, ani podniecony, lecz rzeczowo przyrzekł zorientować się w najbliższym czasie, jakie są możliwości dostarczenia gazu.

Po kilku dniach zakomunikował mi, że nawiązał kontakt kierownikiem wydziału amunicji w zarządzie uzbrojenia wojsk lądowych, majorem Soyką. Prawdopodobnie powstanie możliwość wykorzystania granatów produkowanych w fabryce Stahla do prób z gazem trującym. Praktycznie każdy urzędnik średniego szczebla zatrudniony w fabryce gazów trujących miał łatwiejszy dostęp do tabunu niż minister czy też kierownik wydziału amunicji. W rozmowie okazało się jednak, że tabun działa skutecznie tylko w wyniku eksplozji. W związku z tym nie można go było zastosować, gdyż eksplozja rozerwałaby cienkie ściany kanałów doprowadzających powietrze. Tymczasem nadszedł już początek marca. Myślałem nadał o swoim zamiarze, wydawało mi się, że jest to jedyny środek usunięcia z drogi nie tylko Hitlera, lecz jednocześnie - podczas jednej z nocnych narad - Bormanna, Goebbelsa i Leya.

Stahl sądził, że niebawem będzie mógł postarać się o jeden z tradycyjnych gazów. Już od czasu budowy Kancelarii Rzeszy znałem się z szefem techników, Henschlem; zasugerowałem mu, że filtry powietrzne za długo były w użyciu i wymagają wymiany; Hitler miał rzekomo uskarżać się w mojej obecności na niedobre powietrze w schronie. Zbyt szybko, szybciej, aniżeli byłem w stanie działać, Henschel wymontował urządzenia filtrujące, tak że pomieszczenia schronu pozostawały nie zabezpieczone.

Ale nawet mając już gaz, nie mogliśmy go w tych dniach wykorzystać. Kiedy bowiem pod jakimś pozorem obejrzałem szyb wentylacyjny, zastałem zmieniony obraz. Na dachach całego kompleksu budynków wystawiono uzbrojone posterunki SS, zainstalowano reflektory, a w miejscu, gdzie kiedyś na wysokości ziemi znajdował się otwór doprowadzający powietrze, wzniesiono wysoki, trzy do czterech metrów sięgający komin, który uniemożliwiał dostęp do wentylatora. Czułem się, jakbym dostał obuchem w głowę. Przez moment podejrzewałem, że mój plan został wykryty. W istocie jednak odgrywał tu rolę tylko przypadek. Hitler, który w czasie pierwszej wojny światowej oślepił na pewien okres wskutek działania gazu trującego, zarządził budowę tego komina, zdając sobie sprawę, że gaz trujący jest cięższy od powietrza

W gruncie rzeczy ulżyło mi, gdy ostatecznie przekonałem się, że mój plan nie może być zrealizowany. Przez trzy, cztery tygodnie prześladowała mnie obawa, czy ktoś nie odkrył naszej rozmowy, od czasu do czasu opanowywała mnie myśl, że obserwują mnie i wiedzą, co zamierzałem. W każdym razie po 20 lipca 1944 roku należało liczyć się z ryzykiem pociągnięcia do odpowiedzialności również rodziny, mojej żony, a przede wszystkim naszych sześciorga dzieci.

W ten sposób nie tylko moje zamierzenie stało się niemożliwe, lecz nawet sam plan zamachu zniknął z moich rozważań tak szybko, jak się narodził. Odtąd widziałem swoje zadanie nie w usunięciu Hitlera, lecz w udaremnianiu jego rozkazów dotyczących zniszczeń. To także przyniosło mi ulgę, gdyż ciągle jeszcze wszystko tkwiło we mnie: przywiązanie, bunt, lojalność, oburzenie. Uważałem za niemożliwe - niezależnie od wszelkiego strachu - wystąpienie przeciwko Hitlerowi z pistoletem w ręku. Jego sugestywna władza nade mną w sytuacji, gdy znajdowałem się z nim twarzą w twarz, była do końca zbyt wielka.

Całkowite zagmatwanie moich uczuć wyrażało się w tym, że mimo głębokiego przeświadczenia o niemoralności jego postępowania nie mogłem stłumić żalu z powodu nieuchronnego upadku i załamania się jego filozofii, opartej na niezłomnej wierze w samego siebie. Od tej pory czułem do niego mieszaninę odrazy, współczucia i fascynacji.

Ponadto obawiałem się: w połowie marca chciałem ponownie zjawić się u Hitlera z kolejnym memoriałem, który podnosił zakazany temat przegranej wojny, miałem zamiar przekazać mu go wraz z osobistym listem. Zacząłem nerwowo szkicować list, posługując się zielonym atramentem, zastrzeżonym jedynie dla ministra. Przypadek sprawił, że posłużyliśmy się drugą stroną kartki, na której moja sekretarka przepisała zastrzeżoną jedynie dla Hitlera specjalną czcionką cytat z *Mein Kampf*. Ciągle jeszcze nie chciałem mu wypominać jego własnego wezwania do rebelii, kiedy przegrywa się wojnę.

„Musiałem napisać załączony memoriał”, zacząłem, „ponieważ, jako minister Rzeszy do spraw zbrojeń i produkcji wojennej byłem do tego zobowiązany wobec Pana i wobec niemieckiego narodu”. Tu zawahałem się i poprawiłem zdanie. Dokonując korekty umieściłem naród niemiecki przed Hitlerem i pisałem dalej: „Zdaję sobie sprawę, że z tego pisma muszą wynikać poważne dla mnie konsekwencje”.

Na tym kończył się mój list. Również w tym zdaniu wprowadziłem poprawkę. Wszystko oddałem w ręce Hitlera. Zmiana była nieznacząca: „...mogą wynikać poważne dla mnie konsekwencje”.

1 Konstrukcję wzorowano na amerykańskiej bazooce. W listopadzie 1944 r. wyprodukowano 997 tyś. panzerfaustów, w grudniu 1 253 tyś. i w styczniu 1945 r. 1200

2 Rzeczywiście Churchill kazał się poinformować 5 sierpnia 1944 r. o możliwości użycia przez Wielką Brytanię gazów trujących przeciw Niemcom. Według sprawozdania za pomocą 32 tyś. ton iperytu i fosgenu można by „skutecznie skazić około 2500 km² terytorium niemieckiego, więcej niż wynosi łącznie obszar Berlina, Hamburga, Kolonii Essen, Frankfurtu i Kassel" (Irving, *Die Geheimwaffen des Dritten Reiches*, Hamburg 1969).

Zgodnie z moim pismem do Keitla z 11 października 1944 r. (RLA 1302/44) aż do czasu ataków na przemysł chemiczny latem 1944 r. nasza miesięczna produkcja wynosiła 31001 iperytu i 10001 tabunu. Po naszej stronie musiano więc gromadzić w ciągu cięciu lat wojny znaczne ilości substancji trujących, które przewyższały odnośne zapasy Brytyjczyków, nawet jeśli przyjąć, że potrzebne do tych celów moce produkcyjne zostały podczas wojny zwiększone.

3 Spośród podstawowych składników koniecznych do wytwarzania gazów trujących wyprodukowano w październiku 1944 r. jeszcze: 10 9001 metanolu (przeciętna miesięczna w 1943 r. 21 500 t) i 336 t cyjanu (w 1943 r. - 1234 t).

4 Nadzieja przeciwników na zakończenie wojny zimą 1944/45 r. niewątpliwie spełniłaby się raczej wskutek obezwładnienia przemysłu chemicznego. Komunikację bowiem przywracano z reguły o wiele szybciej, niż oczekiwaliśmy. Tak więc dzienna liczba podstawianych wagonów w stosunku do początkowej liczby (w 1943 r. przeciętnie 139 tyś.) wynosiła: w styczniu 1945 r. ciągle jeszcze 70 tyś., a więc połowę, w lutym 39 tyś., a więc jedną trzecią, w marcu 1945 r. 15 tyś., a więc bądź co bądź jedną dziewiątą. Dzięki swym wielkim zapasom przemysł zbrojeniowy mógł za pośrednictwem tego uzupełniającego programu nadal osiągać wyniki, które zdecydowanie przewyższały redukcję dowozów. Wskaźnik całej produkcji zbrojeniowej wynosił w 1944 r. przeciętnie 277 (w 1943 r. - 222). W styczniu 1945 r. spadł do 227, a więc o 18 proc., w lutym do 175, a więc o 36 proc., w marcu 1945 r. do 145, a więc prawie o połowę - przy zachowaniu jednej dziewiątej natężenia ruchu.

W styczniu 1945 r. wytwarzaliśmy jeszcze 175 tyś. ton amunicji (tzw. tony generalnego kwatermistrza), a więc bądź co bądź 70 proc. produkcji z 1943 r. (225 800 t), ale tylko jedną ósmą azotu. Wyprodukowaliśmy w styczniu 1945 r. 3185 samolotów (w 1943 r. - 2091 na miesiąc), dysponowaliśmy jednak tylko jedną trzynastą ilości paliwa. Dostarczyliśmy w styczniu 1945 r. 1766 czołgów, dział pancernych, dział szturmowych i lawet samobieżnych (przeciętna 1943 r. wynosiła 1009), 5089 ciężarówek i lekkich ciągników (w 1943 r. -10 453), 916 ciągników (w 1943 r. -1416), ale mieliśmy jeszcze tylko jedną czwartą dotychczasowej produkcji paliwa do tych pojazdów.

Spadek produkcji chemicznej był więc czynnikiem decydującym o zmniejszeniu naszej siły bojowej.

5W swym sprawozdaniu z podróży pisałem 31 grudnia 1944 r. do Hitlera: "Ruch pojazdów... musi się odbywać przy całkowicie wygaszonych światłach. Wskutek nocnych zakłóceń oraz niemożności odbywania jakiegokolwiek jazdy w ciągu dnia nasze ruchy nawet przy równowartościowym systemie dróg, stanowią od połowy do jednej trzeciej ruchów nieprzyjaciela, który może prowadzić dowóz prawie bez przeszkód (w dzień) a zwłaszcza w nocy przy pełnym wykorzystaniu światła. Dalsze znaczne utrudnienia, w zaopatrzeniu, powoduje stan dróg w Eifel i Ardenach... Większa część dróg ma zakręty, wskutek czego pod względem trudności jazdy w niczym nie

ustępują one drogom alpejskim... Rozważania operacyjne wyższego dowództwa i wynika-

jące z nich rozkazy z pewnością nie zawsze uwzględniają wiążące się z tym problemy zaopatrzenia. Zaopatrzenie odgrywa widocznie we wszystkich rozważaniach przygotowawczych rolę podrzędną... Jeśli nie wyliczy się i nie uwzględni we właściwy sposób zaopatrzenia, operacja musi ponieść fiasko".

6 Tylko śmierć carycy Elżbiety uratowała go, także zdaniem Hitlera, przed skutkami poniesionej już klęski.

7 Według protokołu fuhrera z 3-5 stycznia 1945 r., pkt 24. Chodzi o sukces Saura, który stale przedstawiał Hitlerowi skargi na naruszanie przez zastępcę Himmlera obegruppenfuhrera SS Juttnera zasady odpowiedzialności przemysłu za siebie. W końcu Hitler tak się rozzłościł, że zarządził odsunięcie Himmlera.

8 Co prawda nie na długo: w kilka miesięcy później prowadził walkę o Wrocław bez względu na życie ludzkie i wartościowe budowle, kazał nawet publicznie powiesić swojego starego znajomego, burmistrza miasta, dr. Spielhagena, aby następnie, jak usłyszałem później od konstruktora Flettnera, na krótko przed kapitulacją uciec z obleżonego Wrocławia na jednym z nielicznych prototypów śmigłowca.

Rozdział 29

POTĘPIENIE

Prowadzenie ożywionej działalności w tym ostatnim stadium wojny wpływało na mnie uspokajająco, absorbując moją uwagę. Troskę o chylącą się ku upadkowi produkcję zbrojeniową powierzyłem Sauro-wi. Sam natomiast współpracowałem ściśle z ludźmi przemysłu, omawiając z nimi pilne problemy zaopatrzenia i przestawienia się na gospodarkę okresu powojennego.

Plan Morgenthaua dawał Hitlerowi i partii doskonałą okazję przekonywania społeczeństwa, że wraz z klęską Rzeszy również i jego los zostałyby ostatecznie przesądzone. Ta groźba oddziaływała rzeczywiście na szerokie kręgi ludności. My natomiast mieliśmy od dawna inne zdanie o dalszym rozwoju wydarzeń. Podobne przecież cele, jak plan Morgenthaua, tylko w bardziej ostrej i zdecydowanej formie, realizował Hitler i jego polityczni przedstawiciele na okupowanych terenach. W rzeczywistości jednak, wbrew niemieckim zamiarom, rozwinął się ponownie przemysł w Czechosłowacji i w Polsce, w Norwegii i we Francji, gdyż w końcu jego reaktywowanie dla własnych celów wzięło górę nad maniactwem rozjątrzonych ideologów. Rozpoczynając uruchamianie przemysłu, trzeba było zagwarantować ludziom podstawowe warunki egzystencji - żywić ich, ubierać, płacić im pensje.

Tak w każdym razie wyglądał bieg wydarzeń na terenach okupowanych. Jedyнным warunkiem tego było, według naszego przekonania, utrzymanie mechanizmu produkcji w możliwie nienaruszonym stanie. Moja działalność w końcowym okresie wojny, zwłaszcza po zaniechaniu planu zamachu, koncentrowała się prawie wyłącznie na ratowaniu potencjału przemysłowego wbrew ideologicznym i narodowym uprzedzeniom, wbrew wszystkim trudnościom. Działo się to nie bez oporu i prowadziło mnie coraz dalej na drogę kłamstwa, kręactwa

i schizofrenii. W styczniu 1945 roku Hitler przekazał mi podczas omawiania sytuacji informację prasy zagranicznej, mówiąc:

„Rozkazałem przecież zniszczyć wszystko we Francji. Jak to możliwe, że przemysł francuski już po kilku miesiącach zbliża się znów do poziomu swej produkcji przedwojennej?” Przyglądał mi się oburzony. „Może chodzi tutaj o informację propagandową”, odpowiedziałem spokojnie.

Ponieważ wykazywał zrozumienie dla fałszywych informacji propagandowych, sprawa przestała być aktualna.

W lutym 1945 roku poleciałem jeszcze raz na Węgry, do rejonu złóż ropy, do pozostającego w naszych rękach zagłębia węglowego Górnego Śląska, do Czechosłowacji i do Gdańska. Wszędzie udało mi się zjednać miejscowych pracowników ministerstwa dla naszej idei oraz znaleźć zrozumienie u generałów. W okolicach Balatonu na Węgrzech obserwowałem wówczas przemarsz kilku dywizji SS, które Hitler zamierzał użyć w zakrojonej na szeroką skalę ofensywie. Plan operacji objęty był największą tajemnicą wojskową. Toteż groteskowo wyglądało noszenie na mundurach emblematów, które wyraźnie wskazywały na formacje elitarne. Jeszcze bardziej groteskowe aniżeli ta nie zamaskowana koncentracja jednostek, przewidzianych do zaskakującej ofensywy, było przekonanie Hitlera, że za pomocą kilku dywizji pancernych obali dopiero co ustanowione panowanie radzieckie na Bałkanach. Jego zdaniem, narodom zamieszkującym południowo--wschodnią Europę już po kilku miesiącach znudziła się radziecka władza. Będąc w tych tygodniach w desperackim nastroju, wmawiał sobie, że nawet osiągnięcie początkowo niewielkich sukcesów spowodowałoby zmiany; doszłoby na pewno do powstania ludowego wymierzonego w Związek Radziecki, a ludność walczyłaby razem z nami o wspólną sprawę przeciwko wspólnemu wrogowi, aż do osiągnięcia zwycięstwa. Były to fantazje.

W drodze do Gdańska odwiedziłem kwaterę Himmlera, dowódcy Grupy Armii „Wisła”. Urządził się on w Wąlczu w wygodnie wyposażonym pociągu specjalnym. Byłem przypadkowo świadkiem, jak podczas rozmowy telefonicznej z generałem Weissem Himmler stereotypowo odrzucił wszystkie argumenty, które przemawiały za oddaniem straconej pozycji: „Dałem przecież panu rozkaz. Odpowiada pan za to głową. Każę pana pociągnąć do osobistej odpowiedzialności, jeśli utracimy pozycję”.

Gdy nazajutrz odwiedziłem generała Weissa w Stargardzie, dowiedziałem się, że pozycję w nocy oddano. Weiss nie wyglądał na przejętego groźbami Himmlera: „Nie angażuję moich -oddziałów do

realizacji niewykonalnych żądań, opłacanych ciężkimi stratami. Czynie tylko to, co jest możliwe". Z groźbami Hitlera i Himmlera zaczynało się już nie liczyć. Również i podczas tej podróży poleciłem fotografom ministerstwa robić zdjęcia nie kończącego się potoku uciekierów, którzy w niemej panice udawali się na zachód. Hitler znów wzbraniał się przed obejrzeniem fotografii. Nie tyle zdenerwowany, co zrezygnowany odsunął je daleko od siebie.

W czasie podróży na Górny Śląsk poznałem generała pułkownika Heinriciego, rozumnego człowieka, z którym w ostatnich tygodniach wojny miałem jeszcze raz współpracować z pełnym wzajemnym zaufaniem. Wtedy, w połowie lutego, ustaliliśmy, że nie należy niszczyć urządzeń kolejowych, które w przyszłości można wykorzystać do zaopatrywania w węgiel terenów południcwo-wschodnich. Razem odwiedziliśmy kopalnię w okolicach Rybnika. Mimo bezpośredniej bliskości frontu radzieckie oddziały pozwalały zakładowi nadal pracować; wydawało się, że przeciwnik również respektuje politykę niedokonywania zniszczeń.

W początkach marca udałem się do Zagłębia Ruhry, aby na miejscu omówić, co powinniśmy czynić oczekując na zbliżający się koniec i początek nowego. Przemysłowcy wykazywali przede wszystkim troskę o drogi komunikacyjne: jeżeli zachowamy kopalnie węgla i stalownie, a zniszczymy wszystkie mosty, to ulegną przerwaniu wzajemne dostawy węgla, stali i walcówki. Z tego też względu jeszcze w tym samym dniu pojechałem do feldmarszałka Modela¹. Oburzony opowiadał mi, że Hitler właśnie rozkazał mu siłami ściśle określonych dywizji uderzyć w skrzydło nieprzyjaciela w okolicach Remagen i odbić z powrotem most. Mówił zrezygnowany: „Dywizje te na skutek utraty broni nie posiadają żadnej siły bojowej i przedstawiają mniejszą wartość niż kompania! W kwaterze głównej nie mają żadnego pojęcia!... Odpowiedzialność za niepowodzenie spadnie oczywiście na mnie”. Model niezadowolony z rozkazów Hitlera gotów był wysłuchać moich propozycji. Zapewniał mnie, że w walce o Zagłębie Ruhry będzie oszczędzał niezbędne mosty, a przede wszystkim urządzenia kolejowe.

Pragnąc zapobiec w przyszłości nie przemyślanemu wysadzeniu mostów, uzgodniłem z generałem pułkownikiem Guderianem wydanie zasadniczego zarządzenia w sprawie „dokonywania zniszczeń we własnym kraju”, które miało zabronić przeprowadzania akcji „utrudniających zaopatrzenie własnej ludności”. Jeżeli już koniecznie trzeba było dokonywać zniszczeń, należało je w miarę możliwości ograniczać do nieznacznych rozmiarów. Guderian chciał nawet wydać

to zarządzenie na własną odpowiedzialność dla wschodniego teatru działań wojennych; podjął również próbę uzyskania podpisu generała pułkownika Jodła, któremu podlegał front zachodni, w związku z czym musiał się zwrócić do Keitla. Ten zaś, przyjmując projekt oświadczył, że omówi go z Hitlerem. Wynik można było przewidzieć: podczas następnego omawiania sytuacji Hitler zwrócił uwagę na konieczność ścisłego przestrzegania zarządzeń w sprawie zniszczeń, oburzając się jednocześnie na propozycje Guderiana.

W połowie marca znów przedstawiłem szczerze Hitlerowi w memoriale moje zdanie o niezbędnych przedsięwzięciach, jakie należałoby podjąć na tym etapie. Pismo naruszało, z czego zdawałem sobie sprawę, wszelkie ustalone przez Hitlera w ostatnich miesiącach zasady. Ale przecież kilka dni przedtem zebrałem w Bernau swoich współpracowników z przemysłu i oświadczyłem im, że użyję wszystkich sił, aby w żadnym wypadku, nawet w warunkach dalszego pogarszania się sytuacji wojskowej, nie dopuścić do niszczenia zakładów. Równocześnie jeszcze raz pismem okólnym zobowiązałem podległy mi aparat do unikania zniszczeń.

Chcąc w ogóle zainteresować Hitlera lekturą tych memoriałów, rozpoczynałem, posługując się wypróbowaną metodą, od informowania na pierwszej stronie o wydobywaniu węgla. Jednakże już na drugiej stronie gospodarka zbrojeniowa znajdowała się w katalogu potrzeb na ostatnim miejscu. Wyprzedzały ją potrzeby cywilne: wyżywienie, zaopatrzenie, gaz i elektryczność². Memoriał zapowiadał wprost, że za cztery do ośmiu tygodni z całą pewnością oczekiwać należy „ostatecznego załamania się niemieckiej gospodarki”, po czym „również nie będzie można prowadzić dalej wojny”. Następnie, adresując ten fragment osobiście do Hitlera, pisałem: „Nikt nie może reprezentować poglądu, że od jego własnego losu zależy los narodu niemieckiego”. Najświętszym obowiązkiem kierownictwa w tych ostatnich tygodniach wojny musi być „udzielanie pomocy narodowi wszędzie tam, gdzie jest to możliwe”. Memoriał kończyłem słowami: „Nie mamy żadnego prawa w tym stadium wojny dokonywać zniszczeń, które spowodować mogą zagrożenie bytu narodu”.

Dotychczas zawsze i wszędzie przeciwstawiłem się zamierzeniom Hitlera dotyczącym zniszczeń, argumentując zgodnie z oficjalnie głooszonym, nieszczerym optymizmem, że nie należy niszczyć przedsiębiorstw, gdyż „po ich odzyskaniu powinny być w krótkim czasie

oddane znów do użytku". Hitler niewiele mógł przeciwstawić temu argumentowi. Teraz zaś oświadczyłem po raz pierwszy, że potencjał przemysłowy musi być zachowany również wtedy, „gdy odzyskanie nie wydaje się możliwe... Nie ma sensu, prowadząc wojnę na terenie ojczystego kraju, niszczyć tak licznych mostów; przy ograniczonych środkach okresu powojennego trzeba będzie całych lat na ponowne odbudowanie sieci komunikacyjnej... Jej zniszczenie oznacza pozbawienie narodu niemieckiego możliwości dalszej egzystencji”³.

Tym razem nie wahałem się przekazać Hitlerowi memoriał bez uprzedzenia. Należało być przygotowanym na jego nieobliczalną, gwałtowną reakcję. Doręczyłem obejmujące dwadzieścia dwie strony opracowanie pułkownikowi von Belowowi, mojemu oficerowi łącznikowemu w kwaterze głównej fuhrera, z poleceniem przedłożenia go w stosownym momencie. Potem zwróciłem się do adiutanta osobistego Hitlera, Juliusa Schaubu, o spowodowanie, abym z okazji zbliżającej się czterdziestej rocznicy swoich urodzin mógł otrzymać fotografię Hitlera z dedykacją. Spośród bliższych jego współpracowników byłem jedynym, który przez dwanaście lat nigdy o to nie zabiegał. Teraz, w końcowym okresie jego panowania i naszych osobistych stosunków, chciałem mu dać do zrozumienia, że wprawdzie nie zgadzam się z nim i w memoriale całkiem otwarcie ukazuję jego niepowodzenia, lecz mimo to szanuję go tak jak dawniej i przywiązuję dużą wagę do wyróżnienia mnie fotografią z jego podpisem. Nie czułem się jednak pewnie i postanowiłem bezpośrednio po przekazaniu memoriału zniknąć z pola widzenia fuhrera. Jeszcze tej samej nocy zamierzałem polecieć do Królewca, zagrożonego przez wojska radzieckie; za pretekst posłużyła mi konferencja z moimi pracownikami na temat uniknięcia niepotrzebnych zniszczeń. Jednocześnie chciałem się z nimi pożegnać.

18 marca wieczorem udałem się na omówienie sytuacji, mając zamiar przekazać memoriał. Od pewnego czasu konferencje te nie odbywały się już we wspólnym gabinecie Hitlera, który zaprojektowałem przed siedmioma laty. Hitler przeniósł je teraz do swego małego gabinetu w głębokim schronie. Z melancholijną goryczą mówił do mnie: „Ach, wie pan, panie Speer, pańska piękna architektura nie stanowi już właściwej oprawy dla omawiania sytuacji”.

Tematem konferencji w dniu 18 marca była obrona Zagłębia Saary, poważnie zagrożonego przez armię Pattona. Podobnie jak już kiedyś, gdy chodziło o rosyjskie kopalnie manganu, Hitler zwrócił się

nagle do mnie o pomoc: „Proszę powiedzieć tym panom, co oznacza dla pana utrata węgła Saary”. Nieoczekiwanie wyrwało mi się: „Przyśpieszyłoby to tylko jeszcze klęskę”. Oslupieni i zmieszani patrzyliśmy na siebie. Byłem nie mniej zaskoczony niż Hitler, który po chwili przykrego milczenia zmienił temat.

Tego samego dnia dowódca wojsk „Zachód”, feldmarszałek Kesselring, zameldował, że w walce z nacierającymi amerykańskimi siłami zbrojnymi w poważnym stopniu przeszkadza ludność cywilna. Coraz częściej zdarza się, że nie wpuszcza ona własnych oddziałów do wiosek. Kieruje do oficerów błagalne prośby o nieniszczenie miejscowości w toku działań bojowych. W wielu przypadkach wojska uwzględniały te rozpaczliwe żądania. Nawet przez moment nie biorąc pod uwagę następstw, Hitler polecił Keitlowi przygotowanie dla dowódcy wojsk „Zachód” i gauleiterów rozkazu przymusowej ewakuacji całej ludności cywilnej. Keitel natychmiast usiadł gorliwie sam za stołem w rogu i przystąpił do redagowania rozkazu.

Jeden z obecnych generałów przekonywał Hitlera, że nie jest możliwe przeprowadzenie ewakuacji setek tysięcy ludzi. Nie dysponujemy przecież żadnymi pociągami. Komunikacja od dawna została całkowicie sparaliżowana. Hitler okazał się niewzruszony. „Niech więc maszerują pieszo!”, odpowiedział. Generał przytaczał argumenty, że i to jest trudno zorganizować, gdyż trzeba zapewnić wyżywienie ludziom, którzy muszą być kierowani przez słabo zamieszkane okolice, a poza tym nie mają oni niezbędnego obuwia. Nie zdążył dokończyć. Hitler odwrócił się, nie wywarło to na nim żadnego wrażenia.

Keitel tymczasem przygotował projekt rozkazu i przedstawił Hitlerowi, który go zaakceptował. Rozkaz brzmiał: „Obecność ludności cywilnej w zagrożonej przez wroga strefie jest równie uciążliwa dla walczących jednostek, jak i dla samej ludności. Dlatego też fuhrer rozkazał: Na zachód od Renu oraz na terenie Saary - Palatynatu należy natychmiast usunąć, począwszy od linii frontu, wszystkich mieszkańców... Ewakuować w ogólnym kierunku na południowy wschód i na południe od linii St. Wendel - Kaiserslautern - Ludwigshafen. Szczegóły ustala Grupa Armii »G« w porozumieniu z gauleiterami. Gauleiterzy otrzymują te same wytyczne za pośrednictwem kierownika kancelarii partyjnej. Podpisał szef OKW, feldmarszałek Keitel”⁴.

Nikt nie sprzeciwił się, gdy Hitler na zakończenie powiedział: „Nie możemy już nadal zwracać uwagi na ludność cywilną”. Opuszczałem gabinet w towarzystwie Zandera, który pełnił funkcję łącznika pomiędzy Bormannem a Hitlerem; Zander był zrozpaczony: „Ależ tak

przecież nie można! Doprowadzi to do katastrofy! Nic nie jest przygotowane". Pod wpływem impulsu oświadczyłem, że rezygnuję z lotu do Królewca i jeszcze dziś w nocy pojadę na zachód.

Omawianie sytuacji zakończyło się, minęła północ i nadeszła czterdziesta rocznica moich urodzin. Poprosiłem Hitlera o chwilę rozmowy. Wezwał dyżurnego: „Proszę przynieść fotografię, którą podpisałem”, po czym wręczył mi, składając serdeczne urodzinowe, czerwoną kasetę skórzaną, z widniejącymi na niej insygniami władzy, w jakiej miał zwyczaj ofiarowywać oprawione w srebrne ramki swoje zdjęcia. Dziękując, postawiłem czerwoną kasetę na stole i wyjąłem swój memoriał. Tymczasem Hitler powiedział: „W ostatnim okresie trudno jest mi własnoręcznie napisać choćby kilka słów. Wie pan, jak drży mi ręka. Często ledwie mogę się podpisać. To, co napisałem dla pana, wypadło bardzo nieczytelnie”. Otworzyłem wówczas kasetę, chcąc przeczytać dedykację. Była ona istotnie ledwo czytelna, ale utrzymana w wyjątkowo serdecznym tonie, zawierała podziękowanie za moją pracę oraz zapewnienie o trwałej przyjaźni. Niezręcznie mi więc było przekazywać mu teraz swój memoriał, w którym w sposób rzeczowy stwierdzałem załamanie się dzieła jego życia.

zyczenia

Hitler przyjął pismo bez słowa. Chcąc wybrnąć z kłopotliwej sytuacji, poinformowałem go, że jeszcze dzisiaj w nocy pojadę na zachód. Potem pożegnałem się. Gdy ze schronu telefonicznie zamawiałem samochód i kierowcę, ponownie wezwał mnie Hitler. „Zastanowiłem się i doszedłem do wniosku, że będzie lepiej, jeśli skorzysta pan z jednego z moich wozów oraz z usług kierowcy Kempki”, powiedział. Wysuwając różne preteksty, oponowałem. W końcu Hitler zgodził się, abym wziął swój samochód, ale musiał jechać ze mną Kempka. Zrobiło mi się przykro, zniknęła już bowiem ciepła atmosfera, jaka panowała w momencie, gdy wręczał mi zdjęcie, czym mnie niemal oczarował. Najwyraźniej rozdrażniony pozwolił mi odejść. Byłem już przy drzwiach, gdy nie dopuszczając mnie do głosu, oświadczył: „Tym razem otrzyma pan pisemną odpowiedź na memoriał”. Chłodno, po krótkiej przerwie dodał: „Jeżeli wojnę przegramy, zginie również naród. Nie musimy myśleć o warunkach, jakie mu będą potrzebne do dalszej prymitywnej egzystencji. Przeciwnie, lepiej będzie, jeżeli sami wszystko zniszczymy, ponieważ nasz naród okazał się słabszy, a przyszłość należy wyłącznie do silniejszego narodu wschodniego. To, co pozostanie po tej wojnie, reprezentować będzie mniejszą wartość, albowiem ci lepsi zginą!”

Poczułem się lepiej, gdy w świeżym, nocnym powietrzu znalazłem się za kierownicą swego samochodu; obok mnie siedział kierowca Hitlera, a z tyłu podpułkownik von Poser, mój oficer łącznikowy ze Sztabem Generalnym. Z Kempką szybko doszliśmy do porozumienia, że w czasie jazdy będziemy się zmieniać. Było już w pół do drugiej w nocy; chcąc przejechać 500 kilometrów autostradą do kwatery dowódcy wojsk „Zachód”, w okolicach Nauheimu, jeszcze przed nastaniem dnia, a tym samym przed pojawieniem się samolotów szturmowych, musieliśmy się śpieszyć. Nastawiliśmy radio na stację nadawczą myśliwców nocnych, na kolanach trzymaliśmy mapę ze współrzędnymi. „Myśliwce nocne w kwadracie... Liczne moskity w kwadracie... Myśliwce nocne w kwadracie...”, wiedzieliśmy dokładnie, gdzie nieprzyjaciel dokonuje swych nalotów. W momencie zbliżania się do nas jakiegoś oddziału musieliśmy zmieniać światła na postojowe i powoli jechać wzdłuż krawędzi drogi. Jak tylko nasz rejon był wolny od samolotów nieprzyjaciela, zapalaliśmy wszystkie światła samochodu i pędziliśmy autostradą. Ranek zastał nas jeszcze na trasie, ale niskie chmury uniemożliwiały działalność lotnictwa. Po przybyciu na miejsce⁵ poszedłem najpierw przespać się kilka godzin.

Około południa spotkałem się z Kesselringiem, jednak rozmowa nasza nie przyniosła żadnego rezultatu. Okazał się on jedynie żołnierzem i nie był skłonny dyskutować nad rozkazami Hitlera. Niespodziewanie natomiast znalazłem zrozumienie u pełnomocnika partii w jego sztabie. Gdy spacerowaliśmy tam i z powrotem po tarasie zamku, zapewniał mnie, że w miarę możliwości będzie wstrzymywał raporty o zachowaniu się ludności cywilnej, które mogłyby w przyszłości prowokować Hitlera do niepożądanych reakcji.

Podczas skromnego obiadu w sztabie Kesselring wznosił właśnie krótki toast z okazji czterdziestej rocznicy moich urodzin, gdy nagle zamek zaatakowały nieprzyjacielskie samoloty myśliwskie i w tej samej chwili pierwsze serie karabinów maszynowych trafiły w mur nad oknami. Wszyscy rzucili się na ziemię. Teraz dopiero zawyła syrena alarmowa. Jednocześnie w bezpośredniej bliskości upadły pierwsze duże bomby. Wybuchwały na lewo i na prawo od nas, a my tymczasem śpieszyliśmy poprzez dym i kurz do schronu.

Celem nalotu było prawdopodobnie stanowisko dowodzenia wojsk frontu zachodniego. Bomby spadały bez przerwy. Schron drżał, ale nie został trafiony. Po zakończeniu nalotu kontynuowaliśmy rozmowy, teraz wspólnie z przemysłowcem z Saary, Hermannem Rochlingiem. W toku konferencji Kesselring oznajmił temu siedem-

dziesiąt lat z górą liczącemu człowiekowi, że w najbliższych dniach Saara zostanie utracona. Rochling przyjął zapowiedź utraty swego ojczystego kraju i swych zakładów spokojnie, prawie obojętnie: „Saarę już raz utraciliśmy i odzyskaliśmy z powrotem. Mimo mojego wieku dożyję jeszcze chwili, kiedy znów znajdzie się ona w naszych rękach”.

Następnym etapem naszej podróży był Heidelberg, dokąd przeniesiono teraz sztab uzbrojenia południowo-zachodnich Niemiec. Chciałem wykorzystać okazję i w związku z moimi urodzinami złożyć krótką wizytę rodzicom. W ciągu dnia podróż autostradą uniemożliwiały samoloty szturmowe; ponieważ znałem z czasów mojej młodości boczne drogi, jechaliśmy z Rochlingiem, przy ciepłej, słonecznej pogodzie wiosennej, przez Odenwald. Po raz pierwszy rozmawialiśmy zupełnie szczerze; Rochling, dawny wielbiciel Hitlera, nie ukrywał swego zdania o bezsensownym fanatyzmie dalszego kontynuowania wojny. Do Heidelbergu przybyliśmy późnym wieczorem. Wiadomości z Saary były pomyślne: nie podjęto prawie żadnych przygotowań do zniszczeń. Ponieważ dysponowaliśmy zaledwie kilkoma dniami, nawet rozkaz Hitlera nie był już w stanie spowodować nieszczęścia.

Podczas nużącej podróży po zatłoczonych na skutek odwrotu drogach często urągali nam zmęczeni i wyczerpani żołnierze. Dopiero po północy przybyliśmy do kwatery dowództwa armii, znajdującej się w jednej z miejscowości Palatynatu, otoczonej winnicami. Generał SS Hausser rozsądniej aniżeli jego przełożony interpretował bezsensowne rozkazy. Uznał, że nakazana ewakuacja jest niemożliwa do przeprowadzenia, a wysadzanie mostów świadczyłoby o braku odpowiedzialności. W pięć miesięcy potem, jadąc jako więzień samochodem ciężarowym z Wersalu przez Saarę i Palatynat, widziałem, że zarówno urządzenia kolejowe, jak też mosty na drogach były tylko w niewielkim stopniu zniszczone.

Gauleiter Palatynatu i Zagłębia Saary, Stohr, oświadczał wprost, że nie wykona wydanego mu rozkazu ewakuacji. Wywiązał się dziwny dialog pomiędzy gauleiterem a ministrem: „Jeżeli nie przeprowadzi pan ewakuacji i zostanie za to pociągnięty do odpowiedzialności przez fuhrera, może się pan wtedy powołać na moją wypowiedź, że rozkaz już nie obowiązuje”. „Nie, bardzo ładnie z pana strony, ale wezmę to na siebie”. Obstawałem przy swoim: „Biorę to na swoją głowę”. Stohr sprzeciwiał się: „Nie uczynię tego. Ja za to odpowiadam”. Był to jedyny punkt, co do którego nie mogliśmy osiągnąć porozumie-

Następnym naszym celem była kwatera feldmarszałka Modela, która znajdowała się w odległości 200 kilometrów, w Westerwaldzie. W godzinach porannych znów pojawiły się amerykańskie samoloty szturmowe. Opuściliśmy więc główne drogi i jadąc polnymi, osiągnęliśmy w końcu małą spokojną wieś. Nic nie wskazywało, że tu znajduje się stanowisko dowodzenia grupy armii. Nie było widać żadnego oficera, żadnego samochodu czy motocykla, w ciągu dnia zakazany był ruch samochodowy.

Wkrótce w wiejskim zajeździe znów rozmawiałem z Modelem o nieniszczeniu urządzeń kolejowych w Zagłębiu Ruhry. W czasie trwania rozmowy oficer przyniósł dalekopis: „To dotyczy pana”, powiedział zakłopotany i jednocześnie speszony Model. Przeczuwałem najgorsze.

Była to „pisemna odpowiedź” Hitlera na mój memoriał. We wszystkich punktach sprzeciwiała się ona moim propozycjom z 18 marca. „Wszelkie urządzenia wojskowe, komunikacyjne, przemysłowe i zaopatrzeniowe, jak też dobra materialne na terenie Rzeszy” miały być w myśl tej odpowiedzi zniszczone: był to wyrok śmierci na niemiecki naród - zasada „spalonej ziemi” w najbardziej ostrej formie. Odebrano mi uprawnienia, a wszystkie moje zarządzenia, mające na celu utrzymanie przemysłu, pozbawiono mocy obowiązującej. Realizację przedsięwzięć związanych z dokonywaniem zniszczeń powierzono teraz gauleiterom⁶. łączności,

Następstwa byłyby wprost niewyobrażalne: na dłuższy okres bez prądu, gazu, czystej wody, bez węgla i komunikacji. Wszystkie urządzenia kolejowe, kanały, śluzy, doki, okręty, lokomotywy zostałyby zniszczone. Nawet tam, gdzie zachowałby się przemysł, nie można by produkować z powodu braku prądu, gazu i wody; żadnych magazynów, połączeń telefonicznych - krótko mówiąc: kraj cofnięty do epoki średniowiecza.

Po zachowaniu się feldmarszałka Modela można było poznać, że moja sytuacja zmieniła się. Kontynuował rozmowę z wyraźnie dostrzegalnym dystansem. Unikał dalszego poruszania naszego właściwego tematu: nieniszczenia przemysłu Zagłębia Ruhry. Zdenerwowany i zmęczony położyłem się spać w jednym z wiejskich domów. Po kilku godzinach, idąc przez pola, wyszedłem na wzgórze. W dolinie, wśród lekkiej mgły, leżała spokojnie drzemiąca w słońcu wieś. Mogłem teraz poprzez pagórki Sauerlandu patrzeć daleko na okolicę. Jak to możliwe,

myślałem, że jeden człowiek chce przekształcić ten kraj w pustynię! Położyłem się na ziemi wśród paproci. Wszystko wydawało mi się nierealne. Ale ziemia wydzielala naturalną woń, wychodziły z niej kielki roślin. Kiedy powracałem, słońce chyliło się ku zachodowi. Podjąłem decyzję. Należy przeszkodzić w wykonaniu rozkazu. Odmówiłem wzięcia udziału w wyznaczonej na wieczór konferencji w Zagłębiu Ruhry; lepiej było rozpoznać najpierw sytuację w Berlinie.

Wyciągnięto samochód z zarośli i, mimo aktywności lotnictwa, jeszcze w godzinach nocnych udałem się przy zgaszonych światłach na wschód. Kiedy Kempka siedział przy kierownicy, kartkowałem swoje notatki. Wiele z nich dotyczyło konferencji z dwóch ostatnich dni. Niezdecydowany przeglądałem strona po stronie. Potem dyskretnie zacząłem je drzeć i wyrzucać przez okno. Podczas przerwy w podróży wzrok mój zatrzymał się na stopniu samochodu. Wciśnięte w róg leżały tam zdradliwe skrawki papieru. Wyniosłem je skrycie i wrzuciłem do przydrożnego rowu.

I Model zrezygnował w tych dniach z wykorzystania największych zakładów farmaceutycznych w Niemczech, Bayer- Leverkusen, jako bazy artylerii. Obiecał zakomunikować o tym przeciwnikowi i poprosić o oszczędzenie fabryki.

2_{już} przed kilku tygodniami stworzyliśmy fakty dokonane: 19 lutego 1945 r., w dzień po rozdzieleniu przeze mnie w drodze zarządzenia Hitlera „wszystkich środków transportu dla Wehrmachtu, przemysłu zbrojeniowego, aprowizacji i gospodarki między użytkowników i ustaleniu kolejności transportów”, zarządziłem w swoim Okólniku na temat sytuacji komunikacyjnej: „Przy tym wszystko, co jest konieczne do utrzymania niemieckiej siły narodowej, znajduje się oczywiście na pierwszym miejscu. Apropowizację i zaopatrzenie ludności trzeba zapewnić w jak najszerszym zakresie”. Do podjęcia tej decyzji zmuszała nas sytuacja w komunikacji, albowiem liczba podstawianych wagonów spadła do jednej trzeciej.

Naleganiom sekretarza stanu w Ministerstwie Wyżywienia, Rieckiego, należało zawdzięczać, że na podstawie zarządzenia urzędu planowania z 2 marca 1945 r. i rozkazu skierowanego do urzędu budownictwa zaopatrzyłem przemysł spożywczy i fabryki maszyn rolniczych w prąd i węgiel, dając im pierwszeństwo przed przemysłem zbrojeniowym. Dzięki temu też zrekonstruowano zakłady azotowe przed zakładami rafineryjnymi. Były to ostatnie z moich rozkazów do natychmiastowej realizacji. O zbrojeniach już w nich nie wspomiano.

Kolumny samochodów ciężarowych, które pozostawały w naszej dyspozycji do pilnych transportów zbrojeniowych, przeznaczono wraz z odpowiednią ilością paliwa do zwożenia zbiorów państwowych podczas najbliższych żniw, ponieważ przedstawiciele Kolei Rzeszy oświadczyli, że nie mogą już wykonać tego zadania. W ramach specjalnego programu zapełniliśmy w owych tygodniach magazyny berlińskie środkami spożywczymi wystarczającymi na kilka miesięcy. Zgodnie z propozycją, którą przedstawiłem sekretarzowi stanu Zintschowi z Ministerstwa Kultury, nasze ciężarówki przewiozły poza

tym dzieła sztuki z muzeów berlińskich do jaskiń w kopalni soli nad Salą. Ukryte wówczas eksponaty stanowią dzisiaj główną część zbiorów państwowych w Berlinie-Dahlem.

3 Na przykładzie Berlina wyjaśniałem w tym memoriale następstwa niszczenia mostów: „Przygotowane w Berlinie wysadzenie mostów miałyby na przykład ten skutek, że nie można by już było zoopatrywać stolicy w żywność, a ponadto na całe lata uniemożliwiono by produkcję przemysłową i życie w tym mieście. Wysadzenie mostów oznaczałoby więc śmierć Berlina”.

W memoriale przedstawiłem Hitlerowi podobne skutki również w odniesieniu do Zagłębia Ruhry: „Jeśli wysadzone zostaną w Zagłębiu Ruhry liczne mosty kolejowe nad mniejszymi kanałami i dolinami lub przejazdy komunikacyjne, wówczas Zagłębie Ruhry nie będzie już w stanie podjąć nawet tej produkcji, która jest konieczna do odbudowy mostów”. Następnie żądałem od Hitlera w memoriale z 15 marca 1945 r., by umożliwił w wypadku zbliżania się nieprzyjaciela oddzielenie na odpowiednie hasło magazynów cywilnych od magazynów Wehrmachtu, łącznie z magazynami żywnościowymi.

4 Mamy tutaj przykład bałaganu w rozkazach, powodowanego nagłymi reakcjami Hitlera. Na krótko przedtem, także 18 marca, Keitel komunikował dalekopisem: „Fiihrer jednoznacznie (!) zdecydował: Jeśli jest to konieczne, należy przeprowadzać rozśrodkowanie i ewakuację na zachodnich terytoriach bezpośrednio zagrożonych przez wroga”. Na wypadek niewykonania tego zarządzenia przewidziano całkowite usprawiedliwienie: „Przy rozśrodkowaniu i ewakuacji nie wolno utrudniać przedsięwzięć militarnych, wywozu żywności i węgla”.

Następnego dnia, 19 marca 1945 r., Bormann wydał zarządzenie wykonawcze do najnowszego rozkazu Hitlera. Zgodnie z zarządzeniem „należy zapewnić ewakuację taborami konnymi, jeśli nie będzie dostatecznej liczby środków transportu. Męską część ludności należy w tym wypadku ewakuować w marszu pieszym”.

5 Kwatera dowódcy mieściła się w małym zamku na skalistym wzniesieniu i połączona była schodami ze schronem. Chodzi tu o kwaterę główną, którą zbudowałem w 1940 r. dla Hitlera i z której wówczas zrezygnowałem.

6 Chodzi o rozkaz Hitlera w sprawie dokonywania zniszczeń na terytorium Rzeszy. Brzmiał on w całości następująco: „Walka o egzystencję naszego narodu zmusza do wykorzystania także wewnątrz terytorium Rzeszy wszystkich środków, które osłabia siłę uderzeniową wroga i przeszkodzą w jego dalszym posuwaniu się naprzód. Trzeba wykorzystać wszelkie możliwości bezpośredniego lub pośredniego wyrządzenia trwałej szkody sile uderzeniowej wroga. Błędem jest przekonanie, że nie zniszczone lub tylko na krótko sparalizowane urządzenia komunikacyjne, łączności, przemysłowe i zaopatrzeniowe będą mogły zostać uruchomione dla własnych celów przy odzyskiwaniu utraconych terenów. Wycofując się wróg pozostawi nam jedynie spaloną ziemię i nie będzie miał żadnego względu na ludność.

Dlatego rozkazuję:

1. Należy zniszczyć wszystkie urządzenia militarne, komunikacyjne, łączności, przemysłowe i zaopatrzeniowe, a także obiekty znajdujące się wewnątrz terytorium Rzeszy, które wróg w jakikolwiek sposób może wykorzystać natychmiast lub po pewnym czasie do kontynuowania walki.

2. Odpowiedzialne za przeprowadzenie tych zniszczeń są wojskowe organy dowodzenia w odniesieniu do obiektów militarnych łącznie z urządzeniami komunikacyjnymi oraz łączności, gauleiterzy i komisarze obrony Rzeszy w odniesieniu do wszystkich urządzeń przemysłowych, zaopatrzeniowych i pozostałych obiektów; gauleiterom i komisarzom obrony Rzeszy wojsko powinno udzielić pomocy koniecznej do wykonania ich zadań.

3. Niniejszy rozkaz należy jak najszybciej przedstawić wszystkim dowódcom, przeciwstawne polecenia są nieważne".

Rozkaz ten stał w całkowitej sprzeczności z żądaniami, które zawarłem w swym memoriale do Hitlera z 18 marca: „Należy zapewnić, by w przypadku dalszego przenoszenia walki na terytorium Rzeszy nikt nie był uprawniony do niszczenia urządzeń przemysłowych, kopalń węgla, elektrowni i innych urządzeń zaopatrzeniowych, a także urządzeń komunikacyjnych i szlaków żeglugi śródlądowej. Przez wysadzenie mostów na przewidzianą skalę urządzenia komunikacyjne zostałyby zniszczone bardziej, niż zdołały tego dokonać ataki lotnicze ostatnich lat".

Rozdział 30

ULTIMATUM HITLERA

Zmęczenie wprowadza w stan obojętności. Nie sprawiło więc na mnie większego wrażenia, gdy po południu 21 marca 1945 roku spotkałem w Kancelarii Rzeszy Hitlera. Zapytał mnie krótko o podróż, nie zdradzał jednak chęci do rozmowy i nic nie wspomniał o swej „pisemnej odpowiedzi”. Uznałem za bezcelowe zagadnąć go w tej sprawie. Nie prosząc mnie, pozwolił Kempce przez godzinę informować się o podróży.

Wbrew wyraźnemu zakazowi Hitlera, jeszcze tego samego wieczora przekazałem Guderianowi odpis mojego memoriału. Keitel natomiast, przerażony, wzbraniał się przed jego przyjęciem, jak gdyby chodziło o niebezpieczny materiał wybuchowy. Na próżno usiłowałem dowiedzieć się, w jakich okolicznościach wydał Hitler ten zakaz. Podobnie jak po odkryciu mojego nazwiska na liście ministrów z 20 lipca, odnoszono się do mnie z rezerwą. Otoczenie Hitlera traktowało to najwyraźniej jako przypadek największej niełaski; w rzeczywistości straciłem teraz wpływ na moją najważniejszą dziedzinę działalności, nie mogłem już uchronić podległego mi przemysłu przed zniszczeniem.

Dwie decyzje Hitlera udowodniły mi w tych dniach, że był teraz zdecydowany postępować bezwzględnie. W komunikacie Wehrmachtu z 18 marca 1945 roku przeczytałem o wykonaniu wyroku śmierci na czterech oficerach, z których winy nie zostały wysadzone w porę mosty na Renie w okolicach Remagen; właśnie Model powiedział mi, że byli oni całkowicie niewinni. „Strach z Remagen”, jak to nazwał, oddziaływał na wielu odpowiedzialnych ludzi aż do końca wojny.

Tego samego dnia dotarła do mnie pogłoska, że Hitler nakazał stracenie generała pułkownika Fromma. Już przed paroma tygodniami minister sprawiedliwości, Thierack, opowiadał mi z całkowitą obojęt-

śmierci na

nością i jakby przypadkowo, pomiędzy jednym a drugim daniem posiłku: „Również Fromm straci wkrótce swoją główkę”. Starania, jakie podejmowałem tego wieczoru, aby zmienić nastawienie Thieracka, pozostały bezowocne; nie wywierały na nim najmniejszego wrażenia. Dlatego też po kilku dniach wysłałem do niego pięciostronicowe oficjalne pismo, w którym odpierałem większość znanych mi zarzutów przeciwko Frommowi i zgłaszałem gotowość stawienia się w sądzie ludowym w charakterze świadka obrony.

Uznano to niewątpliwie za wyjątkową prośbę ministra Rzeszy; już po trzech dniach, 6 marca 1945 roku, Thierack odpisał mi oschle, że na złożenie zeznania przed sądem ludowym powinienem otrzymać zezwolenie Hitlera. „Führer właśnie zakomunikował mi - kontynuował Thierack - że nie udzieli Panu specjalnego zezwolenia w sprawie Fromma. Dlatego też nie dołączę Pańskiego oświadczenia do akt sądowych”. Wykonanie wyroku śmierci uświadomiło mi również powagę mojej sytuacji.

Byłem złośliwy: gdy 22 marca Hitler poprosił mnie na konferencję w sprawie zbrojeń, poleciłem znów Saurowi, aby mnie zastąpił. Ich postępowanie wskazywało, że obaj lekkomyślnie odnosili się do rzeczywistości. Choć produkcja zbrojeniowa od dawna już zbliżała się do swego kresu, snuli projekty, jak gdyby mieli jeszcze do dyspozycji cały rok 1945. Tak więc nie tylko omawiali całkowicie nierealną produkcję surówki, lecz ustalili ponadto, że 88 mm działo przeciwpancerne powinno być dostarczone do jednostek w „najwyższych ilościach”, a produkcja 210 mm moździerza ma wydatnie wzrosnąć; upajali się rozwojem całkowicie nowych broni: specjalnego karabinu dla strzelców spadochronowych, oczywiście z „najwyższą szybkostrzelnością”, czy też moździerza o dużym kalibrze 305 mm. W protokole zawarte jest również polecenie przedstawienia Hitlerowi w ciągu kilku tygodni pięciu nowych wariantów istniejących typów czołgów. Poza tym chciał się dowiedzieć o działaniu znanego w starożytności „greckiego ognia” oraz nakazał jak najszybciej przebroić nasze samoloty odrzutowe Me-262 na samoloty myśliwskie. Tym samym mimo woli potwierdził, jaki błąd taktyczny popełnił wskutek własnego uporu półtora roku temu, wbrew radom wszystkich ekspertów.

21 marca powróciłem do Berlina. Po trzech dniach przekazano mi w godzinach rannych meldunek, że wojska angielskie nie napotykając oporu przekroczyły szerokim frontem Ren na północ od Zagłębia

Ruhry. Nasze oddziały były bezsilne, o czym wiedziałem od Modela. Jeszcze we wrześniu 1944 roku utrzymywana wówczas na wysokim poziomie produkcja zbrojeniowa pozwalała na utworzenie w krótkim czasie frontu obronnego z armii bez broni. Teraz utraciliśmy takie możliwości: wojna przeniosła się na ziemię niemiecką.

Usiadłem znów za kierownicą swojego samochodu, chcąc ponownie udać się do Zagłębia Ruhry, którego uratowanie od zniszczenia stanowiło decydujący problem dla okresu powojennego. Niedaleko celu naszej podróży, w Westfalii, defekt gumy zmusił nas do zatrzymania się. Na podwórzu jednej z zagród nie rozpoznany w mroku rozmawiałem z chłopami. Ku memu zaskoczeniu działało nadal w tej sytuacji skutecznie wpajane w ostatnich latach zaufanie do Hitlera: byli przekonani, że Hitler nie może nigdy przegrać wojny, „fuhrer ma jeszcze w rezerwie coś, co każe zastosować w ostatniej chwili. Wtedy nastąpi wielka zmiana. Wpuszczając wroga tak daleko do nas, chce go tylko wciągnąć w pułapkę”. Nawet w rządzie można było się spotkać z naiwną wiarą w celowe powstrzymywanie, aż do ostatniej chwili, użycia cudownej broni przeciwko nacierającemu bez większych przeszkód nieprzyjacielowi. Na przykład Funk zapytywał mnie w tym czasie: „Mamy jeszcze specjalną broń, prawda? Broń, która wszystko zmieni?”

Już w nocy rozpoczęły się rozmowy z dr. Rohlandem, kierownikiem sztabu Ruhry, i jego najważniejszymi współpracownikami. Ich sprawozdanie było zatrważające. Trzej gauleiterzy rejonu Ruhry byli zdecydowani zrealizować rozkaz Hitlera w sprawie zniszczeń. Horner, jeden z naszych pracowników technicznych, który na nieszczęście był jednocześnie kierownikiem wydziału technicznego partii, sporządził na polecenie gauleiterów plan zniszczeń. Z ubolewaniem, ale przyzwyczajony do posłuszeństwa, wyjaśniał mi szczegóły swej dobrej pod względem fachowym koncepcji, której realizacja unieruchomiłaby jednak przemysł Ruhry na długi okres czasu: nawet kopalnie węgla miały być zatopione, a wskutek zniszczenia urządzeń wyciągowych uniemożliwiono by ich odbudowę na całe lata. Zatapiając statki z ładunkiem cementu, zamierzano zablokować porty przeładunkowe Ruhry, a jednocześnie drogi wodne. Już następnego dnia gauleiterzy chcieli wysadzać pierwsze obiekty, gdyż wojska nieprzyjacielskie nacierały szybko na północ od Zagłębia Ruhry. Mieli jednak tak mało środków transportowych, że musieli zdać się na pomoc mojego aparatu zbrojeniowego. Spodziewali się znaleźć łatwo w kopalniach materiał wybuchowy, spłonki i lonty.

Rohland wezwał niezwłocznie około dwudziestu zaufanych przedstawicieli kopalń węglowych do zamku Thyssena w Landsbergu, siedziby sztabu Ruhry. Po krótkiej naradzie, jakby dotyczyło to spraw zupełnie oczywistych, postanowiono wspólnie wrzucić do zbiorników wodnych kopalń materiał wybuchowy, spłonki i lonty, czyniąc je w ten sposób niezdatnymi do użytku. Jednemu z pracowników polecono wyprowadzić z rejonu Ruhry wszystkie podporządkowane nam samochody ciężarowe z pewnym zapasem paliwa. W razie potrzeby pojazdy te i materiały pędne miały być oddane do dyspozycji walczących jednostek, a tym samym odebrane ostatecznie sektorowi cywilnemu. Ponadto przyrzekłem Rohlandowi i jego pracownikom pięćdziesiąt pistoletów maszynowych w celu zabezpieczenia zakładów energetycznych i innych ważnych urządzeń przemysłowych przed niszczycielskimi oddziałami gauleiterów. W ręku zdecydowanych ludzi, broniących swojego zakładu, stanowiłyby one liczącą się siłę, gdyż policja i funkcjonariusze partyjni musieli niedawno oddać broń wojsku. W związku z tym mówiliśmy nawet o jawnej rewolucji.

Gauleiterzy Florian, Hoffmann i Schlessmann zebrali się w hotelu „Bleibergquelle” koło Langenbergu. Wbrew wszelkim zakazom Hitlera usiłowałem następnego dnia jeszcze raz ich przekonać. Prowadziłem zaciętą dyskusję z gauleiterem Dusseldorfu, Florianem, który mówił mniej więcej w ten sposób: jeżeli wojnę przegramy, to nie z powodu błędów Hitlera czy partii, lecz z winy narodu niemieckiego. Tego rodzaju katastrofę przeżyją oczywiście tylko nędzne kreatury. Hoffmann i Schlessmann w odróżnieniu od Floriana dali się w końcu przekonać. Uważali jednak, że muszą wykonywać rozkazy Hitlera i nikt nie może zdjąć z nich odpowiedzialności. Byli bezradni, tym bardziej że Bormann przekazał im właśnie nowe zarządzenie Hitlera, które jeszcze bardziej zaostrzało rozkaz niszczenia podstaw bytu narodu¹. Hitler ponownie nakazywał „ewakuację wszystkich terenów, których chwilowo nie możemy utrzymać i przewidujemy ich okupację przez nieprzyjaciela”. Uprzedzając wszelkie kontrargumenty, pisano dalej: „Fu-hrer zna olbrzymie trudności, jakie łączą się z tym żądaniem, bowiem wielokrotnie mu je przedstawiano. Jego żądanie opiera się na dokładnych, głębokich przemyśleniach. O konieczności ewakuacji nie należy w ogóle dyskutować”.

Miliony mieszkańców z rejonów na zachód od Renu i Zagłębia Ruhry, ze skupisk ludności w Mannheimie i Frankfurcie można było ewakuować jeszcze tylko do słabo zaludnionych okolic, przede wszystkim do Turyngii i w rejon niziny Łaby. Niedostatecznie ubrana

i niedożywiona ludność miejska miała znaleźć się na terenach pozbawionych opieki sanitarnej, pomieszczeń i środków żywnościowych. Nieunikniona była klęska głodu, zarazy i nędza.

Zgromadzeni gauleiterzy zgadzali się, że partia nie ma już żadnych możliwości zrealizowania tych rozkazów. Jedynie Florian, ku przerażeniu wszystkich, przeczytał tekst entuzjastycznego apelu, który zamierzał za pomocą plakatów skierować do funkcjonariuszy partyjnych Dusseldorfu: Nie zniszczone jeszcze budynki należy w wypadku zbliżenia się nieprzyjaciela podpalać, a wszystkich mieszkańców ewakuować; nieprzyjaciel powinien wejść do spalonego i wyludnionego miasta.

Tymczasem dwaj pozostali gauleiterzy zaczęli się wahać. Zgadzał się z moją interpretacją rozkazu fuhrera, zgodnie z którą produkcja w Zagłębiu Ruhry potrzebna jest tak jak dawniej dla celów zbrojeniowych, zwłaszcza że dzięki niej można będzie zaopatrywać pośrednio w amunicję właśnie jednostki walczące o te tereny. Odroczono więc zniszczenie zakładów energetycznych, które miało nastąpić już nazajutrz, a rozkaz niszczenia zastąpiono rozkazem paraliżowania.

Natychmiast potem odwiedziłem feldmarszałka Modela w jego kwaterze. Wyrażał gotowość prowadzenia w miarę możliwości walk poza rejonem przemysłowym, co pozwoliłoby ograniczyć do minimum wysadzanie obiektów, i obiecał nie wydawać poleceń dokonywania jakichkolwiek zniszczeń w zakładach przemysłowych². Poza tym przyrzekł utrzymywać w następnych tygodniach ścisłą więź z dr. Rohlandem i jego współpracownikami.

Od Modela dowiedziałem się, że oddziały amerykańskie posuwają się już w kierunku Frankfurtu, że trudno jest ustalić dokładną linię frontu, a kwatera Kesselringa jeszcze tej nocy przeniesiona zostanie daleko na wschód. Około godziny trzeciej nad ranem dotarliśmy do jego dawnej kwatery w Nauheimie; w rozmowie z szefem sztabu, generałem Westphalem, przekonaliśmy się, że on także będzie powściągliwie interpretował rozkaz Hitlera w sprawie zniszczeń. Ponieważ nawet sam szef sztabu dowódcy frontu zachodniego nie mógł udzielić nam informacji, jak daleko nieprzyjaciel posunął się w nocy do przodu, pojechaliśmy bocznymi drogami w kierunku wschodnim przez Spessart i Odenwald do Heidelbergu. Przejeżdżaliśmy przez małe miasteczko Lohr. Nasze wojska już się stąd wycofały, na opustoszałych placach i ulicach panował osobliwy nastrój wyczekiwania. Na skrzyżowaniu stał samotny żołnierz uzbrojony w kilka panzerfaustów. Przyglądał mi się wystraszony. „Na co czekacie tutaj?” zapytałem go. „Na Ameryka-

nów", odpowiedział. „A co zrobicie, gdy Amerykanie nadejdą?" Nie namyślał się długo: „Wtedy natychmiast się ulotnię". Podobnie jak w tym przypadku, wszędzie odnosiłem wrażenie, że wojnę uważa się za skończoną.

W Heidelbergu, w sztabie uzbrojenia dla Badenii i Wirtembergii, znajdowały się już rozkazy gauleitera Wagnera, który chciał zniszczyć urządzenia wodociągowe i gazownie w mojej rodzinnej miejscowości oraz we wszystkich innych miastach Badenii. Pragnąc przeszkodzić temu, znaleźliśmy zdumiewająco proste rozwiązanie: wydrukowaliśmy wprawdzie rozkazy, ale wrzuciliśmy je do skrzynki pocztowej w mieście, które niebawem musiało być zajęte przez nieprzyjaciela.

Amerykanie wzięli już oddalony zaledwie o dwadzieścia kilometrów Mannheim i nacierali na Heidelberg. Po nocnej rozmowie z nadburmistrzem tego miasta, dr. Neinhausem, prosiłem znanego mi od dawna generała SS, Haussera, obecnie dowódcę jednostek broniących mojego rodzinnego miasta, o ogłoszenie Heidelbergu miastem szpitali wojskowych i oddanie go bez walki. We wczesnych godzinach rannych pożegnałem się z rodzicami. I oni również w tych ostatnich chwilach naszego spotkania zachowywali całkowity spokój, byli zrezygnowani, podobnie jak cały naród. Gdy odjeżdżałem, stali przy drzwiach domu; ojciec podbiegł jeszcze do samochodu i po raz ostatni ściskając moją dłoń, bez słowa spojrzął mi w oczy. Przeczuwaliśmy obaj, że już nigdy się nie zobaczymy.

Wycofujące się oddziały, bez broni i sprzętu, tarasowały drogę do Wurzburga. O świcie z lasu odważył się wyjść dzik. Żołnierze gonili go z głośnym krzykiem. W Wurzburgu odwiedziłem gauleitera Hellmuta, który zaprosił mnie na obfite śniadanie. Kiedy raczyliśmy się wiejską kielbasą i jajkami, gauleiter jednoznacznie oświadczył, że realizując zarządzenie Hitlera polecił zniszczyć przemysł łożysk kulkowych w Schweinfurcie; zebrani w pokoju obok przedstawiciele zakładów i instancji partyjnych czekali w pogotowiu na rozkazy. Plan był dobrze pomyślany: zamierzano podpalić oliwiarki maszyn specjalnych i w ten sposób, zgodnie z doświadczeniami uzyskanymi podczas nalotów lotniczych, zamienić maszyny w bezużyteczny złom. Początkowo nie można było przekonać gauleitera, że dokonywanie takich zniszczeń jest nonsensem. Zapytał mnie, kiedy wreszcie fuhrer użyje decydującej, cudownej broni. Miał jakoby uzyskać z kwatery głównej, od Bormanna i Goebbelsa, informację, że niebawem nastąpi użycie tej broni. Podobnie jak już nieraz i jemu również musiałem wyjaśnić, że cudowna broń nie

istnieje. Wiedziałem, że gauleiter jest rozsądnym człowiekiem, i dlatego wezwałem go, aby nie realizował rozkazów Hitlera w sprawie dokonywania zniszczeń. Udowodniłem mu, że w tej sytuacji wysadzanie urządzeń przemysłowych i mostów byłoby bezsensownym pozbawianiem narodu niezbędnych podstaw egzystencji.

Wspomniałem o niemieckich jednostkach, które miały być skoncentrowane na wschód od Schweinfurtu w celu przeprowadzenia kontrnatarcia i odbicia centrum naszej produkcji zbrojeniowej. W rzeczywistości nie kłamałem, gdyż najwyższe dowództwo faktycznie planowało wykonanie wkrótce przeciwnatarcia. Stary, kilkakrotnie wypróbowany argument, że Hitler nie może kontynuować wojny bez łożysk kulkowych, zrobił w końcu swoje. Gauleiter, przekonany czy też nie, nie chciał jednak wziąć na siebie historycznej winy za przekreślenie jakiegokolwiek nadziei na zwycięstwo przez zniszczenie fabryk w Schwein-furcie.

Za Wurzburgiem wypogodziło się. Z rzadka tylko mijaliśmy mniejsze pododdziały, które piechotą, bez broni ciężkiej szły na spotkanie z wrogiem. Były to pododdziały szkolne, zmobilizowane do ostatniej ofensywy. Mieszkańcy zajmowali się kopaniem w swych ogrodach dołów, gdzie chowali rodzinne srebro i przedmioty wartościowe. Wszędzie spotykaliśmy się z tą samą przyjazną uprzejmością mieszkańców wsi. Nie życzycy sobie jednak, abyśmy ukrywali się przed samolotami szturmowymi pomiędzy budynkami, gdyż to zagrażałoby ich domom: „Panie ministrze, czy nie mógłby pan pojechać kawałek dalej, do sąsiada?” wołano z okna.

Pełne rezygnacji, spokojne zachowanie się ludności cywilnej oraz fakt, że nigdzie nie widziało się dobrze uzbrojonych jednostek wojskowych, unaoczniały mi, z większą aniżeli za biurkiem w Berlinie wyrazistością, absurdalność decyzji o licznych, planowanych jeszcze zniszczeniach mostów.

W miastach i wioskach Turynгии widziałem wędrujące bez celu w swych mundurach formacje partyjne, zwłaszcza SA. „Wielki apel” Sauckla mobilizował najczęściej starszych mężczyzn i szesnastoletnie dzieci. Zamierzano ich jako Volkssturm rzucić przeciwko wrogowi, ale nie miał im kto dostarczyć broni. Kilka dni później Sauckel ogłosił podniosły apel wzywający do kontynuowania walki aż do ostatka. Następnie wsiadł w samochód i udał się na południe Niemiec.

Późnym wieczorem 27 marca przybyłem do Berlina. Zostałem tutaj zmienioną sytuację.

Hitler zarządził tymczasem, że gruppenfuhrer SS Kammler, odpowiedzialny za produkcję broni raketowej, ma przejąć sprawy związane z rozwojem i produkcją wszystkich nowoczesnych samolotów. W ten sposób nie tylko pozbawiał mnie znów kompetencji w dziedzinie zbrojeń lotniczych, ale wytworzył sytuację nie do przyjęcia z formalnego i organizacyjnego punktu widzenia, gdyż Kammler mógł dysponować pracownikami z mojego ministerstwa. Jednocześnie Hitler wyraźnie rozkazał mnie i Goringowi parafować zarządzenia Kammlera. Podpisałem nie protestując, chociaż z powodu tego upokorzenia byłem zły i obrażony; nie wziąłem w tym dniu udziału w omawianiu sytuacji. Prawie równocześnie Poser zameldował mi, że Hitler zdecydował się zdjąć Guderiana ze stanowiska; wprawdzie oficjalnie wiadano, że poszedł na urlop zdrowotny, ale każdy znający wewnętrzne zwyczaje wiedział, że Guderian już nie powróci. Straciłem w nim jednego z nielicznych w wojskowym otoczeniu Hitlera ludzi, który nie tylko mi pomagał, ale też utwierdzał mnie stale w moich przekonaniach.

Dopełnieniem wszystkiego były przekazane mi przez sekretarkę zarządzenia wykonawcze szefa wojsk łączności, nawiązujące do rozkazu w sprawie zniszczeń. Odzwierciedlały one dokładnie zamiary Hitlera, nakazując likwidację wszystkich urządzeń łączności nie tylko wojskowych, lecz również poczty Rzeszy, kolei, administracji śródlądowych dróg wodnych, policji oraz sieci energetycznej. „Wysadzanie, pożary i demontaże” miały uczynić „całkowicie bezużytecznymi” wszystkie urzędy telefoniczne i telegraficzne, jak również centrale dalekosiężnych połączeń kablowych, a w radiostacjach - maszty, anteny, urządzenia nadawcze i odbiorcze. Nie można było mówić nawet o prowizorycznej odbudowie sieci łączności na terenach zajętych przez nieprzyjaciela, albowiem w myśl rozkazu Hitlera zniszczeniu miały ulec nie tylko wszystkie składy rezerwowe części zamiennych, kable i przewody, lecz także plany central rozdzielczych, plany ułożenia kabla oraz opisy sprzętu³. Generał Albert Praun dał mi wszakże do zrozumienia, że te bezwzględne zarządzenia złagodzi w praktyce.

Ponadto dotarła do mnie poufna informacja o podporządkowaniu zbrojeń Saurowi, ale pod kierownictwem Himmlera, który jako generalny inspektor miał przejąć całą produkcję wojenną⁴.

Doniesienia te potwierdziły już chociażby to, że Hitler pragnął mojego upadku. Wkrótce potem zatelefonował do mnie Schaub, który dziwnie oschłym tonem nakazał mi stawić się wieczorem u fuhrera.

Odczuwałem niepokój, gdy prowadzono mnie do Hitlera, do jego gabinetu położonego głęboko pod ziemią. Był sam, przyjął mnie

chłodno i oschle, nie podał mi ręki, zaledwie odpowiedział na moje powitanie i niezwłocznie przeszedł do sprawy, mówiąc cicho, ale zdecydowanie: „Otrzymałem od Bormanna raport o pańskich rozmowach z gauleiterami Zagłębia Ruhry. Wzywał ich pan do niewykonywania moich rozkazów oraz oświadczył, że wojna jest przegrana. Czy zdaje pan sobie sprawę, co to oznacza?”

Być może przypomniał sobie coś z dawnych czasów, bo w dalszej rozmowie zmienił głos, minęło napięcie i teraz, prawie jak normalny człowiek, dodał: „Gdyby nie był pan moim architektem, wyciągnąłbym niezbędną w takim wypadku konsekwencję”. Czy to z chęci przeciwstawienia mu się, czy też wskutek przemęczenia odpowiedziałem mu raczej porywczo niż odważnie: „Proszę wyciągnąć konsekwencję, jakie uzna pan za niezbędne. Proszę nie zważać na moją osobę”.

Prawdopodobnie zaskoczyło to Hitlera, zapanowała chwila milczenia. Przyjaźnie, ale jak mi się zdawało, z wyrachowaniem zaczął mówić dalej: „Jest pan przepracowany i chory. Dlatego też postanowiłem wysłać pana natychmiast na urlop. W kierowaniu ministerstwem zastąpi pana ktoś inny”. „Czuję się zdrowy”, odpowiedziałem zdecydowanie, „nie pójdę na urlop. Jeżeli nie odpowiadam panu jako minister, proszę zdjąć mnie ze stanowiska”. W tym momencie przypomniałem sobie, że już przed rokiem podobne rozwiązanie odrzucił Goring. Hitler odpowiedział stanowczym i przesadzającym sprawę tonem: „Nie chcę pana zwolnić. Ale obstaję przy tym, aby natychmiast wziął pan urlop zdrowotny”. „Nie mogę ponosić odpowiedzialności jako minister”, upierałem się, „gdy ktoś inny będzie działał w moim imieniu”, potem pojednawczo, prawie przysięgając, dodałem: „Nie mogę, mein fuhrer”. Ten zwrot padł po raz pierwszy z moich ust; Hitler pozostał niewzruszony. „Nie ma pan żadnego wyboru, nie mogę pana zwolnić!” i czyniąc gest jak gdyby wyrażający własną bezsilność dodał: „Ze względów politycznych wewnętrznych, jak i zewnętrznych nie wolno mi z pana zrezygnować”. Z większą otuchą odpowiedziałem: „Jest niemożliwe, żebym poszedł na urlop. Jak długo sprawuję swój urząd, kieruję również ministerstwem. Nie jestem chory!”

Nastąpiła dłuższa przerwa. Hitler usiadł, nie poproszony uczyniłem to samo. Hitler swobodnie kontynuował: „Gdyby pan, Speer, był przekonany, że wojna nie jest przegrana, wówczas mógłby pan nadal sprawować swój urząd”. Z moich memoriałów, jak i zapewne z raportu Bormanna, znał mój pogląd na sytuację i wnioski, jakie z tego wyciągałem. Widocznie chciał, bym złożył gołosłowne oświadczenie,

które w przyszłości nie pozwoliłoby mi uświadamiać innych o prawdziwym położeniu. „Pan wie, że nie mogę być przekonany. Wojna jest przegrana”, oznajmiłem mu uczciwie, ale bez uporu. Hitler przeszedł do wspomnień, opowiadał o trudnych chwilach swojego życia, kiedy wszystko wydawało się stracone, chwilach, które w końcu przezwyciężył dzięki wytrwałości, energii i fanatyzmowi. Niezwykle długo, jak mi się zdawało, oddawał się wspomnieniom z okresu walki; mówiąc o zimie z 1941 na 1942 rok, o grożącej katastrofie komunikacyjnej, podał nawet jako przykład moje sukcesy zbrojeniowe. Słyszałem to wszystko już wielokrotnie od niego, znałem te monologi niemal na pamięć i mógłbym, gdyby przerwał, prawie dosłownie przytaczać je dalej. Mówił tym samym tonem, łagodnym i urzekającym, i być może w ten właśnie sposób usiłował mnie zjednać. Miałem podobne uczucie jak przed laty w herbaciarni, kiedy to nie mogłem się wyzwolić spod jego sugestywnego spojrzenia.

Ponieważ nie mówiłem nic więcej i ciągle patrzyłem mu w oczy, Hitler niespodziewanie zmniejszył swoje wymagania: „Gdyby pan chociaż wierzył, że wojnę można jeszcze wygrać, gdyby przynajmniej mógł pan wierzyć, wtedy wszystko byłoby dobrze”. Następnie zaczął mówić do mnie tak, jakby prosił. Przez moment pomyślałem nawet, że jego słabość zniewala jeszcze bardziej niż jego heroiczne pozy. W innych okolicznościach prawdopodobnie zmięknąłbym i poddał się. Ale teraz przed jego sztuką przekonywania chroniła mnie myśl o planach zniszczeń. Podniecony i dlatego zapewne o pół tonu za głośno odpowiedziałem: „Nie mogę, mimo najlepszej woli nie. W końcu przecież nie chciałbym należeć do świń w pańskim otoczeniu, które mówią panu, że odniesiemy zwycięstwo, chociaż wcale w to nie wierzą”.

Hitler nie reagował. Przez chwilę wpatrywał się przed siebie, potem znów zaczął mówić o swych przeżyciach z okresu walki, powrócił też - jak to się często w ostatnich tygodniach zdarzało - do niespodziewanego uratowania Fryderyka Wielkiego. „Trzeba wierzyć”, dodał, „że wszystko zmieni się na dobre. Czy ma pan nadzieję na dalsze skuteczne prowadzenie wojny czy też pańska wiara jest zachwiana?” Jeszcze raz zredukował swoje wymagania do formalnego oświadczenia, które miało mnie zobowiązywać: „Gdyby przynajmniej mógł pan mieć nadzieję, że nie przegraliśmy! Musi pan przecież mieć nadzieję!... Wtedy już zadowolilibym się”. Nie udzieliłem żadnej odpowiedzi⁵.

Zapadło długie, męczące milczenie. Wreszcie Hitler wstał nagle i oświadczył, teraz znów nieprzyjaźnie i oschle jak na początku rozmowy: „Ma pan dwadzieścia cztery godziny czasu! Może pan

zastanowić się nad odpowiedzią! Proszę jutro powiadomić mnie, czy ma pan nadzieję, że wojnę można jeszcze wygrać". Nie podając ręki, polecił mi odejść.

Jakby dla ilustracji tego, co zgodnie z wolą Hitlera miało się teraz rozegrać w Niemczech, bezpośrednio po tej rozmowie otrzymałem dalekopis szefa transportu z 29 marca 1945 roku:

„Na oddawanym terenie powinniśmy pozostawiać pustynię komunikacyjną. Trzeba wykorzystywać różne możliwości dla dokonywania skutecznych zniszczeń z uwagi na ograniczoną ilość środków wybuchowych". Wchodziły tu w rachubę, jak szczegółowo określało zarządzenie, różnego rodzaju mosty, tory kolejowe, nastawnie, urządzenia techniczne stacji rozrządowych, zakładów i warsztatów naprawczych, jak również śluzy i dźwigi portowe. Jednocześnie miały być całkowicie zniszczone wszystkie lokomotywy, wagony osobowe i towarowe, frachtowce i barki. Zatapiając statki w kanałach i rzekach, zamierzano stworzyć silne blokady. Tym celom miał służyć każdy rodzaj materiałów wybuchowych, podpalanie i demolowanie ważnych części urządzeń. Tylko fachowiec mógłby określić, jakie nieszczęście dla Niemiec przyniosłaby realizacja tego precyzyjnie opracowanego rozkazu. Zarządzenie świadczyło jednocześnie o tym, z jaką pedanterią wykonywano rozkaz Hitlera.

Wyczerpany położyłem się do łóżka w moim małym mieszkaniu zastępczym na zapleczu ministerstwa, zastanawiając się, na razie w sposób nie uporządkowany, jaką powinienem dać odpowiedź na dwudziestoczęterogodzinne ultimatum Hitlera. Wreszcie wstałem i zacząłem pisać list. Jego treść wskazywała, że byłem niekonsekwentny i początkowo wahałem się, czy próbować przekonać Hitlera, wyjść mu naprzeciw, czy też powiedzieć narzucającą się prawdę. Potem jednak pisałem wprost: „Czytając rozkaz w sprawie zniszczeń (z 19 marca 1945 r.) i zaraz potem ostre zarządzenie dotyczące ewakuacji, dostrzegłem w tym pierwsze kroki, które zmierzają do urzeczywistnienia tych zamiarów". Tu nawiązałem do ultymatywnego pytania Hitlera: „Nie mogę przecież nadal wierzyć w sukces naszej dobrej sprawy, jeżeli jednocześnie w tych decydujących miesiącach niszczymy planowo podstawy naszego bytu narodowego. To jest wielkie nieszczęście dla narodu; wiążąc swój los z nami, nie będzie mógł nigdy właściwie nas osądzić... Dlatego też proszę o oszczędzenie mu tego. Gdyby Pan w jakiejś formie zobowiązał się do tego, wówczas miałbym znów wiarę i odwagę, i mógł nadal pracować

z największą energią. Nie zależy to jednak ode mnie", odpowiedziałem Hitlerowi na jego ultimatum, „jak potoczą się losy. Tylko opatrność jest w stanie zmienić jeszcze naszą przyszłość. Możemy się do tego przyczynić okazując niezłomną postawę i niewzruszoną wiarę w wieczną przyszłość naszego narodu".

Nie zakończyłem, jak to zazwyczaj bywało w takich prywatnych listach, „Heil, mein Fuhrer", lecz wskazałem w ostatnich słowach na jedyne, czego można było jeszcze oczekiwać: „Niech Bóg ma Niemcy w swojej opiece

-
9
3
6
.

Czytając ponownie list, dostrzegłem jego słabe strony. Być może Hitler dopatry się w tym symptomów buntu, pomyślałem, co zmusiłoby go do wystąpienia przeciwko mnie. Kiedy poprosiłem jedną z sekretarek o przepisanie odręcznego listu na specjalnej maszynie z wyjątkowo dużą czcionką, przeznaczoną wyłącznie dla Hitlera, odpowiedziała: „Fuhrer zabronił mi przyjmowania listów od pana. Chce pana widzieć i osobiście od pana usłyszeć odpowiedź". Zaraz potem otrzymałem polecenie niezwłocznego udania się do Hitlera.

Około północy przejeżdżałem całkowicie zniszczoną przez bomby Wilhelmstrasse do odległej o kilkaset metrów Kancelarii Rzeszy, nie wiedząc, jak powinienem postąpić i co odpowiedzieć. Upłynęły dwadzieścia cztery godziny i nie zdecydowałem się. Pozostawiłem to na ostatnią chwilę.

Hitler stał przede mną niepewny, niemal zatrwożony. Zapytał krótko: „No jak?" Przez chwilę milczałem speszony, nie miałem przygotowanej żadnej odpowiedzi. Wtedy, ponieważ chciałem w ogóle cośkolwiek powiedzieć, nasunęły mi się nic nie mówiące słowa: „Mein fuhrer, opowiadam się bez zastrzeżeń za panem".

Hitler nic nie odrzekł, ale był wzruszony. Ociągając się trochę, podał mi rękę, czego nie uczynił przy powitaniu, jego oczy, jak to teraz często bywało, zaszyły łzami. „Znów wszystko jest dobrze", powiedział. Dało się wyczuć, że ulżyło mu to. Ja także pod wpływem jego nieoczekiwanej ciepłej reakcji wzruszyłem się na moment. Jeszcze raz pojawiło się coś z dawnych stosunków, jakie panowały między nami. „Jeżeli bezwarunkowo opowiadam się za panem - podjąłem, chcąc wykorzystać sytuację - to realizację pańskiego zarządzenia musi pan znów powierzyć mnie, a nie gauleiterom". Upoważnił mnie do przygotowania zarządzenia, które chciał od razu podpisać, jednakże gdy rozmowa zeszała na ten temat, upierał się przy konieczności

zniszczenia urzędów przemysłowych i mostów. Pożegnałem się. Była już godzina pierwsza w nocy.

W bocznym pomieszczeniu Kancelarii Rzeszy sformułowałem „zarządzenie wykonawcze” do rozkazu Hitlera w sprawie zniszczeń z dnia 19 marca 1945 roku. Chcąc uniknąć dyskusji, nie próbowałem go uchylić, zawarowałem w nim tylko dwie sprawy: „Realizacją zajmują się wyłącznie instytucje i organy ministra Rzeszy do spraw zbrojeń i produkcji wojennej. Decyzje w tym zakresie podejmuje za moją zgodą minister do spraw zbrojeń i produkcji wojennej. Możliwe jest, że on wydawał szczegółowe wytyczne komisarzom obrony Rzeszy”. W ten sposób zacząłem znowu urzędować. Wymogłem ponadto na Hitlerze i napisałem, że ten sam cel można również osiągnąć w wyniku „unieruchamiania urządzeń przemysłowych”, uspokoiłem go oczywiście dodając, że całkowite zniszczenie szczególnie ważnych zakładów ustalę zgodnie z jego wytycznymi. Takich wytycznych nigdy nie otrzymałem.

Hitler podpisał ołówkiem, prawie bez dyskusji, wprowadzając drżącą ręką kilka poprawek. O tym, że panował jeszcze nad sytuacją, świadczy poprawka dokonana w pierwszym zdaniu zarządzenia; sformułowałem je ogólnie, chcąc ustalić, ażeby nakazane zniszczenia miały na celu wyłącznie uniemożliwienie nieprzyjacielowi wykorzystania naszych urządzeń i przedsiębiorstw „dla wzmocnienia jego siły bojowej”. Siedząc zmęczony za stołem sztabowym, zrobił własnoręcznie poprawkę, ograniczając to do obiektów przemysłowych.

Hitler zdawał sobie sprawę, jak sądziłem, że wskutek tego nie wszystkie jego zamierzenia dotyczące zniszczeń zostaną zrealizowane. W rozmowie, która nastąpiła bezpośrednio potem, mogłem się z nim zgodzić, „że »spalona ziemia« na tak małym obszarze jak Niemcy niema żadnego sensu. Może to być celowe jedynie na dużych obszarach, na przykład w Rosji”. Napisałem służbową notatkę, w której potwierdziłem zgodność obu stron w tej sprawie.

Jak to najczęściej bywało, Hitler prowadził podwójną grę: tego samego wieczoru rozkazał dowódcom „kontynuować z fanatycznym uporem walkę przeciwko nacierającemu nieprzyjacielowi. W chwili obecnej nie należy zwracać jakiegokolwiek uwagi na ludność cywilną”⁸.

W godzinę później ściągnąłem wszystkie będące jeszcze w dyspozycji motocykle, samochody i ordynansów, kazałem zarezerwować drukarnie i dalekopisy, chcąc wykorzystać przyznane mi znów kompetencje do powstrzymania dokonywanych już zniszczeń. O godzinie czwartej rano poleciłem wysłać moje zarządzenie wykonawcze, jednakże bez przewidzianej uprzednio akceptacji Hitlera. Wyzbywając się

skrupułów, wprowadziłem znów w życie wszystkie dotychczasowe wytyczne, które Hitler ogłosił w dniu 19 marca za nieważne, a które mówiły o zachowaniu urządzeń przemysłowych, zakładów energetycznych, gazowni i wodociągów oraz zakładów przemysłu spożywczego. W sprawie totalnych zniszczeń przemysłu odsyłałem do wytycznych szczegółowych, których nigdy nie wydano.

Nie upoważniony przez Hitlera, jeszcze tego samego dnia zarządziłem, że przedsiębiorstwa budowlane Organizacji Todta powinny „unikać niebezpieczeństwa oskrzydlenia przez przeciwnika” i że dziesięć, dwanaście pociągów z żyzywieniem powinno dotrzeć w bezpośrednie sąsiedztwo otoczonego Zagłębia Ruhry. Z generałem Winterem ze sztabu dowodzenia OKW uzgodniłem zarządzenie, które miało wstrzymać wysadzanie mostów; sprzeciwił się temu oczywiście Keitel; z obergruppenfuehrerem SS Frankiem, odpowiedzialnym za wszystkie składy mundurowe i żywnościowe Wehrmachtu, uzgodniłem rozdział zapasów dla ludności cywilnej, a Malzacher, mój pełnomocnik w Czechosłowacji i w Polsce, miał przeszkodzić zniszczeniu mostów na obszarze Górnego Śląska.

Następnego dnia spotkałem się w Oldenburgu z Seyss-Inquartem, generalnym komisarzem w Holandii. Jadąc do niego, podczas przerwy w podróży ćwiczyłem po raz pierwszy strzelanie z pistoletu. Seyss-Inquart przyznał bez skrupułów, ku mojemu przerażeniu, że przeprowadził niezbędne rozmowy z nieprzyjacielem, w wyniku czego ma otwartą drogę na stronę przeciwną. Nie chciał dokonywać żadnych zniszczeń w Holandii i pragnął przeszkodzić zamierzonemu przez Hitlera zalaniu kraju. Uzyskawszy podobne zapewnienie, pożegnałem się również z gauleiterem Hamburga, Kaufmannem, u którego się zatrzymałem w drodze powrotnej z Oldenburga.

Natychmiast po powrocie, 3 kwietnia, zakazałem ponadto wysadzania śluz, tam, zapór i mostów na kanałach⁹. W odpowiedzi na coraz częściej napływające, naglące dalekopisy, w których proszono o rozkazy w sprawie likwidacji poszczególnych zakładów przemysłowych, odwoływałem się¹⁰ z reguły do zarządzeń o podejmowaniu tylko przedsięwzięć paralizujących .

Podejmując takie decyzje, mogłem zawsze liczyć na pomoc. Mój polityczny zastępca, dr Hupfauer, porozumiał się z najważniejszymi sekretarzami stanu w celu przeciwdziałania polityce Hitlera. Do grona przyjaciół doktora należał między innymi zastępca Bormanna, Klopfer. W ten sposób Bormann tracił grunt pod nogami; jego rozkazy trafiały w pewnym sensie w próżnię. Być może w tym ostatnim okresie

Trzeciej Rzeszy omotał on Hitlera, ale poza schronem panowały inne prawa. Nawet szef służby bezpieczeństwa SS, Ohlendorf, zapewniał mnie w więzieniu, że informowano go regularnie o moich poczynaniach, ale nie meldował o nich dalej.

Właściwie w kwietniu 1945 roku byłem przeświadczony, że współpracując z sekretarzami stanu mogę zdziałać więcej w swojej dziedzinie niż Hitler, Goebbels i Bormann razem wzięci. W wojsku miałem dobre kontakty z nowym szefem Sztabu Generalnego, Krebssem, gdyż przyszedł on ze sztabu Modela; coraz większe zrozumienie dla istniejącej sytuacji wykazywali również Jodl, Buhle i Praun, szef wojsk łączności.

Zdawałem sobie sprawę, że gdyby Hitler dowiedział się o mojej działalności, wyciągnąłby teraz konsekwencje. Musiałem zakładać, że nie darowałby mi. W tych miesiącach fałszywej gry kierowałem się prostą zasadą: trzymałem się w miarę możliwości w pobliżu Hitlera. Każde oddalenie dawało powód do podejrzeń i na odwrót - jedynie w najbliższym otoczeniu można było stwierdzić i oddalić od siebie istniejące podejrzenie. Nie byłem samobójcą; w prymitywnej chatce myśliwskiej, sto kilometrów za Berlinem, przygotowano mi kwaterę zastępczą; ponadto Rohland zarezerwował dla mnie schronienie w jednym z licznych domków myśliwskich książąt Furstenberg.

Jeszcze w początkach kwietnia, podczas omawiania sytuacji, Hitler mówił o przeciwdziałaniach operacyjnych, o atakach na nie zabezpieczone skrzydła zachodniego przeciwnika, który teraz, pokonując duże przestrzenie, posuwał się przez Kassel na Eisenach. Hitler przerzucał swe dywizje z jednej miejscowości do drugiej; była to okrutna, przejmująca grozą gra wojenna. Gdy na przykład w dniu mojego powrotu z podróży na front oglądałem mapę z naniesionymi na nią ruchami naszych jednostek, mogłem tylko stwierdzić, że na trasie, którą jechałem, raczej się ich nie dostrzeżało, a jeżeli nawet pojawiały się, byli to żołnierze bez broni ciężkiej, wyposażeni jedynie w karabiny.

U mnie również odbywało się codziennie krótkie omówienie sytuacji, na którym mój oficer łącznikowy ze Sztabem Generalnym przekazywał najnowsze informacje; nawiasem mówiąc, wbrew rozkazowi Hitlera, który zabronił informowania instytucji cywilnych o sytuacji wojskowej. Dzień po dniu dość dokładnie podawał Poser, jaki rejon zajmie nieprzyjaciel w ciągu dwudziestu czterech godzin. Te rzeczowe informacje nie miały nic wspólnego z kłamliwymi referatami,

że

wyglaszanymi w schronie pod Kancelarią Rzeszy. Tam nie mówiło się o ewakuacji i odwrotach. Sądziłem wówczas, że Sztab Generalny z generałem Krebssem na czele zrezygnował ostatecznie z realnego informowania Hitlera i zamiast tego absorbował jego uwagę pewnego rodzaju grami wojennymi. Jeżeli wbrew ocenie sytuacji z poprzedniego wieczora w dniu następnym padły miasta i oddano poszczególne rejony, Hitler zachowywał całkowity spokój. Teraz nie beształ już swoich współpracowników jak jeszcze przed kilkoma tygodniami. Wyglądał na zrezygnowanego.

W pierwszych dniach kwietnia Hitler wezwał do siebie dowódcę frontu zachodniego, Kesselringa. Byłem przypadkowo obecny przy tej niepoważnej rozmowie. Kesselring usiłował przedstawić Hitlerowi beznadziejność sytuacji. Ale już po kilku zdaniach ten przerwał mu i udowadniał, że poprzez uderzenie w skrzydło kilkoma setkami czołgów zniszczy amerykański klin w rejonie Eisenach, wywoła nieopisaną panikę i w rezultacie znów przepędzi z Niemiec zachodniego przeciwnika. Gubił się przy tym w długich wywodach na temat notorycznej nieudolności amerykańskich żołnierzy w obliczu klęski, chociaż właśnie podczas ofensywy w Ardenach uzyskał wręcz odwrotne doświadczenia. Byłem wówczas zły na feldmarszałka Kesselringa, gdy po krótkim oporze zgodził się z fantazjami Hitlera i z pozorną powagą przyjmował jego plany. Teraz zresztą i tak było to obojętne; nie należało się podniecać walkami, do których nie mogło już dojść.

W czasie najbliższego omawiania sytuacji Hitler ponownie wyjaśniał swoją ideę uderzenia w skrzydło. Możliwie spokojnie wtrąciłem: „Jeżeli wszystko zostanie zniszczone, niewiele będę miał pożytku z odzyskania tych terenów. Nie będę w stanie tam produkować”. Hitler milczał. „Tak szybko nie zdołam odbudować mostów”. Hitler, w wyraźnie dobrym nastroju, odpowiedział: „Proszę się uspokoić, panie Speer. Nie zniszczono tak wielu mostów, jak rozkazałem”. W podobnym tonie prawie żartobliwie odpowiedziałem, że brzmi to dziwnie, jeżeli cieszymy się z niewykonania rozkazu. Ku mojemu zaskoczeniu Hitler zgodził się, abym przedłożył mu zaproponowane przez siebie zarządzenie.

Gdy pokazałem projekt Keitlowi, stracił na moment panowanie: „Dlaczego znów zmiany! Mamy przecież zarządzenie o zniszczeniach... Bez wysadzania mostów nie można prowadzić wojny!” W końcu jednak zgodził się z moją propozycją tekstu, dokonując małych korekt, a Hitler podpisał, że urządzenia komunikacyjne i łączności należy jedynie unieruchamiać, mosty zaś do ostatniej chwili utrzymy-

wać. Jeszcze raz na trzy tygodnie przed zakończeniem wojny nakłoniłem Hitlera do potwierdzenia: „Przy przeprowadzaniu ewakuacji oraz dokonywaniu zniszczeń należy mieć na uwadze, ...że utracone tereny po ponownym odzyskaniu mają być znów wykorzystane do potrzeb niemieckiej produkcji”¹¹. Skreślił niebieskim ołówkiem tylko jedno zdanie, mówiące o konieczności zwlekania ze zniszczeniem nawet do momentu, w którym groziłoby niebezpieczeństwo, „że w wypadku szybkiego natarcia nieprzyjaciela most może wpaść kiedyś... nie zniszczony w jego ręce”.

Szef wojsk łączności, generał Praun, odwołał jeszcze tego samego dnia swoje zarządzenie z 27 marca 1945 roku, cofnął wszystkie rozkazy dotyczące zniszczeń, a w zarządzeniach wewnętrznych nakazał zachowanie również magazynów, gdyż po wojnie będą mogły one pomóc w ponownej odbudowie sieci łączności. Uważał za nierozsądne, że Hitler rozkazał zniszczyć środki łączności, przeciwnik bowiem i tak ciągnie własne kable i montuje stacje radiowe. Nie wiem, czy również szef transportu wycofał swoje zarządzenie o dokonywaniu spustoszeń w systemie komunikacyjnym. W każdym razie Keitel nie zgodził się z najnowszymi zarządzeniami Hitlera i nie przyjął ich za podstawę swoich przepisów wykonawczych¹².

Keitel słusznie zarzucał mi, że rozkaz Hitlera z 7 kwietnia wprowadził zamęt w interpretowaniu zarządzeń. Tylko w okresie dziesiętnastu dni, od 18 marca do 7 kwietnia 1945 roku, wydano w tej dziedzinie dwanaście sprzecznych ze sobą dokumentów. Ale chaotyczne wydawanie rozkazów pomagało zmniejszyć chaos.

1 Zarządzenie brzmiało następująco:

„Dotyczy przyjmowania obywateli przekwaterowanych z rejonów ewakuacji. Z polecenia komunikuje: Fuhrer wydał 19.3.1945 rozkaz w sprawie dokonywania zniszczeń, który został już Wam przekazany lub zostaje załączony do niniejszego pisma. Jednocześnie fuhrer zarządził w równie jednoznaczny sposób: na terenach, których nie możemy obecnie utrzymać i które według przewidywań zostaną zajęte przez wroga, nale/y przeprowadzić ewakuacje.

Fuhrer zobowiązał gauleiterów okręgów przyfrontowych do zrobienia wszystkiego, co w ludzkiej mocy, by zapewnić totalną ewakuację, tzn. całkowite wycofanie wszystkich obywateli. Niezmierne trudności, łączące się z tym żądaniem, znane są fuhrerowi, gdyż wielokrotnie mu je przedstawiano.

Żądanie fuhrera oparte jest na dokładnych i wnikliwych rozważaniach. Nad kwestią nieodzowności ewakuacji nie należy w ogóle dyskutować.

Równie trudną sprawą, jak ewakuacja i transport, jest zakwaterowanie ludności w środkowych okręgach Niemiec. To pozornie niemożliwe zapewnienie schronienia mieszkańcom z terenów ewakuowanych musi zostać jednak zrealizowane. Fuhrer

oczekuje, że środkowe okręgi niemieckie wykażą należyte zrozumienie dla nieuniknionych wymogówchwili.

Używając wszelkich środków improwizacji, musimy uporać się w każdej dziedzinie z obecną sytuacją".

2 Hitler ustalił, że w „strefie walki” o głębokości 8-15 km władzę wykonawczą w zakresie zniszczeń sprawują organy wojsk lądowych.

3 Chodzi o „postanowienia wykonawcze” (dotyczące urządzeń łączności) do rozkazu tuhrera z 19.3.1945 r., wysłanego 27 marca o godzinie 16: „Urządzenia łączności należy zniszczyć przez wysadzanie, podpalanie i demolowanie. Całkowicie nieużytecznymi należy uczynić urzędy telegraficzne i telefoniczne, stacje wzmacniające oraz węzły połączeń (wejścia kablowe, przełączniki, rozgałęzienia linii oraz kabli, urządzenia podtrzymujące i jeśli będzie dość czasu, także naziemne linie i kable telefoniczne), budynki z urządzeniami telegraficznymi, sprzęt telegraficzny wszelkiego rodzaju, kable i linie, instrukcje techniczne (plany połączeń kablowych, plany łączenia, opisy przyrządów itp.), wielkie urządzenia radiowe (stacje nadawczo-odbiorcze, maszty, anteny). Należy dążyć do wcześniejszego wywiezienia szczególnie wartościowych części...

W stosunku do stolicy Rzeszy i okolic, zwłaszcza wielkich urządzeń radiowych w Naucn. Konigswusterhausen, Zeesen, Rehmate, Beelitz, wyjdzie rozkaz specjalny".

4 Kiedy wróciłem z więzienia, mój dawny szef urzędu, Seebauer, poinformował mnie, że Saur już podczas mojej choroby, wiosną 1944 r., został wyznaczony przez Hitlera na mojego następcę.

5 Podczas ostatniego omawiania sytuacji, 27 kwietnia 1945 r., Hitler zareagował ostrzej: „Niewykonanie wydanego przeze mnie rozkazu oznacza dla danego przywódcy partyjnego natychmiastową likwidację i unicestwienie... Nie mogę sobie wyobrazić, by przywódca partyjny, któremu wydałem rozkaz, mógł zdobyć się na jego niewypełnienie", (Stenogram, przedrukowany w „Spieglu” nr 3/1966).

6 Dalsze wyjątki z tego listu: „Opuszczenie swojego stanowiska - nawet na rozkaz Pana - w tym rozstrzygającym okresie musiałbym ocenić jako dezercję: wobec narodu niemieckiego i wobec moich wiernych współpracowników. Mimo to uważam za swój obowiązek, bez względu na konsekwencje, jakie w związku z tym mogę ponieść, przedstawić Panu twardo i bez upiększeń własną ocenę wydarzeń. Jako jeden z nielicznych współpracowników zawsze otwarcie i uczciwie przedstawiałem Panu swoje stanowisko i chcę przy tym pozostać...

Wierzę w przyszłość narodu niemieckiego. Wierzę w opatrność, która jest sprawiedliwa i nieubłagana, a tym samym wierzę w Boga. Ścisnęło mi się serce, kiedy w dniach zwycięstw 1940 roku widziałem, jak najszerze kręgi naszego kierownictwa traciły postawę moralną. To był czas, kiedy powinniśmy byli zasłużyć się wobec opatrności przyzwoitym zachowaniem się i wewnętrzną skromnością. Zwycięstwo pozostałoby wtedy w naszych rękach. A tak w owych miesiącach los uznał nas za niegodnych większych sukcesów. Wskutek wygodnictwa i oziębałości zmarnowaliśmy rok czasu cennego dla zbrojeń i nowych konstrukcji, a przez to spowodowaliśmy, że w decydujących latach 1944/45 wiele przyszło za późno. Gdyby każda innowacja zrealizowana była o rok wcześniej, nasz los wyglądałby zupełnie inaczej. Odtąd wszystkim wydarzeniom militarnym towarzyszyły osobliwe nieszczęścia, jak gdyby opatrność chciała nas przestrzec. Nigdy jeszcze okoliczności zewnętrzne, np. pogoda, nie odgrywały w wojnie tak decydującej i nieszczęsnej roli, jak właśnie w tej najbardziej ze wszystkich technicznej wojnie. Mróz pod Moskwą, mgły pod Stalingradem i błękitne niebo w czasie zimowej ofensywy w 1944 na Zachodzie...

Mogę nadal pracować z czystym sumieniem oraz z przekonaniem i wiarą w przyszłość tylko wtedy, gdy Pan, mein Fuhrer, opowie się, tak jak dotychczas, za utrzymaniem sił żywotnych naszego narodu. Nie wnikam w to, że Pański rozkaz w sprawie zniszczeń z 19 marca 1945 r. wskutek przedwczesnych kroków musi przekreślić ostatnie możliwości działania przemysłu i że jego ogłoszenie wywołuje wśród ludności wielkie przygnębienie. Są to wprawdzie sprawy decydujące, ale pomijają rzecz zasadniczą... Zrozumie Pan, co dzieje się we mnie. Nie mogę działać z całą energią i wzbudzać niezbędnego zaufania, jeśli jednocześnie z moim wezwaniem do robotników o jak największy wysiłek przygotowujemy zniszczenie materialnych podstaw ich egzystencji".

7 Zarządzenie brzmiało następująco:

„ Fuhrer

Kwatera Główna Fuhrera, 30 marca 1945 r.

W celu jednolitej realizacji mego zarządzenia z 19.3.1945 r. rozkazuję:

1. Nakazano zniszczenia urządzeń przemysłowych służyć wyłącznie ternu, aby uniemożliwić przeciwnikowi wykorzystanie tych urządzeń i zakładów do zwiększenia jego siły bojowej.

2. W żadnym wypadku powzięte środki nie mogą osłabiać własnej siły bojowej. Produkcję należy utrzymać do absolutnie ostatniego momentu, gdyby nawet groziło niebezpieczeństwo, że w przypadku szybkich ruchów nieprzyjaciela zakład wpadnie w jego ręce nie zniszczony. Urządzenia przemysłowe wszelkiego rodzaju, łącznie z zakładami zaopatrzeniowymi, wolno zatem niszczyć dopiero wtedy, gdy zostały bezpośrednio zagrożone przez wroga.

3. Podczas gdy w przypadku mostów i innych urządzeń komunikacyjnych tylko totalne zniszczenie uniemożliwia wrogowi ich użytkowanie na dłuższy okres, to w przypadku urządzeń przemysłowych ten sam cel można osiągnąć przez trwałe ich sparaliżowanie.

4. Decyzję w sprawie rozpoczęcia paraliżowania i niszczenia urządzeń przemysłowych i innych zakładów wydaje gauleiter i komisarz obrony Rzeszy, który nadzoruje realizację tych posunięć.

Realizację prowadzą wyłącznie placówki i organy ministra Rzeszy do spraw zbrojeń i produkcji wojennej. Pomocy udzielać powinny przy tym wszystkie placówki partii, państwa i Wehrmachtu.

5. Postanowienia wykonawcze wydaje za moją aprobatą minister Rzeszy do spraw zbrojeń i produkcji wojennej. Może on wydawać pojedyncze polecenia komisarzowi obrony Rzeszy.

6. Zasady niniejsze odnoszą się, zgodnie z treścią zarządzenia, do zakładów i urządzeń znajdujących się w bezpośredniej strefie walki.

Adolf Hitler"

Zarządzenie odnosiło się tylko do przemysłu. Rozkaz w sprawie niszczenia szlaków wodnych, urządzeń kolejowych, pocztowych, mostów obowiązywał niezmiennie.

8 Rozkaz ogłoszony przez Jodla został wydany 29 marca i przesłany przez Bormanna 30 marca do wiadomości reichsleiterów i gauleiterów.

9 Treść dalekopisu skierowanego do dyrektorów szlaków wodnych, którzy mi podlegali, brzmiała następująco:

„Wysadzanie śluz, jazów, tam, mostów nad kanałami oraz urządzeń portowych jest niedopuszczalne na podstawie zarządzenia fuhrera z 30 marca 1945 r., dopóki nie wyrażę aprobaty.

Do wiadomości: sztab dowodzenia Wehrmachtu z prośbą o poinformowanie placówek wojskowych".

10 Radiotelegram gauleitera Uiberreithera miał na przykład następujące brzmienie:

„Radiotelegram - PZR Nr 5/6 0830 3.4.45.
Do ministra Rzeszy Alberta Speera.
Berlin W 8

Do rozkazu fuhrera z 19.3. proszę o szczegółową instrukcję, jakie zakłady zbrojeniowe w moim okręgu muszą w każdym wypadku zostać zniszczone. Ponieważ sytuacja militarna jest całkowicie płynna, w każdej chwili trzeba się liczyć z niespodziewanym przełamaniem. Zwracam uwagę na zakłady lotnicze Marburg, Steyr, Daimler-Puch-Graz lub zakłady ewakuowane. W przypadku zakładów zbrojeniowych Obersteier należy uwzględnić, że nie jest mi znana sytuacja militarna w Niederdonau. - Czy powinna zostać zniszczona siłownia wodna nad Drauem i Murem lub siłownie parowe, zanim nie uszkodzone wpadną w ręce wroga? Pańskie wytyczne obowiązują tu tylko warunkowo, gdyż nie można mówić o ciągłym froncie.

gauleiter Uiberreither"

Moja odpowiedź brzmiała:

„Berlin, 3 kwietnia 1945 r.

Do gauleitera Uiberreithera, Graz

Zgodnie z rozkazem fuhrera z 30.3.45 r. nie pozostawia się spalonej ziemi.

Wszystkie urzędnicy i zakłady należy sparaliżować tak skutecznie, by przeciwnik przy ich pomocy nie zwiększył w żadnym stopniu swej siły bojowej. We wszystkich prawie przypadkach wystarczające jest unieruchomienie urzędów przez fachowców, spełnia ono cel wskazany przez fuhrera. Dotyczy to także zakładów wymienionych w Pańskim radiotelegramie. Przez swój rozkaz z 30.3.45 r. fuhrer celowo wykluczył różne możliwości interpretowania rozkazu z 19.3.45 r. i jednoznacznie opowiedział się za paraliżowaniem urzędów. Niszczenie możliwe jest więc tylko w przypadkach, w których przez paraliżowanie nie da się osiągnąć zamierzonego celu. Zresztą fuhrer oświadcza: pracować do ostatniego momentu. Elektrownie wolno tylko paraliżować.

Speer"

11 Zarządzenie Hitlera z 7 kwietnia 1945 r. brzmiało następująco (z fragmentami skreślonymi przez Hitlera):

„W celu jednolitej realizacji mojego zarządzenia z 19.3.45 r. polecam w odniesieniu do komunikacji oraz systemu łączności:

1. Ważne pod względem operacyjnym mosty należy zniszczyć tak, by niemożliwe stało się ich wykorzystanie przez przeciwnika.

Obszary lub odcinki (biegu rzek, autostrad itd.), w których należy zniszczyć te ważne pod względem operacyjnym mosty, zostaną ustalone w poszczególnych przypadkach przez OKW. Należy wymierzać najostrzejsze kary, jeśli te mosty nie zostaną zniszczone.

2. Wszystkie pozostałe mosty należy niszczyć dopiero wtedy, gdy komisarze obrony Rzeszy wraz z kompetentnymi placówkami Ministerstwa Komunikacji Rzeszy i ministra Rzeszy do spraw zbrojeń i produkcji wojennej stwierdzą przerwanie produkcji lub niemożliwość jej przetransportowania z powodu zbliżania się i działań wroga.

Aby możliwie do ostatniej chwili móc prowadzić produkcję, w myśl mojego zarządzenia z 30 marca 1945 r. należy aż do końca utrzymać komunikację (nawet gdy istnieje niebezpieczeństwo, że w wypadku szybkich ruchów nieprzyjaciela jakiś most, z wyjątkiem wymienionych w punkcie 1, wpadnie w jego ręce nie zniszczony - fragment skreślony przez Hitlera).

3. Wszystkie inne ważne pod względem komunikacyjnym obiekty i urządzenia (inne budowle inżynierskie wszelkiego rodzaju, tory, środki transportu i warsztaty) oraz

urządzenia łączności należące do Poczty Rzeszy, Kolei Rzeszy i towarzystw prywatnych należy trwale sparaliżować.

We wszystkich przypadkach dokonywania zniszczeń i ewakuacji trzeba zwrócić uwagę, by - z wyjątkiem posunięć wymienionych i specjalnie nakazanych w punkcie I przy odzyskiwaniu utraconych terenów urządzenia te mogły ponownie służyć do wznowienia produkcji niemieckiej.

Kwatera Główna, 7.4.1945 r.
Hitler"

Adolf

Zarządzenie dawało następujące korzyści: Nie można było właściwie przyjąć, że wszystkie zainteresowane placówki kiedykolwiek w porę podejmą konieczne decyzje. Wstrzymano nakazane dotychczas niszczenie urządzeń kolejowych i pocztowych, lokomotyw i wagonów oraz zatapianie statków. Groźbę najostrejszych kar ograniczono do mostów ważnych pod względem operacyjnym, ponieważ w punktach 2 i 3 groźba ta została wyraźnie pominięta.

12 Keitel radioszyfrogramem nr 003403/45 z 7 kwietnia 1945 r. wydał postanowienia wykonawcze jedynie w sprawie niszczenia mostów ważnych pod względem operacyjnym, nie stworzył jednak możliwości wykorzystania pozytywnych elementów zarządzenia Hitlera przez równie pozytywną ich interpretację.

Rozdział 31

PIĘĆ PO DWUNASTEJ

Werner Naumann, sekretarz stanu w Ministerstwie Propagandy, zwrócił się do mnie we wrześniu, abym wystąpił przed wszystkimi niemieckimi radiostacjami z wezwaniem do umacniania woli oporu. Sądziłem, że to Goebbels chce mnie wciągnąć w pułapkę, i odmówiłem. Teraz jednak, kiedy Hitler, podpisując opracowane przeze mnie zarządzenie, wydawał się przychylić do mojego punktu widzenia, chciałem wykorzystać wystąpienie radiowe, by odwołać się do możliwie najszerszej opinii publicznej o unikanie bezsensownych zniszczeń. Wyraziłem więc zgodę i jak tylko ukazało się zarządzenie Hitlera, pojechałem do położonego nad ustronnym jeziorem Stechlin domku myśliwskiego Milcha.

W tym ostatnim okresie byliśmy przygotowani na wszystko. Aby móc się w razie potrzeby bronić, zorganizowałem nad brzegiem jeziora ćwiczenia w strzelaniu do manekinów; jednocześnie szkicowałem sobie wystąpienie radiowe. Wieczorem byłem zadowolony: uzyskałem dobre wyniki w strzelaniu, a mój projekt wystąpienia nie dawał powodów do nieporozumień i kompromitacji. Przy lampce wina czytałem go Milchowi i jednemu z jego przyjaciół: „Błędem jest wierzyć w pojawienie się cudownej broni, której działanie będzie mogło zastąpić żołnierza!” Nie zniszczyliśmy przemysłu na okupowanych terenach, a teraz uważamy za swój obowiązek zachowanie również we własnym kraju podstaw egzystencji: „Wszystkich nadgorliwców, którzy nie chcą zrozumieć sensu podobnych przedsięwzięć, trzeba jak najsurowiej ukarać. Grzeszą oni”, sformułowałem z obowiązującym wówczas patosem, „przeciwko temu, co najświętsze dla narodu niemieckiego: podstawie jego siły żywotnej”.

Wspomniałem krótko o teorii odzyskania terenu i użyłem zwrotu „pustynia komunikacyjna”, którym w swoim czasie posłużył się szef naszego transportu. „Dla przeszkodzenia tym zamiarom trzeba bezwarunkowo użyć wszystkich sił naszego narodu wraz z rozporządzalnymi środkami. Jeżeli całą akcją przeprowadzi się rozsądnie, można będzie zapewnić w skromnym zakresie wyżywienie aż do następnych zniw”. Gdy skończyłem, Milch powiedział ze stoickim spokojem: „Sens jest jasny, ale również dla gestapo”.

11 kwietnia podjechał przed bramę ministerstwa radiowy wóz transmisyjny, robotnicy podłączali kable w moim gabinecie, gdy zadzwonił telefon: „Proszę przyjść do fuhrera i zabrać ze sobą tekst przemówienia”. W przeznaczony dla prasy wersji złagodziłem najostrzejsze sformułowania, nie rezygnując z zamiaru przeczytania pierwotnego tekstu. Wziąłem ze sobą tę mniej niebezpieczną wersję. Hitler pił właśnie herbatę z jedną z sekretarek w swoim gabinecie w schronie; przyniesiono trzecią filiżankę dla mnie. Już dawno nie przebywałem w jego towarzystwie tak prywatnie i swobodnie. Hitler ceremonialnie nałożył okulary w cienkiej metalowej oprawie, w których wyglądał jak nauczyciel. Następnie wziął ołówek i zaczął, zaraz od pierwszych stron, skreślać całe akapity. Nie dopuszczając do dyskusji, przyjaznym tonem czynił od czasu do czasu uwagi: „To opuścimy” albo „Ten ustęp jest zbyteczny”. Sekretarka bez skrupowania czytała odłożone przez niego kartki i wyrażała swój żal: „Szkoda pięknej mowy”. Na pożegnanie Hitler powiedział życzliwie, prawie po przyjacielsku: „Proszę opracować nowy projekt”¹. W skróconej wersji przemówienie byłoby niecelowe. A dopóki nie miałem zezwolenia Hitlera, nie mogłem skorzystać z radiostacji Rzeszy. Ponieważ Naumann nie powracał już do sprawy, przestałem się nią interesować.

W połowie grudnia 1944 roku, po zakończeniu swojego ostatniego koncertu w filharmonii berlińskiej, poprosił mnie do pokoju dyrygentów Wilhelm Furtwangler. Z rozbijającą naiwnością zapytał mnie wprost, czy mamy jeszcze szansę na wygraną wojny. Gdy odpowiedziałem, że znajdujemy się w obliczu bliskiego końca, skinął potakująco głową; widocznie moje słowa odpowiadały jego oczekiwaniom. Uważałem, że Furtwanglerowi grozi niebezpieczeństwo, gdyż Bormann i Goebbels, jak również Himmler nie zapomnieli niektórych jego szczerych wypowiedzi oraz wystąpień w obronie skazanego na wygnanie kompozytora Hindemitha. Dlatego też radziłem mu, aby nie powracał z koncertów w Szwajcarii, dokąd

miał się niebawem udać. „Ale co stanie się z moją orkiestrą? Jestem za nią odpowiedzialny!" Przyrzekłem troszczyć się o muzyków w nadchodzących miesiącach.

W początkach kwietnia 1945 roku intendent filharmonii, Gerhard von Westermann, poinformował mnie, że Goebbels rozkazał włączyć członków orkiestry do oddziałów broniących Berlina. Czyniłem telefoniczne starania, ażeby zapobiec powołaniu ich do Volkssturmu. Goebbels odprawił mnie ostro: „To przecież mnie ta orkiestra zawdzięcza swój wyjątkowy poziom. Dzięki mojej inicjatywie i środkom finansowym zyskała dzisiejszą renomę światową. Ci, którzy przyjdą po nas, nie będą mieli do niej żadnego prawa. Może więc zginąć wraz z nami”. Uciekłem się do sposobu, za którego pomocą Hitler na początku wojny uniemożliwił powołanie do wojska faworyzowanych artystów. Kazałem pułkownikowi von Poserowi zniszczyć w komendach uzupełnień dokumenty muzyków. Aby również finansowo pomóc orkiestrze, moje ministerstwo zorganizowało kilka koncertów.

„Gdy się gra Symfonię romantyczną Brucknera, zbliża się już koniec”, powiedziałem do swoich przyjaciół. Pożegnalny koncert odbył się po południu 12 kwietnia 1945 roku. W nie opalanej sali filharmonii siedzieli na przyniesionych krzesłach, otuleni w płaszcze, ci, którzy chcieli usłyszeć ostatni koncert w zagrożonym mieście. Berlińczycy dziwili się, gdyż w wyniku mojego zarządzenia zawieszono owego dnia obowiązujący o tej godzinie zakaz korzystania z prądu, aby umożliwić oświetlenie sali. Na początek przewidziałem ostatnią arię Brunnhildy oraz finał Zmierzchu bogów; patetyczny i jednocześnie melancholijny gest w przededniu upadku Rzeszy. Po koncercie wiolonczelowym Beethovena następowała symfonia Brucknera ze swą rozwiniętą frazą końcową, która na długi okres zamykała muzyczne doznania mojego życia.

Powróciwszy do ministerstwa, zastałem tam wezwanie, abym natychmiast zatelefonował do adiutantury Hitlera. „Gdzie pan był? Fuhrer czeka już na pana”. Hitler przyjrzał mi się i z rzadko spotykaną u niego werwą, jak opętany rzucił się do mnie z gazetą w rękę: „Tutaj, niech pan czyta! Tutaj! Pan nigdy nie chciał w to wierzyć! Tutaj!” Wykrzykiwał jedno słowo za drugim. „Stał się wreszcie ten wielki cud, który stale przepowiadałem. Kto ma teraz rację? Wojna nie jest przegrana. Proszę czytać! Roosevelt nie żyje!” Zupełnie nie mogłem się uspokoić. Ostatecznie uwierzył, że jest to świadectwo niezawodnie czuwającej nad nim opatrności. Goebbels i wielu spośród obecnych uszczęśliwieni przytakiwali Hitlerowi, podkreślając, jak bardzo słuszne było jego setki razy wypowiedane przekonanie: oto znów miała się powtórzyć historia, która beznadziejnie rozgromionego Fryderyka Wielkiego uczyniła w ostatniej chwili zwycięzcą. Cud dynastii Branden-

burgów! Znowu umarła caryca, nastąpił historyczny zwrot - niezliczoną ilość razy powtarzał Goebbels. Ta scena zdarła na moment zasłonę z zakłamanego optymizmu minionych miesięcy. Potem Hitler siedział w fotelu wyczerpany, jakby uwolniony od trosk i jednocześnie odurzony; wyglądał jednakże beznadziejnie.

Po kilku dniach Goebbels, pod wpływem jednego z niezliczonych fantastycznych pomysłów, które mnożyły się na wiadomość o śmierci Roosevelta, kazał mi zakomunikować, ponieważ mam jeszcze wiele uznania w sferach mieszczańskich na Zachodzie, należałoby się zastanowić, czy nie powinienem polecieć samolotem dalekiego zasięgu do nowego prezydenta, Trumana. Takie idee znikają równie szybko, jak powstawały.

że

Właśnie w tych pierwszych dniach kwietnia spotkałem, w dawnym mieszkaniu Bismarcka, dr. Leya w otoczeniu grupy osób, wśród których znajdowali się Schaub i Bormann, adiutanci i służba, swobodnie stojący obok siebie. Ley dopadł mnie krzyżując: „Wynaleziono promienie śmierci! Zupelnie prosta aparatura, którą możemy produkować w dużych ilościach. Przystudiowałem dokumentację, nie ma żadnej wątpliwości: to przyniesie rozstrzygnięcie!” Bormann zachęcająco przytakiwał, a Ley tymczasem, jak zwykle jękając się, kontynuował z wyrzutem: „Ale pańskie ministerstwo odrzuciło naturalnie propozycję wynalazcy. Na nasze szczęście napisał do mnie. Teraz musi się pan osobiście zająć tą sprawą. Natychmiast... W tej chwili nie istnieje nic ważniejszego!” Ley gorączkował się z powodu niedoskonałej organizacji pracy w moim ministerstwie, które miało być zbiurokratyzowane i skostniałe. Wszystko to było tak absurdalne, że nie sprzeciwiałem się; „Ma pan całkowitą rację! Czy nie zechciałby pan osobiście zająć się tym? Wyposażę pana chętnie we wszystkie pełnomocnictwa w sprawie promieni śmierci”. Ley był zachwycony tą propozycją: „Naturalnie! Obejmuję to. W tej sprawie podporządkuję się nawet panu. Jestem przecież chemikiem z zawodu”. Zachęcałem go do eksperymentu i zalecałem mu posłużenie się własnymi królikami, jako że bardzo często posługiwanie się nie swoimi zwierzętami wprowadza w błąd. Po kilku dniach z daleko położonej miejscowości Niemiec zatelefonował do mnie adiutant Leya, przekazując spis elektrycznych aparatów, potrzebnych do przeprowadzenia eksperymentu.

Postanowiliśmy grać dalej komedię. Wtajemniczyliśmy w to Luschna, szefa naszego przemysłu elektrycznego, prosząc go o przygo-

towanie żądanej przez wynalazcę aparatury. Niebawem zjawił się z powrotem, mówiąc: „Postarałem się o wszystko poza przerywaczem obwodu prądu, ponieważ nie możemy dostać takiego, który odpowiadałby podanej szybkości przerywania. Ale »wynalazca« żąda właśnie takiego. Czy pan wie”, z uśmiechem oznajmił Luschen, „co ustaliłem? Przerywacza tego nie produkuje się już od czterdziestu lat, a wymieniony on jest w starym wydaniu fizyki dla szkół średnich z roku około 1900”.

W miarę zbliżania się nieprzyjaciela tego rodzaju idee mnożyły się. Ley zupełnie poważnie głosił teorię: „Gdy zaleją nas od wschodu Rosjanie, wówczas potężny potok niemieckich uciekinierów, podobnie jak podczas wędrówki ludów, parł będzie na zachód, wtargnie tam i zaleje go, a następnie przejmie w posiadanie”. Hitler kpił wprawdzie z tych dziwactw przywódcy robotników, jednak w swoim osobistym otoczeniu jego właśnie faworyzował w ostatnim czasie.

W pierwszej połowie kwietnia niespodziewanie i nie wzywana przybyła do Berlina Ewa Braun, oświadczając, że nie chce już opuszczać teraz Hitlera. Ten jednak nalegał, aby wróciła z powrotem do Monachium, ja zaś zaproponowałem jej miejsce w naszym samolocie łącznikowym. Zdecydowanie odrzuciła wszystkie propozycje, a każdy w schronie wiedział, dlaczego przybyła. Wraz z jej obecnością zawitał tu w przenośni i realnie zwiastun śmierci.

Osobisty lekarz Hitlera, dr Brandt, od 1934 roku stały członek jego najbliższego otoczenia w Obersalzbergu, pozwolił swojej żonie i dziecku w Turyngii „zagarnąć się”, jak wówczas mówiono, przez Amerykanów. Hitler powołał sąd doraźny, składający się z Goebbelsa, przywódcy młodzieży Axmanna i generała SS Bergera; jednocześnie ingerował w postępowanie sądowe, jako w pewnym sensie oskarżyciel i najwyższy sędzia w jednej osobie, żądając kary śmierci, formułując podnoszone przeciwko Brandtowi zarzuty: Brandt wiedział, że może umieścić swoją rodzinę w Obersalzbergu, ponadto zachodzi podejrzenie, że wraz z żoną przesłał Amerykanom tajne dokumenty. Długoletnia kierowniczką sekretarek Hitlera, Wolf, mówiła ze łzami: „Nie rozumiem go już”. Himmler, przybywając do schronu, uspokajał zdenerwowanych ludzi z otoczenia Hitlera: „Najpierw trzeba przesłuchać miarodajnego świadka, a takiego”, dodał chytrze, „nie znaleziono”.

Ten niespodziewany incydent mnie również wprawił w zakłopotanie, ponieważ 6 kwietnia ulokowałem swoją rodzinę nad Bałtykiem z dala od dużych miast, w jednym z majątków ziemskich w pobliżu Kappeln w Holsztynie². Teraz stało się to nagle przestępstwem. Gdy Hitler za pośrednictwem Ewy Braun dowiadywał się, gdzie przebywa moja rodzina, musiałem skłamać mówiąc, że jest to majątek mojego przyjaciela w pobliżu Berlina. Wyjaśnienie zadowoliło Hitlera, ale domagał się zapewnienia, że i my udamy się również do Obersalzbergu, gdy on tam powróci. Wówczas miał jeszcze zamiar prowadzić końcową walkę w tak zwanej twierdzy alpejskiej.

Goebbels oświadczył, że jeżeli nawet Hitler opuści Berlin, on chciałby pozostać w tym mieście i tu doczekać swego końca: „Moja żona i dzieci nie powinny mnie przeżyć. Amerykanie wykorzystaliby je do uprawiania przeciwko mnie propagandy”. Pani Goebbels natomiast, gdy w połowie kwietnia odwiedziłem ją w Schwanenwerder, nie mogła pogodzić się z myślą, że jej dzieci mają zginąć, ale, jak się wydawało, podporządkowała się decyzji męża. Kilka dni później zaproponowałem jej skorzystanie w ostatniej chwili z barki naszej „floty transportowej”, która nocą przybiłaby do przystani posiadłości Goebbelsów w Schwanenwerder. Mogłaby, pomyślałem sobie, ukryć się z dziećmi pod pokładem, dopóki barka płynąc odnogą rzeki nie przybiłaby do zachodniego brzegu Łaby. Przygotowałyby się dostateczną ilość środków żywnościowych, tak że przez pewien czas mogłaby żyć pozostając w ukryciu.

Kiedy Hitler oświadczył, że nie przeżyje klęski, wielu z jego najbliższych współpracowników prześcigało się w zapewnieniach, że im również nie pozostaje nic innego, jak tylko samobójstwo. Ja natomiast uważałem, że powinni raczej wziąć na siebie odpowiedzialność i oddać się do dyspozycji sądu przeciwnika. Dwaj oficerowie lotnictwa, którzy osiągnęli największe sukcesy. Baumbach i Galland, opracowali wspólnie ze mną w tych ostatnich dniach wojny awanturyczny plan aresztowania najważniejszych współpracowników Hitlera i przeszkodzenia im w popełnieniu samobójstwa. Jak ustaliliśmy, Bormann, Ley i Himmler wyjeżdżali każdego wieczoru do różnych miejscowości oddalonych od Berlina, rzadko nawiedzanych przez samoloty nieprzyjaciela. Nasz plan był prosty: W chwili zrzucania w nocy przez lotników bomb oświetlających każdy samochód zatrzymywał się, a pasażerowie uciekali w pole. Podobną reakcję musiały wywołać rakiety

światłne

wystrzelwane z raketnic; uzbrojony w pistolety maszynowe oddział miał unieszkodliwić sześćosobową ochronę. Dostarczono już rakiety do mojego

mieszkania, omówiono skład oddziału, rozważono szczegóły. W tym ogólnym rozgardiaszu istniała możliwość przetransportowania aresztowanych w bezpieczne miejsce. Były bliski współpracownik dr. Leya, dr Hupfauer, ku mojemu zdziwieniu domagał się, aby akcję przeciwko Bormannowi podjęli zahartowani na froncie członkowie partii: nikt bowiem nie był w partii tak znieawidzony, jak on. Gauleiter Kaufmann nalegał, że sam rozprawi się z „Mefistofeilesem fuhrera”. Jednak szef sztabu jednostki pancerniej, generał Thomale, dowiedziawszy się o naszych fantastycznych zamiarach, przekonywał mnie podczas nocnej rozmowy na wiejskiej drodze, że nie powinno się ingerować w wyroki boskie.

Również Bormann realizował swe plany. Kiedy aresztowano Brandta, którego niesłusznie uważał za moją podporę u Hitlera, sekretarz stanu Klopfer ostrzegł mnie, że nie Hitler, lecz Bormann jest sprawcą tego aresztowania i że jest ono wymierzone także przeciwko mojej osobie. Dlatego też powinienem unikać nic przemyślanych wypowiedzi³. Zaniepokoiło mnie również kilkoma informacjami radio nieprzyjacielskie: miałem rzekomo pomóc wyjść na wolność kuzynowi, którego sąd wojenny skazał za drukowanie pism Lenina⁴. Ponadto miano niebawem aresztować Hettlagego, od dawna zwalczanego przez partię. Wreszcie gazeta szwajcarska jakoby podała, że wraz z von Brauchitschem, poprzednim naczelnym dowódcą wojsk lądowych, byliśmy jedynymi osobami, z którymi można prowadzić rokowania w sprawie kapitulacji. Być może nieprzyjaciel, kolportując te informacje, próbował poróżnić kierownictwo, być może była to zwykła plotka.

W tych dniach z wojsk lądowych przydzielono mi dyskretnie kilku zaufanych oficerów frontowych uzbrojonych w pistolety maszynowe, zakwaterowując ich w moim mieszkaniu. Na wszelki wypadek mieliśmy w pogotowiu ośmiokołowy rozpoznawczy wóz pancerny, którym mogliśmy ewentualnie opuścić Berlin. Do dziś nie dowiedziałem się, na czyje polecenie albo na podstawie jakich informacji to uczyniono.

Zbliżał się bezpośredni szturm do Berlina. Hitler wyznaczył już generała Reymanna na wojennego komendanta miasta. Początkowo podlegał on jeszcze generałowi pułkownikowi Heinriciemu, dowódcy grupy wojsk, które broniły rejonu od Bałtyku wzdłuż Odry do około stu kilometrów na południe od Frankfurtu nad Odrą. Heinriciego darzyłem zaufaniem, ponieważ od dawna go znałem, a ostatnio pomógł mi zachować w nie zniszczonym stanie przemysł rybnickiego zagłębia

węglowego. Gdy Reymann nalegał, aby przygotować do wysadzenia każdy most w Berlinie, pojechałem 15 kwietnia, dzień przed rozpoczęciem wielkiej radzieckiej ofensywy na Berlin, do kwatery Heinriciego w Prenzlau. Aby zapewnić sobie poparcie fachowców, poprosiłem o towarzyszenie mi specjalistę od budownictwa ulic i urządzeń podziemnych w Berlinie, Langerera, oraz naczelnika berlińskiej dyrekcji Kolei Rzeszy, Becka. Spełniając moje życzenie, Heinrici polecił Reymannowi przyjść na konferencję.

Obaj fachowcy udowadniali, że zaplanowane zniszczenia oznaczają śmierć Berlina. Komendant miasta powoływał się na rozkaz Hitlera nakazujący obronę Berlina za pomocą wszelkich środków: „Muszę walczyć i dlatego powinienem mieć możliwość niszczenia mostów”. Heinrici wtrącił: „Ale tylko na kierunku głównego uderzenia?” Generał sprzeciwił się: „Nie, wszędzie tam, gdzie będzie prowadzona walka”. Na moje pytanie, czy również w centrum miasta należy zniszczyć wszystkie mosty w chwili dojścia do walk ulicznych, Reymann odpowiedział twierdząco. Jak to często robiłem, przytoczyłem swój najmocniejszy argument: „Czy walczy pan dlatego, że wierzy w zwycięstwo?” Generał zdziwił się, a następnie i na to pytanie dał odpowiedź twierdzącą. Kontynuowałem więc: „Jeżeli Berlin zostanie kompletnie zniszczony, wówczas na długi okres unieruchomiony będzie przemysł. A bez niego przegramy wojnę”. Generał Reymann był bezradny. Nie osiągnęlibyśmy żadnych rezultatów, gdyby generał pułkownik Heinrici nie rozkazał usunąć materiałów wybuchowych z kilku ważnych węzłów berlińskiego ruchu kolejowego i ulicznego. Zgodnie z jego poleceniem mosty można było wysadzać tylko w wypadku, gdy wymagały tego ważne działania bojowe⁵.

Po odejściu naszych współpracowników generał Heinrici jeszcze raz zwrócił się do mnie w cztery oczy: „W myśl tej instrukcji żaden most w Berlinie nie będzie zniszczony, gdyż o to miasto nie będzie walk. Z chwilą przełamania przez Rosjan frontu jedno skrzydło pójdzie na północ od Berlina, drugie na południe. Na północy oprzemy się o system kanałów, biegnących ze wschodu na zachód. Tutaj wszakże nie będę mógł utrzymać mostów”. Zrozumiałem. „A więc Berlin zostanie szybko wzięty?” Generał pułkownik potwierdził: „W każdym razie bez większego oporu”.

Następnego ranka, 16 kwietnia, obudzono mnie bardzo wcześnie. Chcieliśmy z podpułkownikiem Poserem przyjrzeć się, ze wzgórza położonego nad Odrą w okolicach Wriezen, ostatniej decydującej ofensywie tej wojny, radzieckiemu natarciu na Berlin. Gęsta mgła

zupełnie uniemożliwiła widoczność; pewien leśniczy przyniósł po kilku godzinach wiadomość, że wszyscy wycofują się i wkrótce przyjdą tu Rosjanie. I my również się wycofaliśmy.

Przejeżdżaliśmy obok wielkiej śluzy Nieder-Finow, technicznego cudu lat trzydziestych, spełniającej ważną rolę w żegludze statków z Odry do Berlina. Na trzydziestosześcioletniej konstrukcji stalowej założono wszędzie w sposób fachowy ładunki wybuchowe. W niedalekiej odległości słyszeliśmy już wystrzały armatnie; podporucznik saperów zameldował, że wszystko jest przygotowane do wysadzenia. Tutaj wykonywano jeszcze rozkaz Hitlera z 19 marca w sprawie zniszczeń. Podporucznik z uczuciem ulgi przyjął polecenie von Posera, by zaniechano wysadzenia. Fakt ten miał jednocześnie deprymującą wymowę, świadczył bowiem, że wytyczne z 3 kwietnia 1945 roku, nakazujące pozostawienie w stanie nie zniszczonym dróg wodnych, nie dotarły prawdopodobnie do adresatów.

Ponowienie dawno już wydaonych zarządzeń nie miało żadnych szans powodzenia w warunkach coraz bardziej zdeorganizowanej sieci łączności. W każdym razie uważałem za bezsensowne oczekiwać, iż w ten sposób uda się przeszkodzić nieobliczalnym niszczycielskim poczynaniom. Zrozumienie, z jakim spotkałem się u generała pułkownika Heinriciego, pozwoliło mi powrócić znów do planu odwołania się bezpośrednio do opinii publicznej z apelem o zachowanie rozsądku. Spodziewałem się, że w zamęcie walki Heinrici będzie mógł oddać mi do dyspozycji jedną z radiostacji nadawczych, zlokalizowanych w rejonie jego grupy armii.

Po 30 kilometrach znaleźliśmy się w rajach zwierzęcych Goringa, w ustronnych lasach Schorfheide. Zwolniłem moją eskortę, usiadłem na pniu drzewa i szkicowałem sobie buntownicze przemówienie, które napisałem od ręki - przed pięcioma dniami Hitler przekreślił przeciw projekt wystąpienia zaakceptowanego. Tym razem chciałem wezwać do oporu, bez niedomówień zakazać niszczenia fabryk, mostów, dróg wodnych, urządzeń kolejowych i łączności, polecić żołnierzom Wehrmachtu i Volkssturmu, aby przeciwstawiali się zniszczeniom „za pomocą wszelkich środków, używając w razie potrzeby broni palnej”. Żądałem przekazania jednostkom okupacyjnym więźniów politycznych, w tym również Żydów, oraz poleciłem nie przeszkadzać robotnikom obcokrajowcom w powrocie do ojczyzny. Zakazywałem działalności „Werwolfu” i wzywałem do oddawania miast i innych miejscowości bez walki. Zakończyłem znów zbyt uroczyście, że „wierzymy niewzruszenie w przyszłość naszego narodu, który istniał będzie zawsze i wiecznie”⁶.

Za pośrednictwem Posera przekazałem generalnemu dyrektorowi zakładów elektrycznych Berlina, dr Richardowi Fischerowi, pośpiesznie napisaną ołówkiem kartkę, w której prosiłem o zabezpieczenie dostawy prądu do najsilniejszej niemieckiej stacji nadawczej w Konigswusterhausen aż do chwili zajęcia jej przez nieprzyjaciela⁷. Stacja ta, emitująca codziennie „audycje o Werwolfie”, miała nadać -jako swój ostatni program -moje przemówienie, zakazujące wszelkiej działalności tej organizacji.

Późnym wieczorem spotkałem się z generałem pułkownikiem Heinricim w jego kwaterze, przesuniętej tymczasem do Dammsmuhl. Swoje przemówienie chciałem wygłosić w krótkim czasie, kiedy to radiostacja znajdzie się w obszarze operacyjnym, a tym samym będzie już podlegała nie organom państwowym, lecz wojsku. Heinrici sądził, oczywiście, że zanim skończę wystąpienie, radiostację zajmą już Rosjanie. Dlatego też zaproponował nagranie przemówienia na taśmę i zdeponowanie u niego. Zamierzał nadać je przez radio na krótko przed zajęciem radiostacji przez Rosjan. Ale nie można było znaleźć, mimo licznych wysiłków Luschena, odpowiedniej aparatury do nagrywania.

Dwa dni później Kaufmann wezwał mnie pilnie do Hamburga, ponieważ marynarka wojenna przygotowywała tam wysadzenie urządzeń portowych. Na posiedzeniu, w którym brali udział najpoważniejsi przedstawiciele przemysłu, stoczni, zarządu portu i marynarki, podjęto dzięki energicznej postawie gauleitera postanowienie o nieniszczeniu niczego⁸. Swoje rozmowy z Kaufmannem kontynuowałem w domu przy Aussenalster. Jego ochronę przejęli dobrze uzbrojeni studenci. „Najlepiej będzie”, przekonywał gauleiter, „jeżeli pozostanie pan tutaj, u nas w Hamburgu. Tu jest pan pewny. Na moich ludziach może pan w razie potrzeby polegać”. Pojechałem jednak z powrotem do Berlina i przypomniałem Goebbelsowi, że on, który wszedł do historii partii jako „zdobywca Berlina”, straci swoją sławę, jeżeli teraz zakończy życie jako ten, który zniszczył to miasto. Ta tak dziwnie brzmiąca uwaga odpowiadała ówczesnemu nastrojowi, jaki ogarnął nas wszystkich, a zwłaszcza Goebbelsa - sądził on, że popełniając samobójstwo zwiększy swoją pośmiertną sławę. Wieczorem 19 kwietnia Hitler wspominał przed omówieniem sytuacji, że wyraził zgodę na propozycję gauleitera i rzucając do walki wszystkie odwody, rozegra decydującą bitwę u wrót stolicy Rzeszy.

1 Jak relacjonował mi Saur w więzieniu w Norymberdze, Hitler miał powiedzieć w tych dniach, że Speer jest jednak najlepszy ze wszystkich.

2 Plan podziału Niemiec był znany; Holsztyn należał do strefy brytyjskiej. Sądziłem, że Anglicy zachowają się fair wobec rodzin dostojników nazistowskich; poza tym majątek leżał na obszarze podlegającym rozkazom Dónitza, do którego chciałem się udać, gdy nadeszły ostatnie dni.

3 Dr Gerhard Klopfer oświadczył pod przysięgą w lipcu 1947 r.: „Po krótkim czasie Speer kazał dr. Hupfauerowi wy badać, jak zapatruję się na jego zamiar opowiedzeniu się także publicznie po stronie dr. Brandta w procesie przeciwko niemu. Dałem więc do zrozumienia, że wyraźnie odnoszę wrażenie, iż proces wytoczony Brandtowi godzi jednocześnie w samego Spcera. Prosiłem, by Spcer przez publiczne wystąpienie w tej nadzwyczaj drażliwej sytuacji nie dał sprawcy procesu (Bormannowi) pożądanej okazji do zadania jemu samemu ewentualnie przygotowanego ciosu”.

4 Adiutant Hitlera do spraw Luftwaffe von Below wyjaśnił tę sprawę.

5 Z 950 mostów berlińskich zniszczono 84. Do tego pozytywnego rezultatu przyczyniła się niewątpliwie także postawa Heinriciego. Poza tym dwaj z moich berlińskich pracowników, Langer i Kumpf, zobowiązali się utrudniać w miarę możliwości wysadzanie mostów także podczas działań bojowych.

6 Pełny tekst tego przemówienia, napisanego 16 kwietnia 1945 r.: „Nigdy jeszcze cywilizowany naród nie został tak ciężko dotknięty, nigdy jeszcze spustoszenie i szkody wojenne nie były tak wielkie jak w naszym kraju i nigdy jeszcze żaden naród nie dźwigał ciężarów wojny z większą cierpliwością, wytrwałością i ufnością niż wy. Teraz jesteście wszyscy przybici i głęboko wstrząśnięci. Wasza miłość zamienia się w nienawiść, a wasza cierpliwość i wytrwałość w zmęczenie i obojętność.

Tak być nie może. Naród niemiecki wykazał w tej wojnie zwartą postawę, która w przyszłości wywoła podziw sprawiedliwej historii. Właśnie w tej chwili nie wolno nam popadać w żalobę i opłakiwać przeszłości. Tylko wytrwała praca pozwoli nam nadal znosić nasz los. Możemy sobie jednak pomóc, jeśli realnie i trzeźwo stwierdzimy, co w tej chwili jest konieczne.

Jest tylko jedno ważne zadanie: unikać wszystkiego, co całkowicie może zabrać narodowi niemieckiemu jego tak bardzo uszczuploną bazę życiową. Utrzymanie naszych miejsc pracy, urządzeń komunikacyjnych i wszystkich pozostałych urządzeń ważnych dla zaopatrzenia narodu jest pierwszym warunkiem zachowania naszej narodowej siły. Dlatego w tej fazie wojny należy unikać wszystkiego, co może spowodować dalsze szkody w naszej gospodarce.

Jako minister Rzeszy, odpowiedzialny za produkcję wszystkich zakładów, utrzymanie dróg, szlaków wodnych, siłowni i za przywrócenie komunikacji, rozkazuję zatem w porozumieniu z najwyższymi organami dowódczymi wojsk Wehrmachtu:

1. Wszelkie niszczenie i paraliżowanie użytkowania mostów, zakładów, obojętne jakiego rodzaju, szlaków wodnych lub urządzeń kolejowych i urządzeń łączności jest od tej chwili zabronione.

2. Wszystkie mosty należy rozminować, wszystkich innych przygotowań do zniszczeni unieruchomień należy zaniechać. W przypadku dokonanego już unieruchomienia urządzeń należy wymontowane części przenieść na powrót do zakładów.

3. Należy natychmiast podjąć lokalne kroki w celu ochrony urządzeń przemysłowych, kolejowych i łączności.

4. Zarządzenie to obowiązuje zarówno na niemieckim terytorium Rzeszy, jak i w okupowanej Norwegii, Danii, w Czechach i Morawach oraz we Włoszech.

5. Każdy, kto przeciwstawi się temu zarządzeniu, szkodzi świadomie i zdecydowanie narodowi niemieckiemu, a tym samym jest jego wrogiem. Żołnierzom Wehr-

machtu i Volkssturmu poleca się niniejszym interweniować przeciw tym wrogom narodu za pomocą wszystkich środków, w razie konieczności używając broni palnej.

Rezygnując z wysadzania przygotowanych do tego mostów, dajemy pewne korzyści naszym przeciwnikom w ich działaniach operacyjnych. Z tego też względu, a jeszcze bardziej w imię zasad humanitarnego prowadzenia wojny, wzywamy naszych przeciwników do przerwania ataków powietrznych na niemieckie miasta i wsie, nawet gdy znajdują się w nich ważne urządzenia służące celom wojennym. Z naszej strony musimy dbać o właściwe przekazywanie okrażonych ze wszystkich stron miast i miejscowości. Miasta nie mające większych możliwości obronnych należy ogłosić miastami otwartymi.

Aby uniknąć w tej fazie wojny niesprawiedliwości i ciężkich wykroczeń, zarządza się niniejszym w interesie narodu niemieckiego:

1. Jeńcy wojenni oraz robotnicy cudzoziemcy pozostają w miejscu swej pracy. O ile już są w drodze, należy ich kierować ku ojczyźnie.

2. W obozach koncentracyjnych należy oddzielić więźniów politycznych, w tym także Żydów, od elementów społecznych. Pierwszych należy w obozie przekazać nietkniętych wkraczającym wojskom.

3. Wykonywanie kar na wszystkich więźniach politycznych, łącznie z Żydami, należy na razie przerwać.

4. Udział Volkssturmu w akcjach przeciw wrogowi jest dobrowolny. Poza tym Volkssturm zobowiązany jest dbać o spokój i porządek w kraju. Także członkowie NSDAP mają aż do czasu okupacji obowiązek uczestniczenia w zadaniach Volkssturmu, aby w ten sposób pokazać, że do końca chcą służyć narodowi.

5. Należy natychmiast przerwać działalność „Werwolfu” i podobnych organizacji. Daje ona nieprzyjacielowi uzasadniony powód do represji oraz pogarsza poza tym warunki niezbędne do zachowania siły narodu.

Porządek i wypełnianie obowiązku jest istotnym warunkiem przetrwania narodu niemieckiego.

Spustoszenia, jakie ta wojna przyniosła Niemcom, dadzą się porównać ze spustoszeniami spowodowanymi podczas wojny trzydziestoletniej. Straty ludności wskutek głodu i chorób w żadnym jednak wypadku nie powinny sięgać ówczesnych rozmiarów. Wyłącznie od nieprzyjaciela zależy, w jakim stopniu uzna on godność narodu niemieckiego i przyzna mu prawa wprawdzie zwyciężonego, lecz bohatersko walczącego przeciwnika, by także sam zwycięzca mógł wejść do historii jako wielkoduszny i szlachetny.

Ale także wy, każdy w swoim zakresie, możecie się przyczynić do uchronienia narodu przed najcięższymi stratami. Musicie w tym celu intensywnie mobilizować w najbliższych miesiącach swą twórczą wolę, z jaką wy, niemieccy robotnicy i niemieccy kierownicy zakładów, i wy, niemieccy kolejarze, ciągle próbowaliście usunąć skutki ataków powietrznych. Minąć musi zrozumiwały letarg, w jaki zapadł w ostatnich miesiącach naród wskutek paralizującego strachu i bezmiernego rozczarowania. Bóg pomoże tylko temu narodowi, który w rozpaczliwej sytuacji sam się nie podda.

Na najbliższą przyszłość daję wam, także w odniesieniu do okupowanych już terenów, następujące wytyczne:

1. Najważniejsze jest usunięcie szkód w urządzeniach Kolei Rzeszy. A zatem jeżeli tylko przeciwnik pozwoli lub rozkaże, należy prowadzić tę odbudowę używając wszystkich środków, także najprymitywniejszych narzędzi. Komunikacja bowiem umożliwi wyżywienie ludzi na wielkich obszarach, na których w przeciwnym razie ludność wydana zostanie na pastwę głodu. Także tylko dzięki prowizorycznie chociażby

uruchomionej sieci komunikacyjnej możecie kiedyś dotrzeć znowu do waszych rodzin. W interesie więc każdego leży wspieranie wszelkimi środkami przywracania komunikacji.

2. Przemysł i rzemiosło, które zdobyły się w tej wojnie na niezrównane osiągnięcia, są zobowiązane jak najszybciej realizować każde zamówienie służące rekonstrukcji urządzeń kolejowych i dawać im pierwszeństwo przed innymi otrzymanymi zamówieniami.

3. W ciągu sześciu lat wojny chłop niemiecki utrzymał dyscyplinę i wzorowo dostawiał swe produkty według istniejących zarządzeń. W nadchodzącym czasie każdy chłop niemiecki musi podnieść te dostawy do maksimum. Oczywiście jest, że z jak największą starannością wykonywał on będzie też prace przy tegorocznych żniwach. Wie bowiem, jak ą odpowiedzialność ponosi przed całym narodem niemieckim.

4. Artykuły spożywcze trzeba przewozić przed wszystkimi innymi. Zakładom przemysłu spożywczego należy w pierwszej kolejności dostarczać prądu, gazu i węgla lub drzewa.

5. Urzędy nie mogą się rozpaść. Całkowicie odpowiedzialni za to są szefowie urzędów. Każdy, kto opuści miejsce pracy bez zezwolenia swego przełożonego, popełnia przestępstwo wobec narodu. Także administracja jest konieczna, by uchronić naród niemiecki przed chaosem.

Jeśli pracować będziemy z taką samą wytrwałością, jak w ostatnich latach, da się utrzymać egzystencję narodu niemieckiego bez dalszych wielkich strat. Za dwa do trzech miesięcy komunikacja znowu może funkcjonować w dostatecznym zakresie. Według naszych wyliczeń na terenach leżących na zachód od Odry da się zapewnić wyżywienie, chociaż jak najskromniejsze, do zakończenia następnych żniw. Nie można jeszcze ocenić, czy zezwolą na to nasi przeciwnicy. Mamy jednak obowiązek aż do ostatniej chwili poświęcać swe siły utrzymaniu egzystencji naszego narodu.

Kłęski wojenne, jakie spadły na Niemcy w ostatnich miesiącach, są wstrząsające. Nie od nas już zależy, jak potoczą się nasze losy. Tylko opatrność może zmienić naszą przyszłość. Ale my sami możemy się do tego przyczynić, jeśli zdecydowanie i pilnie będziemy wykonywać swą pracę, jeśli godnie zachowamy się wobec przeciwnika, jeśli jednak staniemy się skromniejsi i samokrytyczni i jeśli niewzruszenie będziemy wierzyć w przyszłość naszego narodu, który istniał będzie zawsze i wiecznie.

Niech Bóg ma Niemcy w swojej opiece".

7 List brzmiał: „16 kwietnia 1945 r. Drogi Panie Fischer, ponieważ linie łączności zostaną wkrótce przerwane, muszę m.in. w związku z zasadniczymi dyrektywami - nakazującymi unieruchamianie zamiast niszczenia itd. - wykorzystać radiostacje. Jest Pan osobiście odpowiedzialny za to, by dostawy prądu trwały do ostatniego momentu, łącznie z radiostacją „Werwolfu" w Königswusterhausen. Wyłączenie prądu jest dopuszczalne tylko w wyniku podjętej przez Pana osobiście decyzji, po upewnieniu się na podstawie audycji, że radiostacja jest już w rękach wroga. Serdecznie pozdrawiam, Speer".

8 Następnie pojechałem do naczelnego dowódcy Grupy Armii, feldmarszałka Buscha, który zgodził się, by nawet w czasie trwania działań bojowych oddano w Hamburgu nie zniszczone mosty na Łabie. Obiecał mi jednocześnie, że nie wykorzysta jako punktu oporu elektrowni torfowej Wiesmoor w Emsland (15 tyś. k W). Miała ona duże znaczenie dla prowizorycznego zaopatrywania Hamburga, ponieważ w najbliższej przyszłości nie można było liczyć ani na transporty węgla, ani na zaopatrzenie w prąd z innych części kraju.

Rozdział 32

UNICESTWIENIE

W ostatnich tygodniach swego życia Hitler, jak mi się wydawało, otrząsnął się z odrętwienia, jakie opanowało go w poprzednich latach. Stał się znów bardziej przystępny i tolerował od czasu do czasu dyskusje nad swymi decyzjami. Jeszcze zimą 1944 roku nie do pomyślenia było, aby wdał się ze mną w rozważania na temat wyników wojny. Nie sposób też wyobrazić sobie w owym czasie jego ustepliwości w sprawie rozkazu dotyczącego „spalanej ziemi”, jak również dokonania bez jednego słowa korektury mojego wystąpienia radiowego. Teraz można było przedstawiać mu znów argumenty, których jeszcze przed rokiem nie chciał nawet słuchać. Nie oznaczało to oczywiście zmiany jego przekonań, obecnie sprawiał raczej wrażenie człowieka, którego dzieło życia zostało zniszczone i który idzie nadal tą samą drogą jedynie dzięki nagromadzonej energii; w rzeczywistości jednak wypuścił wszystko z ręki i był zrezygnowany.

Wydawał się jak gdyby oderwany od rzeczywistości. A może taki był zawsze. Sięgając myślą wstecz, zadaję sobie czasem pytanie, czy ta nierealność nie cechowała go począwszy od jego wczesnej młodości aż do gwałtownej śmierci. Wydawało mi się, w konsekwencji, że tym łatwiej skłaniał się do stosowania przemocy; nie przeciwstawiało się tej skłonności żadne ludzkie uczucie. Nikomu nie udało się poznać bliżej jego osobowości właśnie dlatego, że był martwy, pusty.

Teraz mieliśmy do czynienia z bezosobowością starca. Drżały mu ręce, chodził pochylony, powłócząc nogami; również jego głos stał się niepewny, stracił dawną stanowczość; mówił bezdźwięcznie, zacinając się. Gdy się podniecił, z jego krtani, jak to się często starcom zdarza, wydobywał się niemal jakiś bełkot. Ciągle jeszcze był uparty, co teraz przypominało nie upór dziecka, lecz raczej starego człowieka. Twarz

miał bladą, obrzękłą, mundur, zawsze wyglądający nienagannie czysto, w tym ostatnim okresie był zaniedbany i poplamiony wskutek drżenia rąk przy spożywaniu posiłków.

Stan ten niewątpliwie napawał niepokojem otoczenie Hitlera, które towarzyszyło mu w drodze do największych osiągnięć jego życia. Również i mnie stale groziło, że ulegnę temu w pewnym sensie wruszającemu kontrastowi z przeszłością. Być może dlatego przysłuchiowano się w milczeniu, kiedy w sytuacjach od dawna beznadziejnych wciąż jeszcze wprowadzał do akcji dywizje, które już nie istniały, i wydawał rozkazy w sprawie transportu samolotami, które nie mogły startować z powodu braku materiałów pędnych. Z tych też pewnie względów nie reagowano, gdy w toku takich dyskusji coraz częściej odrywał się od rzeczywistości i przenosił w swój świat fantazji, gdy mówił o rozbieżnościach, jakie muszą powstać między Wschodem a Zachodem, gdy wprost zaklinał się, że pozostanie nieugięty. Chociaż jego otoczenie z pewnością dostrzegało nierealność tych wyobrażeń, mimo to - na skutek sugestywnego powtarzania - w dalszym ciągu dawało się odczuć jego fascynujące oddziaływanie, gdy na przykład przekonywał, że tylko on jest w stanie, swoją osobowością i siłą, wspólnie z Zachodem pokonać bolszewizm; brzmiało wiarygodnie, gdy zapewniał, że tylko dla tego celu jeszcze się angażuje, że osobiście zyczyłby sobie ostatniej godziny. Właśnie spokój, z jakim oczekiwał na zbliżający się koniec, wzmagął współczucie i szacunek dla niego.

Do tego wszystkiego dochodził fakt, że stał się znów bardziej uprzejmy i bezpośredni. W niejednym przypomniał mi tego Hitlera, którego poznałem na początku naszej współpracy przed dwunastu laty i którego był teraz tylko cieniem. Darzył sympatią niewiele kobiet spośród znajdujących się od lat w jego otoczeniu. Szczególną życzliwością cieszyła się od dawna pani Junge, wdowa po poległym kamerdynerze, obdarzał również względami pochodzącą z Wiednia kucharkę dietetyczkę, do prywatnego grona w ostatnich tygodniach jego życia należały ponadto długoletnie sekretarki, pani Wolf i pani Christian. Z nimi najczęściej spożywał od miesięcy swe posiłki i pił herbatę, mężczyźni w owym czasie nie stanowili w zasadzie jego najbliższego otoczenia. Ja także nie miałem od dawna możliwości towarzyszyć mu przy stole. Poza tym przybycie Ewy Braun pociągnęło za sobą pewne korekty w codziennych zwyczajach, nie powodując jednak zmiany dotychczasowego beztroskiego stosunku Hitlera do pozostałych kobiet. Kierował się prawdopodobnie nieskomplikowanym wyobrażeniem o wierności, zgodnie z którym kobiety w nieszczęściu bardziej jej

dochowują aniżeli mężczyźni jego sztabu; w wierność tych ostatnich powątpiewał. Wyjątek czynił wyraźnie w stosunku do Bormanna, Goebbelsa i Leya, których uważał za pewnych.

U boku tego Hitlera, który był teraz własnym cieniem, automatycznie funkcjonował nadal mechanizm rozkazodawczy. I tutaj prawdopodobnie działała jeszcze siła bezwładności, mimo że inicjator nie przejawiał dawnej energii. Ten automatyzm postępowania, jak sądziłem, nakazywał również generalicji iść dalej utartymi ścieżkami, nawet w tym ostatnim stadium, kiedy nie oddziaływała już tak silnie promieniująca wola Hitlera. Keitel na przykład żądał zniszczenia mostów nawet jeszcze wówczas, gdy zrezygnowany Hitler chciał już je pozostawić nietknięte.

Hitler musiał zapewne dostrzec, że w jego otoczeniu rozluźniła się dyscyplina. Kiedy dawniej wchodził do jakiegoś pomieszczenia, wszyscy obecni wstawali i czekali, aż zajął miejsce. Teraz zdarzało się, że kontynuowano rozmowy siedząc, że w jego obecności kamerdynerzy rozmawiali z gośćmi, że podchmieleni współpracownicy zasypiali w fotelach, a inni głośno i bez przerwy rozprawiali. Być może nie chciał tego dostrzegać. Na mnie takie sceny działały jak zły sen. Towarzyszyły im zmiany dokonujące się od kilku miesięcy w mieszkaniu kanclerza: usunięto gobeliny, zdjęto ze ścian obrazy, zwinięto dywany i zabezpieczono je wraz z wartościowymi meblami w schronie. Wyblakłe miejsca na ścianach, braki w umeblowaniu, leżące wokół gazety, puste szklanki i talerze po spożytych posiłkach, wreszcie kapelus, który ktoś rzucił na krzesło - wszystko to wskazywało, że odbywa się tu przeprowadzka. Hitler już dość dawno opuścił górne pomieszczenia; uskarżał się, że ciągle naloty lotnicze zakłócają mu sen i przeszkadzają w pracy. W schronie mógł przynajmniej się wyspać. Urządził więc swoje życie pod ziemią.

Wydawało mi się zawsze, że ta ucieczka do przyszłego grobowca miała również znaczenie symboliczne. Życie w schronie, zewsząd otoczonym betonem i ziemią, przypieczętowało ostatecznie izolację Hitlera od tragedii rozgrywającej się na zewnątrz, pod gołym niebem. Ze światem zewnętrznym nie miał już teraz żadnych kontaktów. Jeżeli mówił o końcu, to o własnym, a nie narodu. Dotarł do ostatniego przystanku swej ucieczki od rzeczywistości, rzeczywistości, której już od młodych lat nie chciał uznawać. Dawniej ten nierealny świat nazywałem „wyspą szczęśliwych”.

W tym ostatnim okresie życia Hitlera, w kwietniu 1945 roku, siadywałem jeszcze z nim czasem w schronie, pochylony nad planami

zabudowy Linzu, w milczeniu oddając się dawnym marzeniom. Jego gabinet o pięciometrowej grubości stropie, przykrytym dwumetrową warstwą ziemi, był bez wątpienia najbardziej bezpiecznym miejscem w Berlinie. Gdy wybuchały w pobliżu ciężkie bomby, cała ta masa betonu chwiała się; było to następstwem łatwego rozprzestrzeniania się fal eksplozji w berlińskim piasku. Wówczas Hitler drżał siedząc w swym fotelu. Oto co stało się z dawnym, nieustraszonym starszym szeregowcem pierwszej wojny światowej! Wrak, kłębek nerwów, który nie mógł już ukryć swoich reakcji.

Ostatnich urodzin Hitlera właściwie nie świętowano. Cisza panowała tam, gdzie dawniej w takim dniu podjeżdżały liczne samochody, warta honorowa prezentowała broń, dostojnicy Rzeszy i goście zagraniczni składali życzenia. Hitler przeszedł wszakże ze schronu do górnych pomieszczeń; ich zaniedbanie stwarzało odpowiednią oprawę dla jego godnego pożałowania stanu. Przedstawiono mu w ogrodzie delegację Hitlerjugend, która wyróżniła się w walce; Hitler powiedział kilka słów, obejmując kolejno członków delegacji. Jego głos był cichy. Szybko zakończył to spotkanie. Sądził zapewne, że nie jest już w stanie przekonywać, że okazuje mu się raczej współczucie. Wielu uniknęło kłopotu związanego z gratulacjami w ten sposób, że jak zwykle przybyło na omówienie sytuacji. Nikt nie wiedział, co właściwie ma powiedzieć. Hitler przyjmował życzenia stosownie do okoliczności, chłodno i jakby wzbraniając się.

Wkrótce potem staliśmy, jak to często bywało, w ciasnym pomieszczeniu schronu wokół stołu sytuacyjnego. Naprzeciw Hitlera zajął miejsce Goring. On, który zawsze przywiązywał dużą wagę do zewnętrznego wyglądu, zmienił wyraźnie w ostatnich dniach swoje umundurowanie. Srebrnoszary materiał munduru zastąpiło, ku naszemu zdziwieniu, sukno koloru khaki, z jakiego robiono mundury amerykańskie. Jednocześnie zamiast swoich dotychczasowych naramienników pięciocentymetrowej szerokości, wyplatanych złotem, nosił teraz sporządzone ze zwykłej materii, na której wyhaftowana była oznaka jego stopnia - złoty orzeł marszałka Rzeszy. „Wygląda jak amerykański generał”, szepnął mi jeden z uczestników posiedzenia. Ale Hitler zdawał się nie dostrzegać tej zmiany.

W czasie omawiania sytuacji zastanawiano się nad zbliżającym się szturmem na centralne dzielnice Berlina. W ciągu nocy Hitler zrezygnował z koncepcji poprzedniego wieczora, aby nie bronić me-

tropolii i wycofać się do twierdzy alpejskiej, i podjął decyzję walki o Berlin na jego ulicach. Od razu zaczęto go nagabywać, że nie tylko jest celowe, ale że nadszedł już ostatni moment przeniesienia kwatery głównej na południe, do Obersalzbergu. Goring zwracał uwagę, że mamy jeszcze jedno jedyne połączenie z północy na południe poprzez Las Bawarski i że ostatnia droga ucieczki do Berchtesgaden może być w każdej chwili odcięta. Hitler denerwował się, że właśnie teraz spotyka się z żądaniem opuszczenia Berlina: „W jaki sposób zdołam poderwać wojska do decydującej bitwy o Berlin, jeżeli sam w tym czasie znajdę się w bezpiecznym miejscu”. Naprzeciw siedział w swym mundurze Goring, blady, spocony, z szeroko otwartymi oczyma, a Hitler mówił z coraz większym ożywieniem: „Pozostawiam to losowi, czy umrę w stolicy, czy też jeszcze w ostatnim momencie polecę do Obersalzbergu!”

Zaledwie skończyło się omawianie sytuacji i odeszli generałowie, gdy zmieszany Goring zwrócił się do Hitlera mówiąc, że ma do załatwienia w Niemczech południowych pilne sprawy i musi jeszcze tej samej nocy opuścić Berlin. Hitler patrzył na niego obojętnie. Wydawało mi się, że w tym momencie był przejęty jedynie własną decyzją pozostania w Berlinie i rzucenia na szalę swego życia. Wypowiedział kilka utartych słów, podał Goringowi rękę, nie dając mu poznać, że go przejrzał. Stałem oddalony od nich o kilka kroków i miałem uczucie, że jestem świadkiem historycznej chwili: rozpadało się kierownictwo Rzeszy. Tak zakończył się dzień urodzin.

Razem z pozostałymi uczestnikami konferencji opuściłem pomieszczenie w nieoficjalny jak zwykle sposób, bez osobistego pożegnania się z Hitlerem. Jeszcze tej samej nocy, wbrew naszym uprzednim ustaleniom, podpułkownik von Poser wezwał mnie, abym również przygotował się do wyjazdu. Armia Radziecka przystąpiła do ostatecznego szturmu na Berlin i posuwała się szybko naprzód. Już kilka dni wcześniej przygotowano wszystko do naszej ucieczki; cenniejsze bagaże wysłano do Hamburga, podstawiono dwa kolejowe wagony mieszkalne w okolicy jeziora Eutiner, w pobliżu kwatery Donitza w Plon.

W Hamburgu odwiedziłem jeszcze raz gauleitera Kaufmanna. Jak się zorientowałem, i on nie mógł zrozumieć, dlaczego w istniejącej sytuacji nadal ma się prowadzić walkę za wszelką cenę. Zachęcony tym dałem mu do przeczytania projekt wystąpienia, które napisałem przed tygodniem, siedząc na pniu drzewa w Schorfheide; nie byłem pewny, jak to przyjmie. „Powinien pan wygłosić przemówienie”, oświadczył. „Dlaczego dotychczas nie uczynił pan tego?” Kiedy przedstawiłem mu trudności, zaproponował: „Czy nie zechciałby pan skorzystać z naszej

radiostacji hamburskiej? Ręczę za jej kierownika technicznego. Może pan przynajmniej nagrać przemówienie na płytę w naszym radiu"¹.

W nocy Kaufmann zaprowadził mnie do schronu, w którym mieściło się techniczne kierownictwo hamburskiej rozgłośni. Idąc pustymi pomieszczeniami, weszliśmy do mniejszego studia nagrań, gdzie przedstawiono mi dwóch techników, uprzedzonych już prawdopodobnie o moim zamiarze. Za parę minut będę zdany na łaskę tych obcych ludzi, pomyślałem. Chcąc się zabezpieczyć, a jednocześnie uczynić ich moimi współnikami, zakomunikowałem im przed nagraniem przemówienia, że będą mogli potem sami zdecydować, czy zgadzają się z jego treścią, czy też należy zniszczyć płytę. Następnie zająłem miejsce przed mikrofonem i odczytałem przemówienie z rękopisu. Technicy milczeli; może przerazili się, a może właśnie przekonani o słuszności tego, co przed chwilą usłyszeli, sami nie mieli odwagi wyrazić sprzeciwu: w każdym razie nie wysuwali żadnych zastrzeżeń.

Płyty zabrał na przechowanie Kaufmann. Przedstawiłem mu warunki, w jakich sam, bez mojej zgody, będzie mógł nadać to wystąpienie przez radio. Były one charakterystyczne dla uczuć, jakie nurtowały mnie w owych dniach: gdybym został zamordowany z polecenia jakichkolwiek politycznych przeciwników, do których zaliczałem przede wszystkim Bormanna; gdyby Hitler dowiedział się o moich zamiarach i skazał mnie na śmierć; gdyby Hitler nie żył, a jego następcą kontynuował desperacką politykę niszczenia.

Ponieważ generał pułkownik Heinrici nie zamierzał bronić Berlina, należało w ciągu paru dni liczyć się ze zdobyciem miasta i zakończeniem wojny. Jak opowiadali mi podczas mojej ostatniej wizyty w Berlinie generał SS Berger i Ewa Braun, Hitler już 22 kwietnia chciał odebrać sobie życie. Tymczasem jednak Heinrici zastąpiony został przez dowódcę oddziałów spadochronowych, generała Studenta, którego Hitler zaliczał do najbardziej energicznych oficerów i chciał na nim się oprzeć w obecnej sytuacji, tym chętniej że uważał go za człowieka mechanicznie wykonującego rozkazy. A jedynie to dodawało jeszcze fuhrerowi odwagi. Jednocześnie Keitel i Jodl otrzymali rozkaz użycia wszystkich będących w dyspozycji dywizji do obrony Berlina.

Ja w tym czasie nie miałem żadnych zadań, nie istniał już przecież przemysł zbrojeniowy. Błąkałem się nieustannie, ogarnięty gwałtownym wewnętrznym niepokojem. Nie mając żadnego celu, zdecydowałem się odwiedzić w nocy majątek ziemski w okolicy

Wilsnack, gdzie ze swoją rodziną spędziłem wiele weekendów. Spotkałem tam współpracownika doktora Brandta; opowiadał mi, że lekarz Hitlera więziony jest w jednej z willi na zachodnim przedmieściu Berlina. Opisał mi to miejsce, podał numer telefonu i poinformował, że istnieją możliwości porozumienia się ze strażnikami SS. Zastanawialiśmy się, czy w chaosie, jaki niewątpliwie musi teraz panować w Berlinie, będę mógł uwolnić Brandta. Ponadto chciałem jeszcze raz zobaczyć Liis-chena. Zamierzałem namówić go, aby uciekł przed Rosjanami na zachód.

Wszystko to spowodowało, że podjąłem decyzję udania się po raz ostatni do Berlina. Jeszcze silniej niż te przyczyny działał magnes Hitlera. Chciałem go ostatni raz zobaczyć, pożegnać się z nim. Doznawałem bowiem uczucia, jakbym dwa dni temu wymknął się od niego ukradkiem. Czy taki miał być koniec naszej długoletniej współpracy? Przez wiele dni, miesiąc za miesiącem, przesiadywaliśmy nad wspólnymi planami niemal jak koledzy. Przez wiele lat przyjmował moją rodzinę i mnie w Obersalzbergu i był uprzejmym, często troskliwym gospodarzem. Przemóżna chęć zobaczenia go raz jeszcze była świadectwem rozdwojenia moich uczuć. Rozsądek bowiem przemawiał za tym, chociaż było już o wiele za późno, aby Hitler możliwie jak najszybciej zakończył życie. Wszelkie też przedsięwzięcia, jakie podejmowałem w ostatnich miesiącach przeciwko niemu, podyktowane były dążeniem do przeszkodzenia dokonywanej przez niego zagładzie narodu. Co mogło lepiej świadczyć o sprzeczności naszych poglądów niż moje przemówienie, nagrane na płytę w dniu poprzednim, i niecierpliwe oczekiwanie na jego śmierć; ale właśnie i w tym wypadku odezwało się moje uczuciowe przywiązanie do Hitlera: chciałem wygłosić przemówienie dopiero po jego śmierci, by zaoszczędzić mu świadomości, że również i ja wystąpiłem przeciwko niemu. Coraz silniej ogarniało mnie współczucie dla człowieka stojącego przed upadkiem. Być może w tych ostatnich dniach podobne uczucia podzielało wielu członków jego świty. Wypełnianie obowiązków, przysięga, więzy wierności i wdzięczności łączyły się z rozgoryczeniem, osobistym bólem i poczuciem narodowego nieszczęścia; jedno i drugie spowodowała ta sama osoba: Hitler.

Do dziś rad jestem, że udało mi się ostatni raz zobaczyć Hitlera. Wypadało po dwunastu latach współpracy mimo wszystkich różnic uczynić ten gest. Wtedy oczywiście, gdy udawałem się w podróż z Wilsnacku, kierował mną jakby mechaniczny przymus. Przed odjazdem napisałem do żony kilka słów, które miały podtrzymać ją na duchu

i jednocześnie dać jej do zrozumienia, że nie zamierzam wcale pójść razem z Hitlerem na śmierć. Około 90 kilometrów przed Berlinem potok zżdżających w kierunku Hamburga pojazdów zakorkował całą drogę: najstarsze modele i luksusowe samochody, ciężarówki i wozy dostawcze, motocykle, a nawet motopompy berlińskiej straży ogniowej. Było niemożliwe przedrzeć się do Berlina przez te dziesiątki tysięcy pojazdów. Zastanawiałem się, skąd wzięły się materiały pędne. Prawdopodobnie gromadzono je od miesięcy na tę jedyną okazję.

W Kyritz znajdował się sztab dywizji. Zadzwoiłem stąd do willi w Berlinie, w której siedział uwięziony dr Brandt, oczekując na wykonanie wyroku śmierci. Ale na specjalny rozkaz Himmlera przeniesiono go w dobrze strzeżone miejsce na północy Niemiec. Nie mogłem również skontaktować się z Luschenem. Nie zmieniłem jednak decyzji i zapowiedziałem jednemu z adiutantów Hitlera, że być może tego samego popołudnia złożę fuhrerowi wizytę. W sztabie dywizji dowiedzieliśmy się, że radzieckie wojska szybko prą do przodu, lecz nie należy się spodziewać rychłego okrążenia Berlina; lotnisko Gatow nad brzegiem Haweli pozostanie prawdopodobnie jeszcze jakiś czas w posiadaniu naszych jednostek. Dlatego też udaliśmy się na duży poligon doświadczalny Rechlin w Meklemburgii; znano mnie tutaj dobrze z wielu pokazów i mogłem liczyć na oddanie do mojej dyspozycji samolotu. Startowały stąd myśliwce do ataku z lotu koszącego na radzieckie oddziały znajdujące się na południe od Poczdamu. Dowódca jednostki lotniczej chciał mnie przetransportować do Gatow szkolnym samolotem myśliwskim. Przygotowano też dwa „Storchy”, jedno-motorowe samoloty rozpoznawcze o niewielkiej szybkości lądowania, którymi ja i mój oficer łącznikowy mieliśmy odbywać przeloty w obrębie Berlina i drogę powrotną. Podczas gdy przygotowywano maszyny do startu, studiowałem w sztabie naniesione na mapę położenie radzieckich wojsk okrążających.

Pod ochroną eskadry myśliwców, w sprzyjających warunkach atmosferycznych lecieliśmy na południe na wysokości około tysiąca metrów, w odległości kilku kilometrów od strefy walki. Oglądana z góry bitwa o stolicę Rzeszy przedstawiała się niezbyt groźnie. Po stu pięćdziesięciu prawie latach Berlin miał być jeszcze raz zdobyty przez wojska nieprzyjacielskie, a dokonywało się to w dziwnie spokojnie wyglądającej okolicy, gdzie drogi, wioski i małe miasteczka znałem z licznych podróży. Można było dostrzec jedynie niepozorne, krótkie błyski wystrzałów artyleryjskich lub wybuchów, nie większe niż przy zapalaniu zapałki, oraz ogarnięte płomieniami, powoli zapadające się

zabudowania. Natomiast na wschodnich granicach Berlina, daleko we mgle, widziało się większe kłęby dymu. Warkot silnika zagłuszał dalekie odgłosy walki.

Eskadra myśliwców poleciała dalej, by wykonać swoje zadania bojowe na południe od Poczdamu, a my wylądowaliśmy w Gatow, Lotnisko było prawie puste. Tylko generał Christian, należący jako współpracownik Jodla do ścisłego sztabu Hitlera, przygotowywał się właśnie do odlotu. Zamieniliśmy kilka banalnych słów. Potem wsiałem wraz z towarzyszącymi mi osobami do dwóch przygotowanych „Storchów” - chociaż mogliśmy z powodzeniem pojechać samochodem - i odważając się na podniecającą przygodę, poleciliśmy na niskim pułapie tą samą osią wschód-zachód, którą przejechałem wspólnie z Hitlerem w przeddzień jego pięćdziesiątej rocznicy urodzin. Ku przerażeniu pasażerów nielicznych samochodów wylądowaliśmy na szerokiej ulicy niedaleko Bramy Brandenburskiej, zatrzymaliśmy samochód Wehrmachtu i kazaliśmy się zawieźć do Kancelarii Rzeszy, Tymczasem nadeszło późne popołudnie, albowiem na pokonanie 150 kilometrów, dzielących Wilsnack od Berlina, potrzebowaliśmy około dziesięciu godzin.

Nie byłem pewny, czy spotkanie z Hitlerem nie pociągnie za sobą ryzyka; nie wiedziałem, czy podczas tych dwóch dni nie zmienił on zdania. Ale w pewnym sensie było mi już wszystko jedno. Miałem nadzieję, że przygoda skończy się dobrze, byłem również przygotowany na najgorsze.

Kancelaria Rzeszy, którą budowałem przed siedmiu laty, znajdowała się już pod ogniem ciężkich dział radzieckich, ale w tym czasie trafienia zdarzały się jeszcze rzadko. Ich skutki wydawały się nieznaczne w porównaniu ze zniszczeniami, jakie w ostatnich tygodniach spowodowały tu dzienne naloty amerykańskie. Brnąc przez kłębowiska spalonych belek, pokonując zwalone stropy, dotarłem do pokoju, w którym przed kilkoma laty prowadziliśmy nasze długie wieczorne rozmowy, gdzie obradował Bismarck i gdzie teraz adiutant Hitlera, Schaub, pił koniak z kilkoma na ogół nie znanymi mi osobami. Mimo iż telefonowałem, nie oczekiwano mnie i wyrażono zdziwienie, że powróciłem. Schaub przywitał się ze mną serdecznie, co mnie uspokoiło, bo wyciągnąłem z tego wniosek, że nie wiedzą tu jeszcze o nagraniu mojego przemówienia w Hamburgu. Potem adiutant opuścił nas, chcąc zameldować o moim przybyciu. W międzyczasie poleciłem podpułkownikowi von Poserowi, aby wykorzystując miejscową centralę telefoniczną odnalazł Luschna i wezwał go do Kancelarii Rzeszy.

Powrócił adiutant Hitlera: „Führer chciałby z panem rozmawiać”. Jakże często w ciągu ubiegłych dwunastu lat wypowiedziano tę stereotypową formułę, gdy proszono mnie do Hitlera! Ale nie o tym myślałem, schodząc około pięćdziesięciu stopni w dół. Zastanawiałem się raczej, czy jeszcze wyjdę cały z powrotem na górę. Pierwszą osobą, jaką spotkałem na dole, był Bormann. Wyszedł mi naprzeciw i przywitał mnie tak niezwykle uprzejmie, że mogłem się poczuć pewniej. Po zachowaniu Bormanna albo Schauba można było zawsze wywnioskować, w jakim nastroju znajduje się Hitler. Bormann powiedział skromnie: „Gdy będzie pan rozmawiał z fuhrerem... zapyta zapewne, czy powinniśmy zostać w Berlinie, czy też polecieć do Berchtesgaden; najwyższy już przecież czas, aby przejął dowództwo w Niemczech południowych... Są to ostatnie godziny, kiedy jest to jeszcze możliwe... Nakłoni go pan przecież do odlotu?” Jeżeli ktoś w schronie obawiał się o swoje życie, to przede wszystkim Bormann, który jeszcze przed trzema tygodniami wzywał funkcjonariuszy partii do przewyciężenia wszelkich słabości i rzucał hasło: zwycięstwo albo śmierć.

2. Odpowiedziałem mu wymijająco i doznałem uczucia spóźnionego triumfu nad tym niemal błagającym człowiekiem.

Następnie zaprowadzono mnie do pokoju Hitlera w schronie. Mój widok nie wywarł na nim takiego wrażenia, jak to miało miejsce jeszcze przed kilkoma tygodniami, gdy przyrzekałem mu wierność. Nie okazał w ogóle żadnego wzruszenia. Miałem znów uczucie, że wieje z niego pustka, że jest bez życia. Przybrał kupiecką minę, za którą mogło się kryć wszystko, zapytywał, jakie też wrażenie wywarł na mnie styl pracy Donitza. Byłem całkowicie przekonany, że jego zainteresowanie nie dotyczy samej osoby Donitza, lecz problemu następcy Hitlera. Jeszcze dzisiaj sędzę, że z tą smutną spuścizną, która miała mu niespodziewanie przypaść, Donitz poradził sobie mądrzej, bardziej godnie i przezornie, niż uczyniłby to Bormann lub Himmler. Podzieliłem się z Hitlerem swoimi pozytywnymi spostrzeżeniami, upiększając niekiedy relację szczegółami, które musiały przypaść mu do gustu. Ale pomny dawnych doświadczeń, nie próbowałem opowiadać się za Donitzem, gdyż mogłem wywołać przeciwny zamierzonemu skutek.

Hitler zapytał mnie wprost: „Jak pan sądzi? Czy mam pozostać tutaj, czy też polecieć do Berchtesgaden? Jodl powiedział mi, że jeszcze do jutra jest na to czas”. Nie namyślając się, poradziłem mu, aby

pozostał w Berlinie. Cóż chciałby jeszcze robić w Obersalzbergu? Gdy padnie Berlin, walka i tak się już skończy. „Myślę, że będzie lepiej, jeżeli dokona pan swojego życia jako fuhrer - skoro tak już być musi - tutaj w stolicy, a nie w swym domu weekendowym”. Znow byłem przejęty. Uważałem to wówczas za dobrą radę; była jednak zła, bo jego odlot do Obersalzbergu skróciłby prawdopodobnie o jeden tydzień bitwę o Berlin.

Tego dnia Hitler nie twierdził, że nadchodzi zmiana na lepsze, że istnieją jeszcze nadzieje. Apatyczny, zmęczony zaczął mówić o swej śmierci, jakby o czymś oczywistym: „Zdecydowałem się pozostać tutaj. Chciałem tylko usłyszeć raz jeszcze pańskie zdanie”. I bez jakiegokolwiek podniecenia kontynuował: „Nie będę walczył. Zbyt duże istnieje niebezpieczeństwo, że zostanę tylko ranny i wpadnę żywy w ręce Rosjan. Nie chciałbym również dopuścić, ażeby nieprzyjaciele zbeczczęścili moje zwłoki. Zarządziłem, aby je spalono. Panna Braun chce razem ze mną pozbawić się życia, a przedtem zastrzele Blondiego. Proszę mi wierzyć, panie Speer, że rozstanie z życiem przychodzi mi łatwo. Tylko chwila i uwolnię się od wszystkiego, od tego pełnego udręki żywota”. Miałem uczucie, że rozmawiam już z martwym. Atmosfera stawała się coraz bardziej dramatyczna, tragedia zbliżała się do końca.

W ostatnich miesiącach nienawidziłem go niekiedy, zwalczałem, oszukiwałem i okłamywałem, ale w tym momencie ogarnęło mnie zażenowanie i wzruszenie.

Speszony przyznałem się, ku mojemu własnemu przerażeniu, że nie zrealizowałem żadnych zniszczeń, a nawet uniemożliwiłem ich dokonywanie. Na chwilę jego oczy zaszyły łzami. Ale nie reagował. Nie interesował się już teraz tak ważnymi jeszcze kilka tygodni temu sprawami. Nieprzytomnie wpatrywał się we mnie, gdy ociągając się zaproponowałem mu, że zostaną w Berlinie. Milczał. Może podejrzewał, że kłamię. Często później zadawałem sobie pytanie, czy nie wyczuwał instynktownie, że w tych ostatnich miesiącach działałem przeciwko niemu, urzeczywistniając postulaty zawarte w moich memoriałach, czy nie dał nowego dowodu wielostronności swej zagadkowej natury, kiedy nie przeszkadzał mi występować przeciwko swym rozkazom. Nie dowiem się tego nigdy.

W tym momencie zameldowano przybycie generała Krebsa, szefa Sztabu Generalnego Wojsk Lądowych, który miał zreferować sytuację³. Nic więc się nie zmieniło: naczelny dowódca Wehrmachtu przyjmował jak zawsze meldunki o sytuacji na frontach. Ale podczas

gdy jeszcze przed trzema dniami gabinet w schronie, w którym omawiano sytuację, ledwie mógł pomieścić generałów i wyższych oficerów, dowódców rodzajów broni i SS, teraz już prawie wszyscy odeszli. Nie było Goringa, Donitza i Himmlera, znajdowali się natomiast Keitel i Jodl, szef Sztabu Generalnego Luftwaffe, Koller, i najważniejsi oficerowie ich sztabów spoza obrębu Berlina; pozostali także jeszcze oficerowie łącznikowi niższych stopni. Sam referat o sytuacji również wyglądał inaczej: z zewnątrz nadchodziły jedynie fragmentaryczne informacje, szef Sztabu Generalnego mógł opierać się raczej na przypuszczeniach. Mapa, którą rozłożył przed Hitlerem, obejmowała zaledwie obszar wokół Berlina i Poczdamu. Ale nawet tutaj dane dotyczące radzieckiego natarcia nie zgadzały się ze stanem faktycznym, jaki widziałem przed kilkoma godzinami na stanowisku dowodzenia jednostki lotnictwa myśliwskiego. Radzieckie oddziały od dawna już znajdowały się bliżej, niż to uwidoczniło na mapie. Byłem zaskoczony, gdy w trakcie narady Hitler usiłował jeszcze raz zademonstrować optymizm, chociaż na krótko przedtem w rozmowie ze mną mówił o bliskiej śmierci i wydanych dyspozycjach co do swych zwłok. Stracił wszakże wiele z dawnej siły przekonywania. Krebs słuchał go cierpliwie i uprzejmie. Kiedyś często myślałem, że Hitler, wskazując drogę wyjścia z rozpaczliwych sytuacji, całkowicie wierzył w słuszność swoich poczynań; teraz okazało się, że posługiwał się dwoma językami. Jak długo okłamywał nas? Odkąd wiedział, że walka jest przegrana - od zimy pod Moskwą, od Stalingradu, od inwazji, czy od nieudanej ofensywy w Ardenach w grudniu 1944 roku? Co tu było symulowaniem, a co kalkulacją? A może byłem tylko świadkiem nagłej zmiany nastroju, może był on teraz w stosunku do generała Krebsa równie szczery, jak przedtem wobec mnie?

Omawianie sytuacji, trwające zazwyczaj całymi godzinami, skończyło się szybko i obrazowało agonię, w jakiej znajdowała się ta resztką kwatery głównej. W tym dniu Hitler zrezygnował nawet ze snucia marzeń o cudzie, jaki miała zagwarantować opatrność. Po szybkim pożegnaniu opuściliśmy pomieszczenie, które przeżyło ponury okres błędów, uchybień i zbrodni. Hitler, jak gdybym nie z jego właśnie powodu przyleciał do Berlina, potraktował mnie jak codziennego gościa, nawet nie zapytał, czy chcę jeszcze zostać, czy też pożegnać się. Rozstaliśmy się bez uścisku dłoni, zwyczajnie, jakbyśmy mieli jutro znów się zobaczyć. Na zewnątrz spotkałem Goebbelsa. „Wczoraj fuhrer podjął niezwykle ważną decyzję”, oznajmił mi. „Decyzję o światowym

znaczeniu historycznym. Rozkazał zaprzestać walk na zachodzie, aby działające tam inwazyjne wojska mogły bez przeszkód podejść do Berlina". Było to jedno z urojeń, które wtedy błyskawicznie na kilka godzin podniecały umysły i stwarzały nowe nadzieje, i równie szybko mijały, jak się rodziły. Goebbels opowiadał mi, że jego żona i sześcioro dzieci mieszkają teraz w schronie jako goście Hitlera, ażeby w tym historycznym miejscu, jak się wyraził, zakończyć swoje życie. W przeciwieństwie do Hitlera całkowicie panował nad uczuciami, nie można było poznać po nim, że zamierza rozstać się z życiem.

Było już późne popołudnie: lekarz SS zakomunikował mi, że pani Goebbels leży w łóżku bardzo słaba, miewa ataki serca. Kazałem poprosić, aby mnie przyjęła. Chętnie porozmawiałbym z nią sam na sam, ale Goebbels już czekał w przedpokoju i zaprowadził mnie do małego pomieszczenia w schronie, gdzie leżała na zwykłym łóżku. Była blada, mówiła cicho o sprawach błahych, chociaż wyczuwało się, że cierpiała na myśl o nieuchronnie zbliżającej się godzinie gwałtownej śmierci jej dzieci. Goebbels uporczywie stał przy mnie, tak że mogliśmy rozmawiać jedynie o stanie jej zdrowia. Dopiero pod koniec dała mi do zrozumienia, co w istocie przeżywa: „Jaka jestem szczęśliwa, przynajmniej Harald (jej syn z pierwszego małżeństwa) pozostanie przy życiu". Milczałem, nie znajdując odpowiednich słów - cóż można było w tej sytuacji powiedzieć? Pożegnaliśmy się bez słowa, skrepowani. Jej mąż nie opuścił nas nawet na minutę.

Tymczasem w korytarzu zapanowało ożywienie. Bormann spieszył doręczyć Hitlerowi telegram, który nadszedł właśnie od Goringa. Wiedziony ciekawością, bezceremonialnie udałem się za nim. Goring zapytywał jedynie Hitlera, czy zgodnie z uprawnieniami następcy powinien przejąć ogólne kierownictwo Rzeszy, jeżeli Hitler pozostanie w twierdzy berlińskiej. Bormann jednak przypisywał Goringowi dokonanie zamachu stanu - może była to jego ostatnia próba zasugerowania Hitlerowi, by udał się do Berchtesgaden w celu zaprowadzenia tam porządku. Ale po otrzymaniu tej wiadomości Hitler nadal trwał w apatii, w jakiej pogrążony był przez cały dzień. Bormann zaś zyskał dodatkowy argument, gdy doręczono następny telegram Goringa. Wziąłem do kieszeni odpis, który w tym ogólnym rozgardiaszu zawieruszył się w schronie: „Do rąk własnych! Tylko przez oficera! Telegram nr 1899. Miejsce nadania - Robinson przy Kurfurst, 23.04, godzina 17.59. Do ministra Rzeszy von Ribbentropa. Prosiłem fuhrera o wyposażenie mnie w instrukcje do dnia 23.04, godz. 22.00. Jeżeli do tego czasu okaże

się, że fuhrer pozbawiony jest swobody działania w kierowaniu Rzeszą, nabiera mocy obowiązującej jego rozporządzenie z 29.06.1941 r., zgodnie z którym ja, jako następca, obejmuję wszystkie jego stanowiska. (Jeżeli) Do godz. 24.00 23.04. 1945 r. nie nadejdzie bezpośrednio od fuhrera albo ode mnie żadna inna wiadomość, proszę Pana o niezwłoczne przybycie do mnie drogą lotniczą. Podpisany Goring marszałek Rzeszy". Bormann sądząc, że uzyskał nowy argument, krzychał zdenerwowany: „Goring zdradza. Wysyła już telegramy do członków rządu i komunikuje panu, że na podstawie swych pełnomocnictw obejmuje dzisiaj w nocy, o godzinie dwudziestej czwartej, pański urząd, mein fuhrer".

Po nadejściu pierwszego telegramu Hitler zachowywał się raczej spokojnie - teraz Bormann rozegrał partię na swoją korzyść. Zaproponowany przez niego radiogram odbierał jego staremu rywalowi, Goringowi, uprawnienia następcy, obwiniając go jednocześnie o zdradę Hitlera i narodowego socjalizmu. Ponadto Hitler kazał mu zakomunikować, że nie wyciągnie dalszych konsekwencji, jeżeli Goring ze względów zdrowotnych złoży rezygnację ze wszystkich stanowisk. W ten sposób Bormannowi udało się wreszcie wyrwać Hitlera z letargu. Nastąpił wybuch niepohamowanej wściekłości, w którym mieszały się uczucia rozgoryczenia i bezsilności, ubolewanie nad sobą i zwątpienie. Pąsowa twarz Hitlera i jego dziki wzrok sprawiały wrażenie, że zapomniał o swym otoczeniu. „Wiem to już od dawna. Wiem, że Goring jest leniwy. Dopuścił do rozkładu lotnictwa. Jest zdemoralizowany. Jego przykład sprzyjał demoralizacji w naszym państwie. A przede wszystkim od lat jest morfinistą. Wiem już o tym od dawna". A więc Hitler wiedział o wszystkim i mimo to niczego nie przedsięwziął. Nagle zmienił się, ogarnęła go znów apatia: „Ale, moim zdaniem, Goring może prowadzić rokowania na temat kapitulacji. Jeżeli wojna jest przegrana, obojętne, kto to robi". Ujawniła się w tym cała pogarda dla narodu niemieckiego: do tego celu Goring był nadal wystarczająco dobry. Zaraz potem Hitler zupełnie opadł z sił- zaczął mówić zmęczonym głosem, tak charakterystycznym dla niego w tym dniu. Przez całe lata za wiele od siebie wymagał; przez całe lata, wyrażając swą niepokromioną wolę, odsuwał od siebie i od innych narastające przeświadczenie o klęsce. Teraz nie miał już sił, aby ukrywać swój stan. Poddał się.

W pół godziny potem Bormann przyniósł telegram z odpowiedzią Goringa: zrezygnował on ze wszystkich swoich stanowisk z powodu ciężkiej choroby serca. Który to już raz Hitler usuwał

niewygodnego człowieka nie w drodze zwolnienia, lecz pod pozorem choroby, tylko po to, by nie zachwiać w niemieckim narodzie wiary w jedność kierownictwa. Tymi względami kierował się nawet jeszcze teraz, aż do samego prawie końca.

A więc dopiero w ostatniej godzinie Bormann osiągnął swój cel. Goring został odsunięty. Być może Bormann był przekonany o nieprzydatności Goringa, nienawidził go i teraz obalił dlatego, że ten skupił w swoim ręku zbyt wiele władzy. W tym czasie współczułem w jakimś sensie Goringowi. Przypomniałem sobie rozmowę, w której zapewniał mnie o swojej wierności dla Hitlera.

Minęła krótka, zainscenizowana przez Bormanna burza, przebrzmiało kilka taktów Zmierchu bogów. Ku mojemu zdziwieniu Hitler przychylnie przyjął prośbę, jaką początkowo z wahaniem mu przedstawiłem. Kilku czeskich dyrektorów zakładów „Skoda” obawiało się, i prawdopodobnie słusznie, że z powodu współpracy z nami czekają ich represje ze strony Rosjan. Wiązali natomiast pewne nadzieje z lotem do kwatery głównej USA, mając na uwadze swe dawne powiązania z przemysłem amerykańskim. Jeszcze przed kilkoma dniami Hitler zdecydowanie odrzuciłby taki pomysł, teraz jednak wyraził gotowość podpisania odpowiedniego rozkazu, umożliwiającego załatwienie niezbędnych formalności.

Kiedy właśnie omawiałem to z Hitlerem, Bormann przypomniał, że na rozmowę oczekuje jeszcze Ribbentrop. Hitler zareagował nerwowo: „Mówiłem już przecież wielokrotnie, że nie życzę sobie z nim rozmawiać”. Spotkanie z Ribbentropem było dla Hitlera uciążliwe. Bormann upierał się: „Ribbentrop oświadczył, że nie odejdzie od drzwi. Jak wierny pies będzie czekał, aż wezwie go pan”. To porównanie rozbroiło Hitlera, kazał prosić Ribbentropa. Rozmawiali sami. Prawdopodobnie Hitler poinformował go o przewidzianym locie czeskich dyrektorów. Tymczasem minister spraw zagranicznych nawet w tej rozpaczliwej sytuacji walczył o zagwarantowanie swoich uprawnień. Na korytarzu zwrócił mi uwagę: „Jest to sprawa Ministerstwa Spraw Zagranicznych”, po czym nieco łagodniej dodał: „W tym przypadku nie mam nic przeciwko zarządzeniu, jeżeli doda pan »na propozycję ministra spraw zagranicznych Rzeszy«”. Uzupełniłem zarządzenie, Ribbentrop zadowolił się, a Hitler je podpisał. O ile wiem, była to ostatnia czynność urzędowa, jakiej Hitler dokonał ze swym ministrem spraw zagranicznych.

W międzyczasie przybył do Kancelarii Rzeszy mój troskliwy

doradca z ostatnich miesięcy, Luschen. Ale na próżno podejmowano próby, by namówić go do opuszczenia Berlina. Pożegnaliśmy się. Później w Norymberdze powiedziano mi, że po zdobyciu Berlina popełnił samobójstwo.

Około północy Ewa Braun kazała dyżurnemu SS poprosić mnie, bym przyszedł do jej małego pomieszczenia w schronie, które jednocześnie spełniało funkcję pokoju dziennego i sypialnego. Pokój był przytulnie urządony, zabrała ze sobą z górnego piętra niezbędne meble, które przed laty projektowałem do jej dwóch pokoi w mieszkaniu kanclerskim. Ani proporcje, ani wybrane forniry nie pasowały do mrocznego otoczenia. A na dodatek mozaika na drzwiach komody miała wystylizowane jej inicjały w kształcie szczęśliwej koniczynki.

Mogliśmy rozmawiać spokojnie, ponieważ Hitler już poszedł. W istocie rzeczy ona jedyna spośród osób oczekujących śmierci w tym schronie wykazywała godne podziwu opanowanie i rozsądek. W chwili gdy inni egzaltowali się bohaterstwem jak Goebbels, myśleli o ratunku jak Bormann, byli zgaszeni jak Hitler albo złamani jak pani Goebbels, Ewę Braun cechował niemal pogodny spokój: „Może by tak wypić butelkę szampana na pożegnanie? I trochę konfitury? Zapewne od dłuższego już czasu nie miał pan nic w ustach”. Ze wzruszeniem przyjąłem już choćby sam fakt, że ona pierwsza, po wielu godzinach mojego pobytu w schronie, pomyślała, iż mogę być głodny. Kamerdyner przyniósł butelkę „Moet et Chandon”, ciasto, konfitury. Pozostaliśmy sami: „Dobrze się stało, że przybył pan jeszcze raz. Fuhrer przypuszczał, że pan będzie występował przeciwko niemu. Ale pańska wizyta przekonała go o czymś innym. Prawda?” Nie odpowiedziałem. „Nawiasem mówiąc, bardzo podobało mu się to, co pan dziś powiedział. Zdecydował się pozostać tutaj, a ja razem z nim. A co do dalszych losów, to wie pan... Chciał mnie odesłać z powrotem do Monachium. Ale się nie zgodziłam, przyjechałam tutaj, aby oczekiwać końca”. Była jedyną osobą w schronie, która potrafiła się kierować ludzkimi względami. „Dlaczego jeszcze tylu ludzi musi ginąć?” zapytała. „Przecież to wszystko jest już daremne... Zresztą mógłby pan nas tutaj nie zastać. Wczoraj sytuacja wyglądała tak groźnie, że musieliśmy się liczyć z szybkim zajęciem Berlina przez Rosjan. Fuhrer chciał już zrezygnować. Ale Goebbels przekonał go. I pozostaliśmy”. Rozmawiała ze mną swobodnie, czyniąc kilka aluzji pod adresem intrygującego wciąż jeszcze Bormanna; stale powracała jednak do tego, że jest szczęśliwa mogąc przebywać tutaj w schronie.

Nadeszła godzina trzecia nad ranem. Hitler wstał. Kazałem mu powiedzieć, że chciałbym się z nim pożegnać. Dzień ten wyczerpał mnie i obawiałem się, że przy pożegnaniu nie będę się mógł opanować. Stał przede mną, po raz ostatni, drżący starzec; ten, któremu przed dwunastu laty poświęciłem swoje życie. Byłem wzruszony i jednocześnie zakłopotany. On natomiast, kiedy tak staliśmy naprzeciwko siebie, nie okazywał żadnych uczuć. Jego słowa były tak samo zimne, jak jego dłoń: „A więc jedzie pan? Dobrze. Do widzenia”. Żadnych pozdrowień dla mojej rodziny, żadnych życzeń, podziękowań, żadnego pożegnania. Na moment ogarnął mnie niepokój. Powiedziałem, że przyjadę jeszcze raz. Ale łatwo mógł poznać, że to tylko kłamstwo wynikłe z kłopotliwej sytuacji, i zwrócił się do pozostałych osób. Mogłem odejść.

W dziesięć minut potem opuszczałem mieszkanie kanclerza; wszyscy, którzy tam pozostawali, milczeli. Chciałem jeszcze raz przejść przez sąsiednią Kancelarię Rzeszy, którą sam zbudowałem. Ponieważ nie było światła, zadowoliłem się kilkoma minutami pożegnania na „honorowym dziedzińcu”, którego zarysy zaledwie można było rozpoznać na tle nocnego nieba i którego architekturę mogłem tylko wyczuwać. Panowała prawie śmiertelna cisza, taka, jaka występuje zazwyczaj podczas nocy w górach. Nie słyszało się hałasu wielkiego miasta, przenikającego w ubiegłych latach nawet w godzinach nocnych. Tylko od czasu do czasu dochodziły detonacje rosyjskich pocisków. Moja ostatnia wizyta w Kancelarii Rzeszy. Budowałem ją przed laty - pełen planów, perspektyw i marzeń na przyszłość. Teraz nie tylko opuszczałem ruiny mojej budowli, ale jednocześnie rozstawałem się z najbardziej wartościowym okresem swojego życia.

„Jak tam było?” zapytał Poser. „Dzięki Bogu, nie potrzebowałem odgrywać roli księcia Maksymiliana Badeńskiego” *, odrzekłem z ulgą. Przy pożegnaniu dostatecznie wyraźnie dałem odczuć Hitlerowi swoją oziębłość, albowiem już po sześciu dniach wyłączył mnie ze swego politycznego testamentu i na mojego następcę wyznaczył Saura, który od dawna był jego faworytem.

Ulica biegnąca od Bramy Brandenburskiej do Kolumny Zwy-

* Maksymilian Badeński, niemiecki polityk liberalny; w końcowej, krytycznej dla Niemiec fazie pierwszej wojny światowej podjął próbę ratowania monarchii i 3.10.1918 r. stanął na czele rządu koalicyjnego z udziałem prawicowych socjaldemokratów.

ciężstwa przekształcona została za pomocą kilku czerwonych latarń w pas startowy, drużyny robocze zasypywały leje po ostatnich wybuchach pocisków. Wystartowaliśmy bez przeszkód; z prawej strony mignął nam cień - Kolumna Zwycięstwa. Lot mieliśmy spokojny. W Berlinie i wokół miasta dostrzegaliśmy liczne duże pożary, błyski wystrzałów artyleryjskich, pociski świetlne, które wyglądały jak robaczki świętojańskie; jednakże nie można było tego porównywać z obrazem ciężkiego nalotu na Berlin. Wzięliśmy kurs w tym kierunku, gdzie zaznaczała się luka w pierścieniu strzelających dział, gdzie jeszcze panowała niezmacona ciemność. O wczesnym brzasku dnia, około godziny piątej, osiągnęliśmy znów poligon doświadczalny Rechlin.

Kazałem przygotować samolot myśliwski, który miał przekazać Karlowi Hermanowi Frankowi, namiestnikowi Hitlera w Pradze, rozkaz fuhrera dotyczący dyrektorów „Škody” - nie zdołałem ustalić, czy dotarł do adresata. W swej dalszej podróży do Hamburga zrobiłem przerwę do wieczora, chcąc uniknąć po drodze polowania nurkujących samolotów angielskich. Jak dowiedziałem się na lotnisku, Himmler zatrzymał się w oddalonym stąd zaledwie czterdzieści kilometrów szpitalu, który przed rokiem udzielił mi gościny w tak dziwnych okolicznościach. „Storch” wylądował na pobliskiej łące. Moje przybycie zdziwiło Himmlera. Przyjął mnie w tym samym pokoju, w którym ja leżałem, i żeby sytuacja stała się jeszcze bardziej groteskowa, obecny był również profesor Gebhardt. Himmler jak zwykle potraktował mnie po koleżeńsku, ale bez jakiegokolwiek poufałości. Interesował się przede wszystkim moimi wrażeniami z Berlina. Przeszedł do porządku nad wiadomością, że Hitler pozbawił Goringa stanowiska; niewątpliwie musiał o tym słyszeć. A gdy następnie poinformowałem go powściągliwie, że Goring zrezygnował ze wszystkich stanowisk, zachował się tak, jakby to wszystko nie miało żadnego znaczenia. „Goring i tak zostanie teraz następcą. Już dawno uzgodniłem z nim, że będę jego premierem. Bez Hitlera również mogę go uczynić głową państwa... Pan zna go także”, mówił z wymownym uśmiechem i otwarciem. „Oczywiście, ja będę osobą decydującą. Nawiązałem już kontakt z różnymi osobistościami, które włączę do swego gabinetu. Potem przyjdzie do mnie Keitel...” Himmler być może uważał, że przybyłem złożyć mu uszanowanie i prosić o nowe stanowisko.

Obracał się w nierealnym świecie: „Europa i w przyszłości nie obejdzie się beze mnie”, oświadczył. „Potrzebuje mnie nadal jako ministra policji dla zapewnienia spokoju. Jedna godzina z Eisen

howerem i przekonam go! Niebawem dojdą oni do wniosku, że jestem dla nich niezbędny - albo przejmą niebywały chaos". Poinformował mnie o swych kontaktach z hrabią Bernadotte, które miały na celu przekazanie obozów koncentracyjnych Międzynarodowemu Czerwonemu Krzyżowi. Zrozumiałem, skąd wzięły się przed paroma dniami w Sachsenwaldzie koło Hamburga liczne wagony Czerwonego Krzyża. Dawniej zawsze mówiono, że zanim nadejdzie koniec, zlikwiduje się wszystkich więźniów politycznych. Teraz Himmler próbował zawrzeć na własną rękę układ ze zwycięzcą. Sam Hitler, jak się wyraźnie zorientowałem podczas mojej ostatniej z nim rozmowy, odstąpił w międzyczasie od takich myśli.

W końcu Himmler przedstawił mi, wprawdzie jeszcze niezdecydowanie, propozycję zostania u niego ministrem. Ja natomiast zaproponowałem mu, nie bez ironii, swój samolot, żeby złożył pożegnalną wizytę Hitlerowi. Odmówił. Na to nie miał teraz czasu. Nie dał się przekonać: „Teraz muszę organizować swój rząd, a ponadto moja osoba jest dla niemieckiej przyszłości zbyt ważna, abym mógł w tej chwili zaryzykować lot". Naszą rozmowę przerwało przybycie Keitla. W pokoju obok byłem świadkiem, jak feldmarszałek tym samym podniosłym tonem, którego często używał składając patetyczne oświadczenia Hitlerowi, zapewniał teraz Himmlera o swym bezwzględnym posłuszeństwie. Oddał się całkowicie do jego dyspozycji.

Wieczorem znalazłem się znów w Hamburgu. Gauleiter zaproponował mi natychmiastowe nadanie przez miejscową radiostację mojego przemówienia do ludności, a więc jeszcze przed śmiercią Hitlera. Jednak myśl o dramacie, który musiał się w tych dniach i godzinach rozgrywać w berlińskim schronie, powstrzymywała mnie przed nielegalną działalnością. Jeszcze raz Hitlerowi udało się sparaliżować mnie psychicznie. Wobec siebie samego, jak też wobec innych uzasadniałem zmianę stanowiska tym, że włączanie się w bieg tragedii byłoby krokiem fałszywym i bezsensownym.

Pożegnałem się z Kaufmannem i udałem do Szlezwika-Holsztynu. Zakwaterowaliśmy w wozach mieszkalnych przedsiębiorstwa budowlanego nad Eutiner See. Od czasu do czasu odwiedzałem Donitza albo znajomych ze Sztabu Generalnego, którzy tak samo beczynn timer jak ja oczekiwali na dalszy rozwój wypadków. Byłem więc obecny, gdy 1 maja przekazano Donitzowi radiogram⁴, który poważnie ograniczał jego uprawnienia jako następcy Hitlera. Hitler narzucił nowemu prezydentowi Rzeszy skład rządu: Goebbels został kanclerzem Rzeszy,

Seyss-Inquart ministrem spraw zagranicznych, a Bormann ministrem partii. Jednocześnie Bormann zapowiadał swoje rychłe przybycie. „To jest niemożliwe!” Donitz przeraził się tymi ograniczeniami swego stanowiska. „Czy ktoś już widział radiogram?” Jego adiutant Lud-de-Neurath zapewniał, że przybył do admirała bezpośrednio od radiotelegrafisty. Wobec tego Donitz rozkazał zobowiązać radiotelegrafistę do milczenia, a radiogram trzymać w zamknięciu i nikomu nie pokazywać. „Co powinniśmy zrobić, jeżeli Bormann i Goebbels rzeczywiście przybędą tutaj?” zapytywał Donitz i zrezygnowany stwierdzał: „Z nimi nie będę w żadnym wypadku współpracował”. Tego wieczoru obaj byliśmy z"daniami, że Bormanna i Goebbelsa trzeba w jakiejś formie „zabezpieczyć”.

Tak więc Hitler zmusił Donitza, by swe urzędowanie rozpoczął od nielegalnej działalności; zatajenie oficjalnego dokumentu⁵ stanowiło ostatnie ogniwo w łańcuchu oszustw, zdrady, obłudy i intryg tych dni i tygodni: Himmler, który zdradził swego fuhrera podjęciem rokowań; Bormann, któremu dlatego udała się ostatnia wielka intryga przeciwko Goringowi, że podszedł Hitlera; Goring, który myślał o dogadaniu się z aliantami; Kaufmann, który pertraktował z Anglikami i oddawał mi do dyspozycji swoją radiostację; Keitel, który jeszcze za życia Hitlera chciał się wynająć nowemu panu; i wreszcie ja, a więc ten, który w ostatnich miesiącach usiłował zwieść swego odkrywcę i protektora, a kiedyś nawet zamierzał go usunąć. Wszyscy odegraliśmy swoje role narzucone przez system; zmusił nas do tego również Hitler, który zdradził nas wszystkich, siebie samego i swój naród. Tak kończyła się Trzecia Rzesza.

1 maja, kiedy podano wiadomość o śmierci Hitlera, nocowałem w małym pokoju w kwaterze Donitza. Rozpakowując wieczorem walizkę, znalazłem czerwoną, dotychczas nie otwieraną, skórzaną kasetę, w której znajdowało się zdjęcie Hitlera. Włożyła mi je tam sekretarka. Moje nerwy nie wytrzymały. Gdy postawiłem zdjęcie, wybuchnąłem spazmatycznym płaczem. Dopiero teraz nastąpiło ostateczne zerwanie moich związków z Hitlerem, dopiero teraz przysł czar, a jego magiczna siła przestała oddziaływać. Pozostał obraz cmentarzy, zburzonych miast, milionów ludzi w żałobie, obozów koncentracyjnych. To wszystko nie stanęło mi wtedy przed oczyma, ale musiało we mnie tkwić. Zapadłem w głęboki sen.

W czternaście dni później, pod wrażeniem ujawnionych przestępstw w obozach koncentracyjnych, pisałem do przewodniczącego

Rady Ministrów von Schwerin-Krosigka: „Dotychczasowe

kierownictwo niemieckiego narodu ponosi ogólną winę za los, jaki spotkał teraz naród niemiecki. Każdy, kto wchodził w skład tego kierownictwa, musi część ogólnej winy wziąć na siebie; chodzi o to, aby nie przypisano jej narodowi niemieckiemu, gdyż obciąża ona przede wszystkim te właśnie osoby".

Tak rozpoczął się kolejny etap mojego życia, który do dziś nie jest zakończony

1 Kaufmann już wtedy polecił nawiązać kontakt z Anglikami, chcąc ogłoszony przez Hitlera twierdzą Hamburg oddać bez walki.

Radiostacja w Königswusterhausen 22 kwietnia nie mogła być już wykorzystana.

2 Rozstrzygnięto wcześniej, że w przypadku militarnego podziału Niemiec ma powstać rejon północny, podlegający Donitzowi, Hitler natomiast zastrzegł sobie jeszcze władzę nad rejonem południowym.

2 kwietnia 1945 r. Bormann skierował do funkcjonariuszy partyjnych odezwę: „Ten, kto opuszcza zaatakowany przez wroga swój okręg bez wyraźnego rozkazu fuhrera, kto nie walczy do ostatniego tchu, ten jest łotrem. Uważany będzie za dezertera i traktowany jak dezerterski. Podnieście wysoko głowy i pokonajcie wszystkie słabości. Teraz obowiązuje jeszcze tylko jedno hasło: zwyciężyć lub polec".

3 Krebs prowadził sprawy „chorego" Guderiana. Hitler bowiem przekazał oficjalnie Keitlowi naczelne dowództwo nad Wehrmachtem, a sam ograniczył się do dowodzenia wojskami znajdującymi się w Berlinie. Miałem jednak wrażenie, że nie chce uznać tego faktu. Także jako dowódca Berlina Hitler nie opuszczał swego schronu, lecz nadal wydawał rozkazy zza biurka. Przypuszczalnie chodziło 23 kwietnia o tzw. małe omówienie sytuacji, ponieważ nie był obecny ani komendant miasta, ani pozostali dowódcy wojskowi.

4 Pierwszy radiotelegram, z 30 kwietnia 1945 r., przyjęty o godzinie 18.35, brzmiał: „FRR admirał Donitz. Na miejsce dotychczasowego marszałka Rzeszy, Goringa, fuhrer wyznaczył swym następcą pana, panie admirale. Pełnomocnictwa pisemne są w drodze. Od tej chwili powinien pan zarządzać wszelkie przedsięwzięcia, jakie wynikają z obecnej sytuacji. Bormann".

Radiotelegram z 1 maja 1945 r., przyjęty o godzinie 15.18, miał następujące brzmienie:

„FRR admirał Donitz (Dla szefa! Tylko przez oficera!). Fuhrer zmarł wczoraj o 15.30. Testament z 29.4. przekazuje panu urząd prezydenta Rzeszy, ministrowi Goebbelsowi urząd kanclerza Rzeszy, reichsleiterowi Bormannowi stanowisko ministra do spraw partii, ministrowi Seyss-Inquartowi stanowisko ministra spraw zagranicznych Rzeszy. Na polecenie fuhrera testament został wywieziony z Berlina w celu przedstawienia go panu, feldmarszałkowi Schornerowi i zabezpieczenia dla opinii publicznej. Reichsleiter Bormann spróbuje jeszcze dzisiaj przybyć do pana, by poinformować pana o sytuacji. Forma i termin powiadomienia wojsk i opinii publicznej pozostaje do pańskiego uznania.

Proszę potwierdzić odbiór.

Goebbels, Bormann"

5 Ściślej biorąc, Donitz nie mógł ogłaszać siebie konstytucyjnie legalnym następcą Hitlera, gdyż według konstytucji Rzeszy Niemieckiej następca mógł tylko zostać wyłoniony w wyborach. Był on legalnym następcą Hitlera bardziej ze względu na renomę poprzednika, co zresztą potwierdził tym, że w czasie sprawowania swego urzędu wyraźnie powoływał się publicznie na ostatnią wolę Hitlera. To pierwsze posunięcie rządowe Donitza było więc nielegalne o tyle, że naruszało w istotnym stopniu wolę Hitlera, którą Donitz po otrzymaniu pierwszego telegramu zaakceptował przejmując powierzone mu funkcje.

Zresztą żądanie Hitlera, by dla jego następcy mianowano przymusowo członków gabinetu, było chyba jednym z najbardziej groteskowych życzeń w jego działalności jako męża stanu. Nie określił przy tym, podobnie jak w innych wypadkach w latach ubiegłych, kto teraz koniec końców ma rozstrzygać sprawy sporne wewnątrz gabinetu: kanclerz Rzeszy stojący nad swymi ministrami czy prezydent Rzeszy jako najwyższa władza. Według litery testamentu Donitz nie mógł odwołać ani kanclerza Rzeszy, ani żadnego z ministrów, nawet jeśli okazaliby się oni nieprzydatni; odebrano mu więc to najważniejsze uprawnienie każdego prezydenta Rzeszy.

EPILOG

Rozdział 33

ETAPY WIĘZIENIA

Karl Donitz, nowa głowa państwa, tkwił podobnie jak ja, i głębiej, niż każdy z nas to sobie wyobrażał, w ideologii narodowosocjalistycznego reżimu. Przez dwanaście lat służyliśmy temu reżimowi i sądziliśmy, że dokonanie teraz gwałtownej zmiany byłoby tanim oportunizmem. Wraz ze śmiercią Hitlera rozwiązane zostały jednak pęta, które tak długo paraliżowały wszelkie trzeźwe myślenie. Wkrótce uwidoczniła się w działaniu rzeczowość wyszkolonego oficera. Od pierwszych godzin Donitz reprezentował pogląd, że tak szybko, jak tylko jest możliwe, powinniśmy zakończyć wojnę, a wraz ze spełnieniem tego zadania - również naszą działalność.

Jeszcze 1 maja 1945 roku odbyła się jedna z pierwszych wojskowych konferencji pomiędzy Donitzem, jako nowym naczelnym dowódcą Wehrmachtu, i feldmarszałkiem Ernstem Buschem. Busch chciał zaatakować maszerujące na Hamburg, dysponujące przeważającymi siłami jednostki brytyjskie. Donitz natomiast każde działanie ofensywne uważał za niestosowne. Droga na zachód musi być w miarę możliwości długo otwarta dla zgromadzonych wokół Lubeki uciekinierów ze wschodu; jednostki niemieckie mają jeszcze stawiać opór na zachodzie wyłącznie po to, aby uzyskać czas na zrealizowanie tego ostatniego zadania. Zdenerwowany Busch zarzucił admirałowi, że nie postępuje zgodnie z ideą Hitlera. Ale Donitz nie dał się zbić z tropu.

Chociaż 30 kwietnia w dyskusji z nową głową państwa Himmler musiał zrezygnować z uzyskania również w nowym rządzie kluczowej pozycji, następnego dnia jednak przybył nie zameldowany do kwatery głównej Donitza. Zbliżało się południe, Donitz zaprosił nas obu na obiad - nie wynikało to z poufałości. Mimo całej niechęci do Himmlera Donitz uznałby za niestosowne traktować teraz lekceważąco

człowieka do niedawna jeszcze tak potężnego. Himmler przyniósł wiadomość, że gauleiter Kaufmann zamierza oddać Hamburg bez walki, że drukuje się ulotkę adresowaną do ludności cywilnej, aby była przygotowana na mające nastąpić wkroczenie oddziałów brytyjskich. Donitz oburzał się: jeżeli każdy będzie działał na własną rękę, to jego misja nie ma żadnego celu. Zaproponowałem mu, że udam się do Kaufmanna.

Kaufmann, dobrze strzeżony w swej okręgowej siedzibie partyjnej przez ochronę złożoną ze studentów, był nie mniej zdenerwowany niż Donitz: komendant miasta otrzymał rozkaz walki o Hamburg, Anglicy postawili ultimatum, że jeżeli miasto nie podda się, ich lotnictwo dokona na nie najcięższego z dotychczasowych nalotów. Kaufmann mówił więc: „Czy mam tak postępować jak gauleiter z Bremy, który skierował apel do ludności, aby broniła się do końca, a potem uciekł, miasto natomiast zostało straszliwie zniszczone w wyniku ciężkiego nalotu lotniczego?” Był zdecydowany przeszkodzić prowadzeniu walki o Hamburg, a w razie potrzeby zmobilizować masy i czynnie przeciwstawić się obronie miasta. W telefonicznej rozmowie poinformowałem Donitza o sytuacji w Hamburgu, grożącej wybuchem jawnego powstania; Donitz prosił o czas do namysłu. Po godzinie przekazał komendantowi miasta rozkaz oddania Hamburga bez walki.

21 kwietnia, gdy w hamburskim studio radiowym nagrywano moje wystąpienie, Kaufmann zaproponował, abyśmy razem oddali się do niewoli. Teraz ponowił tę propozycję. Jednak odrzuciłem ją, podobnie jak plan chwilowej ucieczki, jaki już kiedyś przedstawił mi nasz najlepszy lotnik Werner Baumbach. Czterosilnikowy wodno-płatowiec dalekiego zasięgu, który podczas wojny, startując z północnej Norwegii, wysadził niemiecką stację meteorologiczną w Grenlandii i zaopatrywał ją w środki żywnościowe, miał przetransportować Baumbacha, mnie oraz kilku przyjaciół do jednej z wielu ustronnych zatok Grenlandii na pierwsze miesiące okupacji Niemiec. Zapakowano skrzynie z książkami, lekarstwa, przybory do pisania, dużo papieru (już tam zamierzałem zacząć pisać swoje wspomnienia), sprzęt strzelecki, składany kajak, namioty, granaty ręczne do połowu ryb i prowiant¹. Po obejrzeniu filmu SOS - góra lodowa uważałem Grenlandię za jeden ze swoich celów wakacyjnych. Teraz, odkąd Donitz znajdował się na czele rządu, nie zgadzałem się również na realizację tego planu, łączącego w sobie w osobliwy sposób paniczne i romantyczne nastroje.

Wracając do Eutin, widziałem płonące cysterny, podpalone przed kilkoma minutami ciężarówki na poboczach dróg i latające nad nimi angielskie myśliwce. W Szlezwiku ruch był większy, spotykało się różnorodne pojazdy wojskowe, cywilne są i ochody ciężarowe, wędrujące kolumny ludzi, zarówno żołnierzy, jak i cywilów. Gdy mnie rozpoznano, nie okazywano mi nieżyczliwości, lecz raczej przyjazną, współczującą powściągliwość.

Kiedy wieczorem 2 maja przybyłem do kwatery w Plon, Donitz przeniósł się już do Flensburga, cofając się przed szybko nacierającymi oddziałami angielskimi. Spotkałem jednak Keitla i Jodla, którzy zamierzali właśnie udać się do swego nowego pana. Donitz zajął kwatery na statku pasażerskim „Patria”; podczas wspólnego śniadania w mieszkaniu kapitana przedłożyłem mu zarządzenie o nieniszczeniu mostów - podpisał je od razu. Tak więc osiągnąłem we wszystkich sprawach, chociaż o wiele za późno, to, czego 19 marca żądałem od Hitlera.

Donitz nastychmiast wyraził zgodę, abym wygłosił przemówienie i wezwał naród niemiecki do przystąpienia z całą energią do odbudowy na zajętych już przez nieprzyjaciela terenach; miało to przeciwdziałać letargowi, „w jaki zapadł w ostatnich miesiącach naród wskutek paraliżującego strachu i bezmiernego rozczarowania”². Donitz domagał się jedynie, ażeby w nowej kwaterze rządu, w szkole marynarki w Murwik koło Flensburga, przedłożył tekst swego przemówienia obecnemu ministrowi spraw zagranicznych, Schwerin-Krosig-kowi. Ten również zgodził się na audycję, pod warunkiem jednak, że dodam kilka zdań wyjaśniających politykę rządu, które mi podyktował. Gdy odczytywałem swoje przemówienie w studio we Flensburgu, podłączono jedyne stacje mogące jeszcze nadawać w zasięgu naszego działania, Kopenhagę i Oslo.

Po opuszczeniu studia nadawczego spotkałem oczekującego mnie Himmlera. Mówił, przybierając ważną minę, że pozostały nam jeszcze wartościowe tereny, jak Norwegia i Dania, które powinniśmy wykorzystać w przetargach o zapewnienie nam bezpieczeństwa. Były one dla przeciwnika dostatecznie ważne, aby w zamian za przekazanie ich w nie zniszczonym stanie wytargować ustępstwa natury personalnej. Z mojego przemówienia można było wnioskować, że tereny te oddamy bez walki, nie żądając rekompensaty; dlatego też Himmler uważał to przemówienie za szkodliwe. Następnie zaskoczył Keitla, proponując powołanie cenzora wszystkich publicznych ogłoszeń rządu, którą to funkcję chętnie by sam przyjął. Ale jeszcze tego dnia Donitz odrzucił sugestię Terbovena, namiestnika Hitlera w Norwegii, co do przetargów

z nieprzyjacielem i 6 maja podpisał rozkaz, że również na okupowanych jeszcze terenach, w części Holandii i Czechosłowacji, w Danii i Norwegii, nie można dokonywać żadnych zniszczeń. W ten sposób ostatecznie zrezygnowano z polityki rekompensaty, jak ją nazywał Himmler.

Admirał odrzucił zdecydowanie plany ucieczki z Flensburga, który każdego dnia mógł być zajęty przez Anglików, do Danii albo do Pragi, aby tam nadal reprezentować interesy rządu. Himmler opowiadał się zwłaszcza za Pragą: dawne miasto cesarskie, przekonywał, może zapewnić rządowi lepsze schronienie niż mało znaczący pod względem historycznym Flensburg; zapomniał dodać, że w Pradze wyszlibyśmy spod opieki marynarki i wpadli w objęcia SS. Donitz przerwał w końcu toczącą się dyskusję i zdecydował, że w żadnym wypadku nie możemy kontynuować naszej działalności poza granicami Niemiec. „Jeżeli Anglicy chcą nas przejąć, niech to uczynią”.

Wtedy Himmler zwrócił się do Baumbacha, który w tym czasie dowodził lotniczą eskadrą rządową, domagając się samolotu, by móc uciec do Pragi. Wspólnie z Baumbachem postanowiliśmy, że w takim razie trzeba go wysadzić na jednym z lotnisk nieprzyjaciela. Ale aparat informacyjny Himmlera działał jeszcze dobrze. „Jeżeli się lata waszymi samolotami”, burknął do Baumbacha, „to nie można mieć pewności, dokąd się przybędzie”. Kilka dni później, bezpośrednio po nawiązaniu kontaktu z marszałkiem Montgomerym, Himmler przekazał Jodlowi list z prośbą o doręczenie go brytyjskiemu dowódcy. Generał Kinzl, oficer łącznikowy z brytyjskimi siłami zbrojnymi, opowiadał mi, że Himmler prosił w tym liście Montgomery'ego o rozmowę z zagwarantowaniem mu osobistego bezpieczeństwa. Chciał się dowiedzieć, czy po dostaniu się do niewoli będzie traktowany zgodnie z prawem wojennym jak wysokiej rangi generał - albowiem przez pewien czas był dowódcą Grupy Armii „Wisła”. List ten jednak nie doszedł do adresata, Jodl zniszczył go, jak mówił mi w Norymberdze. Jak zawsze w krytycznych sytuacjach, wychodziły w tych dniach na jaw cechy ludzkich charakterów. Gauleiter Prus Wschodnich, Koch, przez jakiś czas komisarz Rzeszy na Ukrainie, żądał po przybyciu do Flensburga okrętu podwodnego, chcąc uciec do Ameryki Południowej; gauleiter Lohse wyraził to samo życzenie. Donitz zdecydowanie odmawiał. Rosenberg, wówczas najstarszy reichsleiter NSDAP, chciał rozwiązać partię; on jeden rzeczywiście mógł tego dokonać. W kilka dni później dostarczono go ledwie żywego do Murwik. Mówił o zatruciu, podejrzewano go o próbę samobójstwa; ustalono jednak, że był tylko pijany.

Ale spotykało się także odważne postawy: niejeden rezygnował z możliwości ukrycia się w tłumie uciekinierów w Holsztynie. Seyss-

-Inquart, komisarz Rzeszy w okupowanej Holandii, przedostał się w nocy ścigaczem przez nieprzyjacielskie zapory, aby odbyć z Donitzem i ze mną konferencję. Nie skorzystał z możliwości pozostania w siedzibie rządu i tym samym ścigaczem udał się z powrotem do Holandii. „Tam jest moje miejsce”, powiedział melancholijnie, „zaraz po powrocie zostanę aresztowany”.

W trzy dni po zawieszeniu broni w północnych rejonach Niemiec, 7 maja 1945 roku, na wszystkich teatrach działań wojennych ogłoszono bezwarunkową kapitulację, którą następnego dnia jeszcze raz uroczyście potwierdzili swymi podpisami Keitel i trzech pełnomocnicy niemieckich sił zbrojnych w radzieckiej kwaterze głównej Karlshorst w Berlinie.

Oddziały brytyjskie zamknęły pierścień wokół Flensburga. Powstała niewielka enklawa, gdzie nasz rząd sprawował jeszcze władzę wykonawczą. Na statku „Patria” ulokowała się komisja kontroli do spraw OKW pod przewodnictwem generała majora Rooksa, która niebawem stała się instytucją łącznikową z rządem Donitza. Moim zdaniem, wraz z kapitulacją wykonane zostało zadanie rządu Donitza polegające na doprowadzeniu do końca przegranej wojny. Dlatego też 7 maja 1945 roku zaproponowałem ogłoszenie ostatniej proklamacji, w której zapowiedzielibyśmy, że nie mając teraz swobody działania jesteśmy jeszcze w stanie załatwić tylko sprawy wynikłe z przegranej wojny: „Oczekujemy, że mimo tej pracy przeciwnik pociągnie nas do odpowiedzialności za naszą dawną działalność, tak samo jak wszystkich innych piastujących odpowiedzialne stanowiska w narodowosocjalistycznym państwie”. Czyniąc tę uwagę, chciałem zapobiec fałszywej interpretacji naszej misji³.

Sekretarz stanu Stuckardt, wówczas kierownik Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, opracował jednak memoriał, oparty na założeniu, że Donitz jako głowa państwa i prawowity następca Hitlera nie powinien rezygnować dobrowolnie ze swego stanowiska, aby utrzymać ciągłość Rzeszy niemieckiej i nie ograniczać roszczeń przyszłych rządów. Donitz, który początkowo przychylił się do mojej propozycji, teraz zmienił zdanie: tym samym przedłużył istnienie swego rządu o dalsze piętnaście dni.

Przybywali pierwsi amerykańscy i angielscy reporterzy, a każda ich informacja wzbudzała różnego rodzaju nierealne nadzieje. Jednocześnie znikali mundury SS, z dnia na dzień stawali się cywilami Wegener, Stuckardt i Ohlendorf, a Gebhardt, zaufany Himmlera, przekształcił się nawet w generała Czerwonego Krzyża. Do tego rząd

zaczął się jeszcze reorganizować, co świadczyło o jego beczynności. Donitz mianował, zgodnie z cesarskim zwyczajem, szefa gabinetu wojskowego (admirał Wagner) i szefa gabinetu cywilnego (gauleiter Wegener). Po dyskusji zdecydowano, że do głowy państwa należy się zwracać używając nadal tytułu „grossadmiral”, zorganizowano służbę informacyjną i przy pomocy dawnego personelu nadawano przez radio najnowsze wiadomości. We Flensburgu znalazł się nawet przypadkowo jeden z wielkich „Mercedesów” Hitlera, którym teraz wożono Donitza do jego oddalonego o pięćset metrów mieszkania. Zjawił się także pracownik atelier Heinricha Hofmanna, osobistego fotografa Hitlera, aby sfotografować rząd w czasie pracy; dlatego też w tych dniach mówiłem do adiutanta Donitza, że tragedia przekształca się w tragikomedie. Donitz postępował właściwie do czasu kapitulacji, rozsądnie zmierzał do szybkiego zakończenia wojny, ale teraz nasza sytuacja skomplikowała się. Dwaj członkowie nowego rządu, ministrowie Backe i Dorpmuller, zniknęli bez śladu. Krążyły pogłoski, że zabrano ich do głównej kwatery Eisenhowera w celu podjęcia pierwszych kroków odbudowy Niemiec. Feldmarszałek Keitel, ciągle jeszcze szef Naczelnego Dowództwa Wehrmachtu, został wzięty do niewoli - rząd nasz był nie tylko bezsilny, ale też w ogóle nie liczonego się z nim.

Opracowywane przez nas memoriały trafiały w próżnię, nieliczeniu się z nami usiłowaliśmy przeciwdziałać pozornym sprawowaniem władzy. Każdego ranka o godzinie dziesiątej odbywało się w tak zwanej sali posiedzeń gabinetu, w dawnej izbie szkolnej, zebranie rządu. Wyglądało na to, jak gdyby Schwerin-Krosigk chciał nadrobić wszystkie posiedzenia gabinetu, które nie odbywały się w ubiegłych latach. Stół pomalowany był olejną farbą, zniesiono krzesła z całego budynku. Urzędujący minister wyżywienia przyniósł na jedno z takich posiedzeń kilka butelek żytniówki z własnych zapasów. Napelniając nią szklanki i kubki zabrane z naszych pokoi, zastanawialiśmy się, jak należy przekształcić gabinet, aby lepiej przystosować go do aktualnej koniunktury. Rozwinęła się ożywiona dyskusja na temat uzupełnienia składu rządu o ministra wyznań religijnych. Zaproponowano znanego teologa, a niektórzy za odpowiedniego kandydata uważali Niemollera: gabinet powinien być dobrany, jak to się mówi, „na medal”. Nie zwrócono uwagi na moją sarkastyczną propozycję, aby przyciągnąć kilku czołowych socjaldemokratów oraz przedstawicieli centrum i przekazać im nasze funkcje. Zapasy ministra wyżywienia sprawiły, że nastrój stawał się coraz bardziej ożywiony. Sądziłem, że jesteśmy na najlepszej drodze do ośmieszenia się, ale faktycznie już to osiągnęliśmy; powaga, jaka

panowała w tym budynku podczas rokowań w sprawie kapitulacji, zniknęła bez śladu. 15 maja pisałem do Schwerin-Krosigka, że rząd Rzeszy musi się składać z osób, które będą mogły zdobyć zaufanie aliantów; należy go zatem zreorganizować, usuwając bliższych współpracowników Hitlera. Ponadto „podobnie niewdzięcznym zadaniem jest powierzenie artyście umarzania długów jak - w przeszłości - przekazanie Ministerstwa Spraw Zagranicznych Rzeszy handlarzowi szampanem”. Prosiłem „o zwolnienie mnie ze stanowiska ministra gospodarki i produkcji Rzeszy”. Nie otrzymałem żadnej odpowiedzi.

Po kapitulacji zjawiali się od czasu do czasu amerykańscy lub angielscy oficerowie, którzy nie krępując się chodzili po pomieszczeniach naszej „siedziby rządowej”. Pewnego dnia, w połowie maja, wszedł do mojego pokoju amerykański podporucznik. „Czy nie wie pan, gdzie znajduje się Speer?” zapytał. Gdy przedstawiłem się, zakomunikował mi, że amerykańska kwatera główna zbiera wiadomości o skutkach alianckich nalotów lotniczych. Zapytany oświadczyłem, że jestem gotów udzielić informacji.

że

Przed kilkoma dniami książę Holsztynu oddał mi do dyspozycji na kwaterę zamek Glucksburg, oddalony parę kilometrów od Flensburga. W tym zamku z szesnastego stulecia jeszcze tego samego dnia siedziałem wspólnie z kilkoma prawie równymi wiekiem cywilnymi pracownikami USSBS (United States Strategic Bombing Survey) ze sztabu Eisenhowera. Omawialiśmy błędy i charakterystyczne cechy nalotów lotniczych obu stron. Nazajutrz adiutant zameldował mi, że przed wejściem do zamku znajduje się grupa amerykańskich oficerów, a wśród nich jakiś generał. Nasza warta, wystawiona przez niemiecki oddział pancerny⁴, sprezentowała broń i tak, w pewnym sensie pod osłoną niemieckiej broni, wkroczył do mojego pokoju generał F. L. Anderson, dowódca jednostek bombowych 8 amerykańskiej floty powietrznej. Podziękował mi uprzejmie, że zgodziłem się oddać do dyspozycji w celu prowadzenia dalszych rozmów. Przez następne trzy dni systematycznie omawialiśmy różne aspekty nalotów lotniczych; 19 maja odwiedził nas przewodniczący „Economic Warfare” w Waszyngtonie, D'Olier, ze swoim zastępcą Alexandrem oraz współpracownikami: dr. Galbraithem, Paulem Nitzem, Georgem Ballem, pułkownikiem Gilkrestem i Williamsem. Z racji swojej funkcji wiedziałem o dużym znaczeniu tej instytucji dla amerykańskiego kierownictwa wojny.

W naszej „wyższej szkole wojny bombowej” panował i w następnych dniach prawie koleżeński ton, który zniknął nagle, gdy prasa całego świata zaalarmowała o śniadaniu z szampanem, jakie spożywali wspólnie Goring i generał Patton. Ale przedtem generał Andersen powiedział pod moim adresem najdziwniejszy i najbardziej pochlebny w mojej karierze komplement: „Gdybym wcześniej znał pańskie sukcesy, skierowałbym całą ósmą amerykańską flotę powietrzną, ażeby wysłać pana w zaświaty”. Ta flota rozporządzała ponad dwoma tysiącami dziennych bombowców - dobrze, że uznanie przyszło za późno.

Moja rodzina wynajęła na pewien okres mieszkanie w odległości 40 kilometrów od Glucksburga. Rzykując jedynie przyśpieszenie o kilka dni aresztowania mnie, wybrałem się swoim samochodem z rozciągającej się wokół Flensburga enklawy i dzięki niefrasobliwości Anglików bez przeszkód dotarłem do okupowanej strefy. Spacerowali po ulicach, nie zwracając uwagi na mój samochód. Lufy ciężkich czołgów, stojących w miastach i miasteczkach, osłonięte były pokrowcami. W ten sposób znalazłem się przed domem w majątku, gdzie ulokowała się moja rodzina. Cieszyliśmy się wszyscy z tego figla, który udał mi się jeszcze kilka razy. Może jednak zbyt wiele wymagałem od Anglików. 21 maja bowiem sprowadzono mnie moim własnym samochodem do Flensburga i zamknięto w pokoju Secret Service, którego pilnował żołnierz z pistoletem maszynowym na kolanach. Po kilku godzinach zostałem zwolniony. Mój samochód znikł, lecz Anglicy swoim wozem przywieźli mnie z powrotem do Glucksburga.

Dwa dni potem do sypialni wpadł mój adiutant. Anglicy otoczyli Glucksburg. Po chwili do pokoju wszedł jakiś sierżant i oświadczył, że zostaję wzięty do niewoli. Odpiął pas z pistoletem, położył jakby niechcący na moim stole, po czym opuścił pokój, umożliwiając mi spakowanie rzeczy. Wkrótce przetransportowano mnie samochodem ciężarowym do Flensburga: mogłem dostrzec, że wokół zamku Glucksburg zajęły stanowiska liczne działa przeciwpancerne. I tak ciągle zanadto mi wierzyli. O tej samej godzinie zdjęto ze szkoły marynarki flagę wojenną Rzeszy, codziennie wciągana na maszt. Jeżeli coś mogło wskazywać, że w rządzie Donitza, mimo wszelkich wysiłków, nie chodziło o nowy porządek, to właśnie obstawanie przy starej fladze. Już w pierwszych dniach naszej działalności we Flensburgu byliśmy z Donit-

zem zdania, że flaga ta musi pozostać. Uważałem, że nowy początek nie należał do nas. Flensburg był tylko ostatnim etapem Trzeciej Rzeszy, niczym więcej.

Zejsście z piedestału władzy, być może w normalnych okolicznościach związane z głębokim załamaniem się, nie wywołało u mnie, ku mojemu zdziwieniu, większego wzruszenia. Szybko dostosowałem się do warunków życia w niewoli, co należy chyba tłumaczyć tym, że przeszedłem dwunastoletnią szkołę podporządkowywania się; w swojej świadomości bowiem już w państwie Hitlera byłem człowiekiem uwięzionym. Teraz, uwolniony od odpowiedzialności za codzienne decyzje, poczułem w pierwszych miesiącach nie znaną mi potrzebę snu, ogarnęła mnie umysłowa niemoc, czego starałem się nie okazywać na zewnątrz.

We Flensburgu znów spotkali się wszyscy członkowie rządu Donitza. Siedzieliśmy wzdłuż ścian na ławkach w pomieszczeniu przypominającym poczekalnię, każdy otoczony walizkami ze swoim dobytkiem. Musieliśmy wyglądać podobnie jak emigranci oczekujący na statek. Panował smutny nastrój. Wzywano nas pojedynczo do sąsiedniego pokoju, by zarejestrować jako więźniów. Zależnie od odporności psychicznej zarejestrowani powracali rozjątrzeni, obrażeni albo zdeprymowani. Kiedy nadeszła moja kolejka, poczułem się również urażony z powodu przykrych badań, jakie przeprowadzano. Prawdopodobnie było to następstwem samobójstwa Himmlera, który ukrył w ustach ampułkę z trucizną. Wraz z Donitzem i Jodlem zaprowadzono mnie na małe podwórze, gdzie z okien górnego piętra budynku skierowano na nas zastraszająco dużo karabinów maszynowych. Reporterzy prasowi i operatorzy filmowi zabrali się do pracy, a ja usiłowałem sprawiać wrażenie, jakby nic nie obchodził mnie ten cały teatr, przeznaczony tylko dla kroniki filmowej. Następnie wraz z innymi współtowarzyszami losu, których spotkałem w poczekalni, załadowano nas do kilku samochodów ciężarowych. Przed i za nami, jak to mogłem dostrzec na zakrętach ulic, jechał konwój złożony z około trzydziestu do czterdziestu opancerzonych pojazdów, największy, jaki towarzyszył mi kiedykolwiek, gdyż dotychczas miałem zwyczaj jeżdżenia samochodem sam, bez ochrony. Na lotnisku umieszczono nas na pokładach dwóch dwumotorowych samolotów transportowych. Siedząc na kufrach i skrzyniach, sprawialiśmy już niewątpliwie wrażenie prawdziwych „więźniów”. Nie znaleźmy celu. Należało się pogodzić z tym, że również w przyszłości, podobnie jak teraz, podczas wszelkich przenosin nie będziemy wiedzieli, dokąd się udajemy, choć przez tyle lat określaliśmy

nasze cele z tak dużą dokładnością. Tylko dwa cele tych podróży były zupełnie jasne: Norymberga i Spandau.

Lecieliśmy nad wybrzeżem, potem długo nad Morzem Północnym - czyżby więc do Londynu? Samolot wykonał zwrot na południe. Patrząc na krajobraz myśleliśmy, że znajdujemy się nad Francją. Dostrzeżliśmy duże miasto. Niektórzy sądzili, że to Reims. Był to jednak Luksemburg. Samoloty wylądowały, na zewnątrz uformował się podwójny kordon amerykańskich żołnierzy, a każdy z nich trzymał gotowy do strzału pistolet maszynowy, skierowany na drogę, którą mieliśmy przechodzić. Takie przyjęcie widziałem dotychczas tylko na filmach gangsterskich, gdy pod koniec projekcji prowadzono ujętą bandę przestępców. Prymitywne samochody ciężarowe z dwiema drewnianymi ławami, a pomiędzy nimi żołnierze, których pistolety maszynowe bez przerwy wycelowane były w naszą stronę; tak przejeżdżaliśmy przez szereg miejscowości, gdzie przechodnie gwizdali i obrzucali nas niezrozumiałymi obelżywymi słowami. Zaczął się pierwszy etap mojej niewoli.

Zatrzymaliśmy się przed okazałym budynkiem hotelowym w Mondorfie, po czym zaprowadzono nas do recepcji. Przez oszklone drzwi można było zobaczyć na zewnątrz Goringa i inne osobistości z byłego kierownictwa Trzeciej Rzeszy; spacerujący tam i z powrotem ministrowie, feldmarszałkowie, reichsleiterzy partii, sekretarze stanu i generałowie. Był to przykry widok, wszyscy, którzy ostatnio rozproszyli się jak plewy na wietrze, zebrali się tu znów razem. Trzymałem się na uboczu, starałem się w miarę możliwości zachować spokój. Tylko raz zagadnąłem Kesselringa, dlaczego jeszcze wtedy, kiedy nie dochodziły już rozkazy Hitlera, wysadzał mosty, zamiast je chronić. Wykazując sztywny, wojskowy sposób myślenia, oświadczył mi, że mosty musiały być niszczone, jak długo jeszcze trwała walka; jego jako dowódcę nie obchodziło nic oprócz zapewnienia bezpieczeństwa swym żołnierzom. Wkrótce wyłoniły się sprzeczności na tle ustalania starszeństwa. Hitler proklamował Goringa swoim następcą we wcześniejszych latach, Donitza natomiast uczynił nowym szefem państwa w ostatnim momencie. Goring jako marszałek Rzeszy był też najwyższy rangą pośród obecnych oficerów. Nowa głowa państwa i zdetronizowany następcą spierali się i próbowali rozstrzygnąć, komu należy się teraz pierwszeństwo przy wejściu w opróżnionym hotelu w Mondorfie, kto ma zajmować pierwsze miejsce przy stole i w ogóle kto niezaprzeczalnie stoi na czele naszego gremium. Nie można było osiągnąć zgodności w kilku kwestiach. Doszło do tego, że obaj unikali spotkania się przed

drzwiami, a w jadalni każdy z nich zajmował miejsce przy oddzielnym stole. Zwłaszcza Goring nadal był świadomy swej szczególnej pozycji. Gdy pewnego razu doktor Brandt opowiadał mimochodem, jak dużo stracił, Goring wtrącił: „Ach, co też pan opowiada! Nie ma pan żadnego powodu do uskarżania się. Co pan w ogóle posiadał! Ale ja! Miałem przecież tak wiele...”

Po upływie czternastu dni od chwili przybycia zakomunikowano mi, że mam być przeniesiony. Od tej pory Amerykanie traktowali mnie, co było ledwie zauważalne, z pewnym respektem. Wielu współjeńców interpretowało moje przeniesienie zbyt optymistycznie jako misję odbudowy Niemiec; nie oswoili się z myślą, że dokonywać się to może również bez nas. Przekazano mi pozdrowienia dla rodzin i krewnych. Przed wejściem do hotelu stał samochód, tym razem nie ciężarowy, lecz limuzyna, nie było żandarma wojskowego z pistoletem maszynowym, lecz przyjaźnie witający mnie podporucznik. Jechaliśmy na zachód, obok Reims, do Paryża. W centrum miasta podporucznik wysiadł przed budynkiem administracyjnym, lecz zaraz powrócił. Zaopatrzony w mapę i nowe rozkazy polecił kierowcy jechać w górę Sekwany. Zdezorientowany sądziłem, że udajemy się do Bastylli, zapomniałem zupełnie, że od dawna już była zburzona. Podporucznik jednak zaczął się niepokoić, porównywał nazwy ulic i, okazało się, co przyjąłem z ulgą, całkiem pomylił trasę. Łamiąc język, swoją szkolną angielszczyzną zaproponowałem, że mogę wskazywać drogę; ale dopiero po pewnym wahaniu podporucznik ujawnił cel podróży: Trianon w Wersalu. Drogę tę znałem dobrze, przyjemnie mi się tu mieszało, kiedy w 1937 roku projektowałem niemiecki pawilon na wystawie światowej.

Zaparkowane luksusowe samochody oraz honorowe posterunki przed wejściem świadczyły o tym, że nie obóz jeńców tu się mieścił, lecz sztaby alianckie; była to kwatera główna Eisenhowera. Podporucznik zniknął we wnętrzu, a ja spokojnie mogłem obserwować widok nadjeżdżających samochodów wyższych generałów. Po długim oczekiwaniu zjawił się sierżant, który eskortował nas dalej aleją wzdłuż trawników, prosto do małego zameczku, którego brama otworzyła się przed nami.

Przez kilka tygodni Chesnay było miejscem mojego pobytu. Ulokowano mnie na drugim piętrze tylnego skrzydła w małym pokoju, w którym znajdowało się spartańskie wyposażenie, to znaczy polowe i krzesło, a okno było gęsto zakratowane drutem kolczastym. Przed drzwiami postawiono uzbrojonego wartownika.

łóżko

Następnego dnia mogłem podziwiać nasz zameczek również od frontu. Otoczony starymi drzewami, znajdował się w małym parku okolonym wysokim murem, poprzez który można było dostrzec sąsiedni zamek wersalski. Piękne rzeźby z osiemnastego stulecia stwarzały sielankową atmosferę. Mogłem pół godziny spacerować; towarzyszył mi żołnierz z pistoletem maszynowym. Zabroniono mi nawiązywania jakichkolwiek kontaktów, lecz mimo to po kilku dniach wiedziałem coś niecoś o przebywających tu jeńcach. Byli to niemal wyłącznie wybitni technicy i naukowcy, fachowcy rolnictwa i Kolei Rzeszy, a wśród nich stary minister Dorpmuller. Rozpoznałem konstruktora samolotów, profesora Heinkla, jednego z jego pracowników oraz wielu innych, którzy ze mną współpracowali. W tydzień po moim przybyciu zabrano pilnującego mnie strażnika, mogłem się więc swobodnie poruszać podczas spaceru. Tym samym skończył się monotonny okres samotnych przechadzek, polepszyło się moje samopoczucie. Przyszli nowi - różni pracownicy mojej administracji, wśród nich Frank i Saur; oficerowie techniczni amerykańskich i brytyjskich sił zbrojnych chcieli uzyskać od nas informacje. Byliśmy zgodni, że powinniśmy podzielić się z nimi naszym doświadczeniem w dziedzinie techniczno-zbrojeniowej.

Osobiście niewiele mogłem się do tego przyczynić. Bardziej szczegółowymi danymi dysponował Saur. Dlatego też byłem niezwykle wdzięczny naszemu komendantowi obozu, brytyjskiemu majorowi wojsk spadochronowych, gdy wyrwał mnie z tej nudnej pustki, zapraszając na przejażdżkę samochodem.

Minęliśmy mały zamek i park i udaliśmy się do Saint Germain, pięknego dzieła Franciszka I, a stąd wzdłuż Sekwany w kierunku Paryża. Przejeżdżaliśmy obok „Coq Hardi”, słynnej restauracji w Bougival, gdzie spędzałem kiedyś urocze wieczory w towarzystwie Cortota, Vlamincka, Despiou i innych artystów francuskich. Dotarliśmy do Pól Elizejskich. Major zaproponował przechadzkę, na co się jednak ze względu na jego dobro nie zgodziłem, mógłbym przecież zostać rozpoznany. Przez Place de la Concorde skręciliśmy na bulwary nad Sekwaną. Tutaj było bardziej pusto, więc odważyliśmy się na przechadzkę, a następnie przez Saint Cloud powróciliśmy do naszego obozu.

W kilka dni później na dziedziniec zamkowy zajechał wielki omnibus, jak gdyby zakwaterowano u nas jakąś wycieczkę turystyczną. Wśród przybyłych rozpoznaliśmy Schachta i dawnego szefa urzędu uzbrojenia, generała Thomasa. Przywieziono ważnych więźniów niemieckich obozów koncentracyjnych, których Amerykanie uwolnili w południowym Tyrolu, zabrali na Capri, a następnie sprowadzili do

naszego obozu. Wśród nich miał również znajdować się Niemoller; nie znaliśmy go, ale wraz z innymi przybył ubrany na czarno wąły mężczyzna z siwymi włosami. Heinkel, konstruktor Flettner i ja twierdziliśmy zgodnie, że musi to być Niemoller. Współczuliśmy temu człowiekowi, którego wygląd świadczył o długoletnim pobycie w obozie koncentracyjnym. Flettner podjął się przekazać mu wyrazy naszej sympatii, zaledwie jednak zaczął mówić, usłyszał: „Thyssen! Nazywam się Thyssen! Niemoller znajduje się po tamtej stronie”. Stał tuż obok, młodzieńczy i skupiony, paląc fajkę - przykład tego, jak można latami znosić trudy więzienia. Później często jeszcze myślałem o nim. Po kilku dniach omnibus odjechał; tylko Thyssen i Schacht pozostali w naszym gronie.

Gdy przenoszono kwaterę główną Eisenhowera do Frankfurtu, również przed naszym hotelem pojawiła się kolumna około dziesięciu amerykańskich wojskowych samochodów ciężarowych. Zgodnie ze szczegółowo sporządzonym planem załadowano nas do dwóch otwartych wozów, wyposażonych w drewniane ławki. Do pozostałych ładowano meble. Gdy przejeżdżając przez Paryż zatrzymaliśmy się z powodu zatorów komunikacyjnych, za każdym razem gromadziły się tłumy, które obrzucały nas obelgami i groziły nam. Na wschód od Paryża, na przydrożnej łące, zrobiliśmy przerwę obiadową; strażnicy i więźniowie, pomieszani ze sobą, tworzyli zgodne towarzystwo. Celem pierwszego dnia był Heidelberg. Cieszyłem się, że nie dotarliśmy do niego, gdyż nie chciałem siedzieć w więzieniu w rodzinnym mieście.

Następnego dnia przybyliśmy do Mannheimu. Wydawało się, że miasto pozbawione jest jakiegokolwiek życia. Ulice były wymarłe, domy zniszczone. Na poboczu jednej z ulic stał zaniedbany wojak z najeżonymi wąsami, w zniszczonym mundurze, dźwigając na plecach pudło z dykty, zabłąkany i otepiały: obraz klęski. W pobliżu Nauheimu zboczyliśmy z autostrady i stromą drogą pod górę wjechaliśmy na dziedziniec zamku Kramsberg. Ten duży zamek zbudowałem zimą 1939 roku jako główną kwaterę Goringa, oddaloną pięć kilometrów od centrali dowodzenia Hitlera. Dla licznej służby Goringa dobudowano wtedy dwupiętrowe skrzydło, w którym teraz umieszczono nas, jeńców.

W obozie tym, w przeciwieństwie do Wersalu, nie było drutu kolczastego; nawet okna na górnym piętrze naszego budynku umożliwiały swobodną obserwację terenu, a kute z żelaza, zaprojektowane przeze mnie drzwi pozostały nie zamknięte. Mogliśmy się nieskrępowanie poruszać po terenie zamku. Powyżej zamku założyłem przed pięciu laty ogród owocowy, otoczony metrowej wysokości murem. Oglądaliś-

my stąd rozległy widok na lasy Taunusu, a poniżej nas znajdowała się wioska Kransberg ze spokojnie dymiącymi kominami.

W porównaniu do chłopów, którzy na wolności musieli głodować, mieliśmy nieprzyzwoicie dobre warunki, otrzymywaliśmy bowiem amerykańskie racje wojskowe. Wśród ludności wioski obóz nie miał dobrej sławy. Krążyły pogłoski, że jesteśmy źle traktowani, że nie otrzymujemy nic do jedzenia, a w więziennej wieży maltretowana jest Leni Riefenstahl. Właściwie do tego zamku przywieziono nas po to, abyśmy odpowiedzieli na pytania dotyczące technicznej strony prowadzenia wojny. Przybyło tu wielu fachowców, prawie całe kierownictwo mojego ministerstwa, niemal wszyscy szefowie departamentów, kierownicy produkcji amunicji, czołgów, samochodów, okrętów, samolotów i materiałów włókienniczych, czołowi przedstawiciele chemii i konstruktorzy, jak profesor Porsche. Ale rzadko zjawiali się ci, którzy chcieli wydobyć od nas informacje. Więźniowie sarkali, ponieważ słusznie spodziewali się, że po udzieleniu informacji będą znów wolni. Na kilka dni przybył do nas także Wernher von Braun ze swymi współpracownikami. Rozmawialiśmy o propozycjach, jakie on i jego sztab otrzymał od USA i Anglii... Poza tym zabijaliśmy nudę porannym sportem, słuchaniem cyklu naukowych referatów, a raz nawet deklamacją wierszy w wykonaniu Schachta. Powołano również do życia cotygodniowy kabaret. Przyglądaliśmy się przedstawieniom, na scenie bowiem nawiązywano stale do naszej sytuacji, i niekiedy śmieliśmy się do łez z naszego upadku.

Pewnego ranka, zaraz po godzinie szóstej, wyrwał mnie ze snu jeden z moich współpracowników: „Słyszałem właśnie w radio, że należy pan wraz z Schachtem do oskarżonych w procesie norymberskim”. Próbowałem zachować spokój, ale wiadomość ta mocno mnie poruszyła. Początkowo trudno mi było się z tym pogodzić, chociaż uznawałem zasadę, że jako jedna z osób zajmujących kierownicze stanowisko w reżimie muszę odpowiadać za jego winy. Nie bez obawy oglądałem w gazecie zdjęcia wnętrza więzienia norymberskiego. Już przed tygodniami czytałem, że ulokowano tam kilku czołowych członków rządu. Współoskarżony Schacht musiał już wkrótce zamienić nasz stosunkowo przyjemny obóz na norymberskie więzienie, ale miały jeszcze upłynąć całe tygodnie, zanim przeniesiono tam mnie.

Chociaż postawiono mi ciężkie zarzuty, strażnicy nie traktowali mnie z rezerwą. „Wkrótce będzie pan wolny i zapomni o całej sprawie”, pocieszali. Sierżant Williams zwiększył mi racje żywności,

abym, jak mówił, miał siłę na procesie. A brytyjski komendant obozu zaprosił mnie następnego dnia po ogłoszeniu tej wiadomości na przejażdżkę samochodem. Jechaliśmy sami, bez straży, przez lasy Taunusu, rozłożyliśmy się pod dużym drzewem owocowym, włączyliśmy się po lesie, a on opowiadał mi o polowaniach na niedźwiedzie w Kaszmirze.

Były piękne wrześnie dni. W końcu miesiąca zajechał przed wejście amerykański jeep: eskorta. Brytyjski komendant wzbraniał się początkowo przed wydaniem więźnia, zwrócił się o wytyczne do Frankfurtu. Sierżant Williams zaopatrzył mnie w dużą ilość biszkoptów i wciąż dopytywał się, czy nie potrzebuję jeszcze czegoś z jego magazynu. Gdy w końcu wsiadłem do samochodu, na dziedzińcu zgromadziła się prawie w komplecie załoga obozu. Wszyscy przekazywali mi najlepsze życzenia na drogę. Nie zapomnę zycyliwych i przerażonych oczu brytyjskiego pułkownika, który żegnał mnie w milczeniu.

1 Grenlandia była według ówczesnych pojęć tak odległa i osamotniona, że nawet intensywne rozpoznanie lotnicze nie mogło być właściwie niebezpieczne. Samoloty zaopatrzeniowe stacji meteorologicznych mogły zabrać dostateczną ilość paliwa, by z Grenlandii powrócić do Anglii, gdzie chcieliśmy się przenieść późną jesienią 1945 r.

2 Chodziło o skrócony tekst przemówienia, które kazałem nagrać 21 kwietnia 1945 r. w rozgłośni hamburskiej. Uzupełnienie, jakiego żądał Schwerin-Krosigk, brzmiało następująco: „Tylko z tego powodu (by uniknąć strat ludności) admirał czuje się zmuszony do nieskładania broni. Jedynym sensem prowadzonej jeszcze teraz walki jest zapobieżenie śmierci Niemców, uciekających przed wojskami radzieckimi lub przez nie zagrożonych. Nasz naród, który tak dzielnie znosił cierpienia wojny, musi jeszcze wziąć na siebie ten ostatni obowiązek w bohaterskiej walce Niemiec”.

3 Por. list do Donitza z 7 maja 1945 r. Już 5 maja zakomunikowałem Donitzowi przez jego szefa „gabinetu cywilnego”, Wegenera: „Skoro rozstrzygnięta została kwestia przekazania okupowanych jeszcze terenów (przeciwnika) i nie zajętej dotychczas części terytorium Rzeszy, zrzekam się zarządzania obydwoma ministerstwami, ustępując tym samym z rządu Rzeszy, który ma być obecnie utworzony”. Donitz prosił mnie, bym pozostał. 15 maja ponownie napisałem do Schwerin-Krosigka: „Przy przekazywaniu listy członków rządu należy poczynić następujące uwagi:

1. Pan Speer uważa za konieczne przekazanie odpowiedniemu następcy sprawowanej przez niego funkcji ministra Rzeszy do spraw gospodarki i produkcji, chcąc następnie pozostawać do dyspozycji aliantów. Jego doświadczenia mogą być przejściowo wykorzystywane przy odbudowie produkcji i gospodarki budowlanej...”

4 Także przy zawieszeniu broni zezwalano wojskom niemieckim znajdującym się przy siedzibie rządu Donitza na noszenie lekkiego uzbrojenia. - Stwierdziłem podczas tego spotkania, zgodnie z protokołem posiedzeń z 19 maja 1945 r.: „Aby nie dopuścić do błędnej interpretacji mojego postępowania, nie potrzebuję zbierać punktów dodatnich. Aspekt polityczny zbada druga strona”.

Rozdział 34

NORYMBERGA

Wieczorem przywieziono mnie do osławionego obozu przesłuchań w Oberursel koło Frankfurtu. Sierżant, który mnie pilnował, opowiadał głupie, szydercze kawały; zjadłem wodnistą zupę, zagryzając ją swoimi brytyjskimi biszkoptami. Ze smutkiem myślałem o pięknym Kransbergu. W nocy słyszałem rubaszne głosy amerykańskich wartowników, trwożne odpowiedzi i krzyki; rano widziałem, jak obok mojej celi prowadzono pod strażą niemieckiego generała, pokornego i zrozpaczonego.

W końcu ciężarówką, przykrytą plandeką, odtransportowano nas w dalszą drogę. Siedzieliśmy ciasno jeden obok drugiego; wśród obecnych rozpoznałem nadburmistrza Stuttgartu, dr. Strolina, oraz węgierskiego regenta Horthyego. Nie podano nam celu, ale wiedzieliśmy: Norymberga. Przybyliśmy na miejsce, gdy było już ciemno. Otworzono bramę i przez chwilę znalazłem się w pomieszczeniu, które przed kilkoma tygodniami widziałem na zdjęciu w gazecie. Zanim zdążyłem się rozejrzeć, zamknięto mnie w celi. Naprzeciw, przez otwór¹ w drzwiach swojej celi, spoglądał Goring i kiwał głową. Siennik, stare, podarte i brudne koce, żadnego człowieka, który spisałby dane personalne więźnia. Chociaż wszystkie cztery piętra były zajęte, panowała niesamowita cisza, przerywana tylko od czasu do czasu otwieraniem drzwi do celi, gdy prowadzono więźnia na przesłuchanie. Mój sąsiad z naprzeciwka, Goring, chodził ciągle po celi tam i z powrotem, w otworze drzwi dostrzegałem w regularnych odstępach czasu jego grubą sylwetkę. Ja również zacząłem wkrótce spacerować po swojej celi, początkowo tam i z powrotem, a później, chcąc lepiej wykorzystać pomieszczenie, w kółko.

Po upływie tygodnia, w czasie którego pozostawiono mnie samemu sobie w dręczącym niepokoju, nastąpiła znacząca dla normalnych ludzi, a dla mnie bardzo istotna zmiana: zostałem przeniesiony na trzecie piętro, na słoneczną stronę, gdzie znajdowały się lepsze pomieszczenia i wygodniejsze łóżka. Tutaj po raz pierwszy odwiedził mnie amerykański dyrektor, pułkownik Andrus: „Very pleased to see you!” Wydawało mi się, że w jego słowach słyszę coś w rodzaju kpiny; już w Mondorfie jako komendant obozu utrzymywał surowy rygor. Przyjemne natomiast było ponowne spotkanie z personelem niemieckim. Kucharze, którzy roznosili posiłki, oraz fryzjerzy zostali starannie dobrani spośród jeńców wojennych. Właśnie dlatego, że sami również cierpieli udręki więzienia, chętnie przychodzili nam wszystkim z pomocą, gdy nie było strażników. Przekazywali dyskretnie niejedną wiadomość z gazet, wiele dobrych życzeń i słowa otuchy.

Gdy opuściło się górną część wysoko umieszczonego okna celi, wpadało do niej dostatecznie dużo słońca, by można się opalać. Leżąc na kilku kocach na podłodze, zmieniałem swoje położenie wraz z przesuwaniem się promieni słonecznych, aż do ostatnich, ukośnych. Nie było światła, żadnych książek ani czasopism. Zostałem całkowicie skazany na pokonywanie coraz większych wewnętrznych niepokojów bez jakiegokolwiek pomocy z zewnątrz.

Przed moją celą często przeprowadzano Sauckla. Na mój widok przybierał ponurą minę, ale jednocześnie był zmieszany. Wreszcie otworzyły się i moje drzwi, czekał na mnie amerykański żołnierz trzymając w ręku kartkę, na której napisane było nazwisko i numer pokoju osoby przesłuchującej. Prowadzono mnie przez podwórza i boczne schody w hallach norymberskiego pałacu sprawiedliwości. Po drodze natknąłem się na Funka, wracającego z przesłuchania, bardzo wyczerpanego i przygnębionego. Podczas naszego ostatniego spotkania w Berlinie obaj znajdowaliśmy się jeszcze na wolności. Mijając mnie, zawołał: „A więc widzimy się znów”. Jego wygląd - brak krawata, nie uprasowane ubranie, niezdrowa, blada cera - pozwalał się domyślać, że również ja przedstawiam godny pożałowania widok. Od tygodni bowiem nie przeglądałem się w lustrze, i tak miało być przez całe lata. Widziałem również Keitla stojącego w pokoju przed kilkoma oficerami amerykańskimi. On także sprawiał wstrząsające wrażenie człowieka załamanego.

Czekał na mnie młody amerykański oficer, który poprosił uprzejmie, bym siadł i udzielił mu pewnych wyjaśnień. Widocznie Sauckel usiłował wprowadzić przesłuchujących w błąd, przedstawiając mnie jako jedynie odpowiedzialnego za zatrudnianie robotników obcokrajowców. Oficer okazał mi życzliwość i z własnej inicjatywy zrehabilitował oświadczenie, które potwierdziłem przysięgą i które znów ukazywało sprawy we właściwym świetle. Ulżyło mi. Miałem bowiem dotychczas uczucie, że zgodnie z zasadą: „obciążaj nieobecnego”, po moim wyjeździe z Mondorfu działo się coś przeciwko mnie. Wkrótce zostałem zaprowadzony do zastępcy szefa oskarżenia, Dodda. Zadawał mi pytania agresywnie i ostrym tonem, a ja nie pozostawałem mu dłużny. Odpowiadałem z odwagą, bez względu na moją późniejszą obronę, otwarcie i bez wykrętów. Zrezygnowałem z mówienia tego, co mogłoby wyglądać na usprawiedliwienie się. Po powrocie do swej celi pomyślałem: „Teraz znalazłeś się w pułapce”, i rzeczywiście ta wypowiedź stanowiła istotną część późniejszego oskarżenia przeciwko mnie.

Ale jednocześnie przesłuchanie to dodało mi sił; sądziłem i sądzę jeszcze dzisiaj, że postępowałem słusznie, przestrzegając zasady: nie stosować żadnych wybiegów i nie oszczędzać własnej osoby. Z niepokojem, a zarazem postanowieniem, że nadal będę tak postępował, oczekiwałem następnego, zapowiedzianego już przesłuchania. Ale nie doszło do niego. Być może spowodowała to moja szczerść, nie wiem. Składałem tylko jeszcze uzupełniające zeznania przed oficerami radzieckimi, którym towarzyszyła mocno uszmkowana sekretarka. Jej widok klócił się z moim, ukształtowanym przez propagandę obrazem radzieckich ludzi. Po każdej odpowiedzi oficerowie potakiwali skinieniem głowy, mówiąc: „Tak, tak”, co brzmiało dziwnie, ale, jak wkrótce ustaliłem, odpowiadało niemieckiemu „So, so”. Pewnego razu radziecki pułkownik zapytał mnie: „Czytał pan przecież Mein Kampf Hitlera?” W rzeczywistości przekartkowałem jedynie tę książkę, po pierwsze dlatego, że Hitler uważał ją za przestarzałą, po drugie zaś - że trudno było ją czytać. Zaprzeczyłem więc, co pułkownika mocno ubawiło. Zirytowany wycofałem swoją odpowiedź i oświadczyłem, że czytałem tę książkę. Była to w końcu również jedyna wiarygodna odpowiedź. W toku procesu kłamstwo to miało nieoczekiwane następstwa. W krzyżowym ogniu pytań radzieckie oskarżenie przytoczyło moje fałszywe przyznanie się; musiałem pod przysięgą zgodnie z prawdą powiedzieć, że przedtem kłamałem.

W końcu października wszystkich oskarżonych umieszczono na niższym piętrze, usuwając jednocześnie z tego skrzydła innych więźniów. Panowała przerażająca cisza. Dwudziestu jeden ludzi oczekiwało na swój proces.

Teraz również zjawił się przybyły z Anglii Rudolf Hess -w szaroniebieskim płaszczu, pomiędzy dwoma żołnierzami amerykańskimi, z którymi złączony był kajdankami. Sprawiał wrażenie roztargnionego, a zarazem krnąbrnego. Od lat przywykłem widzieć tych wszystkich oskarżonych ubranych we wspaniałe mundury, pełnych pychy albo jowialnych. Obecny widok wydawał mi się nierealny; miałem wrażenie, że śnię.

Jednakże my również zachowywaliśmy się już jak więźniowie. Kto z nas przypuszczałby, kiedy był jeszcze reichsmarszałkiem, feldmarszałkiem, grossadmiralem, ministrem albo reichsleiterem, podda się testowi amerykańskich psychologów wojskowych badającemu inteligencję? A jednak nie tylko poddawano się temu bez oporów, lecz każdy starał się dowieść swoich zdolności.

Zwycięzcą w tym teście, stanowiącym sprawdzian pamięci, szybkości reakcji i wyobraźni, został niespodziewanie Schacht. Zwyciężył, ponieważ za wiek dawano dodatkowe punkty. Seyss-Inquart, którego nikt o to nie podejrzewał, osiągnął najwyższą ilość punktów. Również Goring uplasował się wśród pierwszych; ja zająłem dobre miejsce.

W kilka dni po oddzieleniu nas od pozostałych więźniów do naszego bloku, w którym panowała śmiertelna cisza, wtargnęła komisja złożona z kilku oficerów. Chodzili od celi do celi. Słyszałem jakieś słowa, których nie mogłem zrozumieć, aż w końcu otworzyły się również drzwi mojej celi i przekazano mi bez żadnych wyjaśnień wydrukowany akt oskarżenia. Zakończyły się badania wstępne, rozpoczął się właściwy proces. W swej naiwności wyobrażałem sobie, indywidualne akty oskarżenia. Teraz okazało się, obwiniony został o te wszystkie ogromne przestępstwa, które były wymienione w dokumencie. Po tej lekturze ogarnęło mnie uczucie rozpacz. Rozmyślając nad wydarzeniami i moją w nich rolę, ustaliłem sobie linię postępowania na procesie: własny los traktować jako nieważny, nie troszczyć się o swoje życie, lecz poczuwać do ogólnej odpowiedzialności. Wbrew wszelkim oporom mojego obrońcy i mimo napięcia związanego z procesem podporządkowałem się decyzji.

że

środkowe

że otrzymamy
że każdy z nas

ściśle tej

Kiedy psycholog więzienny, G. M. Gilbert, chodził od celi do celi z egzemplarzem aktu oskarżenia, aby zebrać opinie oskarżonych, i kiedy czytałem zarówno wymijające, jak i szydercze słowa wielu moich współtowarzyszy, napisałem ku jego zdziwieniu: „Proces jest niezbędny. Współodpowiedzialność za tego rodzaju pełne grozy przestępstwa istnieje nawet w państwie autokratycznym”.

To, że wytrzymałem przy tym stanowisku przez dziesięć miesięcy procesu, uważam jeszcze dziś za największy wysiłek psychiczny w swoim życiu.

Wraz z aktem oskarżenia przekazano nam długą listę nazwisk niemieckich adwokatów, z której można było sobie wybrać obrońcę, o ile nie miało się własnych propozycji. Mimo wysiłków nie mogłem sobie przypomnieć żadnego adwokata, a nazwisk obrońców na wręczonej liście w ogóle nie znałem. Wobec tego wybór pozostawiłem sądowi. Po kilku dniach poproszono mnie na parter pałacu sprawiedliwości. Przy jednym ze stołów podniósł się wysmukły pan w okularach o grubych szklach i cichym głosem powiedział: „Mam być pańskim obrońcą, jeżeli pan wyrazi zgodę. Jestem doktor Hans Flachsner z Berlina”. Patrzył na mnie przyjaźnie; nie wyróżniał się niczym szczególnym. Już przy wstępnym omawianiu pewnych szczegółów oskarżenia okazał się sympatyczny i bezpośredni. Następnie wręczył mi formularz: „Proszę wziąć to ze sobą i zastanowić się, czy chce pan, abym był pańskim obrońcą”. Podpisałem natychmiast i nie żałowałem tego. Flachsner dał się poznać na procesie jako przezorny i subtelny adwokat. Jeszcze większe znaczenie miał dla mnie fakt, że odnosił się do mnie z sympatią i współczuciem, co w ciągu dziesięciu miesięcy procesu wytworzyło między nami bliskie stosunki, które przetrwały do dnia dzisiejszego.

Podczas wstępnych przesłuchań władze śledcze nie pozwalały więźniom kontaktować się ze sobą. Teraz złagodzone to zarządzenie. Nie tylko częściej wychodziliśmy na dziedziniec więzienny, lecz również mogliśmy do woli ze sobą rozmawiać. Podczas spacerów powtarzały się zawsze te same tematy i argumenty: proces, akt oskarżenia, niekompetencja międzynarodowego sądu, najgłębsze oburzenie z powodu hańby. Wśród dwudziestu jeden oskarżonych spotkałem tylko jednego, który myślał podobnie jak ja: był to Fritzsche, z którym łatwo mogłem znaleźć wspólny język w sprawie zasad odpowiedzialności. Później spotkałem się także z pewnym zrozumieniem u Seyss-Inquarta. Z pozostałymi jakakolwiek dyskusja była bezcelowa i męcząca. Mówiliśmy różnymi językami.

„Tak, znajdują się tam jeszcze jacyś? Sądziłem, że wszystkich wykończyliśmy. Musiał tam znów ktoś nawalić". Byłem zażenowany.

Decyzji w sprawie wzięcia na siebie odpowiedzialności za cały reżim nie podjąłem bez wewnętrznych oporów. Uniknąć procesu mogłem tylko w wypadku przedwczesnej śmierci. Nocą ogarniała mnie często czarna rozpacz. Próbowałem ścisnąć sobie rękami chorą nogę, ażeby spowodować ponowne zapalenie żył. Kiedy na wykładzie pewnego naukowca w Kramsbergu dowiedziałem się, że nikotyna, nawet z jednego papierosa, pokruszonego i rozpuszczonego w wodzie, powoduje śmierć, przez długi czas nosiłem w kieszeni pokruszony papieros. Ale od zamiaru do decyzji - bardzo daleka droga.

Wielką pomoc stanowiły dla mnie odprawiane co niedziela nabożeństwa. Jeszcze w Kramsbergu nie chciałem brać w nich udziału. Obawiałem się, by nie posądzono mnie o słabość. W Norymberdze jednak wyzbyłem się tych obaw. Pod naciskiem sytuacji, podobnie jak niemal wszyscy pozostali oskarżeni, z wyjątkiem Hessa, Rosenberga i Streichera, zacząłem uczęszczać do naszej małej kaplicy.

W ostatnich tygodniach nasze ubrania leżały zabezpieczone przed molami; Amerykanie wyposażyli nas w roboczą odzież z czarnego drelichu. Teraz przyszli do celi funkcjonariusze więzienni, abyśmy wybrali, które z naszych garniturów mają być przygotowane na proces. Omówiono z komendantem każdy szczegół, aż do guzika na mankiecie włącznie.

19 listopada 1945 roku, po ostatniej inspekcji, przeprowadzonej przez pułkownika Andrusa, każdy z nas w asyście żołnierza, ale bez kajdanek, udał się po raz pierwszy do sali sądowej, która była jeszcze pusta. Rozdzielono miejsca: z przodu Goring, Hess i Ribbentrop; ja znalazłem się w drugiej ławie na trzecim miejscu od końca, w miłym towarzystwie; na prawo ode mnie siedział Seyss-Inquart, na lewo von Neurath, na wprost Streicher i Funk.

Cieszyłem się z rozpoczęcia procesu i prawie wszyscy oskarżeni wyrażali to samo: oby się to wreszcie skończyło!

Proces rozpoczął się długim, obciążającym przemówieniem oskarżycielskim amerykańskiego naczelnego prokuratora, Roberta H. Jacksona. Dodało mi jednak otuchy jedno zdanie, w którym odpowiedzialnością za przestępstwa reżimu obciążono dwudziestu jeden

oskarżonych, a nie naród niemiecki. Takie ujęcie sprawy całkowicie odpowiadało temu, czego oczekiwałem jako ubocznego następstwa procesu: na nas oskarżonych skoncentrowałyby się nienawiść, która w wyniku propagandy lat wojny zwracała się przeciwko narodowi niemieckiemu, a która teraz, po ujawnieniu przestępstw, wzrosła do ogromnych rozmiarów. Reprezentowałem pogląd, że najwyższe kierownictwo współczesnej wojny powinno w końcu ponieść konsekwencje właśnie dlatego, że dotychczas nie było narażone na żadne niebezpieczeństwo². W liście skierowanym do swojego obrońcy, który ustalał linię naszego postępowania, napisałem, ujmując rzecz z ogólnego punktu widzenia, iż wszystko, co powiedziano by na moją obronę, wydawać się będzie nieważne i śmieszne.

Przez wiele miesięcy gromadzono dokumenty i zeznania świadków, które mogłyby udowodnić popełnione przestępstwa bez względu na to, czy ktoś z oskarżonych był z tym związany osobiście. To było straszne i tylko dlatego możliwe do zniesienia, że z czasem coraz bardziej stepione stawały się nerwy. Jeszcze dziś prześladowają mnie zdjęcia, dokumenty i rozkazy, które wydawały się równie przerażające, jak i niewiarygodne, ale w których prawdziwość nikt z oskarżonych nie wątpił.

Porządek dnia zwykle był następujący: od rana do godziny dwunastej w południe rozprawa sądowa, przerwa na posiłek w górnych pomieszczeniach budynku sprawiedliwości, od czternastej do około siedemnastej rozprawa sądowa, potem powrót do celi, gdzie szybko przebierałem się, oddawałem swój garnitur do wyprasowania, zjadałem kolację, po czym prowadzono mnie do pokoju konferencyjnego obrony, gdzie do około dwudziestej drugiej omawiałem z adwokatem przebieg procesu oraz sporządzałem notatki mające mi ułatwić przyszłą obronę. Wreszcie późnym wieczorem powracałem wyczerpany do swej celi i natychmiast zasypiałem. W soboty i niedziele sąd nie obradował, dłużej natomiast pracowaliśmy z adwokatami. Na spacery po dziedzińcu pozostawało niewiele więcej niż pół godziny dziennie.

Mimo wspólnego położenia, wśród oskarżonych nie czuło się żadnej wewnętrznej więzi. Podzieliliśmy się na grupy. Znamienne było urządzenie ogródka generalskiego: małą część ogólnego ogrodu więziennego, o wymiarach nie większych niż sześć na sześć metrów, oddzielono niskim płotem. Spacerowali tam ciągle nasi wojskowi, z własnej woli izolujący się od innych, chociaż zapewne musiało im być niewygodnie na tej małej przestrzeni. My, cywile, respektowaliśmy ten podział. Kierownictwo więzienne ustaliło w różnych pomieszczeniach

porządek zajmowania miejsc przy stole podczas posiłków południowych, przy czym ja znalazłem się w grupie Fritzsche, Funka i Schiracha.

Tymczasem zablęśla znów nadzieja na ocalenie życia, gdy po ogólnym oskarżeniu przystąpiono do szczegółowego formułowania zarzutów w stosunku do każdego z nas. Zróznicowano nas tu wyraźnie, i obaj z Fritzschem liczyliśmy na to, że różne będą wyroki, ponieważ w porównaniu z innymi wypadliśmy względnie łagodnie.

W sali sądowej napotykaliliśmy pełne nienawiści twarze i zimne spojrzenia. Wyjątek stanowiła jedynie kabina tłumaczy. Tutaj mogłem dostrzec przyjazne skinienie głowy; również wśród brytyjskich i amerykańskich oskarżycieli znajdowało się kilku, którzy od czasu do czasu okazywali coś w rodzaju współczucia. Poczułem się dotknięty, gdy dziennikarze zaczęli robić zakłady co do wysokości wyroku, a niektórzy również i nam wróżyli karę śmierci przez powieszenie.

Po kilkudniowej przerwie, która miała służyć końcowym przygotowaniom obrony, rozpoczęło się „przeciwuderzenie”; niektórzy wiele sobie po tym obiecywali. Przed wystąpieniem w charakterze świadka Goring przyrzekł Funkowi, Saucklowi i innym, że weźmie odpowiedzialność na siebie i przez to ich odciąży. W swych początkowych wypowiedziach, które można było uznać za odważne, dotrzymywał tej obietnicy; ale im bardziej nawiązywał do szczegółów, tym większe rozczarowanie malowało się na twarzach tych, którzy na niego liczyli, gdyż punkt po punkcie pomniejszał znów swoją odpowiedzialność.

W pojedynku z Goringiem oskarżyciel Jackson miał tę przewagę, że mógł niespodziewanie wyciągnąć ze swej dużej teczki dokumenty, Goring natomiast potrafił wykorzystać u przeciwnika nieznajomość sprawy. W końcu walczył o swoje życie tylko jeszcze robieniem uników, zatajaniem, zaprzeczaniem.

Nie inaczej postępowali dwaj następni oskarżeni, Ribbentrop i Keitel. Ci pogarszali jeszcze wrażenie wykręcaniem się od odpowiedzialności; przy każdym dokumencie ze swoim podpisem powoływali się na rozkaz Hitlera. Pod wpływem odrazy wymknęło mi się powiedzenie o „listonoszach z wysokim uposażeniem”, które obiegło następnie prasę światową. Jak oceniam to dzisiaj, mieli oni w gruncie rzeczy rację; właściwie nie byli niczym więcej niż narzędziem w przekazywaniu rozkazów Hitlera. Rosenberg natomiast sprawiał wrażenie szczerego

i konsekwentnego. Nie odnosiły skutku czynione przed i za kulisami wszelkie próby wywarcia na niego nacisku, aby wyparł się swego tak zwanego światopoglądu. Hans Frank, adwokat Hitlera i późniejszy generalny gubernator w Polsce, akceptował odpowiedzialność, Funk potrafił zręcznie przytaczać argumenty i wywoływać współczucie, a obrońca Schachta krasomówczą nadgorliwością starał się zrobić ze swego podopiecznego spiskowca, przez co zdołał nieco osłabić wymowę materiałów obciążających oskarżonego. Donitz z kolei bronił uporczywie siebie i swoich okrętów podwodnych, był bardzo zadowolony, gdy jego obrońca mógł przedstawić oświadczenie amerykańskiego dowódcy floty na Pacyfiku, admirała Nimitza, w którym ten potwierdzał, że prowadził wojnę podwodną w myśl tych samych zasad, co niemieckie dowództwo marynarki wojennej. Raeder sprawiał wrażenie człowieka rzeczowego, a Sauckel wykazywał raczej godną pożałowania naiwność. Jodl imponował precyzyjną i logiczną obroną. Jako jeden z niewielu zdawał się panować nad sytuacją.

Przesłuchiwanie odbywało się w kolejności zajmowania miejsc. Moje podniecenie wzrastało, ponieważ na ławie świadków siedział już mój sąsiad, Seyss-Inquart. Nawet jego obrońca nie czynił sobie żadnych iluzji co do sytuacji oskarżonego, ponieważ brał on bezpośredni udział w deportacjach i rozstrzeliwaniu zakładników. Seyss-Inquart był opanowany i zakończył przesłuchanie oświadczeniem, że poczuwa się do odpowiedzialności za wydarzenia. W kilka dni po przesłuchaniu, które przesądziło o jego losie, dzięki szczęśliwemu przypadkowi otrzymał pierwszą wiadomość o swym synu, uważanym do tej pory za zaginionego w Rosji.

Zbliżając się do ławy świadków, czułem treść; połknąłem szybko uspokajającą pigułkę, którą wręczył mi przezornie niemiecki lekarz. Naprzeciw, w odległości dziesięciu kroków, stał przy pulpicie obrony Flachsner, po lewej stronie, na podwyższeniu, siedzieli za swym stołem sędziowie.

Flachsner otworzył gruby rękopis, po czym rozpoczęły się pytania i odpowiedzi. Zaraz na początku stwierdziłem: „Gdyby Hitler miał przyjaciół, byłbym na pewno jednym z nich, i to bliskim”; tym samym oświadczyłem coś, co dotychczas ani razu nie było podejmowane przez oskarżenie. Roztrząsano niezliczoną ilość szczegółów wiążących się z przedłożonymi dokumentami; przedstawiałem sprawy we właściwym świetle, nie próbując przy tym udzielać wykrętnych odpowiedzi ani usprawiedliwiać się³. W kilku zdaniach przyznałem się do odpowiedzialności za wszystkie realizowane przeze mnie rozkazy

Hitlera. Stałem wprawdzie na stanowisku, że w każdym państwie rozkaz musi pozostać rozkazem dla organów podległych, ale mimo to kierownictwo wszystkich szczebli ma obowiązek oceniać i brać pod rozwagę wydawane rozkazy i nie może uwolnić się od odpowiedzialności, gdyby nawet ich realizację próbowano wymusić groźbą. Za jeszcze ważniejszą uważałem, od 1942 roku, ogólną odpowiedzialność za wszystkie przedsięwzięcia Hitlera, nie wyłączając przestępstw, jakie w tym czasie ktokolwiek i gdziekolwiek popełnił. „W życiu państwa istnieje odpowiedzialność za własny odcinek działania”, mówiłem tak przed sądem, „którą oczywiście powinno się w pełni brać na siebie. Ponadto musi się ponosić odpowiedzialność zbiorową za sprawy zasadnicze, kiedy się należy do kierowniczego grona. Któż bowiem, jeśli nie najbliżsi współpracownicy głowy państwa, odpowiadać ma za bieg wydarzeń? Ale to może dotyczyć tylko spraw zasadniczych, a nie szczegółów... W systemie autokratycznym również musi istnieć ta ogólna odpowiedzialność członków kierownictwa i nie można unikać jej po klęsce. Gdybyśmy wygrali wojnę, wówczas ogólne zasługi przypisywałoby sobie prawdopodobnie kierownictwo... Poczuję się do tego obowiązku tym bardziej, że odpowiedzialności przed narodem niemieckim i światem uniknął szef rządu”.

Jedną z tych myśli wyraziłem jeszcze dobitniej w rozmowie z Seyss-Inquartem: „Jak by to wyglądało, gdyby obraz nagle zmienił się i my wszyscy działalibyśmy mając wygraną wojnę? Czy nie sądzi pan, że każdy podnosiłby wtedy swoje zasługi i czyny? Teraz sytuacja się odwróciła, zamiast orderów, zaszczytów i nagród należy oczekiwać wyroku śmierci”.

W ostatnich tygodniach Flachsner na próżno usiłował odwieść mnie od poczuwania się do odpowiedzialności za sprawy, które nie leżały w gestii mojego ministerstwa; obawiał się, że to może pociągnąć za sobą konsekwencje grożące śmiercią. Po złożeniu zeznań poczułem jednak ulgę, a zarazem zadowolenie, że nie uległem pokusie wymigiwania się. Mogłem potem, jak sądziłem, z wewnętrznym usprawiedliwieniem rozpocząć drugą część swojej wypowiedzi, dotyczącą ostatniego etapu wojny. Zakładałem, że ujawnienie nie znanych dotychczas zamiarów Hitlera, aby po przegranej wojnie zniszczyć podstawy egzystencji narodu niemieckiego, musi ułatwić zerwanie z przeszłością⁴, a ponadto stać się najbardziej skutecznym argumentem przeciwko tworzeniu legendy wokół Hitlera. Te wyjaśnienia spotkały się z niezwykle ostrym sprzeciwem Goringa i innych oskarżonych⁵.

O planowanym zamachu zamierzałem tylko krótko wspomnieć przed sądem, właściwie po to, aby pokazać, jak pełne niebezpieczeństw wydawały mi się niszczycielskie plany Hitlera: „Nie chciałbym przytaczać więcej szczegółów”, próbowałem zrobić unik. Sędziowie naradzili się, po czym przewodniczący zwrócił się do mnie: „Sąd zapoznałby się chętnie ze szczegółami. Teraz odraczamy posiedzenie”. Nie miałem ochoty kontynuować wyjaśnień, chcąc właśnie uniknąć chwaleń się tą sprawą. Dlatego też niechętnie podporządkowałem się temu żądaniu, uzgodniwszy z adwokatem, że nie będzie posługiwał się tym fragmentem mojej wypowiedzi w mowie obrończej⁶.

Kończącą część swoich wyjaśnień, dotyczącą ostatniego okresu wojny, składałem bez zakłóceń, zgodnie z tym, co przewidywał nasz rękopis. Chcąc osłabić wrażenie szczególnych zasług, świadomie je ograniczałem: „Wszystkie te przedsięwzięcia nie były wcale tak niebezpieczne. Od stycznia 1945 roku można było w Niemczech zrealizować każdą rozsądną akcję przeciwko oficjalnej polityce; każdy rozumny człowiek przyklasnąłby jej. Nawet starzy towarzysze partyjni spełniali w tym czasie swój obowiązek wobec narodu. Moglibyśmy wspólnie wiele uczynić, aby powstrzymać szaleńcze rozkazy Hitlera”.

Flachsner zamknął swój rękopis z wyraźną ulgą, usiadł na ławie obrońców, a Jackson, główny oskarżyciel Stanów Zjednoczonych oraz członek Sądu Najwyższego USA, zajął swoje miejsce. Nie było to dla mnie żadną niespodzianką, ponieważ poprzedniego wieczoru przyszedł do mojej celi jeden z amerykańskich oficerów i zakomunikował mi, że Jackson zdecydował się również poddać mnie osobiście krzyżowemu ogniovi pytań. Odmiennie niż zwykle, rozpoczął spokojnie, prawie życzliwym tonem. Uzyskawszy jeszcze raz za pomocą dokumentów i pytań potwierdzenie mojej współodpowiedzialności za przymusowe zatrudnianie milionów robotników, zatrzymał się nad drugą częścią mojej wypowiedzi. Tylko ja jeden miałem odwagę powiedzieć Hitlerowi w oczy, że wojnę przegrał. Na dalsze pytanie: „Czy były jeszcze inne spiski oprócz tych, o których pan nam mówił?”, odpowiedziałem wymijająco: „W tym czasie nadzwyczaj łatwo było zorganizować spisek. Wystarczyło zwrócić się prawie do każdego przechodnia na ulicy. Gdyby go się poinformowało, jak wygląda sytuacja, odpowiedziałby: »To przecież oczywista niedorzeczność«. A jeśli należał do odważnych, postawiłby swoją osobę do dyspozycji... Nie było to tak niebezpieczne, jak się teraz wydaje, istniało bowiem może kilka tuzinów ludzi nierozsądnych; pozostałe osiemdziesiąt milionów to ludzie bardzo rozsądni, którzy jakby wiedzieli, do czego to wszystko zmierza.

Po dalszym przesłuchaniu, które prowadził przedstawiciel radzieckiego oskarżenia, generał Ragiński, i które spowodowało wiele nieporozumień na skutek niedokładnego tłumaczenia, jeszcze raz wystąpił Flachsner i przekazał sądowi pisemne oświadczenia moich dwunastu świadków; na tym zakończyło się postępowanie przeciwko mnie. Od kilku godzin dokuczały mi silne bóle żołądka; kiedy więc znów wróciłem do celi, rzuciłem się na prycze, pokonany zarówno przez cierpienia fizyczne, jak i wyczerpanie umysłowe.

1 W każdych ciężkich, dębowych drzwiach celi wycięto otwór wielkości mniej więcej 25x25 cm, by móc lepiej obserwować więźniów.

2 List (do żony) z 15 grudnia 1945 r.: „Gdybym nie miał swego zadania, zostałbym żołnierzem, i co by wtedy było? Pięć lat wojny to długi okres, i najprawdopodobniej miałbym więcej utrapień i być może cięższy los. Chętnie pogodzę się ze swoją sytuacją, jeśli w ten sposób będę mógł jeszcze wyświadczyć przysługę narodowi niemieckiemu”. Z 7 sierpnia 1946 r.: „W takich sytuacjach nie powinno się analizować własnego życia. Każdy żołnierz ponosi na wojnie ryzyko, nie mogąc przeciwstawić się swemu losowi”.

3 Podczas przesłuchania przed sądem kilkakrotnie stwierdziłem swą współodpowiedzialność za program robót przymusowych: „Byłem wdzięczny Saucklowi za każdą osobę do pracy, jak ą mi przekazywał. Dość często czyniłem go odpowiedzialnym za to, że wskutek niedostatku siły roboczej w przemyśle zbrojeniowym nie osiągnano możliwej wydajności”. - „Oczywiście wiedziałem, że przy wytwarzaniu sprzętu zbrojeniowego pracowali robotnicy obcokrajowcy. Godziłem się na to”. - „Dostatecznie jasno, wykazałem, że uważałem za słuszną prowadzoną przez Sauckla politykę przymusowego przywożenia do Niemiec robotników z krajów okupowanych”. - „Robotnicy w większości sprowadzeni zostali do Niemiec wbrew swojej woli, a ja wcale przeciw temu nie oponowałem. Przeciwnie, w pierwszym okresie, do jesieni 1942 roku, z całą energią zabiegałem o to, by sprowadzać do Niemiec możliwie najwięcej siły roboczej”.

4 List (do żony) z czerwca 1946 r.: „Dla mnie jest to najważniejsze, że mogłem powiedzieć prawdę do końca. Naród niemiecki musiał się o tym dowiedzieć”. Z połowy sierpnia 1946 r.: „Ujawniając prawdę o tym całym obłędzie, najlepiej pomagam własnemu narodowi. Nie chcę i nie będę miał z tego żadnych korzyści”.

5 O reakcji współoskarżonych pisałem do żony (sierpień 1946): „Po usłyszeniu o mojej działalności w ostatniej fazie wojny większość oskarżonych utrudniała mi życie na różne sposoby. Mogłem sobie mniej więcej wyobrazić, jak postąpiliby, gdyby dowiedzieli się o tym przed końcem wojny. Nikt by wtedy nie ocalał z mojej rodziny”.

6 Po przerwie odpowiedziałem sądowi: „Opisuję szczegóły bardzo niechętnie, ponieważ tego rodzaju sytuacje mają w sobie coś nieprzyjemnego. Robię to tylko na życzenie sądu... Nie zamierzam nadać tej sprawie większego znaczenia w moim przypadku”.

Rozdział 35

WNIOSKI

Raz jeszcze zabrali głos oskarżyciele; ich wystąpienia zakończyły proces. Nam pozostało tylko ostatnie słowo. Posiadało ono szczególne znaczenie, ponieważ miało być w całości transmitowane przez radio: była to nasza ostatnia możliwość zwrócenia się do własnego narodu, a także ostatnia możliwość przyznania się do winy i wskazania otumanionemu przez nas narodowi drogi wyjścia poprzez ujawnienie przestępstw przeszłości¹.

Dziewięć miesięcy trwający proces wycisnął na nas piętno. Nawet Goring, który od początku procesu obrał linię agresywnego usprawiedliwiania się, w swym ostatnim słowie mówił o ciężkich przestępstwach, jakie zostały ujawnione, potępił straszliwe mordy masowe, których nie sposób wytłumaczyć. Keitel zapewniał, że wybrałby raczej śmierć, niż dał się jeszcze raz wciągnąć w takie zbrodnie. Frank mówił o winie, jaka ciąży na Hitlerze i narodzie niemieckim. Przestrzegał niepoprawnych przed „drogą politycznej głupoty, która musi prowadzić do demoralizacji i śmierci”. Moim zdaniem, jego przemówienie było wprawdzie pełne egzaltacji, ale trafiło w sedno sprawy. Nawet Streicher w swym ostatnim słowie potępił dokonywane przez Hitlera „masowe mordy Żydów”. Funk mówił o budzących grozę przestępstwach, które okrywają go wielkim wstydem, Schachtem głęboko „wstrząsnęła nie do opisanego podłości, której usiłował zapobiec”, Sauckla „mocno poruszyły ujawnione na procesie zbrodnie”, dla Papena „zło okazało się silniejsze niż dobro”, Seyss-Inquart mówił o „strasznych wybrykach”, dla Fritzschego „mord pięciu milionów stanowił groźne ostrzeżenie na przyszłość”. Zaprzeczali oni natomiast własnemu udziałowi w tych wydarzeniach.

Moje oczekiwania w pewnym sensie spełniły się; z prawnego punktu widzenia wina skoncentrowała się w poważnej mierze na nas oskarżonych. Ale w tej fatalnej epoce oprócz ludzkiej nikczemności po raz pierwszy w historii pojawił się również czynnik, który ten despotyzm odróżniał od wszelkich dotychczasowych wzorców i który w przyszłości będzie jeszcze nabierał znaczenia. Jako najważniejszy przedstawiciel technokracji, która właśnie bezmyślnie i bez żadnych hamulców wszystkie swoje środki zaangażowała przeciwko ludzkości², starałem się nie tylko przyznać, lecz także zrozumieć to, co się stało. W swoim ostatnim słowie powiedziałem: „Dyktatura Hitlera była pierwszą dyktaturą państwa przemysłowego w dobie współczesnej techniki...”

Sąd ogłosił przerwę na czas nie określony w celu naradzenia się nad wyrokiem. Czekaliśmy cztery długie tygodnie. Właśnie w tych dniach ogromnego napięcia, wyczerpany ośmiomiesięcznym okresem duchowych męczarni podczas procesu, czytałem książkę Dickensa z czasów rewolucji francuskiej *Opowieść o dwóch miastach*. Opisywał on, jak więźniowie w Bastylii oczekiwali ze spokojem, często w dobrym nastroju, na swój niepewny los. Ja natomiast nie potrafiłem zdobyć się aż na taki spokój wewnętrzny. Radziecki przedstawiciel oskarżenia zażądał przecież dla mnie kary śmierci.

30 września 1946 roku w świeżo wyprasowanych garniturach zajęliśmy po raz ostatni miejsce na ławie oskarżonych. Sąd chciał nam zaoszczędzić kamer filmowych i fotoreporterów w chwili uzasadniania wyroku. Zgaszono reflektory, które dotychczas oświetlały wielką salę sądową, umożliwiając zarejestrowanie każdej naszej reakcji. Pomieszczenie sprawiało niezwykle ponure wrażenie, kiedy wchodzili sędziowie, a oskarżeni, obrońcy, oskarżyciele, widzowie i przedstawiciele prasy podnosili się po raz ostatni ze swych miejsc. Podobnie jak każdego dnia rozprawy przewodniczący sądu, lord Lawrence, kłaniał się na wszystkie strony, w naszą stronę również. Potem zajął swoje miejsce.

Sędziowie zmieniali się. Przez kilka godzin monotonicznie odczytywali najbądź nieszczęsnym zapewne rozdział niemieckiej historii. Dla mnie jednak skazanie kierownictwa oznaczało uwolnienie narodu niemieckiego od winy z punktu widzenia prawa. Jak można było obciążać winą żołnierzy albo w ogóle kobiety i dzieci, jeżeli długoletni przywódca niemieckiej młodzieży i jeden z bliskich współpracowników Hitlera, Baldur von Schirach, jeżeli odpowiedzialny początkowo za zbrojenia minister gospodarki Hitlera, Hjalmar Schacht, zostali uwol-

nieni od zarzutu przygotowywania i prowadzenia agresywnej wojny? Jak można było, z prawnego punktu widzenia, obciążać winą niemieckiego technika czy robotnika, jeśli admirał Raeder, jeśli zastępca Hitlera Rudolf Hess zostali uwolnieni od odpowiedzialności za udział w zbrodniach przeciwko ludzkości? Oczekiwałem także, że proces wywrze bezpośredni wpływ na politykę okupacyjną zwycięskich mocarstw: tego, co właśnie określono jako przestępcze, nie można było teraz zastosować przeciwko naszemu narodowi. Miałem tu na uwadze przede wszystkim ten punkt, który stanowił główny argument mojego oskarżenia: pracę przymusową.

Następowało uzasadnienie wyroku dla każdego z oskarżonych bez podawania do wiadomości wysokości kary. Moją działalność przedstawiono rzeczowo i bezstronnie, zgodnie z tym, co powiedziałem podczas przesłuchań. Obciążono mnie odpowiedzialnością za deportację robotników z krajów okupowanych, za to, że przeciwstawiłem się planom Himmlera jedynie ze względów produkcyjno-taktycznych. że bez wahania zatrudniałem jego więźniów z obozów koncentracyjnych i że nalegałem na zatrudnianie radzieckich jeńców wojennych w przemyśle zbrojeniowym. Ponadto wyrok obciążał mnie, że nie kierowałem się żadnymi ludzkimi i etycznymi względami, gdy wysuwałem te żądania, a tym samym przyczyniałem się do ich realizacji.

Następnego dnia po raz ostatni widzieliśmy się, my oskarżeni, przed ogłoszeniem wyroku. Spotkaliśmy się w piwnicy gmachu sprawiedliwości; jeden po drugim wchodził do małej windy i już nie wracał. Na górze ogłaszano wyrok. Wreszcie i ja znalazłem się w kolejce. W asyście amerykańskiego żołnierza pojechałem do góry: otworzyły się drzwi i stanąłem na małym podeście w sali rozpraw, naprzeciw sędziów. Sięgnąłem po słuchawki, w moich uszach zabrzmiało: „Albert Speer skazany na dwadzieścia lat więzienia”.

1 obrońcy podobnie nieczęsto jak i oskarżeni powątpiewali w prawdziwość przedłożonych dokumentów. Tam, gdzie się to zdarzało, oskarżyciele wycofywali dokument, z jednym wyjątkiem: w przypadku protokołu Hossbacha z posiedzenia u Hitlera, na którym ujawnił swe wojenne cele. Hossbach tymczasem potwierdził w swych wspomnieniach prawdziwość protokołu.

2 Ta gotowość techników oczywiście nie ograniczała się tylko do naszego kraju. W rok później Henry L. Stimson (minister spraw zagranicznych USA w latach 1929-1933, minister wojny w latach 1911-1913 i 1940-1945) w Foreign Affairs w artykule pt. Proces norymberski - punktem zwrotnym w rozwoju prawa napisał: „Nie wolno nam zapominać, że na skutek współczesnego postępu zarówno w warunkach życia, jak i w nauce i technice każda wojna ulega niezwyklej brutalizacji. Nawet ten, kto zostanie

uwikłany w wojnę obronną, musi w znacznym stopniu współuczestniczyć w tym procesie brutalizacji. Niemożliwe stało się już hamowanie w nowoczesnej wojnie metod niszczenia i powstrzymywania nieuniknionego procesu pozbawiania godności wszystkich uczestników walki... Dwie ostatnie wojny światowe wykazały jednoznacznie, że dehumanizacja broni i metod jest nie do uniknięcia; stosuje je zarówno agresor, jak i obrońca. Aby przeciwstawić się agresji japońskiej, zmuszeni byliśmy, jak zaświadczył admirał Nimitz, zastosować technikę nieograniczonej wojny za pomocą okrętów podwodnych, podobnej do niemieckiej wojny podwodnej, która przed dwudziestu pięciu laty skłoniła nas do przystąpienia do pierwszej wojny światowej. W wyniku strategicznej wojny powietrznej zginęły setki tysięcy osób cywilnych w Niemczech i Japonii... W takim samym stopniu jak nasi przeciwnicy dostarczyliśmy dowodu, że nie wojna sama w sobie i nie sposób jej prowadzenia jest problemem centralnym. Według wszelkiego prawdopodobieństwa następna wojna skończyłaby się zagładą naszej cywilizacji".

POSŁOWIE

W książce tej pragnąłem ukazać nie tylko przeszłość, lecz również dać ostrzeżenie na przyszłość. Już w pierwszych miesiącach więzienia, jeszcze w Norymberdze, powstały - z potrzeby zmniejszenia ciężaru, jaki przygniatał mnie pod wpływem wydarzeń - obszerne zapiski. Było to również bodźcem do dalszych rozważań i notatek w latach 1946 i 1947, aż wreszcie w marcu 1953 roku zdecydowałem się ująć swe wspomnienia w jedną całość. Czy było plusem, czy też minusem, że powstawały one w przygniatającej samotności? Wtedy cechowała mnie często bezwzględność w ocenianiu innych i siebie. 26 grudnia 1954 roku zakończyłem pisanie.

Gdy 1 października 1966 roku zwolniono mnie z więzienia w Spandau, miałem ponad dwa tysiące stron własnych zapisków, które wraz z dokumentami mojego ministerstwa, zachowanymi w Archiwum Federalnym w Koblencji, stanowiły podstawę do opracowania niniejszej autobiografii.